

William Styron

Wybór Zofii

Z angielskiego przełożył Zbigniew Batko

Pamięci mojego Ojca (1889-1978)

Kto wskaże dziecko, tak jak stoi, kto postawi je wśród gwiazd i da mu w dłonie miarę odstępu?

Kto ulepi śmierć dziecinną z chleba szarego, co szcerstwiał lub pozostawi ją w okrągłych ustach niby pięknego jabłka pestkę?

... Łatwo przejrzeć morderców.

Ale to: śmierć całą. Śmierć, jeszcze przed zaczęciem życia, tak łagodnie zawrzeć w sobie i bez gniewu, to nie do opisania.

Rainer Maria Rilke z czwartej *Elegii Duinejskiej* przełożył Mieczysław Jastrun

... Szukam w duszy przecięcia dróg, na którym Zło absolutne przeciwstawia się braterstwu.

André Malraux, *Łazarz* (1974) przełożył Julian Rogoziński

pierwszy

W tamtych czasach znalezienie taniego mieszkania na Manhattanie było rzeczą prawie niemożliwą, musiałem więc przeprowadzić się do Brooklynu. Był rok 1947; jedną z zalet owego lata, które tak żywo zapamiętałem, była pogoda - słoneczna, ale nie upalna, z powietrzem przesyconym wonią kwiatów, jak gdyby czas się zatrzymał i zapanowała wieczna wiosna. Dziękowałem losowi i za to, jako że czułem wówczas, iż moja młodość dogorywa. Miałem dwadzieścia dwa lata i usiłowałem zostać kimś w rodzaju pisarza, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że ten potężny, nieubłagany płomień twórczego zapału, który - gdy miałem lat osiemnaście - strawił mnie niemal doszczętnie, przygasł do rozmiarów nikłego, pełgającego ognika, symbolicznego zaledwie zarzewia tłącego się w mej piersi czy gdziekolwiek się te moje najzarliwsze ambicje usadowiły. Nie żebym zrezygnował z pisania - ciągle jeszcze pragnąłem gorąco przelać na papier powieść, którą tak długo więził mój umysł. Rzecz w tym, że napisawszy kilka pierwszych, wypieszczonych akapitów, nie byłem w stanie spłodzić kolejnych. Innymi słowy - jak to mniej więcej ujęła Gertruda Stein, mówiąc o pewnym drugorzędym pisarzu „straconego pokolenia” - miałem syrop, ale ten syrop nie chciał ciec. Na domiar złego byłem bez pracy, miałem niewiele pieniędzy i - tak jak wielu

moich ziomków - sam skazałem się na wygnanie do Flatbush: jeszcze jeden chudy i samotny młodzieniec z Południa wędrujący po Królestwie Żydów.

Możecie nazywać mnie Stingo: pod takim przezwiskiem byłem wtedy znany, o ile ktokolwiek się do mnie zwracał. Przydomek ten pochodził z czasów, gdy uczęszczałem do prywatnej szkoły w rodzinnej Wirginii. Szkoła była dość miłą instytucją, do której oddał mnie, wówczas czternastolatka, mój rozkojarzony ojciec, nie mogąc sobie ze mną poradzić po śmierci matki. Jedną z moich wielu abnegackich cech było absolutne lekceważenie zasad higieny osobistej, toteż wkrótce stałem się znany jako StinkySmierdziel. Ale lata biegly. Erozyjne działanie czasu wraz z radykalną zmianą przyzwyczajęń (zawstydzany, przeobraziłem się w maniakalnego wręcz czyściocha) wygładziło stopniowo surową chropowatość przydomka, który przekształcił się płynnie w bardziej pociągające czy też mniej odpychające, ale na pewno bardziej rajcowne: Stingo. Około trzydziestki w jakiś niewyjaśniony sposób rozstałem się z tym przezwiskiem

- Stingo wyparował po prostu z mojego życia jak biała zjawa, przy mojej całkowitej obojętności wobec tej straty. Pozostawałem jednak Stingiem w czasach, o których piszę. Może wydać się niejasne, dlaczego przydomek ten nie występuje we wcześniejszych partiach opowieści; tłumaczy mnie to, że opisuję chorobliwy i samotniczy okres mego życia, kiedy rzadko zwracano się do mnie - obłąkanego pustelnika z górskiej jaskini - po imieniu.

Byłem właściwie zadowolony, że wylali mnie z pracy, pierwszej i jedynej - nie licząc wojska - płatnej posady w życiu, mimo że jej utrata poważnie zredukowała moją i tak ograniczoną wypłacalność. Myślę teraz, że było coś konstruktywnego w fakcie, iż tak wcześnie uświadomiłem sobie swoją absolutną nieprzydatność jako urzędnika. Prawdę mówiąc, zważywszy jak bardzo zależało mi na podjęciu pierwszej pracy, byłem zaskoczony poczuciem ulgi, a nawet entuzjazmu, z jakim przyjąłem zwolnienie zaledwie pięć miesięcy później. W 1947 roku praca, szczególnie w branży wydawniczej, była nie lada gratką, ale łaskawy los obdarzył mnie posadą w jednym z największych wydawnictw, w którym zostałem młodszym redaktorem (eufemizm oznaczający lektora maszynopisów). O tym, że w owych czasach, kiedy dolar miał znacznie większą wartość niż teraz, pracodawca dyktował warunki, świadczyć mogła moja goła pensja: czterdzieści dolarów tygodniowo.

Oznaczało to, że po potrąceniu podatku, moje wynagrodzenie w postaci bladoniebieskiego czeku, który co piątek kładła mi na biurku garbata kobiecina sporządzająca listę płac, wynosiło niewiele ponad dziewięćdziesiąt centów za godzinę. Fakt, że tę żebraczą pensję wypłacała mi jedna z najpotężniejszych i najbogatszych firm wydawniczych, bynajmniej mnie nie szokował: jako człowiek młody i prężny pracowałem - przynajmniej na

początku - z poczuciem wzniosłego celu. Pewną rekompensatą była poza tym nadzieja na odrobinę blichtru: lunch w klubie „21”, kolacja z Johnem O’Harą, światowe i błyskotliwe, lecz obsesyjnie zainteresowane seksem pisarki, kapitulujące w obliczu mojej redaktorskiej przenikliwości krytycznej, i tak dalej.

Prędko okazało się, że nic z tych rzeczy. Przede wszystkim, chociaż wydawnictwo - prosperujące głównie dzięki podręcznikom, literaturze fachowej i parunastu technicznym czasopismom z dziedzin tak różnych i hermetycznych jak hodowla świń, grzebalnictwo czy obróbka tworzyw sztucznych - publikowało przy okazji powieści i pozycje niebeletrystyczne, a zatem potrzebowało takich jak ja młodych estetyków, lista jego autorów nie mogła właściwie przyciągnąć uwagi żadnego poważnie zainteresowanego literaturą czytelnika. Kiedy na przykład zaczynałem pracę, dwoma najwybitniejszymi, lansowanymi właśnie pisarzami byli emerytowany admirał z drugiej wojny światowej i wyjątkowo parszywy komunistyczny prowokator, którego spowiedź, napisana przez „murzyna”, radziła sobie jako tako na listach bestsellerów. O pisarzu formatu Johna O’Hary (jakkolwiek miałem owiele znamienitszych idoli literackich, John O’Hara uosabiał dla mnie typ pisarza, z którym młody redaktor mógłby iść na wódkę) nie było mowy. Pozostawała jeszcze sprawa moich obowiązków. W tym czasie McGrawHill & Company (bo tak się nazywała moja firma) pozbawiona była krzty literackiego splendoru, ponieważ tak długo i z takim powodzeniem zarzucała rynek gniotami z dziedziny technologii, że mały dział książkowy, w którym pracowałem, a który usiłował imitować świetność Scribnera czy Knopfa, uważano w branży za jakiś dowcip. Było z tym trochę tak, jak gdyby handlujący mydłem i powidłem olbrzymi dom wysyłkowy w rodzaju Montgomery Ward lub Masters uruchomił beczelnie ekskluzywny salon z norkami i szynszylami, w których każdy fachowiec rozpoznałby farbowane bobry z Japonii. Tak więc jako najniżej postawiony w hierarchii redakcyjnej wyrobnik nie tylko nie miałem okazji czytać maszynopisów o przemijającej choćby wartości, ale wręcz zmuszano mnie do odwalania codziennej orki na ugorach beletrystyki i literatury faktu najpośledniejszego gatunku, to jest czytania poplamionych kawą i zasmarowanych odciskami paluchów stert papieru. Sfatygowane i zmaltretowane, już na pierwszy rzut oka zdradzały swym wyglądem rozpaczliwą determinację autora (lub agenta), a także demaskowały pozycję McGrawHilla jako wydawcy ostatniego sortu. Jednakże ja, człowiek młody, dumny jak paw ze swej uniwersyteckiej wiedzy na temat literatury angielskiej, tak zatem wściekle wymagający jak sam Matthew Arnold, trwałem niezłomnie na stanowisku, że słowo pisane reprezentować winno wyłącznie najwyższą powagę oraz najgłębszą prawdę, i traktowałem te żalosne płody samotniczej, chorej ambicji tysięcy nieznanomych z belferską,

obojętną pogardą małpy, wyczesującej sobie z sierści robactwo. Byłem twardy, zjadliwy, bezlitosny, nieczuły. Z wysokości swej przeszklonej klatki na dziewiętnastym piętrze biurowca wydawnictwa McGrawHill - architektonicznie imponującej, lecz obezwładniającej duchowo zielonej wieży przy Czterdziestej Drugiej Zachodniej Ulicy - miotalem szyderstwami, jakie mógł nagromadzić tylko ktoś, kto jest świeżo po lekturze *Siedmiu typów wieloznaczności*, w te piętrzące się na mym biurku stopy żalonych wypocin nafaszerowanych nadzieją i kulejącą składnią. Początkowo sprawiało mi to nawet frajdę; szczerze bawiła mnie własna podłość i' okazja do odwetu na tych manuskryptach. Ale po pewnym czasie ich niezniszczalna miernota zbrzydła mi doszczętnie, zaczęła mnie nużyć monotonia mojego zajęcia, podobnie jak ciągle zadymiony i spowity całunem smogu widok Manhattanu i wystukiwanie na maszynie takich grubiańskich opinii lektor - skich, jak cytowane poniżej, zachowane w nienaruszonym stanie z tamtego jałowego i przygnębiającego okresu. Cytuję je *verbatim*, bez komentarzy.

WYBUJAŁE TRZCINY; autorka: Edmonia Kraus Biersticker. Powieść.

Miłość i śmierć wśród wydm i porosłych żurawiną moczarów południowego New Jersey. Młody bohater Willard Strathaway, dziedzic olbrzymiej fortuny w postaci przetwórci żurawin i świeżo upieczony absolwent uniwersytetu Princeton, zakochuje się do szaleństwa w Ramonie Blaine, córce niejakiego Ezry Blaine'a, byłego wieloletniego lewicowca i przywódcy strajku zbieraczy żurawin. Fabuła jest pomysłowa i złożona; traktuje głównie o domniemanym spisku ukartowanym przez magnata przemysłowego, Brandona Strathaway ojca Willarda - w celu zlikwidowania Ezry, którego zmasakrowane ciało zostaje pewnego dnia znalezione w trzewiach maszyny do zbierania żurawin. Prowadzi to niemal do zerwania pomiędzy oskarżającymi się wzajemnie Willardem, przedstawianym przez autorkę jako młodzieniec „z uroczym, princetońskim przechyleniem głowy i sporą dozą kociego wdzięku”, i pogrążoną w żalobie Ramoną, „której wiotka gibkość ledwie maskowała podskórne falowanie dojrzałej zmysłowości”. Kompletnie osłupiały, nawet teraz, kiedy to piszę, mogę tylko stwierdzić, że jest to chyba najgorsza powieść, jaka kiedykolwiek wyszła spod pióra kobiety - lub zwierzęcia. Odrzucić natychmiast.

Oprzemądrzały, młody pyszałku! Jakże się napawałem, wśród chichotów, patroszeniem tych beznadziejnych, nie donoszonych literackich jagniątek. Nie zawahałem się przed wymierzeniem przy okazji kuksańca w żebra McGrawHilla i w ich słabość do publikowania dla forsy tej „rozrywkowej” tandety, którą można by drukować we fragmentach w „Reader's Digest” (choć moje żarciki mogły się źle dla mnie skończyć).

DZIWKI HYDRAULIKA; autorka: Audrey Wainwright Smilie. Literatura faktu.

Jedynym walorem tej książki jest jej tytuł, chwytny i wystarczająco wulgarny, aby trafić w gusta McGrawHilla. Autorka jest r/eczywiście kobietą, żoną - jak to subtelnie sugeruje tytuł hydraulika, z którym mieszka na przedmieściach Worcester w stanie Massachusetts. Kompletnie wyprane z poczucia humoru, mimo wyzierającej z każdej stroniczki pogoni za dowcipem, rojenia analfabetki są próbą przydania odrobiny romantyzmu upiornej zapewne egzystencji. Autorka porównuje przy tym z uporem swe komiczne perypetie domowe z życiem codziennym neurochirurga. Podobnie jak lekarz - podkreśla - hydraulik spędza dzień i noc poza domem, a praca obu jest wielce skomplikowana i naraża człowieka na infekcję. Obaj też wracają często do domu cuchnąc nieprzyjemnie. klasie humoru zbyt mdłego, by go można było nazwać przynajmniej skatologicznym, świadczą najwymowniej tytuły rozdziałów: „Srutututu, czyli panna w wannie”, „Ta rura mnie wykończy” (rura chwytnie?), „Skończyłeś? - Spuść wodę”, „Studium w brązach”. tak dalej. Maszynopis jest wyjątkowo wyszmalcowany i ma ośle uszy; jak pisze w liście autorka, składała go już wcześniej u Harpera, Simona i Schustera, Knopfa, w Random House, u Morrowa, Holta, Messnera, Williama Sloane’a, Rineharta i ośmiu innych wydawców. W tym samym liście autorka napomyka o swej determinacji związanej z maszynopisem, wokół którego koncentruje się obecnie całe jej życie, i dołącza (nie żartuję) zawołowaną pogroźkę, że w przypadku odmowy popelni samobójstwo. Sama myśl o odpowiedzialności za czyjąkolwiek śmierć jest mi nieznośna, ale za żadną cenę nie wolno tego drukować. Odrzucić! (Dlaczego muszę bez przerwy czytać taki chłam?)

Nie mógłbym sobie nigdy pozwolić na uwagi w rodzaju tej ostatniej ani na tak złośliwe aluzje pod adresem wydawnictwa, gdyby nie to, że mój przełożony, starszy redaktor, który czytał wszystkie te recenzje, miał podobny, pozbawiony złudzeń stosunek do pracodawcy i całej polityki tego ogromnego, bezdusznego imperium. Inteligentny, nieco zgorzkniały, ale w gruncie rzeczy pogodny Irlandczyk o sennym spojrzeniu, nazwiskiem Farrell, przez całe lata pracował nad takimi publikacjami jak miesięczniki „Guma Piankowa”, „Świat Protetyki”, „Pestycydy” czy „Amerykańskie Kopalnictwo Odkrywkowe”, zanim w wieku pięćdziesięciu pięciu lat nie przeniesiono go na mniej skażone przez przemysł tereny wydawnictwa książkowego. Tam, ssąc wygasłą fajkę, zabijał czas lekturą Yeatsa i Gerarda Manleya Hopkinsa, przeglądał z pobłażaniem w oku moje sprawozdania i - jak się domyślam - z utęsknieniem wyczekiwał wcześniejszej emerytury w swoim Ozone Park. Moje kpiny z McGrawHilla, bynajmniej dlań nie obraźliwe, bawiły go zwykle, podobnie jak ogólna tonacja mych sprawozdań. Farrell już znacznie wcześniej padł ofiarą wypranego z ambicji, leniwego bytowania trutnia w tym gigantycznym, sennym ulu, którego pracownicy - nawet ci z

aspiracjami - popadali w końcu w stan odrętwienia, a ponieważ zdawał sobie sprawę, że szanse natrafienia na maszynopis godny druku są mniejsze niż jedna na tysiąc, uważał pewnie, iż nie stanie się nic złego, jeśli się trochę rozerwę. Jedno z moich dłuższych (o ile nie najdłuższych) sprawozdań przechowuje pieczołowicie do dzisiaj, głównie dlatego że jako jedyne zawiera przynajmniej ślad pewnego współczucia.

HARALD HAARFAGER. SAGA; autor: Gundar Firkin. Poezja.

Gundar Firkin to nie pseudonim, lecz prawdziwe nazwisko. Nazwiska wielu kiepskich pisarzy często brzmią dziwacznie lub wydają się wymyślone, dopóki nie okaże się, że są prawdziwe. Czyżby to coś znaczyło? Maszynopis sagi o Haraldzie Haarfagerze nie został doręczony przez pocztę ani przez agenta - przyniósł mi go sam autor. Firkin pojawił się w poczekalni mniej więcej tydzień temu z maszynopisem w tekturowych okładkach i dwiema walizkami. Panna Myers powiadomiła mnie, że chciałby się zobaczyć z którymś z redaktorów. Facet około sześćdziesiątki, lekko przygarbiony, średniego wzrostu, ale solidnej budowy, wysmagana wiatrem, pobrużdżona twarz z siwymi, krzaczastymi brwiami, miękko zarysowane usta i dwoje najsmutniejszych, najbardziej marzycielskich oczu, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu. Na głowie farmerska czapka z czarnej skóry, z klapami opadającymi na uszy, ubrany w grubą wiatrówkę z wełnianym kołnierzem. Miał ogromne dłonie z czerwonymi, guzowatymi palcami. Kapło mu z nosa. Oświadczył, że przyniósł maszynopis. Wyglądał na porządnie zmordowanego; kiedy zapytałem go, skąd przyjechał, powiedział, że przed godziną dosłownie dotarł do Nowego Jorku po trzech z okładem dobach jazdy autobusem z miejscowości Turtle Lake w Północnej Dakocie. Tylko po to, by przywieźć maszynopis? zapytałem. Odpowiedź brzmiała: Tak.

Już od siebie dodał, że McGrawHill było pierwszym wydawnictwem, do jakiego dotarł. Zdziwiło mnie to niepomieranie, jako że nawet autorzy tak słabo zorientowani jak Gundar Firkin rzadko wybierają naszą firmę na pierwszy ogień. Kiedy zacząłem go wypytywać, jak doszło do tego niezwykłego wyboru, odpowiedział, że to naprawdę kwestia przypadku. Nie zamierzał umieszczać McGrawHilla na pierwszym miejscu swojej listy. Opowiedział mi, że podczas kilkugodzinnego postoju w Minneapolis wstąpił do urzędu pocztowego, gdzie mieli książkę adresową Manhattanu. Nie chcąc jak jakiś wandal wrywać kartek, spędził około godziny na przepisywaniu ołówkiem całego rejestru nazw i adresów nowojorskich firm wydawniczych. Zamierzał odwiedzać je w kolejności alfabetycznej, zaczynając - jak przypuszczam - od Appletona, a kończąc na ZiffDavisie. Ale kiedy dotarł na miejsce i wyszedł z dworca autobusowego Park Authority, o jedną przecnicę na wschód od naszego wydawnictwa, ujrzał na tle nieba szmaragdowy monolit Starego McGrawa z

onieśmielającym napisem McGraw - - Hill. No więc przyszedł prosto do nas. Staruszek zdawał się być tak wyczerpany i oszołomiony (wyznał mi później, że nigdy dotąd nie wytknął nosa na wschód od Minneapolis), że postanowiłem zaprosić go przynajmniej do kafejki na dole, na filiżankę kawy. Tam opowiedział mi o sobie: był synem norweskich imigrantów - prawdziwe nazwisko brzmiało Firking, ale „g” gdzieś się zapodziało i przez całe życie uprawiał pszenicę w okolicach Turtle Lake. Dwadzieścia lat temu, kiedy dobiegał czterdziestki, jakaś firma górnicza odkryła olbrzymie złoża węglowe na jego gruntach i chociaż nie zaczęła ich eksploatować, wynegocjowała długoterminową dzierżawę, co zabezpieczyło go materialnie na resztę życia. Był kawalerem, zbyt przywiązany do gospodarki, aby jej zaniechać, ale teraz miał dostatecznie dużo wolnego czasu, by zrealizować zamysł, który od dawna hołubił, to znaczy zabrać się do pisania epickiego poematu o jednym ze swych norweskich przodków, Haraldzie Haarfagerze, trzynastowiecznym jarlu, księciu czy kimś’ w tym rodzaju. Nie muszę chyba mówić, że na takie dictum serce mi zamarło i byłem bliski załamania, zachowałem jednak kamienną twarz, gdy tymczasem on poklepywał maszynopis i powtarzał:

- Tak, proszę pana. Dwadzieścia lat pracy. Jest tutaj, w tej teczce.

I nagle mój nastrój zmienił się radykalnie. Pomimo swego prostackiego wyglądu facet był inteligentny i bardzo sugestywny w tym, co mówił. I chyba odczytany, głównie w staroskandynawskiej mitologii, chociaż jego faworytami byli Sigrid Undset, Knut Hamsun i solidni autorzy ze Środkowego Zachodu - Hamlin Garland i Willa Cather. Przypuśćmy, że oto odkrywam jakiegoś z grubszą ociosanego geniusza. W końcu nawet tak wielki poeta jak Whitman zaczynał jako niewydarzony dziwak, upychający gdzie się da swoje gryzmoły. Tak czy inaczej, po długiej rozmowie (przeszliśmy na ty) powiedziałem mu, że chętnie przeczytam jego dzieło, chociaż muszę go przestrzec, iż poezja nie jest najmocniejszą stroną McGrawHilla. Wjechaliśmy z powrotem windą na górę. I wtedy stała się rzecz straszna. Kiedy się z nim żegnałem, zapewniając, że rozumiem, w jakim napięciu oczekiwać będzie na werdykt po dwudziestu latach pracy, a zatem postaram się pnieczytać rękopis uważnie i dać mu odpowiedź w ciągu kilku dni, spostrzegłem, że odchodząc y.abiera tylko jedną ze swoich walizek. Gdy zwróciłem mu na to uwagę, spojrzał na mnie tym swoim poważnym, smutnym, nawiedzonym i nieobecny wzrokiem i powiedział:

- Ach, sądziłem, że się domyśliłeś - w drugiej walizce jest reszta mojej sagi.

Nie żartuję: było to z pewnością najdłuższe dzieło literackie, jakie kiedykolwiek wyszło spod ludzkiej ręki. Zaniósłem je do działu spedycji i kazałem zważyć - miało trzydzieści pięć funtów; siedem tekturowych tek po pięć funtów każda, w sumie 3 850 stron maszynopisu.

Sama saga jest z gatunku sag angielskich; można by sądzić, że napisał ją Dryden, imitując złośliwie Spensera, gdyby nie /nało się straszliwej prawdy o tych nocach i dniach, tych dwudziestu latach spędzonych na snach o starożytnej Norwegii wśród zimnych pustkowi Dakoty, o nieustannym skrzypieniu pióra, wyciu wichru od jeziora Saskatchewan i łańcach pszenicy kładących się w podmuchach:

HARALDZIE, wielki wodzu, twój ból tak straszliwy!

Gdzież te kwiecica naręcza zbierane dla ciebie?

Podstarzały kawaler zabiera się do wiersza 4000, podczas gdy elektryczny wiatraczek rozprasza duszny upał prerii:

Nibelungi i trolle, nie nućcie już pieśni,

Które HARALD układał na jej wieczną chwałę;

Pieśń wesola w żałobne przeradza się pienia,

Lepiej byłoby umrzeć i skrócić cierpienia.

O, posępne strofy!

Wargi mi drżą, wzrok się mąci. Nie mogę dalej. Gundar Firkin siedzi w hotelu Algonquin (gdzie wynajął pokój za moją bezduszną radą), przy telefonie, który nigdy me zadzwoni: zbyt wielkim jestem tchórzem. Decyzja brzmi: odrzucić z żalem, wręcz z ubolewaniem.

Czy moje wymagania były tak wysokie, czy też poziom książek tak żaloszny, dość że nie przypominam sobie, bym zarekomendował w okresie moich pięciu miesięcy u McGrawHilla choćby jedną z nadesłanych prac. Prawdę mówiąc, jest jakaś ironia losu w fakcie, że tylko jedna (o ile mi wiadomo) z odrzuconych przeze mnie książek, która znalazła później wydawcę, zyskała sobie popularność i nie szezła w zapomnieniu. Nieraz potem próbowałem sobie wyobrazić reakcję Farrella bądź innej ważnej figury, kiedy książka ukazała się nakładem chicagowskiego wydawcy w rok mniej więcej po mym odejściu z przytłaczającego gmaszyska McGrawHilla. Z pewnością bowiem moje sprawozdanie zostało odnotowane w pamięci któregoś z wieloletnich bossów, z pewnością też ów weteran wrócić musiał do akt. Bóg jeden wie, z jak okrutnie mieszanymi uczuciami konsternacji i straty odczytywał zadufane, pedantyczne i - jak się okazało - fatalne w skutkach kadencje mojego wyroku:

... przynosi zatem pewną ulgę natrafienie po długich, jałowych miesiącach na maszynopis, którego styl nie wywołuje gorączki, bólu głowy i torsji i już z tego tylko powodu rzecz zasługuje na pewne uznanie. Wizja człowieka dryfującego na tratwie przemawia nawet do wyobraźni. Ale lwią część książki wypełnia rozwlekły, solenny i nużący opis rejsu przez

Pacyfik, który nadawałby się raczej do czasopisma w rodzaju „National Geographic”, i to po dokonaniu radykalnych cięć. Może kupi to jakieś wydawnictwo popularnonaukowe, bo rzecz jest zdecydowanie nie dla nas.

Oto jak potraktowałem wielkiego klasyka współczesnej literatury przygodowej, *Wyprawę KonTiki*. Po wielu miesiącach, widząc, że książka okupuje całymi tygodniami pierwsze miejsce na listach bestsellerów, szybko znalazłem racjonalne wytłumaczenie dla swojej ślepoty: gdyby McGrawHill płacił mi więcej niż dziewięćdziesiąt centów za godzinę, z pewnością byłbym bardziej wyczulony na związek pomiędzy dobrymi książkami a brudnymi pieniędzmi.

Przystanią był mi wówczas ciasny pokoik o wymiarach dwa i pół na cztery i pół metra w budynku zwanym University Residence Club, przy Jedenastej Zachodniej Ulicy, w Village. Zwabiła mnie tam nie tylko owa nazwa - wyczarowująca wizję towarzystwa z Ivy League, pokrytych sukrem stolików klubowych zarzuconych egzemplarzami „New Republic” i „Partisan Review”, ale także troskliwych starych sług w surdutach, spełniających życzenia lokatorów - lecz również niski czynsz: dziesięć dolarów tygodniowo. Cała ta wizja Ivy League była oczywiście kretyńskim złudzeniem. University Residence Club plasował się tylko o oczko wyżej od zwykłego domu noclegowego, różniąc się od ruder Bowery symboliczną zaledwie prywatnością w postaci drzwi zamykanych na klucz. Wszystko inne, z wysokością opłaty włącznie, do złudzenia przypominało pospolitą noclegownię. Paradoksalnie, otoczenie budynku było cudowne, niemal wytworne. Z jedyne go, zalepionego skorupą brudu okna mojej klitki na trzecim piętrze od podwórza miałem widok na zachwycający ogród domu przy Dwunastej Zachodniej Ulicy; czasami udawało mi się tam dostrzec parę, jak przypuszczałem, właścicieli - młodego mężczyznę w tweedach (lubiałem sobie wyobrażać, iż jest wschodzącą gwiazdą dziennikarstwa z „New Yorkera” bądź „Harper’s”) i jego żywą jak iskra, niesamowicie zgrabną, jasnowłosą żonę, która biegała w podskokach po ogrodzie w spodniach lub kostiumie kąpielowym, figlując od czasu do czasu z zabawnym, do przesady wypielęgnowanym chartem afgańskim, lub wylegiwała się w hamaku Abercrombie & Fitch, a wtedy ja pieprzyłem ją do upadłego sztywnymi, bezdźwięcznymi i precyzyjnymi sztychami pożądania.

Bo w tamtych czasach seks, a raczej jego brak i ten kłujący w oczy wspaniały ogród - razem z jego właścicielami - zdawały się łączyć symbolicznie, by uczynić degenerację University Residence Club jeszcze nieznośniejszą, rozjątrzyć we mnie poczucie ubóstwa i podkreślić mój status samotnika i wygnańca. Wyłącznie męska klientela naszego domu, ludzie przeważnie starzy lub w średnim wieku, rozbitkowie i nieudacznicy z Village, których

następny krok w dół prowadzić musiał do dzielnic nędzy, wydzielali kwaśny zapaszek taniego wina i desperacji, kiedy ocieraliśmy się o siebie w ciasnych, odrapanych korytarzach. Nie żadna zdziecinniała, stara konsjerżka, lecz zastępy gado - podobnych portierów o grynszpanowej cerze, charakterystycznej dla stworzeń pozbawionych dziennego światła, pełniły straż w hallu, gdzie pod sufitem pulsowała mętnym blaskiem jedna słaba żarówka. Ci sami portierzy obsługiwali jedyną, zgrzytającą windę, kaszląc i rozdrapując swe hemoroidalne obolałości podczas niekończących się wspinaczek na trzecie piętro i do mojej klitki, gdzie noc po nocy przesiedziałem zamurowany w czterech ścianach całą wiosnę, niczym jakiś obłąkany anachoreta. Zmusiła mnie do tego sytuacja - nie tylko brak pieniędzy na rozrywki, lecz również to, że jako nowicjuszowi w metropolii, bardziej ambitnemu niż nieśmiało, brakowało mi okazji i inicjatywy, by się z kimkolwiek zaprzyjaźnić. Po raz pierwszy w życiu, dotąd bezmyślnie stadnym, odkryłem udrękę nie chcianej samotności. Jak zbrodniarz wtrącony nagle do pojedynczej celi zacząłem się karmić swymi wewnętrznymi zapasami nie spalonego tłuszczu, których istnienia nawet nie podejrzewałem. W budynku University Residence Club, w maju, o zmierzchu, obserwując wędrówki największego karalucha, jakiego widziałem w życiu, po stronicach *Dziel wszystkich* Johna Donne'a, stanąłem nagle twarzą w twarz z samotnością i stwierdziłem, że twarz to zaiste okrutna i paskudna.

Mój wieczorny rozkład zajęć rzadko się zatem w tych miesiącach zmieniał. Wychodziłem z McGrawHilla o piątej, wsiałem na Ósmej Avenue do metra (pięć centów) i jechałem na Village Square, gdzie zmierzałem prosto do delikatesów na rogu i kupowałem trzy puszki rheingolda, bo na tyle pozwalało mi moje surowe, ekonomiczne sumienie. Następnie szedłem do swego pokoiku, gdzie rozciągnąwszy się na sfatygowanym materacu przykrytym spranym na pajęczynę, pachnącym chloro - ksem prześcieradłem, czytałem do chwili, gdy zagrzało się moje ostatnie piwo, czyli jakąś godzinkę. Dzięki Bogu byłem jeszcze w tym wieku, kiedy czytanie jest ciągle pasją i - obok szczęśliwego małżeństwajedynym możliwym sposobem trzymania całkowitej samotności na dystans. Inaczej nie zniósłbym chyba tych wieczorów. Byłem jednak zachłannym pożeraczem książek, w dodatku niesamowicie eklektycznym w upodobaniach i z wielkim pociąganiem do słowa pisanego w ogóle. Pociąg ów był czymś tak ekscytującym, że niemal erotycznym. W dosłownym tego słowa znaczeniu; gdyby nie to, że porównywałem swoje doświadczenia ze spostrzeżeniami innych, którzy przyznali się do podobnie osobliwych doznań w młodych latach, nie ryzykowałbym narażania się na kpiny i niedowierzanie stwierdzeniem, iż pamiętam przypadki, kiedy sama perspektywa półgodzinnego flirtu z książką telefoniczną wywoływała

u mnie lekki, niemniej zauważalny wzwód.

W każdym razie czytałem - przypominam sobie, że jedną z książek, od której nie mogłem się wtedy oderwać, było *Pod wulkanem* - po czym o ósmej, dziewiątej wychodziłem na kolację. Jakież to były kolacje! Jeszcze dziś czuję wyraźnie na podniebieniu łojowaty posmak steku Salisbury u Bickforda albo omletu à la western u Rickera, w którym pewnego wieczoru, bliski zemdenia, znalazłem zielonkawę, niemal bezcielesne piórko i maleńki, embrionalny dziób. A ta chrząstka wrosnięta niczym tumor mózgu w jagnięcy kotlet z jadłodajni Athens Chop House, gdzie same kotlety zalatywały starym trykiem, albo to kleiste puree ziemniaczane ze zjełczałym tłuszczem, „zreanimó - wane” ponad wszelką wątpliwość z prawdziwie greckim sprytem z suszu, zwędzonego z jakiegoś magazynu rządowych rezerw. Byłem jednak tak dziewiczo naiwny w sprawach nowojorskiej gastronomii, jak zresztą w wielu innych, że upłynęło sporo czasu, nim zorientowałem się, iż najlepszym w tym mieście posiłkiem za niecałego dolara jest parę hamburgerów i kawał ciasta z White Tower.

Wróciwszy do swojej klitki rzucałem się łapczywie na książkę i z powrotem zagłębiałem się w świetle uludy, czytając do wczesnych godzin poranka. Od czasu do czasu musiałem jednak wykonać robotę, którą zacząłem w końcu określać ze wstrętem jako odrabianie lekcji, to znaczy zredagować notkę reklamową na skrzydełko obwoluty jakiejś nowej książki McGrawHilla. Prawdę mówiąc, przypominam sobie, że przyjęto mnie do pracy głównie dzięki takiej próbnej notce, napisanej do już wydanej książki *Historia biurowca Chryslera*. Mój liryczny, ale jędrny tekst zrobił takie wrażenie na Farrellu, że nie tylko stał się zasadniczym czynnikiem decydującym o moim zatrudnieniu, lecz rozbudził w. starym nadzieję, iż w przyszłości będę mógł płodzić podobne cuda do książek mających się dopiero ukazać. To, że nie potrafiłem ani razu powtórzyć sukcesu, musiało być dla niego jednym z największych rozczarowań. Farrell nie wiedział bowiem, a ja uświadamiałem sobie to tylko częściowo, że zaczął tu już działać syndrom desperacji i wyjałowienia. Nie chcąc się do tego przyznać, serdecznie znienawidziłem tę parodię pracy. Nie byłem redaktorem, ale pisarzem - pisarzem obdarzonym tą samą żarliwością i tymi samymi strzelistymi ambicjami co Melville, Flaubert, Tołstoj czy Fitzgerald, którzy byli w stanie wydrzeć mi serce i zatrzymać jego cząstkę, i którzy co noc, każdy z osobna i wszyscy razem, nakazywali mi, bym szedł za głosem ich niezrównanego powołania. Moje zmagania z notkami napełniały mnie poczuciem upodlenia, zwłaszcza że książki, które miałem zachwalać, reprezentowały nie literaturę, lecz jej skrajne przeciwieństwo - komercję. Oto fragment jednej z notek, której nie umiałem za nic dokończyć:

Tym, czym papierowy, czyli gazetowy romans dla historii amerykańskiego snu, tym

nazwa KimberlyClark dla historii papieru. Firma startująca jako skromna, niepozorna manufaktura w sennym miasteczku Neenah nad jeziorami Wisconsin jest obecnie ze swoimi fabrykami w trzynastu stanach i ośmiu krajach świata jednym z prawdziwych gigantów w branży papierniczej. Wiele z jej zaspokajających rozliczne potrzeby produktów, z których najślynniejszym jest bez wątpienia Kleenex, zyskało sobie taką popularność, że ich nazwy weszły do potocznego języka...

Nad takim jednym akapitem można było ślęczeć godzinami. Czy powinienem napisać „bez wątpienia Kleenex”, czy „niewątpliwie Kleenex”? „Rozliczne” czy „mnogie potrzeby”? Komponując notkę, tłukłem się jak oszalały po swojej celi, wyrzucałem z siebie półgłosem bezsensowne słówka, zmagalem się z rytmem i walczyłem z przygnębiającą pokusą masturbacji, która nie wiedzieć dlaczego zawsze towarzyszyła tej robocie. W końcu, ogarnięty szałem, łapałem się na tym, że wykrzykuję głośno: „Nie! Nie!” do pilśniowych ścian, po czym rzucałem się do maszyny i trzaskając wściekle w klawisze wystukiwałem szybką, może sztubacką, ale cholernie przeczyszczającą wersję:

Szukające statystyki KimberlyClarka: Szacuje się, że gdyby rozsmarować na stadionie Yale Bowl wszystkie smarki Stanów ‘zjednoczonych i Kanady wydmuchane w ciągu miesiąca w chusteczki higieniczne Kleenex, utworzyłyby one warstwę grubości pół metra...

Obliczono, że gdyby wszystkie pochwy USA zatkane Kotexem przez okres czterodniowej miesiączki ustawić jedna za drugą, utworzony ciąg sięgałby od Bostonu po White River Junction w stanie Vermont...

Następnego dnia Farrell, jak zwykle życzliwy i wyrozumiały, przygryzając fajkę, zamyślał się z nieco kwaśną miną nad podobnymi propozycjami, po czym stwierdziwszy, że to „niezupełnie to, o co chodziło”, prosił z pobłażliwym uśmiechem, żebym spróbował jeszcze raz. A ponieważ nie byłem ciągle kompletnie stracony, być może dlatego, że nadal miały nade mną władzę resztki prezbiteriańskiej etyki, z całą pasją i z całej mocy próbowałem - bez rezultatu. Po długich godzinach mordęgi dawałem wreszcie za wygraną i szedłem do baru Niedźwiedź lub wracałem do lektury *Zapisków z podziemia* czy *Billy Budda*. Często też wystawałem tęsknie w oknie, wpatrując się w zaczarowany ogród. Tam zaś, w złocistym zmierzchu Manhattanu, w świecie przepelnionym atmosferą kultury i dyskretnej dostatku, do którego - jak wiedziałem - nigdy nie będę należał, zaczynało się właśnie przyjęcie u państwa Winstonostwa Hun - nicuttów (bo takim snobistycznym mianem ich ochrzciłem). Na razie w ogrodzie pojawiła się sama jasnowłosa Mavis Hunnicutt w bluzie i obcisłych spodniach w kwiaty, by przystanąwszy na chwilę zerknąć na opalizujące wieczorne niebo. Odrzuciła swe przepiękne włosy dziwnym, urzekającym gestem, po czym schyliła się nad

gazonem, by zerwać parę tulipanów. Zastygła w tej zachwycającej pozie nie podejrzewała nawet, co uczyniła najbardziej samotnemu młodszemu redaktorowi w Nowym Jorku. Moja żądza była niewiarygodna: wężąc na oślep swym lepkiem ryjem ześlizgiwała się po brudnej ścianie obskurnej rudery, przerzucała swe wężowate cielsko przez parkan i sunęła pospiesznie, meandrami ku jej wypiętemu tyłkowi, by tam, zatrzymawszy się w nieprzyzwoitej odległości, rozkwitnąć w olśniewającej, niemej metamorfozie w moje chutliwe, wygłodniałe, ledwie panujące nad sobą wcielenie. Delikatnie oplatałem Mavis ramionami i ujmowałem w dłonie jej pełne, rozkołysane, słodkie piersi. „Czy’ to ty, Winston?” - pytała szeptem. „Nie, to ja odpowiadałem ja, jej kochanek. - Pozwól, że wezmę cię na pieska”. Na co ona odpowiadała niezmiennie: „Ach, dobrze, kochanie - później”. Kiedy tak pogrążałem się w swych obłąkańczych fantazjach, od natychmiastowej kopulacji na hamaku Abercrombie & Fitch powstrzymać mnie mogło jedynie nagłe pojawienie się w ogrodzie Thomtona Wildera. Albo e.e. cummin - gsa. Albo Katherine Ann Porter. Johna Herseya. Malcolma Cowleya. Johna P. Marquanda. W takim przypadku, przywoływany do opamiętania nakłuciem balonika libido, budziłem się w swoim oknie i zaczynałem sycić złaknione serce obrazami odbywającej się na dole biesiady intelektualnej. Wydawało mi się bowiem nader logiczne, że to żywe, towarzyskie małżeństwo (ich *living room* znajdował się na parterze, co pozwalało mi od czasu do czasu zazdrośnie rzucić okiem na nowoczesne duńskie regały zavalone książkami) miało niezwykle szczęście należeć do świata zaludnionego pisarzami, poetami, krytykami i innymi reprezentantami środowiska literackiego. Kiedy zatem łagodnie zapadał zmierzch i taras zapełniał się gawędzącymi, elegancko ubranymi intelektualistami, rozpoznawałem w półmroku wszystkich tych niewiarygodnych herosów i heroiny literatury, o których spotkaniu marzyłem od czasu, gdy moją nieszczęsną duszą owładnęła magia drukowanego słowa. Miałem dopiero poznać pierwszego prawdziwego autora opublikowanej książki (jeśli nie liczyć wspomnianego wcześniej, zapyziałego ekskomunisty), który pewnego razu przybłąkał się do mego biura w McGrawHillu, cuchnący czosnkiem i zastarzałym potem dawnych lęków, toteż te wiosenne *parties* u Hunnicattów, częste i długie, dostarczały okazji do najbardziej szalonych gier wyobraźni, jakim ulec może umysł usychającego z miłości wielbiciela. Oto Wallace Stevens! I Robert Lowell! A ten dzentelmen z wąsikiem, wyglądający jakby ukradkiem zza drzwi - czy możliwe, żeby to był Faulkner? Krążyły pogłoski, że jest właśnie w Nowym Jorku. Ta dorodna kobieta z włosami upiętymi w kok i wiecznym uśmiechem na ustach to z pewnością Mary McCarthy. Przysadzisty mężczyzna z grymasem na czerstwej, sardonicznej twarzy mógł być tylko Johnem Cheeverem. Raz jakiś przenikliwy, kobiecy głos zawołał w półmroku:

„Irwin!” i kiedy to imię przyfrunęło na górę, do mojego ponurego stanowiska voyeura, poczułem, że mocniej bije mi puls. Było oczywiście zbyt ciemno, by go rozpoznać, stał zresztą tyłem do mnie, ale czyżby istotnie ten barczysty, krzepki zapaśnik w towarzystwie dwóch dziewczyn, których pełne uwielbienia twarze zwracały się ku niemu jak kwiaty, był autorem

Dziewcząt w letnich sukienkach? Teraz uświadamiam sobie, że ci wszyscy bywalcy wieczornych przyjęć w domu Hunnicattów musieli pracować w reklamie albo na Wall Street bądź uprawiać jakąś inną jałową profesję, ale wtedy pozostawałem niewzruszony w swych złudzeniach. A jednak pewnej nocy, na krótko przed wygnaniem z imperium McGrawHilla, moje uczucia ulec musiały radykalnej zmianie i to sprawiło, że nigdy już w życiu nie spojrzałem na ogród. I tym razem zająłem pozycję na swym zwykłym posterunku i utkwilem wzrok w znajomym zadku Mavis Hunnicutt, podczas gdy ona wykonywała te drobne gesty, które czyniły mi ją tak drogą - obciążenie bluzy, odgarnięcie jednym palcem kosmyka jasnych włosów - gawędząc jednocześnie z Carson McCullers i bladym, wyniosłym, bardzo angielskim mężczyzną o zmrużonych oczach krótkowidza, czyli z pewnością Aldousem Huxleyem. O czym u licha mogli rozmawiać? O Sar - trze? O Jamesie Joysie? O starych rocznikach win? Kurortach południowej Hiszpanii? *Bhagawadgicie?* Nie, mówili najwyraźniej o otoczeniu, tym otoczeniu, na ożywionej bowiem twarzy Mavis malowało się zadowolenie, kiedy gestykulując wskazywała na pokryte bluszczem ściany domu, na miniaturowy trawnik, na perlącą się fontannę i przepiękną rabatę z tulipanami o soczystych, flamandzkich barwach, na wszystkie te cuda w oprawie ponurej wnętrzości miasta. „Gdyby tylko... - zdawała się mówić, a rysy stężyły jej od irytacji. - Gdyby tylko...” - tu wykonała szybki półobrót i gwałtownie wyrzuciła w stronę University Residence Club swą małą piąstkę, tę kochaną, gniewną piąstkę, gestem tak wyrazistym, tak nerwowym, iż miałem wrażenie, że potrząsa nią tuż przed moim nosem. Czułem się tak, jakby oświetlił mnie reflektor. Okrutnie rozżalony, mógłbym przysiąc, że odczytuję dokładnie z ruchów warg jej słowa: „Gdyby tylko nie było tu tego szkaradzieństwa i tego całego robactwa, co się na nas gapi!” Moje męczarnie w domu przy Jedenastej Ulicy miały się rychło skończyć. Miałbym może większą satysfakcję, gdybym został zwolniony z pracy z powodu afery z *Wyprawą KonTiki*, ale moje akcje w McGrawHillu spadać zaczęły dopiero z chwilą pojawienia się nowego naczelnego, którego potajemnie nazwałem

WeaselŁasica, co było niezbyt dokładnym anagramem jego prawdziwego nazwiska. Łasicę zaangażowano w nadziei, że nada firmie bardziej pożądany profil. Był on znany głównie ze swoich związków z Thomasem Wolfe'em; pełnił funkcję redaktora pisarza po

jego odejściu od Scribnera i Maxwella Perkinsa, a po śmierci Wolfe'a pomagał zebrać i uporządkować według chronologii oraz sklasyfikować według kryteriów literackich olbrzymią spuściznę w postaci niepublikowanych utworów. Chociaż pochodził tak jak ja z Południa, co w obcym, nowojorskim środowisku powinno wytworzyć między nami, przynajmniej na początku, rodzaj zwykłej w takich przypadkach wspólnoty, natychmiast poczuliśmy do siebie niechęć. Łasica był łysiejącym, antypatycznym facecikiem przed pięćdziesiątką. Nie wiem dokładnie, co myślał o mnie - uszczypliwy, pełen dezynwoltury ton moich sprawozdań miał niewątpliwie jakiś związek z jego negatywną reakcją - ale ja uważałem go za zimnego, nadętego ponuraka i megalomana oodpychającym sposobie bycia człowieka idiotycznie przeceniającego swoje osiągnięcia. Podczas kolegiów redakcyjnych z lubością wygłaszał zdania w rodzaju: „Wolfe mówił mi często...” lub „Jak to dobitnie wyraził Tom w liście napisanym do mnie tuż przed śmiercią...”

Identyfikował się z Wolfe'em tak całkowicie, jakby był alter ego pisarza, i to mnie bolało, gdyż podobnie jak całe rzesze moich rówieśników przeszedłem przez wszystkie pełne udręki etapy kultu dla tego autora i oddałbym wszystko za możliwość spędzenia wieczoru na kumpłowskiej, luźnej pogawędce z takim facetem jak Łasica; wyciągałbym od niego najnowsze anegdoty mistrza, wykrzykując co chwila na przykład: „Och, ależ to bezcenne!” w reakcji na jakąś cudowną historyjkę o uwielbianym gigancie, jego wybrykach, eskapadach i trzytomowym rękopisie. Ale do żadnych kontaktów pomiędzy mną i Łasicą nie doszło. Był on, poza wszystkim, okropnym formalistą i szybko przystosował się do sterylnej, bezbarwnej i arcykonserwatywnego szablonu McGrawHilla. Ja, przeciwnie, miałem wciąż ciągoty do brykania traktowałem z ironią nie tylko całą koncepcję pracy redaktorskiej, którą moje osłabione oczy widzą dziś wyraźnie jako pozbawioną wszelkiego blasku harówkę, lecz także styl, obyczaje i zewnętrzne atrybuty świata interesu. Bo McGrawHill pomimo swej ostentacyjnie literackiej fasady był monstrualnym, typowym przykładem amerykańskiego biznesu. Zdawałem sobie zatem sprawę, że jeśli u steru firmy są tacy zimni funkcjonariusze jak Łasica, muszą z tego wkrótce wynikać kłopoty i że moje dni są policzone.

Pewnego dnia, wkrótce po objęciu rządów, Łasica wezwał mnie do swego gabinetu. Miał owalną, nalaną twarz i maleńkie, nieprzyjazne oczka łasicy, które - jak mi się wydawało - nie mogły wzbudzić zaufania kogoś tak wrażliwego na niuanse zewnętrznego wyglądu jak Thomas Wolfe. Wskazał mi krzesło i po wygłoszeniu kilku zdawkowych, grzecznościowych formułek przeszedł od razu do sedna, czyli do sprawy mojej oczywistej niezdolności przystosowania się do „profilu” firmy. Po raz pierwszy usłyszałem wtedy słowo „profil” użyte dla określenia czegoś innego niż widok twarzy z boku, toteż w trakcie przemówienia

Łasicy, który zaczął przechodzić do szczegółów, głowiłem się, w czym mianowicie zawiodłem; byłem pewien, że poczciwy stary Farrell nie powiedział złego słowa ani o mnie, ani o mojej pracy. Okazało się jednak, że moje uchybienia były dwojakiej natury: krawieckiej i - przynajmniej pośrednio - politycznej.

- Zauważyłem, że nie nosi pan kapelusza - stwierdził Łasica.

- Kapelusza? - zapytałem. - Rzeczywiście, nie noszę. - Nie byłem nigdy entuzjastą nakryć głowy, wiedziałem jedynie, że kapelusze istnieją.

Od czasu zakończenia przed dwoma laty służby w piechocie morskiej przestałem traktować noszenie czegokolwiek na głowie jako obowiązek. Demokracja zapewniała mi prawo wyboru, a więc aż do obecnej chwili nie poświęcałem tej sprawie uwagi.

- Wszyscy w McGrawHill noszą kapelusze - oznajmił Łasica.

- Wszyscy? - zdziwiłem się.

- Wszyscy - oświadczył stanowczo.

I rzeczywiście, kiedy zastanowiłem się nad tym, co powiedział, uprzytomniłem sobie, że była to prawda: wszyscy nosili kapelusze. Rano, wieczorem i w porze lunchu windy i korytarze zalewała rozkołysana fala kanotierów i pilśniaków* osadzonych na identycznie przy skórze ochlastanych czaszkach tysiąca zdyscyplinowanych rabów McGrawHilla. Odnosiło się to przynajmniej do mężczyzn - kobietom, głównie sekretarkorriy pozostawiano wolną rękę. Uwaga Łasicy była zatem najzupełniej na miejscu. Nie uświadamiałem sobie do tej pory i pojąłem dopiero w tym momencie, że noszenie kapeluszy nie było zwykłą kwestią mody, lecz w istocie obowiązkiem, taką samą częścią uniformu McGraw - - Hilla, jak koszule firmy Arrow i wywatowane, flanelowe garnitury od Webera & Heilbronera, noszone w zielonej wieży przez wszystkich - od sprzedawców elementarzy po wyniosłych redaktorów „Utylizacji Odpadów Przemysłowych”. W swojej niewinności nie uprzytomniłem sobie, że ciągle chodzę nie umundurowany, ale nawet teraz, kiedy to do mnie dotarło, wezbrała we mnie wściekłość pomieszana z rozbawieniem i nie miałem pojęcia, jak zareagować na poważny zarzut Łasicy. Teraz ja z kolei zadałem mu pytanie, tonem równie surowym jak on mnie:

- Czy mógłbym wiedzieć, pod jakim jeszcze innym względem nie przystaję do profilu?

- Nie mogę ani nie chcę narzucać panu upodobań co do prasy powiedział - ale afiszowanie się z nowojorskim „Postem” w McGrawHillu jest niezbyt rozsądne. - Zamilkł na chwilę, po czym rzekł: - To tylko rada, dla pańskiego dobra. Nie muszę dodawać, że może pan czytać, co się panu żywnie podoba w prywatnym czasie i w domu. Po prostu, jakby to

powiedzieć... nie przystoi redaktorom McGrawHilla czytać takich radykalnych publikacji w pracy.

- Co wobec tego powinienem czytać? - Miałem wtedy zwyczaj kupować na Czterdziestej Drugiej Ulicy pierwsze popołudniowe wydanie „Post” oraz sandwicza i konsumować je w redakcji podczas godzinnej przerwy na lunch. Była to jedyna gazeta, jaką czytałem. W owym czasie byłem nie tyle politycznie „dziewiczy”, co politycznie neutralny, *castrato*, i kupowałem „Post” nie dla liberalizujących wstępniaków czy kolumny Maxa Lerner’a, które mnie nudziły, ale dla pełnego wigoru, żywego, charakterystycznego dla wielkomięjskich gazet stylu i atrakcyjnych reportaży z życia *haut monde*, szczególnie tych autorstwa Leonarda Lyonsa. Odpowiadając Łasicy, z góry wiedziałem, że nie zrezygnuję z gazety, tak samo jak nie pójdę do Wanamakera przymierzać żadnego piłśniaka.

- Lubię „Post” - ciągnąłem z lekką irytacją. - Co pana zdaniem powinienem czytać?

- Bardziej odpowiednia - wycodził z tym swoim teksańskim akcentem, osobiście pozbawionym ciepła - byłaby „Herald Tribune”. Albo chociażby „News”.

- Ale one wychodzą rano.

- Niech pan wobec tego spróbuje „WorldTelegram”. Albo „JournalAmerican”. Lepsza już sensacja niż radykalizm.

Nawet ja wiedziałem, że „Post” nie jest wcale radykalny i miałem to już powiedzieć, ale ugryzłem się w język. Biedny Łasica! Mimo że był takim drętwym facetem, zrobiło mi się go żal, uświadomiłem sobie bowiem, że wędzidło, które usiłował mi założyć, nie było jego wynalazkiem. Coś w jego zachowaniu (czyżby to była nutka prośby o wybaczenie u Południowca wyciągającego rękę do pobratymca w odruchu niepewnej, spóźnionej sympatii?) mówiło mi, że nie ma w gruncie rzeczy serca do tych głupich i poniżających restrykcji. Pojąłem także, iż w jego wieku i przy jego pozycji był prawdziwym więźniem McGrawHilla, nieuchronnie skazanym na posługiwanie się trikami firmy, na jej przyziemny styl i ślepe pogoń za mamoną. Ten człowiek nie miał odwrotu, podczas gdy przede mną stał otworem cały szeroki świat. Pamiętam tylko, że kiedy wygłosił swoją beznadziejną sentencję: „Lepsza już sensacja niż radykalizm”, wymamrotałem pod nosem triumfalne niemal słowa pożegnania:

- Zegnaj, Łasico. Zegnajcie, McGrawHill.

Do dziś nie mogę odżałować, że nie rzuciłem roboty z miejsca. Zamiast tego przystąpiłem do swoistego strajku, polegającego na zwolnieniu tempa pracy lub dokładniej - jej wstrzymaniu. W ciągu kilku następnych dni, choć zjawiałem się w pracy punktualnie i

wychodziłem dokładnie z wybiciem godziny piątej, na moim biurku spiętrzyły się wysokie sterty nie przeczytanych maszynopisów. W południe nie przerzucałem już „Post”, lecz kupowałem w kiosku przy Times Square „Daily Worker”, po czym bez ostentacji, raczej z namaszczoną obojętnością, czytałem lub przynajmniej próbowałem czytać gazetę przy swym biurku, pogryzając koszerne pikle i kanapkę z pastrami i delektując się odgrywaniem w tej twierdzy WASPów podwójnej roli - rzekomego komunisty i wymagowanego Żyda. Podejrzewam, że trochę mi wtedy odbiło, bo ostatniego dnia pojawiłem się w pracy w moim starym, spłowiałym marynarskim *pisscutterze* (taki sam nosił John Wayne w *Piaskach Iwo Jimy*), który dopełniał ubrania z tak zwanej kory; zadbałem też o to, aby Łasica zobaczył mnie w tym absurdalnym stroju i by świadcował aktowi mojej ostatecznej zdrady.

Jedną z nielicznych atrakcji McGrawHilla był widok z okna na dziewiętnastym piętrze - oglądana z naszego monolitu, minaretu i wieżycy majestatyczna perspektywa Manhattanu, zdolna zawsze pobudzić moje otępiałe zmysły i wywołać powierzchowne, a jednak autentyczne napady wesołości i słodkiej nadziei, tradycyjnie ożywiającej młodych amerykańskich prowincjuszy. Wokół elewacji budynku McGrawHilla hulały porywiste wiatry; jednym z moich ulubionych zajęć było wyrzucanie przez okno kartek papieru i śledzenie ich ekstatycznych, bezładnych ślizgów nad dachami. Często znikwały w dali nad kanionami ulic odchodzących od Times Square, na przemian nurkując i wzbijając się w powietrze. Tego południa wpadłem na pomysł, aby oprócz „Daily Workera” kupić tubę gumy balonowej, takiej jaką dziś bawią się wszystkie dzieci - wtedy była to nowość na rynku. Wróciwszy do biura wydmuchałem pół tuzina delikatnych, prześlicznie opalizujących kul. Czekwały na swą powietrzną przygodę w napięciu, z zachłanną niecierpliwością wyposzczonego seksualnie, który ma za chwilę doznać zaspokożenia. Wypuszczałem je jedna za drugą w zasnutą smogiem otchłań; efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania - oto spełniało się moje długo tłumione, infantylne marzenie, aby balony dotarły do najdalszych krańców ziemi. Jarzyły się w promieniach popołudniowego słońca niczym satelity Jowisza, wielkie jak piłki do koszykówki. Nagłe zawirowanie ‘powietrza uniosło to stłoczone stadko wysoko nad Ósmą Ulicę; tam balony zawisły nieruchomo, jak się zdawało - na zawsze. Głośnie westchnienie zachwytu wydarło mi się z piersi. Potem usłyszałem piski i dziewczęcy śmiech i zobaczyłem grupkę sekretarek McGrawHilla; zafascynowane spektaklem wychylały się z sąsiednich okien. To właśnie ogólne poruszenie musiało zwrócić uwagę Łasicy na mój powietrzny popis, bo akurat w chwili, kiedy dziewczęta zakończyły owacje okrzykiem radości, a balony pognały w szalonym pędzie na wschód, ku kanionowi Czterdziestej Drugiej Ulicy, usłyszałem za plecami jego głos.

Odniosłem wrażenie, że doskonale panuje nad swoją wściekłością.

- Jest pan zwolniony. Od dziś - powiedział nienaturalnie spokojnym głosem. -
Może pan odebrać o piątej ostatnią wypłatę.

- Pocałuj mnie, Łasica. Wywalasz faceta, który będzie sławny jak Thomas Wolfe. - Jestem pewien, że tego nie powiedziałem, ale słowa drżały mi na koniuszku języka tak wyraźnie, iż po dziś dzień mam wrażenie, że padły naprawdę. Chyba nie powiedziałem po prostu nic; patrzyłem tylko na tego człowieczka, jak odwróciwszy się na pięcie wyszedł, drobiąc krótkimi nóżkami, z mojego życia. I wtedy pojawiło się uczucie wyzwolenia, które przeniknęło mnie na wskroś niczym fizyczne doznanie bliskie błogostanowi, jakbym zrzucił z siebie kilka warstw zbyt ciepłego, krępującego ubrania lub dokładniej - wynurzył się z wysiłkiem z mrocznej głębinie po długim, długim czasie i zachłysnął zbawczym haustem świeżego powietrza.

- To był ostatni dzwonek - powiedział później Farrell i z bezwiedną precyzją ugruntował moją metaforę: - Wiadomo, że ludzie tutaj toną. I nawet nie można znaleźć ciał.

Było grubo po piątej. Zostałem tego popołudnia dłużej, żeby spakować swój skromny, bo skromny, ale dorobek, pożegnać się z jednym czy dwoma redaktorami, z którymi zadzierzgnąłem więzy umiarkowanej przyjaźni, odebrać swoje ostatnie trzydzieści sześć i pół dolara i na koniec - co okazało się zaskakująco bolesne i smutne - rozstać się z Farrellem. Przy okazji wyszło między innymi na jaw coś, co mogłem podejrzewać od samego początku, gdyby mi na tym zależało lub gdybym wykazał się większą spostrzegawczością: Farrell był samotnym i sfrustrowanym pijakiem. Wszedł do mojego pokoju nieco chwiejnym krokiem akurat w momencie, gdy upychałem w aktówce kopie moich co rozsądniejszych recenzji. Kiedy natrafiłem w aktach na kawałek poświęcony Gundarowi Firkinowi, ogarnęła mnie melancholia, szczególnie zaś zależało mi na odszukaniu rozważań dotyczących *Wyprawy KonTiki*, miałem bowiem dziwne przeczucie, że mogą w przyszłości trafić do interesującego tomiku moich literackich marginaliów.

- I nawet nie można znaleźć ciał - powtórzył Farrell. - Strzel sobie kielicha - wyciągnął do mnie szklaneczkę i w połowie opróżnioną butelkę żytniówki Old Overholt. Zalatywało od niego żytem, pachniał dosłownie jak pumpernikiel. Odmówiłem kielicha nie z powodu jakiegś szczególnej wstrzemięźliwości, ale dlatego że w tamtych czasach uznawałem tylko tanie amerykańskie piwo.

- No cóż, i tak nie byłeś stworzony do tej robotypowiedział pociągając tęgi łyk overholta. - To nie miejsce dla ciebie.

- Właśnie zaczęło to do mnie docierać - przytaknąłem.

- W ciągu pięciu lat zostałbyś ich człowiekiem. Po dziesięciu betonem. Starym, skostniałym, trzydziestoletnim pierdzielem. Oto w co zamieniłaby cię firma McGrawHill.

- Właściwie cieszę się, że odchodzę - powiedziałem. - Chociaż tracę forszę, nawet jeśli nie były to kokosy.

Farrell zachichotał i czknął dyskretnie. Jego typowo irlandzka twarz z długą górną wargą zakrawała na żart natury, a on sam emanował smutkiem, jakimś pełnym rezygnacji wyczerpaniem i zużyciem; z bolesnym ukłuciem w sercu pomyślałem o jego samotnych, biurowych popijawach, wieczornych sesjach z Yeatsem i Hopkinsem i ponurych powrotach metrem do Ozone Park. Nagle uświadomiłem sobie, że nigdy już go nie zobaczę.

- A więc zamierzasz pisać - powiedział. - Więc chcesz zostać pisarzem. To ambitny zamiar, sam kiedyś o tym myślałem. Mam wielką nadzieję, że mm zostaniesz i przyślesz mi egzemplarz swojej pierwszej książki. Dokąd się przeprowadzisz, kiedy zaczniesz pisać?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Wiem tylko, że nie zostanę dłużej w tej mojej norze. Muszę się stamtąd wynieść.

0 Ach, jakże ja marzyłem o pisaniu... - zadumał się. - To znaczy o poezji. O esejach. O dobrej powieści. No wiesz, nie jakiejś wielkiej powieści, bo zdawałem sobie sprawę, że brak mi talentu i ambicji, żeby stworzyć coś wielkiego, ale o dobrej powieści, która miałaby swój styl i elegancję. Tak dobrej, jak, powiedzmy, *Most San Luis Rey* albo *Śmierć przychodzi po arcybiskupa*, bezpretensjonalnej, ale bliskiej doskonałości. - Zamilkł na chwilę, a potem powiedział: - Ale jakoś od tego odszedłem. Myślę, że to te lata pracy redaktorskiej, zwłaszcza w dziedzinie techniki. Zweeksłowałem na boczny tor i zacząłem zajmować się pomysłami i słowami innych, a to raczej nie sprzyja wysiłkom twórczym, zwłaszcza na dłuższą metę. - Znów przerwał zapatrzył się na bursztynową resztkę alkoholu w szklaneczce.

- Albo też t o mnie zepchnęło na boczny tor - powiedział posępnie. - Ta stuprocentowa czara marzeń. W każdym razie nie zostałem pisarzem. Nie zostałem ani powieściopisarzem, ani poetą, a jeśli chodzi o eseje, napisałem w życiu tylko jeden. Wiesz, co to było?

- Nie. Co takiego?

- Napisałem to dla „The Saturday Evening Post”. Taka tam historyjka, związana z urlopem, który spędziliśmy z żoną w Quebecu. Nie warto mówić. Ale dostałem za to dwieście dolarów i przez parę dni byłem najszcześniejszym pisarzem w Ameryce. No cóż... - melancholia zasnęła jego twarz, głos zacichał stopniowo. - Zszedłem na boczny tor -

wymamrotał.

Nie miałem pojęcia, jak reagować na jego chandrę, niebezpiecznie bliską załamania, więc powiedziałem tylko, ciągle upychając papiery w aktówce:

- Mam nadzieję, że będziemy w kontakcie - choć wiedziałem, że nie będziemy.

- Ja też - rzekł Farrell. - Szkoda, że nie poznaliśmy się bliżej.

- Ze wzrokiem utkwionym w szklaneczce pogrążył się w milczeniu, które tak się przeciągało, że poczułem się nieswojo.

- Szkoda, że nie poznaliśmy się bliżej - powtórzył w końcu z wolna. - Myślałem często, żeby zaprosić cię do siebie do Queens na obiad, ale ciągle to odkładałem. Znow zwękslowałem. Wiesz, przypominasz mi bardzo mojego syna.

- Nie wiedziałem, że ma pan syna - powiedziałem zaskoczony. Słyszałem, jak kiedyś napomknął z kwaśną miną o swoim „bezdzielnym stanie” i po prostu sądziłem, że - jak to się mówi

- Pan Bóg nie obdarzył go potomstwem, ale na tym kończyło się moje zainteresowanie sprawą. W chłodnej, bezosobowej atmosferze McGrawHilla okazywanie choćby umiarkowanego zainteresowania czyimś prywatnym życiem uchodziło za gruby nietakt, żeby nie powiedzieć: nieprzyzwoitość. - Sądziłem, że... zacząłem.

- Ach tak, ale ja miałem syna! - jego głos przeszedł nagle w krzyk; przestraszyła mnie ta nuta gniewu pomieszanego z bólem. Overholt wyzwolił w nim wszystkie celtyckie furie, z jakimi obcował sam na sam codziennie po piątej po południu. Wstał, podszedł do okna i zapatrzył się na niepojęty miraż Manhattanu o zmierzchu, skąpanego w poździe zachodzącego słońca. - Miałem syna! - powtórzył. - Edwarda Christiana Farrella. Był dokładnie w twoim wieku, miał akurat dwadzieścia dwa lata i chciał zostać pisarzem. Był... on był prawdziwym księciem języka. Miał talent, którym oczarowałby samego diabła, a niektóre jego listy - niektóre z tych długich, mądrych, zabawnych, inteligentnych listów należą do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek napisano. Ach, ten chłopiec był istnym księciem języka! - Łzy napłynęły mu do oczu. Był to dla mnie moment paraliżującego skrępowania, jeden z tych, jakie zdarzają się od czasu do czasu w życiu - chociaż, dzięki Bogu, nieczęsto kiedy ktoś prawie obcy mówi z rozpaczą i w czasie przeszłym o jakiejś ukochanej osobie, stawiając słuchacza w kłopotliwym położeniu. Chciał pewnie powiedzieć, że syn nie żyje. Ale chwileczkę! Może po prostu uciekł albo padł ofiarą amnezji lub jest ściganym zbrodniarzem? A może wegetuje nędznie w domu dla obłąkanych i ten czas przeszły to tylko bolesny eufemizm? Kiedy Farrell znow zaczął mówić, ciągle nie dostarczając mi klucza do zagadki losu swego syna, odwróciłem się zakłopotany i dalej

segregowałem papiery.

- Może zniósłbym to lepiej, gdyby nie był naszym jedynym dzieckiem. Ale Mary nie mogła mieć więcej dzieci po urodzeniu Eddiego. - Nagle urwał: - Ach, nie interesuje cię to.

Odwróciłem się do niego.

- Ależ tak, proszę mówić - powiedziałem. - Proszę. - Wydawało się, że odczuwa nieprzepartą, wręcz bolesną potrzebę mówienia, a ponieważ był zacnym człowiekiem i lubiłem go, i - co więcej - czułem, że naprawdę utożsamia mnie do pewnego stopnia ze swoim synem, pomyślałem, że byłoby świństwem z mojej strony, gdybym nie pomógł mu zrzucić ciężaru z serca.

- Proszę, niech pan mówi - powtórzyłem. Farrell nalał sobie kolejną, zdrową miarkę żytniówki. Miał już nieźle w czubie i zaczął z lekka bełkotać, a jego piegowata, zamyślona i smutna twarz wyglądała w świetle zmierzchu bardzo mizernie.

- To prawda, że człowiek przelewa swe własne aspiracje na dziecko. Eddie zaczął studiować na uniwersytecie Columbia i wtedy objawiła się jego pasja do książek, jego dar operowania słowem. Kiedy miał lat dziewiętnaście - dziewiętnaście, rozumiesz? - wydrukowali mu szkic w „New Yorkerze”, a Whit Burnett wziął do druku jego opowiadanie. Był chyba jednym z najmłodszych autorów w historii tego pisma. To była sprawa jego oka, rozumiesz, oka

- Farrell wetknął sobie wskazujący palec w oko. - On widział to, czego inni nie dostrzegają, nadawał wszystkiemu świeżość i potrafił tchnąć w to życie. Mark Van Doren przysłał mi piękny, naprawdę cudowny list: napisał mianowicie, że Eddie to największy talent pisarski wśród studentów, jakich kiedykolwiek miał. Wyobraź sobie, Mark Van Doren! To jest coś, zgadzasz się? - wpatrywał się we mnie, jakby szukając potwierdzenia.

- To jest coś - przyznałem.

- I wtedy... wtedy, w 1943 roku, wstąpił do Marine Corps. Powiedział, że woli być ochotnikiem niż żołnierzem z poboru.

Marines naprawdę go zauroczyli, choć w gruncie rzeczy był zbyt wrażliwy, by mieć jakiegokolwiek złudzenia co do tego, czym jest wojna. Wojna! - Farrell wymówił to słowo z odrazą, jak rzadko używany, wyjątkowo obsceniczny wyraz, po czym na moment zamknął oczy, kiwając głową w bolesnym zamyśleniu. Potem spojrzął na mnie i znów zaczął mówić: - Wojna rzuciła go na Pacyfik, gdzie brał udział w najcięższych walkach. Ach, gdybyś czytał te listy, te cudowne, pełne humoru i elokwencji listy, bez śladu rozczulania się nad sobą. Nigdy nie wątpił, że wróci na uniwersytet, skończy studia i zostanie pisarzem, tak jak zamierzał. I

wtedy, dwa lata temu, na Okinawie zastrzelił go snajper. Trafił go w głowę. To było w lipcu, kiedy właściwie wszystko się kończyło. Był chyba jednym z ostatnich poległych w tej wojnie. Miał stopień kaprala. Dostał medal. Nie wiem, dlaczego to się musiało stać. Boże, nie wiem, dlaczego to się stało! Boże, dlaczego?

Farrell płakał; nie w jakiś nieprzyjemnie ostentacyjny sposób, ale błyszczącymi, szczerymi łzami, które wzbierały na krawędziach powiek. Odwróciłem się z uczuciem takiego wstydu i upokorzenia, że jeszcze teraz, po latach, mogę dokładnie odtworzyć to gorączkowe, przyprawiające o zawrót głowy doznanie, jakiego wtedy doświadczyłem. Trudno to może wytłumaczyć dziś, kiedy z perspektywy trzydziestu minionych lat, wobec otępienia i cynizmu zrodzonego z kilku barbarzyńskich wojen amerykańskich, moja reakcja może wydawać się beznadziejnie staroświecka i romantyczna. Pozostaje jednak faktem, że podobnie jak Eddie Farrell służyłem w piechocie morskiej, jak on pragnąłem zostać pisarzem i jak on posyłałem pisane sercem listy 7. Pacyfiku, tę mieszankę namiętności, humoru, desperacji i żywych nadziei, jaką zdolny jest stworzyć tylko człowiek bardzo młody i nieustannie ocierający się o śmierć.

Jeszcze większym wstrząsem było to, że i ja znalazłem się na Okinawie, zaledwie parę dni po śmierci Eddiego (nieraz później myślałem, że tylko godziny mogły dzielić moje przybycie od momentu, gdy on zginął) i nie było tam już śladu wroga, strachu, niebezpieczeństwa, a jedynie - dzięki łaskawości historii - zniszczony, lecz spokojny, orientalny krajobraz, po którym wędrowałem nie zagrożony i bez szwanku, na kilka tygodni przed Hiroszimą. Gorzka prawda wyglądała tak, że nie słyszałem nawet jednego wrażego wystrzału i chociaż byłem dzieckiem szczęścia (o ile coś takiego istnieje), bo uratowałem skórę, to nigdy nie pozbyłem się uczucia, że ominęło mnie coś straszliwego i wspaniałego zarazem. Z całą pewnością nic i nigdy nie poruszyło mnie w związku z tamtymi przeżyciami - lub raczej ich brakiem - tak jak zwiędła, tragiczna opowieść Farrella o jego synu Eddie, który wydawał mi się ofiarą złożoną ziemi Okinawy po to, bym ja mógł żyć - i pisać. I kiedy Farrell siedział tak, płacząc w nikłym świetle zmierzchu, poczułem się pomniejszony, zredukowany - i nie potrafiłem powiedzieć nic.

W końcu Farrell wstał, otarł oczy i stanął w oknie; patrzył na skąpane w purpurowej poświacie wody Hudsonu, po którym zmierzały leniwie ku oceanowi zamglone sylwetki dwóch wielkich statków. Wiosenny wiatr wył z siłą demonów wśród zielonych, obojętnych gzymsów McGrawHilla. Kiedy Farrell przemówił, jego słowa napłynęły jakby z daleka, tchnąc rozpaczą:

Wszystko, co sobie ceni człek,

W mgnieniu oka zatrze czas...

Herolda wrzask, żołdaka but Zagłusza chwałę, dławi moc;

Płomień, co rozjaśnia noc,

Syci żywica ludzkich serc.

Potem odwrócił się do mnie i rzekł:

- Synu, pisząc daj z siebie wszystko. - I zataczając się odszedł w głąb korytarza, by zniknąć na zawsze.

Siedziałem jeszcze długo, rozmyślając o przyszłości, która wydawała mi się na razie tak mglista i mroczna jak zasnuty smogiem widnokrąg, sięgający poza łąki New Jersey. Byłem zbyt młody, aby odczuwać prawdziwy lęk, nie na tyle jednak, by nie mieć pewnych obaw. Bzdurne rękopisy, które czytałem, stanowiły rodzaj przestrogi: unaoczniały mi, jak żalosne mogą być wszelkie ambicje - zwłaszcza literackie. Pragnąłem ponad wszystko zostać pisarzem, ale z jakiegoś powodu opowieść Farrella tak mnie poruszyła, że po raz pierwszy zdałem sobie sprawę ze swojej wielkiej pustki wewnętrznej. To prawda, przebyłem długą drogę jak na tak młodego człowieka, ale mój duch pozostawał przykuty do ziemi - nie zaznałem miłości i ledwie otarłem się o śmierć. Nie mogłem wtedy przewidzieć, jak szybko spotkam je obie, obecne w ludzkich namiętnościach i ludzkich ciałach, od których stroniłem w swym zadufanym, kołtuńskim samoograniczeniu. Nie mogłem też wówczas wiedzieć, że moja odkrywcza wyprawa będzie podróżą do miejsca tak osobliwego jak Brooklyn. Na razie wiedziałem tylko, że zjadę po raz ostatni z dziewiętnastego piętra asepu - tyczną, zieloną windą, wyjdę na ruchliwe ulice Manhattanu i uczczę swe wyzwolenie drogim kanadyjskim piwem i pierwszym befsztykiem z połudwicy od czasu, jak przybyłem do Nowego Jorku.

drugi

Po samotnym bankiecie w restauracji Longchampa na Piątej Avenue przeliczyłem pieniądze i oszacowałem cały mój majątek na niespełna pięćdziesiąt dolarów. Choć już wspominałem, moja kłopotliwa sytuacja nie budziła we mnie poważniejszych obaw, nie mogłem się pozbyć uczucia lekkiej niepewności, zwłaszcza że perspektywy zdobycia nowej pracy były zerowe. Martwiłem się jednak niepotrzebnie, bo za kilka dni miała mi się trafić gratka, która ratowała mnie z opresji - przynajmniej na najbliższą przyszłość. Dar ten był dziwnym i fenomenalnym uśmiechem fortuny, a wszystko - podobnie jak w przypadku innego, wielce pomyślnego zdarzenia, jakie miało miejsce wiele lat później - brało swój początek z faktu istnienia niewolnictwa. Choć historia tego daru łączy się z moim nowym życiem w Brooklinie tylko pośrednio, jest tak niezwykła, że warto ją opowiedzieć.

Rzecz związana jest głównie z moją babką ze strony ojca. Kiedy opowiedziała mi o

swoich niewolnicach, zbliżała się już do dziewięćdziesiątki i była filigranową, przypominającą lalkę staru - szeczką. Zawsze wydawało mi się niewiarygodne, że jestem tak blisko związany ze Starym Południem i że to jeszcze ta, a nie jakaś wcześniejsza generacja moich przodków posiadała czarnych niewolników, ale tak właśnie było: urodzona w 1848 roku babka, mając lat trzynaście, została właścicielką dwóch niewiele młodszych od siebie murzyńskich dziewczynek i nie zważając na Abrahama Lincolna i ustawy abolicyjne, traktowała je przez cały okres wojny domowej jak swoje ukochane skarby. Mówię „ukochane” bez ironii, gdyż jestem pewien, że naprawdę bardzo je kochała; kiedy wspominała Drusillę i Lucinę (bo takie niezwykle miały imiona), jej starczy, drżący głosik łamał się ze wzruszenia. Opowiadała mi, „jak drogie, jakże drogie” były jej sercu dziewczęta i jak to w samym środku srogiej, wojennej zimy szukała wszędzie wełnianej włóczki, by zrobić im na drutach pończochy. Działo się to w hrabstwie Beaufort w Północnej Karolinie, gdzie spędziła całe swoje życie i skąd ją właśnie pamiętam. W latach trzydziestych każdej Wielkanocy i na Dzień Dziękczynienia jeździliśmy do niej z ojcem w odwiedziny przez moczary i równinne, monotonne plantacje orzeszków, tytoniu i bawełny, przy których stały opuszczone, na wpół rozwalone, bliźniaczo do siebie podobne murzyńskie chaty. Po przybyciu do sennego miasteczka Pamlico witaliśmy babcię wyjątkowo serdecznie i czule, jako że była od lat niemal całkowicie sparaliżowana po wylewie. Od niej to, jako dwunasto - czy trzynastolatek, siedząc przy jej łożu, dowiadywałem się „z pierwszej ręki” o Drusilli i Lucinie, o spotkaniach przy ognisku, o polowaniach na indyki, o zebraniach pań z towarzystwa dobroczynnego, owycieczkach statkiem w dół Pamlico i innych przedwojennych uciechach. Miły szczebiotliwy starczy głosik, słaby, lecz zdawało się niezmordowany, zacichał jednak w końcu i starsza pani zasypiała.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że babcia nie opowiadała nigdy ani mnie, ani ojcu o innym małym niewolniku noszącym dźwięczne imię Ariste, którego tak jak Drusillę i Lucinę dostała „w podarku” od swego ojca i którego niedługo potem sprzedano. Jak to pokrótce zademonstruję, zestawiając dwa powiązane ze sobą listy, powód, dla którego nigdy nie wspominała o chłopcu, miał bez wątpienia coś wspólnego z jego późniejszymi, niezwykle losami. W każdym razie jest rzeczą istotną i ciekawą, że ojciec babci po dokonaniu transakcji zamienił otrzymaną kwotę na złote dolary federalne o różnych nominałach, zapewne w przewidywaniu rychłego wybuchu wyniszczającej wojny. Wsadził te monety do glinianego garnka i zakopał go pod azalią na tyłach ogrodu. Miało to oczywiście zapobiec odkryciu pieniędzy przez Jankesów, którzy istotnie przybyli w ostatnich miesiącach wojny wśród tętentu kopyt i szczęku błyszczących szabel, splądrowali na oczach przerażonej babci -

wówczas młodej dziewczyny - dom, przetrząsnęli ogród - i nie znaleźli złota. Przez przypadek jestem w stanie przytoczyć babciny opis żołnierzy Unii w dosłownym brzmieniu: „Mężczyźni naprawdę dziarscy i przystojni; demolując nasz dom, spełniali tylko swój obowiązek, ale oczywiście brak im kultury i dobrych manier. Jestem pewna, że byli z Ohio. Powyrzucali nawet szynki przez okno”. Pradziadek, powróciwszy z wojny bez oka i ze strzaskaną rzepeką w kolanie - obie rany odniósł pod Chancellorsville wykopał złoto i po doprowadzeniu domu do stanu używalności ukrył je w przemyślnym schowku w piwnicy.

Skarb mógłby tam przetrwać do końca świata, bo w przeciwieństwie do tych tajemniczych znalezisk, o jakich czasem czyta się w gazetach - owych paczek „zielonych” czy hiszpańskich dublonów i tym podobnych trofeów odkopywanych przy robotach ziemnych - przeznaczeniem złota zdaje się być pozostawanie w ukryciu na wieczność. Kiedy mój pradziadek zmarł pod koniec wieku postrzelony przypadkiem podczas polowania, okazało się, że w testamencie nie ma żadnej wzmianki o monetach; przypuszczalnie wcześniej przekazał pieniądze córce. Kiedy z kolei ona umarła czterdzieści lat później, napisała w swoim testamencie złocie, dołączając dokładne wskazówki co do jego podziału pomiędzy liczne wnuki, ale w pomieszaniu właściwym sędziwemu wiekowi zapomniała, gdzie skarb jest ukryty i pomyliła schowek w piwnicy z sejfem w miejscowym banku, który oczywiście był bezradny wobec tak osobliwego zapisu. Przez siedem następnych lat nikomu nie udało się odnaleźć skrytki. I wtedy mój ojciec, ostatni z sześciorga rodzeństwa, uchronił ten bezcenny skarb przed zaśnieżeniem w zapomnieniu pośród termitów, pajaków myszy. W ciągu całego długiego żywota wykazywał pełne rewerencji i zapału zainteresowanie rodziną i jej rodowodem. Ciągłe szperał w korespondencji i pamiątkach rodzinnych pozostałych po jakimś dawno zmarłym, nieciekawym i dalekim kuzynie z pasją zauroczonego wiktoriańskiego badacza, który natknął się na szufladę pełną obscenicznych listów miłosnych Roberta i Elizabeth Browningów. Wyobraźcie sobie zatem jego radość, kiedy przeglądając wyblakłe pakieciki z korespondencją swej matki, znalazł wśród innych list od mego pradziadka, który zawierał nie tylko dokładne informacje o miejscu ukrycia skarbu, ale także szczegóły dotyczące sprzedaży młodego niewolnika Ariste. A teraz dwa listy wspomniane wcześniej. Przytoczone poniżej wieści od ojca, które nadeszły akurat w chwili, gdy pakowałem manatki, by opuścić University Residence Club, mówią wiele nie tylko o kilku pokoleniach ludzi z Południa, lecz również o wielkich wydarzeniach, jakie miały miejsce wówczas, u progu dzisiejszych czasów.

4 czerwca, 1947 r.

Mój Najdroższy Synu!

Mam przed sobą Twój list z 26 maja, w którym informujesz mnie o utracie pracy. Z jednej strony przykro mi, Stingo, z tego powodu, jako że stawia Cię to w trudnym położeniu finansowym, a ja, osaczony przez bieżące i pewnie niekończące się kłopoty i długi Twoich dwóch ciotek z Nowego Jorku, które - obawiam się - tetryczają, i to w żalospny sposób, nie mogę Ci wiele pomóc. Spodziewam się jednak w najbliższych miesiącach pewnej poprawy mojej sytuacji materialnej i mam nadzieję, że będę mógł wesprzeć choć w skromnym zakresie Twoje pisarskie aspiracje. Z drugiej strony uważam, iż dobrze się stało, że wylali Cię z McGraw - Hilla, który - jak wnioskuję z Twoich relacji - musi być okropnie ponurą firmą, znaną skądinąd głównie jako tuba propagandowa rekinów biznesu żerujących od ponad stu lat na amerykańskim narodzie. Od kiedy Twój pradziadek powrócił z wojny domowej na pół s'lepy i okaleczony i razem z moim ojcem próbował założyć małą fabryczkę tabaki i tytoniu do żucia w hrabstwie Beaufort, po to tylko, by ich marzenia zostały unicestwione przez tych piratów z piekła rodem, Washingtona Duke'a i jego syna „Bucka”, którzy zmusili ich do wycofania się / . interesu, od kiedy więc mam w pamięci tę tragedię, przepelnia mnie dozgonna nienawiść do występnego, monopolistycznego kapitalizmu, depczącego prostych ludzi. (Uważam za ironię losu, iż musiałeś zdobywać wykształcenie w instytucji wyrosłej na fundamentach nieuczciwie zgromadzonej fortuny Duke'ów, choć nie ma w tym bynajmniej Twojej winy.)

Pamiętasz zapewne Franka Hobbsa, z którym przez tyle lat jeździłem do pracy w stoczni. Ten pod wieloma względami zacny i rzetelny człowiek, urodzony na małej plantacji orzeszków w hrabstwie Southampton, odznacza się jednak, jak sobie pewnie przypominasz, nieugięte reakcyjnymi przekonaniem i czasami sprawia wrażenie fanatyka, nawet jeśli zastosujemy wirgińskie normy. Nie rozmawiamy zatem zbyt często o ideologii czy polityce. Po ujawnieniu okropności popełnionych przez nazistów Frank pozostaje antysemitą i utrzymuje, że to żydowska finansjera dzierży w szponach całe bogactwo świata. Co oczywiście rozśmieszyłoby mnie tylko, gdyby nie obskurantyzm takiego poglądu. Zgodziłem się z Hobbsem, że Rothschild i Warburg to z pewnością hebrajskie nazwiska, próbowałem mu jednak wyjaśnić, że chciwość jest cechą ludzką, nie rasową, po czym zacząłem recytować całą listę takich nazwisk jak Carnegie, Rockefeller, Frick, Mellon, Harriman, Huntington, Whitney, Duke, ad infinitum, ad nauseam. To oczywiście nie bardzo przekonało Hobbsa, który w takich wypadkach zawsze potrafi znaleźć sobie łatwiejszy i bardziej powszechny, zwłaszcza w tej części Wirginii, cel ataku: tym razem, jak się domyślasz

- Negrów. O tym nie rozmawiamy zbyt często, jako że aet. 59 lestem zbyt stary, by wdawać się w bójkę na pięści. Synu, mane, thekel, fares pojawia się na ścianie! feśli

czarny jest - jak się mówi

- „gorszy”, cokolwiek by to miało znaczyć, to jasne, że uczyniły go takim dyskryminacja i pozbawianie go wszelkich praw przez nas, rasę panów. Dlatego jedynym obliczem, jakie może ukazać światu, jest szubieniczna twarz istoty „niższej”. Ale czarny nie będzie zginać karku wiecznie. Żadna siła na ziemi nie zmusi ludzi, obojętne jakiego koloru, do wegetacji w plugastwie i nędzy, jakie widzę tu dookoła, w mieście i na wsi. Nie wiem, czy powtórne wyzwolenie czarnych nastąpi za mojego życia, nie jestem takim optymistą, ale ty doczekasz tego z pewnością. Oddałbym wszystko, co mam, aby być świadkiem nadejścia dnia - a nadejdzie on na pewno - kiedy Harry Byrd zobaczy czarnych obojga płci jadących swobodnie - nie z tyłu autobusu, ale jak równy z równym - po ulicach Wirginii. Chętnie zgodziłbym się na ten wstrętny epitet „kochaś Negrów”, jakim wielu, łącznie z Frankiem Hobbsem, już mnie pewno obdarza Za plecami, byleby tylko dożyć tej chwili.

I tak, okrężną drogą, dotarłem do sedna sprawy, która skłoniła mnie do napisania tego listu. Może pamiętasz, Stingo, że kiedy uwierzytelniano testament Twojej babci, zabiła nas wszystkich z tropu wzmianka o pewnej sumie pieniędzy w złotych monetach, którą zapisała swym wnukom, ale której nie udało się znaleźć. Otóż tajemnica została ostatnio rozwiązana. Jestem, jak Ci wiadomo, kronikarzem pewnego lokalnego epizodu związanego z Synami Konfederacji; pisząc obszerną rozprawę o Twoim pradziadku, przewertowałem dokładnie nader obfitą korespondencję rodzinną, wśród której znalazłem sporo jego listów do prababki. W jednym z nich, napisanym w 1886 roku z Norfolk (podróżował w interesach na krótko przed tym, jak zrujnował go nikczemny „Buck” Duke), ujawnia rzeczywistą lokalizację skrytki ze złotem, umieszczonym nie w depozycie bankowym (babce coś się najwidoczniej pomieszało), ale w zamurowanej niszy, w piwnicy domu w Północnej Karolinie. Wyślę Ci niebawem fotokopię tego listu, ponieważ wiem, że interesujesz się problemem niewolnictwa, więc gdybyś zamierzał kiedyś pisać o tym zjawisku, owa tragiczna epistoła mogłaby Ci dostarczyć fascynującego materiału. Pieniądze pochodzą - jak się okazało - ze sprzedaży szesnastoletniego chłopca murzyńskiego imieniem Ariste, starszego brata służących Twojej babki, Lucindy i Drusilli. Twój pradziadek kupił tę trójkę sierot na aukcji w Petersburgu w Wirginii pod koniec lat pięćdziesiątych zeszłego wieku. Wszyscy troje zostali Zapisani aktem notarialnym Twojej prababce. Dziewczynki pracowały w gospodarstwie i mieszkały tam razem z Ariste, który wynajmowany był głównie do robót w miasteczku.

I wtedy wydarzyło się coś paskudnego, o czym Twój pradziadek wspomina w liście do mojej matki bardzo oględnie. Otóż Ariste, doświadczający właśnie pierwszych pokus wieku dojrzewania, miał rzekomo uczynić jednej z młodych, białych ślicznotek z miasteczka

nieprzyzwoitą - jak to określa Twój pradziadek - propozycję. Wywołało to oczywiście falę wzburzenia wśród małomiasteczkowej społeczności. Narastała atmosfera zagrożenia i gwałtu, w związku z czym Twój pradziadek przedsięwziął kroki, które wówczas każdy uznałby za najwłaściwsze. Wywiózł chłopca potajemnie do New Bem, gdzie, jak wiedział, pewien handlarz sprzedawał młodych Murzynów do pracy w lasach terpentynowych w okolicach Brunswick, w stanie Georgia - i sprzedał go za osiemset dolarów. Te właśnie pieniądze trafiły w końcu do piwnicy starego domu.

Ale to jeszcze nie koniec sprawy, mój Synu. Najbardziej wstrząsająca rzecz w tym liście, to relacja Twego pradziadka o następstwach incydentu, o wynikłym z tego poczuciu żalu i winy, które - jak zauważyłem - tak często towarzyszą historiom o niewolnikach. Być może domyślasz się już dalszego ciągu. Okazało się, że Ariste nie czynił białej dziewczynie żadnych „propozycji”. Ślicznotka ta była histeryczką, która wkrótce oskarżyła o to samo innego murzyńskiego chłopca, po czym okazało się, że oskarżenie jest fałszywe. Wtedy załamała się i wyznała, że było fałszywe także w przypadku Ariste. Możesz sobie wyobrazić mękę Twojego pradziadka! I właśnie w liście do mojej matki pisze, jak ciężko został doświadczony poczuciem winy. Nie tylko popełnił jako właściciel niewolnika czyn absolutnie niewybaczalny, czyli rozłączył rodzinę, ale sprzedał niewinnego szesnastoletniego chłopca „na przemiał” do terpentynowych lasów Georgii. Pisze, jak rozsyłał rozpaczliwe listy przez pocztę i prywatnego kuriera do Brunswicku, oferując za chłopaka każdą cenę, ale w tamtych czasach komunikacja działała wolno i zawodziła, a w wielu wypadkach była niemożliwa, i Ariste nie znaleziono. Osiemset dolarów było dokładnie w miejscu, które pradziadek opisał z taką precyzją. Jako chłopiec często układałem drzewo na opał, jabłka czy ziemniaki o niespełna kilkanaście centymetrów od skrytki. Wartość monet, jak się pewnie domyślasz, wzrosła z biegiem lat niepomierne. Niektóre z nich okazały się prawdziwymi unikatami. Zawiozłem je do Richmond, do rzeczoznawcy - nazywa się to chyba numizmatyk - i ten zaproponował mi ponad pięć i pół tysiąca dolarów, na co przystałem, jako że jest to siedmiokrotność kwoty uzyskanej ze sprzedaży biednego Ariste. Sama kwota byłaby całkiem pokaźna, ale jak wiesz, testament babki stanowi, że należy ją podzielić w równych częściach pomiędzy wszystkie wnuki. Mogło Ci się bardziej poszczęścić. W odróżnieniu ode mnie, człowieka na tyle przezornego w tych czasach przeludnienia, by spłodzić tylko jednego syna, Twoje ciotki, a moje niewiarygodnie filoprogenitywne siostry, wydały na świat ogółem jedenaścioro potomstwa, z czego wszyscy są zdrowi, głodni - i wszyscy biedni. Tak więc Twój udział w pieniądzach za Ariste wyniesie niecałe pięćset dolarów, które przekażę Ci czekiem, mam nadzieję, że w tym tygodniu, po zakończeniu transakcji...

Twój oddany ojciec

Po latach pomyślałem sobie, że gdybym, zamiast zatrzymywać pieniądze, wpłacił pokaźną część kwoty uzyskanej ze sprzedaży Ariste na konto Krajowego Stowarzyszenia Edukacji Kulturalnej Kolorowych, mógłbym się pozbyć własnego kompleksu winy, dając przy tym dowód, że już w młodości przejmowałem się losem Murzyna na tyle, by złożyć podobną ofiarę. Ostatecznie jestem jednak zadowolony z tego, że zatrzymałem pieniądze. Po wielu latach bowiem, kiedy oskarżenia ze strony czarnych, iż jako pisarz - i kłamca - żeruję na tragedii niewolnictwa dla osiągnięcia osobistych korzyści, stawały się coraz bardziej idiotyczne i agresywne, poddałem się jakiejś masochistycznej rezygnacji. Myśląc zaś o Ariste, powiedziałem sobie: Do jasnej cholery, kto raz wykorzystał rasę, będzie ją wykorzystywał zawsze. Poza tym wtedy, w 1947 roku, potrzebowałem tych czterystu osiemdziesięciu pięciu dolarów tak gwałtownie jak każdy czarny czy czarnuch, jak to się wówczas mówiło.

Pozostałem w University Residence Club do chwili, kiedy nadszedł czek od ojca. Przy rozsądnym gospodarowaniu pieniędzmi mogłoby mi ich wystarczyć na życie do końca lata, które się właśnie zaczynało, a może nawet do końca jesieni. Ale co z mieszkaniem? University Residence Club nie wchodził w rachubę ze względów psychicznych i fizycznych. Miejsce to przyprawiło mnie o tak żalostną i absolutną impotencję, iż nie mogłem tam nawet pofolgować sobie okazjonalnymi praktykami autoerotycznymi; doszło do tego, że odwaląłem ukradkiem „kieszonkową robotę” podczas nocnych przechadzek po Washington Square. Poczucie izolacji i osamotnienia było nieznośne, graniczyło wręcz z patologią. Podejrzewałem, że kiedy opuszczę Manhattan, gdzie były przynajmniej znajome punkty orientacyjne i przyjazne skróty Village, dzięki którym mogłem czuć się u siebie, zagubię się jeszcze bardziej. Jednak nie stać mnie było ani na kupienie, ani na dalsze wynajmowanie mieszkania w tej dzielnicy - nawet cena pojedynczego pokoju przekraczała moje możliwości - zacząłem więc przeglądać ogłoszenia o lokalach w Brooklynie. W ten oto sposób pewnego pięknego czerwcowego dnia znalazłem się z moim marynarskim workiem i walizką na stacji metra przy Church Avenue, wciągnąłem do płuc kilka odurzających haustów woniejącego kiszonymi ogórkami powietrza Flatbush i ruszyłem wzdłuż szpaleru bladozielonych platanów w stronę pensjonatu pani Yetty Zimmerman.

Dom Yetty Zimmerman był chyba najwspanialszym w Brooklynie, a może w całym Nowym Jorku okazem monochromatycznej rozrzutności. Wielki, wzniesiony bez żadnego planu drewniany budynek, pokryty stiukami i odznaczający się trudną do opisanie różnorodnością architektonicznych elementów, powstał, jak przypuszczam, przed albo zaraz

po pierwszej wojnie i roztopiłby się zapewne w zhomogenizowanej monotonii innych nieprawdopodobnie paskudnych siedzib okalających Prospect Park, gdyby nie jego uderzająca, przytłaczająca wręcz różowość. Począwszy od mansardowych okien i kopulek na pierwszym piętrze, a skończywszy na obramowaniach okien sutereny, wszystko było jednolicie różowe. Kiedy ujrzałem dom po raz pierwszy, natychmiast skojarzył mi się z fasadą jakiegoś zamku zbudowanego przez MGM na planie filmowym *Czarodzieja z Oz*. Wnętrza były także różowe. Podłogi, ściany, sufity, a nawet większość mebli na korytarzach i w pokojach różniły się dzięki nierówno kładzonej farbie - tylko odcieniami, od subtelnego *rose wędzonego łososa* po bardziej agresywny koral balonowej gumy do żucia. Wszędzie jednak królował niepodzielnie bezkonkurencyjny róż, toteż po kilku minutach rozbawionego kontemplowania mego przyszłego pokoju pod dumnym okiem pani Zimmerman - a był to buduar, na którego widok trudno było powstrzymać wybuch śmiechu - poczułem się jak schwyty w pułapkę, jakbym trafił do sklepu Barriciniego ze słodyczami albo do dziecięcego działu u Gimbelsa.

- Wiem, myśli pan o tym różu - powiedziała pani Zimmerman.

- Każdy tak na początku. Ale z czasem to bierze i każdemu pasuje, znaczy się, jest śliczny, naprawdę śliczny. I potem nikt już nie chce innego. - Po czym nie pytana dodała, że jej mąż nieboszczyk, Sol, zrobił fantastyczny interes, kupując kilkaset galonów farby z demobilu floty wojennej, farby używanej do tego... no wie pan... - urwała przykładając z namysłem palec do porowatego, kaczego nosa.

- Kamuflażu? - zaryzykowałem.

- O to, to. Nie mieli chyba zbyt wiele pożytku z różowej farby na tych swoich łodziach. - Poinformowała mnie również, że Sol sam pomalował dom. Yetta była przysadzistą, energiczną kobietą około sześćdziesiątki, z lekko mongoloidalną, pogodną fizjonomią, co nadawało jej wygląd rozpromienionego Buddy.

Zdecydowałem się prawie natychmiast. Po pierwsze było tanio. Po drugie, pokój, który mi pokazała, różowy czy nie różowy, był przestronny, z dobrą wentylacją, słoneczny i czysty jak salon. Dodatkowym luksusem była kuchenka i maleńka łazienka, w której muszla i wanna jaśniały oślepiającą bielą na tle zielonkawych ścian. Już samo to, że miałem ją do osobistego użytku, stanowiło wystarczający atut, a tu jeszcze był bidet, który podniecająco elektryzował moją bujną wyobraźnię. Zachwycająco wypadła także ogólna lustracja posiadłości pani Zimmerman.

- Nazywam ten dom Krainą Wolności Yetty - wyjaśniała pani Zimmerman, trącając mnie porozumiewawczo łokciem. - Lubię, kiedy moi lokatorzy korzystają z uroków

życia. To zwykle młodzi ludzie, więc chcę, żeby cieszyli się życiem. To nie znaczy, /v nie ma tu regulaminu - uniosła w górę pulchny wskazujący palec i zaczęła wyliczać: - Zasada numer jeden - wyłączanie radia po jedenastej. Dwa - gaszenie światła, kiedy wychodzi się z pokoju; nie zamierzam płacić ekstra „Edisonowi”. Zasada trzecia - żadnego palenia w łóżku: przyłapany - won! Mój mąż nieboszczyk miał kuzyna, który spalił w ten sposób siebie plus cały dom. Zasada czwarta - komorne płatne co piątek. Koniec regulaminu! Wszystko inne dozwolone. Kraina Wolności Yetty. Ma się rozumieć, mieszkają tu dorośli ludzie. Jasne, że nie prowadzę tu burdelu, ale chcesz co jakiś czas sprowadzić dziewczynę do pokoju - sprowadź sobie. Jesteś dżentelmenem, człowiekiem spokojnym, wyprowadzasz ją o rozsądnej porze - nie masz awantur z Yettą o dziewczynę w pokoju. To samo dotyczy młodych dam w naszym domu, jeśli chcą się od czasu do czasu zabawić z chłopakiem. „Chłop i niewiasta z jednego ciasta”, a jedyna rzecz, jakiej nienawidzę, to hipokryzja.

Ta niezwykła tolerancyjność, pochodna - jak przypuszczam charakterystycznego dla ludzi starej daty doceniania *volupte*, przypieczętowała ostatecznie moją decyzję o wprowadzeniu się do domu Yetty Zimmerman, choć swoboda, jaką mi przyznano, stwarzała poważny problem. Skąd mam wziąć dziewczynę? zastanawiałem się. Nagle rozwścieczył mnie mój brak przedsiębiorczości. Przyzwolenie Yetty (prędka przeszliśmy na ty) oznaczało z pewnością, że problem rozwiąże się wkrótce sam. Łososiowe ściany zdawały się emanować rozpustą; aż wibrowałem cały wewnątrz w oczekiwaniu bliskich rozkoszy. Parę dni później sprowadziłem się tam, ożywiany przecuciem, że nadchodzące lato będzie latem nasycenia zmysłów, filozoficznego dojrzewania i poważnych osiągnięć w pracy twórczej, jakiej zamierzałem się poświęcić.

Pierwszego ranka - a była to sobota - wstałem późno, po czym udałem się do sklepu z materiałami piśmiennymi przy Flatbush Avenue, gdzie nabyłem dwa tuziny ołówków Venus Velvet numer dwa, dziesięć bloków z żółtego papieru w linię i tem - perówkę Boston, którą za przyzwoleniem Yetty przykręciłem do futryny drzwi od łazienki. Potem zasiadłem w różowym, wiklinowym krześle z prostym oparciem, przy dębowym, również pomalowanym na różowo biurku, którego solidna, toporna konstrukcja przypominała mi biurka nauczycielek ze szkoły podstawowej mojego dzieciństwa, i uzbrojony w ołówek „stanąłem twarzą w twarz” z pierwszą żółtą stronicą, której pustka działała na mnie jak zmora. Jakże obezwładniająca i obelżywa zarazem może być pusta kartka papieru! Całkowicie wyjałowiony stwierdziłem, że nic z tego nie wyjdzie, i chociaż przesiedziałem tak z pół godziny, podczas gdy mój umysł igrał z na wpół skryształizowanymi, galaretowatymi i mglistymi conceptami, nie uległem panice z powodu tego marazmu; ostatecznie perswadowałem sobie - dopiero zacząłem się

oswajać z tym dziwnym otoczeniem. Poprzednio, w lutym, w ciągu kilku pierwszych dni pobytu w University Residence Club i przed podjęciem pracy w McGrawHillu zapisałem kilkanaście kartek czymś, co miało stanowić prolog powieści; był to opis podróży pociągiem do małego miasteczka w Wirginii, który miał przydać książce kolorytu lokalnego, ze wszystkimi swoimi zapożyczeniami z początkowych partii *Gubernatora*, podobną tonacją, rytmem i nawet wykorzystaniem tego samego chwytu z drugą osobą liczby pojedynczej dla osiągnięcia wrażenia, że autor łapie czytelnika za klapy, fragment grzeszył - z czego zdawałem sobie sprawę - delikatnie mówiąc wtórnością, wiedziałem jednak, że sporo w nim także siły i świeżości. Byłem z niego dumny - stanowił dobry początek. Wyciągnąłem go z koperty przeczytałem po raz chyba dziewięćdziesiąty. Ciągle jeszcze mi się podobał - nie zmieniłbym ani linijki. - Z drogi, Warren, nadchodzi Stingo - powiedziałem do siebie. Potem schowałem rękopis do koperty.

Żółta stronica pozostawała pusta. Czuję lekki niepokój podniecenie seksualne; aby nie uchylać zasłony, za którą czaiły się zawsze gotowe do usług sprośne zjawy z teatryku mojej wyobraźni, nieszkodliwe, lecz przeszkadzające w pracy, wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju skąpanym w niesamowitym, zaróżowionym świetle letniego słońca. Słyszałem czyjeś głosy i stąpania w pokoju nade mną - ściany były widocznie bardzo cienkie - uniosłem więc głowę i wlepiłem wzrok w różowy sufit. Zaczynałem nienawidzić tego wszechobecnego różu i ogarnęły mnie poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek będzie mi „pasował”, jak to określiła Yetta. Ze względu na ciężar i rozmiary zatrzymałem tylko te książki, które uznałem za niezbędne: było tego niewiele - między innymi *American College Dictionary*, *Tezaurus* Rogeta, zbiorki Johna Donne’a, Oatesa i O’Neila, komplet *Dramatów greckich*, bardzo ważny przy mojej hipochondrii *Poradnik diagnostyki i terapii* Mercka, *Oksfordzka księga poezji angielskiej* i Biblia. Wiedziałem, że z czasem skompletuję stopniowo swoją bibliotekę. Tymczasem, aby przywołać własną muzę, próbowałem czytać Mar - lowe’a, jednak nie wiedzieć dlaczego wdzięczna melodyka jego poezji nie pobudziła mnie tak jak zazwyczaj.

Odłożyłem książkę i poczłapałem do maleńkiej łazienki, gdzie zacząłem przeglądać zawartość mojej apteczki domowej. (Po latach zafascynuje mnie fakt, że bohater J.D. Salinger „zdublował” tę moją ceremonię; zaklepuję sobie pierwszeństwo). Był to rytuał mocno zakorzeniony w podglebiu mojej niewytłumaczalnej neurozy i tęsknoty do materii, jakiej ulegałem często, kiedy wyobraźnia i inwencja spadały do zera i zarówno pisanie, jak lektura stawały się ciężarem dla ducha. Tkwi w nas jakaś trudna do wyjaśnienia potrzeba odnawiania fizycznego kontaktu ze zwykłymi przedmiotami. Dotykałem ich po kolei

czubkami palców; stały tam, gdzie je ustawiłem poprzedniego wieczoru, na półkach wbudowanej szafki, która jak wszystko wokół padła ofiarą obłąkanego, cielistego pędzla Sola Zimmermana. Był tam słoiczek kremu do golenia Barbasol, butelka AlkaSeltzer, aparat do golenia marki Schick, dwie tubki pasty Pepsodent, szczoteczka do zębów dra Westa, o średniej twardości włosia, flakonik płynu po goleniu Royall Lyme, grzebień marki Kent, paczka ostrzy do Schicka, zapieczętowane, owinięte w celofan pudełko z tuzinem zwiniętych i naoliwionych prezerwatyw Trojan ze „zbiorniczkiem”, flakon przeciwlupieżowego szamponu Brecka, pojemnik - niczek z nylonowymi żyłkami do usuwania resztek jedzenia pomiędzy zębów, słoiczek multiwitaminy Sajibba i buteleczka płynu Astringosol do płukania ust. Dotykałem ich leciutko, sprawdzałem nalepki, a nawet zdjąłem zakrętkę z płynu po goleniu Royall Lyme i zacząłem wdychać owocowy, cytrusowy aromat, czerpiąc z tego apteczkowego doświadczenia, które zajęło mi około półtorej minuty, sporą satysfakcję. Potem zamknąłem szafkę i wróciłem do swego biurka.

Usiadłszy podniosłem wzrok, wyjrzałem przez okno i nagle uświadomiłem sobie obecność jednego jeszcze elementu, który działając na moją podświadomość przyciągnął mnie do tego miejsca. Był to kojący i miły widok parku, jego części zwanej Parade Grounds. Stare platany i klony ocieniały chodniki na obrzeżach parku, a cętki słonecznego światła migotały na łagodnie opadającym, porośłym trawą stoku, nadając tej scenerii pogodny, niemal sielankowy charakter. Stanowiło to uderzający kontrast wobec bardziej odległych rejonów otoczenia. O kilka zaledwie przecznic dalej nieprzerwany strumień samochodów płynął przez Flatbush Avenue, wybitnie wielkowiejską, wypełnioną kakofonią, zatłoczoną, rojącą się od hałaśliwego, podekscytowanego tłumu. Tutaj natomiast zieleń drzew, światło przymglone od unoszącego się w powietrzu pyłku kwiatów, pojedyncze ciężarówki i samochody osobowe, nieliczni, spacerujący w pobliżu parku przechodnie - wszystko to przypominało podmiejskie okolice jakiegoś niewielkiego miasta Południa, jak powiedzmy Richmond, Chat - tanooga czy Columbia. Poczulem ostre ukłucie nostalgii i nagle zadałem sobie pytanie, co na miłość boską robię tutaj, na tych niesamowicie odległych krańcach Brooklynu, ja - bezprodukt - lywny i zatwardziały kalwin wśród tych wszystkich Żydów? W związku z czym wyciągnąłem z kieszeni skrawek papieru. Miałem na nim wypisane nazwiska sześciu pozostałych lokatorów. Każde z nich było naklejone przez pedantyczną Yettę na mały kartonik i przymocowane do odpowiednich drzwi. Kierując się wyłącznie motywem tak niewinnym jak moja nienasycona ciekawość, przeszedłem się poprzedniego wieczoru na paluszkach po korytarzach i spisałem wszystkie nazwiska. Pięciu lokatorów mieszkało na pierwszym piętrze, jeden zajmował pokój naprzeciwko mojego. Natan Landau, Lillian

Grossman, Morris I'ink, Sophie Zawistowska, Astrid Weinstein, Moişe Muskatblit; po wszystkich Cunninghama i Bradshawach, wśród których dorastałem, urzekła mnie już sama cudowna różnorodność tych nazwisk. Uroiłem sobie, że nazwisko Muskatblit ma jakby bizantyński posmak i aromat. Ciekaw też byłem, kiedy poznam Landaua i Finka. Ogromne zainteresowanie wzbudziły we mnie trzy imiona żeńskie, szczególnie Astrid Weinstein, która była tak ekscytująco blisko, po drugiej stronie korytarza. Rozmyślałem nad tym wszystkim, kiedy nagle dotarły do mnie - wprost z pokoju nad moją głową - odgłosy tak z miejsca rozpoznawalne, tak dla mych udręczonych uszu oczywiste w swoim charakterze, że, rezygnując ze stosowanych zwykle w takich przypadkach zawołanych aluzji, pozwoliłem sobie stwierdzić, iż był to rumor, wycie, odgłosy szalu dwojga ludzi pieprzających się jak oszalałe dzikie bestie.

Spojrzałem z przestraczem na sufit. Lampa podskakiwała huśtała się jak pajac na sznurku. Różowawy tynk prószył z góry; czekałem tylko, kiedy cztery nogi łóżka przebiją strop. To było coś przerażającego - nie zwykły rytuał kopulacji, lecz jakiś turniej, dzika awantura, wolna amerykanka, rozgrywki pucharowe, totalne bachanalie. Odgłosy artykułowane przypominały angielszczyznę, kulawą i z egzotycznym akcentem, ale nie musiałem rozumieć słów. Ważniejszy był ogólny efekt. Dwa głosy - męski i kobiecy - tworzyły żywiołową sekcję, jakąś wywrzaskiwaną antyfonę, jakiej nigdy dotąd nie zdarzyło mi się słyszeć. Nigdy też nie słyszałem podobnych przynagleń do zdwojenia wysiłków - zwolnij, pchnij, mocniej, szybciej, głębiej takich okrzyków triumfu przy pierwszych finiszach czy jęków rozpacz przy stracie dystansu, tak przenikliwych rad co do podań i strzałów. Nie mógłbym słyszeć lepiej nawet w specjalnych słuchawkach. Wszystko było niezwykle wyraźne i trwało nieludzko długo. Zdawało się, że będzie trwać wiecznie, siedziałem więc ■ wzdychając, gdy nagle hałasy ucichły i zawodnicy udali się dosłownie - pod prysznic. Przez liche sufit przenikały pluski wody i chichoty, potem dały się słyszeć stłumione odgłosy kroków, znowu chichoty, głośnie plaśnięcie - pewnie żartobliwy klaps w goły tyłek - a w końcu absurdalne w tych okolicznościach, zachwycające i rozkoszne jak bicie serca tony adagia z *IV Symfonii* Beethovena odtwarzanej z płyty. Ocknąwszy się poszedłem do apteczki i wyjąłem butelkę AlkaSeltzer. Kiedy wróciłem do swego biurka, stwierdziłem, że teraz w tym samym pokoju na górze toczy się już od pewnego czasu zażarta kłótnia. Owa zmiana nastroju na mroczny i burzliwy nastąpiła błyskawicznie. Zniekształcenia akustyczne nie pozwalały mi zrozumieć słów. Podobnie jak podczas maratonu folgowania chuciom, który dopiero co się skończył, odbierałem samą akcję z całą barokową mnogością szczegółów, ale słowa pozostawały przytłumione i niewyraźne. Słyszałem jedynie wściekle szuranie nóg, hałas

przesuwanych gwałtownie krzesel, trzaskanie drzwiami, podniesione głosy i wyrzucane gniewnie słowa, jedynie częściowo zrozumiałe. Dominował głos męski - ochrypli, rozjuszony baryton, zagłuszający kryształowo czyste tony Beethovena. Głos kobiecy - przeciwnie - zdawał się brzmieć płaczliwie, defensywnie, czasami ostrzej, jak gdyby ze strachu, ale ogólnie czuło się w nim uległość i lekko błagalną nutę. Nagle jakiś szklany czy porcelanowy przedmiot - popielniczka, kubek? - rozbił się z trzaskiem o ścianę, po czym usłyszałem ciężkie stąpanie mężczyzny i odgłos otwieranych gwałtownie drzwi, które następnie zatrzasnęły się z ogłuszającym hukiem, a mężczyzna ruszył ku innym drzwiom na piętrze. W końcu po tych dwudziestu minutach obłądnego zamieszania w pokoju zapadło coś w rodzaju prowizorycznej ciszy, z której głębin docierało do mych uszu tylko delikatne, nabrzmiałe rozpaczą adagio z trzeszczącej płyty i urywany szloch kobiety, leżącej nade mną na łóżku.

Miałem zawsze osobliwie lekceważący stosunek do jedzenia nigdy nie zasiadałem do śniadań. Jako nałogowy śpioch preferowałem przyjemności małej „przekąski”. Kiedy hałas na ^órze ucichł, stwierdziłem, że minęło już południe, i jednocześnie uświadomiłem sobie, że zarówno kopulacja, jak awantura wywołały u mnie, jakby w zastępstwie, pilną potrzebę zaspokojenia niewiarygodnego głodu, tak jakbym rzeczywiście uczestniczył w tym, co odbyło się na górze. Byłem tak głodny, że dostałem ślinotoku i poczułem lekki zawrót głowy. Nie zdążyłem jeszcze ■zaopatrzyć swej spiżarni i miniaturowej lodówki i nie miałem mc oprócz neski i piwa, postanowiłem więc wyjść na obiad.

Z wcześniejszych przechadzek po okolicy zapamiętałem koszerną restaurację Herzla na Church Avenue. Wybrałem ją dlatego, że nigdy jeszcze nie próbowałem autentycznej, *echt* żydowskiej kuchni, a poza tym powiedziałem sobie: No cóż, kiedy już mieszka się we Flatbush... Niepotrzebnie zresztą kombinowałem, bo oczywiście był szabas, restauracja była zamknięta i wylądowałem w innej, pewnie nieortodoksyjnej, przy tej samej ulicy. „U Sammy’ego”, bo tak nazywał się lokal, zamówiłem rosół z pulpetami z macowej mąki, *gefилte fisz* i siekaną wątróbkę - wszystko znane mi z rozległych lektur na temat Żydów. Obsługiwał mnie kelner tak potwornie bezczelny, iż miałem wrażenie, że odgrywa jakąś komedię (nie wiedziałem jeszcze wówczas, że chamstwo żydowskich kelnerów było czymś w rodzaju ich znaku firmowego). Jednak me przeszkadzało mi to specjalnie. Restauracja była pełna ludzi, przeważnie starych - wiosłowali łyżkami w barszczu i przeżuwali ruskie pierogi, a wielki zgiełk jidysz - ów namaszczony jazgot napełniał ciężkie, gęste od zapachów powietrze tłustym gulgotem, wydobywającym się z wielu naraz starczych, indycznych gardeł.

Czułem się dziwnie szczęśliwy, jakbym był wśród swoich. Ciesz się, delektuj się,

Stingo - powiedziałem do siebie. Jak wielu wyrosłych w pewnej tradycji, wykształconych i wrażliwych ludzi z Południa, od początku czułem sympatię do Żydów. Moją pierwszą miłością była Żydówka, Miriam Bookbinder, córka miejscowego dostawcy okrętowego, która już w wieku lat sześciu nosiła w swych zasnutych melancholią oczach o cudownie długich rzęsach całą niepokojącą, niezbadaną tajemnicę swej rasy. Utożsamiałem się z żydostwem, co - jak mi tłumaczą - jest głównie udziałem tych Południowców, którzy przez lata całe zderzali się z twardą jak skała materią niesłychanych, pełnych udręki poszukiwań Abrahama i Mojżesza, obcowali z wzburzonymi hosannami psalmisty, otchłannymi wizjami Daniela, wszelkimi apokalipsami, słodkogorzkiemi łakociami, niezwykłymi przypowieściami i fascynującymi potwornościami protestanckiej - - żydowskiej Biblii. Poza tym jest już teraz banałem stwierdzenie, że Żyd zyskał prawo obywatelstwa wśród dzisiejszej społeczności białego Południa, która znalazła sobie nowego, czarniejszego ofiarnego baranka. W każdym razie jedząc ów obiad u Sam - my'ego promieniałem dosłownie w swym nowym otoczeniu, uprzytomniłem sobie bowiem bez zdziwienia, że właśnie podświadome pragnienie bycia wśród Żydów stało się, przynajmniej częściowo, przyczyną mojej migracji do Brooklynu. Nie mógłbym wnikać głębiej w samo serce żydostwa, nawet gdybym zamieszkał w TelAwiwie. Wychodząc z restauracji wmawiałem sobie zatem, że nawet smakował mi *Maniszewic*, który wprawdzie jako dodatek do faszerowanej ryby był parszywy, ale przypominał mi swoim syropowatym smakiem słodkie jak ulepek wino znane z dzieciństwa w Wirginii. Gdy kroczyłem z powrotem do domu Yetty, znów poczułem lekkie wzburzenie na myśl o tym, co rozegrało się w mieszkaniu na górze. Mój niepokój wynikał z czysto egoistycznych pobudek: wiedziałem, że jeśli będzie się to zdarzać częściej, nie zaznam snu ani spokoju. Inną sprawą, która mnie niepokoiła, była niezwykłość tego zdarzenia, to że pełne radości, sportowe harce miłosne, bez wątpienia nadzwyczajne i rozkoszne, ześliznęły się tak nagle nieoczekiwanie w otchłań wściekłości, płaczu i urazy. Irytowało mnie, że nie wiedziałem, kto i z kim to robił. Byłem zły, że sprowokowano mnie do uruchomienia tej nieprzyzwoitej ciekawości, a poznanie współlokatorów, zamiast ograniczyć się do zwykłego: „Hej!” i uścisku dłoni, zamieniło się w pornograficzne podsłuchiwanie dwojga obcych ludzi, których twarzy nigdy nie widziałem. Pomimo wcześniej opisanego, pełnego erotycznych fantazji życia, jakie wiodłem od czasu zamieszkania w metropolii, nie jestem z natury wścibski, ale sama bliskość pary kochanków - w końcu omal nie spadli mi na głowę zmuszała mnie do podjęcia próby ich zidentyfikowania, i to najprędzej jak się da. Mój problem rozwiązał się prawie natychmiast, kiedy natknąłem się na pierwszego z lokatorów Yetty, który stał w holu, przeglądając pocztę pozostawioną przez listonosza na stole obok drzwi wejściowych. Był to nieforemny, otły

młody człowiek po trzydziestce, o spadzistych ramionach i nieco jajowatej sylwetce, z kręconymi, ceglasterudymi włosami. Jego sposób bycia cechowała owa charakterystyczna dla rodowitego nowojorczyka ponura obceso - wość. W pierwszych dniach po przyjeździe do miasta podobne zachowanie wydawało mi się tak bezsensownie, absurdalnie wrogie, że kilkakrotnie omal nie doszło do szarpaniny; dopiero później uświadomiłem sobie, że to tylko rodzaj skorupy, w której chowają się jak pancerniki mieszkańcy wielkich miast. Przedstawiłem się grzecznie:

- Nazywam się Stingo. - Współmieszkaniec dalej wertował listy kciukiem i całkowicie mnie ignorując, wydał z siebie serię chrapliwych sapanięć. Poczulem, jak fala gorąca uderza mi do głowy. Zatkano mnie. Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę swego pokoju.

- To do ciebie? - usłyszałem nagle, więc odwróciłem się. Trzymał jakąś kopertę; poznałem po charakterze pisma, że to list od mojego ojca.

- Dzięki - burknąłem ze złością i wyrwałem mu list.

- Dasz znaczek? - zapytał. - Zbieram okolicznościowe - próbował przywołać na twarz coś w rodzaju uśmiechu, niezbyt wylewnego, ale rozpoznawalnego jako ludzki. Mruknąłem potakująco i spojrzałem na niego nieco życzliwiej.

- Fink jestem - powiedział - Morris Fink. Zajmuję się trochę domem, kiedy nie ma Yetty, jak teraz. Pojechała do córki, do Canarsie. - Wskazał podbródkiem na moje drzwi: - Widzę, że mieszkasz w leju?

- W leju?

- Też tam mieszkałem, do zeszłego tygodnia. Ja się wyniosłem, ty się wprowadziłeś. Mówię na to lej, bo ci z góry odstawiają takie walenie, że mieszka się pod nimi jak w leju po bombie. - Od razu nawiązała się między nami nić porozumienia; odprężyłem się, kipiąc z ciekawości.

- Jak z tym wytrzymałeś, na litość boską? I powiedz, co to za jedni, u diabła?

- Nie jest tak źle, jeśli im się powie, żeby przesunęli łóżko. Przysuną je do ścian i prawie nie słychać walenia. Łóżko jest wtedy nad łazienką. Poprosiłem ich o to, a raczej jego, mimo że to jej pokój. Uparłem się. Powiedziałem, że Yetta wyrzuci ich

oboje, jeśli nie przesunie, więc się w końcu zgodził. Teraz pewnie przysunął je z powrotem do okna. Mówił coś, że tam chłodniej... urwał, żeby wziąć papierosa z podsunętej przeze mnie paczki.

- Musisz go poprosić, żeby przysunął łóżko z powrotem pod ścianę.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziałem. - Nie mogę tak po prostu iść do jakiegoś

obcego faceta i powiedzieć... no wiesz co. To okropnie krępujące. Nie mógłbym po prostu. A tak przy okazji: którzy to?

- Ja mu powiem, jeśli chcesz - oświadczył Morris z pewnością siebie, która mi zaimponowała. - Zmuszę go. Yetta nie ścierpi, żeby tu ktoś denerwował innych. Ten Landau to naprawdę dziwny gość i mogę z nim mieć kłopoty, ale przesunie to łóżko, nie martw się. Chyba nie chce stąd wylecieć na zbity pysk.

A więc to Natan Landau, pierwszy na mojej liście, był bossem w tym układzie. Kim była jego partnerka w całej tej Sodomie

i Gomorze?

- A dziewczyna? - dopytywałem się. - Panna Grossman?

- Nie, Grossman to Świnia. To ta polska dziwa, Zofia. Zofia Z., jak ją nazywam. Nazwisko me do wymówienia. Ale niezła z niej dupa, z tej Zofii.

Po raz kolejny uprzytomniłem sobie, że w domu panuje cisza. Owa cisza, charakterystyczna dla domu oddalonego od ulic śródmieścia, dla odległej, odizolowanej, niemal sielskiej okolicy, robiła niesamowite wrażenie; miałem go jeszcze nieraz doświadczać tego lata. Słysząc było nawoływania dzieci od strony parku po drugiej stronie ulicy, niespiesznie, z łagodnym pomrukiem przejechał jakiś samochód. Nie mogłem wprost uwierzyć, że mieszkam w Brooklynie.

- Gdzie oni wszyscy są? - spytałem.

- Coś ci powiem - rzekł Morris. - Nikt tutaj, może z wyjątkiem Natana, nie ma tyle forsy, żeby cokolwiek zrobić. Na przykład jechać do Nowego Jorku na tańce do Rainbow Room albo po prostu gdzieś poszaleć. Ale w sobotę po południu wszyscy się zmywają. Wszyscy gdzieś jadą. Na przykład ta Świnia Grossman - chłopie, to jest pieprzona/enta/ - więc ta Grossman

jedzie do Islip odwiedzić matkę. Tak samo Astrid. To znaczy Astrid Weinstein - mieszka naprzeciwko ciebie. Pracuje jako pielęgniarka w Kings County Hospital, tak jak Grossman, tylko że nie jest świnią. Przyjemna mała, ale żadne чудо. Taka sobie. Właściwie brzydka jak pies. Ale nie Świnia.

Serce we mnie zamarało.

- Ona też jeździ do matki? - zapytałem, siląc się na obojętność.

- Jeździ, tyle że ma matkę w Nowym Jorku. Widzę, że nie jesteś chyba Żydem, więc powiem ci coś o Żydach. Oni muszą ciągle odwiedzać swoje matki. Tacy już są.

- Rozumiem - powiedziałem. - A pozostali? Gdzie cała reszta?

i Muskatblit - zwrócisz na niego uwagę, bo jest wielki, tłusty uczy się na rabina

- no więc Muskatblit pojechał do matki i ojca, gdzieś do Jersey. Tylko że on nie może podróżować w szabas, więc wyjeżdża w piątek wieczorem. Straszny kinoman: całą niedzielę spędza w Nowym Jorku i ogląda po cztery, pięć filmów. Potem wraca późną nocą, na wpół ślepy od tego łożenia po kinach.

- A ci... Zofia i Natan? Dokąd oni chodzą? I co właściwie robią oprócz... - już miałem użyć frywolnego słówka, ale ugryzłem się w język. Tak czy inaczej zmarnowałem jedno pytanie, jako że gadatliwy, wylewny i sypiący bez skrępowania informacjami Morris wyprzedził je i błyskawicznie zaspokoił moją ciekawość:

- Natan to wykształcony facet, jest biologiem. Pracuje w laboratorium niedaleko Borrough Hall, robią tam leki, prochy i takie tam. Zofia Z. - nie wiem właściwie, co robi. Podobno jest jakąś recepcjonistką u polskiego lekarza, który ma mnóstwo pacjentów Polaków. Naturalnie mówi świetnie po polsku. W każdym razie oboje mają bzika na punkcie plaży. Kiedy jest ładna pogoda, jak dziś, jadą na Coney Island, czasami na Jones Beach. Potem wracają urwał i przewrócił znacząco oczami. - Wracają, parzą się i biją na zmianę. Chłopie, jak oni się tłuką! Potem idą na kolację. Lubią dobrze zjeść. Ten Natan ma niezłą forszę, ale to kawał dziwaka. Dziwak. Prawdziwy dziwak. Przydałby mu się psychiatra.

Zadzwoił telefon, ale Morris nie odbierał. Był to aparat wrzutowy, zawieszony na ścianie, i dzwonił - jak mi się wydawało wyjątkowo głośno. Uprzytomniłem sobie, że musieli go specjalnie przerobić, tak żeby go było słychać w całym domu.

- Nie odbieram, kiedy nikogo nie ma - powiedział Morris.

- Nie mogę ścierpieć tych cholernych, pierdolonych telefonów, tych wszystkich wiadomości do przekazania. „Czy jest Lillian? Tu jej matka. Proszę jej powiedzieć, że zapomniała wziąć ten cenny prezent od wujka Bennie’ego. Ratatata, ratatata”. Świnia. Albo: „Mówi ojciec Moishe Muskatblita. Nie ma go? Proszę mu powiedzieć, że jego kuzyn wpadł pod ciężarówkę w Hackensack. Ratatata, ratatata”. I tak przez cały dzień. Nie cierpię tego telefonu.

Wyraziłem nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, po czym, wymieniwszy na odchodnym kilka żartobliwych uwag, powróciłem do infantylnych różowości mojego mieszkania - i do niepokojów, jakie we mnie budziły. Usiadłem przy biurku. Leżąca przede mną pierwsza stronica bloku ziała wciąż swoją deprymującą pustką, niczym jakieś żółte mgnienie wieczności. Jakże na litość boską zdołam kiedykolwiek napisać powieść? dumałem gryząc ołówek Venus Velvet. Otworzyłem list od ojca. Szczęśliwy, że mam swojego Lorda Chesterfielda Południa za doradcę, wyglądałem zawsze niecierpliwie tych listów, które tak mnie zachwycały swymi staroświeckimi dywagacjami na temat dumy, skąpstwa, ambicji,

fanatyzmu, matactw polityków, nadużyć seksualnych i innych śmiertelnych grzechów i zagrożeń. Jakkolwiek ojcu zdarzało się czasem popadać w sentencjonalność, ton jego listów nie był nigdy pompatyczny ani kaznodziejski, toteż rozkoszowałem się zarówno bogactwem myśli i uczuć, jak prostotą wywodów. Zwykle po przeczytaniu kolejnego listu bliski byłem leż albo na odwrót - pokładałem się ze śmiechu, a już zawsze sięgałem natychmiast po Biblię, by powtórnie odczytać wersety, z których ojciec czerpał zarówno konstrukcję fraz, jak i wiele swej mądrości. Dziś jednak uwagę moją przykuł wycinek z gazety, który wyfrunął spomiędzy złożonych kartek. Sam nagłówek wycinka, pochodzącego z lokalnej, wirgińskiej gazety, tak mnie oszołomił i przeraził, że aż straciłem dech, a przed oczami zawirowały mi płatki. Notatka informowała osamobójczej śmierci pięknej, dwudziestodwuletniej dziewczyny, w której przez kilka lat kochałem się beznadziejnie w niestabilnym okresie wczesnego dojrzewania. Nazywała się Maria (na Południu wymawialiśmy to *Meraja*) Hunt i mając lat piętnaście, darzyłem ją uczuciem tak płomiennym, że dziś, z perspektywy lat, zakrawa mi to na lżejszy przypadek obłędu. Mówi się o chorych z miłości szaleńcach: trzeba było widzieć mnie, nieszczęśnika, w tamtych czasach! Maria Hunt! O ile w latach czterdziestych, na długo przed jutrzenką obyczajowej swobody, ciągle przeważała staroświecka rycerskość wobec dam, a wszystkie te plastikowe piękności z chłopięcych snów, w typie June Allyson, były półboginiami, z którymi mogłeś co najwyżej - by użyć ohydneho żargonu socjologów - „uprawiać petting aż do osiągnięcia orgazmu”, o tyle ja posunąłem się w swoim samowyrzeczeniu do tak obłędnych granic, że nie próbowałem nawet „umoczyć palca”, jak to się wówczas mówiło. Ba, nie odcisnąłem nawet całusa na jej okrutnie apetycznych wargach. Chociaż z drugiej strony trudno określić nasz wzajemny stosunek jako platoniczny, gdyż w moim rozumieniu słowo to zawiera pierwiastek mózgowy, a Maria nie była zbyt bystra. Tu trzeba dodać, że w tamtych czasach, kiedy mieliśmy czterdzieści osiem stanów, Wirginia Harry’ego Byrda zajmowała pod względem ogólnego poziomu wykształcenia miejsce czterdzieste dziewiąte - po Arkansas, Missisipi, a nawet Puerto Rico - lepiej więc nie mówić, jaki stopień wyrafinowania intelektualnego cechował konwersacje dwojga piętnastolatków. Nigdy chyba zwykłej rozmowy nie znaczyły takie „czarne dziury”, takie przedłużające się i bynajmniej niekłopotliwe chwile zadumanej niemoty. Tak czy owak darzyłem ją uczuciem namiętym, lecz czystym - wielbiłem ją dla tej jedynie prostej przyczyny, że jej uroda zdolna była łamać serca. I oto teraz dowiaduję się, że nie żyje. Maria Hunt nie żyje! Wojna i mój w mej udział sprawiły, że Maria stopniowo zniknęła z mego życia, choć wielokrotnie powracała w tęsknych wspomnieniach. Zabiła się, skacząc z okna; ku mojemu zdumieniu okazało się, że miało to miejsce kilka tygodni wcześniej, na Manhattanie. Później dowiedziałem się, że

mieszkała na Szóstej

Avenue, o jedną przecnicę ode mnie. To, że mieszkając obok siebie, nigdy się nie spotkaliśmy na tak niewielkim obszarze jak Greenwich Village, było typowe dla nieludzkiego ogromu miasta. Ze skurczem bólu, dotkliwego jak wyrzut sumienia, rozważałem, czy nie mógłbym zapobiec tak fatalnemu obrotowi sprawy, gdybym był świadom obecności Marii w Nowym Jorku i znał jej miejsce zamieszkania. Czytając artykuł wciąż i wciąż od nowa, doprowadziłem się do stanu silnego wzburzenia i przyłapałem się na tym, że wydaję z siebie głośne jęki, oplakując tę bezsensowną historię rozpacz i śmierci młodej dziewczyny. Dlaczego to zrobiła? Jednym z najbardziej przejmujących aspektów relacji było to, że z jakichś złożonych, niejasnych powodów nie zidentyfikowano jej ciała, pochowano ją więc w zbiorowym grobie dla ubogich i dopiero po paru tygodniach ekshumowano odesłano do Wirginii, by tam ostatecznie pogrzebać. Dostałem mdłości; byłem tak załamany tą historią, że zarzuciłem na resztę dnia myśl o jakiegokolwiek pracy i bezmyślnie szukałem pociechy w piwie zgromadzonym w lodówce. Potem przeczytałem fragment listu od ojca:

Jeśli chodzi o załączoną wiadomość, pomyślałem sobie, że bardzo Ci ona zainteresuje, bo o ile pamiętam, byłeś mocno zadurzony w młodej Marii Hunt sześć czy siedem lat temu. Wspominałem często z rozbawieniem, jak czerwieniłeś się niczym pomidor na sam dźwięk jej imienia; teraz myślę o tym z największym bólem. Przy takiej okazji zadajemy sobie zwykle pytania o niezbadane wyroki naszego Pana, lecz darmo szukać odpowiedzi. Jak Ci z pewnością wiadomo, Maria Hunt pochodziła z fatalnego środowiska - Martin Hunt to kryptoalkoholik bez stałego zajęcia, Beatrice zaś, obawiam się, była zawsze dość okrutna i bezwzględna, jeśli chodzi o wymagania moralne wobec innych i szczególnie - jak mi mówiono - twarda wobec Marii. Jedno wydaje się być pewne: ten smutny dom przepełniała atmosfera nienawiści i poczucie niewybaczonej winy. Wiem, że poruszy Cię ta wiadomość. Maria była, jak pamiętam, olśniewającą piękną, co tylko pogarsza sprawę. Niech pociechą będzie Ci fakt, że istota takiej urody była z nami przez pewien czas...

Rozmyślałem o Marii przez całe popołudnie, aż do chwili, gdy cienie drzew na skraju parku zaczęły się wydłużać i dzieciarnia rozpierzchnęła się do domów, a ścieżki przecinające Parady Grounds opustoszały, pogrążając się w ciszy. W końcu zakręciło mi się w głowie od piwa; w ustach czułem gorycz i suchość od nadmiaru wypalonych papierosów. Rzuciłem się na łóżko i wkrótce zapadłem w ciężki sen, bardziej niż zwykle wypełniony majakami. Szczególnie jeden sen osaczył mnie i niemal wykończył: po kilku bezsensownych numerach rewiowych, upiornym, ale krótkim horrorze mistrzowsko skonstruowanej jednoaktówce, dopadły mnie zniecka najdziksze erotyczne fantazje, jakich kiedykolwiek doznałem. Oto

wśród zalanych słońcem, sielankowych błoni Tidewater, w zacisznym zakątku okolonym szumiącymi listowiem dębami, stała przede mną moja nieżyjąca Maria i z bezwstydem dziewczki ulicznej rozbierała się do naga - ona, która nigdy w mojej obecności nie zdjęła nawet skarpetek. Obnażona, dojrzała jak brzoskwinia, z kasztanowymi pasmami włosów spływającymi na mlecznobiałe piersi, nieopisanie wprost kusząca, zbliżyła się do miejsca, w którym leżałem sztywny niczym bagnet i poczęła mnie prowokować w słowach rozkosznie lubieżnych i sprośnych. - Stingo - wymruczała. - Och, Stingo, zerznij mnie. - Lekka mgielka zrosiła jej ciało jak afrodyzjak, drobne kropelki potu zdobiły ciemne włosy wzgórka. Potem ta rozpustna nimfa z wilgotnymi, rozchylonymi ustami, wijąc się jak wąż i nucąc swe cudownie obsceniczne zaklęcia, pochyliła się nad moim nagim podbrzuszem, gotowa objąć wargami, których ja sam nigdy nie całowałem, twarde jak kamień berło mojej namiętności. I wtedy film zaciął się w projektorze. Obudziłem się z uczuciem okrutnej męki; wlepiłem wzrok w różowy sufit poplamiony cieniami nadchodzącej nocy, po czym nagle wydałem z siebie jakiś pierwotny jęk - a raczej skowyt - wydarty z najgłębszych lochów mojej duszy.

Wtedy poczułem, jak kolejny gwóźdź wbija się w moje ukrzyżowane ciało, potęgując męczarnie: tam, na górze znów to robili na swoim cholernym materacu.

i Przestańcie! - ryknąłem i zatkałem uszy. Zofia i Natan! pomyślałem. - Pierdolone żydowskie króliki! Choć przyhamowali na krótko, kiedy znów nadstawiłem ucha, akcja trwała jednak tym razem nie było żadnych rozpasanych igrzysk, żadnych wrzasków ani arii, tylko nobliwe, rytmiczne, lakoniczne miarowe, niemal starczo dostojne skrzywienie sprężyn materaca. To, że zwolnili tempo, wcale mi nie pomogło. Wybiegłem wypadłem wręcz jak pocisk - z domu w półmrok zmierzchu roztrzęsiony krążyłem przez jakiś czas wokół parku. Potem, zwolniwszy kroku, zacząłem się zastanawiać. Spacerując pod drzewami, medytowałem, czy nie popełniłem pomyłki z tą przeprowadzką do Brooklynu. W końcu tak naprawdę ten świat był mi obcy; było w nim coś subtelnie i niewytłumaczalnie niepokojącego - dziś powiedziałbym, używając modnego określenia, że dom Yetty emitował jakieś złe wibracje. Ciągle jeszcze poruszony byłem głęboko swoim okrutnym, lubieżnym snem. Sny są z samej swej natury trudno dostępne pamięci, ale nieliczne odciskają się w mózgu na zawsze. W moim przypadku najbardziej pamiętnymi, natrętnie realnymi, odznaczającymi się metafizyczną wręcz intensywnością były sny związane z seksem albo ze śmiercią - jak ten o Marii Hunt. Żaden inny nie wywołał we mnie tak silnego oddźwięku, od czasu gdy prawie osiem lat wcześniej, wkrótce po pogrzebie mojej matki, usiłując wyrwać się z pełnych wodorostów głębin sennego koszmaru, śniłem, że wyglądam z okna i w wymiatanym wiatrem, rozmokłym od deszczu ogrodzie widzę otwartą trumnę i zwróconą ku mnie z

wybitego atlasem grobowca skurczoną, przeżartą rakiem twarz matki, wpatrującą się we mnie błagalnym wzrokiem, zasnutym mgłą nieopisanej męczarni.

Zawróciłem do domu. Postanowiłem odpowiedzieć na list ojca. Chciałem go poprosić, żeby opisał mi dokładniej okoliczności śmierci Marii, nie wiedząc jeszcze wtedy, że moja podświadomość już zaczyna borykać się z faktem owej śmierci jako załączkiem powieści - tego godnego ubolewania niewypału, leżącego na moim biurku. Ale nie napisałem tego wieczoru żadnego listu. Kiedy bowiem wróciłem do domu, natknąłem się po raz pierwszy na Zofię we własnej osobie, i - jeśli nawet nie od pierwszego wejrzenia, to bardzo szybko i nieprzytomnie - zakochałem się w niej. Była to miłość, która - jak się przekonałem później, w miarę upływu leniwych dni lata - miała wszelkie prawa i powody, by wtargnąć w moje życie. Muszę jednak przyznać, że na początku jednym z tych powodów było odległe, ale wyraźne podobieństwo Zofii do Marii Hunt. Innym, oprócz owej cudownej symulacji postaci zmarłej i do dziś niezatartym wrażeniem z pierwszego spotkania, był wyraz jej twarzy napiętnowanej rozpaczą - jaki zapewne miała także twarz Marii - i ten bolesny, ostrzegawczy cień, charakterystyczny dla kogoś, kto rzuca się na oślep, głową naprzód, na spotkanie śmierci.

Kiedy wróciłem do domu, Zofia i Natan toczyli zawziętą kłótnię tuż pod drzwiami mojego pokoju. Usłyszałem wyraźnie głosy, rozbrzmiewające donośnie w ciszy letniej nocy, a gdy wszedłem na frontowe schodki, zobaczyłem ich samych.

- Nie wciskaj mi kitu, dobra? - wrzeszczał Natan. - Jesteś oszustką! Jesteś nędzną szachrajką pizdą, rozumiesz? Pizdą!

- Ty też jesteś pizdą - odparowała. - Tak, uważam, że jesteś pizdą - w jej głosie nie było agresji.

- Ja nie jestem pizdą! - ryknął. - Nie mogę być pizdą, ty głupia, pieprzona Polko. Kiedy się nauczysz porządnie mówić! Mogę być kutasem, ale nie pizdą, ty kretyńko. Nie waż się mnie tak nazywać, rozumiesz? Zresztą nie będziesz już miała okazji.

- To ty mnie tak nazwałeś!

i Bo nią jesteś, debilko, bo jesteś zdradliwą, fałszywą pizdą. Rozkraczasz się z tą swoją cipą przed tym nędznym kanciarzem, przed tym konowalem. O Boże! - zawył głosem pełnym dzikiej, niepohamowanej wściekłości - muszę stąd wyjść, zanim cię zamorduję, ty... ty kurwo. Urodziłaś się kurwą umrzesz kurwą!

i Posłuchaj, Natan... - powiedziała błagalnie. Teraz, kiedy stanąłem we frontowych drzwiach, zobaczyłem oboje w zwarciu; ich ciemne sylwetki odcinały się na różowym tle ściany jak płaskorzeźba; kołysząca się pod sufitem czterdziestka, prawie niewidoczna w tumanie trzepoczących ciem, modelowała to chybotliwe *chiaroscu.ro*.

Dominującym elementem sceny był wielki silny Natan, mężczyzna barczysty i potężnej budowy, z głową okoloną bujną czupryną, smagły jak Siuks, ze swą przystojną i na swój sposób miłą twarzą - miłą teoretycznie, należy dodać, ponieważ teraz twarz ta, zamroczona gniewem, a więc zdecydowanie niemiła, nabiegła krwią od gwałtownej żądzzy zadawania bólu - wyglądał jak mniej wyrazista, a zarazem bardziej porywcza replika Johna Garfielda. Miał na sobie cienki sweterek i spodnie,,l jego wiek określiłbym na mniej więcej trzydzieści lat. Trzymał ramię Zofii żelaznym chwytem, ona zaś uchylała się przed jego.ttakami jak kwiat róży miotany wściekłymi podmuchami huraganu. Ledwie ją widziałem w tym ponurym świetle. Nad ramieniem Natana mogłem dostrzec jedynie rozwichrzoną grzywę włosów koloru słomy i jedną trzecią twarzy: uniesioną w przerażeniu brew, maleńkie znamię, piwne oko i zachwycający łuk wydatnego, słowiańskiego policzka, po którym jak kropla rtęci spływała pojedyncza łza. Zofia zaczęła szlochać jak osieroczone dziecko.

- Natan, posłuchaj mnie, proszę - mówiła głosem przerywanym łkaniem. - Natan! Natan! Natan! Przepraszam, że tak cię n;i zwałam.

Odrzącił jej wyciągniętą rękę i odsunął się od niej.

- Napawasz mnie nieskończonym wstrętem - krzyknął.

Czystym, niekłamanym obrzydzeniem. Idę, bo czuję, że zaraz popełnię morderstwo - obrócił się na pięcie i zaczął się oddalać.

- Natan, nie odchodź - zawołała błagalnie i wyciągnęła U ii niemu ramiona. - Jesteś mi potrzebny, Natan. I ty mnie potrzebujesz. - W jej głosie o jasnej barwie, załamującym MI; w górnych rejestrach i lekko ochryłym w dolnych, było ióś żałośnie dziecinne. Polski akcent przydawał mu lub przynajmniej móglby przydać uroku, gdyby nie te okropne okoliczności. - Nie odchodź, Natan! Jesteśmy sobie potrzebni. Nie odchodź!

Potrzebni? - odparował, odwracając się do niej. - Ty potrzebna mnie? Powiem ci coś - zaczął wymachiwać ręką, ■i w jego głosie narastał niekontrolowany gniew. - Jesteś mi tak potrzebna, jak wszystkie cholerne ciężkie choroby, jakie znam. |.ik *anthrax*, dowiedz się. Jak *trichinosis*?. Jesteś mi potrzebna jak k.unienie żółciowe. Jak pelagra! *Encephalitis*! Choroba Brighta, psiakrew! *Carcinoma* pieprzonego mózgu, ty nędzna, pierdolona kurwo! Auuuuuuu! - zakończył narastającym, wibrującym skowytem, który wywoływał ciarki na plecach, łącząc lament i furię w jakieś liturgiczne, żałobne zawodzenie rabina. - Jesteś mi potrzebna jak śmierć - zawołał zdławionym głosem. - Śmierć!

Odrzącił się jeszcze raz, a ona znów powtórzyła z płaczem:

- Natan, nie odchodź, proszę! - I dodała po chwili: - Dokąd pójdziesz, Natan?

Był już przy drzwiach, dzieliło go ode mnie zaledwie jakieś pół metra. Stałem w

progu niezdecydowany, nie wiedząc, czy ruszyć do swego pokoju, czy odwrócić się i uciec.

i Gdzie idę? - krzyknął - Powiem ci, gdzie idę. Wsiądę w pierwsze metro i pojedę do Forest Hills. Pożyczę od brata samochód, wrócę tu i załaduję swoje rzeczy. Zmywam się stąd jego głos przycichł raptownie, a on sam trochę się uspokoił, a nawet jakby zobojętniał, choć w tonie wyczuwało się aktorstwo ukrytą groźbę. - Potem, może jutro, wiesz, co zrobić? Usiądę napiszę polecony list do biura imigracyjnego. Napiszę im, że masz nieważną wizę. Powiem im, że powinni ci wystawić kurewską wizę, jeśli takie mają. A jeśli nie mają, poradzę im, żeby lepiej odesłali cię pierwszym statkiem do Polski, za puszczanie się ze wszystkimi napalonymi na szybki numerek lekarzami w Brooklynie. Wracamy do Krakowa, maleńka! - zachichotał ze złośliwą satysfakcją. - Och, maleńka, wracamy do Krakowa!

Odwrócił się i dał nura w drzwi. Otarłszy się o mnie ramieniem, wykonał piruet i stanął jak wryty. Trudno było zgadnąć, czy wiedział, że podsłuchiwałem, czy nie. Wzburzony, dyszał ciężko, mierząc mnie przez chwilę wzrokiem od stóp do głowy. Domyślił się pewnie, że podsłuchiwałem, ale to nie miało znaczenia. Zważywszy na jego stan emocjonalny, byłem zaskoczony jego zachowaniem wobec mnie - nawet jeśli nie było całkiem uprzejme, to, przynajmniej na razie, przyzwoite, tak jak gdyby wyłączył mnie wielkodusznie z zasięgu swej agresji.

- To ty jesteś ten nowy, o którym mówił Fink? - udało mu się wykrztusić pomiędzy dwoma głębokimi oddechami. Odpowiedziałem ledwie dostrzegalnym, króciutkim skinieniem głowy.

- Jesteś z Południa - powiedział. - Morris mówił mi, że jesteś z Południa. Ze nazywasz się Stingo. Tylko Południowca brakowało Yecie do kompletu tych jej pomyśleń - posłał mroczne spojrzenie Zofii, po czym zwrócił się znów do mnie.

o Szkoda, że nie będziemy mogli sobie pogwarzyć, ale wynoszę się stąd. Miło byłoby pogadać - tu jego głos nabrał nieco złowieszczych tonów wymuszonej uprzejmości, przechodzącej w najbardziej jawny sarkazm, z jakim dawno się już nie zetknąłem. - Moglibyśmy się nieźle ubawić tak sobie pieprząc trzy po trzy: ty i ja. Myślę o zabawach Południowców. Jak na przykład linczowanie czarnuchów, czyli śmierdzieli, tak ich zdaje się nazywacie. Albo o kulturze. Moglibyśmy pogawędzić kulturze, a nawet zasiąść sobie u starej Yetty i posłuchać płyt z hillbilly. No wiesz, Gene Autry, Roy Acuff, wszystkie te filary tradycyjnej kultury Południa. - Mówił to wszystko z ponurym wyrazem twarzy, ale nagle jego śniadą twarz rozjaśnił uśmiech; nim zdążyłem się zorientować, chwycił moją niechętną dłoń uściskał ją mocno.

- No cóż, mogłoby tak być. Szkoda. Stary Natan rusza w drogę. Może spotkamy się na tamtym świecie, Świrze. Zegnaj, Świrze. Do zobaczenia na tamtym świecie.

Potem, nim zdążyłem otworzyć usta, by zaprotestować, odpowiedzieć ciętą ripostą bądź jakąś zniewagą, odwrócił się na pięcie i z łomotem zbiegł po schodkach na chodnik. Twarde obcasy wystukiwały demoniczne klakklaklak, które cichło stopniowo, aż w końcu zanikło zupełnie w cieniu ciemniejących drzew na drodze do stacji metra. Jest rzeczą powszechnie znaną, że drobne kataklizmy - wypadek samochodowy, zepsuta winda, świadkowanie brutalnemu aktowi przemocy - wytwarza pewną nienaturalną więź pomiędzy zupełnie obcymi sobie ludźmi. Kiedy Natan roztopił się w mroku nocy, zbliżyłem się z wahaniem do Zofii. Nie miałem pojęcia, od czego powinienem zacząć pewnie od jakichś niezręcznych słów pociechy, ale ona odezwała się pierwsza przyciskając dłonie do zalanej łzami twarzy:

- To nie w porządku z jego strony - załkała. - Och, ja;;o tak kocham!

Zrobiłem coś okropnego, coś, co często robią w filmach, kiedy jest problem z dialogiem: wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę i podałem jej w milczeniu. Przyjęła ją z wdzięcznością i zaczęła ocierać łzy.

- Och, ja go tak kocham! - wybuchnęła. - Tak strasznie! Tak strasznie! Chyba umrę bez niego!

- No już, już - powiedziałem, a w każdym razie wymamrotałem coś równie głupiego. Patrzyła na mnie błagalnie - na mnie, na którego wcześniej nawet nie spojrzała - z rozpaczą niesłusznie oskarżonej, próbującej wykazać swą niewinność przed sądem. „Nie jestem kurwą, wysoki sędzie” - zdawała się mówić. Byłem oszołomiony, zarówno tą ufną otwartością, jak głębią jej cierpienia.

- To nie w porządku z jego strony - powtórzyła. - On jest jedynym mężczyzną oprócz mojego męża, z jakim się kochałam. A mój mąż nie żyje! - Znów zaczął wstrząsać nią szloch i łzy trysnęły jej z oczu, zamieniając moją chusteczkę w małą gąbkę z monogramem. Nos spuchł jej od płaczu, a różowe plamy na twarzy skaziły niezwykłą urodę, nie do tego jednak stopnia, by ta uroda (włącznie ze znamieniem, nader fortunnie usytuowanym tuż przy lewym oku, jak maleńki satelita) nie zdołała mnie z miejsca rozczulić.

Czułem dosłownie, że się roztopiam, a doznanie to promieniowało nie z okolic serca, ale - niespodziewanie - z żołądka, który zaczął burczeć jakby w proteście przeciw zbyt długiemu postowi. Tak bardzo pragnąłem ją przytulić, ukoić jej ból, że stawało się to niezdnośne, ale cały zespół rozmaitych zahamowań kazał mi się powstrzymać. Byłbym też nieszczerzy, gdybym nie wyznał, że poza wszystkim w mojej głowie zrodził się natychmiast

całkowicie egoistyczny plan, pomyślałem bowiem, iż oto Bóg obdarzył mnie szczęściem i mocą, bym przejął ten jasnowłosy, polski skarb, porzucony przez tego niewdzięcznika i świnię, Natana.

I nagle mrowienie w krzyżu zasygnalizowało mi, że Natan stoi za nami na schodkach. Odwróciłem się raptownie. Udało mu się podejść bezszelestnie, jakby był zjawą, i teraz gapił się na nas z wrogim błyskiem w oku, wsparty ramieniem o futrynę drzwi.

- Jeszcze jedno - powiedział do Zofii twardym, matowym głosem. - Jeszcze jedna, ostatnia sprawa, kurwo. Płyty. Albumy. Beethoven. Haendel. Mozart. Wszystkie. Nie chcę na ciebie patrzeć. Więc weź te płyty ze swojego pokoju i połóż je w moim, na krześle przy drzwiach. Brahmsa możesz zatrzymać, tylko dlatego że dostałaś go od Blackstocka. Dobra, zatrzymaj go sobie. Resztę zabieram, więc połóż je na pewno tam, gdzie ci kazałem. Jeśli tego nie zrobisz, połamię ci ręce, kiedy tu wrócę, żeby się spakować. - Po chwili milczenia wciągnął głęboko powietrze i wyszczał:

- Tak mi dopomóż Bóg; połamię ci te twoje pieprzone łapy!

Potem zniknął, tym razem na dobre - zszedł na chodnik i szybko rozpląnął się w ciemnościach.

Zofia, której zabrakło łez, przychodziła z wolna do siebie.

- Dziękuję panu, był pan bardzo miły - powiedziała cicho, opanowanym, jakby zakatarzonym głosem kogoś, kto płakał długo i obficie. Wyciągnęła rękę i wcisnęła mi w dłoń chusteczkę zamienioną w rozmokły tampon. Wtedy zobaczyłem po raz pierwszy wytatuowany na opalonym, lekko piegowanym przedramieniu numer - fioletowy numer z co najmniej pięciu cyfr, zbyt małych, by można je w tym świetle odczytać, ale wygrawerowany - powiedziałbym - z precyzją i kunsztem. Do uczucia miłości ulokowanego w moim żołądku dołączył nagły ból; w jakimś niewytłumaczalnym odruchu (zawsze uczono mnie, abym trzymał ręce przy sobie) ująłem ją delikatnie za przegub, chcąc przyjrzeć się dokładniej tatuazowi. Natychmiast uświadomiłem sobie, że moja ciekawość jest niedelikatna, ale nie mogłem się powstrzymać.

- Skąd to?

Wymówiła jakąś szeleszczącą nazwę; z trudem zrozumiałem, że powiedziała: „Oświęcim”. Potem dodała: - Byłam tam długo. **Longtemps**. - Milczała przez chwilę. - **Vous voyez...** - I znów pauza. - Mówi pan po francusku? Mój angielski bardzo zły.

- **Un peu** - powiedziałem z wysiloną swobodą. - Moja francuszczyzna też jest bardzo kulawa. Zardzewiała. - Co miało znaczyć, że prawie żadna.

- Zardzewiała? Co to jest „zardzewiała”?

- *Sale* - zaryzykowałem.
- Brudny francuski? - zapytała z nikłym uśmiechem. Po czym dodała:
- *Sprechen Sie Deutsch?* - Nie byłem w stanie wykrztusić nawet: *Nein*.
- Ach, głupstwo - powiedziałem. - Mówi pani bardzo dobrze po angielsku. -

Potem, po chwili milczenia, dodałem - Ten Natan! W życiu nie spotkałem podobnego typka. Wiem, że to nie moja sprawa, ale... ale to jakiś kompletny wariat! Jak on może się tak odzywać do ludzi? Moim zdaniem dobrze się stało, że się go pani pozbyła.

Zacisnęła powieki i ściągnęła wargi w bolesnym grymasie, jakby rozpamiętując to, co się właśnie wydarzyło.

- W wielu sprawach ma rację. Ale nie, że byłem niewierna. Co to, to nie. Byłam mu wierna zawsze. Ale inne rzeczy. Kiedy powiedział, że się źle ubieram. Albo kiedy powiedział, że jestem flejtuchowatą Polką i nie posprzątałam. Nazwał mnie wtedy brudną Polką i wiem, że... no tak, zasłużyłam na to. Albo kiedy brał mnie do tych lepszych restauracji i ja zawsze zabierałam... spojrzała na mnie pytająco.

- Zabierałam - podpowiedziałem. Postaram się od czasu do czasu odtwarzać te urocze pomyłki w angielszczyźnie Zofii. Jej znajomość języka była z pewnością więcej niż wystarczająca i te drobne potknięcia w gąszczu składni, a szczególnie na wybojach naszych przerażających czasowników nieregularnych wręcz go wzbogacały, przynajmniej z mojego punktu widzenia. - Co „zabierałam”?

- Zabierałam *carte*, to znaczy menu. Bardzo często zabierałam menu i wkładałam do torebki, na pamiątkę. Powiedział, że to drogo kosztuje, że ja kradnę. Miał rację, proszę pana.

- Wielki Boże, zabieranie menu nie wydaje mi się jakimś strasznym przestępstwem - powiedziałem. - Proszę posłuchać, wiem, że to nie moja sprawa, ale...

Najwyraźniej zdecydowana stawiać opór moim wysiłkom przywrócenia jej dobrego mniemania o sobie samej, przerwała mi:

- Nie, ja wiem, że źle robiłam. On ma rację, robiłam tyle niewłaściwych rzeczy - zasłużyłam na to, żeby ode mnie odszedł. Ale nigdy go nie zdradziłam. Nigdy! Och, teraz umrę bez niego! Co ja teraz zrobię? Co zrobię?

Przez moment obawiałem się, że znów uleci w jakąś małą fugę okrutnego żalu, ale wydała z siebie tylko jeden ochrypliwy, zdławiony szloch, jakby stawiała ostatnią kropkę, a potem odwróciła się ode mnie.

- Był pan bardzo miły - powiedziała. - Teraz muszę iść do siebie.

Kiedy wchodziła powoli po schodach na piętro, przyjrzałem się dokładnie jej sylwetce

w obcisłej, letniej sukience z jedwabiu. Miała piękną figurę, ze wszystkimi niezbędnymi zaokrągleniami, liniami i symetrami, a jednak było w niej coś osobliwego żadnych widocznych mankamentów, żadnych wad, ale jakieś ogólne wrażenie, jakby została na nowo złożona. Tak, to było właśnie to. Ta dziwna cecha ujawniała się głównie w wyglądzie skóry, która miała (zwłaszcza na tylnej stronie ramion) jakąś chorobliwą plastyczność charakterystyczną dla kogoś, kto po krańcowym wyczerpaniu organizmu wchodzi właśnie w ostatnie stadium regeneracji. Wyczuwałem też, że ta zdrowa opalenizna maskuje ziemistość cery człowieka nie całkiem wyleczonego z jakiejś straszliwej choroby. Żadna z tych cech nie odbierała jej jednak w najmniejszym stopniu cudownie nonszalanckiej, seksualnej atrakcyjności, wyrażającej się, przynajmniej w tym momencie, w niedbałych, spontanicznych ruchach bioder i jej zaiste przepyszego tyłka. Pomimo dawnego wycieńczenia zachował on idealny kształt, rzekłbym, fantastycznej, premiowanej gruszki i dosłownie wibrował magiczną ekspresją; z mojego punktu obserwacyjnego wyglądało to tak niesamowicie podniecająco, że przeznaczyłem w myśli jedną czwartą moich przyszłych honorariów autorskich dla prezbiteriańskich sierocińców Wirginii w zamian za możliwość przelotnego choćby (choćby na trzydzieści sekund) ujęcia w złożone jak do modlitwy dłonie jej gołego zadka. Oj, Stingo, mój stary - pomyślałem, kiedy tak wspinała się po schodach - jest chyba jakaś perwersja w tej twojej fikсации na punkcie tyłków. Kiedy dotarła do szczytu schodów, odwróciła się i posłała mi na dół niewyobrażalnie smutny uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie zanudziłam pana na śmierć swoimi problemami - powiedziała. - Przepraszam. - Po czym życząc mi dobrej nocy, ruszyła w stronę swego pokoju.

Nieco później, usadowiony w jedynym wygodnym krześle, jakie miałem, czytając Arystofanesa, mogłem jednocześnie obserwować przez uchylone drzwi wycinek korytarza na piętrze. Zobaczyłem Zofię raz, kiedy przenosiła do pokoju Natana płyty, których zwrotu się domagał. Gdy wracała, dostrzegłem, że znowu płacze. Jak długo tak można? Skąd ona bierze tyle łez? Później słuchała w nieskończoność ostatniej części *I Symfonii* Brahmsa, którą tak wielkodusznie pozwolił jej zatrzymać. Pewnie była to teraz jej jedyna płyta. Przez cały wieczór muzyka przesączała się przez cienki sufit - władcze i dramatyczne tony rogu mieszały się w moich uszach z antyfonalnym, przejmującym ptasim śpiewem fletu, przepełniając me serce smutkiem i nostalgią, jakich nigdy dotąd nie zaznałem. Pomyślałem o czasach, w których powstawał ten utwór. To właśnie między innymi muzyka mówiła o Europie epoki niezmaconego szczęścia, skąpanej w łagodnym, umbrowym świetle pogodnych zmierzchów - epoki dziewczynek z warkoczykami i w fartuszkach, przejażdżek dwukółkami,

pikników na polanach Lasku Wiedeńskiego i mocnego bawarskiego piwa, grenobliańskich dam z parasolkami, przechadzających się na krawędziach błyszczących lodowców w wysokich Alpach, podróży balonem, epoki zabawy i radości, przyprawiających o zawrót głowy walców, mozelskiego wina i samego Johanna Brahmsa, brodatego, z czarnym cygarem, kontemplującego tytaniczne akordy swej symfonii pod bezlistnymi, jesiennymi bukami Hofgarten. To była Europa niewypowiedzianej słodyczy, Europa, której Zofia tam, nade mną, pogrążona w swoich smutkach, nie mogła znać.

Kiedy się położyłem, muzyka wciąż jeszcze rozbrzmiewała. I za każdym razem, kiedy kończyła się kolejna trzeszcząca, szelakowa płyta, pozwalając mi w przerwie niezbędnej do założenia następnej słyszeć nieukojony płacz Zofii, przewracałem się z boku na bok i wciąż zastanawiałem się, w jaki sposób jedna śmiertelna istota ludzka może pomieścić w sobie tyle żalu. Wydawało się niewiarygodne, że to Natan mógł być przyczyną tak okrutnej, destrukcyjnej niedoli. Najwidoczniej jednak był i to zabiło mi klina. Bo jeśli istotnie pakowałem się w tę nienormalną i wysoce ryzykowną sytuację znaną pod mianem miłości, to czyż nie było z mojej strony głupotą oczekiwać, że zyskam wzajemność - nie mówiąc o łóżku - kogoś, kto jest tak niewzruszenie przywiązany do wspomnień o swoim kochanku? W samym zamiarze osaczenia dopiero co owdowiałej kobiety było coś głęboko nieprzyzwoitego. To prawda, Natan nie stanowił już przeszkody, ale czyż nie było mrzonką sądzić, że potrafię wypełnić powstałą próżnię? Przede wszystkim - przypomniałem sobie - mam niewiele pieniędzy. Nawet jeśli uda mi się przebić przez pancierz jej rozpacz, jakże zdołam uwieść tego eks - - głodomora, co pocznę z jej słabością do wytwornych restauracji i drogich płyt? W końcu muzyka ustała i ucichł płacz; niespokojny skrzyp sprężyn oznaczał, że położyła się spać. Leżałem długo z otwartymi oczami, wsłuchując się w stłumione, nocne odgłosy Brooklynu - dalekie wycie psa, warkot przejeżdżającego samochodu, cichy wybuch śmiechu jakiejś pary na skraju parku. Myślałem o Wirginii, o domu. Zapadłem w sen, niespokojny, wypełniony chaotycznymi majakami. W pewnym momencie obudziłem się wśród obcych ciemności, by stwierdzić, że jestem bliski groteskowej penetracji - usiłuję wepchnąć fallusa w jakieś fałdy, koronki czy wilgotną zakładkę przemieszczonej poduszki. Potem znów zasnąłem, by obudzić się w głuchej ciszy przedświt z uczuciem paniki, z sercem bijącym jak młot, z lodowatym dreszczem i oczami wlepionymi w sufit, nad którym spała Zofia i uświadomić sobie z przerażającą, charakterystyczną dla śniącego jasnością, że jej los jest przesądzony. trzeci

- Stingo! Hej, Stingo! - Dobiegające zza drzwi głosy wyrwały mnie ze snu następnego ranka, pięknego, słonecznego ranka czerwcowej niedzieli. Najpierw usłyszałem

głos Natana, potem Zofii: - Stingo, obudź się. No, obudź się, Stingo! - Drzwi, choć nie zamknięte na klucz, zabezpieczone były łańcuchem i z miejsca, w którym moja głowa spoczywała na poduszce, mogłem dostrzec promienną twarz Natana, gapiącego się na mnie przez szeroką szparę. - Wstań słoneczko i świeć! Do boju, chłopcze! Bij, zabij! - Jego komendom wtórował cichutki, srebrzysty chichot. Potem Natan zaczął szarpać drzwi, aż zagrzecotał łańcuch. - No, jazda, Świrze! Flaga na maszcie! Nie będziesz chyba gnąć tak cały dzień jak jakiś stary legawiec z Południa - głos przybrał charakterystyczny przesłodzony ton najgłębszego Dixielandu; moje nie całkiem przebudzone, ale wyczulone uszy odebrały ów akcent jako produkt niezwykle zręcznej imitacji. - Rusz no swoje stare gnaty, kochasiu - cedził Natan, jakby przeżuwał kawałek kukurydzianego placka. - Wdziej swój kostium kąpielowy i do drogi bądź gotowy. Stary Pompey już zaprzęga czwórkę koni, nie zwlekajmy, bo czas goni. Urządzimy sobie mały piknik nad morzem.

Mówiąc delikatnie, niezbyt mnie to wszystko bawiło. Jego ordynarne zniewagi z poprzedniego wieczoru i sposób, w jaki traktował Zofię, przeniknęły do moich snów w rozmaitych aluzyjnych maskach i przebraniach: obudzić się teraz, by zobaczyć tę samą gębę wielkemiejskiego cwaniaka podrabiającego tandetne, przedwojenne szlagiery - nie, tego już za wiele! Wyskoczyłem spod kołdry i rzuciłem się w stronę drzwi.

- Wynocha! - wrzasnąłem. - Zostawcie mnie w spokoju!

- Próbowałem zatrzasać mu drzwi przed nosem, ale zaklinował je solidnie wsuwając stopę. - Wynocha! - krzyknąłem jeszcze raz. - Bezcelność! Zabieraj swoją cholerną nogę z tych drzwi i zostaw mnie, kurwa, w spokoju!

- Stingo, ej, Stingo - perswadował głos uspokajająco, powracając do brooklińskiego akcentu. - Spokojnie, Stingo. Bez urazy, chłopcze. No, zbieraj się, wypijmy razem kawę i bądźmy kumplami.

- Nie chcę być twoim kumplem! - ryknąłem i nagle złapał mnie atak kaszlu. Na wpół uduszony flegmą i smołą z dziennej porcji trzech paczek cameli sam byłem zaskoczony tym, że mogę jeszcze zebrać myśli. Kiedy tak się zanosilem wściekłym, urywanym kaszlem, zażenowany wydobywającymi się ze mnie ochrypłymi dźwiękami, stopniowo zaczęła docierać do mej świadomości zaskakująca i przykra prawda, że oto ten podlec Natan zmaterializował się znów niczym jakiś zły dzinn u boku Zofii i najwidoczniej odzyskał i władzę nad nią, i ją samą. Przez co najmniej minutę, a może dłużej, targany i miotany atakami oskrzelowych spazmów, musiałem w dodatku wysłuchiwać upokarzających uwag jego w roli uczonego medyka:

- To typowy kaszel nałogowego palacza, Świrze. Masz też typową,

wymizerowaną, wynędzniałą twarz nałogowca. Spójrz no na mnie, Świrze. Spójrz mi w oczy.

Popatrzyłem na niego zwężonymi źrenicami, wzrokiem zmaconym wściekłością i odrazą.

- Nie nazywaj mnie... - zacząłem, ale nowy atak rozdzierającego kaszlu nie pozwolił mi dokończyć.

- Wymizerowany, to właściwe słowo - ciągnął Natan. - Szkoda, taki przystojny chłopak. Ten chorobliwy wygląd to efekt powolnego odtleniania organizmu. Powinieneś rzucić palenie, Świrze. Dostaje się od tego raka płuc. Dla serca to też świństwo.

- (Trzeba tu wspomnieć, że w 1947 roku teoria o zgubnych dla zdrowia skutkach palenia była jedynie hipotezą, nawet dla lekarzy, i jeśli ktokolwiek wspomniał o choćby potencjalnie destrukcyjnym działaniu nałogu, spotykało się to z pełnym rozbawieniem sceptycyzmem uczonych doktorów. Było to tak zwane babskie gadanie, podobnie jak przypisywanie masturbacji skutków w postaci takich przypadłości jak trądzik, kurczaki czy obłąd. Chociaż zatem uwagi Natana mogły mnie wówczas rozwścieczyć w. dwójnasób, jako stek bzdur dyktowanych czystą złośliwością, dzisiaj uświadamiam sobie, jak były w istocie prorocze, jak typowe dla jego kapryśnej, narwanej, udręczonej, lecz ostrej jak brzytwa i apodyktycznej inteligencji, którą miałem wkrótce poznać i z którą tyle razy przyszło mi się mierzyć. Piętnaście lat później, gdy zmagalem się zwycięsko ze swoim nałogiem, przypominałem sobie przestrogi Natana - a szczególnie, nie wiedzieć dlaczego, słowo „wymizerowany” - i był to dla mnie jakby głos zza grobu). Teraz jednak jego słowa prowokowały do morderstwa.

- Nie mów mi Świr! - wrzasnałem odzyskując głos. - Jestem członkiem stowarzyszenia Phi Beta Kappa Uniwersytetu Duke'a. Nie zniosę tych twoich chamskich obelg. A teraz zabieraj nogę i zostaw mnie w spokoju! - Usiłowałem na próżno wypchnąć jego but ze szpary w drzwiach. - I nie potrzebuję żadnych bzdurnych rad na temat palenia - wychrypiałem przez zawalony i zaogniony przewód kominowy swej tchawicy. I wtedy Natan uległ zadziwiającej przemianie. Przybrał ton przeproszący, uprzejmy, wręcz pełen skruchy.

- W porządku, Stingo, przepraszam - powiedział. - Naprawdę przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Wybacz, proszę. To się nie powtórzy. Chcieliśmy tylko z Zofią zaprosić cię po przyjacielsku, żebyś spędził z nami ten piękny, letni dzień.

Ta nagła zmiana odebrała mi dosłownie dech: mógłbym podejrzewać, że znowu daje upust jakiejś nowej formie przycięż - kiego sarkazmu, gdybym nie wyczuwał instynktownie, że tym razem jest szczerzy. Domyśliłem się, że mam do czynienia z przesadną reakcją, charakterystyczną dla kogoś, kto droczy się bezmyślnie z dzieckiem i nagle uprzytamnia

sobie, że naprawdę wyrządził malcowi krzywdę. Ale pozostawałem niewzruszony.

- Odwal się - powiedziałem stanowczo i twardo. - Chcę być sam.

- Przepraszam cię, stary, naprawdę. Z tym Świrem to tylko takie żarty. Nie chciałem cię obrazić.

- Natan naprawdę nie chciał cię obrazić - wtrąciła Zofia. Przesunęła się za jego plecami, tak że mogłem ją teraz widzieć wyraźnie. Coś w tym widoku znów poruszyło strunę w moim sercu. W odróżnieniu od obrazu nędzy i rozpacz, jaki przedstawiała sobą zeszłego wieczoru, teraz przepełniona była radosną energią z powodu cudownego powrotu Natana. Można wręcz było wyczuć natężenie tego promieniującego szczęścia; emanowało z jej ciała w niemal widocznych refleksach i wibracjach, poprzez lśnienie oczu, ożywione ruchy warg, triumfalny rumieniec na palających policzkach, który barwił je niczym róż. To widoczne szczęście w połączeniu z błagalnym wyrazem jej promiennej twarzy było dla mnie - pomimo porannego otępienia czymś niezwykle kuszącym, więcej - nieodpartym.

- Stingo, proszę cię - nalegała. - Natan nie chciał cię obrazić ani zranić. Chcieliśmy się tylko z tobą zaprzyjaźnić i spędzić razem ten piękny dzień. Proszę! Jedź, proszę, z nami!

Natan ustąpił - poczułem, że stopa wysuwa się spomiędzy drzwi - i ja się też odprężyłem, jednak nie bez bolesnego ukłucia, gdy zobaczyłem, jak objął ją nagle w talii i zaczął pocierać nosem jej policzek. Z niespiesznym upodobaniem cielaka liżącego leniwie bryłę soli tarł tym swoim wydatnym nochem, co wywoływało kaskady beztroskiego, gruchającego śmiechu, przypominającego radosne kołędowanie, kiedy zaś połaskotał jej ucho różowym koniuszkiem języka, wydała z siebie najwierniejszą imitację kociego, elektryzującego pomruku, jaką zdarzyło mi się słyszeć. Ten obrazek wprowadził mnie w osłupienie - przecież zaledwie parę godzin temu gotów był poderżnąć jej gardło! Zofia kuła żelazo póki gorące. Bezsilny wobec jej perswazji, bąknąłem wyniośle:

- No dobrze. - Już miałem odpiąć łańcuch, gdy nagle zmieniłem zamiar. - Pieprz się - powiedziałem do Natana.

- Musisz mnie przeprosić.

- Już cię przeprosiłem - odparł. W jego głosie wyczuwało się pojednawczy ton. - Powiedziałem, że nie będę cię nazywał Świrem.

- Nie tylko za to - odparowałem. - Za te kawałki o linczu i inne bzdury. Na temat Południa. To obelga. Co by było, gdybym ci powiedział, że ktoś o nazwisku Natan Landau może być tylko tłustym, garbatonosym, parchatym lichwiarzem, oszwa - biającym naiwnych gojów? Wściekłbyś się. Ten kij ma dwa końce. Masz mnie przeprosić. - Czułem, że

popadam w patos, ale byłem nieugięty.

- W porządku, przepraszam i za to - powiedział miękko.

- Wiem, że to było chamskie. Zapomnijmy o tym, dobra? Wybacz mi, naprawdę. Ale ten mały wypad to poważna propozycja. Słuchaj, zrobimy tak: jest jeszcze wcześniej. Ubierz się bez pośpiechu i przyjdź na górę do Zofii. Napijemy się piwa, kawy albo czegoś innego. Potem pojedziemy na Coney Island. Zjemy obiad w wielkiej restauracji, gdzie podają *frutti di mare*, a potem pójdziemy na plażę. Mam tam przyjaciela, który dorabia w niedzielę jako ratownik. Wpuści nas na specjalny, wydzielony sektor plaży, gdzie nikt ci nie sypie piaskiem w oczy. No co, zgoda?

- Namyślę się - powiedziałem ostentacyjnie nadąsanym głosem.

- Och, bądźże równy facet.

- No dobrze - zgodziłem się. - Przyjdę.

Goląc się i ogarniając, rozmyślałem o tym dziwnym obrocie sprawy. Jakież to kręte motywy spowodowały te gesty dobrej woli? Czy możliwe, żeby to Zofia wymogła na Natanie tę serdeczność jako rekompensatę za wczorajsze złośliwości? Czy po prostu on sam chciał coś przez to osiągnąć? Poznałem dość dobrze różne nowojorskie triki, więc przez moment zaświtało mi w głowie, że Natan mógł być jakimś oszustem, planującym wymuszenie czegoś tak na przykład banalnego i oczywistego jak pieniądze. To skłoniło mnie do sprawdzenia, jak się miewa moje czterysta dolarów z hakiem, które ukryłem w głębi apteczki, w przegródce na bandażu Johnson & Johnson. Mój skarb w dziesiątkach i dwudziestkach był nienaruszony, a jego widok natchnął mnie do wygłoszenia szeptem króciutkiego miłosnego trenu na cześć mojego widmowego patrona Ariste, który w ciągu tych długich lat musiał obrócić się w proch gdzieś w Georgii. Moje podejrzenia rozwiały się bez śladu, gdy przypomniałem sobie wzmiankę Morrisa Finka o wyjątkowym bogactwie Natana. Jednak kiedy pełen obaw szykowałem się do wizyty, przemknęły mi przez głowę wszelkie inne ewentualności. Pomyślałem sobie, że właściwie powinienem zostać i popracować, zapisać choć kilka słowna prowokującej swą pustką żółtej stronicy, nawet gdyby to miały być głupie, jałowe i przypadkowe notatki. Ale Zofia i Natan najwyraźniej zawładnęli moją wyobraźnią. Najbardziej zdumiewało mnie ich migdalenie i ten rozejm zawarty w parę godzin po najgwałtowniejszej scenie między kochankami, jaką mogłem sobie wyobrazić, nie licząc jakiejś trzeciorzędnej włoskiej opery. Potem zacząłem rozważać, czy nie są om przypadkiem wariatami lub cudzołożnikami, skazanymi niczym Paolo i Fran - cesca na wieczne potępienie. Jak zwykle rozjaśnił mi w głowie i udzielił informacji niezawodny Morris Fink, na którego wpadłem na korytarzu zaraz po wyjściu z pokoju. W trakcie wymiany jakichś banalnych

uwag, po raz pierwszy zwróciłem uwagę na bicie dzwonu kościelnego; odległe, ale wyraźne, dochodzące od strony Flatbush Avenue. Dźwięki te, zrazu chwytające za serce i przywodzące na pamięć niedziele w moich stronach rodzinnych, zbiły mnie nieco z tropu, byłem bowiem przekonany, że synagogi nie mają dzwonnicy. Przymknąłem na moment oczy wsłuchany w wypełniające ciszę głosy dzwonów, wspominając znajomy, zbudowany z czerwonej cegły kościół w Tidewater, pobożny nastrój i spokój Dnia Pańskiego, i mokre od rosy owieczki Pana z cienkimi jak łądyżki kwiatów różkami, skupione wokół prezbiteriańskiego tabernakulum ze swymi hebrajskimi księgami historycznymi i judajskimi katechizmami. Kiedy otworzyłem oczy, Morris wyjaśniał:

- Nie, to nie synagoga. To kościół protestancki na rogu Church Avenue i Flatbush. Dzwonią tylko w niedzielę. Przechodzę tamtędy często, kiedy odprawiają mszę. Albo kiedy jest szkoła niedzielna. Jak oni, pieprzeni, wyśpiewują! „Jezus kocha mnie” i inne takie gówna. Te protestanckie dziwy są całkiem niezłe. Niektóre wyglądają tak, jakby potrzebowały transfuzji...

Albo zastrzyku z ciepłego mięsa - sapnął lubieżnie. - Ale cmentarz mają przyjemny. Latem trochę tam chłodniej. Niektóre zwariowane żydowskie szczeniaki walą się tam po nocach.

- Widzę, że w Brooklynie jest wszystkiego po trochu - powiedziałem.

- Taaa, wszystkie religie. Żydzi, Irlandczycy, Włosi, protestanci, *boogies*, wszystko co zechcesz. Mnóstwo *boogies* sprowadziło się tu po wojnie. Zjeżdżają się do Williamsburga, Brownsville, do BedfordStuyvesant. Mówię na nich pierdolone małpy. Chłopie, jak ja nienawidzę tych *boogies!* To małpy! Brrr! wzdrygnął się i szczerząc zęby wykonał coś, co miało pewnie przypominać małpi grymas. Jednocześnie z pokoju Zofii popłynęły perliste, królewskie dźwięki słynnej *Muzyki na wodzie* Haendla i dal się słyszeć cichy śmiech Natana.

- Zdaje się, że poznałeś Zofię i Natana? - zapytał Morris. Potwierdziłem, że owszem, rozmawialiśmy.

- I co myślisz o tym Natanie? - nagły błysk zamigotał w jego pozbawionych blasku oczach. Zniżył konspiracyjnie głos. - Wiesz co ja o nim myślę? Ze to golem, ot co. Jakiś golem.

- Golem? A cóż to takiego golem?

- Trudno to dokładnie wyjaśnić. To taki żydowski... jak wy to nazywacie? Taki niezupełnie związany z religią, jakby potwór. Został wynaleziony, tak, tak, wynaleziony, kapujesz, jak Frankenstein, tylko że przez jednego rabina. Ulepiony z gliny czy innego

gówna, ale wygląda jak człowiek. W każdym razie nie można nad nim panować. To znaczy czasami zachowuje się normalnie, jak normalny facet. Ale tak naprawdę to zbiegłe pierdolone monstrum. To właśnie jest golem. I tak sobie myślę, że ten Natan... zachowuje się jak jakiś pierdolony golem.

Kiwnąłem głową niezdecydowanie i niezbyt przekonany poprosiłem Morrisa, żeby rozwinął swą teorię.

- No więc wcześniej rano, chyba jeszcze spałeś, zobaczyłem Zofię, jak idzie do pokoju Natana. Mój pokój jest dokładnie naprzeciwko i wszystko stamtąd widać. Jest wpół do ósmej albo ósma. Słyszałem tę drakę wieczorem, więc wiedziałem, że Natana nic ma. I zgadnij, co widzę? Oto co widzę: Zofia płacze, cicho, ale płacze jak pomyłona. Wchodzi do pokoju Natana - drzwi zostawia otwarte - i kładzie się. Ale zgadnij gdzie? Na łóżku? Nie! Na pieprzonej podłodze! Kładzie się na podłodze w szlafroku, zwinięta w kłębek jak niemowlę. Obserwuję ją przez jakiś czas, może z dziesięć, piętnaście minut - no wiesz, myślę sobie, jakie to idiotyczne z jej strony tak leżeć w pokoju Natana na podłodze i nagle słyszę, jak podjeżdża samochód, wyglądam przez okno na ulicę i widzę Natana. Słyszałeś, jak wchodził? Piekielnie hałasował, tupał i trząskał drzwiami, i coś tam mruczał do siebie.

- Musiałem mocno spać - powiedziałem. - Mój problem z hałasem w leju, jak to nazwałeś, dotyczy głównie pionu. Tego, co nad głową. Reszty, dzięki Bogu, nie słyszę.

- W każdym razie Natan wchodzi na górę i idzie do swojego pokoju. Staje w drzwiach, a tam Zofia leży skulona na podłodze. Podchodzi do niej, staje nad nią - ona me śpi - i powiada: „Wynoś się stąd, kurwo”. Ona nic, leży tylko i chyba płacze, a Natan mówi: „Zabieraj stąd swoją dupę, kurwo, wyprowadzam się”. Zofia wciąż nie odpowiada, słyszę, że płacze coraz bardziej, i wtedy Natan powiada: „Liczę do trzech, kurwo, i jeśli nie wstaniesz, me wyjdiesz i me znikniesz mi z oczu, tak cię kopnę w dupę, że spadniesz z pierwszym deszczem”. No i liczy do trzech, a ona się nie rusza, i wtedy on rzuca się obok niej na kolana, i zaczyna napieprzać ją jak wściekły.

- A ona leży? - przerwałem mu. Zaczynałem żałować, że mi otym opowiada. Poczulem skurcz żołądka i zemdliło mnie; chociaż jestem człowiekiem łagodnym, poczułem nieodparty impuls, żeby wbiec na górę i przy akompaniamencie żwawego *bourrée* z *Muzyki na wodzie* wyegzorcyzmować tego golema, wybijając mu krzesłem mózg z głowy. - Chcesz powiedzieć, że on naprawdę uderzył leżącą dziewczynę?

- Bił ją bez przerwy. I to mocno. Trząskał ją po pieprzonym ryju.

- Czemu nic nie zrobiłeś? - zapytałem surowo. Zawahał się, odchrząknął i rzekł:

- No cóż, muszę ci powiedzieć, że jestem tchórz. Mam metr sześćdziesiąt pięć, a

ten Natan to wielki skurwysyn. Ale powiem ci coś. Pomyślałem, żeby wezwać policję. Zofia zaczęła jęczeć, to walenie po twarzy musiało boleć jak sukinsyn. No więc zdecydowałem się zejść na dół i zadzwonić po policję. Nie miałem nic na sobie, śpię nago. Poszedłem do szafy po płaszcz kąpielowy i kaptcie. Spieszyłem się jak cholera. Kto wie, pomyślałem, może ją zabić. Nie było mnie chyba z minutę, nie mogłem znaleźć tych pierdolonych kaptci. I kiedy wróciłem do drzwi... Zgadnij, co?

- Nie mam pojęcia.

- Teraz było całkiem inaczej. Dokładnie odwrotnie. Tym razem Zofia siedziała na podłodze po turecku, a Natan jakby przykucnął z głową wtuloną w jej krocze. Ale me chlapał jej minety. On płakał. Wtulił twarz w jej podołek i płakał jak dziecko. A Zofia gładziła go po tych jego czarnych kudłach i powtarzała szeptem: „No dobrze, już dobrze”. I usłyszałem, jak Natan mówi: „Boże, jak mogłem ci to zrobić, jak mogłem cię tak skrzywdzić”. I takie tam. A potem: „Kocham cię, Zofio, kocham cię”. A ona tylko: „Już dobrze” - i tak cichutko cmokała, a on z tym nosem w jej kroczu płacze i powtarza w kółko: „Och, Zofio, tak cię kocham”. Myślałem, że wyrzygam całe śniadanie.

- I co potem?

- Nie mogłem już tego wytrzymać. Kiedy skończyli z tym kitem i wstali z podłogi, wyszedłem, kupiłem gazetę, poszedłem do parku i czytałem przez godzinę. Nie chciałem mieć z mmi nic wspólnego, ani z nim, ani z nią. Ale kapujesz, o co mi chodzi. Chodzi o to, że... - urwał i w posępnym milczeniu sondował wzrokiem moją twarz, w oczekiwaniu jakiejś interpretacji tego ponurego spektaklu. Nie miałem żadnej. W końcu Morris powiedział stanowczo: - To golem, jeśli chcesz wiedzieć. Pierdolony golem.

Wchodziłem na górę w ciemnej nawałnicy gwałtownych, zmiennych emocji. Powtarzałem sobie, że nie powinienem zadawać się z tymi nienormalnymi typkami. Mimo że Zofia zawładnęła moją wyobraźnią, pomimo mojej samotności, uznałem, że byłoby szaleństwem szukać ich przyjaźni. Kierowała mną me tylko obawa przed wessaniem i znalezieniem się w epicentrum tak niestabilnego, destrukcyjnego układu, lecz także konieczność stawienia czoła surowej prawdzie, że ja, Stingo, miałem inny życiowy cel. Przybyłem do Brooklynu, żeby, jak to powiedział kochany, stary Farrell, „pisać, dać z siebie wszystko”, a nie po to, by odgrywać rolę niefortunnego nadliczbowego w jakimś okrutnym melodramacie. Postanowiłem im powiedzieć, że jednak nie jadę z nimi na Coney Island, a potem grzecznie, ale stanowczo odstawić ich od siebie, dając do zrozumienia, że jestem urodzonym samotnikiem i nie życzę sobie, by mi się ktokolwiek narzucał ze swoim towarzystwem.

Zapukałem i wszedłem akurat w chwili, kiedy kończyła się ostatnia płyta i wielka szkuta przy triumfalnych dźwiękach trąbek znikła za zakolem Tamizy. Pokój Zofii zachwyił mnie od pierwszego wejrzenia. Chociaż potrafię rozpoznać brzydotę, kiedy się z nią zetknę, nigdy nie miałem szczególnego wyczucia „smaku” czy *decor*, a jednak mogłem stwierdzić, że Zofii udało się odnieść zwycięstwo nad wszechwładnym różem. Nie tylko nie pozwoliła mu się zawojować, lecz zaatakowała sama i upstrzyła pokój współgrającymi plamami oranżów, zieleń i czerwieni - tu jasna biblioteczka, tam morelowa narzuta - pokonując tym sposobem ten wszechobecny, infantylny kolor. Miałem ochotę się roześmiać na widok podstępu, za pomocą którego złamała dominację idiotycznej, militarnej farby do kamuflażu, nasycając pokój radością i ciepłem. I kwiaty. Kwiaty były wszędzie: żonkile, tulipany, gladiole w stojących wazonach i specjalnych kwietnikach zawieszonych na ścianach. Świeża woń wypełniała pokój i choć były ich całe naręcza, me kojarzyły się bynajmniej z salą szpitalną - wprost przeciwnie, wyglądały odświeżenie, radośnie i doskonale harmonizowały z pogodną atmosferą całości. Nagle uprzytomniłem sobie, że nigdzie nie widać Zofii i Natana. Kiedy próbowałem rozwiązać tę zagadkę, usłyszałem chichot i zauważyłem, że japoński parawan w odległym kącie pokoju zdrzął lekko, po czym zza parawanu trzymając się za ręce i posyłając olśniewające, rutynowe uśmiechy artystów rewiiowych, wyszli tanecznym krokiem *twostepa* Zofia i Natan, wystrojeni w najbardziej urocze kostiumy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Owe niezwykle stroje czy raczej przebrania były zdecydowanie niemodne: on miał na sobie dwurzędowy garnitur z szarej flaneli w kredowobiałe prążki - fason wylansowany ponad piętnaście lat wcześniej przez księcia Walii - ona satynową plisowaną spódniczkę śliwkowego koloru z tej samej epoki, biały żeglarski zakiet i ciemnoczerwony beret nasunięty na jedno oko. Te relikty garderoby nie miały jednak nic wspólnego ze szmatkami „po babci” - były najwyraźniej drogie i leżały na nich tak dobrze, że z pewnością szyto je na miarę. Poczulem się jak abnegat w swojej białej koszuli Arrow z podwiniętymi rękawami i w workowatych spodniach.

- Nie przejmuj się - powiedział w chwilę później Natan, przynosząc litrową butelkę piwa z lodówki, podczas gdy Zofia szykowała ser i krakersy. - Nie przejmuj się ciuchami. To, że my się tak stroimy, nie powinno cię krępować. Mamy taką swoją małą słabośćkę.

Zapadłem się z rozkoszą w fotel. Całkowicie zarzuciłem myśl o zakończeniu naszej krótkiej znajomości. Co spowodowało tę nagłą zmianę decyzji - trudno powiedzieć. Podejrzewam, że cały zespół różnych czynników. Zachwycający pokój, zaskakujące, farsowe kostiumy, piwo, ostentacyjna serdeczność Natana, usiłującego zatrzeć pierwsze, niemiłe

wrażenie, zgubny wpływ Zofii na moje uczucia - wszystko to dosłownie zmiotło wszelkie postanowienia. Znowu zatem byłem pionkiem w ich grze. - To takie małe hobby - ciągnął Natan przy wtórce przejrzystych dźwięków Vivaldiego, gdy tymczasem Zofia krzątała się w kuchence. - Dziś jesteśmy we wczesnych latach trzydziestych. Ale mamy też ubrania z dwudziestych, z czasów pierwszej wojny, z wesołych lat dziewięćdziesiątych, nawet wcześniejsze. Oczywiście stroimy się tak tylko w niedzielę albo podczas urlopu, kiedy jesteśmy razem.

- I ludzie się nie gapią? - zapytałem. - Poza tym to chyba dość kosztowne?

- Pewnie, że się gapią - odparł. - O to między innymi chodzi w tej zabawie. Czasami, na przykład w zestawie z wesołych lat dziewięćdziesiątych, wywołujemy wielkie zamieszanie. A co do kosztów, to te ubrania nie są wiele droższe niż normalne. Jest taki jeden krawiec na Fulton Street, który uszyje wszystko, jeśli tylko dam mu odpowiedni wzór.

Pokiwałem głową z aprobatą. Choć była w tym odrobina ekshibicjonizmu, rzecz wydawała się całkiem niewinną rozrywką. Przy ich wspaniałej prezencji, podkreślonej dodatkowo przez kontrast pomiędzy jego lewantyńską smagłością a jej promienną jasnością, Zofia i Natan byliby zapewne ucztą dla oczu, nawet gdyby ubrali się w byle co.

- To był pomysł Zofii - wyjaśniał dalej Natan. - I bardzo dobry. Ludzie na ulicy są bezbarwni. Wszyscy podobni do siebie, umundurowani. Takie ubrania jak te mają swoją indywidualność. Swój styl. Dlatego właśnie cieszy nas, kiedy się za nami oglądają.

- Przerwał, by nalać mi piwa. - To także świadczy o człowieczeństwie. Może to też być sprawa piękna, czegoś, z czego czerpiesz prawdziwą radość. I może z kolei dasz radość innym. Chociaż to akurat mniej istotne.

No tak, wszystko jest ważne: słyszałem to od dzieciństwa. Ubranie. Piękno. Człowieczeństwo. Cóż to za słowa w ustach kogoś, kto całkiem niedawno miotał ordynarnymi przekleństwami i - jeśli wierzyć Morrisowi - zadawał straszliwy ból tej kruchej istocie, która w stroju Ginger Rogers z jakiegoś starego filmu podawała talerze, popielniczki i ser. Teraz prześcigał sam siebie w uprzejmości i ujmującym zachowaniu. Nie mógł być bardziej uprzejmy, bardziej ujmujący. A ja, zupełnie rozluźniony, czując, jak piwo zaczyna lekko musować w całym moim organizmie, musiałem przyznać, że to, co mówił, ma swój sens. Cóż mogło być bardziej odświeżającym dla oka urozmaiceniem po obrzydliwej uniformizacji strojów w powojennym okresie, zwłaszcza w takich pułapkach jak McGrawHill, niż ta odrobina oryginalności, szczypta ekstrawagancji? Raz jeszcze (mówię to z korzystniejszej pozycji mądrego po czasie) Natan szafował wróżbami na temat świata, jaki miał nadejść.

- Spójrz na nią - powiedział. - Czyż ona nie jest cudowna? Widziałeś kiedy taką laleczkę? Hej, laleczko, chodź no tu do mnie.

- Jestem zajęta, nie widzisz? - odparła Zofia, krzątając się.

- Kroję *fromage*.

- Hej! - wydał z siebie przeszywający gwizd. - Hej, chodź no tutaj! - Mrugnął do mnie: - Aż mnie łapy świerzbią.

Zofia podeszła do niego i klapnęła mu na kolana.

- Daj całusa - zażądał.

- Tylko jednego - odpowiedziała i cmoknęła go lekko w kącik ust. - Masz. Na więcej nie zasłużyłeś. - Wierciła mu się na kolanach, a on skubał wargami jej ucho i ścisnął ją w talii; jej twarz zajaśniała takim uwielbieniem, iż mógłbym przysiąc, że nacisnął jakiś ukryty wyłącznik.

- Nie mogę się do ciebie nie dobierać - zanucił.

Jak chyba wszyscy, czuję się zwykle zakłopotany taką eks - hibicjonistyczną demonstracją uczuć - obojętne: miłości czy wrogości - zwłaszcza kiedy jestem jedynym widzem. Pociągnąłem tęgi łyk piwa i odwróciłem wzrok; moi nowi przyjaciele zerkali oczywiście w stronę obszernego, przykrytego morelową narzutą łoża, na którym załatwiali większość swych numerów i które zdawało się być jakąś potworną aparaturą generującą ostatnio moje fatalne samopoczucie. Może zdradził mnie nowy atak kaszlu, a może Zofia wyczuła moje zakłopotanie, w każdym razie zerwała się z kolan Natana, wołając:

- Dość! Wystarczy, Natanie Landau. Nie ma więcej całusów.

- No chodź - powiedział błagalnym tonem. - Daj jeszcze jednego.

- Nie ma - oświadczyła czule, lecz stanowczo. - Wypijemy piwo, zjemy ser, a potem idziemy do metra i jedziemy na obiad na Coney Island.

- Jesteś oszustką - powiedział żartobliwie. - Drocysz się ze mną. Jesteś najgorszą *jentą* w całym Brooklynie. - Odwrócił się w moją stronę i spojrzał na mnie z udawaną powagą. - No i co ty na to, Stingo? Człowiek dobija trzydziestki. Szaleje na punkcie tej polskiej *siksy*, a ona trzyma swój skarbczyk zamknięty na kłódkę, jak ta mała Shirley Mirmelstein, do której dobierałem się przez całe pięć lat. I co ty na to? - znowu mrugnął figlarnie.

- Okropność - zaimprovizowałem żartobliwym tonem. - To prawdziwy sadyzm.
- Choć jestem pewien, że nie dałem tego po sobie poznać, czułem się ogromnie zaskoczony: Zofia nie była

Żydówką! Tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia, a jednak byłem zaskoczony.

Zareagowałem na tę wiadomość jakby negatywnie i z pewną przykrością. Tak jak Guliwer wśród Houy - hnhnmów, wołałem sobie wyobrazać, że jestem wyjątkiem w tym olbrzymim, semickim *arrondissement*, więc dosłownie mnie zatkało, kiedy dowiedziałem się, że pod dachem Yetty mieszka inny goj. A więc Zofia była *siksą*! No dobrze, cicho, sza, pomyślałem sobie z lekka oszołomiony. Tymczasem Zofia postawiła przed nami talerz pełen grzanek ozdobionych złotawymi słoneczkami stopionego sera. Z piwem smakowały wybornie. Zacząłem się z wolna poddawać błogiej, lekko alkoholicznej atmosferze naszego kameralnego spotkania, jak ogar, który wychynął z chłodnego cienia prosto w upał południa.

- Kiedy poznałem tę tutaj - powiedział Natan, gdy Zofia usiadła na dywaniku obok jego krzesła i oparła się, zadowolona, o jego nogi - była to skóra, kości i trochę włosów. A upłynęło już półtora roku od chwili, kiedy Rosjanie wyswobodzili obóz. He to ważyłaś, kochanie?

- Trzydzieści osiem. Trzydzieści osiem kilo.

- No tak, około osiemdziesięciu pięciu funtów. Wyobrażasz sobie? To był upiór.

- A ile ważysz teraz? - zapytałem.

- Dokładnie pięćdziesiąt.

- Sto dziesięć funtów - przełożył Natan. - Co jest jeszcze za mało przy jej sylwetce i wzroście. Powinna ważyć około stu siedemnastu - i będzie. Będzie. Zrobimy z niej szybko ładną, odkarmioną amerykańską dziewczuszkę. - Leniwie i z czułością przebierał palcami w pasemkach jasnych włosów wymykających się spod beretu. - Chłopie, to był cień człowieka, kiedy ją znalazłem. Masz, napij się piwa, kociaczku. Utuczy cię.

- Byłam prawdziwą ruiną - wtrąciła Zofia wzruszająco pogodnym tonem. - Wyglądałam jak stara wiedźma, wiesz, takie coś, co płoszy ptaki. Strach na wróble? Prawie nie miałam włosów i nogi mnie bolały. I miałam skorbut...

- Skorbut - poprawił ją Natan. - Chciała powiedzieć, że miała skorbut. Wyleczyli ją, jak tylko weszli Rosjanie.

- Miałam *le scorbut* - znaczy się skorbut. Wypadły mi zęby! I miałam tyfus. I szkarlatynę. I anemię. Wszystko. Byłam prawdziwą ruiną. - Recytowała tę litanię chorób bez rozczulania się nad sobą, z jakimś dziecinnym przejęciem, jakby wymieniała imiona ulubionych zwierzątek. - Ale potem poznałam Natana i on się mną zaopiekował.

- Teoretycznie, od chwili kiedy wyzwolili obóz, nic już jej nie groziło - wyjaśnił. - To znaczy nie groziła jej śmierć. Ale potem była długo w obozie dla dipisów. Były tam tysiące, dziesiątki tysięcy, a oni nie mieli środków medycznych, żeby leczyć taką masę ludzi z ran zadanych przez hitlerowców. Więc kiedy w zeszłym roku przyjechała do Ameryki,

miała jeszcze ciężką, naprawdę ciężką anemię. Poznałem to od razu.

- W jaki sposób? - zapytałem, szczerze zainteresowany. Natan wyjaśnił krótko, zrozumiale, z prostolinijną, ujmującą skromnością. Jak mi powiedział, nie był bynajmniej lekarzem, ale absolwentem Uniwersytetu Harvarda z dyplomem specjalisty w dziedzinie biologii komórkowej i ewolucyjnej. Jego osiągnięcia naukowe na tym polu sprawiły, że zatrudniła go jako badacza jedna z największych firm farmaceutycznych w kraju, brookliński Pfizer. Tyle jeśli chodziło o wykształcenie. Nie rościł sobie pretensji do jakiejś gruntownej i rozległej wiedzy medycznej i nie miał zwyczaju - jak się to często zdarza amatorom - stawiać pochopnie diagnoz, jednak jego doświadczenie czyniło zeń kogoś więcej niż oświeconego dyletanta, zwłaszcza w dziedzinie biochemicznych anomalii i dolegliwości cielesnych. Wystarczyło mu zatem jedno spojrzenie na Zofię („tego kociaczka”, zamruczał z niezwykłą troskliwością i tkliwością w głosie, skręcając w palcach kosmyk jej włosów), by odgadnąć - trafnie, jak się później okazało - że jej wycieńczenie jest konsekwencją złośliwej anemii.

- Zaprowadziłem ją do lekarza, przyjaciela mojego brata, który wykłada w Columbia Presbyterian i jest specjalistą od chorób związanych z odżywianiem. - Nutka dumy, bynajmniej nie niesympatyczna, jako że była w tym spokojna pewność siebie, wkradła się do głosu Natana. - Powiedział, że trafiłem w dziesiątkę. Krytyczny niedobór żelaza. Zaaplikowaliśmy kociaczkowi potężną dawkę *ferrum sulfate* i zaczęła nam rozkwitać jak róża urwał i spojrzał na nią z góry. - Róża. Róża. Piękna, pieprzona róża. - Przyłożył koniuszki palców do warg, a potem dotknął nimi jej czoła, jak gdyby namaszczał ją swym pocałunkiem.

- Boże, jesteś cudowna. Najcudowniejsza.

Uniosła ku niemu twarz. Była rzeczywiście niewiarygodnie piękna, ale jakby zmęczona i wymizerowana. Pomyślałem owczorajszej nocnej orgii przejmującego smutku. Zofia pogłaskała leciutko jego niebiesko żyłkowany przegub:

- Dziękuję, *Monsieur* adiunkcie Charles Pfizer Company powiedziała, a ja ni stąd, ni zowąd pomyślałem: Chryste, Zofio, kochanie, trzeba ci znaleźć nauczyciela konwersacji. - I dziękuję ci za to, że dzięki tobie rozkwitać jak róża - dodała po chwili.

Nagle uświadomiłem sobie, że Zofia stara się imitować jego sposób mówienia. Właśnie on był jej nauczycielem; stało się to dla mnie oczywiste, kiedy usłyszałem, jak poprawia ją w drobiazgach, niczym jakiś pedantyczny, niezwykle cierpliwy instruktor w szkole Berlitz.

- Nie „rozkwitać” - tłumaczył - tylko „rozkwitłam”. Jesteś już bardzo dobra, ale musisz być doskonała. Musisz się nauczyć, kiedy i gdzie dodawać przyimek do

bezokolicznika, a kiedy go opuszczać. A to trudne, bo w angielskim nie ma ustalonych reguł. Musisz polegać na wyczuciu.

- Wyczuciu?

- Musisz słuchać, wtedy będziesz miała wycucie. Dam ci przykład. Możesz powiedzieć: „Pozwolił mi rozkwitać jak róży”, ale nie: „Sprawił, że rozkwitać jak róża”. Nie ma reguł, rozumiesz? To jeden z tych kruczków językowych, które z czasem zaczniesz chwytać - pogładził ją po uchu. - Tym swoim ślicznym uszkiem.

- Co za język! - jęknęła i zmarszczyła czoło w udawanej męce. - Za dużo słów. Na przykład zamiast jednego *vélocité*. „Fast”. „Rapid”. „Quick”. I wszystko znaczy to samo. Skandal!

- „Swift” - dorzuciłem.

- No a „speedy”? - powiedział Natan.

- „Hasty” - kontynuowałem.

- I „fleet” - rzekł Natan. - Chociaż to trochę zbyt wyszukane.

- „Snappy” - dodałem.

- Przestańcie! - zawołała Zofia ze śmiechem. - Za dużo. Za dużo słów, ten angielski. Po francusku to takie proste: mówisz tylko: *vite*.

- Jeszcze piwa? - zapytał Natan. - Skończymy drugą butelkę i jedziemy na Coney Island, na plażę.

Zauważyłem, że sam prawie nie pił, ale był wręcz krępująco szczodry w częstowaniu budweiserem i nalewał mi po brzegi z niezmordowaną troskliwością. Ja zaś po krótkim czasie popadać zacząłem w stan miłego, mrowiącego podniecenia, tak zaskakująco intensywnego, że aż poczułem się nieswojo i postanowiłem powściągnąć tę euforię. Była to prawdziwa egzaltacja, niebotyczna jak słońce lata; miałem wrażenie, że czyjeś braterskie ramiona unoszą mnie w górę w mocnym, opiekuńczym, czułym i zarazem współczującym uścisku. Zapewne schwycił mnie po prostu w swoje szpony alkohol - reszta była skutkiem działania całego zespołu różnych czynników, składających się na to, co wówczas określano mocno nadużywanym słowemwytrychem „psychoanaliza”, a co ja rozpoznawałem jako *Gestalt*, błogi spokój słonecznego, czerwcowego dnia, ekstatyczny przepych*session* na wodzie pana Haendla i ten odświętny nastrój pokoiku, przez którego otwarte okna napływał aromat wiosennego kwitnienia wszystko to napełniało mnie poczuciem niewysłowionej obietnicy i pewności. Nie przypominam sobie, bym w starszym wieku, po dwudziestym drugim lub powiedzmy piątym roku życia, kiedy ambitna kariera, jaką sobie zaplanowałem, nader często wydawać się mogła żalną mrzonką obłąkańca, doznał podobnych uczuć częściej niż raz czy

dwa razy. Przede wszystkim jednak moja radość miała swe źródło w czymś, czego nie doświadczyłem od czasu przybycia do Nowego Jorku i czego już nie spodziewałem się doświadczyć nigdy: w poczuciu wspólnoty, zażyłości, w rozkoszy przebywania wśród przyjaciół. Kruchy pancerz rezerwy, który tak skwapliwie przywdziałem, rozpadał się w proch. Jakież to cudowne zrządzenie losu - pomyślałem że poznałem Zofię i Natana, tych serdecznych, inteligentnych i pełnych życia nowych towarzyszy. Nieprzeparta chęć, by wyciągnąć ramiona i przycisnąć ich do serca, przepełniała mnie najtkliwszym, czystym (przynajmniej na razie, pomimo że tak bardzo paliłem się do Zofii), praktycznie pozbawionym erotycznych podtekstów uczuciem braterstwa. Stingo, staruszku - mruknąłem do siebie pod nosem, szczerząc głupkowato zęby do Zofii, ale pijąc pienistym budweiserem swoje zdrowie - Stingo, mój stary, za twój powrót do świata żywych.

- Salut, Stingo! - odpowiedziała na mój toast Zofia, wznosząc szklankę piwa, którą Natan na siłę wcisnął jej w dłoń. Uroczysty, zachwycający uśmiech na odświeżonej, lecz ciągle naznaczonej śladami cierpienia i mimo to szczęśliwej twarzy, jakim mnie przy tym obdarzyła, poruszył mnie tak głęboko, że wydałem z siebie bezwiedny, stłumiony pomruk. Czułem się bliski totalnego zbawienia. A jednak pod powierzchnią tego fantastycznego nastroju czaiło się coś niedobrego. Wczorajsza okropna scena między Zofią a Nataniem powinna być dla mnie wystarczającą przestrogą, że nasze przyjacielskie miniparty, ze wszystkimi wybuchami śmiechu, swobodą i miłą zażyłością, nie ma wiele wspólnego z rzeczywistym stanem ich spraw. Jestem jednak człowiekiem nader łatwo ulegającym pozorom zewnętrznej maskarady, gotowym uwierzyć, że takie wybryki jak koszmarna awantura, której byłem świadkiem, to godny ubolewania wyjątek w miłosnych stosunkach, opartych zasadniczo na serdeczności i rozwijających się wśród kwiecica. Wynikało to chyba stąd, że spragniony w głębi duszy przyjaźni, zadurzony po uszy w Zofii i perwersyjnie zafascynowany jej gwałtownym, nieco egzotycznym, intrygującym swą magnetyczną niegodziwością kochankiem, nie śmiałem widzieć ich związku inaczej niż w najbardziej różowych barwach. A jednak - jak powiadam - domyślałem się, że coś tu jest nie w porządku. Pod powierzchnią zabawy, czułości, troskliwości wyczuwało się niepokojące napięcie. Nie bezpośrednio w ich zachowaniu w tej akurat chwili. Ale to groźne napięcie było tam obecne i emanowało głównie z Natana. Ni stąd, ni zowąd popadł nagle w jakieś roztargnienie i rozdrażnienie, wstał, zaczął bezmyślnie przerzucać płyty, zmienił z powrotem Haendla na Vivaldiego, najwyraźniej podekscytowany łyknął wody, po czym usiadł i zaczął bębnić palcami do taktu uroczystym dźwiękom rogu.

Potem odwrócił się raptownie w moją stronę i wpatrując się we mnie przenikliwie

swoim niespokojnym, posępnym wzrokiem powiedział:

- Stary cwaniaczek z plantacji, co koles? - I po krótkiej przerwie dodał znowu, częstując mnie parodią nosowej wymowy i przeciągając zgłoski: - Wiesz, wy, konfederaty, bardzo mnie interesujecie. Wszyscy - położył nacisk na to ostatnie słowo. - Wy wszyscy bardzo, ale to bardzo mnie interesujecie.

Dopiekł mi do żywego - tak to się chyba nazywa. Ten Natan był niesamowity! Jak można być tak grubiańskim, niedelikatnym takim padalcem? Cała euforia prysnęła i znikła jak tysiące mydlanych baniek. Świnia - pomyślałem. Załatwił mnie. Bo czy można było wytłumaczyć tę nagłą, podstępłą zmianę inaczej niż jako próbę przyparcia mnie do muru? Chamstwo albo spryt tylko tak mogłem odebrać jego odzywkę, biorąc pod uwagę, jak wyraźny postawiłem niedawno warunek rozejmu: koniec z szyderstwami z Południa. Oburzenie znów zaczęło mnie dławić jak kość w gardle, ale mimo to podjąłem ostatnią próbę zachowania spokoju. „Odgrzałem” swój tidewaterski akcent i rzekłem:

- No cóż, panie gospodarzu, my, chłopaki z Południa, też interesujęm się wami, kolesiami z Brooklynu.

Skutek był dokładnie odwrotny do zamierzonego. Nie tylko go to nie rozbawiło, ale w jego oczach pojawiła się zapowiedź wojny. Zmierzył mnie groźnym, nieufnym spojrzeniem; przysięgłbym, że przez ułamek sekundy widziałem w jego błyszczących źrenicach odbicie tego cudaka, kmiota, obcego, jakim musiałem mu się wydawać.

- Ach, pieprzę to... - powiedziałem podnosząc się z krzesła.

- Idę stąd. - Nim jednak zdążyłem odstawić szklankę i wstać, schwycił mnie za przegub. Chwył nie był brutalny ani bolesny, ale wystarczająco silny i stanowczy, żeby osadzić mnie z powrotem na miejscu. Było w tym coś tak desperacko natarczywego, że przeszły mnie ciarki.

- Tu nie ma żartów - oświadczył. - W jego głosie, pozornie spokojnym, wyczuwało się gwałtowną emocję. To, co powiedział po chwili, choć cedzone z zamierzoną, komiczną wręcz powolnością, zabrzmiało jak magiczne zaklęcie: - Bobby... Weed... Bobby Weed! Czy uważasz, że Bobby Weed zasługuje jedynie na twój... wysiłony... dowcip?

- Nie ja zacząłem z tym „bawelniarskim” akcentem - odparowałem. I pomyślałem: O, niech to szlag! Teraz zaczyna z Bobbym Weedem. Wychodzę. Wtedy Zofia, jak gdyby wyczuwając złowrobną zmianę nastroju u Natana, podeszła do niego pospiesznie i dotknęła uspokajająco jego ramienia rozdygotaną dłonią:

- Natan, ani słowa o Bobbym Weedzie. Proszę cię, Natan. Zdenerwujesz się tylko, a było tak miło - posłała mi zrozpaczone spojrzenie. - Cały tydzień mówił o Bobbym

Weedzie. Nie mogłam go powstrzymać. Kochanie, proszę cię - rzekła do Natana błagalnie. - Było tak przyjemnie!

Ale Natan nie zamierzał ustąpić:

- No, co powiesz o Bobbym Weedzie?

- O co ci chodzi z tym Bobbym Weedem, do diabła? jęknąłem i wyswobodziłem rękę z jego uścisku. Zerknąłem na drzwi i stojące na drodze meble, układając sobie plan ucieczki.

- Dzięki za piwo - burknąłem.

- Powiem ci, o co mi chodzi z tym Bobbym Weedem - ciągnął uparcie Natan. Nie miał zamiaru mnie wypuścić: nalał pełną szklankę pianistego piwa i wcisnął mi ją w dłoń. Jego twarz pozostawała opanowana, ale mentorskie potrząsanie włóchatym paluchem tuż przed moim nosem zdradzało wewnętrzne wzburzenie. - Powiem ci coś o Bobbym Weedzie, Stingo, przyjacielu. A mianowicie powiem ci to: wy, biali z Południa, macie sporo do gadania, jeśli chodzi o podobne bestialstwa. Chyba nie zaprzeczysz? No więc posłuchaj: mówię to jako przedstawiciel narodu, który cierpiał i ginął w obozach śmierci. Mówię jako ktoś, kto kocha głęboko jedną z tych, co przeżyła taki obóz. - Otoczył Zofię ramieniem, podczas gdy wskazujący palec drugiej ręki wił się ciągle jak robak w okolicach mojego policzka. - Mówię to jako Natan Landau, zwykły obywatel, biolog, istota ludzka, świadek nieludzkich zbrodni popełnionych wobec człowieka. Mówię, że to, co zrobili z Bobbym Weedem biali Amerykanie z Południa, jest taką samą nieskończenie barbarzyńską zbrodnią jak wszystkie zbrodnie nazistów Adolfa Hitlera! Zgadzasz się?

Zagryzłem wargi, próbując się opanować.

- To, co stało się z Bobbym Weedem, Natan - powiedziałem było straszne. Niepojęte! Ale nie widzę sensu w porównywaniu jednego zła z drugim. Ani w ustalaniu jakiejś idiotycznej hierarchii. I to, i to jest potworne. Czy mógłbyś zabrać ten palec? - Czuję, że oblewa mnie zimny pot i zaczynają mną wstrząsać dreszcze. - I protestuję przeciw pakowaniu do jednego worka wszystkich, jak to nazywasz, „białych z Południa”. Pochodzę z Południa i jestem z tego dumny. I nie jestem żadną świnią ani nie należę do tych troglodytów, którzy zrobili to, co zrobili, z Bobbym Weedem! Urodziłem się w Tidewater w Wirginii i uważam się, za przeproszeniem, za dżentelmena! Poza tym wybac, ale te prymitywne nonsensy, ta ignorancja u kogoś tak niewątpliwie inteligentnego jak ty, przyprawiają mnie o mdłości! - Słyszałem własny, podniesiony, drżący i łamiący się głos, czułem, że tracę nad nim panowanie, i bałem się, że za chwilę znów chwyci mnie atak okropnego kaszlu. Tymczasem Natan wstał spokojnie i wyprostował się, tak że teraz staliśmy twarzą w twarz naprzeciw

siebie. Mimo jego groźnej postawy i tego, że górował nade mną masą ciała i wzrostem, miałem wielką ochotę walnąć go w szczękę. - Coś ci powiem, Natan: wciskasz mi teraz najbardziej obłudną nowojorskoliberalną tandetę. Kto ci dał prawo sądzić miliony ludzi, z których większość wolałaby się dać zabić niż skrzywdzić jakiegoś Negra!

- Ha! - zawołał. - No i masz: nawet te twoje określenia! Negra! Jakie to obelżywe.

- Tak się tam po prostu mówi. Nie ma w tym nic obelżywego. Niech ci będzie: **Kneegrow**. Tak czy inaczej - ciągnąłem zdenerwowany - jakim prawem osądzasz ludzi? Dla mnie właśnie to jest obelżywe.

- Jako Żyd uważam się za autorytet w sprawach męczarni i cierpienia - przerwał i kiedy tak na mnie patrzył, dostrzegłem po raz pierwszy w jego oczach pogardę i rosnącą odrazę. - A co do twojego uniku z „nowojorskim liberałem” i „obłudną tandetą”, uważam to za śmieszny odwet w odpowiedzi na poważne oskarżenie. Czy nie możesz przyjąć prostej prawdy? Nie potrafisz jej zobaczyć w całej grozie? A prawda jest taka, że te wykłady od odpowiedzialności za śmierć Bobby’ego Weeda są tym samym, co postawa Niemców, którzy nie akceptowali NSDAP, a jednocześnie przyglądali się beczynnemu i bez słowa protestu, jak zbiry bezcześciły synagogi i urządziły **Kristallnacht**. Nie widzisz prawdy osobie? O Południu? W końcu to nie obywatele Nowego Jorku zabili Bobby’ego Weeda.

Większość z tego, co mówił - zwłaszcza o mojej „odpowiedzialności” - była tendencyjna, irracjonalna, kołtuńska i potwornie niesprawiedliwa, a jednak ku swej rozpaczy nie mogłem w tym momencie zdobyć się na odpowiedź. Z mojego gardła wydobyło się jakieś dziwne, piskliwe chrząknięcie; powlokłem się chwiejnym, niezdarnym krokiem do okna. Bezsilny, choć wzburzony wewnątrz, daremnie próbowałem znaleźć słowa. Jednym haustem wypilem ponad pół szklanki piwa, patrząc wzrokiem przyćmionym od frustracji na słoneczne, sielskie trawniki Flat - bush, szumiące platany i klony, stateczne ulice ożywione spokojnym ruchem niedzielnego poranka: grających w piłkę mężczyzn bez marynarek, chmary rowerzystów, nakrapianych plamkami słońca spacerowiczów na chodnikach. Intensywny, słodkawy zapach świeżo skoszonej, nagrzanej trawy uderzał w nozdrza, przywołując wspomnienie wiejskich krajobrazów i otwartych przestrzeni - pól i drózek, po jakich mógł węszyć się młody Bobby Weed, którego Natan wszczepił w mój mózg niczym tętniący guz. I kiedy tak myślałem o Bobby’ym Weedzie, ogarnęła mnie czarna, obezwładniająca rozpacz. Jak mógł ten piekielny Natan przywoływać ducha Bobby’ego Weeda w tak zachwycającym dniu?

Słuchałem Natana przemawiającego za moimi plecami podniesionym, agresywnym

głosem przypominającym głos przysadzistego, komunistycznego agitatora z gębą jak rozpruty portfel, który gardłował kiedyś na empireum pustego Union Square.

- Dzisiejsze Południe zrzekło się wszelkich praw przynależności do rasy ludzkiej - perorował. - Każdy z osobna Południowiec ponosi odpowiedzialność za tragedię Bobby'ego Weeda. Żaden nie jest wolny od tej odpowiedzialności. - Wzdrygnąłem się gwałtownie, ręka mi zadrżała; patrzyłem, jak piwo zachlupotało tłusto w szklance. Tysiąc dziewięćset czterdzieści siedem. Jeden, dziewięć, cztery, siedem. Wtedy, na dwadzieścia niemal lat przed owym miesiącem, kiedy spłonęło miasteczko Newark i krew czarnych popłynęła barwiąc na czerwono ścieki Detroit, można było - o ile pochodziło się z Dixie i miało się pewną wrażliwość, wiedzę oraz świadomość swej przerażającej, bezbożnej historii odczuć dotkliwie taką napaść, nawet jeśli uwzględnić obłudę neoabolicjonistów przypisujących sobie tak absolutną wyższość moralną, że mogłoby to budzić pobłażliwe rozbawienie, gdyby nie było tak ponure. Południowcy, którzy odważyli się przenieść na Północ, musieli nieustannie, przez całe lata znosić takie krzywdzące pomówienia o zakodowaną winę, występujące w złagodzonej formie subtelnych aluzji i oszczerczych salonowych ploteczek. Oficjalnie skończyło się to pewnego sierpniowego ranka 1963 roku, gdy na North Water Street w Edgartown, w stanie Massachusetts, młoda, jasnowłosa i pulchna żona należącego do bankierskiej elity zaczęła wymachiwać egzemplarzem książki Jamesa Baldwina *Następnym razem pożar*, wykrzykując do przyjaciółki przez zaciśnięte zęby: „Moja droga, to zagrożenie dla nas wszystkich!” Jej banalne stwierdzenie nie było dla mnie wtedy, w 1947 roku, tak prorocze. Uśpiony czarny zwierz zaczynał się wprawdzie budzić, ale - jak sądzono - nie było to jeszcze problemem dla Północy. Może dlatego właśnie choć znośłem z godnością zniewagi Jankeśów (nawet stary, poczciwy Farrell czynił kilkakrotnie umiarkowane kąśliwe uwagi) w głębi serca czułem piekący wstyd z powodu swego niezaprzecznego pokrewieństwa z tymi czysto anglosaksońskimi podludźmi, oprawcami Bobby'ego Weeda. Owi mieszkańcy ostępów Georgii - tego samego porośłego sosnami wybrzeża koło Brunswieku gdzie mój wybawiciel, Ariste, harował, cierpiał i zmarł - uczynili szesnastoletniego Bobby'ego Weeda jednym z ostatnich i z pewnością najbardziej pamiętanych męczenników ofiar linczu, jakich znało Południe. Jego rzekoma zbrodnia, ludzako podobna do zbrodni Ariste, była czymś tak klasycznym, że przybrała postać groteskowej kliszy: otóż próbował on poderwać czy też nagabywał lub w inny sposób „zadał się” (prawdziwego oskarżenia nigdy właściwie nie sformułowano, ale gwałt został wykluczony) z niedorozwiniętą dziewczyną imieniem Lula - kolejna klisza, choć autentyczna: zboleła, królicza twarz Luli spoglądała posepnie ze szpał sześciu stołecznych gazet.

Była córką miejscowego sklepikarza; okropne wzburzenie tatusia skłoniło okoliczny motłoch do podjęcia natychmiastowej akcji.

Czytałem o tej średniowiecznej zemście wieśniactwa zaledwie tydzień wcześniej, jadąc lokalną linią metra przy Lexington Avenue, ściśnięty pomiędzy grubą jak beczka kobietą z plastikową torbą na zakupy a małym, liżącym loda na patyku Portorykań - czykiem w kelnerskiej kurtce; intensywna, słodkawa woń gardenii biła z jego wybrylantynowanej głowy, kiedy podczytywał mojego „Mirra” z okrutnymi fotografiami. Żywemu jeszcze Bobby’emu Weedowi odrąbano członek i jądra i wepchnięto do ust (zdjęcia czytelnikom oszczędzono), a kiedy konał, zachowując podobno do końca pełną świadomość, wypalono mu na piersi palnikiem acetylenowym węzowate piętno w kształcie litery „L” - Lincz? Lula? **Law and Order? Love?** Nawet teraz, kiedy Natan szalał i wrzeszczał na mnie, przywołałem na pamięć ów moment, gdy zataczając się wysiadłem z metra, wyszedłem na zalaną słońcem Osiemdziesiątą Szóstą Ulicę przesyconą zapachem parówek, oranzady Juliusa i rozgrzanego metalu kratownic metra i minąłem jak nieprzytomny kino, do którego specjalnie jechałem taki kawał drogi, by zobaczyć film Rosselliniego. Nie poszedłem do kina tego popołudnia. Znalazłem się na nadrzecznym bulwarze przy Gracie Square i tam kontemplowałem jak w transie wielkowiejską brzydotę wysepek, niezdolny do wymazania z pamięci widoku zmasakrowanego ciała Bobby’ego Weeda, mimo że powtarzałem półgłosem - zdawało się, w nieskończoność - werset z Apokalipsy świętego Jana zapamiętany z dzieciństwa: „I otrze

Bóg wszelką łzę z oczu ich, a śmierci dalej nie będzie, ani smętku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie...” Być może reagowałem przesadnie, ale mój Boże, jeśli nawet tak, j a nie mogłem płakać. Dręczący głos Natana napłynął z powrotem z oddalenia:

- Nawet w obozach koncentracyjnych te zwierzęta w mundurach nie posunęłyby się do takiego bestialstwa!

Posunęłyby się? Czy może nie? Wydawało się to bez znaczenia; miałem już dość tej kłótni, dość tego fanatyzmu, któremu nie umiałem się przeciwstawić, miałem dość wizji Bobby’ego Weeda i - pomimo że nie poczuwałem się do jakiegokolwiek współudziału w tej ohydnej zbrodni - dość swej przeszłości, Południa i dziedzictwa, w które nie wierzyłem i którego nie pojmowałem. Korciło mnie, by ryzykując złamaniem nosa, chlusnąć Natanowi w twarz resztką piwa. Starając się opanować tę pokusę, napiąłem mięśnie i odpowiedziałem tonem lodowatej wzdgardy:

- Ty, przedstawiciel rasy, którą przez wieki prześladowano niesprawiedliwie za rzekome ukrzyżowanie Chrystusa, tak, właśnie ty, psiakrew, powinienes wiedzieć, jak niewybaczalną rzeczą jest oskarżanie o cokolwiek jakiegokolwiek jednostki.

- I nagle ogarnęła mnie taka wściekłość, że palnąłem coś, co dla Żydów, za ledwie w rok i parę miesięcy po epoce krematoriów, musiało być straszliwą, prowokującą obelgą. Pożałowałem swych słów natychmiast, ale nie mogłem ich cofnąć. - I to dotyczy wszystkich - powiedziałem - nawet Niemców, na Boga! - Natan drgnął i jeszcze bardziej poczerwieniał. Teraz mi wygarnie! pomyślałem. W tym jednak momencie sytuację uratowała cudem Zofia, wkracząc pospiesznie między nas w swoim zabawnym przebraniu.

- Skończcie z tym natychmiast! - zawołała. - Przestańcie. To nie jest rozmowa na niedzielę. - Powiedziała to pozornie lekkim tonem, ale wiedziałem, że ma w tym swój cel. - Dajcie spokój z Bobbym Weedem. Trzeba mówić o czymś wesołym. Trzeba jechać na Coney Island i pływać, jeść, przyjemnie spędzić dzień.

- Rzuciła się w stronę naszrozonego golema; byłem mile zaskoczony łatwością, z jaką przedzierzgnęła się ze skrzywdzonej i potulnej ofiary w ożywioną uwodzicielkę, manipulując Natanem za pomocą swej urody i swego *brio*. - Cóż ty wiesz o obozach koncentracyjnych, Natanie Landau? Nic. Przestań mówić o takich rzeczach. I przestań wrzeszczeć na Stinga. Przestań się z nim kłócić o Bobby'ego Weeda. Dostyć! Stingo nie ma nic wspólnego z Bobbym Weedem. Jest milutki. I ty jesteś milutki, Natanie Landau, i *vraiment, je t'adore*.

Zaobserwowałem tego lata, że w pewnych okolicznościach, związanych z niepojętym falowaniem jego nastrojów i nagłymi zmianami decyzji, Zofia potrafiła tak wykorzystać swą tajemną wiedzę, iż Natan ulegał natychmiastowej transformacji; grzmiący wielkolud przeobrażał się w księcia z bajki. Europejki często podporządkowują sobie swych partnerów z czarującą subtelnością, me znaną większości kobiet amerykańskich. Teraz cmoknęła go lekko w policzek i delikatnie ująwszy w dłonie jego wyciągnięte ramiona przyglądała się badawczo, jak ciemnoczerwony rumieniec cholerycznego gniewu zaczyna spęłzać mu z twarzy.

- *Vraiment, je t'adore, cheri* - powiedziała miękko i ściskając jego przeguby, zanuciła radośnie: - Na plażę! Na plażę! Będziemy budować piaskowe zamki.

Burza minęła, czarne chmury się rozwiały i słoneczny, pogodny nastrój znów wypełnił kolorowy pokój. Zasłony załopotwały w gwałtownym podmuchu wiatru od strony parku. Kiedy całą trójką zmierzaliśmy do wyjścia, Natan, przypominający w swoim garniturze skopiowanym ze starego numeru „Vanity Fair” wytwornego szulera, objął mnie swym długim ramieniem i przeprosił tak szczerze, że nie pozostało mi nic innego jak wybaczyć mu jego mroczne zniewagi, fanatyczne, przewrotne napaści i wszystkie inne grzechy.

- Stingo, staruszkule, jestem palant, po prostu palant! - zaryczał mi do ucha tak głośno, że aż podskoczyłem. - Ja naprawdę nie chcę być *szmak*; mam taki głupi zwyczaj, że

gadam ludziom różne rzeczy i nie zważam, że mogę kogoś zranić. Wiem, że nie całe Południe jest złe. Słuchaj, coś ci przyrzeknę: obiecuję, że nigdy więcej nie naskoczę na ciebie z tym Południem. W porządku? Zofia, jesteś świadkiem! - Ściskając mnie za ramię zaczął burzyć mi palcami włosy i niczym jakiś przerośnięty, oszalały z miłości do pana sznaucer wypychał w różowe zakamarki mojego ucha wydatny nochał, co, jak zauważyłem, było u niego oznaką dobrego humoru.

W radosnym nastroju pomaszzerowaliśmy do stacji metra. Zofia szła w środku, trzymając nas pod ręce, on zaś znów powrócił do zgrzytliwiemelasowatej wymowy Południa, podrabianej z fantastyczną precyzją. Tym razem nie było w tym jednak złośliwości ani chęci dopieczenia mi. Ta imitacja, tak doskonała, że mogłaby zwieść rodowitego mieszkańca Memphis czy Mobile, rozśmieszyła mnie do łez. Jego talent nie polegał jednak na samej zdolności mimikry; to, co z siebie wyrzucał, było także produktem olśniewające; inwencji. Z prostacką, cedzoną, ledwie zrozumiałą dykcją wydobywał z głębi gardła gruchające kaskady wsiowych odzywek, składających się na tak obłądnie śmieszna i udatną improwizację, że w swym rozbawieniu zapomniałem, iż dotyczy ona tych samych ludzi, na których niedawno wiesział psy z bezlitosną i ponurą zaciekłością. Jestem pewien, że Zofii umknęło wiele niuansów tego popisu, ale i ona, ulegając mojemu zaraźliwemu rechotowi, zawtórowała mi po chwili i nasz głośny, niepohamowany śmiech wypełnił całą Flatbush Avenue. Wszystko to - jak zacząłem sobie niejasno uświadamiać - przynosiło błogosławione oczyszczenie z wszelkich złych i niebezpiecznych emocji, które rozpętały się jak szatańska nawałnica w mieszkaniu Zofii.

Na przestrzeni jednego kwartału niedzielnej, odświętnej ulicy Natan zaimprovizował całą fabułę z południowych Appalachów, coś w rodzaju zaprawionej czarnym humorem, świńskiej i szmi - rowatej klaunady; Papa Yokum z komiksowego Zadupia przeobraził się tu w starego farmera kazirodcę, swawołącego z własną córką, którą Natan, biegły w sprawach medycznych, ochrzcił imieniem Jaglica.

- Czy ktoś ci kiedyś obciągał druta zajęczą wargą? - zaryczał, płosząc dwie dostojne żydowskie matrony z Hadassy, oglądające wystawy. Przemknęły obok nas, wystraszone, podczas gdy on żeglował beztrosko dalej, wcielając się teraz w Mamuškę: - Znowu zmajstrowałeś bachora mojej najdroższej córuchnie! - lamentował po mistrzowsku modulowanym falsetem, boską imitacją głosu głupawej, opuszczonej przez Boga i ludzi ofiary małżeństwa, historii i wynaturzonych genów. Hałaśliwy, sprośny i pełen ekspresji występ Natana, równie niemożliwy do opisania jak utwór muzyczny w całym swoim bogactwie, miał źródło w jakiejś transcendentnej rozpaczy, ale wtedy zacząłem to sobie

dopiero uświadamiać. Na razie, zaśmiewając się do łez, byłem pewien jednego - że mam do czynienia ze swego rodzaju geniuszem. Na podobne zjawisko przyszło mi czekać przez następne dwadzieścia lat, do chwili kiedy zobaczyłem na scenie natchnionego, rozżarzonego do białości Lenny'ego Bruce'a.

Ponieważ było już dobrze po południu, postanowiliśmy odłożyć planowaną degustację morskich przysmaków do wieczora. Aby się zapchać, kupiliśmy na małym stoisku wspaniałe, długie, koszerne frankfurtery z kapustą i cocacolę.

W metrze, zatłoczonym spragnionymi plażowania nowojorczykami, taszczącymi ogromne nadmuchiwane pontony i roz - wrzeszczane potomstwo, udało nam się w końcu znaleźć wolne miejsca; mogliśmy się teraz wszyscy troje rozsiaść, ramię przy ramieniu, i zacząć zajadać nasze niewyszukane, ale całkiem smaczne wiktuały. Podczas gdy Zofia pochłonięta była bez reszty pałaszowaniem hot doga, Natan, powróciwszy do normalnego tonu po swoim aktorskim popisie, starał się, przekrzykując łoskot kół, zawrzeć ze mną bliższą znajomość. Był teraz przymilny, dociekliwy, ale nie nazbyt wścibski, toteż chętnie odpowiadałem na jego pytania. Co mnie sprowadziło do Brooklynu? Co robię? Z czego się utrzymuję? Zdawał się być mile zaskoczony i przejęty wiadomością, że jestem pisarzem; na pytanie o źródło utrzymania zamierzałem, posługując się najgładszą, irlandzką angielszczyzną z plantacji, odpowiedzieć w stylu: „No cóż, miałem takiego jednego Negra - *Kneegrow* - niewolnika, którego sprzedano...”, ale pomyślałem, że mógłby to odebrać jako prowokację i powrócić do swojego monologu, który stawał się już trochę męczący, uśmiechnąłem się więc tylko zagadkowo i odparłem:

- Mam prywatne źródło dochodów.

- A więc jesteś pisarzem - powtórzył z przejęciem i wyraźnym entuzjazmem.

Kręcąc głową, jakby to był jakiś mały cud, nachylił się ku mnie ponad kolanami Zofii i ujął mnie za łokieć. I nie wydało mi się ani trochę krępujące czy egzaltowane, kiedy przeszył mnie spojrzeniem swoich czarnych, melancholijnych oczu i powiedział bardzo głośno: - Wiesz, myślę, że zostaniemy wielkimi przyjaciółmi!

- Och, wszyscy będziemy wielkimi przyjaciółmi - zawtórowała mu niespodziewanie Zofia. Cudowne słońce rozświetliło jej twarz, gdy pociąg wypadł z klaustrofobicznego tunelu i mknął przez podmokłe, nadmorskie przestrzenie południowego Brooklynu. Zarumieniony szczęściem policzek był tuż obok mojego; kiedy znów ujęła nas obu pod rękę, odważyłem się na małą poufałość i delikatnie, dwoma palcami zdjąłem cieniutkie pasemko kapusty, przylepione w kąciku jej ust. - Będziemy najlepszymi z przyjaciół zawołała wibrującym głosem, przekrzykując stukot pędzącego pociągu i uściśnęła

mocno moje ramię. Ten gest nie miał w sobie nic z kokieterii, ale nie był też całkiem zdawkowy. Taki, powiedzmy, krzepiący uścisk kogoś, kto sam bezpieczny w swych uczuciach do innego chciałby zapewnić nowego przyjaciela o zaufaniu i sympatii.

To cholernie mało - pomyślałem sobie - zważywszy na okrutnie niesprawiedliwy fakt, że Natan zarządza niepodzielnie tą drogocenną zdobyczą, ale lepszy już taki smakowity kąsek niż zupełny post. Odpowiedziałem Zofii niezdarnym uściskiem nieodwzajemnionej miłości i jednocześnie uświadomiłem sobie, że tak mi stanął, aż rozboleły mnie jądra. Natan wspomniał wcześniej o dziewczynie, którą ma dla mnie na Coney Island, znajomej, „prawdziwej żyłce” imieniem Leslie. Niechże ta perspektywa będzie mi pociechą - myślałem ze stoickim spokojem zawsze drugiego na mecie, przykrywając dłonią skromnie, niby od niechcenia, gabardynowy wzgórek na moim podołku. Pomimo całej frustracji zacząłem sobie wmawiać, z częściowym sukcesem, że jestem szczęśliwy, i z pewnością byłem, bardziej niż kiedykolwiek. Byłem też gotów uzbroić się w cierpliwość i czekać na uśmiech fortuny, zobaczyć, co przyniosą kolejne, podobne do dzisiejszej niedziele, przeplatane innymi, obiecującymi dniami rozpoczynającego się lata. Poczulem senność. Jednocześnie rozpałała mnie bliskość Zofii, dotyk jej nagiego, lekko wilgotnego ramienia i zapach perfum - ciężki, pospolity, jakby tymianku. Pewnie jakiegoś nieznanego, polskiego zielska. Unoszony falą przyływu pożądania zacząłem roić na jawie, a w moich rojeniach pojawiały się krótkie, ostre przebliski tego, co tak niefortunnie podsłuchiwałem poprzedniego dnia. Zofia i Natan rozwaleni na morelowej narzucie - nie mogłem się uwolnić od tego obrazu. I te słowa, ta kaskada spadających na mnie z góry, oszalałych, miłosnych zaklęć!

Potem ów erotyczny żar, który opromieniał moje sny na jawie, przygasł, szczełł i inne słowa rozbrzmiały w moich uszach echem tak wyraźnym, że aż drgnąłem i wyprostowałem się gwałtownie. Czy rzeczywiście usłyszałem wtedy, wśród tego pandemonium szalonych instrukcji, ogłuszających żądań, wśród okrzyków, stłumionych pomruków i lubieżnych poduszczeń, słowa Natana, które teraz przypomniałem sobie z dreszczem? Nie, to było później. Uprzytomniłem sobie, że w trakcie ich kłótni, ich - jak teraz wiedziałem - niekończącego się konfliktu, dotarł do mnie przez sufit wraz z ciężkim, miarowym łomotem buciorów jego donośny głos, wykrzykujący tonem, który można by poczytać za jakąś parodię egzystencjalnej udręki, gdyby nie przebijała zeń nuta absolutnego, niekłamane go przerażenia: - Czy... nie widzisz... Zofio... że... umieramy! Umieramy!

Zadygotałem gwałtownie, jakby ktoś nagle w pełni zimy rozwarł za moimi plecami wrota na arktyczne pustkowia. Trudno nazwać jakimś wielkim przecuciem to lepkie doznanie, w którym dzień, a wraz z nim moje zadowolenie zaczęły raptownie gasnąć, ale

nagle ogarnął mnie taki niepokój, że zapragnąłem rozpaczliwie uciec, wyskoczyć z pociągu. Gdybym ogarnięty strachem zrobił to wówczas, gdybym wysiadł na najbliższym przystanku, pobiegł do domu Yetty Zimmerman, spakował się i uciekł, byłaby to zupełnie inna historia, a raczej nie byłoby żadnej. Ale pozwoliłem się nieść ku Coney Island, pomagając w ten sposób w spełnieniu proroctwa Zofii, że wszyscy troje zostaniemy „najlepszymi z przyjaciół”.

czwarty

- W Krakowie, kiedy byłem małą dziewczynką - opowiadała mi Zofia - mieszkaliśmy w bardzo starym domu, przy starej krętej uliczce, niedaleko uniwersytetu. To był bardzo stary dom, jestem pewna, że zbudowany, przynajmniej częściowo, przed wiekami. Wiesz, dziwne, ale ten dom i dom Yetty Zimmerman to jedyne domy, w jakich mieszkałam - znaczy prawdziwe domy. Tam się urodziłam, tam spędziłam dzieciństwo i po wyjściu za mąż ciągle tam mieszkałam, aż do wkroczenia Niemców, kiedy musiałam się na krótko przenieść do Warszawy. Uwielbiałam ten dom - był spokojny, pełen ciemnych zakamarków i jako dziecko miałam tam swój własny pokój, wysoko, na trzecim piętrze. Naprzeciw był inny stary dom, z takimi krzywymi kominami, i bociany założyły na dachu gniazdo. Dobrze mówię? Bociany? To śmieszne, ale po angielsku myślę mi się z czaplami. W każdym razie pamiętam gniazdo przy kominie i bociany - wyglądały jak te z książki z baśniami braci Grimm, którą czytałam po niemiecku; pamiętam wszystko bardzo wyraźnie, tę książkę, kolor okładki i obrazki ze zwierzętami, ptakami i ludźmi. Czytałam po niemiecku wcześniej niż po polsku i nawet mówiłam wcześniej po niemiecku, tak że kiedy poszłam do klasztornej szkoły, dziewczyny wyśmiewały mój niemiecki akcent. Wiesz, Kraków to bardzo wiekowe miasto i nasz dom był niedaleko Rynku, na którym stoi piękna średniowieczna budowla, Sukiennice, po angielsku to chyba będzie *cloth hall*; handluje się tam przeróżnymi materiałami i tkaninami. Jest tam jeszcze wieża kościoła Mariackiego z zegarem, bardzo wysoka i zamiast dzwonów są prawdziwi, żywi trębacze, którzy podchodzą do takiej balustradki i trąbią co godzinę. W nocy brzmi to bardzo pięknie. Jest takie odległe i smutne, jak te trąbki w jednej ze suit Bacha na orkiestrę; zawsze kiedy jej słucham, myślę o zamierzchłych czasach i o tym, jak tajemniczą rzeczą jest czas. Kiedy byłem mała, lubiłam leżeć w moim pokoiku w ciemnościach i słuchać stukotu końskich kopyt na ulicy - nie było wtedy jeszcze wielu samochodów w Polsce - a kiedy zasypiałam, słyszałam głos trąbki na wieży i rozmyślałam o czasie, to znaczy o tej jego tajemnicy. Albo leżałam i myślałam o zegarach. W przedpokoju był bardzo stary zegar, taki stojący, jeszcze po dziadkach; kiedyś otworzyłam tylną ściankę i zajrzałam do środka - było tam mnóstwo dźwigienek i kółek i drogich kamieni, lśniących w słońcu, chyba przeważnie rubinów. Potem, w nocy, wyobrażałam sobie, że sama jestem w

zegarze - przyznasz, że to niesamowity pomysł jak na dziecko! - i wiruję płynąc w powietrzu razem ze sprężyną, przyglądam się ruchomym dźwigniom, obrotom różnych trybików i widzę rubiny, czerwone, błyszczące i takie wielkie jak moja głowa. I w końcu zasypiałam i śniłam o zegarze. Ach, mam tyle wspomnień z Krakowa, tyle wspomnień, że nie wiem, od czego zacząć! To były cudowne czasy, te lata między wojnami, nawet dla Polski, kraju biednego i z tym... z kompleksem niższości. Natan uważa, że przesadzam z tymi dobrymi czasami - opowiada różne dowcipy o Polsce, ale ja mówię mu wtedy o mojej rodzinie i o tym, jakie to było kulturalne, cudowne życie, najlepsze, jakie można sobie wyobrazić, naprawdę. „Jakie mieliście rozrywki w niedzielę? - pyta mnie. - Obrzucanie Żydów zgniłymi kartoflami?” Wiesz, jedyne, co on wie o Polsce, to to, że jest bardzo antysemitka, i robi sobie żarty na ten temat, a mnie jest okropnie przykro. To znaczy wiadomo, że w Polsce jest silny antysemityzm, i jest mi tak wstyd jak tobie, Stingo, kiedy była ta *misere* o kolorowych na Południu. Przyznałam Natanowi, że owszem, to prawda, absolutna prawda o tych złych czasach, ale on musi zrozumieć, *vraiment* musi pojąć, że nie wszyscy Polacy byli tacy, że są tam też dobrzy, przyzwoici ludzie, jak moja rodzina... Och, to takie nieprzyjemne rozmowy. Smutno mi, kiedy pomyślę o tej... obsesji Natana, więc chyba zmienię temat... No tak, moja rodzina... Mama i ojciec byli profesorami, dlatego prawie wszystkie moje wspomnienia łączą się z uniwersytetem. To jeden z najstarszych uniwersytetów w Europie, założony jeszcze w czternastym wieku. Nie znałam innego życia, byłam córką nauczycieli, może dlatego wszystko, co pamiętam z tamtych czasów, wydaje mi się takie subtelne, takie kulturalne. Musisz tam kiedyś pojechać, Stingo, i zobaczyć to, i opisać. Polska jest taka piękna. I taka smutna. Wyobraź sobie, że te dwadzieścia lat mojego dorastania, to jedyne dwadzieścia lat, kiedy Polska była wolna. To znaczy wolna po stuleciach! Chyba dlatego mój ojciec tak często powtarzał: „Słońce zaświeciło dla Polski”. Bo po raz pierwszy wszędzie była swoboda, na uniwersytetach i w szkołach - można było studiować, co się chciało. Pewnie dlatego tyle było radości życia, ludzie uczyli się i studiowali, słuchali muzyki, a wiosną i latem jeździli w niedziele na wieś. Czasami myślałam sobie, że kocham muzykę tak mocno jak życie, naprawdę. Chodziliśmy na wszystkie koncerty. Kiedy byłam mała, w domu, w tym starym domu, leżałam czasami wieczorem w łóżku z otwartymi oczami i słuchałam, jak mama gra na fortepianie - Schumanna albo Chopina, albo Beethovena, Scarlattiego czy Bacha; była wspaniałą pianistką - no więc leżałam tak i słuchałam tej cichej muzyki, która wypełniała cały dom, i czułam ciepło i spokój, i bezpieczeństwo. Uważałam, że nikt nie ma takich cudownych rodziców ani tak cudownego życia. I rozmyślałam, co będzie, jak dorosnę: kim będę, może mężatką i nauczycielką, tak jak mama. To byłoby wspaniałe myślałam sobie - grać pięknie,

uczyć innych i wyjść za mąż za jakiegoś znakomitego profesora, takiego jak mój ojciec.

Żadne z moich rodziców nie pochodziło z Krakowa. Matka była z Łodzi, a ojciec z Lublina. Poznali się w Wiedniu, na studiach. Ojciec studiował prawo w Austriackiej Akademii Nauk, a matka muzykę, prywatnie. Oboje byli katolikami, bardzo religijnymi, więc wychowywali mnie w wielkiej pobożności: zawsze chodziłam na mszę do kościoła i na katechizm, ale nie byłam jakąś zwariowaną bigotką. Głęboko wierzyłam w Boga, ale matka i ojciec nie byli, jakby to powiedzieć po angielsku, no wiesz, *dur* - aha, surowi. Nie. Byli ludźmi bardzo liberalnymi, nawet można powiedzieć trochę socjalistami, i zawsze głosowali na partię robotniczą albo na demokratów. Mój ojciec nienawidził Piłsudskiego. Mówił, że on jest dla Polski większym zagrożeniem niż Hitler, i pił przez całą noc wódkę, kiedy Piłsudski umarł. On był pacyfistą i chociaż mówił o tym słońcu, które zaświeciło dla Polski, wiedziałam, że *au fond* jest przygnębiony i zaniepokojony. Kiedyś usłyszałam, jak powiedział do matki - musiało to być około 1932 roku - no więc usłyszałam, jak powiedział ponuro: „To się długo nie utrzyma. Będzie wojna. Polsce nigdy nie było dane cieszyć się długo szczęściem”. Mówił to, pamiętam, po niemiecku. W naszym domu mówiło się częściej po niemiecku niż po polsku. W szkole nauczyłam się mówić prawie płynnie *français*, ale mój niemiecki był lepszy. To był wpływ Wiednia, gdzie rodzice spędzili tyle lat i gdzie ojciec był później profesorem prawa - a niemiecki był wtedy językiem wykładowym. Moja matka prowadziła świetną, wiedeńską kuchnię. Umiała też przyrządzić kilka dobrych polskich potraw, ale polska kuchnia nie jest za bardzo *haute cuisine*, więc zapamiętałam głównie to, co gotowała w tej naszej wielkiej kuchni, jaką mieliśmy w Krakowie: *Gulasch Suppe* i *Schnitzel* i, ach, szczególnie taki pyszny deser, leguminę Metternicha, z masą kasztanów i kremu, i ze skórką pomarańczową.

Wiem, że to już chyba nudne, kiedy tak ciągle powtarzam, ale matka i ojciec byli cudownymi ludźmi. Natan jest teraz w porządku, spokojny, to jeden z jego lepszych okresów (tak się chyba mówi?). Ale kiedy ma zły okres, jak wtedy kiedy zobaczyłeś go pierwszy raz, kiedy przechodzi jedną z tych swoich *tempêtes*, jak ja to nazywam, zaczyna na mnie wrzeszczeć i wyzywa mnie od antysemitycznych polskich świń. Och, ten jego język i te wyzwiska, słowa, jakich nigdy nie słyszałam, najpierw po angielsku, potem w jidysz, jak się da! Ale zawsze coś takiego: „Ty parszywa polska Świnio, ty nędzna *nafko*, kurwo, zabijasz mnie tak jak te twoje parszywe polskie świnie, co zawsze zabijały Żydów!” Próbuję coś powiedzieć, ale nie słucha, stoi tak oszalały z wściekłości i wiem, że nie ma wtedy sensu mówić mu o dobrych Polakach, takich jak mój ojciec. Tatuś urodził się w Lublinie, kiedy miasto należało jeszcze do Rosji i było tam dużo, bardzo dużo Żydów i te straszne pogromy.

Raz mama mi opowiadała - bo ojciec nigdy o tym nie mówił - że kiedy był młody, razem z bratem, księdzem, narażając życie ukryli trzy żydowskie rodziny przed kozakami. Ale ja wiem, że gdybym próbowała powiedzieć tym Natanowi podczas takiej *tempête*, wrzeszczałby tylko jeszcze bardziej i wyzwałby mnie od brudnych, polskich, kłamliwych świń. Och, muszę być wtedy taka cierpliwa - wiem, że to choroba, że dzieje się z nim coś złego, więc odwracam się milcząco, i myślę o innych rzeczach, czekając, aż *tempête* przejdzie i znowu będzie dla mnie miły i słodki, pełen *tendresse* i miłości.

To musiało być jakieś dziesięć lat temu, na rok czy dwa przed wybuchem wojny, kiedy usłyszałam po raz pierwszy słowo *Massenmord* z ust ojca. Po tych historiach z gazet o strasznych wypadkach, o burzeniu synagog i żydowskich sklepów przez nazistów w Niemczech. Pamiętam, że ojciec mówił najpierw coś o Lublinie i o tych pogromach, których był świadkiem, a potem powiedział: „Wtedy ze wschodu, teraz z zachodu. Tym razem to będzie *ein Massenmord*”. Nie wiedziałam w ogóle, o czym on mówi, może dlatego, że choć w Krakowie istniało getto, nie było tam tylu Żydów co w innych miastach, a zresztą nie myślałam onich jak o kimś odmiennym, jak o ofiarach czy prześladowanych. Byłam chyba zupełną ignorantką, Stingo. Wyszłam wtedy za męża za Kazimierza; byłam bardzo, bardzo młoda, wydawało mi się, że ciągle jestem małą dziewczynką i że to cudowne życie, tak przyjemne i bezpieczne, trwać będzie wiecznie. Mama, tatuś, Kazimierz i Zosia - Zosia to zdrobnienie od Zofii - żyją sobie szczęśliwie w wielkim domu, jedzą *Wiener Gulasch Suppe*, studiują, uczą się i słuchają Bacha, ach - po wieczne czasy. Nie rozumiem, jak mogłam być taka głupia. Kazimierz wykładał matematykę i poznałam go na przyjęciu wydanym przez rodziców dla kilku młodych naukowców z uniwersytetu. Planowaliśmy, że po ślubie pojedziemy do Wiednia, tak jak mama i ojciec. Miało być tak jak z nimi: Kazimierz miał się doktoryzować w Akademii Austriackiej, a ja studiować muzykę. Grałam na fortepianie od ósmego czy dziewiątego roku życia i chciałam studiować u takiej bardzo sławnej nauczycielki, *Frau* Theimann, która uczyła moją matkę i ciągle jeszcze dawała lekcje, choć była już bardzo stara. Ale w tym samym roku był *Anschluss* i do Wiednia weszli Niemcy. Bardzo to wszystkich zaniepokoiło i ojciec powiedział, że z pewnością będzie wojna.

Bardzo dobrze pamiętam ten ostatni rok, kiedy byliśmy jeszcze razem w Krakowie. Nie mogłam jakoś uwierzyć, że to nasze wspólne życie może się kiedykolwiek zmienić. Byłam taka szczęśliwa z Kazimierzem - Kazikiem - i bardzo go kochałam. On był taki wyrozumiały i kochający, i taki inteligentny, a musisz wiedzieć, Stingo, że pociągają mnie tylko inteligentni mężczyźni. Trudno powiedzieć, czy kochałam Kazika bardziej niż Natana

- Natana kocham tak bardzo, że to aż boli - zresztą nie powinno się chyba

porównywać jednej miłości do drugiej. W każdym razie kochałam Kazika bardzo głęboko i myśl o zbliżającej się wojnie i o Kaziku w mundurze była nieznośna. Staraliśmy się więc o tym nie myśleć i przez ten rok chodziliśmy na koncerty i do teatru, czytaliśmy dużo książek, chodziliśmy na długie spacery po mieście i podczas tych spacerów zaczęłam się uczyć rosyjskiego. Kazik mieszkał przedtem w Brześciu Litewskim, który tak długo należał do Rosjan, więc znał rosyjski tak jak polski i nauczył mnie mówić całkiem niezle. Nie tak jak mój ojciec, który też mieszkał kiedyś w zaborze rosyjskim, ale tak nienawidził Rosjan, że nie chciał mówić ich językiem, chyba że musiał. Tak czy inaczej wolałam wtedy nie myśleć, że wszystko się skończy. Wiedziałam, że będą jakieś zmiany, ale takie normalne, no wiesz, jak na przykład przeprowadzka od rodziców do własnego domu i założenie rodziny. Ale to - myślałam sobie - dopiero po wojnie; jeśli nawet będzie, na pewno nie potrwa długo i Niemcy zostaną pobici, a wtedy Kazik i ja natychmiast pojedziemy na studia do Wiednia, tak jak zawsze planowaliśmy. Jaka ja byłam głupia, że tak myślałam, Stingo! Zupełnie jak mój stryj Stanisław, brat ojca, rotmistrz kawalerii. Był moim ukochanym stryjkiem, pełnym życia, takiego hałaśliwego optymizmu i wiary w potęgę Polski *la gloire, tu comprends, la patrie, et cetera*, jak gdyby Polska nigdy nie była w pruskiej, austriackiej i rosyjskiej niewoli, ale miała zawsze tę *continuity* jak Francja czy Anglia albo wasz kraj. Odwiedzał nas w Krakowie w mundurze, z szablą i z tymi swoimi wąsami huzara, i mówił bardzo głośno, śmiał się i powtarzał, że jeśli Niemcy odważą się napaść na Polskę, dostaną nauczkę. Myślę, że ojciec nie chciał mu robić przykrości, więc nie spierał się, ale Kazik miał taki bezpośredni, logiczny sposób myślenia i przekomarzał się z nim po przyjacielsku, pytając, co zrobi kawaleria, kiedy Niemcy wkroczą z wojskami pancernymi i czołgami. Na co stryj, że najważniejszy jest teren, a polska kawaleria wie, jak się poruszać po znajomym terenie i Niemcy poniosą totalną klęskę na obcym terytorium, i w ten sposób polskie wojsko ich wyprze. No i wiesz, co się stało, kiedy doszło do konfrontacji - *une catastrophe totale* w niecałe trzy dni. Och, to wszystko było takie niemądre, takie rycerskie i bezużyteczne ci wszyscy kawalerzyści ze swoimi końmi! I takie smutne, Stingo, takie strasznie smutne...

Kiedy Niemcy wkroczyli do Krakowa - we wrześniu 1939 roku - byliśmy wszyscy zszokowani i wystraszeni, i oczywiście nie mogliśmy się z tym pogodzić, ale zachowaliśmy spokój i nadzieję na zmianę sytuacji. Prawdę mówiąc, na początku nie było tak źle; wierzyliśmy, że Niemcy będą nas traktować przyzwoicie. Nie zbombardowali miasta jak Warszawy, a więc czuliśmy się jakby wyróżnieni i bezpieczniejsi, bo nas oszczędzono. Niemieccy żołnierze zachowywali się bez zarzutu i pamiętam, jak ojciec powiedział, że to potwierdza coś, w co zawsze wierzył. Czyli starą pruską tradycję wojskową, z kodeksem

honorowym i dobrymi obyczajami, które nie pozwolą im nigdy skrzywdzić cywilnej ludności czy dopuścić się wobec niej okrucieństw. Uspokajało nas także to, że te tysiące żołnierzy mówiły językiem, który był dla naszej rodziny prawie jak ojczysty. No więc panika była tylko na samym początku, a potem wydawało się, że nie jest tak źle. Ojciec strasznie przeżywał wieści na temat tego, co działo się w Warszawie, ale mówił, że trzeba żyć po staremu. Mówił, że nie ma złudzeń co do stosunku Hitlera do inteligencji, ale że w innych miastach, w Wiedniu i w Pradze, wielu profesorów mogło kontynuować pracę naukową i że Kazimierz też na pewno będzie mógł. Mijał tydzień za tygodniem i nic się nie działo, więc przekonaaliśmy się, że tym razem w Krakowie wszystko będzie dobrze, to znaczy znośnie.

Pewnego listopadowego ranka poszłam na mszę w kościele Mariackim, wiesz, tym z trąbkami. Chodziłam dość często do kościoła po wkroczeniu Niemców i modliłam się o rychły koniec wojny. Może zabrzmiało to dla ciebie samolubnie i okropnie, Stingo, ale chciałam końca wojny dlatego, żeby móc zacząć z Kazikiem te studia w Wiedniu. Oczywiście było milion innych powodów, żeby się modlić, ale ludzie są egoistami; byłam bardzo szczęśliwa, że moja rodzina żyje i jest bezpieczna, więc marzyłam tylko o końcu wojny, żeby życie potoczyło się znów po staremu. Ale kiedy modliłam się tamtego ranka, miałam... **premonition**, tak, przeczucie, i zaczął mnie powoli ogarniać narastający strach. Nie wiedziałam, czego się boję, ale nagle słowa modlitwy zamarły mi na ustach i poczułam w kościele powiew wiatru, wilgotny i zimny. A potem już wiedziałam, skąd się wziął ten strach, to coś, co przeszło mnie jak oślepiający błysk. Tego samego ranka nowy nazistowski gubernator generalny krakowskiego dystryktu, Frank, polecił zebrać się wszystkim wykładowcom na **cour de maison**, no wiesz, na dziedzińcu uniwersytetu, gdzie mieli im odczytać nowe zasady funkcjonowania uczelni pod okupacją. Nic ważnego. Zwykłe zebranie. Mieli się stawić właśnie tego ranka. Ojciec i Kazik dowiedzieli się o tym poprzedniego dnia i wszystko wydawało się całkiem normalne, więc nikt się nad tym specjalnie nie zastanawiał. Ale teraz, w tym nagłym olśnieniu, poczułam, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego i wybiegłam z kościoła.

I, och, Stingo, wyobraź sobie - nigdy już nie zobaczyłam ojca ani Kazika. Biegłam - to było niedaleko - i kiedy dotarłam do uniwersytetu, zobaczyłam obok głównej bramy wielki tłum.

Ulica była zamknięta dla ruchu; stały tam wielkie niemieckie budy i żołnierze z karabinami i automatami. Drogę zagradzała **barrière**, żołnierze nie chcieli mnie przepuścić i wtedy zobaczyłam pewną starszą panią, którą dobrze znałam, panią profesor Wochnę jej mąż wykładał **la chimie**, no wiesz, chemię. Dostała histerii i z płaczem rzuciła się w moje

ramiona. „Nie ma ich, zabrali ich wszystkich!” Nie mogłam w to uwierzyć, po prostu nie mogłam, ale podeszła do nas żona innego wykładowcy i powiedziała z płaczem: „To prawda. Wywieźli ich. Mojego męża, profesora Smolenia też”. Dopiero wtedy uwierzyłam, zobaczyłam kryte ciężarówki jadące na zachód i uwierzyłam. I też zaczęłam histerycznie płakać. Pobiegłam do domu i powiedziałam wszystko mamie, i płakałyśmy obie, tuląc się do siebie. Mama powtarzała: „Zosiu, Zosiu, dokąd oni pojechali? Gdzie ich wywieźli?” Odpowiadałam, że nie wiem, ale po miesiącu dowiedzieliśmy się: ojca i Kazika wywieźli do obozu w Sachsenhausen; obu rozstrzelano w Nowy Rok. Zamordowali ich tylko dlatego, że byli Polakami i naukowcami. Było tam wielu innych naukowców, w sumie chyba stu osiemdziesięciu, i większość z nich też nigdy nie wróciła. Wkrótce później wyjechałyśmy do Warszawy - musiałam znaleźć jakąś pracę...

Po pięciu długich latach, w 1945 roku, kiedy wojna się skończyła i trafiłam do obozu dla dipisów w Szwecji, wracałam często pamięcią do czasu, kiedy ojciec i Kazik zostali zamordowani, myślałam o tych wszystkich przelanych łzach i zastanawiałam się, co się stało, że nie mogę już płakać. I tak naprawdę, Stingo, nie było już we mnie żadnych uczuć. Byłam wyprana z uczuć i jakby zabrakło mi łez. I tam, w Szwecji, zaprzyjaźniłam się z jedną Żydówką z Amsterdamu, która była dla mnie bardzo dobra, zwłaszcza po tym, jak próbowałam odebrać sobie życie. Chyba się za bardzo nie starałam, przecięłam sobie żyły kawałkiem szkła i krwi było niewiele, no i ta stara Żydówka była bardzo miła i tego lata dużo rozmawiałyśmy ze sobą. Ona była w tym samym obozie co ja i straciła dwie siostry. Nie mam pojęcia, jak jej samej udało się przeżyć; zamordowali tam tylu Żydów, miliony Żydów, ale ona jakoś przeżyła, tak jak ja, jak nieliczni. Mówiła bardzo dobrze po angielsku i po niemiecku i w ten sposób zaczęłam się uczyć angielskiego, ponieważ wiedziałam już, że prawdopodobnie pojedę do Ameryki.

Ona była bardzo religijna i często chodziła się modlić do tamtejszej synagogi. Powiedziała mi, że ciągle jeszcze wierzy mocno w Boga i zapytała, czy ja też wierzę - w Boga chrześcijan tak jak ona w swojego Boga Abrahama. Mówiła, że wszystko, co przeżyła, jeszcze bardziej umocniło ją w wierze, mimo że знаła wielu Żydów, którzy twierdzili, że Bóg opuścił ludzi. Powiedziałam jej, że tak, wierzyłam kiedyś w Chrystusa i Matkę Boską, ale po tym wszystkim stałam się jak ci Żydzi, którzy uważają, że Bóg odszedł na zawsze. Powiedziałam, że Chrystus odwrócił się ode mnie i nie mogę się już do niego modlić, jak to kiedyś robiłam w Krakowie. Nie mogłam się już modlić ani płakać. Kiedy zapytała, skąd wiem, że Chrystus odwrócił się ode mnie, powiedziałam, że po prostu wiem, że tylko Bóg, tylko Jezus, który nie zna litości i którego nie obchodzi, mógł pozwolić na to, by ci, których

kochałam, zostali zabici i żebym żyła z takim ciężarem. Już sama ich śmierć była straszna, ale tego poczucia winy znieść nie mogłam. *On peut souffrir*, ale cierpienie ma swoje granice...

Myślisz może, że to nic wielkiego, Stingo, ale najstraszniejsze to pozwolić komuś umrzeć bez pożegnania, bez *adieu*, bez jednego słowa pociechy czy wybaczenia. Napisałam wiele listów do ojca i Kazika do Sachsenhausen, ale wszystkie wracały z dopiskiem: „adresat nieznany”. Chciałam im tylko powiedzieć, jak bardzo ich kocham, zwłaszcza Kazikowi, nie dlatego, że kochałam go bardziej niż ojca, ale dlatego, że kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, doszło między nami do okropnej awantury i to było straszne. Prawie nigdy się nie kłóciliśmy, ale byliśmy małżeństwem już ponad trzy lata i to chyba normalne, że czasem musieliśmy się posprzeczać. W każdym razie w wieczór poprzedzający ten straszny dzień była okropna awantura, nawet nie pamiętam o co, naprawdę, i powiedziałam mu: „Niech cię szlag trafi” i on wybiegł z pokoju, i tej nocy spaliliśmy osobno. I nigdy więcej go nie zobaczyłam. I dlatego tak trudno to znieść, że nie było nawet przyzwoitego rozstania - pocałunku, uścisku, nic. Ach, byłam pewna, że Kazik wie, że go kocham, i wiedziałam, że on mnie kocha, ale tym gorsze było, że i on musiał cierpieć, nie mogąc mi tego powiedzieć, że nie mogliśmy dać sobie znać, że się kochamy.

Tak więc, Stingo, żyłam długo z tym wielkim poczuciem winy, którego nie mogłam się pozbyć, mimo iż wiedziałam, że jest bezsensowne, jak twierdziła ta Żydówka ze Szwecji, kiedy próbowała wytłumaczyć mi, że najważniejsza była nasza miłość, a nie ta głupia kłótnia. Ale ciągle czuję się winna. To dziwne, Stingo, ale wiesz, nauczyłam się znowu płakać i to chyba znaczy, że znów jestem ludzką istotą. Często płaczę, kiedy jestem sama i słucham muzyki; przypomina mi to Kraków i minione lata. I wiesz, jest jeden taki utwór, którego nie mogę słuchać, bo zaraz płaczę tak, że nie mogę oddychać, a łzy płyną strumieniami. To taki utwór *Wiem, że mój Zbawiciel żyje* z tych płyt Haendla, które dostałam pod choinkę; płaczę wtedy z powodu tej mojej winy i jeszcze dlatego, że mój Zbawiciel nie żyje i ciało moje stoczą robaki, a oczy moje nigdy nie ujrzą Pana...

W czasie, o którym piszę, owego rozgorączkowanego lata 1947 roku, kiedy tyle opowiedziała mi o sobie i kiedy los schwytał mnie jak jakiegoś nieszczęsnego robaczka w niesamowitą, pajęczą sieć emocji łączących ją z Natanem, Zofia pracowała gdzieś w odległym rejonie Brooklynu jako półetatowa recepcjonistka doktora Hymana Blackstocka (*ne* Białystok). Mieszkała już wtedy w Ameryce prawie półtora roku. Doktor Blackstock był kręgarzem, zasiedziały imigrantem z Polski. Wśród swej klienteli miał wielu starych imigrantów, ale także nowo przybyłych żydowskich uchodźców. Zofia dostała u niego pracę wkrótce po przybyciu do Nowego Jorku, na początku poprzedniego roku, kiedy to

przywieziono ją do Ameryki w ramach międzynarodowej akcji pomocy ofiarom wojny. Początkowo Blackstock (który oprócz swojego *mamaloszen jidysz* posługiwał się płynną polszczyzną) był nieco zakłopotany tym, że agencja przysłała mu młodą gojkę, która w jidysz znała zaledwie kilka słów wyuczonych w obozie. Jednakże ten dobroduszny człowiek, ujęty bez wątpienia jej urodą, ciężkim położeniem i nienaganną niemczyzną, dał jej w końcu pracę, której tak rozpaczliwie potrzebowała, posiadając niewiele ponad marną odzież, w którą zaopatrzone ją w szwedzkim obozie dla dipisów. Blackstock martwił się niepotrzebnie: już po kilku dniach Zofia swobodnie gawędziła z pacjentami w jidysz, jak gdyby urodziła się w getcie. W tym samym mniej więcej czasie wynajęła pokój u Yetty Zimmerman - swoje pierwsze prawdziwe mieszkanie od siedmiu lat. Pracowała tylko trzy dni w tygodniu, co ledwie pozwalało jej, jak się to mówi, związać koniec z końcem, lecz także pozostawiało sporo wolnego czasu na doskonalenie angielskiego na darmowych kursach w Brooklyn College i asymilację w tej kipiącej życiem, rozległej i pełnej aktywności dzielnicy.

Mówiła mi, że nigdy się nie nudzi. Była zdecydowana zapomnieć o piekle przeszłości - na tyle, na ile pozwalała jej obolała, udręczona pamięć - a zatem to ogromne miasto było dla niej i pod względem duchowym, i materialnym Nowym Światem. Fizyczne wyczerpanie nie powstrzymywało jej od korzystania z dostępnych przyjemności - zachowywała się jak dziecko wpuszczone do lodziarni. Przede wszystkim muzyka; sama łatwość dostępu do muzyki napełniała ją - jak mówiła - uczuciem rozkoszy, podobnym do tego, jakiego doznajemy wiedząc, że za chwilę zjemy jakiś wyjątkowy przysmak. Dopóki nie poznała Natana, nie mogła sobie pozwolić na kupno gramofonu, ale to jej nie przeszkadzało: z taniego, przenośnego radyjka, jakie sobie kupiła, ze stacji oznaczonych tajemniczymi inicjałami WQXR, WNYC, WEVD, których nigdy nie umiała poprawnie wymówić, płynęła wspaniała muzyka, a aksamitne głosy spikerów zapowiadały magiczne nazwiska geniuszy i mistrzów, których harmonijnych melodii tak długo była pozbawiona. Nawet tak ograne kompozycje jak *Niedokończona* Schuberta czy *Eine Kleine Nachtmusik* porywały ją swą świeżością. I oczywiście były też koncerty - w Academy of Music i latem na Lewisohn Stadium na Manhattanie: wspaniała muzyka, tak tanio, że wręcz darmo - na przykład koncert skrzypcowy Beethovena z Yehudi Menuhinem, naładowany tak szaloną, żarliwą pasją i czułością, że kiedy siedziała tam sama, wysoko na obrzeżu amfiteatru, drząc lekko pod lśniącymi gwiazdami, doznała zdumiewająco błogiego spokoju i ukojenia i jednocześnie odczuła, że są rzeczy, dla których warto żyć, że naprawdę może zebrać rozproszone odłamki swojego życia i odbudować swą nową jaźń, jeśli tylko pojawi się cień szansy.

W tych pierwszych miesiącach większość czasu spędzała samotnie. Problemy

językowe (wkrótce przewyciężone) onieśmielały ją, ale mimo to była zadowolona z samotności, wręcz się nią rozkoszowała, jako że w ostatnich latach brakowało jej bardzo intymności. Brakowało jej też książek i w ogóle słowa drukowanego, rzuciła się więc łąpczywie na lektury: zaprenumerowała polskoamerykańską gazetę i często zachodziła do polskiej księgarni przy Fulton Street, gdzie była duża biblioteka. Gustowała szczególnie w przekładach z literatury amerykańskiej; zapamiętała, że pierwszą przeczytaną książką był *Manhattan Transfer* Dos Passosa. Potem *Pożegnanie z bronią*, *Tragedia amerykańska* i *O czasie i rzece* Wolfe'a, tak fatalnie przetłumaczona na polski, że musiała złamać daną sobie w obozie przysięgę, iż nie przeczyta w życiu niczego po niemiecku, i sięgnąć po niemieckie wydanie z biblioteki publicznej. Może sprawił to udany i jędry tym razem przekład, a może Wolfe'owska lirycznotragiczna, choć pełna optymizmu i rozmachu wizja Ameryki była tym, czego potrzebowała w tym czasie psychika Zofii, nowo przybyłej, z powierzchowną jedynie znajomością pejzażu tego kraju i jego gargantuicznej ekstrawagancji - dość, że właśnie *O czasie i rzece* zafascynowała ją najbardziej ze wszystkich przeczytanych tej zimy i wiosny książek. Wolfe do tego stopnia zawładnął jej wyobraźnią, że postanowiła zabrać się do przeczytania *Spójrz ku domowi, aniele* w oryginale, szybko się jednak poddała, stwierdziwszy, że to zadanie ponad jej siły. Dla początkujących język nasz, ze swą dziwną ortografią i nawykami, ujawniającymi swą absurdalność szczególnie w druku, jest językiem okrutnym, tak że umiejętność czytania i pisanja zawsze pozostawała u Zofii w tyle za uroczo - przynajmniej dla mnie - łamaną angielszczyzną mówioną.

Cała jej wiedza o Ameryce ograniczała się do Nowego Jorku, głównie Brooklynu - i w końcu pokochała to miasto, które jednocześnie ją przerażało. Poznała w życiu tylko dwa miasta: niewielki Kraków z jego gotyckim spokojem, a później bezkształtne rumowisko, jakim była Warszawa po *Blitzkriegu*. Jej najcudowniejsze wspomnienia - które chciała zachować jak najdłużej - związane były z miastem rodzinnym, zastygłym od niepamiętnych czasów we fryzach starodawnych dachów, w krętych uliczkach i zaułkach. Lata dzielące okres krakowski od brooklińskiego zmusiły ją do podjęcia - dla zachowania zdrowia psychicznego - prób wymazania tego czasu z pamięci. Mówiła, że w te pierwsze poranki w domu Yetty, kiedy budziła się w obcym łóżku wśród dziwnych różowych ścian i kiedy senna jeszcze wsłuchiwała się w odległe, nikłe odgłosy ruchu ulicznego na Church Avenue, nie mogła przez dłuższy czas rozpoznać ani siebie, ani otoczenia i czuła się, jakby była w transie, jak ta zaklęta dziewczyna z baśni braci Grimm, lektury jej dzieciństwa, przeniesiona nocnymi czarami do nowego i nieznanego królestwa. Wtedy, mrużąc oczy, budziła się na dobre z uczuciem melancholii zmieszanej w przedziwny sposób z radością i mówiła do siebie: „Nie

jesteś w Krakowie, Zosiu, jesteś w Ameryce”. Potem wstawiała, by wyjść na spotkanie pandemonium metra i pacjentom doktora Blackstocka. I zielonemu, pięknemu, swojskiemu, ruchliwemu, brudnemu i niepojętemu bezmiarowi Brooklynu.

Z nadejściem wiosny Prospect Park, bliski na wyciągnięcie ręki, stał się ulubionym azylem Zofii; przyjemnie jest pomyśleć, że w owych czasach był jeszcze miejscem, po którym mogły bezpiecznie spacerować samotne i śliczne blondynki. W przymglonym pyłkami kwiatów świetle niebotyczne szarańczyny i wiązy, upstrzone wszelkimi odcieniami nakrapianej złotem zieleni, wznosiły się groźnie nad falującymi trawami, gotowe udzielić schronienia jakiejś *fête champêtre* z obrazów Watteau czy Fragonarda; pod tymi właśnie drzewami zasiadała Zofia w wolne dni i weekendy, urządając sobie wspaniałe pikniki. Jak mi później wyznała z lekkim zażenowaniem, natychmiast po przyjeździe do Nowego Jorku dostała obsesji, prawdziwego kręčka na punkcie jedzenia. Wiedziała, że powinna zachować ostrożność. Lekarz ze szwedzkiego Czerwonego Krzyża, który się nią zajmował w ośrodku dla dipisów, stwierdził, że jej wycieńczenie jest tak poważne, iż prawdopodobnie spowodowało bardziej lub mniej trwałe zmiany metabolizmu: ostrzegł ją, by unikała nadmiernych ilości pokarmu, szczególnie tłuszczów, bez względu na to, jak silna byłaby pokusa. Ostrzeżenia sprawiły tylko, że jedzenie stanowiło tym większą atrakcję, coś w rodzaju ekscytującej gry, jaką prowadziła, wchodząc w porze lunchu do jednego ze wspaniałych sklepów Flatbush, by zakupić wiktuały na swą wyżerkę w Prospect Parku. Przywilej wyboru wywoływał u niej zmysłową reakcję graniczącą z bólem. Było tu tak wiele jedzenia, taka jego różnorodność i obfitość, że za każdym razem zapierało jej dech, a oczy zachodziły mgłą z wielkiej emocji. Bez pośpiechu i z wystudiowanym namaszczeniem zaczynała wybierać z - tego kwaskowatoaromatycznego, rozrzuconego nadmiaru: tu marynowane jajko, tam plasterek salami, pół bochenka czarnego pumpernikla ze wspaniałą glazurowaną skórką. *Bratwurst. Braunschweiger.* Trochę sardynek. Gorące pastrami. Wędzonego łososa. Bajgielkę proszę. Ściskając papierową torbę, z litaniami przestroóg rozbrzmiewającą w uszach - „Pamiętaj, co powiedział doktor Bergström, nie obżeraj się” - przemierzała codzienną trasę do jednego z najdalszych zakątków parku w pobliżu wielkiego jeziora i tam - przezuwając starannie, z podniebieniem olśnionym ponownym odkrywaniem smakowych wrażeń - otwierała *Studs Lonigana* na trzysta pięćdziesiątej stronie.

Szukała po omacku. Doświadczała powtórnych narodzin w każdym sensie tego słowa; było w niej coś z nieruchawości i wielkiej bezradności noworodka. Przypominała paralytyka odzyskującego stopniowo władzę w członkach. Małe przedmioty, śmieszne drobiazgi wprawiały ją w zakłopotanie. Zapominała, jak należy szczepić dwie skuwki zamka

błyskawicznego, by zapiąć podarowaną jej kurtkę. Te niezgrabne manipulacje przerażały ją; pewnego dnia wybuchnęła płaczem, kiedy, próbując wycisnąć jakąś kosmetyczną emulsję ze zwykłej plastikowej tubki, nacisnęła tak mocno, że zawartość wytrysnęła, plamiąc jej nową sukienkę.

Ale czyniła postępy. Czasami bolały ją kości, zwłaszcza golenie i stawy skokowe, a chód miała niepewny, co zdawało się wiązać z ogarniającym ją często zniechęceniem i znużeniem, które tak rozpaczliwie starała się przezwyciężyć. A jednak, choć nie mogła w pełni egzystować w jasnym świetle dnia - że użyję tak banalnej metafory na określenie dobrego zdrowia - czuła się bezpieczna z dala od tej mrocznej otchłani, która jej omal nie pochłonęła. Była tego szczególnie bliska, gdy niewiele ponad rok wcześniej, w dopiero co wyzwolonym obozie, w ostatnich godzinach tej egzystencji, o której chciała zapomnieć, głos Rosjanina - bas - - baryton, ochrypli i żrący jak ług - przeniknął przez jej delirium, przez pot i gorączkę, przez gnojowisko twardej pryczy, na której leżała, i wymamrotał nad nią beznamyślnie: „Z tą chyba też koniec”. Bo nawet wtedy wiedziała, że to nie był koniec; teraz zaświadczały tej prawdzie - mogła to z ulgą stwierdzić - nieśmiało, ale zmysłowe pomruki głodu, rozlegające się w tym podniosłym momencie, jaki poprzedzał każdy kolejny kęs, podczas gdy nozdrza chłonęły słonawy zapach ogórków, musztardy i kminku na żydowskim żytnim chlebie od Levy'ego.

Jednak pewnego późnego, czerwcowego popołudnia omal nie nastąpił tragiczny finał tego stanu chwiejnej równowagi, jaką sobie wypracowała. Jednym z przejawów wielkomięjskiego życia, odnotowanych negatywnie w rejestrze wrażeń, było metro. Nienawidziła nowojorskiej kolejki podziemnej z jej brudem i hałasem, ale jeszcze bardziej z powodu klaustrofobicznej bliskości tak wielu ludzkich ciał, ruchu w godzinach szczytu, ścisku, który zdawał się neutralizować, jeśli nie unicestwiać, tak długo upragnioną intymność. Zdawała sobie sprawę, iż tkwi jakiś paradoks w tym, że ktoś, kto przeszedł tyle co ona, jest tak wymagający, że wzdraga się przed czymś tak naskórkowym, jak dotknięcie obcego. Ale tak było; nie mogła się pozbyć tego uczucia stanowiącego część jej nowej, przeobrażonej tożsamości. Ostatnim postanowieniem, jakie powzięła w rojącym się od ludzi ośrodku dla uchodźców w Szwecji, była decyzja, że spędzi resztę życia unikając tłumów; hałaśliwa kolejka BMT z perfidią udaremniła realizację tego absurdalnego zamysłu. Wracając kiedyś wczesnym wieczorem z pracy wsiadła do przedziału bardziej niż zwykle zatłoczonego, do gorącej, dusznej klatki, wypakowanej nie tylko zwykłym, wielorasowym tłumem spoconych brookliń - czyków w koszulkach i podkoszulkach, reprezentującym różne stopnie uległego ubóstwa, ale także gromadą wrzaskliwych licealistów z baseballowymi utensyliami, którzy

jak powódź wtargnęli do przedziału w śródmieściu, przepychając się tak po chamsku i brutalnie, że ścisk stał się nie do zniesienia. Bezlitośnie spychana w sam koniec przedziału, drobiąc, potykając się i ustępując pod naporem kauczukowych torsów i gładkich, spoconych ramion, znalazła się na wilgotnym, ciemnym pomoście łączącym wagony, ściśnięta pomiędzy dwoma ludzkimi kształtami. Próbowła je bezwiednie zidentyfikować, gdy nagle kolejka zahamowała ze zgrzytem i szarpnięciem i światła zgasły. Ogarnął ją mdlący strach. Jęk zawodu wyrażanego cichymi stęknieniami i westchnieniami zagłuszyły ochryple wrzaski chłopców, najpierw pojedyncze pohukiwania, potem ciągły ryk; Zofia, zaklinowana w najczarniejszym mroku, uprzytomniła sobie w ułamku sekundy, że żaden jej krzyk ani protest nie zda się na nic i wtedy poczuła, jak czyjaś ręka wsuwa się jej od tyłu pod spódniczkę, pomiędzy uda.

Jeśli było w tym wszystkim coś pocieszającego - jak później na trzeźwo rozważała - to to, że nie uległa panice, jaka normalnie opanowałaby ją w takim tumultcie i nieznośnym upale w stojącym, ciemnym pociągu. Jęknęła nawet tak jak wszyscy. Ale ręka ze sztywno wyprostowanym środkowym palcem - operująca z wprawą i pośpiechem chirurga, nieprawdopodobnie stanowcza w swoich sondowaniach i penetracjach - zadbała już o to, by zwykła panika ustąpiła w jej świadomości szokującemu i pełnemu grozy niedowierzaniu kobiety gwałconej palcem. Bo to właśnie miało miejsce - nie przypadkowe, niezdarne obmacywanie, ale błyskawiczna, otwarta napaść na - mówiąc wprost - jej pochwę, którą ten bezosobowy palec penetrował niczym jakiś wstrętny, ruchliwy gryzoń, wślizgując się najpierw pod jedwab, a potem wsuwając się w całej swej długości, aż do bólu, choć może był to nie tyle ból, co raczej obezwładniające zdumienie. Wyczuwała nawet niewyraźnie paznokiec i usłyszała swoje zduszone: „Proszę!”, natychmiast zresztą uświadamiając sobie banalność i bezsensowność tego słowa. Cały incydent nie trwał dłużej niż pół minuty, po czym obmierzła łapa wycofała się w końcu. Zofia stała rozdygotana w dławiącej ciemności, której, zdawało się, nigdy już nie rozproszy światło. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, nim zapłonęły lampy - może pięć, może dziesięć minut - ale kiedy wreszcie to nastąpiło i pociąg ruszył, miotając ciałami na wszystkie strony, stwierdziła, że nie ma najmniejszej szansy rozpoznania napastnika, wtopionego gdzieś pomiędzy pół tuzina otaczających ją męskich barków, ramion i sterczących ochraniaczy. Jakimś cudem udało jej się wysiąść na następnej stacji. Ordynarny, konwencjonalny gwałt nie wyrządziłby takich szkód moralnych, nie napełniłby jej taką grozą i wstrętem. Żadne z okrucieństw, z jakimi się zetknęła w ciągu ostatnich pięciu lat, żaden gwałt zadany jej samej - a sądząc z jej relacji doświadczyła i tego, i tego - nie był tak paraliżującą zniewagą. Klasyczny gwałt „twarzą w twarz”, jakkolwiek

odrażający, daje przynajmniej tę niewielką satysfakcję, że zna się wygląd napastnika, można mu to uświadomić, zasygnalizować, jeśli już nie da się inaczej, to poprzez grymas, palące spojrzenie prosto w oczy, nawet łzy, że się coś odczuwa: nienawiść, strach, odrazę czy po prostu pogardę. Ale ten anonimowy atak w ciemności, to obleśne, bezcielesne wtargnięcie od tyłu, niczym cios nożem w plecy zadany przez jakiegoś nikczemnego marudera, którego nigdy się nie pozna nie, wolałaby już (jak wyznała wiele miesięcy później, kiedy dystans pozwolił jej spojrzeć na ów czyn ze zbawiennym poczuciem humoru), żeby to był penis. Może zniosłaby lepiej ten sam w sobie ohydny incydent w jakimś innym okresie życia, ale teraz na stres składały się i sposób, w jaki naruszono delikatną równowagę jej ledwie odbudowanej psyche, i to, że owo splądrowanie duszy (w równym stopniu, co ciała) nie tylko przywołało na powrót *cauchemar*, zmorę, którą tak ostrożnie i stopniowo próbowała od siebie odsunąć, lecz także symbolizowało poprzez swą rozwiązłą występność samą istotę koszmarnego świata.

Ona, która przez tak długi czas bywała dosłownie naga, i teraz, w ciągu kilku miesięcy w Brooklynie tak pracowicie przyoblekała się w pewność siebie i psychiczną normalność, została przez ten akt - czuła to - znowu obnażona. I raz jeszcze lodowaty chłód zmroził jej serce. Nie podając żadnych szczególnych powodów i nie mówiąc nikomu, nawet Yetcie Zimmerman, co się jej przydarzyło - poprosiła doktora Blackstocka o tydzień wolnego i położyła się do łóżka. Dzień po dniu, w najbardziej łagodnej porze lata, leżała na wznak, przy zaciągniętych roletach, przepuszczających tylko cieniutkie, żółte pasemka światła. Nie włączała radia. Jadła niewiele, nie czytała nic i wstawała tylko po to, żeby podgrzać herbatę na elektrycznej kuchence. Wśród głębokich cieni nasłuchiwała odgłosów piłki odbijanej baseballowym kijem krzyków dzieci na parkowym boisku, podrzemywała i rozmyślała przypominającym łono wnętrzu zegara, do którego wślizgiwała się w swoich dziecięcych fantazjach, by krażyć wraz ze sprężyną przyglądać się dźwigniom, rubinom i trybikom. I wciąż na obrzeżach jej snów obecne były groźne kształty i cienie - widmo obozu, którego nazwę niemal wyeliminowała ze swego słownika, rzadko jej używając, rzadko o niej myśląc i wiedząc, że nie może dopuścić, by ta nazwa wtargnęła do jej pamięci, pod groźbą utraty - to znaczy odebrania sobie - życia. A jeśli obóz zbytnio się zbliży, jak to się wcześniej stało w Szwecji, czy będzie dostatecznie silna, by oprzeć się pokusie, czy sięgnie po ostry odłamek i tym razem nie sfuszeruje roboty? Roztrząsała ten problem godzinami, leżąc z wzrokiem utkwionym w sufit, po którym maleńkie plamki przenikającego z zewnątrz światła pływały jak rybki w przytłaczającym morzu różowości. Opatrzność zrządziła jednak, że podobnie jak to bywało w przeszłości, ratunkiem stała się muzyka. Piątego czy szóstego dnia - pamiętała

tylko, że była to sobota - obudziła się po niespokojnej nocy, pełnej pogmatwanych, złowrogich snów, i siłą starego nawyku włączyła radjko stojące na nocnym stoliku. Nie zrobiła tego świadomie - był to zwykły odruch; odcięła się od muzyki w tych dniach uporczywej depresji, dlatego że, jak stwierdziła, nie może znieść kontrastu pomiędzy jej abstrakcyjnym, lecz bezgranicznym pięknem, a niemal namacalną i wymierną, przejmującą rozpaczą. Sama o tym nie wiedząc, musiała być podatna na dziwne terapeutyczne zdolności dr med. W.A. Mozarta, bo już pierwsze takty wielkiej *Symfonii Esdur* wywołały u niej dreszcz jakiejś pierwotnej rozkoszy. I nagle pojęła, dlaczego tak jest, dlaczego ta wzniosła i imponująca wypowiedź artysty, pełna osobliwych, chłodnych dysonansów, przynosi jej duszy takie ukojenie, taką satysfakcję i radość. Bo oto rozpoznała w tej muzyce pełnej wewnętrznego piękna utwór, który usiłowała zidentyfikować od dziesięciu lat. Omal nie oszalała, kiedy usłyszała go po raz pierwszy w Krakowie na rok przed *Anschlusssem*, w wykonaniu wiedeńskiej orkiestry. Siedząc wtedy na sali, słuchała tej nieznannej jej kompozycji jak w transie, pozwalając, by otwarta na oścież świadomość chłonęła przepyszne, misternie splecione, koronkowe harmonie i dzikie dysonanse, wytwór niewyczerpanego natchnienia. W latach wczesnej młodości, wypełnionych ciągłymi odkryciami muzycznych klejnotów, ten był dla niej perłą nową pierwszego blasku. Nigdy nie usłyszała go jednak po raz drugi, bo jak wszystko inne, tak i tę symfonię Mozarta, słodki, pełen skargi dialog skrzypiec i altówki, ciemne brzmienie rogów, flety smyczki zmiołła wojenna zawierucha, która przeszła nad daleką Polską. W kraju tak spustoszonego, tak przygniecionym ogromem zła i zniszczenia, nawet wzmianka o muzyce musiała się wydawać absurdalnym zbytkiem.

Wśród kakofonii bombardowań Warszawy, a później w obozie pamięć o symfonii zbladła, a nawet tytuł zaczął jej się mylić z nazwami innych utworów, które znała i kochała w dawno minionym czasie; jedynym, co pozostało, było mgliste, lecz cudowne wspomnienie niepowtarzalnej chwili szczęścia doznanej w Krakowie, w innej epoce. Ale tego ranka utwór Mozarta, radośnie grzmiący na cały pokój z plastikowej krtani taniego radjka, kazał jej się zerwać z przyspieszonym biciem serca dziwnym skurczem ust, który - jak sobie uprzytomniła - był po prostu uśmiechem. Siedziała tak długo, zasłuchana, uśmiechając się do siebie, z dreszczem emocji i zachwytu, podczas gdy niepowtarzalne stawało się powtarzalnym, uśmierzając stopniowo nieznośny ból. Potem, kiedy muzyka ucichła, zapisała starannie tytuł utworu zgodnie z tym, co powiedział spiker, podeszła do okna i podciągnęła rolety. Patrząc na boisko baseballowe, przyłapała się na tym, że rozważa, czy kiedykolwiek stać ją będzie na kupienie gramofonu i płyty z *Symfonią Esdur*, co jej uprzytomniło, że wychodzi z mroku.

Wiedziała jednak, że ma długą drogę do przebycia. Muzyka mogła ją podnieść na

duchu, ale ucieczka w mrok osłabiła wycieńczyła ciało. Czowała instynktownie, że jest to skutek przegłodzenia, zbliżonego do ścisłego postu, lecz nawet jeśli tak było, niepokoił ją niewytłumaczalny brak apetytu, uczucie znużenia, przeszywający ból w nogach, a zwłaszcza zbyt wczesna miesiączka, z tak obfitym krwawieniem, że przypominała raczej krwotok. Czyżby było to następstwo gwałtu? Następnego dnia, wróciwszy do pracy, zdecydowała się poprosić Blackstocka o zbadanie i poradę lekarską. Orientowała się niezłe w sprawach medycznych, więc też zdawała sobie sprawę, jak groteskowe jest zasięgnięcie rady u kręgarza, ale tego rodzaju skrupułów pozbyła się już wcześniej, przyjmując pracę, której tak rozpaczliwie potrzebowała. Wiedziała w każdym razie, że jest to legalne i że przynajmniej niektórym z tłumu pacjentów przepływającego nieprzerwanym strumieniem przez sanktuarium gabinetu doktora (włącznie z paroma policjantami) jego manipulacje, naciągania skręcania oraz inne zadawane ciałom tortury przyniosły widoczną ulgę. Co jednak najważniejsze, Blackstock należał do tych nielicznych, których znała dostatecznie dobrze, by móc zwrócić się do nich o radę w każdej sprawie. Była zatem od niego do pewnego stopnia zależna, i to bynajmniej nie z powodu skromnej pensji, jaką jej wypłacał. A poza tym przywiązała się do niego na swój sposób, z pełnym rozbawienia pobłażaniem.

Blackstock, krzepki, przystojny, wdzięcznie łysiejący mężczyzna, był jednym z tych wybrańców bogów, których los wyprowadził ze skrajnej nędzy *sztetlu* na wschodnich kresach Polski i powiódł ku najbardziej wyrafinowanym satysfakcjom, jakie mogła zaoferować Ameryka materialnego sukcesu. Ten dandys, strojący się w haftowane kamizelki, fularowe krawaty goździki w butonierce, wieki *causeur* i anegdociarz (większość dowcipów w jidysz), zdawał się pławić w blasku takiego optymizmu, że niemal świecił jak żarówka. Był namiętym uwodzicielem, obsesyjnym szafarzem wszelkich chwytnych, błyskotliwych powiedzonek i duserów i bez przerwy popisывał się przed pacjentami, przed Zofią, przed każdym, kto chciał patrzeć, różnymi przemyślnymi sztuczkami i kuglarskimi trikami. Zofia, którą w tym bolesnym okresie trudnej przemiany mógłby drażnić tak bezgraniczny, ekspansywny optymizm czy odgrzewane dowcipy i psikusy doktora, wiedziała, że za tym wszystkim kryje się dziecinne pragnienie bycia kochanym, nie mogło jej to więc dotknąć. Poza tym, pomimo prostactwa jego dowcipów, Black - stock był pierwszym od lat człowiekiem, któremu udawało się ją szczerze rozśmieszyć.

Swoim bogactwem przechwalał się z taką ostentacją, że aż człowieka zatykało. Chyba tylko ktoś tak niestrudzenie życzliwy jak on mógł recytować listę swoich dóbr doczesnych, nie budząc w słuchaczu niesmaku. Jemu to uchodziło; posługiwał się przy tym gardłową, hybrydalną angielszczyzną, w której dominował - co Zofia nauczyła się już wykrywać -

akcent brookliński. „Czterdzieści tysięcy rocznego dochodu bez podatku, dom za siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów w najbardziej eleganckiej części St. Albans, w Queens, z nie obciążoną hipoteką, z dywanami od ściany do ściany, plus odbite światło w każdym pokoju, trzy samochody, w tym cadillac fleetwood z pełnym wyposażeniem i dziesięciometrowy chriscraft, w którym może spać wygodnie sześć osób. Do tego najukochańsza, najbardziej godna podziwu żona, jaką mógł mnie obdarować Pan Bóg. I to wszystko mam ja, głodny żydowski wyrostek, goły *nebisz*, który wylądował na Ellis Island z pięcioma dolarami w kieszeni, nie znając tu żywej duszy. No powiedz! Powiedz mi, dlaczego ja nie mam być najszczęśliwszy człowiek na świecie? Dlaczego nie mam chcieć, żeby inni byli weseli i szczęśliwi jak ja?” Istotnie, nie ma ku temu powodów pomyślała Zofia, wracając z nim pewnego dnia cadillakiem po wizycie w St. Albans.

Pojechała tam, aby pomóc mu uporządkować papiery w dodatkowym, domowym gabinecie i poznała żonę doktora, hożą tlenioną blondynę imieniem Sylvia, ubraną krzykliwie w bufiaste pantalony tureckiej hurysy. Sylvia oprowadziła ją po domu, pierwszym, do którego Zofia weszła w Ameryce. Był to niesamowity perkalowo - - organdykowy labirynt, rozjarzone w samo południe fioletowym, rozproszonym światłem mauzoleum, w którym różowe amorki wdzięczyły się głupawo znad czerwonego fortepianu i nadmiernie wypchanych krzeseł przykrytych błyszczącymi całunami pokrowców z przezroczystej folii, a wyposażenie łazienki było czarne jak smoła. Później, jadąc z powrotem cadillakiem fleetwoodem z ogromnym monogramem „HB” na drzwiczkach, Zofia obserwowała zafascynowana, w jaki sposób doktor korzystał z radiotelefonu, jakich kilka zainstalowano właśnie na zasadzie eksperymentu w samochodach paru wybranych klientów. W rękach Blackstocka urządzenie to zamieniało się w niezrównany instrument miłości. Zapamiętała tę rozmowę, a w każdym razie partie dialogu należące do doktora, kiedy łączył się ze swą posiadłością w St. Albans: „Sylvio, słodziutka, tu Hymie. Czy słyszysz mnie dobrze i wyraźnie? Kocham cię, koteczku. Całusy, najdroższa. Fleetwood jest teraz na Liberty Avenue, mijamy właśnie cmentarz Bayside. Ubóstwiam cię, najdroższa. Całusek dla ciebie, moja najukochańsza (cmok, cmok!). Do usłyszenia za minutkę, słodczyko”. I po chwili: „Sylvio, najdroższa, tu Hymie. Uwielbiam cię, koteczku. Teraz fleetwood znajduje się pomiędzy Linden Boulevard i Utica Avenue. Co za fantastyczny korek! Całuję, najdroższa (cmok, cmok!). Przesyłam moc całusów. Co? Mówisz, że wybierasz się na zakupy do Nowego Jorku? Kup coś ślicznego z ubrania dla Hymiego, moja piękna. Kocham cię, najdroższa. Ach, kochanie, byłbym zapomniał weź chryslera, buick ma rozwaloną pompę paliwa. Kończę wyłączam się, najdroższy koteczku”. Potem, zerkając na Zofię poklepując

słuchawkę: „Cóż to za sensacyjny środek komunikacji!” Blackstoćk był człowiekiem naprawdę szczęśliwym. Uwielbiał Sylwię nad życie. Tylko to, że nie mieli dzieci - jak wyznał Zofii pewnego razu - nie pozwalało mu uznać się za najszczęśliwszego człowieka na ziemi...

Jak się we właściwym czasie przekonamy (a sprawa jest istotna dla tej opowieści), Zofia skłamała kilkakrotnie, opowiadając mi sobie tamtego lata. Powinienem może raczej powiedzieć, że pozwoliła sobie na parę uników, co wtedy wydawało jej się konieczne dla utrzymania się w formie. Albo dla zachowania zdrowia psychicznego. Nie czynię z tego bynajmniej zarzutu, bo z perspektywy czasu jej nieszczerłość wydaje się zrozumiała i nie wymaga usprawiedliwień. Weźmy nieco wcześniejszy fragment dotyczący jej dzieciństwa i młodości w Krakowie - ów monolog, który starałem się odtworzyć z pamięci jak najwierniej. Otóż mam teraz co do tego całkowitą pewność - w przeważającej części był on prawdziwy. Zawierał jednak zarazem jedno czy dwa istotne fałszerstwa, a także - jak to się wkrótce okaże - kilka zasadniczych przemilczeń. Prawdę mówiąc, kiedy czytam to, co dotychczas napisałem, uświadamiam sobie, że Zofia skłamała już w pierwszych sekundach naszego pierwszego spotkania. Wtedy mianowicie, kiedy po koszmarnej kłótni z Natanem spojrzała mi z rozpaczą w oczy i oświadczyła, że Natan był „jedynym mężczyzną, z jakim się kochała, oprócz męża”. Chociaż nieistotne, stwierdzenie to nie odpowiadało prawdzie (znacznie później wyznała, że po śmierci męża rozstrzelanego przez hitlerowców co było prawdą - miała w Warszawie kochanka). Podnoszę tę kwestię nie dla jakiegoś pedantycznego przywiązania do prawdy absolutnej, ale po to, by wskazać na rezerwę Zofii wobec spraw seksu. I uzmysłowić czytelnikowi, jak trudno było jej powiedzieć Blackstockowi o swej tajemniczej i niepokojącej chorobie, która nie miała co do tego wątpliwości - musiała być następstwem gwałtu w metrze. Płonęła ze wstydu na samą myśl o ujawnieniu swej tajemnicy nawet jemu, zawodowcowi i, co więcej, człowiekowi, któremu z całą pewnością mogła zaufać. Ohyda tego, co się jej przydarzyło, wywołała u niej poczucie większego splugawienia niż dwanaście miesięcy obozu, codziennej nieludzkiej degradacji nagości. W gruncie rzeczy teraz czuła się jeszcze bardziej bezradna i skalana, jako że uważała Brooklyn za „bezpieczny”. Przeżywała tę hańbę tym mocniej, że była katoliczką, Polką, dzieckiem swego czasu i miejsca - to znaczy młodą kobietą wychowaną według purytańskich zasad, wśród seksualnych tabu, tak niezłomną jak baptyстки z Albany. (Trzeba było Natana powiedzieć mi później - Natana z jego wyzwoloną, namiętą zmysłowością, aby odblokować jej erotyzm, o którego istnieniu nie miała pojęcia.) Jeśli dodamy do naturalnego wstydu zgwałconej niekonwencjonalny, mówiąc delikatnie groteskowy sposób, w jaki ją zaatakowano, to zakłopotanie ogarniające ją na myśl, że będzie musiała o wszystkim powiedzieć Blackstockowi, stawało się czymś nie do zniesienia.

Mimo to przy okazji kolejnej przejażdżki cadillakiem do St. Albans zdołała, posługując się początkowo sztywną, formalną polszczyzną, zakomunikować mu, że niepokoi się o swoje zdrowie, poinformować go o osłabieniu, bólach nóg i krwawieniu, a w końcu - niemal szeptem - opowiedzieć o incydencie w metrze. Tak jak się spodziewała, Blackstock nie od razu pojął, o co chodzi. Wtedy z wahaniem, jękając się, co dopiero później nabrało swoiście komicznego zabarwienia, dała mu do zrozumienia, że akt gwałtu nie przebiegał w konwencjonalny sposób. Jego niekonwencjonalność nie czyniła go jednak mniej odrażającym i wstrząsającym.

- Doktorze, czy pan nie rozumie? - wyszeptła, przerzucając się na angielski. - To było tym bardziej ohydne - powiedziała ze łzami w oczach, usiłując mu wyjaśnić, o co jej chodzi.

- Chce pani powiedzieć, że... - wtrącił -...że zrobił to palcem? Nie tym, no... - urwał dyskretnie, ponieważ w sprawach seksu zachował pewną delikatność. A kiedy Zofia raz jeszcze potwierdziła wszystko, spojrział na nią ze współczuciem i mruknął do siebie gorzko: - Ajwaj, cóż za *farsztinkener* świat!

Ostatecznie Blackstock przyznał, że gwałt, niezależnie od swej osobliwej formy, mógł istotnie spowodować nękające ją objawy, a zwłaszcza obfite krwawienie. Szczegółowa diagnoza brzmiała: uraz doznany w rejonie miednicy wywołał nieznaczne, ale potencjalnie niebezpieczne przemieszczenie krzyżowego kręgu, co w konsekwencji spowodowało ucisk na piąty lędźwiowy bądź pierwszy krzyżowy, nerw, a być może na oba; w każdym razie wystarczyło to, by wystąpił brak łaknienia, uczucie zmęczenia i ból w kościach, na które się skarżyła, podczas gdy samo krwawienie efektywnie zwiędziło inne symptomy. Z całą pewnością - powiedział - powinna się poddać serii zabiegów kręgarskich w celu przywrócenia normalnego funkcjonowania nerwów i powrotu do „kwitnącego zdrowia”, jak to obrazowo (nawet dla jej uszu laika) określił. Dwa tygodnie kręgarskich zabiegów - zapewniał ją - i będzie jak nowa. Stała mu się bliska jak członek rodziny - wyznał - a więc on nie weźmie ani grosza. I aby dodatkowo podnieść ją na duchu, zaczął nalegać, by pozwoliła mu zademonstrować najnowszą sztuczkę. Sztuczka polegała na tym, że pęk różnobarwnych chust zniknął nagle w powietrzu, by za sekundę pojawić się ponownie w postaci miniaturowej flagi Narodów Zjednoczonych wyciąganej na nitce z ust magika. Zofii udało się nawet roześmiać z uznaniem, ale czuła się w tym momencie tak podle, że omal nie oszalała.

Opisując okoliczności, w jakich się poznali, Natan określił je jako „filmowe”. Chciał przez to powiedzieć, że nie zetknęły ich, jak to bywa z innymi ludźmi, okoliczności tak banalne jak wspólne dorastanie, szkoła, praca czy sąsiedztwo, lecz zachwycające i

przypadkowe zrządzenie losu, typowe dla romantycznych nieznanym z hollywoodzkich snów, dla tych przeznaczonych sobie kochanków, których los jest zakodowany już w pierwszej sekundzie przypadkowego spotkania, *vide* John Garfield i Lana Turner, kompletnie straceni dla świata od pierwszej wymiany spojrzeń w przydrożnej kafejce, czy w bardziej fantazyjnej wersji William Powell i Carole Lombard, zderzający się głowami w trakcie poszukiwań na czworaka brylantu w sklepie jubilera. Zofia natomiast przypisywała owo skrzyżowanie się ich dróg jedynie porażce kręgarskich metod terapii. Co by było - zastanawiała się później - gdyby wszystkie zabiegi doktora Black - stocka i jego młodego współpracownika, Seymoura Katza (który przychodził po godzinach przyjęć, aby zająć się ogromną nadwyżką cierpiących), przyniosły pozytywne rezultaty, gdyby łańcuch przyczynowoskutkowy prowadzący od brutalnego palca przez krzyżowy kręg do ucisku piątego lędźwiowego nerwu nie okazał się jedynie urojeniem kręgarza, lecz zakończył triumfalnym, radosnym ozdrowieniem w rezultacie dwutygodniowego walenia, rozciągania i grzmocenia jej udręczonego kręgosłupa przez Blackstocka i Katza?

Wyleczona tym sposobem nigdy nie poznałaby Natana, to pewne. Problem polegał na tym, że cała intensywna kuracja, jakiej ją poddano, pogorszyła tylko jej stan. Czowała się tak okropnie, że przewyciężywszy opory przed urażeniem Blackstocka, powiedziała mu, iż żaden z objawów nie ustępuje, a wręcz przeciwnie, wszystkie stają się coraz bardziej dokuczliwe i niepokojące.

- Ależ moja droga - wykrzyknął Blackstock potrząsając głową ty musisz się czuć lepiej!

Minęły dwa tygodnie i kiedy Zofia bardzo delikatnie zasugerowała, że może powinna by pójść do prawdziwego lekarza diagnosty, popadł w stan najbliższy wściekłości, jaki kiedykolwiek zaobserwowała u tego patologicznie łagodnego człowieka.

- Chcesz iść do doktora medycyny? Do jakiegoś szczerwanego *gozlina* z Park Slope, który obłupi cię ze skóry? Moja droga, to już lepiej idź do weterynarza. - Po czym ku jej rozpaczy zaproponował jej masaż „elektrosensilatorem”, nowo wynalezionym, wielce skomplikowanym aparatem o wyglądzie małej lodówki z mnóstwem kabli i przycisków, który miał zmienić molekularną strukturę komórek jej kręgosłupa i który właśnie nabył („za ładny grosz”, jak powiedział, wzbogacając jej słownik idiomów) w centrali światowego kręgarstwa w Ohio czy Iowa; oba te stany ciągle jej się myliły.

Rano, w dniu, w którym według planu Blackstocka miała zostać poddana makabrycznym pieszcotom „elektrosensilatora”, obudziła się wyjątkowo wykończona i obolała; czuła się gorzej niż kiedykolwiek. Miała wolne, więc przedzemała całe

przedpołudnie i obudziła się na dobre dopiero około dwunastej. Zapamiętała dobrze ten poranek i to, że w gorączkowym półśnie, w którym jej odległa, krakowska przeszłość mieszała się dziwacznie i bezsensownie z widokiem uśmiechniętego oblicza Blackstocka i jego krzepkich dłoni masażysty, powracał z jakąś tajemniczą obsesyjnością obraz jej ojca. Skwaszony, ponury, w swoim wysokim, sztywnym kołnierzyku, owalnych, profesorskich binoklach i garniturze z czarnej wełny przesiąkniętym wonią cygar, prawił coś po niemiecku z tą samą solennością i namaszczeniem, jakie zapamiętała z dzieciństwa; zdawał się udzielać jakichś przestroóg - czyżby niepokoiła go jej choroba? ale za każdym razem, kiedy usiłowała jak tonący wydostać się rozpaczliwie na powierzchnię snu, jego słowa rozmywały się w bulgocie, ulatywały z pamięci i pozostawał tylko wyblakły obraz ojca: napiętego, surowego, nawet jakby groźnego. W końcu, głównie po to, aby uciec przed tą natrętną wizją, wstała z wysiłkiem z łóżka i nagle stanęła w obliczu zniewalająco pięknego, upojnego letniego dnia. Ledwie trzymała się na nogach i stwierdziła, że w dalszym ciągu nie ma apetytu. Od dawna niepokoiła ją bladość cery, ale gdy tego ranka spojrzała w lustro w łazience, naprawdę się przeraziła: jej twarz pozbawiona była śladów życia i przypominała zbielełe czaszki średniowiecznych mnichów zapamiętane z krypty włoskiego kościoła.

Z lodowatym dreszczem, który nagle przeniknął ją całą aż po koniuszki wychudzonych, bezkrwistych palców i zziębnięte podeszwy stóp, zacisnęła powieki: była absolutnie pewna, że umiera. Mam białaczkę - pomyślała - umieram na białaczkę jak mój kuzyn Tadeusz, a cała kuracja Blackstocka to miłośierna maskarada. Wiem, że umieram i że to wszystko jest tylko mydleniem oczu. Jej histeria oscylowała pomiędzy idealnie wyważonym poczuciem żalu i rozbawienia na myśl o ironii losu: oto umiera na tak podstępna i tajemniczą chorobę, przeżywszy tyle innych. Umiera po tym wszystkim, co widziała, czego doświadczyła i co udało jej się przetrwać. Wśród tych myśli pojawiła się też refleksja doskonale logiczna, choć dręcząca i pełna rozpacz: taki koniec był prawdopodobnie perfidnym podstępem jej ciała, dokonującego autodestrukcji, której nie była w stanie sfinalizować własnoręcznie.

Udało jej się jednak wziąć w karby i zepchnąć te ponure myśli do najdalszych zakątków świadomości. Odsunawszy się nieco od lustra, zdołała pochwycić drobny, narcystyczny refleks znajomej urody, której ślady zachowały się pod białą maską, i to przyniosło jej znaczną ulgę. Tego dnia miała lekcję w Brooklyn College; aby pokrzepić się przed okropną podróżą metrem i samym kursem, zmusiła się do jedzenia. Towarzyszyły temu trudnemu przedsięwzięciu nawroty nudności, ale wiedziała, że musi się przemóc i przełknąć wszystko, co przygotowała apatycznie w swojej ciemnawej, ciasnej kuchence: jajka na

bekonie, biały chleb, chude mleko. Jedząc, poczuła nagły impuls do działania, a sprawiła to po części symfonia Mahlera nadawana w południowym programie WQXR. Z jakichś niejasnych powodów serie posępnych, mrocznych akordów ze środkowej części *Andante* przypomniały jej ów znakomity wiersz, który przeczytał jej parę dni temu pod koniec ostatniej lekcji nauczyciel angielskiego, gorliwy, tęgi, cierpliwy i sumienny student, znany słuchaczom jako pan Youngstein. Zofia, zapewne z racji swej znajomości innych języków, była zdecydowaną prymuską wśród pstrokatej, wielojęzycznej, ale posługującej się przeważnie jidysz grupy kujonów, uchodźców ze wszystkich zakątków zniszczonej Europy. Właśnie jej wielkie postępy zwróciły uwagę pana Youngsteina, chociaż Zofia nie była do tego stopnia naiwna, by nie dostrzegać, że to raczej jej walory zewnętrzne robią na młodym człowieku tak oszałamiające wrażenie.

Rozgorączkowany i jednocześnie wstydlivy, był w niej bez wątpienia zadurzony, jednak nie czynił jej żadnych awansów, oprócz nieśmiałych propozycji, by pozostała na chwilę po lekcji, to przeczyta jej jakiś, jak to określał, „reprezentatywny amerykański wiersz”. Recytował owe wiersze nerwowo, deklamując urywki Whitmana, Poego, Frosta i innych ochryplym, matowym głosem, ale wyraźnie artykułując sylaby, ona zaś słuchała pilnie, głęboko poruszona tą poezją, która wzbogacała jej słownik o nowe, ekscytujące niuanse znaczeniowe, a także nieporadnym i zachłannym uczuciem pana Youngsteina, wyrażającym się w tęsknych, pożądliwych spojrzeniach zza olbrzymich, grubych szkielek. Jego sztubackie, obezwładniające zadurzenie sprawiło Zofii przyjemność, a zarazem wprowadziło ją w zakłopotanie; tak naprawdę mogła dzielić z nim jedynie miłość do poezji, bo nie dość, że co najmniej dziesięć lat młodszy, był w dodatku mało pociągający fizycznie: nadmiernie otyły, z groteskowo rozbieganymi oczkami. Jednak uczucie, jakie żywił wobec poetów, było tak głębokie, tak autentyczne, że potrafił przekazać całą kwintesencję ich utworów. Zofię oczarowała szczególnie urzekająca melodia jednego z wierszy, który zaczynał się tak:

Because I could not stop for Death,

He kindly stopped for me;

The carriage held but just ourselves And Immortality.

Wiersz ten spodobał jej się tak bardzo w interpretacji pana Youngsteina, że postanowiła przeczytać go - jak również inne utwory tego autora - sama, wykorzystując swoją znacznie lepszą teraz angielszczyznę, i nauczyć się ich na pamięć. Ale zaszło tu pewne nieporozumienie. Nie zwróciła uwagi na drobną różnicę w wymowie nazwiska i zrozumiała, że ów króciutki wiersz, ta urzekająca swą prostotą wizja, pobrzmiewająca natrętnym echem wieczności, jest dziełem amerykańskiego poety o nazwisku identycznym z nazwiskiem

jednego z najsłynniejszych powieściopisarzy świata. Dlatego też przypomniał sobie wiersz pod wpływem posępnych akordów symfonii Mahlera, postanowiła wstąpić przed lekcją do biblioteki Brooklyn College i przewer - tować dzieła zebrane tego cudownego mistrza, którego w swej ignorancji wzięła za mężczyznę. I to właśnie niewinne nieporozumienie - jak mi później powiedziała - było ostatnim, najważniejszym elementem mozaiki, która po ułożeniu utworzyła obraz jej spotkania z Natanem.

Pamiętała wszystko bardzo wyraźnie - wyjście z nagrzanego tłoczonym powietrzem tunelu zniechęconej kolejki, słoneczny kampus z rozległymi prostokątami soczystej zieleni, tłumem studentów z kursów wakacyjnych, drzewami i ścieżkami wśród kwiatów. Czuła się tu zawsze nieco spokojniejsza niż w innych rejonach Brooklynu, chociaż ta uczelnia miała się tak do sędziwego Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak lśniący chronometr do starego, omszałego zegara słonecznego. Beztrudny tłumek studentów spieszących z wykładu na wykład i charakterystyczna, akademicka atmosfera sprawiały, że Zofia czuła się tu swobodnie i swojsko. Ogrody uczelni były kwitnącymi oazami spokoju pośród rojnego chaosu tego Babilonu. Tego dnia, kiedy zmierzając do biblioteki przecinała skraj ogrodu, zobaczyła coś, co tak trwale zapadło jej w pamięć, że później zastanawiała się, czy i to nie było związane z mistycznym pojawieniem się w jej życiu Natana, które miało nastąpić niebawem. To, co ujrzała, nie mogło szokować, nawet gdy się uwzględni normy przyzwoitości obowiązujące w Brooklyn College i w latach czterdziestych, toteż Zofia była nie tyle zszokowana, ile boleśnie poruszona, jakby gwałtowna, desperacka zmysłowość scenki roznieciła w niej na nowo żar, który - jak sądziła - dawno już i bezpowrotnie wygasł. Przelotnym spojrzeniem zarejestrowała, jak na kolorowym, migawkowym zdjęciu, obraz ciemnowłosej, młodej i olśniewająco pięknej pary wspartej o pień drzewa; obładowani książkami, a jednak rozpustni jak Dawid i Batszeba, stali przyłgnawszy do siebie i całowali się z zachłannością pożerających się wzajemnie wygłodzonych zwierząt. Ich języki badały się nawzajem z gorączkową łapczywością, błyskając jak żądła spoza czarnego płaszcza bujnych, opadających kaskadą włosów dziewczyny. Trwało to ułamek sekundy. Potem, z uczuciem jakby wbito jej nóż w piersi, Zofia szybko odwróciła wzrok. Przyspieszyła kroku na zatłoczonym chodniku czując, że oblewa ją rumieniec, a serce zaczyna walić jak młotem. To rozpalone, wszechogarniające podniecenie seksualne było czymś niepojętym i niepokojącym. Pojawiło się teraz, kiedy tak długo nie odczuwała nic, tak długo żyła z tłumionym pożądaniem. W tej chwili jego żar wypełniał ją po koniuszki palców, promieniował do najdalszych zakątków ciała, główny zaś płomień gorzał w samym jej rdzeniu, gdzieś blisko łona, gdzie od niepamiętnych czasów nie gościła tak niepokohowana żądza.

Szybko jednak ochłonęła z tej niewiarygodnej emocji. Wszystko zniknęło, zanim doszła do biblioteki, na długo przedtem nim stanęła przed siedzącym za biurkiem bibliotekarzem nazistą. Nie, oczywiście nie był *nazi*, nie tylko zresztą dlatego, że czarnobiała plakietka identyfikowała go jako pana Sholoma Weissa, lecz także dlatego, że... No cóż, czy *nazi* wydawałby czytelnikom biblioteki Brooklyn College te tomy ludzkiej myśli? Ale Sholom Weiss, błydy, oschły mężczyzna około trzydziestki, w agresywnych rogowych okularach i zielonej umbrelce, był tak przerażającym sobowtórem typowego ociężałego, sztywnego i zimnego biurokraty i półpotwora, jakich tylu poznała w minionych latach, iż odniosła przedziwne wrażenie, że została znów wepchnięta w rzeczywistość okupowanej Warszawy. I niewątpliwie ten właśnie moment *déjà vu*, to nagłe utożsamienie Weissa z hitlerowcem rozstroiło ją tak raptownie i uczyniło tak bezradną. Na wpół omdlała i śmiertelnie znużona zapytała niepewnym głosem, gdzie może znaleźć wykaz utworów dziewiętnastowiecznego amerykańskiego poety, Emila Dickensa.

- W katalogach, pierwsze drzwi na lewo - mruknął Weiss bez uśmiechu, a potem, po długiej pauzie, dodał: - Ale nie znajdzie pani żadnego takiego wykazu.

- Nie znajdę żadnego wykazu? - powtórzyła zaskoczona Zofia jak echo. I po chwili milczenia zapytała: - Czy można wiedzieć dlaczego?

- Charles Dickens to angielski pisarz. Nie ma amerykańskiego poety o nazwisku Dickens - jego głos był ostry i nieprzyjemny jak cięcie lancetem. Porażona nagłym atakiem mdłości i zawrotów głowy i niebezpiecznym mrowieniem przebiegającym przez jej kończyny jak ukłucia tysięcznych igiełek, Zofia patrzyła z beznamiętnym zainteresowaniem, jak twarz Sholoma Weissa, zastygła w swym ponurym, antypatycznym wyrazie, przemieszcza się nieznacznie, jak gdyby odpływała znad karku i ciasnego kołnierzyka.

- Tak strasznie źle się czuję - powiedziała do siebie jak do jakiegoś niewidzialnego, troskliwego lekarza. Potem zdołała jeszcze wydobyć z siebie słowa skierowane do Weissa: - Jestem pewna, że istnieje amerykański poeta Dickens. - I przekonana, że te pulsujące w jej pamięci wersy ze swą delikatną i smutną tonacją śmiertelności i czasu powinny być znane amerykańskiemu bibliotekarzowi tak dobrze jak domowe sprzęty, jak patriotyczna pieśń, jak własne ciało, poruszyła wargami, by powiedzieć: ***Because I could not stop for Death...*** Mdlilo ją potwornie. Nawet nie zdążyła uświadomić sobie, że w ciągu tych paru sekund, jakie upłynęły, jej bezczelne zanegowanie tego, co powiedział, zostało odnotowane w ograniczonym umyśle Sholoma Weissa. Zanim zdołała wyrzucić z siebie cytat, usłyszała jego podniesiony, łamiący przepisy o ciszy głos i zauważyła, że widmowo niewyraźne głowy czytelników odwracają się w ich stronę.

Wypowiedziana donośnym, chrapliwym szeptem riposta, zrzędliva i zatruta jadem bezinteresownej złości, naładowana była chamskim oburzeniem urażonej małej władzy.

- Przecież mówię - powiedział głos - że nikt taki nie istnieje! Mam go pani narysować? Mówię do pani!

Sholom Weiss mógłby pomyśleć, że zabił ją słowami. Bo kiedy Zofia ocknęła się po krótkiej chwili z głębokiego omdlenia, słowa te rozbrzmiewały jeszcze przeraźliwym echem w jej mózgu; uprzytomniła sobie niejasno, że zemdlała dokładnie w momencie, gdy przestał wrzeszczeć. Ale wszystko wywróciło się teraz na opak i rozprzęgło, tak że nie wiedziała właściwie, gdzie się znajduje. W bibliotece, tak, na pewno była w bibliotece, ale zdaje się, że leży niewygodnie na jakiejś kanapce czy ławeczce pod oknem, nie przed biurkiem, gdzie osunęła się na podłogę. Była bardzo słaba - wokół niej unosił się jakiś obrzydliwy fetor, kwaśny odór, którego nie mogła rozpoznać, dopóki nie wymacała mokrej plamy na swej bluzce i nie uświadomiła sobie, że zwymiotowała śniadanie. Wilgotna skorupa wymiotów przesiąkała przez materiał na piersiach jak cuchnący szlam.

Kiedy już to wszystko do niej dotarło, poruszyła głową apatycznie, świadoma obecności czegoś jeszcze - głosu, męskiego głosu, dźwięcznego i władczego, grzmiącego na odwróconą do niej tyłem skuloną, spoconą postać, w której rozpoznała po przekrzywionej na czole zielonej umbrelce Sholoma Weissa. I jakaś srogość, rozkazujący i perfekcyjnie rozwścieczony ton głosu mężczyzny, którego ledwie widziała ze swojej pozycji, przyprawił ją o przyjemny dreszcz, mimo że leżała ogarnięta poczuciem upokarzającej bezradności.

- Nie wiem, kim jesteś, Weiss, ale zachowujesz się jak ostatni cham. Słyszałem każde twoje pieprzone słowo; stałem tu obok grzmiał mężczyzna. - Słyszałem wszystkie twoje bezczelne i ohydne odzywki do tej dziewczyny. Nie widzisz, że to cudzoziemka, ty pierdolony mały *momzerze*, ty... ty *szmaku*?

- Mały tłumek zebrał się wokół nich i Zofia zobaczyła, że bibliotekarz trzęsie się jak targany wichurą. - Jesteś mośkiem, Weiss, mośkiem i podłym, małym robakiem, który przynosi wstyd żydowskiej rasie. Ta dziewczyna, ta śliczna i miła dziewczyna z drobnymi problemami językowymi zadaje ci grzeczne pytanie, a ty traktujesz ją jak jakieś gówno. Powinienem ci rozwalić twój pieprzony łeb! Nadajesz się do pracy w bibliotece jak hydraulik. - Nagle ku swemu sennemu zdziwieniu Zofia zobaczyła, że mężczyzna jednym szarpnięciem ściągnął Weissowi umbrelkę na szyję, gdzie zadyndała jak jakiś zbędny, celuloidowy dodatek. - Ty podły, mały *pocu* - powiedział głos z najwyższą pogardą i odrazą - każdy by się porzygał na twój widok!

Musiała ponownie stracić przytomność, ponieważ następną rzeczą, jaką zapamiętała,

były delikatne, silne i cudownie ekspresyjne palce pokryte - ku jej okropnemu zażenowaniu - śluzowatą mazią jej wymiotów, palce nieskończenie kojące, kiedy przykładały coś wilgotnego i chłodnego do jej czoła.

- Już dobrze, kochanie - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze. Niczym się nie przejmuj. Ach, jesteś taka piękna, jak ty to robisz, że jesteś taka piękna? Nie ruszaj się teraz, wszystko jest dobrze, miałaś tylko drobny, zabawny wypadek. Leż sobie spokojnie, a lekarz już się wszystkim zajmie. No co, przyjemnie? Chcesz łyżeczek wody? Nie, nie, nic nie mów, odpręż się po prostu, za minutkę będziesz zdrowa jak rybka. - Ten cichy monolog trwał i trwał, kołysał ją, koił, szemrząc napełniał ją poczuciem spokoju i oparcia, był łagodnym refrenem tak uśmierzającym, iż wkrótce minęło zakłopotanie tym, że dłonie nieznajomego skalane zostały jej zielonkawymi sokami; żałowała, że jedynym, co zdołała mu przekazać, kiedy otworzyła oczy, było okropnie niemądre:

- Och, chyba umrę.

- Nie, nie umrzesz - powtarzał głosem pełnym nieskończonej i cierpliwej siły, podczas gdy palce chłodziły jej czoło. - Nie umrzesz, będziesz żyła sto lat. Jak ci na imię, skarbie? Nie, nie mów mi teraz, leż spokojnie i bądź piękna. Puls jest w porządku, regularny. Masz, napij się troszkę wody...

piąty

W parę tygodni po zadomowieniu się w mojej różowej kwaterze dostałem kolejny list od ojca. Był fascynujący sam w sobie, chociaż nie wiedziałem jeszcze wtedy, jaki będzie miał ostatecznie związek z moją znajomością z Zofią i Natanem oraz natłokiem wydarzeń, jakie miały miejsce tego lata. Podobnie jak poprzedni, cytowany już list o Marii Hunt, również ten traktował o śmierci, i tak jak wcześniejszy, o Ariste, przyniósł wiadomość o spadku lub raczej moim w nim udziale. Przytaczam go prawie w całości:

Synu, dziesięć dni temu mój drogi przyjaciel oraz adwersarz w politycznych i filozoficznych dysputach, Frank Hobbs, zszedł z tego świata w swoim biurze w stoczni. Była to szybka, prawie natychmiastowa śmierć w wyniku trombozy. Miał zaledwie sześćdziesiąt lat, a więc był w wieku, w którym ja zacząłem dopiero intensywnie odczuwać, że wchodzę w prawdziwą wiosnę życia. Jego zgon był dla mnie wielkim szokiem i głęboko przeżyłem tę stratę. Choć reprezentował poglądy polityczne godne najwyższego ubolewania, które sytuowały go - rzekłbym - o dziesięć mil na prawo od Mussoliniego, był to, jak mawiamy tu, na wsi, „pocziwy chłop z kościami będzie mi w drodze do pracy bardzo brakowało towarzystwa tego barwnego, choć fanatycznego wielkoluda. Był postacią pod wieloma względami tragiczną: samotny wdowiec, ciągle jeszcze niepokieszony po śmierci jedyne

syna, Franka juniora, który, jak pewnie pamiętasz, utonął nie tak dawno podczas łowienia ryb na Albemarle Sound, nie mając jeszcze trzydziestki.

Frank senior nie zostawił potomstwa i ten fakt stanowi sedno mojego listu, a także powód, dla którego tak się rozpisuję.

Adwokat Franka wezwał mnie parę dni temu, aby ku mojemu zdumieniu zakomunikować mi, że jestem głównym spadkobiercą zmarłego. Frank, który podobnie jak ja był jedynie wysokiej klasy specjalistą na posadzie, czyli jechał okrakiem na niepewnym grzbiecie monstrualnego Lewiatana, zwanego amerykańskim biznesem, miał niewielkie oszczędności i żadnych lokat. Żałuję zatem, że nie mogę przesłać Ci wiadomości o rychłym nadejściu czeku na okazałą sumkę, która rozwiązałaby problemy materialne uprawiającego winnicę literatury. Zmarły był jednak od lat właścicielem i zaocznym włodarzem niewielkiej plantacji orzeszków w Southampton County, w miejscowości należącej od czasów Wojny Secesyjnej do rodziny Hobbsów. I właśnie tę plantację zapisał mi Frank, zaznaczając w swym testamencie, że mogę z nią robić, co chcę, lecz jednocześnie wyrażając szczerą nadzieję, że będę tam gospodarował, tak jak to czynił on, nie tylko czerpiąc skromne profity z uprawy sześćdziesięciu akrów orzeszków, ale rozkoszując się także pięknem okolicy, jej zielenią i uroczym potokiem pełnym ryb. Musiał chyba wiedzieć, jak bardzo cenilem to miejsce, które kilkakrotnie przez lata odwiedzałem. Ten niezwykle i wzruszający gest Franka stawia mnie jednak, obawiam się, w dość kłopotliwej sytuacji. O ile chciałbym zrobić, co w mojej mocy, aby spełnić jego wolę i nie sprzedawać farmy, o tyle nie wiem, czy nadaję się jeszcze po tak wielu latach do gospodarowania na niej (choć jako chłopiec nauczyłem się w Północnej Karolinie niezłe sobie radzić z łopatą i motyką), nawet jako „zaoczny”, jak Frank. Farma mimo wszystko wymaga ciężkiej pracy i doglądania i podczas gdy Frank był jej uprawie bez reszty oddany, ja mam swoją robotę w stoczni. Pod wieloma względami propozycja jest oczywiście atrakcyjna. Na farmie mieszka dwóch bardzo doświadczonych i godnych zaufania czarnych, a sprzęt jest w zupełnie przyzwoitym stanie. Główny budynek mieszkalny, też w doskonałej kondycji, nadaje się świetnie na weekendowy azyl, zwłaszcza ze względu na bliskość tego cudownego, zarybionego strumienia. Orzeszki to teraz złota żyła jako uprawa kontraktowa, zwłaszcza że po ostatniej wojnie znalazły tyle rozmaitych zastosowań. Frank, jak pamiętam, sprzedawał lwią część zbiorów firmie „Planters” z Suffolk, która zaspokaja wilczy apetyt Amerykanów na masło orzechowe „Skippy”. Jest tam także kilka wieprzków; robią z nich najprzedniejsze szynki w całym chrześcijańskim świecie. Ponadto kilka akrów obsianych soją i bawełną - i to, i to przynosi dochody, jak więc widzisz, sytuacja ma aspekt wybitnie merkantylny, nie mówiąc już o

estetycznym i rekreacyjnym, co skłania mnie, by przyłożyć rękę do agrarnych robót po czterdziestu latach nieobecności na polu i w spichrzu. Majątku zapewne nie zrobię, ale spodziewam się, że mógłbym w niewielkim choćby stopniu powiększyć moje dochody, poważnie uszczuplane przez wydatki twoich biednych ciotek z Nowego Jorku. Moje opory wynikają z wyżej wzmiankowanych, poważnych obaw i zastrzeżeń. I tu, mój Stingo, docieramy do kwestii twojej ewentualnej czy też potencjalnej roli w tym jak dotychczas nie rozstrzygniętym dylemacie. Moja propozycja jest następująca: otóż mógłbyś sprowadzić się na farmę, doglądając jej pod moją nieobecność. Już widzę twoje zasepienie i twój wyraz twarzy., ^leż ja nie mam najmniejszego pojęcia o uprawianiu tych cholernych orzeszków!” - mówisz. Zdaję sobie doskonale sprawę, iż może ci się to wydać całkiem nieodpowiednim zajęciem, skoro zdecydowałeś się na los literata wśród Jankesów. Ale rozważ, proszę, moją propozycję, którą składam nie dlatego, bym lekceważył Twoją potrzebę niezależności, zaspokajaną pobytem na barbarzyńskiej (dla mnie) Północy, lecz powodowany szczerym zatroskaniem tonem skargi obecnym w Twoich ostatnich listach i przeczuciem, że bynajmniej nie rozkwitasz ani duchowo, ani, co jasne, materialnie. Po pierwsze, Twoje obowiązki będą minimalne, jako że Hugo i Lewis, dwaj czami, którzy od lat mieszkają na farmie z rodzinami, sprawują pieczę nad praktyczną stroną gospodarki, tak że mógłbyś funkcjonować jako swego rodzaju właściciel ziemski, a Twoim głównym zajęciem, jestem tego pewien, byłoby pisanie tej powieści, do której się zabierałeś. Nie płaciłbyś też renty dzierżawnej, za to z pewnością mógłbym Ci wyznaczyć skromną pensyjkę za Twe nieliczne obowiązki. Co więcej (i to zachowałem na koniec), proszę Cię o rozważenie jeszcze jednego atutu - bliskości dawnego miejsca pobytu „starego proroka Nata”, owego tajemniczego Negra, który przed laty napędził takiego stracha nieszczęsnej, niewolniczej Wirginii, że się (wybacz, proszę, dosadne wyrażonko) zesła. Nikt nie wie lepiej o Twojej fascynacji Starym Prorokiem niż ja; nie zapomnę, jak jeszcze w liceum ślęczałeś nad swoimi mapami, wykresami i różnymi skąpyimi informacjami na temat tej niezwyklej postaci, jakie udało Ci się zebrać. Farma Hobbsa jest o rzut kamieniem od okolicy, w której Prorok podjął swą straszliwą, krwawą misję, więc uważam, że gdybyś tam zamieszkał, mógłbyś sycić się do woli atmosferą i informacjami przydatnymi dla książki, którą - jestem tego pewien - w końcu napiszesz. Przemyśl, proszę, starannie moją propozycję, Synu. Nie muszę dodawać, że ani nie chcę, ani nie potrafię ukryć pewnych osobistych motywów, jakie mną kierują. Bardzo potrzebuję nadzorcy na farmie, jeśli w ogóle mam ją zatrzymać. To jedna prawda; nie mogę też wypierać się zastępczej przyjemności, którą czerpię z faktu, że Ty, przyszły pisarz, jakim ja chciałem, lecz nie mogłem zostać, będziesz miał okazję żyć na tej ziemi, dotykać jej i

wdychać jej zapach, zapach tej samej ziemi, która zrodziła owego nieodgadnionego i niezwykłego czarnego człowieka...

Wszystko to było na swój sposób kuszące, nie mogłem zaprzeczyć. Do listu dołączył ojciec kilka kolorowych zdjęć farmy: ocienionemu wyniosłymi bukami dużemu budynkowi mieszkalnemu z połowy XIX wieku nie brakowało oprócz pomalowania niczego, by stać się gotową, wygodną siedzibą, idealną dla kogoś, kto chciałby gładko doszlusować do wielkiej tradycji Południa i zostać pisarzemfarmerem. Słodka jak cukrowe sorgo sielskość krajobrazu (gęsi drepczące wśród bujnych traw lata, senna weranda z podwieszaną ławeczką, stary Hugo czy Lewis za kierownicą zabłoconego traktora, prezentujący w uśmiechu fosforyczną biel zębów i różowe dziąsła) sprawiła, że natychmiast poczułem w sercu ostre jak dźgnięcie nożem ukłucie nostalgii za rustykalnym Południem. Pokusa, dojmująca i potężna zarazem, trwała tak długo, jak dwukrotna lektura listu, której towarzyszyły moje rozmyślenia o domu i swojskiej łączce, spowitych mlecznobiałą idylliczną mgielką, co zresztą mogło być efektem prześwietlenia zdjęcia. Ale choć list ujął mnie i jednocześnie w sensie praktycznym miał w sobie nieodpartą logikę, uświadomiłem sobie, że będę musiał odrzucić propozycję ojca. Gdyby przyszedł jeszcze kilka tygodni temu, kiedy po odejściu z McGrawHilla znalazłem się w dołku, skwapliwie skorzystałbym z szansy. Ale teraz wszystko uległo radykalnej zmianie; szczęśliwie pojednałem się z moim nowym otoczeniem. Byłem zatem zmuszony, choć nie bez żalu, odpowiedzieć ojcu: nie. Kiedy spoglądam teraz wstecz na ten obiecujący okres, dochodzę do wniosku, że o moim zaskakującym, nowo narodzonym ukontentowaniu sytuacją zdecydowały trzy czynniki. A były to, niekoniecznie w tej kolejności: 1. nagła iluminacja związana z powieścią, dotychczas nieokreśloną i oporną; 2. odkrycie Zofii i Natana; 3. przewidywanie gwarantowanego seksualnego spełnienia, po raz pierwszy w moim niespełnionym życiu.

Aby od czegoś zacząć, może najpierw słówko o powieści, którą usiłowałem zacząć. W mojej karierze pisarskiej zawsze pociągały mnie tematy ocierające się o patologię: samobójstwo, gwałt, morderstwo, armia, małżeństwo, niewolnictwo. Nawet wtedy, w tym wczesnym okresie wiedziałem, że mój debiut będzie przyprawiony pewną chorobliwością - czułem to po prostu w kościach, choć można było nazwać ową skłonność „zmysłem tragizmu” - ale prawdę mówiąc, miałem tylko mgliste pojęcie o tym, co tak rozpaczliwie pragnąłem napisać. Prawda, że miałem w głowie najcenniejszy składnik każdej fikcji literackiej: miejsce akcji. Widoki, odgłosy, zapachy, światła i cienie, wodne głębie i płycizny rodzinnego wybrzeża Tidewater natarczywie domagały się materializacji na papierze; nie byłem w stanie opanować bliskiego manii pragnienia, by je zarejestrować. Ale postaci ani

fabuły - jakiejś sensownej historii, w którą mógłbym wpleść te żywe obrazy z niedawnej przeszłości - nie miałem. W wieku dwudziestu dwóch lat byłem niczym więcej jak chudym, mierzącym metr osiemdziesiąt, siedemdziesięciokilowym kłębkim nerwów, nie mającym nic do powiedzenia. Moja ówczesna strategia była żałośnie wtórna, pozbawiona logiki i planu; zastępowało je nieokreślone pragnienie, by zrobić dla niewielkiego miasteczka Południa to, co zrobił James Joyce w swoim cudownym mikrokosmosie. Jak na kogoś w moim wieku, nie była to ambicja całkiem pozbawiona wartości, pominąwszy fakt, że nawet przy znacznym obniżeniu poprzeczki nie miałem sposobu na to, by wymyślić repliki Stephena Dedalusa i niezapomnianych Bloomów i umiejscowić ich w Dixie.

Ale wtedy - ach, ileż jest prawdy w stwierdzeniu, że większość pisarzy zaczyna prędzej czy później eksploatować tragedie innych wtedy przyszła (czy raczej odeszła) Maria Hunt. Umarła akurat w momencie, kiedy najbardziej potrzebowałem tego zdumiewającego psychicznego kopa zwanego natchnieniem. W parę dni po otrzymaniu wiadomości o jej śmierci, kiedy minął szok i byłem w stanie spojrzeć z profesjonalnego punktu widzenia na jej groteskowy koniec, ogarnęło mnie bajeczne poczucie olśnienia. Ślęczałem bez końca nad przysłanymi przez ojca wycinkami z gazet, zapalając się coraz bardziej, w miarę jak uświadamiałem sobie coraz wyraźniej, że Maria i jej rodzice posłużyć mi mogą jako idealne modele dla obsadzenia mej powieści postaciami. Ojciec, tragiczny wrak, nałogowy pijaczyna i dziwkarz, matka, niezrównoważona i fanatyczna dewotka, znana wśród całej miejscowej socjety, w ziemiańskich klubach i wysokich sferach episkopalnych miasta z tego, że jako awansujący społecznie przygłup z jakiegoś zadupia tolerowała przez lata kochankę męża, wreszcie córka, nieszczęsna Maria, skazana przez los od samego początku, ofiara całego splotu różnych waśni, małostkowej nienawiści i mściwego pastwienia, które mogą zamienić życie drobnomieszczańskiej rodziny w piekło na ziemi - mój Boże, ależ to wprost cudowne, prawdziwy dar niebios! - pomyślałem. I zachwycony, uprzytomniłem sobie, że jakkolwiek nieświadomie, już skomponowałem pierwszą część ramy do tego tragicznego pejzażu: mój papierowy pociąg z oślimi uszami ruszył, a fragment, który tak wypieściłem i który odczytywałem raz po raz z taką idiotyczną fascynacją, teraz przedstawiał przyjazd ciała naszej bohaterki, ekshumowanego z nowojorskiego cmentarza dla ubogich i przetransportowanego wagonem bagażowym dla ostatecznego pochówku w rodzinnym mieście. To było zbyt dobre, by mogło być prawdziwe. Och, jak koszmarnymi oportunistami bywają pisarze!

Zanim jeszcze odłożyłem list ojca na dobre, już chłonałem z rozkoszą atmosferę kolejnej wykluwającej się sceny, tak wyrazistej, że mogłem jej niemal dotknąć, pieścić ją jak

wielkie, pożywne jajo, usadowione w gnieździe mego mózgu. Wróciłem do swojego bloku i uniosłem ołówek. Pociąg wjeżdżał na stację nad rzeką, której ponure nadbrzeże wypełniał upał, zgiełk i kurz. Przyjazdu pociągu oczekują: pogrążony w smutku ojciec, zrzędliva matka, karawan, gruby przedsiębiorca pogrzebowy, może ktoś jeszcze... Wierny sługa, kobieta. Stara Murzynka? Skrzyp, skrzyp - chrobotał dziewiczy ołówek Venus Velvet.

Pamiętam te pierwsze tygodnie u Yetty niezwykle wyraźnie. Począwszy od tego potężnego przyływu twórczej energii, niewinnego, młodzieńczego zapamiętania, w jakim zapisać zdołałem w tak krótkim czasie pierwsze pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stron. Nigdy nie pisało mi się szybko ani łatwo i tamten okres nie był pod tym względem wyjątkowy, bo nawet wtedy musiałem szukać, jakkolwiek nieudolnie, właściwych słów, mozolić się nad rytmem i zmagać z niuansami naszego wspaniałego, lecz opornego języka; niemniej ogarnęła mnie wówczas dziwna, nieposkromiona pewność siebie, smarowałem więc ochoczo i postaci zaczynały żyć własnym życiem, a zatechła atmosfera Tidewater w porze lata nabierała olśniewającej i zarazem namacalnej realności, jak gdyby przed moimi oczami przesuwiał się jakiś trójwymiarowy film o niesamowitych kolorach. Jakże hołubiłem swój własny wizerunek z tego okresu, obraz młodzieńca zgarbionego nad szkolnym biurkiem w jaskraworóżowym pokoju, wypowiadającego półgłosem (jak to robię po dziś dzień) wymyślane, melodyjne frazy i zdania, smakującego je wargami niczym jakiś opętany wierszokleta i czerpiącego ogromną satysfakcję z pewności, że owocem tego radosnego trudu, bez względu na potencjalne mankamenty, będzie najcudowniejsze i najważniejsze z dokonań ludzkiej wyobraźni - Powieść. Błogosławiona Powieść. Święta Powieść. Wszechmocna Powieść. O, mój Stingo, jakże zazdrozczę ci tych zamierzchłych popołudni Powieściowego Pierworództwa (tak odległych od wieku średniego z ospałymi okresami wyczerpania, przegnębiającym znużeniem fikcją i zanikiem ego oraz ambicji), gdy nieśmiertelne pragnienia dyktowały każdy łącznik i średnik, i gdy pokładałeś dziecięcą ufność w pięknie, którego tworzenie było - jak czułeś - twoim przeznaczeniem.

Inną rzeczą, jaką zapamiętałem z tamtego okresu, był odzyskany spokój i poczucie bezpieczeństwa, związane zapewne po części z moją przyjaźnią z Zofią i Natanem. Wyczuwałem przebliski tej zmiany już wtedy w niedzielę, w pokoju Zofii. Kiedy wiodłem żywot trutnia w ulu McGrawHilla, w moim stronieniu od ludzi, w ucieczkach w świat fantazji i samotność było coś chorobliwego, wręcz masochistycznego; uważałem to za nienormalne, bo na ogół jestem człowiekiem towarzyskim, z naturalną skłonnością do zawierania przyjaźni, owładniętym jednocześnie owym lękiem przed samotnością, który skłania istotę ludzką do wstępowania w związki małżeńskie lub do klubów rotariańskich. Tam zaś, w Brooklynie,

osiągnąłem punkt, w którym okrutnie potrzebowałem przyjaźni i znalazłem ją, co uśmierzyło tłumione lęki i umożliwiło mi pracę. Chyba tylko najbardziej chore i mizantropijne jednostki zdolne są myśleć bez lęku o perspektywie siedzenia po całodziennej orce w czterech ścianach pokoju, niczym w komorze ciszy. Po zapisaniu mojej gęstej od emocji, obłąkanej wizji minipogrzebu, przesiąkniętej bezgranicznym ludzkim bólem i żalobą, uznałem, że zasłużyłem sobie na kilka piw w towarzystwie Zofii i Natana. Musiało jednak upłynąć sporo czasu - co najmniej kilka tygodni - zanim zrządzeniem losu zostałem ponownie wplątany w sytuację przypominającą swym emocjonalnym natężeniem gorączkę, jaka omal nas nie strawiła przy pierwszym spotkaniu. Kiedy rozpełtała się ta kolejna, straszliwa burza, znacznie groźniejsza niż opisana wcześniej ponura kłótnia, jej gwałtowny atak zwałił mnie dosłownie z nóg. Ale to było później. Tymczasem, bardzo z siebie zadowolony, rozkwitałem twórczo niczym różowa jak mój pokój piwonia. Poza tym nie nękały mnie już donośne odgłosy ich miłosnych praktyk. W ciągu mniej więcej roku, kiedy Zofia i Natan zajmowali oddzielne pokoje na piętrze, pomieszkiwali na zmianę to w jednym, to w drugim i sypiali w tym łóżku, które im w danej chwili bardziej odpowiadało.

To, że pomimo względnej tolerancyjności Yetty wobec spraw seksu woleli mieszkać praktycznie osobno, oddzieleni zaledwie kilkumetrowym pasem pokrytego linoleum korytarza, niż przenieść się do jednego z przestronnych pokoi i skończyć z komedią kumplowskiej zażyłości dwojga ludzi zupełnie nie zainteresowanych sobą erotycznie, było zapewne refleksem surowej moralności tego okresu. Ciągle jeszcze obowiązywał uświęcony sakrament małżeństwa z jego marmurowo zimnym legalizmem, a poza tym we Flatbush, przypominającym pod tym względem najbardziej zapadłą dziurę środkowej Ameryki, królowała pruderia i sąsiedzkie wścibstwo. Dom Yetty zyskałby sobie złą sławę, gdyby wydało się, że ta dwójka żyje na kocią łapę. Tak więc korytarz na piętrze był dla Zofii i Natana czymś w rodzaju krótkiej pępowiny, łączącej dwie części dwupokojowego mieszkania. Teraz miałem więcej wytchnienia i ciszy, ponieważ para moich przyjaciół przeniosła swą sypialnię i hałaśliwe miłosne rytuały do kwatery Natana, nawet w połowie nie tak wesołej jak pokój Zofii, ale w porze lata chłodniejszej, jak sam stwierdził. Dzięki Bogu pomyślałem. - Nie będzie już tych komentowanych szczytowań, które przeszkadzałyby mi w pracy i zakłócały spokój.

W ciągu pierwszych tygodni udało mi się całkiem skutecznie zapanować nad afektem do Zofii. Obwałowałem płomień mojej namiętności tak starannie, że z pewnością ani ona, ani Natan nie wyczuwali owej roztopiającej żądz, jaka mnie ogarniała przy każdym spotkaniu. Po pierwsze byłem wówczas tak groteskowo niedoświadczony, że nawet gdybym traktował

miłość w kategoriach sportu i współzawodnictwa, nigdy nie przystawiałbym się do kobiety, która tak bez reszty oddała swe serce innemu. Po drugie, pozostawał problem deprymującego dla mnie starszeństwa Natana. Nie była to bynajmniej kwestia błaha; kiedy ledwie przekroczyło się dwudziestkę, kilka lat różnicy liczy się znacznie bardziej niż w innym, późniejszym okresie życia. To, że Natan zbliżał się do trzydziestki, podczas gdy ja miałem dopiero dwadzieścia dwa lata, czyniło go w moich oczach znacznie starszym - po czterdziestce nie byłaby to różnica tak istotna. Trzeba też pamiętać, że Zofia była prawie jego rówieśnicą. Wszystko to, razem z moją pozorowaną obojętnością, dawało mi pewność, że ani Natanowi, ani Zofii nie powstało w głowie, bym mógł być - poważnym konkurentem. Przyjacielem, owszem. Kochankiem? Uśmialiby się oboje. Chyba dlatego właśnie Natan nie tylko nie miał nic przeciwko temu, aby zostawiać nas z Zofią sam na sam, ale wręcz zachęcał mnie, bym dotrzymywał jej towarzystwa. Miał zresztą wszelkie podstawy do zaufania, przynajmniej w tych pierwszych tygodniach, jako że Zofia i ja, mimo całej mojej żądy, nigdy nie posunęliśmy się dalej niż do przypadkowych muśnięć czubkami palców. Byłem głównie pilnym słuchaczem i zapewne mój żartobliwie niewinny dystans pozwolił mi w końcu dowiedzieć się o Zofii tyle, ile wiedział Natan, lub nawet więcej.

- Podziwiam twoją odwagę, chłopcze - powiedział pewnego ranka Natan. - Naprawdę podziwiam to, co robisz, tę twoją próbę innego opisanie Południa.

- Nie rozumiem - powiedziałem szczerze zdziwiony. - Cóż jest takiego odważnego w pisaniu o Południu? - Nalewałem właśnie kawę do dwóch filiżanek, a nasza rozmowa miała miejsce w parę dni po wspólnej wyprawie na Coney Island. Wbrew swoim zwyczajom wstawałem od niedawna zaraz po wschodzie słońca, popychany do biurka wewnętrznym, elektryzującym imperatywem, o którym już pisałem, i pracowałem nieprzerwanie przez dwie lub więcej godzin. Skończyłem właśnie jeden z fantastycznych (dla mnie), liczących mniej więcej tysiąc słów sprintów, które to słowo najlepiej charakteryzuje tamten etap mojej pracy twórczej, i dostałem lekkiej zadyszki, w związku z czym ta krótka wizyta Natana była pożądanym urozmaiceniem. Wpadał tak do mnie od kilku dni i bardzo te intermedia polubiłem. Wstawał ostatnio bardzo wcześnie i spieszył do laboratorium Pfizera, by - jak wyjaśnił - doglądać jakiejś bardzo ważnej kolonii bakterii, wymagającej stałej obserwacji. Próbował opisać mi ten eksperyment szczegółowo - miało to coś wspólnego z płynem owodniowym, płodem królika, jakimiś tajemniczymi enzymami i jonoforezą - ale dał sobie spokój, śmiejąc się ze zrozumieniem, kiedy zobaczył, że straciłem wątek, a na mojej twarzy pojawił się wyraz znudzenia i męki. Ów brak mentalnego kontaktu był moją winą, ponieważ Natan wyjaśniał wszystko precyzyjnie i klarownie. Nie miałem po prostu głowy ani

cierpliwości do naukowych abstraktów, chociaż bolałem nad tym i zazdrościłem mu zarówno umysłowego potencjału, jak rozległej wiedzy. Na przykład jego umiejętności przerzucania się od enzymów do wielkiej literatury, co właśnie demonstrował.

- Nie sądzę, żeby pisanie o Południu było jakimś wielkim wyczynem z mojej strony - ciągnąłem. - To region, który znam najlepiej.

- Chodzi o co innego - odparł. - O to mianowicie, że nawiązujesz do schyłkowej tradycji. Myślisz pewnie, że nie mam pojęcia o Południu, bo napadłem cię tak okrutnie i, powinienem dodać, niesprawiedliwie, mówiąc o Południu Bobby'ego Weeda. Ale mówię teraz o czym innym: o pisaniu. Proza Południa jako trend przestanie się liczyć za parę lat. Wyprze ją literatura innego typu. Dlatego właśnie twierdzę, że trzeba odwagi, żeby podtrzymywać wyczerpaną tradycję.

Rozzłościł mnie trochę, nie tyle logiką i trafnością swojego spostrzeżenia, bo było logiczne i trafne, ile tym, że tak autorytatywny sąd w sprawach literatury wydawał biolog pracujący w laboratorium farmaceutycznym. To nie była jego dziedzina. Ale kiedy wygłosiłem z pewnym pobłażaniem to stereotypowe zastrzeżenie literackiego estety, znów zgrabnie mnie załatwił.

- Natan, jesteś pieprzonym specem od komórek - powiedziałem. - Cóż ty u diabła możesz wiedzieć o gatunkach i tradycjach literackich?

- W *De rerum natura* Lukrecjusz wskazuje na bardzo istotną prawdę dotyczącą świadomego życia. Mówi, że uczoney, który zajmuje się wyłącznie nauką, a nie potrafi cieszyć się i wzbogacać sztuką, jest człowiekiem nieszczęśliwym. Niekompletnym. Wierzę w to, Stingo, przyjacielu - i pewnie dlatego tak żywo obchodzisz mnie ty i twoje pisanie - przerwał i przypalił camela, którego trzymałem w ustach, kosztowną srebrną zapalniczką. - Niech mi będzie wybaczone wspomaganie twojego nieczystego nałogu. Podpalam tym palni ki Bunsena - powiedział żartobliwie, po czym wrócił do tematu: - Właściwie zataiłem coś przed tobą. Sam chciałem być pisarzem, zanim w połowie studiów w Harvar - dzie nie uświadomiłem sobie, że nigdy nie zostanę Dostojewskim, i nie zwróciłem swego przenikliwego umysłu ku kipiącym arkanom ludzkiej protoplazmy.

- A więc miałeś właściwie zostać pisarzem... - rzekłem.

- Nie od razu. Żydowskie matki są bardzo ambitne, jeśli chodzi o synów; początkowo miałem zostać wielkim skrzypkiem, drugim Heifetzem lub Menuhinem. Ale, mówiąc uczciwie, nie miałem drygu i talentu, choć została mi po tym wielka namiętność do muzyki. Potem zdecydowałem się na karierę pisarską; była nas w Harvardzie cała paczka, kupa sfiksowanych na punkcie książek drugoroczniaków - przez krótki czas uczestniczyliśmy

nawet dość aktywnie w życiu literackim. Takie małe, urocze przedszkole Bloomsbury w Cambridge. Jak wszyscy moi kumple, napisałem kilka wierszy i mnóstwo parszywych opowiadań. Zdawało się nam, że prześcigniemy Hemingwaya, ale miałem dosyć zdrowego rozsądku, żeby w końcu zrozumieć, że jako beletrysta zrobię lepiej, jeśli zmierzę się z Ludwikiem Pasteurem. Okazało się, że mam prawdziwy talent do nauk przyrodniczych, więc zamieniłem literaturę na biologię. To był cholernie trafny wybór. Teraz widzę, że jedynym moim atutem było to, że jestem Żydem.

- Żydem? - wtrąciłem. - Co to ma do rzeczy?

- Och, tyle tylko, że żydowska literatura będzie w najbliższych latach jednym z dominujących nurtów w Ameryce.

- Czyżby? - powiedziałem. - Skąd to wiesz? Czy dlatego uważasz, że jestem odważny pisząc o Południu?

- Nie powiedziałem, że literatura żydowska będzie jedyną siłą, ale jedną z dominujących - odparł z łagodnym uśmiechem i absolutnie nie zamierzam sugerować, że nie możesz w znaczący sposób wzbogacić swojej tradycji. Chodzi mi tylko o to, że

Żydzi, w tej powojennej fali, zaistnieją w sensie historycznym i etnicznym w dziedzinie kultury. To jest w kartach - i kropka. Ukazała się już jedna książka, która przeciera szlak. Nie jest to rzecz wielka, raczej skromna, ale o pięknie wyważonych proporcjach. I napisał ją młody autor, z całą pewnością błyskotliwy talent.

- Jakaż to książka? - zapytałem. - I kto jest tym świetnym pisarzem? - tu pojawił się w moim głosie ton urazy.

- **Człowiek w zawieszaniu** - odpowiedział. - A napisał ją Saul Bellów.

- Niech mnie pies... - wycodziłem i łyknałem kawy.

- Czytałeś to? - zapytał.

- Oczywiście - skłamałem beczelnie.

- I co o tym sądzisz?

Udałem, że tłumię ziewanie.

- Dla mnie to słabizna. - Wiedziałem, że prawda jest inna, ale małostkowość, która tak często cechuje nie drukowanych pisarzy, kazała mi żywić pogardę wobec czegoś, co, jak podejrzewałem, cieszyło się zasłużonym uznaniem krytyki. - To bardzo wielkomięjska proza. Bardzo szczegółna. Trochę w tym za dużo zapaszku ulicy.

- Musiałem jednak w duchu przyznać, że słowa Natana, rozpartego nonszalancko w krześle naprzeciwko mnie, zrobiły na mnie potężne wrażenie. Przypuśćmy - pomyślałem - że ten inteligentny sukinsyn ma rację, że stare i szlachetne dziedzictwo, z

którym związałem swój los, było rzeczywiście na wyczerpaniu i właśnie hamowało z loskotem jak rozklekotana fura, miażdżąc mnie sromotnie pod swymi kołami? Natan zdawał się być tak pewny siebie, tak biegły w różnych innych sprawach, że i w tym przypadku jego przepowiednia mogła się okazać trafna; w nagłej, niesamowitej wizji, tym bardziej upokarzającej, że tak wściekle konkurencyjnej, ujrzałem siebie, jak pędzę po literackiej bieżni na odległej dziesiątej pozycji, krztusząc się kurzem wzniecany dudniącymi stopami szybkołogiej hordy Bellowów, Schwartzów, Levych i Mandelbaumów. Natan uśmiechał się do mnie. Był to uśmiech na pozór bardzo przyjazny, bez śladu szyderstwa, ale w jednym, ulotnym momencie doznałem uczucia, jakie nawiedziło mnie już wcześniej: że jego miły wygląd i fascynująca strona osobowości mają jakąś subtelną, nieokreśloną i złowrogą przeciwwagę. Potem coś bezkształtnego, wilgotnego i przygnębiającego przemknęło przez pokój i znikło, uwalniając mnie od wywołującego dreszcz doznania, i odwzajemniłem uśmiech. Natan miał na sobie brązowy, świetnie skrojony i drogi garnitur „Palm Beach” i nie przypominał dzięki temu nawet dalekiego krewnego rozczochranego dzikusa w workowatych spodniach, którego zaledwie parę dni temu zobaczyłem po raz pierwszy w życiu, jak ryczy na Zofię w korytarzu. Nagle całe to piekło, jego obłudne oskarżenia - „Rozkraczasz się z tą swoją cipą przed tym nędznym kanciarzem, przed tym konowalem...” wydały mi się tak nierealne jak kwestia dialogowa wygłaszana przez jakiegoś kabotyńca w starym, na pół zapomnianym filmie (czy kiedykolwiek dowiem się, co rozumiał przez te kretyńskie oskarżenia?). Patrząc na dwuznaczny uśmiech, który nie schodził mu z twarzy, uświadomiłem sobie, że osobowość tego człowieka była najbardziej dręczącą i nieprzeniknioną zagadką, z jaką się spotkałem.

- Nie mów mi tylko, że powieść umarła - powiedziałem wreszcie, akurat w chwili, kiedy niebiańska, pełna czułości muzyczna fraza spłynęła delikatnie z pokoju na górze, wymuszając zmianę tematu.

- To Zofia włączyła płytę - powiedział Natan. - Próbowałem ją przekonać, żeby pospała sobie dłużej, skoro nie musi iść do pracy. Ale ona twierdzi, że nie może. Od czasu wojny nie może długo spać.

- Co to za utwór? - Było to coś denerwująco znajomego, Bach, zapewne z muzycznego elementarza, ale jakoś nie mogłem sobie przypomnieć.

- To z kantaty 147. Po angielsku nazywa się *Jesu, Joy of Man's Desiring*.

- Zazdroszczę ci tego gramofonu - powiedziałem. - I płyt. Ale są cholernie drogie. Symfonia Beethovena pochłonęłaby lwią część mojej przeciętnej tygodniówki. - Przyszło mi potem do głowy, że w pierwszych dniach narodzin naszej przyjaźni tym, co

umacniało więź między mną, Zofią i Natanem, była wspólna miłość do muzyki. Sam Natan był wielkim amatorem jazzu, ale mam tu ogólnie na myśli wielką tradycję muzyczną z wyłączeniem wszystkiego, co choćby trochę popularne i większości utworów z okresu postschubertowskiego, z chlubnym wyjątkiem Brahmsa. Podobnie jak Zofia i Natan znajdowałem się - na długo przed eksplozją rocka i odrodzeniem folku - na tym etapie życia, kiedy muzyka jest czymś więcej niż chlebem powszednim, raczej narkotykiem, bez którego nie można się obejść, czymś, co zawiera w sobie tchnienie boskości (zapomniałem napisać, jak wiele wolnego czasu w okresie pracy w McGrawHill spędzałem w sklepach z płytami, trawiąc całe godziny na słuchaniu muzyki w dusznych kabinach, jakie istniały w tamtych czasach). Muzyka była dla mnie wtedy prawie wyłączną racją istnienia, do tego stopnia, że gdyby mnie pozbawiono jej poruszających harmonii czy misternie tkanych gobelinów baroku, bez wahania popełniłbym jakąś zbrodnię. - Na sam widok tych stert waszych płyt ślinka napływa mi do ust - dodałem.

- Wiesz, że możesz je sobie puszczać, kiedy zechcesz, mały.

- Zauważyłem, że od paru dni mówi do mnie od czasu do czasu „mały”, co sprawiało mi większą przyjemność niż podejrzewał. W miarę jak rosło moje uwielbienie, zaczynałem, jako jedynak, widzieć w nim po trosze starszego brata, i to brata, którego urok i ciepło tak zdominowały wszystko, co było w nim nieobliczalne czy dziwaczne, że byłem gotów natychmiast wybaczać mu wszystkie wybryki. - Słuchaj - ciągnął - możesz po prostu traktować mój kwadrat i Zofii jako...

- Twoje co?

- Kwadrat.

- A co to takiego?

- Kwadrat. No wiesz, pokój. - Po raz pierwszy zetknąłem się z tym żargonowym określeniem. Kwadrat. Podobało mi się to.

- W każdym razie przychodź, kiedy chcesz, i słuchaj płyt, jak jesteśmy w pracy. Morris Fink ma zapasowy klucz. Powiedziałem mu, żeby cię wpuszczał, kiedy zechcesz.

- Och, to doprawdy zbyt wiele, Natan - wybuchnąłem. - Ale, Boże, dzięki! - Jego wspańiałości poruszyła mnie do głębi, wręcz mną wstrząsnęła. Łamliwe płyty z tamtych lat były czymś zupełnie innym niż dzisiejsze, tanie artykuły masowej konsumpcji. Ludzie nie obchodzili się z nimi tak bez troski jak teraz. Były drogie, więc nigdy nie miałem dostępu do takich ilości muzyki. To, co zaproponował mi Natan, napełniło mnie radością graniczącą ze zmysłową ekstazą. Wolny dostęp do wszystkich różowych i dojrzałych ciał kobiecych, o jakich kiedykolwiek marzyłem, nie pobudziłby tak gwałtownej żądzy. - Będę się

z nimi obchodził bardzo ostrożnie - zapewniłem go pospiesznie.

- Ufam ci - powiedział - ale musisz uważać. Ten cholerny szelak tak łatwo się łamie. Myślę, że za parę lat na pewno wymyślą nietłukące płyty.

- To by było wspaniale - powiedziałem.

- I nie tylko to. Nie tylko nietłukące, ale z zagęszczonym zapisem - takie, żeby cała symfonia albo powiedzmy kantata Bacha zmieściła się na jednej stronie płyty. Jestem pewien, że tak będzie - zakończył i podniósł się z krzesła. W ciągu kilku minut dodał do swego prorocstwa o renesansie żydowskiej literatury płytę długogrającą.

- O rany, strasznie ci dziękuję, Natan - powiedziałem, wciąż szczerze wzruszony.

- Nie ma o czym mówić - odparł i powędrował wzrokiem do źródła muzyki. - Nie dziękuj mnie, dziękuj Zofii. To ona nauczyła mnie cenić muzykę, tak jakby ją wynalazła, jakby wcześniej dla mnie nie istniała. Tak samo jak nauczyła mnie ubierać się i wielu innych rzeczy... - urwał, oczy mu się zaszkliły i wzrok odpłynął gdzieś daleko.

- Wszystkiego. Życia! Boże, czy ona nie jest niewiarygodna? - W jego głosie pobrzmiwała nieco nadmierna rewerencja, z jaką mówi się czasami o najwspanialszych arcydziełach, a kiedy przytaknąłem bąknąwszy nieśmiało: „Na pewno!”, zrobiłem to tak, że nie mógłby wytropić najmniejszego nawet śladu mojego beznadziejnego i zawistnego uczucia. Jak już wspomniałem, zachęcał mnie, bym dotrzymywał Zofii towarzystwa, toteż kiedy poszedł do pracy, bez skrupołów postanowiłem zaprosić ją na spacer. Był czwartek, więc miała dzień wolny; kiedy usłyszałem jej głos spływający w dół przez poręcz schodów, zapytałem, czy nie zjadłaby ze mną lunchu w parku, około południa.

- Okej, Stingo! - zawołała wesoło, po czym natychmiast przestałem o niej myśleć. Prawdę mówiąc moje myśli krążyły wokół krocza, biustu, brzucha, pępka i zadka należących do pewnej sfiksowanej nimfy, którą poznałem na plaży w niedzielę, owej „żyłety”, którą tak ochoczo obdarzył mnie Natan.

Pomimo ogarniającej mnie żądz, wróciłem do biurka i próbowałem przez godzinę coś nagryzmolić, niezupełnie świadom ruchu na zewnątrz - wejść i wyjść innych lokatorów domu: Morrisa Finka, który mruczał coś gniewnie do siebie, wybiegając frontowymi drzwiami, Yetty Zimmerman schodzącej ciężko ze swej kwatery na drugim piętrze dla dokonania pobieżnej lustracji porannej, słoniowatego Moisha Muskatblita pędzącego z łomotem, w niezdarnym pośpiechu do swej *jesziwy* i pogwizdującego *Oślą serenadę* w niesamowitych, zharmonizowanych, przypominających brzmienie kurantu tonach. Po chwili, kiedy przerwałem pracę i stanąłem w oknie wychodzącym na park, zobaczyłem jedną z

pielęgniarek, Astrid Weinstein, powracającą zmęczonym krokiem z nocnego dyżuru w szpitalu Kings County. Ledwie zatrzasnęły się za nią drzwi pokoju naprzeciwko, z domu wybiegła druga pielęgniarka, Lillian Grossman, spiesząc do pracy w tym samym szpitalu. Trudno było powiedzieć, która jest nadobniejsza - niezgrabna, koścista Astrid z zaczerwienionym, płaczkliwym, ciągle zafrasowanym i płaskim jak deska obliczem, czy Lillian Grossman, chuda niczym zagłodzony wróbel, o napiętych rysach złośliwej twarzy, której widok z pewnością nie działał zbyt kojąco na jej podopiecznych. Ich brzydota była wstrząsająca. W końcu jednak udało mi się przezwyciężyć pecha - pomyślałem sobie - który sprowadził mnie pod dach domu tak frustrującego, tak pozbawionego erotycznych okazji. Ostatecznie miałem Leslie! Zacząłem się intensywnie pocić, dyszałem jak po długim biegu, a w piersiach wzbierało mi coś boleśnie niczym raptownie pęczniejący balon.

W ten sposób doszedłem do sprawy seksualnego zaspokojenia, która była jeszcze jedną spośród wcześniej wymienionych korzyści wynikłych z przeprowadzki do Brooklynu i rozpoczęcia nowego życia. Owa saga, epizod czy fantazja nie miała bezpośredniego związku z Zofią i Natanem, wahałem się więc, czy oniej pisać, zdając sobie sprawę, że jako marginalna nadaje się być może do całkiem innej historii i na inną porę. Była jednak tak mocno spleciona z materią i nastrojem tamtego lata, że jej wyeliminowanie z opowieści przypominałoby pozbawienie ciała jednego z członków, może nie najważniejszego, ale tak ważnego jak powiedzmy palec. Nawet teraz zresztą, kiedy już napisałem oswoich wątpliwościach, czuję podświadomie, że ów desperacki erotyzm ma jakieś nieuchwytnie znaczenie i jest elementem niezbędnym dla opisanego okresu moich seksualnych udręk. W każdym razie, kiedy tak stałem tego ranka, nabrzmiały, wśród zarzuconych prac, pomyślałem sobie, że oto spada na mnie bezcenna nagroda za energię i zapał, z jakim rzuciłem się na swoją muzę. Jak każdy rasowy pisarz miałem oto otrzymać godziwą zapłatę, dopełnienie wieńczące każdy ciężki trud, które orzeźwia znużony umysł i jest osłodą życia. Mówiąc krótko, po raz pierwszy od długich miesięcy spędzonych w Nowym Jorku, wreszcie i ponad wszelką wątpliwość dorwałem kawał porządnej dupy. Tym razem rzecz była tak pewna jak to, że na wiosnę zielenią się liście, a wieczorem zachodzi słońce: już w najbliższych godzinach miałem solidnie wszczepić swojego kutasa niezwykle urodziwej, wyzwolonej seksualnie dwudziestodwuletniej białej lilii, Żydówce imieniem Leslie Lapidus (rym do *Ah, feed us* nasyć nas). Tamtej niedzieli na Coney Island Leslie Lapidus zagwarantowała mi dosłownie - jak to pokrótce wykażę - że posiadę jej wspaniałe ciało. Umówiliśmy się na najbliższy czwartkowy wieczór. W ciągu kilku dni, jakie dzieliły mnie od tego czwartku, wyczekując ponownego spotkania w tak nieprzyzwoitym podnieceniu, że wśród nawrotów

lekkiej, ale prawdziwej gorączki prawie się rozchorowałem, upajałem się jedną myślą: tym razem na pewno się uda. Miałem to jak w banku. Załatwione! Tym razem nic nie stanie na przeszkodzie: obłądana rozkosz chędożenia gorącej, chętnej Żydóweczki o przepastnym spojrzeniu i wspaniałych ochrowomorelowych, opalonych nogach, które zapowiadały, że wycisną ze mnie wszystkie soki, nie była jakąś bzdurną mrzonką. Gdyby nie koszarne wyczekiwanie, można by uznać sprawę za *fait accompli*, praktycznie załatwioną. W moim krótkim, ale bujnym życiu seksualnym nigdy nie doświadczyłem takiej pewności bliskiego triumfu (rzadko który młodzieniec miał ją wówczas) i było to uczucie cudowne. Możecie sobie gadać o flircie, emocjach osaczania, rozkoszach i wyzwaniach okupionego wysiłkiem uwodzenia - pewnie, ma to swoje specyficzne zalety. Jednakże nic nie może się równać z tą leniwą, upajającą antycypacją, świadomością, że wszystko przygotowane, że czeka i jest - że tak powiem - w garści. Jednym słowem, każdą godzinę wolną od pracy nad powieścią wypełniały mi myśli o Leslie i bliskiej schadzce; wyobrażałem sobie, jak będę ssać sutki tych „ciężkich jak melony” żydowskich piersi, tak miłych Thomasowi Wolfe’owi - i głowa płonęła mi jak wydrążona dynia ze świeczką w środku. I jeszcze jedno: nie mogłem się pozbyć poczucia, że to, co miało nadejść, należało mi się jak najśluszej. Każdy oddany swemu posłannictwu artysta, nawet najuboższy - byłem o tym przekonany - zasłużył sobie przynajmniej na to. Co więcej, wydawało mi się, że jeśli rozegram partię właściwie i pozostanę tym chłodnym, egzotycznym i nonszalanckim bawidamkiem, który podział na Leslie tak wściekle podniecająco przy pierwszym spotkaniu, jeśli nie popełnię jakiejś fatalnej gafy, ten dar Boga czy Jehowy stanie się według wszelkiego prawdopodobieństwa regularnym, codziennym nawet układem. Będę mógł dziko swawolić od rana do wieczora, a to wszystko może jedynie podnieść walory mojej literackiej produkcji, wbrew powszechnie wówczas obowiązującej, ponurej doktrynie seksualnej „sublimacji”. Tak czy inaczej wątpiłem, aby w naszych stosunkach odgrywały większą rolę uczucia wzniosłe, ponieważ moja fascynacja osobą Leslie miała charakter raczej pierwotny i nie było w niej tego poetycznoidealistycznego wymiaru, jaki cechował skrywaną namiętność wobec Zofii. Leslie miała mi umożliwić zakosztowanie po raz pierwszy w życiu przyjemności spokojnego, metodycznego odkrywania całego wachlarza cielesnych doznań, które do tej pory istniały w moim umyśle w postaci ogromnej i orgiastycznej, ustawicznie wertowanej encyklopedii żądz. Dzięki Leslie miałem wreszcie zaspokoić pierwszy głód, zbyt długo okrutnie ignorowany. Kiedy tak czekałem na ten rozstrzygający czwartek, jej zapamiętany obraz kojarzył mi się z fascynującą możliwością seksualnej komunii, która unieważni absurdalne postępowanie wobec mojego nie zaspokojonego, napęczniałego penisa, tak fatalnie przeze

mnie dotąd transportowanego przez lodowaty, księżycowy pejzaż seksualny lat czterdziestych.

Pora tu, jak sądzę, na krótką refleksję dotyczącą tej dekady, refleksję, która stworzyłaby fundament dla łatwiejszego wyjaśnienia niszczycielskiego wpływu, jaki miała na mnie wyrzecz owa inicjacja. Ci, co przeżyli lata pięćdziesiąte, wiele wylali żółci, pisząc seksie, przeważnie w tonacji, uzasadnionego zresztą, biadolonia. Ale lata czterdzieste były naprawdę pod tym względem o wiele gorszym, wyjątkowo koszmarnym dla Erosa okresem, jako że stanowiły chwiejny pomost pomiędzy purytanizmem naszych ojców a pojawieniem się publicznej pornografii. Sam seks wychodził z ukrycia, ale pozostawał powszechny dręczący problem, co z nim począć. To, że ową epokę symbolizowała Panienska Pałacyk

o Latareka - spryziula, która odbijała laski całemu pokoleniu moich skręcających się w męce równolatków, dopuszczając śliskie poufałości, ale jednocześnie z bezwzględnością stalowego potrzasku strzegąc głównej nagrody i łkając triumfalnie, kiedy chyłkiem powracała do akademika (ach, te nietknięte błony! I te srebrzy - ścieślimacze ślady na jedwabnych majteczkach!) - było wyłącznie winą historii, ale stanowiło poważny mankament tamtych lat. Z perspektywy czasu należy ocenić to rozszczepienie jako kompletnie nieznośne i nieznośnie kompletne. Po raz pierwszy społeczeństwo z wyrachowaniem przyzwalało, wręcz zachęcało do swobodnego cielesnego obcowania, zabraniając jednocześnie zaspokajania cielesnych pragnień. Po raz pierwszy w samochodach zainstalowano obszerne, wyściełane tylne siedzenia. We wzajemnych stosunkach obu płci wytworzyło się w związku z tym bezprecedensowe napięcie i frustracja. Dla ambitnego rębajły, szczególnie młodego i bez grosza przy duszy, był to czas okrutny.

Można było oczywiście skorzystać z profesjonalistki i większość młodych ludzi z mojego pokolenia przynajmniej raz i zazwyczaj tylko raz - korzystała. Sprawa z Leslie była cudowna, ponieważ, poza wszystkim, jej obietnica nie zawierała żadnych niedomówień; otrzymałem niejako natychmiastową gwarancję, że dzięki niej odkupię to żalodne, jednorazowe zwanie, jakie mi się kiedyś przytrafiło. Choć można by je od biedy uznać za regularny akt seksualny, czułem w głębi duszy, że wcale takowym nie było. Była to po prostu nędzna kopulacja. Pogarszał sprawę fakt, że chociaż zdołałem doprowadzić do, jak się to naukowo określa, pełnej penetracji, nie udało mi się w ogóle osiągnąć końcowej rozkoszy, co tylekroć ćwiczyłem ręcznie od czternastego roku życia. Krótko mówiąc uważałem się za istnego dziwoląga, prawdziwą *demivierge*. Nie żebym dostrzegał w tym jakąś patologię, jakies groźne psychiczne zahamowania, które zmuszałyby mnie do szukania pomocy lekarzy. Co to, to nie: blokadę orgazmu wywołał po prostu zarówno ogłupiający strach, jak dławiąca

atmosfera epoki, ów *Zeitgeist*, który przekształcił seks w Ameryce połowy stulecia w koszmarne Morze Sargassowe win i lęków. Zadebiutowałem jako siedemnastoletni licealista. Cała komedia rozegrała się z udziałem starej, zużytej kurwy z plantacji tytoniu w dwudolarowym, zapchlonym hoteliku w Charlotte, w Północnej Karolinie, fiasko zaś spowodowane było nie tylko ponurymi szyderstwami, jakimi mnie raczyła, kiedy dymałem pracowicie w jej sterane lędźwia („wolniej niż zółw z przetrąconymi kulasami”), nie tylko znieczuleniem oceanem piwa wypitego dla kurażu, lecz także - wyznaję - tym, że w trakcie moich pijackich działań przygotowawczych kombinacja gry na zwłokę i obawy przed zarażeniem skłoniły mnie do bezwiednego przywdziania dwóch kondomów naraz - co odkryłem, skonsternowany, dopiero wtedy, kiedy w końcu zrzuciła mnie z siebie.

Jeśli nie liczyć tej katastrofy, wszystkie moje doświadczenia poprzedzające owo popołudnie, kiedy poznałem Leslie Lapidus, były równie obrzydliwe, bezowocne i typowe. Typowe, oczywiście, dla lat czterdziestych. Zaliczyłem swoją porcję „palcówek”, jak to się wówczas nazywało, na balkonach różnych kin, a pewnego razu w ciemnym, ocienionym gęstwiną liści tunelu miejscowego zaułka zakochanych udało mi się, z gwałtownym łomotem serca, pomacać ukradkiem tak zwany goły cyc. Innym razem, wietrząc zwycięstwo, ale bliski omdlenia z napięcia, zdołałem zerwać dziewczęcy stanik, by odkryć pod nim parę „fałszywek” i chłopięcą pierś, płaską jak raketka do pingponga. Seksualne wspomnienia, które dawkowałem sobie w Brooklynie, kiedy dawałem w samotności upust wezbranym żądzom, jawiły się w postaci niepokojącego mroku, potu, pełnych wyrzutu pomrukiwań, opornych elastycznych pasów i gum, kaleczących haftek i zatrząsków, szeptanych zakazów, uporczywych erekcji, zacinających się zamków błyskawicznych i ciepławeji, duszącej woni wydzielin z rozpalonych i zablokowanych gruczołów.

Moja niewinność była nieustającą duchową Golgotą. Jako jedynak, w przeciwieństwie do tych, którzy z natury rzeczy widywali swoje siostry nago, czekałem dopiero na moment, kiedy zobaczę całkiem rozebraną kobietę - nawet ta podstarzała dziwka z Charlotte miała na sobie podczas całej akcji poplamioną i cuchnącą halkę. Nie pamiętałem już dokładnie swoich fantazji związanych z pierwszą wybranką mego serca. Nie idealizowałem głupio „kobiecości”, jak to było wówczas w modzie, a zatem jestem pewien, że nie roilem o zaciągnięciu do łóżka żadnej cnotliwej, kolczastej i świeżej jak róża dziewoi prosto od ołtarza. Musiałem, jak sądzę, wykoncypować sobie, że w bliżej nie określonej, świetlanej przyszłości poznam jakąś wesołą piesz - czoszkę i ta przygarnie mnie do siebie z okrzykiem szalonego entuzjazmu, bez nakładania owego embarga, którym dręczyły mnie małe protestanckie bestyjki na tylnych siedzeniach niezliczonych samochodów. Jednego nie

przeczuwałem. Nie przypuszczałem, że dziewczyna moich marzeń nie będzie miała żadnych zahamowań, jeśli idzie o język; moje przyjaciółki z przeszłości nie potrafiły wykrztusić bez rumieńca słowa „biust”. Prawdę mówiąc, wzdygałem się na dźwięk słowa „cholera” w ustach kobiety. Można sobie zatem wyobrazić szok, jakiego doznałem, kiedy Leslie Lapidus w dwie niespełna godziny po naszym poznaniu, wyciągnąwszy na piasku swe oszałamiające nogi niczym młoda lwica, spojrzała mi migdałowymi oczami prosto w twarz z najbardziej nieskrępowanym wyuzdaniem pogańskiej wszeteczniczcy z Babilonu, o jakim mogłem marzyć, i w niewiarygodnie sprośnych słowach zaproponowała mi ewentualną przygodę. Żadne określenie nie byłoby przesadą, gdybym chciał ten szok opisać; przerażenie, niedowierzenie i rozkoszny dreszczyk zmieszały się w jeden rwący strumień emocji. Jedynie to, że byłem młody, uchroniło moje znieruchomiałe na kilka krytycznych sekund serce przed zawałem.

Ale nie tylko oszałamiająca bezpośredniość Leslie rozpałała moje zmysły. Powietrze nad wydzielonym, trójkątnym skrawkiem plaży, który przyjaciel Natana, ratownik Morty Haber, odgradzał w niedzielne popołudnia jako prywatne sanktuarium, roilo się od najbardziej plugawych wyrażonek, jakie kiedykolwiek słyszałem w tak zwanym mieszanym towarzystwie. Było tam jednak jeszcze coś poważniejszego i bardziej złożonego: jej promieniująca zmysłowość, w której mieściło się i otwarte wyzwanie, i oczekiwanie, a także niezawołowana zachęta, niczym lasso zarzucona na moje uszy. Najwidoczniej miała na myśli praktyczne działanie, więc kiedy tylko odzyskałem mowę, odpowiedziałem lakonicznie i niedbale w stylu dzentelmena z Wirginii, którym - jak wyczułem (lub sobie w swej próżności wyobrażałem) - ująłem ją od samego początku: „No cóż, skarbie, skoro o tym mowa, to mogę sobie pochlebić, że jestem w stanie dogodzić ci w wyrku”. Nawet się nie domyślała, jak wali mi serce po tym groźnym dla życia wstrzymaniu akcji. Zarówno dialekt, jak wymowa były tanim trikiem, ale udało mi się rozbawić Leslie do łez i zawojować ją bez reszty. Moje wystudiowane i pretensjonalne wypowiedzi wywoływały na zmianę ataki chichotów i objawy fascynacji, kiedy tak gawędziliśmy wylegując się na piasku. Świeżo upieczona absolwentka college’u, córka producenta galanterii z tworzyw sztucznych, której podróże ze względu na różne życiowe okoliczności i niedawną wojnę ograniczały się do trasy Brooklyn jezioro Winnepesaukee w New Hampshire (gdzie - jak mi powiedziała ze śmiechem - spędziła dziesięciokrotnie wakacje w Camp Nehoc, co czytane wspaniale daje pospolite żydowskie nazwisko), wyznała mi, że jestem pierwszym człowiekiem z Południa, z jakim zamieniła słowo. Początek tego niedzielnego popołudnia pozostał dla mnie jedną z przyjemniejszych „mgławic” wśród moich mgławicowych wspomnień. Coney Island. Siedemdziesiąt dziewięć stopni Fahrenheita, złociste, naelektryzowane powietrze. Prażona

kukurydza, zapach kandyzowanych owoców i kiszonej kapusty - i Zofia, uwieszona najpierw u mojego rękawa, potem u ramienia Natana, nalegająca, byśmy spróbowali wszystkich po kolei zwariowanych przejażdżek w lunaparku, co w końcu zrobiliśmy. Steeplechase Park! O mało nie skręciliśmy karku, zjeżdżając nie raz, ale dwukrotnie na tak zwanej pętli śmierci. Potem przyprawiło nas o zawrót głowy przerażające urządzenie zwane miotaczem, którego żelazne ramię wyrzuciło nas, wrzeszczących ze strachu, w przestrzeń, w gondoli wirującej po zmieniających się orbitach. Owe przejażdżki najwidoczniej przeniosły Zofię w czasy prostych uciech. Nigdy nie widziałem podobnie zmiennych emocji nawet u dziecka - takiej radości, takiego autentycznego przerażenia, tak spontanicznie i głęboko przeżywanego szczęścia. Krzyczała w ekstazie, wydając z siebie cudowne piski, wydobywane z jakiegoś pierwotnego źródła upojenia i znacznie bardziej spontaniczne niż zwykle reakcje na wywołujące rozkoszny dreszczyk niebezpieczeństwo. Przywierała do Natana, chowała twarz w zgięciu jego ramienia, śmiała się i wrzeszczała, aż łzy popłynęły jej strumieniami po policzkach. Jeśli chodzi o mnie, byłem równiuchą do czasu, ale stchórzyłem przed wieżą spadochronową, sześćdziesięciometrową pozostałością ze Światowych Targów w 1939 roku - może i była absolutnie bezpieczna, tyle że zakreśliło mi się w głowie na sam jej widok.

- Stingo, tchórz! - zawołała Zofia i pociągnęła mnie za rękaw, ale nawet jej błagania nie zdołały mnie poruszyć. Liżąc loda, przypatrywałem się, jak Zofia i Natan w swoich staromodnych strojach zmniejszają się stopniowo, podciągani na linach pod wzdymającymi się baldachimami spadochronów; na szczycie zatrzymali się na krótki moment, straszny i zapierający dech w piersiach, podobny do niekończącej się, odliczanej tykaniem zegara chwili, kiedy skazaniec czeka na otwarcie szubienicznej zapadni, po czym z szumem i świstem runęli jak kamienie w dół. Krzyk Zofii niesiony ponad głowami rojącego się tłumu plażowiczów dotrzeć mógł do statków na morzu. Skok był dla niej ukoronowaniem emocji. Rozprawiała o nim do utraty tchu, szydząc bez litości z mojego tchórzostwa - Stingo, nie wiesz, co dobre! - kiedy zmierzaliśmy w stronę plaży wśród istnej parady osobliwości: przepychających się i stłoczonych, kanciastych i korpulentnych, pięknych, na - krapianych, kłębiących się ludzkich ciał.

Oprócz Leslie Lapidus i Morty'ego Habera, szóstka młodych ludzi rozłożonych na piasku wokół wieży ratownika była tak samo obca Natanowi i Zofii jak mnie. Morty - ostentacyjnie przyjazny, owłosiony dryblas, typowy ratownik - przedstawił nas trzem śniadym młodzieńcom w kąpielówkach z lateksu, których imiona brzmiały: Irv, Shelley i Bert, oraz trójce rozkosznie zaokrąglonych, opalonych na złocistomiodowy kolor dziewcząt: Sandrze, Shirley i - wreszcie, ach - Leslie. Morty był niezwykle przyjacielski, ale jakaś

dziwna rezerwa, wręcz wrogość pozostałych (jako Południowcowi ściskali mi długo i niby to spontanicznie dłoń, ale w gruncie rzeczy ujmowali ją, jakby to był śledź) wyraźnie mnie krępowała. Przyjrząwszy się całej grupce nie mogłem opanować lekkiego, niemniej prawdziwego zakłopotania z powodu swej kościstej sylwetki i przyrodzonej bladości skóry. Biały jak młynarz, z zaczerwienionymi łokciami i pociieranymi kolanami, czułem się jak zdechłak i wymoczek wśród tych śródziemnomorskich, śniadych i gładkich ciał, lśniących od olejku Coppertone niczym skóra delfina. Jakże im zazdrościłem pigmentacji, która pozwalała ich torsom przybrać ów nasycony, kasztanowy odcień!

Kilka par okularów w rogowej oprawie, ogólny tok konwersacji i porozrzucone książki (wśród nich *Funkcja orgazmu*) kazały mi się domyślać, że mam do czynienia z intelektualami. I nie myliłem się: wszyscy byli albo świeżo upieczonymi absolwentami Brooklyn College, albo mieli z uczelnią jakieś związki. Jedna Leslie studiowała w Sarah Lawrence College. Czułem też, że wyróżnia się temperamentem na tle ogólnego chłodu pozostałych. Niezwykle efektowna, w odważnym (jak na owe czasy) dwuczęściowym, białym kostiumie, który pozwalał dojrzeć - co stwierdziłem rzuciwszy przelotnie okiem - pierwszy pępek dojrzałej kobiety, jaki widziałem w naturze, jako jedyna zareagowała na prezentację Morty'ego czymś więcej niż tylko pełnym nieufności, zdawkowym zainteresowaniem. Uśmiechnęła się, obrzuciła mnie od stóp do głowy taksującym, zachwycająco przenikliwym spojrzeniem, po czym klepinięciem dłoni wskazała mi miejsce obok siebie. Lśniła w promieniach upalnego słońca zdrowym potem i wydzielala kobiecy zapach piżma, który natychmiast oszołomił mnie jak trzmiela. Chwilowo oniemiały gapilem się na nią wygłodniałym wzrokiem. Była dojrzałą repliką mojej pierwszej, dziecięcej miłości, Miriam Bookbinder, że wszystkimi niezbędnymi hormonami dorosłej kobiety połączonymi w doskonałej harmonii. Jej piersi obiecywały ucztę. Rowek pomiędzy nimi, ową mityczną szczelinę, której nigdy nie widziałem z bliska, zrosiła delikatna mgiełka. Zapragnąłem wtulić twarz w ten wilgotny, żydowski biust i wydawać z siebie zduszone okrzyki szczęśliwego odkrywcy.

Potem, kiedy zaczęliśmy swobodnie gawędzić (jak pamiętam, literaturze, dzięki pomocnemu napomknieniu Natana, że jestem pisarzem), stwierdziłem, że zasada przyciągania przeciwieństw zaczyna działać na całego. Żydówka i goj w zasięgu magnetycznej grawitacji. Nie mogłem się mylić co do ciepła, jakim promieniowała od samego niemal początku, co do wibracji i błyskawicznego, prawdziwego porozumienia, jakiego tak rzadko doświadcza się w życiu. Mieliśmy także wiele wspólnego w sprawach podstawowych. Podobnie jak ja, Leslie specjalizowała się w zakresie literatury angielskiej; napisała pracę dyplomową o Harcie

Cranie znalazła się na poezji. Jednakże jej podejście cechowała zupełnie nieakademicka świeżość i swoboda. Ułatwiało to gładką konwersację i wymianę opinii, mimo że moją uwagę przyciągał bez przerwy to jej oszalamiający biust, to znów pępek, maleńka, idealna czarka, z której w trwającej mgnienie oka wizji chleptałem lemoniadę KoolAid czy jakiś podobny nektar. Rozmawiając o innym brooklińskim laureacie, Walcie Whitmanie, stwierdziłem, że z powodzeniem mogę słuchać jednym uchem. Zbyt często udawałem w college'u czy gdzie indziej poważnego, kulturalnego człowieka, by nie zdawać sobie sprawy, że jest to preludium, wstępne wzajemne rozpoznanie wrażliwości, w którym bardziej liczył się autorytatywny ton wypowiedzi niż jej treść. W rzeczywistości był to rodzaj rytualnego, towarzyskiego tańca, pozwalającego nie tylko, jak w tym przypadku, błędzić myślom po bujnym ciele Leslie, ale kontrolować to, co dzieje się w tle. Ponieważ nie rozumiałem dokładnie słów, nie mogłem w pierwszej chwili uwierzyć uszom, kiedy udało mi się pochwycić fragment jakiejś nowej werbalnej gry; dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że to nie żart, że jest jakaś ponura powaga w strzępach rozmowy, w których każde niemal zdanie zaczynało się od: „Mój psychoanalityk powiedział...”

Ta utykająca, urywana pogawędka oszołomiła mnie i jednocześnie przykuła moją uwagę; szczerłość, z jaką mówili o seksie, była czymś tak absolutnie nowym, że doświadczyłem czegoś, co nie zdarzyło mi się od ósmego roku życia - płonęły mi uszy. Jako doświadczenie zupełnie nowe, cała ta konwersacja wywarła na mnie tak silne wrażenie, że po powrocie do domu zapisałem w dosłownym brzmieniu to, co udało mi się zapamiętać; zachowałem te wyblakłe dziś i pożółkłe notatki wraz z takimi pamiątkami jak listy od ojca. Choć obiecałem sobie nie męczyć czytelników cytowaniem zbyt wielu z niezliczonych zapisków, jakie robiłem tamtego lata (jest to nużąca i rozpraszaająca sztuczka, która dowodzi niedowładu wyobraźni), zrobię w tym szczególnym przypadku wyjątek i przytoczę dosłownie kawałek swego pamiętnika jako miarodajne świadectwo stylu rozmów z 1947 roku, roku narodzin psychoanalizy w powojennej Ameryce:

Dziewczyna imieniem Sandra:

- ***Mój psychoanalityk stwierdził, że problem transferencji przeszedł u mnie ze stadium wrogości w stadium afektacji. Powiedział, że zwykle oznacza to, iż analizy będą teraz przebiegać łatwiej, bez przeszkód i zahamowań.***

Długie milczenie. Oślepiające słońce, mewy na tle modrego nieba. Pióropusz dymu na horyzoncie. Przepiękny dzień - domaga się wręcz, by zaśpiewać hymn na jego cześć, jakąś schillerowską Odeę do radości. Co na litość boską dolega tym szczeniakom? Nigdy nie zetknąłem się z takim ponuractwem, taką desperacją, tak beznadziejną, drętą powagą. W

końcu ktoś przerywa milczenie.

Facet imieniem Iru:

- *Nie daj się zbyt ponieść afektowi, Sandra, bo ockniesz się z chujem doktora Bronfmana między nogami.*

Nikt się nie śmieje.

Sandra:

- *To wcale nie zabawne, Irving. Właściwie to, co powiedziałeś, jest bezczelne. Problem transferencji to nic do śmiechu.*

Znowu długie milczenie. Leżę jak rażony gromem. Nigdy nie słyszałem tego czteroliterowego wyrazu wypowiedzianego w mieszanym towarzystwie. Nigdy też nie słyszałem o transferencji. Czuję, jak moja prezbiteriańska moszna kurczy się z wrażenia. Te typki są naprawdę wyzwolone. Ale jeśli tak, czemu takie ponure?

- *Mój psychoanalityk powiedział, że problem transferencji to poważna sprawa, niezależnie od tego, czy jest w stadium wrogości, czy afektacji. Uważa go za dowód nieprzewyciężonej zależności edypal - nej. - To Shirley, nie tak rajcowna jak Leslie, ale z fantastycznymi cyckami. Jak zauważył T. Wolfe, żydowskie dziewczyny mają wspaniale rozwinięte klatki piersiowe. Ale z wyjątkiem Leslie robią wrażenie, jakby były na pogrzebie. Widzę, że Zofia odsunęła się trochę i przysłuchuje się rozmowie. Cała spontaniczna radość, jaką czerpała ze swoich szalonych wyczynów, pry snęła. Jej piękna twarz jest nadąsana i ponura; nie odzywa się. Jest taka piękna, nawet w podłym nastroju. Od czasu do czasu spogląda na Natana - jakby go szukała, jakby chciała się upewnić, czy jest obok. Potem ze zmarszczonymi brwiami dalej słucha rozmowy. Kolejna porcja bezsensownej paplaniny:*

- *Mój psychoanalityk powiedział, że moje problemy z orgazmem są pochodną manii pregenitalnej. (Sandra)*

- *Po dziewięciu miesiącach wizyt u psychoanalityka odkryłem, że tak naprawdę to chciałbym pierdolić ciotkę Sadie, nie swoją matkę. (Bert). Śmieszek.*

- *Zanim zaczęłam chodzić na analizy, byłam kompletnie oziębła, możecie to sobie wyobrazić? Teraz myślę tylko o pierdoleniu. Wilhelm Reich zrobił ze mnie nimfomankę, seks rzucił mi się na mózg...*

Ostatnie słowa, wypowiedziane przez Leslie, która przewróciła się na brzuch, podziałały na moje libido w taki sposób, że słowo „afrodyzjak” straciło dla mnie na zawsze znaczenie. To było coś więcej niż zwykłe pożądanie, raczej atak żądzy zwałającej prawie z nóg. Czyżby nie wiedziała, co się ze mną dzieje, kiedy słyszę te wyznania nałożnicy, pełne plugawych, bezecnych słówek, zasypujących jak grad ostrych włóczni bastion mej

chrześcijańskiej przyzwoitości obwarowanej dręczącymi ograniczeniami i zakazami? Opanowało mnie takie podniecenie, że cały słoneczny, nadmorski pejzaż - zażywający kąpieli, białogrzywe fale, nawet warkoczący monotonnie samolot z powiewającym za nim transparentem: CO WIECZÓR DRESZCZYK EMOCJI NA TORZE WYŚCIGOWYM AQUEDUCT - zasnuł się pornograficzną mgiełką, jak gdybym patrzył przez trupioniebieski filtr. Gapilem się na Leslie w nowej pozie, na jej długie, opalone nogi zwieńczone jędrnym, kształtnym tyłkiem, wydatnym, lecz symetrycznym zaokrągleniem przechodzącym płynnie w zagłębienie, a potem w stok miedzianozłoty, lekko piegowaty pleców, gładkich jak grzbiet foki. Musiała wyczuć moje pragnienie, by ich dotknąć (powstrzymywało mnie tylko to, że dłoń, którą już w myślach masowałem jej luby tyłek, była spocona), ponieważ wkrótce odwróciła głowę w moją stronę i powiedziała:

- Ej, posmaruj mnie olejkim, dobra? Usmażę się.

Od momentu tej oślizłej poufałości, kiedy smarowałem jej ramiona schodząc wzdłuż pleców w dół, do miejsca, gdzie zaczynał się rowek między pośladkami - maleńkie, jaśniejsze zagłębienie - a potem, przeniósłszy rozdygotaną dłoń nad siedzeniem, tajemnicze regiony między udami lśniące od potu zapamiętałem owo popołudnie jako mglisty, ale rozkoszny, fantastyczny sen.

Były też niezliczone puszki piwa z ulicznego stoiska, co podtrzymywało moją euforię; nawet gdy Zofia i Natan pożegnali się z nami (Zofia, blada i nieszczęśliwa, narzekała na złe samopoczucie) i nagle odeszli, ciągle szybowałem w wysokich rejonach uniesienia. Pamiętam jednak, że po ich odejściu zapadło kłopotliwe milczenie, przerwane czymś pytaniem: „Widzieliście ten tatuaż na jej ramieniu?” Kolejna półgodzinna porcja psychoanalitycznych wywodów znudziła mnie potwornie, a alkohol i podniecenie ośmieliły do tego stopnia, że zaproponowałem Leslie, abyśmy przespacerowali się gdzieś, gdzie będziemy sobie mogli pogadać w cztery oczy. Przystała na to, bo niebo zachmurzyło się lekko, wylądowaliśmy więc w jakiejś kawiarence i tam Leslie pila SevenUp, a ja podsyciałem żar swej szalonej namiętności, racząc się kolejnymi puszkami budweisera. Ale pozwólcie, że kolejna garść moich gorączkowych zapisków scharakteryzuje dalszą część operetki, jaka rozegrała się tamtego popołudnia:

Leslie i ja siedzimy przy barze restauracji „U Victora”. Ja mam trochę w czubie. Nigdy w życiu nie byłem tak podekscytowany seksualnie. Ta żydowska driada ma więcej zmysłowości w jednym wymownym kciuku niż wszystkie znane mi, zasznurowane dziewice z Wirginii i Północnej Karoliny razem wzięte. Ponadto jest niesamowicie bystra i potwierdza spostrzeżenie Henry’ego Millera, które gdzieś wyczytałem, że cały seks jest w mózgu, to

znaczy, że im głupsza dziewczyna, tym głupsze walenie. Nasza rozmowa toczy się jak potężne fale przyływu i odpływu - Hart Crane, seks, Thomas Hardy, seks, Flaubert, seks, Schopenhauer i Nietzsche, seks, Huck - leberry Finn, seks. Miotam w nią płomieniami czystego intelektu. Jest oczywiste, że gdybyśmy nie siedzieli w publicznym miejscu, miałbym ją na widelcu. Trzymam ją za rękę, wilgotną, jakby zwilżoną ekstraktem pożądania. Mówi dość szybko, z akcentem, który nauczyłem się odróżniać jako akcent brooklińskiej elity, zbliżony do wymowy z Manhattanu. Ma zachwycającą mimikę, jej twarz rozjaśnia co chwila uroczy uśmiech. Jest cudowna! Ale czymś, co naprawdę mnie wzięło, są wtrącane ni stąd, ni zowąd w trakcie tej leniwie płynącej godziny słówka, jakich nigdy w życiu nie słyszałem z ust kobiety. Kiedy się z nimi oswoić, wcale nie brzmią nieprzyzwoicie. Są to między innymi: „chuj”, „pierdolić” i „obciąganie druta”. Jednocześnie takie zwroty jak: „nadziała się na niego”, „trzepie kapucyna” (to ostatnie apropos Thoreau), „zrobiła mu fleta”, „mineciarz”, „połknęła jego spermę” (Melville) (Melville?). Mówi przeważnie ona, choć i ja mam swój udział i udaje mi się z wystudiowaną nonszalancją wcisnąć raz „mojego stojącego kutasa”, co mnie niewiarygodnie podnieca, jako że po raz pierwszy wypowiadam coś z repertuaru tzw. twardych obscenów w obecności kobiety. Kiedy wychodzimy z „Victora”, jestem już niezłe narąbany i na tyle ośmielony, że obejmuję ramieniem jej gołą, gibką talię. Przy okazji muskam jakby lekko jej dupę, na co reaguje przyciskając moją dłoń ramieniem: to i lśnienie jej ciemnych, orientalnych oczu, kiedy zerka na mnie szelmowsko, utwierdza mnie w przekonaniu, że oto wreszcie cudem poznałem kobietę wolną od konwenansów i bigoterii, jakie ciężą nad naszą pełną hipokryzji kulturą...

Stwierdzam z niejakim przygnębieniem, że w powyższych zapiskach nie ma najłżejszego śladu ironii (rzeczywiście, stać mnie było jedynie na „jakby lekko”), co świadczy tylko, jak naprawdę doniosłe było dla mnie to spotkanie z Leslie albo też jak idiotyczny i kompletny był mój poryw namiętności - czy po prostu, jak pracowała moja podatna na sugestię, dwudziestodwuletnia wyobraźnia. Tak czy inaczej, kiedy wróciliśmy na plażę, światło późnego popołudnia, ciągle jeszcze wibrujące falami upału, zalewało piasek wokół wieżyczki ratownika, a ponura grupa uczestników psychoanalitycznych seansów zniknęła, pozostawiając na wpół zagrzebany egzemplarz „Partisan Review”, wyciśnięte tubki balsamu do nosa i stertę butelek po coli. Rozognieni, urzeczeni naszym powinowactwem dusz siedzieliśmy tam jeszcze około godziny, tocząc leniwie rozmowę, doskonale świadomi, że tego popołudnia zrobiliśmy pierwszy krok w naszej wspólnej wyprawie na dzikie, niezbadane obszary. Leżeliśmy na brzuchach, ramię przy ramieniu. Kiedy zacząłem delikatnie kreślić palcem kółeczka na jej pulsującej szyi, wyciągnęła rękę, pogłaskała moją dłoń i powiedziała:

- Mój psychoanalityk mówi, że rodzaj ludzki będzie swoim własnym wrogiem dopóty, dopóki nie uprzytomni sobie, że każda ludzka istota pragnie *enfin* tylko jednego: fantastycznego pieprzenia.

Usłyszałem swój własny, odległy, ale pełen przekonania głos:

- Twój psychoanalityk to bardzo mądry człowiek.

Milczała dłuższą chwilę, a potem odwróciła się do mnie, by spojrzeć mi prosto w twarz, i wreszcie wypowiedziała, z nutą autentycznego pożądania w głosie, ową senną, lecz niedwuznaczną propozycję, która sprawiła, że zamarło mi serce, i tak bardzo wzburzyła mój umysł i zmysły.

- Jestem pewna, że potrafisz fantastycznie pieprzyć. -I wtedy właśnie umówiliśmy się na najbliższy czwartek wieczorem.

Nadszedł czwartkowy poranek, pełen - jak już powiedziałem przeczuć bliskiej rozkoszy i trudnej wręcz do zniesienia nadziei na spełnienie. Zdołałem jednak, siedząc przy różowym biurku, zignorować ogarniającą mnie gorączkę i zapanować nad fantazjami na tyle, by popracować jeszcze solidnie przez dwie, trzy godziny. Parę minut po dwunastej poczułem, że kruczy mi w żołądku. Zofia nie dała znaku życia przez cały ranek. Z pewnością spędziła większość czasu z nosem w książce, pilnie kontynuując proces samokształcenia. Jej umiejętność czytania po angielsku, choć daleka od doskonałości, wzrosła niepomniernie w ciągu roku, od czasu, gdy poznała Natana; właściwie nie wracała już do tłumaczeń i obecnie pochłonięta była lekturą *Kieszonkowego Faulknera* Malcolma Cowleya, który, jak wiedziałem, zachwycał ją i jednocześnie wprowadzał w zakłopotanie. - Ach, te zdania - mówiła które ciągną się jak jakieś zwariowane węże! - Czytała jednak na tyle biegle, by mógł ją oczarować zawily styl Faulknerowskiej narracji i buntowniczy duch tej prozy. Właściwie to ja wspominałem o książce Cowleya, która w czasie studiów skłoniła mnie, by rzucić się na wszystko, co napisał Faulkner, i za moją rekomendacją Natan zakupił ją w metrze czy gdzie indziej podczas naszego pamiętnego, niedzielnego spotkania, a po kilku dniach dał Zofii. Od tej pory z wielką przyjemnością pomagałem jej podczas wspólnych posiedzeń w interpretacji Faulknera, nie tylko wyjaśniając ukryte znaczenia regionalizmów znad Missisipi, ale naprowadzając ją na właściwy trop, kiedy błądziła w cudownym gąszczu jego retoryki.

Mimo wszystkich trudności, gwałtowny atak tej prozy na jej umysł poruszył ją i wywarł na niej głębokie wrażenie.

- On pisze, jakby był opętany - powiedziała mi kiedyś i dodała: - To oczywiste, że nigdy nie był u psychoanalityka.

- Mówiąc to, zmarszczyła nos z niesmakiem: najwidoczniej miała to być aluzja

do towarzystwa z plaży, które tak ją uraziło poprzedniej niedzieli. Zupełnie sobie tego wtedy nie uświadamiałem, ale ta sama freudowska pogawędka, która tak mnie zafascynowała, a przynajmniej rozbawiła, była Zofii głęboko wstrętna i zmusiła ją do odejścia z Natanem z plaży. - Ach, te dziwaczne, okropne typy rozdrapujące swoje... strupy - powiedziała tonem skargi, kiedy Natana nie było w pobliżu. - Nienawidzę takiego tu użyła określenia, które wydało mi się perełką - niezasłużonego nieszczęścia! - Chociaż wiedziałem dokładnie, co miała na myśli, zaskoczyła mnie gwałtowność tej wrogiej reakcji; zastanawiałem się - nawet teraz, idąc na górę, by zabrać ją na piknik - czy nie miało to związku z jakimś nieprzejeżdżanym konfliktem z surową religią, którą, jak wiedziałem, porzuciła.

Nie zamierzałem zaskakiwać Zofii; drzwi jej pokoju były uchylone, a ponieważ dostrzegłem, że jest ubrana - „przyzwoita”, jak mawiają dziewczęta - wszedłem bez pukania. Miała na sobie coś w rodzaju szlafroka czy podomki i stała w głębi przestronnego pokoju, czesząc włosy przed lustrem. Była odwrócona tyłem; przez moment nieświadoma mojej obecności szcztokowała lśniąca pasma jasnych włosów z elektryzującym trzaskiem, ledwie słyszalnym w ciszy południa. Naładowany lubieżnością, pod wpływem, jak sądzę, rojeń o Leslie, poczułem nagłą pokusę, by podejść ukradkiem i przytulić policzek do jej karku, ujmując jednocześnie piersi w obie dłonie. Był to jednak impuls podświadomy; stojąc tak i przyglądając się jej, uprzytomniłem sobie poniewczasie, że już samo ukradkowe wejście i zakłócenie prywatności było czymś niewłaściwym, odkaszniałem więc lekko, by dać znać, że jestem. Odwróciła się od lustra z cichym okrzykiem przestachu i wtedy ukazała się twarz, której nigdy w życiu nie zapomnę. Osłupiały, ujrzałem - w miłosiernie krótkim ułamku sekundy - starą wiedźmę; cała dolna połowa jej twarzy była jakby zmięta, z ustami przypominającymi pomarszczoną szramę, niczym u zgrzybiałej staruszki. To była maska, zwiędła i żalosna maska.

Niewiele brakowało, a byłbym krzyknął, ale nim zdążyłem to zrobić, wydała z siebie zduszony odgłos i szybko zakrywszy usta rękami wbiegła do łazienki. Stałem przez dłuższą chwilę okropnie zmieszany, słuchając stłumionych odgłosów dobiegających zza drzwi; dopiero teraz zauważyłem, że z gramofonu płyną dźwięki sonaty fortepianowej Scarlattiego.

- Stingo, kiedy nauczysz się pukać, wchodząc do pokoju damy? - zawołała i więcej w tym było przygany niż prawdziwej złości. I wtedy - dopiero wtedy - pojąłem, czego byłem świadkiem. Poczułem do niej wdzięczność, że nie okazała gniewu głęboko poruszony jej wielkodusznością, zastanawiałem się, jak ja sam zareagowałbym, gdyby przyłapano mnie bez zębów. W tym momencie Zofia wynurzyła się z łazienki, ciągle jeszcze lekko zarumieniona, ale opanowana, nawet promienna, ze wszystkimi komponentami pięknej

twarzy zespolonymi w radosnej apoteozie amerykańskiej sztuki dentystycznej. - Idziemy do parku - powiedziała. - Chyba zemdleję z głodu. Jestem wcieleniem głodu. - To „wcielenie” było oczywiście wybitnie faulk - nerowskie. Kontekst, w jakim użyła tego określenia, i jej odświeżona uroda tak mnie rozbawiły, że wybuchnąłem głośnym rechotem.

- ***Braunschweiger*** z chlebem i z musztardą.
- Gorące ***pastrami***.
- Pumpernikiel z salami i serem szwajcarskim - ciągnąłem. - Iz małosolnym ogórkiem.
- Przestań, Stingo. Zabijesz mnie! - roześmiała się srebrzyście.
- Chodźmy! -1 wyruszyliśmy do parku, ***via*** Deluxe Delicatessen Himelfarba. szósty

Swój wspaniały garnitur nowych zębów zawdzięczała Zofia starszemu bratu Natana, Larry’emu Landauowi. I chociaż tym, który poprzez swoją wnikliwą, choć nieprofesjonalną diagnozę postawioną natychmiast po spotkaniu w bibliotece Brooklyn College tak trafnie określił rodzaj choroby nękającej Zofię, był Natan, w znalezieniu odpowiedniego lekarstwa zasadniczą rolę odegrał także jego brat. Larry, którego miałem poznać tego lata w bardzo stresujących okolicznościach, był dobrze prosperującym w Forest Hills chirurgiemurologiem z rozległą praktyką. Mężczyzna po trzydziestce, miał szereg znakomitych osiągnięć w swej dziedzinie; od momentu, kiedy jako wykładowca Instytutu Medycznego w Columbii zaangażował się w wysoce oryginalne i cenne prace badawcze nad funkcjami nerek, zyskał w młodym wieku wielki rozgłos w kołach medycznych. Natan wspomniał mi o tym kiedyś, a w tym, co mówił, wyczuwało się ton ogromnego podziwu; niewątpliwie był niezwykle dumny z brata. Larry miał też wybitne zasługi wojenne. Jako porucznik w korpusie medycznym floty dokonał cudów, przeprowadzając ryzykowne i niezwykle operacje na pokładzie skazanego na zagładę lotniskowca, atakowanego w pobliżu Filipin przez kamikadze; dostał za te wyczyny Navy Cross - odznaczenie nieczęsto przyznawane oficerowi medycznemu (zwłaszcza Żydowi, do tego w antysemitycznej flocie). Poza tym, w 1947 roku, kiedy pamięć o wojennej chwale była jeszcze żywa i świeża, medal ten miał dla Natana zupełnie inne znaczenie, toteż nic dziwnego, że rozpierała go duma.

Zofia opowiedziała mi, że poznała imię Natana dopiero po upływie wielu godzin od chwili, kiedy pośpieszył jej z pomocą w bibliotece. Tym, co w pierwszym dniu i dniach następnych najgłębiej i najtrwalej zapadło jej w pamięć, była jego niezwykła delikatność. Początkowo - być może pamiętając, jak pochylał się nad nią i mruczał: „A lekarz już się wszystkim zajmie” - nie zdawała sobie sprawy, że żartował, i nawet później, kiedy z delikatną

stanowczością podtrzymał jej ramię, a potem, w taksówce, w drodze do domu Yetty szeptał słowa pocieszenia i otuchy, sądziła, że istotnie jest lekarzem. „Trzeba cię będzie zreperować” - zapamiętała te wypowiedziane żartobliwym tonem słowa, które wywołały nikły uśmiech na jej twarzy, pierwszy od chwili, gdy zemdląca. „Nie możesz tak latać po Brooklynie, mdleć po bibliotekach i śmiertelnie przerażać ludzi”. W jego głosie było coś tak krzepiącego, przyjaznego i łagodnego, tyle troski, a sam wygląd budził od pierwszego wejrzenia taką ufność, że kiedy znaleźli się w jej pokoju (tak bardzo dusznym i nagrzanym promieniami popołudniowego słońca, że znów popadła w krótkie omdlenie i osunęła się w jego ramiona), nie czuła wcale zakłopotania, gdy zaczął ostrożnie odpinać guziki, zdjął jej poplamioną suknię, a potem delikatnym, ale stanowczym gestem zmusił, by położyła się na łóżku, gdzie leżała w samych majteczkach. Czuła się znacznie lepiej, zawroty głowy zniknęły bez śladu. Ale kiedy leżała, spoglądając na nieznanego i starając się odwzajemnić jego figlarniesmutny uśmiech, czuła w dalszym ciągu senność i zmęczenie przenikające ją do szpiku kości. „Dlaczego jestem taka zmęczona? - usłyszała swój słaby głos.

- Co się ze mną dzieje?” Ciągle uważała go za lekarza i brała jego milczące, lekko zatroskane spojrzenie za oględziny zawodowego diagnosty, dopóki nie uprzytomniła sobie, że utkwił wzrok w numerze wytatuowanym na jej przedramieniu. Raptownie (co było dziwne, ponieważ od dawna usunęła owo piętno ze świadomości) wykonała gest, jakby chciała zakryć numer, ale zanim zdołała to zrobić, on ujął ją delikatnie za przegub i zaczął badać puls, tak jak wcześniej, w bibliotece. Milczał przez chwilę, a ona czuła się całkowicie bezpieczna i odprężona tym spokojnym uściskiem; usypiały ją pokrzepiające, kojące słowa, z tą błogosławioną, żartobliwą nutką: „Pan doktor uważa, że wielka tabletką przywróci rumieńce twojej bladej twarzy”. Znowu doktor! Spokojnie zapadła w drzemkę bez marzeń, ale kiedy za ledwie w chwilę później ocknęła się i otworzyła oczy, lekarza nie było.

- Ach, Stingo, pamiętam to tak dobrze - od dawna nie czułam takiej strasznej paniki. I to było takie dziwne, mówię ci. Nawet go nie znałam. Nie wiedziałam nawet, jak się nazywa! Spędziłam z nim godzinę albo nawet mniej, a teraz poszedł sobie i ogarnęła mnie panika, wielka panika i strach, że może nigdy nie wrócić, że odszedł na zawsze. To było tak, jakby odszedł ktoś bardzo bliski.

Jakiś romantyczny, nieodparty impuls kazał mi zapytać, czy zakochała się tak błyskawicznie. Czy mógł to być, dociekałem, idealny przykład tego cudownego mitu, znanego jako miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie - powiedziała Zofia - to nie było dokładnie tak, to nie była jeszcze miłość, nie sądzę. Ale chyba coś bardzo bliskiego miłości - przerwała na chwilę. - Po prostu nie

wiem. Jakie to było swoją drogą głupie. Jakże to możliwe: znać człowieka trzy kwadransy i odczuwać taką pustkę, kiedy odszedł. *Absolument fou!* Nie uważasz? Byłby szalony, gdyby wrócił.

Nasze „wędrownie” pikniki, posiłki w porze obiadowej, odbywały się w różnych słonecznych i cienistych zakątkach Prospect Parku. Nie pamiętam już, ile ich było, z pewnością pół tuzina, może więcej. Nie przypominam sobie też dokładnie większości miejsc, gdzie rozkładaliśmy się na trawie - tych kamienistych kryjówek, dolinek i ustronnych przejść, do których dźwigaliśmy nasze papierowe torby, ćwierćlitrowe kartony mleka i antologię poezji amerykańskiej Oscara Williama, strasznie poplamioną odciskami palców i z pozaginanymi oślimi uszami; uczyłem z niej Zofię, kontynuując dzieło rozpoczęte przed miesiącami przez pulchnego pana Youngsteina. Jedno wszakże miejsce pamiętam wyraźnie - trawiasty półwysep, zwykle o tej porze w dni powszednie wyludniony, wcinający się głęboko w jezioro, po którym sekstet wielkich, wojowniczych łabędzi pływał wzdłuż brzegu wśród trzciny jak banda gangsterów, przerywając swą żeglugę na tyle tylko, by wyczłapać na trawę i z agresywnym sykiem wydobywającym się z niemych gardeł wydzierać nam na wyścigi okruchy makowca i inne resztki. Jeden z łabędzi, mały samiec, zdecydowanie bardziej nieruchawy i sparszywiały, miał w dodatku ranę koło oka - niewątpliwie wynik spotkania z jakimś zdziczałym brooklyńskim dwunogiem - co nadawało mu wyraz roztargnienia, charakterystyczny dla rozbieżnego zęza. Łabędź ów przypominał Zofii jej kuzyna z Łodzi, Tadeusza, który dawno temu umarł w wieku trzynastu lat na białaczkę. Nie byłem w stanie wykonać takiej antropomorfizującej przerzutki, nie mogłem zatem dostrzec podobieństwa między łabędziem a jakąś konkretną istotą ludzką, ale Zofia zaklinała się, że są uderzająco podobni, zaczęła nazywać go Tadeusz i przemawiała do niego polskimi, gardłowymi dźwiękami, cmokaniami i klekotami, rzucając mu resztki ze swej torby. Rzadko widywałem, by cokolwiek wyprowadziło ją z równowagi, ale zachowanie pozostałych łabędzi, władczych, wymuszających pierwszeństwo i zachłannych, tak ją rozwścieczyło, że zaczęła przeklinać po polsku tych tłustych sukinsynów i zdecydowanie faworyzować Tadeusza, dbając o to, aby jego porcja odpadków była szczególnie obfita. Jej wybuch wstrząsnął mną. Nie kojarzyłem - bo wówczas kojarzyć nie mogłem - tej zaangażowanej opiekuńczości wobec „łabęziakundla” z niczym, czego doświadczyła w przeszłości, ale jej kampania na rzecz Tadeusza była komiczna i niezwykle wzruszająca. Są zresztą i inne osobiste motywy, dla których naszkicowałem ten obraz Zofii wśród łabędzi. Uświadamiam sobie teraz, po wielokrotnym przetrzawieniu wspomnień, że to właśnie tam, na tym cypelku, podczas jednej z naszych długich popołudniowych sesji, trwających do chwili, gdy słońce chowało się daleko,

za Bay Ridge i Bensonhurst, Zofia opowiedziała mi tonem, w którym dojmująca rozpacz ustępowała czasem nadziei, ofragmencie ostatniego, targanego konwulsjami roku życia z Natanem, którego uwielbiała, ale którego nawet wtedy (nawet wtedy, kiedy mi to mówiła) uważała w równym stopniu za zbawcę, co źródło jej klęsk...

Kiedy ku jej niewysłowionej uldze wrócił owego dnia do jej mieszkania po upływie pół godziny, stanął nad łóżkiem i patrząc na nią swoim łagodnym wzrokiem, powiedział:

- Jedziemy zobaczyć się z moim bratem, okej? Telefonowałem w kilka miejsc.

Wprawilo ją to w zakłopotanie. Natan znowu usiadł obok niej.

- Dlaczego chce mnie pan zabrać do brata? - zapytała.

- Mój brat jest lekarzem - wyjaśnił. - Jednym z najlepszych, jacy są. Pomoże ci.

- Ale pan... - zaczęła i urwała. - Myślałam, że...

- Myślałaś, że ja jestem lekarzem - rzekł. - Nie, jestem biologiem. Jak się czujesz?

- Lepiej - odparła. - Znacznie lepiej. -1 była to prawda; czuła się lepiej, głównie dzięki jego krzepiącej obecności. Przyniósł ze sobą torbę z zakupami - wykladał je teraz szybko i sprawnie na duży pulpit w końcu łóżka, który zastępował jej stół kuchenny. Usłyszała jak mówi: „Aj, jakie to *miszegas*” - i zaczęła chichotać, ponieważ wpadając w konwencję tandetnego szmoncesu, zaczął ni stąd, ni zowąd przemawiać z głębokim, wspaniałym akcentem jidysz i wymieniać kolejno nazwy produktów wyjmowanych z torby w butelkach, puszkach i ociekających pianą kartonach, z twarzą zmarszczoną w doskonałej imitacji jakiegoś przygniecione go wiekiem, zidiociałego, chorobliwie skąpego sklepikarza z Flatbush. Przypominał jej swymi cudownie zrytmizowanymi, absurdalnymi improwizacjami Danny'ego Kaye'a (jednego z jej nielicznych ekranowych ulubieńców, tylekroć podziwianego), trzęsła się więc jeszcze od bezgłośnego śmiechu, kiedy nagle zakończył popis, odwrócił się do niej i podniósł oszronioną puszkę z białą nalepką.

- *Consommé madrilene* - powiedział normalnym już głosem.

- Znalazłem sklep, w którym trzymają to w lodzie. Musisz to zjeść. Będziesz potem mogła przepłynąć pięć mil, jak Esther Williams.

Stwierdziła, że odzyskuje apetyt, i poczuła gwałtowny skurcz pustego żołądka. Kiedy nalał rosółu do jednej z jej tanich, plastikowych miseczek, uniosła się na łokciu i zaczęła jeść z wielką przyjemnością, delektując się chłodnym, galaretowatym płynem o cierpkim posmaku. Skończywszy, powiedziała:

- Dziękuję. Czuję się teraz znacznie lepiej.

Kiedy usiadł obok niej, nie odzywając się przez długą jak wieczność chwilę, wyczuła

w jego spojrzeniu taką intensywność, że pomimo całego zaufania, jakie do niego żywiła, ogarnął ją lekki niepokój. W końcu rzekł:

- Założę się z każdym o sto dolarów, że masz złośliwą anemię. Niedobór witaminy C albo B₁₂. Ale najprawdopodobniej żelaza. Powiedz mi, dziecinko, czy odżywiałaś się ostatnio właściwie?

Powiedziała, że oprócz krótkiego okresu przed paroma tygodniami, kiedy na pół dobrowolnie odmawiała sobie jedzenia, przez pół roku odżywiała się zdrowiej i obficiej niż kiedykolwiek.

- Mam jeden problem - wyjaśniła. - Nie mogę jeść zbyt dużo tłuszczów zwierzęcych. Ale poza tym wszystko jest w porządku.

- A zatem musi to być niedobór żelaza - orzekł Natan.

- W tym, co, jak twierdzisz, jadłaś, jest więcej witaminy B niż organizm potrzebuje. Wystarczą ilości śladowe. Ale z żelazem gorsza sprawa. Kiedy go zabraknie, można już tego nigdy nie nadrobić... - przerwał, widząc niepokój w jej oczach (bo to, co mówił, speszyciło ją i zmartwiło), i uśmiechnął się uspokajająco.

- Kuracja jest dziecinnie łatwa, kiedy się już rzecz przygwoździło.

- Przygwoździło?

- Kiedy się wie, na czym polega problem. Bardzo łatwo to wyleczyć.

Nie wiadomo dlaczego wstydziła się zapytać, jak ma na imię, choć bardzo pragnęła je poznać. Kiedy tak siedział blisko, przyjrzała się ukradkiem jego twarzy i uznała, że wygląda nadzwyczaj sympatycznie - był bez wątpienia Żydem, o symetrycznych rysach twarzy, której ozdobę stanowił mocny, wydatny nos i błyszczące, inteligentne oczy, wyrażające na przemian współczucie i rozbawienie, przy czym zmiany te następowały błyskawicznie, z łatwością i w naturalny sposób. Sama jego obecność raz jeszcze sprawiła, że poczuła się lepiej; w dalszym ciągu ogarniała ją senność i zmęczenie, ale zawroty głowy i najbardziej dokuczliwe dolegliwości ustąpiły. Nagle, leżąc tak, doznała sennego olśnienia. Wcześniej, przeglądając w „New York Timesie” program radiowy, stwierdziła z wielką przykrością, że z powodu lekcji angielskiego nie będzie mogła wysłuchać *Symfonii Pastoralnej* Beethovena, która miała być nadana wczesnym popołudniem na WQXR. Z *Pastoralną* było trochę tak, jak z ponownym odkryciem *Symfonii Koncertującej* Mozarta, choć z pewną różnicą. Pamiętała ją bardzo wyraźnie z przeszłości także z koncertów w Krakowie - ale tu, w Brooklynie, gdzie nie miała gramofonu i gdzie zawsze była nie tam gdzie trzeba odpowiedniej porze, symfonia, ciągle ku jej udręce zapowiadana, lecz nigdy nie wysłuchana, zdawała się być nieuchwytna jak jakiś wspaniały, ale milczący ptak, który wciąż ulatywał, kiedy usiłowała go ścigać, przedzierając

się przez gąszcz ciemnego lasu.

Teraz uświadomiła sobie, że dzięki swej pechowej przygodzie będzie przynajmniej mogła wysłuchać koncertu; wydawało jej się to w chwili obecnej znacznie bardziej istotne dla jej egzystencji niż cała ta medyczna rozmowa i jej pozytywne oddziaływanie, zapytała więc:

0 Pozwoli pan, że włączę radio? - Zaledwie wypowiedziała te słowa, a on już sięgnął ponad nią i włączył odbiornik, akurat na sekundę przed tym, jak orkiestra filadelfijska, najpierw z nieśmiałym pomrukiem, a potem z narastającym triumfalnie brzmieniem smyczków, rozpoczęła ów upojny psalm dla ukwieconego globu. Doznała wrażenia obcowania z pięknem tak dojmującym, iż zdawało jej się, że umiera. Zaciśnęła powieki z zamkniętymi oczami wysłuchiwała symfonii do samego końca; wtedy otworzyła je, zawstydzona spływającymi po policzkach łzami, których nie mogła powstrzymać. Nie była też w stanie powiedzieć niczego sensownego ani logicznego swemu samarytaninowi, wciąż patrzącemu na nią z powagą i cierpliwą troską. Dotknął lekko palcami wierzchu jej dłoni.

- Czy płaczesz dlatego, że ta muzyka jest taka piękna? zapytał. - Nawet z tego kiepskiego radyjka?

- Nie wiem, czemu płaczę - odpowiedziała po dłuższej chwili, kiedy zebrała myśli. - Może dlatego, że się pomyliłam.

- Pomyliłaś się?

Znowu milczała długo, nim odpowiedziała:

- Pomyliłam się z tą symfonią. Zdawało mi się, że słuchałam jej ostatni raz w Krakowie jako bardzo młoda dziewczyna. I teraz uprzytomniłam sobie, że słyszałam ją jeszcze raz, później, w Warszawie. Nie wolno było mieć radia, ale pewnej nocy słuchałam tej symfonii na odbiorniku nielegalnie przemyconym z Londynu. W tej chwili przypominałam sobie, że to było ostatnie, co słyszałam przed pójściem do... - urwała. Cóż ona opowiada temu obcemu człowiekowi? Co go to obchodzi? Wyjęła z szuflady stołu chusteczkę higieniczną i otarła oczy. - To nie była dobra odpowiedź.

- Powiedziałaś „przed pójściem”... - rzekł. - Przed pójściem dokąd? Masz na myśli miejsce, gdzie robili te... - wskazał wzrokiem na tatuaż.

- Nie mogę o tym mówić - wyrzuciła z siebie i natychmiast pożałowała tego wybuchu, bo zaczerwienił się i wymamrotał zmieszany:

- Przepraszam. Przepraszam! Jestem cholernie niedelikatny... Czasami zachowuję się jak palant! Palant!

- Proszę tak nie mówić - wtrąciła pośpiesznie, zawstydzona, że ton jej głosu tak bardzo go zdeprymował. - Nie chciałam być... - umilkła, szukając właściwego słowa i

znajdując francuskie, polskie, niemieckie, rosyjskie, wszystkie prócz angielskiego. Powiedziała więc tylko:

- Przepraszam.

- Mam szczególny talent do wścibiania mojego wielkiego *sznoca* w nie swoje sprawy - powiedział; obserwowała, jak ciemny rumieniec ustępuje z jego twarzy. Potem dodał nagle: - Słuchaj, muszę już iść. Jestem umówiony. Ale przyjdę wieczorem, dobrze? Nie odpowiadaj. Wrócę wieczorem.

Nie mogłaby i tak odpowiedzieć. Ścięta z nóg (to nie figura retoryczna, lecz najprawdziwsza prawda: taką właśnie, bezwładną, przeniósł dwie godziny wcześniej na rękach do krawężnika, gdzie zatrzymał taksówkę) mogła jedynie skinąć głową, przytaknąć uśmiechnąć się: ten uśmiech pozostawał na jej twarzy jeszcze wtedy, kiedy on zbiegał już ze stukotem obcasów po schodach. Od tej chwili czas włókł się niemiłosiernie. Była sama zaskoczona podnieceniem, z jakim wyczekiwała tupotu jego kroków; wrócił wieczorem, około siódmej, z następną torbą wypchaną zakupami z dwoma tuzinami zachwycająco pięknych, złotych róż o długich łodygach. Wstała już i krążyła po pokoju, czując się całkiem dobrze, ale kazał jej odpoczywać.

i Pozwól, że Natan się tobą zaopiekuje - powiedział. Wtedy po raz pierwszy usłyszała jego imię. Natan. Natan! Natan, Natan! Nigdy, przenigdy, opowiadała mi, nie zapomni pierwszego wspólnego posiłku, tej ze smakiem skomponowanej kolacji, którą przyrządził z najprostszymi składnikami: cielejącej wątróbki porów.

- Mnóstwo w tym żelaza - oświadczył, pochylając spoconą twarz nad rozgrzaną, skwierczącą patelnię. - Nie ma nic lepszego niż wątróbka. A te pory - samo żelazo! Dobrze ci też zrobią na głos. Czy wiesz, że Neron jadł codziennie pory, żeby przemawiać bardziej dźwięcznie? Żeby móc potem zawodzić nad Seneką, kiedy włóczyli go końmi i ćwiartowali? Siadaj. Przestań się kręcić! - komenderował. - To mój popis. Potrzeba ci żelaza. Żelaza! Dlatego będziemy też jedli szpinak i sałatę. - Urzekło ją to, że Natan, pochłonięty gotowaniem, mógł równocześnie rzucać uwagami na temat *gastronomie*, pełnymi naukowych szczegółów, dotyczących głównie racjonalnego odżywiania. - Wątróbka z cebulką to oczywiście danie typowe, ale z porami, mój skarbie, nabiera wyjątkowych walorów. Trudno dostać te pory kupiłem je u Włocha, na straganie. To jasne jak twoja niesamowicie błada buzia, że potrzebujesz potężnego zastrzyku żelaza. No więc szpinak. Przeprowadzili niedawno badania i doszli do ciekawych wniosków, że kwas szczawiowy występujący w szpinaku neutralizuje wapno, którego też ci brakuje. Szkoda, ale mimo wszystko szpinak zawiera taką uderzeniową dawkę żelaza, że i tak będziesz go jadła. To samo sałata...

Oile kolacja, sama w sobie znakomita, miała ją przede wszystkim wzmocnić, o tyle wino było boskie. W krakowskim domu swej wczesnej młodości Zofia „dorastała z winem”; ojciec, człowiek o hedonistycznych ciągach, domagał się (w kraju pozbawionym zupełnie winnic, jak Montana), by doskonale wina z Austrii i węgierskich równin regularnie towarzyszyły wystawnym często wykwintnym posiłkom wiedeńskiej kuchni. Ale wojna, która odarła ją niemal ze wszystkiego, pozbawiła ją również przyjemności tak prostych, jak wino - od tej pory nie pomyślała nawet o tym, by wstąpić gdzieś na kieliszek, choć czasem kusilo ją to tutaj, na obrzeżach Flatbush, wśród przysięgłych amatorów wina Mogen David. Nie miała jednak pojęcia o istnieniu czegoś takiego, prawdziwego trunku bogów! Wino przyniesione przez Natana było tej klasy, że zmusiło ją do zrewidowania wyobrażeń o smaku; niewrażliwej na mistykę win francuskich, nic nie mówiła ani uwaga Natana, że jest to Château Margaux, rocznik 1937 - ostatni z doskonałych przedwojennych roczników - ani oszałamiająca cena: czternaście dolarów (w przybliżeniu połowa jej tygodniówki, co odnotowała z niedowierzaniem, zerknąwszy na etykietkę), ani też informacja, że bukiet zyskałby, gdyby był czas, aby przelać wino do karafki. Natan mógł godzinami rozprawiać z upodobaniem o takich rzeczach. Ona wiedziała jedno: że aromat i smak napełniły ją uczuciem niezrównanej rozkoszy, słodczy i euforii, wspaniałego ciepła rozchodzącego się po całym ciele aż po koniuszki palców potwierdzającego wszelkie osobliwe i stare maksymy o uzdrawiających właściwościach wina. Beztroska i oszołomiona, usłyszała pod koniec kolacji własny głos, mówiący do ofiarodawcy:

- Jeśli człowiek żyje przyzwoicie, jak święty, i potem umrze, dają mu pewnie w raju wypijać taki napój.

Natan, sam najwidoczniej na przyjemnym rauszu, nie odpowiedział od razu - przyjrzał jej się najpierw w pełnym powagi zamyśleniu przez kieliszek z rubinowymi resztkami wina.

- Nie „wypijać” - poprawił ją delikatnie. - Po prostu „pić”.

- Po czym dodał: - Wybacz. Jestem zatwardziałym i sfrustrowanym belfrem.

Kiedy skończyli kolację i pozmywali razem talerze, usiedli naprzeciwko siebie w niewygodnych krzesłach z prostymi oparciami, jakie wtedy miała. Uwagę Natana przyciągnęły książki stojące rzędem na półce nad łóżkiem Zofii - były to polskie przekłady Hemingwaya, Wolfe’a, Dreisera i Farrelli. Wstał i zaczął je przeglądać z zainteresowaniem. Z tego, co mówił, wywnioskowała, że zna tych pisarzy; ze szczególnym entuzjazmem wyrażał się o Dreiserze, wspominając, że podczas studiów przeczytał jednym tchem potężną *Tragedię amerykańską*, „tak, że mało od tego nie oślepl”, po czym w połowie natchnionego wywodu

0 *Siostrze Carrie*, którą jego zdaniem koniecznie powinna była przeczytać (zapewniał ją, że to arcydzieło Dreisera), urwał nagle wlepiwszy w nią blazeńsko wytrzeszczone oczy, co bardzo ją rozśmieszyło, powiedział:

- Przecież ja nie mam najmniejszego pojęcia, kim ty jesteś, co właściwie robisz, Poleczko?

 Nie odpowiedziała od razu.

- Pracuję u lekarza, na godziny. Jestem recepcjonistką - rzekła wreszcie.

- U lekarza? - powtórzył z widocznym zainteresowaniem.

- U jakiego?

 Czuła, że odpowiedź nie przejdzie jej przez gardło. Ale w końcu przemogła się.

- U... u kręgarza. - Zdawało jej się, że widzi, jak wzdrygnął się na całym ciele na dźwięk tego słowa.

- Kręgarza. Kręgarza! Nic dziwnego, że masz problemy! Próbowала się głupio i niezręcznie tłumaczyć:

- To bardzo sympatyczny człowiek... - zaczęła. - On jest, jak wy mówicie - przeszła nagle na jidysz - jest *mensz*. Nazywa się Blackstock.

- *Mensz, szmensz* - powiedział z głębokim niesmakiem. - Taka dziewczyna jak ty pracuje dla jakiegoś hochsztaplera...

- To była jedyna praca, jaką mogłam tu dostać po przyjeździe przerwała mu. - Jedyne, co mogłam robić! - Teraz ona poczuła się zirytowana i dotknięta; może to, co powiedziała, a może sam szorstki ton jej głosu skłonił go do wymamrotania:

- Jasne. Nie powinienem był tego mówić. To nie moja sprawa.

- Wolałabym jakąś ciekawszą pracę, ale nie mam żadnych kwalifikacji - powiedziała już spokojniej. - Zaczęłam studiować, dawno temu, ale niczego nie skończyłam. Mam, jak widzisz, duże braki. Chciałam uczyć, uczyć muzyki, zostać nauczycielką muzyki - ale to było niemożliwe. No więc jestem tą recepcjonistką.

 To nawet nie jest takie złe, *vraiment* - chociaż chciałabym kiedyś znaleźć coś lepszego.

- Przepraszam za to, co powiedziałem.

 Patrzyła na niego, poruszona przykrością, jaką zdawał się odczuwać w związku z własnym brakiem taktu. Nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek spotkała kogoś, kto by ją tak natychmiast zafascynował. Była w nim jakaś przyciągająca siła, energia, barwność - w spokojnej, lecz pewnej dominacji, w zdolnościach parodysty, w komicznych tyradach na kulinarne i medyczne tematy, które - jak podejrzewała - służyły jedynie nieudolnemu

maskowaniu prawdziwej troski o jej zdrowie. I wreszcie ta krępująca drażliwość i czynione samemu sobie wyrzuty, przypominające jej w pewnym sensie zachowanie małego chłopca. Przez moment zapragnęła, żeby znów jej dotknął, potem to uczucie zniknęło. Milczeli oboje przez dłuższy czas; jakiś samochód przemknął ulicą, padał drobny deszczyk, dziewięć uderzeń wieczornego dzwonu w odległym kościele rozniosło się echem w letniej ciszy Brooklynu. Gdzieś w oddali, nad Manhattanem, przetoczył się stłumiony odgłos grzmotu. Zapadł mrok i Zofia zapaliła swoją jedyną lampkę nocną.

Czy to pod wpływem niebiańskiego wina, czy też dzięki spokojnej, ośmielającej obecności Natana, poczuła nagle ochotę, by kontynuować zaczęłą rozmowę, mówić dalej, a kiedy mówiła, czuła, jak jej angielski nabiera płynności i staje się jej niemal bezwzględnie posłuszny, jakby przebiegał jakimś wewnętrznym obwodem, z którego istnienia nie zdawała sobie dotąd sprawy.

- Nic nie pozostało z przeszłości. Absolutnie nic. Dlatego właśnie między innymi czuję się taka niekompletna. Wszystko, co widzisz w tym pokoju, jest amerykańskie, nowe - książki, moje ubrania, wszystko - nie ma tu niczego z Polski, z czasów mojej młodości. Nie mam nawet zdjęcia z tamtych lat. Najbardziej żałuję, że straciłam swój album z fotografiami. Gdyby udało mi się go zachować, pokazałabym ci tyle ciekawych rzeczy - na przykład jak było w Krakowie przed wojną. Mój ojciec był profesorem uniwersytetu, ale także bardzo zdolnym fotografem, amatorem, ale bardzo dobrym, bardzo wrażliwym. Miał fantastyczną, bardzo drogą leicę. Pamiętam jedno zdjęcie z tego albumu, jedno z najlepszych, jakie zrobił, i najbardziej mi go szkoda; byłam na nim ja z mamą, jak siedzimy przy fortepianie. Miałam wtedy trzynaście lat. Grałyśmy chyba na cztery ręce. Pamiętam, że byliśmy na tym zdjęciu takie szczęśliwe, mama i ja. Teraz samo wspomnienie tego zdjęcia jest dla mnie jakimś symbolem, symbolem tego, co było i mogło trwać, a czego już nie będzie. - Urwała, dumna z płynnego operowania następstwem czasów i spojrzała na Natana, który wychylił się lekko do przodu, całkowicie pochłonięty tym potokiem zwierzeń. - Musisz mnie dobrze zrozumieć. Nie lituję się nad sobą. Są znacznie gorsze rzeczy niż przerwana kariera i to, że nie jest się tym, kim się planowało. Gdyby to było wszystko, co straciłam, byłabym całkiem zadowolona. Pewnie byłoby cudownie, gdybym zrobiła muzyczną karierę, tak jak zamierzałam. Ale nie mogłam. Od siedmiu, ośmiu lat nie przeczytałam jednej nutki, i nie wiem nawet, czy jeszcze bym potrafiła. W każdym razie właśnie dlatego nie mogę sobie wybierać pracy i robię to, co robię.

Po krótkim milczeniu zapytał z rozbijającą bezpośredniością, która zaczęła jej się nawet podobać:

- Nie jesteś Żydówką, prawda?

- Nie - odpowiedziała. - A myślałaś, że jestem?

- Na początku chyba tak. Niewiele jasnowłosych gojek kręci się po Brooklyn College. Potem przyjrzałem ci się w taksówce. Wtedy pomyślałem, że może jesteś Dunką albo Finką, w każdym razie Skandynawką. Ale wiesz, masz te słowiańskie kości policzkowe. W końcu drogą dedukcji doszedłem, że musisz być z Polaczków, przepraszam, domyśliłem się, że pochodzisz z Polski. Potem, kiedy wspomniałaś o Warszawie, byłem już pewien. Jesteś bardzo ładną Polką, prawdziwą polską damą.

Uśmiechnęła się, czując, że twarz oblewa jej gorący rumieniec.

- *Pas deflatterie, monsieur.*

- No ale potem - ciągnął - te absurdalne sprzeczności. Co na miłość boską robi taka milutka, polska *siksa* u kręgarza nazwisk-? kiem Blackstock? I gdzie, u licha, mogłaś nauczyć się jidysz? A wreszcie - i tu, cholera, będziesz musiała pogodzić się z moim wścibstwem, ale naprawdę chodzi mi o twoje zdrowie i muszę to wiedzieć - skąd masz ten numer na ręce? Wiem, nie chcesz o tym mówić. Nie cierpię wypytywać, ale chyba będziesz musiała mi powiedzieć.

Odrzuciła głowę na wytarte, różowe oparcie skrzypiącego krzesła. Być może - pomyślała z rezygnacją i przygnębieniem - być może wystarczy, że wyjaśni mu cierpliwie i szczerze to, co podstawowe, przy odrobinie szczęścia uniknie dalszego wypytywania o bardziej mroczne i złożone sprawy, których nie potrafiła opisać ani wyjawić nikomu. A może ta jej tajemniczość, ostentacyjna zagadkowość w powszechnie już znanych sprawach była czymś absurdalnym obraźliwym? Choć było coś dziwnego w tym, że tutaj, w Ameryce, pomimo wszelkich ujawnionych faktów, opublikowanych zdjęć dokumentalnych filmów, ludzie zdawali się nie wiedzieć, co naprawdę miało miejsce, a w najlepszym przypadku odbierali to obojętnie lub powierzchownie. Buchenwald, Belsen, Dachau, Auschwitz - wszystko to były hasła bez treści. Owa ludzka niezdolność pojęcia, uświadomienia sobie prawdy była także jednym z powodów, dla których rzadko o tym komukolwiek mówiła, pomijając ból, jaki wywoływało w niej rozpamiętywanie tego fragmentu jej przeszłości. Co do samego bólu, wiedziała z góry, zanim otworzyła usta, że to, co powie, przyprawi ją o fizyczne niemal katusze. Przypominało to rozdzieranie świeżo zagojonych ran lub utykanie na złamanej, niezupełnie jeszcze zrosniętej nodze. Jednakże Natan zdążył już ostatecznie w pełni udowodnić, że chce jej tylko pomóc - ona zaś bardzo, wręcz rozpaczliwie tej pomocy potrzebowała - a zatem należały mu się jakieś wyjaśnienia, pobieżny przynajmniej zarys jej losów w ostatnich latach.

Zaczęła więc po chwili mówić, zadowolona, że udaje się jej zachować pozbawiony emocji, niemal beznamiętny ton:

- W kwietniu 1943 roku trafiłam do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, na południu Polski. Obóz był w pobliżu miasteczka Oświęcim. Mieszkałam wtedy od trzech lat, od chwili kiedy na początku 1940 roku musiałam opuścić Kraków, w Warszawie. Trzy lata to kawał czasu, ale do końca wojny pozostały jeszcze dwa. Zdawało mi się, że przetrwam bezpiecznie, jeśli nie popełnię jakiejś strasznej *mepñse*, przepraszam, pomyłki. Ta pomyłka była naprawdę idiotyczna. Kiedy o tym pomyślę, nienawidzę samej siebie. Byłam taka ostrożna, tak bardzo ostrożna, że aż się tego wstydzę. Chcę przez to powiedzieć, że do tego momentu wiodło mi się bardzo dobrze. Nie byłam Żydówką, nie mieszkałam w getcie, z tej strony nic mi nie groziło. Nie należałam też do konspiracji. *Franchement*, wydawało mi się to zbyt niebezpieczne; oznaczało uwikłanie się w... Ale nie o tym chcę mówić. W każdym razie, nie pracując dla podziemia, nie musiałam się też martwić, że mnie aresztują. Aresztowali mnie z powodów, które wydadzą ci się pewnie absurdalne. Przyłapali mnie na szmuglu mięsa ze wsi, z gospodarstwa mojego znajomego. To było surowo zabronione, ponieważ całe mięso przeznaczone było dla armii niemieckiej. Ale zaryzykowałam, żeby pomóc chorej matce. Matka była poważnie chora, miała - jak się to mówi? - *la consommation*.

- Gruźlicę - odpowiedział Natan.

- Właśnie. Chorowała już przed laty, w Krakowie, ale wyleczyła się. Potem, w Warszawie, choroba się odnowiła; były takie surowe zimy, brak opału, żywności: wszystko szło dla Niemców. Właściwie była taka chora, że wszyscy myśleliśmy, że umiera. Nie mieszkałam z nią wtedy, miała mieszkanie w sąsiedztwie. Pomyślałam, że jeśli zdobędę to mięso, trochę się jej polepszy, więc pewnej niedzieli pojechałam na wieś i kupiłam szynkę. Kiedy wróciłam do miasta, zatrzymali mnie dwaj żandarmi. Zostałam aresztowana - zawieźli mnie na gestapo. Nie wypuścili mnie już i nigdy więcej nie zobaczyłam matki. Znacznie później dowiedziałam się, że umarła po kilku miesiącach.

W mieszkaniu zrobiło się parno i duszno, więc Natan wstał otworzył szeroko okno; świeży powiew poruszył żółtymi różami, odgłos pluszczącego deszczu wypełnił pokój. Mżawka przekształciła się w ulewę - zdawało się, że biały błysk, prawie równoczesny z uderzeniem gromu, rozłupał na pół jakiś dąb czy wiąz rosnący nieopodal, za łąkami parku. Natan stanął w oknie z założonymi z tyłu rękami i patrzył na tę niespodziewaną, wieczorną burzę.

- Mów dalej - powiedział. - Ja słucham.

i Spędziłam w więzieniu gestapo wiele dni i nocy. Potem wywieźli mnie z transportem do Auschwitz. Jechaliśmy tam półtorej doby, choć zwykle taka podróż trwa sześć, siedem godzin. W Auschwitz były dwa oddzielne obozy - jeden nazywał się właśnie Auschwitz, drugi, o parę kilometrów dalej, Birkenau. Trzeba wiedzieć, że była między nimi różnica: obóz w Auschwitz był miejscem niewolniczej pracy, w Birkenau dokonywano tylko jednego - eksterminacji. Kiedy wysiadłam z pociągu, zostałam po selekcji skierowana nie do... do... nie do Birkenau i... - ku rozpaczycy Zofii cienka, zewnętrzna warstwa, fasada jej opanowania, zaczęła drżeć i pękać i wewnętrzny spokój prysnął; czuła, że w jej głosie pojawia się dziwna wibracja. Jąkała się. Ale szybko nad tym zapanowała. - Nie do Birkenau i komór gazowych, tylko do Auschwitz, do pracy, ze względu na odpowiedni wiek i stan zdrowia. Byłam w Auschwitz dwadzieścia miesięcy. Kiedy tam przyjechałam, do Birkenau kierowano wszystkich, którzy mieli być zabici, ale wkrótce stało się ono miejscem, w którym zabijano tylko Żydów. Miejscem masowej eksterminacji Żydów. W pobliżu było jeszcze jedno miejsce - ogromna fabryka, gdzie robili sztuczny... *synthetique d'outchouc*, gumę. Więźniowie z Auschwitz pracowali i tam, ale ich głównym zadaniem była pomoc w eksterminacji *les Juifs* w Birkenau. A więc obóz złożony był w większości z, jak mówili Niemcy, aryjczyków, którzy obsługiwali krematoria Birkenau. Pomagali mordować Żydów. Ale trzeba zrozumieć, że aryjscy więźniowie także mieli w końcu zginąć. Kiedy ich organizmy, siły i *sante* były wyczerpane stawali się *inutiles*, zabijano ich - rozstrzeliwano albo gazowano w Birkenau.

Zofia nie mówiła długo, ale w jej monologu coraz więcej było słówek francuskich, a ona sama poczuła się dziwnie, nieludzko zmęczona swą nieznaną chorobą, postanowiła więc skondensować relację jeszcze bardziej niż początkowo zamierzała.

o Tylko że ja nie umarłam. Miałam pewnie więcej szczęścia od innych. Przez jakiś czas byłam bardziej uprzywilejowana niż wielu innych więźniów ze względu na znajomość niemieckiego i rosyjskiego, zwłaszcza niemieckiego. To mi dawało przewagę, bo jadłam wtedy lepiej, miałam trochę lepszą odzież i więcej siły. Siły do przetrwania. Ale ta sytuacja wkrótce się zmieniła i w końcu stałam się taką samą więźniarką jak cała reszta. Głodowałam i od tego głodowania dostałam *le scorbut* - skorbutu, a potem chorowałam na tyfus i *scarlatine*. Na szkarlatynę. Jak już mówiłam, byłam tam dwadzieścia miesięcy, ale przeżyłam. Gdybym była jeden dzień dłużej, na pewno bym umarła. - Przerwała na chwilę. - Mówisz, że mam anemię i chyba masz rację. Bo kiedy nas uwolnili z obozu, był tam taki lekarz z Czerwonego Krzyża powiedział mi, żebym uważała, bo coś takiego mi grozi. To znaczy anemia. - Czuła, że głos jej zamiera i przechodzi w szept.

- Ale zapomniałam o tym. Miałam tyle innych dolegliwości, że po prostu o tym zapomniałam.

Przez dłuższy czas milczeli, wsłuchując się w poświsty wiatru i pulsujący werbel deszczu. Oczyszczone burzą powietrze napływało w chłodnych powiewach przez otwarte okno, przynosząc z parku zapach mokrej ziemi, świeży i intensywny. Wiatr przycichł nieco, a głuchy pomruk burzy przetoczył się gdzieś daleko na wschód, nad rubieżę Long Island. Wkrótce z ciemności docierał już tylko nieregularny odgłos skapujących kropeł, cichy szum wiatru i odległy szelest opon na mokrej jezdni.

- Pójdę już - powiedział. - Musisz się przespać. - Ale pamiętała, że nie poszedł, przynajmniej nie od razu. W radiu nadawali ostatni akt *Wesela Figara*, słuchali więc oboje w milczeniu

- Zofia wyciągnięta teraz na łóżku, Natan obok niej, na krześle podczas gdy ćmy miały się i trzepotały wokół słabe; żarówki nad ich głowami. Zamknęła oczy i zapadła w drzemkę, wkraczając w rejony jakiegoś dziwnego, lecz niezmaconego snu, w którym radosna, kojąca muzyka zlewała się łagodnie w jedną całość z wonią trawy i deszczu. W pewnej chwili poczuła przez moment na policzku lekkie, delikatne jak muśnięcie skrzydełka ćmy, błędzące dotknięcie jego palców, które trwało zaledwie jedną, dwie sekundy - i to było wszystko. Zasnęła.

I tu znowu trzeba zaznaczyć, że Zofia nie była całkiem szczerą w swojej relacji z minionych wydarzeń, nawet jeśli przyjąć, że rozmyślnie przedstawiła wersję bardzo skróconą. Dowiedziałem się o tym później, kiedy wyznała mi, że zataiła przed Natanem wiele istotnych faktów. Bynajmniej nie kłamała (jak w przypadku kilku ważnych aspektów opowieści o dzieciństwie i młodości w Krakowie). Niczego też nie zmyśliła ani nie zniekształciła faktów podstawowych; łatwo stwierdzić, że prawie wszystko, co powiedziała, było prawdą. Jej zwięzłe uwagi na temat funkcjonowania obozu Auschwitz-Birkenau - jakkolwiek oczywiście mocno uproszczone - trafiały zasadniczo w sedno, mówiąc zaś swych chorobach nie przesadzała ani w jedną, ani w drugą stronę. Co do innych spraw - matki, jej choroby i śmierci, epizodu ze szmuglowanym mięsem, aresztowaniem przez gestapo deportacją do Auschwitz - nie ma powodu, by wątpić w jej prawdomówność. Dlaczego zatem pominęła pewne elementy i szczegóły, jakich można się było, zgodnie z logiką, spodziewać? Zmęczenie, depresja? - zapewne. Mógł być jeszcze cały szereg rozmaitych przyczyn, ale jak odkryłem tego lata, w jej słowniku najczęściej pojawiała się słowo „wina”; teraz jest dla mnie jasne, że ową rewizję własnej przeszłości wymuszało głównie ukryte poczucie winy. Zaczęłam także dostrzegać, że skłonna była patrzeć na swoje życie przez pryzmat pogardy

wobec samej siebie, co jest zjawiskiem nader częstym wśród tych, których los poddał tak szczególnej, tak ciężkiej próbie. O tego rodzaju cierpieniu pisała Simone Weil: „Ta ciężka próba odciska w duszy niezatarte piętno pogardy, odrazy, wręcz nienawiści do siebie samego, oraz poczucie winy, jakie logicznie powinna wywoływać zbrodnia, a jakiego w rzeczywistości nie wywołuje”. Być może ten właśnie zespół emocji - niszczące poczucie winy w połączeniu ze zwykłą, lecz głęboko umotywowaną powściągliwością - skłaniał Zofię do przemilczania pewnych spraw. Zawsze była skryta, jeśli chodziło o jej pobyt na dnie piekła - czasami graniczyło to wręcz z obsesją - i jeśli taka była jej wola, należało to uszanować.

Trzeba tu jednak wyjaśnić - choć z czasem i tak wyjdzie to na jaw - że Zofia potrafiła odkrywać przede mną fakty, o jakich nigdy w życiu nie powiedziała by Natanowi. Powód był prosty: jej miłość do Natana była tak szalona, że przypominała chorobę umysłową, a w takich przypadkach nader często ukrywa się najgłębszą prawdę o sobie właśnie przed ukochaną osobą i to z bardzo ludzkich przyczyn - choćby dlatego, by zaoszczędzić jej zbędnego bólu. Z drugiej strony były w jej przeszłości pewne okoliczności i zdarzenia, o których mówić musiała; sądzę, że całkiem podświadomie szukała kogoś, kto zastąpiłby jej ka - płańcówspowiedników odrzuconych tak bezwzględnie wraz z re - ligią. I właśnie ja, Stingo, byłem pod ręką. Z perspektywy czasu uświadamiam sobie, że owo tłamszenie w sobie pewnych spraw mogło poważnie zagrozić jej psychice, zwłaszcza tamtego lata, pełnego burzliwych, brutalnych emocji, gdy jej związek z Natanem bliski był rozpadu. Wtedy zatem, kiedy była najbardziej bezbronna, potrzeba wyartykułowania udręki i poczucia winy stała się tak dojmująca, że chciało jej się krzyczeć, a ja zawsze gotów byłem słuchać z psim oddaniem i bez znużenia. Zaczynałem też rozumieć, że skoro jej relacje o najgorszych, najbardziej niepojętych i absurdalnych epizodach koszmaru, jaki przeżyła, mogły budzić poważne wątpliwości - choć nie całkowitą negację - w kimś tak łatwowiernym jak ja, to Natan tym bardziej nigdy nie potrafiłby ich zaakceptować. Albo by jej nie uwierzył, albo uznałby ją za szaloną. Mógłby ją nawet zabić. W jaki na przykład sposób miała znaleźć w sobie siły, aby opowiedzieć mu o swoich kontaktach z Rudolfem Franzem Hössem, Obersturmbannführerem SS, komendantem Auschwitz?

Zajmijmy się teraz przez chwilę, nim powrócimy do Zofii, Natana, pierwszych dni i miesięcy ich wspólnego życia oraz innych wydarzeń, osobą Hossa. Hoss wystąpi jeszcze w naszej opowieści jako główny czarny charakter wśród Pierwszoplanowej Obsady, ale byłoby może wskazane właśnie teraz powiedzieć coś o przeszłości i pochodzeniu tego gotyckiego monstrum naszych czasów. Zofia powiedziała mi, że owa postać, którą dawno już wymazała z pamięci, przemknęła jak błysk przez jej świadomość całkiem niedawno, przypadkowo, na

parę zaledwie dni przed moją przeprowadzką do rezydencji nazywanej przez naszą trójkę Różowym Pałacem. I znów koszmar miał miejsce w pociągu metra, głęboko pod ulicami Brooklynu. Przeglądała właśnie numer magazynu „Look” sprzed paru tygodni, gdy nagle z jednej ze stronich wychynęła ku niej twarz Hossa; szok był tak wielki, że wydała z siebie zduszony okrzyk, aż wzdrygnęła się siedząca obok niej kobieta. Zdjęcie przedstawiało ostatnie sekundy żywota Hossa. Z twarzą zastygłą w pozbawioną wyrazu maskę, zakuty w kajdanki, wymizerowany i nie ogolony, stał ekskomendant w rozchełstany więziennym stroju, szykując się bez wątpienia do swej ostatecznej podróży. Szyję okręcał mu sznur zwisający z solidnego, metalowego ramienia szubienicy, wokół której grupka polskich żołnierzy czyniła ostatnie przygotowania do wyprawienia go w zaświaty. Przyglądając się tej nędznej postaci, jej martwej już i pustej twarzy, podobnej do twarzy aktora odgrywającego na środku sceny rolę jakiejś upiornej zjawy, Zofia wypatrywała i w końcu znalazła, a następnie zidentyfikowała niewyraźny, lecz straszliwie swojski zarys dekoracji: przysadzisty, brudnoszary kształt prawdziwego oświęcimskiego krematorium. Rzuciła czasopismo na ziemię i wysiadła na najbliższym przystanku tak wzburzona tym plugawym pogwałceniem jej pamięci, że przez parę godzin krążyła bez celu po zalanych słońcem ulicach wokół muzeum i ogrodu botanicznego. Kiedy wreszcie pokazała się w gabinecie Blackstocka, doktor widząc jej półprzytomną twarz, zapytał:

- Cóż to, zobaczyłaś jakiegoś upiora? - Jednak po paru dniach udało jej się usunąć ów obraz z pamięci.

Rudolf Hoss - o czym jeszcze nie wiedziała ani ona, ani świat sporządził w ciągu kilku miesięcy poprzedzających proces i egzekucję dokument, który na tyle, ile można zawrzeć w pojedynczym tomie, charakteryzuje mentalność człowieka opętanego bez reszty totalitaryzmem. Trzeba było czekać długie lata na angielską wersję książki (w doskonałym przekładzie Constantine Fitz Gibbon). Ta anatomia psychiki Hossa, włączona obecnie do tomu *Oświęcim w oczach SS* opublikowanego przez Muzeum Oświęcimskie, jest dostępna wszystkim, którzy pragnęliby dociec prawdziwej natury zła. Powinni się z nią koniecznie zapoznać wszyscy profesorowie filozofii, głosiciele Słowa Bożego, rabini, szamani, wszyscy historycy, pisarze, politycy i dyplomaci, bojownicy o wolność bez względu na płeć i przekonania, prawnicy, sędziowie, penolodzy, aktorzy kabaretowi, reżyserzy filmowi, dziennikarze całego świata, jednym słowem wszyscy ci, którzy w jakikolwiek sposób oddziałują na świadomość swych bliźnich - włącznie z naszymi ukochanymi dziećmi, tymi początkującymi przywódcami Ameryki z ósmej klasy, dla których książka ta powinna być lekturą obowiązkową na równi z *Buszującym w zbożu*, *Hobbitem* i Konstytucją. Bo kiedy

przeczytamy te wyznania, stwierdzimy, że właściwie nie mamy pojęcia o istocie zła; zło przedstawiane w większości powieści, sztuk i filmów to tandeta, jeśli nie fałszerstwo, upichcone zazwyczaj z odpadków przemocy, fantazji, neurotycznych lęków i melodramatu.

To „wyimaginowane zło” - by znów zacytować Simone Weil

- „jest romantyczne i wielobarwne, podczas gdy zło prawdziwe jest ponure, monotonne, jałowe i nudne”. Słowa te charakteryzują nader trafnie mentalność Rudolfa Hossa, człowieka tak druzgocąco banalnego, że mógłby stanowić wzorzec dla zilustrowania tezy niezwykle sugestywnie sformułowanej przez Hannah Arendt w parę lat po jego powieszeniu. Hoss nie był bynajmniej sadystą ani człowiekiem gwałtownym, nie był nawet szczególnie groźny. Można wręcz powiedzieć, że odznaczał się praktycznym poczuciem przyzwoitości. Jerzy Rawicz, polski redaktor autobiografii Hossa, sam był więźniem Oświęcimia, wykazał wiele rozsądku ganiąc współtowarzyszy niedoli za ich zeznania, w których obwiniali Hossa o katowanie i tortury. „Hoss nie »poniżyłby się« do takich czynności - utrzymuje Rawicz. - On miał ważniejsze (...) zadanie do spełnienia”. Komendant był - jak się przekonamy typem domatora, ale jednocześnie człowiekiem ślepo posłusznym i oddanym sprawie; w ten sposób przeobraził się w zwykły mechanizm, którego moralna próżnia była tak idealnie oczyszczona z najdrobniejszych nawet śladów wyrzutów sumienia czy skrupułów, że w jego opisie popełnianych na co dzień niesłychanych zbrodni są one jakby całkowicie oddzielone od pojęcia zła, co zamienia ów opis w fantazmy kretyńskiej niewinności. A jednak nawet ten automat był, jak my wszyscy, istotą z krwi i kości; wychowany w tradycji chrześcijańskiej, omal nie został księdzem - niepokoje sumienia, nawet skrucha atakowały go od czasu do czasu jak nawroty jakiejś nierozpoznanej choroby i właśnie ta słabość, te ludzkie reakcje niewzruszonego i posłusznego robota czynią z jego pamiętników lekturę tak fascynującą, przerażającą i pouczającą zarazem.

Oto garść informacji o jego młodości. Urodzony w roku 1900, tym samym co Thomas Wolfe i pod tym samym znakiem (*O, zabląkany i przez wiatr oplakiwany duchu...*), Hoss był synem emerytowanego pułkownika armii niemieckiej. Ojciec pragnął, by syn wstąpił do seminarium duchownego, ale wybuchła pierwsza wojna światowa i Hoss, jako szesnastoletni zaledwie wyrostek, zaciągnął się do wojska. Brał udział w walkach na Bliskim Wschodzie - w Turcji i w Palestynie - i w wieku lat siedemnastu został najmłodszym podoficerem w niemieckiej armii. Po wojnie wstąpił do organizacji walczących nacjonalistów i w 1922 roku poznał człowieka, z którym związał swe losy na resztę życia

- Adolfa Hitlera. Ideały narodowego socjalizmu oraz osoba wodza tak z miejsca urzekły Hossa, że został jednym z pierwszych prawdziwych, formalnych członków

nazistowskiej partii. Nic też dziwnego, że wkrótce popełnił pierwsze morderstwo i trafił do więzienia. Szybko doszedł do przekonania, że zabijanie jest jego życiowym obowiązkiem. Ofiarą był nauczyciel nazwiskiem Kadow, przywódca frakcji liberałów, którą naziści uważali za szkodliwą dla ich interesów. Po odbyciu kary sześciu lat więzienia Hoss osiadł w gospodarstwie rolnym w Meklemburgii, ożenił się i w krótkim czasie spłodził sześcioro potomstwa. Owe lata spędzone nad burzliwym Bałtykiem, wśród dojrzewających łąnów jęczmienia i pszenicy, musiały być dla niego nieznośnym ciężarem. Marzenie o bardziej ambitnej i zgodnej z powołaniem karierze spełniło się, gdy w połowie lat trzydziestych spotkał starego druha z *Bruderschaftu*, Heinricha Himmlera, który z łatwością namówił Hossa do porzucenia radła i sochy i zakosztowania przyjemności, jakie niosła z sobą służba w SS. Himmler, którego autobiografia ukazuje go jako (między innymi) pierwszorzędno sędziego i znawcę morderców, musiał domyślić się w osobie Hossa człowieka idealnego do ważnych zadań, jakie zamierzał mu poruczyć, ponieważ ten spędził następne szesnaście lat albo jako komendant obozów koncentracyjnych, albo ważna osobistość w sztabie zarządzającym obozami. Najważniejszą funkcję przed przejściem do Oświęcimia pełnił Hoss w Dachau.

Z biegiem czasu nawiązał coś w rodzaju owocnej - lub przynajmniej symbiotycznej - współpracy z człowiekiem, który miał zostać jego bezpośrednim przełożonym, Adolfem Eichman - nem. Eichmann wykorzystał pewne talenty Hossa, co doprowadziło do wyraźnego postępu w *die Todtentehnologie*. W roku 1941, na przykład, problem żydowski stał się dla Eichmanna źródłem wielkiego strapienia, nie tylko ze względu na ogrom czekającego go zadania, lecz także czysto praktyczne problemy łączące się z „ostatecznym rozwiązaniem”. Dotychczas masowa eksterminacja - prowadzona przez SS na stosunkowo skromną skalę - polegała albo na rozstrzeliwaniu, co stwarzało higieniczny problem krwawego bałaganu, było kłopotliwe i nieefektywne, albo też na wprowadzaniu do zamkniętych, hermetycznych pomieszczeń tlenku węgla, która to metoda była również mało skuteczna i niedopuszczalnie czasochłonna. To właśnie Hoss, po zaobserwowaniu skuteczności krystalicznego cyjanowodorowego związku zwanego cyklonem B, stosowanego jako trucizna na szczury i inne pasożyty będące plagą obozu oświęcimskiego, zaproponował wykorzystanie tego środka likwidacji Eichman - nowi, co tamten - według relacji Hossa - skwapliwie podchwycił, choć później temu zaprzeczał. (Trudno pojąć, dlaczego obaj eksperymentatorzy byli tacy zacofani - gaz cyjanowy był używany podczas egzekucji w niektórych więzieniach amerykańskich od ponad piętnastu lat). Zamieniwszy dziewięciuset radzieckich jeńców wojennych w króliki doświadczalne, Hoss stwierdził, że gaz nadaje się idealnie do szybkiego wyprawiania istot

ludzkich na tamten świat; od tego czasu stosowano go na wielką skalę wobec niezliczonych rzesz starych i nowo przybyłych więźniów, choć od pierwszych dni kwietnia 1943 roku zastrzeżony był dla Żydów i Cyganów. Hoss był także innowatorem w dziedzinie takich technik, jak miniaturowe pola minowe do wysadzania krnąbrnych lub uciekających więźniów, śmiertelnie rażące druty pod wysokim napięciem oraz - przedmiot dumy komendanta sfera okrutnych owczarków alzackich i dobermanów znana jako *Hundestaffel*, która budziła w Hossie mieszane (jak o tym świadczą zmienne zapiski w pamiętnikach) uczucia satysfakcji i niezadowolenia, jako że psy, choć piekielne bestie, specjalnie tresowane do rozszarpywania więźniów na strzępy, ogarniała chwilami apatia i nieposłuszeństwo, a wtedy wykazywały wielki spryt w wyszukiwaniu ustronnych zakątków, gdzie mogły sobie pospać. W skali globalnej jednak jego zapładniające i pomysłowe innowacje były dostatecznie udane, by uznać, że Hoss - w doskonałej parodii osiągnięć Kocha, Ehrlicha, Roentgena i innych niemieckich uczonych, którzy zmienili oblicze medycyny w latach wielkiego rozkwitu nauki w drugiej połowie ubiegłego stulecia wniósł trwały wkład w przeobrażenie całej koncepcji masowych mordów.

Przez wzgląd na historyczną i socjologiczną wagę tego faktu należy podkreślić, że spośród wszystkich współoskarżonych w powojennych procesach w Polsce i w Niemczech - owych satrapów i rezerwowych oprawców, którzy dochrapali się stopni oficerskich w SS w Oświęcimiu i innych obozach - tylko garstka rekrutowała się spośród zawodowych wojskowych. Nie powinno to nas wszakże jakoś szczególnie zaskakiwać. Wojskowi są zdolni do odrażających zbrodni; przykładów, tylko w ostatnich latach, dostarczają Chile, My Lai, Grecja. Ale jedynie tak zwani liberałowie mogą błędnie utożsamiać prawdziwe zło z mentalnością wojskowych, czyniąc je domeną poruczników i generałów; drugorzędne zło, do którego tak często zdolni są wojskowi, jest agresywne, romantyczne, przejmujące dreszczem, podobne do orgazmu. Zło prawdziwe, dławiące zło Oświęcimia - ponure, monotonne, jałowe, nudne - było dziełem niemal wyłącznie cywilów. Łatwo sprawdzić, że na listach esesmanów z Oświęcimia - miaBrzezinki prawie nie ma zawodowych żołnierzy - mamy tam natomiast przekrój niemieckiego społeczeństwa. Kelnerów, piekarzy, stolarzy, restauratorów, lekarzy, księgowego, urzędnika bankowego, pielęgniarkę, ślusarza, strażaka, celnika, radcę prawnego, wytwórcę instrumentów muzycznych, specjalistę w dziedzinie budowy maszyn, laboranta, właściciela firmy transportowej... lista tych zwykłych, pospolitych zawodów ciągnie się w nieskończoność. Należałoby jeszcze dodać, że największy w historii likwidator Żydów, ocięzający umysłowo Heinrich Himmler, był hodowcą drobiu.

Nie ma w tym właściwie żadnych rewelacji: w naszych czasach większość szkód

przypisywanych wojskowym wyrządzono za radą i zgodą władz cywilnych. Co do Hossa, wydaje się on być jakimś odstępstwem od normy, jako że jego przedoświećcimska kariera obejmowała i uprawę roli, i wojaczkę. Dowody wskazują, że był szczególnie oddany swej pracy, i to właśnie ta rygorystyczna i niezłomna postawa duchowa - zasada obowiązku i posłuszeństwa przede wszystkim, tkwiąca niewzruszenie w umyśle każdego dobrego żołnierza - przydaje jego pamiętnikowi przygnębiającej sugestywności. Kiedy czytamy tę obrzydliwą kronikę, skłonni jesteśmy uwierzyć, że Hoss jest szczery, gdy wyraża swoje skrupuły, a nawet skrywaną odrazę wobec tego czy innego przypadku gazowania, kremacji bądź „selekcji”, i że owe ponure wątpliwości rzeczywiście towarzyszą wykonywaniu zadań, do jakich go wyznaczono. Wydaje się, że za piszącym Hósem stoi zjawa siedemnastoletniego chłopca, świetnie się zapowiadającego młodego Unterfeldfebla armii z innej epoki, kiedy jasne pojęcia honoru, dumy i morale stanowiły integralny składnik pruskiego kodeksu, i że chłopiec ten oniemiał na widok niesłychanego bagna deprawacji, w jakim unurzał się jego dorosły odpowiednik. Ale to inne czasy, inne miejsce, inny Reich, chłopiec odchodzi, spychany w najgłębszy cień, groza słabnie i blaknie, w miarę jak on się oddala, gdy tymczasem skazany na śmierć eksObersturmbannführer gryzmoli niestrudzenie, usprawiedliwiając swe bestialskie czyny popełnione w imieniu obłąkanej władzy poczuciem obowiązku i ślepym posłuszeństwem. Na swój sposób przekonuje nas rzeczowy ton następującego stwierdzenia: „Chciałbym tu jeszcze zaznaczyć, że jeśli o mnie chodzi, to osobiście nigdy nie czułem nienawiści do Żydów. Uważałem ich wprawdzie za wrogów naszego narodu, ale dlatego właśnie sądziłem, że należy ich traktować na równi z innymi więźniami i tak samo z nimi postępować. Nigdy nie robiłem żadnych różnic pod tym względem. Uczucie nienawiści jest mi w ogóle obce”. W świecie krematoriów nienawiść jest emocją nieodpowiedzialną i wymykającą się spod kontroli, a więc niezgodną z szarzyzną codziennych obowiązków. Zwłaszcza wtedy, kiedy człowiek zdoła wyplenić takie rozprasające emocje, sprawa kwestionowania rozkazów czy nieufności wobec nich staje się dlań problemem akademickim; jest bezwzględnie posłuszny: „Gdy w lecie 1941 roku Himmler osobiście wydał mi rozkaz przygotowania w Oświęcimiu miejsca masowej zagłady ludzi, nie potrafiłem sobie wówczas nawet w najmniejszym stopniu wyobrazić jego rozmiarów ani skutków. Wprawdzie rozkaz był czymś niesłychanym i potwornym, ale jego uzasadnienie sprawiło, że akcja eksterminacyjna wydała mi się słuszna. Wówczas nie zastanawiałem się nad tym, otrzymałem rozkaz i musiałem go wykonać. Nie mogłem sobie pozwolić na sąd o tym, czy masowe uśmiercanie Żydów jest konieczne, czy nie; tak daleko patrzeć nie mogłem”. A więc zaczyna się rzeź, pod zmrużonym, uważnym i nieczułym okiem

Hossa: „Musiałem uchodzić za człowieka zimnego i pozbawionego serca w obliczu wypadków, które u każdego jeszcze odczuwającego po ludzku powodowały skurcz serca. Nie mogłem się nawet odwrócić, gdy ogarniało mnie naturalne, ludzkie wzburzenie. Musiałem przyglądać się obojętnie, jak matki ze śmiejącymi się lub płaczącymi dziećmi szły do komór gazowych.

Pewnego razu dwoje małych dzieci tak pogrążyło się w zabawie, że matka nie mogła ich od niej oderwać. Nawet Żydzi z Sonder - kommando nie chcieli zabrać dzieci. Nigdy nie zapomnę błagającego o zmiłowanie spojrzenia matki, która wiedziała, o co chodzi. Ci, którzy już byli w komorze, zaczęli się niepokoić musiałem działać. Wszyscy patrzyli na mnie. Skinąłem na podoficera służbowego, a ten wziął opierające się dzieci na ręce i zaniósł je do komory wśród rozdzierającego serce płaczu matki idącej za nimi. Najchętniej zapadłbym się pod ziemię pod wpływem współczucia, ale nie wolno mi było okazać najmniejszego wzruszenia (Arendt pisze: »Problem polegał na tym, jak uporać się nie tyle z sumieniem, ile ze zwierzęcą litością, jaką czuje każdy normalny człowiek w obliczu cierpienia fizycznego. Sztuczka, jaką stosowano (...), była bardzo prosta i prawdopodobnie bardzo skuteczna; polegała na odwróceniu owych instynktownych reakcji niejako o sto osiemdziesiąt stopni i skierowaniu ich na własną osobę. I tak zamiast mówić: Jak potworne cierpienia zadawałem ludziom!, mordercy powiadają: Jakich potworności musiałem być świadkiem, spełniając swą powinność, jakim ciężarem był dla mnie ten obowiązek!«. Musiałem na wszystko patrzeć. Dniem i nocą byłem obecny przy wyciąganiu i spalaniu zwłok; godzinami przyglądałem się wrywaniu zębów, obcinaniu włosów i wszelkim innym okropnościom. Przebywałem godzinami wśród odrażającego zapachu wydobywającego się przy rozkopywaniu masowych grobów i spalaniu zwłok.

Na skutek zwróconej mi przez lekarzy uwagi ja sam musiałem przez okienko komory gazowej przyglądać się śmierci (...). Reichsführer SS przysyłał od czasu do czasu rozmaitych dygnitarzy NSDAP i SS do Oświęcimia, aby się przyjrżeli zagładzie Żydów (...). Zapytywano mnie, jak ja i moi ludzie możemy nieustannie patrzeć na to, jak możemy wytrzymać. Odpowiadałem zawsze, że rozkaz Fiihrera musi być wykonany z żelazną konsekwencją i wobec tego wszystkie ludzkie odruchy powinny zniknąć”.

Ale nawet granitem wstrząsnęłyby takie sceny. Napady przygnębienia, depresji, niepokoje, mrozące zwątpienie, wewnętrzny dreszcz, nieopisany *Weltschmerz* - wszystko to nęka Hossa, kiedy proces mordowania nabiera niekontrolowanego rozpędu. Hoss zostaje wepchnięty na obszary, gdzie kończy się panowanie rozumu, wiary, zdrowych zmysłów, nawet Szatana. Jednak ton jest smutny, elegijny: „Nie znalazłem już szczęścia, odkąd w

Oświęcimiu zaczęło się masowe uśmiercanie (...). Jeżeli jakieś zajście bardzo mnie wzburzyło, nie mogłem wówczas wracać do domu, do mojej rodziny. Dosiadałem konia i szaloną jazdą odganiałem straszliwe obrazy. Często w nocy szedłem do stajni i tam znajdowałem uspokojenie wśród moich ulubieńców (...). Gdy widziałem, jak nasze dzieci wesoło się bawiły i jak bardzo szczęśliwa była moja żona, mając przy sobie najmłodszą córeczkę, przychodziło mi nieraz na myśl: jak długo jeszcze będzie trwało wasze szczęście? Żona moja nigdy nie mogła wytłumaczyć sobie moich posępnych nastrojów i przypisywała je kłopotom związanym ze służbą. (...) Prawda, że mojej rodzinie było dobrze w Oświęcimiu. Spełniano każde życzenie żony i dzieci. Dzieci mogły szaleć do woli, żona miała tyle ulubionych kwiatów, że czuła się wśród nich jak w raju. Więźniowie starali się jak mogli, aby zrobić coś przyjemnego mojej żonie i dzieciom, aby wyświadczyć im jakąś przysługę. Żaden były więzień nie mógłby prawdopodobnie powiedzieć, że go w naszym domu pod jakimkolwiek względem źle potraktowano. Moja żona najchętniej podarowałaby coś każdemu więźniowi, który u nas pracował, a dzieci ciągle zebrały u mnie opapierosy dla więźniów. Szczególnie były one przywiązane do ogrodników. Cała moja rodzina odznaczała się uderzającym zamiłowaniem do rolnictwa, szczególnie lubiła zwierzęta. Co niedziela musiałem z rodziną objeżdżać pola i chodzić po stajniach; nawet psiarni nie można było pominąć. Największymi względami cieszyły się oba nasze konie i źrebak. Dzieci zawsze miały w ogrodzie jakieś osobliwe zwierzaki, które im znosili więźniowie: to żółwie, to znów kuny, koty lub jaszczurki. Ciągłe było w ogrodzie coś nowego i interesującego. W lecie dzieci pluskały się albo w basenie kąpielowym w ogrodzie, albo w Sole. Największą radość sprawiało im, gdy tatuś kąpał się razem z nimi. On jednak miał tak mało czasu na te wszystkie zabawy dziecięce...”

Do tego to czarownego zakątka zabłądziła Zofia wczesną jesienią 1943 roku, kiedy nocą buzujące płomienie krematoriów Brzezinki dawały taką łunę, że niemiecka komendantura wojskowa, położona o sto kilometrów dalej, pod Krakowem, zaczęła się niepokoić, czy blask ognia nie ściągnie ataków nieprzyjaciela z powietrza, a za dnia sinawy całun dymu z palonych ciał ludzkich przyćmiewał złote, jesienne słońce, rozsnuwając nad ogrodem, brodzikiem, sadem, stajniami i żywopłotem mdląco - - słodkawą, wszechobecną woń trupiarni. Nie przypominam sobie, aby Zofia mówiła mi, czy została czymś obdarowana przez *Frau* Hoss, ale ogólną wiarygodność sprawozdania Hossa mogłby potwierdzać fakt, że podczas krótkiego pobytu pod dachem komendanta rzeczywiście nie była - podobnie jak inni pod żadnym względem źle traktowana. Chociaż w końcu nawet i za to - jak się okazało - nie miała co być szczególnie wdzięczna.

siódmy

- No więc już chyba wiesz, Stingo - powiedziała Zofia tego pierwszego dnia w parku - jak Natan uratował mi życie. To było fantastyczne! Ja tu okropnie chora, mdleję, padam, i oto nadchodzi - jak się to nazywa? - księżę z bajki, i ratuje mi życie. I to tak bez wysiłku, jakby to były czary, jakby miał czarnoksięską pałeczkę, machnął nią nade mną i natychmiast jestem całkiem zdrowa.

- Ile to zajęło czasu? - zapytałem. - Od momentu, kiedy...

- Od tego dnia, kiedy mnie spotkał? - Och, bardzo krótko, naprawdę. Dwa, trzy tygodnie, coś koło tego. *Allez!* Uciekaj! rzuciła kamykiem w największego, najbardziej agresywnego łabędzia, który wtargnął na nasze piknikowe tereny na brzegu jeziora. - Idź sobie. Nie cierpię go, a ty? *Un vrai gonin.* Chodź tu, Tadeusz - zaczęła przywoływać cmokaniem swojego wynędzniałego ulubieńca, wabiąc go resztkami bajgiełki. Nastrozony wyrutek o smętnym, krzywym spojrzeniu przyczłapał z wahaniem i zaczął dziobać okruchy. Słuchałem pilnie tego, co mówi Zofia, choć miałem coś innego na widoku. Chyba dlatego, że moja randka z boską Lapidus wywoływała u mnie stan oscylujący między uniesieniem a lękiem, próbowałem zdławić obie emocje za pomocą kilku puszek piwa, łamiąc w ten sposób narzuconą sobie zasadę dotyczącą picia alkoholu w dzień i w godzinach pracy. Ale potrzebowałem czegoś, co złagodziłoby wielkie napięcie oczekiwania i uspokoiło galopujący puls.

Zerknąłem na zegarek, by odkryć z mdlącym niepokojem, że za sześć zaledwie godzin pukać będę do drzwi Leslie. Chmury jak strzępy bitej śmietany, opalizujące disneyowskie słodczyce, sunęły łagodnie ku oceanowi, rzucając łaciaty deseń światła i cienia na nasz trawiasty cypelek, gdzie Zofia opowiadała

o Natanie, ja słuchałem, a samochody przejeżdżające sporadycznie dalekimi ulicami Brooklynu wydawały cichutki, buczący odgłos, który przypominał nieszkodliwą, towarzyszącą jakiejś ceremonii kanonadę.

- Brat Natana ma na imię Larry - ciągnęła Zofia. - To cudowny człowiek i Natan go ubóstwia. Natan zabrał mnie do jego gabinetu w Forest Hills następnego dnia. Larry zbadał mnie dokładnie i cały czas powtarzał: „Natan ma chyba rację - ten jego naturalny instynkt w sprawach medycznych to coś niezwykłego”. Ale nie był pewien. Myślał tylko, że Natan ma pewnie rację z tym moim niedoborem. Byłam wtedy okropnie błada. Kiedy opisałam mu wszystkie objawy, uznał, że to nie może być nic innego. Ale oczywiście musiał się upewnić. Umówił mnie ze swoim przyjacielem, *spécialiste* ze szpitala Columbia, tego prezbiteriańskiego szpitala. To jest doktor niedoboru - nie...

- Lekarzspezjalista od niedoborów pokarmowych - podpowiedziałem na chybił trafił.

1 O, właśnie. To był doktor nazwiskiem Warren Hatfield, który studiował medycynę z Larrym, przed wojną. W każdym razie tego samego dnia jedziemy razem, Natan i ja do Nowego Jorku, zobaczyć się z doktorem Hatfieldem. Natan pożyczył samochód od Larry'ego i pojechaliśmy przez most do szpitala Columbia. Ach, Stingo, tak dobrze to pamiętam, tę podróż z Natanem do szpitala. Samochód Larry'ego jest *décapotable*, no wiesz, kabriolet, a ja całe życie, jeszcze w Polsce marzyłam, żeby przejechać się kabrioletem, takim jakie widziałam na zdjęciach w filmach. Taka niemądra zachcianka - przejechać się otwartym samochodem; no i jadę właśnie z Natanem, jest piękny letni dzień, świeci słońce, wiatr rozwiewa mi włosy. Mówię ci, to było takie dziwne; byłam jeszcze chora, a czuję się świetnie! To znaczy byłam pewna, że wszystko będzie dobrze. I wszystko dzięki Natanowi.

Było, pamiętam, wczesne popołudnie. Nigdy nie byłam na Manhattanie w dzień, tylko metrem, w nocy, i teraz, z samochodu, po raz pierwszy widzę rzekę i niewiarygodne drapacze chmur w City i samoloty na jasnym niebie. To było takie królewskie, takie piękne i podniecające, że chciało mi się płakać. I przyglądałam się Natanowi z boku, a on mówił bardzo szybko o Larrym i o tych wszystkich cudach, jakich dokonał jako lekarz. A potem o medycynie i że teraz może zakładać się o wszystko na świecie, że miał rację z tą moją chorobą i jak można ją wyleczyć, i tak dalej. Nie umiem opisać tego uczucia, jakie miałam, kiedy patrzyłam na Natana, jadąc przez Broadway. Myślę, że po angielsku to by było, no, *awe*, tak, to bardzo dobre angielskie słowo. To był podziw i respekt, że pojawił się ten przemiły, przyjazny człowiek i był taki troskliwy i przejęty tym, że bym wyzdrowiała. On był moim zbawcą, Stingo, po prostu zbawcą, jakiego dotychczas nie spotkałam...

No i oczywiście miał rację. Zostałam w szpitalu na trzy dni i doktor Hatfield zrobił wszystkie testy i te testy wykazały, że Natan miał rację. Mam poważny niedobór żelaza. Brakuje mi także wielu innych rzeczy, ale mniej ważnych. Chodzi głównie żelazo. A kiedy byłam te trzy dni w szpitalu, Natan odwiedzał mnie codziennie.

- I co myślałaś o tym wszystkim?

- O czym?

- No wiesz, nie chciałbym być wścibski, ale opowiedziałaś mi historię jednego z najbardziej szalonych, najpiękniejszych oszalamiających spotkań dwojga ludzi, o jakich słyszałem. Ale w końcu na razie jesteście sobie wciąż obcy. Nie znasz naprawdę Natana, nie wiesz, czym się kieruje, poza tym, że z pewnością bardzo mu się, mówiąc oględnie, podobasz urwałem na chwilę, po czym dodałem wolno: - Zofio, nie odpowiadaj, jeśli to sprawa zbyt

osobista, ale zawsze byłem ciekaw, co myśli kobieta, kiedy pojawia się w jej życiu taki wspianiały, przebojowy, atrakcyjny mężczyzna i - że się tak wyrażę - zwała ją z nóg.

Milczała przez chwilę z wyrazem namysłu na ślicznej twarzy, a potem rzekła:

- Prawdę mówiąc, byłem mocno speszona. Od bardzo dawna od bardzo, bardzo dawna - nie miałam, jakby to powiedzieć... znów urwała z braku słów - nie miałam do czynienia z mężczyzną, z żadnym mężczyzną, rozumiesz. Nie przejmowałam się tym zbytnio, bo to nie było w moim życiu najważniejsze, miałam wiele innych spraw, musiałam się pozbierać. Przede wszystkim sprawa zdrowia. Wtedy wiedziałam tylko, że Natan ratuje mi życie i nie dbałam o to, co będzie potem. Owszem, myślałam o tym, ile mu zawdzięczam, ale wiesz - to teraz zabawne, Stingo - przede wszystkim wiązało się to z pieniędzmi. I to najbardziej mnie dręczyło. Pieniądze. Wtedy w szpitalu leżałam nocami, nie śpiąc, i ciągle rozmyślałam: mam separatkę. Leczenie u Hatfielda musi kosztować setki dolarów. Jak ja za to zapłacę? Miałam okropne wizje. W najgorszej szłam do doktora Blackstocka po pożyczkę i on pytał mnie, na co, a ja musiałam wyjaśnić, że to za leczenie, i on obrażał się na mnie, że zaczęłam się leczyć u prawdziwego lekarza. Sama nie wiem dlaczego, ale bardzo lubię doktora Blackstocka i Natan nie może tego zrozumieć. W każdym razie nie chciałam zrobić mu przykrości i dlatego tak mnie dręczyły te złe sny o pieniądzach...

Cóż, nie będę ukrywać. W końcu zapłacił za wszystko Natan bo ktoś musiał - ale zanim to się stało, nie miałam się już czym przejmować i krępować. Byliśmy, mówiąc krótko, zakochani, a zresztą niewiele było do płacenia: Larry nie wziął ani grosza i doktor Hatfield też nie chciał pieniędzy. Byliśmy zakochani, a ja wracałam do zdrowia, biorąc mnóstwo tabletek z żelazem, które sprawiały, że rozkwitać jak róża - urwała i parsknęła śmiechem. - Przeklęty bezkolicznik! - parsknęła, z czułością naśladowując mentorski ton Natana: - Nie „rozkwitać”, tylko „rozkwitałam”!

- To naprawdę niesamowite - powiedziałem - jak on się do ciebie zabrał. Powinien być lekarzem.

- Chciał być lekarzem - powiedziała półgłosem po chwili milczenia. - Bardzo chciał... - urwała, a jej niedawna wesołość ustąpiła nagle melancholii. - Ale to inna historia - dodała i lekki skurcz przemknął jej przez twarz.

Wyczułem raptowną zmianę nastroju, jak gdyby na radosne wspomnienia tamtych pierwszych, wspólnie spędzanych dni nałożył się (może pod wpływem mojej uwagi) jakiś cień, świadomość czegoś innego - dręczącego, bolesnego, złowrogiego. W tym samym momencie, z odnotowaną przeze mnie, początkującego powieściopisarza, dramaturgiczną stosownością, jej nagle zmienioną twarz zasnuł prawdziwy, najczarniejszy cień rzucony przez

gęstą, dziwnie zabarwioną chmurę, która na krótko zaćmiła słońce, aż przeniknął nas jesienny dreszcz. Zofia wzdygnęła się gwałtownie, podniosła się i stanęła tyłem do mnie, masując nerwowo dłońmi obnażone ramiona i kuląc się tak, jak gdyby lekki wietrzyk przenikał ją do szpiku kości. Jej przygnębienie i niespokojne ruchy raz jeszcze przywiodły mi nieuchronnie na pamięć koszmarną sytuację, w jakiej zaskoczyłem oboje zaledwie pięć dni temu; uświadomiłem sobie, jak wiele bolesnych spraw dotyczących tego związku będę musiał zrozumieć. Ileż tu było niepojętych dla mnie refleksów i przeblysków! Na przykład to, co opowiadał Morris Fink. Ten ponury teatrzyk marionetek, jakiego był świadkiem, akt okrucieństwa, któremu się przyglądał: Natan bijący Zofię, kiedy ta leży na podłodze. Jak to wszystko pogodzić? Jak dopasować do faktu, że w ciągu kilku następnych dni, gdy widywałem ich razem, nawet słowo „zauroczenie” zdawało się być puste i zbyt anemiczne na określenie tego, co ich łączy? Jak mógł ten człowiek, o którego czułości i miłosnej tkliwości opowiadała mi Zofia z takim wzruszeniem, że oczy napelniały jej się łzami - jak mógł ów święty i pełen współczucia człowiek przeobrażać się w tego wcielonego diabła, jakiego widziałem niedawno, stojąc w progu domu Yetty?

Wolałem nie roztrząsać zbyt długo tego problemu i chyba dobrze zrobiłem, bo wielobarwna chmura odpłynęła na wschód i znów zalały nas potoki światła. Zofia uśmiechnęła się, jak gdyby promienie słońca rozpuściły jej chwilowe przygnębienie, i rzuciwszy Tadeuszowi ostatni okrucieństwo stwierdziła, że musimy wracać do domu. Natan, oświadczyła podekscytowana, kupił butelkę bajecznego burgunda do kolacji, więc ona musi iść do A&P na Church Avenue i kupić jakieś wspaniałe befsztyki, a poza tym ma zamiar po południu zwinąć się w kłębek na łóżku i wrócić do heroicznego zmagania z *Niedźwiedziem*.

- Chciałabym poznać tego pana U i i l j a m a Faulknera - powiedziała, kiedy zmierzaliśmy w stronę domu - i powiedziec mu, że nie potrafi skończyć zdania i wtedy Polacy mają duże trudności. Ale jak ten człowiek pisze, Stingo! Czuję się tak, jakbym naprawdę była w stanie Missisipi. Zabierzesz kiedyś mnie i Natana na Południe?

Osoba Zofii zbladła, a potem wyparowała z mojej świadomości, kiedy wszedłem do swego pokoju i raz jeszcze poraziła mnie jak uderzenie obuchem paralizująca myśl o spotkaniu z Les lie Lapidus. Wierzyłem, naiwny, że tego popołudnia, gdy zegar odliczał godziny dzielące mnie od randki, będę w stanie dzięki mojej zwykłej dyscyplinie i zdolności wyłączenia się kontynuować rutynowe zajęcia: napisać parę listów do przyjaciół z Południa, zanotować coś w swoim bloku lub po prostu położyć się i poczytać. Pochłaniała mnie wtedy lektura *Zbrodni i kary* i chociaż moje ambicje pisarskie wypadały blade w konfrontacji z obezwładniającą klasą i bogactwem powieści Dostojewskiego, od kilku popołudni

przedzierałem się przez nią zachwycony i olśniony, przy czym ów zachwyt dotyczył głównie Raskol - nikowa, którego poniewierka i parszywy los w Petersburgu zdawał się wykazywać tyle analogii (oprócz morderstwa) z moim, w Brooklynie. Wrażenie, jakie wywarła na mnie ta książka, było tak potężne, że naprawdę zacząłem spekulować - i to nie od niechcenia, ale zupełnie serio, co mnie przeraziło - na temat fizycznych i moralnych konsekwencji, jakie poniósłbym, gdybym i ja popełnił jakieś zaprawione metafizyką zabójstwo, wbijając nóż w piersi jakiejś niewinnej, starej kobiety - powiedzmy Yetty Zimmerman. Płomienne wizje książki odpychały mnie i przyciągały na przemian, ale jej nieodparty urok podbijał mnie każdego popołudnia bez reszty. Fakt, że tego popołudnia nie czytałem, wystawia jeszcze chlubniejsze świadectwo Leslie Lapidus, która tak potrafiła owołać moim intelektem i wolą.

Nie napisałem też listów ani nie wzbogaciłem swojego zbioru przeróżnych - zjadliwych lub apokaliptycznych - sentencji, dzięki którym usiłowałem, małpując styl najgorszych partii Cyrila Conolly'ego i André Gide'a, zrobić równoległe karierę pamięt - nika. (Dawno już zniszczyłem lwią część tych płodów mojej młodszej psychy, zachowując ze względów sentymentalnych jedynie około stu stron, w tym kawałki o Leslie, oraz złożoną z dziewięciuset słów rozprawkę - zaskakująco dowcipną, jak na dziennik tak skądinąd przeładowany lękami i głębokimi refleksjami - traktującą o zaletach, wadach, współczynnikach tarcia, woni i tak dalej rozmaitych smarowideł, jakich używałem w trakcie swych Tajemnych Praktyk; bezapelacyjne zwycięstwo odniosły płatki mydlane Ivory Flakes, dobrze rozpuszczające się w wodzie o temperaturze ciała.) Nie - wbrew nakazom rozumu i kalwińskiej etyki pracy i pomimo, że nie byłem bynajmniej zmęczony, leżałem plackiem na łóżku w stanie bliskim kompletnej prostracji, oszołomiony faktem, że gorączka, jaka opanowała mnie ostatnio, przyprawia moje mięśnie o drgawki i że seksualna ekstaza może przybrać postać ciężkiej choroby. Byłem jedną, mierzącą metr osiemdziesiąt, rozciągniętą na łóżku strefą erogen - ną. Za każdym razem, kiedy wyobrażałem sobie Leslie, nagą i wijącą się w moich objęciach, co miało niebawem nastąpić, serce wykonywało dziki skok, który, jak już mówiłem, dla kogoś starszego mógłby być niebezpieczny.

Kiedy tak leżałem w swoim pokoju pogrążonym w miętowej poświacie i kiedy z wolna wlokły się popołudniowe minuty, mojej chorobie zaczęło towarzyszyć jakieś na wół obłąkańcze uczucie niedowierzania. Wzmocniło to wrażenie, że śnię. Czekano na mnie nie tylko bliskie chędożenie, lecz także podróż do Arkadii, do Krainy Beulaha, w aksamitnoczarne, rozgwieżdżone regiony poza Plejadami. Znów przypomniałem sobie (po raz który?) przejrzyście aluzyjne nieprzyzwoitości wygłaszane przez Leslie, zobaczyłem przez wizjer

mojej pamięci odtworzony drobniutko zarys jej wilgotnych i jędrnych warg, idealnie wymodelowane przez ortodontę lśniące siekacze, nawet uroczy płatek piany w kąciku jej ust i wydało mi się najbardziej oszałamiającą mrzonką, że dziś, tego wieczoru, zanim słońce zakreśli pełny orientalny krąg i wszędzie gdzieś nad Sheepshead Bay, te wargi będą... Nie, nie mogłem sobie pozwolić na rozmyślenia o tych śliskosłodkich ustach i ich ewentualnych zastosowaniach. Zaraz po szóstej zerwałem się z łóżka, wziąłem prysznic, a potem ogoliłem się po raz trzeci tego dnia. Wreszcie założyłem swój jedyny garnitur z kory, wyciągnąłem z mojego trezora Johnson & Johnson dwudziestodolarowy banknot i ruszyłem na spotkanie największej przygodzie.

Na zewnątrz, w korytarzu (jak pamiętam, doniosłym wydarzeniom mojego życia często towarzyszyły jaskrawo iluminowane obrazkisarceli) Yetta Zimmerman i nieszczęsny, słoniowaty Moishe Muskatblit toczyli zażartą kłótnię.

- Ty się uważasz za przyzwoitego młodzieńca i ty mnie robisz taką rzecz? - w podniesionym, bliskim krzyku głósie Yetty więcej było dojmującego bólu niż prawdziwego gniewu. - Ciebie okradli w metrze? Dałam ci pięć tygodni na zapłacenie komornego pięć tygodni, z czystej wielkoduszności i dobroci serca - a teraz ty mnie wciskasz te bajeczki! Ty sobie myślisz, że ja jestem jakaś naiwna, słodka *fujgele, co* uwierzy w takie historyjki? Haha! - To „haha” było tak majestatyczne, tak naładowane pogardą, że gruby, pocący się w swej czarnej szacie duchownego Moishe aż zadygotał.

- Ależ to prawda! - upierał się. Po raz pierwszy usłyszałem jego młodzieniaszkowaty falset, który zdawał się pasować idealnie do zwalistej, galaretowatej postury. - Naprawdę, obrobili mi kieszenie w metrze, na stacji Bergen Street. - Wyglądało na to, że za chwilę się rozplacze. - To był kolorowy, taki malutki kolorowy. A jaki szybki! Zwiął po schodach, nim zdążyłem krzyknąć. Och, pani Zimmerman...

Ponowne „haha” mogłoby skruszyć skałę.

- I ja mam uwierzyć w takie bajdy? Mam uwierzyć w takie bajdy, nawet jeśli mówi je prawie rabbi? W zeszłym tygodniu powiedziałeś mi - przysięgałeś mi na wszystkie świętości, że będziesz miał te czterdzieści pięć dolarów we wtorek po południu. A teraz wyjeżdżasz mi z kieszonkowcem! - Przysadzista, masywna Yetta ruszyła wojowniczo do przodu, ale znowu było w tym więcej buńczuczności niż prawdziwej groźby. - Trzydzieści lat prowadzę ten dom i nie wyrzuciłam nikogo. Dumna jestem z tego, że nie wywaliłam na pysk nikogo, oprócz jednego sfiksowanego *ojzworfa w* 1938, którego przyłapałam w damskich majtkach. I teraz, po tym wszystkim, będę musiała z bożą pomocą wyrzucić prawie rabiego!

Nie chcąc być intruzem zacząłem się przeciskać przez masywną zaporę ich ciał,

mamrocząc „przepraszam”, kiedy dobiegły mnie słowa Yetty:

- Ho, ho! A dokądże to podążasz, Romeo?

Uprzytomniłem sobie, że zdradził mnie mój świeżo wyprany i lekko nakrochmalony garnitur z kory, przylizane na mokro włosy, a przede wszystkim płyn po goleniu Royall Lyne, którym jak to nagle do mnie dotarło - zlałem się tak obficie, że pachniałem niczym jakiś tropikalny gaj. Uśmiechnąłem się i bez słowa napierałem dalej, chcąc za wszelką cenę uniknąć kłopotliwej sytuacji i podszytego dwuznacznością zainteresowania Yetty.

- Założę się, że dziś spełnią się marzenia jakiejś szczęściary! zarechotała.

Pomachałem jej przyjaźnie ręką, rzuciłem okiem na przestraszonego i nieszczęśliwego Muskatblita i wybiegłem na spotkanie przyjemnego, czerwcowego wieczoru. Spiesząc w stronę metra, ciągle słyszałem zagłuszający słabe, piskliwe protesty wściekły jazgot niskiego kobiecego głosu, który zaczął jednakże stopniowo nabierać łagodniejszych, bardziej pojednawczych tonów, co świadczyło moim zdaniem, że Moishe uniknie eksmisji z Różowego Pałacu. Yetta, jak zdążyłem się zorientować, była w gruncie rzeczy poczciwą duszą lub, używając innego idiomu, *balbatisze* damą.

Wyraźna żydowskość tej scenki - przypominającej recytatyw z jakiejś żydowskiej opery komicznej - obudziła we mnie jednak rosnący niepokój związany z innym aspektem bliskiego spotkania z Leshe. Unoszony na północ przez kołyszący, przyjemnie pustawy wagon metra, próbowałem w roztargnieniu czytać brookliński dziennik „Eagle” poświęcony lokalnym sprawom, ale szybko dałem sobie spokój; kiedy zacząłem rozmyślać o Leslie, przyszło mi nagle do głowy, że nigdy jeszcze moja noga nie przekroczyła progu żydowskiego domu. Jak taki dom wygląda? zastanawiałem się. Nagle zaniepokoiło mnie, czy jestem odpowiednio ubrany; przemknęło mi przez myśl, że może powinienem był włożyć kapelusz. No nie, uspokajałem się, to tylko w synagodze (ale czy na pewno?). Tu stanęła mi przed oczyma wizja skromnej świątyni z żółtej cegły, gromadzącej wiernych z kongregacji Rodef Sholema w mojej rodzinnej Wirginii. Synagoga stała niemal naprzeciw równie nieefektownego, pokrytego łupkową dachówką kościoła prezbiteriańskiego z brud - nożółtego piaskowca, typowego dla amerykańskiej architektury sakralnej lat trzydziestych, w którym jako dziecko spełniałem swe niedzielne powinności; milcząca i zamknięta, z groźnymi portalami z lanego żelaza i wklęsłym reliefem Gwiazdy Dawida, onieśmielająca swym spokojem, reprezentowała w moich oczach wszystko to, co było odrębne, tajemnicze bądź nawet nadnaturalne w Żydach, żydostwie i w ich mrocznej, kabalistycznej religii.

Może się to wydać dziwne, ale zupełnie nie mistyfikowałem samych Żydów. W życiu codziennym ruchliwego, południowego miasteczka Żydzi zostali całkowicie i bez uprzedzeń

zasymilowani, stając się pełnoprawnymi uczestnikami tego życia jako kupcy, lekarze, prawnicy, pełny przekrój mieszczańskich karier. Zastępca burmistrza był Żydem; przedmiotem dumy wielkiego miejscowego liceum były zwycięskie zespoły sportowe i ów *rara avis*, wystrzałowa, wszechstronna żydowska trenerka. Ale widziałem, jak Żydzi zdają się zmieniać swoją tożsamość czy jaźń. Działo się to z dala od blasku dnia i krzątaniny w interesach, kiedy znikali w domowych azylach i zaciszach swoich niesamowitych, azjatyckich świątyń, z dymną zawieszoną kadzideł, baraniami rogami, ofiarnymi darami, bębenkami, zawoalowanymi kobietami, żalobnymi pieniemi i przenikliwym zawodzeniem płaczek w martwym języku. I tu zaczynał się problem dla jedenastoletniego prez - biterianina.

Byłem, jak przypuszczam, zbyt młody i zbyt nieświadomy, aby dostrzec związek pomiędzy judaizmem i chrześcijaństwem.

Ponadto nie zdawałem sobie sprawy z groteskowego, lecz teraz oczywistego paradoksu: że po szkółce niedzielnej, kiedy stałem mrużąc oczy przed posepnym i złowieszczym przybytkiem po drugiej stronie ulicy (z mózdzkiem otumanionym nudnym epizodem z Trzeciej Księgi Mojżeszowej, jakim na siłę raczył mnie dziewczęcy kasjer nazwiskiem McGehee, którego przodkowie w czasach Mojżesza czcili drzewa na Isle of Skye i wyli do księżyca), wchłaniałem po prostu rozdział starożytnej, nie przemijającej, toczącej się nieprzerwanie historii tych właśnie ludzi, na których dom modlitwy gapilem się z tak głęboką nieufnością i wywołującym dreszcze, nieokreślonym lękiem. Rozmyślałem ze smutkiem o Abrahamie i Izaaku. Boże, jakież okropieństwa rozgrywały się w tym pogańskim sanktuarium! Także w niedzielę, kiedy poczciwi goje strzygli swoje trawniki lub robili zakupy w składzie Sola Nachmana. Jako początkujący badacz Biblii wiedziałem o Izraelitach bardzo dużo i zarazem niewiele, wobec czego ciągle jeszcze nie mogłem sobie dokładnie wyobrazić, co działo się w kongregacji Rodef Sholem. Moja dziecięca fantazja podpowiadała mi, że grają na *szofarze*, a jego surowe, nieposkromione dźwięki rozbrzmiewają echem w tym niezmiennie ponurym przybytku, w którym stoi zbutwiała stara Arka i piętrzą się sterty zwojów pergaminu. Pochylone kobiety z zakrytymi twarzami mają na sobie włosienice i głośno łkają. Nie śpiewa się żadnych porywających hymnów, tylko monotonne psalmy, w których z nieznośną uporczywością powraca słowo brzmiące jak „adenoid”. Upiorne, zasuszone filakterie trzepoczą w mroku jak prehistoryczne ptaki, a dookoła pełno jest rabinów w myckach, lamentujących gardłowym głosem podczas barbarzyńskich rytuałów, takich jak obrzezanie kozła, palenie wołów, patroszenie nowo narodzonego jagnięcia. Cóż innego mógł sobie wyobrażać mały chłopiec po lekturze Księgi Leviticusa? Nie pojmowałem, jak moja ubóstwiana Miriam Bookbinder czy Julia Conn, wesoła trenerka z liceum, bożyszczce

wszystkich uczniów, mogły przeżyć te szabasowe wydarzenia.

Teraz, dziesięć lat później, uwolniłem się od takich rojeń, ale nie do tego stopnia, abym nie odczuwał lekkiego niepokoju, zastanawiając się, co czeka mnie *chez* Lapidus, podczas pierwszej wizyty w żydowskim domu. Zanim jeszcze wysiadłem na Brooklyn Heights, zacząłem spekulować na temat zewnętrznych atrybutów domu, w którym miałem się znaleźć i - podobnie jak w przypadku synagogi - skojarzyłem go sobie z posępnością i mrokiem. Nie była to już ekscentryczna, dziecięca fantazja. Nie podejrzewałem, że zastanę ponure, zapuszczone mieszkanie przy torach, jakie znałem z lektur poświęconych życiu Żydów w miastach w latach dwudziestych i trzydziestych - wiedziałem, że rodzinę Lapidusów dzieli od slumsów czy *sztetlu* całe lata świetlne. Jednak niezniszczalna potęga przesądów i uprzedzeń jest tak wielka, że - jak już wspomniałem - automatycznie wyobraziłem sobie siedzibę mroczną i przygnębiającą jak dom żałoby. Widziałem ponure pokoje wyłożone boazerią z ciemnego orzecha i zastawione ciężkimi, dębowymi meblami z okresu konkwisty; na stole menora, ustawione szeregiem, nie zapalone świece, na innym stole Tora, a może Talmud otwarty na stronie, na której zakończył swe pobożne medytacje starszy Lapidus. Choć dokładnie wysprzątane, mieszkanie będzie zatęchłe i nie wietrzone, z zapachem smażonej ryby napływającym z kuchni, gdzie mignie pochylona nad rynką starsza pani - babcia Leslie - z chustką na głowie; uśmiechnie się bezzębnie, w milczeniu, bo nie zna angielskiego. W salonie większość mebli z chromowymi okuciami, co przypomina pokój szpitalny. Spodziewałem się pewnych kłopotów z nawiązaniem rozmowy z rodzicami Leslie - otyłą jak większość żydowskich matek panią Lapidus, wstydliwą, nieśmiałą, przeważnie milczącą, i ojcem, bardziej otwartym, sympatyczniejszym, ale skupionym wyłącznie na tematach zawodowych - wtryskiwanym plastiku - o których rozprawić będzie głosem pełnym podniebiennych, zdławionych dźwięków macierzystej mowy. Będziemy saczyć mani - schewitza i pogryzać chałwę, podczas gdy moje kubki smakowe tęsknić będą rozpaczliwie do butelki schlitza. I nagle, kiedy pociąg wjeżdżał z łoskotem na stację Clark Street Brooklyn Heights, w mojej świadomości wyodrębniło się jedno podstawowe i natrętne pytanie: gdzie, w którym dokładnie pokoju, na jakim łóżku czy tapczanie w tym krępującym i purytańskim miejscu Leslie i ja zrealizujemy naszą wspaniałą umowę?

Nie chciałbym przecenić moich pierwszych reakcji na dom Lapidusów i na kontrast, jaki sobą przedstawiał wobec tych przedwczesnych domniemywań. Jest jednak faktem (a po wielu latach obraz pozostał wyrazisty jak świeżo bity miedziak), iż dom Leslie był tak niesamowicie szykowny, że obszedłem go kilkakrotnie. Trudno mi było uwierzyć, że budynek przy Pier - repon Street odpowiada naprawdę numerowi, który mi podała. Kiedy go

w końcu zidentyfikowałem ponad wszelką wątpliwość, zastygłem na moment w absolutnym podziwieniu. Odrestaurowane ze smakiem domostwo z piaskowca, w stylu neoklasycystycznym, cofnięte było nieco w głąb od ulicy. Niewielki trawnik przecinało zakole wyżwirowanego podjazdu, na którym rozpierał się fantastyczny, lśniący i nienagannie utrzymany kasztanowowinny cadillac sedan; mógłby być eksponatem na wystawie.

Stałem na chodniku trzypasmowej, gładkiej jezdni i chłonałem budzącą respekt elegancję tego widoku. W półmroku zmierzchu przyćmione światła wewnątrz domu promieniowały harmonią, która przypominała mi niektóre z dostojnych rezydencji stojących wzdłuż Monument Avenue w Richmond. Potem nasunęło mi się prostackie spostrzeżenie, że cała scena mogłaby być reklamą wspinających domostw, szkockiej whisky, brylantów bądź innych wytwornych, kosztownych i wyrafinowanych dóbr w jakimś luksusowym magazynie. Jednak głównie przypominało mi to stylową i ciągle piękną stolicę Konfederacji; jeśli nawet było w tym skojarzeniu spaczne wyobrażenie Południowca, potwierdził je widok przykucniętego murzyńskiego dżokeja z lanego żelaza, uśmiechającego się do mnie z portyku różowymi ustami, a zaraz potem młodzieńca, fertyczna pokojówka, która mi otworzyła. Czarna jak smoła, w służbowych koronkach i falbankach, mówiła z akcentem, który moje ucho - reagując nieomylnie rozpoznało jako właściwy regionowi pomiędzy Roanoke River i Currituck County w górnym, wschodnim kwartale Północnej Karoliny, dokładnie na południe od granicy z Wirginią. Kiedy ją oto zagadnąłem, potwierdziła moje domysły: pochodziła z wioski

South Mills, położonej „akuratnie”, jak to określiła, w samym środku Dismal Swamp. Zareagowała na moją bystrość chichotem, przewróciła oczami i powiedziała: - Idźże pan! - po czym siłać się na zachowanie zgodne z etykietą, wyduła wargi i mruknęła, już z lekka po jankesku: - Panna Lapsidus zara zejdzie. - Sama myśl o drogim, zagranicznym piwie sprawiła, że czułem się już lekko wstawiony. Następnie Minnie (bo tak miała na imię, jak się później dowiedziałem) wprowadziła mnie do ogromnego salonu barwy ostrygi zastawionego rozpustnie miękkimi sofami, rozłożystymi otomanami i niemal nieprzyzwoicie wygodnymi krzesłami. Wszystko to stało na puszystym, sięgającym od ściany do ściany i również białym dywanie, bez najmniejszej plamki czy skazy. Liczne etażerki wypełnione były książkami - prawdziwymi książkami, nowymi i starymi; wiele nosiło ślady czytania. Zapadłem się w fotel pokryty kremową kozłą skórą, usytuowany pomiędzy niezmiernym Bonnardem a studium ćwiczących muzyków, pędzla Degasa. Degas wydał mi się od razu znajomy, choć nie wiedziałem dokładnie skąd, dopóki nagle nie przypomniałem sobie, że z dzieciństwa, z okresu zainteresowań filatelistycznych: jego reprodukcja wydrukowana była na znaczku

Republiki Francuskiej. Jezu Chryste! - pomyślałem sobie, bo na tyle tylko mogłem się zdobyć.

Pozostawałem oczywiście przez cały dzień w stanie seksualnego pobudzenia. Jednocześnie byłem zupełnie nie przygotowany na taki przepych, na coś, co moje oczy prowincjusza mogły dotychczas oglądać na łamach „New Yorkera” lub w kinie, ale nigdy w rzeczywistości. Ten kulturowy szok - nagła fuzja libido z mózgową percepcją luksusu nabytego za brudne, ale mądrze wydatkowane pieniądze - wywołał u mnie mieszane i kłopotliwe doznania: przyspieszony puls, znaczny wzrost trawiającej mnie gorączki, raptowny ślinotok, wreszcie spontaniczne i potężne, rozpierające moje gatki marki Hanes Jockey usztywnienie, które miało utrzymywać się przez cały wieczór, niezależnie od tego czy siedziałem, stałem, czy przepychałem się, lekko utykając, przez tłumek bywalców restauracji Gage & Tollner, do której zabrałem nieco później Leslie na kolację. Moje podniecenie ogiera było oczywiście zjawiskiem związanym z młodością; rzadko powtarzało się w wieku późniejszym (i nigdy, po trzydziestce, w takiej skali). Wprawdzie doświadczałem wcześniej parokrotnie podobnych ataków *satyriasis*, rzadko jednak tak intensywnych, a już z pewnością nigdy w okolicznościach pozaseksualnych. (Najbardziej utkwił mi w pamięci epizod ze szkoły tańca, kiedy miałem szesnaście lat i jedna z tych sprytnych małych kokietek, o których wspominałem, a których Leslie była upragnionym przeciwieństwem, zaprezentowała mi cały wachlarz szalbierskich sztuczek: z dmuchaniem w kark, łaskotaniem wnętrza mojej spoczonej dłoni koniuszkami palców, przywieraniem obciążonego atłasem wzgóрка do mojego podbrzusza z tak ostentacyjną, aczkolwiek symulowaną lubieżnością, że tylko nadludzką siłą woli udało mi się po długich godzinach tych zabiegów oderwać od tej małej, okropnej wampirzycy i uciec, nabrzmiałemu, w noc. Ale w domu Lapidusów takie cielesne podniety były zbędne. Wystarczyła połączona z myślą o rychłym pojawieniu się Leslie ekscytująca świadomość - wyznając bez wstydu - tej obfitości pieniędzy. Byłbym też nieuczciwy, gdybym nie przyznał, że do rozkosznej perspektywy kopulacji dołączyła ulotna wizja małżeństwa, gdyby tak los zdarzył.

Wkrótce dowiedziałem się mimochodem - od Leslie i przyjaciela domu, pana Bena Fielda, który zjawił się z żoną w sekundę po mnie - że fortuna Lapidusów zbudowana została głównie na pojedynczym kawałku plastiku, nie większym niż paluszek dziecka czy wyrostek robaczkowy dorosłego, który właściwie przypominał kształtem. Z tego, co mówił pan Field, obracając pieszczotliwie w palcach szklaneczkę swojej chivas regal, wynikało, że Bernard Lapidus prosperował nieźle w okresie Wielkiego Kryzysu, produkując wytłaczane, plastikowe popielniczki. Popielniczki owe, jak wyjaśniła szczegółowo Leslie, przeważnie czarne, okrągłe

i zaopatrzone w napisy - STORK CLUB, „21”, EL MOROCCO lub w wersji bardziej plebejskiej BETTY'S PLACE i JOE'S BAR - należały do bardzo popularnych. Ludzie kradli je masowo, a więc utrzymywał się na nie stały popyt. W czasie Kryzysu pan Lapidus wypuścił ich z małej fabryczki w Long Island City setki tysięcy, co zapewniało rodzinie całkiem wygodną egzystencję na Crown Heights, wówczas jednej z bardziej szykownych części Flatbush. Ale dopiero wojna przekształciła zwykłą *prosperity* w luksusowe bytowanie w odrestaurowanym domostwie przy Pierrepont Street, z Bonnardem i Degasem (a także, jak się wkrótce przekonałem, pejzażem Pissarra, przedstawiającym wiejską dróżkę wśród dziewiętnastowiecznego, podparyskiego odludzia, i tak zniewalająco sielskim, że aż ścisnęło człowieka za gardło).

Tuż przed Pearl Harbour - ciągnął pan Field spokojnym, mentorskim tonem - władze federalne ogłosiły wśród wytwórców formowanego plastiku przetarg na produkcję pewnego milutkiego, pięciocentymetrowego niespełna drobiazgu o nieregularnym kształcie, zakończonego z jednej strony zgrubieniem, które musiało pasować idealnie do otworu w drugiej części urządzenia. Kosztowało to ułamek pensa, ale ponieważ kontrakt, który w wyniku przetargu podpisał pan Lapidus, opiewał na dziesiątki milionów sztuk tego miniaturowego przyrządu, dał on początek prawdziwej Golkondzie. Drobiazg ten był zasadniczą częścią składową zapalnika każdego siedemdziesięciopięciomilimetrowego - go pocisku artyleryjskiego, wystrzelonego przez armię lądową i piechotę morską podczas całej drugiej wojny światowej. W pałacowej łazience, do której musiałem się później udać, wisiała w szklanej gablotce replika tego detalu wykonywanego z żywicy polimerowej (bo takiego materiału używano, jak mi wyjaśnił pan Field); gapilem się na nią długo, rozmyślając nieprzebranych zastępach Japońców i Szkopów wyprawionych z hukiem w słodki niebyt dzięki istnieniu tego maleństwa, wymodelowanego w czarnym paskudztwie w cieniu Queensboro Bridge. Kopia wykonana była z osiemnastokaratowego złota stanowiła jedyny akcencik złego gustu w całym domu. Wtedy, gdy świeży zapach zwycięstwa unosił się jeszcze w powietrzu Ameryki, było to jednak wybaczone. Leslie określiła później ten przedmiocik mianem Robaka i zapytała mnie, czy nie przypomina mi pewnego gatunku plemników, co było frapującym, ale i przerażająco paradoksalnym skojarzeniem, jeśli zważyć, jakie było tego Robaka przeznaczenie. Przez pewien czas toczyliśmy filozoficzną rozmowę na ten temat, po czym Leslie w najbardziej niewinny sposób dała wyraz niefrasobliwemu stosunkowi do źródła bogactwa rodziny, zauważywszy z pobłażliwym rozbawieniem, że „Robak z pewnością kupił paru fantastycznych impresjonistów francuskich”.

Leslie pojawiła się w końcu, zarumieniona i piękna w grafito - woczarnej sukni z dżerseju, która przylegała do jej przeróżnych falistych krągłości i marszczyła się na nich w niesamowicie pociągający sposób. Wycisnęła wilgotnego całusa na moim policzku, wydzielając dyskretną woń jakiejś wody toaletowej, która sprawiała, że pachniała świeżością jak żonkil, dwakroć bardziej podniecająco niż znane mi zTidewater odbijaczki lasek, owe groteskowe dziewice przesiąknięte gryzącym zapachem pizma jak odaliski. To jest klasa, pomyślałem, prawdziwa, żydowska klasa. Dziewczyna, która czuła się na tyle pewna siebie, żeby używać yardleya, wiedziała naprawdę, na czym polega seks. Wkrótce dołączyli do nas rodzice Leslie, schludny, opalony i ujmująco przystojny mężczyzna po pięćdziesiątce i urocza, bursztynowowłosa kobieta, wyglądająca tak młodo, że mogłaby z łatwością uchodzić za starszą siostrę Leslie. Patrząc na nią, trudno mi było uwierzyć, kiedy Leslie powiedziała, że jej matka jest absolwentką Barnarda z 1922 rocznika.

Państwo Lapidusowie nie zabawili z nami na tyle długo, bym mógł sformułować coś więcej niż powierzchowne impresje. Ale owo wrażenie obcowania z ludźmi raczej wykształconymi, swobodnych, nienaganych manierach i pewnym wyrafinowaniu, sprawiło, że zawstydziła mnie własna prymitywna ignorancja, moje prostackie przecucia co do zaniedbania, ponurej atmosfery domu i kulturalnego zacofania gospodarzy, jakie ogarnęły mnie w metrze. Jakże w końcu niewiele wiedziałem o wielkomiejskim świecie na północ od Potomaku, o jego etnicznych zagadkach zawłościach. Spodziewałem się, najzupełniej błędnie, stereotypowej wulgarności. Wyobrażałem sobie, że *żepere* Lapidus będzie kimś w rodzaju Schleppermana - komicznego Żyda z radiowych audycji Jacka Benny'ego, mówiącego z akcentem z Siódmej

Avenue i okropnie niegramatycznie - spotkałem zaś mężczyznę ołagodnym głosem, postawie patrycjusza, swobodzie człowieka zamożnego, którego mowę zdobiły wyraźnie artykułowane samogłoski i ton subtelno rozmarzenia charakterystyczny dla absolwentów Harvardu. Był istotnie, jak się dowiedziałem, absolwentem wydziału chemii tej uczelni i ukończył ją z odznaczeniem, wyniósłszy stamtąd głęboką wiedzę, która z czasem pozwoliła mu wyprodukować zwycięskiego Robaka. Sącyłem znakomite duńskie piwo, byłem już lekko wstawiony i czułem się szczęśliwy - szczęśliwy i ukontentowany ponad wszelkie oczekiwania. Czas przyniósł kolejną, cudowną rewelację: z przyciszonej, toczącej się w porze łagodnego zmierzchu konwersacji wywnioskowałem, że państwo Field wybierali się z rodzicami Leslie na długi weekend w letnim domu na wybrzeżu Jersey. Praktycznie mieli wyruszyć lada chwila kasztanowym cadillakiem. Uprzytomniłem sobie, że Leslie i ja będziemy mogli swobodnie oddać się swawolom w pustym domu. Kufel zadrzał mi w dłoni,

rozlałem piwo. Ach, mój kufel zamienił się w wezbrane jezioro, zalewając nieskazitelnie biały dywan; fale piwa wypływały przez drzwi na zewnątrz, na Pierrepont Street i dalej, aż po tonące w zmierzchu siedliska zepsucia na krańcach Brooklynu. Leslie. Weekend sam na sam z Leslie... Upłynęło jednak chyba z pół godziny, nim Lapidusowie i Fieldowie wsiedli do cadillaca i ruszyli w stronę Asbury Park. Wcześniej miała miejsce krótka pogawędka. Podobnie jak gospodarz, pan Field był kolekcjonerem dzieł sztuki, zaczęli więc rozmawiać o nowych nabytkach. Pan Field upatrzył sobie pewnego Moneta w Montrealu; jak wyznał, ma nadzieję, że przy odrobinie szczęścia uda mu się zostać posiadaczem obrazu za trzydzieści. Moje plecy zamieniły się na parę sekund w przyjemny sopel lodu. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy w życiu usłyszałem z ust żywej, realnej istoty z krwi i kości (a nie jakiegoś filmowego fantomu) słowo „trzydzieści” na określenie trzydziestu tysięcy. Ale czekała mnie kolejna niespodzianka. Padło nazwisko Pissarra, a ponieważ jeszcze go nie widziałem, Leslie zerwała się z sofy i oświadczyła, że muszę iść natychmiast obejrzeć obraz. Razem udaliśmy się na tyły domu, do pokoju pełniącego zapewne funkcję jadalni, gdzie ową zachwycającą wizję - ciche niedzielne popołudnie, w którym łączyły się w jedno bladezielona winorośl, zmurszała ściana i wieczność oświetlał ostatni skośny promień letniego słońca. Moja reakcja była absolutnie spontaniczna:

- Jakież to piękne - usłyszałem własny szept.

- To jest coś, nie uważasz? - zawtórowała mi Leslie. Stojąc tuż obok siebie wpatrywaliśmy się w pejzaż. W półmroku jej twarz była tak blisko mojej, że poczułem słodkawą, lepka woń sherry, którą piła, po czym jej język znalazł się w moich ustach. Prawdę mówiąc nie sprowokowałem tego cudu; odwracając się ku niej, chciałem tylko spojrzeć jej w twarz, żeby sprawdzić, czy dzieli ze mną moją estetyczną rozkosz. Ale nie zdążyłem jej zobaczyć nawet przelotnie, tak błyskawiczna i natarczywa była akcja języka. Wtargnął niczym wijący się morski stwór w rozdziawioną czeluść moich ust i szukając jakiegoś niedosiężnego krańca w okolicach migdałków, całkowicie zawładnął moimi zmysłami; wiercił się, pulsował, wymiatał sklepienie ust. Dałbym głowę, że co najmniej raz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Śliski jak delfin, nie tyle wilgotny, co rozkosznie kleisty, z posmakiem amontillado, pchnął mnie wręcz na futrynę drzwi; oparłem się o nią bezradny, z zaciśniętymi powiekami, pogrążony w transie. Jak długo to trwało, nie wiem, ale kiedy w końcu przyszło mi do głowy, by odwzajemnić pocałunek, a przynajmniej spróbować, i zacząłem napierać swoim językiem wydając z siebie gardłowe dźwięki, jej język cofnął się jak zwiotczały pęcherz, z którego uszło powietrze, po czym oderwała usta i przytuliła twarz do mojego policzka.

- Nie można teraz - powiedziała podnieconym głosem. Zdawało mi się, że zadrżała, ale ona oddychała tylko głęboko w moim uścisku.

- O Boże, Leslie... Les - wymamrotałem i było to wszystko, co zdołałem z siebie wydobyć. Potem oderwała się ode mnie. Jej uśmiezek zdawał się niezbyt pasować do naszych gwałtownych emocji, a w głosie pojawił się miękki, niefrasobliwy, wręcz żartobliwy ton, jednak ze względu na sens tego, co mówiła, wciąż pozostawałem w stanie chorobliwego pożądania. Melodia była znajoma, ale tym razem wygrywała ją na jeszcze rozkoszniejszej piszczałce.

- Pieprzenie - wyszeptała ledwie dosłyszalnie, patrząc na mnie. - Fantastyczne... pieprzenie. - Potem odwróciła się i ruszyła w stronę salonu.

W chwilę później, wśliznąwszy się do iście habsburskiej łazienki z katedralnym sklepieniem, rokokowymi złotymi kurkami i całą armaturą, zacząłem szperać w portfelu i wydobyłem z niego naoliwioną prezerwatywę wystającą z foliowego opakowania. Wetknąłem ją do poręcznej bocznej kieszeni marynarki, usiłując jednocześnie ogarnąć się trochę przed ogromnym lustrem, obramowanym rojem pozłacanych cherubinów. Udało mi się zetrzeć smugę szminki z twarzy - twarzy, która ku mojej konsternacji przybrała ciemnowiśniową, rozognioną barwę, charakterystyczną dla porażonego apopleksją. Nie mogłem na to nic poradzić, ale z ulgą stwierdziłem, że moja niemodna, trochę przydługa marynarka jako tako zakrywa rozporek, maskując moje nieustępliwe usztywnienie.

Czy mogłem podejrzewać, że zdarzy się coś niefortunego, kiedy kilka minut później, gdy zegnaliśmy państwa Lapidus i Field na podjeździe, zobaczyłem, jak pan Lapidus pocałował Leslie czule w czoło i mruknął:

- Bądź grzeczna, moja mała księżniczko.

Musiąło upłynąć wiele lat wypełnionych gruntownymi studiami nad żydowską socjologią, a także lekturą takich książek jak *Goodbye, Columbus* czy *Marjorie Morningstar*, nim dowiedziałem się o istnieniu archetypu żydowskiej księżniczki, poznałem *modus operandi* tego terminu i jego znaczenie w szerszym kontekście. Ale wtedy określenie to nie było dla mnie niczym więcej jak czułym, żartobliwym powiedzonkiem. Kiedy cadillac mrugając czerwonymi światłami zniknął w półmroku zmierzchu, uśmiechnąłem się w duchu przypomniawszy sobie to „bądź grzeczna”. Mimo to, gdy zostaliśmy sami, wyczułem w zachowaniu Leslie coś - można by to nazwać nerwowością - co podpowiadało mi, że konieczna będzie pewna zwłoka, jakkolwiek byliśmy oboje potężnie nabuzowani, a jej napaść na moje usta wywołała nagle tęsknotę za powtórzeniem sztuczki z językiem.

Zabrałem się do niej natychmiast, kiedy tylko zamknęły się za nami frontowe drzwi;

objąłem ją wpół, ale wysliznęła mi się z perlistym śmieszkiem i uwagą - zbyt dla mnie tajemniczą, bym mógł pojąć, o co chodzi - że „co nagle to po diable”. Jednakże nie miałem bynajmniej nic przeciwko temu, aby Leslie przejęła kontrolę nad naszą wzajemną strategią, narzuciła tempo i rytm wydarzeniom wieczoru i w ten sposób pozwoliła im się z wolna, stopniowo rozwijać aż do osiągnięcia wspaniałego *crescendo*; ostatecznie, pomimo całej swej namiętności i pragnienia, lustrzanego odbicia mojej płomiennej żądy, Leslie nie była jakąś pospolitą dziwką, która na kiwnięcie palcem odda mi się z miejsca na wielkim dywanie. I pomimo swej ochoty, pomimo całego okazanego wcześniej zapamiętania, jak każda kobieta wymagała - co wyczuwałem instynktownie - by ją rozpieszczać, prawić pochlebstwa, uwodzić i zabawiać. Mnie to odpowiadało, jako że taki schemat został bez wątpienia stworzony przez Naturę także dla spotęgowania przyjemności mężczyzny. Siedząc dość sztywno obok Leslie pod Degasem, nie czułem się zatem bynajmniej skrępowany wejściem Minnie, która wniosła szampana i świeży kawior z białugi (kolejną dla mnie „pierwszą rzecz” tego wieczoru), co sprowokowało mnie do żartobliwej pogawędki w mocno południowym stylu; Leslie była tym najwyraźniej zachwycona.

Jak już wcześniej podkreślałem, podczas mojego pobytu na Północy dokonałem zaskakującego odkrycia, że nowojorczyki wykazują często skłonność do traktowania Południowców albo z wyjątkową wrogością (jak na przykład początkowo Natan), albo z pełną rozbawienia protekcyjnością, jakby swego rodzaju artystów kabaretowych. Chociaż wiedziałem, że zrobiłem na Leslie wrażenie głównie swoją „powagą”, reprezentowałem i tę drugą kategorię. Przeczyłem niemal fakt - i uświadomiło mi to dopiero pojawienie się Minnie - że w oczach Leslie byłem świeżą i egzotyczną nowością, takim trochę Rhettem Butlerem; „połu - dniowość” stanowiła moją najsilniejszą broń, toteż zacząłem to ryzykownie wygrywać i teraz, i w ciągu całego wieczoru. Na przykład przytoczona poniżej pogawędka (wymiana zdań, która dwadzieścia lat później byłaby nie do pomyślenia) sprawiła, że Leslie aż klepała się po ślicznych, obleczonych w dżersej udach w ataku rozbawienia.

- Minnie, oddałbym życie za odrobinę domowego żarcia. Prawdziwego żarcia kolorowych, nie tej rybkiej ikry od starych komuchów.

- Mmmm, ja też! Och, jakbym wzięła michę solonych kielb. Solonych kielb z mamałygą. To dopiero żarcie co się zowie!

- A co byś powiedziała na flaczki, Minnie? Flaczki z jarmużem?

- Weź pan przestań! - Szalony, przenikliwy chichot. - Jak pan mnie mówi o flaczkach, to się robię taka głodna, że chyba skonom!

Później, kiedy w restauracji Gage & Tollner jedliśmy z Leslie przy świetle gazowych

lamp małże i kraby imperiale, doświadczyłem najczystszej zmysłowego i duchowego błogostanu, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się osiągnąć w życiu. Siedzieliśmy bardzo blisko siebie przy stoliku w rogu sali, z dala od gwaru gości. Piliśmy jakieś nadzwyczajne białe wino, które wyostrzyło mi intelekt i rozwiązało język; opowiedziałem Leslie prawdziwą historię o moim dziadku ze strony ojca, który stracił oko i rzepekę w kolanie pod Chancellorsville, i zmyśloną historię dziadka ze strony matki, nazwiskiem Mosby, jednego z największych przywódców konfederackiej partyzantki z czasów Wojny Domowej. Mówię „zmyśloną”, ponieważ Mosby, pułkownik z Wirginii, nie był z nami absolutnie spokrewniony; sama historia była jednakże tyleż z grubsza autentyczna, ile barwna - garniowałem ją przeciągając zgłoski, zdobyłem smacznymi dygresjami i akcentami brawury, delektowałem się dramatycznymi efektami i w końcu tak oczarowałem Leslie tą zgrabną, pełną dozowanego napięcia anegdotką, że z błyszczącymi oczami chwyciła mnie za rękę, lekko wilgotną, zapewne z pożądania dłonią zupełnie jak na Coney Island.

- I co dalej? - zapytała, kiedy umilkłem na chwilę dla wzmocnienia puenty.

- No więc dziadek Mosby - ciągnąłem - osaczył w końcu brygadę Unii w dolinie. Była noc i dowódca spał. Mosby wszedł po ciemku do namiotu i szturchnął generała w żebra, by go obudzić. „Generale - powiedział - wstawaj pan. Mam wiadomości

o Mosbym!” Generał, nie rozpoznając głosu, ale sądząc, że to któryś z jego żołnierzy, zerwał się i powiada:

„O Mosbym! Macie go?” Na co Mosby: „Nie, to on ma pana!”

Reakcja Leslie była wielką nagrodą - gardłowy, niski, pełen uznania okrzyk sprawił, że głowy od sąsiednich stolików odwróciły się w naszą stronę, a *maître d'hôtel* zerknął na nas z przyganą. Śmiech Leslie zamarł, siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w kieliszki z poobiednią brandy. Wreszcie to ona, nie ja, poruszyła temat, który jak wiedziałem, nurtował ją w równym stopniu co mnie.

1 Wiesz, to były dziwne czasy - rzekła w zamyśleniu. - To znaczy dziewiętnasty wiek. Jakoś trudno sobie wyobrazić, że ludzie się wtedy pieprzyli. Tyle książek i przeróżnych historyjek ani słowa o pieprzeniu.

- Wiktorianizm - odpowiedziałem. - Czysta pruderia.

0 Nie wiem zbyt wiele o Wojnie Domowej, ale kiedy myślę tych czasach, to znaczy odkąd przeczytałam *Przeminęło z wiatrem*, wyobrażam sobie zawsze tych wspaniałych, młodych generałów z Południa, brodatych, z sumiastymi wąsami i trefionymi włosami, na koniach. I te piękne dziewczęta w krynolinach pantalonach. Sądząc po tym, co się czyta, oni się nigdy nie pieprzyli - urwała i ścisnęła moją dłoń. - Czy kiedy czytasz otakiej

fantastycznej dziewczynie wystrojonej w krynolinę, całej w bajecznych falbankach i tasiemkach, i o takim wspaniałym, młodym oficerze, nie wyobrażasz ich sobie, jak się dziko pieprzą?

- Och tak - odpowiedziałem z dreszczem. - Och tak, oczywiście. To wzmaga poczucie historii.

Było już po dziesiątej; zamówiłem jeszcze brandy i przesiedzieliśmy następną godzinę. I znowu, jak na Coney Island, Leslie delikatnie, lecz stanowczo przejęła ster rozmowy, żeglując ku mętnym nurtom i tajemniczemu, niesamowitym lagunom, do których nigdy nie odważyłem się zapuszczać z kobietą. Co chwila wspominała o swoim aktualnym psychoanalityku, dzięki któremu, jak stwierdziła, zyskała świadomość swojego pierwotnego „ja”, i, co ważniejsze, swej seksualnej energii, której należało jedynie dać upust, wyzwolić ją po to, by mogła funkcjonować jak zdrowe zwierzę (jej określenie), jakim się obecnie czuła. Kiedy mówiła, dobroczynny koniak ośmielił mnie na tyle, że musnąłem delikatnie czubkami palców jej lśniące srebrzyście od jaskrawoczerwonej szminki, pełne wyrazu usta.

- Zanim poszłam do psychoanalityka, byłam okropną gęsią westchnęła. - Taką zastraszoną intelektualistką, zupełnie nieświadomą swego ciała, pozbawioną tej wiedzy, jaką mogło mi dać. Nie czułam swojej cipki, swojej cudownej, małej łechtaczki, niczego. Czytałeś H.D. Lawrence'a? *Kochanka lady Chatterley*?

- Musiałem wyznać, że nie. Marzyłem o przeczytaniu tej książki, ale uwięziona w zaryglowanych szafach uniwersyteckiej biblioteki niczym jakiś obłąkany dusiciel, pozostawała dla mnie niedostępna.

- Przeczytaj - powiedziała lekko teraz zachrypniętym i ożywionym głosem. - Zdobądź ją i przeczytaj, dla własnego zbawienia. Mój przyjaciel przemycił egzemplarz z Francji, pożyczę ci. Lawrence zna odpowiedź - ach, ile on wie o pieprzeniu! Mówi, że kiedy pieprzysz, obcujesz z bogami ciemności - mówiąc to ścisnęła mnie za rękę, splecioną teraz z jej dłonią o milimetr zaledwie od napiętej wypukłości mego krocza i wpatrywała się w moją twarz naelektryzowanym wzrokiem pełnym takiej namiętności i tak sugestywnym, że musiałem opanować się całą siłą woli, by nie popełnić szaleństwa i nie chwycić jej natychmiast brutalnie w objęcia na oczach ludzi.

- Och, Stingo - powtórzyła. - Tak chyba jest naprawdę: pieprzyć się to obcować z bogami ciemności.

- Wyjdźmy więc bogom ciemności naprzeciwpowiedziałem, zupełnie już nie panując nad sobą i sygnalizując pośpiesznie kelnerowi, by podał rachunek.

Kilka stron wcześniej napomknąłem o dziennikach André Gide'a, którego starałem

się usilnie naśladować. Jako student uniwersytetu Duke'a pracowicie przedzierałem się przez dzieła mistrza w oryginale. Żywiłem bezgraniczny podziw dla jego dzienników i uznawałem tę szczerą i bezlitosną autoanalizę za jedno z najwybitniejszych osiągnięć cywilizacji i myśli dwudziestego wieku. W swym własnym dzienniku, na początku ostatniej partii, poświęconej Leslie Lapidus i owemu, jak go później nazwałem, Tygodniowi Pasyjnemu, który zaczął się w pamiętną Palmową Niedzielę na Coney Island, a skończył w piątek, we wczesnych godzinach rannych ukrzyżowaniem na Pierrepont Street, oparłem się do pewnego stopnia na Gidzie i sparafrazowałem z pamięci kilka z wzorcowych myśli i spostrzeżeń pisarza. Nie będę się tu rozwodził nad owymi fragmentami, chciałbym tylko wyrazić swój podziw nie tylko dla jego zdolności znoszenia potwornych upokorzeń, ale także odwagi, szczerości i determinacji, z jaką wszystko zapisywał; zauważyłem, że im większe spotkało go upokorzenie i rozczarowanie, tym bardziej oczyszczające i jasne były zapiski w *Dziennikach*, czytelnik zaś mógł w tym *katharsis* uczestniczyć. Choć dobrze już nie pamiętam, usiłowałem zapewne, po dłuższych medytacjach nad Gide'em, osiągnąć podobny efekt *katharsis* w ostatnich partiach swoich notatek o Leslie, które niniejszym przytaczam. Muszę jednak dodać, że było w tych właśnie stroniczkach coś osobliwego. W pewnym momencie, wkrótce po ich zapisaniu, musiałem je w przystępie rozpaczony wyrwać z okładek przypominających segregator, w których przechowywałem dziennik, i wpakować plik pomiętych kartek na sam spód. Tam znalazłem je przez przypadek akurat wtedy, kiedy próbowałem odtworzyć finał tej idiotycznej maskarady.

Ciągle zastanawia mnie charakter pisma; zamiast spokojnej, starannej i czytelnej szkolnej kaligrafii, jaką się zwykle posługiwałem, gwałtowne, pospieszne bazgroły, zdradzające bezładną galopadę szalonych emocji. Jednak styl, jak to teraz widzę, zachował ową niewzruszoną, gorzkosardoniczną tonację drobiazgowej autoanalizy, która pewnie zachwycałaby samego Gide'a, gdyby mógł przestudiować te nabrzmiałe poczuciem upokorzenia stronicze:

A teraz może o tym, co się dzieje, kiedy wsiadamy do taksówki po wyjściu od Gage'a Sc Tollnera. Jestem już naturalnie napalony jak normalny knur i zupełnie tracę głowę; oplatam ją po prostu ramionami, zanim taryfa zdąży ruszyć. Zaczyna się od dokładnej powtórki tego, co miało miejsce, kiedy poszliśmy oglądać Pissarra. Jej wścibski język wchodzi we mnie jak jakaś aloza przedzierająca się w górę strumienia ku życiodajnemu źródłu. Nie miałem pojęcia, że pocałunek może być czymś tak ważnym, tak ekspansywnym. Jednakowoż nadchodzi nieuchronnie pora, żebym się odwzajemnił, co też czynię. Kiedy jedziemy przez Fulton Street, „rewanżuję” się jej swoim językiem, co ją najwyraźniej

zachwyca, bo reaguje pojękiwaniami i dreszczami. Jestem już tak rozpalony, że robię coś, oczym zawsze marzyłem całując dziewczyny, a na co się nigdy nie zdobyłem w Wirginii, ze względu na dość rażącą aluzyjność tej sztuczki: zaczynam mianowicie wolno i rytmicznie wsuwać i wysuwać język, długimi, kopulacyjnymi ruchami, ad libitum. Wywołuje to kolejną serię jęków; na chwilę odrywa usta, by szepnąć: - Boże, twój, no wiesz, w mojej! - Jej dziwna wstydlivość nie jest w stanie mnie zniechęcić. Jestem bliski oblędu. Trudno wprost opisać, co się ze mną dzieje. W jakimś kontrolowanym szale decyduję, że najwyższy czas na pierwsze naprawdę bezpośrednie posunięcie. Wysuwam zatem dłoń, gotową ująć od spodu jej rozkosznie podniecającą pierś, lewą czy też prawą, nie pamiętam. I w tym momencie ku mojemu absolutnemu zdumieniu, stanowczym i zdecydowanym gestem zsynchronizowanym z moim ukradkowym, subtelnym manewrem, zasłania się przybierając pozę, która bez żadnych wątpliwości oznacza: „Nic z tego”. Baranieję kompletnie, baranieję do tego stopnia, że zaczynam podejrzewać, iż jedno z nas musiało popełnić jakiś błąd w odczytaniu sygnałów albo że ona żartuje (kiepski żart!) czy coś podobnego. Wobec tego po chwili, ciągle z językiem wepchniętym w jej gardło, podczas gdy ona pojękuje, sięgam do drugiego zderzaka. Trach! Znów to samo: nagły obronny gest, jej ramię spada jak szlaban na przejeździe kolejowym. „Przejdźcie zabronione!”. Wprost nie do wiary!

(Piszę to o ósmej wieczorem w piątek i zaglądam do poradnika Mercka. Wynika z niego, że cierpię na acute glossitis, czyli ostre zapalenie języka będące skutkiem urazu mechanicznego, ale niewątpliwie rozjątrzone przez bakterie, wirusy i przeróżne toksyczne jady przekazywane w trakcie pięcio - czy sześciogodzinnej wymiany śliny, bezprecedensowej w historii mojej - a śmiem twierdzić, że czyjejkolwiek - jamy ustnej. Merck informuje, że to stan przejściowy, ustępujący po paru godzinach; należy tylko pozwolić językowi odpocząć. Informacja ta przynosi mi wielką ulgę, jako że zjedzenie czegośkolwiek czy wypicie paru łyków piwa to prawdziwa tortura. Jest już prawie noc, siedzę i piszę w domu Yetty, sam. Nie mogę nawet pokazać się Zofii czy Natanowi. Wyznam szczerze, że cierpię z powodu zawiedzionych nadziei tak jak nigdy dotąd i nawet nie podejrzewałem, że można tak cierpieć.)

Wróćmy jednak do Wędrowni Stinga. Oczywiście dla zachowania zdrowego rozsądku próbuję znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie jej dziwaczego postępowania. Domyślam się, że najwidoczniej Leslie nie chce po prostu - i to jest logiczne - żeby robić cokolwiek w sposób tak jawny w taksówce. Niezwykła zaiste przyzwoitość. Dama w taksówce, kurwa w łóżku. Biorąc to pod uwagę zadawałam się dalszymi labiryntowymi operacjami języka, do chwili, gdy taksówka staje przed domem z piaskowca na Pierrepont

Street. Wysiadamy i wchodzimy do pogrążonego w mroku domu. Otwierając frontowe drzwi, Leslie napomyka, że jest czwartek, a więc Minnie ma wychodne; odbieram to jako podkreślenie faktu, że będziemy sami. W przyćmionym świetle hallu mój uwięziony w spodniach członek w pozycji bojowej. Zauważam także wilgotną plamkę w kroku - to prekoitalny wyciek; wygląda tak, jakby nasikał mi tam jakiś szczeniak.

(Och, André Gide, prie pour moi! To zaczyna być niemalże nieznosne. Jak sobie wytłumaczyć, uczynić wiarygodnymi - jeśli już nie ludzkimi - męki następnych paru godzin? Kogo należałoby winić za te niczym nie uzasadnione męczarnie - mnie, Leslie, Zeitgeist? Psychoanalitka Leslie? Z pewnością ktoś musiał ponosić odpowiedzialność za wprowadzenie biednej Les w stan zimnego, ponurego plateau. Bo tak właśnie nazwała ów posepny czyściec, przez który wędrowała samotna i zziębnięta.)

Zaczynamy od nowa około północy, na kanapie pod Degasem. W domu jest zegar, który wybija godziny: o drugiej jestem na tym samym etapie, co w taksówce. Wcześniej zwarliśmy się w desperackich, rozgrywanych w milczeniu zmaganiach, w trakcie których zastosowałem wszystkie podręcznikowe taktyki, próbując obmacywania cyków, ud, krocza. Daremnie. Oprócz zięjącego oralnego rozwarcia i zdumiewającej aktywności języka, nie było nic; równie dobrze mogłaby leżeć zakuta w puklerz lub pełną zbroję. Ta militarna wizja jest tu nie od rzeczy także z innego powodu: kiedy tylko próbuję bardziej agresywnych wypadów i udaje mi się zmacać w półmroku jej udo lub gdy usiłuję wepchnąć łapę między ściśle zwarte kolana, wyrywa raptownie swój miotający się język i mruczy:

- Prrr, pułkowniku Mosbyl - Albo: - Hola, Johnny Reb! - Wszystko to wypowiedane z widoczną intencją podrobienia mojego kon - federackiego akcentu, tonem lekkim i chichotliwym, niemniej w stylu „Sprawa jest Poważna”, co działa na mnie jak kubel lodowatej wody. I znów, w trakcie całej tej komedii zaczynam poważnie wątpić w realność tego, co się dzieje - nie mogę się po prostu pogodzić z faktem, że po tej dosłownie zapierającej dech w piersiach uwerturze, po wszelkich jednoznacznych zachętach i przynagleniach wszystko okazało się horrendalnym oszustwem. Parę minut po drugiej, bliski obłądu uciekam się do manewru, który jak przewiduję wywoła drastyczną reakcję. Nie przewidziałem jednak, że aż tak drastyczną. Wciąż uwikłany w oceaniczne zapasy jestem pewien, że udusi nas oboje kneblującym wrzaskiem, jaki z siebie wydaje, uprzytomniwszy sobie, za co złapała. (Po cichutku rozpiąłem rozporek i ulokowałem jej rękę na kutasie). Zeskakuje z kanapy, jakby ktoś ją podpalił, i w tym momencie cały wieczór, wszystkie moje bzdurne fantazje i marzenia zamieniają się w kupkę popiołu.

(Och, André Gide, comme toi, je crois que je deviendrai pédéraste!)

Nieco później siada obok mnie, szlochając jak dziecko, i próbuje się wytłumaczyć. Jej rozbrajająca słodycz, bezradność, przygnębienie i skrucha, jaką okazuje, pomagają mi jakoś zapanować nad dziką wściekłością. O ile przed chwilą miałem ochotę sprać ją pasem na miazgę - złapać drogocennego Degasa i nasadzić jej go na łeb o tyle teraz sam bym się najchętniej rozbeczał, wyplakał własny żal i frustrację, a także uzalił się nad Leslie i jej psychoanalizą, która jest jednej, z głównych przyczyn tego skandalicznego szalbierstwa. Dowiaduję się tego, gdy tymczasem zegar odmierza tykaniem sekundy dzielące nas od świtu. Wcześniej musiałem pokonać swoje zahamowania i obiekcje.

- *Nie chciałbym być niegrzeczny czy źle zrozumiany - szepczę w półmroku, trzymając jej za rękę - ale dawałaś mi nadzieję na coś innego. Powiedziałaś, cytuję dosłownie: „Jestem pewna, że potrafisz fantastycznie wypieprzyć dziewczynę”. - Robię długiej pauzę i wydmuchuję w mrok błękitny obłok dymu. Potem mówię: - No więc rzeczywiście, potrafię. I chciałem. - Milknę znowu. - I to wszystko.*

- *Po dłuższej przerwie i serii pociągnięć nosem, odpowiada:*

- *Wiem, że tak powiedziałam, i przepraszam, jeśli cię zawiodłam, Stingo. - Smark, smark. Daję jej chusteczkę higienicznej. - Ale nie mówiłam, że chcę to z tobiej robić. - Kolejne pociągnięcia nosem.*

- *Poza tym powiedziałam „dziewczynę” Nie powiedziałam mnie.*

i *Jęk, jaki wydarł się w tym momencie z mojej piersi, poruszyłby zmarłego. Milczymy oboje, zda się w nieskończoność. W pewnej chwili, gdzieś pomiędzy trzeciej a czwartą słyszę wycie syreny na statku; żalosne, ponure, odległe, niesie się wśród nocy od strony nowojorskiej przystani. Przypomina mi to rodzinne strony i napętnia mnie nieopisanym smutkiem. Ow dźwięk i smutek, jaki wywołał, sprawiają, że jeszcze trudniej znieść mi obecność rozgorączkowanej rozkwitającej jak egzotyczny kwiat Leslie, teraz zadziwiająco nieosiągalnej. Myślę mimochodem o zapaleniu; trudno mi uwierzyć, że moja laska wciąż sterczy dumnie jak dzida. Czy Jan Chrzciciel ścierpiałby podobną stratę f A Tantal? Święty Augustyn? Mała Neli?*

Leslie jest - dosłownie i w przenośni - całkowicie lingwalna. Jej życie seksualne ogranicza się wyłącznie do języka. Nieprzypadkowo zatem te prowokujące obietnice, jakie zdawał się składać jej hiperaktywny organ, znajdują korelację w postaci równie prowokujących, ale całkowicie pozbawionych treści słów, które tak uwielbia. Kiedy tak siedzimy, przypominam sobie nazwę osobliwego zjawiska, o jakim czytałem na uniwersytecie Duke'a podczas zajęć z psychopatologii: koprofalia, czyli obsesyjne używanie nieprzyzwoitych wyrazów, spotykane często wśród młodych kobiet. W końcu przerywam

milczenie i żartobliwie sugeruję, że być może jest ofiarą tej choroby, co chyba nie tyle jej obraża, ile rani, zaczyna więc znowu cichutko lkać. Zdaje się, że otworzyłem jakąś bolesnej, ranę. Ależ nie, zaprzecza stanowczo, to nie to. Po chwili przestaje szlochać wyznaje coś, co jeszcze parę godzin temu uznałbym za żart, ale teraz przyjmuję spokojnie i bez zdziwienia jako absolutnej, i bolesnej prawdę. - Jestem dziewczicą - mówi smutnym, cichym głosem. Po dłuższym milczeniu odpowiadam: - Nie gniewam się, rozumiem. Ale wydaje mi się, że jesteś bardzo chorą dziewczicą. - Mówiąc to uświadamiam sobie własną zgryźliwość, ale jakoś nie jest mi wcale przykro. Syrena na statku wyje znowu w gardzieli portu, przyprawiając mnie o taką tęsknotę, nostalgię i rozpacz, iż zdaje mi się, że i ja wybuchnę płaczem. - Bardzo cię lubię, Les - udaje mi się wydusić z siebie. - Uważam tylko, że to nieuczciwe z twojej strony tak mnie wpuścić w maliny. Dla faceta to tortura. Okropność. Nie wyobrażasz sobie. - Powiedziawszy to, nie mogę się zorientować, czy pojęła, o co mi chodzi, czy nie, bo odpowiada najsmutniejszym głosem, jaki zdarzyło mi się słyszeć: - A ty, Stingo, nie wyobrażasz sobie, co znaczy dorastać w żydowskiej rodzinie. - Nie próbuje jednak wyjaśnić, co ma na myśli.

W końcu, kiedy zaczyna świtać i wielkie zmęczenie przenika do głębi moje kości i mięśnie - włącznie z dzielnym mięśniem miłości, który wreszcie zaczyna wiotczeć i opadać po godzinach niezłomnego trwania na posterunku - Leslie przystępuje do odtwarzania mrocznej odysei swoich seansów psychoanalitycznych. A także swego życia rodzinnego. Z koszmarną rodziną. Rodziną, która pomimo poloru swobodnych i cywilizowanych manier jest, według Leslie, gabinetem woskowych potworów. Bezwzględny i nadmiernie ambitny ojciec, którego religią jest formowany plastik i który odezwał się do niej ze dwadzieścia razy w życiu. Młodsza siostra, obrzydliwa konformistka starszy brat idiota. A przede wszystkim zaborcza matka, która pomimo swego dyplomu uniwersytetu Barnarda - zatrula życie Leslie wiecznym zrządzeniem i mściwością od chwili, gdy przyłapała trzyletnią wówczas córkę na masturbacji i zmusiła ją do noszenia specjalnych ochraniaczy na ręce, jako zabezpieczenia przed samogwałtem. Wszystko to Leslie wyrzuca z siebie pospiesznie, tak jakbym ja również stał się na moment kolejnym, jednym z tłumu zmieniających się terapeutów, którzy od ponad czterech lat zajmowali się jej chandrą i kryzysami. Jest biały dzień. Leslie pije kawę. Ja piję budweisera, płyta Tommy'ego Dorsey'a kręci się na gramofonie Magnavox za dwa tysiące dolarów. Krańcowo wyczerpany, słyszę potok słów Leslie jak gdyby przez watę i staram się bez większego powodzenia złożyć do kupy tę chaotyczną spowiedź, ten galimatias naszpikowany takimi określeniami jak „Jungowski”, „Reichowski”, „Adlerowski”, „uczeń Karen Homey”, „sublimacja”, „Gestalt”, „manie”, „nocnikowe ćwiczenia”, i innymi, z

którymi się zetknąłem, ale których nikt dotąd nie wygłaszał w mojej obecności tonem zarezerwowanym u nas, na Południu, dla Thomasa Jeffersona, Wuja Remusa i błogosławionej Trójcy Świętej. Jestem tak zmęczony, że ledwie kapuję, o co biega, kiedy mówi o swoim aktualnym, czwartym z kolei psychoanalityku, „reichście”, niejakim doktorze Puhermacherze, a potem nawiązuje do swego plateau. Mrugam oczami, odczuwając nieprzepartą potrzebę snu. A ona trajkuje bez przerwy, poruszając wilgotnymi, cudownymi żydowskimi wargami, na zawsze dla mnie straconymi, i nagle uprzytamniam sobie, że mój ptaszek, biedaczysko, skurczył się po tych wielu godzinach gotowości tak bardzo, iż przypomina rozmiarami Robaka, którego replika wisi za moimi plecami, w papieskiej łazience. Ziewam rozdzierająco głośno, ale Leslie nie zwraca na to uwagi, najwyraźniej przekonana, że nie powinienem odejść urażony i że muszę postarać się ją zrozumieć. Ale naprawdę nie wiem, czy chcę ją zrozumieć. Podczas gdy ona kontynuuje swoje wywody, mnie nachodzi jedynie rozpaczliwa refleksja na temat uderzającej ironii sytuacji: o ile w przypadku małych, oziębłych harpii z Wirginii zostałem zdradzony głównie przez Jezusa, o tyle w ręce Leslie wydał mnie podstępnie i okrutnie ten skończony łotr, doktor Freud. Dwa cwane Zydzy, powiadam wam.

1 Zanim osiągnęłam to plateau artykulacji - docierają do mnie wyjaśnienia Leslie przez surrealistyczne delirium zmęczenia - nie byłam w stanie wypowiedzieć żadnego z tych słów, które ci mówiłam. Teraz nie mam żadnych problemów z ich artykulacją. Mówię o tych czteroliterowych anglosaskich słówkach, które każdy powinien umieć wypowiedzieć. Mój psychoanalitik, doktor Puher - macher, mawia, że ogólna represyjność społeczeństwa jest wprost proporcjonalna do jego surowej represyjności wobec języka seksualnego. - Odpowiadam, ziewając jednocześnie tak rozdzierająco głęboko, że mój głos przypomina ryk dzikiej bestii: - Aha. Rozumiem - ryczę. - Artykulacja” oznacza, że możesz powiedzieć: „pierdolić”, ale nie możesz tego robić. - Jej odpowiedź odbieram jako zlepek niedokładnie rejestrowanych przez mój mózg dźwięków. Trwa to bardzo długo i jedyne, co udaje mi się wylapać, to mętne wrażenie, że Leslie, poddawana obecnie czemuś, co się nazywa terapią orgonową, zostanie w najbliższym czasie umieszczona w jakiejś kabinie i tam będzie cierpliwie wchłaniać fale energii kosmicznej, co pozwoli jej przejść do wyższego stadium plateau. Bliski zaśnięcia ziewam znowu i bezgłośnie życzę jej powodzenia. wtedy, mirabile dictu, pogrążam się w krainie marzeń, podczas kiedy ona bajdurzy, że może kiedyś... Kiedyś! W dziwnym, pogmatwanym śnie doznawana przeze mnie rozkosz zaprawiona jest rozdzierającym bólem. Drzemię chyba tylko parę minut. Kiedy się budzę - i widzę zaspanymi oczami Leslie monologującą w najlepsze - stwierdzam, że siedziałem całym swym ciężarem

na własnej ręce, więc wyciągam ją spod tyłka. Wszystkie pięć palców zdeformowane i kompletnie bez czucia. To tłumaczy mój niewymownie smutny sen: od nowa ściskając gorąco Leslie na kanapie, udaje mi się w końcu dobrać do jej nagich piersi, przypominających teraz rozmiękłą bułę ciasta, którą mieszę dłonią uwięzioną w morderczej pułapce stanika, konstrukcji z piotunu i drutów.

Teraz, po wielu latach, widzę jasno, jakim brzemieniem kontrapunktem dla mojej obszerniejszej opowieści, którą nakazywał mi spisać wewnętrzny imperatyw, była sprawa oporu Leslie, a właściwie całej nie zdobytej twierdzy jej dziewictwa. Bóg jeden wie, co by się zdarzyło, gdyby rzeczywiście była rozpustną i doświadczoną zawodniczką, jaką udawała. Budziła we mnie taką żądzę, że nieuchronnie zostałbym jej niewolnikiem, a to z pewnością skłoniłoby mnie do pożegnania prozaicznej, tandetnej rzeczywistości Różowego Pałacu Yetty Zimmerman co za tym idzie, wyłączenia się z toku zdarzeń, które skłoniły mnie do napisania tej powieści. Jednak dysproporcja pomiędzy tym, co Leslie obiecywała, a tym, czego dostarczyła, tak zraniła moje serce, że się rozchorowałem. Nie było to nic poważnego zaledwie ostry atak grypy połączonej z głęboką depresją psychiczną - ale kiedy leżałem cztery czy pięć dni w łóżku (pielęgowany troskliwie przez Natana i Zofię, którzy przynieśli mi zupę pomidorową i czasopisma), doszedłem do wniosku, że w moim życiu nastąpił moment krytyczny. Owa krańcowość przybrała postać niedostępnej skały seksu, o którą się najwyraźniej, choć z niewiadomych przyczyn, roztrzaskałem.

Wiedziałem, że mam przyjemną powierzchowność, odznaczam się sporą i przenikliwą inteligencją i tą właściwą Południowcom swadą, dzięki której, jak dobrze wiedziałem, potrafię rzucać na ludzi słodki (acz nie sacharynowy) magiczny urok. Fakt, że pomimo tych rozlicznych, świetnych talentów, a także usilnego ich eksploatowania, wciąż nie mogłem znaleźć dziewczyny gotowej udać się ze mną do bogów ciemności, wydał mi się teraz kiedy przykuty gorączką do łóżka wertowałem „Life” i zadręczałem się obrazem Leslie paplającej w frustrującym świetle przedświt - objawem patologii, który musiałem z bólem uznać za okrutne zrządzenie losu i pogodzić się z nim, tak jak ludzie godzą się z wszelkimi okropnymi, choć w końcu znośnymi ułomnościami - uporczywym jękaniem czy zajęczą wargą. Nie byłem po prostu „tym starym, seksownym Stingiem” i musiałem to zaakceptować. Ale za to - tłumaczyłem sobie - mam bardziej wzniosłe cele życiowe. W końcu byłem pisarzem, artystą, a przecież wszystkim wiadomo, że większość najwybitniejszych dzieł sztuki stworzyli oddani jej ludzie, którzy oszczędnie gospodarując zasobami energii, nie dopuszczali, by jakieś błędne teorie o prymacie krocza przeszkodziły im w szlachetnym dążeniu do Piękna i Prawdy. - Zatem naprzód, Stingo! - powiedziałem sobie, biorąc się w garść. - Kontynuuj swe dzieło.

Zaniechaj rozpusty i nagnij swe namiętności do tej zachwycającej wizji, którą nosisz w sobie i która domaga się materializacji. - Ta mnisia egzorta pozwoliła mi po paru dniach wstać z łóżka: czułem się odświeżony, oczyszczony, a napięcie seksualne nieco zelżało. Mogłem teraz kontynuować bohaterskie zmagania z kolekcją wróżek, demonów, matolów, kochanków, udęczonych matek i ojców, którzy zaczęli tłumnie zaludniać stronicę mojej powieści.

Nigdy więcej nie spotkałem Leslie. Rozstaliśmy się tamtego ranka w nastroju powagi i podszytej smutkiem wzajemnej sympatii; prosiła, żebym zadzwonił, ale nie zrobiłem tego. Nawiedzała mnie jednak często w mych erotycznych fantazjach przez lata jeszcze nieraz o niej myślałem. Pomimo męczarni, jakie mi zadała, życzyłem jej jak najlepiej, gdziekolwiek była cokolwiek się z nią ostatecznie stało. Miałem nie wiem czemu nadzieję, że seanse w orgonowej kabinie przyniosły jej upragnione spełnienie, windując ją na wyższe niż zwykła „artykulacja” *plateau*. Nigdy też nie wątpiłem, że jeśli nawet kabina, podobnie jak inne rodzaje terapii, której ją poddawano, zawiodła, to niezwykły postęp nauki w dziedzinie pielęgnowania libido w kolejnych dziesięcioleciach musiał zapewnić Leslie pełne zaspokojenie. Mogę się mylić, dlaczego jednak intuicja podpowiada mi, że Leslie otrzymała ostatecznie swoją porcję szczęścia? Nie wiem. W każdym razie tak to teraz widzę: wyobrażam ją sobie jako szykowną, schludną, wykwintnie siwiejącą i ciągle jeszcze piękną kobietę, z godnością znoszącą swój wiek, bardzo wyrafinowaną w oszczędnym posługiwaniu się sprośnymi słówkami, szczęśliwą w małżeństwie, z licznym potomstwem i (jestem tego prawie pewien) regularnie szczytującą.

ósmy

Tego lata panowała na ogół piękna pogoda, ale czasami wieczory bywały tak gorące i parne, że udawaliśmy się z Natanem i Zofią do położonego za rogiem Church Avenue klimatyzowanego koktajlklubu (Chryste, co za nazwa!) Mapie Court. W tej części Flatbush było stosunkowo niewiele barów z prawdziwego zdarzenia (co stanowiło dla mnie zagadkę, dopóki Natan nie wyjaśnił mi, że tęgie picie nie należy do ulubionych rozrywek Żydów), ale nasz prosperował całkiem nieźle, gromadząc głównie robociarską klientelę złożoną z irlandzkich portierów, skandynawskich taksówkarzy, niemieckich nadzorców budowlanych oraz takich nieokreślonych WASPów jak ja, którzy zabłąkali się na peryferie. Bywała tam też, jak mi się zdawało, mała grupka Żydów; ci zachowywali się konspiracyjnie. Klub Mapie Court był wielki, kiepsko oświetlony i raczej obskurny, wypełniał go przenikliwy, stęchły zapach stojącej wody, ale naszą trójkę zwabiało do niego w wyjątkowo parne, letnie wieczory chłodne powietrze, a poza tym polubiliśmy abnegacki luz, jaki tu panował. Było też tanio -

szklanka piwa kosztowała wtedy dziesięć centów. Dowiedziałem się, że bar został zbudowany w 1933 roku dla uczczenia ustawy o zniesieniu prohibicji i wyciągnięcia forsy z tego faktu; jego ogromne, wręcz przepastne wnętrze zaplanowano z myślą o parkiecie tanecznym. Owa wizja korybanc - kich hulank, jaką mieli pierwsi właściciele lokalu, nigdy się jednak nie ziściła, ponieważ przez jakieś niepojęte przeoczenie rozrywkowo usposobieni impresariowie zlokalizowali swe przedsiębiorstwo w sąsiedztwie stojącym niezłomnie na straży porządku i obyczajności, czyli gminy ortodoksyjnych anabaptystów - - mennonitów. Synagogi, podobnie jak kościół protestancki, powiedziały: nie.

Tak więc Mapie Court nie uzyskał licencji kabaretu i cały zgeometryzowany, lśniący chromem i złoceniami wystrój, włącznie z promienistymi kandelabrami, które miały wirować nad głowami odurzonych tancerzy niczym błyskotki w filmach z Ruby Keeler, zniszczał i pokrył się patyną brudu i dymu. Estradkę okoloną łukowatym barem i przeznaczoną pierwotnie dla smukłych, długonogich striptizerek, które miały kręcić zadkami przed kręgiem rozpartych w fotelach gapiów, pokryły zakurzone wywieszki i nadymane atrapy butelek reklamujących różne gatunki whisky i piwa. Co jeszcze smutniejsze, wielkie malowidło ścienne w stylu art deco - świetny, namalowany z talentem dokument epoki, przedstawiający zarys Manhattanu, sylwetki muzyków jazzowych i tancerek rewiiowych fikających nogami nie ucieszył ani razu oczu balujących radośnie klientów, a za to złuszczył się i pokrył zaciekami, w miejscu zaś, gdzie całe pokolenia miejscowych pijaczków opierały głowy, ciągnęła się długa, pozioma, brudnawa smuga. Właśnie pod tym malowidłem, w odległym zakątku zrodzonego pod złą gwiazdą parkietu, Natan, Zofia i ja siadywaliśmy w owe parne wieczory.

- Szkoda, że ci nie wyszło z Leslie, mały - powiedział Natan pewnej nocy, wkrótce po kłęsce na Pierrepont Street. Był najwidoczniej rozczarowany i nieco zaskoczony, że jego próby swatania spełzły na niczym. - Wydawało mi się, że złapaliście kontakt, że jesteście dla siebie stworzeni. Wtedy, na Coney Island, myślałem, że cię pożre. A teraz ty mi oświadczasz, że nici z tego. Co się stało? Nie mów mi, że nie chciała ci dać.

- Ach nie, w sprawach seksu wszystko było w porządku skłamałem. - W każdym razie umoczyłem knota. - Z jakichś niejasnych powodów, nie potrafiłem zdobyć się na wyjawienie prawdy o naszym fatalnym pacie, tej równorzędnej rozgrywce pomiędzy dwiema dziewczynami. Rzecz była zarówno dla Leslie, jak dla mnie zbyt wstydliva, by się nad nią rozwodzić. Pogrążyłem się w jakiejś kiepskiej konfabulacji, ale widziałem, że Natan wyczuł improwizację - plecy trzęsły mu się ze śmiechu - więc zakończyłem swoją relację paroma freudowskimi bzdetami, wśród których najważniejszym było wcześniejsze wyznanie Leslie, iż do orgazmu doprowadzić ją mogą jedynie potężni, masyści, czarni jak smoła

Murzyni, z olbrzymimi penisami. Natan zaczął patrzeć na mnie z uśmiechem człowieka, którego robi się po kumpłowsku w jajo, a kiedy zakończyłem, położył mi dłoń na ramieniu i rzekł wyrozumiałym tonem starszego brata:

- Przykro mi z waszego powodu, mały, cokolwiek tam było. Wydawało mi się, że to wymarzona dziewczyna dla ciebie. Czasami po prostu coś nie klapuje.

Zapomnieliśmy o Leslie. Wtedy, wieczorami, piłem najwięcej, wlewając w siebie swoje sześć piwek czy coś koło tego. Czasami chodziliśmy do baru przed kolacją, czasami po. W tamtych czasach było nie do pomyślenia, by zamawiać w barze szczególnie tak podłym jak Mapie Court - wino, ale Natanowi, tak awangardowemu w rozmaitych sprawach, zawsze udawało się dostać butelkę chablis, którą trzymał przy stole w kubelku z lodem i która wystarczała na półtorej spędzanej tam przez nas zwykle godziny. Wino to wprawiało oboje jedynie w stan miłego, błogiego odprężenia, którego oznaką był nikły blask pojawiający się na śniadej twarzy Natana i najsztubtelniejszy rumieniec o barwie płatków derenia na policzkach Zofii.

Byli dla mnie teraz jak stare małżeństwo. Nasza trójka się nie rozstawała, więc często zastanawiałem się mimo woli, czy niektórzy z bardziej wyrobionych bywalców Mapie Court nie uważają nas za *ménage à trois*. Natan był cudowny, czarujący, tak skończenie „normalny” i tak miły w obcowaniu, że gdyby nie drobne, przeniknięte smutkiem napomknienia (czynione bezwiednie przez Zofię podczas naszych pikników w Prospect Parku) dotyczące okropnych epizodów z wspólnie przeżytego roku, całkowicie wymazałbym z pamięci i tę katastrofalną scenę, kiedy po raz pierwszy podejrziałem ich w starciu, i inne przejawy mrocznych stron jego duszy. Cóż innego mogłem zrobić wobec tej elektryzującej, władczej osobowości, na pół czarującego komika, na pół dużego brata, powiernika i guru, który tak wspaniałomyślnie wyciągnął do mnie rękę w mym osamotnieniu. Natan nie był żadnym tanim magikiem. Z mistrzostwem zawodowego aktora przydawał głębi najbardziej nawet błahym żarcikom, przeważnie żydowskim, które mógł wyrzucać z siebie niezmordowanie. Jego popisowe numery były istnymi arcydziełkami. Kiedyś, gdy jako mały chłopiec oglądałem z ojcem w Tidewater jakiś film W.C. Fieldsa (chyba *My Little Chickadee*), byłem świadkiem zdarzenia, które miało prawo zaistnieć jedynie jako figura retoryczna albo zmyślona, banalna anegdota, ujrzałem mianowicie, jak mój ojciec w ataku idiotycznego śmiechu zjechał z fotela i wpadł między rzędy. Wleciał, przysięgam, między rzędy! I to samo przydarzyło mi się w barze Maple Court, kiedy Natan zaprezentował coś, co na zawsze zapamiętałem jako dowcip z żydowskiego klubu.

Odgrywając tę podmiejską opowiastkę ludową, robi to tak, jakby było dwóch

wykonawców, nie jeden. Pierwszym jest Shapiro, który podczas bankietu po raz kolejny próbuje zarekomendować na członka klubu swego wiecznie odrzucanego przyjaciela. Gdy Natan zaczyna drżącym, pełnym nadziei tonem przemówienie na cześć Maksa Tannenbauma, jego głos staje się niezrównanie śliski, prostacki i kretyński, bezbłędnie przy tym żydłaczy:

- Żeby ja mógł powiedzieć, jaki wielki człowiek jest Max Tannenbaum, ja potrzebuję wykorzystać całego angielskiego alfabetu. Od A do Z powiem ja wam o tym pięknym człowieku głos Natana staje się jedwabście gładki i chytry. Shapiro wie, że wśród członków klubu jest jeden - teraz potakujący i po - drzemujący - który będzie próbował odrzucić kandydaturę Tannenbauma. Shapiro ma nadzieję, że ów wróg, Ginsberg, nie obudzi się. NatanShapiro wylicza: A - on jest Ambitny, Be - on jest Bardzo hojny, Ce - on jest Czarujący, De - on jest Delikatny, E - on jest E... wykształcony, Ef - on jest Fantastyczny, Gie - on jest Gienialny, Ha - on jest Cholernie Fajny Facet - (pełen godności, obłudny ton Natana - mistrzowski, puste slogany - niesamowicie zabawne; brzuch rozboleł mnie ze śmiechu, oczy łzawią). - I - on jest Interesujący. - W tym momencie budzi się Ginsberg; palec Natana z furią przebija powietrze, głos nabiera mentorskich, aroganckich, nieznośnych, ale imponująco wrednych tonów. Ustami Natana Groźnego nieubłagany Ginsberg grzmi:

- JotJa państwu bardzo przepraszam! (majestatyczna pauza). Ka - on jest Kutas! El - on jest Lebiega! Em - on jest Mato! En on jest Niezguła! O - on jest Ordynus! Pe - on jest Pipa Grochowa! Ku - on jest Kurew! Er - on jest Rogacz! Es - on jest *Szlemiell* Te - on jest *Tochis*! U - Uważajcie na jego! Wu - Wont z nim! Iks, Igrek, Zet - Skreślam tego *szmakal*

Ta natchniona parodia, tak horrendalnie, niezrównanie, kompletnie idiotyczna, że idąc w ślady ojca, na wpół uduszony obezwładniony atakiem śmiechu zleciałem z krzesła na brudną podłogę, była wielkim popisem kunsztu Natana. Zofia, również bez tchu, ocierała łzy z oczu. Czulem na sobie ponure spojrzenia miejscowych bywalców, dziwiających się naszym paroksyzmem. Przytomniejąc z wolna, spojrzałem na Natana z prawie nabożną czcią. Zdolność wywoływania takiego śmiechu była zaiste darem bożym, prawdziwym błogosławieństwem.

Gdyby Natan był tylko błaznem, gdyby szarżował tak nieustannie i niezmordowanie, stałby się oczywiście przy wszystkich swych imponujących talentach śmiertelnym nudziarzem. Był jednak zbyt wrażliwy, by zgrywać się bez przerwy, i miał zbyt szerokie i poważne zainteresowania, aby poprzestawać podczas wspólnej zabawy na wygłupach, nawet tak fantazyjnych. Muszę też dodać, iż zawsze wyczuwałem, że to właśnie on - może dzięki swemu „starszeństwu”, a może elektryzującej sile osobowości - nadawał ton naszym

rozmowom, choć wrodzony takt wyczucie nie pozwalały mu się pchać na pierwszy plan. Byłem też niezgorszym gawędziarzem, a on potrafił słuchać. Myślę, że należał do tak zwanych omnibusów, ludzi, którzy wiele wiedzą na każdy prawie temat, ale obdarzony był przy tym takim ciepłem, inteligencją i okazywał swoją erudycję w sposób tak subtelny, że nigdy w jego obecności nie odczuwałem tej blokującej irytacji, jakiej często doświadczamy słuchając kogoś wygadanego, kto w gruncie rzeczy jest zwykłym mędrkiem. Jego erudycja była imponująca - ciągle musiałem sobie przypominać, że rozmawiam z naukowcem, biologiem (myślałem przy tym zawsze o takim fenomenie jak Julian Huxley, którego eseje czytałem w college'u), tak wiele czynił literackich odniesień i aluzji, zarówno do klasyki, jak współczesności, swobodnie kojarząc w jednym, godzinnym wywodzie Lyttona Stracheya, *Alicję w krainie czarów*, wczesny celibat Marcina Lutra, *Sen nocy letniej* oraz zwyczaje godowe orangutanów z Sumatry i wyplatając z tego istne cacko, urzekający wykład, w którym żartobliwie, lecz z poważnym podtekstem roztrząsał skomplikowane problemy voyeuryzmu i ekshibicjonizmu.

Wszystko, co mówił, brzmiało dla mnie bardzo przekonująco. Potrafił z równą błyskotliwością rozprawiać o Dreiserze, jak o Whiteheadowskiej filozofii organizmu. Albo na temat samobójstwa, który zdawał się go frapować i który poruszał wielokrotnie, choć pomijał przy tym wszelką patologię. Z powieści ponad wszystko cenił *Panią Bovary*, nie tylko dla jej formalnej perfekcji, lecz także ze względu na rozwiązanie motywu samobójstwa: w jego interpretacji śmierć Emmy przez otrucie wydawała mu się czymś tak cudownie nieuchronnym, że stawała się jednym z najdoskonalszych symboli ludzkiej kondycji w literaturze Zachodu. Pewnego razu, żartując sobie ekstrawagancko na temat reinkarnacji (której przy całym swym sceptycyzmie nie uważał za całkiem nieprawdopodobną), oświadczył, że w poprzednim wcieleniu był jedynym żydowskim mnichem wśród albigensów - prześwietnym braciszkiem St. Nathanem le Bon, który działając w pojedynkę szerzył obłąkańczą i obsesyjną ideę autodestrukcji, opartą na rozumowaniu, że skoro życie jest tak niegodziwe, należy przyspieszyć jego koniec. - Jedynym, czego nie przewidziałem - zauważył było to, że odrodzę się w tym pieprzonym dwudziestym wieku.

Jednakże pomimo tej nieco niepokojącej fascynacji tematem samobójstwa nie zaobserwowałem u niego podczas naszych szampańskich wieczorów najmniejszych oznak depresji i ponurej desperacji, o której napomykała Zofia, ani tych raptownych ataków furii, jakich doświadczyła na własnej skórze. Był tak idealnym wcieleniem wszystkiego, co mnie pociągało i czego wręcz zazdrościłem innym, iż nie mogłem powstrzymać się od podejrzenia, że i konflikty, i fatalizm Natana, o których wspominała, były wytworem mrocznych regionów

jej polskiej wyobraźni. Taka już po prostu - rozumowałem - natura Polaczków.

No nie, myślałem, to człowiek absolutnie zbyt delikatny troskliwy, aby mógł być tak niebezpieczny jak sugerowała (choć wiedziałem przecież o jego paskudnych humorach). Weźmy moją książkę, moją rozkwitającą powieść. Nigdy nie zapomnę tego bezcennego, namiętnego monologu Natana. Wbrew wcześniejszym wywodom na temat przeżywania się literatury Południa, okazywał niezmiennie, krzepiące i braterskie zainteresowanie moją pracą. Pewnego ranka, podczas naszych *szmuzów* przy kawie, zapytał, czy mogę mu pokazać to, co już napisałem.

- Dlaczego by nie? - nalegał, marszcząc z napięciem śniadą twarz, co nadawało jej wyraz jakby dobrotliwego nadąsania.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Nie będę się wtrącał ani komentował. Żadnych sugestii. Po prostu strasznie chciałbym to przeczytać.

Byłem przerażony - przerażony z tej prostej przyczyny, że dosłownie nikt dotąd nawet nie zerknął na poplamiony odciskami palców plik żółtych kartek z zasmarowanymi i zatłuszczonymi marginesami, a mój podziw dla intelektu Natana był tak wielki, iż wiedziałem, że jeśli moje wysiłki spotkają się z dezaprobatą, okazaną choćby mimochodem, ostudzi to mój zapał, a może nawet zniechęci mnie całkiem do dalszej pracy. Pewnej nocy podjąłem wszakże ryzyko i łamiąc powzięte wcześniej roman - tycznoszlachetne postanowienie, że nie pozwolę nikomu zajrzeć do książki, dopóki nie postawię ostatniej kropki, a i wtedy tylko osobiście Alfredowi A. Knopfowi, dałem mu około dziewięćdziesięciu stron, które czytał w Różowym Pałacu, podczas gdy Zofia opowiadała mi w Mapie Court o swoim dzieciństwie w Krakowie. Serce zerwało mi się do nierównego galopu, kiedy Natan po upływie mniej więcej półtorej godziny wpadł z impetem do baru z mroku ulicy, z czołem zroszonym potem, i rozwalił się na krześle obok Zofii, naprzeciwko mnie. Twarz miał spokojną, pozbawioną wyrazu; spodziewałem się najgorszego. Omal nie zawołałem błagalnie: - Stop! Powiedziałeś, że nie będziesz komentował! - ale jego osąd już wisiał w powietrzu jak nieuchronne uderzenie pioruna.

- Czytałeś Faulknera - powiedział wolno, beznamiętnym głosem. - Czytałeś Roberta Penna Warrena. - Zrobił przerwę. - Jestem pewien, że czytałeś Thomasa Wolfe'a, a nawet Carson McCullers. Cofam obietnicę, że nie będzie krytyki.

Pomyślałem sobie: o, szlag by to, ma mnie. Trudno, to rzeczywiście kupa wtórnego gówna. Miałem ochotę zapaść się pod żłobioną, czekoladową, nakrapianą chromem posadzkę Mapie Court i szczeznąć gdzieś wśród szczurów w ściekach Flatbush. Zacisnąłem powieki. Nie powinienem był za żadne skarby pokazywać niczego temu oszustowi, myślałem. Zaraz

usłyszę coś o żydowskiej literaturze. I w tym momencie, spocony, ogarnięty mdłościami, aż podskoczyłem: jego wielkie łapska chwyciły mnie za ramiona, a na czole poczułem wilgotny, oślizły pocałunek. Wytrzeszczyłem oczy osłupiały, czując niemal na twarzy ciepło jego promiennego uśmiechu.

- Dwadzieścia dwa lata! - wykrzyknął. - I jak Boga kocham, umiesz pisać! To jasne, że czytałeś tych wszystkich pisarzy, nie napisałbyś niczego, gdybyś nie czytał. Ale ty ich wchłonałeś, mały, przyswoiłeś ich sobie na własność. Przemawiasz własnym głosem. To najbardziej ekscytujące sto stron, jakie kiedykolwiek napisał nieznany autor. Daj mi tego więcej! - Zofia, zarażona jego wylewnością, ścisnęła go za ramię i jaśniała jak madonna, patrząc na mnie tak, jakbym to ja napisał *Wojnę i pokój*. Zakrztusiłem się idiotycznie jakimś zlepkim bełkotliwych słów, bliski omdlenia ze szczęścia, szczęśliwszy - niewiele w tym przesady - niż kiedykolwiek później, w moim życiu pełnym pamiętnych, choć nieefektywnych satysfakcji. Do końca wieczoru Natan robił wokół mojej książki mnóstwo cudownego szumu, napawając mnie wielką otuchą, czego w skrytości ducha rozpaczliwie potrzebowałem. Jakże mogłem nie uwielbiać tak wielkodusznego, wzbogacającego mnie umysłowo i życiowo mentora, kumpla, zbawcy, czarnoksiężnika? Ten Natan był absolutnie zabójczy.

Nadszedł lipiec, przynosząc zmienną pogodę - najpierw upały, potem dni zaskakująco chłodne i dżdżyste, kiedy spacerowicze wędrowali po parku opatuleni w kurtki i swetry, wreszcie kilka z rzędu poranków zapowiadających dalekimi, groźnymi pomrukami burzę, która jednak omijała miasto. Doszedłem do wniosku, że mógłbym mieszkać we Flatbush, w Różowym Pałacu Yetty, do końca życia, a już na pewno wiele miesięcy, a nawet lat, dopóty, dopóki nie skończę swego arcydzieła. Trudno mi było wytrwać przy wszystkich szlachetnych postanowieniach, bo wciąż jeszcze gnębił mnie mój ubolewania godny celibat; poza tym jednak odnosiłem wrażenie, że ustalony porządek naszych codziennych kontaktów towarzyskich z Zofią i Natanem byłby dla każdego początkującego pisarza sytuacją wymarzoną. Podtrzymywany na duchu entuzjastycznymi zapewnieniami Natana, smarowałem w moim bloku jak szatan, mając przez cały czas krzepiącą świadomość, że ilekroć poczuję się znużony ciężką pracą, zawsze mam pod ręką Zofię, Natana lub oboje naraz, gotowych, by podzielić się jakąś tajemnicą, strapieniem, dowcipem, wspominkami, Mozartem, kanapką, kawą, piwem. Trzymając samotność na dystans, ożywiany przyływem twórczej energii, nie mogłem być szczęśliwszy...

To znaczy nie mógłbym być szczęśliwszy, gdyby nie fatalny ciąg zdarzeń, które zakłóciły mój komfort psychiczny, uświadamiając mi, jak rozpaczliwe napięcie istniało ciągle

pomiędzy Zofią a Natanem i jak uzasadnione były jej złe przeczucia, jej lęk mimowolne napomknienia o gorzkich, dzielących ich nieporozumieniach. Czas przyniósł jeszcze bardziej złowrogie rewelacje. Po raz pierwszy od chwili przybycia przed miesiącem do domu Yetty, zacząłem dostrzegać emanującą z Natana niczym jakaś toksyczna, dostrzegalna niemal gołym okiem wydzielina, skłonność do destrukcji i napadów furii. Zacząłem też stopniowo pojmować, że ów wir, który rozrywał ich na strzępy, ma zapewne podwójne źródło: w ukrytej, mrocznej i udręczonej stronie natury Natana i we wciąż obecnej, tak niedawnej przeszłości Zofii, która ciągnęła się za nią niby straszliwa smuga dymu z krematoriów Oświęcimia, niosąc z sobą męczarnie, zagubienie, samookłamywanie i, ponad wszystko, poczucie winy...

Pewnego wieczoru, około szóstej, siedziałem w Maple Court, przy naszym ulubionym stoliku, sącząc piwo i czytając nowojorski „Post”. Czekałem na Zofię - miała przyjść prosto z gabinetu Blackstocka - i na Natana, z którym umówiliśmy się podczas porannej kawy, że dołączy do nas około siódmej, po wyjątkowo, jak przewidywał, długim i męczącym dniu pracy w laboratorium. Czułem się nieco usztywniony i oficjalny w czystej koszuli, krawacie i garniturze, który włożyłem po raz pierwszy od czasu niefortunnej przygody z Księżniczką z Pierrepont Street. Ku swej konsternacji odkryłem zastarzały, lecz ciągle jaskrawo - cynobrowy ślad pomadki Leslie na klapie marynarki, ale po - pluwając obficie i wygładzając klapę udało mi się jakoś uczynić go praktycznie niewidocznym, przynajmniej dla mojego ojca. Wystroilem się tak, bo miałem powitać go na Pennsylvania Station, na którą przyjeżdżał wieczornym pociągiem z Wirginii. Dostałem od niego list niespełna tydzień wcześniej: donosił w nim, że zamierza wpaść z krótką wizytą. Przyczyna była sympatyczna i nader prosta - pisał, że stęsknił się za mną i po tak długim niewidzeniu (jak obliczyłem, po dziewięciu z górą miesiącach) chciałby, spotykając się ze mną twarzą w twarz i oko w oko, odświeżyć wzajemne uczucia i zacieśnić więzy rodzinne. Miał w lipcu urlop, mógł przyjechać. Było w tym coś tak ortodoksyjnie „południowego”, tak staroświeckiego, że gest ów wydał mi się wręcz paleologiczny, ale rozrzewnił mnie głęboko, potęgując szczerze uczucia, jakie wobec niego żywiłem.

Wiedziałem też, że wyprawa do wielkiego miasta, którego głęboko nienawidził, pociąga za sobą ogromne koszty emocjonalne. Jego typowa dla Południowca nienawiść do Nowego Jorku nie była prymitywną, tępą i egocentryczną nienawiścią, jaką reprezentował ojciec mojego kolegi ze studiów, mieszkaniec jednego z najbardziej bagnistych hrabstw Południowej Karoliny. Niechęć owego dżentelmena z prowincji do wizyt w Nowym Jorku opierała się na apokaliptycznym, obsesyjnym, wysnutym z fantazji scenariuszu: siedząc w

kafejce na Times Square, zajęty swoimi sprawami, dostrzega nagle, że miejsce obok niego zajmuje wielki, szczerzący zęby i cuchnący Negr (grzeczny czy cham, nie ma znaczenia; ważna jest sama jego bliskość). W pewnym momencie, kierowany nieodpartym impulsem, nasz dżentelmen popełnia przestępstwo: łapie butelkę ketchupu Heinza i wali czarnego sukinsyna w łeb. Dostaje za to pięć lat w Sing Singu. Mój ojciec miał mniej obłąkańcze, choć równie poważne zastrzeżenia do tego miasta. Żaden urojony potwór, żaden kolorowy wilkołak nie nawiedzał wyobraźni tego prawdziwego dżentelmena, liberała i zwolennika Jacksonowskiego modelu demokracji. Ojciec nie cierpiał Nowego Jorku jedynie z powodu jego, jak to określał, „barbarzyństwa”, za brak kurtuazji w stosunkach między ludźmi, za totalny upadek tak szacownej dziedziny, jak obyczaje w życiu publicznym. Opryskliwe warknięcia policjantów regulujących ruch, nachalny ryk klaksonów, nieuzasadniona krzykliwość mieszkańców Manhattanu w porze nocnej, wszystko to szarpało mu nerwy, wywoływało nadkwasotę, zakłócało spokój wewnętrzny i osłabiało wolę. Bardzo pragnąłem się z nim zobaczyć byłem niezwykle poruszony faktem, że podjął trudy długiej podróży na Północ, decydując się znieść wielkomięski zgiełk przedzierać pod prąd przez wzburzone fale mieszkańców metropolii po to tylko, by odwiedzić swą jedyną latorośl.

Czekałem na Zofię trochę niecierpliwie. Nagle zobaczyłem coś, co bez reszty przykuło moją uwagę. Na trzeciej stronie wieczornego wydania „Post” widniał zaopatrzony w bardzo niekorzystne zdjęcie artykuł poświęcony słynnemu rasiście demagogowi ze stanu Missisipi, senatorowi nazwiskiem Theo - dore Gilmore Bilbo. Z artykułu wynikało, że Bilbo, którego twarzy i wypowiedzi pełno było w środkach masowego przekazu podczas wojny i zaraz po niej, ma poddać się operacji raka jamy ustnej w klinice Ochsnera w Nowym Orleanie. Można też było wywnioskować, że pozostało mu bardzo mało czasu. Już na zdjęciu wyglądał na trupa. Była w tym jakaś oczywista ironia losu: ten, którego „prawomyślni” obywatele całej Ameryki, włącznie z Południem, znienawidzili za jawne, publiczne i nieskrępowane używanie słów takich jak „czarnuch”, „śmierdziel”, „smoluch”, nabawił się raka tej symbolicznej części swej anatomii. Mały tyran z sosnowych borów, który nazwał burmistrza Nowego

Jorku, La Guardię, „makaroniarzem” i który zwrócił się do żydowskiego kongresmana per „drogi mošku”, cierpi na zaawansowany nowotwór. Uciszy on wkrótce niewyparzoną gębę złośliwy język - to było niesamowite; „Post” wylewał ironię wiadrami. Przeczytawszy artykuł westchnąłem głęboko. Musiałem przyznać, że wiadomość o końcu tego starego drania bardzo mnie ucieszyła. Spośród wszystkich, którzy tak obrzydliwie szargali reputację dzisiejszego Południa, Bilbo był intrygantem czołowym. Nie dlatego, by stanowił modelowy

przykład polityka z tego regionu, lecz dzięki swojej kłapiącej jadaczce i rozgłosowi, jaki zyskał wśród prostaczków (i nie tylko), upatrujących w nim archetyp męża stanu z Południa. W ten sposób kalaf wizerunek tego wszystkiego, co było na Południu dobre, uczciwe czy wręcz wzorowe, tak skutecznie i tak haniebnie, jak te anonimowe subantropoidy, które ostatnio zamordowały Bobby'ego Weeda. Miło mi cię pożegnać, podły stary łajdaku - powtórzyłem w myślach.

Jednak nawet wtedy, kiedy chmiel zaczął działać, łagodnie otepiając moją wrażliwość, zawładnęły mną inne emocje, gdy rozmyślałem o losie Bilba; nazwałbym to żalem, być może nikłym, ale zawsze żalem. Parszywa śmierć - myślałem. Rak tego rodzaju musi być czymś koszmarnym. Te potwornie zwyrodniałe komórki przerzutów, tak bliskie mózgu, wdzierające się jak podstępne, mikroskopijne pasożyty do policzków, zatok, oczodołu, szczęk, napelniające jamę ustną swym piorunującym jadem, aż po język, przeżarty, zgniły i niemy. Wzdrygnąłem się lekko. Ale nie tylko ten bolesny, śmiertelny cios, który dosięgnął senatora, obudził we mnie osobliwe i przelotne wyrzuty sumienia. Było w tym jeszcze coś, coś abstrakcyjnego i odległego, nieuchwytnego, a zarazem dręczącego moją duszę. Wiedziałem o Bilbie więcej niż przeciętny amerykański obywatel, także ten interesujący się nieco polityką, a już bez wątplenia więcej niż redaktorzy nowojorskiego „Posta”. Moja wiedza nie była z pewnością głęboka, ale nawet ta powierzchowna orientacja w pewnych aspektach charakteru Bilba pozwalała mi odczuć ciężar realnego ciała i poczuć zapach potu w płaskiej, gazetowej notatce. To, co nim wiedziałem, nie usprawiedliwiała go jakoś szczególnie pozostanie dla mnie łajdakiem pierwszej wody do chwili, kiedy tumor zdławi do końca jego oddech lub rozrośnie się tak, że przeniknie do przedsionków mózgu - ale umożliwiało mi dostrzeżenie człowieka z krwi i kości za seryjnym, ulepionym z *papiermache* wyobrażeniem nikczemnika z Dixie.

W college'u, gdzie oprócz ćwiczeń w „twórczym pisaniu” moim jedynym poważnym zainteresowaniem naukowym była historia amerykańskiego Południa, wysmażyłem obszerną zaliczeniową rozprawkę o tym cudacznym i poronionym ruchu politycznym zwanym populizmem, poświęcając szczególną uwagę działającym na Południu demagogom i podżegaczom motłochu, którzy tak często brani byli za wzorcowe okazy, reprezentujące najgorsze cechy regionu. Rozprawka nie była, jak pamiętam, zbyt oryginalna, ale jak na dwudziestolatka włożyłem w jej napisanie dużo wysiłku i dostałem za nią chlubną piątkę w czasach, kiedy było to bardzo rzadkie. Zrzucając na potęgę ze znakomitego studium C. Vann Woodwarda o Tomie Watsonie z Georgii koncentrując się na postaciach takich koszmarnych bohaterów ludowych, jak „Pitchfork Ben” Tillman, James K. Vardaman, „Cotton Ed” Smith i

Huey Long, wykazałem, jak demokratyczny idealizm, szczerą troską o prostego człowieka, a także zdecydowany sprzeciw wobec monopolistycznego kapitalizmu, grubych ryb przemysłu i biznesu oraz „wielkich pieniędzy” łączyły tych ludzi, przynajmniej we wczesnym okresie ich karier. Następnie przeprowadziłem na podstawie tej tezy dowodzenie, w którym wykazałem, jak tych zasadniczo przyzwoitych ludzi, a nawet wizjonerów, powaliła ich zgubna słabość w obliczu rasowej tragedii Południa. Każdy z nich bowiem w większym lub mniejszym stopniu musiał w końcu zacząć wygrywać i wykorzystywać zadawniony lęk i nienawiść białej wieśniackiej biedoty wobec Murzynów dla podparcia tego, co wyrodziło się w nędzną ambicję i żądzę władzy.

Chociaż nie poświęciłem zbyt wiele uwagi postaci Bilba, dowiedziałem się z badań źródłowych (z niejakim zaskoczeniem, zważywszy na prawdziwie nikczemny obraz, jaki sobą przedstawiał w latach czterdziestych), że i on przystawał do tego klasycznego, paradoksalnego modelu. Bilbo, podobnie jak tamci, zaczynał od głoszenia świątłych pryncypiów i tak samo jak oni przeprowadził jako urzędnik państwowy szereg reform, wnosząc duży wkład w znaczną poprawę bytu społeczeństwa. Nie stanowiło to wystarczającej przeciwwagi dla jego obrzydliwego szczekania, które mogłoby odstręczyć najbardziej nawet zacofany element Wirginii, ale zawsze było czymś pozytywnym. Jako jeden z najpodlejszych popleczników znienawidzonych dogmatów, jeszcze bardziej wstecznych niż poglądy Masona Dixona, wydawał mi się ponadto - kiedy dumiałem nad zdjęciem wymiżanej postaci w białym, letnim workowatym ubraniu, wyniszczonej jak ktoś, kogo śmierć trzyma już w swym uścisku, pomimo że człapał jeszcze zgarbiony obok strzępiastej palmy w nowoorleańskiej klinice - jedną z głównych i najwredniejszych ofiar własnej ideologii. Nikłe westchnienie żalu towarzyszyło moim pożegnalnym pomrukowi. Nagle, kiedy tak myślałem o Południu, o Bilbie i znów o Bobbym Weedzie, poczułem przyływ bolesnego, rozdzierającego pesymizmu. Jak długo jeszcze, Panie? - zaklinałem Go, wznosząc oczy ku zaśnieżonemu, nieruchomemu kandelabrom. wtedy ujrzałem Zofię, akurat w momencie, gdy pchnęła brudne, oszklone drzwi; ukośny, złocisty promień przypadkowo padł dokładnie pod takim kątem, że oświetlił rozkoszny zarys jej policzka tuż pod owalnymi, posepnie sennymi, nieco azjatyckimi oczami i całą wyrazistą, harmonijną kompozycję reszty twarzy włącznie - a raczej, powiedziałbym, szczególnie - z subtelnym, smukłym, lekko zadartym i perkatym polskim *sznocem*, jak go pieszczotliwie nazywał Natan. Bywało, że taki nonszalancki gest jak otwieranie drzwi, szczotkowanie włosów, rzucanie okruchów łabędziom w Prospect Parku (tkwiło to chyba w ruchu, postawie, przechyleniu głowy, płynnych poruszeniach ramion, kołysaniu bioder) - że to wszystko razem tworzyło całość tak piękną, iż dosłownie zapierało

dech w piersiach. To przechylenie głowy, ta płynność, to rozkołysanie bioder przydawało Zofii rozkosznej, tylko jej właściwej odrębności, która, klnę się na

Boga, zapierała dech. I to dosłownie, bo jednocześnie z oszalamiającym wrażeniem, jakie odbierał mój wzrok, kiedy tak mrużąc oczy w półmroku stała nieruchomo w progu z włosami skąpanymi w złotej poświacie zmierzchu, usłyszałem własną, nikłą, acz słyszalną półczkawkę wstrzymywanego oddechu. Byłem w niej wciąż kretyńsko zadurzony.

- Stingo, ależ się wystroiłeś, dokąd się wybierasz, włożyłeś swój kutaśny garnitur, pięknie wyglądasz - wyrzuciła z siebie chaotycznie jednym tchem, purpurowiejąc nagle i poprawiając się z uroczym chichotem akurat w momencie, gdy ja sam wyartykułowałem właściwe: fikuśny! Zanosząc się chichotem opadła na krzesło obok mnie i ukryła twarz na mojej piersi. - *Quelle horreur!*

- Za długo przestajesz z Natanem - powiedziałem, wtórując jej śmiechem. Seksualny idiom, jakiego użyła, mógł pochodzić tylko od Natana. Uświadomiłem sobie to już wcześniej, w momencie kiedy opowiadając mi o kilku purytańskich ojcach miasta Krakowa, którzy postanowili zaopatrzyć w listek figowy kopię posągu Dawida Michała Anioła, powiedziała, że chcieli „zakryć mu *szlonga*”.

- Brzydkie słowa po angielsku i w jidysz brzmią lepiej niż po polsku - powiedziała uspokoiwszy się. - Wiesz, jak jest po polsku *fuck*? Pierdolić. To nie to samo, co po angielsku. *Wolę fuck.*

- Ja też wolę *fuck.*

Kierunek, w jakim zmierzała nasza rozmowa, zaczął mnie trochę podniecać (Zofia przejęła od Natana niewinną otwartość, z którą nie mogłem się oswoić), ale udało mi się zmienić temat. Pozorowałem nonszalancję, mimo że jej obecność rozpalała mnie i poruszała aż do trzewi, a moje oszołomienie potęgował zapach jej perfum - ta sama intensywna, jakby ziemista i prowokująca ziołowa woń, która tak pobudziła moje libido pierwszego dnia, podczas wyprawy na Coney Island. Teraz zapach ten zdawał się wydobywać spomiędzy jej piersi; apetycznie obramowane głębokim dekoltem jedwabnej bluzki, okazały się ku memu zaskoczeniu bujniejsze niż przypuszczałem. Bluzka była z całą pewnością nowa i nie bardzo w jej stylu. W ciągu tych paru tygodni naszej znajomości ubierała się denerwująco konserwatywnie i nieefektywnie (nie licząc upodobania do przebieranek, dzielonego z Natanem, co było zupełnie inną sprawą) i nosiła sukienki, które w jej intencji miały najwidoczniej odwracać uwagę od walorów ciała, a szczególnie jego górnej partii; nawet w czasach, gdy wymogi mody kazały ignorować prawdziwie kobiecą sylwetkę, Zofia była wyjątkowo skromna. Widywałem jej biust rozkołysany pod jedwabiem i kaszmiem, a także

w nylonowym kostiumie kąpielowym, ale nigdy szczególnie eksponowany. Wysnułem stąd teorię, że ta skromność jest jak gdyby psychicznym przedłużeniem pruderii, z jaką bez wątpienia musiała maskować swoje ciało, żyjąc w obrębie surowej, katolickiej społeczności przedwojennego Krakowa, i że trudno jej teraz zerwać z tą praktyką. Myślę, że poza tym nie chciała pokazywać światu, co zrobiły z jej ciałem niedole przeszłości. Często wypadła jej proteza. Na szyi miała przedwczesne, drobne zmarszczki, skóra na ramionach wciąż była zwiotczała.

Jednak dotychczasowa, trwająca rok batalia Natana o przywrócenie jej zdrowia i odkarmienie wyniszczonego organizmu zaczynała dawać wyniki; w każdym razie Zofia musiała być tego świadoma, bo pozostając damą, pozwalała sobie demonstrować swoje urocze, lekko piegowate półkule tak otwarcie, jak tylko było można, dzięki czemu udawało mi się rzucić na nie okiem, z najwyższym zresztą uznaniem. Jedyne, czego potrzeba cyckom, myślałem, to wspaniałe amerykańskie odżywki. Piersi Zofii kazały mi przenieść moje erotyczne fantazje z budzącej bolesne wręcz pożądanie, idealnie proporcjonalnej brzoskwini jej *derrière* i zogniskować uwagę na górnych rejonach. Wkrótce zrozumiałem, że wystroiła się w te seksowne szmatki, ponieważ miał to być specjalny wieczór dla Natana. Zamierzał podzielić się z nami jakąś wspaniałą nowiną, związaną z jego pracą. Jak powiedziała Zofia, cytując Natana, miała to być prawdziwa bomba.

- To znaczy co? - zapytałem.

- Coś na temat jego pracy - odpowiedziała. - Jego badań. Obiecał, że powie nam dziś wieczorem o jakimś swoim odkryciu. W końcu nastąpił, jak powiedział, przełom.

- To cudownie. - Byłem autentycznie podekscytowany. - Chodzi o to coś, o czym mówi tak... zagadkowo? Dobrał się do tego wreszcie, tak?

- Tak właśnie powiedział, Stingo! - Oczy jej błyszczały.

- Powie nam dzisiaj.

- Boże, to fantastyczne - powiedziałem i poczułem nikły, ale wyraźny wewnętrzny dreszczyk emocji.

Nie wiedziałem dosłownie nic o pracy Natana. Chociaż opowiadał mi szczegółowo (aczkolwiek dla mnie niezrozumiale) otechnicznej stronie swych badań (enzymy, transferencja jonów, błony przepuszczalne etc., a także płód tego nieszczęsnego królika), nigdy nie wyjawiał mi - ani też ja przez skromność to nie pytałem - ostatecznego celu skomplikowanego i niewątpliwie niezwykle śmiałego biologicznego przedsięwzięcia. Wiedziałem także od Zofii, że i ją trzymał w nieświadomości. Początkowo przypuszczałem - a były to spekulacje bardzo naciągnięte, nawet jak na takiego ignoranta jak ja (już wtedy

zaczynałem przeklinać pachnące bzami, *findesieclowe* godziny moich studenckich czasów, kiedy to pławilem się wprost w metafizycznej poezji i Wysokiej Literaturze, gardziłem ostentacyjnie polityką i plugawą, nagą rzeczywistością oraz składałem codzienne hołdy „Kenyon Review”, Nowej Krytyce ektoplazmatycznemu Panu Eliotowi) - otóż przypuszczałem, że Natan pracował nad wyhodowaniem rozwiniętej formy życia w probówce. Może miała to być jakaś nowa rasa *homo sapiens*, wspanialsza, szlachetniejsza, lotniejsza niż sponiewierani cierpiętnicy naszych czasów. Widziałem wręcz oczyma wyobraźni maleńkiego, embrionalnego supermana, jakiego Natan mógł upichcić w laboratoriach Pfizera, kilkucentymetrowego homun - kulusa z kwadratową szczęką, w pelerynie i z literą „S” zdobiacą jego pierś, gotowego wskoczyć na swoje miejsce na kolorowych łamach „Life’u” jako jeszcze jeden cudowny artefakt naszego wieku. Była to jednak czcza fanaberia; w rzeczywistości nie miałem o niczym pojęcia. Wiadomość, że wkrótce zostaniemy oświeceni, podziałała na mnie jak elektryczny wstrząs. Chciałem koniecznie dowiedzieć się czegoś więcej.

- Zadzwoił dziś rano do mnie do pracy - wyjaśniła - do gabinetu doktora Blackstocka, i powiedział, że chciałby zjeść ze mną lunch. Chciał mi coś powiedzieć. Był tak podniecony, że nie mogłam się domyślić, o co chodzi. Dzwonił z laboratorium i to było zupełnie niezwykle, rozumiesz, Stingo, bo prawie nigdy nie jadaliśmy razem lunchu. Pracujemy tak daleko od siebie. Zresztą Natan uważa, że widzimy się ciągle i że jedzenie razem to byłoby może trochę... *de trop*. W każdym razie zadzwonił rano i nalegał bardzo podniecony, więc spotkaliśmy się w takiej włoskiej restauracji niedaleko Lafayette Street, w której byliśmy zeszłego roku, kiedy się poznaliśmy. Och, był wprost obłędnie podniecony! Myślałam, że ma gorączkę. Podczas jedzenia zaczął mi wyjaśniać, co się zdarzyło. Słuchaj uważnie, Stingo. Powiedział, że dziś rano on i jego zespół - ten zespół badawczy - osiągnęli wreszcie spodziewany sukces. Powiedział, że są bardzo bliscy końcowego odkrycia. Nie mógł jeść, taki był szczęśliwy! I wiesz, Stingo, kiedy mi to wszystko mówił, przypomniałam sobie, że rok temu właśnie przy tym stoliku powiedział mi po raz pierwszy o swojej pracy. Powiedział, że to, co robi, to tajemnica. A co to jest dokładnie, nie może zdradzić, nawet mnie. Ale pamiętam pamiętam, jak mówił, że jeśli im się uda, będzie to jedno z największych medycznych odkryć wszech czasów. Tak dokładnie powiedział, Stingo. Mówił też, że nie pracuje nad tym sam, że są jeszcze inni. Ale był bardzo dumny ze swojego udziału. A potem powtórzył: jedno z największych medycznych odkryć wszech czasów! Powiedział, że dostaną za to Nagrodę Nobla!

Umilkła; widziałem, że i jej twarz zaróżowiła się z emocji.

- Boże, Zofio - powiedziałem - to wprost cudowne. Jak myślisz, co to może być? Nie uchylili choćby rąbka tajemnicy?

- Nie, powiedział, że musimy czekać do wieczora. Na razie nie mógł mi nic powiedzieć oprócz tego, że się im udało. W takich firmach jak Pfizer, gdzie robi się leki, obowiązuje wielka tajemnica. Ale ja to rozumiem.

- Te kilka godzin nie robi chyba różnicy? - gorączkowałem się.

- Chyba nie, ale on powiedział, że robi. W każdym razie niedługo się dowiemy. To wprost niewiarygodne, *formidable*, prawda? - ścisnęła moją dłoń tak, że aż zdrętwiały mi palce.

To musi być rak, myślałem podczas krótkiego monologu Zofii. Rozpierały mnie szczęście i duma, udzielało mi się jej radosne ożywienie. To na pewno lek przeciw rakowi; ten nieprawdopodobny sukinsyn, ten uczony geniusz, którego mam zaszczyt nazywać moim przyjacielem, wynalazł lekarstwo na raka. Skinąłem na barmana, żeby podał jeszcze piwa. Pieprzone lekarstwo na raka!

Ale w tym samym momencie nastrój Zofii uległ, jak mi się wydawało, naglej, niepokojącej zmianie. Podniecenie i ożywienie opuściły ją raptownie i do głosu wkradła się nuta zatroskania czy też lęku. Wyglądało to tak, jakby zaopatrzyła w jakiś smutny i przykry dopisek swój list, tym bardziej żartobliwy i pogodny, że musiała na końcu dołączyć to okrutne postscriptum (PS Żądam rozwodu).

- Wyszliśmy z restauracji - ciągnęła - bo powiedział, że zanim wróci do pracy, chciałby mi coś kupić, żeby uczcić to wydarzenie. Uczcić jego odkrycie. Coś, co mogłabym włożyć, kiedy będziemy oblewać sukces. Coś szykownego i seksownego. Poszliśmy więc do tego wspaniałego sklepu, w którym już kiedyś byliśmy, i kupił mi tę bluzkę i spódniczkę. I buty. I parę kapeluszy i torebek. Podoba ci się ta bluzka?

- Bomba - powiedziałem, co bynajmniej nie oddawało w pełni mojego zachwytu.

- Myślę, że jest bardzo... odważna. W każdym razie, Stingo, rzecz w tym, że kiedy zapłacił i mamy już wyjść ze sklepu, widzę nagle, że dzieje się z nim coś dziwnego. To się już wcześniej zdarzało, ale niezbyt często i zawsze mnie trochę niepokoiło. Powiedział nagle, że boli go głowa, o tu, z tyłu. Zbladł też okropnie i oblał się potem. To było tak, jakby mu zaszkodził nadmiar wrażeń, jakby musiał to odreagować. Powiedziałam, że powinien iść do domu i położyć się, zrobić sobie przerwę w pracy, ale nie chciał - musiał wracać do laboratorium, miał jeszcze masę roboty. Skarżył się, że potwornie boli go głowa. Tak bardzo chciałam, żeby poszedł do domu i odpoczął, ale powiedział, że musi wracać do Pfizera.

Dostał od właścicielki sklepu trzy aspiryny i trochę się uspokoił, całe podniecenie minęło. Był spokojny, nawet *mélancholique*. A potem pocałował mnie delikatnie i powiedział, że zobaczymy się wieczorem, tutaj, i że ty też masz być, Stingo. Chce, żebyśmy poszli do restauracji Lundy'ego na wspaniałą kolację z *frutti di mare*, żeby uczcić to wydarzenie. Uczcić Nagrodę Nobla za 1947 rok.

Musiałem odmówić. Byłem kompletnie zdruzgotany tym, że z powodu przyjazdu ojca nie będę mógł uczestniczyć w tej radosnej uroczystości; cóż za rozczarowanie! Zapowiedź bajecznych nowin wywoływała tak palącą ciekawość, iż nie mogłem wprost uwierzyć, że nie będę obecny przy ogłoszeniu rewelacji.

- Jest mi niezmiernie przykro, Zofio - powiedziałem - ale przyjeżdża mój ojciec i muszę wyjść po niego na Penn Station. Posłuchaj, może Natan mógłby mi przynajmniej powiedzieć, co to za odkrycie, zanim pójdę? Moglibyśmy wybrać się do restauracji i oblać to za parę dni, kiedy mój staruszek wyjedzie.

Zdawała się wcale mnie nie słuchać; kontynuowała swój monolog głosem, który wydawał mi się jednocześnie spokojny i podszyty złymi przeczuciami.

- Mam nadzieję, że nic mu nie jest. Czasami, kiedy się tak podnieci i jest taki szczęśliwy, ma te okropne bóle głowy i tak się poci, że jest cały mokry, jakby chodził po deszczu. I cała radość mija. I czasami, Stingo, nie zawsze, robi się z nim coś bardzo dziwnego. To tak, jakby był *tellement agité* i szczęśliwy, jakby unosił się w powietrzu jak samolot i leciał, leciał aż do stratosfery, gdzie powietrze jest tak rozrzedzone, że lot jest niemożliwy i pozostaje tylko runąć w dół. Na samo dno, Stingo! Ach, mam nadzieję, że to nic groźnego.

- Na pewno wszystko będzie dobrze - zapewniałem ją bez większego przekonania. - Każdy na jego miejscu zachowywałby się dziwnie. - Choć nie potrafiłem z nią dzielić tych najgłębszych obaw, musiałem w duchu przyznać, że jej słowa wytrąciły mnie nieco z równowagi. Mimo to starałem się o nich nie myśleć. Pragnąłem jednego - żeby Natan przyszedł, ogłosił swój triumf i wyjawiał dręczącą mnie nieznośnie tajemnicę. Tymczasem zaryczała szafa grająca. Bar zaczął się zapełniać zwykłą, bezbarwną, wieczorną klientelą; większość bywalców stanowili mężczyźni w średnim wieku o szarych, nawet w środku lata, twarzach, mocno spragnieni goje z Północnej Europy z obwisłymi brzuskami, windziarze i przepychacze rur kanalizacyjnych w brzydkich, dziesięciopiętrowych blokach żydowskich z beżowej cegły, które długimi szeregami ciągnęły się kwartał za kwartałem w okolicach parku. Oprócz Zofii nie spotykało się tu na ogół kobiet. Nigdy też nie widziałem żadnej dziwki - pruderyjne sąsiedztwo oraz znużenie zgrzebnej klienteli baru wykluczały z góry samą ideę

uprawiania tej dyscypliny sportowej - ale dziś, tego szczególnego wieczoru, podeszły do nas dwie uśmiechnięte zakonnice z grzechoczącą, cynową puszką i w imieniu siostr od św. Józefa wymamrotały groteskowo łamaną angielszczyzną prośbę o datek na cele dobroczynne. Wyglądały na Włoszki i były wyjątkowo paskudne, zwłaszcza jedna, która miała w kąciu ust okropną narośl, przypominającą rozmiarami, kształtem i barwą karalucha z University Residence Club; sterczały z niej włosy jak wąsy kukurydzy. Odwróciłem wzrok, ale pogrzebawszy w kieszeni wyciągnąłem dwadzieścia centów, podczas gdy Zofia na widok podstawianej, brzęczącej puszką wykrzyknęła: „Nie!” tak gwałtownie, że zakonnice aż odskoczyły z idealnie zsynchronizowanym zachnięciem, po czym umknęły pospiesznie. Spojrzałem na nią zdziwiony.

- Dwie zakonnice to pech - powiedziała markotnie i po chwili dodała: - Nienawidzę ich! Nie uważasz, że były paskudne?

- Sądziłem, że jesteś dobrze wychowaną, katolicką dziewczynką - odparłem żartobliwie.

- Byłam - odpowiedziała. - Ale dawno temu. Nie cierpiałabym ich i tak, nawet gdybym była religijna. Głupie, tępe dziewice! I jakie ohydne! - wzdrygnęła się i potrząsnęła głową. - Okropność! Och, jak ja nienawidzę tej głupiej religii!

- Wiesz, to naprawdę dziwne - wtrąciłem. - Pamiętam, jak parę tygodni temu opowiadałaś mi o swoim pobożnym dzieciństwie, wierze i tak dalej. Co ci się...

Znów potrząsnęła gwałtownie głową i dotknęła szczupłymi palcami grzbietu mojej dłoni.

- Wybacz, Stingo, przez te zakonnice czuję się taka *pourri* zepsuta. Cuchnąca. Te zakonnice pieszczące... - zawahała się, zmieszana.

- Chciałaś chyba powiedzieć „pieszczące” - podpowiedziałem.

- Właśnie, pieszczące się przed Bogiem, który musi być potworem, Stingo, jeśli w ogóle istnieje. Potworem! - Zamilkła na moment. - Nie chcę rozmawiać o religii. Nienawidzę religii. Religia jest dla *analphabètes*, dla imbecyli. - Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest już po siódmej. W jej głosie pojawił się niepokój. - Mam nadzieję, że z Natanem wszystko dobrze.

- Nie martw się, przejdzie mu - powtórzyłem z najgłębszym przekonaniem, na jakie było mnie stać. - Słuchaj, Natan jest teraz pod straszliwym ciśnieniem w związku z tymi badaniami, tym sukcesem, cokolwiek to jest. I to napięcie musi odbić się na jego zachowaniu, dlatego jest taki... taki dziwny, no wiesz, o co mi chodzi. Nie martw się o niego. Mnie też rozbolełaby głowa, gdybym przeszedł przez taką wyżymaczkę, zwłaszcza że skończyło się

takim niewiarygodnym sukcesem... - urwałem; ciągle korciło mnie, żeby dodawać „cokolwiek to jest”. Teraz ja pogładziłem jej dłoń. - No, uspokój się, proszę. Lada chwila przyjdzie, jestem pewien. - Tu znów wspomniałem o przyjeździe ojca (napomykając przy tym z rozczuleniem o okazywanej mi krzepiącej trosce i moralnym wsparciu, jakiego mi udzielał, lecz przemilczając sprawę niewolnika Ariste i jego roli w moim życiu, wątpiłem bowiem, czy Zofia zdążyła się zorientować w historii Ameryki na tyle dobrze, by pojąć całą złożoność sprawy mojego długu wdzięczności wobec tego czarnego chłopca), po czym zacząłem się rozplýwać nad szczęściem stosunkowo nielicznych młodych ludzi, posiadających rodziców na tyle tolerancyjnych i wyzbytych egoizmu, by jak on umieli pokładać ślepą wiarę w lekkomyślnym synu, któremu zachciało się uszczknąć liści z laurowego wieńca sławy. Byłem już lekko wstawiony. - Ojcowie otak wizjonerskiej wyobraźni i tak wielkiego ducha są prawdziwą rzadkością - dowodziłem sentymentalnie, czując szczypanie piwa na wargach.

- Tak ci zazdroścę, że masz jeszcze ojca - rzekła Zofia w zadumie. - Ja bardzo tęsknię za swoim, okropnie mi go brak.

Zawstydziłem się lekko, choć może trafniej byłoby powiedzieć, że uświadomiłem sobie swój nietakt; pomyślałem nagle o tym, co mi parę tygodni temu opowiadała, o swym ojcu i innych krakowskich profesorach spędzonych jak stado świń, o karabinach maszynowych, zatłoczonych budach, o Sachsenhausen, o śmierci od kul plutonu egzekucyjnego na ośnieżonej, zamarznętej, niemieckiej ziemi. Chryste, pomyślałem, jak wiele nam, Amerykanom, zostało zaoszczędzone w tych dzisiejszych czasach. Owszem, odegraliśmy swoją bohaterską i pożyteczną rolę jako dzielni żołnierze, lecz jakże skromny jest bilans strat wśród naszych ojców i synów wobec straszliwego męczeństwa niezliczonych rzesz Europejczyków. Można się było udławić tym nadmiarem szczęścia.

- Upłynęło tyle czasu - ciągnęła Zofia - że nie rozpaczam już tak jak kiedyś, ale ciągle mi go brak. Był taki dobry - i tym to wszystko straszniejsze, Stingo! I pomyśleć, że tylu złych ludzi

- Polaków, Niemców, Rosjan, Francuzów, wszystkich narodowości - tylu niegodziwców, którzy zabijali Żydów, uciekło i żyje do dziś. W Niemczech. Albo na przykład w Argentynie. A taki dobry człowiek jak mój ojciec musiał umrzeć! Czy to nie wystarczy, żeby utracić wiarę w Boga? Jak można wierzyć w Boga, który odwraca się od takich ludzi? - Ów wybuch, ta mała aria, był tak gwałtowny, że aż mnie to zaskoczyło; palce Zofii drżały lekko. Potem uspokoiła się. I jeszcze raz - jak gdyby nie pamiętając, że już mi to opowiadała, a może dlatego, że takie powtórki przynosiły jej jakieś gorzkie ukojenie - zaczęła szkicować z wyobraźni portret ojca z czasów, gdy podczas pogromu w Lublinie z narażeniem życia

ratował Żydów.

- Jak to będzie *l'ironie*?

- Ironia.

- Właśnie. Jaka ironia losu, że taki człowiek, który jak mój ojciec ryzykował życie, ratując Żydów, zginął, a tyłu ich morderców żyje do dziś.

- Powiedziałbym, że to nie tyle ironia losu, co zwykły porządek rzeczy na tym świecie - stwierdziłem nieco sentencjonalnie, ale z głęboką powagą, czując jednocześnie, że muszę opróżnić pęcherz.

Wstałem i lekko się zataczając, zaróżowiony od rheingolda, gorzkawego piwa serwowanego w Mapie Court z beczki, ruszyłem w stronę toalety. Korzystałem z niej nader często; mogłem tam, wychylony nieco do przodu nad pisuarem, dumać obserwując tryskający, przejrzysty strumień, podczas gdy bigband Guya Lombardo, Sammy'ego Kaye'a, Shepa Fieldsa lub inna ckliwo - - mdła orkiestra dudniła niewyraźnie z grającej szafy za ścianą. Było rzeczą cudowną mieć dwadzieścia dwa lata, trochę w czubie, wiedzieć, że pisanie postępuje, tkwić z radosnym dreszczykiem w uścisku własnej twórczej weny i owej „wspaniałej pewności”, jaką zawsze wysławiał Thomas Wolfe - pewności, której młode źródło nigdy nie wyschnie. Cudowna była też świadomość, że potworne katusze, jakie znosiłem w tyglu sztuki, doczekają się rekompensaty w postaci nieśmiertelnej sławy, chwały i miłości pięknych kobiet.

Kiedy tak beztrosko sikałem, zahaczyłem okiem o wszechobecne homoseksualne graffiti (nabazgrane tutaj, Bóg mi świadkiem, nie przez stałych bywalców Mapie Court, lecz przez przypadkową klientelę, zdolną zasmarować ściany każdego, najbardziej nieprawdopodobnego przybytku, w którym mężczyźni wyciągali swoje fiuty) i z prawdziwą rozkoszą przyjrzałem się po raz któryś z rzędu zakopcanej, lecz ciągle jeszcze wyraźnej karykaturze. Uzupełniając jak gdyby malowidło ściennie na sali, podobnie jak tamto stanowiła arcydziełko sprośnej rubasznosci w stylu lat trzydziestych, a przedstawiała Myszkę Miki i Kaczora Donalda w akrobatycznej pozycji podglądaczy zezujących z rozradowanymi minami przez szpary w płocie na małą, czarującą Betty Boop z seksownymi udami i łydkami, która przykucnęła, żeby zrobić siusiu. Nagle poczułem ukłucie niepokoju: zwietrzyłem bluźnierczą tutaj i nienaturalną obecność łopoczącej, sępiej czerni. Natychmiast zorientowałem się, że to dwie proszalne siostrzyczki zbłądziły do niewłaściwego przybytku. Czmychnęły stamtąd w popłochu, skrzeczając w panice po włosku; miałem nadzieję, że widziały mojego *szlonga*. Czyżby to właśnie ich wejście - jakby dla wzmocnienia złych przeczuć Zofii sprzed paru zaledwie chwil stanowiło zapowiedź fatalnych następnych piętnastu minut?

Wracając do stolika, już z daleka usłyszałem górujący nad pulsacją instrumentów orkiestry Shepa Fieldsa głos Natana. Był nie tyle donośny, co stanowczy i przerzywał się przez muzykę jak piłka do metalu. Słysząc w nim było nutę wzburzenia, więc początkowo zamierzałem zrejterować, ale nie odważyłem się; przeczucie, że zaszło coś ważnego, pchało mnie w stronę tego głosu i Zofii. Natan był zaś tak całkowicie pochłonięty swoim skierowanym do niej, pełnym urazy monologiem, tak bez reszty na nim skoncentrowany, że stałem dobrych parę minut, słuchając z uczuciem okropnego zakłopotania, jak wyładowuje na niej wściekłość, niepomny mojej obecności.

- Czy nie mówiłem ci, że jedyną rzeczą, jakiej od ciebie bezwzględnie wymagam, jest wierność?

- Tak, ale... - nie mogła wejść mu w słowo.

- A czy nie mówiłem ci, że jeśli jeszcze raz zobaczę cię z tym facetem, z Katzem - poza pracą - że jeśli jeszcze raz przespacerujesz się z tym nędznym szmaciarzem dalej niż na pięć kroków, rozpieprzę cię na strzępy?

- Tak, ale...

- I dziś po południu znowu odwozi cię swoim samochodem! Fink cię widział. Mało tego, bierzesz jeszcze tego nędznego skurwysyna na górę, do pokoju. I spędzasz z nim tam godzinę. Zerznął cię parę razy? Głowę daję, że pan Katz zdążył odwalić niezłą rundę tym swoim szybkim, kręgarskim zaganiaczem!

- Natan, wytłumaczę ci... - powiedziała błagalnie. Traciła w oczach panowanie nad sobą, głos jej się łamał.

- Zamknij swój pieprzony pysk! Tu nie ma nic do tłumaczenia. Zresztą na pewno byś to zataiła, gdyby mi mój stary, dobry kumpel Morris nie powiedział, że widział was oboje, jak szliście na górę.

- Nie zataiłabym! - zawołała płaczliwie. - Miałam ci właśnie powiedzieć! Nie zdążyłam się odezwać, kochanie!

- Zamknij się!

Jego głos był w dalszym ciągu nie tyle donośny, co lodowato władczy, jadowity, napastliwy. Marzyłem, żeby uciec, ale mimo to stałem za jego plecami niezdecydowany i czekałem. Mój rausz wyparował; czułem gwałtowne pulsowanie krwi w gardle.

Zofia usiłowała bronić się wytrwale:

- Natan, kochany, posłuchaj! Zaprosiłam go na górę tylko dlatego, żeby obejrzał gramofon. Zmieniacz płyt nie działał, przecież wiesz, i powiedziałam mu to i on wtedy powiedział, że może to naprawić. Ze zna się na tym. I naprawił rzeczywiście, kochanie, i to

wszystko. Pokażę ci, wrócimy do domu i zobaczysz...

- No, założę się, że stary Seymour to ekspert - wszedł jej w słowo Natan. - Czy zaaplikował ci szybki, rutynowy masaż, kiedy cię walił? Nastawił ci kręgi swoimi zwinnymi rękami? Nędzny oszust...

- Natan, błagam! - wychyliła się ku niemu. Krew odpłynęła jej z twarzy, na której malowała się bezgraniczna udręka.

- Och, trzeba przyznać, że kawał niezłej dziwy z ciebie powiedział cicho i powoli, z nieznośnie ciężkim, grubiańskim sarkazmem.

Z całą pewnością wpadł do domu po drodze z laboratorium; wskazywały na to nie tylko jego wzmianki o tym okropnym plotkarzu, Finku, lecz także ubranie - wystroił się w swój najbardziej szykowny, jasnoszary, lniany garnitur, a w mankietach szytej na miarę koszuli błyszcząły ciężkie, owalne, złote spinki. Roztaczał wokół przyjemny, dyskretny i rześki zapach wody kolońskiej. Chciał najwidoczniej dostosować się wyglądem do galowego stroju Zofii i wstąpił do domu, żeby przebrać się zgodnie z nakazami mody, jakiej ja obecnie hołdowałem. Tam jednak natknął się na ślady niewierności Zofii lub przynajmniej tak to sobie wykoncypował - i teraz było jasne, że uroczystość nie tylko się nie uda, ale że wszystko zmierza ku jakiejś niemożliwej do przewidzenia katastrofie. Skręcając się wewnątrz i wstrzymując oddech słuchałem dalszego ciągu:

- Jesteś prawdziwą polską kluchą. Prędzej skonam, niż pozwolę ci się zeszmacić u tych szarlatanów, tych konowałów. Wystarczy, że bierzesz pieniądze wyludzane od ciemnych, naiwnych, starych Żydów, co ledwie zdążyli przyplłynąć z Gdańska. Naciągają im kręgosłupy, a te bóle to może być reumatyzm albo rak, ale oczywiście ci pokatni spece od wężowej maści nie stawiają w ogóle diagnozy, tylko wciskają kit, że zwykły masaż pleców przywróci im kwitnące zdrowie. Wystarczy, że udało ci się mnie przekonać, że powinnaś dalej pracować z tą parą medycznych zbirów. Ale to, że pozwalasz tym parszywym typom wpychać sobie do tej swojej cipy za moimi plecami - nie, tego, kurwa, nie zniosę.

Próbowała mu przerwać:

- Natan!

- Zamknij się! Mam już po dziurki w nosie ciebie i twojego kurewskiego prowadzenia. - Nie mówił głośno, ale w tej tłumionej furii było coś teatralnie złowieszczonego, groźniejszego, niż gdyby na nią ryczał. Jego wściekłość była jakaś anemiczna, wątła, rozrzedzona, wręcz biurokratyczna, a samo określenie „kurewskiego prowadzenia” - absurdalnie belferskie i rabiniczne. - Myślałem, że może przejrysz na oczy, że zmienisz postępowanie po tej eskapadzie z doktorem Katzem - w tym nacisku na słowo „doktor” było

wyrafinowane szyderstwo - myślałem, że wystarczy ci ostrzeżenie po tym miętoszeniu w jego samochodzie. Ale nie, widocznie majtki za bardzo palą cię w kroczu. Toteż kiedy przyłapałem cię na tych sztuczkach z Blackstockiem, nie byłem zaskoczony, zważywszy na twoją osobliwą predylekcję do penisów kręgarzy, nie byłem więc, powiadam, zaskoczony, ale sądziłem po pierwszym ostrzegawczym gwizdku, kiedy postanowiłem położyć temu kres, że u t e m p e r u j e s z się na tyle, żeby zaniechać swojego nędznego, haniebnego proceduru. Ale nie, znów się pomyliłem. Te soki lubieżności, które krążą jak szalone w twoich polskich żyłach, nie pozwolą ci spocząć, no więc dziś znowu zdecydowałaś się paść w ramiona doktora Seymoura Katza, co byłoby może nawet komiczne, gdyby nie tak podłe i poniżające.

Zofia zaczęła cichutko płakać, zaciskając zbielełe palce na chusteczce.

- Nie, kochanie - usłyszałem jej cichy szept. - To nieprawda.

Pompatyczne, mentorskie przemówienie Natana, traktowane jako coś w rodzaju burleski, byłoby może i śmieszne w innych okolicznościach, ale teraz słyhać w nim było tak groźne tony, taką wściekłość i fanatyzm, że wzdrygnąłem się mimowolnie i poczułem dosłownie za plecami straszliwe i nie nazwane fatum, jak zbliża się ciężkim krokiem skazańca zmierzającego na szafot. Z gardła wydobył mi się jęk, wyraźnie słyszalny ponad jego oracją, i nagle przyszło mi do głowy, że ta straszna napaść na Zofię pobrzmiewa podobnym, niesamowitym echem jak awantura, podczas której po raz pierwszy byłem świadkiem ataku jego nieprzejednanej wrogości, obie sceny zaś różnią się głównie tonacją i natężeniem głosu: wtedy, przed paroma tygodniami, *fortissimo*, a teraz osobliwie wyważonego i opanowanego, lecz nie mniej złowieszczonego. Nagle uprzytomniłem sobie, że Natan był od początku świadom mojej obecności. Matowym głosem, w którym wyczuwało się lodowatą perfidię, wycodził nie podnosząc wzroku:

- Czemu nie usiądziesz obok *première putain* Flatbush Avenue? - Siadłem bez słowa; usta miałem spieczone i zakneblowane. Kiedy ja usiadłem, Natan podniósł się z krzesła. - Wydaje mi się, że byłaby teraz pora na uczczenie dzisiejszego dnia odrobiną chablis.

- Gapiłem się na niego z otwartymi ustami słuchając tej ponurej deklamacji. Nagle odniosłem wrażenie, że narzuca sobie surową dyscyplinę, żeby nie stracić całkiem panowania nad sobą i nie zwisnąć bezwładnie jak marionetka. Dopiero teraz dostrzegłem lśniące strużki potu spływające mu po twarzy, choć w tym kącie sali, gdzie siedzieliśmy, był silny, niemal lodowaty przewiew. Coś dziwnego - choć nie wiedziałem jeszcze dokładnie co - działo się z jego oczami. Czułem, że pod każdym milimetrem jego skóry zachodzą jakieś gwałtowne, rozedrgane, nerwowe procesy, jak gdyby odbywała się tam jakaś nienaturalnie

gorączkowa, chaotyczna wymiana neuronów w synapsach. Był tak podekscytowany, jakby miał w sobie ładunek elektryczny, a sam zabłąkał się na jakimś polu magnetycznym. Jednak wszystko to pokrywały pozory narzucanego sobie ze straszliwym wysiłkiem opanowania.

- Szkoda - powiedział tonem ciężkiego jak ołów sarkazmu wielka szkoda, moi przyjaciele, że nasza uroczystość nie może przebiegać w duchu podniosłej celebracji, jak sobie to wcześniej wyobrażałem. I hołdu dla tych wielu godzin poświęconych dążeniu do szlachetnego, wyznaczonego w imię nauki celu, które to dążenie uwieńczył w dniu dzisiejszym triumf. Hołdu dla tych dni i lat bezinteresownych badań naszego zespołu, zakończonych zwycięstwem nad jedną z największych plag, jakie nękały udręczoną ludzkość. Szkoda - podjął po długim, trwającym zda się w nieskończoność milczeniu, które kładło się brzemieniem na upływających sekundach. - Szkoda, że nasza uroczystość mieć będzie bardziej prozaiczny charakter. Uczymy mianowicie tak pożądane i zdrowe zerwanie mojego związku ze słodką syreną Krakowa - tą niepowtarzalną, niezrównaną, tragicznie niewierną córą radości, polskim klejnotem i bezcennym darem dla chut - liwych kręgarzy Flatbush - Zofią Zawistowską! Ale zaraz, chwileczkę, przyniosę chablis, żebyśmy mogli wznieść toast!

Jak przerażone dziecko czepiające się kurczowo ręki tatusia w skłębionym tłumie, Zofia ścisnęła z całej siły moje palce. Śledziliśmy oboje wzrokiem Natana, jak przepycha się energicznie do baru przez ciżbę bywalców bez marynarek. Potem spojrzałem na Zofię. Groźba Natana zrobiła na niej takie wrażenie, że jej oczy zdawały się nic nie widzieć. Od tamtej chwili kojarzyłem dokładnie określenie „obląkany wzrok” ze zwierzęcym strachem, jaki czaił się w tych oczach.

- Och, Stingo - jęknęła. - Wiedziałam, że tak się stanie. Wiedziałam dokładnie, że oskarży mnie o niewierność. Zawsze to robi, kiedy opęta go ta dziwna *tempeste*. Stingo, ja po prostu nie mogę znieść, kiedy on się robi taki. Wiem, że tym razem na pewno mnie rzuci.

Próbowałem ją pocieszyć.

- Nie martw się - powiedziałem. - Przejdzie mu. - Sam nie bardzo wierzyłem w to, co mówię.

- Nie, Stingo, stanie się coś straszego. Ja to wiem. Zawsze jest tak samo. Najpierw jest podniecony, pełen radości. Potem popada w przygnębienie, a kiedy tak się dzieje, zawsze jestem rzekomo niewierna i chce ode mnie odejść. - Znów ścisnęła z całej siły moją rękę wbijając mi w dłoń paznokcie niemal do krwi. - A przecież naprawdę było tak, jak powiedziałam dodała z gorączkowym pośpiechem. - Z tym Seymourem Katzem. Nic nie było. Nic, Stingo, zupełnie nic. Doktor Katz nic dla mnie nie znaczy - jest tylko kimś, z kim pracuję u Blackstocka. I to prawda, co powiedziałam o naprawie gramofonu. Zrobił tylko tyle,

naprawił gramofon, nic więcej, przysięgam!

- Ja ci wierzę, Zofio - zapewniłem ją zakłopotany i udręczony namiętnością tego potoku słów, jakimi starała się przekonać i tak przekonanego. - Uspokój się, proszę - powiedziałem ostro, próbując ją bezskutecznie wyciszyć.

To, co zdarzyło się w chwilę później, było dla mnie niewyobrażalnie bezsensowne i okropne. Uświadomiłem sobie też, jak błędnie wszystko odczytywałem, jak fatalnie się zachowałem, jak niemądrze i nieskutecznie postępowałem z Natanem w sytuacji wymagającej największej delikatności. Gdybym go czymś rozśmieszył, rozbawił, jego gniew - bez względu na to jak irracjonalny i onieśmielający - po prostu by się rozładował, furia szczelaby lub przynajmniej osłabła, a wtedy moglibyśmy łatwiej dojść do porozumienia. Mógłbym go jakoś okiełznać. Zdaję sobie jednak również sprawę z tego, że cierpiałem wtedy na chorobę dziecięcego wręcz niedoświadczenia w wielu sprawach; pomimo maniackiego tonu jego gorączkowej oracji, pomimo potu, wyrazu rozbieganych oczu, krańcowego napięcia, ogólnego wrażenia, że mam do czynienia z człowiekiem, którego system nerwowy aż po najdrobniejsze zwoje skręca się w spazmatycznych drgawkach, nie przyszło mi zupełnie do głowy, że jego wzburzenie może być naprawdę niebezpieczne. Uznałem go po prostu za wielkiego kutasa. Wynikało to, jak już powiedziałem, głównie z mojego wieku i autentycznej prostoduszności. Osłupiały, jako że tak niepohamowane ataki szału obce były mojemu doświadczeniu związanemu raczej z arystokratyczną, wytworną tradycją

Południa niż jego romantyczną gotycką gwałtownością - uznałem wybuch Natana raczej za szokującą skazę charakteru, uchybienie wobec zasad przyzwoitego zachowania niż za pochodną umysłowej aberracji.

Odnosiło się to zarówno do obecnej chwili, jak do owej pierwszej nocy przed paroma tygodniami, w holu domu Yetty; kiedy ryczał na Zofię, ubliżał mi opowiadając o linczach irzucal mi pogardliwie w twarz tym swoim „Świrem”, uchwyciłem w jego nieodgadnionych przepastnych oczach dziki, przelotny błysk wrogości, od którego zmroziło mi krew w żyłach. Gdy więc siedziałem jak sparaliżowany obok Zofii, bolejąc nad tą zatrwazającą transformacją człowieka, którego tak szanowałem i podziwiałem, oburzony jednocześnie do żywego tym, że każe jej znosić podobne męczarnie, postanowiłem położyć temu kres. Nie będzie więcej znęcał się nad Zofią, zdecydowałem. I niech lepiej, kurwa mać, uważa. Decyzja ta byłaby może rozsądna, gdybym miał do czynienia z najbliższym przyjacielem, którego po prostu poniosły nerwy, ale nie (czego sobie w swojej głupocie nawet nie zacząłem uświadamiać) w przypadku kogoś, kogo nagle nawiedziła wściekła paranoja.

- Czy zauważyłaś, jaki on ma dziwny wzrok? - zapytałem półgłosem Zofię. -

Może wziął za dużo tej aspiryny, którą mu przyniosłaś, albo co? - Naiwność tego pytania była - jak sobie to teraz uświadamiam - wręcz nieprawdopodobna, jeśli zważyć, czego się w końcu dowiedziałem o przyczynie tego rozszerzenia źrenic do rozmiarów dziesięciocentówki, ale wtedy uczyłem się dopiero wielu rzeczy.

Natan wrócił z odkorkowaną butelką wina i usiadł. Kelner przyniósł kieliszki i postawił je przed nami. Stwierdziłem z ulgą, że twarz Natana złagodniała nieco i nie przypomina już zupełnie tej złośliwej maski, jaką była zaledwie parę minut wcześniej. Ale intensywne, krępujące niczym kaftan bezpieczeństwa napięcie utrzymywało się w mięśniach szczęk i szyi, a pot kroplił się na czole, harmonizując - jak bezwiednie zauważyłem - z mozaiką chłodnej rosy na butelce chablis. I wtedy po raz pierwszy dostrzegłem przelotnie wielkie, mokre półksiężycy pod jego pachami. Nalał wina, a ja, chociaż starałem się nie patrzeć na Zofię, zauważyłem, że jej ręka trzymająca kieliszek drży. Popelnilem poważny błąd, trzymając na stole pod łokciem rozłożony egzemplarz „Post”, otwarty akurat na stronie ze zdjęciem Bilba. Widziałem, że Natan rzucił okiem na fotografię i wykrzywił twarz w uśmiechu pełnym ogromnej, złośliwej satysfakcji.

- Czytałem przed chwilą w metrze ten artykuł - powiedział podnosząc kieliszek.
- Proponuję wzniesić toast za powolną, długą i bolesną śmierć senatora z Missisipi, Bilba Zgniłoustego.

Nie odzywałem się przez chwilę. Nie podniosłem też, jak uczyniła to Zofia, swojego kieliszka. Zrobiła to, byłem pewien, wyłącznie w bezmyślnym odruchu posłuszeństwa. Wreszcie powiedziałem najbardziej naturalnym głosem, na jaki mnie było stać:

- Natan, proponuję wzniesić toast za twój sukces, za twoje wielkie odkrycie, choć nie wiem jeszcze jakie. Za tę cudowną sprawę, nad którą pracowałeś i o której powiedziała mi Zofia. Gratulacje. - Wyciągnąłem rękę i lekko, przyjaźnie poklepałem go po ramieniu. - A teraz skończmy z tym całym szajsem - próbowałem wprowadzić jowialną, pojednawczą nutę odprężmy się, a ty nam powiesz, wreszcie powiesz nam dokładnie, co na Boga mamy właściwie oblewać! Chłopie, chcemy dziś przez cały wieczór pić za twój sukces.
- Poczulem nieprzyjemny dreszcz, kiedy rozmyślnie szorstkim gestem strząsnął moją rękę z ramienia.

- To niemożliwe - powiedział przeszywając mnie wzrokiem.

- Mój radosny nastrój został poważnie zakłócony, jeśli nie całkiem unicestwiony przez zdradę kogoś, kogo kiedyś kochałem. - Ciągle jeszcze niezdolny spojrzeć w twarz Zofii usłyszałem pojedynczy, ochryply szloch. - Nie będzie dziś wieczorem toastów na cześć zwycięskiej Hygiei. - Wsparty łokciem o stół, trzymał kieliszek w górze. - Zamiast tego

wzniesiemy toast za bolesny zgon senatora Bilbo.

- Może ty, Natan - powiedziałem - ale nie ja. Nie będę pił za niczyją śmierć - bolesną czy niebolesną - i ty też nie powinieneś. Jeśli w ogóle ktoś o tym powinien wiedzieć, to właśnie ty. Czyż nie pracujesz w branży medycznej? To bardzo kiepski żart, jeśli chcesz wiedzieć. Toast za czyjąś śmierć jest kurewskim świństwem. - Nie mogłem zapanować nad tym kaznodziejskim tonem. Podniosłem kieliszek: - Za życie. Za twoje - nasze - życie. - Wykonałem gest, także w stronę Zofii.

- Za zdrowie. Za twoje wielkie odkrycie, Natan. - Wyczuwałem błagalną nutę w swoim głosie, ale Natan tkwił nieruchomy, z zawziętym wyrazem twarzy i me chciał spełnić toastu. Sparaliżowany, ze spazmem rozpaczy, opuściłem rękę z kieliszkiem. Teraz i mnie, po raz pierwszy, zaczęła ogarniać gotująca się gdzieś w okolicy żołądka wściekłość, jakiś zlepek narastającego z wolna gniewu, skierowanego w równym stopniu przeciw ohydnemu, dyktatorskiemu zachowaniu Natana, wstrętnemu traktowaniu Zofii i (trudno mi teraz było uwierzyć w swoje własne, wcześniejsze refleksje związane z artykułem) jego makabrycznym kłątвом rzucanym na Bilba. Wobec braku reakcji na mój kontrtoast, odstawiłem kieliszek i rzekłem z westchnieniem:

- No dobra, do diabła z tym wszystkim.

- Za śmierć Bilba - nalegał Natan - za jego agonalne jęki do ostatniego tchnienia.

Szkarłat uderzającej do głowy krwi zmaćił mi wzrok, serce zaczęło walić jak oszalałe. Z trudem panowałem nad swoim głosem.

- Słuchaj, Natan. Kiedyś, nie tak dawno temu, powiedziałem ci pewien komplement. Stwierdziłem wtedy, że pomimo swojej głębokiej niechęci do Południa, w odróżnieniu od innych, w odróżnieniu od typowej postawy nowojorskich, liberalizujących osłów, zachowujesz przynajmniej w tej sprawie jakieś poczucie humoru. Teraz widzę, że się myliłem. Nie żywię i nigdy nie żywiłem szczególnej sympatii do Bilba, ale jeśli uważasz te kiepskie kawałki o jego śmierci za zabawne, to jesteś w błędzie. Odmawiam picia za czyjąkolwiek śmierć.

- Nie wypiłbyś za śmierć Hitlera? - wtrącił szybko ze złośliwym błyskiem w oczach. Zamurowało mnie na chwilę.

- Oczywiście, że wypiłbym za śmierć Hitlera. Ale to jest, do kurwy nędzy, zupełnie coś innego! Bilbo to nie Hitler! - Kiedy to mówiłem, uświadomiłem sobie z rozpaczą, że powtarzamy z grubsza, jeśli nie dosłownie, ten zaciekły spór, w jaki uwikłaliśmy się tamtego pierwszego popołudnia w pokoju Zofii. Od czasu tej zażartej kłótni, która omal

nie przerodziła się w bójkę, nabrałem błędnego przekonania, że Natan zarzucił swą mroczną *idée fixe* na temat Południa. Teraz w jego zachowaniu wyczuwało się identyczną, utajoną i zaprawioną jadem furie, która tak mnie przeraziła owej rozświetnionej niedzieli, tego tak pamiętnego i - zdawało się - szczęśliwie odległego dnia. Znowu ogarnęło mnie przerażenie, większe nawet niż wtedy, bo miałem teraz złowrogie przeczucie, że tym razem nasza walka nie zakończy się miłym pojednaniem wśród przeprosin, żartów i przyjacielskich uścisków. - Bilbo to nie Hitler, Natan - powtórzyłem. Głos mi drżał. - Coś ci powiem: odkąd cię znam - chociaż przyznaję, że niezbyt długo, więc może się pomyliłem - zaimponowałeś mi naprawdę jako jeden z najbardziej doświadczonych, rozumnych ludzi, jakich znam...

- Nie wprawiaj mnie w zakłopotanie - przerwał mi. - Kadzenie nic ci nie da. - Głos miał szorstki, nieprzyjemny.

- Ja ci nie kadzę - ciągnąłem. - Mówię prawdę. Zmierzam do tego, że twoja nienawiść do Południa - w której często wyraża się nienawiść lub przynajmniej antypatia wobec mnie - jest u kogoś tak skądinąd doświadczonego i rozumnego jak ty czymś zatrwającą. Twoja ślepotą co do natury zła to coś głęboko prymitywne.

Podczas sporów, szczególnie gorących i nacechowanych złą wolą, jestem zwykle beznadziejnym partnerem. Głos mi się łamie, staje się piskliwy, oblewa mnie pot. Na twarzy pojawia się krzywy półuśmiech. Co gorsza, myśli zaczynają krążyć po bezdrożach i umykają mi, a logika, która w bardziej normalnych okolicznościach stanowi moją mocniejszą stronę, czmycha jak jakiś złośliwy łobuziak. (Planowałem kiedyś, że zostanę prawnikiem. Kiedy zwróciłem się ku literackiemu fachowi, palestra oraz sale sądowe, w których przez krótki okres umiejscawiałem moje fantazje, wyobrażając sobie, że urządzam tam popisy dramatyczne à la Clarence Darrow, straciły jedynie niekompetentną ofertę).

- Wydaje się, że jesteś w ogóle pozbawiony poczucia historii ciągnąłem pospiesznie, wyższym o oktawę głosem. - Zupełnie! Czy dlatego, że wy, Żydzi, którzy przybyliście tu całkiem niedawno i mieszkacie w wielkich miastach Północy, jesteście tak ciemni, że nie próbujecie nawet zrozumieć, jak tragiczny splot okoliczności spowodował tę rasową paranoję na Południu? Czytałeś Faulknera, Natan, i mimo to masz jakiś kretyński, nieznośny i pełen poczucia wyższości stosunek do tego regionu, tak jakbyś nie pojmował, że Bilbo jest nie tyle łajdakiem, co nieszczęsnym produktem całego barbarzyńskiego systemu!

- Urwałem, zaczerpnąłem tchu i dodałem: - Współczuję ci twojej ślepoty. - Gdybym na tym skończył, mógłbym uznać, że zapisałem na swoim koncie serię celnych ciosów, ale, jak powiedziałem, w trakcie podobnie zawziętych kłótni opuszcza mnie zwykle poczucie rozsądku; również teraz moja półhisterycz - na energią poniosła mnie w regiony

kompletnej głupoty. - A poza tym - upierałem się - nie bierzesz zupełnie pod uwagę, że Theodore Bilbo miał prawdziwe osiągnięcia. - Echa mojej pracy dyplomowej dźwięczały w mojej głowie kartotekowym rytmem akademickiego białego wiersza. - Kiedy był gubernatorem, przeprowadził w stanie Missisipi szereg istotnych reform - deklamowałem - powołując między innymi komisję do spraw dróg i komisję amnestyjną. Założył pierwsze sanatorium przeciwgruźlicze. Wprowadził prace ręczne i zajęcia z mechaniki rolniczej do programu szkolnego. I wreszcie wdrożył program walki z plagą kleszcza bydlęcego... - głos zamierał mi stopniowo.

- Wdrożył program walki z plagą kleszcza - powtórzył Natan.

Zaskoczony, uprzytomniłem sobie, że idealnie przedrzeźnia mój ton - pedantyczny, nadęty, nieznośny.

- W stanie Missisipi wybuchła wśród bydła wielka epidemia choroby zwanej teksaską gorączką - ciągnąłem, nie mogąc się powstrzymać. - Bilbo odegrał zasadniczą rolę...

- Ty durniu - przerwał mi Natan. - Ty głupi *klucu*. Teksaska gorączka! Ty błaźnie! Chcesz mnie przekonać, że tytułem do chwały Trzeciej Rzeszy był niedościgły system autostrad, a dzięki Mussoliniemu zaczęły punktualnie kursować pociągi?

Załatwił mnie na amen - powinienem był to wyczuć już wtedy, gdy wymawiałem słowo „kleszcz” - a uśmiech, jaki przemknął mu przez twarz, szyderczy błysk zębów i oczu, który przypieczętował moją sromotną klęskę, zniknął, zanim jeszcze zdecydowanym ruchem odstawił kieliszek.

- Koniec wykładu? - zapytał nienaturalnie głośno. Groźny wyraz jego pociemniałej twarzy budził we mnie mrowiący strach. Raptownie podniósł kieliszek i wychylił go jednym haustem.

- Spełniam toast - oświadczył beznamiętnie - za moje ostateczne zerwanie z waszą parszywą dwójką.

Poczułem w sercu ukłucie rozzierającego żalu. Kłębiły się we mnie - jak zapowiedź żaloby - gwałtowne emocje.

- Natan... - zacząłem pojednawczo wyciągając rękę. Znów usłyszałem łkanie Zofii. Ale Natan zignorował mój gest.

- Zerwanie - powiedział, wykonując ruch, jakby pił do Zofii z tobą, Szczwana Kręgarska Piczko Królewskiego Miasta.

- Potem do mnie: - I z tobą, Smętna Szumowino z Dixie. - Jego oczy były martwe jak kule bilardowe, pot spływał po twarzy strumieniami. Z równą, niezwykłą intensywnością odbierałem z jednej strony wrażenia wzrokowe - widok tych oczu i skóry jego

twarzy pokrytej przejrzystym, lśniącem potem - z drugiej słuchowe, tak przenikliwe, że omal nie pękły mi bębniaki w uszach głośno sióstr Andrews grzmiące z grającej szafy. „Nie osaczaj mnie!” - A teraz - rzekł Natan - pozwólcie może, że ja wam zrobię wykład. Powinno to zaleczyć zgniliznę, która przeżarła was do szpiku kości.

Przedstawię tu tylko pobieżnie najgorsze fragmenty jego tyrady. Całość zajęła mu nie więcej niż kilka minut, ale wydawało się, że mówi godzinami. Zofii poświęcił najbardziej przerażającą część tej masakry; było to z pewnością trudniejsze do zniesienia dla niej niż dla mnie - ja musiałem tylko wysłuchiwać wszystkiego i przyglądać się jej cierpieniu. W moim przypadku skończyło się na stosunkowo łagodnym zmyciu głowy; od tego zaczął. Nie żywi wobec mnie - powiedział - szczególnie wrogich uczuć, jedynie pogardę. I nawet w tej pogardzie nie ma nic osobistego, jako że nie mogę odpowiadać za swoje wychowanie czy miejsce urodzenia. (Wygłaszał to wszystko z kpiącym półuśmiechem, opanowanym, cichym głosem, bezsensownie zaprawianym od czasu do czasu murzyńskim akcentem, jaki zapamiętałem z tamtej odległej niedzieli). Przez dłuższy czas - oświadczył - wydawało mu się, że jestem dobrym Południowcem, człowiekiem wyemancypowanym, który zdołał jakoś uniknąć przekleństwa fanatyzmu, pozostawionego temu regionowi w spadku przez historię. Nie jest bynajmniej (wbrew moim oskarżeniom) tak ślepy, aby nie zdawać sobie sprawy, że dobrzy Południowcy istnieją naprawdę. Jeszcze do niedawna uważał mnie za takiego. Ale moja odmowa dzielenia z nim nienawiści do Bilba potwierdziła tylko tę prawdę, jaką odkrył po przeczytaniu pierwszej części mojej książki, prawdę o moim „wrodzonym” i „nieuleczalnym” rasizmie.

Serce mi się ścisnęło na te słowa.

- Jak to? - zapytałem bliski płaczu. - Myślałem, że ci się podoba...

- Masz spory talent do pisania kawałków w południowym stylu. Ale są w tym też wszystkie zużyte klisze. Pewnie nie chciałem cię urazić. Weźmy jednak starą Murzynkę z pierwszego rozdziału, tę, która czeka z innymi na przyjazd pociągu. To karykatura, przeniesiona żywcem z *Amosa i Andy'ego*. Miałem wrażenie, że czytam powieść faceta, który przedtem pisał staroświeckie wodewile. Mogłoby to być nawet zabawne - ta parodia Murzynki - gdyby nie było tak nikczemne. Piszesz chyba pierwszy komiks Południa.

Chryste, jakież byłem wtedy nieodporny na ciosy! W jednej chwili ogarnęła mnie kompletna rozpacz. Gdyby jeszcze powiedział to ktokolwiek inny! Tym, co mówił, zniweczył całkowicie krzepiącą radość i wiarę w to, co robię, jaką zaszczerpił mi wcześniej swoimi pochwałami. Ten nagły, brutalny cios dosłownie mnie zmiądzzył. Poczulem, że opoka, na której wspierała się moja dusza, drży i rozsypuje się w gruzy. Szukałem rozpaczliwie

odpowiedzi, lecz pomimo wysiłków nie byłem w stanie wykrztusić słowa.

- Zaraziłeś się tą degeneracją - kontynuował. - Nic na to nie poradysz. I niewiele pomoże twojej książce to, że jesteś raczej biernym naczyniem z trucizną niż świadomym - jakby to powiedzieć - świadomym trucicielem. Takim na przykład jak Bilbo. - Jego głos stracił nagle gardłowy, murzyński nałot; południowy akcent osłabł, a potem zniknął i uległ jakiejś wilgotnej metamorfozie. Zastąpiła go teraz szorstka, polska wymowa doskonała niemal imitacja angielszczyzny Zofii. I w tej właśnie chwili jego trudne do zniesienia grubiaństwo przeobraziło się w otwartą napaść: - *Peutêtre* po tych długich miesiącach powiedział wbijając wzrok w Zofię - potrafisz nam wyjaśnić tajemnicę, dlaczego akurat ty jesteś tutaj, paradujesz sobie po ulicach, skropiona upojnymi perfumami, uwikłana w sekretny, rozpustny romans nie z jednym, ale z dwoma naraz - policzcie sobie, panie i panowie - dwoma kręgarzami. Czyli mówiąc krótko, kujesz żelazo póki gorące, że posłużę się wytartym frazesem, podczas gdy w Auschwitz duchy milionów pomordowanych ciągle szukają odpowiedzi. - Zrzucił nagle parodys - tyczny ton. - Powiedz mi, o nadobna Zawistowska, jak to jest, że należysz do świata żywych? Czy to te cudowne triki i fortele, jakie lęgną się w twojej ślicznej główce, pozwoliły ci oddychać świeżym, polskim powietrzem, kiedy miliony dusiły się powoli gazem? Byłbym niezmiernie wdzięczny za udzielenie mi odpowiedzi.

Straszliwy jęk wydarł się z trzewi Zofii, jęk tak głośny i pełen udręki, że tylko dzięki histerycznym wrzaskom siostr Andrews nie usłyszał go cały bar. Najświętsza Maria Panna w swojej męce na Kalwarii nie mogłaby wydać z siebie bardziej rozpaczliwego krzyku. Spojrzałem na Zofię. Pochyliła gwałtownie głowę, tak że jej twarz była niewidoczna, i na próżno przyciskała do uszu zwinięte w kułak dłonie o zbieleńskich palcach. Łzy tryskały na laminowany blat stolika. Zdawało mi się, że słyszę jej zduszony głos:

- Nie! Nie! *Menteuń* Kłamstwo!

- Nie tak dawno temu - ciągnął uparcie - w Polsce, kiedy jeszcze trwała wojna, kilkuset Żydów, którzy uciekli z jednego z obozów śmierci, poszukiwało schronienia u takich wspaniałych, polskich obywateli jak ty. Ci przesympatyczni ludzie odmówili im pomocy. Mało tego. Zamordowali praktycznie wszystkich, jacy wpadli im w ręce. Polecałem to już twojej uwadze. Odpowiedz mi zatem: czy to ten sam antysemityzm, który przysporzył Polsce takiej światowej sławy - czy podobny antysemityzm zdecydował o twoim losie, pomógł ci, ocalił cię, że tak powiem, i sprawił, że należysz do tej garstki żyjących, podczas gdy miliony zginęły? - Jego głos nabrał szorstkich, ostrych, okrutnych tonów. - Proszę o wyjaśnienie!

- Nie! Nie! Nie! Nie! - łkała Zofia.

- Natan, na litość boską, daj jej spokój! - zawołałem sam tym zaskoczony i zerwałem się od stolika.

Ale nie można było go powstrzymać.

- Jakaż to sprytna sztuczka ocaliła twoją skórę, podczas gdy inni poszli z dymem? Oszukiwałaś, kolaborowałaś, dawałaś swojej słodkiej dupy?

- Nie! - usłyszałem znowu jej jęk, wydobyty z samych trzewi. - Nie! Nie!

Wtedy zrobiłem coś niezrozumiałego i, obawiam się, nikczemnego. Prostując się, poczułem nieodpartą pokusę (był to impuls przypominający potężną wibrację), by schwycić Natana za kołnierz i podnieść go, zmuszając do walki, tak jak to często robił Bogart w naszej - mojej i Bogarta - wspólnej przeszłości. Nie mogłem tego ścierpieć ani sekundy dłużej. Ale kiedy się wyprostowałem pod wpływem tego nagłego impulsu, nie wiadomo czemu przeobraziłem się błyskawicznie w uosobienie śmierdzącego tchórzostwa. Zadrżały mi kolana, ze spieczonych ust wydobyła się seria bezsensownych dźwięków i nim zdążyłem się zorientować, ruszyłem chwiejnie w stronę toalety, błogosławionego azylu, schronienia przed tym popisem nienawiści i okrucieństwa, jakiego nigdy nie spodziewałem się być naocznym świadkiem. Postoję tam minutkę nad pisuarem - pomyślałem - wezmę się w garść, a potem wyjdę i rozprawię się z Natanem. W lunatycznym odrętwieniu zaciskałem kurczowo palce na uchwycie do splukiwania, niczym na lodowato zimnej rękojeści sztyletu i uruchamiałem w nieskończoność niemrawe wodospady, podczas gdy moja świadomość rejestrowała po raz setny wbijające się klinem w otępiały mózg pedalskie graffiti: „Marvin obciąża druta!... Dzwon Ulster 1-2316, zamów fleta twoich marzeń”. Nie płakałem od śmierci matki i wiedziałem, że nie rozplaczę się teraz, choć to, że tęskne bazgroły spragnionych miłości rozmywały mi się w oczach, świadczyłyby, że jestem tego bliski. Tkwiłem ze trzy, może cztery minuty w tym stanie roztrzęsionego, żalosego niezdecydowania. Wreszcie postanowiłem, że wrócę i stawię jakoś czoło sytuacji, choć nie miałem żadnej strategii i byłem śmiertelnie przerażony. Ale kiedy wszedłem na salę, Zofii i Natana już tam nie było.

Poczucie klęski i rozpacz oszołomiły mnie kompletnie. Nie miałem też pojęcia, jak zachować się w sytuacji, która wydawała się być konfliktem do zażegnania. Wiedziałem, że muszę wszystko przemyśleć, opracować jakiś plan wyklarowania sprawy - spróbować jakoś uspokoić Natana i jednocześnie usunąć Zofię z zasięgu działania jego ślepej, niszczącej furii. Byłem jednak tak roztrzęsiony, że mój mózg popadł w stan amnezji; nie mogłem dosłownie zebrać myśli. Aby wziąć się w garść, postanowiłem pozostać jeszcze chwilę w Mapie Court. Miałem nadzieję, że przyjdzie mi do głowy jakiś inteligentny, racjonalny plan działania. Wiedziałem, że ojciec, nie doczekawszy się mnie na Penn Station, uda się prosto do hotelu

McAlpin na Broadwayu, przy Trzydziestej Czwartej Ulicy. (W tamtych czasach wszyscy przybysze z Tidewater, należący jak mój ojciec do klasy średniej, zatrzymywali się w McAlpin lub u Tafta; tylko nieliczni, zamożniejsi, mieszkali zawsze w WaldorfAstorii). Zadzwońm do hotelu i zostawiłem wiadomość, że spotkamy się późnym wieczorem. Potem wróciłem do stolika (kolejnym złym znakiem było to, że wychodząc w pośpiechu Natan czy też Zofia przewrócili butelkę z chablis; nie stłukła się wprawdzie, ale leżała na stole, a resztki wina wyciekały na podłogę) i przesiedziałem tam dwie bite godziny, rozmyślając, w jaki sposób pozbierać i skleić skorupy naszej rozbitej na kawałki przyjaźni. Podejrzewałem, że zważywszy na gwałtowność furii Natana, zadanie będzie trudne.

Z drugiej strony, kiedy przypominałem sobie, jak po podobnej, niedzielnej „burzy” odegrał uwerturę do przyjaźni tak gorącej i namiętnej, że aż krępującej, i jak szczerze mnie przeproszał za swoje zachowanie, doszedłem do wniosku, że na pewno przyjmie z zadowoleniem każdy gest pojednania z mojej strony. Bóg mi świadkiem - pomyślałem - że robię to z najwyższą niechęcią; takie sceny jak ta, w której właśnie uczestniczyłem, załamywały mnie psychicznie i wyczerpywały. Tak naprawdę chciałem się zwinąć w kłębek i przespać. Myśl o ponownej, rychłej konfrontacji z Natanem onieśmiała mnie - tkwiło w tym wielkie, potencjalne niebezpieczeństwo. Ogarnęły mnie mdłości, zacząłem się pocić jak on. Dla dodania sobie kurażu umyślnie zwlekałem i wypilem cztery czy pięć sporych szklanek rheingolda. Migawkowe wizje do głębi poruszających i bezładnych spazmów Zofii, jej totalnego rozbicia pojawiały się i znikwały, przyprawiając mnie o skurcze żołądka. W końcu jednak, kiedy nad Flatbush zaczęły zapadać ciemności, zataczając się lekko i wdychając parne powietrze wieczoru, powędrowałem do Różowego Pałacu. Patrzyłem z mieszanymi uczuciami obawy i nadziei na lekką, sączącą się z okna Zofii przez zasłony poświatę koloru *vin rose*, która wskazywała na jej obecność. Słysząc było muzykę, z radia albo z płyty. Nie wiadomo dlaczego, wsłuchując się w rozkoszne, pełne skargi dźwięki koncertu Haydna na wiolonczelę, rozbrzmiewające delikatnie w ciszy letniego wieczoru, czułem jednocześnie uniesienie i smutek. Od strony Parade Grounds dobiegały przez półmrok zmierzchu nawoływania i okrzyki bawiących się na skraju parku dzieci; melodyjne jak śpiew ptaków, mieszały się z subtelnymi, pełnymi zadumy tonami wiolonczeli i przywoływały przesywająco bolesne wspomnienia czegoś, co bezpowrotnie straciłem.

Aż jęknąłem z przerażenia i bólu na widok, który powitał mnie na piętrze. Gdyby tajfun przeszedł przez Różowy Pałac, nie wywołałby większego spustoszenia i chaosu. Pokój Zofii wyglądał tak, jakby ktoś go wywrócił do góry nogami. Szuflady komody były powysuwane i opróżnione, z łóżka zdarto pościel, szafę przetrząsnęto. Na podłodze

poniewierały się sterty gazet. Książki zniknęły z półek. Zniknęły też płyty. Nie zostało nic oprócz starych papierzysek. Jedynym wyjątkiem w tym splądrowanym pejzażu było radio z gramofonem; zbyt duże i pękate, żeby można je było wytaszczyć, pozostało na stole - dźwięki sonaty Haydna wydobywające się z jego gardła wywołały we mnie niesamowity dreszcz, jakbym słuchał tej muzyki w sali koncertowej, z której w jakiś tajemniczy sposób zniknęła publiczność. O kilka zaledwie kroków stąd, w pokoju Natana, było podobnie: wszystko zostało usunięte, a to, co pozostało, zapakowano do kartonowych pudeł, gotowych do natychmiastowego wywiezienia. Gęste, lepkie, rozpalone powietrze stało nieruchomo w korytarzu; było nieprawdopodobnie gorąco, nawet jak na tę porę roku, i to deprymowało mnie jeszcze bardziej, nakładając się na uczucie żalu, jakie mną bez reszty owładnęło. Pomyślałem nagle, że za różowymi ścianami myszkuje pewnie ogień. I wtedy wypatrzyłem Morrisa Finka, który przykucnąwszy w kącie majstrował przy buchającym parą kaloryferze.

- Ktoś go musiał odkręcić przypadkowo - wyjaśnił mi wstając.
- Pewnie Natan przed chwilą, kiedy tak latał z walizką i gratami.
- Spokój, ty druciarzu - warknął na kaloryfer i wymierzył mu kopniaka. - To ci powinno pomóc. - Para buchnęła z cichym sykiem, a Morris obrzucił mnie swym posępnym, przygasłym spojrzeniem. Wada zgryzu, której wcześniej nie zauważyłem, upodabniała go wyraźnie do gryzonia. - Był tu przez chwilę prawdziwy dom wariatów.
- Co się stało? - zapytałem, czując przypływ zimnego lęku.
- Gdzie jest Zofia? Gdzie Natan?
- Wynieśli się, oboje. Zerwali wreszcie na dobre.
- Jak to na dobre?
- Tak to - odpowiedział. - Skończone. Na dobre. Wynieśli się na dobre i bardzo, uważam, kurwa, dobrze. W tym domu było coś parszywego, coś nienormalnego, kiedy ten pieprzony golem, Natan, tu mieszkał. Te wszystkie draki i wrzaski. Bardzo, kurwa, dobrze, że się wynieśli, tyle ci powiem.

Ton desperacji pojawił się w moim głosie:

- Ale dokąd pojechali? Nie mówili, dokąd jadą? - dopytywałem się.
- Nie - odpowiedział. - Rozjechali się w dwie różne strony.
- W dwie strony? Chcesz powiedzieć...
- Zobaczyłem ich, jak wracają do domu około dwóch godzin temu, kiedy ja wychodziłem. Miałem iść do kina. Już wtedy ryczał na nią jak goryl. Powiedziałem do siebie: o kurna, znów awantura po tych paru tygodniach spokoju. Może znów uda mi się ją obronić przed tym *meszugenem*. Ale kiedy wszedłem na górę, widzę, że kazał jej się pakować,

znaczy sam się pakuje w swoim pokoju, a ona w swoim, nie? I cały czas ryczy na nią jak jakiś wariat - oj, jak on ją po świńsku wyzywał!

- A Zofia...

- A ona cały czas płacze, że mało oczu nie wypłacze, i oboje pakują manatki, i on wrzeszczy i wyzywa ją od kurew i pizd, i Zofia beczy jak dziecko. Aż mnie zemdlilo. - Urwał, zaczerpnął powietrza i kontynuował nieco spokojniej: - Nie miałem pojęcia, że pakują się na dobre. Potem on wyjrzał przez poręcz i zobaczył mnie, pyta gdzie Yetta. Mówię, że pojechała do siostry na Staten Island. Rzucił mi trzydzieści dolarów - komorne za Zofię i za siebie. Wtedy skapowałem, że wynoszą się na dobre.

- I gdzie w końcu pojechali? - zapytałem. Narastało we mnie poczucie straty, tak dławiąco bolesne, jakby mnie osierocili rodzice. Żołądek podchodził mi do gardła. - Nie zostawili jakiegoś adresu?

- Mówię ci przecież, że pojechali w dwie różne strony zniecierpliwili się. - Spakowali w końcu wszystkie graty i zeszli na dół. To było nie dalej jak dwadzieścia minut temu. Natan daje mi dolca, żebym im pomógł znieść bagaże i zaopiekował się gramofonem. Mówi, że jeszcze wróci i zabierze go razem z resztą pudeł. Kiedy bagaż jest już na dole, na chodniku, każe mi wyjść na róg i sprowadzić dwie taksówki. Wracam z taksówkami, a on ciągle na nią ryczy. Mówię sobie: no, przynajmniej tym razem nie bije jej ani nic. Ale ciągle ryczy, przeważnie o Auswiczu czy czymś takim.

- O... O czym?

- O Auswiczu, tak mówił. Znów wyzywał ją od pizd i bez przerwy zadawał jej to samo dziwaczne pytanie. Pytał ją, jak to się stało, że przeżyła Auswicz. O co mu mogło chodzić?

- Wyzywał ją od... - jękałem bezradnie, jakby odebrało mi mowę. - A potem...

- Potem dał jej pięćdziesiąt dolców czy coś koło tego i kazał kierowcy zawieźć ją gdzieś na Manhattan, chyba do jakiegoś hotelu, ale nie pamiętam jakiego. Powiedział jeszcze coś w tym sensie, jaki to jest szczęśliwy, że nie będzie jej musiał więcej oglądać. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś płakał tak jak ona wtedy płakała. W każdym razie kiedy odjechała, załadował swój bagaż do drugiej taksówki i odjechał w przeciwnym kierunku, w stronę Flatbush Avenue. Pewnie do swojego brata, do Queens.

- A więc to koniec - wyszeptałem, wstrząśnięty do głębi.

- Koniec - potwierdził. - Na dobre. I chwała Bogu. Ten facet to golem! Ale Zofia - Zofii mi szkoda. Zofia była naprawdę przyjemną kobitką, wiesz?

Przez chwilę nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Subtelna, szemrząca tęsknie

muzyka Haydna wypełniała ogołocony pokój swymi słodkimi, symetrycznymi, pełnymi zadumy kadencjami, potęgując poczucie jakiejś absolutnej próżni i niepowetowanej straty.

- Tak - powiedziałem w końcu. - Wiem.
- Co to jest Auswicz? - zapytał Morris Fink.

dziewiąty

Spośród wielu komentatorów zajmujących się hitlerowskimi obozami koncentracyjnymi nieliczni tylko potraktowali temat z większą wnikliwością i pasją niż George Steiner. Natrafiłem na zbiór esejów Steinera zatytułowany *Język i milczenie* wkrótce po jego opublikowaniu w 1967 roku. Rok ten miał dla mnie szczególne znaczenie i to nie tylko dla tej banalnej zgoła przyczyny, że wyznaczał dwudziestą rocznicę mojego letniego pobytu w Brooklynie. Mój Boże, ileż to czasu upłynęło od moich przeżyć związanych z Zofią, Natanem i Leslie Lapidus! Rodzinna tragedia, którą w bólach wydawałem na świat w domu Yetty Zimmerman, została dawno opublikowana (zyskując sobie powszechne uznanie, znacznie przekraczające moje młodzieńcze oczekiwania); zdążyłem już napisać kolejne powieści i bez szczególnego entuzjazmu czy zaangażowania uprawiałem modne dziennikarstwo w latach sześćdziesiątych. Jednak serce moje pozostawało wierne sztuce powieściopisarskiej - uznanej za konającą lub wręcz, zmiłuj się Panie, martwą - a zatem z satysfakcją (przynajmniej własną) zdementowałem w 1967 roku pogłoski o jej śmierci, publikując książkę, która nie tylko spełniała moje estetyczne i filozoficzne założenia, lecz także zdobyła sobie setki tysięcy czytelników, choć jak się później okazało, nie wszystkich zadowoliła. Ale to już inna historia, więc pozwolę sobie tylko stwierdzić, że rok ów był dla mnie, ogólnie biorąc, pomyślny.

Ogólnie biorąc: to drobne zastrzeżenie wynika z faktu, że po pewnym czasie - jak to zwykle bywa po latach ciężkiej pracy nad wielowarstwowym dziełem - przyszedł szary, przygnębiający okres zwątpienia i ciężki, obezwładniający kryzys związany z pytaniem, co dalej. Wielu pisarzy doświadcza podobnych uczuć po ukończeniu ambitnego utworu; to taka „częściowa śmierć” chciałoby się wpełznąć z powrotem do jakiegoś wilgotnego łona i stać się znowu embrionem. Ale obowiązek wzywał, i znów, jak już tylekroć przedtem, zacząłem myśleć o Zofii. Przez dwadzieścia lat Zofia, jej życie - i to dawne, i to, które znałem a także Natan, straszliwe przejścia obojga oraz wszelkie splecione ze sobą i pogarszające się okoliczności, które zniszczyły to polskie, płowowłose biedactwo, nękały moją pamięć jak nawroty nieuleczalnych, bolesnych skurczów. W miarę jak nić czasu odwijala się niespiesznie, zbliżając mnie do wieku średniego, pejzaż i postacie tamtego lata pokrywały się pyłem i traciły wyrazistość, jak na poźółkłym zdjęciu znalezionym na kruchych, czarnych

kartach starego albumu, jednak udręka, jaka była wtedy udziałem tych dwojga, nadal domagała się wyjaśnienia. W ten oto sposób, w ostatnich miesiącach 1967 roku zacząłem poważnie rozmyślać o smutnym losie Zofii i Natana. Wiedziałem, że w końcu będę musiał się z tym zmierzyć, tak jak przez wiele lat mierzyłem się z powodzeniem ze sprawą innej młodej kobiety, którą beznadziejnie kochałem - napiętnowanej przez los Marii Hunt. Z różnych powodów stało się tak, że upłynęło jeszcze kilka lat, nim zacząłem spisywać historię Zofii w takiej formie, jaką ostatecznie przybrała. Ale prace przygotowawcze, jakie wówczas podjąłem, wymagały, bym zadręczał się wszelką dostępną mi lekturą dotyczącą *l'univers concentrationnaire*. I czytając George'a Steinera doznałem wstrząsu, jakbym czytał o czymś, co tkwiło już w mej podświadomości.

„Jedną z rzeczy, których nie potrafię uchwycić, choć pisałem onich często, usiłując nadać im jakąś znośną perspektywę - pisze Steiner - są wzajemne relacje czasu”. Steiner przytacza wcześniej opis okrutnej śmierci dwóch Żydów w obozie zagłady w Treblince. „Dokładnie w tej samej godzinie, kiedy Mehringa i Langnera mordowano, przytłaczająca większość istot ludzkich, znajdujących się w oddalonych o dwie mile polskich zagrodach albo w odległym o pięć tysięcy mil Nowym Jorku spała, jadła, wybierała się do kina, kochała się lub bała się dentysty. I tu moja wyobraźnia zawodzi. Te dwa porządki jednoczesnych zdarzeń są tak różne, tak niemożliwe do pogodzenia w obrębie powszechnie przyjętych ludzkich norm i wartości, że odrażający paradoks ich współistnienia (Treblinka istnieje, ponieważ jedni ją zbudowali, a niemal wszyscy pozostali przyzwolili na to) nie przestaje mnie intrygować. Czyżby - jak to zakładają gnostyczne spekulacje i science fiction - w jednym świecie istniały dwie różne odmiany czasu, »czas dobry« i osaczający go czas nieludzki, w którym ludzie dostają się we władzę piekła na ziemi?”

Zanim przeczytałem ten fragment, żywiłem dość naiwne przekonanie, że tylko ja igrzm z takimi dociekaniem, że tylko mnie opanowała obsesja relacji czasu, do tego stopnia, iż próbowałem na przykład z lepszym czy gorszym skutkiem ustalić, co robiłem pierwszego kwietnia 1943 roku, a więc w dniu, w którym Zofia, przekraczając bramę Oświęcimia, znalazła się w „piekle na ziemi”. Kiedyś, pod koniec 1947 roku - gdy od początku ciężkiej próby, jakiej los poddał Zofię, upłynęło stosunkowo niewiele czasu - szperałem w zakamarkach pamięci, usiłując przypomnieć sobie, co robiłem w dniu, kiedy ona przekraczała wrota piekła. Pierwszy kwietnia 1943 roku - prima aprilis - stał się obsesją mojej pamięci; po przejrzaniu kilku listów od ojca, które naprowadzały mnie na właściwy trop, zdołałem dotrzeć do absurdalnego faktu, że tego popołudnia, kiedy Zofia po raz pierwszy postawiła stopę na rampie kolejowej w Oświęcimiu, w Raleigh, w Północnej Karolinie był piękny, wiosenny

poranek, a ja zażerałem się bananami. Objadałem się nimi aż do mdłości, ponieważ miałem za godzinę stanąć przed komisją poborową, kwalifikującą ochotników do piechoty morskiej. W wieku lat siedemnastu, przy wzroście ponad metr osiemdziesiąt, ważyłem tylko 122 funty i wiedziałem, że muszę przybrać jeszcze trzy, aby uzyskać minimum wymaganej wagi. Z żołądkiem wzdętym jak u głodującego stanąłem nagi na wadze naprzeciw zażywnego, starszawego sierżanta z komisji, który spojrzał na moją wymizerowaną, tyczkowatą, nieforemną sylwetkę młokosa i parsknął szyderczo: - Chryste! (dodając jakiś chamski żart o prima aprilis) - ale jakoś udało mi się prześliznąć.

Nie słyszałem jeszcze wtedy o Oświęcimiu ani o żadnym innym obozie koncentracyjnym, ani też o masowej zagładzie europejskich Żydów. Nie wiedziałem nawet zbyt wiele o hitlerowcach. Dla mnie wrogami w tej totalnej wojnie byli Japończycy, a moja nieświadomość istnienia koszmaru wiszącego jak trujący, szary smog nad miejscowościami o nazwach Auschwitz, Treblinka czy BergenBelsen, była całkowita. Ale czy nie odnosiło się to do większości Amerykanów, czy wręcz większości ludzi żyjących poza obrębem hitlerowskiego horroru? „Być może kontynuuje Steiner - uświadomienie sobie istnienia dwóch różnych rodzajów czasu, funkcjonujących równolegle, lecz pozbawionych jakichkolwiek analogii czy związków, jest rzeczą konieczną dla nas, których tam nie było, którzy żyliśmy jakby na innej planecie”. Otóż to, zwłaszcza że dla milionów Amerykanów (o czym się często zapomina) uosobieniem zła byli nie hitlerowcy przy całej pogardzie i lęku, jakie wobec nich żywiono - lecz legiony żołnierzy japońskich, od których, niczym od zaślepionych i wściekłych małp, roiły się dżungle wysp Pacyfiku, i którzy wydawali się znacznie większym - by nie powiedzieć, że bardziej odrażającym, ze względu na żółty kolor skóry i paskudne obyczaje - zagrożeniem dla amerykańskiego kontynentu. Ale nawet gdyby tak selektywna nienawiść do orientalnego przeciwnika nie była czymś rzeczywistym, większość ludzi nie mogłaby wiedzieć zbyt wiele o hitlerowskich obozach śmierci; tym bardziej pouczające są przemyślenia Steinera. Dla tych, których tam nie było, łącznikiem pomiędzy „różnymi rodzajami czasu” jest oczywiście ktoś, kto tam był; tu wracamy do Zofii. Do Zofii, a szczególnie do sprawy jej stosunków z Obersturmbannführerem SS, Rudolfem Franzem Hössem.

Wspomniałem już kilka razy o powściągliwości Zofii w tym, co dotyczyło Oświęcimia, o jej na ogół konsekwentnym, upartym milczeniu na temat tego cuchnącego ścieku, jakim stało się wtedy jej życie. Skoro ona sama (jak mi to kiedyś wyznała) zdołała tak skutecznie znieczulić swą pamięć na powracające obrazy z pobytu w otchłani, to nic dziwnego, że ani Natan, ani ja nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele o tym, jak wyglądała jej

obozowe życie dzień po dniu (zwłaszcza w ostatnich miesiącach). Pewne było tylko to, że z powodu zagłodzenia i licznych przebytych chorób znajdowała się na granicy śmierci. Dlatego też oszczędzę zblazowanemu czytelnikowi, znudzonemu do przesady nieustającą ucztą okrucieństw naszego wieku, szczegółowej kroniki zabójstw, gazowań, pobić, tortur, zbrodniczych eksperymentów medycznych, powolnego upodlania, gnojenia, potwornych szaleństw i całego tego repertuaru, odnotowanego już w rejestrach historii przez Tadeusza Borowskiego, Jeana-François Steinera, Olę Lengyel, Eugena Kogona, André SchwartzBarta, Elie Wiesela i Brunona Bettelheima, że wymienię tylko kilku spośród przemawiających najsilniej, którzy próbowali odmalować totalne piekło krwią własnego serca. Moja wizja pobytu Zofii w Oświęcimiu jest z konieczności zatamizowana i prawdopodobnie nieco zniekształcona, choć w dobrej wierze. Nawet gdyby zdecydowała się ujawnić przed Natanem czy przede mną makabryczne detale ze swego dwudziestomiesięcznego pobytu w obozie, mógłbym poczuć się zmuszony do ich przemilczenia, ponieważ - jak zauważa Steiner - nie jest jasne, „czy ci, którzy sami w tym nie uczestniczyli i pozostali nietknięci, powinni dotykać tej męki?”. Muszę wyznać, że dręczyło mnie podejrzenie, iż wkraczam bezprawnie na obszary przeżyć tak okrutnych, tak niewytłumaczalnych, zarezerwowane na zawsze i jak najślusniej dla tych, którzy cierpieli i zmarli bądź przeżyli. Jeden z tych, co przeżył, Elie Wiesel, napisał: „Powieściopisarze swobodnie używają słowa »Holocaust« w swoich książkach... Czyniąc to, zdewaluowali je i wyprali z treści. Holocaust jest teraz tematem »gorącym«, modnym, gwarantuje zainteresowanie i natychmiastowy sukces...” Nie wiem, czy jest to do końca prawdziwe, ale zdaję sobie sprawę z istnienia ryzyka.

Nie mogę się jednak zgodzić z sugestią Steinera, że właściwym rozwiązaniem jest milczenie i że najlepiej nie dosztu - kowyać literackich i socjologicznych banałów do tego, co niewyrażalne. Nie zgadzam się też z tezą, że „wobec pewnych faktów sztuka staje się trywialna bądź impertynencka”. Uważam to za nadmierny pietyzm, szczególnie że sam Steiner milczenia nie zachowuje. Z pewnością, niemal kosmiczne w swej nie - zrozumiałości ucieleśnienie zła, jakim stał się Oświęcim, pozostaje nieprzeniknione tak długo, jak długo wzdramy się przed próbą jego przeniknięcia, choćby nieudolną; sam Steiner dodaje zresztą zaraz, że drugim najlepszym rozwiązaniem jest „próbować zrozumieć”. Myślałem, że uda mi się zrozumieć Oświęcim, kiedy zrozumie Zofię, która była - łagodnie mówiąc - zlepkiem sprzeczności. Chociaż nieŻydówka, wycierpiała tyle samo co każdy z Żydów, który przeżył podobne męczarnie, a w pewnym głębszym sensie - co, jak sądzę, stanie się oczywiste - wycierpiała znacznie więcej. (Wielu Żydom niezmiernie trudno wykroczyć poza uświęcony sposób postrzegania hitlerowskiej furii ludobójstwa i dlatego raczej wybaczalnym

uchybieciem niż błędem wydaje mi się to, że Zyd Steiner tylko mimochodem napomyka w swoich poruszających medytacjach o nieprzebranych rzeszach nieZydów o bezliku Słowian i Cyganów - pochłoniętych przez maszynę obozów i unicestwianych tak jak Żydzi, tyle że czasem mniej metodycznie.)

Gdyby Zofia była tylko ofiarą - bezwolnym jak liść na wietrze ludzkim pyłkiem, podobnym tłumom współbraci w cierpieniu mogłaby się wydawać jednym więcej wzruszającym, nieszczęsnym i pozbawionym tajemnic rozbitkiem, wyrzuconym przez sztorm na brookliński łąd. Rzecz w tym, że była w Oświęcimiu nie tylko ofiarą (jak mi to stopniowo wyjawiała tamtego lata), lecz zarazem współwinną, współniczką - bez względu na to, jak przypadkowa, dwuznaczna i niezamierzona była ta rola - w masowej rzezi, której mdlące wyziewy unosiły się spiralnymi smugami ku niebu z kominów Brzezinki, ilekroć spojrzała ponad wypalone słońcem, jesienne łąki z okien poddasza domu swego pana, Rudolfa Hossa. I w tym tkwi jedna (choć nie jedyna) z głównych przyczyn wyniszczającego ją poczucia ukrywanej przed Natanem winy - poczucia, które tak często okrutnie rozjątrzał, nie mając pojęcia o jego naturze. Nie mogła bowiem pozbyć się dławiącej świadomości, że był w jej życiu okres, kiedy odegrała z pełnym zaangażowaniem rolę współuczestnika zbrodni. A była to rola obsesyjnej i jadowitej antysemitki - namiętnej, żarliwej, niezdolnie ograniczonej żydożerczyni.

Zofia opowiedziała mi o dwóch tylko ważniejszych wydarzeniach, jakie miały miejsce podczas jej pobytu w Oświęcimiu; ożadnym z nich nie mówiła nigdy Natanowi. O pierwszym czyli dniu przybycia do obozu - już wspominałem, ale opowiedziała mi o tym dopiero podczas naszych ostatnich wspólnie spędzonych godzin. Drugie wydarzenie, związane z jej przelotnym kontaktem z Rudolfem Hósssem, jaki miał miejsce w tym samym roku, a także poprzedzające ten fakt okoliczności, opisała mi pewnego deszczowego popołudnia w Mapie Court. Powinienem raczej powiedzieć: pewnego deszczowego popołudnia i wieczoru. Bo chociaż wyrzucała z siebie tę opowieść o epizodzie z Hósssem w tak gorączkowym, a zarazem pełnym szczegółów transie, że przybrał dla mnie plastyczny, filmowy kształt czegoś, co oglądam bezpośrednio, to wspomnienia, emocjonalne wyczerpanie i napięcie spowodowały, że nagle wybuchnęła rozpaczliwym płaczem i musiałem uzupełnić sobie resztę jej historii innym razem. Datę tego spotkania na ponurym poddaszu domu Hossa - podobnie jak jej primaaprilisowy debiut zapamiętałem od razu i pamiętam do dziś, ponieważ był to dzień urodzin trzech moich idoli: mojego ojca, jesiennomelan - cholijnego Thomasa Wolfe'a i szalonego Nata Turnera, tego fanatycznego, czarnego diabła, którego duch nawiedzał moją wyobraźnię przez całe dzieciństwo i młodość. Był to trzeci października - w pamięci Zofii

wyrył się dzięki temu, że w tym dniu wypadała rocznica jej ślubu z Kazimierzem Zawistowskim.

I cóż porabiał, pytałem siebie, idąc śladem spekulacji George'a Steinera na temat istnienia jakiegoś złowrogiego, metafizycznego splotu czasu, cóż zatem porabiał poczciwy Stingo, świeżo upieczony rekrut amerykańskiej piechoty morskiej w chwili, gdy straszliwe prochy około dwóch tysięcy stu Żydów z Aten i wysp greckich - w postaci przezroczystego całunu z pyłu tak gęstego, że, jak mówiła Zofia, czuć go było na wargach jak piasek falowały w perspektywie, na której wcześniej spoczął jej wzrok, i jak niebotyczny tuman mgły z nadwiślańskich mokradeł zacierały sielski widok pasących się spokojnie owieczek? Odpowiedź jest niezwykle prosta: pisałem list z życzeniami urodzinowymi dla ojca - który sam do niedawna zasypywał mnie listami i który cieszył się (nawet kiedy byłem bardzo młody) moimi najbardziej mdłymi wypocinami, przekonany, że czeka mnie w przyszłości świetna kariera literacka. Przytaczam tutaj najważniejszy fragment, poprzedzony najserdeczniejszymi życzeniami. Dziś jestem przerażony sztubacką bezmyślnością listu, ale sądzę, że warto go zacytować dla wykazania jego uderzającej, wręcz zatrważającej niestosowności. Każdy jednak, kto posiada zmysł historyzmu, zdobędzie się na wyrozumiałość. Zresztą miałem wtedy osiemnaście lat.

Oddział Piechoty Morskiej, Jednostka Szkoleniowa Marynarki Wojennej USA nr V-12,

Duke University, Durham, Północna Karolina

3 października 1943

... w każdym razie, Tato, jutro Duke gra z Tennessee, więc panuje tu atmosfera czystej (choć powściąganej) hysterii. Mamy oczywiście nadzieję wygrać i kiedy dostaniesz ten list, będzie już wiadomo, czy Duke ma jakieś szanse w mistrzostwach, a może i na final na Bowl, ponieważ jeśli pokonamy Tennessee - naszego najgroźniejszego przeciwnika - bezpiecznie dożeglujemy do końca sezonu. Oczywiście Georgia też jest mocna i wielu stawia na nich jako na przyszłych mistrzów kraju. Jak widzisz, idzie „w zaparte”. A przy okazji - czy słyszałeś, że finały mogą się znowu odbyć na Uniwersytecie Duke'a (bez względu na to, czy zajmiemy pierwsze miejsce, czy nie), ponieważ władze Kalifornii zakazały wielkich zgromadzeń na wolnym powietrzu? Pewnie boją się sabotażu Japońców. Te małe małpy naprawdę narobiły bigosu wielu Amerykanom. Tak czy inaczej byłoby fantastycznie, gdyby finały odbyły się tutaj, zamiast na Rose Bowl - może przyjechałbyś wtedy z Wirginii na to widowisko, niezależnie od tego, czy Duke będzie grał, czy me. Pewnie Ci już pisałem, że tylko z powodu alfabetycznej zbieżności (wszystko jest w wojsku według alfabetu) moimi

współlokatorami są Pete Strohmyer i Chuckie Stutz. Wszystkich nas tu kształcą na pierwszorzędnym oficerów marines: Stutz był w zeszłym roku w drugiej drużynie kadry narodowej w Auburn, a kim jest Strohmyer, nie muszę Ci chyba mówić.

W naszym pokoju roi się od dziennikarzy i fotografów jak od myszy (wcześnie ujawniony dryg do metafor). Widziałeś może zdjęcie Strohmyera w „Timie” z zeszłego tygodnia i artykuł, w którym nazwali go najbardziej efektywnym napastnikiem od czasów Toma Hamana, a może nawet Reda Grange’a. Cholernie fajny facet z niego, Tato, i byłbym chyba nieuczciwy, gdybym nie przyznał, że lubię wygrzewać się w promieniach odbitej sławy, zwłaszcza że wokół Strohmyera kręcą się całe stada fantastycznych pańienek; jest ich tak dużo, że zawsze coś zostanie dla Twojego syna, Stingo, podpieracza ścian. Po meczu w Davidson podczas zeszłego weekendu mieliśmy niezłą zabawę...

Te dwa tysiące stu Żydów greckich zagazowanych i spalonych w czasie, kiedy pisałem powyższe słowa, nie stanowiło - jak mi wyjaśniła Zofia - żadnego rekordu w nieustającej masowej eksterminacji w Oświęcimiu; rzeź Żydów węgierskich dokonana w rok później i nadzorowana osobiście przez Hossa, który powrócił do obozu po kilkumiesięcznej nieobecności, by koordynować tak niecierpliwie oczekiwaną przez Eichmanna likwidację, nazwaną potem *Aktion Hoss*, obejmowała zbrodnię na znacznie większą skalę. Jednak ten masowy mord był, jak na tę fazę rozwoju Oświęcimia-Brzezinki, przedsięwzięciem ogromnym, jednym z największych, jakie dotychczas miało miejsce, a komplikowały je nie występujące przedtem w takiej skali problemy logistyczne oraz brak miejsca i trudności z usuwaniem zwłok. Zwykłą praktyką Hossa było wysyłanie lotniczą pocztą wojskową do Reichsführera SS Heinricha Himmlera opatrzonych stemplem *streng geheim* - „ściśle tajne” - raportów na temat ogólnego charakteru, stanu fizycznego więźniów i statystycznego składu „selekcji”. Odbываły się one niemal codziennie (a czasem kilka razy w ciągu dnia); Żydów przyjeżdżających pociągami dzielono na dwie grupy - sprawnych, którzy nadawali się jeszcze do pracy, i niesprawnych, których los był od razu przesądzony. Z powodu zbyt młodego lub zbyt starego wieku, kalectwa, wyniszczenia podróżą lub komplikacji po wcześniej przebytych chorobach stosunkowo niewielu spośród przybywających z różnych krajów do Oświęcimia Żydów można było uznać za nadających się do pracy. W jednym z raportów Hoss doniósł Eichmannowi, że przeciętna liczba wyselekcjonowanych stanowi aktualnie od dwudziestu pięciu do trzydziestu procent. Z jakichś powodów Żydzi greccy znosili podróż gorzej niż Żydzi innych narodowości. Odpowiedzialni za selekcję lekarze SS stwierdzali, że Żydzi wysiadający z pociągów przybywających z Aten byli tak wycieńczeni, że rzadko odsyłano więcej niż jednego na dziesięciu na prawą stronę rampy - stronę przeznaczoną dla tych, którzy

mieli żyć i pracować.

Hoss był tym zjawiskiem zaintrygowany, głęboko zaintrygowany. W adresowanej do Himmlera korespondencji z wspomnianego trzeciego października - dnia, który Zofia, pomimo przenikliwego, gęstego dymu i swądu uniemożliwiającego zaobserwowanie zmian pór roku, zapamiętała jako dzień pierwszego, rześkiego tchnienia jesieni - Hoss wysunął teorię, iż oplakany stan wyciąganych z bydłowych i towarowych wagonów Żydów greckich, z których wielu było martwych lub bliskich śmierci, mógł być spowodowany jedną z czterech przyczyn lub ich kombinacją: wyjątkowo długą podróżą w połączeniu ze złym stanem torów w Jugosławii, przez którą musieli przejeżdżać deportowani, nagłą zmianą z suchego i ciepłego klimatu śródziemnomorskiego na wilgotny i bagnisty klimat okolic górnego biegu Wisły (choć Hoss, odchodząc od swego zwykłego formalizmu, dodał na marginesie, że nawet to go zastanawia, jako że Oświęcim, przynajmniej w lecie, był gorętszy od „dwóch piekieł”) i wreszcie cechami wrodzonymi, ową *Ratlosigkeit*, właściwą ludziom południowej strefy, a zatem osobnikom słabego charakteru, która powodowała, że nie wytrzymywali szoku wykorzenia i podróży w nieznaną. Swoim niechlujstwem przypominali mu Cyganów, którzy jednakże przystosowani byli do podróżowania. Dyktując Zofii z namysłem i powoli swoje uwagi lekko zachrypniętym, beznamiętnym i syczącym głosem, z akcentem, w którym już wcześniej rozpoznała wymowę Niemca z nadbałtyckiego regionu, przerywał tylko po to, by zapalić papierosa (palił jednego za drugim; zauważyła na palcach jego prawej dłoni, małej i zbyt pulchnej jak na tak chuderlawego człowieka, plamy kasztanowego koloru) i zadumać się na długie sekundy z ręką przyciśniętą lekko do czoła. Co jakiś czas podnosił wzrok, żeby zapytać uprzejmie, czy nie dyktuje za szybko. „*Nein, mein Kommandant*”.

Z zaskakującą łatwością przypominała sobie po kilku latach przerwy staroświecką metodę stenografowania (Gabelsberger), której nauczyła się w Krakowie, kiedy miała szesnaście lat i którą tak często się posługiwała pomagając ojcu. Szybkość i wprawa zaskoczyły ją samą: wyszeptała krótką modlitwę dziękczynną do ojca, który - choć teraz w grobie w Sachsenhausen - zapewnił jej poniekąd szansę ocalenia. Jej myśli błądziły wokół osoby ojca

0 „profesora Biegańskiego”, jak go często w duchu nazywała, bo tak formalne i sztywne były zawsze ich stosunki - nawet wtedy, gdy Hoss ze swą kanciastą, opaloną i niebrzydką twarzą otoczoną obłokiem niebieskiego dymu urywał w pół zdania, zaciągał się papierosem, odkasływał flegmę i stawał w oknie, patrząc na uschnięte, październikowe trawy. Wiatr wiał akurat w stronę kominów Brzezinki, więc powietrze było czyste. Chociaż na zewnątrz wyczuwało się już pierwsze przymrozki, tu, w domu komendanta, pod stromym

dachem, było ciepło i nawet przytulnie. Ciepłe powietrze stało nieruchomo pod okapem, wspomagane promieniami jasnego, wczesnopołudniowego słońca. Kilka wielkich, niebieskawozielonych much uwięzionych za szybą bzycało ospale w ciszy; niekiedy wypuszczały się w krótkie, powietrzne rajdy, po czym wracały na okno, brzęczały jeszcze przez chwilę nerwowo i nieruchomie. Było tam również parę zabłąkanych, sennych os. Nieskazitelnie czysty, skromnie umeblowany i surowy pokój przypominał aseptycznie białymi ścianami laboratorium. Był to prywatny gabinet Hossa, jego sanktuarium i schronienie, a także miejsce, gdzie wykonywał wszelkie najbardziej osobiste, poufne i doniosłe prace. Nawet ubóstwiane dzieci, które mogły do woli buszować po wszystkich pozostałych piętrach, nie miały tu wstępu. Było to legowisko biurokraty naturze kapłana.

Na skąpe wyposażenie pokoju składały się: zwykły sosnowy stół, metalowa kartoteka, cztery krzesła z prostymi oparciami kozetka, na której Hoss kładł się czasem, gdy nawiedzały go ataki migreny. Był też telefon, zwykle wyłączony. Na stole leżały równo poukładane bloki urzędowej papeterii, uporządkowany zestaw piór i ołówków, stała też czarna i niezgrabna biurowa maszyna do pisania ozdobiona znakiem firmowym Adlera. Przez ostatnie półtora tygodnia Zofia siedziała tu całymi godzinami, wystukując korespondencję na tej lub na innej, mniejszej maszynie z polską czcionką (chowanej po użyciu pod stół). Czasami, tak jak teraz, siadała na innym krześle i stenografowała. Hoss dyktował szybkimi zrywami oddzielanymi od siebie niekończącymi się pauzami, w czasie których było niemal słychać ciężkie pulsowanie jego myśli, zawilego, gotyckiego toku rozumowania; w czasie tych przerw Zofia patrzyła na ściany, gołe, jeśli nie liczyć arcydzieła pretensjonalnego kiczu, które już kiedyś widziała, barwnego heroicznego profilu Adolfa Hitlera, zakutego, jak rycerz świętego Graala, w zbroję z nierdzewnej stali firmy Solingen. Tę mniemają celę mógłby równie dobrze zdobić portret Chrystusa. Hoss myślał, drapiąc się w lekko wysuniętą szczękę - Zofia czekała. Zdjął oficerską kurtkę i rozpiął kołnierzyk koszuli. Cisza, jaka tu na górze panowała, była nieziemska, prawie nierealna. Zakłócały ją tylko dwa - i to słabe - zmieszane z sobą dźwięki, stłumione odgłosy zrośnięte nierozzerwalnie z atmosferą Oświęcimia i rytmiczne jak szum morza: sapanie lokomotyw i odległy łoskot przetaczanych wagonów.

- *Es kann kein Zweifel sein* - podjął na nowo i przerwał. - Nie ma najmniejszych wątpliwości... Nie, to za mocno. Powinienem to chyba ująć mniej kategorycznie? - Nie było całkiem jasne, czy kieruje pytanie do Zofii. Wypowiedział je - nie pierwszy raz takim tonem, jakby chciał zasięgnąć jej opinii, nie osłabiając jednocześnie swojego autorytetu. W rezultacie było to pytanie adresowane do obojga. W rozmowie Hoss wykazywał nadzwyczajną elokwencję, ale jego styl epistolarny, jak zauważyła Zofia, choć

znośny i na pewno nie pozbawiony pewnej kultury, popadał często w niezgrabne, niejasne i zawile okresy i miał przyciężki, kulawy rytm charakterystyczny dla człowieka o wojskowym wychowaniu, wiecznego adiutanta. Właśnie teraz Hoss pogrążył się w jednej ze swych długich pauz.

- *Alter Wahrscheinlichkeit nach* - podsunęła Zofia nieśmiało, choć z mniejszym wahaniem, niż zrobiłaby to jeszcze parę dni temu. - To znacznie mniej kategoryczne.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa - powtórzył Hoss.

- Tak, to bardzo dobre. Pozwoli Reichsführerowi wyrobić sobie własny pogląd na tę sprawę. Napisz to, a potem...

Ta ostatnia uwaga sprawiła Zofii satysfakcję, niemal przyjemność. Czowała, że po tylu godzinach, w ciągu których jego sposób bycia cechowała metaliczna bezosobowość i urzędowa oficjalność, a dyktowanie przebiegało z lodowatą obojętnością automatu, bariera pomiędzy nimi zaczyna z wolna pękać. Jak dotychczas tylko raz - i to zaledwie poprzedniego dnia - przekroczył tę barierę. Nie była pewna, ale wydawało się jej, że teraz wykryła ślad ciepła w jego głosie, jakby nagle zaczął mówić do n i e j, do określonej istoty ludzkiej, a nie do niewolnika, *eine schmutzige Polin*, wyłuskanej z roju chorych i umierających mrówek dzięki niewiarygodnemu szczęściu (lub łasce boskiej, jak czasami pobożnie myślała), a także dzięki temu, że była bez wątpienia jedną z nielicznych, jeśli nie jedyną więźniarką, która władała równie swobodnie polskim i niemieckim, pisała biegle na maszynie w obu tych językach i stenografowała metodą Gabelsberga. I właśnie tą metodą zanotowała przedostatni akapit listu do Himmlera: „Według zatem wszelkiego prawdopodobieństwa rozwiązaniem byłoby ponowne rozpatrzenie problemu transportu Żydów greckich i zastanowienie się, czy nie należałoby w ogóle zaniechać w najbliższej przyszłości deportacji z Aten. Ponieważ aparat Akcji Specjalnej w Birkenau został obciążony znacznie bardziej niż przewidywano, pozwolę sobie z całym szacunkiem zasugerować, aby w szczególnym przypadku Żydów greckich rozważyć wykorzystanie alternatywnych punktów docelowych na okupowanych terenach Wschodu, takich jak KL Treblinka lub KL Sobibór”.

Hoss przerwał i przypalił kolejnego papierosa od niedopałka poprzedniego. Patrzył z wyrazem zamyślenia na twarzy przez uchylone mansardowe okno. Nagle wydał z siebie cichy okrzyk, na tyle jednak wyraźny, że pomyślała, iż stało się coś złego. Ale twarz Hossa natychmiast rozjaśnił uśmiech i usłyszała, jak westchnął:

- Aaach! - wychylając się gwałtownie do przodu, aby spojrzeć na przylegające do budynku pole. - Aaach - powtórzył w zachwycie, wciągając powietrze, a potem szepnął: -

Szybko! Chodź tutaj! - Wstała i podeszła do niego, tak blisko, że dotykała lekko munduru, po czym, podążając za jego wzrokiem, spojrzała na pole. - Arlekin! - wykrzyknął. - Czyż nie piękny?

Wspaniały, śnieżnobiały ogier arab - same mięśnie i pęd cwałował zataczając wielki, szalony, zachwycający krąg i muskając ogrodzenie maneżu białym, uniesionym wysoko i powiewającym jak smuga dymu ogonem. Podrzucał swym szlachetnym łbem z butną, niefrasobliwą radością, jakby opętany bez reszty rozpierając go szaleńczą, zdrową siłą i swym płynnym wdziękiem, który rzeźbił i wprowadzał w ruch galopujące nogi. Zofia widziała ogiera już przedtem, ale nigdy w tak pełnym poezji locie. Był to polski koń, jedno z wojennych trofeów, i należał do Hossa.

- Arlekin! - wykrzyknął raz jeszcze w zachwycie. - Cóż za cudo! - Ogier galopował sam - w zasięgu wzroku nie było żadnego człowieka. Tylko kilka owiec skubało trawę. Za polem, na horyzoncie rozciągała się poszarpana ciżba nijakich, karłowatych lasów, które już zaczynały przybierać odcień ołowianej galicyjskiej jesieni. Kilka samotnych zagród znaczyło punkcikami skraj lasu. Mimo monotonii i szarzyzny tego widoku Zofia wołała go od tego po przeciwnej stronie domu - od ruchliwej, zatłoczonej rampy, gdzie odbywały się selekcje, i stojących nieco dalej obskurnych bloków z brunatnej cegły - scenerii zwieńczonej wygiętym, metalowym napisem, który stąd czytało się odwrotnie: ARBEIT MACHT FREI. Wstrząsnął nią dreszcz, gdy jakiś zabłąkany podmuch owionął jej szyję, a jednocześnie Hoss dotknął lekko palcami jej ramienia. Nigdy przedtem jej nie dotykał; zadrżała ponownie, choć czuła, że dotknięcie było bezosobowe. - Spójrz tylko na Arlekina - wydyszał szeptem. Wspaniałe zwierzę mknęło jak wichur wzdłuż zamkniętego kręgu ogrodzenia, wzniecając za sobą miniaturowy cyklon brunatnego pyłu. - To najlepsze konie świata, te polskie araby - powiedział Hoss. - Arlekin to triumf! - Koń zniknął z pola widzenia.

Natychmiast powrócił do listu, wskazując Zofii, by usiadła.

- Na czym skończyłem? - zapytał. Przeczytała ostatni akapit.

- Dobrze - podjął - teraz zakończ tak: Mamy jednakże nadzieję, że do chwili otrzymania dalszych informacji decyzja tutejszego dowództwa o zatrudnieniu większości zdolnych do pracy Żydów greckich w Oddziale Specjalnym w Birkenau zostanie zatwierdzona. Objęcie niezdolnych do pracy Akcją Specjalną wydaje się uzasadnione okolicznościami. Koniec akapitu. **Heil Hitler!** Podpis jak zwykle i od razu na maszynie.

Kiedy spełniając posłusznie i szybko polecenie, siadła do maszyny i wkręciła kartkę papieru i pięć przebitek, pochylona nad pracą spostrzegła, że siedzący naprzeciwko Hoss sięgnął natychmiast po jakąś urzędową lekturę i zabrał się do czytania. Zerknęła na książkę

kątem oka. Nie był to zielony podręcznik SS, ale szaroniebieski wojskowy poradnik kwatermistrzowski z tytułem, który zajmował całą okładkę: *Udoskonalone metody pomiarów i obliczania przecieków ze zbiorników asenizacyjnych w niekorzystnych warunkach glebowych i klimatycznych*. Nie traci czasu ten Hoss! - pomyślała. Zaledwie sekunda czy dwie dzieliły jego ostatnie słowa od momentu, gdy sięgnął po podręcznik, a już pograżył się całkowicie w lekturze. Ciągle jeszcze czuła dotyk jego palców na ramieniu. Opuściła wzrok i wystukiwała list, bynajmniej nie zszokowana oschłą informacją ukrytą pod znanymi jej, końcowymi kryptonimami: „Akcja Specjalna”, „Oddział Specjalny”. Niewielu współwięźniów nie zdawało sobie sprawy z tego, co naprawdę kryje się pod tymi eufemizmami; gdyby mieli dostęp do korespondencji Hossa, mogliby to z grubsza przełożyć tak: „Żydzi greccy przybywają w tak żalonym stanie, że są i tak gotowi umrzeć, a zatem chyba słusznie kierujemy ich do komanda śmierci przy krematoriach, gdzie będą zajmować się trupami, wrywać złote zęby i wrzucać ciała do pieców, do czasu kiedy sami, krańcowo wyczerpani, nadawać się będą do gazu”. Taka trawestacja słów Hossa przemknęła przez głowę Zofii, gdy przepisywała list. Była w tym zawarta myśl, która jeszcze pół roku temu, w chwili jej przyjazdu, wydawałaby się nieprawdopodobnie potworna, ale teraz, w tym jej nowym świecie, została odnotowana przez świadomość jako nieistotny banał, nie bardziej wart wzmianki niż to, że w tamtym dawnym, znanym jej świecie ktoś poszedł do piekarni po chleb.

Skończyła list bez błędów, dodając wykrzyknik do pozdrowienia Fihrera z takim wigorem, że maszyna zareagowała przeciągłym brzękiem. Hoss podniósł wzrok sponad podręcznika, po czym skinął, żeby podała mu list i wieczne pióro. Wręczyła mu je pospiesznie i stała czekając, aż Hoss dopisze osobiste *postscriptum* na mniejszej kartce, którą przypięła spinaczem na dole oryginału. Skrobiąc piórem pomrukiwał swoim zwyczajem miarowo do wtóru pisanym słowom:

- Mój drogi Heini, bardzo osobiście żałuję, że nie będę mógł spotkać się z Tobą jutro w Posen, gdzie doręczą ci ten list kurierem lotniczym. Życzę udanego przemówienia do chłopaków z SS. Rudi. - Oddał jej list ze słowami: - To trzeba nadać szybko, ale najpierw skończ list do księdza.

Wróciła do stołu, z wielkim wysiłkiem zestawiała ciężki jak z ołowiu niemiecki grat na podłogę i zastąpiła go wyprodukowaną w Czechosłowacji maszyną z polską czcionką, znacznie lżejszą, nowszą i wygodniejszą w obsłudze. Zaczęła pisać tłumacząc ze stenogramu list, który Hoss podyktował jej poprzedniego popołudnia. Dotyczył drobnego, lecz irytującego problemu, jednego z tych, jakie zdarzają się w stosunkach z ludnością cywilną i w jakiś

dziwny sposób kojarzył się Zofii z *Nędznikami*, których pamiętała... ach, jakże dokładnie. Hoss dostał list od księdza z pobliskiej wioski - pobliskiej, ale położonej poza przyległym do obozu obszarem, oczyszczonym z polskich mieszkańców.

Ksiądz żalił się, że grupka pijanych strażników z obozu (nie wiadomo dokładnie ilu) wtargnęła w nocy do kościoła i ukradła z ołtarza parę bezcennych, srebrnych lichtarzy, unikatowych dzieł sztuki ręcznej roboty, pochodzących z XVII wieku. Zofia przetłumaczyła Hóssowi list księdza pisany wymęczoną, poszat - kowaną polszczyzną. Kiedy czytała, uderzyła ją zuchwałość, a nawet bezczelność listu. Jedno albo drugie, a może zwykła głupota skłoniły jakiegoś parafialnego, nic nie znaczącego księżul - ka do podjęcia korespondencji z komendantem Oświęcimia. Była jednak w liście pewna przebiegłość; ton był układny, wręcz służalczy („zabierać cenny czas Szanownemu Panu Komendantowi”), a przy tym wyrozumiały wobec samego przewinienia („i jesteśmy w stanie zrozumieć, że nadmierne spożycie alkoholu mogło stać się przyczyną takiej eskapady, podjętej niewątpliwie bez złych zamiarów”), ale biedny ksiądz najwyraźniej starał się opanować szaloną zgryzotę, tak jakby on i jego owieczki zostali pozbawieni przedmiotu najwyższego kultu, co zresztą rzeczywiście miało miejsce. Odczytując list na głos, Zofia uwypuklała ten serwilistyczny ton, który niejako podkreślał maniacką rozpacz księdza, a kiedy skończyła, usłyszała głęboki jęk niezadowolenia.

- Lichtarze! - parsknął Hoss. - A cóż mnie obchodzą lichtarze?

Podniosła wzrok i zobaczyła na jego ustach cień autoironicznego uśmiechu; uprzytomniła sobie, że po raz pierwszy po tylu godzinach spędzonych w mechanicznym, bezosobowym towarzystwie Hossa, kiedy wszelkie jego pytania dotyczyły wyłącznie stenografii i tłumaczenia, to ostatnie, żartobliwe i retoryczne, przynajmniej częściowo skierowane było do niej. Tak ją to zbulwersowało, że ołówek wypadł jej z ręki. Otworzyła bezwiednie usta, ale nic nie powiedziała, nie mogła się też zdobyć na odwzajemnienie jego uśmiechu.

- Kościół - powiedział. - Musimy być w dobrych stosunkach z tutejszym kościołem - nawet na wsi. To jest właściwa polityka.

Schyliła się w milczeniu i podniosła ołówek z podłogi.

- Ty jesteś oczywiście wyznania rzymskokatolickiego? - zwrócił się już bezpośrednio do niej.

Nie wyczuwała w tym pytaniu sarkazmu, ale przez dłuższą chwilę nie mogła zdobyć się na odpowiedź. Gdy wreszcie przytaknęła, wyrwało jej się jednocześnie spontaniczne:

- Pan też? - Krew napłynęła jej do twarzy; uprzytomniła sobie kompletny

idiotyzm tych słów.

Jednak ku jej zaskoczeniu i uldze zachował kamienną twarz i odpowiedział obojętnym, rzeczowym tonem:

- Byłem katolikiem, ale teraz jestem *Gottgläubiger*. Wierzę, że gdzieś tam istnieje jakiś Bóg. Kiedyś wierzyłem w Chrystusa przerwał. - Ale zerwałem z chrześcijaństwem.

I to było wszystko. Mówił o tym tak obojętnie, jakby chodziło o pozbycie się starego ubrania. Od tej chwili nie odezwał się już ani razu „prywatnie”; znowu pogрузzył się bez reszty w sprawy urzędowych i podyktował jej memorandum do Sturmbannführera Fritza Hartjensteina, dowódcy garnizonu SS, nakazując mu, aby przeprowadził rewizję baraków wojskowych w celu odnalezienia lichtarzy oraz uczynił co w jego mocy, by ująć sprawców i oddać ich do dyspozycji komendanta żandarmerii obozowej. W ten oto sposób powstał dokument w pięciu kopiach, z których jedną miał otrzymać Oberscharführer Kurt Knittel, szef Sekcji VI (*Kulturabteilung*), inspektor szkolenia i wychowania politycznego służby wartowniczej, jedną zaś Sturmbannführer Konrad Morgen, kierujący komisją specjalną SS do badania nadużyć w obozach koncentracyjnych. Następnie Höss zajął się odpowiedzią dla zrozpaczonego proboszcza. Kazał Zofii przełożyć podyktowany dzień wcześniej list na język adresata i teraz przepisywała to na maszynie, czerpiąc pewną satysfakcję z faktu, że potrafi przekształcić mętną, sztywną niemieczyznę Hössa w klarowną materię złotej polszczyzny: „Wielebny Księżę Chybiński, poruszyła nami do głębi wiadomość o akcie wandalizmu w kościele Księdza. Nic nie może zasmucić nas bardziej niż fakt bezczeszczenia obiektów sakralnych, podejmiemy zatem usilne starania, by zapewnić Księdzu zwrot bezcennych kandelabrow. Jakkolwiek żołnierzom tego garnizonu wpojono szczytne zasady dyscypliny, obowiązujące każdego członka SS - więcej, każdego Niemca pełniącego służbę na okupowanych terytoriach - uchybienia tego rodzaju są nieuniknione; możemy jedynie żywić głęboką nadzieję, że zechce Ksiądz to zrozumieć...” Maszyna Zofii klekotała w ciszy poddasza, podczas gdy Hoss medytował nad planami dołów kloacz - nych, wokół brzęczały muchy, a nieustanny łoskot wagonów przetaczał się w oddali jak pomruk letniej burzy.

W chwili kiedy skończyła (wystukując zwykle *Heil Hitler!*), serce znów załomotało jej w panice, ponieważ Hoss przemówił nagle; kiedy podniosła wzrok, spostrzegła, że patrzy jej prosto w oczy. Chociaż stukot maszyny stłumił słowa, była prawie pewna, że powiedział: - Bardzo ładna chustka. - Machinalnie, choć nie bez kokieterii, podniosła rękę, by drżącymi palcami dotknąć chustki na czubku głowy. Uszyta przez więźniarki z taniego, zielonego perkalu w kratkę, okrywała jej śmieszne kędziory, odrastające w brzydkich kępkach po

ogoleniu włosów do skóry przed sześcioma miesiącami. Taka chustka była rzadkim przywilejem; tylko więźniom, którzy mieli szczęście pracować w **Haus Hoss**, pozwalano ukryć upokarzającą łysinę, którą współtowarzysze niedoli - mężczyźni i kobiety - musieli demonstrować temu hermetycznie zamkniętemu drutami elektrycznymi światu. Owa odrobina godności, którą zapewniała chustka, budziła w Zofii niewyraźne, lecz szczere uczucie wdzięczności.

- **Danke, mein Kommandant!** - usłyszała swój drżący głos. Myśl o rozmowie z Hössem na jakikolwiek temat wykraczający poza jej obowiązki sekretarki napawała ją takim lękiem, że aż się skręcała wewnątrz. Jej nerwowość była tym większa, że taka rozmowa była czymś, czego w rzeczywistości gorąco pragnęła. Żołądek zaburczał jej ze strachu - nie przed samym komendantem, ale przed nerwowym załamaniem; bała się, że w końcu zabraknie jej sprytu, zdolności improwizacji, subtelności w prowadzeniu rozmowy, talentu aktorskiego, wreszcie nieodpartej siły przekonywania, z pomocą której rozpaczliwie pragnęła go rozmiękczyć i w ten sposób nakłonić do spełnienia jej skromnych życzeń. - **Danke schön!** - powiedziała niezdarnie i niewybaczalnie głośno, myśląc jednocześnie: bądź cicho, ty idiotko, bo pomyśli sobie, że jesteś jakieś głupie ciele! Wyraziła swą wdzięczność cichszym głosem i z namaszczonym wyrachowaniem zatrzepotała rękami, spuszczać skromnie wzrok. - To od Lotty - wyjaśniła. - Dostała dwie od **Frau Höss** i jedną mi odstąpiła. Nie widać spod niej odrostów. - Teraz spokój - pomyślała. - Nie gadaj za dużo. W ogóle dużo nie mów. Jeszcze nie teraz.

Höss przeglądał tymczasem list do księdza, choć, jak sam przyznał, nie rozumiał ani słowa po polsku. Obserwując go, usłyszała, jak mówi stropiony:

- ... **diese unerträgliche Sprache** - i wykrzywia wargi, aby wymówić kilka opornych słów w tym „niemożliwym języku”. Szybko dał sobie jednak spokój i wstał. - Dobrze - powiedział.

- Mam nadzieję, że uspokoiliśmy tego nieszczęśliwego księżulka.

- Energicznym krokiem podszedł z listem w ręku do drzwi, otworzył je na oścież i zniknąwszy na chwilę z pola widzenia Zofii krzyknął coś w dół do swojego adiutanta Untersturmführera Schefflera, który tylko czekał na półpiętrze na takie władcze komendy szefa. Zofia słuchała stłumionego przez ściany głosu Hössa, rozkazującego Schefflerowi, aby natychmiast doręczyć list przez gońca do kościoła. Słaby i niewyraźny, ale pełen szacunku głos Schefflera odpowiedział z dołu, jak się jej zdawało:

- Już idę na górę, panie komendancie!

- Nie, to ja zejść na dół i pokażę ci! - usłyszała zniecierpliwiony głos Hössa.

Zaszło jakieś nieporozumienie, które komendant chciał teraz wyjaśnić.

Mrucząc coś pod nosem, zszedł kilka stopni z głośnym stukotem podkutych butów do konnej jazdy, aby rozmówić się z adiutantem, krzepkim, młodym porucznikiem z Ulm o twarzy pokerzysty. Z dołu dobiegał monotony, niewyraźny i bełkotliwy szmer rozmowy. Potem do uszu Zofii dotarło przez ich słowa coś, co trwało chwilę zaledwie i samo w sobie nie miało znaczenia, lecz pozostało jednym z najtrwalszych doznań spośród niezliczonych, fragmentarycznych wspomnień tamtego miejsca i czasu. Gdy tylko usłyszała muzykę, domyśliła się, że dochodzi ona z wielkiego elektrycznego gramofonu, królującego w rozgardiaszu zagraconego, bladoróżowego salonu, o cztery piętra niżej. W ciągu półtora tygodnia, które spędziła pod dachem domu Hossa, urządzenie grało za dnia prawie bez przerwy - przynajmniej wtedy, gdy znajdowała się w zasięgu głośnika - w ciasnym i wilgotnym kącie piwnicy, gdzie sypiała na sienniku ze słomy, bądź tutaj, na poddaszu, dokąd dźwięki docierały czasem przez uchylone drzwi do jej obojętnych uszu.

Zofia prawie nie słyszała tej muzyki, przeważnie ignorowała ją całkowicie, gdyż były to niemal wyłącznie głośne i ckiwe, podwórkowe szlagiery niemieckie, humorystyczne piosenki tyrolskie, jodłowania, *glockenspiele* i akordeony, a wszystko skąpane w sosie landrynkowych *Tranem*, łzawych popłuczyn z berlińskich kafejek bądź teatrzyków rewiiowych i pełne takich skarg serca jak *Nur nicht aus Liebe weinen*, wyciąganych wibrującym sopranem przez ulubionego słowika Hitlera, Zarah Leander. I wszystko to grane w kółko, z bezlitosnym, tępym uporem przez „panią na włościach” - obwieszoną błyskotkami, wrzaskliwą żonę Hossa, Hedwig. Zofia pragnęła tego gramofonu aż do bólu i zerkała na niego ukradkiem, ilekroć zdarzało jej się przechodzić przez salon po drodze z jej kąta w piwnicy na poddasze. Pokój był niemal dokładną kopią ilustracji, jaką widziała kiedyś w polskim wydaniu „Magazynu osobliwości”: zagracony francuskimi, włoskimi, rosyjskimi i polskimi antykami wszystkich epok i stylów, wyglądał na dzieło jakiegoś obłąkanego projektanta wnętrza, który stłoczył na lśniącym parkiecie sofę, krzesła, stoły, sekretarzyki, kozetki, szezlongi i miękkie otomany z jakiegoś niewydarzonego *palazzo* upychając w jednym, przestronnym, lecz ograniczonym przecież pomieszczeniu meble, jakich starczyłoby do urządzenia tuzina pokoi. Nawet wśród tego ohydneho galimatiasu gramofon, choć również podrabiany antyk z wiśniowego drzewa, wyróżniał się w jakiś sposób. Zofia nigdy jeszcze nie widziała elektrycznego gramofonu ze wzmacniaczem - te, które znała, były tanimi, ręcznie nakręcanymi urządzeniami, doprowadzało ją więc do rozpaczki to, że ta cudowna maszyna musi odtwarzać tylko taki *Dreck*. Przechodząc kiedyś blisko, odkryła, że jest to Stromberg Carlson, a więc, jak początkowo sądziła, wyrób szwedzki, i dopiero Broniek - niby prosty, ale

bystry współwzięcie pracujący w domu komendanta jako chłopak do wszystkiego, a przy tym główne źródło plotek i wiadomości - powiedział jej, że to gramofon amerykański, prawdopodobnie zrabowany z jakiejś luksusowej knajpy lub ambasady na Zachodzie i przywieziony tutaj, by mógł stanąć pośród ogromnej góry łupów, ściąganych z obłąkańczą chciwością ze wszystkich splądrowanych domostw Europy. Wokół gramofonu stało w oszklonych szafkach mnóstwo grubych albumów płytowych, a na nim samym usadzono tłustą, amorkowatą lalkę bawarską z różowego celuloиду, dmuchającą z wydętymi policzkami w pozłacany saksofon. Euterpe, słodka muza dźwięków - pomyślała Zofia, przechodząc szybko dalej...

Die Himmel erzählen die Ehre Gottes und seiner Hände Werk zeigt an das Firmament!

Ten niespodziewany elizejski chór, przebijający się przez monotony odgłos rozmowy Hössa z adiutantem, wywołał u niej taki nagły, pomieszany ze zdumieniem zachwyt, że z lekkim drzeniem wstała odruchowo od maszyny, jakby składając hołd muzyce. Cóż się na Boga stało? Co za szaleniec, jaki dziwoląg nastawił tę płytę? Czyżby to sama Hedwig Höss nagle zwariowała? Nie wiadomo, ale to bez znaczenia. (Dopiero później domyśliła się, że to pewnie Emmi, młodsza córka Hossów, jedenastoletnia blondynka z na - dąsaną, piegowatą i okrągłą jak księżyc buzią zabijała poobiednią nudę, puszczając nieznane i egzotyczne dla niej melodie.) Bez znaczenia. Ekstatyczne uniesienie ogarnęło ją całą, jakby jej ciała dotykały czyjeś rozkosznie lodowate niebiańskie ręce. Wstrząsały nią fale dreszczy; na długie sekundy noc i mgła jej egzystencji, przez którą brnęła niczym lunatyczka, rozproszyła się jak gdyby pod działaniem promieni palącego słońca. Zrobiła krok w stronę okna. W uchylonej szybie zobaczyła odbicie swej wybladłej twarzy obramowanej kraciastą chustką, a niżej niebieskie i białe pasy szorstkiego, obozowego fartucha; mrużąc oczy pełne łez, znów zobaczyła przez swoje przezroczyste odbicie tego zaczarowanego, białego konia, pasącego się teraz na łące, dalej owce, a jeszcze dalej, jak gdyby na samym krańcu świata, szaroburą linię jesiennego lasu, przemienionego żarem muzyki w jakiś niebotyczny fryz uschłego, lecz wspaniałego listowia, niewiarygodnie piękny, promieniejący światłem wewnętrznej łaski. „Ojczyzna...” - zaczęła po niemiecku. Półprzytomna, unoszona hymnem gdzieś w bezkresną przestrzeń, zamknęła oczy, podczas gdy archanielskie trio śpiewało na chwałę wirującej ziemi:

Dem kommenden Tage sagt es der Tag

Die Nacht, die verschwand der folgenden Nacht...

- I wtedy muzyka się urwała - powiedziała mi Zofia. - Nie, jeszcze nie wtedy, ale w chwilę później. Urwała się w środku ostatniej frazy - znasz ją może? - która po

angielsku brzmi chyba tak: *Na całej ziemi rozbrzmiewa Słowo...* Muzyka urwała się nagle i poczułam kompletną pustkę. Nigdy nie dokończyłam pacierza, tej modlitwy, którą zaczęłam. To chyba właśnie wtedy zaczęłam tracić wiarę. Nie wiem, kiedy Bóg mnie opuścił. Czy też ja opuściłam Jego. W każdym razie czułam tę pustkę. To było tak, jak gdyby znalazło się w jakimś niezwykle realnym śnie coś cennego - coś lub kogoś niewiarygodnie drogiego sercu - po to tylko, by po przebudzeniu stwierdzić, że ten ktoś zniknął. Na zawsze! Tyle już razy przydarzało mi się budzić z tym poczuciem straty! I kiedy muzyka się urwała, było dokładnie tak samo, a ja wiedziałam, miałam przecucie, że już nigdy nie usłyszę takiej muzyki. Drzwi były ciągle otwarte i słyszałam rozmowę Hössa z Schefflerem na schodach. I wtedy, tam na dole Emmi - jestem pewna, że to była ona - puściła, zgadnij co? *Polkę Baryleczkę*. Ogarnęła mnie wściekłość. Ta mała, tłusta dziwka z twarzą jak blady księżyc z margaryny. Myślałam, że ją zabiję. Puściła *Polkę Baryleczkę* i to na cały regulator. Musieli ją słyszeć w ogrodzie, w barakach, w mieście. W Warszawie. I ten głupi kawałek był po angielsku.

Wiedziałam, że muszę się opanować, zapomnieć o muzyce, myśleć o czymś innym. Wiedziałam też, że muszę wysilić całą swoją inteligencję, wszystkie szare komórki, jak ty byś powiedział, żeby uzyskać od Hossa to, czego chciałam. Wiedziałam, że nienawidzi Polaków, ale to nie miało znaczenia. Zrobiłam już tę... *comment diton, felure...* rysę! - rysę na jego masce i teraz musiałam wykonać następny ruch, bo czas był tu *Vessence*. Broniek, ten chłopak do wszystkiego, zdradził nam, kobietom z piwnicy, że niedługo mają podobno przenieść Hossa do Berlina. Musiałam działać szybko, jeśli miałam - tak, powiem wprost - jeśli miałam uwieść Hossa; chociaż na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze, miałam nadzieję, że uda mi się go uwieść raczej duchowo niż ciałem. Liczyłam na to, że nie będę musiała posługiwać się ciałem, jeśli udowodnię mu pewne sprawy. Jeśli, rozumiesz, Stingo, udowodnię mu, że Zofia Maria BiegańskaZawistowska, choć *eine schmutzige Polin*, rozumiesz, *tierisch*, zwierzę, zwykła niewolnica, *Dreckpolack* i tak dalej, może być taką samą twardą i pierwszorzędną narodową socjalistką jak on sam, i że wobec tego powinno się ją zwolnić z tego okrutnego, niesprawiedliwego więzienia. *Voilà!*

W końcu Hoss wrócił na górę. Słyszałam jego kroki na schodach

i *Polkę Baryleczkę*. Uznałam, że stojąc tam przy oknie mogę mu się wydać atrakcyjna. Seksowna, rozumiesz? Wybacz, Stingo, ale wiesz, co mam na myśli - chciałam wyglądać tak, jakbym marzyła, żeby mnie zerznął. Ale te moje oczy! Chryste, moje oczy! Wiedziałam, że są całe czerwone od płaczu - ciągle jeszcze płakałam i bałam się, że to może zniweczyć mój plan. Ale udało mi się opanować wytarłam oczy wierzchem dłoni. I raz jeszcze spojrzałam w okno, żeby zobaczyć piękno tych lasów, które dostrzegłam, słysząc

fragment z Haydna. Ale wiatr zmienił nagle kierunek i teraz na pola lasy opadały dymy z pieców Brzezinki. Wtedy wszedł Hoss.

Szczęśliwa Zofia. Warto zaznaczyć, że w tym momencie swych obozowych przejść, sześć miesięcy po przyjeździe, była nie tylko w zupełnie niezłej kondycji, ale ominęły ją najgorsze męczarnie głodu. Nie oznaczało to bynajmniej, że miała pod dostatkiem pożywienia. Ilekroć wspominała ten okres (rzadko zatrzymując się na szczegółach, wobec czego nie mogłem od niej uzyskać tak bezpośredniego obrazu życia w piekle, jaki znajdowało się u piszących na ten temat, choć niewątpliwie widziała piekło, odczuwała je, oddychała nim), dawała do zrozumienia, że odżywiała się całkiem przyzwoicie, ale tylko w porównaniu z „szeregowymi” więźniami, którzy musieli codziennie cierpieć okrutny głód. Dostawała w każdym razie coś więcej oprócz skąpych racji. W ciągu dziesięciu mniej więcej dni, które spędziła w piwnicy Hossa, jadła na przykład resztki z kuchni i ze stołu komendanta, głównie nie dojedzone jarzyny i chrząstki. Była za nie wdzięczna. Udawało jej się utrzymać na granicy biologicznego przetrwania tylko dlatego, że miała szczęście. We wszystkich niewolniczych społeczeństwach szybko rodzi się hierarchia, pewien porządek w kolejce do żeru, układ wpływów i przywilejów; dzięki niezwyklej łaskawości losu Zofia trafiła do wąskiej elity.

Ową elitę, liczącą kilkuset zaledwie więźniów spośród wielotysięcznego stałego kontyngentu oświęcimskiego, stanowili ci, którzy dzięki różnym zabiegom, czy - tak jak w jej przypadku szczęściu, uzyskali funkcje uznawane przez esesmanów za niezbędne, a w każdym razie mające istotne znaczenie. (Pojęcie „niezbędny” w odniesieniu do zniewolonych istot ludzkich z Oświęcimia byłoby *non sequitur*). Takie obowiązki oznaczały możliwość chwilowego lub nawet dłuższego przetrwania, oczywiście dłuższego tylko w porównaniu z losem wyznaczonym ogromnej masie współwięźniów, którzy ze względu na nadmiar ludzkiego materiału i jego łatwą wymienialność mieli tylko jedno przeznaczenie: harować aż do zupełnego wyczerpania i umrzeć. Jak każda grupa fachowych rzemieślników, elita, do której należała Zofia (w tym tacy majstrowie, jak znakomici krawcy francuscy i belgijscy, zatrudniani przy szyciu eleganckiej garderoby z luksusowych materiałów wrywanych na rampie skazanym na zagładę Żydom, doskonali szewcy i fachowcy od galanterii skórzanej, doświadczeni ogrodnicy, technicy i inżynierowie wybranych specjalności oraz garstka takich jak Zofia, łączących umiejętności lingwistyczne i sekretarskie), ostawała się z tej czysto praktycznej przyczyny, że ich talenty były bezcenne, o ile to słowo mogło mieć w obozie jakiegokolwiek znaczenie. Tak więc, jeśli ich także nie unicestwił okrutny kaprys losu - co groziło im codziennie - ludzie z elity nie pogrążali się przynajmniej tak szybko w rozkładzie

jak cała reszta.

Aby lepiej zrozumieć, co zaszło między Zofią a Rudolfem Hössem, należy przyjrzeć się przez chwilę bliżej temu, czym był jakie funkcje spełniał Oświęcim w ogóle, a w ciągu sześciu miesięcy jej pobytu, od pierwszych dni kwietnia 1943 roku w szczególności. Zwracam uwagę na ten okres, ponieważ jest to istotne. Wiele tu bowiem tłumaczy reorganizacja, jaką przeszedł obóz w wyniku rozkazu (wydanego bez wątpienia przez Hitlera), który dotarł do Hossa za pośrednictwem Himmlera gdzieś w pierwszym tygodniu kwietnia. Rozkaz ten był jedną z najbardziej pamiętnych i radykalnych decyzji ogłoszonych od czasu, gdy idea „ostatecznego rozwiązania” wylęła się w płodnych głowach hitlerowskich magów: zbudowane niedawno w Brzezince komory gazowe i krematoria miały być przeznaczone wyłącznie do eksterminacji Żydów. Nowy edykt zastąpił poprzedni przepis, który zezwalał na gazowanie nieŻydów (głównie Polaków, Rosjan i innych Słowian) według podobnej jak w wypadku Żydów zasady eliminowania chorych i starych. U podstaw nowej dyrektywy leżała technologiczna i logistyczna konieczność, a jej kategoryczność nie wynikała z jakiejś nagłej troski Niemców oprzetwanie Słowian i innych „aryjskich”, nieżydowskich więźniów, lecz z nadrzędnej obsesji Hitlera, urastającej do rozmiarów manii w głowach Himmlera, Eichmanna i pokrewnych im dygnitarzy z dowództwa SS - uporać się wreszcie z rzezią Żydów tak, aby ostatni z nich zniknął z powierzchni Europy. Nowy rozkaz przygotowywał pole działania: urządzenia Brzezinki, jakkolwiek monstrualnych rozmiarów, miały pewne ograniczenia, jeśli chodzi o pojemność i możliwość osiągnięcia odpowiednio wysokiej temperatury pieców. Żydzi, mający zawsze absolutne i niekwestionowane pierwszeństwo na liście *der Mas - senmord*, teraz uzyskali nagle rzadki przywilej wyłączności.

Z niewielkimi wyjątkami (jak na przykład Cyganie) Brzezinka należała tylko do nich. Już sama myśl o ich liczbie „przyprawia mnie po nocach o ból zębów”, pisał Hoss, przy czym chodziło mu zapewne o zgrzytanie zębami. Mimo kompletnego braku wyobraźni udawało mu się czasem wtrącić jedno czy dwa bardziej obrazowe zdania.

W tym momencie Oświęcim ujawnia swą podwójną funkcję: poligonu masowego mordu, lecz także kolosalnej enklawy przeznaczonej do praktykowania nowej formy niewolnictwa, gdzie materiał ludzki nieustannie niszczone i zastępowano nowym. Jesteśmy skłonni przeoczyć tę dwoistość. „W znacznej części literatury o obozach podkreśla się ich rolę jako miejsc kaźni - pisze Richard L. Rubenstein w znakomitej, niewielkiej książeczce *The Cunning of History*. - Niestety, tylko niewielu etyków i myślicieli religijnych zwróciło uwagę na fakt o niezwykle ważnej wymowie politycznej - że obozy były w istocie nową

formą ludzkiej społeczności”. Książka ta - pióra amerykańskiego religioznawcy choć skromna objętościowo, jest dziełem wielkiego formatu pod względem mądrości i dalekowzroczności (podtytuł *Masowa śmierć a przyszłość Ameryki* może dać pojęcie o skali tej ambitnej wstrząsającej próby historycznej syntezy, a zarazem prorocstwa). Nie sposób tu oddać sprawiedliwości jej sile przekonywania, głębi czy moralnym i religijnym implikacjom. Pozostanie z pewnością jednym z podstawowych podręczników traktujących o erze nazizmu, swoistą, przerażająco dokładną sekcją zwłok oraz tak pilnie potrzebną refleksją nad naszym niepewnym jutrem. Ta nowa, stworzona przez hitlerowców forma społeczeństwa, o której pisze Rubenstein (rozwijając tezę Hannah Arendt), to „społeczeństwo totalnej dominacji”, pochodzące w linii prostej od instytucji niewolnictwa feudalnego praktykowanej przez wielkie narody Zachodu. W Oświęcimiu została ona jednak z całą bezwzględnością podniesiona do rangi religii, a to dzięki pewnej nowej koncepcji, w świetle której staroświeckie niewolnictwo plantacyjne, nawet w swoich najbardziej barbarzyńskich przejawach, wydaje się czymś niezwykle łagodnym. Ta rewolucyjna koncepcja opierała się na przekonaniu o absolutnie znikomej wartości życia ludzkiego.

Była to teoria, która burzyła wszelkie wcześniejsze pojęcia na temat prześladowań. Choć dawnym właścicielom niewolników w świecie Zachodu mógł nieraz dokuczać problem nadmiernego wzrostu populacji, presja etyki chrześcijańskiej nie pozwalała im stosować niczego w rodzaju „ostatecznego rozwiązania” dla uporania się z nadmiarem siły roboczej; nie można było zastrzelić kosztownego, ale bezproduktywnego niewolnika. Tolerowano więc obecność sędziwego, zniedołężniałego Starego Sama i pozwalano mu umrzeć w spokoju (choć nie było to regułą; istnieje na przykład wiele dowodów na to, że w Indiach Zachodnich połowy XVIII wieku europejscy właściciele potrafili czasami bez żadnych skrupułów zorać niewolników na śmierć. Nie podważa to jednak zasady ogólnej). Narodowy socjalizm wymiółł resztki ludzkich uczuć. Hitlerowcy - jak zauważa Rubenstein - byli pierwszymi posiadaczami niewolników, którzy wyeliminowali wszelkie pozostałości ludzkich uczuć dotyczących istoty życia. Byli też pierwszymi, którzy „potrafili zamienić ludzi w narzędzia całkowicie posłuszne ich woli, nawet jeśli kazano im kłaść się we własnych grobach przed zastrzeleniem”.

Za pomocą analitycznych metod obliczania kosztów i innych nowoczesnych sposobów bilansowania przychodów i rozchodów ustalono, że przybywający do Oświęcimia mają do przeżycia pewien ściśle określony czas: trzy miesiące. Zofia uświadomiła to sobie w dzień czy dwa po przyjeździe, kiedy stała w tłumie kilkuset nowo przybyłych więźniów - głównie kobiet w różnym wieku, w łachmanach i ze świecącymi, świeżo ogolonymi głowami,

tłoczących się jak stado oskubanych kur na podwórku - a do jej obolałej świadomości docierały stopniowo słowa esesmana, niejakiego Hauptsturmführera Fritzscha, który nakreślił krótką charakterystykę tego Miasta Rozpaczy i nakazał im wyzbyć się wszelkiej nadziei.

- Pamiętam dokładnie jego słowa - opowiadała mi. - „Przyjechaliście - mówił - do obozu koncentracyjnego, nie do sanatorium, i jest stąd tylko jedno wyjście - przez komin”. I dodał: „Jak komuś się to nie podoba, może od razu rzucić się na druty. Jeśli są w tej grupie jacyś Żydzi, nie mają prawa żyć dłużej niż dwa tygodnie”. Potem powiedział: „Czy są tu jakieś zakonnice? Tak jak księża, macie jeden miesiąc. Cała reszta - trzy miesiące”.

Tak więc ostatecznie hitlerowcy stworzyli kunsztowny model śmierci za życia, straszniejszy niż sama śmierć, tym bardziej wyrafinowany i okrutny, iż tylko nieliczni spośród skazanych od początku - od pierwszego dnia - mogli przewidzieć, że to pasmo tortur, chorób i głodu będzie tylko ponurą namiastką życia, która w istocie jest nieuchronną drogą ku śmierci. Rubenstein podsumowuje to tak: „Obozy stanowiły zatem znacznie trwalszą groźbę dla ludzkości, niż gdyby pozostawały wyłącznie laboratoriami masowego mordu. Fabryka śmierci może produkować tylko trupy - społeczeństwo totalnej dominacji tworzy świat trupów żywych...”

Zofia zaś ujęła to tak:

- Gdyby wiedzieli o tym zaraz po przyjeździe, większość z nich modliłaby się o gaz.

Rozbieranie i rewidowanie więźniów, które odbywało się nieodmiennie zaraz po ich przybyciu do Oświęcimia, rzadko pozwalało na zachowanie jakichkolwiek własnych rzeczy. Jednak zdarzało się czasem, że na skutek zamieszania i niedbalstwa strażników niektórym z nowo przybyłych udawało się zatrzymać jakiś cenny osobisty drobiazg lub coś z ubrania. I tak Zofia, dzięki własnemu sprytowi i przeoczeniu esesmana, zachowała parę mocno sfatygowanych, ale wygodnych wysokich butów. W jednym z nich, pod podszewką, znajdowała się mała skrytka; kiedy stała przy oknie na poddaszu, czekając na komendanta, w schowku tym znajdowała się podniszczona, przybrudzona wymięta, lecz wciąż jeszcze czytelna broszura licząca jakieś dwanaście stron, czyli około czterech tysięcy słów. Na karcie tytułowej widniał nagłówek: *Die polnische Judenfrage. Hat der Nationalsozialismus die Antwort?*, czyli *Kwestia żydowska w Polsce. Czy narodowy socjalizm dostarcza rozwiązania?* Wcześniejsze bajanie w kółko o wychowaniu w duchu liberalizmu i tolerancji było zapewne najbardziej jaskrawym i najbardziej zdumiewającym kłamstwem Zofii. Nie tylko mnie oszukała - tak jak z pewnością oszukiwała Natana - ale ukrywała prawdę do ostatniej chwili, do momentu, kiedy chcąc usprawiedliwić swój związek z komendantem,

musiała ją wyjawić: autorem broszury był jej ojciec, Zbigniew Biegański, wybitny profesor prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, doktor honoris causa wydziałów prawniczych uniwersytetów w Pradze, Bukareszcie, Heidelbergu i Lipsku.

Przygryzając wargi i nerwowo dotykając ściągniętego, ziemistego policzka powiedziała, że niełatwo jej przyszło wyznać to wszystko. Szczególnie trudno było zdemaskować fałszywość misternie skonstruowanego obrazka ojcowskiej prawości i przyzwoitości, nakreślonego przez nią portretu wspaniałego, socjalizującego *pater familias*, odważnego wolnomyśliciela, zaniepokojonego nadchodzącym terrorem, otoczonego aureolą dobroci, z narażeniem życia ratującego Żydów z okrutnych rosyjskich pogromów. Kiedy to mówiła, w jej głosie wyczuwało się niepokój. Ach, te kłamstwa! Zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo podważa własną wiarygodność w innych sprawach, wyznała pod presją głosu sumienia, że cała ta gadanina o ojcu była po prostu zmyśleniem. Niczym innym - zmyśleniem, żalonym kłamstwem, fantazją, które miały stworzyć kruchą barierę, beznadziejną wątlą linię obrony wobec tych, na których jej zależało, wobec mnie, wobec ciężącego jej poczucia winy. Czy jej wybaczę zapytała - czy wybaczę teraz, kiedy poznałem i prawdę, powody, dla których musiała kłamać? Poglaskałem jej rękę oczywiście powiedziałem, że wybaczam.

Nie rozumiałbym - jak mówiła - tej historii z Rudolfem Hósem, nie znając prawdy o jej ojcu. Utrzymywała, że to, co opowiadała mi wcześniej o idylli dzieciństwa, nie było pełnym kłamstwem. Dom, w którym mieszkała w spokojnym Krakowie, był w latach międzywojnia prawdziwą oazą ciepła i spokoju. Panowała tam sielska atmosfera stworzona głównie przez matkę, serdeczną, wylewną i kochającą kobietę, którą Zofia zachowałaby w tkliwej pamięci już choćby za to, że właśnie ona zaszczepiła w niej pasję do muzyki. Spróbujmy sobie wyobrazić leniwie toczące się życie, podobne do życia prawie każdej profesorskiej rodziny na Zachodzie w latach dwudziestych i trzydziestych z celebrowanymi herbatkami, wieczornym muzykowaniem, wakacjami na wsi, wśród sennego, falującego pejzażu, z obiadami w gronie studentów, letnimi podróżami do Włoch i rocznymi urlopami naukowymi w Berlinie czy Salzburgu - a będziemy mieli pojęcie o ówczesnym życiu Zofii z jego kulturalną atmosferą harmonijnym, pogodnym, ustalonym tokiem. Nad tym obrazkiem wisiała jednak bez przerwy posępna chmura; dręcząca, dławiąca świadomość jej istnienia zatruła u samego źródła dzieciństwo i młodość Zofii. Była to stała, przytłaczająca obecność ojca, człowieka, który tyranizował domowników, a zwłaszcza Zofię w sposób bezwzględny, a jednocześnie tak wyrafinowany subtelny, że dopiero jako dorosła, dojrzała kobieta pojęła, iż nienawidzi go ponad wszystko.

Są w życiu takie rzadkie momenty, kiedy skrywane uczucia do innej osoby - tłumiona niechęć lub szalona miłość - wydobywają się na powierzchnię świadomości z niezwykle wyrazistością; czasem przybiera to postać wręcz fizycznego wstrząsu, którego nie sposób zapomnieć. Zofia powiedziała mi, że zawsze pamiętać będzie chwilę, kiedy odkryła w sobie tę nienawiść do ojca. Oblała ją wówczas straszliwa fala gorąca i nie mogła wydobyć z siebie głosu; myślała, że zemdleje.

Profesor był wysokim, krzepkim mężczyzną. Nosił zwykle tużurek, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i szeroki fular. Strój staromodny, lecz bynajmniej nie szokujący w ówczesnej Polsce. Miał klasycznie polską twarz, wydatne kości policzkowe, niebieskie oczy, raczej pełne wargi, szeroki, zadarty nos i duże jak u elfa uszy. Nosił bokobrody, a jego jasne, miękkie włosy były zawsze zaczesane gładko do tyłu. Kilka srebrnych zębów psuło nieco ogólne wrażenie, ale tylko wtedy, gdy otwierał szeroko usta. Wśród kolegów uchodził za dandysa, choć nie - przesadnego, ale znaczny autorytet akademicki chronił go przed śmiesznością. Poważano go pomimo skrajności poglądów - super - konserwatywnych, nawet z punktu widzenia prawicy. Był nie tylko wykładowcą prawa, ale od czasu do czasu praktykował zyskał sobie pozycję autorytetu w zakresie międzynarodowego prawa patentowego - zwłaszcza w dziedzinie wymiany pomiędzy

Niemcami a państwami Europy Wschodniej. Zdobyte w ten sposób, najzupełniej zresztą uczciwie, dodatkowe dochody pozwalały mu prowadzić życie na nieco wyższym poziomie niż egzystencja wielu kolegów z wydziału oraz na pewną dyskretną, stonowaną elegancję. Był wytrawnym znawcą win mozelskich i amatorem cygar Upmanna. Był także profesor praktykującym, choć bynajmniej nie fanatycznym katolikiem.

To, co opowiadała mi wcześniej Zofia o jego młodości i wykształceniu, było najwyraźniej prawdą: młodzieńcze lata w Wiedniu Franciszka Józefa rozpały w nim proteutońskie namiętności i natchnęły go nieśmiertelną wizją Europy zbawionej przez pangermanizm i ducha Ryszarda Wagnera. Była to miłość równie czysta i niewzruszona, jak jego nienawiść do bolszewizmu. Jakże bowiem mogła biedna, zacofana Polska (słyszała często Zofia z jego ust), tracąca regularnie raz po raz swą tożsamość państwową na rzecz kolejnych ciemniców - zwłaszcza barbarzyńskich Rosjan, opętanych teraz w dodatku przez komunistycznego Antychrysta - jakże zatem mogła znaleźć zbawienie i odrodzić się kulturalnie, jeśli nie pod egidą Niemiec, które tak wspaniale zdołały połączyć opromienioną mitycznym blaskiem tradycję z supertechnologią dwudziestego wieku, tworząc proroczą syntezę - wzór dla pomniejszych nacji? Jaki rodzaj nacjonalizmu mógłby być lepszy dla rozbitej, rozczłonkowanej Polski, od pragmatycznego, a jednocześnie porywającego

estetycznie narodowego socjalizmu, w którym *Die Meistersinger* był nie mniej ważnym czynnikiem postępu niż wielka nowa *Autobahn*?

Profesor - ani liberał, ani w najmniejszym stopniu socjalista, jak mi wcześniej mówiła Zofia - należał od zarania do jaskrawie reakcyjnego ugrupowania politycznego znanego jako Narodowa Demokracja, a nazywanego potocznie „Endecją”, którego głównym przykazaniem był wojujący antysemityzm. Ruch ten, obsesyjnie utożsamiający Żydów z międzynarodowym komunizmem - i *vice versa* - natrafił na szczególnie podatny grunt na wyższych uczelniach, gdzie we wczesnych latach dwudziestych akty fizycznej przemocy wobec żydowskich studentów przybrały charakter epidemii. Profesor Biegański, członek umiarkowanego skrzydła partii, wówczas trzydziestolatek i wschodząca gwiazda wydziału, opublikował w jednym z czołowych pism warszawskich artykuł, w którym wyraził ubolewanie z powodu tych napaści. Kiedy Zofia natrafiła na ów tekst kilka lat później, zaczęła się zastanawiać, czy ojciec nie uległ wówczas przypadkiem atakowi radykalnoutopijnego humanizmu. Myliła się oczywiście, tak samo jak myliła się bądź celowo wprowadzała mnie w błąd (jeszcze jedno z jej kłamstw), twierdząc, że jej ojciec nienawidził despotycznego marszałka Piłsudskiego, kiedyś radykała, za to, że pod koniec lat dwudziestych wprowadził w Polsce totalitarny reżim. Jak się później dowiedziała, ojciec rzeczywiście nie cierpiał marszałka, nienawidził go wręcz do szaleństwa, ale głównie dlatego, że ten, paradoksalnym zwyczajem niektórych dyktatorów, wydawał raz po raz kolejne dekrety biorące w obronę Żydów. Kiedy po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku prawa chroniące Żydów straciły nieco na znaczeniu i byli oni znów narażeni na prześladowania, profesor stanął, można rzec, okoniem i jeszcze raz, przynajmniej na początku, opowiedział się za polityką umiarkowania. Wstępując do odnowionego ugrupowania faszystowskiego, znanego jako Obóz NarodowoRadykalny, które zaczęło wywierać zasadniczy wpływ na polskich studentów, profesor - teraz główny rzecznik ruchu - doradzał umiar i raz jeszcze przestrzegał przed narastającą nie tylko na uniwersytetach, ale i na ulicach falą pałkarstwa i napadów na Żydów. Ta dezaprobata wobec przemocy wynikała jednak nie tyle z ideologii, ile z perwersyjnej subtelności. Przy całym spektakularnym darciu szat profesor trzymał się kurczowo obsesyjnej, nadrzędnej idei, która od dawna go ożywiała, i w pewnym momencie zaczął prowadzić metodyczne rozważania na temat konieczności wyeliminowania Żydów ze wszystkich dziedzin życia, poczynając od środowiska akademickiego.

Pisał w tej sprawie namiętne, niezliczone artykuły po polsku i po niemiecku, wysyłając je do najznakomitszych politycznych i prawniczych czasopism wydawanych w Polsce i w takich ośrodkach kultury jak Bonn, Mannheim, Monachium czy Drezno.

Jednym z jego ulubionych tematów było „żydowskie przeludnienie”, rozpisywał się też o problemach „przesiedlania” i „eks - patriacji”. Był członkiem misji rządowej, wysłanej na Madagaskar dla zbadania możliwości przesiedlenia tam Żydów. (Przywiózł Zofii afrykańską maskę, przypomniała też sobie, że się opalił.) Chociaż ciągle wzdragał się przed sugerowaniem przemocy, zaczął ulegać wahaniom i coraz bardziej zdecydowanie podkreślał konieczność natychmiastowego praktycznego rozwiązania kwestii żydowskiej. W jego życie wtargnęło jakieś szaleństwo. Stał się czołowym działaczem ruchu segregacyjnego i był jednym z ojców idei „getta ławkowego” dla żydowskich studentów. Był też przenikliwym analitykiem kryzysu ekonomicznego. Wygłaszał w Warszawie podburzające przemówienia. Jakim prawem grzmiał - w gospodarce ogarniętej kryzysem Żydzi, obcy element z gett, konkurują o pracę z uczciwymi Polakami napływającymi zewsząd do miast? Pod koniec 1938 roku, kiedy jego obsesja osiągnęła szczyt, zaczął pracować nad swoim *magnum opus*, wspomnianą już broszurą, w której po raz pierwszy - jeszcze ostrożnie i powściągliwie, z rozwagą graniczącą z dwuznacznością poruszył temat „totalnej eliminacji”. Dwuznacznie, nieobowią - zująco - a jednak. Eliminacja. Nie przemoc. Totalna eliminacja. W tym czasie, właściwie od kilku lat, Zofia przepisywała to, co dyktował ojciec, wykonując pokornie i pilnie jak rab wszelkie sekretarskie prace, jakie jej zlecał. Ta niewolnicza orka, którą wykonywała bez szemrania, jak właściwie wszystkie potulne polskie córki wychowywane tradycyjnie w kulcie wszechwładzy Papy, osiągnęła apogeum pewnego zimowego dnia 1938 roku, kiedy Zofia przepisywała na maszynie i redagowała rękopis zatytułowany: ***Kwestia żydowska w Polsce. Czy narodowy socjalizm daje rozwiązanie?*** Wtedy to zrozumiała, czy też raczej zaczęła rozumieć, czym właściwie zajmuje się jej ojciec.

Pomimo dociekliwych pytań, jakimi zdręczałem Zofię, słuchając tej opowieści, trudno mi było stworzyć sobie pełny obraz jej dzieciństwa i młodości, chociaż pewne sprawy stały się całkiem jasne. Jej posłuszeństwo wobec ojca na przykład było bezgraniczne, niczym w jakiejś neopaleolitycznej, pigmejskiej kulturze obszaru równikowych lasów, gdzie od bezbronnego potomstwa wymaga się bezwzględnej uległości. Nigdy - jak mi powiedziała - nie kwestionowała tego stanu rzeczy; miała to we krwi, tak że nawet jako mała dziewczynka rzadko odczuwała w związku z tym jakąkolwiek przykrość. Łączyło się to ściśle z jej polskim katolicyzmem, według którego uwielbienie dla ojca było czymś wielce stosownym, jeśli nie obowiązkowym. Przyznała, że właściwie nawet sprawiało jej przyjemność to niewolnicze podporządkowanie, te wszystkie powtarzane codziennie: „Tak, tato”, „Nie, dziękuję, tato”, wymagane względy i uprzejmości, okazywanie należnego szacunku, słowem cała ta wymuszona uniżoność, obowiązująca także matkę. Być może - stwierdziła - brało się to z

jakiegoś masochizmu. W końcu nawet w najgorszych wspomnieniach ojciec nie wydawał jej się jakimś prawdziwym okrutnikiem wobec niej czy matki. Miał pewne, choć dość prymitywne poczucie humoru i pomimo całej swej rezerwy i wyniosłości nie odmawiał im od czasu do czasu drobnych przyjemności. Domowy tyran nie będzie szczęśliwy, jeśli nie okaże odrobiny łaski.

Być może te właśnie łagodniejsze cechy charakteru (pozwalał Zofii szlifować jej francuski, który uważał za język dekadentki, i tolerował upodobanie matki do muzyki kompozytorów innych niż Wagner, takich lekkoduchów jak Faure, Debussy i Scarlatti) sprawiały, że Zofia znosiła bez przykrości jego bezwzględna dominację, nawet kiedy była już mężatką. Zresztą jako córka szanowanego, choć głoszącego kontrowersyjne teorie profesora (wielu kolegów z uniwersytetu, acz bynajmniej nie wszyscy, podzielało jego skrajne poglądy w kwestiach etnicznych), tylko niejasno uświadamiała sobie, jakie są polityczne przekonania ojca i jak wielkie opanowało go szaleństwo. Nie mieszał do tego rodziny, ale jako dorastająca dziewczyna nie mogła oczywiście nie zauważyć jego niechęci do Żydów. Posiadanie ojca antysemity nie należało jednak w Polsce do rzadkości. Jeśli zaś chodzi o nią pochłoniętą studiami, kościołem, przyjaźniami, skromnym życiem towarzyskim, książkami, filmami (dziesiątkami filmów, głównie amerykańskich), nauką gry na fortepianie, a nawet jednym lub dwoma niewinnymi flirtami - miała do Żydów, mieszkających w większości w krakowskim getcie, a więc jak widma, prawie niezauważalnych, stosunek właściwie obojętny. Tak w każdym razie utrzymywała i nie miałem powodu jej nie wierzyć. Żydzi po prostu jej nie obchodzili, przynajmniej do czasu, kiedy jako przymusowa sekretarka nie zaczęła dostrzegać rozmiarów szalonej manii ojca.

Profesor zmusił ją, by nauczyła się pisać na maszynie i stenografować, kiedy miała zaledwie szesnaście lat. Już wtedy chyba planował, że się nią posłuży; prawdopodobnie przewidywał nadejście czasów, kiedy będzie mógł wykorzystać umiejętności Zofii, a to, że była jego córką, zapewniało bez wątpienia dodatkową wygodę i dyskrecję. W każdym razie, chociaż od kilku już lat przepisywała podczas weekendów dwujęzyczną korespondencję dotyczącą patentów (czasem używał angielskiego dyktafonu, którego nie znosiła, gdyż nadawał głosowi ojca upiornie nieziemskie i metalicznie złowrogie brzmienie), nigdy, aż do Bożego Narodzenia 1938 roku, nie powierzał jej pracy nad żadną ze swoich rozprawek; tym zajmowali się jego uniwersyteccy asystenci. Tak więc, kiedy kazał jej stenografować, a potem przepisywać na maszynie pełny tekst dzieła swego życia, czyli *Kwestii żydowskiej...* cała kwintesencja jego przepojonej nienawiścią filozofii spłynęła na nią nagle jak iluminacja. Pamiętała gorączkowe podniecenie przebijające w jego głosie, kiedy przygryzając cygaro

przemierzał duszny i zadymiony gabinet, a ona posłusznie zapisywała pajęczymi znaczkami jego wywód sformułowany w logicznej, precyzyjnej i płynnej memczyźnie.

Miał rozlewny, ale wnikliwy i upstrzony przebłyskami ironii styl, który mógł być jednocześnie zjadliwy i uwodzicielsko czarujący. Język ten był w istocie doskonałą pod względem formy niemczyzną i już samo to pomogło profesorowi Biegańskiemu zyskać znaczny rozgłos w takich olimpijskich centrach antyżydowskiej propagandy jak WeltDienst w Erfurcie. Jego teksty odznaczały się specyficznym urokiem. (Tamtego lata w Brooklynie poleciłem Zofii książkę H.L. Menckena, który był i jest nadal jedną z moich miłości, i rozumiem, co chciała powiedzieć, twierdząc, że sarkastyczny styl Menckena przypomina jej ojca.) Notowała jego słowa starannie, ale z powodu ferworu ojca także w wielkim pośpiechu, więc dopiero przepisując tekst na maszynie, zaczęła dostrzegać w tym wrzącym kotle historycznych aluzji, dialektycznych hipotez, religijnych imperatywów, prawnych precedensów i antropologicznych tez mroczną i złowrogą obecność jednego, wielokrotnie powtarzającego się słowa, które całkiem zbiło ją z tropu, zdezorientowało i przeraziło. Pojawiało się w skądinąd przekonującym, rzeczowym tekście, w inteligentnej, pełnej lekkiego, zjadliwego szyderstwa i chytrej propagandy polemice, jakiej roztargnionym świadkiem bywała nieraz przy stole państwa Biegańskich. A jednak słowo to zaniepokoiło ją i odkryło przed nią nowe obszary. Kilka razy kazał jej zamienić „totalną eliminację” (*vollständige Abschaffung*) na *Vernichtung*.

Eksterminacja. Całkiem w końcu proste i jednoznaczne. Podane nawet tak subtelnie, w smacznie przyprawionym sosie racjonalnej argumentacji i zabawnie uszczypliwych uwag krytycznych profesora, słowo to z jego wagą i pełnym znaczeniem, jakim przesycalo esej, było tak przerażające, że musiała je zepchnąć na samo dno świadomości, gdzie pozostawało ukryte przez cały przejmujący chłodem do szpiku kości weekend poświęcony ciężkiej pracy nad żarliwym elaboratem ojca. Złapała się na tym, że myśli o jednym: jak byłby wściekły, gdyby źle postawiła akcent lub opuściła *umlaut*. Nie dopuszczała do siebie pełnego znaczenia słowa *Vernichtung* aż do owej chwili, gdy spiesząc pewnego dżdżystego, niedzielnego wieczoru ze stertą maszynopisów na spotkanie z ojcem i swoim mężem, Kazikiem, w kawiarni na Rynku, pojęła wreszcie ku swemu przerażeniu, co ojciec powiedział i napisał i co ona posłusznie przepisała. *Vernichtung* powiedziała na głos. On chce - nasunęła jej się spóźniona refleksja - żeby ich wszystkich wymordować.

Jak sama Zofia dawała do zrozumienia, jej obraz byłby pewnie bardziej pochlebny, gdyby mogła powiedzieć, że uświadomienie sobie nienawiści do ojca nie tylko szło w parze z odkryciem jego zapędów żydobójcy, lecz także z tego odkrycia wynikało. Chociaż jednak

obie te sprawy dotarły do niej niemal równocześnie, powiedziała mi (i tu, jak w innych przypadkach, intuicyjnie jej wierzę), że prawdopodobnie musiała dojrzeć emocjonalnie do tego wybuchu ślepej nienawiści i że gdyby nawet nie wspominał oprzysięj, upragnionej przez niego rzezi, jej reakcja byłaby podobna. Stwierdziła, że nigdy nie będzie pewna, czy tak było w istocie. Tu dotykamy podstawowej prawdy dotyczącej Zofii; uważam, iż dostatecznym świadectwem jej wrażliwości jest fakt, że wystawiana przez lata na działanie zaprawionych jadem, żalonych i chorych idei ojca, a teraz pogrążona w samym źródle jego zatrutej religii, zdołała instynktownie zareagować ludzkim oburzeniem i zgrozą, gdy przyciskając do piersi odrażający tekst spieszyła o zmierzchu przez mgliste, kręte uliczki Krakowa ku swemu objawieniu.

- Tamtego wieczoru ojciec czekał na mnie w jednej z kawiarni na Rynku. Pamiętam, że panował wilgotny ziąb, padał deszcz ze śniegiem, tak jakby miała nadejść prawdziwa śnieżycą. Mój mąż, Kazik, też czekał na mnie z ojcem. Byłam mocno spóźniona, bo przez całe popołudnie przepisywałam na maszynie rękopis i zajęło mi to nadszadziewanie dużo czasu. Bałam się okropnie, że ojciec będzie zły o to spóźnienie. Robiliśmy wszystko w takim pośpiechu. To była praca, jak wy to mówicie, na łapucapu drukarz, który miał to złożyć po niemiecku i po polsku, był umówiony w tej samej kawiarni, żeby odebrać maszynopis. Ojciec chciał jeszcze przedtem zrobić korektę. Miał poprawiać wersję niemiecką, a Kazik polską. Tak miało być, ale ja się bardzo spóźniłam, więc kiedy weszłam, drukarz już tam siedział z Kazikiem i z ojcem. Ojciec był strasznie zły i chociaż się tłumaczyłam, widziałam, że jest wściekły - natychmiast wziął ode mnie maszynopis i kazał mi usiąść.

Usiadłam i aż rozboleł mnie żołądek ze strachu. To dziwne, Stingo, jak dobrze się pamięta pewne szczegóły, to na przykład, że ojciec pił herbatę, Kazik śliwovicę, a drukarz, którego poznałam już wcześniej, Roman Sienkiewicz (tak samo jak sławny pisarz), wódkę. Pamiętam to tak dokładnie przez tę herbatę ojca. Wiesz, po całym popołudniu pracy byłam kompletnie wykończona i niczego nie pragnęłam bardziej niż filiżanki herbaty. Ale sama nigdy bym jej nie zamówiła, nigdy! Pamiętam, że patrzyłam na jego dzbanuszek i na filiżankę i marzyłam o takiej gorącej herbacie. Gdybym się nie spóźniła, ojciec poczęstowałby mnie, ale był tak wściekły, że nawet nie wspominał o herbacie, siedziałam więc i oglądałam swoje paznokcie, a ojciec i Kazik zajęli się maszynopisem.

Wydawało mi się, że trwa to godzinami. Rozmawiałam trochę z Sienkiewiczem o pogodzie i innych głupstwach - pamiętam, że był to grubas z wąsem i że ciągle chichotał - ale głównie siedziałam zmrożona atmosferą przy stoliku, starałam się nie odzywać i marzyłam o herbacie, jakby zależało od niej moje życie. Wreszcie ojciec podniósł wzrok znad

maszynopisu, spojrział na mnie i zapytał: „Kim jest ten Neville Chamberlain, który tak uwielbia muzykę Ryszarda Wagnera?” Patrzył na mnie twardo, a ja niezupełnie rozumiałam, o co mu chodzi; wiedziałam tylko, że jest strasznie niezadowolony. Niezadowolony ze mnie. „Nie rozumiem, tato” - powiedziałam. Powtórzył pytanie, tym razem *avec l'accent* na „Neville”, i nagle pojęłam, że popełniłam okropną omyłkę. Był taki pisarz angielski, Chamberlain, którego ojciec bez przerwy cytował w swojej pracy, żeby podeprzeć własne teorie - nie wiem, czy o nim słyszałeś, napisał taką książkę *Die Grundlagen des...* ach, po angielsku to chyba będzie *Foundation of the Nineteenth Century*. Ta książka jest przepojona miłością do Niemiec, ubóstwieniem dla Wagnera i piekącą nienawiścią do Żydów, którzy, jego zdaniem, plugawią kulturę europejską i tak dalej. Ojciec żywił ogromny podziw dla tego Chamberlaina; dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że kiedy mi dyktował, podświadomie wstawiałam wszędzie imię Neville zamiast właściwego Houston, ponieważ o Neville'u Chamberlainie było wtedy głośno z powodu Monachium. Bardzo się przestraszyłam, bo ta pomyłka powtarzała się we wszystkich przypisach, w bibliografii, wszędzie.

Co za wstyd, Stingo! Mój ojciec miał takiego fioła na punkcie perfekcji, że nie mógł *fermer les yeux...* przymknąć oczu na tę pomyłkę, tylko musiał z niej zrobić wielką sprawę, więc w obecności Kazika i Sienkiewicza powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę, tyle w tym było pogardy: „Masz w głowie papkę zamiast mózgu, zupełnie jak twoja matka. Nie wiem, po kim odziedziczyłaś ciało, ale rozum na pewno nie po mnie”. Usłyszałam, jak Sienkiewicz chichocze, bardziej pewnie zażenowany niż rozbawiony. Spojrzałam na Kazika, który lekko się uśmiechnął, i nawet się nie zdziwiłam, widząc na jego twarzy wyraz takiej samej pogardy jak u ojca. Przyznam ci się do jednego jeszcze kłamstwa sprzed paru tygodni: ja już wtedy właściwie nie kochałam Kazika, nie miałam dla mojego męża więcej uczucia niż dla jakiegoś obcego mi, obojętnego człowieka, którego widziałam po raz pierwszy w życiu. Ileż kłamstw ode mnie usłyszałeś, Stingo! Jestem urodzoną *menteuse...*

Ojciec rozprawiał wciąż o mojej inteligencji, czy raczej jej braku, i czułam, że twarz mi płonie, ale starałam się nie słuchać, wyłączyć się. Tato, tato - mówiłam w duchu - błagam cię, chcę tylko herbaty! Wreszcie ojciec dał mi spokój i wrócił do czytania maszynopisu. I nagle, siedząc tak i wpatrując się w swoje ręce, poczułam strach. Dłonie miałam zziębnięte. Ta kawiarnia była jak przedsionek piekła. Słyszałam przyciszony gwar dookoła i to wszystko nabrało dla mnie jakiejś bolesnej, głębokiej, minorowej tonacji, jak jeden z ostatnich kwartetów Beethovena, jak żałoba... i jeszcze to zawrodoenie wilgotnego, zimnego wiatru na ulicy. Nagle uprzytomniłam sobie, że wszyscy dokoła szepczą onadchodzącej wojnie. Zdawało mi się, że słyszę wręcz daleki odgłos strzałów gdzieś za miastem. Byłam przerażona,

chciałam zerwać się i uciekać, ale nie mogłam ruszyć się z miejsca. W końcu usłyszałam, jak ojciec pyta Sienkiewicza, ile czasu zajmie wydrukowanie tekstu w przyspieszonym terminie i Sienkiewicz odpowiedział, że będzie gotów na pojutrze. Potem uświadomiłam sobie, że ojciec omawia z Kazikiem sprawę rozprowadzenia broszury na wydziale. Większość egzemplarzy zamierzał wysłać w różne miejsca w Polsce, Niemczech i Austrii, ale chciał, żeby kilkaset broszur w polskiej wersji rozdać bezpośrednio na uniwersytecie. Zrozumiałam, że zleca Kazikowi zleca, bo Kazik, podobnie jak ja, był mu całkowicie posłuszny rozprowadzić osobiście broszurę na uniwersytecie, jak tylko zostanie wydrukowana. Tylko że ktoś będzie mu oczywiście musiał pomóc. I usłyszałam, jak ojciec mówi: „Rozdacie je razem z Zofią”.

Wtedy uświadomiłam sobie, że jedyną rzeczą na świecie, w jaką nie chcę być nigdy na siłę *impliquée*, jest sprawa tych broszur. Buntowałam się na samą myśl, że mam chodzić po uniwersytecie z ich plikiem i rozdawać je profesorom. Ale kiedy ojciec powiedział: „Rozdacie je razem z Zofią”, od razu wiedziałam, że będę to robić z Kazikiem, tak jak od dzieciństwa robiłam wszystko, co mi kazał: biegałam na posyłki, przynosiłam mu różne rzeczy, uczyłam się pisanie na maszynie i stenografii, tak żeby móc mu służyć na każde skinienie. I na myśl, że nic na to nie poradzę, że nie potrafię powiedzieć: „Nie, tato, nie będę ci pomagała w rozpowszechnianiu czegoś takiego”, poczułam okropną pustkę. Ale widzisz, Stingo, muszę ci wyznać, że jest jedna rzecz, której do dziś nie rozumiem ani nie umiem wyjaśnić do końca. Bo może wyglądałoby to lepiej, gdybym mogła powiedzieć: nie chciałam rozpowszechniać dziełka mojego ojca po prostu dlatego, że w końcu zrozumiałam jego przesłanie mordujecie Żydów. Wiedziałam, że to jest złe, okropne i nawet wtedy trudno mi było uwierzyć, że naprawdę to miał na myśli, pisząc tę broszurę.

Ale tak naprawdę było inaczej. W końcu dotarło do mnie, że ten człowiek, mój ojciec, ktoś, kto dał mi życie, nie ma dla mnie więcej uczucia niż dla jakiejś służącej, jakiejś pańszczyźnianej chłopki czy niewolnicy, i teraz bez słowa podziękowania za moją pracę każe mi się... uganiać? - tak, uganiać po korytarzach uniwersytetu jak jakiemuś gazeciarzowi, znów tylko dlatego, że on tak chce. A przecież byłam dorosłą kobietą i chciałam grać Bacha i pomyślałam sobie, że lepiej byłoby umrzeć - nie dlatego, że mnie do czegoś zmuszał, ale dlatego, że nie potrafiłam odmówić. Nie umiałam mu powiedzieć, no wiesz, Stingo: „Odpieprz się, tato”. Właśnie wtedy odezwał się. „Zosiu” powiedział. Spojrzałam na niego - uśmiechnął się do mnie lekko, tak że zobaczyłam dwa sztuczne, błyszczące zęby. Ten uśmiech był miły. „Zosiu, może napiłabyś się herbaty?” „Nie, dziękuję, tato” - odpowiedziałam. „Ależ Zosiu - nalegał - musisz się koniecznie napić. Jesteś blada i

zziębnęta”. Chciałam w tym momencie odlecieć jak na skrzydłach. „Nie, dziękuję, tato powtórzyłam. - Naprawdę nie chcę herbaty”. Zeby się opanować, przygryzałam przez cały czas wargę, tak aż popłynęła krew i poczułam na języku jej smak, podobny do smaku morskiej wody. Ojciec odwrócił się do Kazika. I wtedy stało się - poczułam ostre ukłucie nienawiści. Przeszyło mnie na wskroś, krótkie, zaskakujące i bolesne; zakręciło mi się w głowie i myślałam, że upadnę na podłogę. Oblała mnie fala gorąca, cała byłam w ogniu. Nienawidzę go - powiedziałam sobie, okropnie zdumiona tą nienawiścią, jaka we mnie wstąpiła. To zaskoczenie było niesamowite i strasznie bolesne - jak pchnięcie rzeźnickim nożem w serce.

Polska to piękny, wzruszający do głębi kraj, który pod wieloma względami przypomina (tamtego lata musiałem zawierzyć Zofii, potem przekonałem się na własne oczy) amerykańskie Południe - przynajmniej to z innych, nie tak odległych czasów - i przywołuje jego obrazy. Liczne podobieństwa polegają nie tylko na zbliżonym, posępnym pięknie nostalgicznego krajobrazu, bo na przykład zgaszony, lecz urzekający koloryt trzęsawisk nad Narwią przywodzi na myśl mroczne sawanny wybrzeża w Karolinie, a niedzielna cisza na błotnistej uliczce jakiejś galicyjskiej wioski przy odrobinie wyobraźni przenosi nas do zapadłej arkansaskiej osady na rozstajach, gdzie można zobaczyć te same walące się, zmurszałe i krzywo sklecone domki, poustawiane na spłachciach gliniastej, pozbawionej roślinności ziemi, i te same kręcące się po podwórkach mizerne kurczaki. Podobny jest także duch narodu, jego udręczona i melancholijna natura, ukształtowana - tak jak na naszym starym Południu - przez cierpienie, przeciwności losu, nędzę i klęski.

Wyobraźcie sobie, jeśli łaska, ziemię, którą roje uzurpatorów nawiedzały nie przez dziesiątki, ale przez tysiące lat, i wtedy może zrozumiecie choć trochę Polskę najeżdżaną z monotonną regularnością metronomu przez Francuzów, Szwedów, Austriaków, Prusaków i Rosjan, a nawet takich zachłannych demonów jak Turcy. Polska, grabiona i eksploatowana tak jak Południe i tak jak ono tkwiąca w ubóstwie i feudalnych strukturach społecznych, miała jak Południe jedną tylko obronę przeciw odwiecznym upokorzeniom - dumę. Dumę i wspomnienia minionej chwały. Dumę z przodków i rodowych nazwisk, a także, trzeba pamiętać, z często nabywanych za pieniądze tytułów szlacheckich i arystokratycznych. Nazwiska takie jak Radziwiłł i Ravenel są wymawiane z podobną, akcentowaną, lecz nieco pustą wyniosłością. Po klęskach i w Polsce, i na amerykańskim Południu zrodził się ten sam, zaciekły nacjonalizm. Jednak nawet jeśli pominiemy te najbardziej uderzające podobieństwa, konkretne i wynikające ze zbliżonych historycznych przesłanek (należałoby tu dodać silną hegemonię religijną, autorytarną i purytańską z ducha), można odkryć bardziej

powierzchowne, choć nie mniej jaskrawe zbieżności kulturowe: namiętność do koni i wojskowych szarż, dominację mężczyzn (połączoną z upodobaniem do przyciężkawego, rubasznego świństwa), tradycję gawędziarską i słabość do wody ognistej. I to, że zarówno Południowcy, jak Polacy są obiektem niewybrednych dowcipów.

Istnieje wreszcie jeszcze jeden ponury obszar łączących Polskę i amerykańskie Południe podobieństw, które, choć tylko zewnętrzne, sprawiają, iż obie kultury stapiają się niemal w jedność w swej skrajności - dotyczy to problemu rasy: w obu światach wywoływał on od wieków niepokonane, koszarne ataki schizofrenii. Stała obecność innej rasy budziła i w Polsce, i na Południu okrucieństwo i litość, fanatyzm i zrozumienie, wrogość i braterstwo, wyzysk i poświęcenie, zapiekłą nienawiść i beznadziejną miłość. O ile można stwierdzić, że ciemniejsza, szpetna strona tych przeciwieństw na ogół brała górę, o tyle należy gwoli prawdy odnotować też długą listę zdarzeń, w których przyzwoitość i honor potrafiły w momentach krytycznych przeciwstawić się hegemonii zła, czy to w Poznaniu, czy w Yazoo City.

Gdy Zofia snuła wcześniej swoją bajkę o niebezpiecznej ojcowskiej misji ratowania paru Żydów w Lublinie, musiała zdawać sobie sprawę, że nie wymaga ode mnie wiary w cuda. To, że Polacy w niedalekiej i odległej przeszłości niezliczoną ilość razy ryzykowali życie, ratując Żydów z rąk rozmaitych oprawców, jest faktem bezspornym, i chociaż wtedy niewiele o tym wiedziałem, nie wątpiłem w prawdziwość Zofii, która walcząc z demonem swego schizoidalnego sumienia, postanowiła przedstawić profesora w fałszywym świetle jako dobroczyńcę czy wręcz bohatera. Ale choć tysiące Polaków ukrywały Żydów, poświęcały dla nich życie, zdarzało im się też w przyływach odwzajemnianej fobii prześladować ich z nieubłaganą zaciekłością. Profesor Biegański należał do tego właśnie *continuum* polskiego ducha i tam też go w końcu Zofia ulokowała, by móc mi lepiej wyjaśnić wydarzenia w Oświęcimiu.

Dalsze losy broszury profesora warte są odnotowania. Posłuszna do końca ojcu Zofia rozdawała ją razem z Kazikiem na korytarzach uniwersytetu, co zresztą zakończyło się kompletną klapą. Po pierwsze, naukowcy jak wszyscy w Krakowie byli zbyt zaabsorbowani obawami przed zbliżającą się wojną - wtedy odległą o parę zaledwie miesięcy - aby interesować się przesłaniem Biegańskiego. Lada chwila miało się rozpętać piekło. Niemcy żądali oddania Gdańska, agitując za „korytarzem”. Podczas gdy Neville Chamberlain wciąż się miotał, Hunowie wyli na zachodzie, wstrząsając kruchymi bramami Polski. Brukowane, wiekowe ulice Krakowa codziennie wypełniał szmer tłumionej paniki. Jak w takich okolicznościach zręczna dialektyka profesora miała przyciągnąć uwagę choćby najbardziej

zajadłych rasistów z uniwersytetu? Atmosfera nadciągającej zagłady była zbyt gęsta, by ktokolwiek zwracał sobie głowę tak wyświechtanym tematem jak prześladowanie Żydów.

W owym czasie cała Polska czuła się potencjalnie zagrożona prześladowaniem. Co więcej, profesor popełnił kilka podstawowych błędów, tak horrendalnych, że stawiało to pod znakiem zapytania jego zdrowy rozsądek. Należało do nich nie tylko wprowadzenie nikczemnego pojęcia *Vernichtung* - nawet najbardziej ograniczeni naukowcy nie byli w stanie go strawić, choć podane było w swiftowskim stylu komicznej zjadliwości - lecz także kult Trzeciej Rzeszy i pangermańskie fascynacje, które nawet wtedy czyniły go ślepym i głuchym na gorący, szczery patriotyzm jego kolegów. Zofia dostrzegła w końcu, że jeszcze kilka lat temu, kiedy w Polsce narastała fala faszystów, ojciec mógł zyskać paru wyznawców głoszonej przezeń wiary, ale teraz, gdy Wehrmacht napierał na wschód, gdy rozlegały się teutońskie wrzaski w sprawie Gdańska, a Niemcy montowali prowokacje na całej granicy, czymże było pytanie, czy narodowy socjalizm rozwiąże cokolwiek poza zniszczeniem Polski, jeśli nie czystym szaleństwem?

Efekt był taki, że profesora i jego broszurę nie tylko całkowicie zignorowano wśród narastającego chaosu, ale w dodatku oberwał niespodziewanie zdrowe cięgi. Dwóch młodych asystentów - rezerwistów poturbowało go dotkliwie w hallu uniwersytetu, łamiąc mu palec. A pewnej nocy - wspominała Zofia - ktoś wybił szybę w jadalni dużym brukowcem z wymalowaną na nim czarną, pajęczastą swastyką.

Jako patriota nie zasługiwał na to właściwie; jedno przynajmniej przemawiało na jego korzyść - nie napisał swego elaboratu (tego Zofia była pewna) z intencją przypochebienia się hitlerowcom. Rzecz reprezentowała szczególnie punkt widzenia polskiej kultury, a poza tym profesor był we własnym mniemaniu myślicielem zbyt pryncypialnym, zbyt oddanym poszukiwaniu uniwersalnych prawd filozoficznych, by powstało mu choć przez chwilę w głowie, że mógłby wykorzystać broszurę dla osobistych korzyści, nie mówiąc o ocaleniu własnej skóry. (Zbliżający się konflikt uniemożliwił zresztą opublikowanie eseju w Niemczech w jakiegokolwiek postaci.) Nie był też profesor Biegański żadnym quislin - giem, kolaborantem w obecnie przyjętym znaczeniu tego słowa; kiedy po wrześniowym najeździe prawie nie zniszczony Kraków został siedzibą rządu na całą Polskę, próbował on zaoferować swoje usługi Generalnemu Gubernatorowi, przyjacielowi Hitlera, Hansowi Frankowi, nie zamierzając bynajmniej zdradzać ojczyzny. Pragnął tylko zostać doradcą i ekspertem w dziedzinie, w której Polacy i Niemcy mieli wspólnego przeciwnika i wspólne zainteresowanie: *die Judenfrage*. W jego wysiłkach był nawet bez wątpienia pewien idealizm.

Brzydząc się teraz swego ojca, brzydząc się prawie tak samo jego sługusa, swojego męża, Zofia prześlizgiwała się obok ich postaci szepczących w przedpokoju, gdy profesor w nienagannie skrojonym tużurku, z kunsztownie przystrzyżonymi siwiejącymi włosami, pachnący *Kölnischwasser*, szykował się do kolejnej rundy swych porannych suplikacji. Chyba nie umył głowy, bo przypomniała sobie łupież na jego wspaniałych ramionach. W tych szeptach ojca mieszały się wzburzenie i nadzieja. Mówiąc, syczał dziwnie. Dzisiaj na pewno Generalny Gubernator przyjmie go choć wczoraj odmówił mu audiencji - dzisiaj na pewno (zwłaszcza biorąc pod uwagę znakomitą niemczyzną profesora) powita go serdecznie komendant *Einsatzgruppe der Sicherheitspolizei*, któremu polecał go listownie ich wspólny znajomy z Erfurtu (socjolog, czołowy hitlerowski teoretyk w zakresie problemu żydowskiego) i na którym z pewnością zrobią wrażenie jego referencje, te znakomite dyplomy (na autentycznym pergaminie) z Heidelbergu i Lipska, ten oprawny tom esejów opublikowany w Moguncji, *Die polnische Judenfrage, et cetera* i tak dalej. Dzisiaj na pewno...

Niestety, choć profesor słał petycje, zabiegał i przepychał się, odwiedzając dziesiątki urzędów od dziesiątków dni, jego coraz bardziej obłąkańcze wysiłki były daremne. To, że nie poświęcono mu chwili uwagi, że nie wysłuchał go żaden biurokrata, musiało być dla niego strasliwym ciosem. Profesor przeliczył się grubo w jednej jeszcze sprawie. Pod względem emocjonalnym i intelektualnym był romantycznym spadkobiercą germańskiej kultury innej epoki, z czasów bezpowrotnie minionych, nie miał zatem pojęcia, jak daremne były jego usiłowania, by wkraść się w swym staroświeckim kostiumie w łaski przedstawicieli stalowej, żołdackiej, gigantycznej i nowoczesnej potęgi, pierwszego technokratycznego państwa z jego *Regulierungen und Gesetzverordnungen*, z jego zelektryfikowanymi systemami kartotek, metodami klasyfikacji, anonimowym łańcuchem dyspozycyjnym, mechanicznym przetwarzaniem danych, urządzeniami deszyfrującymi, kodowaniem rozmów telefonicznych, gorącą linią do Berlina; wszystko to pracowało z oszałamiającą szybkością, nie pozostawiając miejsca dla jakiegoś tam polskiego wykładowcy prawa, z jego plikami dokumentów, płatkami łupieżu, błyszczącymi przedtrzonowcami, idiotycznymi getrami i goździkiem w butonierce. Profesor był jedną z pierwszych ofiar hitlerowskiej maszyny wojennej, a stał się nią dlatego, że nie był „zaprogramowany” - i tylko tyle. Tylko tyle, choć niezupełnie, ponieważ dodatkowym ważnym powodem jego odrzucenia była narodowość: *Polack*. To niemieckie słowo ma tak samo szyderczopogardliwe znaczenie jak w języku angielskim. Ponieważ był Polackiem i jednocześnie profesorem uniwersytetu, jego nadgorliwe, rozpromienione i błagalne oblicze nie budziło w komendancie gestapo większego entuzjazmu niż twarz

nosiciela tyfusu, ale profesor najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo anachroniczną był figurą.

I chociaż nie mógł tego wiedzieć, kiedy pętał się po urzędach w tamtych dniach wczesnej jesieni, czas przybliżał nieubłaganie jego koniec. Dla chłodnego oka hitlerowskiego molocha był jedną z wielu cyfr skazanych na zagładę. Kiedy więc w szary, dżdżysty, listopadowy poranek Zofia, klęcząc samotnie w kościele Mariackim doznała opisanego już przecucia i pospieszyła na uniwersytet - by ujrzeć wspaniały, średniowieczny dziedziniec otoczony kordonem niemieckich żołnierzy, trzymających pod karabinami stu osiemdziesięciu wykładowców - profesor i Kazik stali wśród tych nieszczęsnych, dygocząc z zimna, z rękami wzniesionymi ku niebu. I więcej ich nie zobaczyła. W późniejszej, poprawionej (i jestem pewien, że prawdziwej) wersji swojej historii, powiedziała mi, że nie czuła prawdziwego żalu po aresztowaniu ojca i męża - była już wtedy zbyt od nich wyobcowana, by przeżyć to głęboko - ale na innym poziomie doznała ciężkiego szoku, uczucia lodowatego strachu i druzgocącej straty. Jej poczucie tożsamości rozsypało się w proch. Bo jeśli Niemcy mogli dopuścić się tak ohydneho gwałtu na tylu bezbronnych i niczego nie podejrzewających naukowcach, zwiastowało to Bóg jeden wie jakie okropności czekające Polskę w nadchodzących latach. I z tego tylko powodu rzuciła się ze szlochom w ramiona matki. Matka była do głębi wstrząśnięta.

Słodka, bezmyślna, uległa kobieta, zachowała do samego końca gorące uczucia dla męża. Odgrywając dla niej pantomimę żalu po ojcu, Zofia nie mogła jednak nie smuć się smutkiem matki.

Jeśli chodzi o profesora - którego wchłonął jak zwykłego czerwia masowy grób KL Sachsenhausen, tego ponurego odrostu bezdusznego lewiatana ludzkiego cierpienia, wylęgłego przed laty w KL Dachau - to jego wysiłki uwolnienia się były daremne. Ironia losu polegała na tym, że dziś jest sprawą oczywistą, iż Niemcy nieświadomie uwięzili człowieka, którego mogliby w przyszłości uznać za wielkiego proroka - ekscentrycznego słowiańskiego filozofa, którego wizja „ostatecznego rozwiązania” poprzedziła wizję Eichmanna i jego popleczników (a może nawet Adolfa Hitlera, wizjonera i inicjatora tego wszystkiego) i który miał egzemplarz swojego przesłania przy sobie. „*Ich habe meine Flugschrift*”, skarżył się w grypsie do matki Zofii, jedynym liście, jaki kiedykolwiek od niego otrzymały. „Mam swoją broszurę. *Ich verstehe nicht, warum...* Nie rozumiem, dlaczego nie mogę dotrzeć do władz i uświadomić im...”

Więzy krwi i miłości bywają u istot śmiertelnych zadziwiająco silne, zwłaszcza wtedy, gdy miłość zamieszkuje wspomnienia dzieciństwa: spacerując z nią, przebierając palcami w

splotach jej płowych włosów, wziął ją kiedyś na przejażdżkę dwukółką zaprzęzoną w kucyki, pośród letnich zapachów poranka i śpiewu ptaków na podwawelskich plantach. Zofia zapamiętała to i nie mogła stłumić dojmującego bólu, kiedy nadeszła wiadomość o jego śmierci i zobaczyła go, jak pada, pada - protestując do końca, że to jakieś nieporozumienie - wśród grzechotu gorących kul o mur w Sachsenhausen. dziesiąty

Głębokie, otoczone grubymi, kamiennymi ścianami podziemia domu Hossa, gdzie sypiała Zofia, były jednym z niewielu miejsc w obozie, do których nigdy nie przenikała woń palonego ludzkiego ciała. Dlatego między innymi chroniła się tu, kiedy tylko mogła, mimo że przydzielony jej kąt z wypchanym słomą wyrkiem był zawilgocony, ciemny i cuchnął zgnilizną i pleśnią. Gdzieś za ścianą nieprzerwanie szumiała woda w rurach kanalizacyjnych, a od czasu do czasu budziła Zofię wizyta kosmatego, ledwie widocznego szczura. Jednak ogólnie biorąc, ten mroczny czyściec był miejscem o wiele lepszym niż jakiegokolwiek barak nawet ten, w którym przez sześć miesięcy przebywała z kilkudziesięcioma względnie uprzywilejowanymi współwięźniarkami zatrudnionymi w obozowych biurach. Choć lokatorki tych klatek nie stykały się na ogół z brutalnością, jaka była udziałem reszty zwykłych towarzyszy niedoli, Zofii dokuczał ustawiczny hałas, niemożność odizolowania się, a przede wszystkim - najbardziej uciążliwy - chroniczny brak snu. Poza tym trudno było utrzymać higienę osobistą. Tu dzieliła kwaterę tylko z garstką więźniów, jednym zaś z kilku rajskich wręcz luksusów, jakie zapewniała piwnica, była bezpośrednia bliskość pralni. Zofia korzystała z rozkoszą z jej dobrodziejstw, była zresztą do tego niejako zobowiązana, jako że pani domu, Hedwig Hoss, typowa westfalska *Hausfrau*, była chorobliwie uczulona na punkcie brudu i dbała pilnie o to, by wszyscy więźniowie przebywający pod jej dachem utrzymywali odzież i ciało w sterylnej wręcz czystości; podczas prania dosypywano do wody silnych środków dezynfekcyjnych, toteż więźniowie mieszkający w *Haus Hoss* rozsiewali wokół siebie zapach bakteriobójczych preparatów. Dodatkową przyczyną fobii *Frau Kommandant* był śmiertelny lęk przed grasującymi w obozie chorobami zakaźnymi.

Inną wielką zaletą piwnicy, jaką Zofia niezmiernie sobie ceniła, była - potencjalna przynajmniej - możliwość snu. Obok niedostatku pożywienia i prywatności brak snu był w obozie jednym z głównych i najbardziej powszechnych problemów. Wszyscy więźniowie szukali okazji, by się wyspać, z zachłannością bliską niepohamowanej żądzy; sen był jedyną pewną formą ucieczki od nieustannej męczarni i - co niezwykle (a może i nie) - przynosił zwykle przyjemne marzenia, bo jak powiedziała mi Zofia, ludzie tak bliscy szaleństwa nieuchronnie popadliby w obłąd, gdyby uciekając przed jednym koszmarem napotykali inny we śnie. I tak dzięki ciszy i odosobnieniu w piwnicy domu Hossa Zofia mogła po raz

pierwszy od wielu miesięcy spokojnie zasypiać i zanurzać się w przyływach i odpływach sennych marzeń.

Piwnica podzielona była na dwie mniej więcej równe części. Siedmiu czy ośmiu mężczyzn, głównie Polaków, spało za przepierzeniem z desek; pracowali na górze jako ludzie do wszystkiego lub pomywacze kuchenni, kilku zajmowało się ogrodem. Mężczyźni i kobiety stykali się rzadko, co najwyżej w przejściu. Po stronie Zofii mieszkały oprócz niej trzy więźniarki. Dwie z nich, siostry z Liège w średnim wieku, krawcowe, były Żydówkami. Obie stanowiły żywe świadectwo niemieckiego umiłowania praktycyzmu i wygodnictwa: uniknęły gazu jedynie dzięki niezwykleму kunsztowi swego krawieckiego rzemiosła. Były one specjalnymi faworytkami *Frau* Hoss, która wraz ze swymi trzema córkami korzystała bez umiaru z wytworów ich talentu - całymi dniami dziergały, obrębiały i przerabiały stopy wytwornej odzieży odbieranej Żydom idącym do komór gazowych. Mieszkały w tym domu od wielu miesięcy i z biegiem czasu nabierały pewności siebie oraz ciała. Tryb pracy na siedząco pozwolił im nabrać tuszy, która na tle wycieńczonych ciał współwięźniów wyglądała zgoła egzotycznie. Chronione przez Hedwig wyzbyły się całkiem lęku o swój los; Zofii wydawały się niezwykle pogodne i opanowane, kiedy tak siedziały w słonecznej pracowni na pierwszym piętrze, szyjąc nieprzerwanie lub od - pruwając metki i naszywki firmowe Cohena, Lowensteina czy Adamowitza z kosztownych futer i świeżo wypranych materiałów, przed paroma zaledwie godzinami odebranych z wagonów na rampie. Mówiły niewiele i z belgijskim akcentem, który raził ucho Zofii swą chropowatością.

Czwartą lokatorką lochu była astmatyczna kobieta imieniem Lotte, jehowitka z Koblencji, również w średnim wieku. Podobnie jak żydowskie szwaczki, prawdziwe dziecko szczęścia, uniknęła śmierci od zastrzyku czy innej powolnej tortury w tak zwanym „szpitalu”, aby objąć obowiązki guwernantki dwojga najmłodszych dzieci Hossów. Chuda, kanciasta, z wysuniętą szczęką i wielkimi łapskami, przypominała do złudzenia niektóre strażniczki przysłane tu z KL Ravensbriick, z których jedna brutalnie napadła Zofię wkrótce po jej przyjeździe do obozu. Lotte miała jednak przyjazne, miłe usposobienie, kontrastujące z groźnym wyglądem. Zachowywała się jak starsza siostra, udzielając Zofii pożytecznych rad co do sposobu postępowania w domu, a także dzieląc się bezcennymi spostrzeżeniami na temat komendanta i jego gospodarstwa. Radziła uważać zwłaszcza na zarządzającą tym gospodarstwem Wilhelminę. Wilhelmina, Niemka i również więźniarka, odsiadywała wyrok za fałszerstwo. Zajmowała dwa pokoje na górze. „Całuj ją w tyłek - radziła Lotte Zofii - liż jej fest dupę, a nie będziesz miała kłopotów. Co do samego Hossa, on też lubi, żeby mu kadzić, ale trzeba to robić oględnie, bo nie da się nikomu nabrać na plewy”.

Lotte, prosta dusza, głęboko religijna półanalfabeta, zdawała się żeglować wśród bezbożnych wiatrów Oświęcimia niczym jakiś prymitywny, ale krzepki statek, niewzruszony w swej straszliwej wierze. Nie próbowała nikogo nawracać; tłumaczyła tylko Zofii, że jej obozowe cierpienia zostaną szczerze wynagrodzone w Królestwie Jehowy. Cała reszta, z Zofią włącznie, wyląduje w piekle. Nie było jednak w jej proroczym mściwości, w każdym razie nie więcej niż wtedy, gdy idąc z Zofią na górę do swych codziennych zajęć zwietriła na półpiętrze wszechobecny fetor z całopalnego stosu Brzezinki i rzuciła zdyszonym szeptem, że ci Żydzi zasłużyli sobie na to. Zapracowali sobie na swój los. Bo czy w końcu nie oni pierwsi zdradzili Jehowę? „Źródło wszelkiego zła, *die Hebräer*” - wysapała.

Tuż przed jutrzejką dnia, który zacząłem opisywać, dziesiątego dnia pracy u komendanta na poddaszu, kiedy to postanowiła (na wpół świadomie) uwieść Hossa - a w każdym razie nagiąć go do swojej woli i planu - na moment przedtem, nim otworzyła oczy w pełnym pajęczyn półmroku piwnicy, z legowiska pod ścianą dotarł do jej świadomości ciężki, astmatyczny oddech Lotte. Wtedy Zofia obudziła się z dreszczem i uniósłszy ciężkie powieki dostrzegła w odległości metra niewyraźny zarys potężnego cielska owiniętego zjedzonym przez mole kocem. Już miała wyciągnąć rękę, by jak zwykle obudzić Lotte kuksańcem w żebra, ale choć szuranie nóg w kuchni na górze wskazywało na to, że pora za chwilę wstawać do codziennych obowiązków, pomyślała sobie: niech śpi. Potem, jak pływak nurkujący ku rozkoszonym, kojącym głębinom, próbowała zasnąć na powrót, by przywołać przerwane marzenia senne.

Była znów małą dziewczynką sprzed kilkunastu lat i razem ze swoją kuzynką Krystyną, trajkocząc po francusku, szukały szarotek w Dolomitach. Mroczne, zamglone szczyty wznosiły się wokół nich, sięgając nieba. Wizja ta, chaotyczna jak większość snów i podszyta niejasnym poczuciem zagrożenia, miała w sobie także jakąś trudną do zniesienia słodycz. Z góry przyzywał je rosnący wśród skał mlecznobiały kwiat; Krystyna, która wyprzedzała Zofię na wywołującym zawrót głowy szlaku, zawołała: „Zosiu, zerwę go i przyniosę”. Potem jakby się pośliznęła i omal nie spadła w ulewę drobnych kamieni; we śnie pojawił się nastrój posępnej grozy. Zofia modliła się za Krystynę, jakby chodziło o nią samą: Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy niej stój... Powtarzała słowa modlitwy bez końca. Aniele, nie pozwól jej spaść! Nagle z góry spłynęły potoki górskiego światła i Zofia podniosła wzrok. Pogodna i triumfująca, w złocistej aureoli światła dziewczynka uśmiechała się do niej siedząc bez lęku na omszałym występie skalnym i ściskając w dłoni szarotkę. Zosia, *je l'ai trouve!* - zawołała. To uczucie oddalonego zagrożenia, odzyskanego bezpieczeństwa, wysłuchanej modlitwy i cudownego ocalenia było we śnie tak dojmujące, że gdy obudził ją

chrapliwy oddech Lotte, jej oczy napełniły się słonymi, piekącymi łzami. Zaciśnęła powieki, głowa opadła z powrotem na siennik, i kiedy daremnie usiłowała przywołać od nowa żłudny nastrój radości, poczuła, że Broniek gwałtownie szarpie ją za ramię.

- Mam dla was dzisiaj fest wyzerkę, moje damy - powiedział. Polegając na germańskiej skrupulatności w funkcjonowaniu domostwa, zjawiał się punktualnie kiedy trzeba. W pogiętym miedzianym rondlu przynosił jedzenie; były to niezmiennie resztki ze stołu Hossów z wczorajszej kolacji. Ta poranna karma (kucharka co wieczór zostawiała rondel przy drzwiach, jak dla psów czy kotów, skąd Broniek zabierał go o świcie) była zawsze zimną i tłustą mieszaniną kości z resztkami mięsa i chrząstkami, kawałków chleba (posmarowanych od wielkiego dzwonu odrobiną margaryny), nie dojedzonych jarzyn i czasami połówki pozostawionego jabłka czy gruszki. W porównaniu z racjami wydzielanymi większości więźniów były to nader obfite posiłki, wręcz uczyty, przynajmniej pod względem ilościowym, a ponieważ śniadania owe wzbogacane były od czasu do czasu takimi przysmakami jak sardynki z puszki czy kawałek polskiej kiełbasy, uznawano po prostu, że komendant dba o to, by służba w jego domu nie głodowała. Co więcej, chociaż Zofia, podobnie jak dwie żydowskie siostry, jadła z Lotte z jednego rondla, niczym z miski przy psiej budzie, zaopatrzone je w dwie aluminiowe łyżki - niesłychany luksus z punktu widzenia wszystkich pozostałych ludzi za drutami.

Zofia usłyszała, jak Lotte budzi się z głośnym jękiem, mamrocząc nieskładnie, pewnie jakieś poranne modły do Jehowy wygłaszane grobowym głosem, z nadreńskim akcentem. Broniek wsunął rondel pomiędzy ich legowiska.

- Popatrzcie tylko, ile mięsa zostało jeszcze na tej giczcze. Do tego fura chleba. I trochę pysznej kapusty. Kiedy tylko usłyszałem wczoraj, że Schmauser przychodzi na obiad, od razu wiedziałem, że będziecie miały wyzerkę. - Błady, z wyraźnie widoczną w rozproszonym, srebrzystym świetle łysiną, kanciastą sylwetką i członkami modliszki, przerzucił się z polskiego na swoją kulawą, błazeńską niemczyznę - specjalnie dla Lotte, którą poszturchiwał teraz łokciem. - **Aufwecken, Lotte!** - nawoływał chrapliwym szeptem. - **Aufwecken, mein schöne Blume, mein kleine Engel!** - Gdyby nie to, że Zofii nie było do śmiechu, ciągle, komiczne przekomarzanie się Bronka ze słoniowątą guwernantką przyniosłoby jej z pewnością odprężenie.

- No, obudźże się, mój molu biblijny - nalegał Broniek i w tym momencie Lotte usiadła raptownie. Rozespana, ze swym monstualnym, płaskim, lecz pełnym uduchowionego spokoju, dobrotliwym obliczem przypominała kamienny posąg z Wyspy Wielkanocnej. Bez chwili wahania zaczęła pochłaniać jedzenie.

Zofia wstrzymała się na razie. Wiedziała, że Lotte, pocziwa dusza, ograniczy się do swojej działki, a więc rozkoszowała się tymczasem samą perspektywą zjedzenia przynależnej jej porcji. Ślina napływała jej do ust na widok oślizłej brei w rondlu. Błogosławiła Schmausera. Schmauser był Obergruppenführerem SS, co odpowiadało randze generałporucznika, i zwierzchnikiem Hossa z Wrocławia; o jego wizycie mówiło się w domu od wielu dni. Teoria Bronka okazała się trafna. Gruba ryba w dom powtarzał - a Hoss wyprawi taką ucztę, że nawet karaluchy się pochorują z przeżarcia.

- Jak tam dziś na dworze, Bronek? - zapytała Lotte pomiędzy jednym kęsem a drugim. Wiedziały obie, że Bronek, jak każdy rolnik, ma nosa do pogody.

- Chłodno. Wiatr z zachodu. Od czasu do czasu wyrzy słońce, ale gromadzą się niskie chmury. Duszno. Teraz śmierdzi w powietrzu, ale może się poprawi. Kupa Żydów poszła przez komin. Zofia, kochana, jedz, proszę - ostatnie zdanie powiedział po polsku, obnażając w uśmiechu różowe dziąsła, w których jak drzazgi tkwiły trzy czy cztery białe pieńki zębów.

Oświęcimska kariera Bronka zbiegała się z historią samego obozu. Tak się złożyło, że trafił tu jako jeden z pierwszych i zaczął pracować w domu Hossów wkrótce po uwięzieniu. Był rolnikiem z okolic Miastka na dalekiej północy. Zęby stracił w wyniku przeprowadzanych na nim medycznych eksperymentów z awitaminozą; jak szczura czy świnkę morską pozbawiano go systematycznie witaminy C i innych podstawowych składników odżywiania, aż do spodziewanej rujnacji uzębienia. Mogło to też wpłynąć na jego poczytalność. Tak czy inaczej, miał w tym wszystkim niebywale szczęście, jakie bez żadnej racjonalnej przyczyny trafiało się niektórym więźniom niczym grom z jasnego nieba. Normalnie po takich przejściach powinien zamienić się w przeznaczony na straty, bezużyteczny zewłok, wyprawiany na tamten świat szybkim zastrzykiem fenolu w serce. Ale Bronek miał chłopską odporność i odznaczał się nadzwyczajną wprost żywotnością. Oprócz rujnacji uzębienia nie wystąpiły u niego żadne objawy skorbutu - znużenie, osłabienie, utrata wagi i tym podobne - jakie powinny były w tych okolicznościach wystąpić. Wyszedł z tego twardy jak kozioł, co zwróciło baczną uwagę ogłupiałych lekarzy z SS i - pośrednio - samego Hossa. Komendant przyjrzał się na prośbę lekarzy temu fenomenowi i podczas ich przelotnego spotkania coś go w Bronku zaintrygowało - być może sam język, zabawna, kaleka niemczyzna niewykształconego Polaka z Pomorza. Wziął go pod swoje opiekuńcze skrzydła i odtąd Bronek pracował w jego domu, ciesząc się pewnymi drobnymi przywilejami: swobodą poruszania po terenie obozu, możliwością wysłuchiwania plotek i pewnym ogólnym zwolnieniem od nadzoru, jakie przysługuje ulubieńcom pana, faworytom, istniejącym w

każdej niewolniczej społeczności. Był wytrawnym pieczeniarem i od czasu do czasu wyskakiwał z nadzwyczajnymi niespodziankami, jeśli chodzi o żywność pochodzącą z jakichś tajemniczych źródeł. Co ważniejsze, Zofia zorientowała się, że Broniek przy całej swej pozornej prostoduszności pozostawał w stałym kontakcie z życiem obozowym i był zaufanym informatorem jednej z najsilniejszych grup polskiego ruchu oporu.

Dwie krawcowe zaczęły poruszać się w mroku po drugiej stronie piwnicy.

- *Bonjour, mesdames* - zawołał Broniek wesoło. - Śniadanie podano. - Odwrócił się w stronę Zofii. - Zdobyłem też dla ciebie trochę fig - powiedział. - Prawdziwych fig, wyobrażasz sobie?

- Skąd wzięłeś figi? - zdziwiła się Zofia. Kiedy Broniek wręczał jej ten nieopisany skarb, wypełniło ją podszyte lękiem uczucie rozkoszy. Choć figi były suszone i owinięte w celofan, wyczuła palcami ich ciepły ciężar. Podniosła paczuszkę do oczu i zobaczyła strumyki smakowitego soku zakrzepłe na powierzchni zielonkawoszarej skórki. Figi wydzielają nikły, zmysłowy aromat, słaby, ale ciągle słodki ślad woni dojrzałych, świeżych owoców. Jadła już kiedyś, przed laty, prawdziwe figi we Włoszech. Żołądek zareagował radosnym burczeniem. W najśmielszych marzeniach nie przeczuwała, że w nadchodzących miesiącach - co tam miesiącach, latach! - będzie jadła takie frykasy. Figi!

- Broniek, nie mogę uwierzyć! - zawołała.

- Zostawcie je sobie na później - powiedział Broniek dając drugą paczkę Lotte. - Nie jedzcie wszystkich od razu. Zjedzcie najpierw ten szajs z góry. To resztki, ale nieprędko wam się takie resztki trafią. Dobre dla świń, które hodowałem na Pomorzu.

Usta mu się nigdy nie zamykały. Zofia słuchała potoku jego paplaniny, wgrzając się łapczywie w zimny i łykowaty ochłap wieprzowiny. Mięso było przypalone, niesmaczne i pełne ścięgien, ale jej podniebienie reagowało na najmniejsze drobiny tłuszczu, którego gwałtownie domagał się organizm, jak na ambrozję. Pochłonęłaby każdą ilość jakiegokolwiek tłuszczu. Oczami wyobraźni widziała wczorajszą wieczorną biesiadę, przy której usługiwał Broniek: boskie, pieczone prosię, kluski, parujące ziemniaki, kapusta z kasztanami, dzemy, galaretki i sosy, gęsty krem na deser. Wszystko to znika w gardzielach esesmanów zapijane węgierskim egri bikaver z pękatych butelek i serwowane (przy okazji wizyty tak wysokiego dygnitarza jak Obergruppenführer) na wspaniałych, carskich srebrach złupionych na wschodnim froncie z jakiegoś muzeum. O tym właśnie froncie - uprzytomniła sobie - rozprawiał teraz Broniek z dumą wtajemniczonego w ponure wieści.

- Nadrabiali miną - mówił - i przez jakiś czas nawet im się to udawało. Ale potem zaczęli rozmawiać o wojnie i wszystkich niepowodzeniach. Na przykład Schmauser

mówił, że Rosjanie szykują się do odbicia Kijowa. I jeszcze o masie innych złych wiadomości z rosyjskiego frontu. I o parszywej sytuacji we Włoszech, tak powiedział. Anglicy i Amerykanie prą do przodu, ludzie giną jak muchy. - Broniek wstał i ruszył z drugim rondlem w stronę sióstr. - Ale prawdziwa bomba, moje panie - pewnie mi nie uwierzycie, ale to prawda - prawdziwa bomba to to, że Rudi odchodzi. Rudiego odwołują do Berlina!

Zofia, przelękając kęs twardego mięsa, omal się nie udławiła. Odchodzi? Hoss odchodzi z obozu! To nie może być prawda! Uniosła się na posłaniu i chwyciła Bronka za rękaw.

- Jesteś pewien? - dopytywała się. - Jesteś tego pewien, Broniek?

- Powtarzam wam, co mówił Schmauser Rudiemu, kiedy inni oficerowie wyszli. Powiedział mu, że odwalił kawał dobrej roboty, ale potrzebują go w Centrali w Berlinie. Ma się wobec tego przygotować do natychmiastowego przeniesienia.

- Jak to natychmiastowego? Dziś, za miesiąc, kiedy? wypytywała Zofia.

- Nie wiem - odpowiedział Broniek - Po prostu wkrótce w jego głosie pojawił się złowróżbny ton. - Powiem wam, że ja osobiście nie jestem z tego zadowolony. - Zamilkł na chwilę, przynębniony. - Czy to wiadomo, kto przyjdzie na jego miejsce? Może jakiś sadysta? Jakiś goryl? I wtedy Broniek też... przewrócił oczami i przeciągnął palcem po gardle. - Mógł mnie kazać wykończyć, mógł mnie poczęstować gazem jak Żydów robili to już wtedy - ale wziął mnie do siebie i traktował jak człowieka. Powiem wam, że będzie mi przykro, jeśli Rudi odejdzie.

Ale Zofia zaabsorbowana własnymi myślami nie słuchała. Wiadomość o wyjeździe Hossa wywołała w niej panikę. Uprzytomniła sobie, że jeśli ma zwrócić na siebie uwagę komendanta i osiągnąć zamierzony cel, musi działać błyskawicznie. W ciągu następnej godziny harówki w pralni u boku Lotte (służba Hossa nie musiała uczestniczyć w morderczych i niekończących się apelach; Zofia prała na szczęście tylko sterty bielizny z domu komendanta - ogromne w związku z fiołem pani domu na punkcie zarazków i brudu) jej fantazja krążyła wokół najrozmaitszych mikroszenek, w których ona i komendant nawiązali wreszcie intymne kontakty, dzięki czemu mogła wyrzucić z siebie to, co miało prowadzić do jej wybawienia. Ale czas zaczął pracować na jej niekorzyść. Jeśli nie podejmie natychmiastowej, może nawet nieco ryzykownej akcji, on wyjedzie, a wszystkie jej plany spalą na panewce. Dręczącemu lękowi towarzyszyło nie wiadomo czemu uczucie głodu.

Ukryła paczuszkę z figami w odprutej zakładce pasiaka. Na parę minut przed ósmą, kiedy miała przejść do pracy w gabinecie na poddaszu, nie była dłużej w stanie opierać się pokusie zjedzenia owoców. Ukradkiem wśliznęła się do schowka pod schodami, gdzie nie

mogli jej wypatrzeć inni więźniowie. Tu zaczęła w gorączkowym pośpiechu rozdzierać celofan. Oczy zaszyły jej mgielką łez, kiedy przetykała jedną po drugiej miękkie kulki owoców o wybornym, lekko wilgotnym, ciągliwym i słodkim miąższu, usianym archipelagami drobnych pesteczek. Oszałała z rozkoszy, bezwstydna w swej zwierzęcej zachłanności, z palcami i podbródkiem ociekającym lepką śliną, pożarła je wszystkie. Wzrok miała ciągle zamglony, słyszała własny przyspieszony oddech. Oczekała chwilę w cieniu schowka, żeby figi ułożyły się jej w żołądku, a twarz nabrała normalnego wyrazu, po czym zaczęła wolno wchodzić na górę. Wspinaczka ta nie trwała zwykle dłużej niż kilka minut, ale zakłócały ją dwa zapadające w pamięć zjawiska, które zdawały się ściśle splatać z koszmarną, halucynacyjną materią jej poranków, popołudni i wieczorów w domu Hossa...

Na dwóch półpiętrach - pod parterem i poniżej poddasza były okienka wychodzące na zachód, od których Zofia zwykle odwracała wzrok, choć nie zawsze jej się to udawało. Widać stąd było brunatny, pozbawiony żdźbła trawy plac ćwiczeń, niewielkie drewniane baraki, druty pod napięciem otaczające absurdalne w tym miejscu, pełne wdzięku topole; w pewnym oddaleniu znajdowała się rampa, na której dokonywano selekcji. Nieodmiennie stały tam długie sznury wagonów towarowych, ciemnobrązowa dekoracja do przymglonych, ohydnych żywych obrazów okrucieństwa, szaleństwa i tortur. Rampa była zbyt blisko, by ją zignorować, zbyt daleko, by zobaczyć ją wyraźnie. Być może - wspominała później - jej własne przybycie do tego betonowego *quai* i wszystko, co się z nim kojarzyło, kazało jej unikać spojrzeń w tamtą stronę, odwracać wzrok, usuwać z pola widzenia fragmentaryczne i migoczące zjawy, postrzegane z tej odległości niewyraźnie, niczym jakieś gruboziarniste, zamazane kształty ze starej, niemej kroniki filmowej: lufa wzniesiona ku niebu, zwłoki wywlekane z wagonów, papierowa kukła ludzka wdeptywana w ziemię.

Czasami wydawało jej się, że nie ma w tym żadnego gwałtu, pozostawało tylko straszliwe wrażenie porządku, w jakim tłumy powłóczących nogami ludzi uczestniczyły potulnie w tej paradzie donikąd. Rampa znajdowała się zbyt daleko, by mógł stamtąd dotrzeć jakikolwiek dźwięk: muzyka, którą obozowa orkiestra, wynalazek wariata, witała każdy nowy transport, wrzaski strażników, ujadanie psów - wszystko było nieme, choć czasami trudno było nie usłyszeć suchego trzasku wystrzału z pistoletu. Dramat zdawał się zatem rozgrywać w jakiejś miłosiernej próżni, z wyłączeniem rozpaczliwych zawodzeń, okrzyków grozy i innych odgłosów tej infernalnej inicjacji. Być może dlatego właśnie - zastanawiała się Zofia, idąc po schodach - nie mogła jednak czasami, tak jak choćby teraz, oprzeć się pokusie zerknięcia w okno. Zobaczyła tylko długi sznur świeżo przybyłych, jeszcze nie rozładowanych wagonów. Esesmani rozstawiali się w kłębach pary wzdłuż pociągu.

Wiedziała z wykazu, jaki otrzymał wczoraj Hoss, że przybyła druga partia Żydów greckich licząca dwa tysiące stu ludzi.

Zaspokoiwszy ciekawość odwróciła się i otworzyła drzwi salonu, przez który musiała przejść, by dostać się na drugą część schodów prowadzących na wyższe piętra. Z gramofonu Stromberg Carlson spływały na pokój dźwięki śpiewanej kontraltem, namiętnej skargi miłosnej. Wilhelmina, zarządzająca, stała zasłuchana, nucąc pod nosem i grzebiąc w stercie jedwabnej damskiej bielizny. Była sama. Pokój tonął w słońcu.

Wilhelmina (jak zauważyła Zofia, pospiesznie przechodząc przez salon) miała na sobie podarowany jej przez panią szlafrok, różowe pantofelki z wielkimi pomponami, a na głowie lokówki. Jej twarz zdawała się płonąć od różu. Nucąc fałszowała niemiłosiernie. Odwróciła się w stronę przemykającej Zofii i przykuła ją wzrokiem bynajmniej nie niemiłym, co było nie lada wyczynem, jako że sama jej twarz była wyjątkowo niesympatyczna. (Moja skłonność do dygresji, a być może także nieumiejętność stworzenia plastycznego opisu sprawiają, że nie mogę się powstrzymać od przytoczenia „manichejskiej” refleksji Zofii na ten temat: „Jeśli będziesz o tym kiedyś pisał, Stingo, napisz, że Wilhelmina była jedyną znaną mi piękną kobietą - no, może nie naprawdę piękną, ale efektowną, w taki sposób, jak bywają ulicznice a więc jedyną efektowną kobietą, którą tkwiące w niej zło szpeciło absolutnie. Nie potrafię jej inaczej opisać. Był to rodzaj brzydoty krańcowej. Kiedy patrzyłam na nią, mroziło mi krew w żyłach”.)

- *Guten Morgen* - wyszeptala Zofia ruszając dalej. Ale Wilhelmina zatrzymała ją ostrym: „Czekaj!”. Niemcy mówią zazwyczaj głośno, ale to zabrzmiało wręcz jak okrzyk.

Zofia odwróciła się w jej stronę. Tak się dziwnie złożyło, że choć widywały się często, nigdy dotąd z sobą nie rozmawiały. Pomimo niegroźnego w tej chwili wyglądu Wilhelmina budziła lęk; Zofia czuła, jak krew pulsuje jej w przegubach, zaschło jej raptownie w ustach. „*Nur nicht aus Liebe weinen*” - zawodził płaczliwie wśród wzmocnionych trzasków porysowanej płyty głos śpiewaczki, niosąc się echem po całym pokoju. Migotliwe mgławice kurzu kłębiły się w smugach porannego słońca w wielkim salonie zapchanym szafami i biurkami, połączanymi sofami, komodami i krzesłami. To już nawet nie muzeum - pomyślała Zofia - to monstrualny skład meblowy. Nagle poczuła, że salon cuchnie środkami dezynfekcyjnymi, tak samo jak jej pasiak. Gospodyni była jakoś dziwnie natrętna.

- Chcę ci coś dać - zaszczebiotała z uśmiechem, przebierając palcami w bieliźnie. Stos delikatnych jak mgielka i świeżo wypranych jedwabnych majtek leżał na marmurowym blacie komody intarsjowanym barwionym drewnem i ozdobionym spiralnymi ornamentami z brązu; ta ogromna, ciężka landara rzucałaby się w oczy nawet w Wersalu,

skąd zresztą mogła być skradziona. - Broniek przyniósł to wczoraj wieczorem prosto z pralni - ciągnęła swoim przenikliwym i śpiewnym głosem.

- *Frau* Hoss lubi je rozdawać więźniarkom. Wiem, że nie dostajesz bielizny, a Lotte narzekała, że te pasiaki okropnie drapią w tyłek. - Zofia wypuściła z płuc powietrze. Przez głowę przemknęła jej jak ptak myśl, w której nie było odrobiny żalu, żadnego szoku, nic sensacyjnego: to wszystko pochodzi od zamordowanych Żydów. - Są czyściutkie. Niektóre z cudownego, czystego jedwabiu. Nie widziałam czegoś podobnego od początku wojny. Jaki nosisz rozmiar? Założę się, że nawet nie wiesz.

- Oczy zabłyśły jej lubieżnie.

Cały ten nieoczekiwany przypływ łaskawej dobroczynności był zbyt nagły, by Zofia mogła pojąć od razu jego istotny sens, ale po chwili domyśliła się i wpadła w panikę - zaniepokojona w równym stopniu gwałtownością, z jaką Wilhelmina po prostu rzuciła się na nią jak na zdobycz (bo teraz zrozumiała, że to właśnie ma miejsce), czyhając jak tarantula, aż Zofia wynurzy się z piwnicy, co samym niespodziewanym aktem dość groteskowej szczodroblewości.

- Czy ten materiał nie drapie cię w pupę? - usłyszała pytanie Wilhelminy zadane przyciszonym głosem, którego lekkie drżenie przydawało wszystkiemu więcej podtekstów i zalotności niż jej sugestywne spojrzenie czy słowa, jakie obudziły czujność Zofii: Założę się, że nawet nie wiesz.

- Tak... - powiedziała Zofia okropnie zmieszana. - Nie! Nie wiem.

- Chodź - mruknęła Wilhelmina skinąwszy w stronę alkowy. Była to ciemnawa nisza ukryta za fortepianem Pleyela. - Chodź, przymierz. - Zofia posłusznie ruszyła w stronę wnęki i poczuła, że palce Wilhelminy dotykają lekko brzegu jej pasiaka. - Bardzo mnie zainteresowałaś. Słyszałam, jak rozmawiasz z komendantem. Mówisz cudownie po niemiecku, jak prawdziwa Niemka. Komendant twierdzi, że jesteś Polką, ale ja nie wierzę, ot co! Jesteś zbyt ładna jak na Polkę. - Potok z lekka gorączkowych słów płynął nieprzerwanie, kiedy prowadziła Zofię ku wnęce wypełnionej złowieszczym mrokiem. - Wszystkie Polki tutaj są takie pospolite i prostackie, takie klocowate i tandetne. Ale ty - ty chyba jesteś Szwedką, prawda? Albo masz w sobie szwedzką krew. Wyglądasz na Szwedkę, a słyszałam, że w północnej Polsce jest dużo Szwedów z pochodzenia. Nikt nas tu nie widzi, więc możemy przymierzyć parę majteczek. I twoja śliczna pupka pozostanie biała i delikatna.

Do tego momentu, żywiąc jakąś beznadziejną nadzieję, Zofia próbowała wmówić sobie, że kobiece zaloty mogą być czymś niewinnym, ale teraz, z bliska, oznaki nienasyconej żądzy najpierw przyspieszony oddech, a potem widok intensywnego różu pokrywającego jak

ognista wysypka zwierzęco urodziwą twarz tej na pół walkirii, na pół rynsztokowej dziwki - nie pozostawiały wątpliwości co do jej zamiarów. Jakże prymitywnym chwytem była ta przynęta w postaci jedwabnych majtek! W paroksyzmie osobliwego rozbawienia Zofii przemknęło przez myśl, że w tym patologicznie uporządkowanym i wyregulowanym domostwie nieszczęsna kobieta mogła sobie pozwolić jedynie na - by tak rzec - seks w biegu, na stojąco, w niszy za olbrzymim fortepianem, w ciągu tych niewielu przelotnych, bezcennych i niezaplanowanych chwil po śniadaniu, kiedy dzieci były w garnizonowej szkole, a codzienny kierat jeszcze się nie zaczął. Cała reszta dnia, aż do ostatniego uderzenia zegara, była - *voilà!* - desperackim polowaniem na okazję do zasmakowania pod dachem wyregulowanego, esesmańskiego domu zakazanego owocu safickiej miłości.

- *Schnell, schnell, meine Susse!* - szeptała Wilhelmina coraz bardziej natarczywie. - Podnieś troszkę ten fartuch, milutka... no nie, wyżej! - Olbrzymka naparła na nią i Zofia poczuła, jak tonie w masie różowej flaneli, różu policzków i w rudej, woniejącej francuskimi perfumami chmurze farbowanych henną włosów. Wilhelmina działała w jakimś obłąkańczym szale. Przez sekundę czy dwie jej twarde i lepki jęzor wilczycy omiatał ucho Zofii, a dłonie gwałtownie miętoszyły piersi, potem złapała ją męskim chwytem za pośladki, po czym odsunęła się z wyrazem takiej żądz na twarzy, że wyglądało to na krańcową udrękę, opadła ciężko na kolana i objąwszy ciasno ramionami biodra przystąpiła do właściwej akcji. *Nur nicht aus Liebe weinen...*

- Moje szwedzkie kociątko... moja śliczna... - bełkotała. - Och, *bitte...* wyżej!

Podjąwszy chwilę wcześniej pewną decyzję, Zofia - w stanie neutralizującej odraży, desperackiej autohipnozy, w jaki świadomie się wprawiała, wiedząc, że jest bezradna jak zduszona ćma - nie opierała się ani nie protestowała; z uległością pozwoliła rozchylić sobie uda i poczuła, że brutalny pysk, a potem twarde jak pocisk czubek języka wdziera się tam, gdzie - uświadomiła to sobie z mętną satysfakcją - panuje nieubłagane suchość, tak zapiekła i pozbawiona jakichkolwiek soków jak piaski pustyni. Kołysała się lekko na piętach i leniwie, swobodnie wsparłszy się pod boki skoncentrowała całą uwagę na obserwowaniu Wilhelminy, która teraz onanizowała się jak szalona, przy czym płomiennoruda, zaondulowana miotła jej włosów chwiała się jak wielki strzępiasty mak. Nagle w drugim końcu ogromnego salonu rozległ się jakiś łoskot, drzwi otworzyły się raptownie i głos Hossa zawołał:

- Wilhelmina! Gdzie jesteś? *Frau* Hoss potrzebuje cię w sypialni. - Komendant, który powinien być teraz w gabinecie na poddaszu, odstąpił na krótko od rutynowego rozkładu swych zajęć; strach wywołany tam w dole jego nieoczekiwanym nadejściem udzielił się natychmiast Zofii - zdawało jej się, że nagły, spazmatyczny i bolesny uścisk Wilhelminy

zwalali je obie na ziemię. Język i głowa wycofały się. Wstrząśnięta adoratorka zastygła na moment w bezruchu jak sparaliżowana, z twarzą zeszytywniałą z przerażenia. Potem nastąpiła błogosławiona ulga. Hoss zawołał jeszcze raz, odczekał chwilę, zaklął pod nosem i wyszedł szybkim krokiem, zmierzając w stronę schodów. Wilhelmina puściła Zofię i osunęła się bezwładnie w mrok jak szmaciana lalka.

Dopiero w chwilę później, kiedy Zofia wchodziła na poddasze, nastąpiła reakcja: nogi ugięły się pod nią tak, że musiała usiąść. Rozstroiła ją nie sama napaść (nie była to dla niej nowość: wkrótce po jej przybyciu do obozu omal nie została zgwałcona przez jedną ze strażniczek) czy rozpaczliwe wysiłki Wilhelminy usiłującej zażegnać niebezpieczeństwo po wyjściu Hossa (- Nie wolno ci o tym pisać komendantowi - warknęła, a potem, zanim wymknęła się z pokoju, powtórzyła to błagalnie jeszcze raz, zdjeta nikczemnym strachem. - Zabiłby nas obie!). Przez moment Zofii zaświtało w głowie, że ta kompromitująca sytuacja daje jej coś w rodzaju przewagi nad zarządzającą. Chyba że... Chyba że (i ta myśl raziła ją jak grom, kiedy siedziała drżąc na schodach) skazana za fałszerstwo oszustka, która miała tu tak wielką władzę, wykorzysta ów moment udaremnionych zapędów erotycznych, żeby odegrać się na Zofii. Chcąc pokonać swą frustrację, obróci żądę miłosną w żądę zemsty i pobiegnie do komendanta z jakąś bajeczką (na przykład, że to ona, Zofia, chciała ją uwieść) i w ten sposób zniszczy doszczętnie i tak kruchą konstrukcję jej przyszłego losu. Wiedząc, jaką odrazę żywił Hoss wobec homoseksualizmu, mogła się spodziewać, co nastąpi, jeśli Wilhelmina sprokuruje taki skandal. Poczwała nagle - jak czuli to wszyscy inni współwięźniowie duszący się w tym przesiąkniętym strachem przedsionku piekła - ukłucie upiornej igły wstrzykującej śmierć w samo serce.

Przycupnięta na schodach, pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. Zdawało jej się, że nie zniesie dłużej napięcia wywołanego natłokiem myśli kłębiących jej się w głowie. Czy po incydencie z Wilhelminą jej sytuacja była lepsza, czy też groziło jej większe niebezpieczeństwo? Nie wiadomo. Dźwięk obozowej syreny przenikliwy, harmoniczny, utrzymany mniej więcej w tonacji *bmoll* i przywodzący jej zawsze na myśl jakiś zniekształcony, przesycony chorobliwym smutkiem i nieczysty akord z *Tann - hausera* - przeszył powietrze poranka obwieszczając ósmą. Nigdy dotychczas się nie spóźniła, ale teraz zanosilo się na to i myśl spóźnieniu, o czekającym Hossie, który odmierzał czas w tysięcznych sekundach, napęliła ją grozą. Zerwała się i ruszyła w górę po schodach, rozgorączkowana i wytrącona z równowagi. Zbyt wiele spraw naraz zwały się na nią. Zbyt wiele myśli do uporządkowania, zbyt wiele następujących po sobie wstrząsów lęków. Wiedziała, że jeśli nie weźmie się w garść, jeśli się nie opanuje całym wysiłkiem woli, padnie

jak kukła, która przez jakiś czas podryguje na sznurkach w tańcu, a potem, porzucona przez swego pana, zamienia się w łachman bez życia. Lekki, pulsujący ból kości łonowej przypominał jej o bodącej głowie Wilhelminy.

Zdyszana dotarła do półpiętra poniżej poddasza, skąd raz jeszcze można było zobaczyć przez uchylone okienko jałowy plac musztry opadający w stronę melancholijnej grupy topól, za którymi stał długi, szary sznur wagonów towarowych, pokrytych pyłem z pól Serbii i węgierskich równin. Od czasu spotkania z Wilhelminą strażnicy zdążyli odsunąć drzwi i setki nowych podróżnych - skazańców z Grecji - kłębiły się na rampie. Mimo pośpiechu Zofia wbrew woli musiała się zatrzymać i popatrzeć przez moment, powodowana w równym stopniu chorobliwą fascynacją, co grozą. Topole i horda esesmanów zasłaniały widok. Nie widziała wyraźnie twarzy greckich Żydów. Trudno też było dojrzeć ich ubrania; przeważała matowa szarzysta. Ale na rampie błyskały i migały pojedyncze różnokolorowe plamy: zieleń, błękit i czerwień, tu i ówdzie zawirowanie lub wykwit jaskrawych, śródziemnomorskich barw, których widok przeszywał serce Zofii dojmującą tęsknotą za tym krajem, znanym jej tylko z książek i wyobrażeń. Natychmiast przypomniał się jej dziecienny wierszyk zapamiętany ze szkoły przyklasztornej i chuda siostra Barbara deklamująca go komicznie chropowatą, słowiańską francuszczyzną:

Oque les îles de la Grèce sont belles!

Ocontempler la mer à l'ombre d'un haut figuier et écouter tout autour les cris des hirondelles voltigeant dans l'azur parmi les oliviers!

Pomyślała sobie, że dawno już przywykła do tej woni, a przynajmniej nauczyła się ją znosić. Ale dziś po raz pierwszy bijący w nozdrza słodkawy, ohydny swąd trawionych ogniem ciał tak ostro i natrętnie skojarzył się jej z rzezią, tak gwałtownie zaatakował zmysły, że zmaćcił jej wzrok: tłum na odległej rampie przypominający przez mgnienie oka jakiś oglądany z daleka ludowy festyn - rozpląnął się i znikł. Czując narastającą zgrozę i mdłości przytknęła odruchowo palce do warg.

...la mer à l'ombre d'un haut figuier...

Uświadomiła sobie nagle, skąd Bronek wziął owoce, i jednocześnie półpłynna, kwaśna masa podeszła falą do gardła i chlusnęła na podłogę pomiędzy jej stopy. Z jękiem naparła głową na ścianę. Długo stała przy oknie wstrząsana torsjami. Potem przestąpiła na uginających się, osłabłych nogach kałużę wymiotów i osunęła się na posadzkę; tam klęcząc, wsparta na rękach, skręcała się w męce, rozdierana uczuciem obcości i zagubienia, jakiego wcześniej nie doznała.

Nigdy nie zapomnę, co mi powiedziała: uprzytomniła sobie, że nie pamięta własnego

imienia. „Boże, p o m ó ż!” - zawołała. Jeszcze przez chwilę klęczała tak, wstrząsana dreszczami, jakby dosięgną! jej arktyczny chłód.

Z pobliskiej sypialni Emmi, księżycogłowej córki Hossa, zegar obwieścił godzinę ośmioma idiotycznymi wrzaskami kukułki. Późni się co najmniej pięć minut - umysł Zofii zarejestrował to z wielkim zainteresowaniem i osobliwą satysfakcją. Wyprostowała się z wolna i zaczęła wstępować po schodach prowadzących do położonego nieco poniżej poddasza przedpokoju, którego jedyną ozdobę stanowiły oprawione w ramki zdjęcia Goebbelsa i Himmlera. Wreszcie dotarła do uchylonych drzwi gabinetu, opatrzonego świętym mottem bractwa wyrytym na poprzecznej belce futryny: „Mój honor to moja lojalność”; czekał za nimi Hoss w swym orlim gnieździe, pod portretem swojego Pana i Zbawcy, czekał w tej pustelni tak idealnie wybielonej wapnem, tak niepokalanie czystej, że gdy Zofia weszła tam słaniając się na nogach, odniosła wrażenie, że w jasnym świetle jesiennego poranka same ściany emanują oślepiającym, niemal świętym blaskiem.

- *Guten Morgen, Herr Kommandant* - powiedziała.

Przez cały dzień Zofia nie mogła uwolnić się od rozmyślań nad niepokojącymi nowinami Bronka o przeniesieniu Hossa do Berlina. Oznaczało to, że jeśli chce osiągnąć to, co zaplanowała, musi działać szybko. Zdecydowała zatem po południu, że pora zaryzykować, i modliła się w duchu o spokój, o niezbędną zimną krew. Kiedy czekała na powrót Hossa do gabinetu - czując, że jej emocje i wzburzenie wywołane krótkim fragmentem *Stworzenia* Haydna opadły - odwagi dodawały jej interesujące zmiany w zachowaniu komendanta. Najpierw ten zrelaksowany sposób bycia, potem dość niezręczna, ale szczerą próbą nawiązania rozmowy, po czym z kolei wymowne dotknięcie jej ramienia (a może przywiązywała do tego zbyt wielką wagę?), kiedy obserwowali araba - wszystko to odbierała jako pierwsze rysy na nieprzeniknionej masce.

No i jeszcze to dyktowanie listu do Himmlera o stanie transportów Żydów greckich. Nigdy dotychczas nie przepisywała żadnej korespondencji, która nie wiązałaby się z polskimi sprawami czy polskim językiem; oficjalne pisma do Berlina należały tradycyjnie do kompetencji Scharfiihrera o twarzy pokerzysty, w regularnych odstępach czasu wchodzącego z łomotem na górę, by wystukać listy do rozmaitych szefów SS, inżynierów i prokonsulów. Teraz, po fackie, ów list do Himmlera dawał jej trochę do myślenia. Czyż samo to, że wtajemniczył ją w tak drażliwą sprawę, nie świadczyło o... no właśnie, o czym? W każdym razie z pewnością o tym, że - jakiegokolwiek były tego powody - dopuścił ją do poufałości, o jakiej niewielu tylko więźniów, nawet o tak uprzywilejowanej pozycji jak ona, mogło marzyć. Umacniała się w przekonaniu, że nim dzień się skończy, zdoła dotrzeć do niego ze swoją

sprawą. Czuła, że nie będzie musiała nawet robić użytku z broszury („jaki ojciec, taka córka”) ukrytej w bucie od czasu, gdy opuszczała Warszawę.

Wpadł z impetem do gabinetu, nie zauważając tego, co, jak się obawiała, mogło wytrącić go z równowagi zaczerwienionych, zapłakanych oczu. Usłyszała dochodzący z dołu, rytmiczny łomot *Polki Baryleczki*. Hoss trzymał w dłoni list, najwidoczniej doręczony mu przez adiutanta. Twarz komendanta płonęła gniewem, na wystrzyżonej do skóry skroni pulsowała podobna do robaka żyłka.

- Wiedzą, przekłęci, że należy pisać po niemiecku. I ciągle łamią przepisy! Niech ich diabli wezmą, tych polskich półgłówków! - Podał jej list: - Co tam jest napisane?

- „Wielce Szanowny Panie Komendancie...” - zaczęła. Tłumacząc, pospiesznie wyjaśniła, że list (utrzymany w charakterystycznym, unizonym tonie) napisał miejscowy dostawca żwiru do obozowej cementowni. Donosił, że nie będzie mógł dostarczyć żądanych ilości żwiru w wymaganym czasie i błagał komendanta o przesunięcie terminu, w związku z wyjątkowym zawilgoceniem gruntu wokół kamieniołomu, które nie tylko spowodowało kilka zawałów, ale także utrudniło i zahamowało pracę maszyn. „A zatem, jeśli Szanowny Pan Komendant - kontynuowała Zofia łaskawie się zgodzi, plan dostaw ulegnie z konieczności następującej zmianie...” Tu Hoss przerwał jej, okropnie zniecierpliwiony, przypalił kolejnego papierosa od poprzedniego i zanosząc się ochryplym kaszlem, wyrzucił z siebie chrapliwe: „Dość!” List najwidoczniej wytrącił komendanta z równowagi. Wydał wargi sznurując je i ściągając jakby w parodii napięcia i mruknął: „*Verwünscht!*” a potem kazał Zofii sporządzić tłumaczenie listu dla Hauptsturmführera SS Weitzmanna, szefa obozowej sekcji budowlanej, i dopisać na końcu: „Budowniczy Weitzmann: zbudować stos pod tym nygusem i wykurzyć go”.

Dokładnie w chwili, gdy wypowiedział ostatnie słowa, dopadł go potworny ból głowy, jakby piorun ściągnięty z listu dostawcy żwiru uderzył nagle w tę kryptę czy labirynt pod czaszką, gdzie migrena wypuszcza swe trujące jady. Pot wystąpił mu na czoło; przycisnął rękę do skroni. Zbielałe palce trzepotały w bezradnym tańcu, a ściągnięte wargi obnażyły rzędy zębów zgrzytających w ataku bólu. Zofia była już świadkiem podobnego, lecz znacznie łagodniejszego paroksyzmu kilka dni temu; obecny nawrót migreny osaczył Hossa z całą mocą. Aż zasyczał w męce.

- Moje tabletki - wykrztusił. - Na miłość boską, gdzie są moje tabletki!

Zofia podeszła pospiesznie do krzesła obok kozetki, na którym trzymał flakonik z ergotaminą zażywaną zwykle podczas podobnych ataków. Nalała do szklanki wody z karafki i podała ją komendantowi razem z dwiema tabletkami. Przełknął lek i łypnął dziko oczami w

jej stronę, jakby chciał samym spojrzeniem wyrazić ogrom swej męczarni. Potem jęknął i z dłonią przyciśniętą do czoła opadł na kozetkę. Dłuższy czas leżał na wznak, wpatrując się w biały sufit.

- Czy mam wezwać lekarza? - zapytała Zofia. - Zdaje się, że mówił ostatnio...

- Bądź cicho - uciął. - Nie teraz. Nie mogę tego znieść w jego głosie pojawił się zalękniony, płaczliwy ton skrzywdzonego szczenięcia.

Podczas ostatniego ataku, pięć czy sześć dni wcześniej, kazał jej szybko zejść do piwnicy, jak gdyby nie chciał, by ktokolwiek, choćby więzień, świadkował jego nieszczęściu. Teraz jednak przewrócił się na bok i leżał sztywny, nieruchomy; tylko pierś falowała mu pod koszulą. Nie dawał Zofii żadnych znaków, wróciła więc do pracy, do przepisywania na niemieckiej maszynie wolnego przekładu listu dostawcy. Uświadomiła sobie przy tym bez wstrząsu i nawet z pewną obojętnością, że utyskiwania dostawcy żwiru (czyżby to ta jedna drobna przykrość - zastanawiała się leniwie - wyzwoliła straszliwą migrenę komendanta?) oznaczały kolejną, istotną przerwę w budowie nowego krematorium w Brzezince. Wstrzymanie czy opóźnienie prac wynikłe z niezdolności Hössa do zadowalającego skoordynowania wszystkich elementów zaopatrzenia, projektowania i prac nad nowym gazowokrematoryjnym kompleksem, który miał być gotowy dwa miesiące temu - było cierniem w sercu szefa, oczywistą przyczyną jego nerwowości i niepokoju, jakie obserwowała od pewnego czasu. To właśnie - jak podejrzewała przyprawiało go o bóle głowy; było też możliwe, że ta porażka opóźnienie w budowie krematorium - wiązała się w jakiś sposób z nagłym przeniesieniem do Berlina. Zastanawiała się nad tym wystukując ostatnią linijkę listu, gdy odezwał się znienacka; aż podskoczyła przestraszona. Kiedy zwróciła ku niemu wzrok, uświadomiła sobie z mieszanymi uczuciami nadziei i obawy, że prawdopodobnie przyglądał się jej od dłuższego czasu. Skinął na nią, więc podniosła się z krzesła i podeszła do kozetki, ale ponieważ nie wskazał żadnym gestem, by usiadła, czekała stojąc.

- Już lepiej - powiedział zduszonym głosem. - Ta ergotamina czyni cuda. Nie tylko uśmierza ból, ale zmniejsza mdłości.

- Cieszę się, *mein Kommandant* - powiedziała. Czowała, że drżą jej kolana i jakoś nie mogła się odważyć, by spojrzeć mu w oczy.

Utkwiła wzrok w najbardziej widocznym i przykuwającym uwagę obiekcie - portrecie heroicznego Fiihrera zakutego w lśniącą zbroję, spoglądającego ufnie i spokojnie spod opadającego „zábka” ku Walhalli i w tysiącletnią, pewną przyszłość. Zdawał się niewymownie dobrotliwy. Przypomniawszy sobie nagle figi, które zwymiotowała przed godziną na schodach, Zofia poczuła bolesne ukłucie głodu, coraz większą słabość i drzenie

nóg.

Hoss nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Nie mogła na niego spojrzeć. Czy teraz, milcząc, mierzył ją wzrokiem, czy ją oceniał? *Będzie śmiechu, śmiechu beczka* - dobiegał z dołu chóralny wrzask, po czym pseudopolka zacięła się i akordeon zaczął powtarzać w kółko swój stłumiony, niemrawy, zawieszony zaśpiew.

- Jak tu trafiłaś? - przemówił w końcu Hoss.

- Z łapanki albo, jak mówią Niemcy, z *Zusammentreiben* zaczęła wyrzucać z siebie. - W Warszawie. To było wczesną wiosną. Przyjechałam pociągiem do Warszawy i gestapo urządziło łapankę. Znaleźli u mnie szmuglowane mięso, kawałek szynki...

- Nie, nie - przerwał jej. - Nie jak trafiłaś do obozu. Jak wydostałaś się z kobiecych baraków? To znaczy, jak się znalazłaś w zespole stenotypistek? Wiele spośród maszynistek to kobiety spoza obozu. Polki. Tylko nieliczne więźniarki mają szczęście dostać tę pracę. Możesz usiąść.

- O tak, miałam wielkie szczęście - powiedziała siadając. Wyczuła, że napięcie w jej głosie zelżało, i spojrzała na niego. Zauważyła, że wciąż poci się okropnie. Leżał teraz na wznak w plamie słonecznego światła, z półprzymkniętymi oczami, sztywny i cały mokry. W widoku komendanta skąpanego we własnym pocie była jakaś dziwna bezradność. Jego koszula koloru khaki przesiąknęła na wskroś, tysiące drobnych kropelek perliły się na twarzy. Ale nie cierpiał już tak strasznie, chociaż wcześniejszy ból zdawał się przepajać całą jego istotę - nawet jasne, wilgotne spirale włosów na brzuchu, wyzierające pomiędzy guzikami spod koszuli, szyję, białe włoski na przegubach rąk.

- Miałam naprawdę wielkie szczęście. Myślę, że to było zrządzenie losu.

- Jak to zrządzenie losu? - zapytał Hoss po chwili milczenia.

Błyskawicznie zdecydowała się zaryzykować, wykorzystać sposobność, jaką stworzył, bez względu na to, jak absurdalnie dwuznacznie i szaleńczo mogły zabrzmieć jej słowa. Po wszystkich tych miesiącach, po chwilowym awansie, jaki ją spotkał, bardziej mogło jej zaszkodzić konsekwentne udawanie tępej, milczącej niewolnicy niż okazanie pewności siebie, nawet jeśli Hoss miałby to uznać za bezczelność. A więc jazda z tym! pomyślała. I zaczęła mówić, starając się przy tym unikać wszelkiej emfazy i zabarwić swój głos tonem skargi osoby niesłusznie skrzywdzonej.

I Los zetknął mnie z panem - ciągnęła, zdając sobie sprawę z melodramatyzmu tych słów - bo wiedziałam, że tylko pan potrafi zrozumieć. tym razem się nie odezwał. Na dole *Liederkrantz* tyrolskich jodlerów zastąpił polkę. Milczenie Hossa zaniepokoiło Zofię; nagle poczuła, że obserwuje ją badawczo, z najwyższą podejrzliwością. Może popełniała

właśnie straszliwy błąd. Ogarnęły ją mdłości. Wiedziała od Bronka (i zauważyła to sama), że Hoss nienawidzi Polaków. Dlaczego na Boga uroiła sobie, że ona będzie wyjątkiem? Nagrzany pokój, odizolowany przez zamknięte okna od odoru spalenizny z Brzezinki, wypełniała charakterystyczna dla strychów, stęchła woń gipsu, ceglanego pyłu i zbutwiałych desek. Po raz pierwszy naprawdę poczuła ten zapach; był jak grzybica nozdrzy. W niezręcznej ciszy, jaka zapanowała w gabinecie, słyszała brzęk nurkujących, uwięzionych much, któremu towarzyszyły cichutkie pacnięcia owadów o sufit. Łoskot przetaczanych wagonów był niewyraźny, przytłumiony, prawie niesłyszalny.

- Zrozumieć co? - zapytał w końcu nieobecnym głosem, pozostawiając jej jeszcze jedną niewielką szansę, by mogła zarzucić haczyk.

- Zrozumieć, że zaszła pomyłka. Ze jestem niewinna. To znaczy nie popełniłam żadnego poważnego przestępstwa. I że powinnam być natychmiast zwolniona.

A więc stało się. Powiedziała. Poszło szybko i gładko; w gorączkowym ferworze, zaskakującym nawet dla niej samej, wyrzuciła z siebie słowa, które przepowiadała sobie bez przerwy, całymi dniami, zastanawiając się, czy starczy jej odwagi, aby je wypowiedzieć. Serce waliło jej jak oszalałe, aż poczuła ból rozsadzający klatkę piersiową, ale jednocześnie rozpierała ją duma, że potrafiła tak wspaniale zapanować nad swoim głosem. Pewności siebie dodawał jej swobodny, uroczy wiedeński akcent. Ten mały triumf ośmielił ją. - Wiem, że może się to panu wydać głupie, *mein Kommandant*. Przyznaję, że na pozór brzmi to nieprzekonująco. Ale chyba zgodzi się pan ze mną, że w takim miejscu jak to, w tak ogromnym obozie, przy takiej masie ludzi, mogą zdarzyć się pomyłki, poważne błędy. - Zamilkła na chwilę, wsłuchując się w bicie własnego serca; zastanawiała się, czy i on je słyszy, ale jednocześnie świadoma była, że głos jeszcze jej się nie załamał. - Panie komendancie - podjęła, wprowadzając błagalną nutę - mam nadzieję, że wierzy mi pan, kiedy twierdzę, że moje uwięzienie jest straszliwą pomyłką. Jak pan wie, jestem Polką szmuglując żywność rzeczywiście dopuściłam się przestępstwa. Ale przecież sam pan widzi, jakie to drobne wykroczenie próbowałam tylko pomóc bardzo chorej matce. Niechże pan się postara zrozumieć, że było to niczym wobec mojej postawy w przeszłości, wobec tradycji, w jakiej mnie wychowano.

- Zawahała się, wzburzona. Czy nie za bardzo się zapędziła? Czy powinna przerwać i pozwolić mu na jego ruch, czy też mówić dalej? Zdecydowała błyskawicznie: do sedna, streszczaj się, ale wal dalej. - Widzi pan, komendancie, sprawa wygląda tak: pochodzę z Krakowa, moja rodzina to żarliwi germanofile, należący od lat do awangardy niezliczonych entuzjastów Trzeciej Rzeszy, entuzjastów narodowego socjalizmu i idei głoszonych przez

Fuhrera. Mój ojciec był do szpiku kości *Judenfeindlich*...

Hoss przerwał jej z cichym jękiem.

- *Judenfeindlich* - syknął znudzonym głosem. - *Judenfeindlich*. Kiedy wreszcie skończy się to gadanie o antysemityzmie? Chryste, jak ja mam tego dość! - westchnął ciężko. - Żydzi. Żydzi! Czy to się nigdy nie skończy?

Jego zniecierpliwienie kazało się Zofii wycofać; uświadomiła sobie, że jej taktyka nieco zawiodła. Za bardzo się zagalopowała.

Proces myślowy Hössa, człowieka nieglupiego, cechowała grun - towność i przyziemna jednostronność przypominająca węszenie mrówkojada, z rzadka zwracającego uwagę na sprawy uboczne. Kiedy przed chwilą zapytał, jak się tu znalazła, i sprecyzował pytanie, chodziło mu o konkretną odpowiedź i nie chciał wysłuchiwać gadaniny o losie, pomyłkach sprawiedliwości i jakimś tam *Judenfeindhch*. Jego słowa, które spadły na nią jak ostry podmuch północnego wiatru, skłoniły ją do zmiany taktyki. Rób to, czego żąda - pomyślała - mów mu tylko absolutną prawdę. Streszczaj się, ale mów prawdę. Zrozumie bez trudu, jeśli tylko zechce.

- Może najpierw wytłumaczę, jak dostałam pracę stenotypistki. Wszystko zaczęło się od konfliktu, jaki miałam z *Vertreterin* z kobiecego baraku, kiedy przyjechałam tu w kwietniu. Ona była zastępczynią blokowej. Mówiąc szczerze bałam się jej, bo... zawahała się, niezdecydowana, czy wnikać w seksualne podłoże konfliktu, co - jak wiedziała - zdradził już sam ton jej głosu. Ale Höss, który wpatrywał się w nią teraz szeroko otwartymi oczami, domyślił się, co chciała powiedzieć.

i Na pewno była lesbijką - wtrącił. W jego cierpkiej uwadze dało się wyczuć znużenie, ale także i irytację. - Pewnie jedna z tych dziwek, tych świńskich szumowin z hamburskich slumsów, które wpakowali do Ravensbrück i które potem centrala wyłowiła przysłała tutaj w błędnym przekonaniu, że zaprowadzą wśród was, współwięźniarek, dyscyplinę. Co za farsa! - zamilkł na chwilę. - Była lesbijką, tak? I przystawiała się do ciebie, zgadłem? Nie ma się co dziwić. Jesteś piękną, młodą kobietą. - Znów urwał, jakby przetrwał tę ostatnią uwagę. (Czyżby to coś znaczyło?) - Gardzę homoseksualistami - ciągnął. - Już samo wyobrażenie tych... tych zwierzęcych praktyk przyprawia mnie omdłości. Nie zniósłbym nawet ich widoku, obojętne, z udziałem mężczyzny czy kobiety. Ale to coś, z czym trzeba się liczyć, kiedy ludzie znajdują się w odosobnieniu. - Zofia przymknęła oczy. Jak scena z wyświetlanej w przyspieszonym tempie burleski przemknął jej pod powiekami groteskowy i zwariowany poranny incydent: szopa ognistorudych włosów Wilhelminy odskakująca od jej łona, wygłodniałe, rozchylone i wilgotne wargi, zastygłe w kształcie

idealnego „O”, oczy błyszczące z przerażenia. Patrząc na wykrzywioną odrazą twarz Hossa i myśląc o gospodyni, ledwie powstrzymywała narastający w mej krzyk czy też wybuch śmiechu. - Ohyda! - dodał komendant, wykrzywiając usta, jakby przełykał coś obrzydliwego.

- To nie było tylko przystawianie, panie komendancie. - Czuła, że się rumieni. - Ona próbowała mnie zgwałcić. - Zofia nie pamiętała, by kiedykolwiek wymówiła słowo „gwałt” w obecności mężczyzny; zaczerwieniła się jeszcze bardziej, po czym rumieniec zaczął blednąć. - To było wstrętne. Nie miałam pojęcia, że kobieta... - zawahała się - że kobieta może pożądać drugiej kobiety tak... tak gwałtownie. Ale dowiedziałam się.

- W odosobnieniu ludzie zachowują się jakoś inaczej, dziwnie rzekł. - Powiedz mi coś o tym. - Nim jednak zdążyła otworzyć usta, sięgnął do kieszeni kurtki przewieszanej przez poręcz krzesła stojącego przy kozetce i wyjął tabliczkę owiniętą w staniol czekolady. - Dziwne - powiedział drewnianym, roztargnionym głosem. - Dziwne te bóle głowy. Najpierw wywołują okropne mdłości. Potem, kiedy lekarstwo zaczyna działać, czuję wielkie łaknienie. - Odwinął czekoladę i wyciągnął do Zofii rękę z tabliczką. Początkowo niepewna, zaskoczona bo był to pierwszy taki gest z jego strony - odłamała nerwowo kawałek i wetknęła do ust, zdając sobie sprawę z tego, że zdradza się ze swą łapczywością akurat wtedy, kiedy usiłuje stworzyć pozory swobody i opanowania. Mniejsza 7. tym.

Kontynuowała pospiesznie swoją relację, obserwując Hossa pożerającego resztę czekolady. Uświadomiła sobie, że myśl o tak niedawnym ataku na jej piczkę przypuszczonym przez zaufaną gospodynię człowieka, do którego mówiła, pozwala jej przybrać rażny, wręcz rzeński ton.

- Owszem, ta kobieta była prostytutką i lesbijką. Nie wiem, z jakiego regionu Niemiec pochodziła - myślę, że z północy, bo mówiła *Plattdeutsch* - ale była wielka i usiłowała mnie zgwałcić. Od dawna miała na mnie oko. I pewnej nocy podeszła do mnie w latrynie. Początkowo była bardzo miła. Obiecywała mi żywność, mydło, odzież, pieniądze - wszystko, co zechcę.

i Zofia przerwała na chwilę, patrząc Hössowi prosto w fiołkowo - niebieskie oczy, czujne, zafascynowane. - Byłam strasznie głodna, ale - podobnie jak pan - czuję wstręt do homoseksualistów, więc nie było mi trudno się oprzeć, powiedzieć: nie. Próbowałam ją odepchnąć. Wtedy *Vertreterin* wpadła we wściekłość i rzuciła się na mnie. Zaczęłam krzyczeć, błagać ją - przyparła mnie do ściany zaczęła mnie obmacywać - i wtedy weszła blokowa.

Blokowa położyła temu kres. Kazała *Vertreterin* odejść, a mnie zabrała do swojego pokoju na końcu baraku. Ona nie była zła też prostytutka, jak pan to określił, ale raczej

pocziwa. Naprawdę porządna jak na... jak na ten typ kobiety. Usłyszała moje krzyki i zdziwiło ją to, bo w naszym baraku były same Polki z nowego transportu; zapytała, skąd znam tak świetnie niemiecki. Rozmawialiśmy trochę i myślę, że poczuła do mnie sympatię. Nie sądzę, żeby była lesbijką. Pochodziła z Dortmundu. Moja niemieczka ją oczarowała. Napomknęła, że może mi pomóc. Dała mi kubek kawy i odesłała mnie do baraku. Zetknęłam się z nią jeszcze parę razy - chyba mnie polubiła. Parę dni później znów wezwała mnie do siebie i był tam jeden z pańskich podoficerów, Hauptscharführer Günther z biura administracji obozu. Wypytywał mnie o różne kwalifikacje, a kiedy powiedziałam mu, że piszę na maszynie i biegle stenografuję po pokku i po niemiecku, oświadczył, że być może przydam się jako maszynistka. Słyszał, że w biurze brakuje fachowych sił - zwłaszcza ze znajomością języków. Po paru dniach przyszedł i powiedział, że przenoszą mnie. I w ten sposób trafiłam do... - Höss skończył jeść czekoladę, uniósł się na łokciu i wyjął papierosa. - To znaczy zakończyła Zofia - pracowałam w sekcji stenotypistek do momentu, kiedy jakieś dziesięć dni temu powiedziano mi, że zostanę skierowana tutaj, do prac specjalnych. I tak...

- I tak - przerwał jej - i tak znalazłaś się tutaj. - Westchnął głęboko. - Miałas szczęście. - To, co zrobił po chwili, dosłownie ją zelektryzowało. Wyciągnął wolną rękę i z najwyższą delikatnością zdjął jakąś drobinę z jej górnej wargi; był to, jak sobie uświadomiła, okruch czekolady. Trzymał go teraz pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym i przyglądał mu się jakby ze zdziwieniem, po czym z wolna zbliżył poplamione nikotyną palce do warg i wsunął kasztanowobrazową kruszynę do ust. Zamknęła oczy; ta osobliwa i groteskowa komunia tak nią wstrząsnęła, że serce znów zaczęło jej walić jak młotem i zakręciło jej się w głowie.

- Co się stało? - usłyszała jego głos. - Jesteś blada jak papier.

- Nic, *mein Kommandant* - odpowiedziała. - Zasłabłam trochę. To przejdzie. - Nie otwierała oczu.

- W czym z a w i n i ł e m? - Powiedział to, a raczej wykrzyknął tak głośno, że aż się przestraszyła. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że zsunął się z kozetki, wstał gwałtownie i zrobił parę kroków w stronę okna. Pot przykleił mu koszulę do pleców; Zofii zdawało się, że drży na całym ciele. Była okropnie zmieszana - pomyślała, że być może epizod z czekoladą stanowił preludeum do bardziej intymnych działań. Prawdopodobnie tak było; skarżył się jej, jakby znali się od lat. Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Nie mam pojęcia, w czym, ich zdaniem, zawiodłem. Ci z Berlina są niemożliwi! Żądają rzeczy nadludzkich od zwykłego człowieka, który przez trzy lata robił wszystko najlepiej, jak potrafił. To niedorzeczne! Nie wiedzą, co znaczy użerać się z przedsiębiorcami, którzy nie dotrzymują terminów, z

opieszalymi pośrednikami, dostawcami, którzy opóźniają dostawy albo ich w ogóle nie realizują. Nigdy nie mieli do czynienia z tymi idiotami, Polakami! Staralem się, jak mogłem i oto podziękowanie. I jeszcze to udawanie, że mnie awansują! Dają mi kopa w górę, do Oranienbur - ga, żeby tam musiał cierpliwie znosić upokorzenie, przyglądając się, jak mianują na moje miejsce LiebehenschelaLiebehenschela, tego nieznośnego egoistę, z jego dętą reputacją fachowca. Mierzi mnie to wszystko. Odrobiny wdzięczności - w jego głosie więcej było urazy niż prawdziwego gniewu czy oburzenia.

Zofia podniosła się z krzesła i podeszła do niego. Wyczuwała, że oto znów otwiera się maleńka szczelina szansy.

- Przepraszam, panie komendancie - powiedziała - i proszę o wybaczenie, jeśli moja sugestia okaże się mylna. Ale może to jest właśnie dowód uznania. Może rozumieją w pełni pańskie trudności, doceniają pańskie wysiłki i wiedzą, jak wyczerpuje pana ta praca. A poza tym - proszę wybaczyć, ale w ciągu tych paru dni, kiedy tu jestem, zauważyłam, że pracuje pan w ciągłym, ogromnym napięciu, pod nieprawdopodobnym ciśnieniem... - Jakże ostrożna była ta jej przypochlebna troskliwość! Czula, że głos jej cichnie, ale na razie nie spuszczała oczu z jego karku.

- Być może to naprawdę jakaś forma nagrody za całe pańskie... pańskie poświęcenie.

Zamilkła i powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem. Höss patrzył na pole. Kapryśne, zmienne podmuchy wiatru rozwiały na chwilę dym znad Brzezinki; wspaniały biały ogier z rozwianym ogonem i grzywą znów galopował w słońcu wokół ogrodzenia maneżu, wzniesając miniaturową piaskową burzę. Nawet przez zamknięte okno można było usłyszeć głuchy tętent cwałujących kopyt. Komendant wciągnął ze świstem powietrze i zaczął gmerać w kieszeniach, szukając papierosów.

- Chciałbym, żeby było tak, jak mówisz - rzekł - ale wątpię w to. Gdyby przynajmniej zdawali sobie sprawę ze skali, ze złożoności tego wszystkiego! Oni chyba nie mają pojęcia, jak niewiarygodne liczby wchodzi w grę w Akcji Specjalnej. Nieprzebrane tłumy! Ci Żydzi zwożeni nieprzerwanie ze wszystkich krajów Europy, niezliczone tysiące, miliony, jak ławice śledzi w Zatoce Meklemburskiej na wiosnę. Nawet mi się nie śniło, że na świecie jest tylu przedstawicieli *das Erwählte Volk*.

Naród wybrany. Fakt, że użył tego określenia, pozwolił jej nieco rozwinąć inicjatywę, powiększyć szczelinę, do której, była o tym przekonana, zaczęła się z wolna, lecz pewnie wślizgiwać.

- *Das Erwählte Volk* - powtórzyła za nim z nutą pogardy w głosie. - Naród

wybrany, za pozwoleniem, płaci wreszcie cenę za aroganckie wywyższanie się nad resztę ludzkiej rasy, za uzurpację wyłącznego tytułu do zbawienia. Nie wiem doprawdy, jak mogli oczekiwać bezkarności po latach tych wszystkich bluźnierstw wobec świata chrześcijan (groźny obraz ojca zamajaczył jej przed oczyma). - Zawahała się, spłoszona, a potem kontynuowała, preparując kolejne kłamstwo, które pomknęło w podskokach naprzód jak wiór porwany wartkim strumieniem zmyślenia i fałszerstwa. - Nie jestem już chrześcijanką. Tak jak pan, panie komendancie, porzuciłam tę żalostną wiarę, pełną pozorów i uników. A jednak łatwo zrozumieć, dlaczego Żydzi budzą taką nienawiść chrześcijan i ludzi podobnych panu

- **Gottgläubiger**, jak pan powiedział rano - prawych idealistów, walczących o nowy ład w nowym świecie. Żydzi zagrażali temu łaadowi i teraz wreszcie odpokutują za to. I chwala Bogu!

Stojąc do niej tyłem, odpowiedział beznamiętnym głosem:

- Mówisz o tym z dużym wycuciem. Jak na kobietę nieźle się orientujesz w zbrodniach, do jakich zdolni są Żydzi. To ciekawe. Tak niewiele kobiet cokolwiek wie czy rozumie.

- Owszem, ale ja rozumiem, panie komendancie! - odparła. Odwrócił głowę i przyjrzał się jej, po raz pierwszy z prawdziwym zainteresowaniem. - Wiem sporo i mam osobiste doświadczenia...

- Na przykład?

Pochyliła się energicznie - zdając sobie sprawę, że to ryzykowna gra, hazard - i niezdarnie wyłuskała zniszczoną, wyblakłą broszurkę zza podszewki w bucie.

- Proszę! - powiedziała triumfalnie otwierając ją na tytułowej stronie. - Wiem, że to wbrew przepisom, ale zaryzykowałam. Chciałam, żeby pan wiedział, że te parę stroniczek to wszystko, w co wierzę. Pracując dla pana zorientowałam się, że „ostateczne rozwiązanie” to tajemnica. Ale to jest jeden z pierwszych polskich dokumentów proponujących „ostateczne rozwiązanie” problemu żydowskiego. Współpracowałam z ojcem - wspominałam panu onim - przy pisaniu tej broszury. Nie sądzę, by chciał pan to dokładnie przeczytać, mając tyle trosk i nowych problemów. Ale proszę pana gorąco, by przynajmniej wziął pan to pod uwagę... Wiem, że moje kłopoty niewiele dla pana znaczą... ale gdyby pan zechciał rzucić okiem... może zrozumiałby pan, jak wielka niesprawiedliwość mnie spotkała... Mogłabym panu też opowiedzieć o mojej pracy dla Rzeszy, o tym, jak wytropiłam w Warszawie kryjówkę Żydów, żydowskich intelektualistów, których od dawna poszukiwano...

Zaczęła z lekka bełkotać, tracić wątek i to kazało jej przestać. Modliła się, by nie stracić panowania nad sobą. Pocąc się pod wpływem mieszanych emocji nadziei i lęku

uprzytomniła sobie jednocześnie, że udało jej się w końcu zrobić wyłom w jego świadomości, zaistnieć realnie jako istota z krwi i kości w obrębie jego percepcji. Kontakt, jakkolwiek prowizoryczny i chwilowy, został nawiązany: mogła to stwierdzić na podstawie skupionego, badawczego spojrzenia, jakim ją przeszył, kiedy brał z jej rąk broszurę. Półprzytomna, zalotna, odwróciła skromnie wzrok. Przypomniało jej się ni stąd, ni zowąd polskie powiedzonko: włożę mu w tyłek.

- A zatem twierdzisz - powiedział - że jesteś niewinna.

- W jego głosie pobrzmiwała lekka nuta sympatii i to ją ośmieliło.

i Panie komendancie, pozwolę sobie powtórzyć jeszcze raz odpowiedziała pospiesznie. - Przyznaję otwarcie, że jestem winna drobnego wykroczenia, za które się tu dostałam, to znaczy tej historii z kawaleczkiem szynki. Proszę tylko o to, żeby moje wykroczenie rozpatrzyć na tle mojej postawy, nie tylko polskiej zwolenniczki narodowego socjalizmu, ale aktywnej, zaangażowanej bojowniczką w świętej wojnie przeciw Żydom i żydostwu. Można z łatwością sprawdzić autentyczność broszury, którą pan trzyma, *mein Kommandant*, co potwierdzi, że mówię prawdę. Błagam pana - pana, w którego mocy jest okazywać łaskę obdarzać wolnością - by rozpatrzył pan powtórnie moją sprawę w świetle wcześniejszych zasług i pozwolił mi wrócić do Warszawy. To taki drobiazg dla pana, wspaniałego, sprawiedliwego człowieka, w którego mocy jest okazać miłosierdzie.

Lotte mówiła wprawdzie, że Höss jest łasy na pochlebstwa, ale Zofia nie była pewna, czy nie przeholowała, tym bardziej że oczy komendanta zwężyły się i powiedział:

- To ciekawe, ta twoja pasja. Twoje wzburzenie. Dlaczego właściwie nienawidzisz Żydów tak... tak bezgranicznie?

Historyjka wyskoczyła jak diabeł z pudełka, na poczekaniu; Zofia założyła, że jeśli Höss, przy całym swoim pragmatyzmie, docenił jadowitość jej abstrakcyjnego, teoretycznego antysemityzmu, to bardziej prymitywna strona tego samego umysłu zaakceptuje prawdopodobnie jakąś melodramatyczną bajeczkę.

- Ten dokument zawiera filozoficzne motywy, które sformułowaliśmy wspólnie z ojcem na uniwersytecie w Krakowie. Chciałabym podkreślić, że okazywalibyśmy naszą nienawiść do Żydów, nawet gdyby nasza rodzina nie miała z nimi tych straszliwych doświadczeń.

Hoss palił z kamienną twarzą i czekał na dalszy ciąg.

- Powszechnie znana rozwiązłość seksualna Żydów jest jedną z najbardziej odrażających cech tej rasy. Mój ojciec, zanim jeszcze spotkało go nieszczęście, podziwiał Juliusa Streichera za to właśnie, za tak pouczające ukazywanie w zwierciadle satyry owej

degeneracji Żydów. A rodzina nasza miała szczególnie bolesne powody, by podzielać poglądy pana Streichera w tym względzie - zamilkła i utkwiała wzrok w podłódze, jakby rozpamiętując to nieszczęśliwe zdarzenie. - Miałam młodszą siostrę, która chodziła do przyklasztornej szkoły w Krakowie, o jedną klasę niżej ode mnie. Pewnego zimowego wieczoru, jakieś dziesięć lat temu, kiedy przechodziła obok getta, została napadnięta przez Żyda - okazało się później, że był to rzeźnik - który zawlókł ją do zaułka i kilkakrotnie zgwałcił. Przeżyła tę napaść, ale popadła w obłąd. Dwa lata później nieszczęsna dziewczynka popełniła samobójstwo, utopiła się. Ta ohydna zbrodnia raz na zawsze potwierdziła głębię i trafność teorii Juliusa Streichera na temat okrucieństw, do jakich zdolni są Żydzi.

- **Kompletter Unsinn!** - parsknął Hoss. - Wygląda mi to na kompletną bzdurę! Brednie!

Zofia poczuła się jak ktoś, kto wędrując rozświetloną słońcem leśną ścieżką traci nagle grunt pod nogami i wpada do jakiegoś ciemnego dołu. Jaki popełniła błąd? Cichy jęk wyrwał jej się mimo woli z ust.

- Chciałam powiedzieć... - zaczęła.

- Bzdura! - powtórzył Hoss. - Teorie Streichera to absolutne brednie. Mierzi mnie ta pornograficzna tandeta. Tą swoją gadaniną o Żydach i ich seksualnych skłonnościach bardziej zaszkodził Partii, Rzeszy i naszej opinii w świecie niż ktokolwiek inny. Nie ma o tym pojęcia. Każdy, kto zna Żydów, potwierdzi, że w czym jak w czym, ale w sprawach seksualnych są nieśmiali i pełni zahamowań, pozbawieni agresji, patologicznie wręcz skryci. To, co przydarzyło się twojej siostrze, było z pewnością odstępstwem od normy.

- Ale to się stało naprawdę! - obstawała przy swoim kłamstwie, skonsternowana i zaskoczona nieprzewidzianym obrotem sprawy.

- Przysięgam...

i Nie twierdzę, że nie - uciął - ale to był wybryk, aberracja. Żydzi popełniają wiele potwornych zbrodni, ale nie są gwałcicielami. To, co Streicher wypisuje od lat w swojej gazecie, budzi tylko pusty śmiech. Gdyby przedstawił bardziej konsekwentny prawdziwy obraz Żyda, takiego jakim jest on w istocie

- Żyda, który dąży do zmonopolizowania i zdominowania światowej ekonomii, zatruwa moralność i kulturę, próbując za pomocą bolszewizmu i innymi sposobami obalić rządy cywilizacji mógłby odegrać pożyteczną rolę. Ale ta karykatura gudłaja jako diabolicznego rozpustnika z olbrzymim kutasem (potoczne określenie **Schwanz** i gest, jaki wykonał pokazując rękami w powietrzu metrowy organ, przestraszyły ją) to niezasłużony komplement dla żydowskiej męskości. Większość Żydów, jakim miałem okazję się przyjrzeć,

to osobnicy żałośnie nijacy. Bezpłciowi. Mięczaki. *Weichlich*. A ponad wszystko odrażający.

Powołując się na Streichera popełniła głupi błąd taktyczny (wiedziała, że nie ma pojęcia o narodowym socjalizmie, ale nie mogła przecież znać rozmiarów zawiści i animozji, tych wszystkich swarów, wewnętrznych rozgrywek i konfliktów, jakie miały miejsce pomiędzy członkami partii wszelkich rang i szczebli). Teraz jednak nie miało to większego znaczenia: Hoss spowity obłokiem lawendowego dymu czterdziestego już dzisiaj ibara przerwał nagle swą filipikę pod adresem gauleitera Norymbergi, klepnął lekko palcami broszurkę i powiedział coś, co zamieniło jej serce w gorącą kulę ołowiu.

- Ten dokument nic dla mnie nie znaczy. Gdybyś nawet zdołała dowieść niezbitcie, że jesteś współautorką, o niczym to nie świadczy. Tylko o tym, że nienawidzisz Żydów. A to nie robi na mnie wrażenia, jako że podobne uczucie jest bardzo powszechne. - Jego wzrok był zimny i nieobecny, jakby patrzył w jakiś odległy punkt, daleko za jej okutaną chustką, ostrzyżoną głową. - Poza tym zapominasz chyba, że jesteś Polką, a więc wrogiem Rzeszy, który pozostaje wrogiem, nawet jeśli by założyć, że nie popełniłaś zarzucanego ci przestępstwa. A tak, prawdę mówiąc są w najwyższych władzach ludzie - choćby Reichsführer którzy uważają ciebie i tobie podobnych, cały twój naród, za równych Żydom, za *Menschentiere*, tak samo bezwartościowych, tak samo skażonych rasowo, tak samo zasługujących na nienawiść jak oni. Polaków przebywających w *Vaterlandzie* znakuje się już literą „P” - to dla was zły znak. - Zawahał się przez moment. - Ja osobiście nie podzielam w pełni tego poglądu, aczkolwiek szczerze mówiąc, kontakty z niektórymi z twoich rodaków wywołują we mnie takie rozgoryczenie i frustrację, że coraz częściej dostrzegam uzasadnione powody tej absolutnej pogardy. Szczególnie wobec mężczyzn. Jest w nich jakieś wrodzone chamstwo. A większość kobiet to zwykłe brzydactwa.

Zofia wybuchnęła płaczem, choć nie miało to związku z jego oskarżeniami. Nie zamierzała płakać - okazywanie mazgajstwa słabości było ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby jej do głowy - ale nie mogła się powstrzymać. Łzy trysnęły jej z oczu, ukryła twarz w dłoniach. Wszystko, wszystko zawiodło! Niepewny punkt zaczepienia rozsypał się w proch, czuła, że spada w otchłań. Nie zyskała nic, nie dotarła donikąd. Była skończona. Łkając bez opamiętania stała nieruchomo, a łzy spływały jej między palcami. Wpatrywała się w ciemność swoich złożonych, mokrych dłoni słyszała docierający z salonu piskliwy śpiew tyrolskich minezen - gerów, jazgot wiejskiego podwórka napędzany tępyimi synkopami grzmiącego chóru tub, puzonów i harmonijek.

Und der Adam hat Liebe erfunden,

Und der Noah den Wein, ja!

Prawie zawsze uchylone drzwi gabinetu zamknęły się ze skrzypem zawiasów, powoli, stopniowo, jakby z ociąganiem. Wiedziała, że mógł je zamknąć tylko Hoss; usłyszała jego kroki, kiedy zbliżał się do niej, a potem, nim zdążyła oderwać ręce od twarzy, by nań spojrzeć, poczuła, że chwyta ją mocno za ramię. Z wysiłkiem opanowała płacz. Zamknięte drzwi tłumiły zgiełk muzyki.

Und der David hat Zither erschall...

- Bezczelnie ze mną flirtujesz - powiedział niepewnym głosem. Otworzyła oczy. Jego błędne, rozbiegane spojrzenie, nad którym wyraźnie nie panował, przynajmniej w tym momencie, napełniło ją grozą; miała wrażenie, że za chwilę ją uderzy. Ale wtedy, z wielkim wewnętrznym wysiłkiem, odzyskała panowanie nad sobą. Patrzył już normalnym wzrokiem, a kiedy przemówił, wyrzucał z siebie słowa ze zwykłą, żołnierską stanowczością. Mimo to jego przyspieszony, ale głęboki oddech i drżenie warg zdradzały wewnętrzne napięcie, którego nie mogła odczytać inaczej niż jako narastającą w nim wściekłość. Wściekłość, której konkretnego źródła nie знаła - wywołaną albo tą głupią broszurką, albo jej umizgami, jej uznaniem dla Streichera, tym, że urodziła się brudną Polką, a być może wszystkim naraz. Potem nagle uświadomiła sobie ze zdumieniem, że jakkolwiek to napięcie wynikało najwyraźniej z jakiejś niewyartykułowanej wściekłości, nie była ona skierowana przeciw niej, lecz przeciw komuś czy też czemuś innemu. Jego żelazny chwyt sprawiał jej ból. Wydała z siebie nerwowy, zdławiony jęk.

Po chwili chwyt zelżał i Hoss wybuchnął tyradą, której rasowy podtekst odebrała jako absurdalną replikę porannych wahań Wilhelminy co do jej pochodzenia:

i Trudno uwierzyć, że jesteś Polką, z tą wspaniałą niemczyzną urodą - tą jasną cerą i delikatnymi, typowo aryjskimi rysami. Masz ładniejszą twarz niż większość Słowianek. A jednak jesteś, tak jak mówisz, Polką. - Zofia wyczuła, że do jego przemowy wkradł się ton roztargnienia, jak gdyby myśli Hossa błądziły ostrożnie wokół niebezpiecznego, niewiadomego sedna, które starał się aluzyjnie wyrazić. - Nie lubię flirtów, bo to tylko sposób na wkupienie się w moje łaski, osiągnięcie jakichś korzyści. Zawsze gardziłem tą cechą kobiet, tym ordynarnym wykorzystywaniem płci, nieuczciwym i łatwym do rozszyfrowania. Wprowadziłaś mnie w wielkie zakłopotanie, przez ciebie zaczęły mi przychodzić do głowy różne głupstwa, odwodząc mnie od moich właściwych zadań. Ta kokieteria jest nieznośna, ale... ale to nie tylko twoja wina: jesteś wyjątkowo atrakcyjną kobietą.

Przed laty, kiedy przeniosłem się ze swego gospodarstwa do Lubeki - a byłem wtedy bardzo młody - zobaczyłem niemy film według *Fausta*. Aktorka odtwarzająca rolę Małgorzaty była niewiarygodnie piękna i wywarła na mnie głębokie wrażenie. Nieskazitelną,

tak skończenie piękna twarz i idealna figura myślałem o niej całymi dniami, tygodniami. Nawiedzała mnie w snach, opętała mnie. Margarete Jakaśtam, nazwisko wyleciało mi z głowy. Zawsze myślałem o niej po prostu: Margarete. A jej głos - byłem pewien, że gdyby przemówiła, byłaby to najczystsza niemczyzna. Podobna do twojej. Widziałem ten film kilkanaście razy. Dowiedziałem się później, że umarła młodo, chyba na gruźlicę, i bardzo mnie to zasmuciło. Czas płynął i w końcu zapomniałem o niej, a w każdym razie nie była już moją obsesją. Nie mógłbym jej całkiem zapomnieć. - Höss przerwał i znowu ścisnął jej ramię, aż do bólu.

To dziwne - pomyślała zaszokowana. - Chce w ten sposób wyrazić czułość... Jodlerzy na dole zamilkli. Bezwiednie zacisnęła powieki, starając się nie reagować na ból; do mrocznych zakamarków jej świadomości docierały odgłosy obozowej symfonii śmierci: brzęk metalu, daleki łoskot zderzających się buforów słaby gwizd lokomotywy jak żałobne, przenikliwe zawodzenie.

- Zdaję sobie doskonale sprawę, że pod wieloma względami różnię się od ludzi mojej profesji - ludzi wychowanych w środowisku wojskowym. Nigdy nie byłem taki jak oni. Zawsze raczej od nich stroniłem. Samotność. Nigdy nie zadawałem się z prostytutkami. Raz tylko byłem w burdelu, we wczesnej młodości, w Konstantynopolu. Pozostał mi niesmak po tym doświadczeniu; rozwiązłość kurew mnie brzydzi. Jest w niektórych kobietach jakieś czyste, promienne piękno - jasna skóra, włosy, chociaż jeśli to aryjka, mogą oczywiście być nieco ciemniejsze - które sprawia, że idealizuję tę urodę, podnoszę ją niemal do rangi religii. Ta aktorka, Margarete, była jedną z nich, podobnie jak inna wspaniała kobieta poznana przed laty w Monachium, z którą łączył mnie namiętny związek i z którą miałem nieślubne dziecko. Zasadniczo jestem zwolennikiem monogamii. Zdradzałem żonę sporadycznie. Ale ta kobieta była... była najwspanialszym przykładem takiej urody - przepysznej ciała i czystej, nordyckiej krwi. Moja fascynacja jej osobą była czymś silniejszym niż zwykły pociąg seksualny i tak zwana erotyczna rozkosz. Wiązało się to z bardziej wzniosłą ideą prokreacji. Bo było coś wzniosłego w złożeniu mojego nasienia w tak pięknym naczyniu. Ty wzbudzasz we mnie podobne pragnienie.

Zofia słuchała z zamkniętymi oczami, jak strumień skażony nazistowską frazeologią, pełen dziwacznej egzaltacji i zakal - cowatych teutońskich zbitek fonetycznych przedziera się do jej mózgu, zatapiając niemal całkowicie poczucie rozsądku. Nagle uderzyła ją w nozdrza, niczym fetor nieświeżego mięsa, woń jego spoconego ciała; w momencie, gdy przywarł do niej, mimo woli wyrwał jej się jęk. Rejestrowała dotyk łokci, kolan, ostrego jak tarka zarostu. Podobnie natarczywy w swym podnieceniu jak jego gospodyni, był nieporównanie bardziej

niezdarny; zdawało się, że oplata ją bezlik ramion, jak odnóża jakiejś wielkiej, mechanicznej muchy. Wstrzymała oddech, a on pocierał dłońmi jej plecy, jakby usiłował zrobić jej masaż. A serce, jego oszalałe, galopujące serce! Nie wyobrażała sobie dotąd, że czyjekolwiek serce może tak walić w porywie namiętności: czuła przez wilgotną koszulę komendanta łomot, jak uderzenia werbla. Trząsał się, jakby był śmiertelnie chory, i nawet nie próbował zdobyć się na pocałunek, choć czuła wyraźnie, że jakaś wypukłość język czy nos - błędzi niestrudzenie w okolicach zakrytego chustką ucha. I wtedy rozległo się nagłe pukanie. Odskoczył od niej błyskawicznie i mruknął cicho, żałośnie:

- ***Scheiss!***

Był to znowu adiutant Scheffler.

- Najmocniej przepraszam, panie komendancie - powiedział stojąc w progu - ale ***Frau*** Höss czeka na półpiętrze na odpowiedź. Wybiera się do kina w garnizonowym ośrodku kultury i pyta, czy może wziąć z sobą Ifigenię. - Chodziło o to, że Ifigenia, starsza córka, przeszła niedawno ***die Grippe*** i pani komendantowa chciałaby wiedzieć, czy zdaniem komendanta jest na tyle zdrowa, żeby iść z nią na poranek. Czy też może powinna zasięgnąć rady doktora Schmidta?

Hoss warknął coś w odpowiedzi, ale Zofia nie dosłyszała co. W rozpaczliwym przypływie intuicji przeczuła jednak, że ta przerwa, ten powrót do domowej, nudnej codzienności z pewnością na zawsze zniweczył magiczny nastrój chwili, w której komendant, jak oszalały, trawiony namiętnością Tristan, był na tyle bezbronny, że można go było podejść. I kiedy znów odwrócił się do niej, od razu zorientowała się, że jej przecucie było trafne, a sprawa jeszcze bardziej beznadziejna.

i Kiedy podszedł do mnie, miał jeszcze bardziej wykrzywioną udręczoną twarz. Znowu odniosłam to dziwne wrażenie, że mnie uderzy. Ale nie zrobił tego. Zbliżył się tylko do mnie i powiedział:

- Pragnę mieć z tobą stosunek. - Użył słowa ***Verkehr***, które dla Niemców ma taki sam idiotyczny, formalny wydźwięk jak „stosunek”. - Odbycie stosunku z tobą - powiedział - pozwoliłoby mi się zatracić, mógłbym w tym znaleźć zapomnienie.

- Ale potem jego twarz zmieniła się nagle. Było tak, jak gdyby ***Frau*** Hoss w jednej chwili zmieniła wszystko dookoła. Uspokoił się, stał się jakiś taki oficjalny i powiedział: - Ale nie mogę i nie chcę, to zbyt ryzykowne. Musiałoby się skończyć katastrofą.

- Odwrócił się do mnie plecami i podszedł do okna. - I ciąża nie wchodzi tu w rachubę - dodał. Ach, Stingo, myślałam, że zemdleję. Osłabłam zupełnie z emocji i napięcia i pewnie z głodu, bo od czasu, jak zwymiotowałam rano te figi, nie miałam w ustach nic,

oprócz tego kawałeczka czekolady, którą mnie poczęstował. Znowu odwrócił się do mnie i powiedział: - Gdybym stąd nie wyjeżdżał, zaryzykowałbym. Jakikolwiek jest twoje pochodzenie, czuję, że moglibyśmy się porozumieć na płaszczyźnie duchowej. Wiele bym zaryzykował, żeby nawiązać z tobą stosunki. - Myślałam, że znów mnie dotknie albo chwyci w ramiona, jednak nie zrobił tego. - Ale pozbywają się mnie powiedział - i muszę stąd odejść. A zatem ty też musisz odejść.

Odsyłam cię z powrotem tam, skąd przyszedłeś, do bloku numer dwa. Pójdiesz tam jutro. - I odwrócił się.

i Byłam przerażona - ciągnęła Zofia. - Próbowałam się do niego zbliżyć i nic z tego nie wyszło, a teraz odsyłał mnie wszystkie moje nadzieje zostały pogrzebane. Próbowałam coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. To było tak, jakby odsyłał mnie z powrotem w ciemność i nic nie mogłam na to poradzić - absolutnie nic. Patrzyłam na niego tylko i próbowałam przemówić. Ten piękny arab był ciągle tam na dole; Hoss wychylił się z okna i przypatrywał mu się. Dymy znad Brzezinki podniosły się wysoko. Słyszałam, że znów mamrocze coś o przeniesieniu do Berlina. Był bardzo rozgoryczony. Mówił o „porażce”, „niewdzięczności”, a w pewnej chwili powiedział bardzo wyraźnie:

- Ja sam wiem najlepiej, że dobrze wypełniałem swoje obowiązki. - Potem zamilkł na dłużej i wciąż patrzył na tego konia, aż wreszcie powiedział, jestem pewna, dokładnie coś takiego: - Opuścić ludzkie ciało, ale pozostać w Naturze. Być tym koniem, żyć w tym zwierzęciu. To byłaby wolność.

- Zapamiętałam te słowa na zawsze - powiedziała Zofia po chwili milczenia. - To było takie... - tu urwała i pogrążyła się we wspomnieniach, wpatrując się zamglonym i jakby nieco zdziwionym wzrokiem w fantasmagorie przeszłości.

„To było takie...” Jakie?

Opowiedziawszy mi to wszystko, zamilkła na długo. Zasłoniła oczy rękami i pochyliła się nad stołem, pogrążona w posępnej zadumie. Kiedy mówiła, trzymała się w karchach, ale teraz błyszczące strumyki spływające pomiędzy jej palcami zdradzały, że gorzko płacze. Pozwalałam jej się wyplakać w milczeniu. Siedzieliśmy tak godzinami tego słotnego, sierpniowego popołudnia, wsparci łokciami o laminowany blat stolika w Mapie Court. Od fatalnego zerwania Zofii i Natana, które opisałem wcześniej, upłynęły trzy dni. Chciałbym przypomnieć, że kiedy oboje zniknęli, miałem się właśnie spotkać na Manhattanie z ojcem. Jego przyjazd był dla mnie czymś bardzo ważnym - właściwie zdecydowałem się wracać z nim do Wirginii - więc jeszcze opiszę to szczegółowo. Po spotkaniu wróciłem nieszczęśliwy do Różowego Pałacu, pewien, że zastanę tam tę samą pustkę i rumowisko, jakie

zapamiętałem wychodząc, ale absolutnie nie przewidziałem, że cudem spotkam Zofię. Zostałem ją wśród rozgardiaszu jej pokoju, upychającą resztę manatków w zniszczonej walizce. Na razie nigdzie nie było widać Natana - co uznałem za szczęśliwe zrządzenie losu - więc po smętnym i zarazem słodkim powitaniu pospieszyliśmy w ulewnym, letnim deszczu do Mapie Court. Nie muszę chyba mówić, że rozpierała mnie radość, ponieważ Zofia zdawała się tak samo szczerze cieszyć z naszego spotkania jak ja z tego, że mogę raz jeszcze napawać się samym jej widokiem. Ile wiedziałem, byłem jedynym oprócz Natana i może jeszcze Blackstocka człowiekiem na świecie, który mógł się uważać za osobę jej bliską. Wyczuwałem też, że moja obecność była dla niej czymś naprawdę niezbędnym, wręcz życiodajnym.

Pozostawała ciągle w stanie silnego szoku po odejściu Natana (wyznała mi, nie bez nuty czarnego humoru w głosie, że rozważała kilka razy, czy nie rzucić się z okna zaszczurzonego hotelu na Upper West Side, w którym przez ostatnie trzy dni usychała z tęsknoty), ale jeśli nawet smutek z powodu rozstania wykańczał ją psychicznie, to jednocześnie tenże smutek wyzwał oczyszczający strumień wspomnień. Nie dawał mi spokoju jeden drobiazg. Czy pewna zmiana w Zofii, coś, czego przedtem nie zaobserwowałem, nie powinno było mnie zaalarmować? Zofia zaczęła pić, nie na umór - nie plątał jej się nawet język - ale trzy szklaneczki whisky z wodą wychylone tego szarego, deszczowego popołudnia były czymś nowym i zaskakującym u kogoś, kto podobnie jak Natan hołdował raczej wstrzemięźliwości. Być może te trzy „głębsze” Scheneya ustawione rzędem pod ręką powinny mnie bardziej zaniepokoić. Tak czy inaczej ja tradycyjnie poprzestałem na piwie tylko mimochodem zwróciłem uwagę na nową skłonność Zofii. Przeoczyłbym to i tak, jako że kiedy zaczęła kontynuować swą relację dotyczącą Rudolfa Franza Hossa (ocierając oczy i zachowując najbardziej naturalny, beznamiętny ton, na jaki można się było w tych okolicznościach zdobyć), powiedziała coś, co mną tak wstrząsnęło, że cała twarz stężała mi jak od lodowatego zimna. Zacerpnałem powietrza, czułem, że słabnę, zamieniam się w wiotką trzcinę. I byłem pewien, drodzy czytelnicy, że teraz bynajmniej nie kłamała...

- Stingo, w Oświęcimiu było moje dziecko. Tak, miałam dziecko. Syna, Janka, którego zabrali mi zaraz po przyjeździe. Umieścili go w tak zwanym obozie dziecięcym, miał zaledwie dziesięć lat. Wiem, może ci się wydawać dziwne, że nigdy nie mówiłam ci o moim dziecku, ale nigdy nie byłam w stanie powiedzieć o tym nikomu. To było zbyt trudne, nie do zniesienia nie mogę nawet o tym myśleć. Owszem, powiedziałam o tym raz Natanowi, wiele miesięcy temu. Wyrzuciłam to z siebie błyskawicznie i zaraz potem powiedziałam, że nigdy

więcej nie chcę do tego wracać. Ze nikomu nie można o tym mówić. Teraz mówię ci to tylko dlatego, że nie zrozumiałbyś tej historii z Hössem, gdybyś nie dowiedział się o Janku. Nigdy więcej nie będę o nim mówić, a ty nigdy nie pytaj mnie o nic. Nigdy...

- No więc kiedy Höss patrzył przez okno, jeszcze raz przemówiłam do niego. Wiedziałam, że muszę rozegrać ostatnią kartę, ujawnić to, co *au jour le jour* ukrywałam nawet przed sobą z obawy, że umrę z żalu, że muszę zrobić cokolwiek, krzyczeć, wyć, błagać o zmiłowanie, w nadziei, że potrafię w nim obudzić odrobinę litości, jeśli nie dla siebie, to dla jedynej istoty na ziemi, dla jakiej chciałam żyć. Opanowałam się więc i powiedziałam:

i **Herr Kommandant**, wiem, że nie mogę prosić o zbyt wiele że pan musi kierować się przepisami. Ale proszę pana o jedną, jedyną rzecz, zanim odeśle mnie pan do baraku. Mam synka w obozie „D”. Nazywa się Jan Zawistowski, ma dziesięć lat. Dowiedziałam się, jaki ma numer, podam go panu. Przyjechał tu ze mną, ale nie widziałam go od sześciu miesięcy. Martwię się o jego zdrowie, nadchodzi zima. Błagam pana, proszę mi powiedzieć, czy istnieje jakiś sposób, żeby go zwolnić. Jest chorowity i jeszcze taki mały. - Höss nie odpowiadał, patrzył tylko na mnie bez zmrużenia powiek. Byłam bliska załamania, nie mogłam się opanować. Dotknęłam jego koszuli, potem schwyciłam ją kurczowo i powiedziałam: - Proszę! Jeśli się panu choć trochę podobam, jeśli zrobiłam na panu jakieś wrażenie, błagam, niech pan to dla mnie zrobi. Nie chodzi mi o mnie, tylko o mojego synka. Jest pewien sposób, żeby go zwolnić, powiem panu jaki... Proszę, niech pan to dla mnie zrobi. Proszę. Proszę!

Poczułam, że znowu nie znaczę dla niego więcej niż robak, zwykły polski **Dreck**. Schwycił mnie za przegub, oderwał moją rękę od koszuli i warknął:

- Dosyc! - Nigdy nie zapomnę wściekłości w jego głosie, kiedy powiedział: - **Ich kann es unmöglich tun!** - Co znaczy: „To wykluczone”. - Byłoby wbrew prawu zwalniać jakiegokolwiek więźnia bez zgody odpowiednich władz - powiedział.

Nagle uprzytomniłam sobie, że swoją prośbą dotknęłam w nim jakiegoś czulego punktu.

- To skandal! - krzyczał. - Za kogo ty mnie bierzesz, za jakiegoś Dümmlinga, którym można manipulować? Tylko dlatego, że okazałem ci trochę uczucia? Myślisz, że będę łamał przepisy tylko dlatego, że okazałem ci odrobinę sympatii?

- A potem dodał: - Oburzające!

Czy uwierzysz mi, Stingo, jeśli ci powiem, że nie panując nad sobą rzuciłam się na niego, objęłam go i zaczęłam znów błagać, powtarzając bez końca: „Proszę”? Jednak czując, jak cały zeszywniał, jak się wzdrygnął na całym ciele, wiedziałam już, że skończył ze mną.

Mimo to nie mogłam przestać.

- Niech mi pan przynajmniej pozwoli zobaczyć się z moim synkiem, odwiedzić go, zobaczyć go tylko raz, proszę o to jedno powiedziałam. - Czy pan tego nie rozumie? Przecież pan też ma dzieci. Proszę mi tylko pozwolić go zobaczyć, przytulić go, zanim wrócę do obozu. - I kiedy to powiedziałam, Stingo, nie mogłam się powstrzymać i upadłam przed nim na kolana. Upadłam przed nim na kolana i przywarłam twarzą do jego butów.

Zofia pogrążyła się w długim milczeniu, jakby zapatrzona w przeszłość, która - zdawało się - oładnęła ją teraz bez reszty. Wypiła parę łyków whisky i kilkakrotnie przełknęła machinalnie ślinę oszołomiona wspomnieniami. I nagle, jak gdyby szukając w mojej osobie potwierdzenia rzeczywistości czasu teraźniejszego, zamknęła swoją dłoń w paralizującym uścisku.

i Tyle już powiedziano o zachowaniach ludzi w takich miejscach jak Oświęcim. W Szwecji, w obozie dla dipisów, często dyskutowaliśmy w gronie osób, które przeżyły Oświęcim czy Brzezinkę, gdzie mnie później przenieśli, o tym, jak różnie zachowywali się różni ludzie. Dlaczego taki to a taki zgodził się zostać podłym kapo, okrutnym wobec współwięźniów, zabójcą wielu z nich. Albo dlaczego inny czy inna zdobywali się na jakiś akt odwagi, oddając czasami życie za bliźniego. Albo oddawali swoją rację chleba czy mały kartofel, bądź cieką zupkę głodującemu, choć sami głodowali. Byli też tacy - mężczyźni, kobiety którzy zabijali albo wydawali na śmierć innych więźniów za odrobinę żywności. Ludzie zachowywali się w obozie bardzo różnie, niektórzy jak tchórze albo egoiści, inni odważnie i pięknie nie było na to reguły. Nie. Ale Oświęcim był takim strasznym miejscem, Stingo, tak niewiarygodnie strasznym, że naprawdę nie można było od nikogo wymagać, żeby postępował pięknie szlachetnie, jak w innym, normalnym świecie. Jeśli ktoś postąpił szlachetnie, podziwiano się go tak jak w każdych innych okolicznościach, ale hitlerowcy byli zbrodniarzami i jeśli nie mordowali, to zamieniali ludzi w oszalałe zwierzęta, więc kiedy tacy ludzie postępowali niegodnie albo nawet jak zwierzęta, należało ich zrozumieć. Można było czuć do nich nienawiść, ale jednocześnie współczuć im, bo człowiek zdawał sobie sprawę, jak łatwo sam mógł stać się zwierzęciem.

Zofia zamilkła, zacisnęła powieki i pogrążyła się w rozmyślaniach, jak gdyby rozpamiętywała ludzkie bestialstwo. Potem znów zapatrzyła się w jakąś nieodgadnioną dal.

- Jedna rzecz pozostaje dla mnie tajemnicą. I dlatego właśnie, wiedząc to wszystko, wiedząc, że hitlerowcy zamienili mnie, jak całą resztę, w chore zwierzę, czuję się tak bardzo winna. Tego, co tam robiłam. I tego, że pozostałam przy życiu. Nic mogę się pozbyć poczucia winy i chyba nigdy się go nie pozbędę. - Znów zamilkła na moment, a

potem powiedziała: - To chyba dlatego, że... - zawahała się, nie znajdując właściwych słów, głos jej zadrżał, być może ze zmęczenia. - Wiem, że nigdy się tego nie pozbędę. Nigdy. I chyba to jest najgorsza rzecz, jaką zrobili mi Niemcy.

W końcu rozluźniła uścisk, zwróciła ku mnie twarz i spojrzała mi w oczy.

I Objęłam go za nogi. Przycisnęłam policzek do butów, do zimnej skóry, tak jakby to było futerko, coś ciepłego i kojącego. wiesz, chyba nawet zaczęłam je lizać, te hitlerowskie buty. wiesz co jeszcze? Gdyby Hoss dał mi nóż albo pistolet i kazał mi kogoś zabić, obojętne, Żyda czy Polaka, zrobiłabym to bez namysłu, nawet z radością, gdybym mogła w zamian zobaczyć mojego synka przez jedną choćby minutkę i przytulić go do piersi.

Potem usłyszałam głos Hossa:

- Wstań! Takie demonstracje mnie obrażają. Wstawaj! - Ale kiedy zaczęłam się podnosić, głos mu zmiażdżył: - Oczywiście, że możesz zobaczyć się ze swoim synkiem, Zofio. - Uprzytomniłam sobie, że po raz pierwszy wymówił moje imię. A potem - Chryste Panie, Stingo, znów mnie objął i powtórzył: - Zofio, Zofio, oczywiście, że możesz zobaczyć swojego synka. - I dodał:

- Myślisz, że mógłbym ci tego odmówić? ***Glaubst du, dass ich ein Ungeheuer bin?*** Czy uważasz mnie za jakiegoś potwora?

jedenasty

- Synu, Północ wyobraża sobie, że ma jakiś patent na wszelkie cnoty - rzekł mój ojciec, ostrożnie dotykając wskazującym palcem świeżutkiego siniaka pod okiem. - Ale oczywiście Północ się myli. Czy uważasz, że slumsy Harlemu oznaczają dla czarnych rzeczywisty postęp w stosunku do plantacji orzeszków w Southampton County? Czy sądzisz, że czarni będą znosić bez końca tę niemożliwą nędzę? Synu, pewnego dnia Północ gorzko pożałuje tego udawania wielkoduszności, tych chytrych i szytych grubymi nićmi gestów, tej swojej tak zwanej tolerancji. Pewnego dnia zapamiętaj moje słowa - stanie się jasne, że Północ grzęźnie w przesądach tak samo jak Południe, jeśli nie bardziej. Przesady Południa są przynajmniej jawne. Ale kiedy jestem tutaj... - urwał i znów pomacał podbite oko - skóra mi cierpnie na myśl opokładach gniewu i nienawiści narastającej w tych slumsach. - Jako południowy liberał niemal od urodzenia, ojciec, świadom nieprawości Południa, nigdy nie próbował zwać odpowiedzialności za jego rozmaite rasistowskie ekscesy na barki Północy, słuchałem go więc, zaskoczony, z wielką uwagą, nie zdając sobie jeszcze wtedy, latem 1947 roku, sprawy z tego, jak prorocze okażą się jego słowa.

Było dobrze po północy; siedzieliśmy w pograżonym w półmroku, rozbrzmiewającym gwarem rozmów barze hotelu McAl - pin, dokąd zabrałem ojca po fatalnej awanturze z

taksówkarzem nazwiskiem Thomas McGuire (taksówka nr 8608), w jaką wdał się zaledwie godzinę po przybyciu do Nowego Jorku. Staruszek (używam tego określenia wyłącznie w znaczeniu gwarowym; jak na swoje pięćdziesiąt dziewięć lat wyglądał krzepko i młodo) nie doznał poważniejszych obrażeń, ale było przy tym sporo wrzawy i szkarłatnej krwi z groźnie wyglądającego, acz powierzchownego pęknięcia łuku brwiowego. Wymagało to założenia małego opatrunku. Po doprowadzeniu wszystkiego do ładu zasiedliśmy w barze, popijając (ojciec bourbona, ja niezawodny trunek młokosówpiwo Rheingold) i rozmawiając, głównie o przepaści, jaka dzieliła ten diabelski pomiot, czyli zdewastowaną przez urbanizację Północ, od Chesapeake i elizejskich łąk Południa (pod tym względem proroctwa ojca nie mogły być bardziej chybione, jeśli wziąć pod uwagę, co stało się potem z Atlantą). Od czasu do czasu nachodziła mnie smężna refleksja, że zatarg mojego starego z Thomasem McGuire'em pozwolił mi przynajmniej na chwilę oderwać się od świeżej zgrzyoty.

Bo, przypominam, upłynęło zaledwie parę godzin od momentu, w którym stwierdziłem, że Zofia i Natan zniknęli z mojego życia na zawsze. Byłem absolutnie pewien - gdyż nie miałem podstaw, by sądzić inaczej - że moje oczy nigdy już ich nie zobaczą. Melancholia, jaka mnie ogarnęła, kiedy opuściłem dom Yetty Zimmerman i wsiadłem do metra, by jechać na Manhattan, na spotkanie z ojcem, przyprawiała mnie o fizyczny, rozdzierający ból, jakiego nigdy - przynajmniej od śmierci matki - nie doświadczyłem. Była to mieszanina obsesyjnego, dojmującego poczucia straty i lęku. Doznanie to ciągle się zmieniało. Wpatrując się tępo w stroboskopowe migotanie świateł uciekających w głąb czarnego tunelu, odczuwałem ten ból jako ogromny ciężar zwalony na moje barki, ciężar tak wielki, że tamowało mi oddech i wciągałem powietrze do płuc spazmatycznymi, chrapliwymi haustami. Nie płakałem, nie mogłem płakać, ale kilkakrotnie uświadomiłem sobie, że za chwilę dostanę ataku torsji. Było tak, jakbym stał się naocznym świadkiem nagłej, bezsensownej śmierci, jakby Zofia, a także Natan (bo mimo że przyprawił mnie owściekłość, żal i zamęt uczuć i zmusił, bym nagle wyrzekł się miłości i lojalności, jaką go darzyłem, był przecież nieodłącznym składnikiem naszego potrójnego związku) zostali raptownie unicestwieni w jednym z tych rozgrywających się w mgnieniu oka wypadków ulicznych, które tak ogłuszają pozostałych przy życiu, że ci nie są nawet w stanie przeklinać niebios. Kiedy pociąg z łoskotem przemierzał ociekające wodą katakumby pod Ósmą Avenue, docierało do mnie tylko to, że zostałem momentalnie odcięty od dwojga ludzi, na jakich mi najbardziej w świecie zależało, i że wynikłe z tego faktu pierwotne poczucie straty sprawiało mi taki ból, jakby pogrzebano mnie żywcem, przywalając toną żużlu.

- Podziwiam szczerze twoją odwagę - powiedział ojciec, kiedy jedliśmy późny

obiad u Schraffta. - Siedemdziesiąt dwie godziny, jakie zamierzam spędzić w tej miejscinie, to wszystko, co może znieść śmiertelnik z bardziej cywilizowanych regionów. Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz. Przypuszczam, że to sprawa młodości, tej cudownej elastyczności właściwej ludziom w twoim wieku, która sprawia, że dajesz się raczej uwodzić niż pożreć temu miastuośmiornicy. Nigdy nie byłem w Brooklynie, ale czy to naprawdę możliwe, że są tam, jak mi pisałeś, okolice przypominające Richmond?

Pomimo długiej podróży pociągiem z głuszy Tidewater, ojciec był w znakomitym nastroju, co pomogło mi przynajmniej chwilami zapanować nad moim duchowym zamętem. Napomknął, że nie był w Nowym Jorku od końca lat trzydziestych i że jeśli coś się tu rzuca w oczy, to babilońskie, nieprzyzwoite wręcz bogactwo, bardziej widoczne niż kiedykolwiek.

- To następstwa wojny, synu - oświadczył inżynier, który pomagał fabrykować takie monstra jak lotniskowce „Yorktown” czy „Enterprise”. - Ten kraj bogaci się z dnia na dzień. Trzeba było tej wojny, żebyśmy mogli wykaraskać się z kryzysu, i w konsekwencji stać się najpotężniejszym narodem na ziemi. Jedno może dać nam w przyszłości długotrwałą przewagę nad komunistami: pieniądze, a tych mamy w bród. - (Nie należy wyciągać z tej uwagi wniosku, że mój ojciec był choć w najmniejszym stopniu antyczerwony. Wspominałem już, że jak na Południowca mógł uchodzić za mocno lewicującego; sześć czy siedem lat później, u szczytu makkartystowskiej hysterii, kiedy konserwatywna organizacja Synów Rewolucji Amerykańskiej do której należał od ćwierćwiecza, głównie ze względu na tradycje rodzinne - wyraziła poparcie dla sławetnego senatora z Wisconsin, wściekły, zrzekł się funkcji prezesa jej wirgińskiego oddziału.)

Jednak bez względu na orientację przybyszów z Południa (czy innego zadupia) w sprawach ekonomii, nieodmiennie wprawiały ich w osłupienie nowojorskie taryfy i ceny; ojciec nie był pod tym względem wyjątkiem. Gderał ponuro nad rachunkiem za dwa obiady, który opiewał na jakieś cztery dolary (tak, tak, wyobraźcie sobie!), co w czasach deflacji nie było jak na wielkie miasto kwotą zawrotną, nawet jeśli wziąć pod uwagę nader przeciętną kuchnię u Schraffta.

- U nas za cztery dolary - zrzędził - mógłbyś ucztować przez cały weekend. - Szybko mu jednak przeszło; gdy wdychając rześkie powietrze wieczoru ruszyliśmy przez Broadway na północ, przecinając po drodze Times Square, jego oblicze przybrało na widok tego miejsca wyraz lekkiego oszołomienia i zarazem nabożnej zadumy. Nigdy nie był pobożny, więc reakcja ta wyrażała, jak podejrzewam, nie tyle zgorszenie, ile nagły jak siarczysty policzek szok, wywołany panującą tu niesamowitą atmosferą rozpasania.

Mam wrażenie, że w porównaniu z tym kłębowiskiem gadów, tą Sodomą, w jaką z

czasem zamienił się Times Square, owego lata plac nie był pod względem przejawów zepsucia bardziej szokujący niż senny rynek świątobliwego, prowincjonalnego miasta w rodzaju Omaha czy Salt Lake City; niemniej nawet wtedy miał swoją porcję tanich dziwki i jaskrawo odzianych cudaków paradujących w tęczowym blasku migotliwych neonów. Wysłuchiwanie stłumionych okrzyków ojca - zdołał jeszcze wykrztusić: „JeruWem!” z wieśniaczą spontanicznością a la Sherwood Anderson - pomagało mi zapomnieć o mojej głębokiej depresji. Patrzyłem, jak odprowadza wzrokiem cycatą kurwę Mulatkę w falującej kiece z mieniącego się sztucznego jedwabiu, i dostrzegłem w jego lśniących oczach błysk niedowierzania, a natychmiast potem nieprzepartą chętkę. Czy on jeszcze ciupcia? zastanawiałem się. Wdowiec od dziewięciu lat z pewnością zasłużył sobie na to, ale jak większość Południowców (czy ściśle mówiąc Amerykanów) jego pokolenia, zachowywał w sprawach seksu dyskreję, wręcz skrytość; ta sfera jego życia pozostawała dla mnie tajemnicą. Miałem szczerą nadzieję, że będąc człowiekiem dojrzałym, nie pozwala sobie na składanie ofiary na ołtarzu Onana, jak jego nieszczęsna latorośl. A może po prostu błędnie odczytałem to spojrzenie, może był już dzięki Bogu wolny od tej gorączki?

Na Columbus Circle zatrzymaliśmy taksówkę i pomknęliśmy do McAlpina. Musiałem chyba znowu popaść w przygnębienie, bo zapytał:

- Co się stało, synu?

Mruknałem coś o bólu żołądka - o obiedzie u Schraffta - i na tym poprzestałem. Chociaż odczuwałem potrzebę wynurzeń, nie byłem w stanie zwierzyć mu się z jakichkolwiek szczegółów tego najnowszego życiowego wstrząsu. Jakże mógłbym należycie przedstawić rozmiary straty, nie mówiąc już o zawilości sytuacji, która do niej doprowadziła: najpierw moje namiętne uczucie do Zofii, cudowna przyjaźń z Natanem, a potem, zaledwie parę godzin temu, jego absurdalna ucieczka, wreszcie obecna udręka samotności i poczucie opuszczenia. Ojciec, który nie czytał rosyjskich powieści (scenariusz wydarzeń bardzo je w swym melodramatyzmie przypominał), nie pojąłby nic a nic z tej historii.

- Chyba nie masz poważnych problemów finansowych? dopytywał się, dodając, iż doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że część dochodu ze sprzedaży młodego niewolnika Ariste, jaką przekazał mi wiele tygodni temu, nie może wystarczyć na całe życie. Potem delikatnie, okrężną drogą zaczął badać, czy nie wróciłbym na Południe. Zaledwie jednak dotknął pobieżnie i nieobowiązująco tematu, taksówka zatrzymała się przed hotelem, więc nie zdążyłem odpowiedzieć. - Wydaje mi się - oświadczył że życie wśród takich ludzi, jakich widzieliśmy przed chwilą, nie służy zdrowiu.

Wtedy właśnie stałem się świadkiem epizodu, który ilustrował smutny, schizmatyczny

rozdźwięk pomiędzy Północą a Południem dobitniej niż jakiegokolwiek dzieło sztuki czy socjologiczna rozprawa. Były w tym wszystkim dwa godne ubolewania, niewybaczalne błędy obu stron, oba wynikłe z różnej optyki kulturowej, z punktów widzenia odległych od siebie jak Saskatoon od Patagonii. Jako pierwszy popełnił błąd mój ojciec. Chociaż na Południu - przynajmniej w tamtym okresie - nie było zwyczaju dawania napiwków, a w każdym razie nie traktowano ich poważnie, powinien był wiedzieć, że lepiej było nie dać Thomasowi McGuire'owi nic, niż dawać mu pięć centów. Błędem McGuire'a natomiast była jego dosadna reakcja; taksówkarz warknął na ojca: „Pierdolony kutas!” Nie chcę przez to powiedzieć, że taksjarsz z Południa, nie przyzwyczajony do regularnych napiwków o ustalonej wysokości, nie poczułby się urażony, jednak niezależnie od tego, jak zjeżyłby się wewnątrz, na zewnątrz zachowałby spokój. Nie znaczy to jednocześnie, że epitet McGuire'a nie wywołałby u nowojorczyka pieczenia uszu, ponieważ jednak takie określenia są na ulicy i wśród taksówkarzy monetą obiegową, większość mieszkańców Nowego Jorku przełknęłaby tę zniewagę i też trzymałaby gębę na kłódkę.

Ojciec, z jedną nogą na chodniku, wsadził z powrotem nos do samochodu i zapytał z niedowierzaniem:

- Czy dobrze dosłyszałem? - Sformułowanie jest tu istotne nie „Coś pan powiedział?” ani „Co takiego?”, lecz „d o - s ł y s z a ł e m”, co znaczyło, że jego organ słuchu nigdy dotąd nie został uraczony tak plugawymi świństwami nawet z osobna, nie mówiąc już o ich połączeniu. McGuire był rudawym facetem obyczajnym karku. Nie zdążyłem się dobrze przyjrzeć jego twarzy, ale głos brzmiał całkiem młodo. Gdyby nacisnął na gaz i rozpląnął się w mroku nocy, wszystko rozeszłoby się po kościach, choć jednak wyczuwałem w nim lekkie wahanie, mogłem także wyczuć pewną zajadłość, zapiekłą irlandzką drażliwość pobudzoną pięć - centówką i równą wściekłości ojca sprowokowanej niewybaczalną odzywką. Odpowiadając, McGuire nadał swej refleksji jeszcze bardziej staranną formę gramatyczną:

- Powiedziałem, że musisz być jakimś pierdolonym kutasem.

Głos mojego ojca przeszedł w coś w rodzaju powściąganego krzyku, niezbyt głośnego, ale nabrzmiałego hamowaną furią. Szukał odwetu.

- A ja uważam, że ty musisz być częścią przepastnej kloaki tego obmierzłego miasta, które splodziło ciebie i cały twój bluzgający rynsztokiem pomiot - grzmiał, przerzucając się z szybkością błyskawicy na ponadczasową retorykę przodków.

- Ohydna szumowina - oto czym jesteś, szumowina, w której tyle ogłady, co u szczura ze ścieków! W każdym przyzwoitym mieście Stanów Zjednoczonych ktoś, kto by

bluzgał rynsztokiem jak ty, zostałby publicznie wychłostany batogiem na miejskim placu! - podniósł głos, przechodnie zaczęli zatrzymywać się pod jaskrawą markizą hotelu McAlpin. - Ale to miasto nie jest przyzwoite ani cywilizowane i możesz swobodnie wylewać wiadra tych cuchnących pomyj na głowy współobywateli... - nagła rejterada McGuire'a, który ruszył z kopyta i pomknął jak pocisk w głąb ulicy, przerwała mu w pół zdania. Chwyając powietrze ojciec zatoczył się na chodnik i zdążyłem tylko zobaczyć, jak ten raptowny piruet odrzucił go niczym ślepca na sterczący, stalowy słupek zakazu parkowania: kiedy wyrznął weń głową, rozległo się wibrujące: banng! jak w jakimś animowanym filmie, tyle że nie wyglądało to bynajmniej zabawnie. Wydawało się, że finał będzie tragiczny.

A jednak pół godziny później siedział przede mną cały i zdrow, sącząc nierozcieńczonego bourbona i szydząc z „patentu Północy na wszelkie cnoty”. Po wypadku mocno krwawił, ale na szczęście „domowy lekarz” McAlpina wałęsał się po hallu akurat w chwili, gdy wprowadzałem ofiarę do środka. Lekarz sprawiał wrażenie skacowanego pijaczka, umiał sobie jednak radzić z podbitym limem. Zimna woda i opatrunek zatamowały w końcu krew, lecz nie ostudziły gniewu ojca. Obmacując ranę w przyćmionym świetle baru McAlpina, coraz bardziej podobny z tym spuchniętym okiem do własnego ojca, na poły pozbawionego wzroku pod Chancellorsville osiemdziesiąt z okładem lat temu, nie przestawał, sfrustrowany, przeklinać bezczelnego Thomasa McGuire'a w długiej litanii złorzeczeń. Mimo barwności języka zaczynało mnie to już trochę nużyć; uprzytomniłem sobie, że gniew ojca nie wynikał ani z jego zadęcia, ani z pruderii - jako pracownik stoczni, a wcześniej marynarz na statku handlowym, musiał z pewnością nasłuchać się takich karczemnych obelg ile wlezie - lecz z przyczyn tak nieskomplikowanych jak niezłomna wiara w dobre maniere i publiczną obyczajność. „Współobywatele!” Było w tym coś z zawiedzionej tęsknoty do egalitaryzmu, z której - jak pojąłem - brało się w dużej mierze jego poczucie wyobcowania. Mówiąc wprost, ludzie, którzy nie potrafili odzywać się do siebie po ludzku, negowali tym samym swoją równość. Kiedy się nieco uspokoił, skończył wreszcie z McGui - re'em i rozciągnął swoją dezaprobatę na rozliczne grzechy i wady Północy: jej arogancję i jej obłudną uzurpację wyższości moralnej. Nagle przekonałem się, jak zatwardziałym Południowcem był w istocie; uderzył mnie fakt, że zdawało się to w najmniejszym stopniu nie kolidować z jego zasadniczym liberalizmem.

W końcu namiętna diatryba, w połączeniu z szokiem doznany podczas wypadku, wyczerpała go; pobladł, więc zacząłem nalegać, żeby poszedł się położyć. Uczynił to, acz niechętnie, i rozciągnął się na jednym z dwóch łóżek w zamówionym dla nas obu pokoju, położonym pięć pięter nad hałaśliwą ulicą. Miałem tam spędzić dwie niespokojne, bezsenne i

przygnębiające (głównie z powodu Zofii i Natana) noce, zlany potem, pod czarnym pajakiem buczącego elektrycznego wiatraka, który wzniecał nikłe podmuchy. Mimo zmęczenia ojciec wytrwale głądził o Południu. (Dopiero później zorientowałem się, że jego wizyta wiązała się, przynajmniej częściowo, z misją wyrwania mnie ze szponów Północy; choć nie powiedział tego wprost, stary wyga z pewnością zamierzał wykorzystać tę podróż, aby zapobiec mojemu przejściu do obozu jankesów.) Ostatnie refleksje, jakie wygłosił pierwszej nocy przed zaśnięciem, wiązały się z nadzieją, że opuścę to deprymujące miasto i wrócę na wieś, gdzie było moje miejsce. Jego głos odpływał, gdy mamrotał coś o „ludzkich wymiarach”.

Tych kilka dni upłynęło tak, jak można było tego oczekiwać po letnim spotkaniu w Nowym Jorku dwudziestodwulatka z tatusiem malkontentem z Południa. Obejrzeliśmy kilka turystycznych atrakcji, których - musieliśmy to przyznać obaj nigdy dotąd nie widzieliśmy: Statuę Wolności i dach Empire State Building. Odbyliśmy rejs statkiem spacerowym wokół Manhattanu. Wybraliśmy się do Radio City Music Hall, gdzie przedrzemaliśmy komedyjkę z Robertem Stackiem i Evelyn Keyes (pamiętam, że podczas tego ciężkiego doświadczenia posępne rozmyślenia o Zofii i Natanie spowiły mnie niczym całun). Zajrzeliśmy do Museum of Modern Art; wyobrażałem sobie w swoim protekcyjnym zadufaniu, że miejsce to może zaszokować staruszka, tymczasem on zdawał się szczerze rozbawiony - szczególnie przyjemne dla jego inżynierskiego oka były czyste, jaskrawe, prostokątne kompozycje Mondriana. Jadaliśmy w zdumiewająco zautomatyzowanej knajpie Horna i Haffarta, u Nedicka i Stouffera oraz okazyjnie w restauracji, którą wówczas utożsamiałem z *haute cuisine* - u Longchampa. Odwiedziliśmy jeden czy dwa bary (w tym przez przypadek klub pedałów na Czterdziestej Drugiej, gdzie mogłem zaobserwować, jak twarz ojca na widok zalotnych, głupekowatych uśmiechów szarzej niczym popiół, a potem dosłownie rozplywa się w pełnym niedowierzania zdumieniu), ale zawsze wracaliśmy do hotelu wcześniej i po kolejnej porcji opowieści o farmie wśród orzeszkowych plantacji Tidewater szliśmy spać. Ojciec chrapał. Boże, jak on chrapał! Pierwszej nocy udało mi się jakoś zdrzemnąć raz czy dwa razy przy ogłuszającym akompaniamencie tych charkotów i chrząkań. Ale dziś przypominam sobie, że owe potworne dźwięki (życiowa zmora, skutek skrzywionej przegrody nosowej; w letnie wieczory, przy otwartych oknach ta kanonada zdolna była obudzić sąsiadów) stały się integralnym składnikiem mojej bezsenności i tworzyły zakłócający kontrapunkt dla gorączkowej galopady myśli: przelotnych, lecz pełnych goryczy napadów poczucia winy, ataków erotycznej manii, jaka spadała na mnie niczym żarłoczny demon, wreszcie dręczących, słodkich, trudnych wprost do zniesienia wspomnień Południa, które nie dawały mi zasnąć aż do białych godzin świtu.

Wina. Kiedy tak leżałem, przyszło mi do głowy, że ojciec raz tylko ukarał mnie surowo w dzieciństwie i tylko dlatego, że dopuściłem się zbrodni wybitnie zasługującej na karę. Chodziło o matkę. Na rok przed jej śmiercią, kiedy miałem dwanaście lat, rak zżerający moją matkę zaczął przenikać do kości. Pewnego dnia osłabiona noga nie wytrzymała. Matka upadła i złamała kość podudzia, goleń, która nigdy się nie zrosła. Musiała od tej pory nosić specjalne szyny, więc utykała i wspierała się na lasce. Nienawidziła leżenia w łóżku; kiedy tylko mogła, wołała siedzieć. Opierała wtedy nogę w szynach na stołku lub wyściełanym taborecie. Miała wówczas zaledwie pięćdziesiąt lat i byłem pewien, że zdaje sobie sprawę z bliskiego końca; czasami widziałem w jej oczach lęk.

Matka nieustannie czytała - książki były dla niej narkotykiem, do chwili, kiedy zaczęły się bóle nie do zniesienia i prawdziwe narkotyki zastąpiły Pearl Buck - więc moim najbardziej wyrazistym wspomnieniem z końcowego okresu jej życia pozostał widok siwiejącej głowy i łagodnej, wynędzniałej twarzy w okularach pochylonej nad *Nie ma powrotu* (była wielbicielek Wolfe'a na długo przedtem, nim ja dowiedziałem się o jego istnieniu, ale czytywała także bestsellery o efektownych tytułach - *W proch się obróć*, *Zgubiło mnie słońce*), obraz głębokiej, spokojnej kontemplacji, swojski i codzienny, niczym jakieś studium Vermeera, jeśli nie liczyć okropnej szyny wspartej na podnóżku. Pamiętam też sędziwy, wytarty i wzorzysty szal, jakim w chłodne dni przykrywała podołek i uwięzioną nogę. Prawdziwe mrozy nigdy niemal nie nawiedzały tej części Tidewater, ale czasami pojawiał się na krótko dojmujący ziąb, a ponieważ należało to do rzadkości, zawsze nas zaskakiwało. W naszym małym domku mieliśmy kiepski piec kaflowy w kuchni oraz miniaturowy kominek w saloniku.

Właśnie przed tym kominkiem matka czytywała w zimowe popołudnia, leżąc na sofie. Jako jednak byłem klasycznie, choć nie nadmiernie rozpuszczony; do moich nielicznych obowiązków pozaszkolnych w zimowych miesiącach należało pilnowanie, by w kominku porządnie buzowało, bo chociaż matka nie była jeszcze całkiem zniedołężniała, dorzucanie do ognia kłód drzewa przekraczało jej możliwości. Mieliśmy telefon, ale w pokoju na dole, a chodzenie po schodach stanowiło dla matki trudność nie do pokonania. Łatwo się już chyba domyślić, jakiego rodzaju niegodziwości się dopuściłem: pewnego popołudnia zawiodłem. Skusiła mnie perspektywa przejażdżki z kolegą i jego dorosłym bratem nowiutkim packardem clipperem, jednym z najbardziej szpanerskich samochodów tamtego czasu. Miałem fioła na punkcie tego wozu. Upajałem się wprost jego krzykliwą elegancją. Mknęliśmy, rozpierani idiotyczną dumą, przez oszroniony wiejski krajobraz, a gdy zaczął zapadać zmierzch, opadł także słupek rtęci w termometrze; około piątej Clipper zatrzymał się gdzieś z dala od domu w

sosnowych lasach, a ja poczułem nagły atak przejmującego chłodu. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem okominku, o opuszczonej matce i aż zemdliło mnie ze strachu. Jezu Chryste, zawiniłem...

Dziesięć lat później, leżąc w łóżku na czwartym piętrze hotelu McAlpin i słuchając chrapania ojca, rozmyślałem w udręce mojej winie (niezatartej po dziś dzień), ale była to udręka pomieszana z dziwną, czułą wdzięcznością za łaskawość, z jaką staruszek przyjął i potraktował moje karygodne zaniedbanie. Był ostatecznie (chyba jeszcze o tym nie wspomniałem) chrześcijaninem z rodzaju miłosiernych. Tego późnego, szarego popołudnia - pamiętam drobne płatki śniegu tańczące na wietrze, kiedy packard ruszył w powrotną drogę - ojciec wrócił z pracy pół godziny przede mną i był już przy matce. Kiedy się zjawiłem, mamrotał coś sam do siebie i rozcierał jej dłonie. Gipsowe ściany skromnego domku pozwoliły wtargnąć zimnu jak jakiemuś wstrętne maruderowi. Ogień wygasł przed paroma godzinami ojciec zastał matkę dygoczącą bezradnie pod szalem, z odrętwiałymi z zimna, zsiniałymi ustami, z twarzą kredowobiałą z zimna, ale i ze strachu. Pokój zasnuwał dym z tłącego się polana, które na próżno usiłowała wepchnąć do ognia końcem swej laski. Bóg jeden wie, jakie polarne, eskimoskie wizje dryfujących lodów pochłonęły jej wyobraźnię, kiedy opadła bez sił wśród swych bestsellerów, wszystkich tych zaczytanych książek miesiąca, którymi usiłowała obwarować się przed śmiercią, kiedy wciągnęła oburącz nogę na stołek tym znanym mi, wysiłonym szarpnięciem i poczuła, jak metalowe pręty szyn lodowacieją stopniowo niczym stalaktyty, ziębiąc nieszczęsną, bezużyteczną, przeżartą rakiem kończynę. Pamiętam, kiedy wpadłem do środka, jedna rzecz narzuciła mi się z taką mocą, że zdawała się wypełniać cały pokój: jej oczy. Te piwne oczy za szklami i to, jak jej udręczone i ciągle jeszcze przerażone spojrzenie spotkało się z moim, by natychmiast, błyskawicznie umknąć w bok. Właśnie ta szybkość, z jaką odwróciła wzrok, była dla mnie później miarą mojego poczucia winy - szybkość maczety odrąbującej dłoń. Uświadomiłem sobie ze zgrozą, jak bardzo nienawidzę jej uciążliwego kalectwa. Płakała wtedy i ja płakałem, ale oddzielnie, i słuchaliśmy wzajemnie swego płaczu jak przez rozległe, zamarłe jezioro.

Jestem pewien, że ojciec - tak zazwyczaj łagodny i wyrozumiały powiedział coś ostrego, jadowitego. Ale nie słowa wryły mi się na zawsze w pamięć, tylko chłód - ścinające krew w żyłach zimno i mrok drewni, do której zaprowadził mnie, pozostawiając tam do nocy, jeszcze długo po tym, jak ciemności okryły wieś i zimne światło księżyca zaczęło się sączyć przez szpary do mojej celi. Jak długo dygotałem tam i płakałem, nie pamiętam. Wiedziałem tylko, że cierpię dokładnie tak samo, jak cierpiała wcześniej matka, i że ta zasłużona kara nie mogłaby być bardziej sprawiedliwa; żaden złoczyńca nie znosił nigdy

swego losu z większą pokorą. Przypuszczam, że spędziłem w zamknięciu nie więcej niż dwie godziny, ale pozostałbym tam dobrowolnie do świtu albo wręcz do czasu, aż zamarznę na śmierć - tak długo, jak długo nie odpokutuję za swój występki. Czyżby ojcowskie poczucie sprawiedliwości instynktownie odpowiadało mojemu pragnieniu poniesienia tak proporcjonalnej do winy kary? Jakkolwiek by było - a trzeba powiedzieć, że w swym niezachwianym spokoju zrobił co mógł najlepszego - żadna pokuta nie była w stanie zmasać mojej winy, bo to, co zrobiłem, na zawsze już miało dla mnie związek ze zwierzęcą, ohydłą śmiercią matki.

Umierała w sposób odrażający, w konwulsjach potwornego bólu. W środku upalnego lipca, siedem miesięcy później, zgasła w morfinowym otępieniu. Przez cały poprzedni wieczór siedziałem w zimnym, zadymionym pokoju i rozmyślałem, wpatrzony w tłące się węgielki. Wstrząśnięty, doszedłem do wniosku, że to moje zaniedbanie owego dnia wtrąciło ją w tę długą, śmiertelną chorobę. Wina. Znienawidzona wina. Wina żrąca jak sól. Można nosić w sobie ten jad winy do końca, jak zarazki tyfusu. Nawet kiedy przewracałem się na wilgotnym i nierównym hotelowym materacu, żal przeszywał mnie na wskroś jak lodowata włócznia, ilekroć przypominałem sobie strach w oczach matki, zastanawiając się po raz któryś z rzędu, czy ta ciężka próba nie przyspieszyła w jakiś sposób jej śmierci i czy mi przebaczyła. Ach, pieprzyć to, pomyślałem. Jakiś ruch w pokoju obok sprawił, że zacząłem myśleć o seksie.

Powietrze przepływające przez skrzywioną przegrodę nosową ojca wygrywało jakąś dziką rapsodię dżungli; słycać było wrzaski małp, skrzeczenie papug, porykiwania słoni i nosorożców. Przez ten, że tak powiem, gobelin hałasów docierały do mnie odgłosy „chędożenia” (staroświeckie wyrażonko używane przez mojego starego na określenie spółkowania). Ciche westchnienia, rytmiczny skrzyp łożka, okrzyki nagiej, śliskiej rozkoszy. Mój Boże pomyślałem, rzucając się na swym materacu - czy już do końca życia będę samotnym słuchaczem, a nigdy, nigdy uczestnikiem? Udręczony, zacząłem wspominać, jak po raz pierwszy w podobnych okolicznościach zawarłem wstępną znajomość z Zofią i Natanem: Stingo, żalony podsłuchiawca. Ojciec, jakby w zмовie z zadającą mi męki parą zza ściany, przewrócił się z nagłym pomrukiem i ucichł na chwilę, dzięki czemu do moich uszu docierał teraz każdy niuans miłosnych uniesień. Były to dźwięki nader plastyczne, niewiarygodnie bliskie, niemal namacalne - och, mójmójmój, dyszała ona - a rytmiczne chlupoty (które moja wyobraźnia wzmocniała jak megafon) kazały mi przykleić ucho do ściany. Dziwowałem się rzeczowej tonacji rozmowy: on wypytywał, czy ma wystarczająco dużego, potem czy szczytowała. Odpowiedziała, że nie wie. Też mi zmartwienia. Potem

zapadła cisza (zmiana pozycji, pomyślałem) i moja wyobraźnia *voyeura* podsunęła mi na próbę obraz Evelyn Keyes i Roberta Stacka splecionych w namiętym *soixanteneuf*. Szybko jednak porzuciłem tę wizję, jako że logika nakazywała mi obsadzić scenkę postaciami bardziej zbliżonymi do klienteli McAlpina - parą napalonych nauczycieli tańca, Mister i Mistress Universum, dwójką nienasyconych balowiczów z Chattanooga albo kimś w tym rodzaju; pornograficzny korowód obrazów, któremu pozwoliłem się rozwijać przed oczami mojej wyobraźni, zamienił się kolejno w kocioł ze smołą, a potem stos ofiarny. (Nie mogłem sobie wtedy wyobrazić - ani nie uwierzyłbym, gdyby mi przepowiedziano przyszłość na następne tysiąc lat - że za parę zaledwie dziesięcioleci będę mógł swobodnie i bez zahamowań oglądać tuż pod nami, w zadymionych salkach kinowych seks, tak jak konkwistadorzy oglądali Nowy Świat: lśniące, koralowo - - różowe sromy, wielkie jak wejścia do grot Karlsbadu, włosy łonowe bujne jak festony tropikalnych mchów nadrzewnych, wytryskujące fallusymachiny rozmiarów sekwoi, potężne jak superfortece, młode siostry indiańskiej księżniczki Pocahontas rozmarzonych twarzach, we wszystkich wyobrażalnych i pokazanych z najmniejszymi detalami kombinacjach obciągania fletów pieprzenia.)

Marzyłem o milutkiej Leslie Lapidus z niewyparzoną buzią. Upokorzenia, jakie przeżyłem podczas naszego bezowocnego spotkania, kazały mi w ostatnich tygodniach wymazać ją z pamięci. Ale teraz, wyczarowawszy jej obraz jako dosiadającej mnie „władczej samicy”, zgodnie z zaleceniami dwojga słynnych konsultantów życia małżeńskiego (dr dr Van de Veldego i Marie Slopes), których przed paroma laty studiowałem potajemnie w domu, pozwoliłem jej, rozkraczonej, baraszkować na sobie, aż zadusi mnie swym biustem, na wpół utopionego w falach jej czarnych włosów. Rozbrzmiewające w mych uszach słowa - tym razem nieudawane przynaglenia - były podniecająco sprośne i przyjemne. W okresie dojrzewania moimi sesjami autoerotycznymi, nie pozbawionymi inwencji, sterowała jednak zasadniczo surowa ręka protestanckiej powściągliwości, ale tej nocy pragnienie było tak gwałtowne, jak wybuch paniki: dosłownie mnie stratowało. O Boże, jakże rozboleły mnie jaja, kiedy w syntetycznej wizji kochałem się jak szalony nie tylko z Leslie, ale z dwiema innymi czarodziejkami, które opętały moją erotyczną wyobraźnię. Były to oczywiście Maria Hunt i Zofia. Myśląc owszystkich trzech, uświadomiłem sobie, że jedna była WASP - - em z Południa, druga Żydówką, absolwentką Sarah Lawrence, a trzecia Polką - zestaw znamieny nie tylko ze względu na swą różnorodność, ale i dlatego, że wszystkie były martwe. Nie dosłownie martwe (tylko jedna, przesłodka Maria, odeszła do Stwórcy), ale właściwie zgasłe, unicestwione, kaput, przynajmniej dla mnie.

Czy możliwe, rozważałem pogrążony w swoich obłąkańczych fantazjach, że płomień tej nieznośnej żądzы podsyca świadomość, iż wszystkie trzy utracone lalki z porcelany wymknęły mi się z rąk z powodu jakiejś tkwiącej we mnie tragicznej skazy czy defektu? Czy też właśnie ich niedostępność i przekonanie, że straciłem je na zawsze, były prawdziwą przyczyną tego piekła namiętności? Rozbolał mnie przegub, oszałamiał własny apetyt seksualny i jego obłądne rozmiary. Dokonywałem w wyobraźni błyskawicznej wymiany partnerek. I tak Leslie przeobraziła się w Marię Hunt, z którą leżeliśmy spleceni na piaszczystej plaży Chesapeake Bay w letnie południe; w owej wizji przewracała dziko oczami i gryzła małżowinę mojego ucha. Wyobraź sobie, myślałem, wyobraź sobie - oddaje ci się bohaterka twojej własnej powieści! Mogłem dowolnie przedłużać tę ekstazę; parzyliśmy się jeszcze jak króliki, kiedy ojciec, wydawszy jakiś pierwotny zduszony odgłos, przestał chrapać, zerwał się gwałtownie i podreptał do łazienki. Czekałem z kompletną pustką w głowie - wreszcie wrócił i zaczął chrapać od nowa. Wtedy z nagłym przyływem pożądania, które spadało na mnie jak spienione grzywacze oceanu nieszczęścia, zacząłem kochać się namiętnie z Zofią. Oczywiście to jej właśnie przez cały czas pragnąłem i było to zdumiewające. Bo moje pragnienie miało tak chłopięco wyidealizowany i straceńczo romantyczny charakter, że przez całe lato nigdy właściwie nie odważyłem się dopuścić do siebie, a tym bardziej prowokować, wyrazistej, przestrzennej, plastycznej i barwnej wizji erotycznej z jej udziałem. Teraz, kiedy rozpacz po jej stracie dławiła mi swym uściskiem gardło, pojąłem wreszcie, jak beznadziejna była moja miłość i jak bezmierna żądza. Z jękiem tak głośnym, że wyrwał ojca z męczącego snu jękiem nieutulonego żalu - chwyciłem zjawę Zofii w objęcia i wytrysnąłem obfitym strumieniem, wykrzykując jej ukochane imię. Ojciec poruszył się w mroku. Poczulem, że mnie dotyka.

- Nic ci nie jest, synu? - zaniepokoił się.

Udając senność wymamrotałem coś umyślnie niezrozumiałego. Ale obaj oprzytomnieliśmy, wyrwani ze swoich snów.

Niepokój w jego głosie ustąpił rozbawieniu.

- Zawodziłeś „zoofil”. Przyśnił ci się jakiś zboczeniec?

- Nie wiem, kto mi się przyśnił - skłamałem.

Milczał przez chwilę. Pomruk elektrycznego wiatraka przebijał się sporadycznie przez niespokojne nocne odgłosy miasta.

- Coś cię gryzie - powiedział w końcu. - Już ja wiem. Nie powiesz mi, o co chodzi? Może mógłbym ci pomóc? Dziewczyna, tak? To znaczy kobieta?

- Tak - przyznałem po chwili. - Kobieta.

- Nie powiesz mi nic więcej? Mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

Zwierzyłem mu się i trochę mi pomogło, chociaż moja relacja była mętna i pobieżna: bezimienna polska imigrantka, kilka lat starsza ode mnie, piękna, że trudno to opisać, ofiara wojny. Napomknąłem mętnie o Oświęcimiu, ale nie wspomniałem

o Natanie.

- Kocham ją od niedawna - ciągnąłem - ale z różnych powodów sytuacja stała się nieznośna. - Prześliznąłem się po szczegółach dzieciństwa Zofii w Polsce, przybycia do Brooklynu, pracy, przewlekłej choroby. - Pewnego dnia po prostu znikła - powiedziałem - i nie sądzę, żeby kiedykolwiek wróciła.

- Zamilkłem na chwilę, po czym dodałem ze stoickim spokojem:

- Myślę, że szybko mi przejdzie. - Dałem mu do zrozumienia, że chcę zmienić temat. Czuję, że od mówienia o Zofii zaczyna mi skręcać wnętrze w paroksyzmach bólu i potwornych skurczach.

Ojciec wybąkał kilka konwencjonalnych słów współczucia milczał przez chwilę.

- A jak tam postępuje praca? - zapytał wreszcie. Unikałem dotąd tego tematu. - Co z książką?

Poczułem, że skurcze żołądka ustępują.

- Jak na razie szło mi całkiem nieźle - powiedziałem. - Dobrze mi się pracowało w Brooklinie. Przynajmniej do czasu historii z tą kobietą. Znaczący kryzys. Teraz wszystko utknęło w martwym punkcie, ugrzęzło. - Był to oczywiście eufemizm. Ogarniał mnie mdlący strach na myśl o ewentualnym powrocie do domu Yetty Zimmerman i wznowieniu pracy w przygniatającej pustce, powstałej po odejściu Zofii i Natana, o gryzmoleniu w pokoju, który był dla mnie teraz ponurą komorą pogłosową, odbijającą echem wspomnień? wspólnie spędzonych i na zawsze utraconych chwil szczęścia. - Myślę, że niedługo wrócę do roboty - dodałem bez przekonania. Czuję, że nasza rozmowa zaczyna zamierać.

Ojciec ziewnął.

- No cóż, jeśli naprawdę chciałbyś wrócić do pisania - powiedział sennym głosem - to ta stara farma w Southampton czeka na ciebie. Uważam, że to świetne miejsce dla pisarza. Mam nadzieję, że to przemyślisz, synu. - I znów zaczął chrapać, wydobywając z siebie tym razem nie zoologiczną kakofonię, lecz potężną kanonadę, jakby prosto ze ścieżki dźwiękowej filmowej kroniki oblężenia Stalingradu. Zrozpaczony, wcisnąłem głowę w poduszkę. Pomimo wszystko podrzemywałem, a nawet udało mi się zasnąć niespokojnym snem. Śniłem o moim dobroczyńcy, małym niewolniku Ariste, a w tym samym śnie

pojawił się ni stąd, ni zowąd inny znany mi od lat niewolnik - Nat Turner. Obudziłem się z rozzwierającym jękiem. Świtało. Patrzyłem w sufit zalany opalizującą poświatą i przysłuchiwałem się dochodzącemu z dołu zawodzeniu policyjnej syreny; dźwięk narastał, stawał się coraz bardziej nieznośny, histeryczny. Wsłuchiwałem się weń z lekkim niepokojem, jaki ten przenikliwy sygnał alarmowy zawsze wywołuje; wycie zamierało stopniowo, przeobraziło się w jakieś stłumione, demoniczne trele, by w końcu ucichnąć w okolicach przeludnionych slumsów Hell's Kitchen. Mój Boże, mój Boże - pomyślałem - jakże to możliwe, żeby

Południe i ten wielkowiejski wizg współistniały w jednym stuleciu? Przechodziło to ludzkie pojęcie.

Tego ranka ojciec zaczął szykować się do powrotu do Wirginii. Być może właśnie Nat Turner wyzwolił strumień wspomnień i gorączkową niemal nostalgię za Południem, która mnie ogarnęła, gdy tak leżałem w świetle rozkwitającego poranka. A może chodziło o to tylko, że farma w Tidewater, w której ojciec proponował mi darmową kwaterę, zdawała się znacznie bardziej kuszącą ofertą, od kiedy straciłem drogich sercu przyjaciół w Brooklynie. Tak czy inaczej, gdy jedliśmy gumowate naleśniki w barze kawowym McAlpina, wprawilem ojca w lekkie osłupienie, prosząc go, żeby kupił jeszcze jeden bilet i umówił się ze mną na Pennsylvania Station. Jadę na Południe i zamieszkać na farmie, oświadczyłem mu radośnie, zaskakująco szczęśliwy i odprężony. Niech mi tylko da czas, żebym się spakował i wymeldował na dobre od Yetty Zimmerman.

A jednak, jak już wspomniałem, nic z tego nie wyszło, przynajmniej na razie. Zadzwoniłem do ojca z Brooklynu i przemogłem się, żeby mu powiedzieć, że ostatecznie zdecydowałem się pozostać w mieście. Bo tego ranka spotkałem w Różowym Pałacu Zofię, stojącą samotnie wśród rozgardiaszu jej pokoju, który, jak sądziłem, opuściła na zawsze. Uświadamiam sobie teraz, że przybyłem tam w niewytłumaczalnie decydującym momencie. Gdybym przyszedł dziesięć minut później, zdążyłaby spakować manatki i odjechać, a wtedy z pewnością moje oczy nigdy by jej już nie oglądały. Roztrząsanie po czasie, co by było gdyby, to jałowe zajęcie. Jednak nawet dziś nie mogę się powstrzymać przed spekulacjami, czy nie byłoby dla Zofii lepiej, gdybym jej oszczędził tej przypadkowej ingerencji. Kto wie, może wtedy uporałaby się ze wszystkim, może żyłaby gdzieś po dziś dzień - poza Brooklynem czy nawet poza Ameryką. Gdziekolwiek.

Jedną z mniej znanych, ale bardziej ponurych operacji wchodzących w zakres ogólnego hitlerowskiego planu był program nazwany *Lebensborn*. Ten produkt hitlerowskiego delirium filogenetycznego (*Lebensborn* znaczy dosłownie „źródło życia”)

miał na celu pomnożenie szeregów przedstawicieli Nowego Ładu, najpierw poprzez metodyczne wdrażanie programu rozrodczego, potem przez zorganizowany kidnapping „czystych” rasowo dzieci z okupowanych krajów, które wysyłano w głąb *Vaterlandu*, umieszczano w lojalnych wobec Fiihrera domach i wychowywano w sterylnie nazistowskim otoczeniu. Teoretycznie dzieci powinny być rdzennymi Niemcami. To, że wiele z tych małych ofiar pochodziło z Polski, jest jeszcze jedną miarą typowego dla hitlerowców cynicznego praktycyzmu w sprawach rasowych, bo chociaż Polaków zaliczano do podludzi i podobnie jak innych Słowian przeznaczono do eksterminacji w następnej kolejności po Żydach, w wielu przypadkach odpowiadali oni pod względem cech fizycznych pewnym twardym wymogom. Było tak wówczas, gdy wyglądem zewnętrznym przypominali osobników nordyckiej krwi, a już jasne włosy dogadzały hitlerowskiemu poczuciu estetyki bardziej niż cokolwiek innego.

Lebensbom nigdy nie osiągnął zamierzonej, ogromnej skali, ale został uwięziony częściowym sukcesem. Liczba dzieci odebranych rodzicom w samej tylko Warszawie sięga dziesiątków tysięcy; przytłaczająca większość, z imionami zmienionymi na Karła, Liesel, Heinricha lub Trudi, utonęła w objęciach Reichu i nigdy już nie zobaczyła swoich prawdziwych rodziców. Poza tym nieprzebraną rzeszę dzieci, które przeszły „zdjęcia próbne”, ale zostały odrzucone podczas bardziej rygorystycznych testów rasowych, poddano eksterminacji - między innymi w Oświęcimiu. Jak większość plugawych konceptów Hitlera, program miał być oczywiście tajny, ale podobną nikczemność trudno było utrzymać w ścisłej tajemnicy. Pod koniec 1942 roku płowowłosa, śliczny synek przyjaciółki Zofii, jej sąsiadki ze zbombardowanego później domu w Warszawie, został uprowadzony i matka nigdy więcej go nie zobaczyła. Chociaż hitlerowcy czynili pewne wysiłki, żeby okryć tę zbrodnię zasłoną dymną, dla wszystkich, nie wyłączając Zofii, było jasne, kto jest sprawcą porwania. Po latach najbardziej zdumiewało Zofię to, że owa koncepcja *Lebensbornu* - - która kiedyś, w Warszawie napęłniała ją taką grozą i paralizującym strachem, że na dźwięk ciężkich kroków na schodach chowała często Janka do szafy - stała się w Oświęcimiu jej marzeniem, czymś gorąco upragnionym. Obozowa przyjaciółka - o której będzie jeszcze mowa - przekonała ją, że jest to jedyny sposób ocalenia dziecka. Zofia opowiadała mi, że podczas incydentu z Hössem próbowała za wszelką cenę poruszyć temat *Lebensbor - nu*. Musiałaby oczywiście zrobić to mądrze i delikatnie, ale rzecz była do wykonania. Na kilka dni przed opisanym spotkaniem z komendantem doszła do logicznego wniosku, że *Lebensborn* był chyba jedynym sposobem, by Janek wydostał się z obozu dziecięcego. Szansa była tym większa, że dziecko, podobnie jak ona, władało swobodnie polskim i niemieckim. I teraz powiedziała mi

coś, co wcześniej zataiła. Zaskarbiwszy sobie zaufanie komendanta, postanowiła zasugerować mu, żeby korzystając ze swych nieograniczonych niemal prerogatyw przeniósł dyskretnie ślicznego, jasnowłosego, mówiącego po niemiecku polskiego chłopca z kaukaskimi piegami, oczami jak bławatki i rzeźbionym profilem młodziutkiego pilota Luftwaffe, z obozu dziecięcego do jakiegoś urzędu w Krakowie, Katowicach, Wrocławiu czy gdziekolwiek, urząd ten zaś zorganizowałby jego wyjazd do Niemiec w jakieś bezpieczne miejsce. Ona nie musiałaby wiedzieć dokąd, mogłaby nawet przysiąc, że nie będzie się interesować jego losem, byleby tylko miała pewność, że jest bezpieczny gdzieś w sercu Reichu, gdzie prawdopodobnie przeżyje, a nie w Oświęcimiu, gdzie z pewnością zginie. Ale oczywiście tego popołudnia wszystko jej się poplątało. W pomieszczeniu i panice zaczęła po prostu błagać Hossa o uwolnienie syna, a jego niespodziewana reakcja - wybuch gniewu - wytrąciła ją zupełnie z równowagi; nie była w stanie wspomnieć o *Lebensbornie*. Jednak nie wszystko wydawało się stracone. Musiała tylko czekać na szansę ponownego spotkania, by móc przedstawić Hóssowi swój obłądny plan uwolnienia syna. I to właśnie stało się przyczyną dziwnego, koszmarnego incydentu, jaki miał miejsce nazajutrz.

Nie zdobyła się jednak na to, by powiedzieć mi wszystko od razu. Tego popołudnia w Mapie Court opowiedziawszy, jak padła przed komendantem na kolana, urwała nagle i jej wzrok umknął w stronę okna. Milczała przez dłuższy czas. Potem przeprosiła mnie i zniknęła na parę minut w damskiej toalecie. Zaryczała raptownie grająca szafa: znów Andrews Sisters. Spojrzałem na popstrzony przez muchy plastikowy zegar - reklamę whisky Carstairs; było prawie wpół do szóstej - uświadomiłem sobie, że Zofia mówiła przez parę godzin. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Rudolfie Hossie, ale jej powściągliwa, prosta relacja sprawiła, że zmaterializował się niemal jak jedna ze zjaw, które nawiedzały mnie w moich najbardziej neurotycznych snach. Było jednak oczywiste, że nie mogła ciągnąć w nieskończoność opowieści o takim człowieku i takiej przeszłości, stąd ta nagła przerwa. Mimo że pragnąłem wyjaśnienia tajemnicy, nie zamierzałem nalegać, by kontynuowała zwierzenia. Byłem ciągle pod wrażeniem wyznania, że miała dziecko. Już to, co wyrzuciła z siebie, musiało ją drogo kosztować; mogłem to wyczytać w pełnym bólu, niezgłębionym spojrzeniu półprzytomnych oczu człowieka pogrążonego w transie rozpamiętywania najczarniejszych chwil życia, straszliwych, ponad ludzką wytrzymałość. Powiedziałem sobie zatem, że przynajmniej na razie temat jest zamknięty.

Zamówiłem piwo u niechlujnego irlandzkiego kelnera i czekałem na powrót Zofii. Stali bywalcy Mapie Court, policjanci po służbie, dźwigowi, brygadziści budowlani i przypadkowi pijackowie zaczęli napływać do baru; ich ubrania parowały lekko, zmoczone

letnią, wielogodzinną ulewą. Odgłosy burzy przetaczały się nad odległymi rubieżami Brooklynu, ale słabnące staccato kropel, które przypominało nieregularne stepowanie, wskazywało na to, że deszcz przechodzi. Przysłuchiwałem się jednym uchem rozmowie o Dodgersach; tego lata zainteresowanie tą drużyną graniczyło z obłędem. Łyknałem piwa i poczułem nagle szalone pragnienie, by się urżnąć. Było to po części rezultatem przywołanych przez Zofię obrazów Oświęcimia, po których pozostał mi w nozdrzach fetor jakby butwiejących, nawoskowanych bandaży i stosu oślizłych, spróchniałych kości, jakie widziałem kiedyś wśród krzaków jeżyn na nowojorskim, położonym na wyspie cmentarzu dla ubogich - miejscu, które niedawno poznałem, królestwie, podobnie jak Oświęcim, palonych ludzkich ciał i podobnie jak obóz, przystani więźniów. Przebywałem na tej wyspie krótko, pod koniec mojej kariery wojskowej. Poczułem znów wyraźnie ten odór trupiarni i aby się go pozbyć, spłukiwałem gardło piwem. Ale mój lęk wiązał się po części z osobą Zofii; spojrzałem na drzwi toalety z nagłym ukłuciem niepokoju - a co, jeśli uciekła przede mną, jeśli zniknęła? - niezdolny do stawienia czoła ani tej nowej katastrofie życiowej, jakiej była przyczyną, ani szaleństwu na jej punkcie, które przypominało jakieś głupie, chorobliwe łaknienie i całkowicie paraliżowało moją wolę. Jako ofiara protestanckiego wychowania nie mogłem przewidzieć tak fatalnej sytuacji.

Straszne było to, że właśnie teraz, kiedy ją spotkałem - kiedy jej obecność spłynęła na mnie jak błogosławieństwo - miała znów lada chwila zniknąć z mojego życia. Tego ranka, gdy natknąłem się na nią w Różowym Pałacu, jedną z pierwszych rzeczy, jakie mi powiedziała, było to, że jednak się wyprowadza. Wróciła tylko po resztę pozostawionych rzeczy. Jak zawsze troskliwy doktor Blackstock, przejęty jej zerwaniem z Natanem, znalazł małe, ale wystarczające jak na jej potrzeby mieszkanie, położone w centrum Brooklynu, znacznie bliżej jego gabinetu; tam właśnie się wprowadza. Poczułem ciężar na sercu. Było oczywiste, nawet bez słów, że chociaż Natan porzucił ją na dobre, wciąż za nim szalała; moja najmniejsza wzmianka na jego temat sprawiała, że jej oczy zasnuwała mgiełka żalu. Nawet gdybym to zignorował, brakowało mi zupełnie odwagi, by wyznać jej moje uczucia. Nie mogłem też - bez narażania się na śmieszność - jechać z nią do jej nowego mieszkania, odległego o wiele mil, nie zrobiłbym tego zresztą nawet wtedy, gdybym miał jakiś środek transportu. Byłem załamany, zdruzgotany tą sytuacją, ale cóż, Zofia najwyraźniej zniknęła z orbity mojej egzystencji wypełnionej absurdalnym, jednostronnym uczuciem. W oczekiwaniu tej nieuniknionej, bliskiej straty było coś tak złowrogiego, że ogarnęły mnie mdłości. Poczułem też irracjonalny, ciężki jak ołów lęk. Dlatego też, kiedy Zofia nie wracała z toalety przez dłuższą chwilę, która zdawała mi się wiecznością (w rzeczywistości trwało to zaledwie

kilka minut), wstałem z zamiarem wtargnięcia do intymnego przybytku i odnalezienia jej. I wtedy - ach! - zjawiała się. Ku mojej radości i zaskoczeniu jej twarz rozjaśniał uśmiech. Do dziś często wspominam ten migawkowy obraz z wnętrzem baru w tle. W każdym razie, czy to przez przypadek, czy zrzędzeniem niebios, pylista smuga słonecznego światła, przebiwszy się przez ostatnią chmurę przechodzącej burzy rozświetliła na moment włosy Zofii, otaczając jej głowę idealną, jak z renesansowego malowidła, aureolą. Zważywszy, że moja namiętność była do gruntu zmysłowa, wizja ta nie powinna mieć w sobie nic anielskiego, a jednak miała. Potem aureola znikła, a ona zbliżyła się żwawym krokiem do stolika. Jedwabna spódniczka falowała niewinnie i zarazem lubieżnie w okolicach jej bujnego łona; usłyszałem, jak z głębin kopalni soli mojej duszy jakiś niewolnik czy osioł wydał z siebie anemiczny, tęskny jęk. Jak długo jeszcze, Stingo, jak długo, bracie mój?

- Przepraszam, że tak długo, Stingo - powiedziała, siadając. Trudno było uwierzyć, że jest tak pogodna po snutej przez całe popołudnie opowieści o obozowych przeżyciach. - Spotkałam w łazience starą rosyjską *bohémienne* - no wiesz, *disease de bonne aventure*.

- Co takiego? - zapytałem. - Ach, chcesz powiedzieć: wróżkę.

- Już wcześniej widziałem kilka razy w barze tę starą wiedźmę, jedną z niezliczonych cygańskich naciągaczek z Brooklynu.

- Tak, wróżkę. Wróżyła mi z ręki - powiedziała z ożywieniem.

- Rozmawiała ze mną po rosyjsku. I wiesz co? Powiedziała tak: „Nie wiedzie ci się ostatnio. Chodzi o mężczyznę. Nieszczęśliwa miłość. Ale nie bój się. Wszystko się dobrze skończy”. Czy to nie cudowne, Stingo? Czy to nie wspaniałe?

Pomyślałem wtedy, i myślę tak do dziś, że - wybaczenie feministki - nawet najbardziej z pozoru rozsądne kobiety są podatne na takie nieszkodliwie *okultystyczne frissons*, ale przemilczałem to; przepowiednia zdawała się sprawiać Zofii wielką radość i mimo woli zacząłem ulegać jej promiennemu nastrojowi. (Co by to jednak miało znaczyć? - zachodziłem w głowę.

- Natan odszedł.) W Mapie Court zaczęły się pojawiać złowrogie, niezdrowe cienie. Tęskniłem za słońcem i kiedy zaproponowałem, by zaczerpnąć rzeńskiego popołudniowego powietrza, natychmiast się zgodziła. Po niedawnej burzy Flatbush aż lśniło czystością. Gdzieś niedaleko musiał uderzyć piorun, bo czuć było w powietrzu zapach ozonu, tłumiący nawet woń kiszzonej kapusty i bajgiełek. Zapiekły mnie oczy. Zamrugałem, porażony oślepiającym światłem; po mrocznych wspomnieniach Zofii i wyjściu z ciemnego wnętrza Maple Court fasady mieszczańskich bloków stojących na skraju Prospect Parku raziły swoją

jakby nieziemską, niemal śródziemnomorską bielą, przywodząc na myśl niską, tonącą wśród listowia zabudowę Aten. Doszliśmy do rogu Parade Grounds i tam przyglądaliśmy się przez chwilę chłopcom grającym w baseball na skwerze. W górze, na przegowanym chmurami niebie koloru ultramaryny, buczał wszechobecny tamtego lata samolot z powiewającym za nim transparentem, reklamą nowych, covieczornych atrakcji hipodromu na Aqueduct. Przykucnąwszy w przesiąkniętej deszczem kępie zielska, wydzielającej intensywną woń mokrej trawy, zacząłem objaśniać Zofii zasady gry w baseball; słuchała uważnie jak pilna uczennica, uroczo przejęta i skupiona. Wczułem się w rolę belfra do tego stopnia, że wszelkie wątpliwości i pytania, jakie nasuwały mi się w związku z jej ostatnim, długim monologiem, rozwiały się bez śladu. Zbladła nawet najstraszliwsza z tajemnic: co ostatecznie stało się z jej synkiem?

Pytanie to zaczęło mnie dręczyć od nowa, kiedy skierowaliśmy się do odległego o jedną przecznicę domu Yetty. Zastanawiałem się, czy Zofia kiedykolwiek zdobędzie się na wyjawienie tajemnicy losu Janka. Ale wkrótce przestałem się nad tym głowić, bo zaczął mnie nurtować inny problem: narastał we mnie ogromny niepokój o samą Zofię. Mój ból spotęgował się, kiedy ponownie wspomniała, że wieczorem przeprowadza się do nowego mieszkania. Wieczorem. Było zupełnie jasne, że to „wieczorem”, oznacza już, teraz.

- Będę za tobą tęsknił, Zofio - wyznałem, kiedy wstępowaliśmy na stopnie Różowego Pałacu. Uświadomiłem sobie, że w moim głosie pojawił się jakiś prostacki, wibrujący, niemal histeryczny ton rozpacz. - Naprawdę będę tęsknił!

- Nie martw się Stingo, będziemy się widywać. Na pewno! W końcu nie wyjeżdżam na koniec świata. Zostaję w Brooklynie. - Jej słowa uspokoiły mnie nieco, ale była to pociecha słaba, anemiczna; Zofia deklarowała swą lojalność, pewne ciepłe uczucia i pragnienie - nawet dość silne - podtrzymania przyjaźni. Ale brakowało w tym owej emocji, która wyraża się w krzykach i szeptach. Jakimś uczuciem darzyła mnie na pewno, lecz namiętności w tym nie było. Można by powiedzieć, że żywiłem nadzieję, ale zarazem nie miałem jakichś szalonych złudzeń.

- Będziemy często chodzić do restauracji - mówiła, kiedy wlokłem się za nią na piętro. - Nie zapominaj, że też będzie mi ciebie brak. W końcu jesteś chyba moim najbliższym przyjacielem, ty i doktor Blackstock. - Weszliśmy do jej pokoju. Opustoszał prawie całkiem. Uderzyło mnie to, że pozostawał tam wciąż radiogramofon; przypomniałem sobie mgliście, jak Morris Fink wspominał, że Natan ma wrócić i zabrać go, ale najwidoczniej nie była to prawda. Zofia włączyła radio i ze stacji WQXR popłynęły głośne dźwięki uwertury do *Rusłana i Ludmiły*. Był w tym romantyczny patos, którego nie cierpieliśmy

oboje, ale Zofia nie zmieniała stacji; łomot tatarskich bębnow wypełnił dudnieniem cały pokój. - Zapiszę ci mój adres - powiedziała, grzebiąc w torebce. Torebka była droga - chyba marokańska - zrobiona z pięknej, wytłaczanej skóry. Zwróciłem na nią uwagę, bo pamiętałem dzień, w którym Natan podarował ją Zofii z ostentacyjną dumą zakochanego. - Będziemy się często spotykać i chodzić do restauracji. Tam jest pełno restauracji, niezłych i niedrogich. To dziwne, gdzie mogła mi się zapodziać ta karteczka z adresem? Nie znam jeszcze nawet na pamięć numeru. Gdzieś przy ulicy Cumberland, w pobliżu Fort Greene Park. Będziemy mogli chodzić na spacer, Stingo.

- Tak, ale ja będę bardzo samotny, Zofio - powiedziałem.

Spojrzała znad radia i z figlarną miną puściła do mnie oko, najwidoczniej ignorując moją jawną Zofiomanie. Jednocześnie powiedziała coś, co zabrzmiało jak kiepski dowcip i było ostatnią rzeczą, jaką chciałem z jej ust usłyszeć:

- Znajdziesz sobie prędko jakąś śliczną dziewczynę, Stingo, jestem tego pewna. Z seksem. Taką jak ta ładniutka Leslie Lapidus, tylko mniej kokietkę, a bardziej *complaisante*...

- O Boże, Zofio! - jęknąłem. - Zbaw mnie od wszystkich Leslie Lapidus tego świata.

I wtedy cała ta sytuacja - rychłe odejście Zofii, lecz także jej torebka, pusty pokój kojarzący się z osobą Natana i tak niedawną przeszłością, z muzyką i rozbawieniem, ze wspaniałymi chwilami, jakie spędziliśmy razem - to wszystko razem nappełniło mnie tak obezwładniającym uczuciem rozpaczy, że po raz wtóry wydarł mi się z piersi głośny jęk. Dostrzegłem w oczach Zofii lęk, przelotny jak błysk paciorków. Zupełnie już nad sobą nie panując schwyciłem ją mocno za ramię.

- Natan! - zawołałem. - Natan! Natan! Co się, na Boga, stało? Co się stał o, Zofio? Powiedz mi! - krzychałem jej prosto w twarz tak, że kropelki śliny pryskały na jej policzek.

- Jest niesamowity facet, który kocha cię do szaleństwa, ten najwspanialszy książę z bajki, człowiek, który cię ubóstwia co mogłem wyczytać z jego oczu, bo to było jak bałwochwalstwo - i nagle, ni stąd, ni zowąd przestajesz dla niego istnieć. Co mu się na litość boską stało, Zofio? Wyeliminował cię ze swojego życia! Nie powiesz mi, że z powodu jakichś śmiesznych podejrzeń, że go zdradziłaś, jak to powiedział tamtego wieczoru w Mapie Court. To musi mieć jakieś głębsze podłoże, jakąś głębszą przyczynę. No a co ze mną? Mną? Mną! zacząłem walić się w piersi, żeby podkreślić, jak bardzo ja zostałem uwikłany w tę tragedię. - A jak potraktował mnie ten facet? Przecież na rany Chrystusa, Zofio, nie muszę ci

chyba tego mówić, Natan był dla mnie jak brat, pieprzony brat. Nie spotkałem w życiu nikogo takiego jak on, nikogo bardziej inteligentnego, bardziej wielkodusznego, zabawniejszego, lepszego kompana - Boże, po prostu człowieka wspanialszego niż on. Kochałem tego faceta! Przecież nikt inny, tylko Natan po przeczytaniu mojej bazgraniny natchnął mnie wiarą, że powinienem tak trzymać i że będę pisarzem. Czułem, że przemawia przez niego miłość. I nagle ni stąd, ni zowąd - jak pieprzony grom z jasnego nieba - warczy na mnie niczym wściekły pies. Napada na mnie, powiada, że moja powieść to gówno, traktuje mnie jak najgorszego palanta. A potem usuwa mnie ze swojego życia tak radykalnie i definitywnie, jak usunął ciebie. - Mój głos wzniósł się ponad zwykłą, niepewną oktawę i przeszedł w mezzosopran hermafrodyty. - Ja tego nie wytrzymam, Zofio. Co my poczniemy?

Łzy spływające po twarzy Zofii lśnącymi strumieniami uprzytomniły mi, że powinienem był powstrzymać się od tego wybuchu. Wykazać więcej opanowania. Zrozumiałem, że nie mógłbym jej sprawić większego bólu, nawet gdybym wyszarpywał jej szwy z żywego mięsa straszliwej, niezabliźnionej, zaognionej rany. Ale nie mogłem się powstrzymać; mało tego - czułem, że jej żal łączył się z moim w potężny, wartki strumień i pędził naprzód, gdy ja szalałem dalej.

- Nie może tak po prostu olewać czyjejs miłości. To cholernie niesprawiedliwe. To... to... - zacząłem się jękać. - To, na Boga, kurewsko nieludzkie!

Odwróciła się ode mnie łkając. Kiedy z przyciśniętymi do boków rękami szła przez pokój, w jej ruchach było coś lunatycznego. Padła na łóżko przykryte morelową narzutą i ukryła twarz w dłoniach. Nie słyszałem już płaczu, ale jej ramiona wznosiły się i opadały gwałtownie. Podeszedłem do łóżka i stałem nad nią przez chwilę, przyglądając się jej plecom. Zacząłem odzyskiwać panowanie nad swoim głosem.

- Zofio - powiedziałem - wybacz mi. Ja po prostu tego nie rozumiem. Nie rozumiem postępowania Natana i chyba nie rozumiem ciebie. Choć wydaje mi się, że potrafię o wiele lepiej zrozumieć ciebie niż jego. - Zamilkłem. Zdawałem sobie sprawę, że otwieram nową ranę przywołując temat, który najwidoczniej był jej nienawistny - bo czyż nie ostrzegała mnie sama, bym go nie poruszał? - ale musiałem powiedzieć to, co miałem do powiedzenia. Wyciągnąłem rękę i delikatnie położyłem dłoń na jej nagim ramieniu. Gorące ciało zdawało się pulsować pod moimi palcami jak gardziołko wystraszonego ptaka. - Zofio, tamtego wieczoru... tego wieczoru w Mapie Court, kiedy... kiedy Natan nas skreślił... Tego okropnego wieczoru. On wiedział, że miałaś synka, tam - sama mówiłaś, że powiedziałaś mu o tym. Jak wobec tego mógł być tak okrutny, jak mógł cię tak znieważać, pytać, dlaczego ty przeżyłaś, kiedy tylu innych... - słowo uwięzło mi w gardle jak jakaś dławiąca kula, ale

zdołałem je wykrztusić kiedy tyłu innych zagazowano. Jak on mógł to powiedzieć? Jak ktoś, kto cię kocha, mógł być tak niewiarygodnie okrutny?

Przez chwilę milczała, leżąc z twarzą ukrytą w dłoniach. Usiadłem na brzegu łóżka i głaskałem przyjemnie rozgrzane, a właściwie rozpalone gorączką ramię, wodząc delikatnie palcami wokół blizny po szczepieniu. Z miejsca, gdzie siedziałem, widać było wyraźnie ponury, siny tatuaż, zadziwiająco schludny rząd cyfr, jak miniaturowy zasięg z kolczastego drutu, z siódmką przekreśloną starannie w poprzek na europejską modłę. Czulem tę ziołową woń perfum, których tak często używała. Czy to możliwe, Stingo - zadałem sobie pytanie - żeby cię kiedykolwiek pokochała? Nagle zacząłem się zastanawiać, czy odważyłbym się teraz do niej dobierać. Nie, zdecydowanie nie. Kiedy tak leżała, wydawała mi się zupełnie bezbronna, ale mój wybuch zmęczył mnie, wyczerpał, osłabił do zera pożądanie. Przesuwając rękę wyżej dotknąłem pasemek jej jasnych włosów. Wreszcie poczułem, że przestała płakać.

- To nie jego wina - powiedziała w końcu. - Miał w sobie zawsze tego demona, demona, który pojawiał się podczas tych jego *tempetes*. Opętał go demon, Stingo.

Nie potrafię powiedzieć, któryz obrazów powstających niemal jednocześnie na obrzeżach mojej świadomości wywołał dreszcz przebiegający mi przez grzbiet - czarny, potworny Kaliban czy przerażający golem Morrisa Finka. Ale zadrzałem i opanowując spazm grozy zapytałem:

- Jak to, demon?

Nie odpowiedziała od razu. Zamiast tego uniosła głowę i przemówiła cichym, trzeźwym głosem, co wprawilo mnie w osłupienie, tak było nietypowe. To była Zofia, jakiej dotychczas, aż do tego momentu nie znałem.

- Stingo, nie mogę stąd odejść tak nagle. Zbyt wiele wspomnień. Proszę cię, zrób coś dla mnie. Idź na Church Avenue i kup butelkę whisky. Chcę się upić.

Przyniosłem jej półlitrową butelkę whisky, która pomogła jej w zrelacjonowaniu wydarzeń burzliwego roku życia z Natanem, zanim ja pojawiłem się na scenie. Mogłoby się to wydawać zbędnym dodatkiem do książki, gdyby nie fakt, że Natan miał wrócić i zawładnąć nami od nowa.

W Connecticut, przy pięknej, wijącej się wśród lasów autostradzie, która ciągnie się z północy na południe wzdłuż rzeki, pomiędzy New Milford a Canaan, stał stary, wiejski zajazd z podłogami z dębowych desek, słoneczną sypialnią z makatkami na białych ścianach, dwoma wiecznie zziąjanymi, mokrymi seterami irlandzkimi w hallu na dole i zapachem jabłoniowego drzewa płonącego na kominku. Tam właśnie, jak powiedziała mi tego wieczoru Zofia, Natan próbował odebrać życie najpierw jej, potem sobie, czyli sfinalizować coś, co nazywa się

samobójczym paktem. Było to na jesieni, kiedy liście gorzały czerwienią, parę miesięcy po pierwszym spotkaniu w bibliotece Brooklyn College. Zofia powiedziała, że jakkolwiek ten straszny epizod wrył się w jej pamięć z wielu powodów (choćby dlatego, że po raz pierwszy od czasu, jak się poznali, Natan podniósł na nią głęps), to najbardziej niezatartym wspomnieniem pozostanie dla niej główny motyw ataku: jego wściekłe nalegania (też po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali), by wytłumaczyła, w jaki sposób udało jej się przeżyć Oświęcim, kiedy tyłu „innych” - jak to określił - zginęło.

Gdy Zofia opisała tę scenę zadreżczenia, a potem przeszła do ponurej opowieści o dalszym rozwoju wypadków, natychmiast skojarzyłem to sobie z najświeższą, dziką awanturą w Mapie Court, kiedy to Natan tak definitywnie i bez sentymentów skończył z nami. Miałem właśnie zwrócić Zofii uwagę na podobieństwo sytuacji i zapytać, co o tym sądzi, ale ona pochłaniając furę parującego spaghetti we włoskiej knajpce na Coney Island Avenue, do której często zaglądali z Natanem - tak zagłębiła się w rozpamiętywaniu ich wspólnego życia, że zawahałem się, zająknąłem i nie powiedziałem w końcu nic. Pomyślałem whisky. Zaskoczyło mnie to, że Zofia tyle pije - zaskoczyło trochę zmieszało. Przede wszystkim ten jej spust polskiego huzara; było coś zdumiewającego w widoku tak zrównoważonej, uroczej i zazwyczaj do przesady poprawnej istoty łykającej gorzałkę jak wodę; zanim wsiedliśmy do taksówki, by pojechać do restauracji, poszła prawie jedna czwarta półlitrowej butelki Seagram. (Zofia wymusiła na mnie, żeby zabrać ze sobą whisky, której ja, co istotne, nawet nie tknąłem, pozostając przy swoim piwie.) Łączyłem tę jej nową słabość z żalobą po odejściu Natana.

Jeszcze bardziej niż ilość zaszokował mnie jej sposób picia. Mocny jak diabli trunek, rozcieńczony jedynie odrobiną wody, nie poplątał Zofii języka ani nie wpłynął na tok myślenia. Tak było przynajmniej za tym pierwszym razem, kiedy odkryłem jej nie znaną mi dotychczas skłonność. Absolutnie spokojna, z każdym kosmykiem jasnych włosów na swoim miejscu, wychylała kolejne szklaneczki, błyskając zębami jak szynkarka ze sztychów Hogartha. Zastanawiałem się, czy to nie sprawa tej genetycznej, czy też kulturowej odporności na alkohol, jaką Słowianie zdają się dzielić z Celtami. Poza lekkim zaróżowieniem policzków można było dostrzec tylko dwie wywołane działaniem whisky zmiany w jej sposobie mówienia i zachowaniu. Seagram 7 wyzwolił potok słów. Sprawił, że wyrzucała z siebie dosłownie wszystko. Nie chcę przez to powiedzieć, że wcześniej, opowiadając o Natanie, Polsce i przeszłości, była powściągliwa. Ale whisky przeobraziła jej mowę w potok uderzająco precyzyjnych, niespiesznych kadencji. Jej wymowa była płynna, a większość bardziej chropawych, wymawianych przez nią zwykle z polską spółgłosek jakimś

magicznym sposobem nabrała gładkości. Druga rzecz, jaką wyzwoliła w niej whisky, była nader urocza - urocza, ale i szalenie frustrująca: alkohol usunął praktycznie całkowicie jej zahamowania w sprawach seksu. Skręcałem się pod wpływem mieszanych uczuć zażenowania i zachwytu, kiedy mówiła o swoim współzyciu erotycznym z Natanem z uroczą otwartością, swobodnym, radosnym tonem, jak dziecko odkrywające uroki podwórkowej łąciny.

- Powiedział, że wspomniała dupa ze mnie - oznajmiła z nostalgiczną zadumą, a zaraz potem dodała: - Uwielbiliśmy się pieprzyć przed lustrem.

Mój Boże, gdyby wiedziała, jakie pieszczotliwe imiona kłębiły mi się w głowie, kiedy wypowiadała te rozkoszne zdanka! Jednak mówiąc o Natanie przybierała przeważnie ton pogrzebowy i rozpamiętywała wszystko konsekwentnie w czasie *past tense* tak, jakby mówiła o kimś dawno zmarłym i pochowanym. A kiedy opowiedziała mi historię planowanego podwójnego samobójstwa na wsi, w mroźnym Connecticut, poczułem smutek i zdumienie. Jednak moje zdziwienie wywołane relacją o tym ponurym incydencie nie mogło się nawet równać z prawdziwym zaskoczeniem, jakiego doznałem, kiedy - na krótko przedtem, nim opowiedziała mi o owej nieudanej randce ze śmiercią zdradziła inną ponurą rewelację.

- Wiesz, Stingo - powiedziała z lekkim wahaniem - Natan od dawna bierze narkotyki. Nie wiem, czy to zauważyłeś, czy nie. W każdym razie z pewnych powodów nie byłam wobec ciebie całkiem szczerą. Nie miałam odwagi ci o tym powiedzieć.

Narkotyki, pomyślałem. Boże miłosierny. Rzeczywiście nie mogłem w to uwierzyć. Dzisiejszy czytelnik tej opowieści prawdopodobnie wszystkiego się już domyślił, ale ja nie podejrzewałem niczego. Wtedy, w 1947 roku, byłem tak samo naiwny w sprawach narkotyków, jak w sprawach seksu (ach, te jagnięco niewinne lata czterdzieste i pięćdziesiąte!). Nasza dzisiejsza kultura narkotyków nawet jeszcze wówczas nie świeciła, a moje pojmowanie nałogu (jeśli w ogóle zastanawiałem się nad tym) łączyło się z wizją „opętanych ćpunów”, szaleńców z wybałuszonymi gałami, skrępowanych kaftanami bezpieczeństwa za murami ustronnych zakładów psychiatrycznych, obleśnych zbrojeńców molestujących dzieci, żywych trupów grasujących w chicagowskich zaułkach, pogrążonych w śpiączce Chińczyków w zadymionych norach i tak dalej. Narkotyki kojarzyły się z czymś plugawym, trwały deprawacją, czymś tak ohydny jak pewien rodzaj seksualnych praktyk, które - do trzynastego co najmniej roku życia - jawiły mi się jako brutalny akt płciowy odbywający się po kryjomu, z udziałem tlenionych blondynek i zwalistych, nie ogolonych i pijanych ekskazańców, którzy nie zdejmują nawet buciorów. Nie miałem oczywiście pojęcia o rodzajach narkotyków i subtelnych różnicach w działaniu tych substancji. Nie mógłbym

chyba nawet wymienić nazwy żadnego z nich oprócz opium, tak więc to, co ujawniła Zofia, podziało na mnie jak wiadomość o zbrodni (że istotnie było przestępstwem, nie miało dla mnie większego znaczenia). Powiedziałem, że jej nie wierzę, ale ona zapewniła mnie, że mówi prawdę, a kiedy szok zaczął ustępować ciekawości, zapytałem, czego używał; wtedy po raz pierwszy w życiu usłyszałem słowo „amfetamina”.

- Brał prochy, które nazywają się benzedryna - powiedziała.

- I kokainę. Potężne dawki. Czasami takie, że wpadał w szal. Zdobywał je z łatwością u Pfizera, w tym laboratorium, w którym prowadził badania. Choć oczywiście było to nielegalne.

A więc to stąd te napady szału, nieokiełznanej wściekłości, stąd ta paranoja - pomyślałem. - Jakże byłem ślepy!

Przeważnie jednak - jak mi powiedziała - Natan panował nad swym nałogiem. Był zawsze spięty, ożywiony, gadatliwy, podekscytowany; ponieważ w ciągu pierwszych pięciu miesięcy ich wspólnego życia (a byli z sobą bez przerwy) rzadko widywała sam akt „brania”, dopiero teraz, poniewczasie, skojarzyła to, co uważała za nieco zwariowany, lecz zwykły dlań sposób bycia, z narkotykami. Dodała też, że poprzedniego roku jego zachowanie, sama obecność Natana w jej życiu - niezależnie od tego, czy był pod wpływem narkotyków, czy też nie - czyniły ją szczęśliwą jak nigdy dotąd. Uświadomiła sobie wtedy, jak bezradna i zagubiona była zaraz po przyjeździe do Brooklynu i wprowadzeniu się do domu Yetty; wprawdzie zdawało jej się, że usiłowania, by zachować zdrowe zmysły, wyrzucić z pamięci przeszłość, dają rezultaty, że panuje nad sytuacją (czyż w końcu doktor Blackstock nie powiedział, że jest najlepszą sekretarką, jaką miał kiedykolwiek?), ale w rzeczywistości bliska była emocjonalnej katastrofy, bezradna wobec losu, jak szczeniak ciśnięty do wzburzonej wody. - Uświadomił mi to ten, który wypieprzył mnie palcem w metrę - powiedziała. Mimo że udało jej się chwilowo wyjść z kryzysu, wiedziała, że znajduje się na równi pochyłej i spada gwałtownie, na łeb, na szyję w przepaść, toteż wołała nie myśleć, co by się stało, gdyby Natan (który owego pamiętnego dnia przybłąkał się jak ona do biblioteki, w poszukiwaniu nieosiągalnego w księgarniach zbiorku opowiadań Ambrose’a Bierce’a; błogosławiony Bierce! Bierce’owi chwała!) nie zjawił się znikąd niczym jakiś rycerz wybawiciel i nie przywrócił jej życia. Życie. To było właśnie to. Naprawdę tchnął w nią życie. Przywrócił jej (z łaskawą pomocą swego brata, Larry’ego) zdrowie, sprawiwszy, że wyleczono ją z wampiryzcy - - anemii w szpitalu Columbia Presbyterian, gdzie znakomity lekarz, doktor Hatfield, wykrył jeszcze parę innych niedomagań wycieńczonego organizmu, wymagających kuracji. Przede wszystkim odkrył, że po wielu miesiącach ciągle dają znać o

sobie skutki przebytego szkorbutu. Przepisał jej więc masę tabletek. Wkrótce nękające ją, paskudne krwawe wylewy na całej skórze zniknęły, lecz jeszcze bardziej istotna zmiana dotyczyła włosów. Te złote włosy, przedmiot jej dumy, zawsze dodawały Zofii pewności siebie, ale po przejściu przez Hades zmarniały podobnie jak ciało, zmatowiały, straciły cały blask. Kuracja zaaplikowana przez doktora Hatfielda zmieniła i to, tak że wkrótce, po sześciu mniej więcej miesiącach, Natan mruczał jak wygłodniały kocur zanurzając twarz w ich gęstwie, głaszcząc je namiętnie i nalegając, by wystąpiła jako modelka reklamująca szampony.

Wspaniała amerykańska medycyna oraz opieka Natana przywróciły Zofii zdrowie zaiste kwitnące, jak na kogoś, kto tyle wycierpiał. Medycynie tej zawdzięczała między innymi swoje cudowne zęby. Owa „szatkownica”, jak ją nazywał Natan, zastąpiła tymczasową protezę założoną w Szwecji przez dentystę z Czerwonego Krzyża i była dziełem innego przyjaciela i kolegi po fachu Larry’ego, jednego z najwybitniejszych nowojorskich protetyków. Trudno było te zęby zlekceważyć. Jako klejnot sztuki dentystycznej dorównywały chyba dziełom Benvenuto Celliniego. Były wprost bajeczne, połyskiwały zimnym, perłowym blaskiem; ilekroć uśmiechnęła się szeroko, przypominałem sobie zmysłowe zbliżenia twarzy Jean Harlow, a kiedy zdarzało się, że

Zofia wybuchnęła śmiechem w wyjątkowo słoneczne dni, w całym pokoju robiło się jasno jak od flesza.

Przywrócona światu żywych, hołubiła wspomnienia cudownych dni lata i wczesnej jesieni spędzonych z Natanem. Jego hojność była bezgraniczna, i chociaż nadmierne zamiłowanie do luksusu nie leżało w naturze Zofii, ceniła uroki wygodnego życia i chętnie przyjmowała jego dary - cieszyły ją w równym stopniu same prezenty, co widoczna przyjemność, jaką Natan czerpał z dawania. A dawał jej i dzielił z nią wszystko, czego mogła zapragnąć: płyty z cudowną muzyką, bilety na koncerty, polskie, francuskie i amerykańskie książki, boskie potrawy w restauracjach całego Brooklynu i Manhattanu prowadzących kuchnie wszelkich możliwych ras i narodów. Znamca win, miał też wyczulone podniebienie (była to, jak twierdził, reakcja na nadmiar zjedanego w dzieciństwie rozmiękłego *kreplacza* i *gefилte fisz*), oczywistą przyjemność sprawiało mu zatem zaznajamianie Zofii z rozkoszami niewiarygodnie obfitego i urozmaiconego nowojorskiego stołu.

Kwestia pieniędzy zdawała się nie istnieć; praca u Pfizera była najwidoczniej dobrze płatna. Kupował jej eleganckie ubrania (włącznie z zabawnymi, uroczymi i stylowymi „kostiumami”, w jakich zobaczyłem ich podczas naszego pierwszego spotkania), pierścionki, kolczyki, bransoletki, korale. Było jeszcze kino. Podczas wojny Zofia tęskniła do filmów

prawie tak samo jak do muzyki. W Krakowie, w czasach przedwojennych, był okres, kiedy namiętnie chodziła na filmy amerykańskie - cikliwe, niewinne romanse z lat trzydziestych z takimi gwiazdami, jak Errol Flynn, Merle Oberon, Gable czy Lombard. Uwielbiała też Disneya, a zwłaszcza Myszkę Miki i *Królewnę Śnieżkę*. I - ach!

- Freda Astaire'a i Ginger Rogers, zwłaszcza w filmie *Panowie w cylindrach!* W tym raj, jakim był dla kinomanów Nowy Jork, wybierali się czasami na weekendowe maratony i gapili się zaczerwienionymi oczami na ekran, oglądając po pięć, sześć, nawet siedem filmów, poczynawszy od piątkowego wieczoru, a skończywszy na ostatnim seansie niedzielny. Prawie wszystko, co posiadała, zawdzięczała szczodrości Natana, nawet - jak stwierdziła chichocząc - krążek. Jego założenie (zrobił to inny z kolegów Larry'ego) było ostatecznym i niejako symbolicznym akcentem w przemysłnym programie Natana, mającym przywrócić jej zdrowie; nigdy przedtem nie używała krążka, a kiedy zgodziła się go założyć, doznała nagłego uczucia wyzwolenia, odbierając to jako ostateczny dowód zerwania z Kościołem. Ale zmiana wyzwoliła ją także pod innym względem. - Stingo oświadczyła - nigdy nie przypuszczałam, że dwoje ludzi może się tak pieprzyć. Ze można tak to uwielbiać.

Jedynym cierniem w tym życiu usłanym różami był - jak mi powiedziała - problem jej pracy. To znaczy fakt, że w dalszym ciągu pracowała u doktora Hymana Blackstocka, co tu ukrywać, kręgarza. Jako brat pierwszorzędnego lekarza, Natan, który uważał się za rasowego naukowca (przy czym zasady etyki lekarskiej były dlań tak święte, jakby to on sam składał przysięgę Hipokratesa), nie mógł ścierpieć tego, że Zofia pracuje u jakiegoś znachora. Oświadczył jej wprost, że z jego punktu widzenia jest to równoznaczne z kurewstwem i nalegał, by się zwolniła. Trzeba przyznać, że przez dłuższy czas obracał całą sprawę w jeden wielki żart, prokurując przeróżne komiczne historyjki i anegdotki okręgarzach i ich szarlatańskich praktykach, z których śmiała się mimo woli; to humorystyczne podejście do sprawy utwierdzało ją w przekonaniu, że sprzeciwów Natana nie należy brać zbyt serio. Jednak nawet wtedy, gdy jego utyskiwania nasiliły się, a krytycyzm zaostrzył i nabrał poważniejszych tonów, zdecydowanie odrzucała pomysł, by zwolnić się z pracy, bez względu na to, jak nieznośna była dlań cała sytuacja. Był to jeden z nielicznych aspektów ich związku, co do którego nie potrafiła podporządkować się woli Natana. W tej sprawie nie ustępowała na milimetr. Ostatecznie nie byli małżeństwem. Musiała mieć odrobinę poczucia niezależności. Musiała utrzymać pracę w czasach, kiedy tak piekielnie trudno było ją zdobyć, zwłaszcza (jak powtarzała Natanowi) młodej kobiecie „bez szczególnych talentów”. Poza tym czuła się pewniej w takiej pracy, w której mogła rozmawiać z szefem w swoim ojczystym języku, i szczerze polubiła Blackstocka. Był dla niej jak ojciec chrzestny albo jak ukochany wujaszek i

wcale się tego nie wstydziła. Niestety, uświadomiła sobie z czasem, że to właśnie ta niewinna, pozbawiona wszelkich romantycznych podtekstów sympatia, błędnie interpretowana przez Natana, podsyciała jego gwałtowną antypatię wobec Black - stocka. Rzecz byłaby może nawet zabawna, gdyby nie to, że w tej niewczesnej zazdrości tkwił zalążek ataków furii i czegoś jeszcze gorszego...

Wcześniej Zofią wstrząsnęła dziwna, jakby uboczna tragedia, którą warto tu opisać choćby tylko dlatego, że w pewnym sensie wpłynęła ona na dalszy bieg wypadków. Miało to związek z żoną Blackstocka, Sylwią i jej skłonnością do alkoholu; samo okropne wydarzenie miało miejsce wczesną jesienią, mniej więcej cztery miesiące po spotkaniu Zofii i Natana...

- Wiedziałem dokładnie, że ma z tym problem - żałośnie skarżył się później zrozpaczony Blackstock w rozmowie z Zofią ale nie miałem pojęcia, że ten problem jest tak poważny. - Wyznał w udreće, że czuje się winny swojej rozmyślnej ślepoty: wracając do St. Albans starał się ignorować fakt, że po wypiciu jednego drinka, zwykle koktajlu Manhattan, jaki sam przygotowywał dla obojga, zaczynał jej się plątać język. Przypisywał zarówno ów bełkot, jak chwiejny krok po prostu słabej głowie Sylvii. Wiedział jednak, że w bezgranicznej miłości do żony sam się oszukuje z panicznej obawy przed prawdą, która wyszła na jaw w całej okazałości w parę dni po jej śmierci. W ubieralni Sylvii sanktuarium, do którego Blackstock nigdy nie wchodził w jednej z szaf znajdowało się siedemdziesiąt pustych, litrowych butelek po Southern comfort; biedaczka najwidoczniej bała się ryzykować ich wynoszenie, choć nie miała bynajmniej problemu z zaopatrywaniem się w ten słodki, krzepki eliksir, i to całymi skrzynkami. Dopiero wtedy, gdy było już za późno, Blackstock uprzytomnił sobie - lub raczej wreszcie spojrzął prawdzie w oczy że trwało to miesiącami, może latami. - Gdybym jej tak nie rozpieszczał - użalał się Zofii - gdybym stawiał czoło faktowi, że była... - zawahał się - że była gazerką, mógłbym ją poddać kuracji psychoanalitycznej, mógłbym ją wyleczyć. - Przykro było słuchać jego samooskarżeń. - To moja wina, wyłącznie moja! - łkał. Głównym motywem zaś w tej wiazance żalów był wyrzut sumienia, że choć w gruncie rzeczy świadom okropnych kłopotów żony, pozwolił jej prowadzić samochód.

Sylvia była jego najdroższym kociaczkim i tak właśnie ją nazywał. Mój kociaczek. Nie miał właściwie na kogo trwonić pieniędzy, wobec czego zamiast utyskiwać, jak to czynią klasyczni małżonkowie, zachęcał ją wręcz do wypadów na Manhattan. Tam, z którąś ze swoich przyjaciółek - nadzianą, pulchną próżniaczką jak ona - buszowały po Altmanach, Bergdorfach, Bonwitach i tuzinie innych luksusowych sklepów, po czym wracały na Queens z tylnym siedzeniem zawalonym pudłami pełnymi damskich ciuchów, z których większość

marniała potem nie tknięta w szufladach albo upychana była na dnie niezliczonych szaf. Tam właśnie odkrywał potem Blackstock stertę za stertą nie noszonych, lekko już zbutwiałych sukienek i ubrań. Dopiero poniewczasie, po smutnym zdarzeniu, dowiedział się, że orgia zakupów kończyła się zwykle pijaństwem w towarzystwie tej, która w danym dniu brała udział w wyprawie. Ulubionym miejscem Sylvii był bar Westbury Hotel na Madison Avenue, gdzie barman był przyjazny, pobłażliwy i dyskretny. Ale jej zdolność oparcia się działaniu southern comfort - który także w Westbury stanowił ulubiony trunek Sylvii - zmniejszała się z dnia na dzień, a gdy zdarzyła się katastrofa, stało się to nagle, było straszne i, jak wspomniałem, wręcz nieprzyzwoicie dziwaczne.

Wracając pewnego popołudnia przez Triborough Bridge do St. Albans z nadmierną szybkością (policja stwierdziła, że wskazówka szybkościomierza zablokowała się na osiemdziesięciu pięciu milach na godzinę) Sylvia straciła panowanie nad kierownicą i chrysler wyrzwał w tył ciężarówkę, po czym okręciwszy się kilka razy wpadł na barierkę mostu i w ułamku sekundy zamienił się w kupę złomu ze stali i plastiku. Przyjaciółka Sylvii, pani Braunstein, zmarła trzy godziny później w szpitalu. Samej Sylvii ucięło głowę; już samo to było upiorne. Dla i tak bliskiego obłądu Blackstocka świadomość, że głowa wyrzucona z potężną siłą do East River zniknęła bez śladu, musiała być czymś potwornym. (Bywają w życiu każdego z nas przedziwne momenty, kiedy nasze drogi krzyżują się po jakimś czasie ze szlakami tych, których tragedie zdają się nam abstrakcyjnymi, publicznymi zdarzeniami; kiedy wiosną tamtego roku przeczytałem z dreszczem grozy nagłówek: POSZUKIWANIA GŁOWY KOBIETY W RZECE TRWAJĄ, nawet przez myśl mi nie przeszło, że wkrótce zetknę się, przynajmniej pośrednio, z małżonkiem ofiary wypadku.)

Blackstock popełnił właściwie samobójstwo. Jego rozpacz była bezmierna jak potop - jakby wystąpiła z brzegów Amazonka. Zrzucił bezterminowo praktykę lekarską, powierzając swych pacjentów opiece asystenta, Seymoura Katza. Załamany, oświadczył, że prawdopodobnie nigdy nie wróci do wykonywania zawodu i że wycofuje się na emeryturę do Miami Beach. Nie miał bliskiej rodziny, więc Zofia stała się dla kompletnie załamane go bolesną stratą człowieka, który nie mógł się otrząsnąć z głębokiej i rozdzierającej depresji, kimś w rodzaju zastępczej krewnej, młodszą siostrą czy córką. Przez parę dni, kiedy trwały poszukiwania głowy, Zofia nie odstępowała go w St. Albans na krok, podając mu środki uspokajające, parząc herbatę, cierpliwie wysłuchując żałobnych lamentów. Tłumy ludzi przewijały się przez dom, ale ona jedna trwała na posterunku bez przerwy. Był jeszcze problem pochówku - doktor nie zgadzał się na pogrzebanie bezgłowego ciała; zebrawszy się na odwagę, Zofia wdała się w głośne, ponure rozważania na ten temat: „Co będzie, jeśli

poszukiwania spełzną na niczym?” Dzięki Bogu głowa wkrótce się odnalazła, wyrzucona przez fale na brzeg Riker’s Island. To właśnie Zofia odebrała telefon z kostnicy miejskiej i to jej udało się - choć nie bez trudności - namówić Blackstocka, za radą lekarza przeprowadzającego autopsję, by poszedł zidentyfikować znalezisko. Skompletowane wreszcie ciało Sylvii spoczęło na hebrajskim cmentarzu na Long Island. Zofię zdumiały tłumy przyjaciół i pacjentów doktora obecne na pogrzebie. Wśród żałobników znalazł się przedstawiciel władz wydelegowany przez burmistrza Nowego Jorku, wysokiej rangi inspektor policji i Eddie Kantor, słynny komik radiowy, którego kręgosłupem zajmował się kiedyś Blackstock.

Kiedy wracali do Brooklynu limuzyną zakładu pogrzebowego Blackstock osunął się w objęcia Zofii i zaczął płakać jak dziecko, raz jeszcze wyznając jej po polsku, jak wiele dla niego znaczy, tak jakby Zofia była córką, której on i Sylvia nigdy nie mieli. Nie było tradycyjnego, żydowskiego czuwania. Blackstock wołał samotność. Zofia pojechała z nim do St. Albans i pomogła mu uporządkować parę spraw. Wczesnym wieczorem - pomimo jej protestów, że pojedzie metrem - odwiózł ją do Brooklynu swym krążownikiem, fleetwoodem. Podjechali pod drzwi Różowego Pałacu w chwili, gdy nad Prospect Parkiem zapadał mglisty, jesienny zmierzch. Blackstock wydawał się teraz bardziej opanowany i pozwolił sobie nawet na kilka żarcików. Wychylił też ze dwie szklaneczki rozwodnionej szkockiej, choć nigdy nie należał do amatorów alkoholu. Jednak stojąc z nią przed domem, znów się rozkleił i objął ją konwulsyjnie w nikłym świetle zmierzchu, wtulając twarz w jej ramię i mamrocząc coś beładnie w jidysz. Z jego piersi wydobywał się szloch najbardziej samotnego człowieka na świecie, szloch, jakiego nigdy dotąd nie słyszała. Uścisk był tak kurczowy, tak namiętny, tak t o t a l n y, że Zofia zaczęła się zastanawiać, czy doktor w swym osamotnieniu nie szuka czegoś więcej niż pociechy i oparcia w córce; czuła nacisk jego brzucha i niemal seksualne napięcie. Ale szybko pozbyła się tych podejrzeń. Był przecież taki purytański. Poza tym, jeśli nigdy dotąd nie przystawiał się do niej w pracy, to teraz, kiedy tonął w smutku, wydawało się to tym bardziej nieprawdopodobne. Jej rozumowanie okazało się później słuszne, chociaż miała powody, by żałować tego przedłużonego, wilgotnego i dość kłopotliwego zwarcia. Bo według wszelkiego prawdopodobieństwa Natan przyglądał się im z góry.

Była śmiertelnie zmęczona obowiązkami służącejpocieszyciel - ki, marzyła więc, żeby się wcześniej położyć. Innym powodem, który skłaniał ją do wczesnego pójścia do łóżka, wywołując jednocześnie narastające podniecenie, było to, że rano, w sobotę, mieli wyruszyć w podróż do Connecticut. Zofia wyglądała niecierpliwie tej wycieczki od wielu dni. Już w Polsce, w dzieciństwie, słyszała o październikowym cudzie rozjarzonych barwami ognia

lasów Nowej Anglii, ale Natan podsycił jej ciekawość, opisując w charakterystyczny dla siebie, uroczy i niezwykły sposób pejzaż, który miała wkrótce zobaczyć, i zapewniając ją, że to specyficznie amerykańskie widowisko, owa rozszalała pożoga, wyjątkowa jako zjawisko natury, jest przeżyciem estetycznym, jakiego nie można po prostu zignorować. Raz jeszcze udało mu się pożyczyć na weekend samochód Larry'ego, zarezerwował też pokój w jednym ze słynnych wiejskich zajazdów. Już samo to wystarczyłoby, żeby zaostrzyć apetyt Zofii na eskapadę, tym bardziej że oprócz wyjazdu na pogrzeb i jednodniowej letniej wycieczki z Natanem do Montauk nie opuszczała granic Nowego Jorku. Nowe amerykańskie doświadczenie ze swą zapowiedzią bukolicznych uroków przyprawiało ją zatem o przyjemny dreszczyk oczekiwania, żywszy od tych, jakich doznawała w dzieciństwie, gdy w letni dzień zasapany pociąg wyruszał z Krakowa w stronę Wiednia, Górnej Adygi i mgieł kłębiących się nad Dolomitami.

Wchodząc na piętro, zastanawiała się, co powinna włożyć; zaczęły się chłody, więc rozważała, który z jej wyszukanych strojów byłby odpowiedni na jesienną wyprawę w lasy, i wtedy przypomniała sobie lekki tweedowy kostium zakupiony przez Natana w sklepie Abraham & Straus zaledwie dwa tygodnie temu. Już na półpiętrze dotarły do niej dźwięki *Rapsodii na alt solo* Brahmsa, rozkwitający, pełen mrocznego uniesienia śpiew Marian Anderson, triumf wydarty z wielowiekowej rozpacz. Być może sprawiło to zmęczenie lub potrzeba odreagowania pogrzebu, ale muzyka wywołała rozkoszne, dławiące wzruszenie, i oczy Zofii napełniły się łzami. Przyspieszyła kroku, a serce zaczęło jej bić mocniej, bo muzyka oznaczała, że Natan jest w domu. Ale kiedy otworzyła drzwi i zawołała: Kochanie, jestem! - stwierdziła ku swemu zaskoczeniu, że w pokoju nie ma nikogo. A przecież spodziewała się go zastać. Mówił, że będzie po szóstej, i oto nie było go.

Postanowiła się chwilę zdrzemnąć, ale była tak wyczerpana, że zapadła w długi, choć niespokojny sen. Ocknąwszy się w ciemnościach stwierdziła, że ledwie widoczne, zielonkawe oczka budzika wskazują parę minut po dziesiątej; ogarnął ją nagły lęk. Natan! Było tak do niego niepodobne, żeby nie zjawił się o umówionej godzinie czy przynajmniej nie zostawił wiadomości. Poczula paniczny strach kobiety opuszczonej. Zerwała się z łóżka, zapaliła światło i zaczęła przechadzać się bez celu po pokoju. Nurtowała ją jedna myśl: że wrócił z pracy, wyszedł po coś i uległ jakiemuś straszemu wypadkowi na ulicy. Każdy odnotowany przed chwilą we śnie przenikliwy dźwięk syreny policyjnej mógł oznaczać katastrofę. Coś podpowiadało Zofii, że jej panika jest niemądra, ale mimo to nie mogła odpędzić złych przeczuć. Miłość do Natana trawiła ją niczym gorączka, ale jednocześnie czyniła dziecinnie bezradną i na tysiąc sposobów zależną. Groza wywołana jego zagadkową nieobecnością

całkowicie ją obezwładniła, jak ów dławiący strach - strach przed porzuceniem przez rodziców - który często ogarniał ją w dzieciństwie. Wiedziała, że i to uczucie jest irracjonalne, ale nie mogła niczemu zaradzić. Włączyła radio nasłuchując obojętnego, abstrakcyjnego głosu lektora wiadomości. Potem znów zaczęła przemierzać pokój, wyobrażając sobie najbardziej upiorne nieszczęścia. Bliska już była łez, kiedy nagle wtargnął z hałasem do pokoju. Poczuli się tak, jakby szczęście spadło na nią niczym ulewa światła, jakby zmartwychwstała. Pamiętała, że pomyślała wtedy: ta miłość jest niewiarygodna.

Zdusił ją w uścisku.

- Będziemy się pieprzyć - wydyszał do jej ucha. Po chwili zastanowienia rzekł jednak: - Nie, poczekajmy. Mam dla ciebie niespodziankę. - Drżała w jego paraliżującym, niedźwiedzim uścisku, obezwładniona nagłym uczuciem ulgi, wiotka jak łądzka kwiatu.

- Kolacja... - zaczęła głupawo.

- Nie mów o kolacji - zahuczał wypuszczając ją z objęć.

- Mamy coś lepszego do roboty. - Kiedy rozradowany okrążał ją tanecznym krokiem, spojrzała mu w oczy; dziwaczne błyski, podniesiony, niemal maniacki ton głosu zdradziły od razu, że jest na prochach. A jednak, mimo że nigdy nie widziała go tak podekscytowanego, nie poczuła niepokoju. Była rozbawiona, odprężona, ale nie zaniepokojona. Widziała go już przedtem na haju. - Idziemy na *jam session* do Morty'ego Habera - oświadczył pocierając nosem jej policzek jak zakochany na zabój łoś.

- Wkładaj płaszcz. Idziemy na *jam* i oblać pewne wydarzenie!

- Co takiego, kochanie? - zapytała. Jej miłość do Natana i uczucie zbawienia były tak obłądnie silne, że przepłynęłaby z nim Atlantyk, gdyby tego zażądał. Jednak jego rozgorączkowanie zakłopotalo ją i oszołomiło (poza tym była okropnie głodna), więc próbowała go uspokoić daremnym trzepotaniem dłoni. Jednocześnie nie mogła się powstrzymać od śmiechu, widząc ten wybuch hałaśliwego entuzjazmu. Pocałowała go w *sznoca*.

- Pamiętasz eksperyment, o którym ci opowiadałem? - zapytał.

- Tę historię z oznaczaniem krwi, nad którą głowiliśmy się ostatnio cały tydzień? I ten problem związany z enzymami surowicy?

Zofia skinęła głową. Nie rozumiała nic a nic z tego, co mówił obadaniach naukowych w laboratorium, ale była zawsze wierną słuchaczką, uważnym, jednoosobowym audytorium jego skomplikowanych wywodów na temat fizjologii i zagadek chemii ludzkiego ciała. Gdyby był poetą, czytałby jej swoje wspaniałe wiersze. Ale był biologiem i czarował opowieściami o makrocytach, elektroforezie hemoglobiny i jonitach organicznych. Nie

pojmwiała z tego nic. Ale kochała wszystko, bo kochała Natana, i teraz w odpowiedzi na jego raczej retoryczne pytanie przytaknęła:

- Oczywiście.

- Dziś po południu przebiliśmy się nareszcie. Problem rozwiązany. Rozwiązany, Zofio. To była najważniejsza bariera do pokonania. Teraz rriusimy tylko jeszcze raz przeprowadzić cały eksperyment dla w(ydziału Norm i Kontroli - czysta formalność - i jesteśmy wśrodku, jak banda kasiarzy. Droga do największego w historii przełomu w medycynie otwarta!

- Hurra! - zawołała Zofia.

- Daj buzi. - Mamrotał coś i pomrukiwał, przyciskając wargi do jej ust i delikatnie wsuwając i wysuwając język w dwuznacznej, żartobliwej imitacji laskotliwych ruchów kopulacyjnych. Potem nagle odsunął się od niej. - Będziemy to oblewać u Morty'ego. Chodźmy!

- Jestem głodna! - zawołała. Protest nie był zbyt zdecydowany, ale musiała to powiedzieć, nękana skurczami żołądka.

- Jeść będziemy u Morty'ego - odpowiedział wesoło. - Nie martw się, będzie fura żarcia. Idziemy!

Specjalne wydanie wiadomości. Głos przykuł oboje do miejsca wyszkolony, modulowany głos spikera radiowego. Zofia dostrzegła, że ożywiona twarz Natana znieruchomiła na ułamek sekundy, jak gdyby ścięta mrozem, a potem uchwyciła własne odbicie w lustrze: wykrzywiona, zablokowana szczęka, bolesne spojrzenie, jakby złamała ząb. Spiker mówił, że byłego marszałka polnego Hermanna Göringa znaleziono martwego w celi więzienia w Norymberdze. Samobójstwo. Śmierć nastąpiła przez otrucie cyjankiem w kapsułce czy też tabletkę, przemyconej w jakimś zakamarku ciała. Oskarżony, nazistowski przywódca, wzgardliwie milczący do końca (czytał monotennie spiker), uniknął w ten sposób kary z rąk wroga, idąc w ślady Josepha Goebbelsa, Heinricha Himmlera i głównego „planisty” - Adolfa Hitlera... Zofię przebiegły ciarki. Zobaczyła, że twarz Natana odpręża się ponownie ożywia.

- Jezus, ale go załatwił. Ależ załatwił kata. Ten cwany, tłusty skurwysyn.

Skoczył do radia i zaczął kręcić gałką, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Zofia krążyła nerwowo po pokoju. Była zdecydowana dokładnie wymazać z pamięci wszystko, co miało związek z wojną, toteż ignorowała sprawozdania z procesu norymberskiego, które przez rok zajmowały pierwsze strony gazet. W gruncie rzeczy właśnie tą awersją do czytania czegokolwiek o Norymberdze tłumaczyła sobie brak zainteresowania

amerykańską prasą, a tym samym brak postępów - przynajmniej w zakresie słownictwa z tej ważnej dziedziny - w angielskim. Wyeliminowała to, jak prawie wszystko, co wiązało się z najnowszą przeszłością. Właściwie w tych ostatnich tygodniach finałowej odsłony *Zmierzchu bogów*, wystawianego na scenie Norymbergi, udało jej się zapomnieć o wszystkim do tego stopnia, iż nie miała pojęcia o tym, że Góring ma zawisnąć na szubienicy, i wiadomość, że wykołował kata na parę godzin przed wyznaczonym terminem egzekucji, pozostawiła ją dziwnie obojętną.

Jakiś człowiek nazwiskiem H.V. Kaltenborn wygłaszał jedną z tych długich i patetycznych mów pogrzebowych. Napomknął między innymi, że Góring był narkomanem, i Zofia zaczęła chichotać. Śmiała się z Natana, który ciągnął kontrapunktowy, błazeński monolog równoległe do ponurej biografii.

- Gdzie on, do kurwy nędzy, schował tę kapsułkę z cyjankiem? W dupie? Na pewno zaglądali mu w dupę. I to nieraz! Ale pomiędzy tymi dwiema górami sadła mogli ją przeoczyć. Gdzie jeszcze mógł ją schować? W pępku? W zębie? Czy ci wojskowi kretyni nie sprawdzali mu pępka? Może w tych obwisłych zwałach tłuszczu? W podwójnym podbródku! Założę się, że Thuścioch miał ją tam schowaną cały czas. Nawet wtedy, kiedy szczyrzył zęby do Shawcrossa, do Telforda Taylora, kiedy szydził z paranoi całego procesu, miał tę kapsułkę w tłustym podbródku...

- Trzask w radiu. Potem głos spikera: „Wielu komentatorów jest zdania, że to Góring, w stopniu większym niż którykolwiek niemiecki przywódca, odpowiedzialny był za wcielenie w życie idei obozów koncentracyjnych. Jak uważają niektórzy, ten geniusz zła, choć pulchny i z wyglądu jowialny, przypominający komika z opery buffo, był prawdziwym ojcem Dachau, Buchenwaldu

i Oświęcimia, miejsc, które na zawsze pozostaną hańbą ludzkości...”

Zofia pomaszerowała nagle za parawan i tam zaczęła chlapać się nad umywalką. Ta paplanina o sprawach, o których za wszelką cenę chciała zapomnieć, przygnębiała ją i rozstrajała. Dlaczego nie wyłączyła wcześniej tego cholernego radia? Zza parawanu docierał do niej potok słów Natana. JużNej to nie śmieszyło, bo wiedziała, czym monolog może się skbnńczyć, wiedziała, jak przykry i kłótlivy staje się Natan, kiedy’pod wpływem chwilowego nastroju zaczyna roztrząsać tak niedawną przeszłość, to, co niewyraźalne. Czasami wszystko przeobrażało się w nieopanowaną wściekłość; zawsze przerażała ją ta nagła transformacja ożywionego, tryskającego humorem „odjazdowego” człowieka w udręczonego desperata.

- Natan! - zawołała. - Natan, kochanie, wyłącz radio i idziemy do Morty’ego. Jestem taka głodna. Proszę cię!

Zorientowała się jednak, że Natan nie słyszy albo nie chce słyszeć, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem jego obsesji na punkcie hitlerowskich wyczynów, całej owej potwornej historii, której ona pragnęła się pozbyć z namiętnością równą tej, z jaką on chciał rzecz ogarnąć, nie zapoczątkowała pewna kronika filmowa oglądana parę tygodni wcześniej. Wtedy bowiem, w kinie RKO Albee, do którego wybrali się na film z Dannym Kaye'em (wciąż najlepszym, jej zdaniem, komikiem świata), wspaniały nastrój błazenady prysnął nagle, kiedy w kronice pojawiła się krótka sekwencja z warszawskiego getta. Zofia poczuła się, jakby nagle porwał ją strumień dobrze znanych obrazów. Nawet zamienione w rumowisko podobne skutkom wybuchu wulkanu getto zachowało znajomy wygląd (mieszkała w pobliżu). Jak zawsze podczas oglądania dokumentów ze spustoszonej wojną Europą zmrużyła odruchowo oczy, jakby chciała przefiltrować obraz zniszczeń, uczynić go jeszcze bardziej szarą i zamazaną, neutralną plamą. Mimo to zarejestrowała religijną ceremonię towarzyszącą odsłonięciu przez jakąś żydowską organizację pomnika upamiętniającego masakrę i męczeństwo Żydów. Nad szarym pustkowiem niosło się, jak głos anioła z sercem przebitym sztyletem, śpiewane przenikliwym tenorem hebrajskie requiem. Usłyszała, że Natan wypowiedział półgłosem w mroku sali kinowej nie znane jej słowo *Kadisz*, a kiedy wyszli na zalaną słońcem ulicę, przesunął półprzytomnie palcami po oczach; zobaczyła, że łzy spływają mu po policzkach. Doznała wtedy wstrząsu; po raz pierwszy Natan - jej Danny Kaye, jej uwielbiany kłown - okazał takie uczucia.

Wychyliła się zza parawanu.

0 Chodźmy już, kochanie - zawołała błagalnie, ale widziała, że Natan nie ma zamiaru ruszyć się od radia. Usłyszała, jak rechocze sardonicznym śmiechem: - Ach, te zakute pały! Tłuszcioch wymknął im się, jak tylu innych! - Malując usta, zastanawiała się nad tym, jak bardzo Norymberga i ujawniane tam fakty zawładnęły myślami Natana w ostatnich miesiącach. Nie zawsze tak było; w pierwszych dniach ich wspólnego życia zdawał się niemal nie dostrzegać, jak świeże są jej rany, choć uboczne skutki tego, czego doświadczyła - wycieńczenie, anemia, brak zębów - ciągle pozostawały przedmiotem jego największej troski. Nie był oczywiście zupełnie nieświadom prawdy o obozach; Zofii wydawało się jednak, że obozy i ich potworność były dla Natana, jak dla wielu Amerykanów, częścią dramatu zbyt odległego, zbyt abstrakcyjnego, zbyt egzotycznego (więc niezrozumiałego), by ogarnąć go w pełni umysłem. Ale po tym wieczorze dosłownie z dnia na dzień zaszła w nim zmiana, dokonał się ów nagły zwrot. Już sceny z warszawskiego getta wstrząsnęły nim do głębi, a w dodatku zaraz potem przyciągnął jego uwagę cykl artykułów w „Herald Tribune”, dociekliwa „dogłębna” analiza jednej z najbardziej szatańskich serii zeznań wydukiwanych przed

norymberskim trybunałem, w trakcie których wychodziła na jaw cała prawda eksterminacji Żydów w Treblince - prawda niewyobrażalnie prosta w swej czysto statystycznej postaci recytowanych po kolei faktów.

Jej pełne ujawnienie postępowало z wolna, lecz skutecznie. Pierwsze informacje o potwornościach obozów dotarły do opinii publicznej na wiosnę 1945 roku, kiedy wojna dobiegała końca. Od tego czasu upłynęło półtora roku, ale trująca ulewa szczegółów, nagromadzenie faktów piętrzących się w Norymberdze przed innymi sądami, jak szokujące góry śmieci na wysypiskach, stawało się czymś, co przekraczało zdolność pojmowania, czymś gorszym nawet, niż mogły zapowiadać wcześniejsze, wprawiające w osłupienie zdjęcia stert trupów spychanych buldożerami. Obserwując Natana, Zofia uprzytomniła sobie, że ma do czynienia z kimś, kto znalazł się w kleszczach późną uświadomionej prawdy i przeżywał jedną z końcowych faz szejku. Do tej pory nie chciał po prostu wierzyć. Ale teraz uwierzył w pełni. Nadrabiał stracony czas, wchłaniając wszystko, co dotyczyło obozów, Norymbergi, wojny, antysemityzmu, rzezi europejskich Żydów (wiele wieczorów, które mieli spędzać w kinie lub na koncertach, poświęcał teraz niez mordowanemu szperaniu w głównej brook - lińskiej filii Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, gdzie w czytelni czasopism sporządzał notatki na temat dziesiątków nie znanych mu wcześniej faktów ujawnionych w Norymberdze, i skąd wypożyczał książki o takich tytułach jak *Zyd a ofiara złożona z ludzi*, *Nowa Polska a Żydzi* czy *Dotrzymana obietnica Hitlera*). Dzięki zdumiewającemu uporowi stał się takim samym ekspertem w zakresie dziejów hitleryzmu i żydostwa, jak w licznych innych dziedzinach wiedzy. Pewnego razu - zaznaczywszy, że jest biologiem - zapytał Zofię, czy nie sądzi, że pod względem ludzkich zachowań można by porównać zjawisko hitleryzmu do potężnej kolonii ulegających wynaturzeniu komórek, które stanowią takie samo zagrożenie dla całej ludzkości, jak złośliwy guz dla pojedynczego ludzkiego organizmu. Zadawał jej takie pytania w najbardziej nieoczekiwanych momentach przez całą resztę lata i jesień i zachowywał się jak udręczony opętaniec.

„Podobnie jak wielu przywódców hitlerowskich, Hermann Göring przejawiał umiłowanie sztuki - mówił H.V. Kaltenborn starczym, skrzekliwym głosem - ale była to miłość, która przekształciła się w obłęd na typowo hitlerowską modłę. To właśnie Göring, bardziej niż ktokolwiek inny z niemieckiego dowództwa, odpowiedzialny jest za splądrowanie muzeów i prywatnych zbiorów w takich krajach jak Holandia, Belgia, Francja, Austria, Polska...” Zofia miała ochotę zatkać uszy. Czyż nie można tej wojny, tych lat zepchnąć do jakiegoś ciemnego zakamarka świadomości i zapomnieć? Chcąc odwrócić uwagę Natana zawołała:

- To cudowne, że wasz eksperyment się powiódł, kochanie. Kiedy zaczniemy to oblewać?

Brak odpowiedzi. Skrzekliwy głos cedził swoje beznamiętne, ponure epitafium. No cóż - pomyślała Zofia, zastanawiając się nad obsesją Natana - nie muszę się przynajmniej obawiać, że wciągnie mnie w tę nienawistną sieć. Tak jak w wielu innych sprawach związanych z jej uczuciem, i pod tym względem pozostawał taktowny i delikatny. Była to jedna z rzeczy, co do których miała absolutną pewność: dała mu jasno do zrozumienia, że nie chce i nie może rozmawiać o swoich przeżyciach obozowych. Niemal wszystko, co mu kiedykolwiek na ten temat powiedziała, wycisnęła z siebie, skąpo dawkując szczegóły, tu, w tym samym pokoju, tamtego jednego, pamiętnego wieczoru, kiedy się poznali. Te kilka słów określało zasięg jego wiedzy. Od tej pory nie musiała mu już mówić o swojej niechęci do wspomniania tamtego okresu jej życia; Natan okazywał cudowną delikatność, więc była pewna, że po prostu wyczuwał jej opór przed grzebaniem się w tych sprawach. Tak więc z wyjątkiem sytuacji, kiedy odwiózł Zofię na badania do Columbia Hospital, gdzie z powodów czysto medycznych musiała opowiedzieć różnych formach maltretowania i głodzenia, nigdy nie rozmawiali o Oświęcimiu. Zresztą nawet wtedy operowała niedomówieniami, lecz rozumiał wszystko doskonale. I to zrozumienie było jeszcze jedną rzeczą, za którą go błogosławiła. Usłyszała trzask wyłączanego radia, po czym Natan wtargnął za parawan chwycił ją w ramiona. Przywykła już do takich nagłych, kowbojskich napaści. Oczy mu lśniły; z wibracji przebiegających jego ciało, wyposażone jakby w nowe, tajemnicze źródło skoncentrowanej energii, mogła wywnioskować, jak bardzo był nabuzowany. Pocałował ją jeszcze raz i znów zaczął sondować penetrować językiem wewnątrz jej ust. Ilekroć był na „prochach”, zamieniał się w rozplodowego buhaja, nachalnego i ogarniętego seksualną gorączką. Traktował wtedy Zofię z namiętną, zachłanną obcesowością, co sprawiało, że i jej krew zaczynała się burzyć; była gotowa natychmiast mu ulec. Także teraz poczuła, że robi się wilgotna. Natan powiódł jej rękę w stronę swego kutasa. Zaczęła go głaskać; był sztywny, twardy, wyczuwalny pod wilgotniejącą flanelą spodni tak wyraźnie jak koniec kijki od szczotki. Nogi ugięły się pod nią, z ust wydarł się jęk, chwyciła za suwak zamka błyskawicznego. W takich momentach pomiędzy jej ruchliwą dłonią a jego wrażliwym członkiem wytwarzał się rodzaj znajomej, miłosnej symbiozy, najzupełniej naturalnej - za każdym razem, kiedy błędziła tam ręką, kojarzyła to z widokiem małej niemowlęcej dłoni chwytającej kurczowo wysunięty palec.

Ale Natan oderwał się od niej nagle.

- Idziemy - powiedział. I dodał: - Zabawimy się później. Wyprawimy bal!

Wiedziała, co ma na myśli. Uprawianie seksu z Natanem w amfetaminowym transie było czymś więcej niż czystą przyjemnością, czymś nieokiełznanym, kosmicznym, niezemskim. I zdawało się trwać w nieskończoność...

- Prawie do końca przyjęcia, tego *jam session* u Morty'ego, nie podejrzewałam, że stanie się coś strasznego - powiedziała mi Zofia.

i Nigdy przedtem Natan mnie tak nie przeraził. Morty Haber miał ogromne mieszkanie na strychu w pobliżu Brooklyn College i tam właśnie odbywało się party. Morty - poznałam go kiedyś na plaży jest wykładowcą biologii w college'u i przyjaźni się z Natanem. Lubię go, ale szczerze mówiąc jestem strasznie zazdrosna o przyjaciół Natana, nieważne, mężczyzn czy kobiety. Wiem, że to do pewnego stopnia moja wada. Ale przede wszystkim byłam bardzo nieśmiała i mówiłam wtedy słabo po angielsku. I naprawdę łatwiej mi jest mówić niż rozumieć, więc kiedy wszyscy naraz zaczęli tak szybko trajkotać, poczułam się strasznie zagubiona. Poza tym ciągle mówili o rzeczach, na których się nie znałam albo które mnie nie interesowały - o Freudzie, psychoanalizie, kompleksie penisa i tym podobnych sprawach. Może obchodziłoby mnie to bardziej, gdyby nie byli przy tym tak nadęci i śmiertelnie poważni. Oczywiście jakoś sobie z nimi radziłam. Po prostu wyłączałam się i myślałam czym innym, kiedy zaczynali rozprawiać o teorii orgazmu, orgonach i takich tam kawałkach. *Quel ennui!* Myślę, że i oni mnie trochę polubili, choć zawsze byli trochę nieufni i zarazem ciekawi, bo nigdy nie mówiłam o swojej przeszłości i trzymałam się na uboczu. Poza tym byłam jedyną *siksą* w całym towarzystwie w dodatku Polką. Musiałam być dla nich kimś trochę obcym tajemniczym.

W każdym razie, kiedy tam dotarliśmy, było już późno. Mimo że prosiłam go, żeby tego nie robił, przed wyjściem z domu wziął jeszcze jedną tabletkę benzedryny - jak mówił: „Benny'ego” i kiedy wsiedliśmy do samochodu jego brata, był na haju, na niesamowitym haju, jak ptak, jak orzeł. W radiu nadawali *Don Giovanniego* - Natan znał libretto na pamięć i świetnie podrabiał operową włoszczyznę - więc zaczął śpiewać na całe gardło i tak go to pochłonęło, że zapomniał skręcić w stronę Brooklyn College i przejechał całą Flatbush Avenue, aż do oceanu. Jechał bardzo szybko i zaczęłam się trochę niepokoić. Całe to śpiewanie ta jazda spowodowały, że spóźniliśmy się do Morty'ego i kiedy tam dotarliśmy, była chyba jedenasta. Przyjęcie było ogromne, na co najmniej sto osób. Grał bardzo znany zespół jazzowy zapomniałam nazwiska klarncisty - już w drzwiach usłyszałam muzykę. Wydawała mi się okropnie głośna. Nie przepadam, szczerze mówiąc, za jazzem, chociaż zaczynałam lubić niektóre utwory, zanim... zanim Natan odszedł.

Większość ludzi była z wydziału chemii - studenci ostatniego roku, wykładowcy i tak

dalej - ale także sporo innych, mieszanina. Było kilka niezłych dziewczyn, modelek z Manhattanu, wielu muzyków, sporo czarnych. Nigdy nie widziałam tylu Murzynów z bliska, byli dla mnie bardzo egzotyczni i strasznie mi się podobało, jak się śmiali. Wszyscy popijali i świetnie się bawili. Czułam też dziwny dym, po raz pierwszy zetknęłam się z tym zapachem i Natan wyjaśnił mi, że to marihuana; nazywał ją „herbatka”. Ludzie wyglądali na bardzo szczęśliwych i na początku było nieźle, zupełnie dobrze, nie przeczuwałam jeszcze, że tak strasznie się to skończy.

Kiedy przyjechaliśmy, Morty stał w drzwiach. Natan od razu powiedział mi o eksperymencie, dosłownie krzyczał: „Morty, Morty, zwycięstwo! Rozpracowaliśmy problem enzymu surowicy!” Morty wiedział już o tym - jak mówiłam, był wykładowcą biologii - więc walił Natana po plecach, wychylili parę toastów piwem, a potem podeszła grupka innych i gratulowali Natanowi. Pamiętam, jaka byłam strasznie szczęśliwa, że jestem mu tak bliska, to znaczy, że tak bardzo kocha mnie ten cudowny człowiek, który na zawsze przejdzie do historii ze swoim medycznym odkryciem. A potem, Stingo, myślałam, że padnę trupem na miejscu. Bo Natan objął mnie ramieniem, przytulił mocno i oświadczył zebranim: „Wszystko to zawdzięczam poświęceniu i towarzystwu tej pięknej damy, najwspanialszej Polki od czasów Marii SkłodowskiejCurie, która uczyni mi wielki zaszczyt, przyjmując moje oświadczenia”.

Ach, Stingo, nie potrafię opisać, co czułam. Wyobraź sobie - ja jego żoną! Byłam kompletnie oszołomiona. Nie mogłam wprost uwierzyć, a jednak to była prawda. Natan, który mnie całuje, i ci wszyscy uśmiechnięci ludzie, i gratulacje. Myślałam, że śnię. Bo to wszystko było takie nagłe. Owszem, mówił już wcześniej o małżeństwie, ale zawsze takim lekkim tonem, jakby żartował, i choć sama myśl o tym zawsze mnie podniecała, nigdy nie traktowałam jego słów poważnie. I teraz stoję oszołomiona i trudno mi uwierzyć, że to nie sen.

Zofia zamilkła. Kiedy rozbierała na cząstki przeszłość, analizowała swój związek z Natanem albo próbowała rozgryźć jego tajemnicę, zakrywała zazwyczaj twarz rękami, jak gdyby szukała odpowiedzi czy klucza do zagadki w ciemności zamkniętej złożonymi dłońmi. Zrobiła to i teraz; dopiero po dłuższym czasie uniosła głowę, by mówić dalej.

- Dzisiaj jest dla mnie oczywiste, że to... że to obwieszczenie było tylko skutkiem działania prochów, tego narkotycznego rauszu, który unosił go coraz wyżej i wyżej w przestworza, jak orła. Ale wtedy nie kojarzyłam tego. Myślałam, że to wszystko prawda, że kiedyś rzeczywiście się pobierzemy, i byłam szczęśliwa jak nigdy. Wypiłam trochę wina i wszystko zaczęło mi się cudownie mieszać w głowie. Natan gdzieś poszedł i zaczęłam

rozmawiać z jego przyjaciółmi. Ciągłe mi gratulowali. Był wśród nich jeden Murzyn, którego od razu polubiłam, malarz, Ronnie Jakiśtam. Wyszliśmy na dach, z nim i z bardzo seksowną dziewczyną, Azjatką, nie pamiętam jej imienia, i Ronnie zaproponował mi herbatę. Początkowo nie bardzo wiedziałam, o co chodzi. Oczywiście w pierwszej chwili sądziłam, że ma na myśli taką zwykłą herbatę z cukrem i z cytryną, ale wtedy on uśmiechnął się szeroko i zrozumiałam, że mówi o marihuanie. Trochę się bałam - zawsze obawiałam się stracić nad sobą panowanie - ale w końcu byłam w tak świetnym nastroju, taka szczęśliwa, więc pomyślałam, że mogę zapalić bez obaw. Ronnie dał mi małego papierosa, zaciągnęłam się głęboko i od razu zrozumiałam, dlaczego ludzie to palą - wrażenie było cudowne!

Marihuana jakby rozgrzała mnie wewnątrz. Na dachu było dość chłodno, poczułam nagle gorąco i cała ziemia, i noc, przyszłość wydały mi się jeszcze piękniejsze. *Une merveille, la nuit!* W dole Brooklyn, z milionami świateł. Stałam długo na dachu z Ronniem i z tą Chinką i słuchałam jazzu, patrząc w gwiazdy, i czułam się tak wspaniale, jak jeszcze nigdy. Straciłam chyba poczucie czasu, bo kiedy wróciłam do środka, było późno, prawie czwarta. Przyjęcie trwało na pełnych obrotach, ciągle rozbrzmiewała muzyka, ale część gości już wyszła, więc po chwili zaczęłam szukać Natana i nie mogłam go znaleźć. Zapytałam parę osób i ktoś pokazał mi pokój w głębi strychu. Weszłam tam i zobaczyłam Natana w gronie sześciu czy siedmiu osób. Nastrój zabawy prysnął. Panowała cisza. Było tak, jakby ktoś uległ straszliwemu wypadkowi, a wszyscy naokoło naradzali się, co robić. Wydawali się bardzo trzeźwi i kiedy weszłam, poczułam lekkie zdenerwowanie i niepokój. Zaczęłam sobie uświadamiać, że z Natanem dzieje się coś bardzo poważnego i bardzo złego. To było okropne uczucie, tak jakby uderzyła we mnie lodowata fala. Okropne, straszne uczucie.

Wszyscy słuchali radiowego sprawozdania z egzekucji w Norymberdze. To była specjalna relacja na falach krótkich, ale prawdziwa, to znaczy bezpośrednia, i słyszałam przez zakłócenia odległy głos reportera z CBS opisującego w szczegółach wieszanie. Mówił, że von Ribbentrop już nie żyje i chyba Jodl, a potem powiedział, że następny będzie Julius Streicher. Streicher! To było nie do zniesienia! Nagle oblał mnie zimny pot, zrobiło mi się słabo, okropnie. Trudno opisać to mdlące uczucie, bo oczywiście człowiek powinien oszaleć z radości, że ich wieszają więc nie to mną wstrząsnęło - ale znów przypomniało mi się wszystko, o czym tak bardzo chciałam zapomnieć. To było takie samo uczucie jak wtedy, wiosną, kiedy zobaczyłam w czasopiśmie zdjęcie Rudolfa Hössa z pętlą na szyi. Więc kiedy ci ludzie w pokoju słuchali sprawozdania z egzekucji w Norymberdze, zapragnęłam nagle uciec stamtąd i powtarzałam w duchu: Czy nigdy nie uwolnię się od przeszłości? Obserwowałam Natana. Był ciągle w narkotycznym transie, mogłam to wyczytać z jego oczu,

ale słuchał tak samo jak inni, z mrocznym i zbolałym wyrazem twarzy. Było w tej twarzy coś przerażającego i złowieszczego. I we wszystkim. Cały nastrój zabawy, cała radość zniknęła, przynajmniej w tym pokoju. To było jak msza za zmarłych. Nagle audycja się skończyła, a może ktoś wyłączył radio i wszyscy zaczęli mówić naraz z wielką powagą i przejęciem.

Znałam ich wszystkich, to byli przyjaciele Natana. Zapamiętałam szczególnie jednego. Rozmawiałam z nim już wcześniej. Nazywał się Harold Schoental, był chyba w wieku Natana wykładał, zdaje się, filozofię w college'u. Był bardzo wrażliwy poważny, ale lubiłam go trochę bardziej niż pozostałych. Uważałam, że jest naprawdę bardzo wrażliwym człowiekiem. Zawsze wydawał mi się jakiś udręczony i nieszczęśliwy, bardzo świadomy swojego żydostwa. Zawsze też dużo mówił, a tamtej nocy, pamiętam, był jeszcze bardziej niż zwykle wzburzony i podekscytowany, choć wiem, że nie brał jak Natan, nie wypił nawet dużo piwa ani wina. Był całkiem... no, przykuwał uwagę, miał łysinę i takie obwisłe wąsy jak - nie wiem, jak to jest po angielsku - takie zwierzę na górze lodowej. I duży brzuch. Tak, mors. Chodził po pokoju tam i z powrotem, palił fajkę - wszyscy słuchali uważnie, kiedy mówił - oświadczył, że „Norymberga to *farce*, i całe to wieszanie to *farce*. Symboliczny odwet, przedstawienie!” Powiedział: „Norymberga to ohydny unik, stwarzanie pozorów sprawiedliwości, podczas gdy zbrodnicza nienawiść do Żydów nadal zatruwa dusze Niemców. To ich należałoby poddać eksterminacji, Niemców, którzy pozwolili tym ludziom rządzić sobą i zabijać Żydów. A nie tę garstkę tak właśnie powiedział - karnawałowych szwarzcharakterów. A co z Niemcami przyszłości? - pytał. - Mamy dopuścić, żeby się wzbogacili i znów zaczęli mordować Żydów?” Wszyscy słuchali go jak jakiegoś wybitnego mówcy. Podobno podczas wykładów hipnotyzował studentów. Pamiętam, że byłam zafascynowana, nie odrywałam od niego wzroku. Była w jego głosie ta straszna *angoisse*, kiedy mówił o Żydach. Pytał, gdzie na świecie Żydzi mogą kiedykolwiek być bezpieczni. I odpowiedział sam sobie: „Nigdzie”.

Nagle uprzytomniłam sobie, że mówi o Polsce. Opowiadał, jak podczas jednej z rozpraw w Norymberdze, czy gdzieś tam, świadkowie zeznawali, że kilku Żydów uciekło z jakiegoś obozu w Polsce i próbowało znaleźć schronienie u miejscowej ludności, ale Polacy odmówili im pomocy. Gorzej: po prostu zamordowali wszystkich. Było to potworne - mówił Schoental - i stanowiło dowód, że Żydzi nie są bezpieczni nigdy i nigdzie. Prawie wykrzyczał to „n i g d z i e”. Nawet w Ameryce! *Mon Dieu*, pamiętam, jak szalał. Kiedy mówił o Polsce, poczułam się jeszcze gorzej, serce zaczęło mi walić, choć nie sądzę, żeby robił to specjalnie ze względu na mnie. Powiedział, że Polska jest chyba najgorszym przykładem, może nawet gorszym niż Niemcy, a przynajmniej takim samym, bo czyż to nie w Polsce, po śmierci

Piłsudskiego, który chronił Żydów, ludzie zaczęli ich prześladować, kiedy tylko nadarzyła się okazja? Czy nie w Polsce młodzi, nikomu nie wadzący studenci żydowscy podlegali segregacji, zmuszani byli do zajmowania osobnych ławek na uczelniach i traktowani gorzej niż czarni w stanie Missisipi? Dlaczego wprowadzenie getta ławkowego miałoby nie być możliwe w Ameryce? Kiedy to wszystko mówił, nie mogłam się powstrzymać, by nie myśleć o ojcu. Ojcu, który był współtwórcą tej koncepcji. Miałam wrażenie, że jest tam, że w pokoju pojawił się jego *I'espñt* i stoi tuż obok mnie. Chciałam się zapaść pod ziemię. Nie mogłam już tego znieść. Tak długo udawało mi się o tym nie myśleć, pogrzebać wszystko, wmieść pod dywan - co było może tchórzostwem, ale musiałam tak zrobić - i oto teraz znów wylewało się to z Schoentalą, a ja nie mogłam już dłużej wytrzymać. *Merde*, po prostu nie mogłam!

No więc kiedy Schoental ciągle mówił, podeszłam na paluszkach do Natana i powiedziałam mu na ucho, że musimy iść do domu, przypomniałam, że jutro jedziemy do Connecticut. Ale Natan nie ruszył się z miejsca. Był jak... jak zahipnotyzowany, jak ci studenci Schoentalą, o których słyszałam. Wpatrywał się w niego, chłonał każde słowo. W końcu powiedział mi szeptem, że on zostaje, żebym jechała do domu sama. Miał taki dziki wzrok, przeraziło mnie to. - Nie zasnę chyba do Bożego

Narodzenia - powiedział z tym swoim obłędem w oczach. - Idź, połóż się spać, a ja przyjadę po ciebie wcześniej rano. - Wyszłam więc pośpiesznie z pokoju, starając się nie słuchać Schoentalą, którego słowa dosłownie mnie zabijały. Wzięłam taksówkę. Czułam się strasznie. Zupełnie zapomniałam o tym, co powiedział Natan o naszym ślubie, tak byłam rozbita. Myślałam, że zacznę krzyczeć.

Connecticut.

Kapsułka zawierająca cyjanek sodowy (drobne kryształki podobne do BromoSeltzer - wyjaśnił Natan - tak samo łatwo rozpuszczalne w wodzie, choć nie musujące) była naprawdę maleńka, mniejsza niż jakakolwiek znana jej kapsułka z lekarstwem, i miała metaliczny połysk; gdy obracał nią w palcach tuż przed oczami Zofii leżącej na łóżku - tak, że różowawy pojemniczek wykonał przy tym piruet w powietrzu - mogła zobaczyć prześwitujący przez powłokę miniaturowy pożar, uwięziony obraz jesiennych liści płonących czerwienią zachodu słońca. Zofia wdychała leniwie dochodzące z kuchni na dole zapachy - pomieszaną woń chleba i chyba kapusty i obserwowała kapsułkę tańczącą w palcach Natana. Sen wdzierał się do jej mózgu jak fala przyływu; wyczuwała intensywne, kojące wibracje dźwięku i światła, które uśmierzały wszelki niepokój zaczynał się błękitny, nembutalowy trans. Nie trzeba ssać. Musi tylko nadgryźć, powiedział, ale bez obaw: poczuje tylko słodkawe - - gorzki, jakby migdałowy smak i zapach brzoskwini i zapadnie w nicość. Głęboka, czarna nicość - *rienada*,

pieprzona nicość! tak nagle, że wyklucza najmniejszy nawet ból. Być może, powiedział, ewentualnie, trwające ułamek sekundy uczucie paniki a raczej pewna przykrość - ale tak krótkie i bez znaczenia jak czknięcie. **Rien nada niente** pieprzona nicość!

- A więc Irmo, kochanie... - Czknięcie.

Nie patrząc na niego, wpatrując się w wyblakłą, bursztynową fotografię jakiejś babci w chustce, unieruchomionej wśród cieni na ścianie, wymamrotała:

- Mówiłeś, że nie będziesz. Obiecałeś mi tak dawno, że nie będziesz...

- Co nie będę?

- Ze nie będziesz mnie tak nazywał. Ze już nie powiesz: Irma.

- Zofia - powiedział głosem wypranym z emocji. - Zofia miła. Nie Irma.

Oczywiście. Oczywiście. Zofia. Miła. Zofiamiła.

Wydawał się teraz spokojniejszy - poranny szal, popołudniową obłąkańczą furię wyciszył, przynajmniej czasowo, ten sam nembutał, który dał jej. Błogosławiony barbiturat: kiedy szukał go bezskutecznie, ogarnęła ich oboje panika, ale w końcu, dwie godziny temu, znalazł. Był spokojniejszy, ale - wiedziała o tym ciągle rozstrojony. To zadziwiające - pomyślała - że w obecnym stanie uśmierzonego obłądzenia nie wydawał się wcale przerażający niebezpieczny, pomimo grozy, jaką mogła budzić kapsułka z cyjankiem trzymana tuż przed jej oczami. Mikroskopijny znak firmowy Pfizera odznaczał się wyraźnie na żelatynowej powłoce; kapsułka była tycia. Jak wyjaśnił, normalnie powinna zawierać antybiotyki dla małych kotków i szczeniąt. Dostał ją wczoraj jako miarkę do dozowania, co ze względu na rozmaite przepisy obowiązujące w laboratorium było trudniejsze niż zdobycie dziesięciu kryształków cyjanku - po pięć dla każdego z nich. Wiedziała, że to nie żarty; w innym czasie i miejscu potraktowałyby całą ceremonię jako jedną z jego makabrycznych sztuczek: w ostatniej chwili lśniący, różowy pojemniczek pęka zgnieciony w palcach, a w środku jest miniaturowy kwiatusek, maleńki owoc granatu, pralinka. Ale nie teraz, nie po całodziennym, niekończącym się delirium. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że maleńka szkatułka zawiera śmierć. A jednak, dziwna rzecz, nie czuła nic oprócz wszechogarniającego znużenia, kiedy podniósł kapsułkę do ust, wsunął ją między zęby i nagryzł tak, że powłoka nie pękła, tylko odkształciła się lekko. Czy to, że nie czuła przerażenia, było skutkiem działania nembutału, czy intuicyjnego przeczucia, że mimo wszystko udaje? Robił to już wcześniej. Wyjął kapsułkę z ust i uśmiechnął się. - **Rienada** pieprzona nicość. - Przypomniała sobie inny moment, kiedy tak się zabawiał w tym samym pokoju przed niespełna dwiema godzinami, choć wydawało się, że było to tydzień, miesiąc temu. Zastanawiała się teraz, jaka cudowna alchemia (nembutał?) sprawiła, że zaprzestał swej całodzienniej, nieprzerwanej tyrody.

Blablablablaba... Przerzywał zaledwie parę razy od dziewiątej rano, kiedy to wtargnął do Różowego Pałacu, wbiegł po schodach obudził ją...

Oczy wciąż zamknięte, mózg odurzony snem. Słyszy cmokania Natana.

- Pobudka!

A potem:

- Schoental ma rację. Jeśli mogło się to zdarzyć tam, może się zdarzyć i tutaj. Kozacy blisko! Jest tu jeden Żydziak, który chce zwać na wieś!

Budzi się. Przeczuela, że rzuci się na nią, zastanawia się, czy założyła krążek przed pójściem do łóżka, przypomina sobie, że tak, i leniwie przewraca się na wznak, żeby go powitać zaspanym uśmiechem. Wie, jak niesamowicie namiętny potrafi być na haju. Rozpamiętuje to ze zmysłową rozkoszą, wszystko, nie tylko wstępną, czułą zachłanność, dotyk palców na sutkach, delikatne, ale stanowcze poszukiwania pomiędzy nogami, ale całą resztę, a zwłaszcza jedną rzecz, którą też przeczuwa z góry, spragniona, wreszcie wyzwolona (*adieu*, Kraków!), nieskrępowana, skupiona na sobie: nadzwyczajną łatwość, z jaką doprowadza ją do orgazmu - nie pojedynczego, nie podwójnego, lecz całej serii, dopóki nie nastąpi ostateczne, trochę przerażające zatracenie, jakby śmierć wciągała ją w otchłań, tak że sama nie wie, czy zagubiła się w sobie, czy w nim. Jest wtedy tak, jakby spadała wirując w czarną przestrzeń, ku całkowitemu cielesnemu zespoleniu. (Tylko w takich chwilach zdarza jej się jeszcze myśleć mówić po polsku, a wtedy bezwiednie szepcze mu do ucha: „Weź mnie, weź mnie”; kiedy zapytał raz, co to znaczy, coś ją podkuśiło i skłamała, że „Pieprz mnie, pieprz mnie”). Są to - jak stwierdza czasami po wszystkim wykończony Natan - super - numery dwudziestego wieku. I pomyśleć - powiada - jak mdłe było przez całe stulecia pierdolenie, nim wynaleźli benzedrynę. Zofia jest dziko podniecona. Wierci się, pręży jak kot, wyciąga do niego rękę, zaprasza go do łóżka. On milczy. A potem, zaskoczona, słyszy znów: - No jazda! Wstawaj! Zydek zabiera cię na wycieczkę na wieś! - Ależ Natan... - zaczyna Zofia. Przerzywa jej natychmiast nie znoszącym sprzeciwu, podekscytowanym głosem: - Jazda! Jazda! Ruszamy w drogę! - Zofia jest zawiedziona; w chwilę później dawne poczucie przyzwoitości (*bonjour*, Kraków!) daje o sobie znać ukłuciem wstydu z powodu tej niepohamowanej, rozmemlanej żądz. - Wstawaj! - komenderuje Natan. Naga wstaje z łóżka, spogląda na niego: Natan ze wzrokiem utkwionym w plamki porannego słońca wdycha coś głęboko z dolarowego banknotu - Zofia wie, że to kokaina...

... W świetle zmierzchu nad Nową Anglią, za jego dłonią trzymającą truciznę, widać było inferno jesiennych liści; jedno drzewo skąpane w cynobrowej czerwieni stapało się z drugim, zdobnym w najjaskrawszy odcień złota. Za oknem panował wieczorny spokój.

Olbrzymie plamy lasów, jak kolorowe mapy, zastygły w bezruchu - nawet jeden listek nie drgał w świetle zachodzącego słońca. W oddali przejeżdżały autostradą samochody. Była senna, ale nie chciała spać. Teraz dopiero zauważyła, że trzymał w palcach dwie kapsułki, parę identycznych różowych bliźniąt. - „Jego” i „jej” to jeden z najładniejszych wynalazków współczesności - mówi Natan. - „Jego” i „jej” porzucane w łazience, po całym domu, dlaczego by nie „jego” i „jej” cyjanek, „jego” i „jej” pieprzona nicość? Czemu by nie, Zofio miła?

Ktoś zapukał do drzwi i ręka Natana drgnęła lekko. - Tak? powiedział cichym, matowym głosem. - Ja do państwa Landau odezwał się głos za drzwiami. - Moje nazwisko Rylander. Naprawdę, przykro mi, że przeszkadzam! - głos był przesadnie unizony, pełen wystudiowanej słodyczy. - Po sezonie kuchnia pracuje do siódmej. Chciałam państwa tylko poinformować, przykro mi, że zakłócam popołudniową drzemkę. Są państwo jedynymi gośćmi, więc nie ma pośpiechu, chciałam tylko przypo, mnieć. Mąż przygotowuje dziś coś specjalnego: marynowaną wołowinę z kapustą! - Chwila milczenia. - Dziękujemy bardzo powiedział Natan. - Zaraz zejdziemy.

Kroki zadudniły na starych, wyłożonych chodnikiem schodach, deski zajęczały jak ranny zwierz. Plepleplepleple. Ochrypl już od gadania. - Zwróć uwagę, Zofiomiła - mówi, pieszcząc palcami kapsułki - zwróć uwagę, jak blisko związane są życie i śmierć w naturze, która zawiera mnóstwo załączków naszego piękna naszego rozkładu. Ten HCN na przykład występuje w przyrodzie w postaci glikozydów, czyli związków cukru. Słodkiego, słodziutkiego cukru. W gorzkich migdałach, w pestce brzoskwini, w pewnych gatunkach tych jesiennych liści, w zwykłej gruszcze, w mączniku. Wyobraź sobie zatem, że kiedy zatapiasz swoje nieskazitelnie białe, porcelanowe ząbki w pysznym makaroniku, smak, jaki czujesz, dzieli od tego czy owego odstęp jednej zaledwie molekuly...

Zawiesił głos i znów zapatrzył się na zdumiewające listowie, prawdziwe morze ognia. Poczula dochodzącą z dołu woń kapusty, intensywną, ciężką. Przypomniała sobie inny głos, głos Morty'ego Habera, nabrzmiały jakąś nerwową troską: „Nie rób takiej miny, jakbyś to ty była wszystkiemu winna. Nic nie poradzisz, on brał na długo przedtem, zanim go w ogóle zobaczyłaś. Czy można nad tym zapanować? Tak. Nie. Może. Nie wiem, Zofio! Gdybym, na Boga, wiedział! Nikt nie wie zbyt wiele o amfetaminie. Chyba jedynie to, że jest stosunkowo niegroźna. Ale oczywiście może być niebezpieczna, można się uzależnić, zwłaszcza jeśli bierze się ją z czymś innym, na przykład z kokainą. Natan lubi wachać razem z »Bennies«, a to, jak sądzę, jest cholernie niebezpieczne. Może stracić kontrolę i popaść w jakąś, czy ja wiem, psychozę, a wtedy nikt do niego nie dotrze. Sprawdziłem wszystkie dane i... tak, to

niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. Nie chcę więcej rozmawiać na ten temat, ale gdyby wpadł w szal, koniecznie skontaktuj się natychmiast ze mną albo z Larrym...” Spoglądała na kolorowe liście gdzieś daleko za Natanem i czuła, że szczypią ją wargi. Nembuta! Po raz pierwszy od dłuższego czasu uniosła się nieco na materacu poczuła nagle, przeszywające ukłucie bólu w żebrach, w miejscu, gdzie ją kopnął..

- Wierność byłaby dla ciebie bardziej stosowna - mówi w połowie swej odlotowej tyrady. Jego głos dociera do niej poprzez ogłuszający świst wiatru owiewającego przednią szybę kabrioletu. Choć jest zimno, Natan opuścił dach. Siedzi obok niego, owinięta pledem. Nie zrozumiała dokładnie, co powiedział, więc prawie krzyczy: - Co mówiłeś, kochanie? - On odwraca się do niej i przez ułamek sekundy Zofia widzi jego nieprzytomne oczy; źrenice zniknęły, rozplynęły się w jasnopiwnych elipsach tęczy. - Powiedziałem, że wierność przystoi ci bardziej, że się tak elegancko wyrażę. - Jest całkiem zdezorientowana, ogarnia ją zimny, lepki strach. Patrzy w bok, serce wali jej jak szalone. W ciągu miesięcy, jakie spędzili razem, nigdy jeszcze nie okazał jej prawdziwego gniewu. Oblewa ją fala lodowatego przerażenia i spływa jak deszcz po nagim ciele. Co miał na myśli? Zofia wbija wzrok w uciekający krajobraz, kępy wypielęgnowanych, wiecznie zielonych krzewów na obrzeżach wymuskanej alei parkowej, las w tle eksplodujący feerią barw, błękitne niebo, jasne słońce, słupy telegraficzne. WITAMY W CONNECTICUT. SZEROKIEJ DROGI. Uświadamia sobie, że jadą bardzo szybko. Wyprzedzają samochód za samochodem, mijając je z głośnym świstem wibrującego powietrza. - Lub mówiąc mniej elegancko - słyszy głos Natana - lepiej nie dawaj dupy na lewo i na prawo, zwłaszcza kiedy ja to widzę!

- Zatyka ją, nie może uwierzyć, że naprawdę to powiedział. Głowa odskakuje jej na bok, jakby uderzył ją w twarz. Potem odwraca się do niego. - Kochanie, co ty... - Zamknij się! - ryczy on i znów słowa płyną jak z przelewu w stawie, niepohamowanym potokiem bełkotu; to dalszy ciąg chaotycznego, na wpół zrozumiałego monologu zaczętego w chwili, gdy odjeżdżali spod Różowego Pałacu, dobrą godzinę temu. - Okazuje się, że ta twoja jędrna polska dupa to coś, czemu nie może się oprzeć twój chlebowdawca, ten wspaniały konował z Forest Hills, co zresztą całkiem, całkiem normalne, zważywszy, że jest to - ośmielę się stwierdzić - kawałek zdrowej aparatury, po tym, jak ją wypasłem nie tylko wypasłem, ale sam zażywałem na niej niepospolitych rozkoszy, a zatem mogę zrozumieć, że doktor KoszałekOpalek pragnie jej całym sercem i śwędzącym kutasem... Hehehe wybucha głupkowanym rechotem. - Ale to, że współuczestniczysz w tym przedsięwzięciu, że nadstawiasz mu jej i pozwalasz, żeby ten nędzny oszust cię walił, że w dodatku afiszujesz się z tym, robiąc to na moich oczach, jak wczoraj wieczorem, kiedy pozwoliłaś mu na ostatni

obleśny numer, na wetknięcie ruchliwego, kręgarskiego jęzora do gardła - o, moja polska kurewko, to już ponad moją wytrzymałość. - Oniemiała, wbija wzrok w szybkościomierz: siedemdziesiąt mil, siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt... Nieźle - myśli, sądząc, że to kilometry, po czym nagle uprzytamnia sobie: Mile! Zaraz się rozbijemy! Myśli: To jakaś paranoja, ta jego zazdrość, te podejrzenia, że sypiam z Blackstockiem. Daleko za nimi słychać niewyraźnie syrenę policyjną, mimochodem dostrzega błyski czerwonego światła odbijające się w przedniej szybie jak migotliwa malinka. Otwiera usta, język porusza się, by przemówić (chce powiedzieć: „Kochanie!”), nie może wydobyć słowa. Pleplepleple... Przypomina to ścieżkę dźwiękową filmu zmontowaną przez szympansa: każdy fragment z osobna ma swoją logikę, ale suma nie tworzy przemyślanej całości, brak w tym wszystkim ostatecznego sensu. Paranoiczność jego monologu obezwładnia ją i przyprawia chorobę. - Schoental ma stuprocentową rację: zakorzenione w etosie judeochrześcijańskim potępienie dla samobójstwa jako czynu moralnie nagannego to kompletna, sentymalna bzdura. Po epoce Trzeciej Rzeszy każda normalna istota ludzka powinna mieć pełne prawo wyboru samobójstwa jako rodzaju śmierci, nie uważasz, Irma? (Dlaczego ni stąd, ni zowąd zaczął mówić do niej Irma?) Ale mówiąc szczerze, nie powinno mnie wcale dziwić, że tak ochoczo rozkraczasz się przed każdym kutasem, jaki się nawinie, nigdy zresztą tego nie mówiłem, bo od samego początku byłaś dla mnie wielką tajemnicą i można się było spodziewać, że jesteś pierdoloną gojką, kurwą, niczym więcej, niczym więcej, oranyoranyorany, czy to jakaś dziwaczna, masochistyczna *Scha - denfreude* sprawiła, że zainteresowałem się taką idealną repliką Irmy Griese? To była niezła dziwa, sądząc z tego, co mówili oniej podczas rozprawy w Lunenbergu, nawet na sędziach zrobiło to wrażenie, szlag by to, moja najdroższa mama mówiła, że zawsze czułem fatalny pociąg do jasnowłosych *siks*, Natan, czemu ty nie możesz jak każdy przyzwoity, żydowski młodzieniec ożenić się z taką miłą dziewczyną jak Shirley Mirmelstein, która jest taka piękna i ma ojca, co zbił fortunę na elastycznej bieliźnie damskiej, i to w takim letnim kurorcie jak Lake Placid. (Dalekie wycie syreny ciągle ich prześladowuje. - Natan - mówi Zofia - to policja.) Bramini, jak wielu ludzi Wschodu, odnoszą się ze czcią do samobójstwa, a zresztą niby co takiego wielkiego umrzeć, *rienada* pieprzona nicość, tak że po rozważeniu sprawy powiedziałem sobie niedawno: w porządku, piękna Irma Griese dostała szyję za zamordowanie osobiście iluś tam tysięcy Żydów w Oświęcimiu, ale czy logika nie podpowiada, że masie innych, pomniejszych Irm Griese się upiekło, a ta śmieszna, mała polska *nafka*, z którą żyję na kocią łapę, czy ona jest naprawdę stuprocentową, gwarantowaną Polką, wygląda na Polkę, ale też na efenordyczkę, jak jakaś szwabska gwiazda filmowa udająca krwiożerczą księżnę krakowską, a w dodatku ta

nieskazitelna niemczyzna, która z taką perfekcją spływa z twoich ślicznych usteczek dziewoi z Nadrenii. Polka! O rany! **Das machst du andem weismachen**! Dlaczego się nie przyznasz, Irma? Kombinowałaś z esesmanami, nie? Czy nie dlatego udało ci się wyjść z Oświęcimia, Irma? Przyznaj się! - (ona zatyka uszy, łkając: - Nie! Nie! - Czuje, że samochód zwalnia raptownie. Jęk syreny zamienia się w pomruk smoka, **decrecendo**) - Przyznaj się, ty faszystowska pizdo!...

Kiedy tak leżała o zmierzchu wpatrzona w gasnące barwy liści, usłyszała jednostajny plusk moczu dobiegający z toalety. Przypomniała sobie: wcześniej, w głębi lasów, wśród bajecznego listowia próbował stojąc nad nią nasikać jej do ust, ale nie mógł trafić; to był początek spadania. Poruszyła się na łóżku, wdychając ciężki, coraz bardziej intensywny zapach kapusty i wpatrując się błyszczącymi, sennymi oczami w dwie kapsułki odłożone pieczołowicie na popielniczkę. GOSPODA POD DZIKIEM, głosi napis w staroangielskim stylu na porcelanowej krawędzi. GRANICA AMERYKI. Ziewnęła, zastanawiając się, jakie to wszystko dziwne. Jak dziwne było to, że nie bałaby się umrzeć, gdyby naprawdę ją do tego zmusił. Bardziej bałaby się, gdyby śmierć zabrała jego, i tylko jego, a ona zostałaby sama. Gdyby za sprawą jakiegoś nieprzewidzianego - jak by to on określił: pieprzonego - przypadku śmiertelna dawka zabiła tylko jego, a ona raz jeszcze pozostała, nieszczęsna, wśród żywych. - Nie mogę żyć bez niego - szepnęła po polsku, świadoma, jak banalne, lecz zarazem absolutnie prawdziwe jest to stwierdzenie. Jego śmierć byłaby moją ostateczną agonią. Daleko, nad doliną o dziwnej nazwie Housatonic, rozległ się gwizd pociągu, przeciągłe zawrodo, głębsze i bardziej melodyjne niż przenikliwy świst europejskich lokomotyw, ale w podobny sposób chwytające za serce. Kolejowa elegia.

Pomyślała o Polsce. O dłoniach matki. Tak rzadko wspominała matkę, tę słodką, blaknącą w pamięci, zacierającą się postać; teraz widziała tylko jej piękne, ekspresyjne dłonie pianistki o silnych palcach, sprężyste i zarazem delikatne jak te nokturny Chopina, które grała. Skóra o barwie kości słoniowej przywodziła na myśl matową biel bzu. Ta biel była tak niezwykła, że dopiero po czasie Zofia skojarzyła sobie ową piękną, bladą bezkrwistość z gruźlicą zzerającą matkę już wtedy, gruźlicą, która w końcu uciszyła jej dłonie na zawsze. Mamo, mamo... - pomyślała. Jakże często te ręce głaskały ją po główce, kiedy jako mała dziewczynka odmawiała wieczorną modlitwę, którą każde polskie dziecko zna na pamięć i która zapada w serce trwalej niż jakikolwiek wierszyk dzieciństwa: **Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój; rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy. Amen.** Na jednym z palców matka nosiła cienki, złoty pierścionek w kształcie zwiniętej kobry z oczkiem z maleńkiego rubinu. Profesor Biegański kupił go w Adenie, wracając z

Madagaskaru, dokąd pojechał na wstępne rozpoznanie krainy spełnienia swoich najdawniejszych marzeń: relokacji polskich Żydów. Ach, ten jego brak gustu. Ciekawe, czy długo szukał tego szkaradzieństwa. Zofia wiedziała, że matka nienawidzi pierścionka i nosi go tylko ze względu na swą niezmienną uległość wobec ojca. Natan skończył. Myślała o ojcu, o jego wspaniałych, jasnych, zroszonych kropelkami potu włosach, kiedy krążył po bazarach Arabii...

- Do wyścigów samochodowych jest Daytona Beach - mówi policjant. - A tu jest Merritt Parkway, przeznaczona dla, jak my to mówimy, zmotoryzowanych. Dokąd to tak spieszno? - Jest młody, jasnowłosy, piegowaty, wygląda całkiem sympatycznie. Na głowie kapelusz szeryfa z Teksasu. Natan milczy, zapatrzony przed siebie, ale Zofia wyczuwa, że pod nosem mamrocze coś do siebie. Ciągle to plepleplepleple, tyle że półgłosem. - Chcesz się pan dostać razem z tą miłą damą do kroniki wypadków? - Na piersi policjanta plakietka z nazwiskiem: S. GRZEMKOWSKI.

- Przepraszam... - mówi Zofia po polsku. Grzemkowski rozpromienia się i pyta, również po polsku: - Czy jesteś Polakiem?

- Tak, jestem Polką - odpowiada Zofia, ośmielona, kontynuując dialog w ojczystym języku, ale policjant przerywa jej. - Rozumiem tylko kilka słów. Moi starzy to Polacy, mieszkają w New Britain. Słuchaj, co tu jest grane? - Zofia wyjaśnia: - To mój mąż. Ma wielkie zmartwienie: jego matka umiera w... - gorączkowo szuka w myślach nazwy jakiejś miejscowości w Connecticut, w końcu wyrzuca: -...w Bostonie. Dlatego tak pędzimy. - Zofia patrzy policjantowi prosto w twarz, płaską jak kamień polny, nieco bukoliczną, wieśniacką fizjonomię o niewinnych, fiołkowych oczach. Mógłby hodować krowy w jakiejś podkarpackiej dolinie myśli. - Proszę - mówi przymilnie, wychylając się ku niemu zza Natana i układając usta w najwdzięczniejszy dzióbek:

- Niechże pan nas zrozumie. Jego matka... Przyrzekamy, że będziemy jechać wolniej. - Grzemkowski przybiera niewzruszony wyraz twarzy funkcjonariusza, mówi szorstkim głosem gliny:

- Tym razem tylko was ostrzegam. Macie zwolnić.

- *Merci beaucoup, mon chef* - mówi Natan. Patrzy wprost przed siebie, w nieskończoność. Jego wargi wciąż poruszają się bezgłośnie, jakby przemawiał do jakiegoś bezradnego słuchacza uwięzionego w nim samym. Glicerynowe strumyki potu spływają mu po twarzy. Policjant gdzieś nagle znika. Kiedy samochód rusza, Zofia słyszy, jak Natan szepcze coś do siebie. Zbliża się dwunasta. Jadą na północ (wolniej) pod arkadami gałęzi, pod nawisami burzowych chmur wielobarwnego listowia, ogarniętego jakąś gorączką - tu kolor

wytryskuje jak rozrządzona lawa, tam wybucha jak eksplodujące gwiazdy; nie przypomina to niczego, co dotychczas widziała czy mogła sobie wyobrazić Zofia. Zduszone mamrotanie, z którego nic nie rozumiała, nabiera dźwięczności w nowym, nieposkromionym spazmie paranoi. Furia, z jaką wybucha, przeraża ją, jak gdyby otworzył w samochodzie klatkę pełną oszalałych szczurów. Polska. Antysemityzm.

- A co ty robiłaś, maleńka, kiedy płonęło getto? Znasz ten kawałek o biskupach? Pewien polski biskup powiada do drugiego polskiego biskupa: Gdybym wiedział, że przyjedziesz, napięłbym piernicków. Ha ha ha! - rechocze. Natan, przestań - błaga w duchu Zofia. - Przestań mnie dręczyć! Nie przypominaj mi! Łzy spływają jej po twarzy, chwyta go kurczowo za rękaw.

- Nigdy ci o tym nie mówiłam! Nigdy ci o tym nie mówiłam krzyczy. - W 1939 roku mój ojciec ryzykował życie, ratując Żydów! Ukrywywał ich pod podłogą w swoim gabinecie na uczelni, kiedy przyszło gestapo, to był dobry człowiek, zginął dlatego, że ratował tych... - Dławi się kleistą pigułką własnego napięcia, rosnącą jej w gardle jak to kłamstwo, które z siebie właśnie wykrztusiła, głos jej się łamie. - Natan! Natan! Uwierz mi, kochany, uwierz mi. - GRANICE MIASTA DANBURY.

- Napięłbym piernicków! Ha ha ha! - Chciałam powiedzieć „ukrywał”, nie „ukrywywał”... - Pleplepleple... Słucha tego jednym uchem i myśli: gdyby udało mi się go namówić, żebyśmy się zatrzymali i coś zjedli, mogłabym się wymknąć i zatelefonować do Morty’ego albo Larry’ego, żeby przyjechali... - Kochanie, jestem taka głodna, moglibyśmy się zatrzymać... - mówi po to tylko, by usłyszeć w odpowiedzi wtrącone w toku plepleple:

- Irma, kotku, Irma *Liebchen*, nie przełknąłbym jednego krakersa, nawet gdybyś mi płaciła tysiąc dolarów, o kurczę, Irma, ja latam, Chryste, jestem w niebie, jeszcze nigdy mnie tak nie wzięło, nigdy, i mam cholerną chęć na ciebie, uuu... ty mała gojko, ty faszystowska *nafko*, pomacaj go tylko... - Sięga po rękę Zofii i kładzie ją sobie w kroku, przyciska palce do sztywnego kutasa;

Zofia czuje przez spodnie jego pulsację - sprężenie i skurcz i znów sprężenie. - Flet, oto czego mi trzeba, jednego z tych twoich fletów za pięćset złotych polskich złotych, ej, Irma, ilu esesmanom obciągnęłaś druta, żeby się stamtąd wydostać, ile materiału na rasę panów połknęłaś w zamian za *Freiheit*? Słuchaj, to wszystko fraszka, chcę tylko, Irma, żebyś mi posiadała, och jeszcze nigdy tak mnie nie rąbnęło, Jezu, poczuć te twoje słodkie, żarłoczne usteczka, jak mnie obrabiają, już, natychmiast, gdzieś pod błękitnym niebem, pod kopułą tych płonących, jesiennych liści, tu piękna jesień, a ty ssiesz moje nasienie, moje nasienie gęste jak to jesiennie listowie, które ściele się nad ruczajami Vallombrosy, jak by powiedział John

Milton...

Nagi wrócił do łóżka i delikatnie, ostrożnie położył się obok niej. Dwie kapsułki ciągle połyskiwały w popielniczce; zastanawiała się leniwie, czy o nich zapomniał, czy też od nowa zacznie się nimi zabawiać i zadręczać ją tym różowym niebezpieczeństwem. Nembutalowe fale unosiły ją do krainy snu, odpływały ku nogom jak ciepłe wody odboju. - Zofiomila - powiedział, również sennym głosem - Zofiomila, żal mi tylko dwóch rzeczy. - Jakich, kochanie? - zapytała. Nie odpowiedział, więc powtórzyła pytanie: - Czego? - Po prostu tego - rzekł wreszcie - że cała ta harówka w laboratorium, te wszystkie badania... że nigdy nie zobaczę, jak to zaowocowało. - Dziwne, pomyślała słuchając jego głosu; nagle, po raz pierwszy tego dnia, wyparowała z niego cała przerażająca histeria, maniacki ton, całe okrucieństwo, by ustąpić znajomej, kojącej czułości, której nawrotu już nie oczekiwała.

Czy i on uratował się w ostatniej chwili, czy środki nasenne zanosły go łagodnie do zbawczej przystani? Czy po prostu zapomniał o śmierci i odpływał w sen?

Za drzwiami skrzypnęły schody i ponownie rozległ się przymilny, kobiecy głos: - Panie Landau, proszę pani, państwo wybaczą, ale mąż pyta, czy życzą sobie państwo drinka przed kolacją. Mamy duży wybór. Ale mój mąż przygotował wyśmienity gorący poncz. - Po chwili milczenia Natan odpowiedział:

- Dobrze, niech będzie poncz. Dwa. - To zupełnie inny, normalny Natan - pomyślała, lecz wtedy on wymamrotał cicho: - Druga rzecz to to, że nigdy nie mieliśmy dzieci.

- Wpatrywała się w nikłe światło zmierzchu i czuła, jak paznokcie wbijają się jej głęboko w dłoń. Dlaczego mówi to właśnie teraz? Wiem, jestem, jak to dziś powiedział, masochystyczną cipą i dawał mi tylko to, czego potrzebowałam. Ale czemu nie oszczędzi mi przynajmniej tej męki? - Mówię o tym naszym planowanym małżeństwie - dodał. Nie odpowiedziała. Myślała sennie o Krakowie, o minionym czasie, o stukocie końskich kopyt o wytarty bruk; ni stąd, ni zowąd pojawił się nagle w ciemnościach jakiejś kinowej sali kolorowy obraz z nastroszonym, skrzeczącym po polsku Kaczorem Donaldem w zsuniętej na oko marynarskiej czapce. Potem usłyszała cichy śmiech matki. Gdybym mogła uchylić choć rąbka przeszłości pomyślała - może wtedy powiedziałabym mu. Ale ta przeszłość, poczucie winy czy też coś innego zamykały jej usta. Czemu nie mogę mu powiedzieć, co i ja wycierpiałam? I co straciłam...

... Ani powtarzany w kółko zwariowany wierszyk: „Irma, bądź porządna firma”, ani to, że bezlitośnie szarpie ją za włosy, jakby chciał je wyrwać, podczas gdy druga ręka boleśnie zaciska się na jej ramieniu jak kleszcze, ani to, że gdy tak leży obok i dygocze,

sprawia wrażenie człowieka bliskiego obłądu, buszującego po swym wewnętrznym, obłąkanym świecie, ani nawet śmiertelny strach, jaki ją zżera - nic nie może jej odebrać dawnej, ogromnej przyjemności, kiedy mu ssie. Ssie, ssie i ssie. Nieskończone, miłosne ssanie. Jej palce ryją gliniastą ziemię na zboczu lesistego pagórka, na którym leży pod nią; czuje, jak glina wciska się pod paznokcie. Ziemia jest wilgotna i chłodna, Zofia czuje zapach palonego drewna, a przez przymknięte powieki prześwituje niewiarygodny blask ogarniętych pożogą liści. A ona ssie i ssie. Drobne kamyki uwierają ją w kolana, kaleczą, ale Zofia nie rusza się, nie robi nic, by złagodzić ból. - O Jezu Chryste, o kurwa, ciągnij, Irma, ciągnij druta Zydkowi. - Ona ujmuje dłonią twarde jądra, głaszcze jedwabiste włosy, jak zwykle wyobraża sobie, że w czeluści jej ust porusza się gładki jak marmur pień palmy zakończony delikatną, sprężystą główką nabrzmiewającą i rozkwitającą w ciemnościach jej mózgu. Związek dwojga ludzi, przypomina sobie, ta wyjątkowa symbioza w rozkoszy, może powstać tylko w wyniku spotkania wielkiego, sztywnego i samotnego semickiego *szlonga*, omijanego z powodzeniem przez armię wystraszonych żydowskich księżniczek, z parą pięknych, słowiańskich szczek spragnionych *fellatio*. I nawet teraz, mimo napięcia, mimo strachu, myśli: tak, tak, i to też mu zawdzięczam, uwolnił mnie od poczucia winy, kiedy ze śmiechem wyperswadował mi, jakim absurdem jest wstydzić się tego, że się tak bardzo pragnie wziąć penisa do ust, a przecież to nie moja wina, że mój mąż był oziębły i nie chciał, a mój kochanek z Warszawy nawet nie proponował i nie mogłam się doczekać, kiedy to zrobię po raz pierwszy. Byłam - powiedział mi - ofiarą liczących dwa tysiące lat antyfleciarskich, judeochrześcijańskich uwarunkowań. To parszywy mit, powiedział, że tylko pedały uwielbiają fleta. Ssij, mówił zawsze, baw się, używaj! Zatem nawet teraz, kiedy wisi nad nią ten obłok strachu, a on jej urąga i lży ją, nawet teraz przyjemność jest czymś więcej niż tylko zadowoleniem, jest nieustającym, przeżywanym wciąż od nowa błogostanem. Zimne dreszcze przebiegają jej falami po grzbiecie, kiedy tak ssie i ssie, i ssie. Nie dziwi jej nawet to, że im bardziej szarpie ją za włosy, im bardziej drażni ją zniechęconą „Irma”, tym bardziej zachłannie pragnie połknąć jego kutasa. Kiedy na krótko przerywa, by unieść głowę i wydy - szeć: Boże, uwielbiam ci obciągać, wypowiada te słowa z niezmienną, spontaniczną żarliwością. Otwiera oczy, zerka na jego udręczoną twarz, powraca na oślep do swego zajęcia i słyszy, jak jego głos, przechodząc w krzyk, odbija się echem od usianych skalnymi okruciami stoków wzgórza: - Ssij, ty faszystowska Świnio, Irmo Griese, ty palaczko Żydów, ty pizdo! - Rozkoszny, marmurowo gładki pień palmy nabrzmiewa i pęcznieje, Zofia wie, że za chwilę się spuści, wie, że musi teraz zwolnić, by móc przyjąć strzykający strumień, słony jak morska woda wytrysk palmowego mleczka, i w tym krótkim jak mglenie momencie oczekiwania czuje, że

jak zawsze, nie wiadomo czemu, jej oczy napęnliają się piekącymi łzami.

- Z wolna szybuję w dół - usłyszała w sypialni po dłuższym milczeniu. - Myślałem, że się roztrzaskam. Myślałem, że rąbnę oziemię jak kamień. Ale spłynąłem łagodnie. To szczęście, że znalazłem te prochy. - Pauza. - Były z tym kłopoty, z tymi „barbarkami”, prawda?

- Tak - odpowiedziała.

Jest bardzo senna. Na zewnątrz zrobiło się prawie całkiem ciemno, płonące liście zmatowiały i stopiły się z ołowianą szarością jesiennego nieba. Światło w sypialni przygasło. Zofia poruszyła się, spojrzała na ścianę, skąd babcia z innego stulecia otoczona aureolą bursztynowej, ektoplazmatycznej poświaty odwzajemniła się jej dobrotliwym, a zarazem zakłopotanym spojrzeniem spod chusty. Fotograf kazał jej pewnie znieruchomieć na co najmniej minutę - pomyślała sennie Zofia. Ziewnęła, zdrzemnęła się przez moment, ziewnęła znowu.

- Gdzie je w końcu znaleźliśmy? - zapytał Natan.

- W samochodzie, w schowku - odparła. - Włożyłeś je tam rano i zapomniałeś zabrać. Mała buteleczka nembutalu.

- Chryste, co za okropność. To był prawdziwy odlot. W kosmos. W zaświaty. Odjechałem! - Pościel zaszeleściła raptownie, gdy ciężko obrócił się na bok i sięgnął po nią. - Jezuu, jak ja cię kocham, Zofia! - Otoczył ją ramieniem i brutalnie przyciągnął do siebie; jednocześnie z wydechem wydarł się jej z ust okrzyk bólu. Niezbyt głośny, ale ból był przejmujący, prawdziwy i taki sam był ten cichy okrzyk: Natan!

... (Nie krzyczy jednak, gdy czubek wyglansowanego buta wbija się jej pomiędzy żebra, cofa i ponownie trafia w to samo miejsce tamując oddech, a ból jak biały kwiat eksploduje pod jej piersią.) Natan! Ten rozpaczliwy jęk - nie krzyk, lecz chrapliwe rżenie - miesza się z docierającymi do jej uszu brutalnymi, jednostajnymi pomrukami: - **Und die... SS Mädchen... spracht...** to cię nauczy... ty parszywa **Judinschwein!** - Właściwie nie kuli się przed bólem, lecz raczej wchłania go, gromadzi w tych podziemiach czy składowisku swej jaźni, w których mieści się całe jego bestialstwo: groźby, urągania, przekleństwa. Nie płacze też leżąc po raz wtóry w leśnych ostępach, w kolczastej gęstwie na zboczu wzgórza, gdzie ją zaciągnął, a właściwie zawlókł, i skąd widzi w dole, pomiędzy drzewami, samochód z opuszczonym dachem, niemy i samotny na wymiatanym wiatrem parkingu, zasłanym liśćmi i odpadkami. Światło popołudnia, częściowo tu przyćmione, gaśnie powoli. Wydaje się, że są w lesie od wielu godzin. Trzykrotnie wymierza jej kopniaka. Noga znów się cofa i Zofia czeka drżąc, nie tyle ze strachu przed bólem, ile z dojmującego, wilgotnego zimna, które

przenika ją do szpiku kości. Ale but nie uderza, noga pozostaje nieruchoma wśród liści.

- Oszczam cię! - słyszy Zofia jego głos. - *Wunderhar*, to jest pomysł! - Teraz lśniący but pełni inną funkcję: przekręca nim jej zwróconą na bok, przyciśniętą do ziemi głowę, twarzą do góry, aby patrzyła na niego; Zofia czuje na policzku dotyk zimnej, śliskiej skóry. I nawet w chwili, kiedy on odpina rozporek i każe jej otworzyć usta, słyszy, jak w chwilowym transie, coś, co kiedyś powiedział: „Najdroższa, moim zdaniem jesteś całkowicie pozbawiona *ego*”. Mówił to z niezwykłą czułością, wkrótce po następującym incydencie: pewnego letniego wieczoru zadzwonił do niej z laboratorium i napomknął coś o *Nusshornchen*, ciasteczkach, które jedli kiedyś w Yorksville, po czym Zofia, chcąc mu zrobić niespodziankę, natychmiast pojechała metrem z Flatbush na odległą o kilka mil Osiemdziesiątą Szóstą Ulicę, po gorączkowych, wielogodzinnych poszukiwaniach znalazła te łąkocie, przywiozła je i wręczyła mu z promiennym uśmiechem: - *Voilà, monsieur, die Nusshornchen!* - Ależ nie musiałaś tego robić powiedział z niezmierną czułością. - To szaleństwo tak dogadzać moim głupim zachciankom, kochana, najdroższa. Ty chyba jesteś całkowicie pozbawiona *ego!* (A ona pomyślała wtedy, tak jak i teraz: Zrobiłabym dla ciebie wszystko, wszystko, wszystko!) Lecz teraz próby jej obsikania wyzwalają w nim po raz pierwszy tego dnia coś w rodzaju paniki. - Otwórz szeroko usta - rozkazuje. Zofia czeka, patrzy z ulegle rozwartymi ustami, wargi jej drżą. Ale on nie trafia. Jedna, dwie, trzy ciepłe krople pryskają jej na czoło i to wszystko. Zaciska powieki, czeka. Wyczuwa tylko jego obecność nad sobą i zimną wilgoć ziemi pod plecami, słyszy odległe, piekielne wycie wiatru wśród drzew, gałęzi, liści. Potem zaczyna jęczeć Natan i w tym jęku słyszeć wibrowanie grozy.

- Chryste, chyba się roztrzaskam! - Zofia otwiera oczy, wpatruje się w niego. Jego zielonkawobiała twarz przypomina kolorem podbrzusze ryby. Nigdy też nie widziała, żeby ktoś tak się pocił (przy tym zimnie!); pot oblepił jego twarz jak oliwa. - Roztrzaskam się! - zawodzi. - Roztrzaskam się za chwilę! - Opada na szeroko rozstawione kolana obok niej, wtula twarz w dłonie, zakrywa oczy, jęczy, dygocze. - Jezu, roztrzaskam się, Irma, pomóż mi! - Potem zaczynają pędzić nieprzytomnie, na złamanie karku w dół zbieżną; Zofia ciągnie go po kamienistym stoku jak sanitariuszka uchodząca z rannym z pola bitwy. Od czasu do czasu ogląda się, by przeprowadzić go bezpiecznie pod gałęziami, a on potyka się na wpół ślepy, z oczami zasłoniętymi bladą dłonią jak bandażem. I pędzą tak wzdłuż wartkiego potoku, przez drewniany mostek, przez różową, pomarańczową, cynobrową pożogę poprzecinaną smukłymi, wyniosłymi kolumnami białych brzoź. Teraz jego głos przechodzi w szept: - Roztrzaskam się za chwilę! - Wreszcie docierają do polany, zapomnianego parkinga,

gdzie ich kabriolet czeka obok przepełnionego pojemnika na śmieci, wśród istnego cyklonu brudnych kartonów po mleku, tekturowych tacek i papierków po cukierkach. Nareszcie! Natan dopada tylnego siedzenia, gdzie ulokowany jest bagaż, chwytając swoją walizkę, wyrzuca jej zawartość na ziemię i zaczyna przetrząsać wszystko niczym obłąkany szmaciarz, szukający jakiegoś niewiarygodnego skarbu. Zofia stoi z boku, bezradna, milcząca, podczas gdy naręcza garderoby wylatują w górę, obwieszają festonami maskę samochodu: skarpetki, koszule, majtki, krawaty, cała galanteria wyrzucana przez szaleńca na łup wiatrów. - Pieprzony nembuta! - ryczy Natan. - Gdzie ja go wsadziłem! O kurwa! Chryste, muszę... - Ale nie kończy, prostuje się, robi piruet, rzuca się w stronę przedniego siedzenia i tam, przewieszony przez kierownicę, szarpie gorączkowo zamek schowka. - Znalazłem! Wody! - dyszy. - Wody! - Ale ona, mimo że oszołomiona i pochłonięta własnym cierpieniem, jakby przewidziała ten moment: już wyciąga piwo imbirowe z nie tkniętego dotychczas piknikowego koszyka na tylnym siedzeniu, zmagając się ze złośliwym otwieraczem, zrywa kapsel i wciska mu do ręki butelkę tryskającą fontanną piany. Przygląda mu się, jak połyka tabletki, i nasuwają jej się dziwne skojarzenia. Biedaczysko myśli; to właśnie słowo wyszeptał zaledwie parę tygodni temu, kiedy oglądali w ***Straconym weekendzie*** oszalałego Raya Millanda polującego na upragnioną, zbawczą butelkę gorzałki. - Biedaczysko - mruknął wtedy Natan. Teraz ta odwrócona do góry dnem zielonkawa butelka i raptowne skurcze jego grdyki przypominają jej scenę z filmu. Biedaczysko - myśli. W czym nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie to, że jak sobie uprzytamnia, po raz pierwszy doświadcza wobec Natana emocji tak poniżającej jak litość. Okazywanie mu litości jest dla niej czymś nie do zniesienia. Szok, jakiego doznaje, paraliżuje jej mięśnie twarzy. Z wolna osuwa się na ziemię i opiera o samochód. Śmieci na parkingu wirują wokół niej w tumanie pyłu, unoszone leniwymi podmuchami wiatru. Czuje pod piersią ukłucia przeszywającego, piekącego bólu, który napływa gorącymi falami jak nagle nawroty nieprzyjemnych wspomnień. Pociera bok delikatnie, czubkami palców, jakby chciała wymacać rozpalone granice tego bólu. Zastanawia się, czy żebra nie są złamane. Jest oszołomiona i w tym bolesnym oszołomieniu uświadamia sobie z trudem, że całkiem straciła poczucie czasu. Ledwie go słyszy, gdy z przedniego siedzenia, na którym leży rozwalony, z podrygującą nogą (Zofia widzi tylko zabłocony mankiet spodni), dociera do niej mamrotanie; choć słowa są zduszone i niewyraźne, słychać coś, co brzmi jak „konieczność umierania”. Potem śmiech, niezbyt głośny: hahahaha... Zapada cisza. Wreszcie Zofia mówi spokojnie:

- Kochanie, nie mów na mnie Irma.

- Nie mogłam po prostu znieść tej „Irmy” - powiedziała mi Zofia. -

Scierpiałabym z jego strony wszystko, tylko nie to, że nazywa mnie Irma Griese. Kilka razy widziałam w obozie tę kobietę - tego potwora, przy którym Wilhelmina mogła się zdawać aniołem. To, że nazywał mnie Irma Griese, bolało mnie bardziej niż wszystkie kopniaki. Zanim dotarliśmy pod wieczór do zajazdu, udało mi się uprosić go, żeby się tak do mnie nie zwracał, i gdy zaczął mówić Zofiomila, zorientowałam się, że narkotyczny trans - całe to szaleństwo - mija. Mimo że wciąż się zabawiał tymi kapsułkami. Teraz właśnie to mnie przerażało. Nie wiedziałam, jak daleko się posunie. Miałam fioła na punkcie naszego wspólnego życia i nie chciałam umierać - ani osobno, ani razem. Nie. Tak czy inaczej, nembutał zaczął działać, widziałam to, Natan powoli wychodził z transu, więc kiedy mnie ścisnął i poczułam ból tak straszny, że o mało nie zemdlałam i krzyknęłam, uświadomił sobie, co mi zrobił. Dręczyło go poczucie winy i cały czas szeptał w łóżku: - Zofio, Zofio, co ja ci zrobiłem, jak mogłem cię tak skrzywdzić? - I takie rzeczy. Ale te inne tabletki - mówił na nie „barbarki” - zaczęły działać, oczy mu się kleiły i wkrótce zasnął.

Pamiętam, że właścicielka zajazdu znów weszła na górę i zapytała przez drzwi, kiedy zejdziemy, bo robi się późno, więc kiedy zejdziemy na poncz i kolację. I gdy powiedziałam jej, że jesteśmy zmęczeni i idziemy spać, okropnie się zezłościła i powiedziała, że to bez sensu i tak dalej, ale mnie było wszystko jedno, bo też byłam zmęczona i śpiąca. Wróciłam do łóżka, położyłam się obok Natana i zaczęłam zasypiać. Ale wtedy, oBoże, pomyślałam o tych kapsułkach z trucizną, które ciągle leżały w popielniczce. Ogarnęła mnie panika. Byłam przerażona, bo nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Były tak strasznie niebezpieczne. Nie mogłam wyrzucić ich przez okno ani do kosza na śmieci, bo gdyby pękły, opary mogłyby kogoś zabić. Myślałam też o toalecie, ale i to nie było wyjście, bo bałam się, że będą wyziewy albo zatrują wodę czy nawet ziemię, więc nie miałam pojęcia, co robić. Wiedziałam tylko, że muszę je usunąć z zasięgu Natana. Zdecydowałam się jednak w końcu spróbować z toaletą. Łazienką. Było tam trochę jaśniej. Bardzo ostrożnie wyjęłam kapsułki z popielniczki, poszłam po ciemku do łazienki i wrzuciłam je do muszli. Nie pływały, jak się spodziewałam, tylko poszły na dno jak kamyki, szybko spuściłam wodę i było po nich.

Wróciłam do łóżka i zasnęłam. Jeszcze nigdy nie spałam tak głębokim, czarnym, pozbawionym marzeń snem. Nie wiem, jak długo spałam, ale była noc, kiedy Natan obudził się z krzykiem. Pewnie nastąpiła reakcja na te wszystkie narkotyki. To było przerażające - ten krzyk jakby obłąkanego demona w środku nocy. Do dziś nie mam pojęcia, jak to się stało, że nie pobudził ludzi w promieniu kilometra. Zerwałam się na łóżku, a on krzyczał o śmierci i zagładzie, o wieszaniu, gazie, Żydach palonych w piecach,¹ różnych takich rzeczach. Bałam się przez cały poprzedni dzień, ale to było ze wszystkiego najgorsze. Przez tyle godzin na

przemian pograżał się w obłędzie i wychodził z tego, ale teraz zdawało się, że oszalał na dobre. - Musimy umrzeć! zaczął wykrzykiwać w ciemnościach ogarnięty szałem. Potem usłyszałam, jak jęczy przeciągle: - Śmierć jest nieuchronna.

- Wyciągnął nade mną rękę w stronę stolika i zaczął po omacku szukać trucizny. Dziwna rzecz, ale to wszystko trwało kilkanaście sekund. Miałam wrażenie, że jest strasznie osłabiony, udało mi się przyciągnąć go do siebie i objąć. Przytuliłam go i powtarzałam bez przerwy: - Kochany, kochany, śpij, już wszystko dobrze, miałeś zły sen. - I inne takie głupstwa. Musiało to jednak jakoś podziałać, bo po chwili zasnął. W pokoju było strasznie ciemno. Pocałowałam go w policzek. Jego twarz była teraz chłodna.

Spaliśmy długo, wiele, wiele godzin. Kiedy się w końcu obudziłam, zorientowałam się po słońcu, że jest wczesne popołudnie. Liście za oknem wyglądały tak, jakby las płonął. Natan jeszcze spał, więc długo leżałam obok niego i rozmyślałam. Wiedziałam, że nie mogę już dłużej trzymać w tajemnicy ostatniej rzeczy na świecie, o jakiej chciałabym pamiętać. Nie mogłam już tego tłumić w sobie i ukrywać przed Natanem. Nie moglibyśmy żyć razem, gdybym mu tego nie powiedziała. Wiedziałam, że są pewne sprawy, o których nie powiem mu nigdy - n i g d y! - ale była jeszcze jedna, ostatnia rzecz, o jakiej musiał wiedzieć, bo nie moglibyśmy tak żyć dalej ani pobrać się. Nigdy. A bez Natana byłaby... pustka. Więc postanowiłam powiedzieć mu o tym. To nie była właściwie żadna tajemnica, tylko coś, o czym nigdy nie wspominałam, bo nie mogłam znieść bólu, jaki to wspomnienie wciąż jeszcze wywoływało. Natan ciągle spał. Twarz miał bladą, ale wyglądał spokojnie; wyraz obłędu zniknął. Pomyślałam, że chyba wszystkie narkotyki przestały działać, demon go opuścił i uspokoiły się te wszystkie czarne wichry, wiesz, ta *tempeste*, i znów był Natanem, jakiego kochałam.

Wstałam, podeszłam do okna i popatrzyłam na lasy - były takie piękne, wprost płonęły żywymi kolorami. Prawie nie czułam bólu w boku, zapomniałam o tym, co się stało, o truciznie i szaleństwie Natana. Kiedy byłam małą dziewczynką, w Krakowie, bawiłam się sama z sobą w taką grę, którą nazywałam „kształt Boga”. Kiedy zobaczyłam coś pięknego - chmurę, płomień, zielone zbocze góry, rozświetlone niebo - próbowałam w tym odnaleźć postać Boga, tak jakby Bóg naprawdę przybierał kształt, na jaki patrzyłam, jakby istniał w tym kształcie, tak że mogłam go zobaczyć. I tamtego dnia, kiedy patrzyłam przez okno na te niewiarygodnie piękne lasy rozciągające się w dół, aż do rzeki, i na czyste niebo nad nimi, całkiem się zapomniałam i przez chwilę wydawało mi się, że znów jestem małą dziewczynką, i próbowałam wypatrzeć kształt Boga. W powietrzu czuło się cudowny zapach; dym unosił się w oddali nad lasami i właśnie w nim wypatrzyłam ten kształt. Ale wtedy przyszło mi na

myśl coś, o czym wiedziałam, co istotnie było prawdą: że Bóg raz jeszcze mnie opuścił, tym razem na zawsze. Zdawało mi się, że widzę, jak odchodzi, jak odwraca się ode mnie niczym jakiś wielki stwór i odchodzi, przedzierając się przez gęstwą liści. Boże! Stingo, widziałam Jego potężne plecy, jak znikają wśród drzew. Światło przygasło i poczułam straszną pustkę, bo przypomniałam sobie, co będę musiała wyznać.

Kiedy Natan obudził się w końcu, siedziałam na łóżku obok niego. Uśmiechnął się, coś tam powiedział, czułam, że ledwie pamięta, co się zdarzyło w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. Wymieniliśmy parę banalnych uwag, wiesz, jak to po przebudzeniu, a potem pochyliłam się nad nim i powiedziałam: - Kochanie, muszę ci coś wyznać. - Zaczął się śmiać. - Nie rób takiej... - i tu urwał, a potem zapytał: - Co mianowicie? - A wtedy ja:

- Myślisz, że byłam tam w Polsce wolną kobietą, niezamężną i tak dalej, bez rodziny, bez niczego. Było mi wygodniej udawać, że tak jest, bo nie chciałam rozpamiętywać przeszłości. Wiem, że i dla ciebie było tak chyba lepiej. - Widziałam, że moje słowa sprawiają mu przykrość, ale mówiłam dalej: - Muszę ci to jednak powiedzieć. Prawda wygląda tak, że byłam przed paroma laty mężatką i miałam dziecko, chłopczyka, miał na imię Janek i był ze mną tam, w Oświęcimiu. - Zamilkłam, odwróciłam wzrok i on też milczał bardzo długo, a potem zaczął powtarzać: - O Boże, oświęty Boże. - Potem się uspokoił, a wreszcie zapytał: - Co się z nim stało? Co się stało z twoim synkiem? - A ja odpowiedziałam: - Nie wiem. Zaginął. - Wtedy on znów zapytał:

- To znaczy umarł? - Nie wiem - powiedziałam. - Tak. Chyba tak. Nieważne. Po prostu zaginął. Zaginął. To wszystko, co mogę powiedzieć, ale chciałam cię jeszcze o coś prosić. Teraz, kiedy ci powiedziałam, musisz mi coś przyrzec. Musisz mi przyrzec, że nigdy więcej nie będziesz mnie pytał o moje dziecko. Ani mówił onim. Ja też nie będę o nim mówić. - Odpowiedział mi jednym słowem: - Przyrzekam - ale na jego twarzy pojawił się taki smutek, taki żal, że musiałam się odwrócić.

Nie pytaj mnie. Stingo, nie pytaj, dlaczego byłam - po tym wszystkim - gotowa zgodzić się, żeby na mnie sikał, gwałcił mnie, zadźgał, bił, oślepił, zrobił ze mną, co zechce. Upłynęło dużo czasu, zanim znów przemówił. - Zofiomila, wiesz, ja jestem obłąkany. Chciałbym cię przeprosić za moje szaleństwo. - I po chwili dodał: - Chcesz się pieprzyć? - A ja odpowiedziałam natychmiast, bez namysłu: - Tak. Och, tak. - I kochaliśmy się przez całe popołudnie i zapomniałam o bólu, ale zapomniałam też o Bogu i o Janku, i o wszystkim, co straciłam. Wiedziałam tylko, że jeszcze trochę będziemy razem: Natan i ja. dwunasty

Wczesnym rankiem, gdy Zofia zakończyła swój długi monolog, musiałem ją położyć - „zapakować”, jak się wtedy mówiło - do łóżka. Byłem zdumiony, że po takiej ilości

wyżłopanej gorzałki zachowywała przez cały wieczór jasność umysłu, ale kiedy oczwartej zamykali bar, stwierdziłem, że ma nieźle w czubie. Zaszpanowałem i do odległego o milę Różowego Pałacu wróciliśmy taksówką; podczas jazdy drzemała, wsparta ciężko na moim ramieniu. Wmanewrowałem ją po schodach na górę obejmując w talii, przy czym nogi plątały się jej niebezpiecznie. Kiedy opuściłem ją kompletnie ubraną na łóżko, westchnęła tylko kilka razy ledwie dosłyszalnie i natychmiast, na moich oczach, pogrążyła się w nieprzytomnej śpiączce. Ja sam byłem pijany i wykończony. Przykryłem ją narzutą, po czym zszedłem do swojego pokoju, rozebrałem się, wśliznąłem pod koc i zapadłem w nieprzytomny sen kretyna.

Obudziło mnie oślepiające światło późnego poranka, świergot ptaków swarzących się w koronach klonów i platanów i dalekie, skrzekliwe głosy подроstków - wszystko to przełamywało się w moim obolałym mózgu i docierało do mnie przez najgorszego, tętniącego kaca, jakiego nie miałem od paru lat. Nie muszę chyba wyjaśniać, że również piwo może osłabić ciało i ducha, jeśli wypić go dostateczną ilość.

Wszystkie moje doznania uległy nagłej, straszliwej intensyfikacji: prześcieradło pod plecami wydawało mi się ścierniskiem, świergot wróbla skrzeczeniem pterodaktyla, łoskot ciężarówki podskakującej na wybojach przypominał ogłuszające trzaskanie wrotami piekieł. Moje nerwy aż wibrowały. A poza tym płonąłem żądzą, bezradny wobec paroksyzmów pobudzonej działaniem alkoholu chuci, owej, jak się to wtedy mawiało, „kacowej chcicy”. Ja, którego - jak się już zapewne czytelnicy zdążyli zorientować nawet w normalnych warunkach zżerała niezaspokojona żądza, teraz, wśród nieczęstych, dzięki Bogu, przyływów porannego pożądania przeobraziłem się w jakiś nędzny, prymitywny organizm całkowicie uległy genitalnym popędom, zdolny zbecześcić każdą, nawet pięcioletnią istotę bez względu na płeć, gotów spółkować z dosłownie każdym żywym, ciepłokrwistym kręgowcem. Żadne też prostackie samozaspokojenie nie mogło ugasić tego potężnego, gorączkowego pragnienia. Pożądanie tego rodzaju było zbyt totalne, zbyt głęboko tkwiło w przemożnym instynkcie rozrodczym, aby dało się je zaspokoić jakąś byle trzepanką. Myślę, że nie przesadzę, jeśli określe ten obłąd (bo nie było to nic innego) jako pierwotny. „Jebałbym nawet błoto” w taki sposób określało się podobną manię w Marine Corps. Mimo wszystko jednak zwyciężył we mnie człowiek: ku własnej satysfakcji otrząsnąłem się nagle i wyskoczyłem z łóżka. Pomyślałem o plaży Jones Beach i o Zofii w pokoju na górze.

Wytknąłem głowę na korytarz i zawołałem ją. Słychać było ciche dźwięki jakiegoś utworu Bacha. Odpowiedź Zofii, choć niewyraźna, brzmiała dość pogodnie, więc wszedłem do łazienki i oddałem się porannym ablucjom.

Była sobota. Poprzedniego wieczoru, w przyływie cieplejszych uczuć (może dlatego,

że była pijana), Zofia obiecała mi, że zostanie w domu i dopiero po weekendzie pojedzie do nowego mieszkania przy Fort Green Park. Z entuzjazmem przyjęła moją propozycję wycieczki na Jones Beach. Nigdy jeszcze tam nie byłem, ale słyszałem, że jest to oceaniczna plaża znacznie mniej zatłoczona niż Coney Island. Namydając ciało pod strumyczkiem letniej wody w postawionej na sztorc, metalowej, pokrytej różową pleśnią trumnie, która służyła mi jako kabina, zacząłem całkiem serio snuć plany związane z Zofią i najbliższą przyszłością. Uświadamiałem sobie teraz wyraźniej niż kiedykolwiek tragikomiczny aspekt namiętnych uczuć, jakie wobec niej żywiłem.

Z jednej strony miałem dość poczucia humoru, by dostrzegać groteskowość tych piekielnych mąk, jakie mi zadawała samym swym istnieniem. Naczytałem się dość romantycznej literatury, aby zdawać sobie sprawę z tego, że moje pełne udręki i frustracji rojenia mogą przy całym swym dramatyzmie egzemplifikować w zabawny sposób określenie „usychać z miłości”.

Ale było to zabawne tylko częściowo. Bo pragnienie i ból, jaki towarzyszył mej „jednokierunkowej” miłości, były tak okrutne, jak nagłe odkrycie, że nabawiłem się śmiertelnej choroby. Jedynym lekarstwem na tę chorobę byłoby odwzajemnienie moich uczuć, a to wydawało się tak odległe, jak wynalezienie lekarstwa na raka. Czasami (i tak było właśnie teraz) wręcz przeklinałem ją na głos - Zofia, ty dziwko! - bo wolałbym już chyba pogardę albo nienawiść niż ten erzac, który można było nazwać czułością albo sympatią, tylko nie miłością. Wciąż tłukło mi się po głowie to, co usłyszałem od niej wieczorem: wizja brutalności Natana, desperackiej czułości, perwersyjnego erotyzmu, przesiąknięta odorem śmierci.

- Cholerna Zofio - powiedziałem półgłosem, cedząc słowa i wycierając jednocześnie podbrzusze. - Natan zniknął z twojego życia, zniknął na dobre. Ta zabójcza moc szczyła, koniec z nią, kaput! Więc teraz pokochaj mnie, Zofio. Kochaj mnie. Kochaj mnie! Kochaj życie!

Wycierając się, rozważałem rzeczowo ewentualne praktyczne zastrzeżenia Zofii wobec mnie jako konkurenta do jej ręki, oczywiście przy założeniu, że przebiję się przez dzielący nas emocjonalny mur i wzbudzę w niej miłość. Jej potencjalne obiekcje mogły się okazać dość poważne. To, że dzieliła nas spora różnica wieku (spóźniona zachciewajka, wykwitła w okolicach nosa, mignęła mi w tej samej chwili w lustrze, jak gdyby dla podkreślenia tego faktu), nie stanowiło większego problemu; wobec wielu precedensów w historii było to normalne albo przynajmniej do przyjęcia. Nie byłem jednak nawet w przybliżeniu tak zasobny finansowo jak Natan. Choć trudno byłoby nazwać Zofię łąsą na

pieniądze, ceniła sobie uroki dostatniego, amerykańskiego życia, a zdolność do samowyrzeczeń nie należała do jej najbardziej typowych cech. Postępując niezbyt głośno, ale dosłyszalnie, zadawałem sobie zatem pytanie, jak, na Boga, zdołam utrzymać nas oboje. W tym samym momencie, jak gdyby sprowokowany tymi rozmyślaniami, sięgnąłem do skrytki w apteczce po swój miniaturowy sejf firmy Johnson & Johnson. I tu ku swemu przerażeniu stwierdziłem, że wszystko, co do centa, wyparowało z pudełeczka. Byłem zrujnowany!

W natłoku najczarniejszych emocji, jakie zwałają się na obrabowanego - zgryzoty, rozpacz, wściekłości, nienawiści do całej ludzkiej rasy - tą, która pojawia się na końcu i zarazem bywa najbardziej zatruta jadem, jest podejrzliwość. Nie mogłem się powstrzymać od wskazania wewnętrznym, oskarżycielskim palcem na Morrisa Finka, który kręcił się po domu i miał dostęp do mojego pokoju. Dyskomfort, jaki odczuwałem w związku z moim niepotwierdzonym podejrzeniem, łączył się z faktem, że zdążyłem już nabrać pewnej sympatii do tego myszkującego dozorca. Fink wyświadczył mi kilka drobnych przysług, co teraz, wobec moich podejrzeń, tylko komplikowało sprawę. I oczywiście nie mogłem się nimi podzielić nawet z Zofią, która przyjęła wiadomość o rabunku ze wzruszającym współczuciem.

- Och, Stingo, nie! Biedaku! Dlaczego? - Wygramoliła się z łóżka, gdzie wsparta na poduszkach czytała francuskie wydanie książki *Słońce też wschodzi*. - Stingo! Kto mógł ci to zrobić?

- Odruchowo rzuciła się ku mnie w swoim kwiecistym, jedwabnym szlafroku. Byłem tak oszołomiony, że nie zareagowałem nawet na rozkoszny napór jej biustu. - Stingo! Obrabowany? To straszne!

Czułem, że drżą mi wargi, byłem haniebnie bliski płaczu.

- Przepadły! - powiedziałem. - Wszystkie pieniądze przepadły! Trzysta z kawałkiem dolarów, wszystko, co zabezpieczało mnie przed wylądowaniem w przytułku dla ubogich! Jakże ja teraz, na miłość boską, skończę swoją powieść? Wszystko, co miałem, oprócz... - tknięty spóźnioną myślą wyszarpnąłem z kieszeni portfel i otworzyłem go. - Oprócz czterdziestu, czterdziestu dolarów, które na szczęście wzięłem, kiedy wychodziliśmy wczoraj wieczorem. Ach, Zofio, to po prostu katastrofa! - Uprzytomniłem sobie, że mimo woli naśladuję Natana: - Aj, jaki *cures*!

Zofia posiadała tajemniczą zdolność uśmierzania dzikich wybuchów gniewu, nawet tych u Natana, o ile nie tracił całkowicie panowania nad sobą. Owe przedziwne czary, do których sedna nigdy nie udało mi się dotrzeć, wiązały się zarówno z jej europejskim pochodzeniem, jak z właściwą jej nieokreśloną i fascynującą macierzyńskością. Wystarczyło,

że powiedziała: „Cśśś!” szczególnym tonem udawanej przygany; człowiek od razu kurczył się, odechciewało mu się żartów. Ponieważ w mojej rozpaczy daleki byłem od śmiechu, Zofii udało się bez trudu poskromić burzę.

- Stingo - powiedziała gładząc mnie po ramionach. - Stała się rzecz okropna. Ale nie możesz zachowywać się tak, jakby spadła na ciebie bomba atomowa. Taki duży chłopiec, a wygląda, jakby się miał za chwilę rozplakać. Cóż to jest trzysta dolarów? Niedługo, gdy zostaniesz wielkim pisarzem, będziesz zarabiał trzysta dolarów tygodniowo! To nieprzyjemne, ta strata, *mais, chéri, ce n'est pas tragique*, nic na to nie poradzisz, więc musisz na razie o wszystkim zapomnieć. I jedziemy na Jones Beach, tak jak mówiliśmy!
Allonsy!

Bardzo mi to pomogło, szybko się uspokoiłem. Uświadomiłem sobie, podobnie jak ona, że niezależnie od ogromu mojej straty nic nie mogłem poradzić, postanowiłem więc dać sobie spokój i cieszyć się przynajmniej weekendem z Zofią. Do poniedziałkowej konfrontacji z ponurymi perspektywami na przyszłość pozostawało jeszcze sporo czasu. Zacząłem myśleć o wyprawie na plażę z euforią oszusta podatkowego, który zamierza zbiec przed karzącą ręką sprawiedliwości do Rio de Janeiro.

Z zaskakującą dla mnie samego małostkowością próbowałem wyperswadować Zofii, aby nie pakowała opróżnionej do połowy butelki whisky do torby plażowej. Ale ona upierała się ze śmiechem, twierdząc, że to „klin”, czego z pewnością nauczył ją Natan.

- Nie tylko ty masz kaca, Stingo - dodała.

Czy to w tym momencie zaniepokoiła mnie jej skłonność do alkoholu? Myślę, że początkowo uważałem to wzmożone pragnienie za chwilową aberrację, szukanie w kieliszku pociechy, co wiązało się przede wszystkim z odejściem Natana. Teraz wcale nie byłem tego taki pewien; wątpliwości i niepokoje nurtowały mnie jeszcze, kiedy kiwaliśmy się w zatłoczonym wagonie metra. Wkrótce wysiedliśmy.

Autobus na Jones Beach odjeżdżał z obskurnej krańcówki przy Nostrand Avenue, rojącej się od niesfornych brookliń - czyków walczących o miejsca w wyprawie po słońce. Zofia i ja wsiedliśmy do autobusu jako ostatni; stojący w ciemnym jak grób tunelu pojazd śmierdział, panowały w nim niemal nieprzeniknione ciemności i całkowita cisza, chociaż wypełniała go po brzegi szara, kłębiąca się ludzka masa. W tej ciszy było coś niesamowitego i niepokojącego - kiedy przepychaliśmy się do tyłu, pomyślałem, że taka cizba powinna reagować jakimiś pomrukami, syknięciami, zdradzać jakieś oznaki życia. W końcu dotarliśmy do naszych miejsc i usiedliśmy na sterczących pod obdartą skórą sprężynach. W chwilę później autobus wychynął na słońce; teraz mogłem się przyjrzeć współpasażerom. Były to

same dzieci, żydowskie podrostki, wszystkie głuchonieme. Domyślałem się w każdym razie, że to Żydzi, bo jeden z chłopców trzymał wielką tablicę z wykonanym odręcznie napisem: SZKOŁA DLA GŁUCHONIEMYCH BETH ISRAËL. Dwie rozłożyste, uśmiechnięte matrony przechadzały się pomiędzy rzędami i przekazywały coś językiem migowym, co sprawiało wrażenie, jakby dyrygowały jakimś niemym chórem. Tu i ówdzie któreś z dzieci odpowiadało, rozpromienione, ptasim trzepotaniem dłoni. Dygotałem wewnątrz, uwięziony w bezdennych lochach mojego kaca. Ogarnęło mnie okropne przecucie straszliwego końca. Mój rozstrój nerwowy, widok tych upośledzonych aniołów i woń spalin, wszystko to razem wywoływało w mojej wyobraźni fantazmy podszyte przejmującym lękiem. Owej paniki nie uśmierzał bynajmniej głos siedzącej obok Zofii ani gorzki wydźwięk tego, co miała mi do powiedzenia. Zaczęła pociągać małymi łydkami z butelki i to wyzwoliło w niej nieprawdopodobną gadatliwość. Jednak w prawdziwe osłupienie wprawiła mnie nuta jawnej złośliwości w jej głosie i to, co mówiła

o Natanie. Nie mogłem wprost uwierzyć w ten nowy ton przypisywałem wszystko działaniu whisky. Słuchałem oniemiały i zakłopotany wśród ryku silnika i niebieskawej mgiełki węglowodoru, tęskniąc za czystą plażą.

- Dziś w nocy - mówiła - dziś w nocy, Stingo, kiedy opowiedziałam ci, co zdarzyło się w Connecticut, po raz pierwszy coś dotarło do mojej świadomości. Uświadomiłam sobie, że właściwie jestem zadowolona z tego, że Natan odszedł. Rzeczywiście, naprawdę zadowolona. Widzisz, byłam tak całkowicie zależna od niego, a to nie jest zdrowe. Nie mogłam bez niego zrobić kroku. Nie mogłam podjąć najprostszej *décision* nie pomyślawszy najpierw o Natanie. Tak, wiem, że mam wobec niego dług wdzięczności, tyle dla mnie zrobił - wiem - ale było coś chorobliwego w tej roli kociaczka do piepszot. Pieprzenia i piepszot...

- Ale mówiłaś przecież, że był naćpany - przerwałem jej. Odczuwałem dziwną potrzebę ujęcia się za Natanem. - Czy nie było tak, że stawał się taki okropny tylko wtedy, kiedy brał te prochy?

- Prochy! - ucięła ostro. - Owszem, był na prochach, ale, na Boga, czy to go w ogóle usprawiedliwia? Wciąż te usprawiedliwienia! Mam już dość powtarzania, że należy współczuć człowiekowi, że jest pod działaniem narkotyków i to niby usprawiedliwia jego postępowanie. Pieprzyć tę gadkę, Stingo wykrzyknęła, bezbłędnie imitując Natana. - Omal mnie nie zabił. Bił mnie! Dręczył! I ja mam jeszcze kochać kogoś takiego? Nie mówiłam ci tego, ale wiesz, co mi zrobił? Złamał mi zebro kopniakiem. Zebro! Musiał zawieźć mnie do lekarza nie do Larry'ego, dzięki Bogu - musiał zawieźć mnie do lekarza, prześwietlili mnie i

musiałam nosić specjalny bandaż przez sześć tygodni. I musieliśmy zmyślić jakąś bajeczkę - że pośliznęłam się na chodniku, upadłam i złamałam zebro. Och, Stingo, jestem zadowolona, że się pozbyłam tego człowieka. Takiego okrutnika, takiego... *malhonnête*. Jestem szczęśliwa, że go nie ma - oznajmiła, wycierając kropelkę śliny z wargi.

- Jestem w siódmym niebie, jeśli chcesz znać prawdę. Nie potrzebuję już Natana. Jestem jeszcze młoda. Mam dobrą pracę. Bez trudu znajdę sobie innego. Ha! Kto wie, może wyjdę za mąż za Seymoura Katza! Ale byłby zdziwiony, gdybym poślubiła tego kręgarza, z którym, jak bezpodstawnie twierdził, coś mnie łączyło! A jego znajomi! Znajomi Natana!

Odwrociłem się i spojrzałem na nią. Dostrzegłem błyski furii w jej oczach. Mówiła coraz bardziej podniesionym, przenikliwym głosem i miałem ochotę ją uciszyć, ale uprzytomniłem sobie, że nikt oprócz mnie jej nie słyszy.

- Tak naprawdę to nie mogłam ścierpieć tych jego przyjaciół. Larry'ego, owszem, bardzo lubiłam. Będzie mi go brakować. Lubiałam też Morty'ego Habera. Ale ta cała reszta... Ci wszyscy Żydzi z ich całą psychoanalizą, z tym babraniem się w swoich problemkach, z tą przesadną troską o swoje cenne mózdzki, z tymi psychologami i tak dalej. Zresztą sam słyszałeś, Stingo. Wiesz, o co mi chodzi. Czy to nie śmieszne? Mój psycholog to, mój psycholog tamto... To wprost niesmaczne, można by pomyśleć, że ten dobrze urządzony żydowskoamerykański ludek naprawdę cierpi. Płacą doktorowi Takiemuatakiemu kupę dolarów za godzinę badania ich żalonych żydowskich duszyczek! Brrr! - wzdygnęła się i odwróciła do mnie plecami.

Było w tej pasji i goryczy, a także w jej popijaniu coś, co spotęgowało moją trzęsionkę do granic wytrzymałości. Nigdy przedtem tego u niej nie widziałem. Kiedy tak papiała, uświadomiłem sobie mgliście, że w moim organizmie zachodzą jakieś fatalne zmiany: piekła mnie okropna zgaga, pocilem się jak palacz w kotłowni, w dziwnym, neurotycznym ponieceniu mój ukochany, sfrustrowany kutas zeszywniał mi w nogawce jak kamień. Zdawało się, że jakiś demon siedzi za kierownicą. Zdezelowany autobus, dysząc spalinami, pędził wśród podskoków, nagłych zakrętów i zgrzytów przekładni przez pustkowia Queens i Nassau zabudowane z rzadka bungalowami. Miałem wrażenie, że pozostaniemy w nim uwięzieni na zawsze. Słuchałem jak w transie głosu Zofii niosącego się niczym aria ponad błazeńską, dziecięcą pantomimą. Żałowałem, że nie przygotowałem się emocjonalnie do przyjęcia ciężaru jej wynurzeń.

- Żydzi! - zawołała. - W końcu okazuje się, że *sous lapeau*, no wiesz, w głębi duszy, są właściwie wszyscy tacy sami. Mój ojciec miał rację, kiedy mówił, że nigdy nie

spotkał Żyda, który dałby coś darmo, nie żądając nic w zamian. *Quid pro quo* - jakby powiedział. Ach, Natan, on był najlepszym przykładem! No dobrze, bardzo mi pomógł, dzięki niemu wyzdrowiałam, i co z tego? Myślisz, że robił to z miłości, z dobrego serca? Nie, Stingo, on robił to tylko po to, żeby móc mnie wykorzystać, mieć mnie, pieprzyć, bić, posiadać jak jakiś przedmiot! I to wszystko, po prostu *object*. To było w nim takie żydowskie - on mi nie dawał swojej miłości, on mnie nią kupował, jak wszyscy Żydzi. Nic dziwnego, że ich tak nienawidzą w Europie; im się wydaje, że za pieniądze, za *Geld* mogą mieć wszystko, czego zapragną. Myślą, że można kupić nawet miłość.- Chwyliła mnie za rękaw koszuli; poczułem odór żytniówki, silniejszy niż smród spalin. - Żydzi! Boże, jak ja ich nienawidzę! Ileż ja ci nakłamałam, Stingo. Wszystko, co ci opowiadałam o Krakowie, to kłamstwo. Przez całe dzieciństwo, całe swoje życie nienawidziłam Żydów. Zasłużyli sobie na to. Nienawidzę ich, tych parszywych żydowskich *cochonsl*

- Zofio, błagam cię... - zaprotestowałem. Wiedziałem, że jest rozwścieczona, wiedziałem, że wcale tak nie myśli, wiedziałem też, że żydowskość Natana była dla niej wygodniejszym celem ataku niż sam Natan, że wciąż miała fioła na jego punkcie. Mimo że, jak mi się zdawało, znałem źródło tego nieprzyjemnego wybuchu, wzburzyło mnie to wszystko. Siła sugestii jest jednak potężna, bo ów gwałtowny upust goryczy poruszył we mnie jakąś atawistyczną czulą strunę i kiedy roztrzęsiony autobus zmierzał ku asfaltowemu parkingowi przy Jones Beach, pograżyłem się w ponurych rozmyślaniach nad kradzieżą, jakiej padłem ofiarą. I nad Morrisem Finkiem. F ink! Ten pieprzony mosiek, myślałem, próbując bezskutecznie beknąć.

Mali głuchoniemi zaczęli wysiadać, a my razem z nimi. Tłoczyli się wokół nas, deptali nam po palcach, osaczyli nas, napełniając powietrze motylim trzepotem. Miałem wrażenie, że się ich nie pozbędziemy: uformowali niesamowity, niemy orszak, towarzysząc nam w marszu przez plażę. Niebo, tak czyste nad Brooklynem, zachmurzyło się; horyzont przybrał barwę ołowiu, przybrzeżne oleiste fale przewalały się leniwie. Tylko paru plażowiczów leżało na piasku, było duszno i parno. Czułem nieznośny niepokój i przygnębienie, a moje nerwy wprost wibrowały z napięcia. W uszach rozbrzmiewał mi deliryczny, pełen bezbrzeżnego żalu fragment *Pasji według św. Mateusza*, której lkań słuchałem rano z radia Zofii. Bez żadnej szczególnej przyczyny, niczym stosowna antyfona, nasunęły mi się jakieś niedawno czytane, siedemnastowieczne wersy: „...jako że Śmierć to *Lucina* życia i nawet poganie zastanawiać się muszą, czy nie jest ona życia celem...” Pocilem się w wilgotnym kokonie swych lęków, trapiąc się poniesioną stratą i nagłym ubóstwem, gryzłem się losami mojej powieści, łamałem sobie głowę, czy oskarżać Morrisa Finka, czy

nie. Jak gdyby w reakcji na jakiś niemy sygnał głucha dzieciarnia rozproszyła się, rozpierchła niczym stadko mew. Brodziliśmy z Zofią wzdłuż brzegu, oboje samotni pod mysioszarym niebem.

- Natan miał wszystkie najgorsze cechy Żydów - powiedziała Zofia. - Żadnych dobrych.

- A co w Żydach w ogóle jest dobrego? - zapytałem płacząco.

- Przecież to Żyd Morris Fink ukraść mi pieniądze z apteczki. Jestem tego pewien! Zwariowany na punkcie forsy, chciwy żydowski skurwiel!

Dwoje antysemitów na letniej wycieczce.

W godzinę później oszacowałem, że Zofia obciągnęła prawie pół litra gorzałki. Złapała ją niczym jakaś spawaczka w polskim barze w Gary, w stanie Indiana. A jednak nie zdradzała żadnych oznak zakłóceń koordynacji ruchów. Alkohol rozwiązał jej tylko język (przy czym nie bełkotała, ale po prostu terkotała jak najęta, w niesamowitym tempie). Podobnie jak poprzedniej nocy, słuchałem i patrzyłem zdumiony, jak ów mocny produkt niewinnej destylacji zboża pomaga jej się pozbyć wszelkich zahamowań. Utrata Natana zdawała się wyzwać w Zofii jakiś perwersyjny erotyzm, skłaniając ją do rozpamiętywania dawnych przygód miłosnych.

0 Zanim dostałam się do obozu - powiedziała - miałam w Warszawie kochanka. Był o kilka lat młodszy ode mnie. Miał na imię Józef. Nigdy nie mówiłam o nim Natanowi, nie wiem właściwie dlaczego. - Przerwała, zagryzła wargę, a potem stwierdziła. - A właściwie wiem. Bo wiedziałam, że Natan jest tak zazdrosny, tak obłądnie zazdrosny, że zniecierpliwiliby mnie i mścił się nawet za kochanka z przeszłości. Taki był zazdrosny, więc nie pisałam słowem o Józefie. Wyobraź sobie: wściekać się kogoś, kto był dawnym kochankiem! I do tego nie żyje.

- Nie żyje? - zapytałem. - A co się z nim stało?

Ale ona zdawała się nie słyszeć. Przewróciła się na kocu i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu i jeszcze większej radości wyjęła ze swojej plecionej torby plażowej cztery puszki piwa. Nie gniewałem się nawet o to, że nie dała mi ich wcześniej. Piwo zdążyło się oczywiście zagrzać, ale było mi to zupełnie obojętne (i ja potrzebowałem pilnie klina). Otworzyła jedną z puszek wręczyła mi ją, ociekającą pianą. Przyniosła też jakieś kanapki nieokreślonym wyglądem, ale nie ruszyliśmy ich. Cudownie odizolowani, leżeliśmy w zagłębieniu ukrytym między dwiema wysokimi wydmami porośniętymi ostrą trawą. Mieliśmy stąd widok na bezgłośnie obmywające piasek morze o dziwnej, szarozielonej, dość szpetnej barwie oleju maszynowego, ale nas nie mógł tu widzieć nikt oprócz mew

nurkujących w nieruchomym powietrzu. Spowijał nas prawie namacalny tuman wilgoci, blada tarcza słońca wзираła spoza sunących z wolna, skłębionych, szarych chmur. Ow nadmorski pejzaż miał w sobie tak głęboką melancholię, że początkowo nie zamierzałem pozostawać tu długo; błogosławiony schlitz uciszył jednak - przynajmniej tymczasowo - moje lęki. Pozostało tylko podniecenie, podsycane bliskością Zofii w białym, elastycznym kostiumie kąpielowym naszym całkowitym odosobnieniem w piaskowym grajdole; nastrój konspiracji rozpałał moją wyobraźnię. Poza tym byłem tak strasznie i beznadziejnie usztywniony - po raz pierwszy w takim stopniu od fatalnej nocy z Leslie Lapidus - że idea samokastracji, jaka zaświtała mi w głowie, nabrała, przynajmniej przez moment, zgoła poważnych kształtów. Dla przyzwoitości leżałem konsekwentnie na brzuchu w swoich idiotycznych wojskowych kąpielówkach koloru zielonkawej rzygowiny, odgrywając jak zwykle rolę cierpliwego spowiednika. I znów moja antena odbiorcza przesłała mi sygnał, że w tym, co opowiadała Zofia, nie było żadnych niedomówień i fałszów.

- Był jeszcze jeden powód, dla którego nie powiedziałabym Natanowi o Józefie - ciągnęła. - Nie powiedziałabym mu nawet, gdyby nie był zazdrosny.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Dlatego, że nie uwierzyłyby w nic, co dotyczyło Józefa w nic absolutnie. To też miało związek z Żydami.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ach, to takie skomplikowane.

- Więc spróbuj mi wyjaśnić.

- Wiązało się to z kłamstwami na temat ojca, których mu wcześniej naopowiadałam - rzekła. - Po prostu... jak to się mówi? - przechytrzyłam.

Westchnąłem głęboko.

- Słuchaj, Zofio, wszystko mi się płące. Mów jaśniej, proszę.

- Okej, posłuchaj więc: Natan nie uwierzyłyby w żaden dobry uczynek Polaków w stosunku do Żydów. Nie mogłam go przekonać, że byli przyzwoici Polacy, którzy narażali życie dla ich ratowania. Mój ojciec... - zająknęła się, umilkła i po krótkim wahaniu zaczęła mówić dalej. - Mój ojciec... Ach, niech to diabli, już ci mówiłam - okłamywałam Natana tak jak ciebie. Ale tobie powiedziałam w końcu prawdę, a Natanowi nie mogłam... nie mogłam, bo... bo stchórzyłam. Przekonałam się, że mój ojciec był takim potworem, że muszę zataić prawdę, choć nie byłam tu w niczym winna. Niczego nie musiałam się wstydzić. - Znów się zawahała. - To było takie przygnębiające. Kłamałam o moim ojcu i Natan w to nie uwierzył. Od tej pory wiedziałam już, że nigdy nie będę mogła powiedzieć mu o Józefie. Józef był

człowiekiem dobrym i odważnym. I to była prawda. Pamiętam takie powiedzonko Natana, które zawsze wydawało mi się bardzo amerykańskie: „Coś się zyskuje, coś się traci”. Ale ja nie mogłam zyskać niczego.

- No i co z tym Józefem? - dopytywałam się niecierpliwie.

- Mieszkaliśmy w Warszawie w domu, który został zbombardowany, ale potem go wyremontowali, tak że można było w nim mieszkać. Można było, ale z trudem. Okropne miejsce. Nie wyobrażasz sobie, jak strasznie było w Warszawie podczas okupacji. Brak żywności, często wody, a zimy były wtedy bardzo srogie. Pracowałam w fabryczce papy. Dziesięć, jedenaście godzin dziennie. Od tej papy krwawiły mi ręce. Bez przerwy leciała mi krew. Właściwie nie pracowałam dla pieniędzy, ale po to, żeby mieć papier, że pracuję. Taka karta chroniła mnie przed wysłaniem do Niemiec, do obozu pracy. Mieszkałam w maleńkiej klitce na czwartym piętrze, a Józef z przyrodnią siostrą piętro niżej. Ona miała na imię Wanda, była nieco starsza ode mnie. Oboje związani byli z podziemiem, po angielsku to będzie Home Army. Chciałabym ci dobrze opisać Józefa, ale nie potrafię, brakuje mi słów. Uwielbiałam go. Ale to nie był prawdziwy romans. Józef był niewysoki, muskularny, bardzo wrażliwy i nerwowy. Miał jak na Polaka bardzo ciemne włosy. To dziwne, ale nie kochaliśmy się zbyt często. Choć sypialiśmy w tym samym łóżku. Mówił, że musi oszczędzać energię na przyszłą walkę. Nie miał specjalnego wykształcenia, w każdym razie formalnego. Podobnie jak w moim przypadku, wojna przekreśliła szansę studiów. Ale dużo czytał, był bardzo inteligentny. Jako anarchista z przekonania czcił pamięć Bakunina i był absolutnym ateistą; ja w tamtych czasach byłam jeszcze bardzo pobożna i czasami zastanawiałam się, jak to się mogło stać, że pokochałam człowieka, który nie wierzy w Boga. Ale umówiliśmy się, że nie będziemy nigdy rozmawiać na temat religii i nie rozmawialiśmy.

Józef był morder... - urwała, pomyślała chwilę i poprawiła się:

- Zabójcą. Był zabójcą. To właśnie robił dla organizacji. Zabijał Polaków, którzy wydawali Żydów, zdradzali ich kryjówki. Żydzi ukrywali się w całej Warszawie, *naturellement* nie ci z getta, ale Żydzi z elity, *assimiles*, wielu intelektualistów. Było wielu Polaków, którzy wydawali Żydów hitlerowcom, czasem dla pieniędzy, czasem tak sobie. Józef był jednym z tych, którzy wykonywali wyroki organizacji na zdrajcach. Dusił ich struną od fortepianu. Najpierw starał się ich w jakiś sposób poznać, a potem dusił. Za każdym razem, kiedy kogoś zabił, wymiotował. Zabił sześciu czy siedmiu. Mieliśmy, Józef, Wanda i ja, przyjaciółkę w sąsiednim domu, piękną dziewczynę imieniem Irena. Była po trzydziestce, bardzo, bardzo piękna. Wszyscy troje bardzo ją lubiliśmy. Przed wojną była nauczycielką. To dziwne, wykładała literaturę amerykańską i pamiętam, że była specjalistką od takiego poety,

Harta Crane'a. Słyszałeś o nim, Stingo? Ona też pracowała dla konspiracji, w każdym razie tak sądziliśmy, ale po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że pracuje na dwie strony i że też wydała wielu Żydów. Więc Józef musiał ją zabić. Mimo że ją tak bardzo lubił. Udusił ją pewnej nocy struną od fortepianu i przez cały następny dzień stał w oknie mojego pokoiku i patrzył w przestrzeń, nie mówiąc słowa.

Zofia zamilkła. Przytuliłem twarz do piasku i myśląc o Harcie Cranie, czułem, jak drzę do wtóru krzykom mew, w posępnym rytmie napływających fal. *And you beside me, blessed now while sirens sing to us, stealthily weave us into day...*

- A jak zginął on sam? - zapytałem po raz drugi.

- Po tym jak zabił Irenę, gestapo wpadło na jego trop. To było jakiś tydzień później. Hitlerowcy mieli tych swoich wielkich Ukraińców, którzy mordowali. Przyszli pewnego popołudnia, kiedy nie było mnie w domu, i poderżnęli mu gardło. Kiedy wróciłam, Wanda już go znalazła. Wykrwawił się na śmierć na schodach...

Upłynęło dużo czasu, nim którekolwiek z nas się odezwało. Wiedziałem, że wszystko, co powiedziała, każde jej słowo, było absolutną prawdą, i ogarnął mnie smutek. Czułem się głęboko związany z tą tragiczną historią, w jaką zostałem wtajemniczony, i chociaż tłumaczyłem sobie logicznie i racjonalnie, że nie ponoszę odpowiedzialności za kosmiczne wydarzenia, które na swój sposób dotyczyły mnie, tak samo jak Józefa, nie mogłem się powstrzymać od ponurych refleksji na temat moich losów w ostatnich latach. Bo cóż porabiał stary Stingo w czasie, gdy Józef, a także Zofia i Wanda cierpieli niewiarygodną gehennę w Warszawie? Słuchał Glenna Millera, złopał piwo, włóczył się po barach, walił konia. Boże, cóż za niesprawiedliwy świat. Nagle, kiedy tak leżałem z twarzą zanurzoną w piasku, po chwili ciszy, która zdawała się trwać w nieskończoność, poczułem, że palce Zofii dotykają moich kąpielówek i zaczynają lekko muskać ową niezwykle wrażliwą strefę, gdzie udo łączy się z pośladkiem, milimetry od jąder. Doznanie było zarazem zaskakujące nieodparcie erotyczne; mimo woli wydałem z siebie głęboki pomruk. Palce cofnęły się.

- Rozbierzmy się, Stingo - usłyszałem, nie wierząc własnym uszom.

- Co powiedziałaś? - zapytałem głucho.

- Rozbierzmy się. Do naga.

Postaraj się wyobrazić to sobie, czytelniku. Wyobraź sobie, że żyłeś przez jakiś nieokreślony, ale długi czas ze świadomością nękającej cię, śmiertelnej choroby. Pewnego dnia dzwoni telefon i twój lekarz powiada: „Nic panu nie jest, to był fałszywy alarm”. Albo wyobraź sobie coś takiego: grzeźmesz po uszy w długach, oblegają cię wierzyciele, jesteś tak bliski nędzy i ruiny, że rozważasz, czy nie popełnić samobójstwa. I znów zbawczy telefon -

wiadomość, że wygrałeś pół miliona dolarów w loterii państwowej. Nie przesadzę (przypominam, że tak naprawdę nigdy dotąd nie widziałem nagiej kobiety), jeśli powiem, że nawet podobnie cudowne zrządzenia losu nie wywołałyby takiego uczucia zdumienia pomieszanego z bezgranicznym, zwierzęcym wprost szczęściem, jak delikatna sugestia Zofii. Owa propozycja plus jednoznacznie zmysłowy dotyk jej palców sprawiły, że dostałem niesamowitej zadyszki i popadłem w stan określany w medycynie jako hiperwentylacja; zdawało mi się przez moment, że zaraz zemdleję.

Kiedy odważyłem się spojrzeć, zrzuciła z siebie właśnie swój szykowny kostium Cole of California, tak że znajdowałem się ocentymetry zaledwie od czegoś, co spodziewałem się zobaczyć dopiero po osiągnięciu wczesnego wieku średniego: młodego kobiecego ciała, nagusieńkiego, z pełnymi piersiami o sterczących, brunatnych sutkach, gładkim, lekko zaokrąglonym brzuchem z niewinnym, mrugającym oczkiem pępka i (ucisz się, moje serce, pomyślałem) cudownie symetrycznym trójkątem włosów łonowych o barwie miodu. Moja kulturalna tresura - dziesięć lat obcowania z malowanymi aerografem dziewczętami z magazynów ilustrowanych i całkowitej nieznajomości (całkowicie zamaskowanych) ludzkich kształtów - sprawiła, że niemal zapomniałem tym ostatnim szczególnie kobiecej anatomii. Patrzyłem nań jeszcze w osłupieniu, kiedy Zofia odwróciła się i zaczęła biec w stronę morza.

- No chodź, Stingo! - zawołała. - Rozbierz się i chodź do wody!

Wstałem i znieruchomiały odprowadzałem ją wzrokiem; podejrzewam, że żaden z cnotliwych, wygłodniałych i udręczonych rycerzy, poszukiwaczy świętego Graala, nie rozdziawiłby szerzej gęby w zachwycie na widok upragnionego kielicha niż ja patrząc na podskakujące pośladki Zofii - to rozkoszne, odwrócone serduszkowalentynkę. W chwilę później pogrążyła się z pluskiem w ciemnych wodach oceanu.

Myślę, że tylko moja konsternacja powstrzymała mnie przed pójściem w jej ślady. Tyle rzeczy zdarzyło się tak nagle, że moje zmysły pogrążyły się w chaosie i stałem jak wrośnięty w piasek. Te gwałtowne zmiany nastroju! - najpierw przerażająca warszawska historia, a zaraz potem swawolne igraszki. Co to, u licha, miało znaczyć? Byłem dziko podniecony, ale zarazem beznadziejnie zmieszany, i z braku wcześniejszych doświadczeń nie wiedziałem, co począć wobec takiego obrotu sprawy. Z nadmierną ostrożnością pomimo całkowitego odosobnienia naszego zakątka - wyswobodziłem się z majtek i stałem pod niebem zasnutym szarymi, skłębionymi chmurami, wbrew własnej woli popisując się przed aniołkami swoją sterczącą męskością.

Wypiłem resztkę piwa, odurzony uczuciem lęku pomieszanego z radością. Przyglądałem się, jak Zofia pływa. Robiła to dobrze z widoczną przyjemnością, całkowicie

rozluźniona. Miałem nadzieję, że nie rozluźni się nadmiernie; w pewnej chwili przestraszyłem się, czy ta mieszanka oceanu i whisky nie okaże się niebezpieczna. Powietrze było nagrzane i lepkie, ale mnie ogarnęły malaryczne dreszcze.

- Och, Stingo - zawołała chichocząc, kiedy wyszła z wody **tu bandes**.
- Tu... co?
- Stał ci.

Zauważyła to natychmiast. Nie wiedząc, co począć, i nie chcąc okazać się kompletną ofermą ułożyłem się na kocu w nonszalanckiej pozie - nonszalanckiej na tyle, na ile pozwalała mi moja trzęsionka. Nabrzmiały członek przykryłem przedramieniem, ale moje wysiłki były daremne: wyskoczył na wierzch, gdy tylko klapnęła obok mnie, i wtedy jak delfiny potoczyliśmy się po kocu ku sobie. Od tego momentu usiłowałem rozpaczliwie zapanować nad bolesnym podnieceniem wywołanym jej uściskiem. Całując ją wydawałem z siebie ciche rżenia jak kucyk, ale mogłem się zdobyć jedynie na pocałunki. Objąłem Zofię kurczowym chwytem w talii, bojąc się jej gdziekolwiek dotknąć, by nie zmiażdżyć swoimi niezgrabnymi paluchami jej żeber; wydawały się bardzo delikatne. Myślałem o bucie Natana, ale także o jej wcześniejszym wygłodzeniu. Moje dreszcze i drgawki nie ustawały. Teraz skoncentrowałem się cały na zaprawionej wonią whisky słodyczy jej ust i naszych złączonych, gorących językach.

- Stingo, ty cały drzysz - szepnęła, odrywając się na moment od mojego psiego lizania. - Odpręż się! - Ale ja uświadomiłem sobie w tej samej chwili, że ślinię się jak krety - fakt kolejnego upokorzenia dotarł do mnie, kiedy zwarliśmy się w mokrym pocałunku. Nie mogłem pojąć, dlaczego się tak ślinię, i ów problem zaabsorbował mnie do tego stopnia, że powstrzymałem się od sięgnięcia do piersi, tyłka czy - broń Boże - bardziej ukrytego zakątka, o którym z dreszczykiem roilem w moich snach. Chwycił mnie w kleszcze jakiś trudny do określenia, diabelski paraliż, jak gdyby dziesięć tysięcy kaznodziejów z prez - biteriańskiej szkółki niedzielnej zawisło nad Long Island w postaci groźnej chmury, a ich obecność odebrała mi władzę w palcach. Sekundy zdawały się minutami, minuty godzinami, a ja nie byłem zdolny do bardziej zdecydowanego posunięcia. Ale wtedy, jak gdyby chcąc położyć kres moim mękom czy też po prostu nadać rzeczy bieg, wykonała ruch Zofia. - Masz pięknego *szlonga*,

Stingo - powiedziała, ujmując mnie za niego delikatnie, ale z pełnym wprawy zdecydowaniem.

- Dziękuję - wymamrotałem. Oblała mnie fala niedowierzania (naprawdę mnie za niego trzyma, pomyślałem), ale usiłowałem nadrabiać miną, udając człowieka bywałego. -

Dlaczego nazywasz go *szlong*? Na Południu mówimy na to inaczej. - Głos załamywał mi się z lekka.

- Natan tak na niego mówi - odparła. - A jak mówicie na Południu?

- Czasami mówimy „zaganiacz” - wychrypiałem. - W północnych regionach Południa nazywają go „dzwon” albo „dyszel”. Albo „piotruś”.

- Słyszałam, jak Natan nazwał go raz „fajfus”. I „mój *poc*”.

- A mój ci się podoba? - ledwie słyszałem własny głos.

- Jest rozkoszny.

Nie pamiętam już, co - o ile w ogóle coś konkretnego - położyło kres tej koszmarnej konwersacji. Mogłaby mnie oczywiście skom - plementować w sposób bardziej wyszukany - powiedzieć „potężny”, „*une merveille*”, wystarczyłoby nawet „wielki”. Cokolwiek, tylko nie „rozkoszny”. Być może moje ponure milczenie skłoniło ją, by zacząć go głaskać i pompować, co czyniła z zapalem i wprawą kurtyzany i dojarki w jednej osobie. To było cudowne. Wsłuchiwałem się w jej przyspieszony oddech i sam dyszałem gwałtownie, a kiedy szepnęła: - Stingo, kochanie, odwróć się na plecy - przez mózg przemknęły mi wizje namiętych, oralnych praktyk uprawianych z Natanem, które mi tak bez osłonek opisywała.

Ale cały ten boski masaż i to nagłe zaproszenie do raję (Boże, pomyślałem, powiedziała do mnie „kochanie”) były czymś, czego /dźrzyć nie mogłem; becząc z podniecenia jak zarzynany baran zacisnąłem powieki, po czym tamy puściły i pulsujący strumień wytrysnął. Potem skonałem. Doprawdy, nie powinna była chichotać w tym smutnym momencie, a jednak zachichotała.

W chwilę później wszakże, wyczuwając moją rozpacz, rzekła:

- Nie smuć się Stingo. To się czasem zdarza.

Leżałem bezwładnie jak wyżęta ścierka, z zamkniętymi oczami, całkiem niezdolny do rozmyślań nad rozmiarami mojej porażki.

Ejaculatio praecox (wykłady z psychologii seksu na Uniwersytecie Duke’a). Chór złośliwych diabełków jazgotliwie powtarzał ten termin w czarnym piekle mojej rozpaczy. Zdawało mi się, że już nigdy nie otworzę oczu, nie zobaczę świata - ja, uwięziony w mule mięczak, najnędniesze z morskich stworzeń.

Znów usłyszałem chichot. Zerknąłem spod przymkniętej

- Spójrz, Stingo - powiedziała, a ja spojrzałem i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. - To dobrze robi na cerę. - Na moich oczach ta szalona Polka pociągnęła whisky prosto z butelki, a drugą ręką - tą, którą zadała mi tyle rozkoszy zmieszanej z upokorzeniem - zaczęła delikatnie wcierać w skórę twarzy moją nieszczęsną wydzielinę. - Natan zawsze

powtarza, że w spermie jest pełno różnych wspaniałych witamin - powiedziała. Nie wiem, dlaczego utkwilem wzrok w jej obozowym tatuażu; wydawał się w tej sytuacji mocno niestosowny. - Nie bądź taki *tragique*, Stingo. To nie koniec świata, przydarza się to każdemu mężczyźnie, zwłaszcza młodemu. W Warszawie *par exemple*, kiedy pierwszy raz kochaliśmy się z Józefem, stało się to samo, dokładnie to samo. On też był prawiczkiem.

- Skąd wiesz, że jestem prawiczkiem? - stęknąłem żałośnie.

- To się wie, Stingo. Wiedziałaś, że nie poszło ci z Leslie, że to całe gadanie, jak poszedłeś z nią do łóżka, to bajeczki. Biedaku... Och, prawdę mówiąc, to nie wiem... Domyślałam się tylko. Ale zgadłam, prawda?

- Tak - jęknąłem. - Trafiłaś w dziesiątkę.

- Józef był pod wieloma względami podobny do ciebie uczciwy, prostolinijny, przypominał w pewnym sensie małego chłopca. Trudno to opisać. Może dlatego tak cię lubię, Stingo, że przypominasz mi Józefa. Gdyby go nie zamordowali, pewnie wyszłabym za niego. Wiesz, nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto go wydał po tym, jak zabił Irenę. To była absolutna tajemnica, ale ktoś go musiał sypnąć. Jeździłam z nim na takie pikniki jak nasz. Podczas wojny było to bardzo trudne - brakowało żywności ale kilka razy wybraliśmy się latem za miasto i też tak biwakowaliśmy na kocu...

To było zdumiewające. Po tak niedawnym, przesyconym seksem epizodzie - najbardziej, mimo mej porażki i partactwa, poruszającym doznaniu tego rodzaju, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem - Zofia trajkotała zatopiona we wspomnieniach jak ktoś, kto śni na jawie, najwidoczniej nie przejmując się naszym fantastycznym, intymnym przeżyciem bardziej, niż gdybyśmy odtańczyli niewinnego *twostepa* na parkiecie. Czy należało to, przynajmniej po części, przypisać przewrotnemu działaniu gorzałki? Oczy jej błyszczały, terkotała jak licytator na plantacji tytoniu. Jakakolwiek była przyczyna jej dezynwoltury, głęboko mnie to ubodło. Oto smaruje beztrąsko twarz moją spermą, niczym kremem Pond'sa, i opowiada nie o mnie (któremu powiedziała „kochanie”!), nie o nas, ale o dawno zmarłym i pochowanym kochanku. Czyż zdążyła zapomnieć, że przed paroma zaledwie minutami bliska była wtajemniczenia mnie w misterium obciążania laski, tego sakramentu, którego przyjęcia oczekiwałem z radosną i pełną napięcia nadzieją od czasu, gdy ukończyłem czternaście lat? Czy zatem żądza kobiet może zgasnąć tak nagle jak wyłączona żarówka? I ten Józef! Jej zaabsorbowanie kochaniem przyprawiało mnie o obłęd i nie mogłem opędzić się od tkwiących gdzieś w podświadomości podejrzeń, że ta gorączkowa namiętność, jaką mnie obdarzyła, była wynikiem przeniesienia uczuć na inną osobę. Stanowiłem jedynie chwilowy substytut Józefa, ciało, które wypełniło puste miejsce w przelotnej fantazji. Tak czy inaczej

zauważyłem, że język zaczyna jej się plątać, głos nabiera patetycznych tonów i chrypie, a wargi poruszają się w dziwny, nienaturalny sposób, jakby zdrętwiały od nowokainy. Ów wygląd istoty pogrążonej w hipnotycznym transie lekko mnie zaniepokoił. Odebrałem jej butelkę z resztką alkoholu.

- Kiedy pomyślę, jak mogłoby być, gdyby Józef żył, ogarnia mnie przygnębienie. Tak wiele dla mnie znaczył. Więcej niż Natan, naprawdę. Józef nigdy nie traktował mnie tak okropnie jak Natan. Kto wie, może pobralibyśmy się, a gdybyśmy się pobrali, życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Jedna tylko sprawa *par exemple* - jego przyrodnia siostra Wanda.

Wyzwoliłabym go spod jej wpływu i już to byłoby bardzo dobre. Gdzie jest ta butelka, Stingo? - Kiedy to mówiła, ukradkiem wylewałem na piasek resztkę alkoholu. - Butelka. Mniejsza z tym: ta Wanda to był *kwecz*, prawdziwy *kwecz*. (Strasznie mi się ten *kwecz* podobał. Natan, znowu Natan!). To przez nią zabili Józefa. W porządku, przyznaję - *il fallait que...* Ktoś musiał się mścić za wydawanie Żydów, ale dlaczego za każdym razem musiał zabijać on? Dlaczego? Wanda tym rządziła, ten *kwecz*. No dobrze, dowodziła organizacją, ale czy to było w porządku robić z własnego brata jedyne go zabójcę w dzielnicy? Czy to było w porządku, pytam? Wymiotował po każdym wykonanym wyroku, Stingo. Był na wpół obłąkany.

Wstrzymałem oddech, widząc, że jej twarz robi się popielata, a ręka zaczyna chwytać powietrze w poszukiwaniu butelki.

- Zofio - powiedziałem. - Zofio, whisky się wylała.

Rozkojarzona, pogrążona we wspomnieniach zdawała się nie słyszeć. Była bliska łez. Nagle po raz pierwszy dotarł do mnie sens określenia „słowiańska melancholia”; smutek zasnuł jej twarz, jak głęboki cień sunący przez ośnieżone pole.

- Cholerna cipa, ta Wanda! To wszystko przez nią. Wszystko! Śmierć Józefa i to, że trafiłam do Oświęcimia, wszystko! - Zaczęła szlochać i łzy popłynęły jej po policzkach żłobiąc szpetne bruzdy. Skręcałem się w męce, nie wiedząc, co mam robić. I chociaż Eros uleciał, wyciągnąłem ramiona, objąłem ją i mocno przytuliłem. Przywarła twarzą do mojej piersi. - Och, niech to piekło, Stingo, jestem taka nieszczęśliwa! - łkała. - Gdzie jest Natan? Gdzie jest Józef? Gdzie oni wszyscy są? Och, Stingo, chcę umrzeć!

- No już, już, Zofio - powiedziałem miękko, gładząc jej nagie ramię. - Wszystko będzie dobrze. (Słaba nadzieja!)

- Przytul mnie, Stingo - szepnęła z rozpaczą. - Przytul mnie. Czuję się taka zagubiona. Chryste, taka zagubiona! Co ja mam poczuć? Co mam poczuć? Jestem taka

samotna!

Whisky, zmęczenie, żal, parne, rozgrzane powietrze - z pewnością wszystko to razem sprawiło, że zasnęła w moich ramionach. Ożłopany piwem i wyczerpany, zasnąłem również, ściskając ją kurczowo jak koło ratunkowe. Sny miałem bezsensowne i pogmatwane, z rodzaju tych, jakie nawiedzały mnie regularnie przez całe życie, stając się niejako moją specjalnością - sny w snach, o absurdalnych pogoniach, dążeniu do jakichś niewiadomych celów sprowadzających mnie na manowce. Wbiegałem po stromych, kręconych schodach, płynąłem łodzią po kanałach ze stojącą wodą, krążyłem po krętych torach kręgielni i labiryntach rozrządowych stacji (gdzie zobaczyłem ubóstwianego profesora literatury angielskiej z Uniwersytetu Duke'a, całego w tweedach, przy dźwigniach pędzącego jak błyskawica parowozu), przebiegałem przez ziejące czeluście ogromnych, rzęsiście oświetlonych suterren, podziemi i tuneli. A także przez ponure i straszne kanały ściekowe. Cel był jak zwykle wielką niewiadomą, choć zdawało się, że moja pogoń ma jakiś niejasny związek z zaginionym psem. Kiedy obudziłem się z gwałtownym wzdrygnięciem, pierwszą rzeczą, jaką sobie uprzytomniłem, było to, że Zofia wyswobodziła się z moich objęć i znikła. Krzyk uwiązł mi w gardle i z ust wydobył się tylko zduszony jęk. Serce zaczęło walić jak młotem. Wciągnąwszy w szalonym pośpiechu kąpielówki wspiąłem się na zbocze wydmy i stamtąd omiotłem wzrokiem plażę od krańca do krańca, ale nie dostrzegłem nic oprócz posępnej, monotonnej połąci piasku. Zofia przepadła bez śladu.

Spojrzałem za wydmę - na bezkresne pustkowie porośnięte suchymi, bagiennymi trawami. Nikogo. I nikogo na sąsiedniej plaży oprócz niewyraźnej, przysadzistej, krępej postaci zmierzającej w moim kierunku. Rzuciłem się pędem w jej stronę; stopniowo przybrała kształt tęgiego, śniadego mężczyzny, pałaszującego hot doga. Miał czarne, przyzlane włosy z przedziałkiem pośrodku i uśmiechał się przyjaźnie i głupawo zarazem.

- Czy nie widział pan kogoś... młodej blondynki, takiej wystrzałowej, bardzo jasne włosy... - jąkałem.

Skinął potakująco głową, ciągle się uśmiechając.

- Gdzie? - zapytałem z uczuciem ulgi.

- *No babio ingles* - padła odpowiedź.

Ta krótka wymiana zdań wryła mi się w pamięć tym głębiej, że dokładnie w chwili, gdy odpowiedział, dostrzegłem ponad jego owłosionym ramieniem Zofię; jej głowa jaśniała jak złoty punkcik wśród zielonych, oleistych fal. Nie wahając się ani sekundy skoczyłem do wody. Pływam nieźle, ale wtedy prulem fale z isticie olimpijską brawurą. Strach i desperacja pobudzały mięśnie moich nóg i ramion, gdy pokonywałem opór słonej wody; posuwałem się

naprzód, ciągle naprzód z dziką energią, o jaką sam siebie nawet nie podejrzewałem. Płynąłem bardzo szybko, zdumiony odległością, na jaką zdołała oddalić się od brzegu, a gdy zatrzymałem się na krótko, by przebierając nogami zorientować się, gdzie jestem, i zlokalizować Zofię, stwierdziłem ku swemu przerażeniu, że i ona płynie w dalszym ciągu, zmierzając w stronę Wenezueli. Krzyknąłem raz i drugi, ale nie zatrzymała się.

- Zofio, wracaj! - zawołałem, czując, że z równym powodzeniem mógłbym próbować zatrzymać wiatr.

Nabrałem powietrza, odmówiłem króciutką, pierwszą od lat modlitwę nagle nawróconego do wszystkich chrześcijańskich świętych i wznowiłem heroiczne zmagania, prując w stronę oddalającej się mokrej kępy jasnych włosów. Nagle stwierdziłem, że zaczynam zbliżać się do niej z dramatyczną szybkością; niewyraźny zarys jej głowy rósł mi w zalewanych słońcą oczach. Uprzytomniłem sobie, że się zatrzymała, i dopadłem jej w kilka sekund. Choć zanurzona niemal po oczy, nie zaczęła jeszcze tonąć, ale wzrok miała dziki jak osaczona kotka, krztusiła się wodą i uszły z niej resztki sił.

- Nie! Nie! - dyszała, odpychając mnie niemrawymi gestami słabnących rąk. Ale rzuciłem się w jej stronę, mocnym chwytem objąłem w pól i ryknąłem histerycznie:

- Zamknij się!

Myślałem, że rozplaczę się z radości, stwierdziwszy, że nie stawia, jak się obawiałem, oporu, lecz ulegle pozwala mi płynąć powoli ku brzegowi, szlochając wśród bulgotów cichutko i żałośnie wprost do mego ucha.

Zaledwie wyciągnąłem ją na piasek, opadła na czworaka i wyrzuciła z siebie pół galona morskiej wody. Potem krztusząc się i plując popęzła z powrotem do brzegu i jak ktoś dotknięty atakiem epilepsji zaczęła dygotać w paroksyzmach nieopanowanej, rozdzierającej rozpacz, jakiej nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć u ludzkiej istoty.

- Boże - jęczała - dlaczego nie pozwoliłeś mi umrzeć? Czemu nie pozwoliłeś mi utonąć? Tyle we mnie zła - tyle strasznego zła! Dlaczego nie pozwoliłeś mi utonąć?

Stałem nad nią, naga, zupełnie bezradny. Samotny spacerowicz, którego zagadnąłem, przyglądał się nam beczynnie z pewnej odległości. Spostrzegłem, że ma ketchup na wardze; ledwie dosłyszalnym, ponurym głosem udzielił nam jakiejś rady po hiszpańsku. Osunąłem się nagle na ziemię obok Zofii, dopiero teraz czując, jak jestem wyczerpany, i przeciągnąłem osłabłą ręką wzdłuż jej nagiego grzbietu. Do dziś pamiętam zmysłowe wrażenia, jakich wtedy doświadczyłem: zarys jej kręgosłupa z każdym kręgiem z osobna, całą tę falistą linię wznoszącą się i opadającą w rytmie jej ciężkiego oddechu. Z ust wydobywała jej się teraz ciepła mgiełka i skraplała się na mojej twarzy. Skłoniłem głowę na jej ramię.

- Powinieneś pozwolić mi utonąć, Stingo - powiedziała. - Nikt nie ma w sobie tyle zła. Nikt!

W końcu zdołałem ją nakłonić, by się ubrała, i wróciliśmy autobusem do Brooklynu, do Różowego Pałacu. Tam, wypiwszy kawę, przyszła wreszcie nieco do siebie i przespała całe późne popołudnie i wieczór. Kiedy się obudziła, była jeszcze mocno rozstrojona - wspomnienie samotnej wyprawy donikąd najwidoczniej nie dawało jej spokoju - ale mimo to sprawiała wrażenie dość opanowanej jak na kogoś, kto posunął się do tak desperackiego kroku. Pod względem fizycznym czuła się nieco lepiej, choć zachłyśnięcie słoną wodą przyprawiło ją o czkawkę i jeszcze przez długie godziny odbijało jej się potężnie, bardzo jak na damę nieelegancko.

A potem - potem, Bóg mi świadkiem, dopuściła mnie do najniższych regionów swych przeżyć, choć wiele pytań wciąż pozostało bez odpowiedzi. Wyczuwała zapewne, że nie uda się jej prawdziwy powrót do życia, jeśli nie oczyści się do końca i nie wydobędzie na światło tego, co było nadal ukryte przede mną, a być może i przed nią samą. Tak więc w ciągu godzin pozostałych do końca tego ociekającego deszczem weekendu opowiedziała mi znacznie więcej niż kiedykolwiek przedtem o swym pobycie w piekle. (Więcej, ale nie wszystko. Jedna sprawa pozostawała w niej, pogrzebana, niewyrażalna). I w końcu zacząłem dostrzegać zarysy tego „zła”, które prześladowało ją bezlitośnie, podążało jej śladem, ścigając ją niczym demon od Warszawy do Oświęcimia i dalej, aż do niefrasobliwego, mieszczańskiego Brooklynu.

Zofię zaaresztowano w połowie marca 1943 roku, kilkanaście dni po tym, jak Ukraińcy zamordowali Józefa. Szary, wietrzny dzień z niskim pułapem chmur przypominał, że zima jeszcze trwa. Pamiętała, że było popołudnie. Kiedy szybka kolejka elektryczna złożona z trzech wagonów zaczęła hamować ze zgrzytem gdzieś na przedmieściach Warszawy, ogarnęło ją coś znacznie silniejszego niż zwykle przecucie. To była pewność - pewność, że trafi do obozu. Ten przerażający błysk przeszył jej mózg, jeszcze zanim gestapowcy, w liczbie sześciu czy siedmiu, weszli do wagonu i kazali wszystkim wysiąść. Wiedziała, że to łapanka, rzecz, której się bała i którą przeczuwała, jeszcze nim podobny do tramwaju pociąg zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem. W tym nagłym, błyskawicznym hamowaniu było coś złowróżbnego. Zapowiedź katastrofy wyczuwało się też w gryzącym, metalicznym śwędzie kół trących o szyny i w tym, jak wszyscy siedzący i stojący pasażerowie zatłoczonego pociągu runęli jednocześnie do przodu, chwytając się bezładnie, na oślep, czego się dało, by nie upaść. To nie wypadek, pomyślała, to żandarmi. A potem usłyszała wrzask: **Raus!**

Znaleźli dwunastokilową szynkę niemal natychmiast. Jej fortel przymocowanie owiniętej w gazetę paczki tak, aby symulowała zaawansowaną ciężę - był już zbyt ograny chwytem i raczej przyciągał uwagę, niż mylił. Mimo to postanowiła zaryzykować, za namową kobiety, od której kupowała bezcenną wędlinę. „Może pani przynajmniej spróbować”, powiedziała tamta. „Jeśli będzie ją pani niosła w ręku, na pewno panią złapią. Poza tym wygląda pani i ubiera się jak inteligentka, a nie jakaś wiejska baba, a to powinno pomóc”. Ale Zofia nie przewidziała ani łapanki, ani skrupulatności żandarmów. Gestapowski błazen, przyciskając ją do mokrego muru, nie próbował nawet taić pogardy dla jej głupawej polskiej sztuczki - wyciągnął z kieszeni scyzoryk i z szyderyczym uśmiechem, niedbałym, niemal poufałym ruchem wepchnął go powoli w tę wydętą imitację brzucha brzemiennej kobiety. Zofia pamiętała jeszcze, że oddech żandarma zalatywał serem, a kiedy nóż zagłębiał się w zad czegoś, co jeszcze do niedawna było zadowoloną z życia świnia, Niemiec zapytał:

- Nie krzykniesz „au!”, *Liebchen?* - Przerazona, zdołała jedynie wykrztusić jakiś rozpaczliwy banał bez znaczenia, na co hitlerowiec pogratulował jej doskonałej niemieczyny.

Była pewna, że poddadzą ją torturom, ale jakoś ich uniknęła. Tego dnia Niemcy byli wyjątkowo pochłonięci robotą; z ulic zgarnięto setki Polaków, wobec czego jej przestępstwo (poważne: szmugiel mięsa), które w innej sytuacji stałoby się przedmiotem najbardziej drobiazgowego dochodzenia, uszło uwagi hitlerowców i utonęło w ogólnym zamęciu. Nie znaczy to bynajmniej, że jej samej się upiekło. W cieszącej się ponurą sławą siedzibie gestapo w tym potwornym przedsionku piekiel zaaranżowanym w Warszawie - położono odwinętą, połyskującą różowawo szynkę na biurku pomiędzy skutą Zofią a przypominającym do złudzenia Otto Krugera, nadgorliwym funkcjonariuszem w monoklu, który domagał się ujawnienia, skąd pochodzi kontrabanda. Tłumaczka, Polka, dostała ataku kaszlu. „Ty być szmugiel!” - ryknął łamaną polszczyzną, a kiedy Zofia odpowiedziała po niemiecku, po raz drugi tego dnia doczekała się komplementu. Szerokiego, zębias - tego i obleśnego uśmiechu rodem z hollywoodzkiego filmu. Lecz w uśmiechu tym nie było żadnego pobłażania. Czy nie zdaje sobie sprawy z powagi swego przestępstwa, czy nie wie, że mięso w ogóle, a już zwłaszcza tego gatunku, jest przeznaczone dla Reichu? Oddzielił długim paznokciem gruby płat szynki i podniósł go do ust. Przeżuwał chwilę. *Hochqualildtsfleisch*. Głos mu stwardniał, stał się opryskliwy. Skąd ma to mięso? Kto jej sprzedał? Zofia pomyślała o nieszczęsnej wieśniaczce; wiedziała, co czeka tamtą, jeśli powie, więc próbowała zyskać na czasie:

- To nie dla mnie, panie oficerze. To dla matki, która mieszka na drugim końcu miasta. Ma zaawansowaną gruźlicę powiedziała, jakby jej altruizm mógł wyrzucić na tej

hitlerowskiej karykaturze jakiegokolwiek wrażenie. W tym samym momencie osaczyło go z jednej strony pukanie do drzwi, z drugiej przeraźliwy dzwonek telefonu. Cóż za zwariowany dzień dla Niemców, z tymi łapankami.

- Gównu mnie obchodzi twoja matka! - ryknął. - Chcę wiedzieć, skąd masz to mięso! Mów natychmiast albo wypruję to z ciebie razem z flakami! - Ale stukanie do drzwi nie ustawało, a do tego rozdzwonił się drugi telefon; niewielkie biuro przeobraziło się w istny dom wariatów. Gestapowiec wrzasnął do podwładnego, żeby zabrał tę polską sukę, i Zofia nie zobaczyła więcej ani jego, ani szynki.

Gdyby pojechała na wieś jakiegoś innego dnia, mogłaby uniknąć wpadki. Czekając w prawie zupełnie pozbawionej światła celi z kilkunastoma innymi aresztowanymi obojga płci, nie przestawała myśleć o tej ironii losu. Większość zatrzymanych stanowili młodzi ludzie w wieku dwudziestu, trzydziestu lat. Nie знаła nikogo z nich, ale coś w ich zachowaniu - być może samo tępe, kamienne i solidarne milczenie - podpowiadało jej, że są to członkowie ruchu oporu - Armii Krajowej. Przyszło jej nagle do głowy, że gdyby zgodnie z wcześniejszym planem wstrzymała się do następnego dnia z wyprawą po mięso do Nowego Dworu, nie byłoby jej w tym pociągu, który, jak sobie teraz uświadomiła, zatrzymano prawdopodobnie po to, by wygarnąć pasażerów akowców. Zarzucając wielką sieć dla złapania jak największej liczby grubych ryb podziemia, co było praktyką czasami stosowaną, hitlerowcy złowili przy okazji mnóstwo pomniejszych, ale interesujących płotek, i właśnie Zofia była jedną z nich. Siedziała na kamiennej podłodze pogrążona w rozpacz i myślała o Janku i Ewie, których pozostawiła w domu bez opieki. Była północ. Na korytarzach panował nieustanny zgiełk i zamieszanie, słychać było szuranie nóg i jakieś przepychanki; więzienie wypełniało się nieprzerwanie ofiarami całodziennych obław. W pewnej chwili dostrzegła przez okratowany otwór w drzwiach znajomą twarz i serce zamarło jej ze zgrozy. Twarz zalana była krwią. Znała tego młodego człowieka tylko z imienia: był to Władysław, redaktor podziemnego pisma. Kilkakrotnie zagadnął ją w mieszkaniu Wandy i Józefa. Nie wiedziała dlaczego, ale w tym momencie tknęło ją przecucie, że Wandę również aresztowano. A potem przyszło jej do głowy jeszcze coś. Matko Boska, wyszeptała odruchowo i poczuła, że ciało wiotczeje jej jak zwiędły liść: uprzytomniła sobie, że sprawa szynki (pomijając to, że zeżarli ją gestapowcy) zesłała z pewnością na dalszy plan, a jej los jakiegokolwiek miał być - związany został z losem ludzi z ruchu oporu. Owo przecucie spadło na nią tak nagle i było tak przygniatające, że słowo „groza” musiało się wydać blade wobec tego, co przeżywała.

Nie zmrużyła oka tej nocy. W celi było zimno i panowały w niej grobowe ciemności; mogła jedynie stwierdzić, że ludzki tłumok - rzucony na podłogę obok niej we wczesnych

godzinach poranka - był kobietą. A kiedy światło zaczęło się sączyć przez kraty, zaszokowana, choć bez zdziwienia, rozpoznała w tej niespokojnie śpiącej kobiecie Wandę. W bladej poświacie coraz wyraźniej rysowała się wielka rana na jej policzku; rana była odrażająca, przypominała Zofii kiść rozgniecionych, ciemno - fioletowych winogron. Zaczęła budzić dziewczynę, ale po zastanowieniu zawahała się i cofnęła rękę; w tym momencie Wanda ocknęła się z jękiem, zamrugła powiekami i spojrzała Zofii prosto w oczy. Zofia zapamiętała na zawsze wyraz zdumienia na zmasakrowanej twarzy.

- Zosiu - wykrzyknęła Wanda, obejmując ją - Zosiu, co ty tu robisz, na miłość boską?

Zofia przywarła twarzą do jej ramienia i wybuchnęła płaczem, tak rozpaczliwym i żalonym, że upłynęło sporo czasu, nim zdołała wykrztusić słowo. Cierpliwość i siła wewnętrzna Wandy przynosiły, jak zwykle, pociechę; jej kojący szept i ręka gładząca plecy między łopatkami, gest siostrzany i macierzyński zarazem, przypominały opiekuńczość pielęgniarki - Zofia mogłaby spokojnie zasnąć w jej ramionach. Ale dręczył ją zbyt wielki lęk. Wziąwszy się w garść opowiedziała pospiesznie historię aresztowania w pociągu. Zajęło jej to kilka sekund. Wyrzucała z siebie gwałtownie słowa, świadoma tego, że goni i skraca, przynaglana pragnieniem, by jak najprędzej uzyskać odpowiedź na pytanie, od którego aż skręcała się wewnętrznie w ciągu ostatnich dwunastu godzin:

- A dzieci, Wanda? Janek i Ewa. Nic im nie grozi?

- Są bezpieczne. Gdzieś tu, w tym budynku. Gestapowcy nie zrobili im krzywdy. Aresztowali wszystkich z naszego domu wszystkich, nawet twoje dzieci. Wygarnęli wszystkich, do czysta. - Cień udręki przemknął przez jej szeroką, wyrazistą twarz, zeszpeconą przerażającą raną. - Boże, ilu ludzi z organizacji dziś złapali! Wiedziałam, że po tym, jak zabili Józefa, coś się musi stać. To prawdziwa katastrofa!

Przynajmniej dzieciom nic się nie stało. Podziękowała Wandzie, czując niewymowną ulgę. Potem, kierowana nieodpartym impulsem, wyciągnęła rękę i jej palce zawisły w powietrzu o milimetr od zniekształconego policzka, ciemnoczerwonej, gąbczastej miazgi żywego mięsa. Nie dotknęła jednak rany i cofnęła rękę. znów się rozplakała.

- Wanda, kochanie, co oni ci zrobili? - szepnęła.

- Jakiś gestapowski goryl zepchnął mnie ze schodów, a potem zmiążdżył mi policzek obcasem. Och, te... - uniosła w górę oczy, ale przekleństwo, którym najwidoczniej zamierzała rzucić, zamarło jej na wargach. Niemców przeklinano bezustannie i tak już długo, że najbardziej plugawa klątwa, choćby zupełnie nowa, wydawała się zbyt łagodna i bez wyrazu; lepiej było zamilczeć.

- Nie jest tak źle, chyba mi nic nie złamał. Pewnie straszniej wygląda niż boli. - Znów otoczyła Zofię ramieniem, uspokajając ją jak dziecko. - Zosiu, biedactwo. To niepojęte, że znalazłaś się w tej koszarnej pułapce.

Ta Wanda! Zofii trudno było zrozumieć i określić uczucia, jakie wobec niej żywiła - była w tym miłość, zawiść, nieufność, poczucie zależności, wrogość i podziw. Były tak pod pewnymi względami podobne do siebie i tak jednocześnie różne. Tym, co zbliżyło je na początku, była fascynacja muzyką. Wanda przyjechała do Warszawy, by studiować w konserwatorium, na wydziale wokalistyki, ale wojna, podobnie jak w przypadku Zofii, przekreśliła te plany. Kiedy Zofia zamieszkała przez przypadek w tym samym domu co Wanda i Józef, właśnie Bach, Buxtehude, Mozart i Rameau byli tymi, którzy scementowali ich przyjaźń. Wanda była wysoką, mocno zbudowaną dziewczyną, o zgrabnych, chłopięcych ramionach i nogach i płomiennie rudych włosach. Miała szafirowe, najbardziej fascynujące oczy, jakie Zofii zdarzyło się widzieć w życiu. Jej twarz pokrywał rój drobniutkich, bursztynowych piegów. Dość wydatny podbródek stanowił drobną skazę na jej urodzie, ale miała w sobie jakąś energię, świetlistą żywotność, dzięki której czasami ulegała efektownej transformacji; promieniała wtedy i jarzyła się płomiennym, jak jej włosy, blaskiem (Zofii często nasuwało się określenie *fougueuse*).

Łączyło je też przynajmniej jedno łudzące podobieństwo, a dotyczyło środowiska i klimatu, w jakich wyrastały: obie wychowywane były w atmosferze entuzjazmu dla wszystkiego, co niemieckie. Wanda nosiła transcendentalnie wprost niemieckie nazwisko: MuckHorch von Kretschman. Wzięło się ono stąd, że była dzieckiem z ojca Niemca i matki Polki, a urodziła się w Łodzi, gdzie przemysł, zwłaszcza włókienniczy, był opanowany głównie, jeśli nie wyłącznie, przez Niemców. Ojciec, fabrykant tanich tkanin wełnianych, od dzieciństwa uczył ją niemieckiego; podobnie jak Zofia mówiła płynnie i bez akcentu, ale całą duszą pozostawała Polką. Zofia nigdy nie podejrzewała, że w czyimkolwiek sercu, nawet w tym kraju szalonych patriotów, może płonąć tak gorąca miłość do ojczyzny. Wanda była jakby nowym wcieleniem Róży Luksemburg, którą zresztą otaczała czcią. Rzadko wspominała o swoim ojcu, nigdy też nie próbowała tłumaczyć, dlaczego tak całkowicie wyparła się niemieckiej części swego dziedzictwa. Zofia wiedziała tylko, że jej przyjaciółka oddycha i upaja się marzeniami o wolnej Polsce - najbardziej promienną wizją była wizja wyzwolonego po wojnie polskiego proletariatu - i ta pasja sprawiła, że stała się jedną z najbardziej oddanych sprawie bojowniczek ruchu oporu. Nie potrzebowała snu, nie znała strachu, płonęła jak pochodnia. Doskonała znajomość języka najeźdźczej hordy czyniła z niej oczywiście osobę wyjątkowo cenną dla podziemia, nie mówiąc o jej żarliwości innych

zaletach. Wiedziała też, że i Zofia zna niemiecki od urodzenia, ale odmawia oddania swych umiejętności na usługi ruchu oporu, co najpierw ją zdenerwowało, a potem doprowadziło do głębokiego rozdzwiku między przyjaciółkami. Zofia czuła bowiem paniczny, potworny, śmiertelny strach przed uwikłaniem się w walkę podziemia z hitlerowcami, a taki brak zaangażowania był dla Wandy nie tylko niepatriotyczny, lecz stanowił także akt moralnego tchórzostwa.

Na kilka tygodni przed zamordowaniem Józefa i obławą kilku akowców przechwyciło w Pruszkowie furgonetkę gestapo. W samochodzie znajdował się łup bezcenny: dokumenty i plany już na pierwszy rzut oka Wanda mogła stwierdzić, że opasłe teczki zawierały najbardziej tajne papiery. Ale była ich masa i należało je jak najszybciej przetłumaczyć. Kiedy Wanda zwróciła się do Zofii z prośbą o pomoc w tej sprawie, ta znów musiała odmówić, co stało się przyczyną odnowienia zadawnionego, ostrego konfliktu.

- Ja jestem socjalistką - powiedziała Wanda - a ty nie masz żadnych poglądów politycznych. Poza tym jesteś podobno pobożną chrześcijanką. W porządku. Dawniej po prostu gardziłabym tobą, Zosiu, czułabym wobec ciebie niechęć. Jeszcze teraz mam przyjaciół, którzy nie chcieliby się zadawać z takimi jak ty. Ale wydaje mi się, że ja już z tego wyrosłam. Nie cierpię takiej głupiej, ortodoksyjnej postawy niektórych towarzyszy. Zresztą, jak pewnie wiesz, po prostu bardzo cię lubię. Nie apeluję więc do ciebie z pozycji politycznych, a nawet ideowych. I tak nie chciałabyś mieć nic wspólnego z większością moich kolegów. Ja jestem nietypowa, ale oni różnią się od ciebie całkowicie, to już chyba wiesz. Tak czy inaczej, nie wszyscy w naszej organizacji zajmują się polityką. Apeluję do twojego człowieczeństwa. Próbuję przemówić do twojego poczucia przyzwoitości, do istoty ludzkiej i do Polki.

Tu, jak zwykle podczas namiętnych kazań Wandy, Zofia bez słowa odwróciła się do niej plecami. Patrzyła przez okno na zimowy pejzaż zniszczonej Warszawy, na zbombardowane domy zwały gruzu okryte całunem (to jedyne właściwe słowo) żółtawego, brudnego od sadzy śniegu. Dawniej widok ten wyciskał jej łzy z oczu, ale teraz wprawiał ją jedynie w stan mdlącej apatii, tak bardzo wrósł w ponurą, żalospną codzienność miasta - złupionego, przerażonego, głodnego, konającego. Gdyby piekło miało swoje peryferie, wyglądałyby zapewne tak, jak to rumowisko. Ssała czubki poobcieranych palców. Nie stać jej było na najtańsze nawet rękawiczki. Harówka w fabryce papy zniszczyła jej ręce; czuła rwący ból w zainfekowanym kciuku.

- Mówiłam ci już i powtarzam: nie mogę. Nie chcę. To wszystko - powiedziała.
- Ciągle z tego samego powodu, prawda?

- Tak. - Dlaczego Wanda nie mogła przyjąć tego do wiadomości jako decyzji ostatecznej, poprzestać na tym, zostawić ją w spokoju? Jej nalegania doprowadzały Zofię do szaleństwa.

- Wanda - powiedziała miękko - nie chcę już wałkować tej sprawy. Krępuje mnie powtarzanie w kółko tego, co powinno być dla ciebie, osoby przecież wrażliwej, oczywistością. Ale w mojej sytuacji - mówię to jeszcze raz - nie mogę ryzykować, choćby ze względu na dzieci...

- Inne kobiety z AK też mają dzieci - weszła jej w słowo Wanda. - Czy to do ciebie nie dociera?

- Już ci mówiłam: nie jestem „inną kobietą” i nie należę do AK - odparowała Zofia. - Jestem sobą! Muszę postępować zgodnie ze swoim sumieniem. Ty nie masz dzieci. Łatwo ci mówić. Nie mogę narażać życia moich dzieci. Już i tak mają ciężki los.

- To twoje wywyższanie się ponad innych obraża mnie, Zosiu. Ta niezdolność do poświęceń...

- Ja już coś poświęciłam - rzekła Zofia z goryczą. - Straciłam męża i ojca, a moja matka umiera na gruźlicę. Co jeszcze mam poświęcać, na litość boską? - Wanda nie mogła wiedzieć o jej antypatii - powiedzmy obojętności - wobec męża i ojca, spoczywających od trzech lat w mogiłach Sachsenhausen, więc to, co powiedziała Zofia, zrobiło na niej pewne wrażenie - można było teraz wyczuć łagodniejszy, niemal przymilny ton w jej głosie.

- Zrozum, Zosiu, nie musiałybyś być od razu na jakimś niebezpiecznym odcinku. Nikt nie żądałby od ciebie, żebyś się poważnie narażała, żebyś robiła coś choćby w przybliżeniu tak niebezpiecznego, jak niektórzy z nas, nawet ja sama. To sprawa twojego mózgu, umysłu. Jest tyle bezcennych usług, jakie mogłabyś nam oddać ze swoją znajomością języka. Mogłabyś słuchać ich radia na krótkich falach, tłumaczyć. No a te dokumenty zdobyte w Pruszkowie... Powiem ci wprost: jestem pewna, że są na wagę złota! Ja też mogłabym w tym pomóc, ale jest ich taka masa, a ja mam tysiące innych spraw na głowie. Czy ty masz pojęcie, Zosiu, jak bezcenną oddałabyś nam przysługę, gdybyśmy mogli dostarczyć ci tu, do domu, choć część tych papierów, bezpiecznie, nie budząc żadnych podejrzeń? - Przerwała na chwilę, a potem dodała nalegającym tonem: - Musisz to przemyśleć, Zosiu. To już naprawdę wstyd! Pomyśl, co mogłabyś dla nas wszystkich zrobić. Pomyśl o swojej ojczyźnie! O Polsce!

Zapadał zmierzch. Pod sufitem pulsowała niemrawo słaba żarówka - duże wydarzenie, często nie było światła w ogóle. Zofia od świtu przekładała sterty papy i grzbiet bolał ją bardziej niż spuchnięty, zakażony kciuk. Czuła, że jak zwykle lepi się od brudu. Wodziła zmęczonymi, piekącymi oczami po bezkresie spustoszonego miasta, nad którym - zdawało się

- nigdy nie świecił choćby promyk słońca. Ziewnęła wyczerpana; przestała słuchać tego, co mówi Wanda, a raczej przestała chwytać znaczenie poszczególnych słów, które przeobraziły się w jakiś skrzekliwy, monotony zaśpiew, apodyktyczny, mentorski. Zastanawiała się, gdzie może być Józef i czy jest bezpieczny. Wiedziała tylko, że skrada się za kimś na drugim końcu miasta ze skręconą w śmiercionośną pętlę fortepianową struną schowaną pod marynarką - dziewiętnastolatek pochłonięty swą misją zabijania i odwetu. Nie była w nim zakochana, ale żywo ją obchodził; lubiła czuć ciepło jego ciała w łóżku i niepokoiła się oniego, kiedy był poza domem. Matko Najświętsza, pomyślała, cóż to za życie! Brzydką, szarą, usianą gruzem i wytartą jak podeszwa znoszonego buta ulicą maszerował uzbrojony w karabiny oddział wojska; kołnierze łopotały w podmuchach porywistego wiatru. Patrzyła apatycznie, jak żołnierze skręcają i znikają za rogiem, gdzie - jak wiedziała - stały zasłonięte ruinami zbombardowanego domu stalowe szubienice; były tak funkcjonalne jak stojaki, na których handlarze używaną odzieżą wystawiają swój towar. Na ich poziomym pręcie zawisały skręcały się w przedśmiertnych drgawkach niezliczone ofiary mieszkańcy Warszawy. I tak ciągle. Chryste, czy to się nigdy nie skończy?

Była zbyt zmęczona, by zdobyć się na jakiś kiepski żart, ale przyszło jej do głowy, żeby przerwać Wandzie i powiedzieć coś bezczelnego, prosto z serca: jedną jedyną rzeczą w twoim świecie, jaka może mnie skusić, jest to radio. Słuchałabym Londynu. Ale nie wiadomości z frontu. Nie wiadomości o zwycięstwach aliantów, o walkach armii polskiej ani rozkazów polskiego rządu emigracyjnego. Nic z tych rzeczy. Nie, po prostu sędzę, że byłabym w stanie ryzykować życie tak jak ty, czy dać sobie uciąć dłoń albo całą rękę, za możliwość wysłuchania raz jeszcze *Cosi fan tutte* pod dyktando sir Thomasa Beechama. Jakże szokujący był ten pomysł, ileż było w nim egoizmu! Uświadomiła sobie swój cynizm już w momencie, kiedy przemknęło jej to przez myśl, ale nie mogła nic poradzić tak właśnie czuła.

Przez chwilę ogarnął ją wstyd, że taki pomysł zrodził się w jej głowie właśnie tu, gdzie mieszkała z Wandą i Józefem, dwojgiem bezinteresownych, odważnych ludzi, których wierność humanistycznym ideałom, wierność wobec rodaków i troska o tropionych jak zwierzęta Żydów były zaprzeczeniem wszystkiego, co głosił jej ojciec. Mimo że sama była bez winy, czuła się zbrukana, skalana współpracą z ojcem w ostatnich, zatrutych obsesją latach jego życia i tą ohydłą broszurą, toteż krótka znajomość z pełną poświęcenia dziewczyną i jej bratem obfitowała w momenty oczyszczenia. Co by pomyśleli, gdyby dowiedzieli się o profesorze Biegańskim albo o tym, że ona przechowuje od trzech lat egzemplarz broszury? I to po co? Po co, na miłość boską? Zeby posłużyć się nią w ewentualnych pertraktacjach z hitlerowcami, jeśli, nie daj Bóg, zajdzie taka potrzeba? Tak,

odpowiedziała sama sobie, tak nie dało się zaprzeczyć tej ohydnej, haniebnej prawdzie.

Teraz, kiedy Wanda rozprawiała o obowiązku i poświęceniu, owa tajemnica zaczęła jej ciążyć tak bardzo, że dla zachowania zimnej krwi usunęła ją ze świadomości niczym jakiś obrzydliwy odpadek. Zaczęła znowu słuchać.

- Przychodzi w życiu taka chwila, kiedy każdy człowiek musi się ustawić w szeregu i odliczyć - mówiła Wanda. - Wiesz, za jaką wspaniałą dziewczynę cię uważam. A Józef oddałby za ciebie życie! - Podniosła głos: teraz atakowała czułe miejsce. - Ale nie możesz nas tak traktować. Musisz zdobyć się na odpowiedzialność, Zosiu. Zamieszkałeś w domu, w którym nie możesz płatać się bez celu w nieskończoność - musisz dokonać jakiegoś wyboru!

W tym momencie Zofia zobaczyła na ulicy dzieci. Szły wolno, pochłonięte rozmową, przekomarzając się, jak to dzieciaki. Kilku przechodniów wyminęło je, spiesząc o zmierzchu do domów; jeden z nich, starszy mężczyzna, zmagając się z wiatrem, wpadł na Janka. Chłopiec wykonał jakiś niegrzeczny gest i ruszył dalej, zatopiony w rozmowie z siostrą. Coś jej tłumaczył, wyjaśniał. Poszedł po Ewę, żeby przyprowadzić ją po lekcji gry na flecie. Pobierała te lekcje w wypalanej piwnicy o kilka przecznic dalej, od przypadku do przypadku, czasem całkiem niespodziewanie (zależnie od okoliczności w danym dniu). Nauczyciel, niejaki Stefan Zaorski, był flecistą w warszawskiej filharmonii i Zofia musiała długo przymilać się, schlebiać mu i błagać, zanim zgodził się uczyć Ewę. Pomijając już to, że mogła zapłacić jedynie skromne honorarium, udzielanie lekcji w tym spustoszonej i smutnym mieście było dla pozbawionego pracy muzyka zajęciem mało pociągającym; istniały lepsze (choć głównie nielegalne) sposoby zarabiania na chleb. Fakt, że Zaorski cierpiał na artretyzm, który zniekształcił mu obie nogi, dodatkowo pogarszał sprawę. Jednak Zofia wpadła w oko niestaremu jeszcze kawalerowi (jak tylu innym mężczyznom, którzy zobaczywszy ją natychmiast się zadurzali) i zgodził się udzielać lekcji, bez wątplenia dlatego, by móc od czasu do czasu rozkoszować się jej urodą. Skutek odniosły też spokojne, lecz stanowcze nalegania Zofii, która w sposób przekonujący argumentowała, że nie wyobraża sobie wychowania Ewy bez edukacji muzycznej. Odmówić w tej sytuacji znaczyłoby tyle, co powiedzieć „nie” samemu życiu.

Flet. Czarodziejski flet. W mieście zniszczonych i rozstrojonych fortepianów zdawał się doskonałym instrumentem dla dziecka stawiającego pierwsze kroki na polu muzyki. Ewa przepadała za grą na flecie, więc po czterech mniej więcej miesiącach Zaorski nie widział poza nią świata; zachwycony jej talentem robił wokół niej taki szum, jakby była cudownym dzieckiem (co zresztą mogło być prawdą), nową Landowską, nowym Paderewskim, kolejną

polską kandydatką do muzycznego panteonu - a w końcu zaczął odmawiać przyjmowania nader skromnego wynagrodzenia, jakie mogła mu płacić Zofia. Teraz pojawił się na ulicy, jakby w jakiś zdumiewający sposób wyrósł spod ziemi niczym jasnowłosy dzinn - zagłodzony, utykający mężczyzna o zaczerwienionej twarzy i włosach koloru słomy, z wyrazem napięcia i lęku w wyblakłych oczach. Jego wełniany, ciemnozielony sweter był istną mozaiką dziur wygryzionych przez mole. Zaniepokojona Zofia wychyliła się z okna. Ten wielkoduszny, neurotyczny człowiek najwidoczniej szedł za Ewą, a raczej gonił ją, na ile pozwalały mu siły. Pokonał odległość kilku przecznic gnany jakąś troską czy koniecznością, której Zofia za nic nie mogła się domyślić. I nagle cel tej pogoni stał się jasny. Ów pedagog z powołania kuśtykał za Ewą, żeby skorygować, wyjaśnić czy też dokładniej opisać coś, co ćwiczyli podczas przed chwilą skończonej lekcji: palcówki, frazowanie - nie wiadomo. Zofia nie wiedziała, ale była poruszona i rozbawiona.

Uchyliła lekko okno, aby zawołać całą trójkę, która teraz skupiła się przy bramie sąsiedniego budynku. Ewa zaplatała jasne włosy w mysie ogonki. Ostatnio wypadł jej przedni ząb. Jak ona może grać na flecie? - zastanawiała się Zofia. Zaorski kazał dziewczynce otworzyć skórzany futerał i wyjąć instrument; uniósł go demonstracyjnie, ale nie grał - wykonał tylko palcami jakieś bezdźwięczne *arpeggio*. Potem przyłożył flet do warg i zagrał kilka nut. Zofia przez dłuższy czas nie mogła nic usłyszeć. Jakieś wielkie cienie przemknęły po zimowym niebie. W górze przelatywała z ogłuszającym warkotem na wschód, w stronę Rosji, eskadra bombowców Luftwaffe. Samoloty leciały bardzo nisko - pięć, dziesięć, wreszcie dwadzieścia monstrualnych maszyn rozproszonych jak sępy po niebie. Przelatywały tędy każdego popołudnia punktualnie według jakiegoś rozkładu, a wtedy domy trzęsły się od huków. Głos Wandy utonął w ryku motorów.

Kiedy samoloty przeleciały, Zofia spojrzała znowu w dół teraz mogła usłyszeć, jak gra Ewa, chociaż tylko przez króciutką chwilę. Utwór był znajomy, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to jest - Haendel, Pergolesi, Gluck? - zawily, słodki tryl cudownej symetrii, nasycony przesywającą nostalgią. Te kilkanaście, nie więcej, nut rozkołysało jakby antyfonalne dzwony w głębi jej duszy. Śpiewały o tym, kim była, kim pragnęła być o wszystkim, czego pragnie dla swych dzieci, cokolwiek Bóg zdarzy. Jej serce omdlewało; poczuła słabość, oszołomienie, jakby chwyciła ją w swój uścisk bolesna, trawiąca miłość. A jednocześnie radość - radość w tajemniczy sposób i rozkoszna, desperacka zarazem - przeszła ją na wskroś niby zimny błysk. Ale cichy, czysty dźwięk fletu rozpląnął się w powietrzu tak nagle, jak się zaczął.

- Cudownie! - usłyszała głos Zaorskiego. - Doskonale!

- Nauczyciel pogładził czule po głowie najpierw Ewę, potem Janka, po czym odwrócił się i ruszył utykając w stronę swej piwnicy. Janek pociągnął Ewę za warkoczek i dziewczynka zapiszczała:

- Janek, przestań! - Potem oboje wbiegli do bramy.

- Musisz podjąć decyzję! - nalegała Wanda.

Zofia milczała dłuższą chwilę. Wreszcie, słysząc tupot dziecięcych kroków na schodach, odpowiedziała łagodnym głosem:

- Powiedziałam ci, że ja już podjęłam decyzję. Nie będę się w to mieszać. Basta!

Schluss - aus! To moja ostateczna decyzja!

W ciągu pięciu miesięcy poprzedzających aresztowanie Zofii hitlerowcy podjęli energiczną akcję, aby upewnić się, że północne regiony Polski s\ **Judenrein** - oczyszczone z Żydów. Począwszy od listopada 1942 roku aż do stycznia roku następnego odbywały się deportacje, podczas których wielotysięczna rzesza Żydów zamieszkująca północnowschodni rejon Białostoczczyzny została załadowana do pociągów i rozwieszona po obozach na terenie całego kraju. Rozdział transportów odbywał się na dworcach Warszawy; większość Żydów trafiała stąd do Oświęcimia. Tymczasem w samej Warszawie nastąpiło uspokojenie, przynajmniej jeśli chodzi o masowe deportacje. O tym, że wcześniej przeprowadzano je tu na wielką skalę, świadczyć mogą pewne nieoficjalne statystyki. Przed inwazją Niemców na Polskę populacja żydowska w Warszawie liczyła około czterystu pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Było to największe po Nowym Jorku wielkomięskie skupisko Żydów na świecie. Zaledwie trzy lata później liczba ta wynosiła siedemdziesiąt tysięcy; większość pozostałych zginęła nie tylko w Oświęcimiu, lecz także w Sobiborze, Bełżcu, Chełmnie i - przede wszystkim - w Treblince. Ten ostatni obóz został założony w odludnej okolicy, w dogodnej, niewielkiej odległości od Warszawy. W odróżnieniu od Oświęcimia, który był w znacznej mierze obozem pracy, Treblinka służyła wyłącznie eksterminacji. Jest rzeczą absolutnie wykluczoną, żeby związek „przesiedleń” z warszawskiego getta, jakie miały miejsce w lipcu sierpniu 1942 roku, a które zamieniły całą dzielnicę w upiorny, pusty kadłub, z istnieniem bukolicznej, położonej na uboczu Treblinka i z jej komorami gazowymi był przypadkowy.

Tak czy inaczej, połowa z siedemdziesięciu tysięcy Żydów pozostałych w mieście żyła „legalnie” w zrujnowanym getcie (już wtedy, gdy Zofia marniała w lochach gestapo, wielu z nich przygotowywało się na męczeńską śmierć w kwietniowym powstaniu, które wybuchło parę zaledwie tygodni później). Większość z pozostałych trzydziestu pięciu tysięcy - ukrywających się mieszkańców tak zwanego getta szczątkowego - wegetowała zrozpaczona wśród ruin, jak zaszczute zwierzęta. Nie dość, że tropieni przez hitlerowców, żyli w ciągłym

strachu przed bandyckimi szmalcownikami - potencjalnymi ofiarami Józefa - i innymi sprzedawczykami, takimi na przykład, jak jego nauczycielka literatury amerykańskiej. Zdarzało się nawet, i to nieraz, że wykrywano ich dzięki pokrętnym matactwom innych Żydów. Upiorne było to, że - jak powtarzała Zofia w kółko

Wandawpadka Józefa i jego śmierć oznaczały przełom, którego oczekiwali hitlerowcy. Ta likwidacja całego oddziału AK - Boże, cóż za tragedia! Ale ostatecznie - dodała - można się było tego spodziewać. To, że znaleźli się wszyscy w jednym wielkim kotle, zawdzięczali zatem w gruncie rzeczy Żydom. Nie bez znaczenia był fakt, że przechrzczeni Żydzi działali także w szeregach organizacji. Wyglądało to tak: chociaż Armia Krajowa, podobnie jak inne podziemne organizacje w Europie, miała inne, pilniejsze sprawy niż niesienie pomocy Żydom i ich osłanianie (w Polsce było także kilka frakcji partyzanckich wyznających zwierzęcy antysemityzm), pomoc taka, ogólnie mówiąc, należała do ważniejszych zadań; można zatem stwierdzić, że owe działania na rzecz bezustannie tropionych, śmiertelnie zagrożonych Żydów stały się, przynajmniej po części, przyczyną wyspek dziesiątków bojowników podziemia. Także Zofia - nieskazitelna, zdystansowana, niezaangażowana Zofia - wpadła przy okazji w te sidła.

Przez cały prawie marzec, z dwutygodniowym okresem pobytu Zofii w więzieniu gestapo włącznie, transporty Żydów z Białostoczczyzny *via* Warszawa zostały czasowo zawieszane. Tym należy prawdopodobnie tłumaczyć fakt, że Zofia i członkowie ruchu oporu - teraz w liczbie dwustu pięćdziesięciu - również nie zostali natychmiast wysłani do obozu; jak zwykle pragmatyczni Niemcy czekali, by dołączyć nowych więźniów do większego transportu masy ludzkiej, a ponieważ na razie nie deportowano Żydów z Warszawy, zwłoka wydawała się celowa. Druga kluczowa kwestia - przerwa w deportacjach Żydów z północnego wschodu wymaga komentarza; łączyło się to prawdopodobnie z budową krematoriów w Brzezince. Od chwili założenia obozu pierwsze krematorium i komory gazowe służyły jako główna fabryka masowej zagłady dla wszystkich więźniów. Pierwszymi ofiarami byli radzieccy jeńcy wojenni. Sama zabudowa była pozostałością sprzed wojny: zanim przyszli tu Niemcy, baraki i budynki Oświęcimia tworzyły surowe i brzydkie centrum dawnych koszar kawalerii. Przez pewien czas niskie budynki o spadzistych dachach z łupkowych dachówek służyły jako skład warzywny; Niemcy uznali tę architekturę za idealnie odpowiadającą ich celom - wielki podziemny loch, w którym przechowywano w wysokich stertach rzepę i kartofle, nadawał się doskonale do masowego duszenia ludzi, podczas gdy przyległe pomieszczenia były tak znakomicie przystosowane do zainstalowania w nich pieców krematoryjnych, jakby zbudowano je na zamówienie. Wystarczyło dobudować komin

i rzeźnicy mogli ruszać z interesem.

Obóz był jednak zbyt mały dla skazanej na zagładę masy ludzkiej, która zaczęła tu napływać. Choć w 1942 roku zbudowano kilka prowizorycznych bunkrów do eksterminacji, szybko nastąpił kres możliwości sprawnego uśmiercania i pozbywania się ciał - jedynym rozwiązaniem było wzniesienie olbrzymich, nowych krematoriów w Brzezince. Niemcy - czy raczej ich żydowscy i aryjscy niewolnicy - ciężko harowali tej zimy. Pierwszy z czterech gigantycznych pieców uruchomiono w tydzień po aresztowaniu Zofii przez gestapo, drugi już osiem dni później - na parę zaledwie godzin przed jej przybyciem do Oświęcimia pierwszego kwietnia. Z Warszawy wyjechała trzydziestego marca. Tego właśnie dnia ją, Jankę i Ewę oraz blisko dwustu pięćdziesięciu członków ruchu oporu, wśród nich Wandę, wtłoczono do wagonów pociągu wiozącego w ostatnią podróż tysiąc ośmiuset Żydów z Małkini, z położonego na północny wschód od Warszawy obozu przejściowego, w którym przetrzymywano niedobitki żydowskie z Białostoczczyzny. Oprócz Żydów i akowców w pociągu znajdowała się licząca około dwustu osób grupa Polaków obojga płci - mieszkańców Warszawy schwytanych w jednej z przypadkowych, ale bezwzględnych łapanek; w tym przypadku ich jedynym przewinieniem było to, że mieli nieszczęście znaleźć się na niewłaściwej ulicy o niewłaściwej porze. Lub też wina była czysto formalna, jeśli nie iluzoryczna.

Do tych właśnie pechowców należał Stefan Zaorski, który nie miał karty pracy i już wcześniej zwierzał się Zofii ze swych niedobrych przeczuć. Zofia była zaszokowana, kiedy dowiedziała się, że i jego aresztowano. Widziała go z daleka w więzieniu i raz, przez moment, w pociągu, lecz nie udało jej się z nim porozumieć w duchocie, ścisku i ogólnym piekle.

Był to jeden z najliczebniejszych transportów do Oświęcimia od dłuższego czasu. Już samo to świadczyło, jak pilną rzeczą stało się dla Niemców uruchomienie nowych urządzeń w Brzezince. Wśród Żydów nie przeprowadzano tym razem żadnej selekcji w celu wyodrębnienia zdolnych do pracy, i chociaż przypadki skierowania całego transportu do komór nie należały do rzadkości, ta konkretna rzeź świadczyła o tym, jak spieszo było Niemcom, by triumfalnie uruchomić najnowsze, największe najbardziej wyrafinowane osiągnięcie technologii mordy: wszystkich tysiąc ośmiuset Żydów poszło na śmierć w ramach inauguracji działalności Krematorium II. Żadnemu nie udało się ująć śmierci w komorze gazowej.

Choć Zofia opowiadała mi o swym życiu w Warszawie, aresztowaniu i pobycie w więzieniu wyjątkowo szczerze, kiedy przyszło do sprawy wysłania do Oświęcimia i samego przybycia do obozu, stała się nagle dziwnie powściągliwa. Początkowo sądziłem, że

wspomnienia z tym związane są zbyt straszne, zresztą nie myliłem się; jednak prawdziwą przyczynę owego milczenia, owej powściągliwości, poznałem dopiero później z pewnością za mało się wówczas nad tym zastanawiałem. Jeśli zatem kolejne, obfitujące w statystykę akapity wydadzą się komuś abstrakcyjne bądź mało dynamiczne, to zapewne dlatego, że usiłuję w nich zrekonstruować po latach szersze tło wypadków, których Zofia, wraz z innymi, była bezwolną uczestniczką, posługuję się w tym celu danymi, dostępnymi w tamtych zamierzonych czasach, nazajutrz po wojnie, jedynie zawodowym badaczom.

Rozmyślałem nad tym wiele w późniejszych latach. Często zastanawiałem się, co powiedziałby profesor Biegański, gdyby przeżył i zobaczył, jak los jego córki, a zwłaszcza wnucząt, związany został ściśle z urzeczywistnieniem marzenia dzielonego przez profesora z jego narodowosocjalistycznymi idolami, czyli z likwidacją Żydów. Pomimo kultu, jaki żywił wobec Reichu, był dumnym Polakiem. Musiał też być świetnie zorientowany w sprawach władzy. Trudno zrozumieć, jak mógł przeoczyć fakt, że duszące dymy wielkiego spektaklu śmierci Żydów Europy, wyreżyserowanego przez hitlerowców, spadną także na jego rodaków - ludzi tak pogardzanych, że tylko większa jeszcze pogarda wobec Żydów uchroniła ich samych od ostatecznego unicestwienia. To właśnie owa nienawiść do Polaków była przyczyną tragicznego losu samego profesora. Ale obsesja musiała go uczynić ślepym na wiele spraw; ironia losu polegała na tym, iż nawet przy założeniu, że Polacy i inni Słowianie nie są następnymi na liście skazanych na unicestwienie, powinien był dostrzec, jak ta pełna pogardy nienawiść niczym potężny magnes przyciąga do swego zabójczego rdzenia nieprzebrane rzesze ofiar bez żółtej gwiazdy na ramieniu. Zofia powiedziała mi kiedyś - ujawniając stopniowo szczegóły z krakowskiego okresu jej życia, które wcześniej zataiła - że jakkolwiek profesor żywił wobec niej coś w rodzaju surowej, autorytarnej pogardy, jego uwielbienie dla dwojga wnucząt było wzruszające, niekłamane i bezgraniczne. Trudno sobie wyobrazić reakcję tego nieszczęśnika, gdyby przeżył mógł zobaczyć, jak Janek i Ewa giną w czarnej otchłani, którą jego własna wyobraźnia sprokurowała dla Żydów.

Tatuaż Zofii na zawsze wrył mi się w pamięć. To obmierzłe, niezatarte piętno na jej przedramieniu, podobne do śladu ukąszenia maleńkich ząbków, było szczególnie, który podczas naszego pierwszego spotkania w Różowym Pałacu kazał mi natychmiast wysnuć błędny wniosek, że Zofia jest Żydówką. Mętna i ignorancka mitologia tamtego czasu łączyła nierozzerwalnie Żydów, którzy przeżyli wojnę, z tym tragicznym znamieniem. Gdybym jednak wiedział o zmianach, jakie zaszły w obozie w ciągu dwóch tygodni, którym poświęcam tyle uwagi, zrozumiałbym, dlaczego Zofię napiętnowano jak Żydówkę, mimo że Żydówką nie była. A stało się to tak... Zarówno ona, jak jej aryjscy towarzysze niedoli zostali zaliczeni do

grupy, która w paradoksalny sposób uniknęła natychmiastowej śmierci. Łączyło się to z wymownym biurokratycznym posunięciem. Tatuowanie numerów na rękach „aryjskich” więźniów wprowadzono dopiero pod koniec marca

i Zofia należała prawdopodobnie do pierwszych nieżydowskich nowo przybyłych, którzy otrzymali numer. Tę zmianę zasad, na pierwszy rzut oka niezrozumiałą, łatwo wytłumaczyć: rzecz łączyła się z uruchomieniem dynama śmierci. Kiedy realizacja „ostatecznego rozwiązania” nabrała rozmachu i liczba Żydów ginących w nowych komorach gazowych osiągnęła zadowalający poziom, ich numerowanie straciło sens. Miejsce Żydów zajęli w obozie - teraz *Judenrein* - tatuowani dla celów identyfikacyjnych aryjczycy, czyli niewolnicy skazani na inny, powolny rodzaj śmierci. Stąd tatuaż Zofii. (Takie przynajmniej były założenia nowego planu. Ale jak się to często zdarza, plan uległ zmianie; rozkazy odwołano. Powstał konflikt pomiędzy żądzą mordowania a zapotrzebowaniem na siłę roboczą. Po przyjeździe pod koniec zimy transportu Żydów z Niemiec zarządzono, że wszyscy sprawni fizycznie więźniowie - mężczyźni i kobiety - mają być skierowani do ciężkich robót. Tak więc zbiorowisko żywych trupów, którego Zofia stała się częścią, było mieszaniną Żydów nieŻydów.)

Nadszedł prima aprilis. Czas głupich kawałów. *Poisson d'avril*. Po polsku tak samo jak po łacinie. Za każdym razem, gdy nadchodził ów dzień, odmierzając rok po roku ostatnie dziesięciolecie mojego rodzinnego życia, kojarzyłem tę datę z Zofią, a wtedy niewinne, urocze, głupiutkie żarciki wymyślane przez moje dzieci wywoływały nagłe ukłucie prawdziwego bólu; łagodny *pater familias*, tak zazwyczaj wyrozumiały, stawał się zły jak osa. Nienawidzę prima aprilis, tak jak nienawidzę judeochrześcijań - skiego Boga. Był to dzień kresu podróży Zofii; dla mnie kiepski żart losu polegał nie tyle na tym prozaicznym zbiegu okoliczności, ile na fakcie, że zaledwie cztery dni później Hoss otrzymał z Berlina rozkaz, by nie posyłać więcej do gazu nieżydowskich więźniów.

Przez dłuższy czas Zofia nie chciała ujawnić żadnych szczegółów dotyczących jej przyjazdu do obozu - nie chciała albo nie mogła z obawy przed naruszeniem własnej chwiejnej równowagi psychicznej, co na jedno wychodzi. Ale nawet nim poznałem całą prawdę o tym, co się z nią wtedy działo, byłem w stanie odtworzyć sobie mglisty obraz wydarzeń tego dnia - dnia, według zapisów, nadspodziewanie jak na tę porę ciepłego, rozbuchanego wiosenną zielenią, z rozwijającymi się paprociami, forsycją wypuszczającą pierwsze pąki, słońcem i czystym powietrzem. Tysiąc ośmiuset Żydów załadowano pospiesznie do ciężarówek i wywieziono do Brzezinki: cała operacja odbyła się w południe i zajęła dwie godziny. Nie było - jak już wspominałem selekcji; silni, zdrowi mężczyźni,

kobiety, dzieci - wszyscy poszli na śmierć. Niedługo później oficerowie SS, jak gdyby ogarnięci manią kontynuowania do końca czystki wśród tych, którzy byli pod ręką, wysłali do komór gazowych dwustu członków ruchu oporu. Ci odjeżdżali także ciężarówkami; na miejscu pozostało około pięćdziesięciu ich towarzyszy, wśród nich Wanda.

Teraz nastąpiła niespodziewana przerwa i oczekiwanie, które trwało do późnego popołudnia. W dwóch załadowanych samochodach, oprócz wspomnianej pięćdziesiątki konspiratorów, znajdowała się Zofia z Jankiem i Ewą oraz z maltretowany tłum mieszkańców Warszawy wygarniętych w ostatniej łapance. Zwłoka trwała niemal do zmierzchu. Esesmani na rampie - oficerowie, uczeni doktorzy, strażnicy - kręcili się niespokojnie, niezdecydowani, co robić. Czy chodziło o rozkazy z Berlina? O ich odwołanie? Można było tylko spekulować obserwując ich nerwowość. W końcu stało się jasne, że esesmani zdecydowali się na kontynuowanie roboty, ale tym razem na zasadzie selekcji. Podoficerowie funkcyjni rozkazali wszystkim zejść z ciężarówek ustawić się w szeregu. Potem przystąpili do pracy lekarze. Cała selekcja trwała nieco ponad godzinę. Zofia, Janek i Wanda zostali skierowani do obozu. Mniej więcej połowa więźniów uzyskiwała podobny status. Wśród skazanych na śmierć w Krematorium II w Brzezince znaleźli się nauczyciel muzyki Stefan Zaorski, i jego uczennica, flicistka Ewa Maria Zawistowska, która za półtora tygodnia skończyłaby osiem lat. trzynasty

Tu muszę zrobić pewną dygresję i napisać, co udało mi się odtworzyć tamtego letniego weekendu dzięki strumieniowi zwierzeń Zofii. Podejrzewam, że łaskawy czytelnik nie od razu dostrzeże związek tej dygresji z Oświęcimiem, ale - jak się o tym przekonamy - ów związek istnieje, choć spośród wszystkich fragmentów chaotycznych wspomnień, którym Zofia usiłowała nadać jakiś kształt, ten, w swej szkicowej postaci, należy do najbardziej osobliwych i niejasnych.

Miejsce akcji: ponownie Kraków. Czas: początek czerwca 1937 roku. Występują: Zofia, jej ojciec i postać nowa w tej opowieści, niejaki dr Walter Dürrfeld z Leuny koło Lipska, dyrektor IG Farbenindustrie. Ten *Interessengemeinschaft* czy raczej koncern nieprawdopodobnie wielki, nawet jak na tamte czasy - samym swym prestiżem i rozmiarami przyprawia profesora Biegańskiego zawrót głowy i euforię. Nie mówiąc już o osobie doktora Dürrfelda, który ze względu na specjalność naukową profesora międzynarodowe aspekty prawa patentowego - jest postacią znaną Biegańskiemu jako jeden z kapitanów przemysłu niemieckiego. Byłoby niewątpliwie krzywdzące dla profesora przedstawianie jego okazjonalnych przejawów bezkrytycznego podziwu wobec niemieckiej potęgi jako służalstwa w stosunku do Dürrfelda; w końcu on sam cieszy się reputacją wybitnego naukowca eksperta w swej dziedzinie. Jest także człowiekiem światowym. A jednak Zofia dostrzega, że

niezmiernie pochlebia mu przebywanie w pobliżu tytana, a chęć przypodobania się może czasami budzić zażenowanie. Ich spotkanie nie ma charakteru profesjonalnego; to czysto towarzyska, relaksowa wizyta. Diirrfeld wraz z małżonką odbywają właśnie wakacyjną podróż po wschodniej Europie i wspólny znajomy z Dusseldorfu - podobnie jak profesor autorytet w dziedzinie prawa patentowego - zaaranżował korespondencyjnie to spotkanie, zasypując Biegańskiego w ostatniej chwili furą telegramów. Ze względu na napięty program podróży Diirrfeldów wizyta jest krótka; nie ma nawet czasu na wspólny obiad. Pobieżne zwiedzanie uniwersytetu z jego znamienitym Collegium Maius, Wawel, arrasy, przerwa na filiżankę herbaty, być może jeszcze jakiś krótki wypad - i to wszystko. Popołudnie w miłym towarzystwie, potem do pociągu i slipingiem do Wrocławia. Profesor najwyraźniej marzy o nawiązaniu bliższych kontaktów. Cztery godziny muszą wystarczyć.

Frau Diirrfeld jest niedysponowana - lekki atak *der Durchfall* zmusza ją w końcu do pozostania w Hotelu Francuskim. Kiedy pozostała trójka siedzi przy popołudniowej herbatce, profesor przeprosza, z przesadnym chyba malkontentem, za kiepską jakość wody w Krakowie, wyraża z nieco nadmierną afekcją żal, że tak krótko miał przyjemność cieszyć się towarzystwem uroczej *Frau* Diirrfeld, nim ta pospiesznie opuściła ich, by udać się do swych hotelowych apartamentów. Diirrfeld uprzejmie kiwa głową, Zofia się skręca. Wie, że profesor zażąda od niej, aby pomogła mu odtworzyć rozmowę po to, żeby zapisać ją w dzienniku. Wie też, że została zwerbowana dla popisu, z dwóch powodów - raz, bo jest „wystrzałowa”, jak się to właśnie określa w amerykańskich filmach ostatniego sezonu, dwa - ponieważ jej prezencja, postawa język mogą unaocznić znakomitemu gościowi, temu dynamicznemu sternikowi nawy handlowej, w jaki sposób wierność zasadom niemieckiej kultury i tradycji niemieckiego wychowania zdolna jest stworzyć (i to na tym dziwnym, słowiańskim zadupiu) tak zachwycającą replikę prawdziwej *Fraulein*, replikę, której doskonałości nie zakwestionuje nawet najbardziej zaciekły purysta rasowy Reichu. W każdym razie na taką wygląda. Zofia skręca się bez przerwy, modli się, aby rozmowa - jeśli już zejdzie na poważne tematy - nie dotyczyła polityki narodowego socjalizmu. Dostaje mdłości na samą myśl o zwrocie w rasowych poglądach profesora w kierunku ekstremizmu i nie może wprost słuchać tych groźnych idiotyzmów ani im z musu wtórować, zwłaszcza poza godzinami pracy.

Ale niepotrzebnie się martwi. Tym, co pochłania profesora, gdy w sposób nader taktowny prowadzi konwersację, są kultura i interesy. Diirrfeld słucha z nikłym uśmiechem. Uprzejmy, uważny, jest zażywnym mężczyzną po czterdziestce, o zdrowej, zaróżowionej cerze. Ma - co przykuwa uwagę Zofii - niezwykle czyste paznokcie. Wydaje się, że są

powleczone lakierem, pomalowane - ich końce jaśnieją jak kremowe półksiężycy.

Jest też nienagannie ubrany: przy jego świetnie skrojonym garniturze z ciemnopopielatej flaneli, niewątpliwie angielskim, ubranie ojca w jaskrawe, drobne prążki wygląda tandetnie i staromodnie. Zauważyła, że papierosy, które pali, są także angielskie - Craven A. Kiedy słucha, w jego oczach pojawiają się sympatyczne iskierki rozbawienia. Nawet jej się dość podoba nie, nie dość, bardzo. Zofia rumieni się, wie, że policzki jej płoną. Teraz ojciec rozsiewa dokoła perełki historii, kładąc nacisk na wpływy niemieckojęzycznej kultury i tradycji w Krakowie, a w istocie w całej południowej Polsce. Jakże to stara i trwała tradycja! Nie trzeba oczywiście dodawać (choć profesor właśnie dodaje), że Kraków do niedawna pozostawał przez trzy czwarte stulecia pod łaskawym panowaniem Austrii; o tym doktor Dürrfeld *natürlich* wie, ale czy wie również, że Kraków jako jedyne chyba miasto w Europie Wschodniej posiadał własną konstytucję, którą do dziś nazywa się „prawami magdeburskimi”, ponieważ wzorowano ją na średniowiecznym zbiorze praw sformułowanych w mieście Magdeburg? Czyż należy się zatem dziwić, iż społeczność Krakowa jest tak głęboko zanurzona w źródło niemieckiej nauki, tak bardzo związana z niemieckim prawem i samym niemieckim duchem, że wśród obywateli tego miasta do dziś przetrwało namiętne uwielbienie dla języka, który, jak powiedział von Hofmannstahl (czy może Gerhart Hauptmann?), jest najbardziej zachwycającą i ekspresyjną mową od czasów greki? Nagle Zofia uświadamia sobie, że ojciec skupił swą uwagę na niej. Nawet córka - ciągnie - obecna tu Zosieńka, której wykształcenie nie jest może całkiem gruntowne, mówi po niemiecku tak płynnie, że nie tylko uzyskała doskonałą ocenę *Hochsprache* za tak zwany standardowy niemiecki, ale nawet *Umgangssprache* za kolokwialny, a co więcej, może na życzenie pana doktora odtworzyć niemal wszystkie pośrednie warianty i odcienie.

Teraz następuje nieprzyjemny (dla Zofii) moment, kiedy usilnie namawiana przez ojca musi wygłosić jakieś wymyślone naprędce zdanie w rozmaitych niemieckich dialektach. Przyswoiła sobie tę sztukę imitacji bez trudu już w dzieciństwie; od tej pory profesor z upodobaniem ją eksploatuje. To jedna z przykrości, jakimi nęka ją od czasu do czasu. Zofia, i tak nieśmiała, wzdraga się przed tym wymuszonym popisem przed Dürrfeldem, ale spełnia polecenie ojca i z krzywym uśmiechem zakłopotania mówi coś, najpierw w dialekcie szwabskim, potem w niespiesznych kadencjach bawarszczyzny, następnie z akcentem rodowitej mieszkanki Drezna, Frankfurtu. Potem przerzuca się na *Plattdeutsch* Saksonki z Hanoweru, wreszcie - świadoma, że z jej oczu wyziera wyraz desperacji - wyrzuca z siebie imitację osobliwego dialektu z okolic Schwarzwald.

- *Entzückend!* - woła ze śmiechem zachwycony Dürrfeld.

- Czarujące! Wprost czarujące!

Zofia uprzytamnia sobie, że Dürrfeld, oczarowany występem, lecz jednocześnie świadom jej męki, zrećnie położył kres przedstawieniu. Czy ojciec go uraził? Tego Zofia nie wie. Ma nadzieję, że tak. Tato. Tato. **Du hist ein... Oh, merde...**

Zofia z trudem opanowuje uczucie nudy, ale udaje się jej zachować pozory uprzejmości i zainteresowania. Profesor zwraca się teraz subtelnie (nie chcąc uchodzić za natręta) ku drugiemu najbliższemu jego sercu tematowi - sprawom przemysłu i handlu, szczególnie niemieckiego przemysłu i handlu, oraz władzy, jaka towarzyszy tym dziedzinom, tak dynamicznie teraz rozkwitającym. Łatwo sobie tym zjednać Dürrfelda: wiedza profesora o strukturach światowego handlu jest rozległa, encyklopedyczna. Wie, kiedy można zagłębić się w temat, kiedy należy przyhamować, kiedy mówić wprost, kiedy zachować dyskrecję. Ani razu nie wspomina o Führerze. Częstując się z nieco może przesadnymi przejawami wdzięczności wybornym, ręcznie skręcanym hawańskim cygarem, zaproponowanym przez Dürrfelda, daje wyraz swemu nadmiernemu podziwowi dla najnowszych niemieckich osiągnięć. Czytał o nich ostatnio w branżowej, wydawanej w Zurychu gazecie, którą prenumeruje. Ow sukces to sprzedanie Stanom Zjednoczonym wielkich ilości syntetycznego kauczuku, wytwarzanego według najnowszej technologii opracowanej w IG Farbenindustrie. Cóż to za mistrzowskie posunięcie ze strony Rzeszy! - wykrzykuje profesor i tu Zofia zauważa, że Dürrfeld, który nie wygląda na człowieka łasego na pochlebstwa, odpowiada uśmiechem i zaczyna mówić z pewnym ożywieniem. Wydaje się, że orientacja profesora w sprawach technicznych sprawia mu przyjemność; teraz sam zaczyna ekscytować się tematem. Pochyla się do przodu i po raz pierwszy wprawia w ruch swoje wspaniale wypielęgowane dłonie, raz po raz akcentując gestami swą wypowiedź. Zofia gubi się w mnogości niezrozumiałych dla niej szczegółów i równocześnie raz jeszcze ocenia Dürrfelda z typowo kobiecego punktu widzenia: to naprawdę atrakcyjny mężczyzna myśli, po czym lekko zawstydzona odpędza tę myśl. (Mężatka, matka dwojga dzieci; jakże tak można!).

Nagle, choć najwidoczniej stara się usilnie panować nad sobą, Dürrfeld ulega atakowi kipiącego, tłumionego gniewu; zaciska pięść tak, że aż bieleją knykcie, bieleje też skóra wokół ściągniętych warg. Ledwie hamując wściekłość mówi o imperializmie **die Engländer** i **die Holländer**, o spisku ze strony tych potęg, zmierzającym do takiego manipulowania cenami i ich kontrolowania, aby wyeliminować innych z rynku. I oni mają czelność oskarżać IG Farben o monopolistyczne praktyki! Cóż innego nam pozostaje? - pyta kostycznym, ostrym głosem, ku zaskoczeniu Zofii tak różnym od wcześniejszego, mleczołagod - nego, spokojnego tonu. Nic dziwnego, że świat jest zdumiony naszym wyczynem! Skoro Anglicy i

Holandrzy zaanektowali sobie Malaje i Indie Wschodnie i w zbrodniczy sposób dyktują astronomiczne ceny światowemu rynkowi, cóż innego pozostaje Niemcom, jak wykorzystać swoją technologiczną inwencję i stworzyć syntetyczny substytut, który będzie nie tylko ekonomiczny, wytrzymały, elastyczny, lecz taicie... - Odporny na działanie olejów! - No proszę! Profesor wyjął to Diirrfel - dowi z ust. Odporny na działanie olejów! Przygotował się do lekcji doskonale ten nasz bystry profesorek, w którego pamięci utkwiał uderzający fakt, że tym, co stanowi o rewolucyjnej doniosłości, najwyższych walorach i atrakcyjności nowego, syntetycznego produktu, jest właśnie jego odporność na działanie olejów. Kolejne pochlebstwo, które prawie odniosło skutek: Diirrfeld uśmiecha się, ujęty znawstwem profesora. Ale, jak to często bywa, ojciec nie zna umiaru. Wdzięcząc się z lekka i kręcąc przyprószonymi łupieżem, prądkowanymi ramionami, zaczyna się popisywać, rzucając takimi terminami chemicznymi jak „nitryl”, „BunaN”, „polimeryzacja węglowodorów”. Jego niemczyzna jest miodopłynna - ale teraz Diirrfeld wytracony ze swego świętego oburzenia wobec Brytyjczyków i Holendrów znów zamyka się w sobie i spogląda na puszącego się profesora spod wysoko uniesionych brwi; wydaje się lekko zirytowany i znudzony.

A jednak - rzecz dziwna - czasami profesor potrafi być czarujący. Czasami potrafi się zrehabilitować. Gdy jadą do wielkiej kopalni soli w Wieliczce, na południe od Krakowa, ściśnięci we trójkę na tylnym siedzeniu hotelowej limuzyny, starego, ale wypielęgowanego i pachnącego politurą daimlera, dobrze przećwiczony wykład na temat polskiego kopalnictwa soli i jego tysiącletniej historii jest czarujący, inteligentny, bynajmniej nie nudny. Ojciec wykazuje przy tym ów talent, który czyni zeń fascynującego wykładowcę i publicznego mówcę, obdarzonego prawdziwą iskrą bożą. Zniknęły bez śladu zadęcie i samouwieśnienie. Imię założyciela kopalni w Wieliczce, króla Bolesława Wstydlwego, dostarcza im chwilowej rozrywki; parę prymitywnych, ale w porę wtrąconych dowcipów sprawia, że Diirrfeld odzyskuje dobry humor. Kiedy się tak odpręża, Zofia czuje, że doktor coraz bardziej się jej podoba; w ogóle nie wygląda na potężnego niemieckiego przemysłowca - myśli. Długo przygląda mu się z boku, wprost urzeczona jego absolutnym brakiem zadufania, poruszona jakimś emanującym z niego wewnętrznym ciepłem, wrażliwością - czyżby to była po prostu samotność? Wokół świeża zieleń młodych, drżących na wietrze listków, bujne łąki wprost płoną od polnych kwiatów - prawdziwa polska wiosna w pełnym rozkwicie. Diirrfeld szczerze zachwyca się widokiem. Zofia czuje nacisk jego ramienia na swoim, obnażonym, i uświadamia sobie, że pokrywa je gęsia skórka. Próbuje - bez powodzenia, bo siedzą ściśnięci - odsunąć się od niego. Wzdryga się lekko, potem się odpręża.

Diirrfeld odprężył się tak całkowicie, że czuje się w obowiązku wybąkać coś w

rodzaju przeprosin: nie powinien był się tak unosić z powodu Brytyjczyków i Holendrów - mówi miękko do profesora. - Proszę wybaczyć ten wybuch, ale przyzna pan, że ich monopolistyczne praktyki i manipulacje z naturalnymi produktami jak kauczuk, który powinien być na równi dostępny dla całego świata, są oburzające. Z pewnością ktoś urodzony w Polsce, która podobnie jak Niemcy nie ma zamorskich kolonii, potrafi to zrozumieć. Z pewnością nie żaden militarizm czy ślepe dążenie do podbojów (co imputuje się oszczerczo niektórym narodom - Niemcom, tak, do licha, Niemcom) czyni prawdopodobnym wybuch jakiejś okropnej wojny, lecz ta właśnie chciwość. Cóż ma zrobić naród taki jak Niemcy - pozbawiony kolonii, które mogłyby służyć jako ich *Straits Settlements*, nie posiadający swej Sumatry czy swego Borneo - kiedy musi stawić czoło wrogiemu światu, opanowanemu bez reszty przez międzynarodowych piratów i spekulantów? Temu dziedzictwu traktatu wersalskiego! Pytam: co ma zrobić? Musi dać z siebie wszystko, by stworzyć z chaosu, siłą swego geniuszu, własną substancję a potem, przyparty do muru, stawić czoło całej armii wrogów. Koniec przemówienia. Rozpromieniony profesor bije brawo.

Diirrfeld pogrąża się w milczeniu. Pomimo wzburzenia, na zewnątrz jest bardzo spokojny. W jego głosie nie było gniewu ani podniecenia; mówił z łagodną, swobodną elokwencją - Zofia stwierdza, że przemówiły do niej nie tylko słowa, lecz także głębokie przekonanie w głosie Diirrfelda. W sprawach polityki międzynarodowej jest naiwna, ale na tyle inteligentna, by zdawać sobie z tego sprawę. Trudno powiedzieć, czy większe wrażenie wywiera na niej jego rozumowanie, czy wygląd zewnętrzny - być może i to, i to - ale wyczuwa w jego rozsądnej argumentacji szczerłość i uczciwość; Diirrfeld nie przypomina ani trochę ortodoksyjnego nazisty z rodzaju tych, których tak zaciekle atakują paszkwilanicznie liberalne i radykalne elementy na uniwersytecie. Może nie jest nazistą - myśli z optymizmem - choć nie, człowiek na takim stanowisku musi z pewnością należeć do partii. Należy? Nie? Zresztą nieważne. Dwie rzeczy są pewne: Zofia czuje przyjemne, dziwne, łaskotliwe podniecenie erotyczne i to doznanie przepelnia ją tym samym słodkim i oszłamiającym poczuciem niebezpieczeństwa, jakiego doświadczyła przed laty jako dziecko na przerażającym diabelskim młynie w wiedeńskim Praterze, niebezpieczeństwa zachwycającego i niemal ponad ludzką wytrzymałość. (Poddając się tym emocjom, nie może jednocześnie pozbyć się wspomnienia pewnego fatalnego epizodu, jaki zaledwie miesiąc temu miał miejsce w domu i który niejako upoważnia ją do ulegania tak elektryzującemu pragnieniu: widzi sylwetkę męża, stojącego w szlafroku w drzwiach ciemnej sypialni. I przypomina sobie słowa Kazika, tak dla niej bolesne jak nagłe chłaiście po twarzy kuchennym nożem: - Musi to dotrzeć do twojej zakutej czaszki, bardziej może tępej, niż

utrzymuje twój ojciec. Jeśli nie potrafię z tobą dłużej współżyć, to nie z powodu braku męskości, ale po prostu dlatego, że pozostaję wobec wszystkiego, co łączy się z tobą, a szczególnie wobec twojego ciała, absolutnie obojętny... Nie mogę znieść nawet zapachu twojego łóżka.)

W chwilę później, przed bramą kopalni, kiedy patrzą oboje na skąpany w słońcu zielony lan rozkołysanego, falującego jęczmienia, Diirrfeld zadaje pytanie dotyczące jej samej. Zofia odpowiada, że... no cóż, zajmuje się domem, jest żoną naukowca, ale uczy się grać na fortepianie i ma nadzieję, że za rok, dwa będzie mogła kontynuować studia w Wiedniu. (Są przez chwilę sami, stoją blisko siebie. Jeszcze nigdy nie pragnęła tak gorąco być sam na sam z mężczyzną. Umożliwia to drobna przeszkoda ogłoszenie, że zwiedzanie kopalni zostało wstrzymane ze względu na roboty remontowe, profesor szaleje, kaskady przeprosin, proszę poczekać, osobista znajomość z zarządcą kopalni powinna pomóc w wyjściu z impasu.) Gość mówi, że Zofia wygląda bardzo młodo. Jak dziewczynka! Trudno uwierzyć, że ma dwójkę dzieci. Ona odpowiada, że wyszła bardzo młodo za męża. Na to on, że też ma dwoje dzieci. „Jestem przywiązany do rodziny” - ta uwaga brzmi figlarnie, dwuznacznie. Po raz pierwszy spotyka się ich wzrok, następuje wymiana długich spojrzeń - jest w tym jakaś nieprzyzwoita fascynacja, Zofia odwraca wzrok z poczuciem winy cudzołożnicy. Odchodzi parę kroków, osłania oczy dłonią, głośno zastanawia się, gdzie może być papa. Uświadamia sobie, że głos jej drży, inny, wewnętrzny głos mówi, że musi jutro iść na mszę poranną. Słyszy za sobą pytanie, czy była kiedyś w Niemczech. Odpowiada, że tak, pewnego lata, dawno temu była w Berlinie. Urlop ojca. Była wtedy dzieckiem.

Mówi jeszcze, że chciałaby znowu tam pojechać i zobaczyć grób Bacha w Lipsku, i nagle urywa zawstydzona, zachodząc w głowę, po co, na Boga, to powiedziała, choć rzeczywiście złożenie kwiatów na grobie Bacha jest od dawna jej skrywanym pragnieniem. Ale w jego dyskretnym śmiechu wyczuwa się zrozumienie. **Leipzig**, moje miasto rodzinne! Czemu nie - mówi oczywiście możemy to zrobić, jeśli pani przyjedzie. Możemy odwiedzić wszystkie wielkie świątynie muzyki. - Lekko ją zatyka: „my”, „jeśli pani przyjedzie”... Czy ma to traktować jako zaproszenie? Subtelne, wręcz zamaskowane - ale jednak zaproszenie? Czuje pulsowanie w skroniach i przezornie zmienia temat. Mamy tu w Krakowie dużo dobrej muzyki, mówi. W Polsce jest w ogóle mnóstwo cudownej muzyki. Owszem, odpowiada on, ale nie tyle co w Niemczech. Gdyby przyjechała, zabrałby ją do Bayreuth - lubi pewnie Wagnera - albo na wielkie festiwale Bachowskie, albo na koncerty Lotte Lehmann, Kleibera, Gieseckinga, Furtwänglera, Backhausa, Fischera, Kempffa... - jego głos zdaje się zamieniać w miłosne, śpiewne murmurando, przymilne, taktowne, ale zarazem beczelnie uwodzicielskie,

porywające i (ku jej głębokiemu zaniepokojeniu) okropnie podniecające. Skoro lubi Bacha, musi też lubić Telemanna. Musimy uczcić jego pamięć w Hamburgu! I Beethovena w Bonn! W tej samej chwili chrząst żwiru na ścieżce oznajmia powrót profesora. „Sezamie, otwórz się!” - paple, bardzo z siebie zadowolony. Zofia słyszy niemal łomot własnego zamierającego serca. Mój ojciec - myśli - to zaprzeczenie wszystkiego, czym jest muzyka...

I to - o ile pamięta - już prawie wszystko. Fantastyczny podziemny pałac wykuty w soli, który już tyle razy widziała i który - tak przynajmniej utrzymuje ojciec - jest jednym z siedmiu stworzonych przez człowieka cudów Europy, nie tyle rozczarowuje, co po prostu nie przykuwa jej uwagi, tak bardzo wzburzyło ją to nieokreślone doznanie, ten obezwładniający przyływ namiętności, nagły i niespodziewany jak uderzenie gromu. Nie śmie ponownie spojrzeć Diirrfeldowi w oczy, choć raz jeszcze zerka na jego dłonie: dlaczego ją tak fascynują? I teraz, gdy zjeżdżają windą, a potem ruszają w głąb roziskrzonego, białego królestwa łukowato sklepionych grot, krętych korytarzy i wysokich naw - tej jakby odwróconej katedry, ukrytego pomnika wielowiekowego ludzkiego mozołu, wpuszczonego w zawrotne głębie podziemnego świata - Zofia wykreśla z myśli zarówno obecność Diirrfelda, jak wykład ojca, który zresztą słyszała dziesiątki razy. Rozważa ponuro, jak mogła paść ofiarą tak niemądrych i zarazem destrukcyjnych emocji. Musi po prostu radykalnie wymazać tego człowieka z pamięci. Tak, wymazać... *Allez!*

Tak też czyni. Jak mi opowiadała, usunęła Diirrfelda ze swych myśli tak gruntownie, że gdy wyjechał wraz z żoną z Krakowa zaledwie godzinę po wycieczce do kopalni - nie nawiedził jej ani razu we wspomnieniach, nie pojawił się w najdalszych nawet zakamarkach świadomości, nawet w postaci romantycznych rojeń. Może była to sprawa instynktownej siły woli, a może tylko poczucie bezsensu hołubienia nadziei, że kiedykolwiek znów go zobaczy. Jak kamień rzucony w bezdenną otchłań szybu Wieliczki wypadł z jej pamięci - jeszcze jeden niewinny flirt zapisany w przykurzonym, rzadko otwieranym dzienniku. A jednak spotkała go znów, sześć lat później, kiedy wytwór jego namiętności i pragnień - syntetyczny kauczuk - oraz pozycja, jaką wyznaczył mu bieg historii, sprawiły, że ten ksiązę korporacji został władcą potężnego oddziału przemysłowego kompleksu Farben, znanego jako IG Auschwitz. Spotkanie w obozie było jeszcze krótsze i bardziej bezosobowe. Z tych dwóch odrębnych spotkań Zofia wyniosła dwa powiązane ze sobą, silne wrażenia: podczas wiosennej, popołudniowej wycieczki w towarzystwie jednego z najbardziej wpływowych polskich antysemitów ani jej admirator Walter Diirrfeld, ani gospodarz nie wspomnieli słowem o Żydach. Sześć lat później prawie wszystko, co usłyszała z ust Diirrfelda, dotyczyło Żydów i konieczności ich unicestwienia.

Podczas naszego długiego weekendu we Flatbush Zofia napomknęła o Ewie zaledwie w kilku słowach, mówiąc to, do czego i tak sam doszedłem: że dziewczynka została zamordowana w Brzezince w dniu ich przybycia do obozu. „Ewę zabrali - powiedziała - i nigdy już jej nie zobaczyłam”. Nie rozwodziła się nad tym tematem, a ja oczywiście nie mogłem i nawet nie próbowałem nalegać. Było to mówiąc krótko - potworne; informacja, której udzieliła mi tak obojętnie, jakby mimochodem, odebrała mi mowę. Ciągle jeszcze nie mogę się nadziwić jej opanowaniu. Szybko wróciła do sprawy Janka, który przeżył selekcję i - jak się przypadkiem po pewnym czasie dowiedziała - został wtrącony do strasznej enklawy zwanej Obozem Dziecięcym. Z tego, co mówiła o pierwszych sześciu miesiącach pobytu w Oświęcimiu, mogłem się tylko domyślać, że szok, rozpacz i poczucie straty po śmierci Ewy mogłyby zabić i ją, gdyby nie to, że ocalał Janek; sam fakt, że chłopczyk żył, jakkolwiek poza jej zasięgiem, i że mogła go ewentualnie kiedyś zobaczyć, podtrzymywał ją na duchu w pierwszej fazie obozowego koszmaru. Prawie wszystkie myśli Zofii krążyły wokół dziecka, a garść informacji, jakie udało jej się od czasu do czasu uzyskać - że jest względnie zdrowy, że wciąż jeszcze żyje - była dla niej czymś w rodzaju nikłej, tępej pociechy, pozwalającej znieść piekło obozowej egzystencji, do której budziła się każdego ranka.

Jednak Zofia, jak już podkreślałem i jak ona sama tłumaczyła Hóssowi podczas ich dziwnego, zakończonego fiaskiem intymnego spotkania, należała do wąskiego grona wybrańców losu, a zatem była „szczęściarą” w porównaniu z większością nowo przybyłych. W pierwszej chwili odesłano ją do baraków, gdzie zwykłą kolejną rzeczą musiałaby popaść w stan owej precyzyjnie zaplanowanej, skróconej agonii, która była udziałem wszystkich niemal towarzyszy niedoli. (Tu właśnie powiedziała mi o powitalnej mowie Hauptsturmführera SS Fritzscha i dobrze byłoby raz jeszcze przytoczyć ją za Zofią w dosłownym brzmieniu: - Pamiętam dokładnie jego słowa. „Przyjechaliście mówił - do obozu koncentracyjnego, nie do sanatorium, i jest stąd tylko jedno wyjście - przez komin”. I dodał: „Jak komuś się to nie podoba, może od razu rzucić się na druty. Jeśli są w tej grupie jacyś Żydzi, nie mają prawa żyć dłużej niż dwa tygodnie”. Potem zapytał: „Czy są tu jakieś zakonnice? Tak jak księża, macie jeden miesiąc. Cała reszta - trzy miesiące”. Zofia wiedziała, że została skazana na śmierć w ciągu dwudziestu czterech godzin; Fritzsch uprawomocnił tylko wyrok w języku SS.) Ale jak później wyjaśniła Hóssowi podczas opisanego przeze mnie spotkania, dziwny splot drobnych zdarzeń - napaść lesbijki w baraku, szarpanina, wstawiennictwo zaprzyjaźnionej blokowej - sprawił, że otrzymała pracę tłumacza - czkistenotypistki i przeniosła się do innego baraku, co na razie uchroniło ją od śmierci z wyczerpania. No i oczywiście pod koniec szóstego miesiąca pobytu w obozie szczęśliwym zrzędzeniem losu dostała się pod

opiekuńczy dach pełnego wygód i zalet *Haus Hoss*. Ale przedtem nastąpiło pewne przełomowe spotkanie. Na kilka zaledwie dni przed przeprowadzką do domu Hossa, Wanda - która przez cały czas pozostawała uwięziona w jednej ze straszliwych nor Brzezinki i z którą nie widziały się od owego kwietniowego dnia, kiedy przybyły do obozu - zdołała jakoś dotrzeć do Zofii i wyrzucając z siebie bezładny potok słów, rozbudziła w niej nadzieję na ocalenie Janka, choć zarazem przeraziła ją żądaniem, wymagającym odwagi, na jaką Zofia nie potrafiłaby się zdobyć.

- Będziesz musiała pracować dla nas przez cały czas pobytu w tym gnieździe pluskiew - szeptała jej w kącie baraku. - Nie masz pojęcia, jaka to fantastyczna okazja. Organizacja wyczekiwała takiego momentu, modliliśmy się o to, żeby ktoś taki jak ty znalazł się w podobnej sytuacji! Musisz mieć przez cały czas otwarte oczy i uszy. Słuchaj, kochana, jest niezmiernie ważne, żeby wiedzieć, co się dzieje. Zmiany personalne, zmiany polityki, przeniesienia najważniejszych esesmańskich świń - to są wszystko bezcenne informacje. To oznacza dla nas życie. Wiadomości z frontu! Wszystko, co zaprzecza ich plugawej propagandzie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że nasze morale to jedyna cenna rzecz, jaka nam pozostała w tym piekle? Na przykład radio - to byłoby bezcenne! Szanse na zdobycie radia są praktycznie zerowe, ale gdyby udało ci się je przemyścić, żebyśmy mogli słuchać Londynu, równałoby się to ocaleniu życia wielu tysiącom ludzi.

Wanda była chora. Okropna rana na twarzy nigdy właściwie się nie zagoiła. Warunki w żeńskim bloku Brzezinki były potworne i nawroty chronicznego bronchitu, na który była zawsze podatna, rozogniły jej policzki gorączkowym, niepokojącym rumieńcem, tak intensywnym, że nie różnił się kolorem od jej ceglas to rudych włosów, a raczej ich żalonych resztek. Zofia, ogarnięta jednocześnie przerażeniem, rozpaczą i poczuciem winy, pomyślała w przebłysku intuicji, że nigdy więcej nie zobaczy tej dzielnej, stanowczej, żarliwej jak płomień dziewczyny. - Mam jeszcze tylko chwilę czasu - powiedziała Wanda. Nagle przerzuciła się z polskiego na szybką, galopującą niemczyznę i półgłosem zauważyła, że kręcąca się w pobliżu pomocnica blokowej, warszawska kurwa z wredną gębą, wygląda jej na szpiclówkę i zdradliwego szczura, co zresztą było prawdą. Nakreśliła więc pospiesznie swój plan związany z *Lebensbornem*, starając się przekonać Zofię, że jakkolwiek pomysł może wydać się szalony, jest to chyba jedyny sposób uwolnienia Janka z obozu.

Będzie to wymagać ścisłej współpracy, mówiła, masy rzeczy, przed którymi Zofia wzdraga się instynktownie. Przerwała i zaniosła się rozdzierającym, spazmatycznym kaszlem. Po chwili zaczęła mówić dalej:

- Kiedy dotarły do mnie wiadomości o tobie, od razu wiedziałam, że będziemy

się musiały spotkać. My słyszymy wszystko. I tak chciałam cię zobaczyć po tych wielu miesiącach, ale twoja nowa praca to rzecz tak ważna, że spotkanie było absolutnie konieczne. Strasznie ryzykowałam, żeby się tu dostać jeśli mnie złapią, koniec ze mną! Ale w tym gnieździe żmij warta skórka wyprawki. No dobrze, powtarzam: Janek jest zdrowy, jak na te warunki. Widziałam go nie raz, a trzy razy przez druty. Nie będę cię oszukiwać - jest chudy, taki chudy jak ja. W obozie dziecięcym jest podle - w Brzezince wszędzie jest podle, ale mogę ci powiedzieć jedno: oni nie głodzą dzieci tak jak pozostałych. Nie wiem, może to sprawa sumienia? Raz udało mi się zdobyć dla niego parę jabłek. Trzyma się. Przeżyje. Ulżyj sobie, płacz, kochanie. Wiem, że to straszne, ale nie możesz tracić nadziei. I musisz próbować wydostać go stąd, nim nadejdzie zima. Ten pomysł z *Lebensbornem* może się teraz wydawać dziwaczny, ale takie rzeczy się zdarzają - widziałyśmy to w Warszawie, pamiętasz dziecko Rydzoniów? - więc powiadam, musisz spróbować. To prawda, że jeśli wyślą go do Niemiec, możesz go już nie zobaczyć, ale będzie przynajmniej żywy i zdrowy, rozumiesz? Jest szansa, że kiedyś go odszukasz, wojna nie będzie trwała wiecznie.

Posłuchaj mnie! Wszystko zależy od tego, jak bardzo uda ci się zbliżyć do Hossa. Zosiu, kochanie, od tego zależy bardzo wiele, nie tylko los Janka i twój, ale nas wszystkich. Musisz wykorzystać tego człowieka, urobić go - będziesz z nim pod jednym dachem. Wykorzystaj to! Raz musisz zapomnieć o tej swojej kołtuńskiej, chrześcijańskiej moralności i posłużyć się dla dobra sprawy ciałem. Wybacz, Zosiu, ale jeśli dasz mu raz porządnie dupy, będzie ci jadł z ręki. Słuchaj, podziemny wywiad dowiedział się o tym człowieku wszystkiego, co łączy się z programem *Lebensborn*. Hoss to jeszcze jeden przewrażliwiony biurokrata z zahamowaniami seksualnymi. Wykorzystaj to! I wykorzystaj jego samego! Włączyć jednego polskiego dzieciaka do programu to dla niego fraszka - w końcu to tylko korzyść dla Reichu. A pójście z Hósem do łóżka nie jest kolaboracją, to akcja wywiadowcza - piąta kolumna! Musisz więc rozpracować tego goryla do końca. Zosiu, na miłość boską, to dla ciebie szansa! To, co zrobisz w jego domu, może oznaczać dla nas, dla każdego Polaka, Żyda, dla całego tłumu nieszczęśników z obozu wszystko! Błagam - nie zawieź nas!

Czas uciekał. Wanda musiała iść. Zanim odeszła, przekazała Zofii kilka ostatnich instrukcji. Na przykład sprawa Bronka. W domu komendanta zetknie się z człowiekiem o tym imieniu. Broniek będzie głównym łącznikiem pomiędzy domem Hóssów a podziemiem. Choć robi wrażenie popychadła esesmanów, nie jest takim lizusem i lokajem Hossa, jakiego ze względów taktycznych udaje. Hoss ufa mu, Broniek jest jego pupilem, czymś w rodzaju oswojonego polskiego zwierzaka. W tym prostym, pozornie służalczym i posłusznym człowieku bije serce patrioty, który udowodnił, że można na niego liczyć i powierzyć mu

pewne zadania pod warunkiem, że nie wymagają nadmiernego wysiłku umysłowego i nie są zbyt skomplikowane. Rzecz polega na tym, że Broniek jest postrzelony, ale sprytny, a w tak zwaną roślinkę zamieniły go eksperymenty medyczne, które zmały mu umysł. Sam nie potrafi wykazać się inicjatywą, ale jest przydatnym narzędziem. - Niech żyje Polska! Szybko się przekonasz - mówiła Wanda - że Broniek gra rolę uległego, nieszkodliwego popychadła tak umiejętnie, iż nie budzi żadnych podejrzeń Hossa - i na tym właśnie polega urok całej sprawy, stąd jego nieocenione wprost walory jako działacza i łącznika podziemia. Ufaj mu - dodała - i korzystaj z jego usług, kiedy tylko można. - Teraz Wanda musiała już naprawdę iść; po całym, pełnym łez pożegnaniu zniknęła, pozostawiając Zofię z uczuciem osamotnienia, beznadziei i niemożności sprostania zadaniu...

Tak więc Zofia spędziła dziesięć dni pod dachem domu komendanta - a kulminacją jej pobytu był ów gorączkowy, wypełniony niepokojem dzień, który tak szczegółowo zapamiętała i który już opisałem: dzień, kiedy jej nieudolne i jawne próby uwiedzenia Hossa nie stworzyły w rezultacie szansy uwolnienia Janka, lecz tylko gorzkobolesną, a jednak słodką i upragnioną obietnicę, że zobaczy go na własne oczy (choć być może tak przelotnie, że chyba tego nie znieś). Dzień, kiedy ogarnięta paniką, nękana zanikami pamięci nie zdołała wyłożyć Hóssowi pomysłu z *Lebensbornem*, tracąc tym samym wielką szansę podsunęcia mu usankcjonowanego sposobu uwolnienia Janka z obozu. (Chyba że - myślała schodząc wieczorem do piwnicy chyba że weźmie się w garść i nakreśli mu swój plan jutro rano w biurze, gdzie, zgodnie z obietnicą Hossa, ma nastąpić spotkanie.) Był to także dzień, w którym oprócz innych lęków i cierpień przygniatał ją ciężar ryzyka i odpowiedzialności. W cztery lata później, w brooklińskim barze, mówiła o uczuciu wstydu, jaki do dziś ogarnia ją na wspomnienie strachu wywołanego tym ryzykiem i odpowiedzialnością, strachu, który stał się przyczyną porażki. Był to jeden z najbardziej mrocznych fragmentów jej wyznań, sedno tego, co z uporem określała jako tkwiące w niej „zło”. Zaczęłam teraz rozumieć, że to „zło” dotyczyło czegoś więcej niż - jak pierwotnie sądziłam - nieuzasadnionego poczucia winy z powodu fiaska jej niezręcznych prób uwiedzenia Hossa czy nawet równie nieudolnych prób manipulowania nim za pomocą broszurki ojca. Zaczęłam pojmować, jak zło absolutne, niezależnie od innych właściwości, może absolutnie sparaliżować człowieka. Ostatecznie - wspominała Zofia z bólem jej porażka łączyła się z czymś tak tanim i trywialnym, choć ogromnie ważnym, jak kupa metalu, szklą i plastiku, czyli radio, którego - zdaniem Wandy - nigdy już nie będzie miała szansy ukraść, jeśli nie zrobi tego teraz. I ona kompletnie zaprzepała tę szansę...

Poniżej półpiętra, które służyło jako poczekalnia gabinetu Hossa, znajdował się pokój

Emmi, jedenastoletniej córki Hossa, średniego spośród pięciorga jego dzieci. Zofia wiele razy przechodziła obok tego pokoju po drodze do biura i zauważyła, że drzwi bywają często otwarte - fakt właściwie nieistotny, pomyślała, jeśli zważyć, że drobna kradzież w tej despotycznie zarządzanej, bezbłędnie funkcjonującej twierdzy byłaby czymś tak wręcz nieprawdopodobnym jak popełnienie morderstwa. Nieraz przystawała, żeby zerknąć do wysprzątanej, odkurzonej do ostatniego pyłka dziecięcej sypialni, podobnej do takich samych pomieszczeń w Augsburgu czy Münster. Solidne łoże przykryte narzutą w kwiaty, sterta wypchanych zwierzaków na krześle, jakieś srebrne puchary, zegar z kukułką, na ścianie zdjęcia w tandetnych ramkach (górski krajobraz, maszerująca Hitlerjugend, pejzaż nadmorski, sama Emmi w kostiumie pływackim, zabawa z kucykami, portrety Führera, „*Onkel Heini*” Himmler, uśmiechnięta *Mutti*, uśmiechnięty *Vati* po cywilnemu), serwantka ze szkatułkami na biżuterię i błyskotki, a obok przenośne radio. To właśnie radio przykuwało jej uwagę. Rzadko widywała, czy raczej słyszała, by radio było włączone, zapewne dlatego, że ryczący dzień i noc wielki gramofon na dole przedstawiał sobą większą atrakcję.

Przechodząc pewnego razu obok pokoju zauważyła, że radio gra - rozmarzony, nowoczesny, pseudostraussowski walc przebijał przez głos spikera, dzięki któremu można było zidentyfikować stację jako wiedeńską lub praską rozgłośnię Wehrmachtu. Kryształowo czyste, przyciszone dźwięki instrumentów smyczkowych były zdumiewająco wyraźne. Ale Zofii nie urzekła muzyka, lecz samo radio - zachwyciły ją rozmiary aparatu, jego kształt, urok miniaturki, zgrabna forma, niezwykle fakt, że radio można przenosić. Zofii nigdy nie przyszłoby do głowy, że technologia może wytworzyć coś tak cudownie zwartego, skondensowanego, ale wtedy nie zdawała sobie jeszcze sprawy, na co stać Trzecią Rzeszę i jej elektronikę w tych latach burzliwego rozwoju. Radio nie było większe niż średnich rozmiarów książka. Nazwę firmy

- Siemens - wygrawerowano ukośnie na bocznej ścianie. Odchylana na zawiasach plastikowa przednia ścianka barwy ciemnego orzecha służyła zarazem jako antena i sterczała wyprostowana jak wartownik nad pełnym lamp i baterii cokołem, tak małym, że z łatwością zmieściłby się na dłoni. Widok radia napełnił Zofię lękiem i pożądaniem. Schodząc do swej ciemnicy o zmierzchu tego październikowego dnia, w którym nastąpiła konfrontacja z Hössem, znów zobaczyła je przez uchylone drzwi i brzuch rozboleł ją ze strachu na samą myśl, że w końcu bez dalszych wahań i zwłoki musi je w jakiś sposób ukraść.

Stała w półmroku korytarza, o metr zaledwie od schodów prowadzących na poddasze. Z radia płynęła przyciszona,ekliwa muzyczka. Nad głową Zofii słyhać było stukot wysokich butów adiutanta Hössa przechadzającego się ciężkim krokiem po drewnianej podłodze

półpiętra. Sam Höss wyjechał na inspekcję. Przez chwilę stała nieruchomo; czuła, że opuszczają ją siły, była głodna, wstrząsały nią dreszcze. Wiedziała, że lada chwila rozchoruje się i załame. Nigdy jeszcze w życiu dzień nie dłużył jej się bardziej niż dzisiaj, kiedy wszelkie nadzieje i oczekiwania spelzły nagle na niczym, na ohydny, ziejącym zerze. Nie, niezupełnie na niczym: obietnica Hossa, że będzie mogła przynajmniej zobaczyć Janka, była w pewnym sensie ocaleniem z katastrofy. Ale to, że tak fatalnie rzecz przeprowadziła, że wróciła praktycznie do punktu wyjścia i teraz oto musi stawić czoło koszmarowi nadchodzącej obozowej nocy - nie, z tym nie mogła się pogodzić ani tego pojąć. Zamknęła oczy i oparła się ościanę; mdliło ją z głodu. Rano, dokładnie w tym samym miejscu zwymiotowała figi - wszystko zostało dawno uprzątnięte przez jakąś polską czy esesmańską płotkę, ale ciągle czuła kwaśnosłodki posmak i żołądek ścisnął jej się z głodu w bolesnym skurczu. Nie otwierając oczu uniosła ręce do góry i nagle jej błędzące palce natrafiły na jakiś pokryty sierścią kształt. Miała wrażenie, że dotknęła kosmatych jąder szatana. Z ust wyrwał jej się krótki okrzyk, piskliwe zatchnięcie; potem otworzyła szeroko oczy i stwierdziła, że musnęła palcami pysk jelenia ustrzelonego przez Hössa w 1938 roku - jak opowiadał kiedyś w jej obecności gościowi z SS. Trafił go prosto w łeb z trzystu metrów na otwartej przestrzeni, w górach koło Königssee, w takiej głuszy, że gdyby Führer był w swej rezydencji pod Berchtesgaden (kto wie, może właśnie był!), usłyszałby chyba to zabójcze „paf!”.

Teraz wyłupiaste szklane oczy jelenia, kunsztownie odtworzone w szczegółach, z czerwonymi żyłkami włącznie, odbijały jej podwojony obraz; wycieńczona, zmizerniała, z twarzą roz - połowioną trupimi płaszczynami, wpatrywała się w swoje podwójne odbicie i zastanawiała, jak przy śmiertelnym wyczerpaniu, napięciu i rozterkach zdoła zachować zdrowe zmysły.

Przechodząc codziennie obok pokoju Emmi, obmyślała strategię działania i ogarniało ją coraz większe przerażenie. Prześladowała ją niczym zmora myśl, by nie zawieść zaufania Wandy, ale Boże jakież to trudne! Największy problem można było określić jednym słowem: podejrzenie. Zniknięcie tak rzadkiej i cennej rzeczy jak radio byłoby sprawą wielkiej wagi - pociągałoby za sobą represje, karę, tortury, może nawet śmierć. Podejrzenie padłoby automatycznie na więźniów pracujących w domu: to ich w pierwszej kolejności poddano by rewizji, przesłuchiwno, bito. Nawet te grube, żydowskie szwaczki! Był jednak pewien zbawienny szczegół, który - jak sobie uprzytomniła - można było wykorzystać: obecność w domu esesmanów. Gdyby do górnych rejonów domu miała dostęp, tak jak Zofia, tylko garstka więźniów, tego rodzaju sprytna kradzież nie wchodziłaby w rachubę. Byłoby to samobójstwo. Ale ścieżki prowadzące do drzwi gabinetu Hossa wydeptywały każdego dnia

chmary członków SS posłańcy z rozkazami, zarządzeniami, obwieszczeniami i nakazami przeniesienia, rozmaici Sturmanti, Rottenführerzy i Unterterscharführerzy z przeróżnymi sprawami z całego obozu. I oni zerkali pożądliwie na radio Emmi; było wśród nich co najmniej kilku takich, którzy ulegliby pokusie kradzieży. Ci także nie byłiby poza podejrzeniem. Ponieważ powód do częstych wizyt w gołębniku Hossa miało znacznie więcej żołnierzy niż więźniów, Zofii wydało się logicznym przypuszczenie, że tak zaufani domownicy jak ona mogliby, przynajmniej w pierwszej chwili, uniknąć podejrzeń, co ułatwiłoby pozbycie się łupu.

Najważniejszą sprawą, jak powiedziała poprzedniego dnia Bronkowi, jest teraz precyzja działania: ukryje radio pod pasiakiem, zbiegnie na dół i przekaże mu je w ciemnościach piwnicy. Broniek z kolei przetrzuci szybko maleńki odbiornik na zewnątrz, w ręce „kontaktu” poza bramą siedziby Hossa. W tym czasie w domu podniosą alarm. Przewrócą do góry nogami piwnicę. Broniek włączy się do poszukiwań: będzie kręcił się w pobliżu, snując różne przypuszczenia i wykazując przy tym gorliwość wstrętnego kolaboranta. Wścikłe poszukiwania i zamieszanie nie przyniosą rezultatu. Przestraszeni więźniowie uspokoją się stopniowo. Gdzieś tam w koszarach jakiś krostowaty Unterterscharführer, zdrętwiały z przerażenia, zostanie oskarżony o to zuchwałe przestępstwo. Jeszcze jeden pomniejszy triumf podziemia. A tu, w samym środku obozu, gromada mężczyzn i kobiet, nie bacząc na niebezpieczeństwo, tłoczy się w ciemnościach wokół drogocennej skrzyneczki i nasłuchuje odległych, stłumionych dźwięków poloneza Chopina, odezwow, dobrych wieści i życiodajnych słów otuchy.

Wiedziała, że musi działać szybko i zrobić to, bo inaczej będzie na zawsze przeklęta. Ruszyła więc chyłkiem, z bijącym sercem w stronę pokoju, starając się nie okazywać strachu, który przylgnął do niej jak zły duch. Dzielilo ją od celu parę kroków, ale zanim doń wśród wahań dotarła, tknęło ją przecucie, że popełniła jakiś straszny błąd taktyczny: w chwili gdy kładła rękę na chłodnej, plastikowej powierzchni, zapowiedź katastrofy wypełniła przestrzeń pokoju jak bezdźwięczny krzyk. Wspominała później kilkakrotnie, że dokładnie w momencie, gdy dotknęła upragnionego przedmiotu, uprzytomniając sobie jednocześnie swój błąd (nie wiadomo czemu kojarzyło się jej to z partią krokieta), dotarł do niej z zakamarków świadomości, niczym z odległego, letniego ogrodu, triumfującopogardliwy głos ojca: „Wszystko robisz nie tak”. Nie zdążyła się jeszcze nad tym zastanowić, gdy za jej plecami odezwał się inny głos; było to coś tak nieuchronnego, że nawet jej nie zaskoczyło, podobnie jak nie zaskoczył jej chłodny dydaktyzm, niemieckie poczucie *Ordnungu* w samym sformułowaniu: „Twoją sprawą jest latać w górę i w dół po schodach, ale w tym pokoju nie

masz żadnych spraw”. Zofia odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Emmi.

Dziewczynka stała przy drzwiach schowka na garderobę. Zofia nigdy jeszcze nie widziała jej z tak bliska. Miała na sobie jasnoniebieskie szorty ze sztucznego jedwabiu. Przedwcześnie jak na jedenastolatkę rozwinięte piersi wypychały staniczek w takim samym, spłowiałym kolorze. Twarz Emmi zwieńczona grzywką kędzierzawych, żółtych włosów była blada jak nie dopieczony herbatnik i zadziwiająco okrągła, rysy miała ładne i zarazem jakby zwyrodniałe. Ładniutki pulchny nosek, wydęte usta i wypukłe oczy w okrągłej oprawie twarzy robiły wrażenie namalowanych na... w pierwszej chwili Zofia pomyślała: na buzi lalki, potem - na baloniku. Gdyby przyjrzeć się jej dokładniej, można by dostrzec, że jest to nie tyle zepsucie, co... może jakaś embrionalna, mewykluta niewinność? Zofia patrzyła na nią oniemiała, myśląc: ojciec miał rację z tym moim partactwem, zawsze wszystko psuję; powinnam była najpierw zbadać sytuację. Zająknęła się, potem odzyskała mowę:

- Przepraszam, *gnädiges Fräulein*, ja tylko...

Ale Emmi przerwała jej:

- Nie próbuj się tłumaczyć. Wszedł tu, żeby ukraść radio. Wszystko widziałam. Widziałam, jak je brałaś. - Twarz Emmi nie wyrażała - być może nie. mogła wyrażać - żadnych uczuć. Dostojnym gestem, dziwnie kontrastującym z faktem, że jest półnaga, sięgnęła do szafy i wyciągnęła z niej biały, aksamitny szlafrok. Potem odwróciła się i powiedziała cierpkim, rzeczowym tonem: - Zawiadomię o tym ojca. On cię ukarze.

- Ja tylko chciałam je obejrzyć! - skłamała na poczekaniu Zofia. - Przysięgam! Przechodziłam tędy tyle razy. Nigdy nie widziałam takiego... takiego małego radia. Tak... tak sprytnego urządzenia! Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę gra. Chciałam tylko zobaczyć...

- Kłamiesz - powiedziała Emmi. - Chciałaś je ukraść. Widzę to po twoich oczach. Masz taką minę, jakbyś chciała je ukraść, a nie tylko dotknąć i obejrzyć.

- Proszę mi uwierzyć - Zofia czuła, że szloch narasta jej w gardle. Ogarnęło ją wielkie znużenie i ociężałość, nogi miała zlodowaciałe.

- Nigdy nie zabrałabym... - urwała, bo nagle przyszło jej do głowy, że to nieważne. Teraz, kiedy tak bezsensownie sfuszerowała robotę, nic już nie miało znaczenia. Ważne było tylko to, że jutro zobaczy swojego synka. I w jaki sposób Emmi jej przeszkodzi?

- Zabrałabyś je - upierała się dziewczynka. - Ono kosztuje siedemdziesiąt marek. Słuchałabyś sobie na nim muzyki w piwnicy. Jesteś brudna Polka, a Polaki to złodzieje. Moja mama mówi, że Polaki to gorsze złodzieje niż Cygany i jeszcze brudniejsze. - Zmarszczyła nos: - Śmierdzisz!

Zofii pociemniało w oczach. Z ust wyrwał jej się jęk. Czy to z powodu

niespodziewanego stresu, czy z głodu, z rozpacz, a może ze strachu. Bóg jeden wie, dlaczego jej miesiączka opóźniała się o co najmniej tydzień (zdarzyło jej się to w obozie już dwukrotnie), ale teraz w dół łądzwi spłynęła gwałtownie fala wilgotnego gorąca i chlusnęła z niej obficie krew. Jednocześnie pochłonęła ją rosnąca, niepowstrzymana powódź mroku. Zobaczyła jeszcze uwięzioną w tej ciemności twarz Emmi - księżycową plamę - i poczuła, że spada, spada... Ukołysana leniwymi falami czasu pogrzyżyła się w błogosławionym odrętwieniu; z tego stanu obojętności wytrącało ją odległe, narastające zawrozczenie, które wzbierało, potężniało, aż przeszło w potworny ryk. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że to ryk polarnego niedźwiedzia, ona zaś sama płynie na krze, chłostana lodowatym wiatrem. Nozdrza płonęły jej żywym ogniem.

- Obudź się - powiedziała Emmi. Woskowobiała twarz nachyliła się tak nisko, że Zofia czuła oddech dziewczynki na policzku. Uświadomiła sobie, że leży na wznak na podłodze, a Emmi przykucnęła obok, podtykając jej pod nos flakonik z amoniakiem. Przez szeroko otwarte okno napływało zimne powietrze. Ryk był wyciem obozowej syreny; słyszała, jak wybrzmiewa i zamiera gdzieś w oddali. Na wysokości jej oczu, obok gołego kolana Emmi stała niewielka, podręczna apteczka z zestawem pierwszej pomocy, ozdobiona zielonym krzyżem.

- Zemdląłeś - powiedziała dziewczynka. - Nie ruszaj się. Trzymaj przez chwilę głowę nisko, tak żeby napłynęła ci krew. Oddychaj głęboko. Zimne powietrze cię orzeźwi. Tymczasem leż nieruchomo. - Zofia wróciła przytomność; miała wrażenie, jakby grała w jakiejś sztuce, z której wypadł środkowy akt; czyż jeszcze przed chwilą (bo musiała to być chwila) Emmi nie piekliła się jak żołdak ze szturmowego batalionu i czy rzeczywiście to samo stworzenie zajmowało się nią teraz fachowo, okazując jeśli nawet nie anielskie, to po prostu zbliżone do ludzkiego współczucie? Czyżby jej omdlenie pobudziło w tej wywołującej lęk *Müdel* z nabrzmiałą twarzą płodu tłumiony dotąd odruch opiekuńczy? Wszystko się wyjaśniło, kiedy Zofia jęknęła i poruszyła się lekko.

- Masz leżeć spokojnie! - nakazała Emmi. - Ukończyłam kurs pierwszej pomocy dla klas młodszych z odznaczeniem. Rób, co ci każe, zrozumiano?

Zofia leżała spokojnie. Nie miała na sobie bielizny i zastanawiała się, czy plama krwi jest bardzo duża. Czuła, że pasiak przesiąkł na wskroś. Zaskoczona własnymi, dziwnymi w takich okolicznościach skrupułami, zastanawiała się też, czy nie pobrudziła nieskazitelnie czystej podłogi. Coś w zachowaniu dziewczynki potęgowało w niej poczucie bezradności; miała wrażenie, że jest jednocześnie pielęgnowana i karcona. Zaczęła sobie uprzytamniać, że Emmi ma ton głosu podobny do ojca, lodowaty i beznamiętny. A także przez swoją władczą,

rzeczą oficjalność tak absolutnie pozbawiony jakiegokolwiek cieplejszej nutki, że przypominała z tym swoim nieustannym terkotaniem (teraz trzepała Zofię po policzkach, twierdząc, że według poradnika pierwszej pomocy takie intensywne klepanie skutecznie cuci ofiarę *die Synkope*, jak konsekwentnie, z medyczną precyzją, określała omdlenie) jakiegoś małego Obersturmbann - fihrera, kwintesencję jakby zakodowanego w genach esesmań - skiego ducha - istne jego wcielenie.

W końcu huraganowa seria klepień przywróciła widocznie policzkom Zofii zadowalającą różowość, więc dziewczynka poleciła swej pacjentce usiąść prosto i oprzeć się plecami o łóżko. Zofia wykonała polecenie, błogosławiąc los, że zemdlą w odpowiednim momencie. Kiedy bowiem patrzyła w sufit rozszerzonymi źrenicami, które powracały z wolna do normalnego stanu, zauważyła, że stojąca nad nią Emmi przygląda się jej z pewną życzliwością, a w każdym razie z wyrozumiałym zaciekawieniem, jak gdyby cała wściekłość na Zofię, Polkę i do tego złodziejkę, wyparowała z niej nagle; pielęgniarskie czynności podziały na nią najwidoczniej katartycznie, zaspokajając żądzę władzy w stopniu, jaki usatysfakcjonowałyby najbardziej sfrustrowanego, esesmańskiego karła. Teraz przybrała z powrotem wygląd pulchnej, zaokrąglonej dziewczuszki.

- Jedno jest pewne - mruknęła. - Jesteś bardzo ładna. Wilhelmina mówi, że musisz być Szwedką.

- Powiedz mi - rzekła Zofia łagodnie i pokornie, z bezwiednym zaśpiewem - co to za naszywka na tym płaszczu kąpielowym? Jest bardzo ładna.

- To oznaka mistrzyni w pływaniu. Zdobyłam mistrzostwo klasy. W grupie początkujących. Miałam wtedy dopiero osiem lat. Szkoda, że tu nie ma zawodów pływackich. Jest wojna. Musiałabym pływać w Sole, a nie lubię. Jest strasznie zamulona. Byłam bardzo szybka w tych zawodach dla początkujących.

- Gdzie to było, Emmi?

- W Dachau. Mieliśmy tam piękny basen dla dzieci z garnizonu. Nawet podgrzewany. Ale to było, zanim nas przenieśli. W Dachau było o wiele ładniej niż w Auschwitz. No, ale to jest w Reichu. Obejrzyj sobie moje puchary. Na przykład ten duży, w środku. Wręczał mi go sam Wódz Młodzieży Reichu, Baldur von Schirach. Pokażę ci moją kronikę.

Sięgnęła do szuflady serwantki, wyciągnęła stamtąd opasły album, wsadziła go sobie pod pachę i, siejąc fotografiami i wycinkami, zataszczyła do Zofii; po drodze zatrzymała się, żeby włączyć radio. Trzaski i gwizdy wypełniły powietrze. Dostroiła odbiornik i zakłócenia znikły, a w ich miejsce pojawił się odległy, przyciszony chór trąbek i rogów, triumfalny,

zwycięski, Haen - dowski: dreszcz przebiegł Zofii przez plecy jak lodowate błogosławieństwo.

- *Das bin ich* - zaczęła trajkotać w kółko Emmi, wskazując palcem na kolejne zdjęcia, na których powtarzało się w nieskończoność uchwycone w serii identycznych póz jej niedojrzałe, tłuste i białe jak ser ciało, opięte kostiumem kąpielowym. Czy w Dachau nigdy me świeci słońce? - zastanawiała się Zofia, którą zaczęła ogarniać rozpaczliwa, mdląca senność. - *Das bin ich... und das bin ich* - ciągnęła Emmi z charakterystyczną dziecięcą monotonią, dziobiąc w fotografie pulchnym kciukiem, a mamrotane półgłosem niczym w transie „ja, ja, ja” brzmiało jak odprawianie czarów. - Zaczęłam się też uczyć nurkowania oznajmiła. - O, popatrz, to ja.

Zofia przestała patrzeć na zdjęcia - wszystko zlewało się w bezkształtną plamę - i powędrowała wzrokiem ku szeroko otwartemu oknu, za którym na październikowym niebie rozblęła pierwsza gwiazda, jasna i czysta jak okruch kryształu. Jakiś niepokój wiszący w powietrzu, zmętnienie światła wokół planety zapowiadały natarcie dymu, przygniatanego do ziemi cyrkulacją chłodnego, wieczornego wiatru. Po raz pierwszy od rana Zofia poczuła natarczywy jak ręka dusiciela odór palonych ludzi. Brzezinka pożerała ostatnich przybyszów z Grecji. Fanfary! Triumfalna hymnodia blachy napływała z eteru, rozbrzmiewając hosannami, beczaniem baranów, anielskim zwiastowaniem, i kazała Zofii myśleć o wszystkich jeszcze nie narodzonych porankach jej życia. Rozplakała się i powiedziała półgłosem:

- W każdym razie jutro zobaczę Janka. Chociaż to...

- Czemu płaczesz? - zapytała ostro Emmi.

- Nie wiem - odpowiedziała. I już miała dodać: „Bo mam synka w Obozie D. Bo twój ojciec pozwoli mi go jutro zobaczyć. Mój synek jest tylko trochę młodszy od ciebie”. Ale zanim zdążyła to powiedzieć, dźwięki trąbek urwały się nagle i w radiu rozległ się głos spikera: *Ici Londres!* Wsłuchiwała się w ten głos, odległy, jakby docierał do niej przez jakąś zasłonę, lecz chwilami wyraźny; program adresowany był do Francuzów, ale dotarł aż tu, prawie do Karpat, by można było go usłyszeć w przedwieczornej ciszy tego *anus mundi*. Błogosławiła nieznanego spikera jak ukochanego, porwana wartkim potokiem słów: *L'Italie a declare qu'un état de guerre existe contre l'Allemagne...* Choć nie pojmowała dokładnie, w czym rzecz, instynkt, a także nuta uniesienia, dająca się wyczuć w głosie z Londynu, podpowiadały jej, że słowa te (najwidoczniej dla Emmi niezrozumiałe) zwiastują Rzeszy prawdziwą katastrofę. To, że poniosły klęskę Włochy, nie było ważne. Zofia miała wrażenie, jakby usłyszała zapowiedź pewnej i ostatecznej klęski Hitlera. Kiedy wytężyła słuch, by nie

uronić słów zanikających wśród zakłóceń, łzy ciągle płynęły jej z oczu; zdawała sobie sprawę, że owszem, płacze z żalu nad Jankiem, ale także nad czym innym, głównie nad sobą samą, nad tym, że nie udało się jej ukraść radia, i nad tym, że z pewnością nigdy nie zdobędzie się na odwagę, by ponowić próbę kradzieży. Poddane najsurowszej próbie macierzyńskie uczucia, które Wanda przed paroma zaledwie miesiącami uznała za tak egoistyczne i niemoralne, były czymś, czego nie potrafiła przezwyciężyć więc płakała jak dziecko, wstydząc się swojej dezercji. Zakryła oczy drżącymi dłońmi. - Płacę, bo jestem bardzo głodna powiedziała stłumionym głosem i było to, przynajmniej częściowo, prawdą.

Swąd stawał się coraz bardziej intensywny. Nad horyzontem gorzała luna. Emmi podeszła do okna, aby je zamknąć z powodu zimna albo morowego powietrza, bądź z obu powodów naraz. Odprowadzając ją wzrokiem, Zofia dostrzegła na ścianie makatkę (z haftem równie barokowym, jak wypisana po niemiecku sentencja) w politurowanej, ozdobionej zawijaszami, sosnowej ramce.

Tak jak Bóg Ojciec na Niebiesiech zbawił człowieka od grzechu, i mąk piekielnych, tak Hitler uchronił niemiecki Naród od zguby.

Okno zamknęło się z trzaskiem.

- To smród z palonych Żydów - powiedziała Emmi, odwracając się do niej. - Zresztą pewnie wiesz. Tu w domu nie wolno o tym mówić, ale ty - ty jesteś zwykłą więźniarką. Żydzi to wróg numer jeden naszego narodu. Ułożyłyśmy z moją siostrą Ifigenią wierszyk o Żydkach. Zaczyna się tak: ***Der Itzig...***

Zofia stłumiła krzyk i zakryła twarz dłońmi.

- Emmi, Emmi - wyszeptwała. W ciemnościach nawiedziła ją znów obłędna wizja dziewczynki jako płodu, wzrostu dorosłego człowieka, gigantycznego, odmóżdżonego Lewiatana, niewzruszenie i bezgłośnie prującego nieogarnione, czarne fale Dachau i Oświęcimia. - Emmi, Emmi - zdołała wykrztusić.

- Skąd w tym pokoju imię Boga?

I to, jak opowiadała później, była jedna z jej ostatnich myśli poświęconych Bogu.

Od tej nocy, ostatniej w domu komendanta, Zofia spędziła w Oświęcimiu jeszcze prawie piętnaście miesięcy. Jak już wspomniałem, z powodu jej powściągliwości ów okres pozostał dla mnie (i pozostaje do dziś) białą plamą. Ale pewne rzeczy mogę stwierdzić z całą pewnością. Kiedy opuściła dom Hossa, udało jej się powrócić do pracy tłumaczki i maszynistki w zespole stenotypistek i w ten sposób pozostać w nielicznej grupce stosunkowo uprzywilejowanych. Tak więc chociaż wiodła żywot nędzny i często cierpiała głód, przez dłuższy czas udawało jej się unikać powolnej i nieuchronnej śmierci, losu nieprzebranych

rzysz więźniów. Dopiero w ciągu ostatnich pięciu miesięcy, kiedy armia radziecka zbliżała się od Wschodu i w obozie następowało stopniowe rozprzężenie, Zofia doznała najgorszych cierpień fizycznych. Wtedy właśnie przeniesiono ją do obozu kobiecego, do Brzezinki, i wtedy zaczął się okres potwornego głodu i chorób, które omal jej nie zabiły.

W ciągu tego długiego czasu niemal zupełnie nie nękały jej i nie nawiedzały przyływy seksualnych pragnień. Przyczyniały się do tego z pewnością, zwłaszcza podczas wielu miesięcy potwornej wegetacji w Brzezince, choroba i osłabienie, ale Zofia wiedziała, że ów stan ma również podłoże psychologiczne; wszechobecny odór śmierci sprawiał, że wszelkie popędy płciowe wydawały się tu czymś ohydny, czystą parodią i, jak to bywa przy ciężkiej chorobie, ulegały całkowitemu stępieniu. Tak przynajmniej reagowała ona; jak mi mówiła, często zastanawiała się wtedy, czy to nie ten kompletny brak miłosnych pragnień sprawił, że sen, jaki nawiedził ją ostatniej nocy w domu komendanta, nabrał tak wyrazistych konturów. A być może to właśnie ów sen przyczynił się do stłumienia wszelkich popędów. Jak większość ludzi, Zofia rzadko zapamiętywała sny z całym bogactwem i ostrością znaczących szczegółów, ale ten był tak namiętnie, niedwuznacznie i rozkosznie erotyczny, tak bluźnierczy i przerażający, a zarazem pamiętny, że nawet po latach skłonna była twierdzić (z pewną dozą rozbawienia, na które pozwalał dystans czasowy), iż sam w sobie mógł ją zniechęcić do myślenia o seksie, nawet gdyby nie gnębiła jej choroba i śmiertelna rozpacz...

Po wyjściu z pokoju Emmi zeszła na dół i rzuciła się na swe legowisko.

Prawie natychmiast zapadła w sen, przez moment tylko ciesząc się myślą o nadchodzącym dniu, kiedy wreszcie zobaczy swego syna. Już po chwili spacerowała samotnie po plaży - plaży, jak to w snach, zarazem znajomej i obcej. Było to piaszczyste wybrzeże Bałtyku i coś podpowiadało jej, że znajduje się w Szlezwik - - Holsztynie. Z prawej strony rozciągały się płytkie, smagane wiatrem wody Zatoki Kilońskiej upstrzone żaglowcami, z lewej, kiedy zmierzała na północ, w kierunku odległych pustkowi wybrzeża Danii, wznosiły się wydmy, za którymi szumił w słońcu południa sosnowy, wiecznie zielony las. Chociaż była ubrana, czuła się jak naga, jakby okrywała ją jedynie jakaś kusząco przejrzysta tkanina. Czuła, że bezwstydnie prowokuje, wiedziała, że widoczne pod przezroczystą spódniczką kołyszące się pośladki przyciągają wzrok plażowiczów ukrytych pod parasolami. Wkrótce pozostawiła ich za sobą. Minęła miejsce, gdzie ścieżka biegnąca wśród bagiennych traw krzyżowała się z plażą, i uświadomiła sobie, że idzie za nią jakiś mężczyzna ze wzrokiem utkwionym w jej rozkołysane biodra, którymi kręciła przesadnie, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego przymusu. Mężczyzna zrównał się z nią, zajrzał jej w twarz, a ona odwzajemniła spojrzenie. Nie mogła go rozpoznać: był w średnim wieku, miał twarz

pogodną, jasną, bardzo niemiecką, pociągającą nie, bardziej niż pociągającą, Zofia dosłownie omdlewała z pożądania. Ale on sam? Kim był? Próbowała sobie rozpaczliwie przypomnieć (głos, jakże znajomy, mruknął: *Guten Tag*) i w nagłym przeblysku rozpoznała w nim słynnego śpiewaka, *Helden - tenora* Opery Berlińskiej. Uśmiechnął się do niej olśniewająco białymi zębami, pogłaskał po pośladkach, wypowiedział kilka ledwie zrozumiałych, a zarazem beczelnie lubieżnych słów i zniknął. Zofia poczuła zapach ciepłej bryzy.

Stała w progu kaplicy na wydmie, skąd rozciągał się widok na morze. Nie widziała go, ale wyczuwała jego obecność. Kaplica była widna, słoneczna, dwa rzędy prostych, drewnianych ławek ciągnęły się po obu stronach głównej nawy; nad ołtarzem wisiał krzyż z surowego, sosnowego drewna, wręcz prymitywny przez brak ozdób i kanciastość. Górując groźnie nad całą resztą, przykuwał uwagę Zofii, która teraz ruszyła w głąb kaplicy trawiona gorączką pożądania. Z jej ust wydobył się chichot. Dlaczego? Dlaczego zachichotała, gdy tę małą kaplicę wypełnił nagle pełen skargi kontralt i dźwięki tragicznej kantaty *Schlage doch gewünschte Stunde?* Stała przed ołtarzem naga; muzyka sącząca się z jakiegoś dalekiego, a jednocześnie bliskiego źródła spowijała jej ciało jak błogosławieństwo. Znowu zachichotała. Mężczyzna z plaży pojawił się ponownie. Był nagi, ale i teraz nie mogła przypomnieć sobie jego imienia. Już się nie uśmiechał; twarz wykrzywił mu morderczy grymas i to piętno groźby na jego obliczu podniecało ją, jeszcze bardziej rozpałało żądzę. Surowym głosem nakazał jej spojrzeć w dół. Jego penis był nabrzmiąły i wyprężony. Teraz mężczyzna kazał jej uklęknąć i ssać. Padła na kolana ogarnięta szalonym, nienasyconym pożądaniem i ściągnęła mu napletek, odsłaniając ciemnosiną żołądz w kształcie łopaty, tak olbrzymią, iż była pewna, że nie zdoła objąć jej wargami. A jednak udało jej się to; ogarnęła ją dławiąca, obezwładniająca rozkosz - ta rozkosz i dźwięki bachowskich kurantów przenikniętych tonacją śmierci i czasu przejmowały ją dreszczem. *Schlage doch, gewünschte Stunde!* Odepchnął ją od swego podbrzusza, po czym kazał jej się odwrócić i uklęknąć na ołtarzu, pod ujętym w formę krzyża prostym symbolem Męki Pańskiej, bielejącym niby naga kość. Wykonała polecenie, odwróciła się i opadła na czworaka. Rozległ się stukot kopyt o posadzkę, poczuła dym; okrzyk rozkoszy wydarł się jej z ust, kiedy włochate podbrzusze i lędźwie zaczęły trzeć o nagie pośladki, a potem przywarły do nich ciasno jak obcisłe ubranie i oszalały tłok wdarł się od tyłu do jej pochwy, przeszywając ją bez końca głębokimi sztychami.

Resztki snu bląkały się jeszcze w jej świadomości, kiedy parę godzin później Broniek obudził ją przynosząc rondel z jakąś breją.

- Czekałem na ciebie wieczorem, ale nie przyszłaś - powiedział.
- Czekałem, jak długo mogłem, ale zrobiło się późno. Człowiek spod bramy

musiał iść. Co z tym radiem? - Mówił przyciszonym głosem, reszta jeszcze spała.

Ten sen! Nie mogła usunąć go z pamięci nawet po tylu godzinach. Potrząsnęła głową w oszołomieniu. Bronek powtórzył pytanie.

- Pomóż mi, Bronek - powiedziała bezdźwięcznym głosem, patrząc na jego drobną postać.

- Jak to - pomóż?

- Widziałam kogoś... strasznego. - Uświadomiła sobie, że to, co mówi, nie ma sensu. - Chciałam powiedzieć, że jestem strasznie głodna.

- Masz, zjedz to - rzekł Bronek. - Resztki potrawy z królika. Mnóstwo mięsa.

Breja była oślizła, tłusta i zimna, ale Zofia pochłaniała ją żarłocznie, patrząc jednocześnie, jak biust śpiącej obok Lotte unosi się i opada w ciężkim oddechu. Pomiędzy jednym kęsem a drugim poinformowała Bronka, że odchodzi.

- Chryste, jaka byłam głodna od wczoraj - wymamrotała.

- Dziękuję ci, Bronek.

- Czekałem - powtórzył. - Co się stało?

- Drzwi były zamknięte - skłamała. - Próbowałam się tam dostać, ale było zamknięte na klucz.

- I dziś wracasz do baraków. Będzie mi ciebie brak, Zosiu.

- Mnie ciebie też.

- Może uda ci się jeszcze ukraść to radio. Oczywiście, jeżeli będziesz musiała iść na poddasze. Mogę je jeszcze przekazać dziś po południu, przeszmyglować za bramę.

Dlaczego ten debil się nie zamknie? Koniec z tym radiem koniec! Przedtem mogła z łatwością uniknąć podejrzeń, ale nie teraz. Gdyby radio zniknęło dzisiaj, ten okropny bachor wygadałby z pewnością wszystko o jej wczorajszej wizycie. Wszelkie sprawy związane z radiem należało wykluczyć, zwłaszcza dziś, kiedy przepełniała ją elektryzująca nadzieja, że zobaczy się z Jankiem, że wreszcie dojdzie do tego spotkania, którego wyglądała tak chciwie, w tak nieprawdopodobnym napięciu. Powtórzyła więc swoje kłamstwo.

- Musimy zapomnieć o tym radiu, Bronek. Nie ma sposobu, żeby je wynieść. Ten mały potwór zamyka drzwi na klucz.

- W porządku - powiedział Bronek. - Ale gdyby się coś zdarzyło... gdybyś je wyniosła, szybko mi przekaz. Tu, do piwnicy. - Zachichotał głupawo. - Rudi nigdy nie będzie mnie podejrzewał. Wydaje mu się, że ma mnie w kieszeni. Myśli, że jestem upośledzony umysłowo. - W półmroku przedświtu pełna wyszczerbionych pieńków czeluść jego ust rozciągnęła się w zagadkowym uśmiechu.

Zofia żywiła jakąś niejasną, mętną wiarę w przepowiednie i jasnowidztwo (kilka razy udało jej się przeczuć bieg wypadków), chociaż nie uważała tego za zjawisko nadprzyrodzone. Jakkolwiek początkowo, dopóki jej tego nie wyperswadowałem, skłonna była do takich mistycznych interpretacji, potem jakaś wewnętrzna logika przekonała nas oboje, że momenty wyostrejzonej intuicji były pochodną zupełnie naturalnych przesłanek, pewnych sytuacji, które kodowała pamięć lub - w stanie uśpienia - ukrywała w swych zakamarkach podświadomość. Na przykład jej sen.

Fakt, że kochankiem z jej sennego marzenia był mężczyzna, którego w końcu zidentyfikowała jako Waltera Diirrfelda i że śniła o nim na dobę przed tym, nim zobaczyła go po sześciu latach na własne oczy, można było tłumaczyć tylko w kategoriach metafizycznych. Inaczej nie mieściło się jej wprost w głowie, by ten uroczy, czarujący gość, który tak ją urzekł podczas wizyty w Krakowie, mógł pojawić się we własnej osobie w parę zaledwie godzin po takim śnie (jako doskonała kopia postaci z marzenia sennego), tym bardziej że w ciągu sześciu lat nie poświęciła mu jednej myśli ani nawet nie wymówiła jego imienia.

Ale czy rzeczywiście tak było? Później, kiedy porządkowała swe wspomnienia, uświadomiła sobie, że jednak nazwisko jego pojawiało się i to nieraz. Ile razy słyszała, jak Rudolf Hoss rozkazywał Schefflerowi, by połączył go z *Hen* Diirrfeldem z zakładów Buna, nie kojarząc nazwiska rozmówcy (rejestrowała je tylko podświadomie) z obiektem swej romantycznej fascynacji sprzed lat? Z pewnością kilkanaście. Hoss zaczynał i kończył pracę rozmową z człowiekiem o tym nazwisku. Ponadto figurowało ono na honorowym miejscu w papierach i okólnikach, które komendant od czasu do czasu przeglądał. Ostatecznie zatem, po przeanalizowaniu tych przesłanek, można było bez trudu wyjaśnić rolę Waltera Diirrfelda jako bohatera przerażającego, lecz zarazem wspaniałego *Liebstraumu* Zofii. Nietrudno też zrozumieć, dlaczego jej kochanek ze snu z taką łatwością przeobraził się w diabła.

Głos, który usłyszała tego ranka z przedsionka biura na poddaszu, był głosem mężczyzny ze snu. Nie weszła do gabinetu od razu, jak to czyniła co rano od dziesięciu dni, choć płonęła wprost pragnieniem, by wtargnąć do środka i chwycić dziecko w ramiona. Adiutant Hossa, najwidoczniej poinformowany o jej nowym statusie, rozkazał szorstko, by czekała na zewnątrz. Wtedy ogarnęły ją nagle straszliwe wątpliwości. Czy to możliwe, żeby chłopiec był w biurze i przysłuchiwał się tej dziwnej, głośniejszej wymianie zdań pomiędzy Hossem a człowiekiem o głosie mężczyzny z jej snu? Skręcała się pod spojrzeniem Schefflera, wnioskując z jego lodowatych manier, że straciła uprzywilejowaną pozycję; była znów tylko zwykłą więźniarką, najędźniejszą z nędznych istotą. Wyczuwała jego wrogość, ukryte zimne szyderstwo. Utkwiła wzrok w portrecie Goebbelsa zdobiącym ścianę i wtedy

przed oczami jej wyobraźni pojawił się dziwny obraz: oto Janek stoi pomiędzy Hossem a tym drugim i spogląda na nich z dołu - to na komendanta, to na przybysza o tak zdumiewająco znajomym głosie. Nagle, niczym akord wydobyty z basowych piszczałek organów, pojawił się głos z przeszłości: Możemy odwiedzić wszystkie wielkie świątynie muzyki. Spazmatycznie wciągnęła powietrze, rejestrując mimochodem gwałtowną reakcję adiutanta przestraszonego tym zdławionym dźwiękiem. Zachwiała się jak uderzona w twarz: teraz rozpoznała ten głos! Wymówiła szeptem nazwisko mówiącego i w ułamku sekundy ten październikowy dzień i tamto popołudnie w Krakowie stopiły się w jedno.

- To prawda, Rudi, że odpowiadasz przed władzami - mówił Walter Durrfeld. - Doceniam też wagę twojego problemu. Ale ja także jestem odpowiedzialny, a więc nie widzę sposobu, by go rozwiązać. Ty masz nad sobą zwierzchników, którzy obserwują twoje poczynania, ale w końcu ja mam swoich akcjonariuszy. Jestem odpowiedzialny wobec władz korporacji, które w tej chwili naciskają na jedno: żeby mi dostarczono więcej Żydów do utrzymania produkcji na zaplanowanym poziomie. Nie tylko w zakładach Buny, ale także w moich kopalniach. Ten węgiel jest dla nas niezbędny! Jak dotychczas dzięki Bogu udaje się nam jakoś utrzymać w czołówce. Ale wszelkie dostępne statystyki i zestawienia danych są... wyglądają groźnie, delikatnie mówiąc. Ja muszę mieć tych Żydów!

Głos Hossa był początkowo stłumiony, ale jego odpowiedź zabrzmiała wyraźnie:

- Nie mogę zmuszać Reichsführera do podejmowania takich decyzji. Wiesz o tym. Mogę tylko prosić o pewne wskazówki, podsuwać sugestie. Ale wydaje się, że on z jakichś powodów nie może się zdecydować, co robić z tymi Żydami.

- A ty osobiście uważasz, że...

- Ja osobiście uważam, że do pracy w zakładach Buna i kopalniach Farben powinno się wyselekcjonować wyłącznie silnych i zdrowych Żydów. Chorzy Żydzi to tylko rujnujące finansowo pijawki na ciele opieki zdrowotnej. Ale moje osobiste zdanie w tej sprawie się nie liczy. Musimy czekać na decyzję.

- Czy nie mógłbyś trochę przynaglić Himmlera? - W głosie Durrfelda pojawiła się nuta zniecierpliwienia. - Jako twój przyjaciel... - urwał.

- Mówię ci, że mogę tylko sugerować pewne rozwiązania odpowiedział Hoss. - A chyba wiesz, jakie mogą być moje sugestie. Rozumiem twój punkt widzenia, Walter, i nie mam ci za złe, że widzisz te sprawy inaczej niż ja. Chcesz za wszelką cenę zdobyć siłę roboczą. Nawet sędziwy, wycieńczony starzec może wytworzyć pewną ilość energii cieplnej...

- Otóż to! I tylko o to proszę na początek. Na okres próbny, powiedzmy na sześć

miesiący, żebym mógł się przekonać, jak można wykorzystać Żydów, którzy teraz podlegają... - znów urwał, jakby zawahał się przed użyciem właściwego słowa.

- Akcji Specjalnej - dokończył Hoss. - W tym tkwi sedno sprawy, czy ty tego nie rozumiesz? Himmlera naciska z jednej strony Eichmann, z drugiej Pohl i Maurer. To sprawa wyboru między wymogami bezpieczeństwa a zapotrzebowaniem na siłę roboczą. Eichmann życzy sobie, żeby ze względów bezpieczeństwa wszyscy Żydzi, niezależnie od wieku i stanu fizycznego poszczególnych jednostek, podlegali Akcji Specjalnej. Nie oszczędziłby nawet żydowskiego zapaśnika w doskonałej kondycji, gdyby się taki trafił. To oczywiste, że idea rozbudowy urządzeń Brzezinki miała służyć tej polityce. Ale zobacz sam, co się stało! Reichsführer musiał skorygować swoje pierwotne rozporządzenia w sprawie Akcji Specjalnej obejmującej wszystkich Żydów - bez wątpienia pod naciskiem Pohla i Maurera - żeby zaspokoić zapotrzebowanie na siłę roboczą, nie tylko w fabrykach Buny, ale w kopalniach i całym przemyśle zbrojeniowym zaopatrywanym w nią przez ten oddział. W rezultacie powstało głębokie pęknięcie przez sam środek. Rozdwojenie... No wiesz, o co mi chodzi... jakże się to nazywa? Takie dziwne słowo, termin z psychologii, który oznacza...

- ***Die Schizophrenie.***

- O, właśnie - powiedział Hoss. - Ten psychiatra z Wiednia, uciekło mi nazwisko...

- Sigmund Freud.

Zapadła cisza. Podczas tej krótkiej przerwy Zofia, wstrzymując oddech, koncentrowała się na obrazie Janka; widziała, jak stoi z rozchylonymi lekko ustami, z zadartym nosem, i wodzi niebieskimi oczami od komendanta (zgodnie ze swym zwyczajem przechadzającego się niestrudzenie po pokoju) do bezcielesnego posiadacza barytonu - już nie diabolicznego napastnika z jej snu, lecz po prostu zapamiętanego z Krakowa gościa, który mamił ją obietnicami podróży do Lipska, Hamburga, Bayreuth, Bonn. „Wygląda pani tak młodo! - usłyszała ten sam głos. - Jak dziewczynka!” I jeszcze: „Jestem przywiązany do rodziny”. Tak bardzo pragnęła zobaczyć Janka, tak oszalała ją perspektywa spotkania (jak wspominała, zapierało jej wprost dech), że ciekawość, jak wygląda teraz Walter Diirrfeld, na krótko tylko zagościła w jej myślach, by natychmiast ustąpić całkowitej obojętności. Jednakże coś w tym głosie - jakiś pośpiech, stanowczość - mówiło, że za chwilę go zobaczy, a ostatnie słowa skierowane do komendanta - ze wszystkimi niuansami tonu i znaczenia - wryły się jej w pamięć z dokładnością archiwalnego zapisu na płycie gramofonowej, zapisu, który nigdy nie ulegnie zatarciu.

Wyczuwało się w nich ślad rozbawienia. Wypowiedział w końcu słowo, przed którym

wcześniej się wzdragał:

- Obaj wiemy, że tak czy inaczej czeka ich śmierć. No dobrze, dajmy temu na razie spokój. Ci Żydzi wpędzają nas wszystkich w schizofrenię, a zwłaszcza mnie. Ale czy uważasz, że kiedy dojdzie do załamania produkcji, będę się mógł tłumaczyć chorobą - to znaczy schizofrenią - przed moją radą nadzorczą? Nonsens!

Hoss odpowiedział coś naprędce, bardzo niewyraźnie, na co Durrfeld wyraził grzecznie nadzieję, że będą jeszcze mogli porozmawiać jutro. W chwilę później, kiedy otarł się o nią w ciasnym przedśionku, najwidoczniej nie rozpoznał Zofii w tej bladej Polce w poplamionym pasiaku, ale ponieważ potrącił ją niechcący, powiedział: *Bitte!* z odruchową uprzejmością i tym samym gładkim tonem, jaki zapamiętała z Krakowa. Wyglądał jednak jak groteskowa karykatura tamtej romantycznej postaci. Twarz miał obrzmiałą, brzuszek zaokrąglony jak u wieprzka, a kiedy wkładał na głowę szary homburg podany usłudźnie przez Schefflera, zauważyła, że te smukłe palce, które kreśląc w powietrzu arabeski tak ją sześć lat temu podekscytowały, wyglądają teraz jak gumowe, serdelkowe kikuty.

- I co w końcu stało się z Jankiem? - zapytałem. Czułem, że muszę się tego dowiedzieć. Ze wszystkiego, o czym opowiadała, sprawa nie znanego mi losu Janka nurtowała mnie najbardziej. (Dziwną, rzuconą mimochodem informację o śmierci Ewy prawdopodobnie tylko zarejestrowałem i natychmiast zepchnąłem na drugi plan świadomości.) Zaczęłem też dostrzegać, że Zofia z uporem omijała te partie swej historii, krążyła wokół nich niezdecydowana, jak gdyby sprawa była zbyt bolesna, by jej dotykać. Zawstydzala mnie nieco moja niecierpliwość; za nic nie chciałem się wdzierać na siłę w te delikatne jak pajęczyna rejony jej wspomnień, ale jednocześnie wyczuwałem intuicyjnie, że ona sama jest bliska ujawnienia tajemnicy, więc zachęcałem ją do dalszych zwierzeń najogólniej, jak mogłem. Był późny niedzielny wieczór - od nieszczęsnego epizodu na plaży upłynęło wiele godzin. Siedzieliśmy przy barze w Maple Court. Zbliżała się północ i parny, męczący Dzień Pański dobiegał końca, byliśmy więc prawie sami w przepastnym wnętrzu lokalu. Zofia nie piła; poprzestaliśmy oboje na SevenUp. Podczas tej długiej sesji usta niemal jej się nie zamykały, ale w pewnej chwili spojrzała na zegarek i napomknęła, że pora chyba wracać do Różowego Pałacu i iść spać.

- Muszę przewieźć rzeczy do nowego mieszkania, Stingo powiedziała. - Powinnam to zrobić jutro rano i wrócić do Blackstocka. *Mon Dieu*, ciągle zapominam, że jestem człowiekiem pracy. - Zaczęła przyglądać się w zadumie drogocennemu, roziskrzonemu zegarkowi, który podarował jej Natan; twarz miała wymizierowaną i zmęczoną. Była to omega z czterema maleńkimi brylancikami na tarczy. Nie miałem pojęcia,

ile to cacko mogło kosztować. Zofia, jak gdyby czytając w moich myślach, rzekła: - Naprawdę nie powinnam zatrzymywać tych kosztowności od Natana. - W jej głosie pojawiła się znów nuta smutku, różna i może nawet głębsza od tonu, który zabarwiał wspomnienia obozowe. - Powinnam je chyba rozdać czy co, bo nigdy się już z nim nie spotkam.

- Dlaczego ich nie zatrzymasz? - zapytałem. - Przecież dał ci je, do licha! Zachowaj je dla siebie!

- Będą mi go ciągle przypominać - odpowiedziała znużonym głosem. - Ja go wciąż kocham.

- No to sprzedaj je - powiedziałem lekko zirytowany. - Zasłużył sobie na to. Oddaj je do lombardu.

- Nie mów tak, Stingo - powiedziała łagodnie. A potem dodała: - Kiedyś przekonasz się, co to znaczy kochać. - Ponura słowiańska wróżba, okropne trucie.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, przy czym ja rozmyślałem nad kompletnym brakiem wycucia ujawnionym w tym ostatnim stwierdzeniu, które - pominiawszy już to, że truła - tak bezmyślnie zaadresowała akurat do mnie, beznadziejnie zakochanego głupca. Przeklinałem ją w duchu z całą mocą swego absurdalnego uczucia. Nagle wróciłem do rzeczywistości: nie byłem już w Polsce, lecz w Brooklynie. Nie dość, że cierpiałem męki z powodu Zofii, to jeszcze skręcałem się wewnętrznie w ataku okropnej chandry. Obsesyjnie pograżałem się w samo - udreće. Pochłonięty bez reszty opowieścią Zofii, całkowicie wymazałem z pamięci niezaprzeczalny fakt, że w wyniku wczorajszej kradzieży zostałem właściwie bez środków do życia. To, łącznie z perspektywą rychłej wyprowadzki Zofii z Różowego Pałacu - a w konsekwencji samotnej wegetacji i tułaczki po Flatbush bez grosza przy duszy i z fragmentami nie dokończonych powieści pod pachą - przepełniało mnie czarną rozpaczą. Samotność, jakiej będę musiał stawić czoło bez Zofii i Natana, przerażała mnie przy tym bardziej niż brak pieniędzy.

Siedziałem więc i aż skręcałem się wewnętrznie, spoglądając na zamyśloną, chmurną twarz Zofii. Przybrała tę pełną zadumy pozę, którą tak dobrze znałem - stulone dłonie przy skroniach w geście wyrażającym jakieś trudne do jednoznacznego określenia emocje (o czym ona może teraz myśleć? - zastanawiałem się): zakłopotanie, oszołomienie, groza wydarzeń z przeszłości, przeżywany od nowa ból, gniew, nienawiść, poczucie straty, miłość, rezygnacja - wszystko to splotło się w jednej chwili w jakiś ponury węzeł. Potem zniknęło. Wiedzieliśmy jednak oboje, że luźne, nie dokończone wątki jej opowieści, bliskiej niewątpliwie konkluzji, domagają się powiązania. Byłem także świadom tego, że wzbierający w ciągu całego wieczoru strumień wspomnień bynajmniej nie traci impetu i że mimo znużenia Zofii,

wewnętrzny imperatyw skłania ją do wyczerpania resztek przerażających i niepojętych zdarzeń z przeszłości aż do samego dna.

A jednak jakieś tajemnicze skrupuły zdawały się ją powstrzymywać przed bezpośrednim podjęciem tematu losów syna i kiedy raz jeszcze powtórzyłem: - A co z Jankiem? - zamyśliła się przez moment, a potem rzekła:

- Tak się wstydzę tego, co zrobiłam, Stingo. Tego, że tak wypłynęłam w ocean. Naraziłam cię na straszne ryzyko - to okropne z mojej strony, naprawdę okropne. Musisz mi wybaczyć. Ale skłamałabym, gdybym ci powiedziała, że nie myślałam od czasu wojny o tym, żeby się zabić. To się pojawiało i znikało regularnie. Próbowałam się zabić zaraz po zakończeniu wojny, kiedy byłam w ośrodku dla dipisów w Szwecji. Tak jak w tym śnie, który ci opowiadałam, tym o kaplicy, miałam obsesję na punkcie *le blaspheme*. Niedaleko ośrodka był mały kościółek, chyba nie katolicki, pewnie luterański, ale to nieważne. Obmyśliłam sobie, że zabiję się w tym kościółku, że to będzie największe świętokradztwo, jakie można popełnić, *le plus grand blaspheme*, bo widzisz, już mi było wszystko jedno - po Oświęcimiu straciłam wiarę w Boga, o ile nawet istniał. Powiedziałam sobie: On się ode mnie odwrócił. A skoro się odwrócił, to tak Go nienawidzę, że muszę Mu to okazać, dowieść Mu swojej nienawiści. Chciałam popełnić największe świętokradztwo, jakie mogłam sobie wyobrazić. To znaczy popełnić samobójstwo w Jego świątyni, w świętym miejscu. Strasznie źle się czułam, byłam ciągle osłabiona i chora, ale zebrałam siły i pewnej nocy zdecydowałam się to zrobić.

Wyszłam z ośrodka z ostrym kawałkiem szkła znalezionym w szpitalu, w którym leżałam. Sprawa była prosta. Kościół blisko. Przy bramie nie było żadnych strażników ani niczego, a do kościoła poszłam późnym wieczorem. Paliło się tam jakieś światełko; siedziałam długo w jednej z tylnych ławek, sama z tym swoim szkłem. To było latem. W Szwecji latem noce są zawsze widne i chłodne. Ośrodek był położony poza miastem, więc słyszałam rechot żab i czułam zapach jodeł i sosen. To był cudowny zapach, przypominał mi Dolomity z dzieciństwa. Przez chwilę wydawało mi się, że rozmawiam z Bogiem. Wyobrażałam sobie, że On mówi: „Zofio, dlaczego chcesz się zabić tu, w mojej świątyni?” Pamiętam, że odpowiadałam głośno: „Jeśli tego nie wiesz w swej mądrości, Panie, to ja ci nie powiem”. Wtedy on: „A więc to twoja tajemnica?” A ja odpowiedziałam: „Tak, to moja tajemnica, której ci nie zdradzę”. No i zaczęłam przecinać żyły na przegubach. I wiesz co, Stingo? Nacięłam lekko skórę i to bolało, i trochę krwawiło, ale wtedy się powstrzymałam. A wiesz, co mnie powstrzymało? Jedna rzecz, przysięgam. Jedna, jedyna rzecz! Nie ból ani strach. Nie czułam strachu. Powstrzymał mnie

Rudolf Hoss. Pomyślałam nagle o Hossie i o tym, że na pewno żyje gdzieś w Polsce albo w Niemczech. Zobaczyłam jego twarz tuż przed sobą, kiedy szkło zagłębiło się w mój przegub. Więc powstrzymałam się i... wiem, że to zabrzmiało *jak folie*, Stingo - no więc zrozumiałam w nagłym olśnieniu, że nie mogę umrzeć dopóty, dopóki Rudolf Hoss żyje. To byłby jego ostateczny triumf.

Umilkła i po długiej pauzie ciągnęła dalej:

- Nigdy już nie zobaczyłam mojego synka. Kiedy tamtego ranka weszłam do biura Hossa, Janka tam nie było. Nie było go. A ja byłam tak pewna, że on tam jest! Pomyślałam nawet, że może schował się pod biurko, no wiesz, dla kawału. Rozglądałam się dookoła, ale Janka nie było. Zdawało mi się, że to jakiś żart, wiedziałam, że musi tam być. Zawołałam go. Hoss zamknął drzwi i przyglądał mi się. Zapytałam go, gdzie jest mój synek. A on powiedział: - Wczoraj wieczorem, po twoim wyjściu doszedłem do wniosku, że nie mogę tu przyprowadzić twojego dziecka. Przepraszam za tę niefortunną decyzję. Sprowadzanie go tutaj byłoby niebezpieczne, naraziłbym swoją pozycję. - Nie mogłam w to uwierzyć, nie mogłam uwierzyć, że on to mówi, naprawdę, nie mogłam. A potem nagle uwierzyłam. Uświadomiłam sobie, że to najprawdziwsza prawda. I wtedy ogarnął mnie szal. Oszalałam. Dosłownie oszalałam!

Nie pamiętam, co się działo - pociemniało mi w oczach - ale wiem jedno. Rzuciłam się na niego, zaatakowałam go gołymi rękami. Wiem, że to zrobiłam, bo kiedy się ocknęłam, siedziałam na krześle, na które mnie pchnął, a on miał na policzku krwawy ślad od moich paznokci. Wycierał krew chusteczką i patrzył na mnie z góry, ale bez gniewu - był bardzo spokojny. Pamiętam jeszcze jedno: w uszach rozbrzmiewał mi echem mój własny krzyk sprzed paru sekund: - Poślij mnie do gazu! - krzyczałam.

- Zagazuj jak moją córeczkę! - powtarzałam w kółko. - Zagazuj mnie, ty... - I tak bez przerwy. I musiałam chyba wykrzykiwać różne bluźnierstwa po niemiecku, bo ciągle dzwoniły mi w uszach jak echo. Potem zakryłam tylko twarz dłońmi i płakałam. On milczał, ale w końcu poczułam, że dotyka mojego ramienia. - Jeszcze raz przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był ci tego obiecywać. Spróbuję coś dla ciebie zrobić, załatwić to jakoś inaczej. Co jeszcze mógłbym zrobić? - To było niesamowite, Stingo. On zadaje mi takie pytanie, takim pokornym głosem, pyta mnie, co może zrobić.

I wtedy przypomniałam sobie, oczywiście, *Lebensbom* i to, co radziła mi Wanda - sprawę, o której miałam powiedzieć Hóssowi poprzedniego dnia, ale jakoś nie mogłam. Opanowałam się więc, przestałam płakać, w końcu spojrzałam na niego i powiedziałam: - Jest coś, co może pan dla mnie zrobić. - Użyłam słowa *Lebensbom* i z wyrazu jego oczu

wyczytałam, że wie, o czym mówię. - Może pan zabrać moje dziecko z Obozu Dziecięcego - ciągnęłam - i włączyć je do realizowanego przez SS programu *Lebensbom*, o którym pan na pewno wie. Może pan go wysłać do Rzeszy i zrobić z niego dobrego Niemca. Ma jasne włosy, wygląda na Niemca i mówi po niemiecku tak płynnie jak ja. Niewiele jest takich dzieci w Polsce. Widzi pan chyba, jakim doskonałym materiałem dla programu *Lebensbom* jest mój synek Jan. - Pamiętam, że Hoss nie odzywał się przez dłuższy czas, tylko stał i lekko obmacywał zadraśnięcie na policzku. Potem powiedział:

- Wydaje mi się, że to, co mówisz, jest jakimś rozwiązaniem. Rozejrzę się w tej sprawie. - Ale mnie to nie wystarczało. Wiedziałam, że rozpaczliwie chwytam się brzytwy, że mógłby po prostu kazać mi się zamknąć, ale musiałam to powiedzieć, musiałam. - Nie, musi mi pan dać konkretniejszą odpowiedź, ja nie zniosłabym dalszego życia w niepewności. - Dobrze, dopilnuję, żeby zwolnili go z obozu. - Ale mnie i to nie wystarczało.

- Skąd będę o tym wiedzieć? Jak się upewnię, że go stąd zabrali? Musi pan mi jeszcze obiecać - ciągnęłam - musi mi pan obiecać, że zawiadomi mnie pan, dokąd go zabrali, tak żebym mogła go kiedyś po wojnie zobaczyć.

Nie mogłam wprost uwierzyć, że to mówię, Stingo, że stawiam takie żądania temu człowiekowi. Ale po cichu liczyłam na jego uczucia wobec mnie, polegałam na tym, co mi okazał poprzedniego dnia, kiedy mnie objął i kiedy powiedział: „Czy uważasz mnie za jakiegoś potwora?” Liczyłam na jakąś resztkę ludzkich uczuć, jaka w nim pozostała. Gdy skończyłam, milczał przez chwilę, a potem powiedział: - Dobrze, przyrzekam. Przyrzekam, że dziecko zostanie zabrane z obozu i że od czasu do czasu będziesz mogła się dowiedzieć, co się z nim dzieje. - Wiedziałam, że może się na mnie wściec, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby nie powiedzieć: - Jakie mam gwarancje? Moja córeczka już nie żyje, kiedy stracę Janka, nie będę miała nikogo. Obiecał mi pan wczoraj, że go zobaczę, i nic z tego. Złamał pan słowo. - To musiało go... musiało go trochę ruszyć, bo powiedział: - Możesz być pewna. Będę ci od czasu do czasu posyłał wiadomości. Masz moje zapewnienie i słowo niemieckiego oficera, słowo honoru...

Zofia zamilkła i zapatrzyła się w panujący w Mapie Court półmrok, wypełniony chmurami trzepoczących ciem. W barze nie było nikogo oprócz nas i barmana, zmęczonego Irlandczyka trzaskającego rejestratorem kasy.

- Ale Hoss nie dotrzymał słowa - podjęła w końcu. - Już nigdy nie zobaczyłam mojego synka. I ja uwierzyłam, że esesman może mieć coś takiego jak honor! Może to przez ojca, który zawsze rozprawiał o niemieckiej armii i oficerach, o ich poczuciu honoru, zasadach i tak dalej. Nie wiem. Ale Hoss nie dotrzymał słowa, więc nie wiem, co się stało.

Wkrótce wyjechał do Berlina, a ja wróciłam do baraków i znów pracowałam jako zwykła stenotypistka. Nigdy nie dostałam od niego żadnej wiadomości, nigdy. Nawet kiedy wrócił po roku, nie skontaktował się ze mną. Przez dłuższy czas wyobrażałam sobie, że Janka zabrali z obozu i wysłali do Niemiec, i że wkrótce dostanę wiadomość, gdzie jest, czy zdrowy i tak dalej. Ale nic podobnego do mnie nie dotarło. A potem dostałam od Wandy ten skrawek papieru ze straszną wiadomością. Napisała tylko: „Znów widziałam Janka. Czuje się dobrze jak na te warunki”. To było wszystko. Stingo, kiedy przeczytałam ten gryps, omal nie umarłam, bo oznaczało to, że Janka nie zabrali z obozu i że ostatecznie Hoss nie załatwił sprawy włączenia go do *Lebensbomu*.

Kilka tygodni później dotarła do mnie przez Francuzkę z ruchu oporu, która przysłała do naszego bloku, kolejna wiadomość od Wandy. Wanda prosiła ją o przekazanie informacji, że Janek zniknął z obozu dziecięcego. Przez jakiś czas strasznie się cieszyłam, ale później uświadomiłam sobie, że to nic nie znaczy, a nawet może znaczyć, że Janek nie żyje. Ze wcale nie został zwolniony w ramach *Lebensbornu*, ale zmarł na jakąś chorobę albo po prostu z zimna, bo zima była sroga. W żaden sposób nie mogłam się dowiedzieć, co naprawdę stało się z Jankiem, czy umarł tu, w Brzezince, czy był gdzieś w Niemczech. - Zrobiła pauzę. - Oświęcim był taki ogromny, tak trudno było uzyskać jakiegokolwiek informacje. W każdym razie Hóss nigdy nie przysłał mi żadnej wiadomości. *Mon Dieu*, to było *imbécile* z mojej strony oczekiwać, że taki człowiek ma jakieś, jak sam to nazwał, *meine Ehre*. Mój honor! Co za parszywy kłamca! Prawdziwy wszarz, jakby powiedział Natan. A ja do końca byłam dla niego tylko kawałkiem *polnische Dreck*.

- Po kolejnej pauzie spojrzała na mnie spod osłony dłoni.

- Nigdy się nie dowiedziałam, co stało się z Jankiem, Stingo. Wolałabym już, żeby... - nie dokończyła.

Spokój. Rezygnacja. Poczucie zmierzchania lata, świadomość najciemniejszych stron rzeczywistości. Nie śmiałem się do niej odezwać po tym wszystkim, a już zupełnie zabrakło mi słów, kiedy nieco podniesionym głosem zakomunikowała mi zwięźle i rzeczowo coś, co jakkolwiek potworne i rozdzierające, było w świetle tego, co miało jeszcze wyjść na jaw, zaledwie kolejnym pasażem jej nieskończenie smutnej arii.

- Myślałam, że uda mi się coś ustalić. Ale wkrótce po otrzymaniu ostatniej wiadomości od Wandy dowiedziałam się, że wykryli jej konspiracyjną działalność. Wzięli ją do tego słynnego bloku więziennego. Torturowali ją, a potem powiesili na haku i powoli zadusiła się na śmierć... Powiedziałam wczoraj, że Wanda była *kwecz*. To moje ostatnie kłamstwo, Stingo. Była najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znałam.

Kiedy tak siedzieliśmy w półmroku, i ja, i zapewne Zofia czuliśmy się tak, jakby ta powolna akumulacja niemożliwych do zniesienia potworności napięła nasze nerwy do ostatecznych granic. Narastał we mnie zdecydowany, przypominający panikę opór: nie chciałem już słuchać niczego o Oświęcimiu, ani jednego słowa więcej. Jednak ów impet, o którym wspomniałem, działał nadal (choć widziałem, że Zofia jest wykończona, zmaltretowana psychicznie), więc mówiła dalej; w jednym krótkim i gwałtownym monologu wyrzuciła z siebie do końca wszystko o jej rozstaniu z komendantem Oświęcimia.

- A teraz idź już - powiedział. Odwróciłam się i ruszyłam ku drzwiom ze słowami: *Danke, mein Kommandant*, za pomoc. A wtedy on powiedział - nie uwierzysz, Stingo - więc powiedział: - Słyszysz tę muzykę? Lubisz Franza Lehara? To mój ulubiony kompozytor. - Tak mnie spłoszyło to dziwne pytanie, że nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Franz Lehar, pomyślałam, i powiedziałam: - Nie, nieszczególnie. A dlaczego?

- Wyglądał na rozczarowanego i powtórzył: - Idź już. - Więc poszłam. Przechodziłam obok pokoju Emmi i znów grało tam to małe radio. Tym razem mogłam je z łatwością wynieść, bo rozejrzałam się dokładnie i Emmi nigdzie nie było. Ale jak mówiłam, nie miałam odwagi tego zrobić, zwłaszcza teraz, kiedy miałam nadzieję, że uda się z Jankiem. Poza tym wiedziałam, że tym razem ja byłabym pierwszą podejrzaną. Więc zostawiłam to radio i nagle poczułam do siebie straszną nienawiść. Ale nie wzięłam go i grało sobie dalej. A czy wiesz, co to był za utwór? Zgadnij, Stingo.

Bywają w podobnych opowieściach takie momenty, których przytaczanie, ze względu na ich groteskowość, wydaje się nie na miejscu, może nawet - mimo pokusy - „przeciwwskazane”, ponieważ groteska łatwo przekształca się w nieznośną trywialność, wystawiając na próbę cierpliwość czytelnika i podważając jego zaufanie do autora. Ponieważ jednak wierzyłem Zofii, która sama zakończyła swe wiarygodne świadectwo tą ironiczną kodą, muszę przytoczyć puentę jej opowiadania, poprzedzając ją jedynie komentarzem: wypowiedziała te słowa zmęczonym, drżącym głosem, na pół rozbawionym, na pół rozpaczliwym, wydobyłym jak gdyby z otchłani emocjonalnej pustki pozostałej w niej po wypaleniu się pieklą. Nigdy jeszcze nie słyszałem u niej podobnego tonu, tonu zapowiadającego atak hysterii.

- No więc co to było? - zapytałem.

- Uwertura do operetki Lehara - wykrztusiła. - *Das Land des Lachelns - Kraina uśmiechu.*

Było dobrze po północy, kiedy ruszyliśmy z powrotem do Różowego Pałacu. Zofia była spokojna. W balsamicznych ciemnościach nie było widać żadnych przechodniów, a

nieoświetlone domy znacznych obywateli Flatbush, stojące wzdłuż wysadzonej klonami ulicy, pograżyły się w słodkim śnie. Zofia objęła mnie wpół ramieniem i zapach jej perfum natychmiast zaatakował moje zmysły, ale zdążyłem już zrozumieć, że to tylko siostrzany lub macierzyński gest, a poza tym jej długi monolog zneutralizował we mnie wszelkie żądze. Nastrój przygnębienia i czarne myśli spowijały mnie niczym sierpniowy mrok; zastanawiałem się, czy zdołam zasnąć.

Kiedy zbliżaliśmy się do fortecy pani Zimmerman, gdzie nocna lampka świeciła mętnie w różowym holu, potknęliśmy się na jakimś wyboju i Zofia przemówiła po raz pierwszy od chwili, gdy wyszliśmy z baru.

- Czy masz budzik, Stingo? Muszę jutro wstać bardzo wcześnie, żeby przewieźć rzeczy do nowego mieszkania i zdążyć do pracy. Doktor Blackstock wykazywał wielką cierpliwość przez te kilka dni, ale naprawdę powinnam wracać do roboty. Może zadzwonisz do mnie gdzieś w połowie tygodnia? - stłumiła ziewnięcie.

Już miałem odpowiedzieć, gdy jakiś szary cień oderwał się od jeszcze gęstszego mroku otaczającego portyk domu. Serce mi podskoczyło.

- O Boże - powiedziałem. To był Natan. Wypowiedziałem szeptem jego imię, a jednocześnie Zofia jęknęła cicho, również go rozpoznając. Przez chwilę wydawało mi się - jak sądzę, niebezpodstawnie - że zaraz nas zaatakuje. Ale wtedy zawołał półgłosem: - Zofia! - a ona tak gwałtownie cofnęła obejmującą mnie rękę, że wyszarpnęła mi koszulę zza paska. Zatrzymałem się i stałem nieruchomo, a tymczasem oni rzucili się ku sobie w drżącej i nikłej poświacie przesianego przez liście światłocienia; na sekundę przed tym, nim padli sobie w ramiona, z ust Zofii wydarł się szloch. Długo stali, lgnąc do siebie, stopieni w jedno w mroku późnego lata. Potem Natan z wolna uklęknął na twardym chodniku, objął ramionami kolana Zofii i trwał tak nieruchomo, zdawało się w nieskończoność, zastygły w pozie wyrażającej oddanie, hołd, pokutę lub błaganie - a może wszystko to naraz.

czternasty

Natan pojednał się z nami bez trudu i w samą porę.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zapamiętałem, było to, że po nadzwyczaj słodkim pojednaniu naszej trójki - Zofii, Natana i Stinga - dał mi dwieście dolarów. W dwa dni po szczęśliwym ponownym połączeniu, kiedy już z powrotem zainstalowali się na pierwszym piętrze, a ja znów zaszyłem się w swej pierwiosnkowej kwaterze, Natan dowiedział się od Zofii kradzieży (złodziejem nie był zresztą, jak się okazało, Morris Fink; Natan odkrył, że ktoś sforsował okno w łazience - Morris nie mógłby tego zrobić. Wstydziłem się swoich ohydnych podejrzeń). Kiedy nazajutrz wróciłem po południu z lunchu w delikatesach na

Ocean Avenue, znalazłem na moim biurku czek opiewający na wymienioną sumę, którą w 1947 roku w mojej sytuacji prawdziwego nędzarza można było nazwać ścią królewską. Do czeku przypięta była ręcznie napisana notka: „Ku większej chwale Literatury Południa”. Byłem oszołomiony. Te pieniądze spadły mi z nieba - ratowały mnie z tarapatów akurat w chwili, kiedy zagryzałem się na śmierć myślami o najbliższej przyszłości. Graniczyło wprost z niemożliwością, bym odmówił ich przyjęcia. Ale rozmaite religijne i wrodzone skrupuły nie pozwoliły mi traktować ich jako darowizny.

Po wielu dyskusjach i przyjacielskich sporach osiągnęliśmy coś w rodzaju kompromisu. Dwieście dolarów miało pozostać darem do czasu, gdy ukaże się moja książka. Miałem zwrócić dług wtedy dopiero i tylko wtedy, gdy znajdę wydawcę i zarobię dość pieniędzy, żeby uwolnić się od kłopotów finansowych, a w dodatku w takiej wysokości, jaką uznam za stosowną, bez procentu. Jakiś cichy, wredny głosik podszeptował mi w środku, że owa szczodrość była ze strony Natana formą pokuty za straszliwy atak, jaki przypuścił na moją książkę parę dni temu, kiedy w tak dramatyczny i okrutny sposób wyeliminował Zofię i mnie ze swego życia. Ale szybko odsunąłem tę myśl jako niedorzeczną, zwłaszcza w świetle świeżo nabytej od Zofii wiedzy, że to rozstrój wywołany narkotykami kazał mu wygadywać pełne nienawiści, nieodpowiedzialne rzeczy - słowa, których najwidoczniej nawet nie pamiętał. Słowa, o których - byłem tego pewien - zapomniał tak samo jak o swoich obłąkańczych i destrukcyjnych czynach. Poza tym ubóstwiałem wprost Natana, w każdym razie Natana czarującego, wspaniałomyślnego, smakującego życie i wolnego od swych demonów - a ponieważ wrócił do nas taki właśnie Natan, nieco zmizerniały i blady, ale najwyraźniej oczyszczony z szaleństwa, jakie go opętało tamtego wieczoru, przepełniały mnie na nowo gorące i braterskie uczucia - i to było cudowne. Z moim zachwytem mogła konkurować jedynie reakcja Zofii, której radość przybrała postać jakiegoś ledwie kontrolowanego delirium, bardzo wzruszającego dla kogoś, kto obserwował to z zewnątrz. Jej niezmienna, niesłabnąca namiętność budziła mój podziw i szacunek. Zniewagi zostały albo zapomniane, albo całkowicie wybaczone. Jestem pewien, że przytuliłaby go do łona z podobną gotowością i wspaniałomyślnością, nawet gdyby był gwałcicielem nieletnich lub krwawym mordercą.

Nie wiem, gdzie Natan spędził te kilka dni i nocy, jakie upłynęły od jego okropnego występu w Mapie Court, ale z jakiejś rzuconej mimochodem uwagi Zofii wywnioskowałem, że musiał zaszyć się u brata w Forest Hills. Ani jednak jego nieobecność, ani to, co się z nim działo, zdawały się nie mieć znaczenia. Jego zniewalający urok kazał nam obojgu zapomnieć o tym, iż zaledwie parę dni temu obrzucił nas takim stekiem pełnych nienawiści i pogardy

obelg, że się dosłownie rozchorowaliśmy. W pewnym sensie ten „napadowy”, przerażający nałóg, który tak sugestywnie opisała mi Zofia, zbliżył mnie teraz do Natana; zgodnie z moim niewątpliwie romantycznym wyobrażeniem demoniczna strona jego osobowości - ów pan Hyde, który opętał go i co jakiś czas zżerał wewnątrz - wydawała mi się obecnie integralną i ekscytującą częścią jego osobliwego geniuszu, którą zaakceptowałem, odczuwając tylko lekką obawę przed ewentualnym nawrotem szaleństwa. Zofia i ja byliśmy - mówiąc wprost - naiwniakami. Wystarczało nam, że znów pojawił się w naszym życiu, wnosząc to samo ożywienie, wielkoduszność, nastrój zabawy i magii, a przede wszystkim miłość, które - jak sądziliśmy - straciliśmy na zawsze. W gruncie rzeczy jego powrót do Różowego Pałacu i urządzenie na nowo przytulnego, miłego gniazdka w pokoju na górze wydawały się czymś tak naturalnym, że do dziś nie mogę sobie przypomnieć, jak i kiedy zwiózł z powrotem wszystkie meble, ubrania i resztę dobytku, wymiecionego tamtej nocy tak doszczętnie, iż zdawało się, że nigdy niczego tam nie było.

Wszystko potoczyło się po dawnemu. Wznowiliśmy nasze codzienne rytuały, jak gdyby nic się nie stało - jakby wybuch furii Natana, który omal nie zniszczył raz na zawsze naszej trójstronnej przyjaźni i szczęścia, nigdy się nie zdarzył. Był już wrzesień, letni skwar unosił się jeszcze nad rojnymi ulicami miasta jak delikatna, migotliwa mgiełka. Co ranka Natan i Zofia, każde z osobna, wsiadali na stacji przy Church Avenue do metra on, by dojechać do swego laboratorium u Pfizera, ona do gabinetu doktora Blackstocka w centrum Brooklynu. A ja powracałem ochoczo do mojego prostego, dębowego biurka. Bronilem się przed obsesją na punkcie Zofii jako obiektu miłosnych pragnień, odstępując ją dobrowolnie starszemu ode mnie mężczyźnie, do którego - w sposób naturalny i prawomocnie - należała. Raz jeszcze musiałem pogodzić się z faktem, że moje roszczenia miłosne były w najlepszym przypadku skromne i amatorskie. Tak więc, wyzbywszy się jałowych rojeń o Zofii, z wielkim zapalem i wyraźnym poczuciem celu powróciłem do przerwanej pracy nad powieścią. Nie mogłem się, oczywiście, całkowicie uwolnić od rozmyślań nad tym, co mi powiedziała oswej przeszłości, i od związanych z tym sporadycznych nawrotów przygnębienia. Jednak, ogólnie biorąc, udawało mi się tym zapominać. Odczuwałem także radosny przypływ sił twórczych, a ponadto uświadamiałem sobie wyraźnie, że i ja mam swoją tragiczną historię do opowiedzenia, jest więc czym wypełnić czas. Zachęcony prawdopodobnie darowizną Natana - tą najbardziej krzepiącą formą zachęty, jaką może otrzymać artysta zacząłem pracować w szaleńczym jak na mnie tempie, poprawiając i szlifując wszystko przy okazji i wypisując jeden za drugim moje ołówki Venus Velvet, tak że wkrótce po kolejnych porannych sesjach pozostawał na biurku plon w postaci pięciu, sześciu, siedmiu, a nawet ośmiu lub dziewięciu

zapisanych żółtych arkuszy.

Natan powrócił do roli brata i mecenasa (niezależnie od pieniędzy), mentora, konstruktywnego krytyka i nieocenionego starszego przyjaciela w potrzebie, na czym tak mi zależało od samego początku. Znowu zaczął pochłaniać porcje mojej pracownice fabrykowanej prozy; zabierał na górę kilkudniowy „urobek” - dwadzieścia pięć, trzydzieści stron rękopisu - i oddawał mi go po paru godzinach, zwykle z uśmiechem, niemal zawsze gotów obdarzyć mnie tym, czego najbardziej potrzebowałem - czyli pochwałą - choć zazwyczaj przyprawiał słowa uznania potężną dawką szczerzej i ostrej krytyki; potrafił bezlitośnie wytropić każde okaleczone kulejącym rytmem zdanie, każdą pretensjonalną myśl, onanistyczne mizdrzenie, niezbyt fortunną metaforę. Jednak widziałem, że ogólnie biorąc, urzekła go moja mroczna opowieść o Tidewater, pejzaż, opisy pogody, czyli to wszystko, co starałem się oddać z całej mocy, z całą precyzją i pasją mojego młodego, nie rozwiniętego jeszcze talentu, a także grupka zagubionych postaci nabierających stopniowo na papierze „ciała”, gdy tak prowadziłem je przez niziny Wirginii w ich pełnej lęków udręki, żałobnej wędrówce. Największe jednak wrażenie wywarła na nim świeża i oryginalna (pomimo wpływów Faulknera, co natychmiast dostrzegł i do czego się chętnie przyznawałem) wizja Południa, niespotykana i - jak to określił

- „elektryzująco” osobista. Radowałem się też w duchu, widząc, jak pod wpływem subtelnej alchemii mej sztuki uprzedzenia Natana wobec Południa zmieniają się stopniowo w coś w rodzaju akceptacji i zrozumienia. Nie atakował mnie już chamskimi dowcipami o zajęczych wargach, grzybicy, linczach i kmiotkach. Moja praca zaczęła robić na nim wrażenie, a ponieważ żywiłem wobec niego podziw i szacunek, byłem głęboko poruszony jego reakcją.

- Ta scena zabawy w wiejskim klubie jest fantastyczna powiedział pewnego sobotniego popołudnia, kiedy siedzieliśmy w moim pokoju. - Już sam ten króciutki dialog pomiędzy matką a kolorową służącą... no, nie wiem, ale wydaje mi się idealnie trafiony. No i ta atmosfera lata - nie mam pojęcia, jak ty to robisz.

Puchłem wewnątrz z dumy. Wymamrotałem jakieś podziękowania i pociągnąłem jednym haustem pół puszki piwa.

- Jakoś mi idzie - powiedziałem z przesadną skromnością.
- Cieszę się, że ci się podoba, naprawdę się cieszę.
- Może powinienem wybrać się na Południe - rzekł - zobaczyć je na własne oczy. Ta twoja proza zaostrzyła mi apetyt. Mógłbyś być moim przewodnikiem. Co na to powiesz, koleżko? Taka podróż przez starą Konfederację.

Aż podskoczyłem na tę propozycję.

- Jasne! - zawołałem. - To by było po prostu wspaniałe! Moglibyśmy wyruszyć z Waszyngtonu. Mam w Fredericksburgu kumpla, jeszcze ze szkoły, który jest wielkim ekspertem w sprawach wojny domowej. Moglibyśmy zatrzymać się u niego i zwiedzić wszystkie pola bitwy Północnej Wirginii: Manassas, Fredericksburg, Wilderness, Spotsylwanię - wszystko. Potem pożyczylibyśmy samochód i pojechalibyśmy do Richmond, Petersburga, następnie na farmę ojca w Southampton County. Wkrótce zaczną się zbiory orzeszków...

Widziałem, że Natan zapalił się natychmiast do tej propozycji, bo potakiwał z entuzjazmem, kiedy ja, sam ogarnięty podnieceniem, z zapalem roztaczałem coraz wspanialsze wizje naszej podróży. Miała być kształcąca, poważna, długa - ale również atrakcyjna. Po Wirginii region przybrzeżny Północnej Karoliny, gdzie dorastał mój zacny staruszek, potem Charleston, Savannah, Atlanta i niespieszna wędrówka przez samo serce Dixielandu, cudowne trzewia Południa - Alabamę, Missisipi - by zakończyć w Nowym Orleanie, gdzie ostrygi, po dwa centy za sztukę, są dorodne i soczyste, zupa z piżmaka palce lizać, a langusty rosną na drzewach.

- Co za wycieczka! - entuzjazmowałem się, otwierając kolejną puszkę piwa. - Południowa kuchnia. Kurczaki z rożna. Kukurydziane racuchy. Groch z bekonem. Prażona mamałyga. Jarmuż. Wiejska szynka w rybnym sosie. Natan, smakoszu, oszalejesz ze szczęścia.

W głowie szumiało mi rozkosznie od piwa. Dzień był obezwładniająco upalny, ale od parku wiał lekki wietrzyk i przez łopot rolet w moich oknach docierały do nas z góry dźwięki muzyki Beethovena. Zawdzięczaliśmy to Zofii, która wróciła do domu po krótszym, sobotnim dyżurze i, jak zwykle, biorąc prysznic, nastawiła gramofon na cały regulator. Przyłapałem się na tym, że roztaczając swą wizję podróży przez Południe, bajeruję na potęgę, jak typowy Południowiec, w stylu, którego nie cierpiałem prawie tak samo jak pozerstwa tych nowojorskich zasmarkańców z ich przemądrzałym liberalizmem i wkurwiającą animozją wobec Południa, ale nie miało to teraz znaczenia; po wyjątkowo tego ranka owocnej pracy rozpierała mnie radość, a czar Południa (którego widoki i odgłosy przelewałem w męce na papier, zużywając całe litry serdecznej krwi) zawładnął mną jak lekka ekstaza albo ciężkie strapienie. Oczywiście nieraz już doświadczałem podobnych przypiływów słodkogorzkiej melancholii - ostatnio znacznie mniej autentycznej, gdy moje przaśne zaloty Południowca nie zdołały zauroczyć Leslie Lapidus - ale dziś ów nastrój zdawał się szczególnie subtelny, rozwibrowany, dojmujący, promienny; czułem, że lada chwila zaleję się kompromitującymi,

ale szczerymi łzami. Dźwięki prześlicznego *adagia* z *IV Symfonii* spływały z góry, a ich spokojna, rytmiczna, podobna do bicia serca pulsacja stapiała się w jedno z moim podniosłym nastrojem.

- Jestem za, przyjacielu - usłyszałem głos Natana za plecami. - Wiesz, najwyższy czas, żebym zobaczył Południe. Powiedziałeś o nim tego lata - wydaje się, że strasznie dawno coś, co utkwilo mi w pamięci. A raczej powinienem chyba powiedzieć, że wiązało się to z relacją Północpołudnie. Klóciliśmy się jak zwykle i, pamiętam, powiedziałeś coś w tym sensie, że w końcu to Południowcy zapuszczali się na Północ, żeby zobaczyć, jaka jest, podczas gdy tylko nieliczni mieszkańcy Północy zadali sobie trud, by wybrać się na Południe, przyjrzeć mu się dokładnie. Pamiętam, jak mówiłeś, że my, ludzie z Północy, jesteśmy strasznie kołtuńscy w tej swojej programowej i zadufanej ignorancji. Stwierdziłeś, że to objaw arogancji intelektualnej. Tak dosłownie powiedziałeś - i wtedy wydawało się to bardzo ostre - ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że być może masz rację. - Przerwał na chwilę, a potem dodał z głębokim przekonaniem: - Przyznaję się do tej ignorancji. Jak mogę nienawidzić ziemi, której nie znam, której nigdy nie widziałem na oczy? Zgoda, pojedziemy na tę wyprawę!

- Stokrotne dzięki, Natan - odpowiedziałem, upojony szczęściem i rheingoldem.

Z puszką piwa w dłoni przemknąłem do łazienki, żeby się odpryskać. Byłem bardziej pijany, niż mi się zdawało. Obsikałem całą deskę. Przez plusk docierał do mnie głos Natana:

- Biorę w połowie października urlop; jeśli będziesz dalej tak zasuwał, zdążysz do tego czasu odwalić kawał roboty z książką. Będziesz się pewnie chciał trochę przewietrzyć. Czemu by nie pojechać właśnie wtedy? Zofia nie brała dotąd w ogóle urlopu u tego konowała, więc też powinna dostać parę tygodni wolnego. Mogę pożyczyć samochód od brata, kabriolet. Nie używa go, kupił sobie nowego oldsmobile'a. Pojechalibyśmy przez Waszyngton... - Słuchałem go i jednocześnie mój wzrok padł na apteczkę, która wydawała się tak bezpiecznym sejfem do czasu ostatniej kradzieży. Kto mógł być jej sprawcą, zastanawiałem się, skoro Morris Fink został oczyszczony z podejrzeń? Jakiś łazik z Flat - bush? Złodziei nigdy nie brakowało. Nie miało to już teraz znaczenia; czułem, że mój wcześniejszy gniew i przygnębienie zamieniły się w dziwny niepokój, związany ze skradzioną gotówką, która była w końcu zyskiem ze sprzedaży istoty ludzkiej, niewolnika Ariste! Własności mojej babki, mego wybawcy. To właśnie mały niewolnik Ariste pokrył większość kosztów mojego pobytu w Brooklynie; poprzez tę pośmiertną ofiarę z własnego ciała oddał mi wielką przysługę, pozwalając się utrzymać na powierzchni we wczesnej fazie pracy nad książką, a więc to, że w końcu przestał mnie wspomagać, mogło być przejawem

boskiej sprawiedliwości. Moje życie nie zależało już od kapitału skalanego od stulecia poczuciem winy. Byłem w pewnym sensie zadowolony, że odciąłem się od tych splamionych krwią pieniędzy i od hańby niewolnictwa.

Ale czy naprawdę mogłem się od niej kiedykolwiek uwolnić? Ze ściśniętym gardłem wyszeptałem: - Niewolnictwo! - Gdzieś w najdalszych zakamarkach mej świadomości tkwił imperatyw, aby o tym napisać, by niejako zmusić niewolnictwo do wyjawienia swych najgłębiej skrywanych, najboleśniejszych tajemnic. Ten wewnętrzny nakaz był tak samo nieodparty, jak potrzeba pisania w ogóle, także mojego obecnego pisania o spadkobiercach instytucji niewolnictwa - tych umiłowanych i udręczonych członkach mej filisterskiej rodziny z Nowego Południa, którzy jeszcze teraz, w latach czterdziestych, tkwili w obłędnym apartheidzie wirgińskiego Tidewater i których najdrobniejszym gestom i poruszeniom, jak sobie to zacząłem uświadamiać, przyglądały się w zadumie nieprzebrane rzesze czarnych świadków, pomiotu niewolnictwa. Czyż nie pozostawaliśmy wszyscy, biali i Murzyni, w niewoli? Wiedziałem, że moje rozgorączkowane myśli o niewolnictwie i związany z nim niepokój w sercu gnębić mnie będą tak długo, jak długo pozostanę pisarzem. I wtedy w moich myślach błędzących leniwie, w przyjemnym odurzeniu, od Ariste do mego ojca i dalej, do wizji chrztu odzianego w białą szatę Murzyna w mulistych wodach rzeki James, a potem znów do ojca chrapiącego w hotelu McAlpin, pojawił się nagle Nat Turner. Atak rozziewającej nostalgii przeszył mnie jak włócznia.

Wytoczyłem się chwiejnie z łazienki i wybełkotałem, trochę za głośno, dwa słowa, które spłoszyły Natana swą absurdalną gwałtownością:

- Nat Turner!

- Nat Turner? - powtórzył Natan zaskoczony. - Kto to jest, do diabła, Nat Turner?

0 Nat Turner - powiedziałem - to czarny niewolnik, który w 1831 roku zabił około sześćdziesięciu białych - żaden z nich, nawiasem mówiąc, nie był Żydem. Zył niedaleko od mojego rodzinnego miasta, nad rzeką James. Farma mojego ojca leży w samym środku okolicy, w której Nat rozpętał swoją krwawą rewoltę. - Następnie podzieliłem się z Natanem garścią posiadanych wiadomości na temat tej fantastycznej postaci, której życie i czyny spowijała taka mgła tajemnicy, że nawet mieszkańcy owego zadupia zapomnieli o jej istnieniu, nie mówiąc już reszcie świata. Kiedy mówiłem, weszła do pokoju Zofia, wypucowana i odświeżona, zaróżowiona i skończenie piękna, przysiadła na oparciu krzesła Natana. Zaczęła się też przysłuchiwać; jej śliczna twarz wyrażała zainteresowanie, dłonią gładziła machinalnie jego ramię. Ale ja szybko zakończyłem, bo nagle uświadomiłem sobie,

jak niewiele mam do powiedzenia o tym człowieku. Wynurzył się z mgieł historii, aby dokonać swego potężnego dzieła w jednej, oślepiającej, potwornej eksplozji, a potem znikł, równie tajemniczo jak się pojawił, nie pozostawiając żadnych wyjaśnień, żadnego znaku rozpoznawczego, żadnego powidoku, niczego prócz imienia. Należało go odkryć od nowa, i tamtego popołudnia, usiłując w pijackim podnieceniu i entuzjazmie przybliżyć jego postać Zofii i Natanowi, uprzytomniłem sobie, że będę musiał o nim napisać, zawładnąć nim, stworzyć go od nowa - dla świata.

- To fantastyczne! - gardłowałem w radosnym, piwnym uniesieniu. - Wiesz, Natan, coś mi świta. Napiszę o tym niewolniku książkę. To doskonała pora na naszą podróż. Moja powieść osiągnie już do tego czasu takie stadium, że będę mógł się od niej oderwać - zdążę odwalić solidny kawał roboty. Tak że kiedy znajdziemy się w Southampton, możemy objechać strony

Nata Turnera, pogadać z ludźmi, obejrzeć te wszystkie stare domy. Będę się mógł nasycić tamtą atmosferą i porobić mnóstwo notatek, zebrać informacje. Powieść o starym Nacie będzie moją następną książką. Jednocześnie ty i Zofia wzbogaciecie swoją wiedzę. To będzie najbardziej fascynująca część naszej wyprawy...

Natan otoczył Zofię ramieniem i ścisnął ją z całej siły.

- Stingo - powiedział - nie mogę się doczekać. Jedziemy w październiku do Dixielandu. - Zerknął na Zofię. W pełnym miłości spojrzeniu, jakie wymienili, króciutkim, ale cudownie wymownym, stapiającym się w jedno spotkanie ich oczu, było coś tak krępująco intymnego, że odwróciłem na moment wzrok.

- Powiedzieć mu? - zapytał Zofii.

- Czemu by nie - odpowiedziała. - Czyż Stingo nie jest naszym najlepszym druhem?

- I mam nadzieję, że niedługo naszym drużbą. Zamierzamy się pobrać w październiku! - powiedział wesoło. - Ta wyprawa będzie więc także naszym miodowym miesiącem.

- Boże wszechmogący! - zawołałem. - Gratulacje! - Podszedłem do nich i ucałowałem oboje - Zofię w okolicach pachnącego gardenią ucha, a Natana w jego imponujący, wydatny nos. - To naprawdę cudowne - wymamrotałem i rzeczywiście tak myślałem, zapomniawszy zupełnie, jak w niedalekiej przeszłości chwile takiej ekstazy, zapowiadające jeszcze większe rozkosze, prawie zawsze porażały mnie swym blaskiem, czyniąc ślepym na nadciągającą katastrofę.

Chyba jakieś dziesięć dni później, pod koniec września, zatelefonował do mnie brat

Natana, Larry. Byłem bardzo zaskoczony, kiedy pewnego ranka Morris Fink zawołał mnie do lepkiego od brudu automatu w holu - zaskoczony tym, że w ogóle ktoś do mnie telefonuje, a jeszcze bardziej tym, że chce ze mną rozmawiać człowiek, o którym wprawdzie wiele słyszałem, ale którego nie miałem okazji poznać. Głos miał ciepły i sympatyczny - z podobnym jak u Natana, wyraźnym brooklińskim akcentem - i początkowo dość beztrouski, ale wkrótce pojawił się w nim ton delikatnego nalegania; Larry dopytywał się, czy moglibyśmy się spotkać, i to jak najprędzej. Powiedział, że wolałby nie przychodzić do domu pani Zimmerman, i zapytał, czy wobec tego nie zechciałbym go odwiedzić w Forest Hills. Dodał też, że jak się pewnie domyślam, sprawa dotyczy Natana - i jest pilna. Odpowiedziałem bez wahania, iż chętnie się z nim spotkam; umówiliśmy się na późne popołudnie.

Zabłądziłem kompletnie w labiryncie tuneli metra w Kings

i Queens County, wsiałem do niewłaściwego autobusu i wylądowałem na opustoszałych rozłogach Jamajki, w związku z czym spóźniłem się ponad godzinę. Larry przywitał mnie jednak niezwykle grzecznie i przyjaźnie w progu przestronnego i ładnie urządzonego apartamentu, usytuowanego w dość, moim zdaniem, eleganckim otoczeniu. Nigdy dotąd nie spotkałem człowieka, do którego poczułbym tak natychmiastową sympatię. Był nieco niższy, bardziej krępy, tęższy od Natana i oczywiście starszy, ale poza tym uderzająco do niego podobny. Szybko jednak dostrzegłem różnice: podczas gdy Natan był jednym kipiącym energią kłębkim nerwów, człowiekiem zmiennym i nieobliczalnym, Larry'ego cechował spokój. Mówił cicho, był wręcz flegmatyczny i miał budzący zaufanie sposób bycia, co mogło wprawdzie wynikać z lekarskiej rutyny, ale w moim przekonaniu świadczyło o jakiejś zasadniczej solenności i przyzwoitości. Kiedy próbowałem usprawiedliwić moje spóźnienie, szybko w ujmujący sposób rozładował napięcie, proponując butelkę Molson's Canadian Ale ze słowami:

- Natan mówił mi, że jest pan koneserem słodowych napojów.

Kiedy usiedliśmy w fotelach przy wielkim oknie, za którym rozciągał się widok na kompleks uroczych, porośniętych bluszczem budynków w stylu Tudorów, czułem się tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi.

- Nie muszę chyba mówić, że cieszy się pan wielkim szacunkim Natana - rzekł Larry - i dlatego między innymi prosiłem pana o to spotkanie. Myślę, że w tym krótkim czasie, od jakiego się znacie, został pan jego najbliższym przyjacielem. Mówił mi wszystko o pańskiej pracy i o tym, jak świetnie pan pisze jego zdaniem. Jest pan na pierwszym miejscu na jego liście. W swoim czasie - myślę, że wspominał panu o tym - sam zamierzał pisać. W sprzyjających okolicznościach mógłby osiągnąć bardzo wiele, w dowolnej dziedzinie. W

każdym razie wie pan z pewnością, że jego sądy o literaturze są bardzo wnikliwe, i chyba pochlebi panu wiadomość, iż nie tylko uważa pańską książkę za wspaniałą, ale także ceni pana niezwykle jako... jako, powiedzmy, *mensza*.

Skinąłem głową i wymamrotałem coś dyplomatycznie, czując, jak oblewa mnie fala zadowolenia. Boże, jak bardzo byłem łasy na takie pochwały! Wciąż jednak pozostawał dla mnie zagadką cel mojej wizyty. Tym, co następnie powiedziałem - jak sobie teraz uświadamiam - sprowokowałem mimowolnie zmianę tematu przerzuciliśmy się na osobę Natana szybciej, niż gdybyśmy dalej rozwodzili się nad moim talentem i niewątpliwymi zaletami osobistymi.

- Ma pan rację co do Natana. Naukowiec o literackich zainteresowaniach i w dodatku z takim zmysłem krytycznym to prawdziwa rzadkość. A tu, proszę - pierwszorzędny badacz, biolog w tak potężnej firmie jak Pfizer...

Larry przerwał mi grzecznie, z uśmiechem, który nie zdołał zamaskować bólu.

i Wybacz, Stingo - myślę, że mogę się tak do ciebie zwracać wybacz, ale muszę ci to, jak zresztą parę innych rzeczy, które powinieneś wiedzieć, wyłożyć wprost: Natan nie jest badaczem biologiem. Nie jest w ogóle naukowcem i nie skończył żadnej uczelni. To wszystko jest zwykłą mistyfikacją. Przykro mi, ale lepiej, żebyś o tym wiedział.

Boże Przenajświętszy! Czyżby moim przeznaczeniem był los łatwowiernego i prostodusznego nieudacznika, oszukiwanego przez tych, na których mu najbardziej zależało? Nie dość, że tak często okłamywała mnie Zofia, to teraz jeszcze Natan...

- Nie rozumiem - zacząłem. - Czy to znaczy...

- To znaczy - wszedł mi w słowo Larry - że ta cała historia z biologią jest zwykłą maskaradą, przykrywką i niczym więcej.

Owszem, melduje się codziennie u Pfizera. Ma pracę w bibliotece tej instytucji, nie zobowiązującą synekurę. Czyta tam, nie wadząc nikomu, masę książek i od czasu do czasu wykonuje jakąś pracę dla któregoś z prawdziwych biologów zatrudnionych w firmie. Pozwala mu się to utrzymać na powierzchni. Nikt o tym nie wie, a już najmniej ta jego urocza przyjaciółka Zofia.

Zamurowało mnie dosłownie.

- Ale w jaki sposób... - wyjąkałem, szukając rozpaczliwie słów.

0 Jeden z wysokich urzędników Pfizera jest bliskim przyjacielem naszego ojca. Po prostu wielka koleżeńska przysługa. Sprawa była stosunkowo prosta; kiedy Natan jest w formie, może w swym skromnym zakresie wykonywać całkiem pożyteczną robotę. W końcu, jak ci doskonale wiadomo, jest człowiekiem szerokich horyzontach, może nawet wybitnym.

Rzecz polega na tym, że niemal całe jego życie to jeden wielki chaos, błądzenie po manowcach. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że mógłby być świetny w każdej dziedzinie. W pisarstwie. Biologii. Matematyce. Medycynie. Astronomii. Filologii. We wszystkim. Ale w jego umyśle panuje ciągły zamęt. - Larry znów uśmiechnął się blado, ze smutkiem i złożył dłonie. - Prawda wygląda tak, że mój brat jest szaleńcem.

- Chryste! - wybąkałem.

1 Schizofrenia paranoidalna, tak zdaje się brzmi diagnoza, chociaż nie jestem całkiem pewien, czy ci specje od mózgu naprawdę wiedzą, z czym mają do czynienia. W każdym razie jest to jeden z tych przypadków, kiedy tygodniami, miesiącami, a nawet latami nie występują żadne objawy i nagle - trach! odjazd. A ostatnio sytuację pogarszają jeszcze narkotyki. o tym między innymi chciałem z tobą porozmawiać.

- Chryste! - powtórzyłem.

Siedząc tam i słuchając, jak Larry opowiada mi te okropieństwa z taką pełną rezygnacją otwartością i spokojem, starałem się uciszyć burzę szalejącą w moim mózgu. Czułem się tak, jakbym stracił kogoś najbliższego, i byłem nie mniej zaszokowany zgnębiony, niż gdybym się dowiedział, że Natan cierpi na jakąś nieuleczalną, wyniszczającą organizm chorobę. Zacząłem mówić, zacinając się i czepiając resztek nadziei:

- Nie mogę w to uwierzyć. Kiedy wspominał o Uniwersytecie Harvarda...

- Ach, Natan nigdy tam nie studiował. Nigdy nie był na żadnej uczelni. Nie dlatego oczywiście, żeby mu brakowało inteligencji. Pochłonał dotychczas więcej książek, niż ja przeczytam do końca życia. Ale kiedy ktoś cierpi na taką chorobę, nie może studiować w sposób systematyczny. Jego prawdziwą szkołą były Sheppard Pratt, McLean, Payne Whitney i tym podobne. Wymień jakikolwiek kosztowny dom wariatów, okaże się, że studiował w każdym.

- Jakie to cholernie smutne i straszne - szepnąłem. - Wiedziałem, że jest... - zawahałem się.

- Chciałeś powiedzieć: niezupełnie zrównoważony. Niezupełnie... normalny.

- Tak - przyznałem. - Myślę, że każdy głupi to widział. Nie wiedziałem po prostu, że... jakby to powiedzieć... że to takie poważne.

i Był taki okres - zbliżał się wtedy do dwudziestki - kiedy wydawało się przez dwa lata, że wszystko jest już w porządku. Oczywiście okazało się to złudzeniem. Rodzice mieszkali wtedy w pięknym domu na Brooklyn Heights, to było mniej więcej rok przed wybuchem wojny. Pewnego wieczoru, po jakiejś dzikiej awanturze Natan wbił sobie do głowy, że musi podpalić dom, prawie to zrobił. Wtedy właśnie musieliśmy go oddać do

zakładu na długie leczenie. Po raz pierwszy... ale nie ostatni.

Wzmianka o wojnie przypomniała mi o pewnej zagadce, trapiącej mnie od chwili, gdy poznałem Natana, którą z niewyjaśnionych powodów zignorowałem i upchnąłem w jakiejś nieużywanej, zakurzonej szufladce mojego mózgu. Natan był oczywiście w takim wieku, że logicznie biorąc powinien zostać zmobilizowany, ale ponieważ nigdy nie mówił sam o swojej służbie wojskowej, nie dopytywałem się, uznając, że to jego sprawa. Teraz jednak nie mogłem się powstrzymać, aby nie zapytać:

- A co robił Natan podczas wojny?

- Mój Boże, miał kategorię 4-F. W okresie wyciszenia choroby starał się o przyjęcie do wojsk spadochronowych, ale w porę temu zapobiegliśmy. Nie nadawał się do żadnej formacji. Siedział w domu, czytał Prousta i *Principia* Newtona. I od czasu do czasu odwiedzał Bedlam.

Długo milczałem, starając się wchłonąć te wszystkie informacje, które tak definitywnie potwierdzały moje obawy co do Natana - obawy i podejrzenia, jakie do tej pory udawało mi się powściągać. Siedziałem tak zasepiony i milczący, gdy do pokoju weszła bardzo ładna, ciemnowłosa kobieta około trzydziestki, zbliżyła się do Larry'ego i dotknąwszy jego ramienia, powiedziała:

- Wychodzę na moment, kochanie. - Wstałem i Larry przedstawił mi swoją żonę Mimi. - Miło mi pana poznać powiedziała podając mi rękę. - Może uda się panu pomóc nam w sprawie Natana. Bardzo się o niego martwimy. Tyle o panu mówił, że wydaje mi się pan jego młodszym bratem.

Powiedziałem jakiś grzecznościowy banał, ale nim zdążyłem cokolwiek dodać, oświadczyła:

i Zostawiam panów, żebyście mogli sobie porozmawiać. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. - Była oszałamiająco piękna przemiała; kiedy obserwowałem ją, jak poruszając się ze swobodnym wdziękiem idzie po puszystym dywanie - który dopiero teraz dostrzegłem w tym wykładanym boazerią wnętrzu, ciepłym, pełnym półek z książkami i dyskretnego wykwintu - mocniej zabiło mi serce. Dlaczego musiałem być borykającym się z przeciwnościami, gołym pisarzem bez jednej opublikowanej książki, a nie przystojnym, inteligentnym, żydowskim urologiem z seksowną żoną?

- Nie wiem, co Natan opowiadał ci o sobie. Czy też o naszej rodzinie. - Larry nalał mi piwa. - Nie chciałbym cię zanudzać szczegółami, ale mój ojciec zrobił - no, powiedzmy, duże pieniądze. I to na koszernej zupie w puszkach. Kiedy przyjechał tu z Łotwy, nie mówił słowa po angielsku i w ciągu trzydziestu lat zbił harmonię forsy.

Biedaczysko jest teraz w domu starców luksusowym domu starców. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to wulgarnie. Mówię o tym tylko dlatego, żeby podkreślić, na jaką opiekę medyczną dla Natana możemy sobie pozwolić. Miał najlepszą, jaką mogą zapewnić duże pieniądze, ale nic to na dłuższą metę nie pomogło.

Przerwał na moment i z jego piersi wydobyło się westchnienie pełne bólu i melancholii.

i Tak więc przez ostatnie lata tułał się po różnych zakładach, od Payne Whitneya po Riggsa, Menningera i tak dalej, a po każdym wyjściu następowały okresy względnego uspokojenia wtedy zachowywał się tak normalnie, jak ty czy ja. Kiedy załatwiliśmy mu tę pracę w bibliotece u Pfizera, sądziliśmy, że może wreszcie nastąpiła stała remisja. Takie remisje czy nawet ozdrowienia czasami się zdarzają. Właściwie procentowo jest ich całkiem sporo. Był najwyraźniej bardzo zadowolony ze swojego zajęcia i choć docierały do nas wiadomości, że przechwala się przecenia znaczenie swej pracy ponad wszelką miarę, uznaliśmy to za nieszkodliwe. Nawet te jego dęte bałamuctwa na temat wynalezienia jakiegoś cudownego leku nikomu nie mogły zaszkodzić. Wydawało się, że się ustatkował, a w każdym razie był na dobrej drodze do, powiedzmy, normalności. Do takiej normalności, jaką może osiągnąć czubek. No i teraz pojawia się ta jego urocza, smutna, przetrącona przez los Polka. Biedactwo. Powiedział mi, że mają zamiar się pobrać - i co ty o tym myślisz, Stingo?

- W tej sytuacji nie może się chyba żenić, prawda? - zapytałem.

- Nie powinien - stwierdził Larry krótko. - Ale jak go powstrzymać? Gdyby jego obłęd był czymś stałym i niemożliwym do opanowania, moglibyśmy go oddać do zakładu dożywotnio. To rozwiązałoby wszystko. Ale, widzisz, największy problem w tym, że zdarzają się te długie okresy, kiedy wydaje się normalny. A kto zaręczy, że jedna z tych dłuższych remisji nie jest symptomem całkowitego ozdrowienia? Statystyki notują wiele takich przypadków. Jak można więzić człowieka w zakładzie, odmawiać mu szansy na normalne życie, zakładając najgorsze - że znów popadnie w obłęd - kiedy się nie ma co do tego pewności? A teraz przypuśćmy, że poślubi tę miłą dziewczynę i że będą mieli dziecko. I założmy, że znów mu odbije. To byłoby fatalne - dla wszystkich! - Zamilkł i po chwili spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. - Nie znajduję rozwiązania westchnął. - Czasami mam wrażenie, że życie jest jakąś potworną pułapką.

Wierciłem się niespokojnie w swoim krześle; opanowało mnie niewysłowione przygnębienie, jakby brzemień całego wszechświata zważyło mi się na barki. Jakże mogłem powiedzieć Larry'emu, że właśnie widziałem jego brata, mojego ukochanego przyjaciela, na

krawędzi największej chyba katastrofy w jego życiu? Słyszałem już co nieco o szaleństwie: jawiło mi się ono w postaci nieszczęśników miotających się w szale w swych odizolowanych od świata celach o obitych miętko ścianach. Sam czułem się bezpieczny. I teraz to szaleństwo wskoczyło mi wprost na kolana.

- W czym ja mógłbym pomóc? - zapytałem. - To znaczy, dlaczego pan...

i Dlaczego cię tu zaprosiłem? - przerwał mi łagodnie. - Sam tego nie wiem. Liczyłem chyba na to, że zdołasz go jakoś powstrzymać od brania narkotyków. To jest teraz największe zagrożenie dla Natana. Jeśli skończy z benzedryną, będzie miał realną szansę wyjścia z tego wszystkiego. Ja tu niewiele mogę zdziałać. W pewnym sensie jesteśmy sobie bardzo bliscy - czy mi się to podoba, czy nie, jestem dla niego czymś w rodzaju wzorca ale zdaję sobie też sprawę, że jednocześnie może mnie nienawidzić jako autorytetu. Poza tym nie widzimy się zbyt często. Ale ty - ty jesteś mu naprawdę bliski i do tego cieszysz się jego szacunkiem. Zastanawiam się po prostu, czy nie byłoby jakiegoś sposobu, żeby mu wyperswadować - nie, to za mocne słowo - wpłynąć na niego, żeby odstawił to zabójcze dla niego świństwo. Mógłbyś też - nie prosiłbym cię o to, gdyby Natan nie był tak zagrożony - mógłbyś po prostu mieć na niego oko informować mnie od czasu do czasu telefonicznie, co się z nim dzieje. Czuję się często wyłączony z jego spraw i wobec tego trochę bezradny, ale gdybyś czasami zadzwonił, bardzo byś nam pomógł. Czy uważasz, że to wszystko ma jakiś sens?

- Absolutnie tak. Bardzo chciałbym pomóc. Pomóc Natanowi. I Zofii. Są mi tak bliscy. - Wydawało mi się, że pora zakończyć wizytę, więc wstałem, by pożegnać się z Larrym

- Myślę, że będzie lepiej - bąknąłem, zdając sobie w głębi duszy sprawę, że przemawia przede mną jedynie desperacki optymizm.

- Mam nadzieję - rzekł Larry, ale widoczne przygnębienie pomimo wysiłków, jakie czynił, by się uśmiechnąć - zdradzało, że jego optymizm był, podobnie jak mój, wątki i niełatwy.

Obawiam się, że wkrótce po spotkaniu z Larrym dopuściłem się poważnego uchybienia. Nasza krótka narada była z jego strony rodzajem apelu, by mieć Natana na oku i podjąć się roli łącznika pomiędzy Różowym Pałacem a nim - służyć obydwu jako czujka i poczciwy pies łańcuchowy, który będzie dyskretnie deptał Natanowi po piętach i kontrolował go. Larry miał najwidoczniej nadzieję, że zdołam w tym delikatnym okresie przerwy w zażywaniu narkotyków uspokoić Natana, unormować jego życie i, być może, osiągnąć jakieś bardziej trwałe, warte zachodu rezultaty. Czy nie od tego w końcu są przyjaciele? Tymczasem

ja dałem plamę (wyrażenie wówczas nie używane, ale precyzyjnie oddające rodzaj mojego zaniedbania czy też dokładniej: dezercji).

Czasami zastanawiam się, czy nie udałoby mi się upilnować Natana, zapobiec jego ostatecznemu upadkowi, gdybym pozostał na scenie w tamtych decydujących dniach, i wtedy odpowiadam sobie często ze smutkiem: „tak” lub „być może”. A czy nie powinienem był powiedzieć Zofii o tych ponurych sprawach, o jakich dowiedziałem się od Larry’ego? Ponieważ jednak nie mogłem dokładnie przewidzieć, co się stanie, zawsze znajdowałem marne usprawiedliwienie w tym, że Natan i tak pędził na łeb, na szyję ku nieodwracalnej, z góry wiadomej katastrofie - a los Zofii związany był nierozdzielnie z jego przeznaczeniem.

Najdziwniejsze było to, że wyjechałem na krótko - na niecałe dziesięć dni. Była to oprócz naszej sobotniej przejażdżki z Zofią na Jones Beach jedyna moja wyprawa poza granice Nowego

Jorku od czasu przybycia do miasta przed wieloma miesiącami. Trudno zresztą określać wycieczkę do spokojnej, wiejskiej posiadłości w Rockland County, odległej o pół godziny jazdy samochodem na północ od mostu Jerzego Waszyngtona, jako wyjazd za miasto. Doszło do niego w wyniku kolejnej nieoczekiwanej rozmowy telefonicznej. Dzwonił stary kumpel z Marine Corps o uderzająco pospolitym imieniu i nazwisku: Jack Brown. Telefon był dla mnie absolutnym zaskoczeniem; kiedy zapytałem Jacka, jak, u licha, udało mu się mnie wytropić, odpowiedział, że w całkiem prosty sposób - zadzwonił do Wirginii i ojciec dał mu numer telefonu. Ucieszyłem się, słysząc jego głos: typowe dla Południowca kadencje, bogate i rozlewne jak muliste wody rzek płynących przez niziną Południową Karolinę, rodzinne strony Jacka Browna, pieściły me ucho niczym dawno nie słyszane, drogie sercu dźwięki banjo. Zapytałem Jacka, jak mu się wiedzie.

- Jest fajnie, zupełnie fajnie - odpowiedział. - Żyję tu sobie wśród Jankesów. Może byś wpadł do mnie?

Uwielbiałem Jacka Browna. Przyjaźnie zadziergnięte we wczesnej młodości należą do najmilej wspominanych; jest w nich miłość i lojalność, jakiej nie wiedzieć czemu brakuje przyjaźniom zawartym w późniejszym okresie życia, nawet tym najprawdziwszym. Jack był jednym z takich dawnych przyjaciół. Bystry, wrażliwy, oczytany, obdarzony niesamowitym talentem komicznym, miał wyjątkowego nosa, jeśli chodzi o przeróżnych oszustów i wydrwigroszy. Jego dowcip, nierzadko zjadliwy, a polegający najczęściej na subtelnych wykorzystywaniu sądowej retoryki Południa (przyswojonej zapewne po części od ojca, wybitnego prawnika), przyprawiał mnie o nieustające ataki śmiechu podczas gnuśnych, wojennych miesięcy w Duke, gdzie dowódcy Marine Corps, zdecydowani przerobić mięso

armatnie ostatniego sortu na mięso armatnie pierwszego gatunku, usiłovali nafaszerować nas w ciągu roku porcją wiedzy zaprogramowaną na dwa lata, produkując w ten sposób całą generację niedopieczonych absolwentów. Jack był trochę starszy ode mnie - o te niezbędne dziewięć miesięcy czy coś koło tego - a zatem wcześniej dane mu było powąchać proch, podczas gdy mnie udało się ujść cało. Listy, które pisał do mnie z bazy na Pacyfiku - kiedy rozdzieliły nas wojenne losy i on szykował się do szturmu na Iwo Jimę, a ja ze swym plutonem uczyłem się taktyki na moczarach Północnej Karoliny - były zachwycającymi, długimi elaboratami pełnymi świńskich dowcipów. Zaprawiał je zwariowanym, wisielczym humorem, który uznawałem za patent Jacka, dopóki po latach nie odkryłem podobnej, cudownie wskrzeszonej formuły w *Paragrafie 22*. Nawet po tym, jak został ciężko ranny - stracił pod Iwo Jimą nogę - zachowywał pogodę ducha, którą trudno określić inaczej niż jako rodzaj egzaltacji, i dalej pisał ze szpitala listy kipiące mieszaniną *joie de vivre*, swiftowskiej zjadliwości i energii. Jestem przekonany, że tylko jego obłądny i królewski stoicyzm uchronił go przed samobójczymi myślami. Proteza zupełnie go nie peszyła; utrzymywał, że utykanie przydaje mu pewnego wdzięku, jak Herbertowi Marshallowi.

Wspominam o tym tylko dlatego, żeby dać czytelnikowi pojęcie, jak wyjątkowo fascynującą postacią był Jack, i wyjaśnić, dlaczego tak skwapliwie przyjąłem zaproszenie, zaniehbując swoje zobowiązania co do Natana i Zofii. Jeszcze w Duke Jack zamierzał zostać rzeźbiarzem i po wojnie, ukończywszy studia w Art Students' League, osiadł w pagórkowatej okolicy Nyack, by tam tworzyć potężne konstrukcje z żeliwa i blachy - korzystając (czego przede mną nie ukrywał) z dużych pieniędzy, które właściwie należało uznać za posag, jako że jego żona była córką jednego z największych w Południowej Karolinie właścicieli fabryk włókienniczych. Kiedy w pierwszej chwili zacząłem się bez przekonania wymawiać od wizyty, twierdząc, że może na tym ucierpieć moja książka, która ostatnio rozwija się tak wspaniale, położył kres moim wahaniom: dom ma jedno niewielkie skrzydło - będę się tam mógł zaszyć i spokojnie pracować.

- Poza tym - dodał - przyjechała do nas siostra, mojej żony Dolores. Ma na imię Mary Alice, dwadzieścia jeden lat, jest ładnie zaokrąglona i - wierz mi bracie - śliczna jak obrazek. Oczywiście Renoira. Jest też bardzo chętna.

Z radością podchwyciłem to „chętna”. Łatwo się domyślić, zważywszy na moją regularnie odżywającą tęsknotę za seksualnym spełnieniem, opisaną już w tej kronice, że nie potrzebowiałem dalszych bodźców.

Mary Alice. Chryste Panie. Mary Alice. O Mary Alice dosłownie za chwilę. Odgrywa ona ważną rolę w tej historii ze względu na osobliwe psychiczne konsekwencje naszego

spotkania, konsekwencje, które na pewien czas, na szczęście krótki, zaprawiły jadem ostatnie chwile mojej przyjaźni z Zofią.

Jeśli chodzi o samą Zofię i Natana, muszę napomknąć o naszej małej uroczystości, jaka odbyła się w Mapie Court wieczorem, w dniu mojego wyjazdu. Miało to być radosne wydarzenie - i takim mogło się wydawać postronnemu obserwatorowi - ale dwie sprawy budziły mój niepokój i złe przeczucia. Po pierwsze sprawa picia Zofii. Zauważyłem, że w tym krótkim okresie po powrocie Natana stroniła od gorzałki, być może tylko ze względu na jego krępującą obecność; w „dawnych czasach” rzadko widywałem, by którekolwiek z nich pozwalało sobie na coś mocniejszego niż rytualna butelka chablis. Teraz jednak Zofia znów nabrała pijackiego fasonu, jaki zaobserwowałem u niej w czasie nieobecności Natana, i wychylała jednego głębszego za drugim, znosząc to jak zwykle całkiem nieźle, jeśli nie liczyć lekkich zaburzeń mowy. Nie miałem pojęcia, dlaczego wróciła do mocnych trunków. Nic oczywiście nie mówiłem - Natan pozornie panował nad sytuacją - ale bolało mnie i martwiło to, że Zofia najwidoczniej błyskawicznie przeobraża się w pijaczkę. Dodatkowo niepokoił mnie fakt, że Natan jakby niczego nie zauważał, a jeśli nawet było inaczej, nie próbował podjąć żadnych środków zaradczych, jakie przy takim tęgim, nieumiarkowanym i potencjalnie niebezpiecznym picu były wręcz niezbędne.

Tego wieczoru, ujmujący i rozmowny, zamawiał dla mnie kolejne kufle piwa, aż zakręciło mi się w głowie i poczułem, że jestem bliski odlotu. Oczarował nas serią niebywale śmiesznych, na wskroś żydowskich anegdotek ze światka showbiznesu, które gdzieś zasłyszał. Wydawało mi się, że jest w szczytowej formie, najlepszej od czasu tamtego pierwszego dnia przed miesiącami, kiedy to podbił mój umysł i serce; dosłownie dygotałem w euforii, rozkoszując się towarzystwem tego zabawnego, pełnego radości życia człowieka, gdy nagle jedno jego stwierdzenie sprawiło, że mój wspaniały nastrój spłynął jak woda do otworu ściekowego. Kiedy podnieśliśmy się z krzeseł, by wrócić do Różowego Pałacu, spoważniał, spojrzał na mnie oczami, za którymi, jak wiedziałem, czał się w mrocznych regionach jego mózgu obłąd, i powiedział:

- Nie chciałem ci tego mówić wcześniej, żebyś miał o czym myśleć jutro rano, w drodze na wieś. Kiedy wrócisz, uczcimy rzecz naprawdę niezwykłą. A mianowicie fakt, że mój zespół badawczy jest o krok od wynalezienia szczepionki przeciw... tu zawiesił głos, po czym uroczyście wymówił słowo budzące w tamtych czasach grozę, oddzielając każdą sylabę tej zawilej nazwy: -... *poliomyelitis. Finis* z porażeniem dziecięcym. Koniec z radiową kwestą. Natan Landau, wybawca ludzkości.

Chciało mi się płakać. Powinienem był coś powiedzieć, ale mając w pamięci to, co

wyjawił mi Larry, nie byłem w stanie wydobyć słowa, więc kroczyłem w ciemnościach do domu pani Zimmerman, słuchając obłąkańczego bajania Natana o uodparnianiu tkanki i komórek (z jedną krótką przerwą na trzepnięcie Zofii w plecy, żeby przeszła jej pijacka czkawka) i milcząc przez cały czas, jakby mnie замуrowało, z sercem przepelnionym litością i grozą...

Nawet po latach przyjemnie byłoby mi donieść, że mój pobyt w Rockland przyniósł mi coś w rodzaju kompensującego wyzwolenia od strapień związanych z Natanem i Zofią. Tydzień czy dziesięć dni ciężkiej i owocnej pracy oraz radosnego chędożenia, jakiego sugestie Jacka Browna kazały mi się spodziewać - takie zajęcia mogłyby stanowić satysfakcjonującą zapłatę za to, co przecierpiałem, i Bóg mi świadkiem, miałem jeszcze wkrótce przecierpieć z niewyobrażalną wprost intensywnością. Niestety, wspominam tę wizytę, a w każdym razie sporą jej część, jako fiasko; wymowny dowód owej klęski zawierają stronicy zachowanego i cytowanego wcześniej dziennika, tego samego, w którym uczciłem pamięć mojej przygody z Leslie Lapidus.

Zgodnie z logiką pobyt na wsi powinien stać się, czego tak gorąco pragnąłem, jedną upojną idyllą. W końcu były tam wszystkie niezbędne składniki: położone w głębokich lasach, malowniczo zmurszałe domostwo w eklektycznym, kolonialnym stylu, uroczy młody gospodarz i jego żywa jak iskra małżonka, wygodne łoże, mnóstwo przysmaków kuchni Południa, morze gorzałki i piwa i wreszcie radosna nadzieja na seksualne spełnienie w objęciach Mary Alice Grimball, dziewczyny o trójkątnej, jasnej, idealnie gładkiej twarzy z dołeczkami, ślicznych, wilgotnych, „z gotowością” rozchylnych ustach, burzą włosów barwy miodu oraz z dyplomem absolwentki wydziału filologii angielskiej Converse College, jednym słowem najrozkoszniejszej dupeczki, jaka kiedykolwiek przywiosłowała na północ ze Spartanburga.

Czyż mogło być coś bardziej zachęcającego i obiecującego niż taki układ? Oto mamy napalonego młodego kawalera, pochłoniętego przez cały dzień pisaniem, do którego świadomości dociera tylko **brzdęk, brzdęk** narzędzi jednonogiego przyjaciela - - rzeźbiarza oraz zapach pieczonych kurczaków i **hush puppies** smażonych w kuchni. Jego proza osiąga szczyty wyrafinowania i mocy dzięki usadowionej w jego mózgu jak kura na grzędzie miłej pewności, że wieczór przyniesie wytchnienie w gronie przyjaciół, dobre jedzenie, pogawędki pobrzmiwające nostalgią za rodzinnym Południem - a wszystko to czyni jeszcze bardziej podniecającym obecność dwóch uroczych młodych kobiet, z których jedna będzie wkrótce w ciemnościach nocy szeptać, wzdychać i jęczeć z rozkoszy w skotłowanej pościeli, uwikłana w gorące, miłosne sploty. I rzeczywiście: czysto domowe aspekty tej fantazji zostały w pełni

zrealizowane. Nie narzekałem na brak zajęć podczas tych dni spędzonych z Jackiem Brownem, jego żoną i Mary Alice. Cała nasza czwórka pływała w leśnym jezioru (woda była jeszcze całkiem ciepła), nasze biesiady były wystawne i sympatyczne, a rozmowy pełne zabawnych wspomnień. Ale nie zabrakło też cierpienia: każdego ranka, kiedy przed świtem spotykaliśmy się potajemnie z Mary Alice, padałem w dosłownym tego słowa znaczeniu - ofiarą ekscentrycznych praktyk seksualnych, o jakich mi się nie śniło i z jakimi nigdy dotąd się nie spotkałem. Bo Mary Alice okazała się - jak to rzeczowo, metodą porównawczą, zanalizowałem w swoich zapiskach (nabazgranych w takim samym gorączkowym i pełnym niedowierzania pośpiechu, z jakim opisywałem inny katastrofalny romans sprzed paru miesięcy) -

... czymś znacznie gorszym niż zwykła Odbijaczka Lasek, prawdziwa artystka brandzłotechniki. Siedzę tu w porze przedświt, słucham świerszczy i rozmyślam nad jej mistrzostwem w tej żalosalnej sztuce, którego doświadczam już przez trzy kolejne poranki. Przetrawiam swą klęskę. Po raz któryś z rzędu przyjrzałem się sobie dokładnie w lustrze w łazience i nie mogę dostrzec żadnego mankamentu w mojej fizjonomii, przeciwnie, muszę skromnie stwierdzić, że wszystko jest w porządku: silny nos, inteligentne piwne oczy, zdrowa cera, doskonały układ kostny (nie tak, dzięki Bogu, szlachetny, żeby można go było nazwać „arystokratycznym”, ale wystarczająco kształtny, bym nie wyglądał na pospolitego plebejusza), dość zabawne usta i podbródek składają się na oblicze, które można bez przesady uznać za przystojne, choć dalekie od stereotypowej urody modela z reklamówek. Nie może jej zatem odstręczać mój wygląd. Mary Alice jest wrażliwa, ocytana, to znaczy zna świetnie jedną czy dwie książki, które i ja lubię. Ma spore poczucie humoru (trudno ją nazwać gejzerem dowcipów, ale któż nim jest przy Jacku Brownie?), zdaje się niezłe orientować w sprawach „światowych” i ma dość nowoczesne poglądy jak na dziewczynę wychowaną na Południu. Jakby bezwiednie, na zasadzie atawizmu, zbyt często mówi o chodzeniu do kościoła. Żadne z nas nie było na tyle nieroztropne i nieostrożne, by pozwolić sobie na wyznania miłosne, ale widać, że jest, przynajmniej lekko, rozbudzona seksualnie. W tej jednak dziedzinie stanowi odwrotność Leslie, gdyż pomimo namiętności (myślę, że częściowo udawanej), jaką okazuje w gorących pieszczotach, jest (jak większość dziewcząt z Południa) strasznie pruderyjna, jeśli chodzi o język. Kiedy na przykład podczas naszej pierwszej „miłosnej” sesji odważyłem się po godzinie napomknąć, że ma, moim zdaniem, cudowną dupkę, i podniecony daremnie usiłowałem położyć tam rękę, odskoczyła syknąwszy dziko („Nienawidzę tego słowa! Czy nie możesz powiedzieć »biodra«?”), a wtedy uprzytomniłem sobie, że dalsze moje świn - tuszenie może się skończyć fatalnie.

Ma bardzo przyjemne, drobne i krągłe zderzaki, jak dwa pulchne melony kantalupy, ale nic nie może dorównać perfekcji tej dupy, która - oprócz może tyłka Zofii - jest światowym wzorcem doskonałości. Są to dwa księżyce o tak bezlitosnej symetrii, że nawet kiedy ma na sobie brzydką spódnicę typu Peck 8c Peck, przesywa mnie w kroku takie uklucie bólu, jakby mnie muł kopnął w jaja. Zdolności „językowe”: takie sobie. W porównaniu z Leslie, której ekwilibrystyczne wyczyny z językiem wywarły na mnie tak niezatarte wrażenie, jest zupełnie pozbawiona polotu. Skoro jednak Mary Alice, podobnie jak Leslie, nie pozwala mi dotknąć palcem żadnego z bardziej interesujących zagłębień czy zakamarków swego niewiarygodnie ponętnego ciała, czemuż tak bardzo zbija mnie z tropu dziwaczny fakt, że jedyną rzeczą, jaką chętnie, acz bez przyjemności i raczej od niechcienia robi, jest odbijanie mojej laski, godzinami, dopóki nie zamienię się w na pół żywy, pozbawiony soków badył, wyczerpany i wręcz upokorzony tym kretyńskim zajęciem? Początkowo świadomość, że ta mała rączka baptystki dzierży mojego sterczącego jak wieża drąga, niesamowicie mnie podnieciła, jako że było to jedno z moich pierwszych doświadczeń tego rodzaju, więc prawie natychmiast skapitulowałem, oblewając siebie i ją, co ku memu zaskoczeniu (była przecież taka przeczulona na punkcie przyzwoitości) najwidoczniej jej me speszyło: wytarła się tylko obojętnie zaoferowaną jej chusteczką. Ale po trzech nocach z dziewięcioma orgazmami (po trzy każdej nocy, skrupulatnie wyliczone) bliski byłem całkowitego znieczulenia i pomyślałem, że w tego rodzaju praktykach jest coś obłędnego. Na moją niewypowiedzianą głośno sugestię (delikatne przygięcie w dół jej głowy), że mogłaby wykonać coś, co Włosi nazywają fellatio, zareagowała z taką odrazą, jakbym kazał jej zjeść kawałek surowego mięsa z kangura, więc raz na zawsze zrezygnowałem z dalszych prób.

I tak upływały w ciszy kolejne parne noce. Jej słodkie młode piersi pozostawały uwięzione, przeżyły się w stalowym panczerzu biustonosza Maidenform, pod zapiętą pod szyję bawełnianą bluzką. Nie było przyzwolenia, nie było dostępu do tego upragnionego klejnotu ukrytego pomiędzy udami tak bezpiecznie, jakby spoczywał w Fort Knox. Lecz patrzcie! - oto mija godzina i znów wyskakuje mój wyprężony drąg, i znów Mary Alice chwyta go ze stoicką flegmą i pompuje, pompuje mozolnie niczym jakiś sędzia sportowy oddzwaniający zakończenie maratonu, podczas gdy ja dyszę, jęczę groteskowo, skamlę idiotycznie: „O Boże, jak mi dobrze, Mary Alice!”, widzę kątem oka jej śliczną, kompletnie obojętną twarz i narasta we mnie żądza i rozpacz zarazem jednak z przewagą rozpaczy, kiedy myślę, jakie to wszystko wulgarne. Tymczasem wstaje świt: nad sielskimi wzgórzami Rampao unosi się mgła i rozbrzmiewa świergot ptaków. Biedny, poczciwy Tomcio Paluch zwiotczał, skapcał i wygląda jak zmaltretowana dżdżownica. Zastanawiam się, dlaczego trzeba mi

było aż trzech nocy, by dojść do wniosku, iż moja samobójcza niemal depresja bierze się ze smutnej świadomości, że to, co z takim rybim chłodem wyprawia ze mną Mary Alice, mógłbym zrobić sam, i to znacznie lepiej, a już na pewno z większym uczuciem.

Gdzieś pod koniec pobytu w domu Jacka Browna - pewnego szarego, dżdżystego dnia, kiedy jesień dała o sobie znać pierwszym tchnieniem chłodu - dokonałem jeszcze jednego zapisu w moim notatniku. Pajęczy, niepewny charakter pisma, którego oczywiście nie mogę tu reprodukcować, jest świadectwem mojego ówczesnego stresu.

Bezsenna lub prawie bezsenna noc. Nie mogę winić Jacka Browna, którego tak bardzo lubię, ani za moją klęskę, ani za jego brak rozeznania w sytuacji. To nie jego wina, że Mary Alice jest dla mnie taką zadrą. Jack najwidoczniej wyobraża sobie, że co najmniej od tygodnia Mary Alice i ja ruchamy się jak króliki; pewne uwagi, jakie czyni na stronie (uzupełnione znaczącym szturchańcem) najwyraźniej wskazują na to, iż sądzi, że zażywam rozkoszy z jego piękną szwagierką. A ja, tchórz, nie mogę się zdobyć na rozwianie jego złudzeń. Dziś wieczorem, po pysznej kolacji z najlepszą wirgińską szynką, jaką kiedykolwiek jadłem, wybraliśmy się całą czwórką do Nyack na jakiś kretyński film. Po powrocie do domu, tuż po północy Jack i Dolores udają się do swej sypialni, a Mary Alice i ja zaszywamy się w miłosnym gniazdku na werandzie, by kontynuować nasz ponury rytuał. Wypiłem mnóstwo piwa, żeby wydać się bardziej władczy. Zaczyna się „oblapanie”, całkiem początkowo przyjemne, po tym zaś ciągnącym się w nieskończoność preludium następują rutynowe i nieuniknione czynności, zmierzające do śmiertelnie już dla mnie nudnego i wręcz nieznośnie odstręczającego finału. Nie czekając już teraz na moją inicjatywę, Mary Alice zaczyna mi się dobierać do rozporka swą perfidną rączką, gotowa beznamyślnie dokonać zwykłej operacji na moim równie zniechęconym przyrodzeniu. Tym razem jednak powstrzymuję ją w pół drogi, gotów do wyłożenia kart na stół, co planowałem przez cały dzień. - Mary Alice - powiadam. - Porozmawiajmy szczerze. Nie wiem, czemu tego dotąd nie zrobiliśmy. Lubię cię bardzo, ale mówiąc uczciwie nie zniosę dłużej tych frustrujących praktyk. Czy to z obawy przed... (zawahałem się, przypomniawszy sobie jej wyczulenie na słownictwo) czy to z obawy... no wiesz przed czym? Jeśli tak, to chciałbym cię poinformować, że mam pewne środki zabezpieczające przed... wpadką. Obiecuję, że będę bardzo ostrożny. - Po chwili milczenia kładzie z westchnieniem głowę na moim ramieniu - czuję cudowny aż do bólu zapach gardenii w jej wspaniałych włosach - i mówi: - To nie to, Stingo.

- *Znów milknie. - No więc co? - pytam. - Czy zdajesz sobie sprawę, że nie licząc pocałunków, dosłownie nigdzie cię nie dotknąłem? To chyba nie jest w porządku, Mary*

Alice. W tym, co robimy, jest wręcz coś głęboko perwersyjnego. - Po dłuższej przerwie ona mówi: - Ach Stingo, me wiem doprawdy... Ja też bardzo cię lubię, ale, widzisz, nie jesteśmy zakochani. Seks i miłość są dla mnie czymś nierozzerwalnym. Chcę zachować wszystko dla tego, którego pokocham. Dla nas obojga. Tak się już raz sparzyłam. - Jak to „sparzyłam”?pytam. - Byłaś zakochana? - Owszem, przynajmniej tak mi się zdawało. On mnie tak strasznie zranił. Nie chcę się sparzyć drugi raz.

I tu opowiada mi historię swej po dziś dzień oplakiwanej, minionej miłości, koszmarną jak opowiadanie z „Cosmopolitan”, historię stanowiącą komentarz do seksualnej obyczajowości lat czterdziestych i zarazem wytłumaczenie owego przejawu psychopatologii, która każe jej tak mnie torturować. Miała narzeczonego, niejakiego Waltera - opowiada - pilota z lotniskowca, który zalecał się do niej przez cztery miesiące. Przez cały ten okres przed zaręczynami (wyjaśnia mi to okrężnie, w słowach, jakich nie powstydzilaby się Mrs. Grundy z wiktoriańskiej szkółki) nie współżyli z sobą seksualnie w normalny sposób, choć na jego życzenie nauczyła się trzepać mu konia („stymulować”), zapewne z tą samą beznamiętną i jednostajną rutyną, jaką demonstrowała na mnie. Noc po nocy zabawiała się tak, aby mu „użyć” (właśnie tego ohydneho określenia użyła) i ocałić swój aksamitny skarbeczykprzed spalającymi Waltera zakusami. (Cztery miesiące! Wyobrażam sobie te marynarskie spodnie Walta i te oceany spermy!) Dopiero gdy nieszczęsny as przestworzy złożył formalne oświadczyzny, a potem wyciągnął zaręczynowy pierścionek (kontynuuję Mary Alice beznamiętnym, niewinnym głosem), udostępniła mu swą słodką dziurkę, bo jako baptystka wierzyła, zgodnie z wpojonymi jej zasadami, że pewne jak śmierć nieszczęście spadnie na tych, którzy zespolą się cieleśnie bez przynajmniej widoków na małżeństwo. W gruncie rzeczy, ciągnęła, już to, co robiła przedtem, czyli po prostu trzepanie kapucyna, było wystarczająco niegodziwe. Tu Mary Alice robi krótką pauzę i podejmując zarzucony wątek mówi coś, na co reaguję zgrzytaniem zębów: - Nie chodzi o to, że cię nie pragnę, Stingo. Potrafię pragnąć. Walter nauczył mnie, co to miłość fizyczna. - Kiedy tak w nieskończoność prawi półgłosem komunały

o „szacunku”, „czułości”, „wierności”, „wzajemnym zrozumieniu” tym podobnych chrześcijańskich bredniach, nachodzi mnie wielka i nieprzeparta chęć, żeby ją zgwałcić. Wracając do jej opowieści: Walter czmychnął na dzień przed ślubem - i było to największym wstrząsem w jej życiu. - Tak właśnie zostałam zraniona, Stingo, i po prostu nie chcę się oparzyć drugi raz.

Milczę przez chwilę. - Współczuję ci - mówię w końcu. - To smutna historia - dodaje, usiłując pohamować sarkazm, o który to wszystko aż się prosi. - Bardzo smutna. Myślę, że

to się przydarza wielu ludziom. Ale chyba wiem, dlaczego Walter cię rzucił. Powiedz, Mary Alice, czy ty naprawdę uważasz, że dwoje zdrowych, młodych ludzi, którzy czują do siebie pociąg, musi przejść przez tę maskaradę i wstrzymać się od pieprzenia, dopóki się nie pobiorą? Naprawdę tak uważasz? - Czuję, że sztywnieje, i słyszę, jak zatyka ją na dźwięk tego strasznego wyrażonka; odsuwa się ode mnie i coś w jej świętoszkowatej postawie rozwściecza mnie jeszcze bardziej. Mój nagły upust furii wprawia ją (i teraz jest to zrozumiałe) w osłupienie; kiedy i ja odsuwam się od mej i zrywam się, nie panując nad sobą, widzę, że jej usta, całe wysmarowane na czerwono od pocałunków, układają się w małe, przerażone „o”. - Walter me nauczył cię niczego, ty obłudna, żalotna idiotko! - krzyczę. - Założę się, że nikt cię porządnie me zerznął! Walter nauczył cię tylko, jak brandzlować nieszczęsnych palantów, którzy chcą ci ściągnąć majtki! Trzeba ci czegoś, co by wprawilo tę twoją śliczną dupcię w ruch, aż zawiruje z rozkoszy, żeby ktoś wraził ci wielkiego, sztywnego kutasa do tej twojej zaryglowanej cipy, kurwa! - krztuszę się zawstydzony swoim wybuchem, ale także bliski parsknięcia wariackim śmiechem, bo Mary Alice jak sześciolatka dziewczynka zatyka palcami uszy, a Izy toczą się jej po policzkach. Odbija mi się piwem. Jestem potworem. A jednak nie mogę się powstrzymać, by na nią nie ryczeć. - Wy, specjalistki od napalania facetów, przekształciłyście miliony dzielnych, młodych ludzi, z których wielu oddało za wasze drogocenne dupy życie na polach bitewnych całego świata, w seksualne kaleki! - Wypadam jak burza z werandy i z łomotem biegnę po schodach do swojego pokoju. I po całych godzinach przewracania się w łóżku zapadam w niespokojną drzemkę. Sm mi się coś, co ze względu na jaskrawo freudowski charakter wzdragałbym się przytaczać w powieści, ale czego Tobie, Drogi Dzienniku, me waham się powierzyć: m ój Pie rw - szy Homoseksualny Sen!

Nieco później, tego samego ranka, wkrótce po zanotowaniu powyższego w moim dzienniku i napisaniu kilku listów, siedziałem przy stole, przy którym tak dobrze mi się pracowało w ciągu ostatnich dni, i rozmyślałem ponuro o zaskakującej, homoerotycznej zjawie, jaka przemknęła przez moją świadomość niczym gęsta, czarna chmura (rozkrwawiając mi serce i napełniając mnie obawą o stan mojej duszy), gdy nagle usłyszałem odgłos utykających kroków Jacka Browna na schodach, a potem jego nawoływania. Właściwie nie usłyszałem ich ani nie zareagowałem na nie od razu, tak wielki odczuwałem lęk przed zatrwajającym i bardzo realnym prawdopodobieństwem, że stałem się zboczeńcem. Wprawdzie związek pomiędzy odepchnięciem mnie przez Mary Alice a nagłą metamorfozą moich seksualnych upodobań wydawał się nieco zbyt mechaniczny, ale nie mogłem wykluczyć takiej ewentualności.

Podczas studiów w tej słynnej świątyni psychologii, jaką był Uniwersytet Duke'a, naczytałem się sporo na temat problemów seksualnych i wyniosłem z tych lektur świadomość paru niezbitych prawd, między innymi takiej, że naczelnego rodzaju męskiego, pozbawione w niewoli towarzystwa samic, molestują inne samce, często z powodzeniem, i że wielu więźniów po długim okresie odosobnienia tak chętnie ucieka się do praktyk homoseksualnych, iż stało się to niemal normą. Mężczyźni, którzy pływają przez długie miesiące po morzu, zażywają rozkoszy ze swymi towarzyszami - kiedy służyłem w Marine Corps (wchodzącej naturalnie w skład floty), zaintrygował mnie źródłosłów archaicznego określenia *pogey bait* - „przynęta dla sierotki” - co w slangu oznaczało cukierek. Pochodziło ono od przynęty podsuwanej przez starszych marynarzy jasnocyłym i gładkodupym stewardom, dla zjednania sobie ich względów. Ach, co tam, myślałem sobie, skoro zostałem pederastą, trudno. Miało to w moim przypadku całkiem konkretną przyczynę, gdyż jakkolwiek nie byłem formalnie izolowany ani zapudłowany, to zważywszy skuteczność podejmowanych przez całe życie prób zakosztowania porządnej, zdrowej, heteroseksualnej rżniętki, moja sytuacja wyglądała dokładnie tak, jakbym siedział w więzieniu albo w nieskończoność żeglował na brygantynie. Czyż nie było prawdopodobne, że jakiś zawór w mojej psychice, analogiczny do tego, który kontroluje libido dwudziestodwuletniego skazańca czy wyposzczonej erotycznie małpy, puścił nagle, zmieniając mnie w niewinną - choć zboczoną - ofiarę praw rządzących biologiczną selekcją?

Rozważałem ponuro tę hipotezę, gdy nagle poderwał mnie na nogi hałas za drzwiami.

- Wstawaj, chłopcze, telefon do ciebie! - zawołał Jack. Już zbiegając po schodach, uświadomiłem sobie, że mogli dzwonić tylko z Różowego Pałacu, gdzie zostawiłem numer Jacka, i tknęło mnie jakieś złe przecucie, które zamieniło się w lęk, gdy usłyszałem znajomy, zbolaty głos Morrisa Finka.

- Musisz natychmiast przyjechać - powiedział. - Rozpętało się tu prawdziwe piekło.

Serce mi zamarło, a potem zaczęło bić jak oszalałe.

- Co się stało? - wychrypiałem.

- Natanowi znów odbiło. Tym razem jest naprawdę źle. Biedny sukinsyn.

- Zofia! - powiedziałem. - Co z Zofią?

- Z nią wszystko w porządku. Znów ją pobił, ale nic jej nie jest. Groził, że ją zabije. Wybiegła z domu i nie wiem, gdzie teraz jest. Ale prosiła, żebym do ciebie zadzwonił. Lepiej przyjedź.

- A Natan?

- Też go nie ma, ale powiedział, że wróci. Pieprznięty sukinsyn. Jak myślisz, mam wezwać policję?

- Nie, nie - powiedziałem pospiesznie. - Na miłość boską, tylko nie policję! - Po chwili dodałem: - Zaraz przyjadę. Spróbuj odnaleźć Zofię.

Odwiesiłem słuchawkę. Przez parę minut gotowało się we mnie. Kiedy Jack zszedł na dół, wypiliśmy z nim kawę, próbując opanować wzburzenie. Opowiadałem mu wcześniej o Zofii, Natanie i ich *folie à deux*, ale tylko bardzo ogólnie. Teraz musiałem to w pośpiechu uzupełnić kilkoma bolesnymi szczegółami. Jack natychmiast zasugerował, żebym zrobił coś, co nie przyszło mi, ogłupiałemu, do głowy:

- Powinieneś zadzwonić do jego brata.

- No jasne - powiedziałem. Podskoczyłem do telefonu, po to tylko, żeby natrafić na jedną z tych przeszkód, które zazwyczaj paraliżują wszelkie wysiłki w chwilach największego kryzysu. Sekretarka poinformowała mnie, że Larry jest w Toronto, na zjeździe lekarzy. Zona pojechała z nim. W tamtej przedpotopowej, przedodrzutowcowej epoce Toronto wydawało się tak odległe jak Tokio, więc tylko jęknąłem zrozpaczony. Kiedy odkładałem słuchawkę, telefon odezwał się ponownie. Dzwonił znów niezawodny Fink, którego maniery troglodyty tylekroć przeklinałem, a którego tetuz wręcz błogosławiłem.

- Rozmawiałem właśnie z Zofią - powiedział.

- Gdzie ona jest? - wrzasnąłem.

- Była w pracy, u tego polskiego doktora. Ale już jej tam nie ma. Pojechała do szpitala na prześwietlenie ramienia. Powiedziała, że ten pieprzony zbir Natan złamał jej chyba rękę. Ale prosiła, żebyś przyjechał. Będzie po południu czekać u tego doktora, dopóki się nie zjawisz. - I to był koniec rozmowy.

Dla wielu młodych ludzi wchodzących w bólach w wiek dojrzały, dwudziesty drugi rok życia jest najbardziej niespokojnym okresem. Uprzytamniam sobie teraz, jak bardzo niezadowolony, zbuntowany i udręczony byłem w tym wieku, a zarazem jak odpornym na poważniejsze emocjonalne stresy czyniła mnie moja pisanina, spełniając rolę *ka.tha.rsis* dzięki temu, że mogłem rozładowywać na papierze wiele najbardziej dokuczliwych napięć i zgryzot. Moja powieść była, oczywiście, czymś więcej, ale również takim właśnie uniwersalnym pojemnikiem, stąd też chuchałem na nią tak, jakby chodziło o mój własny delikatny organizm. A jednak pozostawałem wrażliwy na zranienie; w pancerzu pojawiały się pęknięcia i zdarzały się takie chwile, kiedy nękały mnie przyływy kierkegaardowskiej bojaźni. Owo popołudnie, kiedy w pośpiechu opuściłem dom Jacka, by szukać Zofii, było właśnie jednym z takich momentów - czasem ciężkiej próby, której towarzyszyło poczucie

wielkiego zagrożenia, bezradności i głębokiej niechęci do samego siebie. Trzęsący się autobus pędził na południe, do New Jersey i dalej, na Manhattan, a ja kulilem się w nim wykończony - niczym jakiś kłęb niewymownego przerażenia. Miałem w dodatku kaca, a nieznośne napięcie nerwowe wyostrzało reakcje zmysłów; dygotałem cały na myśl o czekającej mnie konfrontacji z Zofią i Natanem. Porażka z Mary Alice (nawet się z nią nie pożegnałem) uniosła jak fala odboju resztki mojej męskości i zaczęło mnie dręczyć podejrzenie, że przez całe lata po prostu się oszukiwałem, ukrywając sam przed sobą swe pedalskie inklinacje. Gdzieś w okolicach Fort Lee pochwyciłem w szybie odbicie mojej poszarzałej twarzy nałożone na panoramę stacji benzynowych i przydrożnych restauracyjek; zamknąłem oczy i usiłowałem wyłączyć świadomość w obronie przed grozą istnienia.

Dochodziła piąta po południu, kiedy dotarłem do przychodni doktora Blackstocka w centrum Brooklynu. Pora przyjąć najwidoczniej się skończyła, bo w poczekalni było pusto, jeśli nie liczyć dość mizernej kobieciny o wyglądzie starej panny, zmienniczki Zofii. Poinformowała mnie, że Zofia wyszła przed południem na prześwietlenie i do tej pory nie wróciła, ale powinna lada chwila nadejść. Zaproponowała, żebym usiadł i poczekał, ale ja wolałem stać; po chwili przyłapałem się na tym, że przemierzam nerwowo wielkimi krokami poczekalnię, której ściany pokrywał - choć należałoby raczej powiedzieć: zalewał ciemny fiolet o najbardziej ponurym odcieniu, jaki zdarzyło mi się widzieć. Nie pojmowałem, jak Zofia mogła pracować całymi dniami, pławiąc się w morzu tak odstręczającego koloru. Ściany i sufit powlekał ten sam, odpowiedni raczej dla zakładu pogrzebowego, kolor, jaki - o czym wiedziałem z opowiadań Zofii - zdobił dom doktora w St. Albans. Zastanawiałem się, czy ta wściekle fioletowa mikstura nie została spreparowana niczym magiczny wywar przez nieboszczkę Sylwię, która uśmiechała się nieskończenie dobrotliwie z wiszącej na ścianie fotografii, przybranej czarną szarfą jak święty obraz. Inne porozlepiane dookoła zdjęcia świadczyły o znajomościach Blackstocka wśród półbogów i bogiń popkultury; była to jedna wielka, szalenie *gemütlich* manifestacja kumpelskiej zażyłości: Blackstock z wylupiastookim Eddiem Cantorem, Blackstock z Groverem Whalenem, z Shermanem Billingsleyem i Sylwią w Stork Club, z Majorem Bowesem, Walterem Winchellem, nawet Blackstock z Siostrami Andrews, trzema słowikami obujnych włosach, przypominającymi wielkie, uśmiechnięte bukiety, spośród których wyzierała jaśniejsza dumą twarz doktora, tuż nad nabazgraną piórem dedykacją: *Hymniemu, z wyrazami miłości od Patty, Maxene i La Veme*. Teraz, kiedy byłem tak przygnębiony i zdenerwowany, zdjęcia wesołego kręgarza i jego przyjaciół pogłębiały jeszcze moją rozpacz; załamany jak chyba nigdy w życiu modliłem się, żeby Zofia przyszła wreszcie i uśmierzyła mój *Angst*. I właśnie wtedy ukazała się w drzwiach.

Biedna Zofia. Miała zapadnięte oczy, włosy w nieładzie, była kompletnie wyczerpana, a jej twarz powlekała chorobliwa, sinawa bladość o odcieniu rozwodnionego mleka. Przede wszystkim jednak wyglądała staro, jak starsza pani po czterdziestce. Objąłem ją i staliśmy tak przez chwilę w milczeniu. Nie płakała. W końcu spojrzałem na nią i zapytałem:

- Twoje ramię. Co z nim?
- Jest całe. Tylko mocno stłuczone.
- Bogu dzięki - powiedziałem. - Gdzie on jest?
- Nie wiem - szepnęła potrząsając głową. - Po prostu nie wiem.
- Trzeba coś zrobić. Trzeba go jakoś izolować, żeby nie mógł ci zrobić krzywdy... - urwałem ogarnięty poczuciem beznadziejności i winy. - Powinienem być tu na miejscu - powiedziałem zrozpaczonym głosem. - Niepotrzebnie wyjeżdżałem. Może udałoby mi się...

Ale ona przerwała mi:

- Cicho, Stingo, cicho. Nie możesz się tak obwiniać. Chodźmy się napić.

Siedząc na stołku przy obitym sztuczną skórą barze w pełnej luster, obskurnej chińskiej restauracji na Fulton Street, Zofia opowiedziała mi, co się zdarzyło w czasie mojej nieobecności. Najpierw była eksplozja szczęścia, bezgranicznej wprost radości.

Nigdy jeszcze nie widziała Natana w tak pogodnym, słonecznym nastroju. Pochłonięty planowaniem naszej podróży na Południe i myślami o bliskim ślubie, popadł w stan przedślubnej euforii. Podczas weekendu ogarnęła go gorączka zakupów (między innymi zabrał Zofię na specjalną wyprawę na Manhattan, gdzie spędzili dwie godziny u Saksy na Piątej Avenue), co zakończyło się nabyciem pierścionka zaręczynowego z wielkim szafirem, całej wyprawy panny młodej godnej hollywoodzkiej księżniczki i koszmarnie drogiego zestawu strojów podróżnych, które miały zwalić z nóg mieszkańców tak zapadłych dziur jak Charleston, Atlanta i Nowy Orlean. Pomyślał nawet o tym, by wstąpić do Cartiera, gdzie kupił mi zegarek jako prezent dla drużby. Kolejne wieczory spędzali, wkuwając geografię i historię Południa i wertując rozmaite przewodniki. Natan ślęczał poza tym godzinami nad książką *Oficerowie generała Lee*, przygotowując się do objazdu wirgińskich pól bitewnych, jaki dla obojga zaplanowałem.

Wszystko to realizowane było z charakterystyczną dla Natana starannością i inteligencją, w sposób bardzo metodyczny. Studiował tajniki różnych regionów, przez które mieliśmy przejeżdżać (włącznie z informacjami z zakresu botaniki dotyczącymi bawełny i orzeszków ziemnych z pochodzeniem niektórych lokalnych dialektów, jak *gullah* i *cajun*, a nawet z fizjologią aligatorów), tak gruntownie, jakby był budowniczym kolonialnego

imperium brytyjskiego, organizującym wyprawę do źródeł Nilu w czasach królowej Wiktorii. Swoim entuzjazmem zaraził Zofię: udzielał jej rozmaitych bardziej lub mniej pożytecznych informacji na temat Południa, a ona gromadziła skrzętnie zarówno większe porcje, jak najdrobniejsze strzępki tej wiedzy. Kochając Natana, kochała i to wszystko, włącznie z tak nieprzydatnymi wiadomościami jak ta, że w Georgii hoduje się więcej brzoskwiń niż w którymkolwiek pozostałym stanie, a najwyżej położony punkt w Missisipi znajduje się na wysokości ośmuset stóp. Natan zaś posunął się do tego, że poszedł do biblioteki Brooklyn College i wypożyczył dwie powieści George'a Washingtona Cable'a. I ćwiczył swój południowy akcent, rozśmieszając ją do rozpuku rozciąganiem zgłosek.

Dlaczego nie udało jej się dostrzec sygnałów alarmowych, kiedy zaczęły mrugać jak światełka ostrzegawcze? Obserwowała go pilnie przez cały czas, pewna, że przestał brać amfetaminę. Ale w końcu przedwczoraj, kiedy oboje wychodzili do pracy ona do przychodni Blackstocka, on do swego „laboratorium” coś, nigdy nie dowiedziała się co, musiało go wytrącić z tego stanu równowagi. W każdym razie, kiedy pojawiły się, tak jak już wielokrotnie, pierwsze sygnały - euforia, gdy zadzwonił od Pfizera, nadmiernie podniecony i nienaturalnie wysoki głos, zapowiedź jakiegoś rychłego i niezwykłego zwycięstwa, fantastycznego przełomu, wielkiego naukowego odkrycia - Zofia dała się głupio zaskoczyć i bezbronna nie zdołała ich w porę odczytać.

Jak mogła być tak niemądra? Jej opis obłąkańczego wybuchu Natana oraz zniszczeń i szkód, jakie wyrządził, był na szczęście - zważywszy oplakany stan moich nerwów - bardzo lakoniczny, ale w swej zwięzłości jeszcze bardziej wstrząsający.

- Morty Haber wydawał pożegnalne party dla przyjaciela, który wyjeżdżał na studia do Francji. Miałam tego dnia pracować dłużej przy wysyłce rachunków, więc powiedziałam Natanowi, że zjem coś w pobliżu pracy i spotkamy się już na przyjęciu. Długo się tam nie pojawiał, ale kiedy w końcu przyszedł, od razu zauważyłam, na jakim był haju. Omal nie zemdlałam, kiedy go zobaczyłam. Zrozumiałam, że był w takim stanie cały dzień, także wtedy, kiedy do mnie dzwonił, a ja, głupia, nawet... nawet niczego nie wyczułam. Podczas przyjęcia zachowywał się przyzwoicie, to znaczy nie był... niegrzeczny ani nic takiego, ale doskonale wiedziałam, że jest na benzedrynie. Zaczął opowiadać jakimś ludziom o tym swoim nowym leku przeciw polio i wtedy serce lekko we mnie zamarło. Powiedziałam sobie w duchu, że być może przejdzie mu i w końcu pójdzie spać. Czasami tak się działo i wtedy nie wpadał w szal. Wreszcie wróciliśmy do domu, nie było jeszcze późno, około jedenastej. Jak tylko znaleźliśmy się na miejscu, zaczął na mnie wrzeszczeć, narastała w nim ta wielka wściekłość. I znów, tak jak zwykle podczas swoich najgorszych *tempête*, zaczął

mnie oskarżać ozdradę. No, że się pieprzę z kim innym.

Przerwała na chwilę; kiedy podniosła lewą rękę, żeby odgarnąć pasemko włosów, wyczułem w tym geście coś lekko nienaturalnego i po zastanowieniu uprzytomniłem sobie, że oszczędza prawą rękę, która zwisała bezwładnie wzdłuż ciała. Najwidoczniej bardzo ją bolała.

- Kto by to miał być tym razem? - zapytałem. - Blackstock? Seymour Katz? Chryste Panie, Zofio, gdyby ten nieszczęsny facet nie był tak szurnięty, nie wytrzymałbym i wybiłbym mu zęby. Jezu, z kim niby przyprawiałaś mu rogi?

Potrząsnęła gwałtownie głową, odrzucając jasne, wzburzone włosy z wymizerowanej, smutnej twarzy.

- To nieważne, Stingo. Po prostu z kimś:

- No i co było potem?

- Wrzeszczał i wydzierał się na mnie. Wziął jeszcze więcej benzedryny - może i kokainy, nie wiem dokładnie czego. Potem wypadł z pokoju trzaskając drzwiami. Krzyczał, że nigdy już nie wróci. Leżałam w ciemnościach, długo nie mogłam zasnąć, tak byłam załamana i przerażona. Myślałam o tym, żeby zadzwonić do ciebie, ale zrobiło się bardzo późno. W końcu zmęczona usnęłam. Nie wiem, jak długo spałam, ale kiedy wrócił, świeciło. Wpadł do pokoju jak bomba. Szalał, krzyczał. Znowu postawił na nogi cały dom. Wywłókł mnie z łóżka, rzucił na podłogę i wrzeszczał. Ze niby sypiam z... no, z tym kimś i że zabije mnie, jego i siebie. Och, *mon Dieu*, Stingo, jeszcze nigdy, nigdy nie widziałam go w takim stanie, nigdy! W końcu kopnął mnie z całej siły - o tutaj, w ramię - i wybiegł. A potem ja wyszłam. I to wszystko zakończyła.

Skłoniłem z wolna głowę na mahoniowy blat baru pokryty lepką patyną popiołu z papierosów i krążkami od mokrych szklanek. Marzyłem, żeby pogrążyć się w śpiączce lub w jakimś podobnym stanie dobroczynnej nieświadomości. Potem wyprostowałem się i spojrzałem Zofii w oczy.

- Zofio, nie chciałem tego mówić, ale Natana należy po prostu zamknąć. Jest niebezpieczny. Muszą go izolować - coś zabulgotało mi w gardle, jak krótki, groteskowy szloch. - Na zawsze.

Drżącą ręką dała znak barmanowi i zamówiła podwójną whisky z lodem. Czułem, że jej nie powstrzymam, choć jej głos był już z lekka bełkotliwy i jakby kleisty. Kiedy barman postawił przed nią szklanczkę, pociągnęła zdrowy łyk i rzekła:

- Jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedziałam.

- Co takiego?

- On miał broń. Pistolet.

- O, szlag by to... - powiedziałem. - O, niech to szlag, szlag, szlag - powtarzałem jak zepsuta płyta. - Szlag, szlag, szlag...

- Powiedział, że mnie zastrzeli. Wycelował mi w głowę. Ale nie strzelił.

Z ust wyrwał mi się cichy, bynajmniej nie bluźnierczy okrzyk:

- Jezu Chryste, zmiłuj się.

Nie mogliśmy jednak siedzieć tak w nieskończoność i broczyć krwią z naszych zięjących ran, aż wykrwawimy się na śmierć. Po dłuższym milczeniu zdecydowałem, jakie należy podjąć działania. Pójdę z Zofią do Różowego Pałacu i pomogę się jej spakować. Ona opuści dom natychmiast i przenocuje, przynajmniej dziś, w hotelu St. George, niedaleko od swojej pracy. Tymczasem ja spróbuję znaleźć jakiś sposób, żeby skontaktować się z Larrym w Toronto, powiem mu, jak groźna jest sytuacja, i nakłonię go, żeby za wszelką cenę wracał. Potem, kiedy Zofia będzie już bezpieczna w swojej czasowej kryjówce, zrobię wszystko, żeby odnaleźć Natana i jakoś się z nim zmierzyć choć na samą myśl o tym strach narastał mi w żołądku jak wielka, rozsadzająca od wewnątrz kula. Byłem tak rozdygotany, że omal nie zwymiotowałem tej niewielkiej ilości piwa, jaką wypilem.

- Chodźmy - powiedziałem. - Natychmiast.

W domu zapłaciłem mojemu wiernemu informatorowi Morrisowi Finkowi pięćdziesiąt centów, żeby pomógł nam uporać się z bagażem. Zofia szlochała cicho; kiedy tak dreptała po pokoju upychając ubrania, kosmetyki i biżuterię w wielkiej walizce, zorientowałem się, że jest nieźle wstawiona.

- Moje piękne suknie od Saksa - mamrotała. - Co ja mam z nimi zrobić?

- Zabierz je ze sobą, na litość boską - powiedziałem zniecierpliwiony, wpychając niezliczone pary butów do torby. - Zapomnij na razie o protokole dyplomatycznym. Musimy się spieszyć. Lada chwila może tu wrócić Natan.

- A moja piękna suknia ślubna? Co z nią?

- Też ją zabierz! Jeśli jest już niepotrzebna, to możesz ją zastawić.

- Zastawić?

- Oddać do lombardu.

Nie zamierzałem być okrutny, ale moje słowa sprawiły, że Zofia upuściła jedwabne figi na podłogę, zakryła twarz rękami i zaczęła płakać głośno, bezradnie jak dziecko, zalewając się łzami. Morris patrzył na nas posępnie, kiedy objąłem ją i zacząłem bez przekonania wydawać z siebie kojące pomruki. Było już ciemno: ryk klaksonu przejeżdżającej w pobliżu ciężarówki wystraszył mnie tak, że aż podskoczyłem, jakby ktoś

przejechał piłą po moich nerwach. Do hałasu dołączył się przeraźliwy dzwonek telefonu w hallu, na który zareagowałem odruchowo jękiem czy wręcz okrzykiem. Mój wewnętrzny dygot wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy Morris, uciszywszy tego demona podniesieniem słuchawki, ryknął, że to do mnie.

Dzwonił Natan. Nie kto inny, a Natan. Bez najmniejszych wątpliwości, z całą pewnością nie kto inny, ale Natan we własnej osobie. Dlaczego więc moja świadomość splatała mi dziwnego figła, każąc mi przez chwilę wierzyć, że to Jack Brown dzwoni z Rockland, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja? Sprawił to południowy akcent, ta idealnie modulowana imitacja, która zasugerowała mi, że rozmówca uczył się mówić, jedząc kaszę ze skwarkami. Ten głos był tak zrośnięty z Południem jak werbena, obmywający stopy baptyści, ogary czy John C. Calhoun. Chyba się nawet uśmiechnąłem, kiedy usłyszałem pytanie:

- Jak leci, słodziutki? Jak ci tam dynda twoja maczuga?

- Natan! - wykrzyknąłem z udawaną serdecznością. - Co z tobą? Gdzie jesteś? O rany, jak dobrze, że się odezwałeś!

- No jak, jedziem na to Południe? Ty, ja i Zofia? Zasuwamy w trasę po Dixie?

Wiedziałem, że muszę go jakoś ułagodzić, zająć pogawędką i spróbować jednocześnie ustalić, gdzie jest - co było sprawą nader delikatną - więc pospiesznie odpowiedziałem:

- Jedziem jak amen w pacierzu, Natan. Właśnie obgadujemy to z Zofią. Rany, jakie fantastyczne ciuchy jej sprawiłeś! Gdzie jesteś, przyjacielu? Chciałbym się z tobą zobaczyć i opowiedzieć ci o małym skoku w bok, jaki sobie obmyśliłem...

Głos w słuchawce, przymilny, melasowaty, ciągły i ciepły bezbłędna replika mowy moich przodków z Karoliny, śpiewna, kojąca - przerwał mi w pół słowa:

- Jasne, nie mogę się doczekać tej wyprawy z tobą i panienką Zofią. Zafunduję sobie największą frajdę w życiu, no nie, koleżko?

- To będzie najfantastyczniejsza wycieczka, jaka... - zacząłem.

- Będziem mieli kupę wolnego czasu, no nie?

- Jasne, że tak - odpowiedziałem, niepewny, o co mu chodzi.

- Całą masę czasu, żeby robić, co się nam podoba. Październik jest w tamtych stronach jeszcze zupełnie ciepły. Możemy pływać. Łowić ryby. Żeglować po Mobile Bay.

- Tego mi właśnie trzeba - powiedział przeciągając zgłoski.

- Kupa wolnego czasu. Chodzi mi o to, że kiedy trójka ludzi podróżuje długo razem, to nawet jeżeli są najlepszymi przyjaciółmi, mogą się poczuć trochę znudzeni swoim towarzystwem. Więc od czasu do czasu chciałbym zrobić jakiś mały wypad w pojedynkę, no

nie? Na godzinkę, dwie, do Birmingham albo Baton Rouge czy gdzieś tam. - Pauza, potem soczysty, melodyjny śmiech. - A wtedy i ty będziesz miał luz, no nie? Może nawet dość czasu, żeby sobie strzelić numerka. Taki podrastający chłopak z Południa musi sobie dziabnąć od czasu do czasu, no nie?

Zaśmiałem się trochę nerwowo, uderzony faktem, że ta dziwaczna rozmowa podszyta - przynajmniej dla mnie - rozpaczą, zaprowadziła nas na manowce seksu. Ale skwapliwie połknąłem przynętę, całkiem nieświadomy istnienia okrutnego haka, jaki sprokurował Natan, żeby mnie zniecałkować.

- No cóż - powiedziałem - mam nadzieję, że trafi mi się jakiś dobry, chętny towar. Dziewuchom z Południa - dodałem, przypominając sobie z niesmakiem Mary Alice Grimball - trudno, przepraszam za wyrażenie, wsadzić, ale kiedy już ulegną, są wprost słodziutkie...

0 Nie, nie kolego - przerwał mi gwałtownie. - Ja nie mówiłem dupach z Południa! Ja myślałem o polskiej dupie! Chodziło mi o to, że kiedy stary Natan pójdzie oglądać Biały Dom pana Jeffa Davisa albo zwiedzać stare plantacje, gdzie Scarlett O'Hara smagała pejcem tych wszystkich czarnuchów, stary Stingo będzie w tym czasie w motelu Zielona Magnolia i... no, zgadnij co? Zgadnij, co będzie robił? Zgadnij, co będzie robił stary Stingo z żoną swojego najlepszego przyjaciela? No cóż, Stingo ona zapakuje się do wyra i on wlezie na tę czułą, chętną polską sztukę i będą się pierdolić, aż im łby pourywa! He he!

Kiedy to mówił, poczułem, że Zofia podeszła i trąca mnie w łokieć, szepcząc cicho coś, czego nie rozumiałem - częściowo dlatego, że w uszach tętniła mi w szalonym galopie gorąca krew, a także chyba dlatego, że oszołomiony i zdrętwiały ze zgrozy, nie byłem w stanie skupić się na niczym oprócz galaretowatej słabości w kolanach i w palcach, których drżenia nie mogłem opanować.

- Natan! - zacząłem zdławionym głosem. - Na litość boską...

I wtedy jego głos, powróciwszy do akcentu, który zawsze uważałem za akcent wykształconego brooklińczyka, zmienił się w ryk tak dziki, że nawet miriady trzasków i bucący przydźwięk elektronicznych łączki nie mogły stłumić siły tego obłądnego wybuchu ludzkiej wściekłości.

- Ty ohydny gadzie! Ty nędzna Świnio! Niech cię piekło pochłonie na zawsze za tę zdradę za moimi plecami, kiedy ja ufałem ci jak najlepszemu przyjacielowi! I ten twój wieczny uśmieszek gównojada, zimny jak lód, że nawet masło nie rozpuściłoby ci się w gębie, ten uśmieszek, kiedy dawałeś mi rękopis do przeczytania - „O rany, Natan, dziękuję ci jak nie wiem co...” - a zaledwie kwadrans wcześniej waliłeś kobietę, którą zamierzałem

poślubić, mówię zamierzałem[^] czasie przeszłym, bo wolałbym się smażyć w piekle niż ożenić się z tą niewierną polską suką, co rozkracza się przed takim gnojem z Południa, takim podstępny oszustem i zdrajcą, jak...

Odsunąłem słuchawkę od ucha i odwróciłem się do Zofii, która stała z półotwartymi ustami, zachodząc zapewne w głowę, co Natan się tak piekli.

- O Boże, Stingo - szepnęła - nie chciałam, żebyś się dowiedział, że on właśnie ciebie oskarżał o to, że...

Dalszego ciągu słuchałem z poczuciem bezsilności i męki.

- Dorwę was za chwilę oboje. - Potem na moment zapadła dzwoniąca w uszach, deprymująca cisza. Usłyszałem metaliczny szczęk. Ale połączenie nie zostało przerwane.

- Natan - powiedziałem. - Błagam cię! Gdzie jesteś?

0 Niedaleko, przyjacielu. Właściwie jestem tuż za rogiem. zaraz was dostanę, wy zdradliwe szmaty. I wiesz, co z wami zrobię? Wiesz, co wam zrobię, wy szachrajskie, ohydne świnię? Posłuchaj...

Huk eksplozji rozdarł ciszę w słuchawce. Był zbyt stłumiony odległością, a może telefon litościwie osłabił go na tyle, by nie pękły mi bębni, więc raczej mnie oszołomił, niż ogłuszył, niemniej echo wystrzału długo rozbrzmiewało mi w uszach jak brzęczenie tysięcy pszczoł. Nigdy się nie dowiem, czy Natan wystrzelił prosto w mikrofon słuchawki, w powietrze czy w jakąś nieokreśloną, ślepa ścianę, ale brzmiało to tak, jakby rzeczywiście był tuż za rogiem, więc w panice upuściłem słuchawkę i chwyciłem Zofię kurczowo za rękę. Nie słyszałem odgłosu wystrzału od czasów wojny i pewnie byłem przekonany, że już nigdy w życiu go nie usłyszę. Cóż za ubolewania godna naiwność! Teraz, kiedy minął kawał naszego krwawego stulecia, ilekroć spotkam się z jakimkolwiek z tych niewyobraźalnych aktów przemocy, która pustoszy ludzkie dusze, wracam pamięcią do Natana - nieszczęsnego, kochanego obłąkańca - widzę, jak stoi, pogrążony w narkotycznym transie, z dymiącym pistoletem w dłoni, w jakimś anonimowym pokoju czy budce telefonicznej i ten obraz zdaje się zapowiadać owe przyszłe fatalne, niekończące się lata szaleństwa, złudzeń, błędów, marzeń i zmagania. Ale wtedy czułem tylko nieopisany strach. Spojrzałem na Zofię, ona na mnie i rzuciliśmy się do ucieczki.

piętnasty

Następnego ranka pociąg pensylwański, którym jechaliśmy z Zofią do Waszyngtonu, by stamtąd udać się do Wirginii, uległ awarii i utknął na estakadzie naprzeciw fabryki Wheatena w Rahway, w stanie New Jersey. Podczas tej przerwy w naszej podróży - która trwała niecałą godzinę - ogarnął mnie jakiś niezwykle spokój i zacząłem optymistycznie

oceniać swoje aktywa na przyszłość. Wciąż jeszcze dziwi mnie, że udało mi się tak wyciszyć, wręcz zrelaksować po naszej panicznej ucieczce przed Natanem i po niespokojnej, bezsennej nocy spędzonej z Zofią w trzewiach Penn Station. W oczach miałem piasek, a pewna część mojej świadomości ciągle przechowywała bolesną myśl o katastrofie, której ledwie uniknęliśmy. W miarę upływu czasu wydawało się nam coraz mniej prawdopodobne, by Natan dzwonił z bezpośredniego sąsiedztwa, a jednak wcześniej jego okrutna groźba spowodowała, że opuściliśmy Różowy Pałac w szalonym pośpiechu, z dwiema tylko dużymi walizkami, zamierzając schronić się na farmie w Southampton County. Byliśmy zgodni co do tego, że o resztę naszego dobytku zatroszczymy się później. Od pewnego momentu ożywiało nas - i można powiedzieć jednocześnie - tylko jedno, obsesyjne pragnienie: uciec przed Natanem, i to jak najdalej.

Mimo to ów przypływ obezwładniającego spokoju, jaki ogarnął mnie w pociągu, byłby nie do pomyślenia, gdyby nie pierwsza z dwóch rozmów telefonicznych, które udało mi się w końcu przeprowadzić ze stacji. Była to rozmowa z Larym: ten od razu zorientował się w powadze sytuacji i oznajmił, że natychmiast wyjeżdża z Toronto, by zająć się Natanem i zrobić, co będzie w jego mocy. Życzyliśmy sobie powodzenia i umówiliśmy się, że będziemy w kontakcie. W ten sposób spełniłem częściowo obowiązek wobec Natana i nie opuściłem go całkiem, wiejąc przed nim na złamanie karku; w końcu ratowałem własne życie. Drugą rozmowę przeprowadziłem z ojcem; wiadomość, że jedziemy z Zofią na Południe, przyjął oczywiście z entuzjazmem.

- Podjąłeś wspaniałą decyzję! - wołał z odległości kilkuset mil w wielkim podnieceniu. - Wreszcie opuszczasz ten niegodziwy świat Północy!

Tak więc siedząc z Zofią, która podrzemywała u mego boku, w zatłoczonym wagonie zawieszonym wysoko nad Rahway i żując kawałek czerstwego, drożdżowego placka, kupionego w pociągu razem z kartonem letniego mleka, zacząłem spokojnie i w rozmarzeniu snuć plany na nadchodzące lata. Teraz, kiedy pozostawiłem za sobą Natana i Brooklyn, zaczynał się nowy rozdział w moim życiu. Przede wszystkim obliczyłem, że moja książka, która miała być raczej gruba, jest już w jednej trzeciej napisana. To, co spłodziłem w domu Jacka Browna, doprowadziło mnie przypadkiem do czegoś w rodzaju węzłowej stacji narracyjnej, do punktu, w którym, jak czułem, uda mi się z łatwością połączyć luźne wątki, kiedy tylko osiadziemy z Zofią na farmie. Po mniej więcej tygodniu, niezbędnym, żeby przystosować się do nowego, wiejskiego środowiska poznać murzyńskich pomocników, zaopatrzyć spiżarnię, złożyć wizyty sąsiadom, nauczyć się jeździć starą, rozklekotaną ciężarówką i na traktorze, które według zapewnień ojca należały do inwentarza miałbym

idealne warunki, by wznowić prace nad powieścią; przy solidnym zakasaniu rękawów zakończyłbym szczęśliwie całą rzecz i mógłbym zanieść ją wydawcy przed końcem przyszłego roku.

Bujając tak w obłokach, spojrzałem stamtąd w dół, na Zofię. Zasnęła głębokim snem, z włosami rozsypanymi na moim ramieniu. Objąłem ją bardzo delikatnie i lekko musnąłem włosy wargami. Ukłuło mnie boleśnie jakieś zabłąkane wspomnienie, ale odpędziłem je szybko; czyż mogłem być homoseksualistą, jeśli ta istota budziła we mnie tak niezmiennie, rozdzierające serce pragnienie? Oczywiście, po zadomowieniu w Wirginii będziemy musieli się pobrać; etos tych czasów i tego miejsca nie zezwalał na żaden konkubinat. Pomimo istnienia poważnych problemów, w tym konieczności wymazania z pamięci osoby Natana i kwestii różnicy wieku, wyczuwałem, że Zofia nie będzie się opierać, i postanowiłem, że kiedy się obudzi, spróbuję przedstawić jej ogólnie tę propozycję. Poruszyła się i wymamrotała coś przez sen; mimo wyczerpania wyglądała tak ślicznie, że chciało mi się płakać. Boże, pomyślałem, ta kobieta prawdopodobnie będzie wkrótce moją żoną.

Pociąg szarpnął, ruszył, zawahał się i znów stanął. Cichy, zbiorowy jęk rozległ się w wagonie. Stojący nade mną w przejściu marynarz złapał piwo z puszki. Tuż za moimi plecami zaczęło drzeć się wniebogłosy dziecko; przyszło mi do głowy, że w publicznych środkach komunikacji jakieś fatum zawsze i nieuchronnie umieszcza jedyne wrzeszczącego bachora akurat obok mnie. Przytuliłem Zofię mocniej i znów pomyślałem o mojej książce. Dreszczyk dumy i zadowolenia przeniknął mnie na wskroś, kiedy uprzytomniłem sobie, jaki kawał solidnego rzemiosła odważyłem dotychczas, zmierzając z wdziękiem, według planu do porażającego rozwiązania, które na razie musiało pozostać nie ujawnione, lecz które przepowiadałem sobie w myślach tysiące razy: udręczona, wyobcowana dziewczyna umiera samotnie wśród obojętnych, zalanych letnim słońcem ulic miasta, właśnie przeze mnie porzuconego. Zasepiłem się na moment: czy wystarczy mi pasji, czy zdołam wniknąć w istotę rzeczy na tyle, by stworzyć portret młodej samobójczyni? Czy potrafię sprawić, by było to prawdziwe? Wielce mnie niepokoiły zbliżające się zmagania z wyobraźnią, walka o to, by stworzyła przekonujący obraz ciężkiego doświadczenia tej dziewczyny. A jednak byłem tak spokojny, tak przekonany o spójności książki, że obmyśliłem już nawet odpowiednio melancholijny tytuł: *Dziedzictwo nocy*. Wziąłem to z *Requiescat* Matthew Arnolda, elegii, w której poeta oplakuje ducha kobiety i która kończy się tak: „Dziś wieczorem odziedziczysz wielki ogromny Śmierci dwór”. Tego rodzaju książka musi chwycić za serce tysięczne rzesze czytelników. Spoglądając na szerniałą fasadę fabryki Wheatena - olbrzymiej, zwalistej, z oknami odbijającymi światło poranka - dygotałem wprost ze szczęścia, dumny z absolutnej

doskonałości tego, co osiągnąłem dzięki wyteżonej, samotnej i znoonej pracy oraz, nie da się zaprzeczyć, okazjonalnym przyływowi depresji. Puściwszy wodze fantazji, zacząłem sobie wyobrażać urywki recenzji jakiegoś oszołomionego krytyka z 1949 czy 1950 roku: „Najwspanialszy monolog wewnętrzny kobiety od czasu monologu Molly Bloom”. Co za szaleństwo! - pomyślałem. - Cóż za megalomania!

Zofia spała. Zastanawiałem się z rozczuleniem, ile jeszcze dni i nocy zasypiać będzie u mojego boku w nadchodzących latach. Pogrzeżyłem się w spekulacjach na temat naszego małżeńskiego łóżka na farmie, jego kształtu i rozmiarów, zastanawiałem się, czy materac będzie dostatecznie gruby, sprężysty i elastyczny, aby wytrzymać tę porcję zapamiętałych miłosnych harców, jaką mu z całą pewnością zaaplikujemy. Myślałem o naszych dzieciach, licznych, lnianowłó - sych malcach biegających w podskokach po farmie, podobnych do kwiatuszków polskich, jaskrów i ostrożni polnych. Wyobrażałem sobie, jak wesoło, po ojcowsku wydaję polecenia: „Czas wydoić krowę, Jerzy! Wanda, nakarm kury! Tadeusz, Stefania! Zamknijcie stodołę!” Myślałem też o samej farmie, której ogólnego planu nie było na zdjęciach ojca, i wyobrażałem ją sobie jako siedzibę godną wybitnej osobistości ze świata literatury. Podobnie jak Rowan Oak, posiadłość Faulknera w Missisipi, powinna zostać ochrzczona jakimś imieniem, najlepiej nawiązującym do orzeszków ziemnych, którym zawdzięczała swe istnienie. „Orzeszkowa Przystań” wydała mi się zdecydowanie zbyt groteskowa, więc odszedłem od dalszych wariacji opartych na motywie orzeszków i zacząłem rozważać inne, bardziej wytworne, majestatyczne i godne nazwy: może na przykład „Pięć Wiązów” (miałem nadzieję, że na farmie rośnie pięć wiązów, a w najgorszym wypadku przynajmniej jeden) albo „Palisander”, „Rozłogi” bądź też „Zofia” - w hołdzie dla damy mego serca. Lata jak błękitne wzgórza przesuwają się z wolna przed oczyma mojej wyobraźni ku horyzontowi dalekiej przyszłości. *Dziedzictwo nocy*, oszałamiający sukces, laury, jakie rzadko wieńczą dzieło tak młodego pisarza. Potem krótka powieść i kolejny sukces rzecz poświęcona moim przeżyciom wojennym - zwarta, przejmująca proza, tragikomiczna wiewsekcja absurdów wojny.

Tymczasem Zofia i ja żyjemy sobie skromnie na farmie, z dala od zgiełku, sława rośnie, autor, coraz bardziej oblegany przez środki przekazu, konsekwentnie odmawia udzielania jakichkolwiek wywiadów. - Ja tylko hoduję orzeszki - powiada, zaabsorbowany pracą. Około trzydziestki kolejne arcydzieło: *Płonące liście*; historia tragicznego murzyńskiego podżegacza, Nata Turnera.

Pociąg szarpnął, zakotłosał się, nabierając szybkości z płynną, gładką precyzją i moje musujące wizje wyparowały nagle, by ustąpić widokowi oddalających się zakopconych

murów Rahway.

Zofia obudziła się raptownie z cichym okrzykiem. Spojrzałem na nią. Wydawało się, że ma lekką gorączkę: czoło i policzki płonęły rumieńcem, a górną wargę zrosiła delikatna mgielka potu.

- Gdzie jesteśmy, Stingo? - zapytała.

- Gdzieś w New Jersey.

- A jak długo jedzie się do Waszyngtonu?

- Trzy do czterech godzin.

- A stamtąd na farmę?

- Nie wiem dokładnie. Przesiadziemy się na pociąg do Richmond, a stamtąd pojedziemy autobusem do Southampton. To potrwa parę godzin. Farma znajduje się właściwie w Północnej Karolinie. Dlatego wydaje mi się, że będzie lepiej spędzić noc w Waszyngtonie i wyruszyć tam jutro rano. Moglibyśmy przenocować w Richmond, ale wtedy nie zobaczyłabyś Waszyngtonu.

- Okej, Stingo - powiedziała biorąc mnie za rękę. - Zrobimy tak, jak zechcesz. Stingo, czy mógłbyś przynieść mi trochę wody? - zapytała po chwili milczenia.

- Jasne. - Przepisnąłem się przez zatłoczone, głównie żołnierzami, przejście, znalazłem przy końcu wagonu kran i nabrałem ciepłej, mętnej wody do papierowego kubka.

Kiedy wróciłem, ciągle jeszcze pijany moimi rozkosznymi marzeniami na jawie, zobaczyłem, że Zofia dzierży w dłoni wyciągniętą z walizki, prawie litrową butelkę Four Roses i na ten widok serce zamieniło mi się w kawał ołowiu.

- Zofio - powiedziałem łagodnie - dzień dopiero się zaczął. Nie jadłaś nawet śniadania. Dostaniesz marskości wątroby.

- Nic mi nie będzie - odpowiedziała nalewając whisky do kubka. - Zjadłam na dworcu pączka. I wypłam SevenUp.

Jęknąłem cicho, bo wiedziałem z doświadczenia, że nie rozwiążę tego problemu bez komplikacji i awantury. Jedyne, co mogłem zrobić, to wczekać, aż zajmie się czymś innym, i schować butelkę, jak się to już parę razy zdarzyło. Opadłem ciężko na swoje miejsce. Pociąg gnał przez diabelskie industrialne pustynie New Jersey i unosił nas, mijając w szalonym, rozdygotanym pędzie nędzne slumsy, budy z falistej blachy, idiotyczne przydrożne bary z wirującymi szyldami, magazyny, kręgielnie podobne do krematoriów, krematoria jak wrotkarnie, sadzawki pełne jakiejś zielonej, chemicznej mazi, parkingi, barbarzyńskie rafinerie naftowe ze sterczącymi w górę ryjami zionącymi ogniem i musz - tardowożółtym

dymem. Co by na to powiedział Thomas Jefferson? - pomyślałem. Zofia, niespokojna, podenerwowana, to popatrywała na ów pejzaż, to nalewała sobie whisky, aż w końcu zapytała:

- Stingo, czy ten pociąg zatrzymuje się gdzieś przed Waszyngtonem?
- Tylko na parę minut. A dlaczego?
- Muszę gdzieś zadzwonić.
- Do kogo?
- Chcę się dowiedzieć, co z Natanem. Upewnić się, czy nic mu się nie stało.

Potworna, czarna rozpacz ogarnęła mnie na wspomnienie wczorajszego koszmaru. Ująłem Zofię za ramię i ścisnąłem mocno, zbyt mocno, aż drgnęła z bólu.

- Posłuchaj, Zofio - powiedziałem. - Posłuchaj mnie dobrze. Ta sprawa jest zakończona. Nic na to nie poradzisz. Czy nie rozumiesz, że omal nas obojga nie zabił? Larry przyjedzie z Toronto i umieści Natana... w każdym razie zajmie się nim. Jest w końcu jego bratem, najbliższym krewnym. Natan jest obłąkany, Zofio! Trzeba go oddać do... zakładu.

Rozpłakała się. Łzy spływały jej po palcach, które nagle, kiedy jak zwykle ukryła twarz w stulonych dłoniach, wydały mi się wychudłe, nienaturalnie zaróżowione i zniszczone. I znów rzucił mi się w oczy ten okrutny, podobny do sinego śladu ukąszenia tatuaż na przedramieniu.

- Ja po prostu nie wiem, jak sobie dam bez niego radę. - Po krótkiej pauzie dodała: - Mogłabym zadzwonić do Larry'ego.

- Nie złapiesz go - upierałem się. - Jest teraz w pociągu, gdzieś w okolicach Buffalo.

- No to do Morrisa Finka. On na pewno wie, czy Natan wrócił do domu. Czasami tak robił, kiedy był na narkotykach. Wracał, brał nembutal i przesypiał to. Potem, kiedy się obudził, wszystko było w porządku. Albo prawie w porządku. Morris na pewno będzie wiedział, czy teraz zrobił tak samo. - Wytarła nos, pochlipując ciągle cichutko.

- Och, Zofio, Zofio - szepnąłem i chciałem dodać: T o wszystko już skończone, ale nie mogłem.

Pociąg wjechał z łoskotem na filadelfijski dworzec, zahamował ze zgrzytem i zatrzymał się z nagłym szarpnięciem w pozbawionym dziennego światła tunelu. Poczulem niespodziewanie silny przyptyw nostalgii. W szybie odbijała się moja twarz, wybladła od literackiej pracy w zamknięciu; wydawało mi się przez moment, że zobaczyłem za nią jej odmłodzoną replikę siebie jako chłopca sprzed ponad dziesięciu lat. Roześmiałem się głośno do swoich wspomnień; nabrawszy nagle wigoru postanowiłem odwrócić uwagę Zofii od jej

narastających lęków i podnieść ją trochę na duchu, przynajmniej spróbować.

- Jesteśmy w Filadelfii - powiedziałem.

- Czy to duże miasto? - zapytała. Jej zainteresowanie, choć przez łyzy, podziało na mnie dopingująco.

- Średnie. Nie taki kolos jak Nowy Jork, ale dość duże. Myślę, że takie jak Warszawa przed wkroczeniem Niemców. To było pierwsze duże miasto, jakie zobaczyłem w życiu.

- Kiedy to było?

- Gdzieś w 1936 roku, kiedy miałem jedenaście lat. Nigdy przedtem nie byłem na Północy. Pamiętam cholernie śmieszna historię, jaka mi się wtedy przydarzyła. Miałem w Filadelfii ciotkę i wuja, więc moja matka - to było na dwa lata przed jej śmiercią - postanowiła wysłać mnie do nich latem na tydzień w odwiedziny. Wysłała mnie samego, autobusem Greyhound. Dzieci często podróżowały same w tamtych czasach i było to wtedy całkiem bezpieczne. No więc podróż miała trwać cały dzień - z Tidewater autobus jechał do Richmond, stamtąd do Waszyngtonu 1 potem przez Baltimore. Mieliśmy kolorową kucharkę - pamiętam nawet jej imię: Florence - i ona przygotowała mi wielką papierową torbę pełną pieczonych kurczaków i jeszcze termos zimnego mleka, więc wiozłem z sobą całą podróżną restaurację dla smakoszy. Spałaszowałem lunch gdzieś pomiędzy Richmond a Waszyngtonem, a potem, po południu autobus zatrzymał się w Havre de Grace...

- Tak jak we Francji? - zdziwiła się Zofia. - Port...

- To takie miasteczko w Marylandzie. Przejeżdżaliśmy tamtędy. No więc był tam postój, wysiedliśmy wszyscy i poszliśmy do takiej obskurnej restauracyjki, gdzie można było zrobić siusiu, kupić lemoniadę i takie tam, i wtedy zobaczyłem ten automat - wyścigi konne. Bo widzisz, w Marylandzie, w przeciwieństwie do Wirginii, pewne gry hazardowe były legalne, więc można było wsunąć do automatu pięciocentówkę i postawić na jednego z dwunastu chyba metalowych koników, które biegały po torach. Pamiętam, że mama dała mi cztery dolary kieszonkowego - a w czasach kryzysu była to kupa pieniędzy - więc strasznie się podnieciłem tym, że mogę postawić, i wrzuciłem pięć centów. I masz pojęcie, Zofio? Ten cholerny automat walnął **jackpot!** Wiesz, co to znaczy **jackpot?** Wszystkie światelka się zapalają, a z otworu sypie się dosłownie kaskada monet - dziesiątki, całe góry monet. Nie wierzyłem własnym oczom. Wygrałem chyba z piętnaście dolarów w pięciocentówkach. Zasypały całą podłogę. Oszalałem ze szczęścia. Ale pojawił się problem, jak wynieść ten cały łup. Pamiętam, że miałem na sobie takie białe, lniane, króciutkie spodenki; zacząłem upychać pieniądze w kieszeniach, ale było tego tyle, że sypałem nimi dookoła. A co gorsza, była tam

taka niemila właścicielka; kiedy poprosiłem ją, żeby zamieniła mi ten bilon na banknoty, wpadła w straszną furję i zaczęła wrzeszczeć, że trzeba mieć skończone osiemnaście lat, jeśli się chce grać w wyścigi, że mam jeszcze smarki pod nosem, że przeze mnie straci licencję i że jeśli nie wyniosę się zaraz do diabła, wezwie policję.

- Miałeś jedenaście lat - powiedziała Zofia, biorąc mnie za rękę. - Nie mogę sobie wyobrazić jedenastoletniego Stinga. Musiałeś ładnie wyglądać w tych lnianych spodenkach. - Ciągle jeszcze miała zaczerwieniony nos, ale łzy obeschły natychmiast i zdawało mi się, że dostrzegam w jej oczach iskielki rozbawienia.

- No więc wsiadłem z powrotem do autobusu, żeby dojechać do Filadelfii. To była długa podróż. Przy każdym najlżejszym nawet poruszeniu z wypchanych kieszeni wypadła moneta albo kilka naraz i toczyły się wzdłuż całego autobusu. A kiedy wstawałem, żeby je podnieść, było jeszcze gorzej, bo spadało mi ich jeszcze więcej. Nim dojechaliśmy do Winnington, kierowca mało nie zwariował, a pasażerowie przez całą drogę wlepiali gały w te strugi pieniędzy. - Pociąg ruszył wibrując lekko, więc przerwałem i zapatrzyłem się na pozbawione twarzy cienie ludzi na uciekającym bezgłośnie wstecz peronie. - W każdym razie - podjąłem opowieść, odwzajemniając uścisk dłoni Zofii - tragiczny finał rozegrał się na dworcu autobusowym, gdzieś niedaleko stąd. Ciotka i wuj czekali tam na mnie wieczorem i kiedy biegłem do nich, potknąłem się, klapnąłem z rozmachem na tyłek, kieszeń pękła i prawie wszystkie cholerne monety potoczyły się po pomoście i spadły na autobusy stojące w dole na ciemnym parkingu. Kiedy wujek podniósł mnie i otrzepał, stwierdziłem, że w kieszeniach pozostało mi wszystkiego może z pięć monet. Reszta przepadła bezpowrotnie - zakończyłem, od nowa rozbawiony tą rozkosznie absurdalną historyjką, którą opowiedziałem Zofii wiernie, bez zbędnych upiększeń. - To bardzo pouczająca historia - dodałem o destrukcyjnej naturze chciwości.

Zofia zakryła twarz jedną ręką, więc trudno mi było odgadnąć jej reakcję, ale drganie ramion wskazywało na to, że opanował ją atak śmiechu. Myliłem się jednak. Znów popłynęły łzy, łzy cierpienia, od którego najwidoczniej nie mogła się uwolnić. Nagle uprzytomniłem sobie, że musiałem nieumyślnie przywołać wspomnienie jej synka. Czekałem w milczeniu, aż się wypłacze.

Uspokajała się stopniowo. Wreszcie odwróciła twarz w moją stronę.

- A tam, dokąd jedziemy, w Wirginii, jak myślisz, Stingo, czy tam są szkoły Berlitz? Nauka języków?

- A do czego ci one potrzebne, na Boga? - zapytałem. - Nie znam nikogo, kto by mówił tyłoma językami co ty.

- Zeby się podciągnąć w angielskim - odpowiedziała. - Wiem, że mówię już, a nawet czytam niezłe, ale muszę nauczyć się pisać. Jestem taka słaba w ortografii. Pisownia jest strasznie dziwna.

- Nie mam pewności - powiedziałem. - Pewnie są jakieś kursy językowe w Richmond albo w Norfolk. Ale do obu jest bardzo daleko z Southampton. A o co chodzi?

- Chcę napisać o Oświęcimiu - odparła. - Chcę napisać o swoich przeżyciach w obozie. Pewnie mogłabym napisać po polsku, po niemiecku albo po francusku, ale wolałabym po angielsku...

Oświęcim. W natłoku wydarzeń ostatnich kilku dni zepchnąłem to miejsce na tak daleki plan swej świadomości, że prawie zapomniałem o jego istnieniu; teraz pamięć o nim powróciła jak uderzenie w tył głowy, i to bolesne. Patrzyłem na Zofię, jak pociąga ze swojego kubka i czka lekko. Zaczęła bełkotać, jakby spuchł jej język, co, jak już wiedziałem, było zapowiedzią zakłóceń w myśleniu i nieznośnego zachowania. Marzyłem, żeby rąbnąć tym kubkiem o ziemię. I przeklinałem swoją słabość, niezdecydowanie, brak charakteru - czy cokolwiek to było - które powstrzymywały mnie przed bardziej stanowczym postępowaniem z Zofią w takich sytuacjach. Poczekaj no, aż się pobierzemy - pomyślałem.

0 Jest tyle spraw związanych z obozem, o których ludzie wciąż jeszcze nie wiedzą! - wybuchnęła. - Tyle spraw, o których nie mówiłam nawet tobie, choć tak wiele ci powiedziałam. tym, jak wszędzie unosił się swąd palonych Żydów, w dzień w nocy. To mówiłam. Ale nigdy nie mówiłam ci nic o Brzezince, gdzie zaczęli mnie głodzić na śmierć i tak się rozchorowałam, że mało nie umarłam. Albo o tym, jak strażnik zdarł kiedyś habit z zakonniczy i poszczuł ją psem, i ten pies tak ją pogryzł na całym ciele i twarzy, że parę godzin później umarła. Albo... - Tu zrobiła pauzę, zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń, a potem powiedziała: - Jest tyle strasznych rzeczy, które mogłabym powiedzieć. Ale może napisałabym powieść, gdybym się nauczyła dobrze angielskiego, i wtedy ludzie zrozumieliby, w jaki sposób Niemcy zmuszali człowieka do robienia rzeczy, jakich by normalnie nigdy nie zrobił. Na przykład Hoss. Nigdy nie próbowałabym nakłonić go, żeby się ze mną pieprzył, gdyby nie chodziło mi o Janka. I nigdy nie udawałabym, że tak strasznie nienawidzę Żydów ani że pisałam tę broszurę ojca. To wszystko robiłam dla Janka. A to radio, którego nie ukradłam. Ciągle jeszcze zdręczam się tym, że go nie wzięłam, ale chyba rozumiesz, jak by to zaprzepaściło szansę uwolnienia mojego syna. Nie mogłam też puścić pary z ust, nie mogłam przekazywać ludziom z ruchu oporu informacji o tym, czego dowiedziałam się pracując u Hossa, bo czułam strach... - zawahała się. Drżały jej ręce. - Tak strasznie się bałam! Bałam się przez nich wszystkiego! Dlaczego nie mówię prawdy o sobie? Czemu nie

napiszę w książce, że byłam śmierdzącym tchórzem, ohydną *collaboratrice*, że popełniałam każdą podłość, żeby tylko ratować własną skórę?

- Wydała z siebie przejmujący jęk, tak głośny, że przebił się przez łoskot kół i głowy pasażerów zwróciły się w naszą stronę.

- Och, Stingo, ja nie mogę z tym żyć!

- Uspokój się, Zofio! - powiedziałem stanowczo. - Wiesz, że nie byłaś kolaborantką. Zaprzeczasz sama sobie! Wiesz, że byłaś tylko ofiarą. Sama mówiłaś mi niedawno, że w takich miejscach jak obóz człowiek zachowuje się inaczej niż w normalnym świecie. Sama mówiłaś, że nie możesz osądzać swojego postępowania i postępowania innych według powszechnie przyjętych kryteriów. Więc błagam cię, Zofio, błagam, błagam, nie zadrezczaj się! Gryziesz się tym, co nie było twoją winą - i to cię wreszcie wykończy! Proszę cię, przestań. - Zniżyłem głos i przemawiając do niej pieszczotliwie, wypowiedziałem słowo, jakiego nigdy dotąd nie używałem i które mnie samego zaskoczyło: - Błagam, przestań już, kochanie, dla twojego własnego dobra. - To „kochanie” zabrzmiało pretensjonalnie - już przemawiałem jak mąż - ale jakoś nie mogłem się powstrzymać.

Niewiele też brakowało, bym wypowiedział słowa, które tego lata miałem na końcu języka setki razy: „Kocham cię, Zofio”. Perspektywa wygłoszenia tego prostego zdania przyprawiła mnie opalpitacje serca, ale nim zdążyłem otworzyć usta, Zofia oznajmiła, że musi iść do toalety. Zanim wstała, dopiła whisky z kubka. Patrzyłem z niepokojem, jak sunie na koniec wagonu: jej jasna głowa kiwała się na boki, długie nogi stąpały niepewnie. Odwróciłem się i zacząłem przeglądać „Life”. Musiałem się zdrzemnąć, a może nawet zasnąć, zapaść się w sen jak w topiel po męczącej, nie przespanej nocy, pełnej napięcia i chaosu, bo kiedy konduktor ryknął gdzieś blisko: - Odjazd! - aż podskoczyłem, a po chwili stwierdziłem, że upłynęła już godzina z hakiem. Zofia nie wróciła, więc nagły strach schwycił mnie i oplótł siatką dziesiątków mokrych macek. Spojrzałem w ciemność za oknem, zobaczyłem migotliwe, uciekające wstecz światła tunelu i zorientowałem się, że opuszczamy Baltimore. Normalnie przedarcie się na koniec wagonu przez zaporę brzuchów i zadów pięćdziesięciu chyba pasażerów musiałyby mi zabrać ze dwie minuty, ale dokonałem tego w parę sekund, przewracając po drodze małe dziecko. Nieprzytomny z przerażenia zacząłem walić w drzwi damskiej toalety - nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że Zofia może tam jeszcze być. Gruba Murzynka z przypominającą perukę szopą włosów i z obwisłymi, upudrowanymi na jasny nagietkowy kolor policzkami wytknęła głowę i wrzasnęła przenikliwym głosem:

- Zjeżdżaj stąd! Swir abo co?

Rzuciłem się do następnego wagonu.

W bardziej eleganckiej części pociągu spowiły mnie dźwięki muzycznej sieczki z głośników. Sentymentalne tony *Country Gardens* Percy'ego Graingera, kawałka a la koncert życzeń dla starszych pań, towarzyszyły mi, gdy rozgorączkowany zaglądałem do jednego przedziału po drugim, w nadziei, że Zofia zabłąkała się tu i usnęła. Potem zacząłem miotać się obsesyjnie pomiędzy dwiema ewentualnościami: że wysiadła w Baltimore albo też...

Okurwa, to drugie byłoby jeszcze gorsze. Sprawdziłem kilka kolejnych toalet, zapuściłem się do czterech czy pięciu obitych katafalkowym pluszem salonek, z nadzieją zlustrowałem wagon restauracyjny, gdzie kolorowi kelnerzy w białych fartuchach dreptali kaczym chodem tam i z powrotem między szpalerami stolików, spowici mgiełką kuchennych wyziewów woniejących zjełczałym olejem. I wreszcie - wagon klubowy. Małe biurko, kasa - miła siwowłosa pani z obsługi spojrzała na mnie znad papierów smutnym wzrokiem.

- Ach, ta bidulka - odpowiedziała na moje zadane z oporami pytanie. - Szukała telefonu. Niech pan pomyśli: w pociągu! Płakała, biedaczka. Wyglądało na to, że jest, jakby tu powiedzieć, trochę pijana. Poszła w tamtą stronę.

Znalazłem Zofię na końcu ostatniego wagonu, w ponurej, wypełnionej szczękiem żelaza klatce przedsionka. Za szybą zamkniętych na głucho drzwi, pociętą gmatwaniną drucianej siatki, połyskiwały w świetle późnego ranka linie szyn zbiegające się gdzieś pośród zielonych sosnowych lasów Marylandu, w punkcie wyznaczającym nieskończoność. Zofia siedziała na podłodze oparta bezwładnie o ścianę. Prąd powietrza rozwiewał jej jasne włosy, w dłoni ścisnęła butelkę. Tak jak wtedy, przed paroma tygodniami, gdy płynęła ku zatraceniu - śmiertelnie wyczerpana, udręczona poczuciem winy i rozpaczą - dotarła najdalej, jak mogła. Pochyliłem się nad nią i odczytując po części z poruszeń warg, a po części z brzmienia głosu nabrzmiałego bezbrzeżnym smutkiem, domyśliłem się raczej, niż usłyszałem, co powiedziała:

- Chyba tego nie zrobię.

Hotelowy personel ma z pewnością często do czynienia z różnymi dziwnymi typkami. Wciąż jednak zastanawiam się, co pomyślał sobie sędziwy recepcjonista hotelu Congress na widok młodego pastora, wielebnego Wilbura Entwistle'a, przyodzianego w bynajmniej nie przypominający szaty duchownej garnitur z kory, lecz dzierżącego ostentacyjnie pod pachą Biblię, oraz jego jasnowłosej, dziko rozczochranej, rozchełstanej i najwidoczniej zalanej w pestkę żony z obliczem usmarowanym sadzą i poznaczonym śladami łez, która bełkotała coś bez związku, z obcym akcentem, dopełniając formalności meldunkowych. W końcu dał się nabrać na obmyślony przeze mnie kamuflaż. Pomimo mego niestosownego stroju maskarada, jaką wykoncypowałem, odniosła fantastyczny skutek. W latach czterdziestych para nie

będąca małżeństwem nie mogła się zameldować w tym samym pokoju hotelowym, a w dodatku fałszowanie danych dotyczących stanu cywilnego było nader ryzykownym przestępstwem. Ryzyko stawało się jeszcze większe, gdy dama była pijana. Zdecydowany na wszystko podjąłem je mimo to, a dla zwiększenia szans postanowiłem wytworzyć wokół siebie dyskretną aurę świątobliwości. Stąd czarna, oprawna w skórę Biblia, którą wyciągnąłem z walizki na chwilę przed wjazdem pociągu na Union Station, stąd też adres wpisany do księgi meldunkowej wielkimi literami, jak gdybym chciał w ten sposób uwiarygodnić i ostatecznie przypieczętować to, co zasygnalizowałem modulowanym, pełnym słodczy głosem i gładkim zachowaniem duszpasterza: Seminarium Teologiczne, Richmond, Wirginia. Ulżyło mi, gdy zauważyłem, że mój fortel odciągnął uwagę urzędnika od Zofii; moje dane zrobiły na tym starym dżentelmenie z obwisłym podgardlem, typowym (jak wielu waszyngtońskich najmitów) Południowcu, odpowiednie wrażenie. Jako Południowiec odznaczał się też niezwykłą gadatliwością:

- Życzę przyjemnego pobytu, wielebny, panu i pańskiej małżonce. Jakiego kościoła jest pan kaznodzieją?

Miałem odpowiedzieć „prezbiteriańskiego”, ale on zaczął jazgotać jak pies myśliwski w poczuciu naszej duchowej jedności:

- Ja osobiście jestem baptystą, od piętnastu lat chodzę do Drugiego Kościoła Baptistów w Waszyngtonie, gdzie mamy teraz wspaniałego kaznodzieję. Pochodzi z Fluvanna County w Wirginii, gdzie się urodziłem i dorastałem, choć oczywiście jest znacznie ode mnie młodszy. - Kiedy zbierałem się do odejścia, z Zofią uczeponą mojego ramienia, zadzwonił na jedyne, zaspane czarne pikolaka i wręczył mi jakąś kartę.

- Lubi pan *frutti di more*, wielebny? Niech pan wstąpi do restauracji na nabrzeżu, nazywa się „U Herzoga”. Najlepsze kraby w cieście w Waszyngtonie. - Jeszcze kiedy zbliżaliśmy się do wiekowej windy o poplamionych drzwiach barwy zielonego groszku, wołał: - Entwistle. Czy nie jest pan przypadkiem spokrewniony z Entwistle’ami z Powhatan County, wielebny?

- Byłem znów na Południu.

Hotel Congress był przesiąknięty atmosferą *troisième classe*. Za oknem brudnej i dusznej klitki za siedem dolarów rozciągał się widok na jakąś nędzną uliczkę, do której ledwie docierały promienie południowego słońca. Zofia, ślaniająca się na nogach i rozpaczliwie senna, runęła na łóżko, zanim pikolak zdążył ustawić nasze bagaże na rozklekotanym stojaku i zainkasować ćwierć dolara napiwku. Otworzyłem okno z zewnętrznym parapetem pokrytym wapienną warstwą gołębiczych odchodów i świeży podmuch

ciepłego, październikowego wiatru wtargnął do pokoju. Z oddali dobiegał szczęk i stłumione gwizdy lokomotyw na Union Station, a z jakiegoś bliższego źródła docierały dźwięki perkusji, trąbek i cymbałów - dziarska, piskliwa muzyka orkiestry wojskowej. W półmroku pod sufitem brzęczało niemrawo kilka much.

Położyłem się obok Zofii, na zapadniętym w środku łóżku, co nie tyle pozwoliło mi, ale wręcz zmusiło mnie do tego, bym stoczył się ku niej, w przypominające hamakowate łono zagłębienie wytartej pościeli, wydzielającej słabą woń piżma i chloru, proszku do prania lub spermy, a może wszystkiego naraz. Śmiertelne wyczerpanie i niepokój wywołany stanem Zofii stłumiły wprawdzie najsilniejsze impulsy pożądania, jakie ciągle we mnie budziła, ale ten nasienny, erotyczny zapach i wklęsłość łóżka - nadwerężonego dziesiątkami tysięcy kopulacji - a także jej bliskość, kontakt z jej ciałem, sprawiły, że zacząłem się kręcić, wiercić i rzucać, nie mogąc zasnąć. Słyszałem w oddali bicie dzwonów obwieszczających południe. Zofia spała z rozchylonymi ustami, w jej oddechu dało się wyczuć zapach whisky. Głęboki dekolt jedwabnej sukni odsłaniał prawie całkiem jedną pierś, co wywołało we mnie tak nieodparte pragnienie, by jej dotknąć, że po prostu musiałem to zrobić; najpierw głaskałem skórę z błękitnymi żyłkami leciutko, koniuszkami palców, potem zacząłem naciskać i pieścić tę kremową pełnię w sposób bardziej wyrafinowany, ugniatając ją całą dłonią i kciukiem. Moim czułym manipulacjom towarzyszył przyływ czystej żądz, żądz zaś towarzyszyło z kolei uczucie wstydu; w tym, co robiłem, było coś podstępnego, niemal nekrofilskiego, nawet jeśli moje natręctwo ograniczało się tylko do naskórka Zofii, pogrążonej w intymnym świecie pijanych snów - cofnąłem więc w końcu rękę.

Ciągle nie mogłem zasnąć. Głowę miałem pełną obrazów, dźwięków i głosów, przeszłość i przyszłość zamieniały się miejscami, a czasem zlewały się w jedno: były w tym wściekle ryki Natana, tak okrutne, tak dzikie, że czym prędzej wyrzuciłem je ze świadomości, były ostatnio napisane sceny z mojej powieści, postaci bełkoczące swoje kwestie jak aktorzy na scenie, głos mojego ojca w słuchawce telefonu, krzepiący, serdeczny (czyż staruszek nie miał racji? czy Południe nie powinno zostać na zawsze moim domem?), Zofia na omszałym brzegu jakiegoś fikcyjnego stawu czy głębokiego jeziora wśród lasów okalających wiosenne pola „Pięciu Wiązów”, jej gibkie, zdrowe ciało, długonoga sylwetka w elastycznym kostiumie kąpielowym, uśmiechnięty elf - nasz pierwotny usadowiony na jej kolanach, potworny huk wystrzału dzwoniący echem w moich uszach, zachody słońca, noce miłosnego zatracenia, wspaniałe jutrenki, zmarłe dzieci, triumf, smutek, Mozart, deszcz, sierpniowa zieleń, chwila wytchnienia, śmierć. Miłość. Zacichające, dalekie dźwięki granego przez wojskową orkiestrę *Marsza pułkownika Bogeya* przepełniły mnie bolesną nostalgią; przypomniałem sobie

niedawne lata wojny - dzień, kiedy dostałem przepustkę z jakiegoś obozu w Karolinie czy Wirginii i leżałem nie śpiąc (samotny) w jakimś hotelu w tym samym mieście, jednym z nielicznych amerykańskich miast nawiedzanych przez duchy z przeszłości. Rozmyślałem wtedy o pobliskich ulicach i próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądały zaledwie trzy ćwierćwiecza temu, w samym środku najtragiczniejszej, najbardziej przeklętej wojny, w jakiej kiedykolwiek brat obrócił się przeciw bratu, kiedy chodniki roiły się od żołnierzy w niebieskich mundurach, spekulantów i kurew, oszustów w wysokich jak kominy kapeluszach, kolorowych jak papugi żuawów, zabieganych dziennikarzy, biznesmenów zbijających fortuny, zalotnych ślicznotek w ukwieconych kapeluszach, tajemniczych konfederackich szpiegów, złodziei kieszonkowych i trumniarzy - wiecznie zagonionych, przytłoczonych nawałem swej nigdy nie kończącej się pracy, oczekujących tych dziesiątków tysięcy poległych, przeważnie młodych chłopców, zaszlachtowanych na umęczonej ziemi na południe od Potomacu i zrzucanych na sterty podobne sągom drzewa na przesiąkniętych krwią polach i w lasach nad tą senną rzeką. Dziwiło mnie zawsze - a nawet nappełniało grozą - że to schludne, nowoczesne, stołeczne miasto, tak bezosobowe i oficjalne w swym dumnym pięknie, było jednym z niewielu w tym kraju, jakie nawiedzały prawdziwe duchy. Orkiestra oddalała się, zamierały harmonie blaszanych instrumentów, błogie i zarazem przejmujące jak kołysanka. Zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, Zofia siedziała na łóżku z podwiniętymi nogami i przyglądała mi się. Spałem głęboko, jak pogrążony w letargu; ze zmiany światła w pokoju - ciemnym jak o zmierzchu nawet w południe, a teraz tonącym w gęstym mroku - wywnioskowałem, że musiało upłynąć kilka godzin. Jak długo mi się przypatrywała, trudno było oczywiście zgadnąć, ale poczułem się nieswojo, podejrzewając, że obserwuje mnie już od dłuższego czasu. Miała przy tym zachwycający wyraz twarzy: zadumany i nieco rozbawiony. Wyglądała wciąż blado i mizernie, miała sińce pod oczami, ale mimo to była jakby bardziej ożywiona i dość trzeźwa. Wydawało się, że przynajmniej chwilowo przewyciężyła okropny kryzys, jakiemu uległa w pociągu. Gdy spojrzałem na nią mrużąc oczy, powiedziała ze sztuczną intonacją, jakiej używała, gdy była w dobrym humorze:

- No jak tam, wielbny ojciec *Enweestle*, dobrze się spało?
- Matko Boska, Zofio! - zawołałem lekko spanikowany.
- Która to godzina? Spałem jak zabity.
- Słyszałam przed chwilą dzwony kościelne. Zdaje się, że jest trzecia.

Przeciagnałem się i pogłaskałem ją po ramieniu.

- Pora wymarszu, jak mówili w wojsku. Nie możemy tak gnąć w hotelu przez

całe popołudnie. Pokażę ci Biały Dom, Kapitol, pomnik Waszyngtona. I teatr Forda, wiesz, ten, gdzie zastrzelili Lincolna. No i pomnik Lincolna. Tyle jest tego cholerstwa. Przydałoby się też coś przekąsić...

- Nie chce mi się w ogóle jeść - odpowiedziała. - Ale bardzo chciałabym zwiedzić miasto. Teraz, kiedy się przespałam, czuję się znacznie lepiej.

- Zasnęłaś jak kamień.

- Ty też. Kiedy się obudziłam, miałeś otwarte usta i chrapałeś.

- Chyba żartujesz - powiedziałem zmieszany. - Ja nie chrapię. Nigdy w życiu nie chrapałem! Nikt mi dotąd tego nie mówił.

- Dlatego, że nigdy z nikim nie spałeś - odparowała przekornie. Potem nachyliła się nade mną i przywarła ustami do moich warg w cudownym, wilgotnym, lepkim pocałunku, przy czym jej język zrobił niespodziewanie krótki, figlarny wypad, wypełnił na moment moje usta i wycofał się. Powróciła do siedzącej pozycji, nim zdążyłem zareagować, a moje serce zaczęło walić jak oszalałe.

- O Boże, Zofio - zacząłem - nie rób tego, dopóki... uniosłem rękę i wytarłem usta.

- Stingo - przerwała mi - dokąd my jedziemy?

- Mówiłem ci przed chwilą - powiedziałem nieco zaskoczony. - Jedziemy zwiedzić Waszyngton. Zaczniemy od Białego Domu, może nawet uda nam się zobaczyć Harry'ego Trumana...

- Nie, Stingo - powiedziała poważnym tonem. - Ja pytam, dokąd my naprawdę jedziemy. Wczoraj wieczorem, kiedy Natan... No, kiedy zrobił to, co zrobił, i pakowaliśmy w takim pośpiechu walizki, powtarzałeś w kółko: „Musimy wracać do domu, do domu!” I tak bez przerwy - „Do domu!” A ja poszłam za tobą, bo byłam taka przerażona, i teraz jesteśmy oboje w tym obcym mieście i ja naprawdę nie wiem dlaczego. Dokąd my tak naprawdę jedziemy? Do jakiego domu?

- Przecież wiesz, Zofio, już ci mówiłem dokąd. Jedziemy na tę farmę, o której ci opowiadałem, na farmę w południowej Wirginii. Niewiele mogę dodać do tego, co ci już opisywałem. Uprawia się tam głównie orzeszki. Nigdy nie widziałem tej farmy, ale ojciec zapewnia, że jest tam pełny komfort, wszelkie nowoczesne amerykańskie udogodnienia. No wiesz, pralka, lodówka, telefon, kanalizacja, radio - wszystko. Pełne wyposażenie. Kiedy już tam zamieszkamy, wybierzemy się któregoś dnia do Richmond i kupimy dobry gramofon i masę płyt. Wszystkie utwory, które oboje lubimy. Jest tam taki duży sklep, nazywa się Miller and Rhoads, ze wspinałym działem płytowym, w każdym razie był tam taki dział, kiedy

chodziłem do szkoły w Middlesex...

Znów mi przerwała, łagodnie, ale z lekka nieufnie:

- Kiedy tam zamieszkamy? I co będzie potem? Jak to „zamieszkamy”, Stingo?

Jej pytania wytworzyły wielką, kłopotliwą próżnię, której nie potrafiłem wypełnić natychmiastową odpowiedzią, gdyż zdałem sobie sprawę z wagi tego, co za chwilę będę musiał powiedzieć. Przeknąłem więc głośno ślinę i długo milczałem, czując, jak krew pulsuje mi w skroniach wśród ponurej, grobowej ciszy obskurnego pokoiku. Wreszcie powoli, z większym niż mogłem się spodziewać spokojem i odwagą, powiedziałem:

- Kocham cię, Zofio. Chcę cię poślubić. Chcę z tobą żyć na tej farmie. Chcę tam pisać swoje książki, może już do końca życia, i chcę, żebyś była ze mną i pomogła mi założyć rodzinę.

- Zawahałem się przez moment, po czym dodałem: - Jesteś mi bardzo potrzebna. Bardzo, bardzo potrzebna. Czy mogę mieć nadzieję, że i ty mnie potrzebujesz? - Wypowiadając te słowa, uprzytomniłem sobie, że przemawiam z tym samym tembrem i drżeniem głosu, jaki słyszałem w kinie, nie u kogo innego jak u tej nadętej dupy wołowej, George’a Brenta, oświadczającego się Olivii de Havilland na pokładzie spacerowym groteskowego, hollywoodzkiego liniowca. Skoro już jednak tak zdecydowanie powiedziałem to, co miałem do powiedzenia, postanowiłem nie przejmować się tą trywializacją mego wyznania, zakładając, że pierwsze oświadczenia zawsze brzmią jak filmowy szajs.

Zofia nachyliła się, przysunęła twarz do mojej twarzy tak blisko, że wyczuwałem ciepło jej rozpalonego policzka, i gdy ja patrzyłem na jej kołyszące się nade mną, opięte jedwabiem biodra, zaczęła zduszonym głosem mówić mi na ucho:

- Och, mój milutki Stingo, jesteś taki kochany. Tak bardzo troszczysz się o mnie. Nie wiem, co bym bez ciebie poczęła.

- Pauza, jej wargi musnęły mój kark. - Wiesz, Stingo, ja już przekroczyłam trzydziestkę. Co ty będziesz robił z taką starszą panią?

- Poradzę sobie - powiedziałem. - Jakoś sobie poradzę.

- Przydałaby ci się dziewczyna w twoim mniej więcej wieku, z którą mógłbyś mieć dzieci, a nie ktoś taki jak ja. Zresztą...

- Co zresztą?

- Lekarz powiedział mi, że muszę się wystrzegać ciąży po tym... - Znów zamilkła.

- Po tym, co przeszłaś?

- Tak, ale to nie tylko to. Kiedyś zestarzeję się i zbrzydnę, a ty będziesz jeszcze

całkiem młody i nawet nie będę mogła mieć do ciebie żalu, że uganasz się za młodymi i pięknymi *mademoiselles*.

- Och Zofio, Zofio - westchnąłem myśląc z rozpaczą: nie powiedziała: „Ja też cię kocham”. - Nie mów tak. Zawsze będziesz moją... moim... - szukałem jakiegoś odpowiednio czulego określenia, ale nie mogłem wymyślić nic stosownego moim numerem jeden. - Zabrzmiało to okropnie banalnie.

Usiadła z powrotem.

- Pojadę z tobą na tę farmę. Bardzo bym chciała zobaczyć Południe po tym, co opowiadałeś, i po przeczytaniu Faulknera. Umówmy się, że pojedziemy tam na jakiś czas, zamieszkać z tobą na razie bez ślubu, a potem będziemy mogli zdecydować...

- Zofio, Zofio - przerwałem jej. - To byłoby cudowne. O niczym bardziej nie marzę. Nie jestem fanatykiem małżeństwa. Ale nie masz pojęcia, jacy tam są ludzie. Oczywiście, to bardzo przyzwoici, wielkoduszni, serdeczni, prości Południowcy, ale w takim wiejskim środowisku jak nasze nie ma mowy o wspólnym mieszkaniu bez ślubu. Jezu, przecież tam są sami chrześcijanie! Niech tylko się rozniesie po okolicy, że żyjemy, jak się to mówi, w grzechu, a ten poczciwy ludek wirgiński wytarza nas w smole i w pierzu, i wyrzuci za granice Karoliny. Przysięgam, że się tak stanie!

Zofia parsknęła śmiechem.

- Ci Amerykanie są tacy zabawni! Myślałam, że tylko Polska jest taka purytańska, ale że Ameryka...

Uprzytamniam sobie teraz, że to syrena, a raczej cały chór syren i pandemonium łoskotu, jaki towarzyszył ich przenikliwemu wyciu, zniszczyły delikatną otoczkę nastroju Zofii, który także dzięki mojej troskliwej pielęgnacji stał się pogodny jak przejaśniający się, choć jeszcze nie słoneczny dzień. Nienawistny ryk miejskich syren, nawet odległy, prawie zawsze wyzwala w człowieku rodzaj destrukcyjnej dla ducha irracjonalnej wściekłości, graniczącej z szaleństwem. Syrena, którą usłyszeliśmy teraz, wyła w wąskiej uliczce, zaledwie trzy piętra pod nami, a jej dźwięk zwielokrotniony odbiciem od brudnych ścian wąskiego kanionu ulicy wdzierał się przez okno niczym ucieleśniony w postaci długiego ryja wrzask i rozsadał bębunki w uszach jak sadystyczny oprawca. Wskoczyłem z łóżka, żeby zatrzaskać okno. Na końcu uliczki, nad budynkiem wyglądającym na magazyn wykwitał pióropusz dymu, lecz wozy strażackie powstrzymywane jakąś nieznaną przeszkodą ugrzęzły pod hotelem i słały nieustannie w niebo swój niewiarygodny, ogłuszający wizg.

Zatrzaskałem okno i trochę mi ulżyło, ale Zofii najwidoczniej nic nie pomogło; leżała na wznak i wierzgała nogami, zakrywając głowę poduszką. Jako świeżo upieczone

mieszczuchy zdążyliśmy się przyzwyczać do tych dość częstych, choć rzadko tak głośnych i bliskich eksplozji hałasu. Niepozorny Waszyngton wytwarzał harmider, jakiego nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć w Nowym Jorku. Z wolna jednak wozy strażackie wymijały przeszkodę i wycie cichło, więc znów skierowałem uwagę na Zofię. Spojrzała na mnie z dołu. O ile mnie piekielny ryk syren po prostu rozstroił nerwy, o tyle ona wyglądała tak, jakby ktoś skatował ją okrutnie bykowcem. Twarz miała zaczerwienioną i wykrzywioną, rozdygotana odwróciła się do ściany, łzy znów trysnęły jej z oczu. Usiadłem obok niej i długo siedziałem w milczeniu. Wreszcie szloch zaczął uspokajać się stopniowo i przemówiła.

- Przepraszam, Stingo. Zupełnie nie mogę nad sobą zapanować.

- Nie jest tak źle - powiedziałem bez większego przekonania.

Zapadła cisza. Zofia leżała nieruchomo wpatrując się w ścianę, a w końcu rzekła:

- Stingo, czy miewasz takie sny, które ciągle powracają? To się chyba nazywa sny periodyczne, prawda?

- Miewam - odparłem przypominając sobie sen, który przyśnił mi się po śmierci matki: otwartą trumnę, mokrą od deszczu wyniszczoną twarz zwróconą ku mnie w nieopisanej męce. - Tak, miewam takie sny - powtórzyłem. - Jeden powracał ciągle, kiedy umarła moja matka.

- Czy rzeczywiście wiążą się zawsze z rodzicami? W tym, który śni mi się przez całe życie, pojawia się ojciec.

- To dziwne - powiedziałem. - Być może tak jest. Nie wiem. Matki i ojcowie - oni są w pewnym sensie czymś najważniejszym w życiu każdego z nas. A w każdym razie mogą być.

- Kiedy teraz spałam, znów przyśnił mi się ten sen o ojcu, historia, która wciąż się powtarza. Ale po przebudzeniu zapomniałam, co mi się dokładnie śniło. I potem ci strażacy - ta syrena. Okropna, ale było w tym dźwięku coś z muzyki. Czy to właśnie ona - ta muzyka? Wstrząsnęła mną i znów przypomniałam sobie ten sen.

- A o czym był?

- To się wiązało z pewnym wydarzeniem z mojego dzieciństwa.

- Jakim, Zofio?

- Zanim ci opowiem, muszę coś wyjaśnić, żebyś wszystko zrozumiał. Miałam wtedy jedenaście lat, jak ty, kiedy wybrałaś się po raz pierwszy do Filadelfii. Spędzaliśmy wakacje w Dolomitach, wspominałam ci już o tym. Pamiętasz, mówiłam ci, że ojciec wynajmował tam każdego lata góralską chatę w okolicach Bolzano, w małej wiosce Oberbozen, gdzie wszyscy mówili oczywiście po niemiecku. Była tam mała kolonia Polaków,

profesorów z Krakowa i z Warszawy i paru polskich... powiedzmy, arystokratów, w każdym razie ludzi z pieniędzmi. Pamiętam, że był wśród profesorów słynny antropolog, Bronisław Malinowski. Mój ojciec usiłował zaskarbić sobie jego przyjaźń, ale Malinowski go nie znosił. Kiedyś w Krakowie podsłuchałam, jak jakiś dorosły mówił, że profesor Malinowski uważa mojego ojca, profesora Biegańskiego, za parweniusza i beznadziejnego prostaka. No więc w tym Oberbozen była też bardzo bogata Polka, księżna Czartoryska, z którą ojciec nawiązał bliską znajomość, tak że widywali się dość często podczas tych letnich wakacji. Ona pochodziła ze znakomitego polskiego rodu i ojciec bardzo ją lubił, bo była bogata, no i miała podobny stosunek do Żydów.

Były to czasy Piłsudskiego, no wiesz, kiedy Żydów chroniły ustawy i wiodło im się, można powiedzieć, całkiem przyzwoicie, więc księżna Czartoryska i mój ojciec spotykali się często i rozmawiali o problemie żydowskim i o konieczności pozbycia się Żydów. To było dziwne, Stingo, bo w Krakowie ojciec unikał mówienia o Żydach w naszej - mamy i mojej - obecności i ukrywał przed nami swoją nienawiść do nich. W każdym razie wtedy, kiedy byłam mała. Ale we Włoszech, w Oberbozen, podczas spotkań z księżną Czartoryską, było zupełnie inaczej. Księżna miała osiemdziesiąt lat, zawsze, nawet w pełni lata nosiła długie wytworne suknie i biżuterię - pamiętam, że miała broszkę z olbrzymim szmaragdem. Spotykała się z ojcem na herbatkach w swej bardzo eleganckiej *Sennhütte*, to znaczy domku góralskim, i rozmawiali o Żydach. Mówili zawsze po niemiecku. Miała pięknego berneńskiego owczarka, bawiłam się z nim i podsłuchiwałam te ich rozmowy, prawie zawsze o problemie żydowskim. tym, że należy ich gdzieś wysłać, pozbyć się ich wszystkich. Księżna zamierzała nawet stworzyć specjalny fundusz na ten cel. Mówili też zawsze o wyspach - Cejlonie, Sumatrze, Kubie, ale głównie o Madagaskarze, gdzie można by ich przesiedlić. A ja słuchałam tego piąte przez dziesiąte, bawiąc się z małym wnuczkiem księżnej, Anglikiem, albo z tym wielkim psem, albo słuchając muzyki z gramofonu. I właśnie ta muzyka wiąże się z moim snem, Stingo.

Zofia zamilkła i przycisnęła palce do zamkniętych oczu. Jej monotony głos ożywił się nagle, kiedy odwróciła się do mnie, jakby coś odciągnęło jej uwagę od wspomnień.

- Będziemy mieli muzykę tam, gdzie jedziemy, Stingo, bo inaczej długo nie wytrzymam.

- No cóż, będę z tobą szczerzy, Zofio. Tam, na głuchej prowincji, to znaczy poza nowym Jorkiem, nie ma w radiu żadnej muzyki. Nie ma żadnego WQXR ani WNYC. Jest tylko Milton Cross

o Metropolitan Opera w sobotę po południu. Cała reszta to *hillbilly*. Niektóre

kawałki fantastyczne. Może uda mi się zrobić z ciebie wielbicielek Roya Acuffa. Ale tak jak mówiłem, pierwszą rzeczą, jaką zrobimy po przyjeździe, będzie zakupienie gramofonu i płyt...

- Natan strasznie mnie rozpuścił - weszła mi w słowo.

- Kupował mi tyle muzyki. Ale to dla mnie jak krew, życiodajna krew i nic na to nie poradzę. - Znów zamilkła, jakby zbierając okruchy wspomnień, po czym podjęła wątek: - Księżna Czartoryska miała gramofon. Było to jedno z pierwszych urządzeń tego typu, niezbyt wysokiej klasy, ale ja zetknęłam się z czymś takim po raz pierwszy w życiu. To dziwne, prawda? Ta stara, polska żydożerczyni kochająca muzykę. Miała mnóstwo płyt i kiedy je puszczała swoim gościom - mamie, ojcu, mnie i innym szalałam wprost ze szczęścia. Przeważnie były to arie z włoskich i francuskich oper - Verdiego, Rossiniego i Gounoda ale pamiętam też jedną płytę, którą tak uwielbiałam, że kiedy jej słuchałam, omdlewałam wprost z rozkoszy. Musiała być bardzo rzadka i cenna, i bardzo stara, bo strasznie szumiała, aż trudno teraz uwierzyć, że mogłam się nią tak zachwycać. To było nagranie *Lieder* Brahmsa w wykonaniu *Madame* Schu - mannHeink. Pamiętam, że na jednej stronie była pieśń *Der Schmied*, a na drugiej *Von ewige Liebe*; kiedy ją pierwszy raz usłyszałam, wpadłam w trans - ten cudowny głos przebijał się przez wszystkie szумы i trzaski, a ja myślałam sobie, że to najwspanialszy śpiew, jaki w życiu słyszałam, jakby anioł zstąpił na ziemię. Dziwne, ale księżna nastawiła tę płytę tylko raz podczas naszych wizyt. Marzyłam, żeby jej wysłuchać ponownie. Boże, czułam, że zrobiłabym wszystko - popełniłabym nawet jakąś podłość - żeby znów usłyszeć te pieśni. Bardzo chciałam poprosić księżnę, żeby nastawiła płytę jeszcze raz, ale nie śmiałam, a poza tym ojciec skarciłby mnie za taką... taką bezczelność...

No więc w tym ciągle powracającym śnie widzę, jak księżna Czartoryska w swej pięknej, długiej sukni podchodzi do gramofonu, odwraca się i mówi za każdym razem tak jakby do mnie: „Czy chcesz posłuchać *Lieder* Brahmsa?” I ja zawsze chcę odpowiedzieć, że tak. Ale zanim zdążę otworzyć usta, przerywa mi mój ojciec. Stoi obok księżnej, patrzy na mnie i mówi: „Proszę nie puszczać takiej muzyki temu dziecku. Jest zbyt głupia, żeby ją zrozumieć”. I wtedy budzę się z uczuciem bólu...

Tylko że tym razem było jeszcze gorzej, Stingo. Bo w tym śnie, który przyśnił mi się dziś, nie mówił księżnej o muzyce, ale... zawahała się, a potem dokończyła cichym głosem - o mojej śmierci. Chciał chyba, żebym umarła.

Odwrociłem się od Zofii. Podszedłem do okna pełen niepokoju przygnębienia, które tkwiły we mnie jak głęboki, skręcający trzewia ból. Słaba, gryząca woń spalenizny przenikała do wnętrza pokoju, ale mimo to otworzyłem okno i zobaczyłem zwiewny błękitnawy woal

snujący się nad ulicą. Daleko, nad płonącym budynkiem kłębiła się ciemna chmura dymu, ale nie mogłem dostrzec płomieni. Śwąd przypalanej farby, smoły lub pokostu zmieszany z wonią rozgrzanej gumy był coraz bardziej intensywny. Znów zawyły syreny, tym razem nie tak głośno, a poza tym z przeciwnej strony; zobaczyłem tryskającą w niebo, ku niewidocznym oknom fontannę wody, która w zetknięciu z również niewidocznym piekłem pożaru zamieniła się w gęsty obłok pary. Gromadki gapiów bez marynarek zaczęły ostrożnie, boczkiem podchodzić coraz bliżej płonącego budynku; zobaczyłem, że dwóch policjantów blokuje przejście drewnianymi zaporami. Mimo że i hotel, i my sami byliśmy bezpieczni, przyłapałem się na tym, że dygoczę z napięcia.

Kiedy znów odwróciłem się w stronę Zofii, spojrzała na mnie z łóżka i rzekła:

- Stingo, muszę ci teraz powiedzieć coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam.
Nigdy.

- Słucham cię.

- Jeśli ci tego nie powiem, nie zrozumiesz niczego, co mnie dotyczy. A ja czuję, że muszę to w końcu komuś powiedzieć.

- Powiedz mi, Zofio.

- Muszę się najpierw napić.

Podszedłem bez wahania do jej walizki i wyłowilem ze śliskiego, lnianojedwabnego galimatiasu drugą półlitrowkę whisky; wiedziałem, że ją tam schowała. Upij się, Zofio - pomyślałem.

i Zasłużyłaś sobie na to. Wszedłem do maleńkiej łazienki, nalałem trochę wody do jadowicie zielonego, plastikowego kubka wróciłem z nim do łóżka. Zofia dołała do pełna whisky.

- Chcesz trochę?

Potrząsnąłem głową, podszedłem znów do okna i zacząłem wdychać chemiczne, brunatne wyziewy odległego piekła.

- Kiedy przyjechałam do Oświęcimia - usłyszałem za plecami głos Zofii - była piękna pogoda. Kwitły forsycje.

Ja zjadałem wtedy banany w Raleigh, w Północnej Karolinie pomyślałem nie po raz pierwszy od czasu, gdy poznałem Zofię, lecz po raz pierwszy w życiu w pełni świadom znaczenia pojęcia Absurdu i zawartej w nim ostatecznej i nieodwołalnej grozy.

- Wiesz, Stingo, pewnego zimowego wieczoru w Warszawie Wanda przepowiedziała swoją śmierć i moją, i śmierć moich dzieci.

Nie pamiętam dokładnie, w którym momencie jej relacji wielebny Entwistle zaczął

bezwiednie szeptać: - O Boże, Boże miłosierny! - ale wiem dokładnie, iż w trakcie opowiadania, kiedy dym kłębił się nad pobliskimi dachami, a ogień buchnął wreszcie ku niebu oszalałym płomieniem, zdałem sobie sprawę, że te nabożne inwokacje prezbiterianina straciły w końcu jakiegokolwiek znaczenie. Wszystkie te szeptane w kółko: „O Boże”, „Boże miłosierny”, a nawet „Chryste Panie” były tak puste, jak sen idioty o Bogu lub przekonanie, że Coś takiego naprawdę istnieje.

- Czasami zdawało mi się, że całe zło na ziemi, wszystkie niegodziwości, jakie kiedykolwiek wymyślono, mają jakiś związek z moim ojcem. Tamtej zimy w Warszawie nie miałam żadnego poczucia winy z powodu ojca ani tego, co napisał. Ale często ogarniał mnie straszny wstyd, co nie jest tym samym. Wstyd jest uczuciem ohydny, trudniejszym nawet do zniesienia niż poczucie winy; nie mogłabym żyć ze świadomością, że marzenia mojego ojca ziszczą się kiedyś na moich oczach. Poznałam wiele innych spraw, bo mieszkałam z Wandą, a w każdym razie byłam blisko niej. Ona była tak dobrze zorientowana w tym, co się wokół dzieje, więc i ja wiedziałam już wtedy o transportach tysięcy Żydów do Trebłinki i Oświęcimia. Początkowo wszyscy myśleli, że wysyłają ich do pracy, ale ruch oporu miał doskonały wywiad, więc bardzo szybko poznaliśmy prawdę, dowiedzieliśmy się o gazowaniu, krematoriach, o wszystkim. Tego właśnie chciał mój ojciec - i to mnie gnębiło.

Kiedy zaczęłam pracować w fabryce papy, często przechodziłam albo przejeżdżałam tramwajem obok getta. Niemcy nie zniszczyli go jeszcze do końca, ale ten proces trwał. Widziałam często szeregi Żydów z podniesionymi rękami, pędzonych przez hitlerowców jak bydło pod lufami karabinów. Byli tacy szarzy bezbronni; pewnego dnia musiałam wysiąść z tramwaju, bo dostałam torsji. I to wszystko, całą tę grozę, usankcjonował niejako mój ojciec, nie tylko usankcjonował, ale w pewnym sensie stworzył. Nie mogłam tego dłużej trzymać w tajemnicy, czułam, że muszę to komuś powiedzieć. Nikt w Warszawie nie znał dobrze mojej rodziny, miałam nazwisko po mężu. Postanowiłam powiedzieć Wandzie o tym... o tej niegodziwości.

A jednak... a jednak musiałam przyznać się sama przed sobą do czegoś jeszcze, Stingo. Do tego mianowicie, że byłam zafascynowana tą niewiarygodną tragedią Żydów. Nie mogłam opanować tego uczucia. Nie było to bynajmniej przyjemne, przeciwnie, wręcz odrażające. A jednak kiedy przechodziłam koło getta, musiałam przystanąć i to, co widziałam, to spędzanie ludzi, wprawiało mnie w jakiś trans. Wiedziałam, skąd się bierze moja fascynacja, i to mnie wprost zwałało z nóg. Ta świadomość zapierała mi dech. Bo nagle zrozumiałam, że tak długo, jak długo Niemcy będą koncentrować całą swą niewiarygodną, iście nadludzką energię na niszczeniu Żydów, ja będę bezpieczna. Może nie całkiem

bezpieczna, ale bezpieczniejsza. Mimo że było źle, byliśmy znacznie bezpieczniejsi niż ci osaczeni, bezbronni Żydzi. A zatem dopóki Niemcy poświęcali tyle energii zagładzie Żydów, dopóty miałam poczucie większego bezpieczeństwa - swojego, Janka i Ewy. A nawet Wandy i Józefa, którzy tak się narażali. Ale to zawstydzало mnie jeszcze bardziej, więc, jak już mówiłam, pewnego wieczoru postanowiłam powiedzieć wszystko Wandzie.

Kończyliśmy właśnie nasz nędzny posiłek - pamiętam, była fasola, zupa z brukwi i jakaś namiastka kielbasy. Rozmawialiśmy o utworach muzycznych, których nie udało nam się nigdy usłyszeć. Zwlekałam cały wieczór z powiedzeniem tego, co miałam do powiedzenia, ale w końcu zebrałam się na odwagę zaczęłam:

- Wanda, czy zetknęłaś się kiedyś z nazwiskiem Biegański? Zbigniew Biegański?

Widać było po oczach, że nie od razu skojarzyła.

0 Ach, mówisz o tym profesorze faszyście z Krakowa. Był przez pewien czas przed wojną dość głośną postacią. Wygłaszał tu, w Warszawie, historyczne odczyty przeciw Żydom. Zupełnie nim zapomniałam. Ciekawe, co się z nim stało. Pewnie pracuje dla Niemców.

- On nie żyje - powiedziałam. - To mój ojciec.

Widziałam, że Wanda się wzdrygnęła. Było bardzo zimno, na zewnątrz i w domu. Śnieg z deszczem zacinął w szyby. Dzieci leżały w łóżku w pokoju obok. Położyłam je, bo skończyła nam się nafta, węgiel i drzewo, a Wanda miała przynajmniej dużą kołdrę, pod którą mogły się ogrzać. Nie spuszczałam z niej oka, ale jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- A więc to twój ojciec - powiedziała po chwili. - To musiało być dziwne mieć takiego ojca. Jaki on był?

Zaskoczyła mnie jej reakcja - wydawało się, że przyjęła wiadomość bardzo spokojnie, jak coś naturalnego. A przecież była w ruchu oporu tą, która chyba najbardziej pomagała Żydom lub przynajmniej starała się im pomagać, bo było to strasznie trudne. Pomoc dla getta można chyba określić jako jej specjalność. Uważała też, że każdy, kto zdradza Żydów czy pojedynczego Żyda, zdradza Polskę. To właśnie Wanda nakłoniła Józefa do zabijania Polaków, którzy wydawali Żydów. Była bardzo bojowa, oddana sprawie, prawdziwa socjalistka. Ale wydawało się, że wiadomość o tym, kim był mój ojciec, wcale jej nie zaszokowała najwidoczniej nie uważała mnie za... jakby to określić, zarażoną.

- Bardzo mi trudno o nim mówić - powiedziałam.

A ona na to łagodnie:

- Więc nie mów, serduszek. Nie obchodzi mnie, kim był twój ojciec. Nie można

cię winić za jego wstrętne grzechy.

Potem powiedziałam:

- Wiesz, to takie dziwne. Zabili go Niemcy, w Rzeszy. W Sachsenhausen.

Ale nawet to, nawet ta ironia losu nie zrobiła na niej wrażenia. Zmrużyła tylko oczy i przeciągnęła ręką po włosach. Włosy miała rude i marne, matowe - skutek niedożywienia.

Potem powiedziała po prostu:

- Pewnie był jednym z tych naukowców z Jagiellonki, którzy dostali za swoje, kiedy zaczęła się okupacja.

- Owszem. I mój mąż też. Nigdy ci o tym nie mówiłam. Był uczniem mojego ojca. Nienawidziłam go. Mówiłam ci, że zginął podczas walk z Niemcami - mam nadzieję, że mi wybaczysz to kłamstwo.

Chciałam dokończyć to, co mówiłam, te usprawiedliwienia, ale Wanda mi przerwała. Zapaliła papierosa. Pamiętam, że paliła jak smok, jeśli tylko udało jej się zdobyć papierosy.

- Zosiu, kochanie, to nie ma znaczenia - powiedziała. - Na litość boską, czy ty sądzisz, że obchodzi mnie, kim oni byli? Ważne, kim ty jesteś. Twój mąż mógłby być gorylem, a ojciec Josephem Goebbelsem, a i tak pozostałabyś moją najserdeczniejszą przyjaciółką. - Podeszła do okna i zaciągnęła rolety. Robiła to tylko wtedy, kiedy zbliżało się jakieś niebezpieczeństwo. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze, ale budynek sterczał samotnie wśród ruin po bombardowaniu i Niemcom łatwo byłoby wypatrzeć, co się w nim dzieje. Więc Wanda wołała nie kusić losu. Pamiętam, że spojrzała na zegarek i powiedziała: - Za minutkę będziemy miały gości. Dwóch przywódców podziemia z getta. Przyjdą odebrać paczkę z pistoletami.

Pamiętam, że pomyślałam wtedy: Chryste Panie! Za każdym razem, kiedy Wanda napomykała o broni, o tajnych spotkaniach albo o czymkolwiek, co łączyło się z niebezpieczeństwem lub możliwością zgarnięcia przez Niemców, serce skakało mi do gardła i dostawałam mdłości. Przyłapanie na pomaganiu Żydom oznaczało śmierć, chyba wiesz. Oblewałam się zimnym potem robiło mi się słabo - och, byłam takim tchórzem! Miałam nadzieję, że Wanda tego nie widzi i za każdym razem, kiedy tak reagowałam, zastanawiałam się potem, czy moje tchórzostwo nie było kolejną złą cechą odziedziczoną po ojcu. Ale Wanda powiedziała:

- Słyszałam coś niecoś o jednym z tych Żydów. Podobno jest bardzo odważny i bardzo kompetentny jako przywódca. I gotów na wszystko. Mają tam jakiś ruch oporu, ale nie zorganizowany. Ten Żyd przesłał wiadomość, że wkrótce wybuchnie w getcie powstanie na wielką skalę. Mieliśmy do czynienia z kilkoma z nich, ale ten człowiek to mózg - motor

wszystkiego. Zdaje się, że nazywa się Feldsohn.

Czekałyśmy na tych Żydów, ale oni nie przychodzili. Wanda powiedziała mi, że broń jest schowana w piwnicy. Weszłam do sypialni, żeby zobaczyć, co z dziećmi. Nawet tam powietrze było zimne jak nóż; nad głowami Janka i Ewy unosił się obłoczek pary. Słyszałam, jak wiatr świszczę w szparach okien. Ale ta kołdra to była wielka, stara polska kołdra z gęsiego puchu trzymała ciepło. Pamiętam, że modliłam się, żeby następnego dnia udało mi się zdobyć trochę węgla albo drzewa na opał do naszego mieszkania. Za oknem było dosłownie czarno, całe miasto pograżyło się w ciemnościach. Dygotałam wprost z zimna. Tamtego wieczoru Ewa się przeziębila, strasznie bolało ją ucho długo nie mogła zasnąć. Bolało ją okropnie. Ale Wanda znalazła trochę aspiryny, o którą było bardzo trudno - Wanda potrafiła zdobyć wszystko - i Ewa zasnęła. Pomodliłam się jeszcze o to, żeby do rana wyzdrowiała i żeby przeszedł jej ból. Potem usłyszałam pukanie do drzwi i wróciłam do saloniku.

Nie pamiętam zbyt dobrze tego drugiego Żyda, prawie się zresztą nie odzywał, ale Feldsohna zapamiętałam doskonale. Był krępy męczyzną po czterdziestce, miał rudoblonde włosy przenikliwe, inteligentne spojrzenie. Jego wzrok przeszywał człowieka na wskroś, mimo że patrzył przez grube szkła, z których jedno, jak pamiętam, było pęknięte i sklezione. Pamiętam też, że przy całej swej uprzejmości robił wrażenie zagniewanego. Zdawało się, że kipi wprost gniewem i nienawiścią, choć jego zachowanie było bez zarzutu. Z miejsca powiedział do Wandy:

- Nie mogę pani zapłacić od razu, zwrócić od ręki należności za broń. - Nie rozumiałam zbyt dobrze jego polszczyzny, była jakaś taka niepewna i niewyraźna. - Zapłacę oczywiście niedługo mówił bełkotliwie i z irytacją - ale nie teraz.

Wanda poprosiła ich, żeby usiedli, i zaczęła mówić po niemiecku. To, co powiedziała zaraz na początku, było bardzo niedelikatne:

- Ma pan niemiecki akcent. Możemy rozmawiać po niemiecku albo, jeśli pan woli, w jidysz...

Przerwał jej i tym swoim złym, rozdrażnionym głosem powiedział w bezbłędnej niemczyźnie:

- Nie muszę mówić w jidysz! Mówiłem po niemiecku, zanim pani się urodziła...

Teraz przerwała mu Wanda.

- Nie pora na zawile roztrząsania. Niech pan mówi po niemiecku. Ja i moja przyjaciółka znamy ten język. Nikt nie żąda zapłaty za broń, a już na pewno nie natychmiast, od ręki. Pistolety skradziono esesmanom i wobec tego nie chcemy od was pieniędzy. Choć mielibyśmy co z nimi zrobić. O pieniądzach porozmawiamy innym razem. - Usiedliśmy.

Wanda obok Feld - sohna, pod tą słabą żarówką. Żółtawe światło przygasało, nigdy nie było wiadomo, kiedy zabraknie prądu. Wanda poczęstowała Feldsohna i tego drugiego Żyda papierosami. - Jugosłowiańskie powiedziała. - Też ukradliśmy Niemcom. W każdej chwili może zgasnąć światło, więc załatwmy sprawę od razu. Ale najpierw chciałam o coś zapytać. Niech pan powie coś o sobie, panie Feldsohn. Chciałabym wiedzieć, z kim mam do czynienia, to moje prawo. Niech pan wobec tego puści trochę pary z ust. Pewnie będziemy jeszcze nieraz robić interesy.

Ten jej sposób bycia, ta bezceremonialność w obcowaniu z ludźmi - z każdym, nawet z nieznanymi - była niesamowita. Można by to określić jako wręcz bezczelność; pod tym względem zachowywała się jak jakiś twardy facet, była jednak dostatecznie młoda i kobieca i wyczuwało się w niej pewną delikatność, tak że jakoś jej to uchodziło. Przyglądałam się jej. Wyglądała bardzo... mizernie, tak chyba się to mówi. Nie zmrużyła oka przez dwie ostatnie noce, ciągle zapracowana, w ruchu, w zagrożeniu. Dużo czasu poświęcała pracy nad podziemną gazetą, a to było bardzo niebezpieczne. Chyba ci już mówiłam, że nie była specjalnie ładna - miała taką mlecznobiałą, piegowaną twarz z wydatnym podbródkiem, ale był w niej pewien magnetyzm, który ją przeobrażał, sprawiał, że stawała się dziwnie pociągająca. Nie spuszczałam z niej oczu - miała podobnie jak obaj Żydzi surowy, zniecierpliwiony wyraz twarzy - i to widoczne napięcie było fascynujące. Aż hipnotyczne.

- Urodziłem się w Bydgoszczy - zaczął Feldsohn - ale jako dziecko wyjechałem z rodzicami do Niemiec. - W jego głosie pojawił się gniewny ton i sarkazm. - Dlatego tak kiepsko mówię po polsku. Muszę przyznać, że w getcie niektórzy z nas starają się używać tego języka jak najrzadziej. Chciałoby się rozmawiać w języku innym niż język naszych gnębieli. Po tybetańsku? Po eskimosku? - Głos mu nieco złagodniał. - Przepraszam za dygresję. Dorastałem w Hamburgu i tam się kształciłem. W Wiirz - burgu. Wykładałem literaturę francuską i angielską. Wtedy mnie aresztowali. Kiedy wykryli, że urodziłem się w Polsce, deportowali mnie w 1938 roku, razem z żoną i córką i wieloma innymi Żydami polskiego pochodzenia. - Umilkł, a potem powiedział z goryczą: - Uciekliśmy przed nazistami, a teraz oni obracają tu wszystko w gruzy. Ale nie wiem, kogo mam się bać bardziej, hitlerowców czy Polaków - Polaków, których mam chyba prawo uważać za swoich ziomków? Jeśli chodzi o Niemców, wiem przynajmniej, czego się po nich można spodziewać.

Wanda zignorowała jego słowa. Zaczęła mówić o pistoletach. Poinformowała, że w tej chwili schowane są w piwnicy, owinięte w pakowy papier. Jest tam też skrzynka amunicji. Potem spojrzała na zegarek i powiedziała, że dokładnie za kwadrans zjawią się w piwnicy ludzie z AK i przeniosą paczki do klatki schodowej. Mieli umówiony sygnał. Kiedy go

usłyszy - wyjaśniała - da znak Feldsohnowi i jego towarzyszowi. Wtedy wyjdą natychmiast z mieszkania i zjedną na dół, gdzie będą już na nich czekać paczki. Potem jak najszybciej wyjdą z budynku. Pamiętam, że zwróciła uwagę na pewien szczegół: jeden z pistoletów - były to lugery ma ułamaną iglicę czy coś innego, ale postara się go wymienić najszybciej, jak tylko będzie mogła.

- Jednego jeszcze nie wiemy - powiedział Feldsohn. - Ile jest tych pistoletów?

Wanda spojrzała na niego zdziwiona.

- Myślałam, że pan wie. Trzy automatyczne lugery.

Twarz Feldsohna zrobiła się biała, biała jak papier.

- To niemożliwe - wyszeptał. - Mówili, że będzie co najmniej dwanaście, może piętnaście. I parę granatów. To niemożliwe! - Widziałam, jaki jest wzburzony, a zarazem zrozpaczony. Potrząsnął głową. - Trzy lugery, jeden ze złamaną iglicą. Boże!

Wtedy Wanda powiedziała rzeczowo - widziałam, że stara się opanować emocje:

- Tyle mogliśmy na razie załatwić. Postaramy się zdobyć więcej. Myślę, że zdobędziemy. Jest czterysta sztuk amunicji. Będziecie potrzebowali więcej, postaramy się też zdobyć.

Głos Feldshona złagodniał nagle.

i Mam nadzieję, że wybaczy mi pani moją reakcję - powiedział przepraszającym tonem. - Z tego, co słyszałem, miało być więcej broni, stąd moje rozczarowanie. Poza tym dziś rano próbowałem się dogadać z inną grupą partyzantów, chciałem się zorientować, czy można liczyć na ich pomoc. - Zrobił pauzę i spojrzał na Wandę błędnym wzrokiem. - To było potworne - wprost niewiarygodne! Pijane skurwysyny! Wyśmiali nas, wyszydźli widać było, że z dziką satysfakcją. Wyzwali nas od mošków! to byli Polacy!

- Co to byli za ludzie? - zapytała Wanda obojętnie.

i Twierdzili, że są z ONR. Ale te same problemy miałem wczoraj z inną grupą z podziemia. - Spojrzał na Wandę wzrokiem pełnym wściekłości i rozpacz. - Trzy pistolety, szyderstwa śmiech. Tym mamy powstrzymać dwadzieścia tysięcy hitlerowców. Na litość boską, co tu się dzieje?

Widziałam, że słowa Feldsohna wzburzyły Wandę; była wściekła na niego, na wszystko - na samo życie. - ONR to banda kolaborantów. Fanatycy. Faszyci. Jako Zyd prędzej doczekałby się pan zrozumienia od Ukraińców czy Hansa Franka. Ale ostrzegam pana jeszcze przed innymi ludźmi. Komuniści są tacy sami. Gorsci. Jeśli trafi pan na partyzantów generała Korczyńskiego, mogą pana zastrzelić na miejscu.

- To przechodzi ludzkie pojęcie! - powiedział ■ Feldsohn.

- Jestem wdzięczny za te trzy pistolety, ale przyzna pani, że to śmiechu warte. W głowie się nie mieści, co tu się dzieje! Czytała pani *Lorda Jima*? O oficerze, który opuszcza w szalupie tonący statek, pozostawiając bezradnych pasażerów na pastwę losu? Proszę wybaczyć to porównanie, ale po prostu widzę tutaj to samo. Skazują nas na utonięcie nasi rodacy!

Wanda podniosła się z krzesła, oparła o stół i pochyliła w stronę Feldsohna. Starła się panować nad sobą, ale widziałam, że przychodzi jej to z trudem. Była blada i wyczerpana. Kiedy zaczęła mówić, w jej głosie pojawił się ton desperacji.

- Panie Feldsohn, jest pan albo głupi, albo naiwny, a może to, i to. Ktoś, kto ceni Conrada, raczej nie może być głupi, więc prawdopodobnie jest pan naiwny. Nie zapomniał pan chyba tej prostej prawdy, że Polska to kraj antysemicki. Sam pan przed chwilą użył słowa „gnębiciele”. Jak może pan oczekiwać pomocy od rodaków, żyjąc wśród narodu, który praktycznie wynalazł antysemityzm, w getcie, które my, Polacy zakładaliśmy kiedyś jako pierwsi? Jak może pan oczekiwać czegokolwiek od kogokolwiek oprócz naszej garstki, która, jakiegokolwiek były jej motywy - idealizm, przekonania moralne czy zwykła ludzka solidarność - robi, co może, aby ocalić życie choć kilku z was? Na Boga, panie Feldsohn, pańscy rodzice opuścili Polskę prawdopodobnie dlatego, żeby uciec przed żydożercami. Biedacy, nie przewidzieli, że ciepłe, gościnne, przyjazne Żydom i humanitarne łono Niemiec skuje lód i ogarnie pożoga, i że to łono was odepchnie. Nie mogli przewidzieć, że kiedy wrócicie do Polski, będą tu czekać na pana, pańską żonę i córkę ci sami żydożerzy, gotowi zetrzeć was na proch. To okrutny kraj, panie Feldsohn. A stał się z czasem tak okrutny, bo zbyt często poznawał smak klęski. Ten cały *Dreck* zapisany w Ewangelii to nonsens, nieszczęścia nie prowadzą do zrozumienia i współczucia, lecz do okrucieństwa. A ludzie tak pognębieni jak Polacy najlepiej wiedzą, jak znęcać się nad innym narodem, który rozproszył się po świecie jak wy, Żydzi. Dziwi mnie, że upiekło wam się z tą bandą oenerowców, że poprzestali na tych mośkach! - Zamilkła na sekundę, a potem dodała: - Czy wobec tego dziwi pana, że mimo to kocham ten kraj bardziej, niż mogą wyrazić słowa bardziej niż życie - i że gdyby zaszła taka konieczność, umarłabym dla niego, choćby w tej chwili?

Feldsohn przeszył Wandę spojrzeniem pełnym gniewu i powiedział:

- Nie mogę się dziwić, nawet gdybym chciał, bo sam jestem gotów na śmierć.

Zaniepokoiłam się o Wandę. Nigdy nie widziałam jej tak zmęczonej i, jak to się mówi, rozstrojonej. Tak ciężko pracowała, tak niewiele jadła, prawie wcale nie spała. Głos załamywał jej się chwilami, palce zaciśnięte na blacie stołu drżały. Zamknęła oczy z zaciśniętymi powiekami dygotała, słaniając się lekko na nogach. Zdawało się, że lada chwila

zemdleje. Potem otworzyła oczy i znów zaczęła mówić. Głos miała ochryply, pełen napięcia wielkiego smutku.

i Mówił pan o *Lordzie Jimie*, książce, którą znam. Myślę, że pańskie porównanie jest trafne, ale zapomniał pan o jej zakończeniu. Chyba zapomniał pan o tym, że w końcu bohater odkupuje swoją zdradę, odkupuje ją własną śmiercią. Cierpieniem śmiercią. Czy myślę się, zakładając, że niektórzy z nas, Polaków, będą mogli odkupić zdradę swych ziomeków wobec was, Żydów? Nawet jeśli nasza walka was nie ocali? Nieważne. Czy was ocali, czy nie, ja przynajmniej będę miała tę satysfakcję, że próbowaliśmy - poprzez nasze cierpienie i być może nawet przez naszą śmierć.

Potem powiedziała jeszcze:

- Nie chciałam pana obrazić, panie Feldsohn. Jest pan odważnym człowiekiem, to widać. Ryzykuje pan życie, przychodząc tutaj. Wiem, jak okrutny jest wasz los. Wiem od zeszłego lata, kiedy zobaczyłam pierwsze zdjęcia przemycone z Treblinki. Widziałam je jako jedna z pierwszych i podobnie jak inni nie wierzyłam w to, co widzę. Teraz wierzę. Wasze męczeństwo nie ma sobie równych w swojej grozie. Za każdym razem, kiedy przechodzę obok getta, wyobrażam sobie szczury w beczce szaleńca, który strzela do nich z automatu. Tak widzę waszą bezradność. Ale my, Polacy, też jesteśmy na swój sposób bezradni. Mamy oczywiście większą swobodę niż wy, Żydzi znacznie, znacznie większą swobodę poruszania, nie zagraża nam też bezpośrednio niebezpieczeństwo - ale jednak też jesteśmy na co dzień osaczeni. W odróżnieniu od szczurów w beczce jesteśmy szczurami w płonącym domu. Możemy uciec przed płomieniami, znaleźć miejsce, gdzie nie dociera żar ognia, schować się w piwnicy, gdzie jest bezpiecznie. Garstka może nawet uciec z tego budynku. Codziennie wielu z nas płonie żywcem, ale dom jest duży i sama nasza liczebność pozwala nam przetrwać. Ogień nie dosięgnie wszystkich, a kiedyś - kiedyś może się wypali. Jeśli tak się stanie, wielu pozostanie przy życiu. Ale w beczce... w beczce nie ocaleje żaden szczur. - Wanda zaczerpnęła powietrza i spojrzała Feldsohnowi prosto w oczy.

- Jednak pytam pana, panie Feldsohn: czy można oczekiwać od przerażonych szczurów w budynku, by przejmowały się szczurami w beczce - szczurami, z którymi nigdy zresztą nie poczuwały się do pokrewieństwa?

Feldsohn patrzył tylko na Wandę. Nie spuszczał z niej oka przez długie minuty. Nie odzywał się słowem.

Potem Wanda spojrzała na zegarek.

- Za cztery minuty usłyszymy gwizd. Będzie to oznaczało, że macie zejść na dół. Paczki będą czekać przy drzwiach. - I dodała:

- Trzy dni temu pertraktowałam z jednym z waszych ludzi w getcie. Nie będę wymieniać jego nazwiska, to zbyt cenne. Powiem tylko, że jest przywódcą jednego z tych ugrupowań, które gwałtownie zwalczają pana i pańską organizację. Zdaje się, że jest poetą czy powieściopisarzem. Był bardzo sympatyczny, ale zdecydowanie nie podobała mi się jedna rzecz. Sposób, w jaki mówił o Żydach, był taki patetyczny! Użył nawet zwrotu „nasze bezcenne dziedzictwo cierpienia”.

W tym momencie Feldsohn przerwał jej i powiedział coś, co wszystkim rozśmieszyło. Nawet Wanda się uśmiechnęła.

- To mógł być tylko Lewental. Mojżesz Lewental. To dopiero *szmale*.

- Nienawidzę teorii, że cierpienie jest czymś bezcennym. W tej wojnie cierpią wszyscy - Żydzi, Polacy, Cyganie, Rosjanie, Czesi, Jugosłowianie, wielu, wielu innych. Żydzi bywają w dodatku ofiarami ofiar, na tym polega zasadnicza różnica. Ale żadne cierpienie nie jest drogocenne, a każda śmierć jest parszywa. Zanim pójdziecie, chciałabym wam pokazać parę zdjęć. Miałam je w kieszeni, kiedy rozmawiałam z Lewentalem. Niedawno je dostałam. Miałam mu je pokazać, ale jakoś się rozmyśliłam. Pokażę je wam.

W tym momencie zgasło światło. Poczulałam w sercu ukłucie strachu. Czasami była to awaria prądu, ale wiedziałam też, że kiedy Niemcy robili obławę, specjalnie wyłączali prąd w budynkach, żeby osaczać ludzi światłami reflektorów. Przez moment zastygliśmy w bezruchu. Tylko żar z pieca dawał lekką poświatę. Upewniwszy się, że to tylko awaria sieci, Wanda znalazła świecę i zapaliła ją. Drżałam jeszcze ze strachu, kiedy rzuciła parę fotografii na stół obok świecy i powiedziała:

- Spójrzcie na to.

Pochyliłyśmy się nad zdjęciami. W pierwszej chwili nie mogłam się zorientować, co na nich jest - zdawało się, że to sterta patyków, wielki stos jakichś gałązek. Potem zrozumiałam: potworne fotografie przedstawiały bydlęcy wagon pełen martwych dzieci, mnóstwa dzieci, była ich może setka, a wszystkie zastygłe w nienaturalnych pozycjach, splecione w jedną bryłę, najwidoczniej zamrożone na śmierć. Na pozostałych zdjęciach było to samo - inne wagony ze stertami dzieci, sztywnych, zamrożonych.

- To nie są żydowskie dzieci - powiedziała Wanda. - To dzieci polskie, wszystkie poniżej dwunastu lat. Te zdjęcia zrobili ludzie z Armii Krajowej; włamali się do wagonów stojących na bocznicach gdzieś pomiędzy Zamościem i Lublinem. Jest tu kilka setek dzieci, w jednym tylko pociągu. Były tam jeszcze inne pociągi, w których dzieci poumierały z głodu albo z zimna, albo od tego i od tego. To tylko próbka. Liczba zmarłych idzie w tysiące.

Nikt się nie odzywał. Słyszałam tylko nasze oddechy, ale nikt nie odezwał się słowem.

W końcu przemówiła Wanda i po raz pierwszy jej głos był zdławiony i niepewny - wyczuwało się w nim śmiertelne zmęczenie i rozpacz.

- Nie wiemy jeszcze dokładnie, skąd są te dzieci, ale wiemy, kim są. Prawdopodobnie są to „odrzuty” z programu germanizacji, tak zwanego *Lebensbom*. Pochodzą z okolic Zamościa. Powiedziano mi, że były wśród tysięcy tych, które odebrano rodzicom, ale nie odpowiadały kryteriom rasowym, wobec czego zostały przeznaczone do wywózki - czytaj: eksterminacji - do Majdanka i Oświęcimia. Nie dotarły tam jednak. W pewnym momencie pociąg, tak jak wiele innych, odstawiono na bocznice, gdzie pozwolono im umierać w taki sposób, jak to widać na zdjęciach. Inne skonały z głodu, jeszcze inne, tych było najwięcej, podusiły się w hermetycznie zamkniętych, zaplombowanych wagonach. Trzydzieści tysięcy dzieci z samych tylko okolic Zamościa zniknęło bez śladu. Wiele tysięcy zmarło. To też masowy mord, panie Feldsohn. - Przeciągnęła dłonią po oczach. - Miałam wam powiedzieć o dorosłych, o tysiącach niewinnych mężczyzn i kobiet wymordowanych w samym tylko Zamościu. Ale nie mogę. Jestem bardzo zmęczona, zakręciło mi się w głowie. Wystarczą te dzieci.

Chwiała się lekko na nogach. Pamiętam, że wzięłam ją za łokieć i delikatnie próbowałam nakłonić, żeby usiadła. Ale ona, oświetlona płomieniem świecy, mówiła dalej, teraz już matowym, monotonnym głosem, jak w transie.

- Hitlerowcy nienawidzą was najbardziej, panie Feldsohn, i wy wycierpicie znacznie więcej niż inni, ale oni nie zamierzają poprzestać na Żydach. Czy sądzi pan, że kiedy skończą z wami, Żydami, otrzepią ręce, przestaną mordować i zawrą pokój z całym światem? Jeśli pan się łudzi, że tak będzie, to nie docenia pan potęgi zła. Kiedy skończą z panem, przyjdą i dobiorą się do mnie. Mimo że jestem półNiemką. Potem zabiorą się za moją obecną tutaj piękną, jasnowłosą przyjaciółkę i zrobią z nią to, co z wami. Nie oszczędzą też jej dzieci, tak jak nie oszczędzili tych maluchów, które pan tu widział zamknięte.

W pogrążającej się w mroku klitce w mieście Waszyngton D.C. Zofia i ja niemal bezwiednie zamieniliśmy się miejscami, tak że teraz ja leżałam na łóżku wpatrując się w sufit, a ona stała w oknie - tam gdzie ja przedtem - zapatrzona w lunę dalekiego pożaru. Zamilkła na chwilę; widziałem z profilu jej zamyśloną twarz, gdy pogrążona we wspomnieniach błdziła wzrokiem po zasnutym dymem horyzoncie. W głębokiej ciszy słychać było gruchanie gołębi na parapecie i dalekie odgłosy ludzkich zmagania z ogniem. Zegar na wieży kościoła wybił czwartą.

W końcu Zofia znów przemówiła.

- Następnego roku, w Oświęcimiu, jak ci już mówiłam, poddali Wandę

torturom, powiesili ją na haku i tak zginęła powolną śmiercią przez uduszenie. Kiedy się o tym dowiedziałam, rozmyślałam o niej często i najczęściej przypominał mi się ten właśnie wieczór w Warszawie. Miałam przed oczami jej obraz, jak po wyjściu Feldsohna i tego drugiego Żyda po pistolety siedzi kompletnie wykończona przy stole, z głową wtuloną w ramiona, i płacze. Dziwne, ale nigdy przedtem nie widziałam jej płaczącej. Pewnie uważała płacz za objaw słabości. Pamiętam, że pochyliłam się nad nią, położyłam jej rękę na ramieniu i patrzyłam, jak płacze. Była taka młoda, w moim wieku. I taka dzielna.

Ona była lesbijką, Stingo. Nieważne teraz, kim była, i wtedy też nie miało to znaczenia. Ale pomyślałam, że może warto i to powiedzieć, skoro już tyle powiedziałam o innych rzeczach. Spałyśmy ze sobą raz czy dwa razy - to też mogę ci powiedzieć ale wydaje mi się, że ani ona, ani ja nie przywiązywałyśmy do tego nadmiernej wagi. Wiedziała w głębi duszy, że tak naprawdę nie odwzajemniam jej upodobań, i nigdy nie nalegała, żeby to kontynuować. Nigdy się na mnie nie złościła ani nic. Kochałam ją w gruncie rzeczy, bo była lepsza ode mnie i taka niewiarygodnie odważna.

Tak jak mówiłam, wywróżyła swoją śmierć i moją, i śmierć moich dzieci. Usnęła przy stole, z głową wtuloną w ramiona. Nie chciałam jej budzić. Myślałam o tym, co powiedziała o dzieciach, ozdjęciach tych małych, zamarzniętych ciałek - i nagle ogarnęło mnie takie przerażenie, jakiego nigdy dotąd nie przeżyłam, nawet kiedy popadałam w najgłębszą depresję, depresję o posmaku śmierci. Weszłam do pokoju, gdzie spały dzieci. Byłam tak przejęta tym, co powiedziała Wanda, że zrobiłam coś, czego - zdawałam sobie z tego sprawę - nie powinnam była robić: obudziłam Janka i Ewę i zaczęłam ich tulić do siebie. Dzieci były takie ciężkie, na wpół rozbudzone pojękiwały i marudziły, a jednak wydawały mi się dziwnie lekkie, pewnie dlatego, że tak szalenie pragnęłam trzymać oboje w ramionach. I dlatego, że przepełniała mnie taka groza i rozpacz w związku z tym, co powiedziała Wanda przyszłości, a ja świadoma byłam, że mówiła prawdę, i moja psychika nie mogła się uporać z całą potwornością tej prawdy.

Za oknami było ciemno i zimno, żadnego światełka w całej nieopisanie wprost zimnej i ciemnej Warszawie, w mieście, w którym nie było nic prócz tego mroku, marznącego śniegu z deszczem i wiatru. Pamiętam, że otworzyłam okno i lodowaty wiatr wtargnął do pokoju. Nie wyobrażasz sobie, jak bliska byłam tego, żeby rzucić się razem z dziećmi z okna w ciemność i ile razy przeklinałam później sama siebie, że tego nie zrobiłam.

Wagon pociągu, który wiozł Zofię, jej dzieci i Wandę do Oświęcimia (wraz z grupą złożoną z członków ruchu oporu innych Polaków zagarniętych w ostatniej obławie) był wagonem niezwykłym. Nie był to ani wagon towarowy, ani bydlęcy, żaden z tych, jakie

Niemcy wykorzystywali normalnie do transportów, ale - rzecz zdumiewająca - stary, lecz wciąż nadający się do użytku pulman, z chodnikiem w korytarzu, przedziałami, toaletami i małymi metalowymi tabliczkami przy każdym oknie, ostrzegającymi pasażerów po polsku, francusku, rosyjsku i niemiecku, żeby się nie wychylali. Z jego wyposażenia - mocno wytartych, lecz wygodnych siedzeń, ozdobnych, choć zmatowiałych kinkietów

- Zofia wywnioskowała, że ten szacowny starszek musiał kiedyś przewozić pasażerów pierwszej klasy; gdyby nie pewna różnica, mógłby to być jeden z wagonów z czasów jej dzieciństwa, którymi ojciec - wytrawny podróżnik - woził rodzinę do Wiednia, Bożen czy Berlina.

Owa różnica - tak złowieszczą i deprymującą, że gdy *ja* dostrzegła, zatamowało jej oddech - polegała na tym, że wszystkie okna były starannie, na głucho zabite dyktą. Była też jeszcze inna różnica - do przedziałów przeznaczonych dla sześciu, ośmiu osób Niemcy wtłoczyli po piętnaścioro, szesnaścioro ludzi razem z bagażami. W półmroku wagonu sześcioro lub więcej aresztowanych stało więc wyprostowanych lub prawie wyprostowanych, na przestrzeni, której ledwie starczało, by postawić stopę; przywierali do siebie w poszukiwaniu oparcia przy nieustannych, nagłych zahamowaniach i przyspieszeniach pociągu i zataczali się co chwila na kolana siedzących. Kilku bystrzejszych ludzi z ruchu oporu starało się opanować sytuację. Przyjęto zasadę, że siedzący i stojący będą się regularnie wymieniać miejscami; trochę to pomogło, ale nie było rady na duszący żar, jaki bił od tyłu naraz stłoczonych istot ludzkich, i na kwaśny, przenikliwy odór utrzymujący się w przedziale przez cały czas trwania podróży. Choć nie można było tego nazwać prawdziwą torturą, jadący przeżywali męki morderczej niewygody. Janek i Ewa byli jedynymi dziećmi w przedziale; Zofia i inni brali je na zmianę na kolana. W końcu ktoś zwymiotował w tej pozbawionej niemal światła klatce i wtedy zaczęło się brutalne, rozpaczliwe przepychanie ku wyjściu, a potem przez zatłoczony korytarz, do toalety. - Już lepszy wagon towarowy - jęknął ktoś. - Można się przynajmniej wyprostować. - Jednak, o dziwo, jak na normy przyjęte dla innych transportów do piekła, przemierzających wtedy Europę wzdłuż i wszerz, wlokących się, spychanych na boczne tory, wstrzymywanych na tysiącach zasupień przestrzeni i czasu podróż Zofii trwała względnie krótko; to, co normalnie zajęłoby pół dnia, od szóstej rano do południa, nie ciągnęło się całymi dniami, lecz zabrało zaledwie trzydzieści godzin.

Być może dlatego, że zawsze kierowała się pobożnymi życzeniami (jak mi to bez przerwy powtarzała), fakt, iż Niemcy wtłoczyli ją i innych więźniów do tak nietypowego środka transportu, napawał *ja* pewną otuchą. Już wtedy wiadomo było powszechnie, że hitlerowcy wykorzystywali do przewozu ludzi do obozów wagony towarowe i bydlęce. Kiedy

zatem znalazła się z dziećmi w pociągu, szybko odrzuciła jedyny logiczny wniosek, jaki jej się zrazu nasunął: że mianowicie panowie życia i śmierci użyli tego eleganckiego, choć podniszczonego pul - mana, ponieważ uznali go po prostu za funkcjonalny i akurat mieli taki pod ręką (dowodem na to były choćby prowizorycznie zabite dyktą okna). Tymczasem ona uchwyciła się kurczowo bardziej uspokajającej teorii, że przydzielenie im tych luksusowych niemal przedziałów, w których kiwali się i po - drzemali przed wojną bogaci podróżni, także teraz wskazywało na specjalne przywileje i oznaczało, że traktuje się ją trochę lepiej niż tysiąc ośmiuset Żydów z Małkini, upchniętych w czarnych, bydłowych wagonach za lokomotywą, zaplombowanych naглуcho od kilku dni. Okazało się, że te wyobrażenia były tak głupie, tak niedorzeczne (i tak w gruncie rzeczy podłe), jak teoria na temat getta, według której samo istnienie Żydów i zaangażowanie hitlerowców w ich eksterminację miało zapewnić jej bezpieczeństwo. A także bezpieczeństwo Janka i Ewy.

Gdy nazwa Oświęcim - Auschwitz - powtarzana półgłosem po raz pierwszy obiegła przedział, zemdlilo ją ze strachu, choć i tak nie miała wątpliwości, że pociąg zmierza właśnie tam. Nikły promyczek światła przyciągnął jej wzrok i kazał zwrócić uwagę na wąską szparę w dykcie przybitej do okna; w ciągu pierwszej godziny podróży zdołała wypatrzeć w świetle poranka tyle, żeby móc określić kierunek jazdy: południe. Prosto na południe przez wsie stłoczone wokół Warszawy, tam gdzie zwykle rozciągają się przedmieścia, prosto na południe przez zieleniące się pola i brzozowe zagajniki, na południe, w stronę Krakowa. Ze wszystkich prawdopodobnych miejsc przeznaczenia tylko Oświęcim znajdował się na południu; pamiętała, jaka ogarnęła ją rozpacz, gdy przekonała się na własne oczy, dokąd jadą. Oświęcim cieszył się ponurą sławą miejsca złowrogiego i przerażającego. Choć pogłoski w więzieniu gestapo zdawały się potwierdzać, że zostaną tam właśnie wysłani, z nieustającą nadzieją modliła się oto, by trafić do obozu pracy w Niemczech, gdzie, według innych pogłosek, warunki były bardziej ludzkie i znośne. Jednak w miarę jak widmo Oświęcimia majaczyło coraz wyraźniej, a teraz, w pociągu, perspektywa obozu stawała się czymś wręcz nieuchronnym, w Zofii narastała przytłaczająca świadomość, że padła ofiarą przypadkowej asocjacji i zbiegu okoliczności. Mnie to nie dotyczy - powtarzała w duchu. Gdyby nie fatalny przypadek, że aresztowano ją równocześnie z tyłoma akowcami (pech, tym większy, że pogłębiony dodatkowo faktem znajomości z Wandą i wspólnego zamieszkiwania, mimo że nigdy nie przyłożyła ręki do spraw ruchu oporu), zostałyby wprawdzie uznana za winną poważnego przestępstwa, jakim był szmugiel mięsa, ale nie nieporównanie cięższej zbrodni, czyli działalności wyrotowej, a co za tym idzie, nie spotkałby jej los tak niezasłużenie okrutny. Jeszcze jednym, jak sobie uprzytomniła, paradoksem było między innymi to, że nie

została w ogóle osądzona i uznana za winną, ale tylko przesłuchana i zapomniana. Potem przez czysty przypadek upchnięto ją w jednej celi z partyzantami, a zatem była nie tyle ofiarą surowej sprawiedliwości, ile jakiejś wszechogarniającej furii - obłądnej żądy absolutnego pognębienia i złamania przeciwnika, jaka opanowywała hitlerowców, ilekroć odnieśli nad nim zwycięstwo, a która tym razem rozciągnęła się na kilkuset uszarganych Polaków, schwytanych w ostatniej wścieklej obławie.

Niektóre wrażenia z tej podróży utkwily jej w pamięci z wyjątkową wyrazistością. Zaduch, brak powietrza, ciągle zmiany pozycji - wstawanie, siadanie, znowu wstawanie. Pudło, które podczas nagłego hamowania pociągu spadło jej na głowę - nie ogłuszając jej, nie raniąc zbyt poważnie, ale nabijając jej na czubku głowy guza wielkości jajka. Widok przez szparę: wiosenne słońce, potem szaruga, a za zasłoną deszczu brzozy, które nie zdążyły się jeszcze podnieść po okrutnych zamieciach minionej zimy, wygięte w białe, paraboliczne łuki, katapulty, piękne, pozalamywane szkielety, bicze. Wszystko upstrzone cytrynowymi plamkami forsycji. Pastelowa zieleń pól przechodząca płynnie w oddali w ciemną zieleń świerkowych, modrzewiowych i sosnowych lasów. Znow słońce. Książki Janka, które w nikłym świetle usiłowała mu czytać przez ramię, kiedy siedział jej na kolanach: *Szwajcarska rodzina Robinsonów* po niemiecku, polski przekład *Białego Kła* i *Penroda i Sama*. Dwa skarby Ewy, których dziewczynka nie pozwoliła zapakować i które cały czas ścisnęła kurczowo, jak gdyby w obawie, że lada chwila ktoś może je zabrać: flet w skórzanym futerale i jednouchy, jednooki pluszowy miś, towarzyszący jej od kołyski.

Coraz większy deszcz, w końcu ulewa. I jeszcze odór wymiocin, przenikliwy, nieusuwalny, kwaśnosłodki. Współpasażerowie: dwie wystraszone, pochlipujące, mniej więcej szesnastoletnie uczennice z przyklaszkowej szkoły; co jakiś czas mamrocą zdrowaśki. Wiktor, czarnowłosa, impulsywny, rozdrażniony akowiec; już teraz układa plany buntu lub ucieczki i nieustannie skrobie na skrawkach papieru komunikaty dla Wandy, która jedzie w innym przedziale. Oszalała ze strachu, zasuszone staruszczyzna, utrzymująca, że jest siostrzenicą Wieniawskiego i że zwój pergaminu, który przyciska przez cały czas do piersi, to oryginalny rękopis słynnego *Poloneza*, w związku z czym powinno jej przysługiwać coś w rodzaju immunitetu; kiedy Wiktor zauważa gniewnie, że hitlerowcy podetrą sobie dupę jej głównianym *Polonezem*, zalewa się łzami jak pensjonarka. Zaczynają się pierwsze ukłucia głodu. Nie ma nic do jedzenia. Inną staruszkę - martwą położono na korytarzu, w miejscu, gdzie powalił ją atak serca; zimne ręce zaciśnięte na krzyżyku, na kredowobiałej twarzy smugi i ślady butów tych, którzy po prostu po niej depczą lub przepychają się obok. I znow przez szparę: Kraków, noc, znajomy dworzec, długie linie torów w świetle księżycy, gdy

utknęli na długie godziny. W zielonkawej poświacie niezwykle widok: jakiś niemiecki żołnierz w mundurze *feldgrau*, z karabinem na ramieniu, z wyszczerzonymi zębami, onanizuje się miarowo, rytmicznie w półmroku pustego podwórza, wystawiając się na widok zaciekawionych, obojętnych lub zdumionych więźniów, jakby byli podglądaczami zerkającymi przez dziurkę od klucza.

Godzina snu, potem jasność poranka. Przecinają Wisłę, ciemną, w oparach. Dwa niewielkie miasta, które rozpoznaje, gdy pociąg zmierza na zachód w złotym pyłe porannego słońca: Skawina, Zator. Ewa zaczyna po raz pierwszy płakać, skręcana boleściami z głodu. Cicho, dziecinko. Przerwana drzemka, rozszczepiana skąpanym w słońcu, wspianiałym, ściskającym serce, maniakałnym snem: oto siedzi przy fortepianie w długiej sukni i w diademy na głowie przed tysięczną rzeszą widzów, a jednocześnie - co zdumiewające - leci, leci, szybuje ku wolności unoszona niebiańskimi taktami *Cesarskiego koncertu*. Trzepoczą powieki, otwiera oczy. Łoskot, zgrzyt hamulców. Stop. Oświećim.

Czekali w wagonie przez prawie całą resztę dnia. Już na samym początku prądnicie przestały pracować i żarówka w przedziale zgasła; pozostało tylko blade, mleczne światło, sączące się przez szpary w dykcie. Do przedziału dotarły z oddali dźwięki muzyki. W wagonie dała się wyczuć panika; było to niemal fizyczne doznanie, jak dreszcz, od którego jeżą się włoski na całym ciele. W prawie zupełnej ciemności przebiegła przez pociąg fala zatrwożonych szeptów - chrapliwych, narastających, ale niezrozumiałych jak szelest morza liści. Dziewczęta ze szkoły klasztornej zaczęły zawodzić unisono, zanosząc modły do Matki Boskiej. Wiktor warknął na nie, żeby się zamknęły, i w tym samym momencie Zofia usłyszała w drugim końcu wagonu odległy, krzepiący głos Wandy, która błagała swych towarzyszy z konspiracji i wszystkich pozostałych o zachowanie spokoju.

Wczesnym popołudniem dotarły wieści o setkach małżonków - skich Żydów z pierwszych wagonów. „Wszyscy Żydzi w ciężarówkach” - głosiła karteczka, którą Wiktor odczytał na głos w ciemnościach, a Zofia, sparaliżowana strachem, niezdolna nawet przytulić Janka i Ewy do piersi, przetłumaczyła to sobie natychmiast na: wszyscy Żydzi poszli do gazu. Dołączyła się do modlitwy dziewcząt. I wtedy właśnie Ewa zaczęła głośno lamentować. Dzieci zniosły podróż dzielnie, ale teraz głód przyprawił dziewczynkę o prawdziwy atak bóleści. Zofia próbowała ukołysać ją i utulić, ale nic nie skutkowało; krzyki dziecka wydały się jej nagle czymś bardziej przerażającym niż wiadomość o skazanych na zagładę Żydach. Ale wkrótce płacz ucichł. Z pomocą przyszedł, o dziwo, Janek. Miał on swoje sposoby, by uspokoić siostrzyczkę, i teraz przystąpił do działania najpierw przemówił do niej w ich własnym, tylko dla nich zrozumiałym języku, a potem przysiadł się do dziewczynki z książką. W nikłym

światle zaczął jej czytać urywki z opowieści o Penrodzie i wybrykach łobuziaków w elizejskiej, pełnej zieleni scenerii małego miasteczka w samym sercu Ameryki. Śmiał się przy tym, chichotał, a jego śpiewny, wysoki głosik w połączeniu z wyczerpaniem Ewy działał cud: ukołysał dziewczynkę do snu.

Minęło kilka godzin. Było późne popołudnie. W końcu nadeszła kolejna karteczka do Wiktora: „Pierwszy wagon akowców w ciężarówkach”. Mogło to oznaczać tylko jedno - że podobnie jak Żydów kilkuset akowców z wagonu przed nimi odtransportowano do Brzezinki i krematoriów. Zofia, ze wzrokiem skierowanym nieruchomo wprost przed siebie, złożyła ręce na podolku i przygotowywała się na śmierć; zdjeta nieopisaną grozą, odczuwała jednocześnie po raz pierwszy nikły smak błogosławionej, gorzkiej ulgi, jaką niesie pogodzenie z losem. Sędziwa siostrzenica Wieniawskiego popadła w stan letargicznego stuporu, wymięty *Polonez* w nieładzie, strużki śliny ściekają z kącików ust staruszki. Próbując zrekonstruować tę chwilę wiele lat później, Zofia zastanawiała się, czy sama nie straciła na jakiś czas przytomności, bo następnym obrazem, jaki pamiętała, była rampa w pełnym, oślepiającym świetle dnia i ona z Jankiem i Ewą stojąca twarzą w twarz z Fritzem Jemandem von Niemandem, doktorem medycyny.

Zofia nie знаła jego nazwiska ani nigdy potem już go nie spotkała. Ochrzciłem go Fritz Jemand von Niemand, bo to nazwisko równie dobre jak każde inne dla lekarza z SS - dla kogoś, kto pojawił się w życiu Zofii ni stąd, ni zowąd i w podobny sposób zniknął na zawsze z jej oczu, a jednak pozostawił po sobie kilka nader interesujących śladów w pamięci. Pierwszy z nich: wrażenie jego stosunkowo młodego wieku - trzydzieści, trzydzieści pięć lat - i zimnej urody, z rodzaju tych subtelnych i zarazem niepokojących. Zaiste, sama osoba doktora Jemanda, jak też jego powierzchowność, głos, maniery i inne cechy zapadły Zofii w pamięć na zawsze. Na przykład pierwsze słowa, jakie wypowiedział pod jej adresem: *Ich möchte mit dir schlafen* - które to zdanie, absolutnie bezceremonialne i absolutnie pozbawione uwodzicielskiego wdzięku, znaczy: „Przespałbym się z tobą”. Ordynarna, chamska odzywka człowieka, który przemawia z pozycji zastraszonej wyższości, żadnej finezji, żadnej klasy, samo szczeniackie okrucieństwo, słowa, jakich można by się prędzej spodziewać po pierwszym lepszym *Schweinhutmdzie* z drugorzędного hitlerowskiego filmidła. Ale takie właśnie były, według Zofii, jego pierwsze słowa. Ohyda, jak na doktora i dżentelmena (może nawet arystokratę), choć był najwidoczniej pijany i to może częściowo tłumaczyć jego grubiaństwo. Tym, co sprawiło, że na pierwszy rzut oka wydał się Zofii arystokratą pruskim lub pruskiego pochodzenia - było uderzające podobieństwo doktora do pewnego junkra, znajomego jej ojca, którego widziała raz podczas wiosennej wizyty w

Berlinie, jako szesnastoletnia dziewczyna. Bardzo „nordycki”, o wąskich wargach, ascetycznych rysach i wyprostowanej jak struna sylwetce, ów młody oficer zachowywał wobec niej lodowaty, graniczący z pogardą lub brakiem taktu dystans podczas ich przelotnego spotkania, a jednak Zofię urzekła jego atrakcyjna powierzchowność i - o dziwo - pewna nie tyle może zniewieściałość, co wręcz jedwabista, kobieca delikatność jego twarzy w chwilach odprężenia. Wyglądał trochę jak zmilitaryzowana wersja Lesliego Howarda, w którym zadurzyła się lekko po obejrzeniu *Skamieniałego lasu*. Pomimo antypatii, jaką w niej budził, i satysfakcji czerpanej z faktu, że nie będzie go musiała więcej oglądać, myśl o nim - jak pamiętała - nie dawała jej przez dłuższy czas spokoju. - Gdyby był kobietą - stwierdziła - pewnie czułabym jakąś sympatię. - Ale oto stał przed nią o piątej po południu na zapyłonym, betonowym peronie duplikat, niemal sobowtór tamtego, w nieco rozchełstanym mundurze esesmana, zionący winem, brandy czy sznapssem i bełkotał obojętnym, patrycjuszowskim głosem z berlińskim akcentem swoje bynajmniej nie patrycjuszowskie: „Przespałbym się z tobą”.

Zofia puściła mimo uszu jego słowa, ale kiedy je wypowiadał, zauważyła jeden z tych pozbawionych znaczenia, lecz niezatartych szczegółów - następny widmowy ślad po doktorze - które zawsze wyskakiwały z sugestywnością *trompe l'oeil* z gmatwaniny wspomnień tamtego dnia: parę ziarenek gotowanego ryżu na kołnierzu munduru SS. Było ich zaledwie cztery czy pięć; błyszcząły jeszcze tłustą wilgocią i wyglądały jak jakieś larwy. Ciągłe oszołomiona zarejestrowała je wzrokiem i jednocześnie teraz dopiero uprzytomniła sobie, że powitalny utwór wygrywany przez obozową orkiestrę tak okropnie fałszywie i po partacku, szarpiący jej nerwy swym erotycznomelancholijnym nastrojem i namaszczonym rytmem, jeszcze zanim wyszła z ciemnego wagonu, to argentyńskie tango *La cumparsita*. Dlaczego nie rozpoznała go wcześniej? Parampampam!

- ***Du bist eine Polack*** - powiedział doktor. - ***Bist du auch eine Kommunistin?*** - Zofia otoczyła jednym ramieniem szyję Ewy, drugim objęła Janka i nie odpowiadała. Doktor beknął, a potem powtórzył pytanie w bardziej sprecyzowanej formie: - Wiem, że jesteś Polką, ale czy należysz też do tych parszywych komunistów? - A potem, lekko zamroczony, zwrócił się do kolejnego więźnia, jakby zapomniał o Zofii.

Dlaczego nie udała głupiej? ***Nicht sprecht Deutsch***. To mogłoby uratować sytuację. Ludzie tak napierali. Gdyby nie odpowiedziała po niemiecku, przepuściłby wszystkich troje. Ale istniał jeszcze obiektywny czynnik grozy i ta groza sprawiła, że zachowała się niemądrze. Wiedziała o czymś, o czym nieliczni z przybywających tu Żydów w swej ślepej i błogosławionej ignorancji nie wiedzieli, ale czego ona dzięki znajomości z Wandą i innymi

miała pełną świadomość i czego bała się śmiertelnie: o selekcji. Poddawano ją właśnie wraz z dziećmi ciężkiej próbie, o której słyszała - szeptane pogłoski krążyły bez przerwy po Warszawie - ale wtedy wydawało się tak nieprawdopodobne, by mogło się to przydarzyć jej samej, że czym prędzej odsunęła od siebie wszelkie myśli na ten temat. Lecz oto stała tutaj, a obok stał ten lekarz. Podczas gdy nieopodal - tuż za dachami wagonów opróżnionych przed chwilą ze skazanych na zagładę Żydów z Małkini - widać było Brzezinkę i lekarz mógł skierować w przepastną otchłań jej bram, kogo tylko zechce. Myśl o tym napełniła ją taką grozą, że zamiast trzymać język za zębami zawołała:

- ***Ich bin polnisch! In Kraków geboren!*** - A potem wyrzuciła z siebie bezradnie:
- Nie jestem Żydówką! Ani moje dzieci - one też nie są Żydami! - I dodała: - Są czyste rasowo. Mówią po niemiecku. Na koniec oświadczyła: - Jestem chrześcijanką. Jestem szczerą katoliczką.

Doktor odwrócił się do niej. Z wysoko uniesionymi brwiami spojrzał na Zofię załawionym, rozbieganym wzrokiem pijanego, bez uśmiechu. Stał teraz tak blisko, że wyraźnie czuła opary alkoholu - woń przetrawionego jęczmienia czy żyta - i nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Właśnie wtedy dotarło do niej, że powiedziała coś niewłaściwego, a może wręcz fatalnego. Na moment odwróciła głowę i zerknąwszy na równoległy szereg więźniów kroczących przez golgotę selekcji, zobaczyła nauczyciela Ewy, Zaorskiego, w precyzyjnie zatrzymanej w czasie chwili, gdy dopełniał się jego los - niemal niedostrzegalnym ruchem głowy inny lekarz odesłał go na lewo, czyli do Brzezinki. Odwróciła wzrok i usłyszała głos doktora Jemanda von Niemanda:

- A więc nie jesteś komunistką. Wierząca, tak?

- ***Ja, mein Hauptmann.*** Wierzę w Chrystusa. - Cóż za głupota! Wyczuła z jego zachowania, spojrzenia - zmienionego wyrazu przeraźliwie jasnych oczu - że wszystko, co mówi, nie tylko jej nie pomoże, nie ocali, lecz przeciwnie, doprowadzi ją błyskawicznie do zguby. Bodajbym oniemiała - przemknęło jej przez głowę.

Doktor chwiał się lekko na nogach. Pochylił się na chwilę ku podoficerowi z plikiem papierów i coś wymamrotał, pochłonięty jednocześnie dłubaniem w nosie. Ewa, uczepiona kurczowo nogi Zofii, zaczęła płakać.

- A więc wierzysz w Chrystusa Zbawiciela? - rzekł doktor bełkotliwym, dziwnie abstrakcyjnym głosem, niczym wykładowca badający jakiś subtelny niuans założenia logicznego. A potem powiedział coś, co na moment zupełnie zbiło ją z tropu: - Czyż nie powiedział Pan: „Przez cierpienie prowadzi do mnie droga, dziatki moje”. - Odwrócił się do niej plecami; ruchy miał kanciaste, odmierzane, jak to u pijanego.

Zofia, z kolejnym banałem na końcu języka, ogarnięta dławiącym strachem, usiłowała właśnie coś odpowiedzieć, gdy doktor oświadczył:

- Możesz zatrzymać jedno z dzieci.
- **Bitte!** - zapytała Zofia.
- Możesz zatrzymać jedno z dzieci - powtórzył. - Drugie musi odejść. Które zatrzymujesz?

- To znaczy, że mam wybierać?
 - Jesteś Polką, nie Żydówką. To daje ci przywilej - możliwość wyboru.
- Proces myślowy zaniknął, zatrzymał się. Poczowała, że uginają się pod nią nogi.

- Nie mogę wybierać! Nie mogę! - zaczęła krzyczeć. Och, jak dobrze pamiętała ten swój krzyk! Nawet udręczone anioły nie zawodziły tak przeraźliwie nad piekielnym pandemonium. - **Ich kann nicht wählen!** - wyła.

Doktor uświadomił sobie, że scena niepotrzebnie przyciąga uwagę.

- Zamknij się! - warknął. - Szybko, wybieraj. Wybieraj, do cholery, albo odeślę ich oboje. Prędkiej!

Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Nie mogła uwierzyć, że klęczy na raniącym kolana szorstkim betonie, przyciskając do siebie dzieci tak kurczowo, iż zdawało się, że ich ciała wszczepią się w jej ciało nawet przez warstwy ubrania. Jej niedowierzanie było totalne, obłąkańcze. Odbijało się też w oczach młodego, kościstego Rottenführera o woskowej cerze, pomocnika doktora, ku któremu nie wiedzieć dlaczego skierowała z dołu błagalne spojrzenie. Wyglądał na zaszokowanego i patrzył na nią zmieszany, szeroko otwartymi oczami, jakby chciał powiedzieć: ja też tego nie rozumiem.

- Niech pan mi nie każe wybierać - usłyszała własny, błagalny szept. - Ja nie potrafię wybrać.

- Zabieraj wobec tego oboje - rzekł lekarz do pomocnika.

- **Nach links.**

- Mamo! - usłyszała cieniutki, ale donośny krzyk Ewy, w chwili, gdy odepchnąwszy dziecko od siebie zaczęła się niezdarnie podnosić z betonowego peronu. - Weźcie dziewczynkę! - zawołała. - Weźcie moją córeczkę!

W tym momencie pomocnik - z delikatnością, której Zofia nie mogła mimo wysiłków zapomnieć - ujął Ewę za rączkę i poprowadził ją w stronę oczekującego legionu skazanych na zagładę. Na zawsze zachowała w pamięci mglisty obraz do końca oglądającego się za nią błagalnie dziecka. Ponieważ jednak oślepiły ją słone, obfite łzy, los oszczędził jej widoku twarzy córeczki i była mu za to dozgonnie wdzięczna. Bo czuła w głębi swego szczerego

serca, że nigdy by tego nie zniosła, bliska utraty zmysłów, gdy rejestrowała ów ostatni migawkowy obraz drobnej, nikszej w oczach figurki.

- Miała przy sobie swojego misia... i swój flet - powiedziała Zofia na koniec. - Przez te wszystkie lata, jakie minęły od tego czasu, nie mogłam słuchać tych dwóch słów. Ani ich wypowiadać, w jakimkolwiek języku.

Od czasu gdy Zofia opowiedziała mi tę historię, wielokrotnie zastanawiałem się nad zagadką doktora Jemanda von Niemanda. Jedno nie ulegało wątpliwości: musiał być ekscentrykiem i żartownisiem - tego, co zrobił Zofii, nie było z pewnością w żadnym regulaminie SS. Może o tym świadczyć niedowierzanie młodego Rottenführera. Doktor musiał od dawna czekać na okazję, jaką było spotkanie twarzą w twarz z Zofią i jej dziećmi, by móc wcielić swój sprytny pomysł w czyn. A tym, czego, jak sądzę, pragnął najgoręcej w głębi swojego chorego serca, było popełnienie wobec Zofii lub kogoś jej podobnego - jakiejś delikatnej i wrażliwej chrześcijanki - absolutnie niewybaczalnego grzechu. I właśnie owo namiętne pragnienie, by popełnić ten straszliwy grzech, każe mi podejrzewać, że doktor był wyjątkiem, może nawet jedynym wśród innych esesmańskich automatów; o ile trudno było stwierdzić, że jest człowiekiem dobrym albo złym, to jednak zachował potencjalną zdolność czynienia dobra lub zła, a jego pragnienia miały podłoże głęboko religijne.

Dlaczego sądzę, że religijne? Przede wszystkim dlatego, że tak bardzo zainteresował się przynależnością wyznaniową Zofii. Poszedłbym w swoich spekulacjach jeszcze dalej, do czego skłania mnie pewne uzupełnienie, jakim Zofia zwieńczyła po krótkiej pauzie swoją opowieść. Powiedziała mianowicie, że przez kilka pierwszych, pełnych zamętu dni była tak zaszokowana - tak zdruzgotana tym, co zdarzyło się na rampie, i zniknięciem Janka w obozie dziecięcym - że odchodziła od zmysłów. Mimo to zwróciła w baraku uwagę na rozmowę dwóch nowo przybyłych niemieckich Żydówek, którym udało się ująć cało z selekcji. Opis wyglądu lekarza, o którym mówiły - i któremu zawdzięczały życie - nie pozostawiał wątpliwości, że był to ten sam człowiek, który posłał Ewę do komory gazowej. Zofia zapamiętała najwyraźniej rzecz następującą: jedna z kobiet, mieszkanka berlińskiego Charlottenburga, stwierdziła, że przypomina sobie dokładnie doktora z czasów młodości. Nie rozpoznał jej na rampie. Ona z kolei nie знаła go zbyt dobrze, choć byli sąsiadami. Utkwiły jej w pamięci - oprócz uderzająco atrakcyjnego wyglądu - dwie pozostające w ścisłym związku rzeczy, dwa szczegóły, których jakoś nie mogła zapomnieć: że chodził regularnie do kościoła i że długo nosił się z zamiarem wstąpienia do seminarium duchownego. Praktyczny ojciec zmusił go do studiów medycznych.

Inne fragmenty wspomnień Zofii również wskazywały na to, że doktor był osobą

religijną. Lub przynajmniej zbłąkaną owieczką, która szukała odkupienia i powrotu na ścieżki wiary. Rozważmy tu pewien trop - jego nietrzeźwość. Z relacji i zapisów możemy wnioskować, że podczas pełnienia czynności służbowych oficerowie SS, wśród nich lekarze, przestrzegali z gorliwością mnichów zasad obyczajnego zachowania, trzeźwości i postępowania zgodnego z przepisami. Wymogi najbardziej prymitywnej, rzeźniczej roboty - wykonywanej głównie w pobliżu krematoriów - wpływały wprawdzie na wzrost spożycia alkoholu, ale tego rodzaju krwawe zadania spoczywały głównie na podoficerach, którym wolno było (a często musieli) znieczulać się przed przystąpieniem do swych zajęć. Oszczędzając oficerom SS takiej czarnej roboty, wymagano od nich, jak od oficerów każdej armii, zachowania godnej postawy, zwłaszcza w czasie pełnienia obowiązków. Powstaje zatem pytanie, dlaczego Zofia zetknęła się z tym rzadkim zjawiskiem i spotkała takiego lekarza jak doktor Jemand von Niemand, zalanego, z oczami w ślup od gorzały, tak niechlujnego, że nie strzepnął nawet z kłapy ziarenek ryżu, pozostałości po długim zapewne i obficie zakrapianym posiłku. Musiało to być dla niego bardzo ryzykowne.

Podjejrzałem, że spotkanie nastąpiło w momencie, kiedy doktor Jemand von Niemand przechodził najpoważniejszy kryzys w swoim życiu, rozszczępiał się z trzaskiem jak bambusowy pręt, rozpadał wewnątrz, akurat w chwili gdy próbował osiągnąć zbawienie swej duszy. Można się tylko domyślać przebiegu dalszej kariery von Niemanda, ale jeśli był człowiekiem pokroju swego szefa, Rudolfa Hössa, czy w ogóle typowym esesmanem, został pewnie *Gottgläubigerem* - czyli odrzucił religię chrześcijańską, na zewnątrz pozostając wiernym Bogu. Jakże jednak można zachować wiarę w Boga, uprawiając miesiącami swój zawód w tak odstręczających okolicznościach? Oczekując przyjazdów niezliczonych pociągów ze wszystkich zakątków Europy, a potem odsiewając sprawnych i zdrowych z wynędzniałego tłumu kalekich, bezzębnych, ślepych, niedorozwiniętych i pokręconych, a także niekończących się szeregów bezradnych starców i bezbronnych dzieci, wiedział z pewnością, że niewolnicze przedsięwzięcie, jakiemu służy (gigantyczna maszyna do zabijania, wypływająca ludzkie odpady), jest kpiną z praw boskich i ich zaprzeczeniem. Poza tym doktor był w gruncie rzeczy wasalem IG Farben. Jest pewne, że w takim miejscu nie mógł zachować wiary. Musiał zastąpić Boga wszechpotęgą biznesu. Ponieważ przytłaczającą większość tych, którzy podlegali jego wyrokowi, stanowili Żydzi, musiał odczuć ulgę, kiedy ponownie nadszedł rozkaz Himmlera, że wszyscy bez wyjątku Żydzi mają być poddani eksterminacji. Jego selektywny wzrok nie był już potrzebny. Decyzja Himmlera zwolniła go od pracy na tych okropnych rampach i pozwoliła mu zająć się normalnymi czynnościami lekarza. (Trudno w to może uwierzyć, ale w tak ogromnej i skomplikowanej

strukturze jak Oświęcim znalazło się miejsce i na bardziej humanitarną działalność medyczną, i na potworne eksperymenty, od których doktor von Niemand jeśli przyjąć, że był obdarzony pewną wrażliwością - raczej stronił).

Ale rozkazy Himmlera szybko się zmieniały. Nienasycony kałdun IG Farben domagał się ludzkiego pokarmu; oznaczało to, że udręczony doktor musi wrócić na rampę. Znów zaczęły się selekcje. Wkrótce do komór gazowych kierowano już tylko Żydów. Jednak do chwili, gdy nadeszły ostateczne decyzje, zarówno Żydzi, jak „aryjczycy” podlegali procesowi selekcji. (Choć bywały oczywiście okazjonalne, podyktowane jakimś kaprysem wyjątki, takie jak w przypadku transportu Żydów z Małkini). Ponownie ożywiona groza orała serce doktora niczym stalowa brona, zagrażała rozumowi. Zaczął pić, jadł niechlujnie, zatęsknił do Boga. ***Wo, wo ist der lebende Gott?*** Gdzież jest Bóg moich ojców?

Oczywiście, doznał w końcu iluminacji i - jak podejrzewam to nagle odkrycie nappełniło go promienną nadzieją. Dotyczyło ono sprawy grzechu, a raczej jego nieistnienia i uświadomienia sobie, że brak grzechu i brak Boga są ze sobą nierozzerwalnie związane. Nie ma grzechu! W obliczu bestialskiej zbrodni, do której przykładał rękę, doświadczał nudy, niepokoju, nawet odrazy, ale nigdy nie miał poczucia grzechu ani tego, że wysyłając na śmierć tysiące niewinnych nieszczęśników popełnia wykroczenie przeciw prawom boskim. Wszystko to było tylko niewymownie monotonne. Wszystkie jego zbrodnie tkwiły w próżni bezgrzesznej, urzędowej bezbożności, podczas gdy dusza tęskniła za błogosławieństwem.

Cóż zatem prostszego niż odzyskać wiarę w Boga, a jednocześnie potwierdzić swą ludzką zdolność czynienia zła poprzez popełnienie najbardziej niewybaczalnego grzechu, na jaki mógł się zdobyć? Dobro przyjdzie później. Najpierw wielki grzech. Grzech, którego urok polegał na subtelnej wielkoduszności prawie wyboru. Ostatecznie mógł odebrać jej oboje. Tylko w ten sposób potrafię wytłumaczyć to, co zrobił doktor Jemand von Niemand Zofii, kiedy pierwszego dnia kwietnia - na prima aprilis - pojawiła się przed nim z dwojgiem małych dzieci, a natrętny, dziki rytm tanga ***La cumparsita*** w wykonaniu beznadziejnie fałszującej orkiestry dudnił i grzechotał w gęstniejącym zmierzchu.

szesnasty

Przez całe życie zachowałem niepohamowaną skłonność do dydaktyzmu. Bóg jeden wie, w jakie duszne otchłanie dyskomfortu wtrącałem rodzinę i przyjaciół, którzy tylko dlatego, że mnie kochali, zdolni byli znosić moje napady, powstrzymując z większym lub mniejszym powodzeniem ziewanie, od którego trzeszczały im szczęki, i ukrywając zdradliwe łzawienie oczu - nieomylny znak walki ze śmiertelną nudą. Jednak podczas tych rzadkich okazji, kiedy moment jest właściwy, a słuchacze chłonni, moja encyklopedyczna zdolność

wałkowania tematu okazuje się bardzo pożyteczna; gdy sytuacja domaga się dobroczyнного rozładowania za pomocą jakiejś błahej dygresji, nie ma nic bardziej kojącego niż przytaczanie bezużytecznych faktów i jałowych danych statystycznych. Zmobilizowałem całą swoją wiedzę o - wyobraźcie sobie! orzeszkach ziemnych, aby zająć czymś Zofię, kiedy przechadzaliśmy się pod iluminowanym światłami reflektorów Białym Domem, a potem okrężną drogą ruszyliśmy do restauracji Herzoga, na „najlepsze w Waszyngtonie kraby w cie - ście”. Po tym, co mi powiedziała, orzeszki ziemne wydały mi się najbardziej odpowiednim, bo banalnym obiektem, pomocnym w nawiązaniu rozmowy i zmianie tematu. W ciągu ponad dwóch godzin, jakie minęły od czasu, gdy zakończyła swą opowieść, odezwałem się pewnie nie więcej niż trzy, cztery razy. Ona również mówiła niewiele. Jednak orzeszki pozwoliły mi wreszcie przerwać milczenie i podjąć próbę rozwiania wiszącego nad nami obłoku depresji.

- Orzeszek ziemny to nie orzech - wyjaśniałem - ale roślina strączkowa. To kuzyn grochu i fasoli, choć różni się od obu w zasadniczy sposób: jego strączki dojrzewają w glebie. Jest to roślina jednoroczna, rosnąca nisko nad ziemią. W Stanach Zjednoczonych występują trzy podstawowe odmiany: wielkonasienna Wirginia, odmiana wielokwiatowa i hiszpańska. Uprawa orzeszków wymaga dobrze nasłonecznionych terenów i długiego okresu wegetacji w ciepłym klimacie. Dlatego rosną na Południu. Największe plantacje znajdują się w - kolejno

- Georgii, Północnej Karolinie, Wirginii, Alabamie i Teksasie. Pewien niezwykle uzdolniony murzyński uczonec, George Washington Carver, znalazł dla orzeszków dziesiątki zastosowań. Oprócz tego, że stanowią pokarm, używa się ich do wyrobu kosmetyków, sztucznych tworzyw, materiałów izolacyjnych, materiałów wybuchowych, niektórych leków i masy innych rzeczy. Orzeszki to teraz artykuł bardzo popularny, Zofio, więc myślę, że nasza farma zacznie się rozrastać i wkrótce będziemy nie tylko samowystarczalni, ale może nawet bogaci a przynajmniej bardzo zamożni. Nie będziemy zdani na łaskawy chleb Alfreda Knopfa czy innego Harper and Brothers. Mówię ci o orzeszkach jako towarze po prostu dlatego, że jeśli masz zostać panią na włościach, będziesz czasem musiała zająć się różnymi transakcjami. Wracając do uprawy: orzeszki sadi się po okresie mrozów w odstępach od dziesięciu do trzydziestu centymetrów, w rzędach odległych od siebie o około pół metra. Strączki dojrzewają zwykle po stu dwudziestu, stu czterdziestu dniach od zasadzenia...

- Wiesz, Stingo, pomyślałam sobie o czymś - przerwała Zofia moje wywody. - O czymś bardzo ważnym.

- O czym mianowicie?

- Nie umiem jeździć. Nie umiem prowadzić samochodu.

- I co wobec tego?

- Będziemy przecież mieszkać na tej farmie. Z tego, co mówiłeś, wynika, że wszędzie stamtąd daleko. Powinam umieć prowadzić, prawda? W Polsce się nie nauczyłam - tak mało było samochodów. Poza tym byłam za młoda. A tutaj... Natan miał zamiar mnie nauczyć, ale me nauczył. To jasne, że będę się musiała nauczyć prowadzić samochód.

- Spokojnie - powiedziałem. - Nauczę cię. Na farmie mamy już jedną półciężarówkę. A zresztą w Wirginii prawo jazdy nie jest takie ważne. Jezu - przypomniałem sobie nagle - pamiętam, że dostałem prawo w dniu czternastych urodzin. Ważne!

- Czternastych? - zapytała Zofia.

- Rany, ważyłem ze czterdzieści kilo i ledwie widziałem zza kierownicy. Pamiętam, że policjant, który mnie egzaminował, popatrzył na ojca i zapytał: „To pański syn czy jakiś karzeł?” Ale prawo dostałem. To jest właśnie Południe... Zupełnie inne, nawet w najzwyczajniejszych sprawach. Na przykład pojęcie młodości. Na Północy nigdy by nie wydali prawa takiemu malcowi. To tak, jakby na Południu człowiek szybciej dorastał. Pewnie sprawa biologii, dojrzałości. Jak w tym dowcipie: Jaka jest definicja dziewicy w stanie Missisipi? Odpowiedź: Dwunastoletnia dziewczynka, która biega szybciej niż jej tatuś.

Zachichotałem zadowolony z siebie, w pierwszym od wielu godzin przychylnie nastroju, który można było od biedy nazwać dobrym humorem. Pragnienie, żeby natychmiast znaleźć się w Southampton County i zająć się uprawą roli, stało się nagle tak gwałtowne, jak mój rosnący apetyt na sławetne kraby u Herzoga. Zacząłem bezmyślnie mleć ozorem jak opętany, niepomny nie tyle treści tego, co mi nie tak dawno opowiedziała, ile kruchości nastroju, jaki te wyznania wywołały w mej samej.

- No tak - powiedziałem mentorskim tonem pastora. - W tym, co mówisz, wyczuwam obawę, że będziesz się tam czuć obco. Zapewniam cię, że nie ma nic dalszego od prawdy. Ludzie mogą być początkowo trochę sztywni - będzie cię krępować twój akcent, fakt, że jesteś cudzoziemką i tak dalej - ale pozwól, że ci coś wyjaśnię. Wierz mi, droga Zofio: południowcy, kiedy już człowieka poznają, okazują się najserdeczniejszymi, najbardziej otwartymi ludźmi w Ameryce. To nie to co ci wielkomięscy chuligani i krętacze. Nie martw się więc z góry. Będziemy się, oczywiście, musieli trochę dopasować. Jak już mówiłem, ślub powinniśmy wziąć jak najszybciej - no wiesz, choćby dlatego, żeby uniknąć złośliwych plotek. Kiedy zatem oswoimy się z farmą i sąsiadami - a to zajmie nam kilka dni, nie więcej sporządzimy długą listę zakupów i pojedziemy samochodem do Richmond. Będziemy potrzebować tysięcy różnych rzeczy. Dom jest wprawdzie wyposażony w

podstawowy sprzęt, ale wielu rzeczy brakuje. Choćby, jak wspominałem, gramofonu i sterty płyt. Poza tym sprawa twojej sukni ślubnej. Z pewnością będziesz chciała przy tej okazji ładnie wyglądać, więc pobiegamy trochę po sklepach w Richmond. Może nie znajdziemy tam paryskich kreacji, ale jest kilka wspaniałych sklepów...

- Stingo! - ucięła ostro. - Proszę cię! Proszę! Przyhamuj trochę z tą ślubną suknią i tak dalej. Jak ci się wydaje - co ja tu mam w walizce? No co? - wyrzucała z siebie ze złością, podniesionym załamującym się głosem, w gniewie, jakiego nigdy dotąd mi nie okazywała.

Przystanęliśmy i odwróciłem się, żeby spojrzeć na nią w półmroku chłodnego wieczoru. Jej twarz zasnuwał ponury cień cierpienia; uświadomiłem sobie z bolesnym ukłuciem w sercu, że powiedziałem coś niewłaściwego.

- Co? - zapytałem głupkowato.

- Ślubną suknię - odparła posepnie. - Ślubną suknię, którą Natan kupił mi u Saksy. Nie potrzebuję żadnej ślubnej sukni. Czy nie rozumiesz...

Zrozumiałem. Ku mej okropnej rozpaczyci rozumiałem. Było źle. W tym momencie uświadomiłem sobie po raz pierwszy, jaki dystans nas dzieli. W swoich zwodniczych rojeniach o miłosnym gniazdku na Południu nie uwzględniłem tego nieznośnego dystansu, który odgradzał nas jak wezbrana rzeka i udaremniał jakiegokolwiek prawdziwe porozumienie. W każdym razie jeśli chodzi o uczucie, o miłość, której tak łaknąłem. Natan. Była wciąż całkowicie pochłonięta myślami o Natanie, do tego stopnia, że nawet ten smutny ślubny strój, który wiozła ze sobą taki kawał drogi, miał dla niej olbrzymie, zarówno fizyczne, materialne, jak symboliczne znaczenie. Nagle dotarła do mnie inna jeszcze prawda: jakim nonsensem było z mojej strony myśleć o ślubie i słodkich, pełnych oddania latach życia na starej plantacji, kiedy dama mego serca - stojąca teraz przede mną ze zmęczoną, wykrzywioną cierpieniem twarzą - taszczyła ze sobą ślubną suknię, wybraną i kupioną dla satysfakcji człowieka, którego kochała na zabój. Boże, jakim byłem głupcem! Język zamienił mi się w kawał drewna, szukałem rozpaczliwie słów, ale nie mogłem nic powiedzieć. Widoczny nad ramieniem Zofii obelisk Jerzego Waszyngtona, lśniący jak sztylet na tle nocnego nieba, spowiła październikowa mgielka; drobnutki figurki ludzkie roily się wokół postumentu. Ogarnęło mnie uczucie znużenia i rezygnacji, coś się we mnie obsunęło. Miałem wrażenie, że z każdą sekundą Zofia oddala się ode mnie z prędkością światła.

A jednak w chwilę później wymamrotała coś, czego nie rozumiałem. Wydała z siebie jakiś szeleszczący, ledwie słyszalny dźwięk, a potem na samym środku Constitution Avenue rzuciła się nagle w moją stronę i przywarła do mnie.

- Stingo, kochanie - szepnęła. - Wybacz mi, proszę. Przepraszam, że podniosłam głos. Ja chcę z tobą jechać do Wirginii. Naprawdę. Pojedziemy tam jutro rano, tak? To wszystko dlatego, że kiedy wspomniałeś o ślubie, poczułam się taka przygnębiona. I taka niepewna. Chyba potrafisz to zrozumieć?

- Potrafię - odparłem. I rzeczywiście rozumiałem, choć w swej tępotcie dość późno. - Oczywiście, że rozumiem, Zofio.

- Pojedziemy jutro na tę farmę - powiedziała i uściśniła mnie. - Naprawdę pojedziemy. Tylko nie mów o małżeństwie. Błagam.

W tym momencie uprzytomniłem sobie, że w moim przyływie euforii była pewna nieszczerłość. Do podejmowanych przeze mnie z takim zapałem prób odmalowania atrakcji rajskiego ogrodu na ziemi, położonego nad bagnami Dismal Swamp, wkradł się rys eskapizmu: nie było tam końskich much, nie nawalały żadne pompy, zawsze był urodzaj, żaden kiepsko opłacany czarny z plantacji bawełny nigdy nie przeklinał losu, nie śmierdziało świńskim łajnem. Polegałem wprawdzie na opinii ojca, ale mogło się przecież okazać, że „Pięć Wiązów” to zapuszczona, nędzna ruina, a wtedy pakowanie Zofii w taką pułapkę, sprowadzanie jej na jakąś wyboistą Drogę Tytoniową byłoby niewybaczalnym, haniebnym grzechem. Ale starałem się odsunąć takie myśli; było to coś, czego w ogóle me brałem pod uwagę. Pojawił się jeszcze inny, poważniejszy problem. Było dla mnie sprawą obrzydliwie oczywistą, że krótkotrwały przyływ szampańskiego humoru opadł, skończył się, sczeźł. Teraz, kiedy ruszyliśmy dalej, czarna chmura przygnębienia unosząca się nad Zofią stała się niemal widoczna, namacalna, jak obłok mgły; gdyby zanurzyć w nim dłoń, po wyciągnięciu ociekałaby rozpaczą.

- Och, Stingo, muszę się koniecznie napić wódki - powiedziała.

Kroczyliśmy przez wieczorne miasto pogrążeni w całkowitym milczeniu. Zaniechałem pokazywania jej ważniejszych obiektów stolicy, porzucając rolę przewodnika, jaką przyjąłem na początku naszej meandrycznej trasy, by poprawić nastrój Zofii. Mimo wysiłków najwyraźniej nie mogła otrząsnąć się z koszmaru, jaki musiała z siebie wyrzucić w hotelowym pokoiku. Ja zresztą też nie. Tu, na Czternastej Ulicy, w mroźnym, pachnącym moszczem powietrzu wczesnojesiennego wieczoru, wśród otaczających nas stylowych, rozświetlonych przestrzeni, zaaranżowanych przez L'Enfanta, żadne z nas nie potrafiło zachwycić się doskonałą symetrią miasta ani upajać zdrową atmosferą dobroczynnego spokoju. Waszyngton wydał mi się nagle wzorcowo amerykański, sterylny, zgeometryzowany, nierealny. Utożsamilem się z Zofią do tego stopnia, że poczułem się Polakiem; w moich żyłach i arteriach pulsowała zepsuta krew Europejczyka. Oświęcim ciągle

tkwił we mnie, podobnie jak w niej. Czy nigdy nie będzie temu końca? Nigdy końca?

Wreszcie, siedząc już w restauracji, skąd rozciągał się widok na migotliwy, wysrebrzony światłem księżycy Potomac, zapytałem Zofię o jej synka. Zanim odpowiedziała, pociągnęła zdrowy łyk whisky.

- Cieszę się, że zadałeś to pytanie, Stingo. Spodziewałam się go i chciałam je usłyszeć, bo z jakichś powodów nie mogę tego tłamsić w sobie. Masz rację. Często myślałam sobie: gdybym tylko wiedziała, co stało się z Jankiem, gdybym mogła go odnaleźć, rozwiałoby to cały smutek, jaki się we mnie nagromadził. Gdybym znalazła Janka, mogłabym... ach, mogłabym się wreszcie uwolnić od tego koszmaru, który jest we mnie, tego pragnienia, które mnie zżera i będzie zżerać zawsze... a skończy się razem z moim życiem. Móc powiedzieć *adieu* temu miejscu, tak tajemniczemu, dziwnemu i... i tak złowrogiemu. Gdybym odnalazła mojego synka, byłabym ocalona. Może nawet uwolniłoby mnie to od poczucia winy wobec Ewy. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam obciążać się winą za coś, co musiałam zrobić. Wiem, że to było... no wiesz, Stingo, że nie mogłam na to nic poradzić, ale mimo to jest rzeczą straszną budzić się od tyłu dni, każdego ranka z tym wspomnieniem, żyć z nim. Kiedy się to doda do innych niegodziwości, jakie popełniłam, wszystko staje się męczarnią nie do zniesienia. Wprost nie do zniesienia.

Zastanawiałam się wiele, wiele razy, czy istnieje jakakolwiek szansa, że Janek żyje. Jeśli Hoss zrobił to, co obiecał, być może chłopiec żył gdzieś w Niemczech. Ale nie sądzę, by udało mi się go odnaleźć po tylu latach. Dzieciom z *Lebensbornu* odebrali tożsamość, natychmiast zmienili im imiona i nazwiska, szybko przeobrazili je w Niemców - nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć poszukiwania. To znaczy w przypadku, jeśli on tam rzeczywiście był. W obozie dla dipisów w Szwecji myślałam tylko o tym, dniami i nocami - starałam się wydobrzeć, odzyskać zdrowie, żeby móc jechać do Niemiec i szukać swojego synka. Ale potem spotkałam pewną Polkę - pamiętam, że była z Kielc i ta kobieta miała najtragiczniejszą, najbardziej udręczoną twarz, jaką zdarzyło mi się widzieć u istoty ludzkiej. Była więźniarką Ravensbrück. Ona też straciła dziecko, córeczkę, w ramach programu *Lebensborn* i przez kilka miesięcy po zakończeniu wojny przemierzała całe Niemcy, usiłując wytropić jakiś ślad. Ale nigdy nie znalazła swego dziecka. Mówiła, że nikomu jeszcze się to nie udało. Już to, że nie znalazła córki, było rzeczą straszną, powiedziała mi, ale sama udręka poszukiwań była jeszcze gorsza. Nie jedź tam, mówiła, nie jedź. Bo jeśli pojedziesz, będziesz widziała swoje dziecko wszędzie, we wszystkich tych zniszczonych miastach, na każdym rogu ulicy, w każdej gromadce malców, w autobusach, na chodnikach, w samochodach, wśród machających do ciebie dzieciaków na placach zabaw, wszędzie - i będziesz wołać, i

biec do niego, tylko że to nie będzie twój syn. Serce będzie ci pękać sto razy dziennie i w końcu okaże się to gorsze niż świadomość, że twoje dziecko nie żyje...

Jednak szczerze mówiąc, tak jak już wspominałam, Stingo, nie sądzę, żeby Hoss cokolwiek dla mnie zrobił; podejrzewam, że Janek pozostał w obozie, a jeśli tak, to z pewnością już nie żyje. Tamtej zimy, przed końcem wojny, kiedy tak się rozchorowałam w Brzezince - a nie miałam wtedy pojęcia, co to za choroba, dopiero później dowiedziałam się, że niewiele brakowało, żebym umarła - esesmani chcieli się pozbyć wszystkich dzieci, jakie pozostały: było ich jeszcze kilkaset w odległym obozie dziecięcym. Zbliżali się Rosjanie i SS postanowiło te dzieci zlikwidować. Większość z nich to były dzieci polskie; żydowskie już nie żyły. Początkowo zamierzali pogrzebać je żywcem w dole albo zastrzelić, ale w końcu postanowili zrobić coś, po czym nie zostałyby zbyt wiele śladów czy dowodów. Poprowadzili je więc na mrozie do rzeki, kazali im się rozebrać i namoczyć pasiaki w wodzie, niby żeby uprać, po czym kazali dzieciom włożyć z powrotem te mokre ubrania. Potem zaprowadzili je na plac przed barakami i zrobili apel. I te dzieci stały tak w mokrych ubraniach. Apel ciągnął się przez wiele godzin, a dzieci stały przemoczone i zamarzały, aż do wieczora. Wszystkie umarły z przeziębienia. Z przeziębienia i na zapalenie płuc, bardzo szybko. Myślę, że Janek był wśród nich...

Sama już nie wiem - powiedziała po chwili, spoglądając na mnie oczami bez łez; ześlizgiwała się teraz w rejony bełkotliwej dykcji, jako że wychylane jedna za drugą szklaneczki alkoholu wiązały jej język, choć jednocześnie jak kojący kompres litościwie uśmierzały ból udręczonej pamięci. - Czy lepiej wiedzieć o śmierci dziecka, nawet tak straszliwej, czy mieć świadomość, że dziecko żyje, ale nigdy, nigdy już się go nie zobaczy? Nie mam co do tego pewności. Przypuśćmy, że wybrałabym Janka, żeby poszedł... poszedł na lewo, zamiast Ewy. Czy to by coś zmieniło?

- Zrobiła pauzę, jakby chciała wypatrzeć w mroku nocy ciemne zarysy Wirginii, celu naszej podróży, niewiarygodnie odległego w czasie i przestrzeni od jej mrocznej, przeklętej i dla mnie nawet w tym momencie - zupełnie niepojętej historii. - Niczego by to nie zmieniło. - Zofia nie była skłonna do aktorskich gestów, ale teraz po raz pierwszy od czasu naszego poznania uczyniła coś dziwnego: wskazała na pierś, a potem rozchyliła palcami jakąś niewidoczną zasłonę, jak gdyby chcąc ukazać swoje serce sponiewierane tak straszliwie, jak tylko można sobie wyobrazić. - Myślę, że tylko ono się zmieniło. Zranili je tak, że zamieniło się w kamień.

Wiedziałem, że będzie najlepiej, jeśli dobrze wypoczniemy przed dalszą podróżą na farmę. Dzięki rozmaitym konwersacjom - nym sztuczkom, w tym kolejnej porcji wiedzy

rolniczej wspieranej wszystkimi najlepszymi dowcipami z Południa, jakie zdołałem wygrzebać z pamięci, udało mi się podnieść Zofię na duchu na tyle, by jakoś się trzymała do końca kolacji. Piliśmy, jedliśmy kraby w cieście i usiłowaliśmy zapomnieć o Oświęcimiu. Do dziesiątej była już całkiem zamroczona i ledwie trzymała się na nogach - podobnie zresztą jak ja po swoich żłopanych bez umiaru piwach - do hotelu pojechaliśmy więc taksówką. Zanim stanęliśmy przed wejściem ze schodami z barwionego marmuru i znaleźliśmy się w przesiąkniętym wonią tytoniu hallu hotelu Congress, zdążyła się zdrzemnąć na moim ramieniu, a kiedy jechaliśmy windą na górę, objęła mnie wpół i zawisała na mnie całym ciężarem znużonego ciała. W pokoju bez słowa, nie rozbierając się, runęła na siodłowate łóżko i natychmiast zasnęła. Przykryłem ją kocem, po czym rozebrawszy się do gatek położyłem obok i zapadłem w sen, jak ogłuszony uderzeniem pałki. Przynajmniej na jakiś czas. Potem pojawiły się majaki senne. Dźwięk dzwonów kościelnych rozlegający się z przerwami w tle mojego snu, choć nie pozbawiony melodyjności, miał przenikliwe, puste, protestanckie brzmienie, jakby dzwony były wykonane ze specjalnego stopu dającego przewagę niskim tonom; ten demoniczny akompaniament, towarzyszący moim rozbuchanym erotycznym wizjom, pobrzmiwał echem grzechu. Wielebego Entwistle'a, odurzonego piwem, śpiącego w jednym łóżku z kobietą, która nie była jego żoną, głęboko niepokoiła ta atmosfera występku, nawet we śnie. ZMROK, ZGON! ZMROK, ZGON! grzmiały nieszczęsne dzwony.

Jestem pewien, że to właśnie mój szczątkowy kalwinizm i klerykalna maskarada - razem z przeklętym biciem kościelnego dzwonu - sprawiły, że spłoszyłem się tak okropnie, kiedy Zofia mnie obudziła. Musiało być gdzieś około drugiej. Był to zapewne ten moment w moim życiu, kiedy, jak to się mówi, spełniły się wszystkie moje marzenia, bo w przyćmionym świetle odczułem namacalnie i stwierdziłem na własne, zaspane oczy, że Zofia jest naga, że liże czule koniuszkiem języka zakamarki mojego ucha i że szuka po omacku mojego kutasa. Czy to był sen, czy jawa? Jeśli nawet to wszystko jako dalszy ciąg marzenia sennego nie było dość zaskakujące i rozkoszne, to mój sen pierzchnął natychmiast, gdy usłyszałem jej szept:

- Och... chodź, Stingo, kochany. Chcę się pieprzyć. - Potem poczułem, że ściga mi majtki.

Zacząłem ją całować jak ktoś, kto umiera z pragnienia, a ona jęcząc odwzajemniała moje pocałunki, ale przez dłuższy czas było to wszystko (przynajmniej jeśli chodzi o moje możliwości, pomimo jej mistrzowskich, delikatnych i ła - skotliwych manipulacji). Byłoby z mojej strony mylące, gdybym nadmiernie eksponował długotrwałość mej niedyspozycji czy też jej oddziaływanie na mnie, była ona jednak tak totalna, że rozważałem możliwość popełnienia samobójstwa, jeśli sytuacja natychmiast się nie poprawi. Ale cóż, na razie w jej

palcach spoczywała sflaczała dżdżownica. Zofia zsunęła się po moim brzuchu w dół i zaczęła mi obciążać. Pamiętam, że kiedyś, pochłonięta wyznaniem na temat Natana, wspomniała z czułością, że nazwał ją „najwytworniejszą obciążaczką druta na świecie”. Nie mylił się chyba; nigdy nie zapomnę, jak gorliwie i w jak naturalny sposób przystąpiła do demonstracji swego apetytu i oddania, wciskając mi swe kolana pomiędzy nogi, ciasno, z wprawą mistrzyni, jaką zaiste była, a potem pochylając się i biorąc do ust mojego bynajmniej już nie skurczonego, małego kompana, który pęczniał w oczach, podczas gdy ona podskakiwała radośnie z taką zręcznością i przy rytmicznym akompaniamencie tak beztrzesko hałaśliwych, labialnolingwalnych odgłosów, że odbierałem całe to śliskorozkoszne zespolenie ust i wyprężonego kutasa jak elektryczne wyładowania, przebiegające od czubka głowy do pięt.

- Och, Stingo! - wydyszała, robiąc pauzę dla zaczerpnięcia oddechu - nie spuszczać się jeszcze, najdroższy. - Nie było obawy! Leżałbym tak i dałbym sobie obciążać, aż bym osiwiiał.

Różnorodność doznań seksualnych jest tak bogata, iż przesadziłbym twierdząc, że tej nocy wyczerpaliśmy z Zofią wszystkie możliwości. Ale przysięgam, że byliśmy tego bliscy, a rzeczą, która na zawsze wryła mi się w pamięć, była nasza niewyczerpana zachłanność. Ja okazałem się niezmordowany, bo miałem dwadzieścia dwa lata, byłem prawiczkim i oto wreszcie trzymałem w ramionach boginię ze swych nie kończących się marzeń. Żądza Zofii była z pewnością tak samo bezgraniczna jak moja, ale z bardziej złożonych przyczyn; wiązała się oczywiście z jej wspaniałą, pierwotną, zwierzęcą namiętnością, ale stanowiła tyleż formę cielesnego zapamiętania, ile ucieczkę przed wspomnieniami i rozpaczą. Więcej: jak teraz sobie uświadamiam, także gorączkową i orgiastyczną próbę zmagania ze śmiercią. Wtedy jednak nie mogłem tego jeszcze przewidzieć, rozpalony do temperatury przegrzanego czołgu Shermana, obłąkany z podniecenia i przez całą noc kompletnie oszołomiony naszym wspólnym szaleństwem. Była to dla mnie nie tyle inicjacja, ile skończony, pełny kurs rzemiosła lub nawet coś więcej, przy czym Zofia, moja ukochana instruktorka, nie szczędziła mi szeptanych do ucha słów zachęty. Przypominało to żywe obrazy z moim udziałem, przedstawiające odpowiedzi na wszystkie pytania, które gnębiły mnie, na wpół obłąkanego, od czasu, jak zacząłem czytać potajemnie poradniki małżeńskie i pocilem się nad stronicami

Havelocka Ellisa oraz innych uczonych seksuologów. Zgadza się, brodawki sztywnieją pod dotykiem jak małe różowe guziczki z gumy, a Zofia zachęcała mnie nawet do jeszcze słodszych igraszek, prosząc, żebym pobudzał je językiem. Tak, łechtaczka była rzeczywiście na miejscu, rozkoszny mały pączek; Zofia sama ulokowała na niej moje palce. I, ach, piczka rzeczywiście była wilgotna i gorąca, wilgotna tą gładką, śliniastą wilgotnością,

której intensywne ciepło wprawilo mnie w zdumienie; sztywny kutas ślizgał się tam i z powrotem w tym rozpalonym tunelu z łatwością większą, niż mogłem sobie to wymarzyć, a kiedy po raz pierwszy strzeliłem obficie gdzieś tam w tę ciemną bezdnie, Zofia wykrzyknęła mi wprost w policzek, że czuje uderzenie wytrysku. Smak cipy był też cudowny, co odkryłem później, gdy dzwon kościelny - tym razem już nie napominający wysłał w mrok nocy cztery uderzenia; był to smak zarazem cierpki i słonawy, a kiedy ją lizałem, Zofia jęczała i naprowadzała mnie delikatnie na cel, trzymając za uszy jak za uchwyty.

Potem przyszła kolej na wszystkie słynne pozycje. Nie dwadzieścia osiem, opisanych w podręcznikach, ale z pewnością trzy, cztery czy pięć więcej, ponad standard. W pewnej chwili Zofia, wracając z łazienki, gdzie trzymała swoje trunki, zapaliła światło i pieprzyliśmy się skapani w łagodnej, miedzianej poświacie; odkryłem z zachwytem, że ciało „władczej samicy” jest w każdym calu tak rozkoszne, jak zapewniał dr Ellis, nie tyle dla swych zalet anatomicznych (choć te również były cudowne, myślałem, ujmując od dołu piersi Zofii lub dla odmiany miętosząc głaszcząc jej tyłek), ile ze względu na widok pochylonej tuż nade mną, pogrążonej jakby w zadumie słowiańskiej twarzy z wydatnymi kośćmi policzkowymi, z zamkniętymi oczami, tak zachwycająco delikatnej, z wyrazem tak całkowitego zatracenia i namiętnego zapamiętania, że musiałem odwrócić wzrok. - Chyba nie skończę z tymi orgazmami - westchnęła, a ja wiedziałem, że mówi szczerze. Przez chwilę leżeliśmy spokojnie obok siebie, ale wkrótce Zofia przyjęła bez słowa taką pozycję, jakby postanowiła zaspokoić wszystkie moje dotychczasowe fantazje w ostatecznej apoteozie. Wziąłem ją od tyłu, na klęcząco; wbijając się w przesmyk między gładkimi, białymi półkulami, zacisnąłem nagle powieki i, jak pamiętam, uświadomiłem sobie w osobliwym przyływie olśnienia konieczność zrewidowania takich pojęć jak „rozkosz”, „zaspokojenie”, „ekstaza”, nawet „Bóg”. Kilka razy przerywaliśmy, by Zofia mogła łyknąć alkoholu i wlać rozcieńczonej whisky w moje gardło. Alkohol nie tylko nie czynił mnie otepiałym, ale wręcz intensyfikował wizje i doznania, zamieniając je w fantasmagorie... Ten jej głos, te polskie słowa niezrozumiałe, a jednak rozumiane, przynaglające jak na wyścigach, dopingujące, bym szybciej gnał ku wciąż oddalającej się linii mety. Pieprzenie nie wiadomo czemu na zapiaszczonej, twardej jak kamień podłodze, powód niejasny, mętny, jakaś głupota - dlaczego, na miłość boską? - a potem nagłe olśnienie: żeby widzieć, jak na ekranie pornograficznego kina, jaskrawe odbicie naszych bladych, splątanych ciał w matowym lustrze na drzwiach łazienki. I wreszcie coś w rodzaju oszalałego, obsesyjnego bezsłowa - bez polszczyzny, bez angielszczyzny, bez żadnego języka, tylko oddechy. *Soixanteneuf* (zalecane przez doktora), kiedy po długich minutach wcałowywania się w wilgotne, mszyste, falujące

grzęzawisko jej cipy, spuściłem się Zofii do ust, wśród spazmów o tak odwlekanej, przedłużonej, przesywającej intensywności, że ledwie powstrzymałem się od krzyku czy modlitwy, po czym moje wizje znikły bez śladu, a ja, pełen poczucia wdzięczności, skołałem. Potem sen - sen, który był czymś więcej niż snem. Z kompletnym zwisem. Sen znieczulonego. Martwego.

Obudziłem się z twarzą skąpaną w kałuży słonecznego światła i instynktownie wyciągnąłem rękę szukając ramienia Zofii, jej włosów, piersi, czegokolwiek. Wielebny Entwistle był, mówiąc precyzyjnie, gotów do kolejnego numeru. Te poranne macania, senne poszukiwania były odruchem Pawłowa, jakiemu często ulegałem w późniejszych latach. Ale Zofia zniknęła. Zniknęła! Jej nieobecność, po najdoskonalszej w moim życiu (powinienem raczej powiedzieć: jedynej) komunii ciał, zdawała się nieobecnością krążącego ducha, prawie namacalną; na wpół przebudzony uprzytomniłem sobie, iż bierze się to częściowo stąd, że w pokoju unosił się jak opar jej zapach: ciężka, genitalna woń, wciąż prowokująca, wciąż pobudzająca zmysły. Odurzony snem obrzuciłem okiem pejzaż skotłowanej pościeli, stwierdzając z niedowierzaniem, że po całym radosnym mozole mój członek sterczał mężnie na baczność niczym maszt namiotu z wymiętego, lepkiego prześcieradła. Potem oblała mnie fala straszliwej paniki, wywnioskowałem bowiem z ukośnego odbicia w lustrze, że Zofii nie ma w łazience, a zatem nie ma jej tu w ogóle. Kiedy wyskoczyłem z łóżka, nagły ból i kac łupnął mnie w czołko jak młotem, a gdy zmagalem się ze spodniami, ogarnęła mnie kolejna fala paniki, wręcz przerażenia - zacząłem liczyć uderzenia kościelnego dzwonu - było południe! Moje ryki do słuchawki zdezelowanego telefonu nie odnosiły skutku. Na pół ubrany, mieląc pod nosem przekleństwa i samooskarżenia, pełen jak najgorszych przeczuć, wypadłem z pokoju i galopem zbiegłem po ewakuacyjnych schodach do hallu, gdzie był tylko czarny pikolak z mokrą ścierką, drzewka kauczukowe w donicach, fotele ze sterczącymi sprężynami, przepelnione spluwaczki. I stary pierdziel, który pierwszy pozdrowił mnie sennie z za swego pulpitu, gdzie dumał gnuśnie nad bezużytecznością recepcji w środku dnia. Na mój widok ożywił się i przystąpił do komunikowania mi najgorszych wieści, jakie usłyszałem w życiu.

- Zeszła na dół bardzo wcześnie, wielebny. Tak wcześnie, że musiała mnie obudzić. - Spojrzał na pikolaka. - Która to mogła być, Jackson?

- Pewnie koło szósty.

- No tak, około szóstej. O świcie. Wyglądała na porządnie wstawioną, wielebny - zrobił jakby przepraszającą pauzę. - Znaczy, chciałem powiedzieć, była chyba po kilku piwach. Włosy miała w nieładzie. W każdym razie zamówiła rozmowę zamiejscową, z

Brooklynem. Niechcący podsłuchałem. Rozmawiała z kimś... z mężczyzną, jak sędzę. Strasznie płakała i powiedziała, że natychmiast stąd wyjeżdża. Ciągłe powtarzała jego imię... była naprawdę zdenerwowana, wielebny. Mason. Jason. Coś w tym rodzaju.

- Natan - powiedziałem zdławionym głosem. - Natan! Jezu Chryste!

Współczucie i zatroskanie - emocjonalny zlepek, który wydał mi się nagle typowy dla Południowca i nieco staroświecki wezbrały w oczach starego recepcjonisty.

- O to to, Natan. Nie wiedziałem, co robić, wielebny tłumaczył się. - Poszła na górę, a potem zeszła z bagażem i Jackson zawiózł ją na Union Station. Wyglądała na strasznie zdenerwowaną, więc pomyślałem o panu i zastanawiałem się... myślałem, czy nie zadzwonić do pana, ale było tak wcześnie. A poza tym nie chciałem się wtrącać. Znaczy, pomyślałem, że to nie moja sprawa.

- O Jezu Chryste, Jezu Chryste - mamrotałem bez przerwy, niezupełnie świadom zdziwienia na twarzy starego, który jako wierny Drugiego Kościoła Baptistów w Waszyngtonie najwyraźniej nie był przygotowany na taką bezbożność ze strony kaznodziei.

Jackson zawiózł mnie na górę staroświecką windą, o której zdobną ornamentami z lanego żelaza, nieprzyjazną ścianę oparłem się z zamkniętymi oczami, odrętwiały, niezdolny w to wszystko uwierzyć czy też raczej się z tym pogodzić. Na pewno, myślałem sobie, kiedy wejść do pokoju, zastanę Zofię w łóżku, ze złotymi włosami lśniącymi w prostokątach słonecznego światła, z wyciągniętymi ku mnie spragnionymi, gibkimi ramionami, wzywającą mnie do wznowienia rozkosznych igraszek...

Zamiast tego zastałem w łazience zatknięty za lustro nad umywalką liścik. Nabazgrany ołówkiem, świadczył istotnie oniedostatecznym opanowaniu pisanej angielszczyzny, na co uskarżała się tak niedawno, a ponadto widać w nim było wpływy niemieckiego, którego nauczył ją ojciec w Krakowie przed tylu laty, a który - czego sobie dotąd nie uświadamiałem - wrył się w architekturę jej umysłu tak trwale, jak gzymsy i reliefy w kamiennych płytach gotyckich budowli.

Mój najdroższy Stingo, jesteś taki cudowny Kochanek nie chcę za nic wyjeżdżać i wybacz, że nie powiedziałam Zegnaj ale muszę wracać do Natana. Wierz mi znajdziesz sobie jakaś' wonderful Mademoiselle i będziesz z nią szczęśliwy na Farmie. Tak bardzo cię lubię - nie myśl przez to że jestem okrutna. Ale kiedy się obudziłam czułam się tak okropnie i zrozpaczona z powodu Natana, to znaczy z poczuciem Winy i myślami o Śmierci, to było jakbym miała Eis, Lód w żyłach. Więc muszę być znów z Natanem jak by nie było. Mogę cię już nie zobaczyć, ale wierz mi jak dużo dzięki tobie zrozumiałam. Jesteś wspaniały Kochanek Stingo. Czuję się tak okropnie, muszę już iść. Wybacz mój słaby Englisch.

Kocham Natana ale teraz czuję tą nienawiść do Życia i Boga. PIEPRZYC Boga i cały jego Hände Werk. I Zycie też. I nawet to, co pozostało z Miłości.

Zofia

Nigdy nie zdołałem ustalić dokładnie, co zaszło pomiędzy Zofią a Natanem, kiedy wróciła tamtej soboty do Brooklynu. Ponieważ opowiedziała mi tak szczegółowo o tamtym okropnym weekendzie w Connecticut zeszłej jesieni, byłem prawdopodobnie jedynym znajomym obojga, który mógł się domyślać, co zaszło podczas ich ostatniego spotkania w pokoju Zofii. Ale tylko domyślać; nie zostawili żadnego pożegnalnego listu, który dostarczyłby klucza do zagadki. Tak jak to bywa w przypadku podobnych, najtragiczniejszych zdarzeń, pozostało kilka dręczących znaków zapytania - i to czyniło wszelkie późniejsze spekulacje w rodzaju „co by było, gdyby” oraz rozważania, w jaki sposób można było wszystkiemu zapobiec, tym bardziej bolesnymi. (Choć właściwie nie sądzę, by w ogóle coś się dało zrobić). Najistotniejsze z tych przypuszczeń mógł potwierdzić Morris Fink, który - przy całym swym ograniczeniu - zachowywał się dotychczas inteligentniej, niż można było po nim oczekiwać. Nikt nie potrafił określić, w jakim momencie w ciągu trzydziestu sześciu godzin, jakie upłynęły od naszej ucieczki do powrotu Zofii, Natan pojawił się w domu. Wydawało się rzeczą dziwną, że Morris Fink - tak wytrwały i baczny obserwator wszelkiego ruchu w Pałacu - nie zauważył powrotu Natana, który zaszył się natychmiast w pokoju Zofii. Morris utrzymywał później, że nie widział Natana na oczy i nie miałem powodu, by mu nie ufać, tak jak nie wątpiłem w jego zapewnienia, że przegapił moment przyjazdu Zofii. Przy założeniu, że pociąg przyjechał punktualnie i że nie było zakłóceń w rozkładzie jazdy metra, Zofia musiała pojawić się w Różowym Pałacu około południa, tego samego dnia, w którym wyjechała z Waszyngtonu.

Poddaję tu brak czujności Finka tak ostrej krytyce po prostu dlatego, że Larry - który wrócił z Toronto i popędził na złamanie karku do Flatbush, by porozmawiać z Morrisem i z Yettą Zimmerman - zobowiązał dozorcę, by ten zatelefonował natychmiast, gdy Natan pojawi się w domu. Ja pozostawiłem mu podobne instrukcje, Larry zaś dodatkowo zachęcił go do zdwojenia czujności sutym napiwkem. Najwidoczniej jednak Natan (trudno powiedzieć w jakim nastroju i z jakimi zamiarami) prześliznął się w momencie, kiedy Morris się zagapił lub spał; powrót Zofii także musiał po prostu ująć jego uwagi. Podejrzywałem też, że kiedy Zofia dzwoniła do Natana, Morris musiał być w łóżku. Gdyby skontaktował się z Larrym wcześniej, doktor dotarłby na miejsce w ciągu kilku minut; był on jedynym człowiekiem, który mógłby sobie poradzić ze swym obłąkanym bratem, i jestem pewien, że gdyby go wezwano, finał całej historii byłby zupełnie inny. Być może nie mniej dramatyczny, ale inny.

Tamtej soboty zaczęło się na wschodnim wybrzeżu „indiańskie lato”, okres bezdeszczowej, ciepłej, skłaniającej do zrzucania marynarek pogody, czas wzmożonej aktywności much i ożywienia wśród ludzi; wielu z nich ulegało absurdalnemu, zwodniczemu wrażeniu, że rychły atak zimy jest tylko przykrym złudzeniem. Podobnemu wrażeniu uległem w Waszyngtonie i ja (choć nie pogoda była mi w głowie), i - jak sądzę - Morris Fink w Różowym Pałacu. Opowiadał mi później, że ku swemu rosnącemu zdumieniu odkrył obecność Zofii w pokoju dzięki spływającym z góry dźwiękom muzyki. Było to około drugiej. Nie miał pojęcia o utworach, których ona i Natan słuchali nieustannie - wiedział tylko, że to „klasyka”, i zwierzył mi się pewnego razu, że chociaż jest dlań zbyt „głęboka”, by mógł ją zrozumieć, wydaje mu się znośniejsza niż popularny chłam rozbrzmiewający z odbiorników i gramofonów pozostałych lokatorów.

Był w każdym razie zaskoczony - więcej, absolutnie zdumiony - tym, że Zofia wróciła; skojarzył to sobie natychmiast z Natanem i pomyślał z niepokojem, że powinien może zadzwonić do Larry’ego. Nie było jednak żadnych oznak obecności Natana w domu, nie mógł się więc zdecydować, czy podnosić fałszywy alarm. Bał się teraz Natana śmiertelnie (dwie noce wcześniej, kiedy podskoczyłem spłoszony hukiem wystrzału w słuchawce, stał tuż obok mnie) i korciło go niezmiernie, by zadzwonić na policję - choćby z prośbą o zapewnienie ochrony. Od ostatniego ataku szału Natana zdawało mu się, że wyczuwa przez skórę jego obecność w domu, a sprawa Zofii i Natana wywoływała w nim taką nerwowość, przyprawiała go o taką trzęsionkę i lęk, że gotów był zrezygnować z pokoju, za który ze względu na pełnione obowiązki dozorca płacił tylko połowę, i przeprowadzić się do siostry na Far Rockway. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości co do tego, że Natan jest wyjątkowo wredną odmianą golema. I wyjątkowo niebezpieczną. Ale Larry nakazał mu, żeby w żadnym wypadku nie kontaktował się z policją. A zatem Morris czuwał na dole, przy frontowych drzwiach, w lepkim, prawdziwie letnim upale i słuchał skomplikowanej, niezgłębionej muzyki, spływającej z góry jak potoki deszczu.

Potem z rosącym zaciekawieniem obserwował, jak drzwi na piętrze otwierają się z wolna, a zza drzwi wysuwa się Zofia. W jej wyglądzie, jak wspominał później, nie było nic niezwykłego; wyglądała może na nieco zmęczoną, miała podkrążone oczy, ale na jej twarzy nie widać było żadnych oznak przygnębienia, napięcia ani innych „negatywnych” emocji, jakich można by się logicznie spodziewać po straszliwych przejściach ostatnich paru dni. Przeciwnie, kiedy tak stała przez chwilę, gładząc dłonią klamkę, dziwny błysk lekkiego rozbawienia rozjaśnił przelotnie jej twarz, tak jakby za chwilę miała się cicho roześmiać; rozchyliła wargi, zęby zaślnęły w jasnym świetle popołudnia, potem czubek języka przesunął

się po górnej wardze, jak gdyby nagle powstrzymała słowa, które już miała wypowiedzieć. Morris uprzytomnił sobie, że go zauważyła, i aż drgnął wewnątrz. Już dawno wpadła mu w oko; jej uroda przyprawiała go o męczarnie, nękając na przemian to rozpaczliwym bólem serca, to sucho - stojem. Z pewnością zasługiwała na kogoś lepszego niż ten *meszugener* Natan.

Teraz jednak zaskoczył go jej ubiór - kostium, który nawet dla jego niefachowego oka był strojem niemodnym, staroświeckim, choć podkreślał jej niepospolitą urodę: biały zakiet, winnoczer - wona, plisowana spódnica z satyny, jedwabny szal okręcony wokół szyi i nasunięty ukośnie na oko czerwony beret. Przypominała gwiazdę starego kina - Clare Bow, Fay Wray, Glorię Swanson lub kogoś w tym rodzaju. Czy przypadkiem nie widział jej już tak ubranej, z Natanem? Nie przypominał sobie. Morrisa intrygował nie tyle wygląd Zofii, ile sama jej obecność. Zaledwie dwa dni temu wyjechała stąd z bagażami w takiej panice i w towarzystwie... To była kolejna zagadka. Postanowił zagadnąć ją przyjaźnie: - A gdzie Stingo? - ale nim zdążył otworzyć usta, Zofia postąpiła parę kroków i przechyliwszy się przez poręcz zapytała: - Morris, czy mógłbyś mi kupić butelkę whisky?

- Pięciodolarowy banknot sfrunął trzepocząc w dół i Fink złapał go w powietrzu dwoma palcami.

Powłókł się o pięć przecznic dalej, na Flatbush Avenue i kupił półlitrową butelkę carstairsa. W drodze powrotnej, znużony upałem, zamarudził nieco przystając na skraju parku obok skwerów Parade Grounds, gdzie młodzi mężczyźni i chłopcy kopali piłkę, faulując przeciwników i obrzucając się dosadnymi, ordynarnymi wyzwiskami, wywrzaskiwanymi beznamyślnie w tak swojskim, brooklińskim dialekcie; kurz w postaci stożkowatych cyklonów unosił się nad spieczoną ziemią, bieląc wyschniętą, łamliwą trawę i liście drzew rosnących na obrzeżach parku. Morris zagapił się. Jak opowiadał później, na piętnaście czy dwadzieścia minut zupełnie zapomniał o swojej misji i dopiero grzmiące dźwięki „klasycznej” muzyki, dochodzące z odległego okilkaset jardów okna Zofii, oderwały go od jego jałowego zajęcia. Muzyka była piekielnie głośna i słychać w niej było głównie trąbki. Przypomniało mu to o jego zadaniu i o czekającej nań Zofii, ruszył więc, tym razem świńskim truchtem, w stronę Różowego Pałacu i omal nie wpadł na Caton Avenue (zapamiętał to dokładnie, jak wiele innych szczegółów z tamtego popołudnia) pod żółtą furgonetkę elektrowni. W miarę jak zbliżał się do domu, muzyka potężniała; zaczął rozważać, czy nie poprosić Zofii jak najdelikatniej, by ją ściszyła, ale rozmyślił się - w końcu był to środek dnia, w dodatku niedziela, a pozostali lokatorzy wyjechali. Muzyka rozplywała się w powietrzu, nim dotarła do sąsiednich domów. Niech sobie, pieprzona, gra.

Zapukał do drzwi pokoju Zofii, ale nie doczekał się reakcji; załomotał mocniej, jednak odpowiedzi wciąż nie było. Postawił butelkę na podłodze przy drzwiach, po czym zszedł do siebie i tam przesiedział około pół godziny nad swoim klaserem z etykietkami zapalczanymi. Morris był kolekcjonerem; w pokoju było pełno kapsli od butelek z napojami chłodzącymi. Po namyśle postanowił uciąć sobie zwykłą drzemkę. Obudził się późnym popołudniem, muzyka ucichła. Pamiętał, że ogarnęło go jakieś lepkie i zimne, złowrogie przeczucie; ów lęk zdawał się po części skutkiem niezwykłego jak na tę porę roku dusznego upału - było parno jak w kotłowni i nawet mimo nadciągającego zmierzchu nagrzane powietrze stało nieruchomo, a on cały zlany był potem. Jaki spokój zapanował nagle w domu, powiedział sam do siebie. Niebo nad parkiem rozdarła błyskawica; zdawało mu się, że od zachodu słychać stłumiony odgłos grzmotu. W głębokiej ciszy pograżającego się w ciemnościach domu podreptał znów na górę. Butelka w dalszym ciągu stała pod drzwiami. Zastukał jeszcze raz. Sfatygowane drzwi lekko się nie domykały albo też były obłuzowane, bo w miejscu zetknięcia z futryną powstała szpara; oprócz zatrasku miały zasuwkę od wewnątrz i Morris wypatrzył przez szparę, że jest ona zamknięta, co oznaczało, że Zofia jest w pokoju. Zawołał ją dwu czy trzykrotnie po imieniu, ale wewnątrz panowała cisza; jego zakłopotanie przerodziło się w niepokój, kiedy zaglądając przez szparę zauważył, że w pokoju nie było światła, mimo że szybko zapadał zmrok. Wtedy też pomyślał, że dobrze byłoby zadzwonić do Larry'ego. Doktor przyjechał przed upływem godziny i razem wyłamali drzwi...

Tymczasem ja, smażąc się w innym pokoiku w Waszyngtonie, podjąłem decyzję, która odebrała mi skutecznie szansę jakiegokolwiek wpływu na bieg wydarzeń. Jeśli nawet Zofia miała nade mną sześć godzin przewagi, mógłbym dotrzeć do Brooklynu w porę, by uchronić ją przed miażdżącym ciosem. Jednak ja gryzłem się i zadreślałem, aż wreszcie, z niezupełnie do dziś dla mnie jasnych powodów, podjąłem decyzję, że pojedę do Southampton bez niej. Myślę, że na tym postanowieniu zaważył czynnik urazy: rozżalenie i gniew wywołane jej zdradą, dojmujące ukłucie zazdrości i gorzki, pełen desperacji wniosek, że od tej pory może sobie cholernica sama troszczyć się o swoją dupę. Natan, ten *szmaki*

Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Niech sobie wraca do swojego obłąkanego żydowskiego kochasia, tego gudłajskiego sukinsyna. Tak więc, przeliczywszy topniejącą zawartość mojego portfela (jak na ironię wciąż utrzymywałem się z funduszy ofiarowanych przez Natana), w oparach antysemityzmu ewakuowałem się z hotelu, po czym zawlokłem się w tropikalnym upale na dworzec autobusowy, gdzie kupiłem bilet na dalekobieżny do Franklin w stanie Wirginia. Postanowiłem zapomnieć o Zofii.

Tymczasem zrobiła się pierwsza po południu. Choć nie zdawałem sobie z tego

sprawy, byłem w stanie głębokiego psychicznego kryzysu. Bolałem nad tym ohydny, potwornym rozczarowaniem - tą zdradą! - tak strasznie, że moje członki zaczęły dygotać jak w tańcu świętego Wita. W dodatku czysto fizyczna, szarpiąca nerwy dolegliwość, czyli mój kac, przerodziła się w istne męki ukrzyżowanego, paliło mnie nieugaszone pragnienie i zanim autobus przebił się przez korki Arlington, uległem atakowi niepokoju, który aparatura kontrolna mojego mózgu skrupulatnie analizowała, by następnie wysłać sygnały alarmowe wstrząsające całym moim jestestwem.

Były to w znacznej mierze skutki działania whisky, którą Zofia wlewała mi do gardła. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ręce trzęsły mi się tak gwałtownie, nigdy też nie miałem takich kłopotów z zapaleniem papierosa. Również w mijanym, księżycowym pejzażu było coś osobliwie koszmarnego i to jeszcze pogłębiało moją depresję i podsycalo lęki. Ponure peryferie, wielopiętrowe zabudowania więzienne, szeroko rozlany Potomac, gęsty od nieczystości. Jeszcze nie tak dawno, kiedy byłem dzieckiem, południowe rubieże okręgu, pokryte siatką bukolicz - nych rozstajów, drzemały jak zakłete w mgiele unoszącego się pyłu. Mój Boże, a teraz? Zapomniałem o chorobie, która nagle nawiedziła mój rodzinny stan; wypasione na wojnie, nieprzyzwoite w swym rozpanoszeniu, zurbanizowane i splugawione Fairfax County przemknęło mi przed oczami jak halucynacyjna replika Fort Lee w New Jersey i tej rozległej betonowej pustyni, którą zaledwie wczoraj zegnałem, jak mi się zdawało, na zawsze. Czy wszystko to nie było po prostu jankeskim rakiem przeżerającym Wirginię, me ukochane Old Dominion? Dalej, na południu, było na pewno lepiej, mimo to jednak musiałem odwrócić wzrok i złożyć moją obolałą czaszkę na oparciu, skręcając się przy tym z niepokoju i zmęczenia, jakich nigdy dotychczas nie zaznałem.

Kierowca zawołał: - Aleksandria! - I tu doszedłem do wniosku, że powinienem wiać z autobusu. Co by pomyślał lekarz miejscowego szpitala - zastanawiałem się - na widok takiej wychudłej, obłąkanej zjawy w wymiętym ubraniu z kory, gdyby ta poprosiła o założenie jej kaftana bezpieczeństwa? (Czy to nie wtedy właśnie nabrałem pewności, że nigdy nie zamieszkać znowu na Południu? Chyba tak, choć do dzisiaj nie jestem tego całkiem pewien.)

W końcu jednak udało mi się względnie opanować i pokonać chochliki neurastenii. Za pomocą całej serii środków komunikacji podmiejskiej (włącznie z taksówką, co mnie nieomal zrujnowało) dotarłem na Union Station w samą porę, żeby złapać o trzeciej pociąg do Nowego Jorku. Do chwili, kiedy znalazłem wolne miejsce w zatłoczonym wagonie, nie byłem w stanie przywołać w pamięci obrazu Zofii. Boże miłosierny, moja ubóstwiana Polka pędzi na spotkanie śmierci! Uprzytomniłem sobie z porażającą jasnością, iż podczas mojego zakońzonego fiaskiem wypadu do Wirginii usunąłem ją z myśli z tej prostej przyczyny, że

podświadomie broniłem się przed przewidywaniem czy przyjęciem do wiadomości tego, co teraz narzucało się rozumowi z dręczącą oczywistością: z Zofią i Natanem stanie się coś strasznego, a moja desperacka podróż do Brooklynu w żaden sposób nie zmieni wyroków losu, który oboje wybrali. Nie potrafiłem tego przewidzieć, a wręcz przeciwnie, wykazałem ślepotę czy brak wyczucia albo i jedno, i drugie. Czyż jej ostatni list nie mówił wszystkiego tak wyraźnie, że nawet niewinny sześciolatek domyśliłby się jego znaczenia? Czyż nie było z mojej strony zaniedbaniem, i to zbrodniczym, że zamiast natychmiast pospieszyć za nią, ruszyłem w tę idiotyczną podróż przez Potomac? Skręcałem się w męce. Czy do jej poczucia winy, zabijającego ją tak skutecznie, jak kiedyś mordowano jej dzieci, musiało teraz dojść moje, wywołane popełnionym przeze mnie grzechem przeoczenia, które mogło przypieczętować jej los tak nieuchronnie jak sam Natan? Chryste Panie, gdzie jest telefon? powtarzałem w duchu. - Muszę ostrzec Morrisa Finka albo Larry'ego, zanim będzie za późno. - Ale w tym momencie pociąg drgnął i ruszył; wiedziałem, że wszelka komunikacja została udaremniona aż do...

Tu dostałem ataku osobliwych religijnych konwulsji, krótkotrwałych, lecz intensywnych. Biblia - którą wozilem ze sobą spakowaną razem z „Time'em” i waszyngtońskim „Postem” - była mi przewodnikiem od lat. Posłużyła też oczywiście jako dodatek do kostiumu wielebnego Entwistle'a. Nie byłem bynajmniej istotą nadmiernie pobożną, a Pismo Święte stanowiło dla mnie zawsze głównie literackie źródło, z którego czerpałem rozmaite aluzje i repliki dla postaci z mojej powieści, kiedy jedna czy dwie z nich przeobraziły mi się w kruchciany zasrańców. Uważałem się za agnostyka wyzwolonego z krępujących więzów wiary, dostatecznie przy tym odważnego, by opierać się budowaniu czegokolwiek na tak wątpliwym i eterycznym fundamencie jak pojęcie Boga nawet w czasach mokoła i cierpienia. Jednak teraz - strapiiony, niewyobrażalnie słaby, przerażony, kompletnie zagubiony zrozumiałem, że tracę grunt pod nogami i że ani „Time”, ani „Post” nie dostarczą mi panaceum na moją udrękę. Jasnoczekoladowa dama imponującej wagi i gabarytów wcisnęła się na miejsce obok mnie, napełniając powietrze wonią heliotropu. Pędziliśmy teraz na północ, żegnając się z okręgiem Columbia. Odwróciłem głowę, by na nią zerknąć, ponieważ czułem, że mi się przygląda. Patrzyła na mnie badawczo i życzliwie okrągłymi, wilgotnymi, piwnymi oczami wielkimi jak kuliste owoce płatanu. Potem uśmiechnęła się, westchnęła głęboko i ogarnęła mnie całego macierzyńskim spojrzeniem, za jakim w tej rozpaczliwej sytuacji tęskniłem całym sercem.

- Synku - powiedziała głosem pełnym niesamowitej wiary i pogody ducha - jest tylko jedna Dobra Księga. I ty ją właśnie trzymasz w rękach. - Po tym wstępnym ustaleniu

moja współ - pielgrzymka wyciągnęła z torby na zakupy swoją własną Biblię i rozsiadła się wygodniej, żeby przystąpić do głośnej lektury, której towarzyszyły głębokie westchnienia ukontentowania i wilgotne cmokanie. - Uwierz w słowo Jego - przypomniała mi - a będziesz zbawiony, oto prawda Ewangelii i Pana Naszego. Amen.

Odpowiedziałem: „Amen”, otwierając Biblię dokładnie w środku, gdzie, jak pamiętałem z idiotycznych lekcji w szkółce niedzielnej, znajdowały się Psalmi Dawida. - Amen - powiedziałem jeszcze raz. „Jak jeleń pragnie wód płynących, tak dusza moja pragnie ciebie, Boże!... Głębina przyzywa głębinę w odgłosie wodospadów twoich: wszystkie nawałnice i fale twoje przeszły nade mną”. Nagle poczułem, że muszę skryć się przed ludzkim wzrokiem. Dotarłem chwiejnym krokiem do toalety, zamknąłem się od wewnątrz, po czym usiadłem na sedesie i zacząłem smarować w notesie apokaliptyczne, skierowane do samego siebie orędzia, których treści wysnuwającej się z mojego zmaltretowanego umysłu sam dokładnie nie rozumiałem - ostatnie komunikaty skazańca lub obłąkane majaczenia uwięzionego na mieliźnie, na najdalszym, najnędniejszym krańcu ziemi człowieka, powierzającego butelki ze swoimi zapiskami szaleńca czarnym, obojętnym wodom wieczności.

- Czemu płaczesz, synku? - zapytała kobieta, kiedy w chwilę później osunąłem się na ławkę obok niej. - Czy ktoś skrzywdził cię okrutnie?

Nie potrafiłem odpowiedzieć, ale wkrótce wziąłem się w garść na tyle, że kiedy mi zaproponowała, mogłem przystąpić do wspólnego czytania; nasze głosy połączyły się w harmonijnym i namiętym trenie, przebijającym się przez stukot pociągu.

- Psalm osiemdziesiąty ósmy - zaproponowałem.

Na co ona rzekła:

- Tak, to piękny psalm. „Panie, Boże zbawienia mego, we dnie i w nocy wołam do ciebie. Niech modlitwa moja dojdzie przed ciebie, nakłoń ucha swego na błaganie moje, bo dusza moja syta jest cierpieniem...” - Czytaliśmy głośno mijając kolejno Wilmington, Chester i Trenton, przerzucając się od czasu do czasu na Eklezjastę i Izajasza. Potem spróbowaliśmy Kazania na Górze, ale jakoś nie bardzo mi odpowiadało; stara i wzniosła hebrajska lamentacja wydawała się bardziej katartyczna, więc wróciliśmy do Hioba. Kiedy wreszcie podniosłem wzrok, za oknem było ciemno, zielonkawe pląty błyskawic rozświetlały niebo nad horyzontem od zachodu. Czarnoskóra kapłanka, którą zdążyłem polubić, jeśli nie pokochać, wysiadła w Newark. - Wszystko będzie dobrze - przepowiedziała na odchodnym.

Tego wieczoru Różowy Pałac wyglądał z zewnątrz jak dekoracja do jednego z tych picerskich, brutalnych filmów detektywistycznych, jakie oglądałem setki razy. Do dziś

pamiętam wyraźnie uczucie gotowości na wszystko, jakie towarzyszyło mi, kiedy zbliżałem się do domu - nastawienie, że nic nie powinno mnie zaskoczyć. Były tam wszystkie inkarnacje śmierci, jakie zdołałem sobie wcześniej wyobrazić: ambulanse, wozy strażackie, karetki pogotowia, samochody policyjne z pulsującymi czerwonymi światelkami - tych ostatnich znacznie więcej, niż trzeba, jakby to marne, rozpadające się domostwo kryło ciała ofiar jakiejś straszliwej masakry, a nie dwojga ludzi, którzy zdecydowali się na elegancki niemal koniec i pogrzeżyli się spokojnie we śnie. Światło reflektora skąpało wszystko wokół w acetylenowym blasku, była tam też drewniana, groźna zaporą z tekturową tabliczką: „Przeście zabronione”, a dokoła stały grupki gburowatych policjantów, żujących gumę i poklepujących się nonszalancko po nabitych plecach. Wdałem się w sprzeczkę z jednym z nich - szpetnym, cholerycznym Irlandczykiem - próbując go przekonać, że mam prawo przejść, i musiałbym pewnie czekać godzinami na zewnątrz, gdyby nie Larry. Wypatrzył mnie i przemówił szorstko do tego ordynusa z twarzą jak befsztyk, po czym przepuszczono mnie do hallu. Przez uchylone drzwi mojego pokoju zobaczyłem Yettę Zimmerman, która, na wpeł leżąc w krześle, mamrotała coś, oszołomiona, w jidysz. Najwidoczniej właśnie poinformowano ją o tym, co się stało; z jej szerokiej, nieforemnej twarzy, zwykle tryskającej dobrym humorem, odpłynęła krew, wzrok miała błędny, nieprzytomny. Pochylał się nad nią sanitariusz ze strzykawką w dłoni. Larry poprowadził mnie w milczeniu na górę; mineliśmy po drodze stadko glistowatych policyjnych reporterów i dwóch czy trzech fotografów, którzy reagowali na wszystko, co się poruszało, eksplozjami fleszów. Chmura dymu z papierosów na półpiętrze była tak gęsta, iż przez moment podejrzewałem, że w domu musiał być wcześniej pożar. Przy wejściu do pokoju Zofii Morris Fink, jeszcze bardziej przezroczysty niż Yetta i kompletnie załamany, rozmawiał drżącym głosem z agentem śledczym. Zatrzymałem się, żeby zamienić parę słów z Morrisem. Opowiedział mi z grubsza o tym, co się działo po południu, i o muzyce.

I wreszcie pokój, z którego biła przez wyłamane drzwi nikła koralowa luna.

Zmrużyłem oczy w przyćmionym świetle, a potem dostrzegłem Zofię i Natana leżących na łóżku przykrytym jasno - morelową narzutą. Wystrojeni byli tak jak tamtej niedzieli, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ich razem - ona w swoich stylowych ciuchach z minionej epoki, on w tym knajackim, anachronicznym garniturze z szarej flaneli w szerokie prążki, który nadawał mu wygląd fartownego hazardzisty. Ubrani, ale spleceni w uścisku, wyglądali z mojego punktu widzenia niewinnie jak dwoje kochanków, którzy w radosnym nastroju wysztafirowali się na popołudniową przechadzkę, ale pod wpływem nagłego impulsu postanowili położyć się i uciąć drzemkę albo popieścić się i pokochać lub po prostu poszeptać

sobie na ucho czułe słówka, po czym zastygli w tym uroczystym czułym uścisku na zawsze.

- Na twoim miejscu nie przyglądałbym się ich twarzom powiedział Larry. Potem, po krótkiej pauzie dodał: - Ale nie cierpieli. To był cyjanek sodowy. W ciągu kilku sekund było po wszystkim.

Ku mojemu wstydomu i bólowi nogi ugięły się pode mną i omal nie upadłem, ale Larry schwycił mnie i podtrzymał.

- Kto to, doktorze? - zapytał policjant, zastępując mi drogę.
- Członek rodziny - odpowiedział Larry i była to prawda.
- Proszę go przepuścić.

Na miejscu, w pokoju, niewiele można było dodać, ująć czy wyjaśnić w związku z parą zmarłych na łóżku. Nie byłem w stanie przyglądać im się dłużej. Z niewiadomego powodu podszedłem do wyłączonego gramofonu i rzuciłem okiem na stertę płyt, których Zofia i Natan słuchali tego popołudnia. *Trumpet Voluntary* Purcella, koncert na wiolonczelę Haydna, fragment *Symfonii pastoralnej*, aria Orfeusza oplakującego Eurydykę z opery Glucka - te między innymi płyty zdjąłem ze zmieniacza. Były wśród nich dwa utwory, które miały dla mnie szczególne znaczenie, dlatego choćby, iż wiedziałem, że miały znaczenie dla Zofii i Natana. Jeden to *largo* z *Koncertu fortepianowego Bdur* Mozarta - ostatniego, jaki napisał; Zofia słuchała go często w mojej obecności, leżąc na łóżku i zasłaniając ręką oczy, podczas gdy powolne, słodkie i tragiczne tony rozplywały się po pokoju. Był u kresu życia, kiedy to napisał; czyżby właśnie dlatego (zastanawiała się wtedy głośno) ta muzyka pełna była takiej rezygnacji, która graniczyła z radością? Gdyby miała kiedykolwiek szczęście zostać pianistką - mówiła mi byłby to jeden z pierwszych utworów, który chciałaby opanować, cyzelując każdy niuans tego, co w jej odczuciu było brzmieniem „wieczności”. Niewiele wtedy wiedziałem o jej przeżyciach, nie mogłem też w pełni zrozumieć tego, co powiedziała po krótkiej pauzie o tym utworze: że gdy go słucha, myśli zawsze o dzieciach bawiących się o zmierzchu, nawołujących się z daleka cienkimi głosikami, podczas gdy cienie nocy kładą się na zielonym, sielskim trawniku.

Dwóch ubranych w białe kitle ludzi z kostnicy weszło do pokoju szeleszcząc plastikowymi workami. Drugiego utworu Zofia i Natan słuchali przez całe lato. Nie chcę mu na siłę przypisywać jakichś szczególnych znaczeń, oboje bowiem porzucili wiarę, ale płyta była na samym wierzchu, więc kiedy ją odkładałem, nie mogłem nie ulec instynktownym skojarzeniom przekonaniu, że ich ostatnim cierpieniem - czy też ekstazie bądź innemu wszechogarniającemu doznaniu, jakie ich zespoliło tuż przed zapadnięciem ciemności - towarzyszyły dźwięki finału kantaty 147, *Jezu, radości ludzkich pragnień*.

Te końcowe zapiski powinny nosić tytuł *Sztuka przewycięzania smutku*. Pochowaliśmy Zofię i Natana obok siebie na cmentarzu w Nassau County. Zgodę uzyskaliśmy łatwiej, niż można było się spodziewać. A problemów nie brakowało. W końcu Żyd i katoliczka zawierający „samobójczy pakt” (jak to określono w „Daily News” w bogato ilustrowanym artykule na trzeciej stronie), nie poślubieni kochankowie, żyjący w grzechu, ona uderzająco piękna, on, inicjator tragedii, z przeszłością w zakładach psychiatrycznych - wszystko to było w 1947 roku materiałem na superskandal. Ale sprawę uroczystości pogrzebowych udało się załatwić stosunkowo szybko (zajął się tym Larry), nie dopatrzono się bowiem w tym przypadku jakichś szczególnych przeszkód natury religijnej. Rodzice Natana i Larry’ego byli ortodoksyjnymi Żydami, ale matka nie żyła, a osiem - dziesięcioparoletni ojciec mocno podupadł na zdrowiu i był już całkiem zgrzybiały. Ponadto - spójrzmy prawdzie w oczy, stwierdziliśmy - Zofia nie miała nikogo bliższego niż Natan. Wszystkie te argumenty pomogły Larry’emu w zorganizowaniu uroczystości pochówku, który odbył się w następnym poniedziałek. Ani ja, ani Natan nie zaglądaliśmy od lat do synagogi. Kiedy Larry poprosił mnie o radę, powiedziałem, że Zofia nie życzyłaby sobie prawdopodobnie obecności księdza ani obrządku jej kościoła - założenie być może bluźniercze, które mogło zaprowadzić ją do piekła, ale byłem (i jestem do dzisiaj) pewien, że się nie mylę. W życiu pozagrobowym Zofia zniosłaby najgorsze nawet piekło. tak na jednym ze śródmiejskich cmentarzy, filii imperium Waltera B. Cooke’a, odbyły się egzekwie tak kulturalne i przyzwoite, jak to tylko było możliwe w podobnych okolicznościach, a towarzyszyła im atmosferka sensacji (w każdym razie wśród przygodnych gapiów) związanej z grzeszną i zgubną namiętnością. Wystąpił wprawdzie pewien problem z duchownym celebrującym nabożeństwo - robił to fatalnie - ale do mnie, kiedy stałem obok Larry’ego pozdrawiając przybyłych, szczęśliwie to nie docierało. Żałobników było niewielu. Jako pierwsza pojawiła się siostra Larry’ego i Natana, żona chirurga. Przyleciała z St. Louis z dziesięcioletnim synem. Dwóch elegancko ubranych kręgarzy, Blackstock i Katz, przyszło z kilkoma młodymi kobietami, które pracowały z Zofią; miały ściągnięte bólem twarze, zaczerwienione nosy i oczy ośleple od łez. Słaniająca się na nogach, zdruzgotana Yetta Zimmerman pojawiła się w towarzystwie Morrisa Finka otyłego kandydata na rabina, Moisha Muskatblita, który ją podtrzymywał, choć sam - z twarzą bezkrwistą, bladą jak serwatka - zdawał się potrzebować oparcia.

Zjawiała się też garstka przyjaciół Natana i Zofii - sześciu czy siedmiu ludzi wolnych zawodów bądź nauczycieli z Brooklyn College, tworzących to, co nazwałem „grupą Morty’ego Habera”, z samym zresztą Mortym, zrównoważonym, uprzejmym typem naukowca. Poznałem go przelotnie i polubiłem, więc tego dnia przyłączyłem się na chwilę do

niego. Panowała ciężka, niemal przytłaczająca atmosfera powagi, nikt nie pozwolił sobie na najmniejszą, żartobliwą uwagę, jakie czasami bywają w takich związanych ze śmiercią okolicznościach dopuszczalne; wokół tylko cisza i zastygłe, przygnębione maski, wstrząśnięte, wyrażające świadomość prawdziwego tragizmu wydarzenia.

Nikt nie zatroszczył się o muzykę, co było zarówno ironią losu, jak kompromitacją. Kiedy oplakujący zgromadzili się przy błyskach fleszów w kaplicy, rozległy się jęklive dźwięki organów Hammonda, wygrywających *Ave Maria* Gounoda. Gdy pomyślałem o szlachetnej pasji Zofii, o jej - a także Natana - umiłowaniu muzyki, aż skręciło mi wnętrzności od tego irytującego, wulgarnego rzępolenia.

Mój żołądek, podobnie jak równowaga psychiczna, był już tak w fatalnym stanie. Od czasu podróży z Waszyngtonu nie trzeźwiałem nawet na chwilę ani nie zmrużyłem oka. To, co się stało, przyprawiło mnie o bezsenność; krążyłem nieustannie po pokoju podekscytowany, z piaskiem w oczach. Ponieważ sen nie przychodził, zacząłem włóczyć się bezbożnie, całymi godzinami, po ulicach i barach Flatbush, mruczac pod nosem: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego?” i namiętnie chlając, głównie piwo, co utrzymywało mnie w stanie permanentnego, choć niekompletnego upojenia. Na wpół pijany i wykończony, ulegałem przedziwnym zaburzeniom (mógł to być - jak sobie później uprzytomniłem - wstęp do prawdziwego pijackiego delirium), które nie ustąpiły nawet wtedy, gdy opadłem na jedną z ławek przedsiębiorstwa Waltera B. Cooke'a i zacząłem się przysłuchiwać „kazaniu” wielebnego DeWitta, wygłaszanemu nad trumnami Natana i Zofii.

Z tym DeWittem to nie była wina Larry'ego. Czuł, że potrzebny jest jakiś duchowny, ale rabin byłby nie na miejscu, a ksiądz nie do przyjęcia i wtedy jakiś znajomy czy też znajomy znajomego zaproponował właśnie DeWitta. Był on uniwersalistą, mężczyzną po czterdziestce z syntetycznie łagodną twarzą, falującymi jasnymi, starannie ułożonymi włosami i ruchliwymi, różowymi, nieco dziewczęcymi ustami. Miał na sobie brązowy służbowy strój z brązową kamizelką opinającą zaczątki brzuszka, na którym błyszczała złota dewizka „Omikron, Delta, Kappa”, oznaka przynależności do akademickiego bractwa.

Kiedy ją zobaczyłem, zachichotałem głupkowato i dość głośno, wywołując drobne poruszenie w najbliższym sąsiedztwie. Jeszcze nigdy nie widziałem, by taką dewizkę nosił ktokolwiek choć trochę starszy ode mnie, zwłaszcza poza obrębem kampusu, i to czyniło jeszcze bardziej groteskowym osobnika, którego znienawidziłem od pierwszego wejrzenia. Jakże by się wściekł Natan na widok tego „gojowskiego” wymoczka! Tkwiąc ponuro obok Morty'ego Habera, wdychając ckliwy zapach kalii, stwierdziłem, że wielebny DeWitt, bardziej niż jakakolwiek z napotkanych w życiu osób, pobudza moje mordercze instynkty.

Truł monotennie i bez wycucia, przywołując nazwiska Lincolna, Ralpa Waldo Emersona, Dale^ Carnegiego, Spinozy, Thomasa Edisona, Zygmunta Freuda. Raz wymienił Chrystusa, jakby mimochodem - co mnie nie przeszkadzało. Osuwałem się coraz niżej w swojej ławce przestrajałem się tak, jak przestrajają się radio, chcąc zmienić stację; w otępieniu dopuszczałem do świadomości tylko najbezpieczniejsze, najbardziej łzawe komunały. Utracone dzieci. Ofiary epoki rozpasanego materializmu. Zanik wartości uniwersalnych. Klęska staroświeckiej zasady polegania na samym sobie. Niemożność porozumienia!

Co za pieprzone bzdury! - pomyślałem i nagle uprzytomniłem sobie, że musiałem wypowiedzieć to głośno, bo poczułem, że Morty klepie mnie po nodze i usłyszałem łagodne: „Cśśś!” podszyte tłumionym śmiechem, oznaczającym, że się ze mną zgadza. Potem chyba się zdrzemnąłem, choć nie był to sen, lecz jakby stan katalepsji, kiedy wszystkie myśli pierzchają z mózgu jak wagarowicze ze szkoły - ponieważ kolejnym odebrany świadomie obrazem był okropny widok dwóch szarych, metalowych trumien przejeżdżających akurat obok mnie na lśniących wózkach.

- Chyba zwymiotuję - powiedziałem trochę zbyt głośno.
- Cśśś - upomniał mnie znów Morty.

Zanim wyruszyliśmy limuzyną na cmentarz, wymknąłem się do pobliskiego baru i kupiłem duży karton piwa. Można wtedy było dostać prawie litr za trzydzieści pięć centów. Zdawałem sobie sprawę, że wykazuję brak taktu, ale nikomu to nie przeszkadzało, i nim dotarliśmy na cmentarz pod Hempstead, byłem już całkiem sztywny. Co dziwne, Zofia i Natan byli jednymi z pierwszych, którzy mieli spocząć w tej nowo założonej nekropolii. W promieniach gorącego, październikowego słońca rozciągał się po horyzont olbrzymi obszar dziewiczej zieleni. Kiedy nasz kondukt zmierzał meandrami w stronę odległego miejsca pochówku, przestraszyłem się, że dwoje ludzi, których ukochałem, zostanie pogrzebanych na polu golfowym. Przez moment to wrażenie było całkiem realne. Uległem działaniu dziwacznych fantazji czy kuglarskich sztuczek psychiki, co często przydarza się pijakom: widziałem, jak kolejne generacje graczy w golfa wybijają piłkę z grobu Zofii i Natana, wykrzykując: „*Fore!*” i uwijając się ze swoimi *midironami driverami*, podczas gdy dusze zmarłych wiercą się niespokojnie pod wibrującą darnią.

Siedząc w jednym z cadillaków obok Morty'ego, kartkowałem antologię poezji amerykańskiej Untermeyera, którą zabrałem ze sobą wraz z notatnikiem. Zaproponowałem Larry'emu, że coś z niej przeczytam, i mój pomysł spodobał mu się. Powziąłem postanowienie, że Zofia i Natan muszą usłyszeć mój głos, zanim rozstaniemy się na zawsze; to, że ostatnie słowo należało do wielebnego DeWitta, było dla mnie obrazą, jakiej nie

mógłbym znieść, wertowałem więc pilnie stroniczki przydzielone łaskawie Emily Dickinson, w poszukiwaniu najpiękniejszego fragmentu. Wspominałem, jak to właśnie Emily doprowadziła do spotkania Natana i Zofii w bibliotece Brooklyn College, i uznałem za stosowne, by także ona ich pożegnała. Euforyczna, pijana radość wezbrała we mnie niepowstrzymaną falą, kiedy wreszcie znalazłem odpowiedni, a raczej wręcz doskonały wiersz; cmokałem cichutko pod nosem, gdy limuzyna podjeżdżała do wykopanego grobu, a potem dosłownie wytoczyłem się z samochodu, omal nie padając przy tym na trawę.

Requiem wielebnego DeWitta na cmentarzu było skondensowaną wersją tego, co wcześniej powiedział nam w kaplicy. Podejrzywałem, że Larry zasugerował mi, żeby się streszczałem. Duchowny wniósł nieco liturgicznej atmosfery, wyciągając pod koniec przemówienia z kieszeni pojemniczki z popiołami i posypując połową zawartości trumnę Zofii, a drugą trumnę Natana, złożoną dwa metry dalej. Nie były to jednak marne prochy śmiertelne. Poinformował żałobników, że zostały one zebrane na sześciu kontynentach oraz na Antarktyce i że mają przypominać, iż śmierć jest uniwersalna - dotyka ludzi różnych wyznań, ras i narodowości. Znów pomyślałem z bólem, jak bardzo Natan, w swych lepszych okresach, nie znosił debiliz - mu w podobnym wydaniu. Z jaką radością sparodiowałby przeklął za pomocą swego geniuszu imitacji tego nadętego szarlatana! Ale oto Larry skinął mi głową i wystąpiłem naprzód. W ciszy gorącego, słonecznego popołudnia słychać było tylko ciche brzęczenie pszczół zwabionych zapachem kwiatów piętrzących się na krawędziach dwóch grobów. Osłabły i odrętwiały pomyślałem o Emily i o pszczołach, o rojach pszczół zapelniających jej pieśń niczym brzęcząca metafora wieczności. **namaszczeniem ścielmy łoża - Suto, by nie uwierały;**

W nich czekajmy, aż Dzień Sądu Wstanie - jasny i wspaniały.

Zawahałem się przez moment. Nie miałem problemów z artykulacją, ale coś mnie rozśmieszyło, choć moje rozbawienie podszyte było smutkiem. Czyż nie było w tym ukrytego znaczenia, że wszystkie moje przeżycia związane z Zofią i Natanem określało łóżko, poczawszy od chwili - która teraz wydawała się odległa o całe wieki - kiedy usłyszałem ich po raz pierwszy, wykonujących nade mną radośnie cyrkowe ewolucje miłosne, a skończywszy na ostatnim obrazie ich dwojga na tym samym łóżku, obrazie, który pozostanie we mnie, dopóki nie zatrze go zaćma mojej własnej śmierci? Chyba wtedy właśnie poczułem, że zaczynam się zacinać i z wolna rozklejać.

Niech poduszka będzie miękka,

Gładkie, wygodne poślanie;

Niech się żółty jazgot brzasku Pod ziemię nie przedostanie.

Wiele stron wstecz napomknąłem o miłosnonienawistnym uczuciu, jakie żywiłem wobec dziennika prowadzonego w młodości. Najwyższymi i najbardziej wartościowymi fragmentami - od których wyrzucania zawsze się powstrzymywałem - wydają mi się teraz te związane z moimi kastracjami, moją blokowaną męskością i powściąganymi namiętnościami. Dotyczą one moich nocy czarnej rozpacz z Leslie Lapidus i Mary Grimball i zajmują w tej opowieści należne im miejsce. Cała prawie reszta mojej pisaniny sklecona była z tak sztubackich przemyśleń, tak pretensjonalnej pseudoaforystyki i głupawych wypadów w rejony filozoficznych rozważań, gdzie nie miałem czego szukać, że parę lat temu ukreśliłem zdecydowanie łeb sprawie i pozbawiłem się jakichkolwiek szans zyskania nieśmiertelności, skazując wszystko na spektakularne, podwórkowe *auto dafe*. Kilka przypadkowych kartek ocalało z pożogi, ale nawet te resztki zatrzymałem nie tyle dla ich istotnej wartości, co dla uzupełnienia historycznego zapisu - zapisu swojego życia.

Z pięciu czy sześciu kartek, jakie dotyczyły tych ostatnich dni począwszy od obłąkańczej bazgraniny w kiblu pociągu z Waszyngtonu, a skończywszy na notatkach z następnego dnia po pogrzebie - uznałem za godne zachowania dokładnie trzy krótkie linijki. I jeśli są one interesujące, to nie dlatego, by miały jakąś choćby minimalną trwałą wartość, lecz dlatego, że przy całej swej oczywistej prostocie zostały wyciśnięte niczym soki żywotne z istoty, której losy ważyły się w tamtej chwili.

Kiedyś zrozumie Auschwitz. Stwierdzenie odważne, ale naiwnie absurdałne. Nikt nigdy nie zrozumie Oświęcimia. Byłoby bliższe prawdy, gdybym zanotował: „Kiedyś napiszę o życiu i śmierci Zofii, aby wykazać, że absolutne zło na świecie nie zostanie nigdy wypłenione”. Sam Oświęcim pozostanie zagadką nie rozwiązana. Najgłębsza z dotychczasowych wypowiedzi na temat Oświęcimia to właściwie nie stwierdzenie, ale odpowiedź pytaniem na pytanie.

Pytanie: Tam, w Oświęcimiu, powiedz mi, proszę, gdzie był Bóg? odpowiedź: Gdzie był człowiek?

Drugie zdanie, jakie ocalałem od zniszczenia, jest być może zbyt gładkie, ale mimo to zachowałem je. „Niech twoja miłość spłynie na wszystko, co żyje”. Słowa te przypominają w pewnym sensie ojcowskie kazanie. Złożone z nanizanych jak paciorki kluskowa - tych zgłosek brzmi jednak po angielsku wyjątkowo pięknie i kiedy patrzę na spłowiałą, prawie przezrystą kartkę z notatnika, na papier w odcieniu zaszuszonego żonkila, na którym zostało zapisane, mój wzrok przyciągają nasmarowane z furią podkreślenia, szarpane rany - trach! trach! trach! - jak gdyby ów cierpiący Stingo, w którego ciele kiedyś mieszkałem (czy też on mieszkał we mnie), dowiadując się z pierwszej ręki i po raz pierwszy w swym dorosłym życiu

o śmierci, bólu, stracie i przerażającej zagadce ludzkiej egzystencji, usiłował wydrzeć siłą z kawałka papieru jedyną ukrytą tam jeszcze - i być może jedyną możliwą do zniesienia - prawdę.

Let your love flow out on all living things.

Z tym moim przykazaniem łączą się jednak pewne problemy. Przede wszystkim nie jest ono, oczywiście, moje. Wzięło się z Kosmosu, jest własnością Boga, przechwycili je zaś wcześniej że tak powiem, w locie - tacy pośrednicy jak Laocy, Jezus, Gautama Budda i niezliczone tysiące pomniejszych proroków włącznie z waszym narratorem, do którego ogłuszająca prawda tych słów dotarła gdzieś pomiędzy Baltimore i Wilmington który zapisał je z furią szaleńca ryjącego w kamieniu. Trzydzieści lat później wciąż rozbrzmiewają w eterze; kiedyś, gdy jechałem w nocy samochodem przez Nową Anglię, usłyszałem je w radiu we wspaniałej, rozwibrowanej piosence country, powtórzone dokładnie tak, jak je napisałem. I tak dochodzimy do drugiego problemu - problemu prawdy tych słów, a jeśli nie prawdy, to ich bezsilności. Bo czyż Oświęcim nie zablokował skutecznie tego strumienia tytanicznej miłości niczym jakiś śmiertelny zator krwiobieg rodzaju ludzkiego? Albo czy nie zmienił gruntownie samej jej natury, sprowadzając do absurdu ideę miłości wobec mrówki, salamandry, żmii, ropuchy, tarantuli, wirusa wścieklizny - czy nawet błogosławionych pięknych rzeczy - w świecie, który dopuścił do wzniesienia czarnego kolosa Oświęcimia? Nie wiem. Być może za wcześnie na odpowiedź. Tak czy inaczej zachowałem te słowa, by mi przypominały o istnieniu kruchej, lecz trwałej nadziei...

Ostatnie słowa z dziennika, jakie zachowałem, to wiersz, mój własny. Mam nadzieję, że zasługuje na wyrozumiałość, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, w jakich powstał. Po pogrzebie dostałem „urwańca”, jak określano wówczas stan kompletnej pijackiej amnezji. Pojechałem metrem na Coney Island, w nadziei, że uda mi się jakoś zagłuszyć ból. Początkowo sam nie mogłem pojąć, co przywiodło mnie do tej dzielnicy taniej, hałaśliwej rozrywki, która nigdy nie należała do moich ulubionych atrakcji Nowego Jorku. Ale do późnego popołudnia utrzymywała się piękna, słoneczna pogoda, ja zaś czułem się tak straszliwie samotny, że to miejsce wydawało mi się równie dobre jak każde inne, żeby się w nim zatracić. Steeplechase Park, podobnie jak inne królestwa rozrywki, był zamknięty, a woda zbyt zimna, by się kąpać, ale balsamiczna pogoda przyciągnęła całe hordy nowojorczyków. O zmierzchu setki szpanerów i wałkoni zapełniły ulice skąpane w blasku neonów. Dotarłszy do obskurnej kawiarni „U Victora”, gdzie kiedyś moje gruczoły płciowe zostały tak omamione przez Leslie Lapidus i jej udawaną lubieżność, zatrzymałem się na chwilę, potem ruszyłem dalej, wreszcie zawróciłem; jako memento mojej klęski miejsce było

całkiem odpowiednie do tego, żeby się urznąć. Co sprawia, że człowiek tak głupio zadrecza sam siebie, ciachając się jak nożyczkami rozpamiętywaniem poniesionych porażek? Szybko jednak zapomniałem o Leslie. Zamówiłem dzban piwa, potem następny i pogrążyłem się w świecie halucynacji.

W jakiś czas później, gdy rozgwieździła się noc oziębiona tchnieniem jesiennego chłodu i wilgotnego wiatru od Atlantyku, stałem samotnie na plaży. Było cicho i - jeśli nie brać pod uwagę rozjarzonych gwiazd - prawie zupełnie ciemno; strzeliste sylwetki dziwacznych wieżyc i minaretów, gotyckie dachy, barokowe wieże majaczyły na tle nieba rozjaśnionego luną od strony miasta. Górował nad wszystkim pajęczy żuraw z kablami zwisającymi ze szczytu - wieża spadochronowa; to stamtąd, z najwyższego pomostu zawrotnie wysokiej konstrukcji docierały do mnie kaskady śmiechu Zofii, kiedy oboje z Natanem runęli ku ziemi - pijani radością zaczynającego się lata, które teraz wydawało się odległe o całe eony.

Wtedy właśnie trysnęły mi wreszcie łzy z oczu - nie ckiwe, pijackie, lecz łzy, które poczawszy od podróży z Waszyngtonu starałem się mężnie powstrzymać i których dłużej powstrzymywać nie mogłem, bo hamowałem je tak długo, że teraz spływały mi między palcami w gorących strumieniach. Tym, co wyzwoliło ów wezbrany potok, było oczywiście wspomnienie tamtego odległego w czasie skoku Zofii i Natana, ale dawałem też w ten sposób upust wściekłości i żalowi, oplakiwałem wielu innych, którzy w ciągu kilku minionych miesięcy dręczyli moją świadomość i teraz domagali się, bym ich oplakiwał: Zofię i Natana, oczywiście, ale także Janka i Ewę - Ewę z jej jednookim miśkiem

- Eddiego Farrella, Bobby'ego Weeda i mojego czarnego wybawcę Ariste, i Marię Hunt, i Nata Turnera, i Wandę MuckHorch von Kretschman, tych kilkoro zaledwie spośród bitych, mordowanych zamęczonych dzieci ziemi. Nie oplakiwałem sześciu milionów Żydów, dwóch milionów Polaków, miliona Serbów czy pięciu milionów Rosjan - nie mogłem oplakiwać całej ludzkości - ale tych, którzy w ten czy inny sposób stali mi się drodze, a mój szloch niósł się bezwstydnie głośno po pustej plaży. Wreszcie zabrakło mi łez; osłabłe i dziwnie jak na dwudziestodwulatka drżące nogi ugięły się pode mną i osunąłem się na piasek. zasnąłem. Miałem koszmarne sny - zdawały się brykiem ze wszystkich opowieści Edgara Allana Poe: rozplątał mnie na dwoje potworny mechanizm, tonąłem wciągany przez błotny wir, umierałem zamurowany w piwnicy, a co najstraszniejsze pogrzebano mnie żywcem. Przez cały czas dręczyło mnie poczucie bezsilności, niemoty, obezwładnienia i niemożności wydobycia z siebie krzyku spod nieubłaganych zwałów ziemi, która waliła się rytmicznie - buch, buch, buch - na moje sparaliżowane, bezwładne ciało żywego trupa, grzebanego w

piaskach Egiptu. Na pustyni panował przenikliwy ziąb.

Kiedy się obudziłem, był wczesny poranek. Leżałem, patrząc prosto w błękitnozielone niebo zasnutę woalem przejrzystej mgiełki; niczym maleńki okruch kryształu, samotna i jasna, przeświecała przez mgłę nad spokojnym oceanem Wenus. Usłyszałem nieopodal trąkotanie dzieci. Poruszyłem się lekko.

- Izzy, obudził się! Rusz się, taka twoja mać! Ja cię pieprzę!

- Błogosławiąc swoje zmartwychwstanie, uprzytomniłem sobie, że dzieci przykryły mnie zapobiegliwie piaskiem i że leżę bezpieczny jak mumia pod tym miałkim, szczelnie otulającym płaszczem. I właśnie wtedy zapisałem w myśli następujące słowa:

Pod chłodnym piaskiem o śmierci śniłem, lecz ocknąłem się o brzasku, by nad sobą ujrzeć w glorii jasną gwiazdę zaranną.

To nie był Dzień Sądu - a tylko poranek. Poranek: wspaniały jasny.